

ROBERT

LITTELL



W GAŚZCZU LUSTER

POWIEŚĆ O CIA

ROBERT LITTELL

W GAŚCZU LUSTER

Powieść o CIA

Przełożyły

Dorota Walasek-Elbanowska i Aleksandra Lercher-Szymańska

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

INTERLUDIUM. KALABRYJCZYK

Rzym, czwartek, 28 września 1978

PRELUDIUM. ANATOMIA EKSFILTRACJI

Berlin, niedziela, 31 grudnia 1950

CZEŚĆ I. ŁADUJĄC BROŃ

1. New London, Connecticut, niedziela, 4 czerwca 1950
2. Moskwa, wtorek, 5 września 1950
3. Frankfurt, środa, 7 lutego 1951
4. Berlin, piątek, 23 lutego 1951
5. Berlin, wtorek, 6 marca 1951
6. Waszyngton, D.C., piątek, 30 marca 1951
7. Waszyngton, D.C., czwartek, 5 kwietnia 1951
8. Heidelberg, poniedziałek, 9 kwietnia 1951
9. Berlin, czwartek, 12 kwietnia 1951
10. Berlin, wtorek, 17 kwietnia 1951
11. Frankfurt, poniedziałek, 23 kwietnia 1951

12. Frankfurt, środa, 2 maja 1951
13. Berlin, piątek, 11 maja 1951
14. Arlington, niedziela, 20 maja 1951
15. Gettysburg, sobota, 26 maja 1951
16. Waszyngton, D.C., poniedziałek, 28 maja 1951
17. Berlin, sobota, 2 czerwca 1951
18. Czeriomuszki, obwód moskiewski, poniedziałek, 4 czerwca 1951

CZĘŚĆ II. KONIEC NIEWINNOŚCI

1. Moskwa, sobota, 25 lutego 1956
2. Nowy Jork, poniedziałek, 17 września 1956
3. Budapeszt, wtorek, 16 października 1956
4. Waszyngton, D.C., niedziela, 21 października 1956
5. Budapeszt, wtorek, 23 października 1956
6. Wiedeń, poniedziałek, 29 października 1956
7. Budapeszt, piątek, 2 listopada 1956
8. Waszyngton, D.C., sobota, 3 listopada 1956
9. Budapeszt, niedziela, 4 listopada 1956
10. Wiedeń, środa, 7 listopada 1956
11. Budapeszt, czwartek, 8 listopada 1956
12. Waszyngton, D.C., piątek, 23 listopada 1956

CZĘŚĆ III. BŁĘDNE KOŁA

1. Waszyngton, D.C., piątek, 9 września 1960
2. Nowy Jork, wtorek, 22 listopada 1960
3. Palm Beach, wtorek, 10 stycznia 1961

4. Waszyngton, D.C., sobota, 11 lutego 1961
5. Waszyngton, D.C., wtorek, 4 kwietnia 1961
6. Niebieska Plaża, Zatoka Świń, poniedziałek, 17 kwietnia 1961
7. Waszyngton, D.C., piątek, 5 maja 1961

CZĘŚĆ IV. LICHO NIE ŚPI

1. Czeriomuszki, obwód moskiewski, środa, 1 maja 1974
2. Waszyngton, D.C., niedziela, 12 maja 1974
3. Waszyngton, D.C., piątek, 24 maja 1974
4. Moskwa, niedziela, 9 czerwca 1974
5. Waszyngton, D.C., czwartek, 4 lipca 1974
6. Waszyngton, D.C., wtorek, 30 lipca 1974
7. W drodze do Związku Radzieckiego, sobota, 10 sierpnia 1974
8. Waszyngton, D.C., niedziela, 8 września 1974
9. Santa Fe, sobota, 12 października 1974
10. Waszyngton, D.C., czwartek, 21 listopada 1974

INTERLUDIUM. KALABRYJCZYK

Civitavecchia, czwartek, 28 września 1978

CZĘŚĆ V. ŚLEPA ULICZKA

1. Peszawar, czwartek, 13 października 1983
2. Waszyngton, D.C., środa, 19 października 1983
3. Gdzieś w Afganistanie, niedziela, 23 października 1983
4. Waszyngton, D.C., poniedziałek, 7 listopada 1983
5. Czeriomuszki, obwód moskiewski, sobota, 12 listopada 1983
6. Jatrib, piątek, 18 listopada 1983

CZEŚĆ VI. NA WŁASNĄ RĘKĘ

1. Moskwa, czwartek, 28 lutego 1991
2. Pierchuszowo, piątek, 19 kwietnia 1991
3. Bazylea, sobota, 15 czerwca 1991
4. Drezno, czwartek, 1 sierpnia 1991
5. Niedaleko Foros na Krymie, poniedziałek, 19 sierpnia 1991

POSTLUDIUM. ANATOMIA INFILTRACJI

Vienna, Wirginia, niedziela, 6 sierpnia 1995

Przypisy

Tytuł oryginału: THE COMPANY. A NOVEL OF THE CIA

Konsultacja: ROBERT MROZIEWICZ

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: MAŁGORZATA ŻBIKOWSKA, GRAŻYNA HENEL, MACIEJ
KORBASIŃSKI

Projekt okładki: OLGIERD CHMIELEWSKI

Copyright © 2002 by Robert Littell

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopy, recording, or any information storage and retrieval system now known or to be invented, without permission in writing from the publisher, except by a reviewer who wishes to quote brief passages in connection with a review written for inclusion in a magazine, newspaper, or broadcast.

For the Polish edition

Copyright © 2017, Noir sur Blanc, Warszawa

All rights reserved

Patronat medialny



ISBN 978-83-65613-65-3

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Świadkom, Michaelowi i Jimmiemu Ritchiem,
oraz aniołowi stróżowi, Edowi Victorowi*

INTERLUDIUM

KALABRYJCZYK

– Musi to być właśnie ten las – powiedziała do siebie – gdzie rzeczy nie mają imion^[1].

RZYM, CZWARTEK, 28 WRZEŚNIA 1978

Wysoko nad miastem chmury mknęły na tle księżyca jak na przyspieszonym filmie. Brudna żółta minitaksówka „Fiat” z wygaszonymi światłami zaparkowała w cieniu długiego muru, przy krawężniku opustoszałej o tej porze Porta Angelica. Z tylnego siedzenia podniósł się szczupły zakapturzony mężczyzna w dominikańskim habitcie.

Wychował się w górzystej krainie na samym koniuszku włoskiego buta, a w mrocznych organizacjach, które zatrudniały go od czasu do czasu, znany był jako Kalabryczyk. Przed laty, będąc jeszcze chłopcem o anielskiej twarzy renesansowego kastrata i budząc podziw swoją urodą, chciał zostać akrobatą. Trenował nawet w szkole cyrkowej, lecz porzucił to zajęcie, gdy spadł z rozpiętej wysoko liny i złamał nogę w kostce. Teraz, pomimo dostrzegalnego utykania, wciąż jeszcze poruszał się z kocią elegancją linoskoczka. Na wzgórzach nad Tybrem dzwon kościelny, podłączony niedawno do elektrycznego czasomierza, wybił godzinę o pół minuty za wcześniej. Kalabryczyk zerknął na podświetloną tarczę swojego zegarka i ruszył wzdłuż kolumnady. Uszedłszy jakieś pięćdziesiąt metrów, przystanął przed wejściem dla kupców, włożył gumowe rękawiczki chirurgiczne i zaskrobał w ciężkie drewniane wrota. Po drugiej stronie zazgrzytała potężna zasuwa i wpasowana w bramę mała niebieska furka uchyliła się na tyle, że mógł się wślizgnąć. Niemłody już, śniady mężczyzna w cywilnym ubraniu, ale z oficerską trzcinką w ręku, uniósł otwartą dłoń i machnął w kierunku jedyne okna stróżówki, z którego płynął strumień światła. Zakapturzona postać skinęła w odpowiedzi głową. Ruszyli w dół podjazdu, oficer prowadził. Kiedy przechodzili pod

oświetlonym oknem, schylił się. Kalabryczyk poszedł za jego przykładem, ale przedtem zdążył zajrzeć do środka: w schludnym pokoju dwaj umundurowani ludzie grali w karty, trzech inni drzemali w fotelach. Na stole, obok małej lodówki, leżały karabiny maszynowe i magazynki.

Człowiek w dominikańskim habicie podążył za przewodnikiem. Minąwszy Instytut Dzieł Religijnych, stanęli przed wejściem dla służby na tyłach okazałego *palazzo*. Oficer wyjął z kieszeni marynarki okazały wytrych, włożył go do zamka i drzwi uchyliły się bezszelestnie. Drugi wytrych wręczył swemu towarzyszowi.

– Do pokoju na półpiętrze – szepnął.

Mówił po włosku ze szwajcarskim akcentem, przeciągając samogłoski w sposób typowy dla mieszkańców przygranicznych wiosek w Dolomitach.

– Trudno zdobyć klucz bez zwrócenia czyjejś uwagi.

– Nie używam kluczy. Poradziłeś sobie z alarmem?

– Nie martw się. Odłączyłem, co trzeba, na panelu sterowania w stróżówce.

– Co z mlekiem?

– Mleko dostarczone. Za chwilę się przekonasz, czy zostało wypite.

Kalabryczyk ruszył ku drzwiom, ale oficer przytrzymał go za ramię.

– Masz dwanaście minut do następnego obchodu.

– Mogę zwolnić albo przyspieszyć bieg czasu – odpowiedział Kalabryczyk, spoglądając na księżyc. – Dwanaście minut to wieczność, jeśli je dobrze wykorzystać.

To rzekłszy, zniknął we wnętrzu budynku.

Znał plan tego *palazzo* jak linie życia na własnej dłoni. Z podkasanym habitem, przeskakując po trzy stopnie naraz, wspinał się wąskimi schodkami dla służby na drugie piętro, otworzył drzwi wytrychem i wyszedł na słabo

oświetlony korytarz. Stąpając bezszelestnie, przeszedł po wydeptanym fioletowym chodniku ze spłowiałego drojetu. Przy małym stoliku na podeście frontowych schodów, na wprost windy, siedziała pulchna zakonnica, jedna z sióstr Służebniczek Jezusa Ukrzyżowanego, z głową wspartą bezwładnie o blat, w kręgu bladego światła srebrnej lampki, jakby w jej ciepłe suszyła sobie włosy. Obok staromodnego telefonu o wysokich widełkach stał pusty kubek z resztką zaprawionego narkotykiem mleka.

Z przepastnej kieszeni habitu Kalabryjczyk wyjął drugi, identyczny, ale z kozuchem czystego mleka na dnie, a zabrał naczynie ze śladami narkotyku. Potem ruszył z powrotem, licząc mijane po drodze drzwi. Przy trzecich z kolei zatrzymał się, włożył w dziurkę od klucza kawałek zagiętego drutu i dotąd obracał nim w zamku, aż rygiel odskoczył z cichym trzaskiem. Mężczyzna delikatnie nacisnął klamkę i przez chwilę nasłuchiwał. Nie doczekawszy się żadnego dźwięku, przemknął przez hol i po chwili znalazł się w obszernej bawialni z marmurowym kominkiem. Nieliczne rzeźbione meble ginęły w mrocznym wnętrzu, skąpo oświetlonym przez słabą żarówkę samotnej lampki. Drewniane żaluzje na oknach były spuszczone. Wszystko zgadzało się z raportem ze wstępnego rozpoznania.

Stąpając bezgłośnie w butach na gumowej podeszwie, przeszedł przez salon i wąski korytarzyk i stanął przed wejściem do sypialni. Przekręcił porcelanową gałkę, pchnął ostrożnie drzwi i znów nasłuchiwał. Z wnętrza buchnął stęchły zaduch, woń mieszkania starego człowieka; ten, kto tu mieszkał, z pewnością nie sypiał przy otwartym oknie. Kalabryjczyk włączył latarkę i rozejrzał się po izbie. W przeciwieństwie do salonu umeblowanie było tu raczej spartańskie: solidne mosiężne łóżko, prosty drewniany krzyż na ścianie u wezglowia, szafka nocna, naga żarówka zwisająca z sufitu, umywalka z jednym kurkiem oraz dwa twarde krzesła:

na jednym dostrzegł starannie złożone ubranie, na drugim stertę akt. Podszedł bliżej i spojrzał na uśpioną, opatuloną kocem postać. Postawny mężczyzna o grubych, chłopskich rysach pracował tu od niedawna – zaledwie trzydzieści cztery dni – ale trasę swego codziennego obchodu wokół *palazzo* znał już na pamięć. Pograżony w głębokim, narkotycznym śnie, oddychał głośno i rytmicznie, a sterzące z nozdrzy włoski lekko falowały. Na nocnej szafce stał kubek z resztką mleka na dnie, a przy nim fotografia w srebrnej ramce. Zdjęcie przedstawiało biskupa, który błogosławi leżącego przed nim krzyżem młodego księdza. Starannie wykaligrafowane litery głosiły: „Per Albino Luciani, Venizia, 1933”. U dołu widniał zamaszysty podpis: „Ambrogio Ratti, Pius XI”. Obok leżały okulary, podniszczona Biblia z mnóstwem zakładek i oprawiony numerowany egzemplarz *Humani generis unitas* – nieopublikowanej encykliki Piusa XI, potępiającej rasizm i antysemityzm, która w dniu śmierci papieża w 1939 roku leżała na jego biurku, czekając na podpis.

Człowiek w habicie spojrzał na zegarek i wziął się do pracy. Opłukał w umywalce naczynie po mleku, wytarł je w suknię i odstawił dokładnie na to samo miejsce na nocnej szafce. Wyjął z kieszeni fiolkę z czystym mlekiem i wlał jej zawartość do kubka. Z latarką w zębach pochylił się nad uśpionym mężczyzną, odsunął kołdrę, przewrócił go na brzuch i podciągnął białą płócienną koszulę, żeby odsłonić żyłę pod kolanem. Ludzie, którzy zlecili mu tę robotę, zdobyli wyniki rutynowych badań lekarskich Albina Lucianiego, wykonanych zimą zeszłego roku: kolonoskopia wykazała żylaki prawej nogi, a pacjent odbył profilaktyczną kurację. Kalabryjczyk wyjął z kieszeni podręczną blaszaną apteczkę, postawił ją na brzegu łóżka i otworzył. Szło mu błyskawicznie – po wypadku na linie kilka lat pracował jako pielęgniarz. Na napęcznioną wyciągiem z ręcznika strzykawkę wprawnie założył cieniutką igłę lekarską, następnie fachowo wbił ją w żyłę

pod kolanem i wpuścił do krwi czteromililitrową dawkę płynu. Zapaść powinna nastąpić w ciągu paru minut, a po kilku godzinach trucizna się rozpuści, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Sekcja zwłok nic nie wykaże. Ostrożnie wyciągnąwszy niewiarygodnie cienką igłę, wytarł kropelkę krwi wilgotną gąbką i schylił się, żeby sprawdzić, czy po ukłuciu pozostał jakiś znak. Zauważył delikatne zaczerwienienie wielkości ziarnka piasku, ale to również powinno zniknąć do czasu, kiedy rano znajdą ciało. Zadowolony ze swego dzieła, przeszukał leżące na krześle dokumenty i wyjął teczkę, podpisaną antykwą: CHOŁSTOMIER. Podciągnął habit, wcisnął plik akt za pasek, a potem rozejrzał się, chcąc się upewnić, czy o czymś nie zapomniał.

Znalazłszy się z powrotem na korytarzu, zamknął za sobą drzwi. Gdy usłyszał trzask zamka, spojrzął na zegarek – za cztery minuty strażnicy wyjdą na obchód. Zbiegł po schodach i skręcił w boczną alejkę, prowadzącą do wejścia dla kupców. Oficer w cywilu już tam czekał. W odpowiedzi na jego nieme pytanie zakapturzony mężczyzna uśmiechnął się i oddał wytrych. Tamten odetchnął z ulgą. Operacja bez nazwy dobiegła końca. Uchylił niebieską furtkę na tyle, by Kalabryjczyk mógł się przez nią przecisnąć, i natychmiast zarygłował ją z powrotem.

Taksówka, z szeroko otwartymi drzwiami, czekała przy krawężniku. Zakapturzony mężczyzna usadowił się na tylnym siedzeniu. Powoli, palec za palcem, ściągał gumowe rękawiczki. Kierowca, młody Korsykanin ze złamanym, krzywo zrosniętym nosem, ruszył w dół opustoszałej o tej porze ulicy – najpierw ostrożnie, by nie zwrócić uwagi jakiegoś spóźnionego przechodnia, ale skręciwszy w szeroki bulwar, dodał gazu i pomknęli w kierunku Civitavecchia – rzymskiego portu na Morzu Tyrreńskim, oddalonego o trzydzieści pięć minut drogi od miasta. Tam, w składzie portowym, o rzut kamieniem od „Władimira Iljicza”, rosyjskiego

frachtowca, mającego wyruszyć z porannym odpływem, Kalabryjczyk spotkał się ze swoim zleceniodawcą – wysokim, chudym mężczyzną o strzępiastej, szpakowatej bródce i zamyślonych oczach, znanym jako Dziadek. Oddał mu wszystkie rekwizyty zbrodni: rękawiczki, drut, blaszaną apteczkę, kubek z resztkami zatrutego mleka, pustą fiolkę oraz teczkę z napisem CHOŁSTOMIER. Sam zaś wszedł w posiadanie torby, zawierającej królewską zapłatę – milion dolarów w używanych banknotach o różnych nominałach. Niezła stawka jak na piętnaście minut roboty.

Gdy pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo na wschodzie, a zbudzona z narkotycznego snu siostra Służebniczka Jezusa Ukrzyżowanego znalazła ciało Albina Lucianiego, który zmarł na zawał we własnym łóżku, Kalabryjczyk wsiadał na pokład małego kutra rybackiego, by szukać schronienia na spalonych słońcem plażach Palermo.

PRELUDIUM

ANATOMIA EKSFILTRACJI

- Ale ja nie chcę przebywać pośród obłąkanych – zauważyła Alicja.*
- Och, temu nie zaradzisz – powiedział Kot. – Wszyscy tu jesteśmy obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.*
- Skąd wiesz, że jestem obłąkana? – powiedziała Alicja.*
- Na pewno jesteś – powiedział Kot. – Inaczej nie znalazłabyś się tutaj.*

BERLIN, NIEDZIELA, 31 GRUDNIA 1950

Z gzymsu nad kominkiem dobiegało monotonne tykanie okaleczonego bawarskiego zegara z kukułką. Odmierzane urwaną wskazówką sekundy odbijały się echem od odrapanych ścian obskurnego pokoju. Czarnoksiężnik, z grymasem zastygłym na twarzy, ostrożnie wciągnął powietrze. Było przejmująco zimne i szczypało w nos.

– Kiedyś jakiś pieprzony grafoman opisze to, co tutaj robimy...

– Uwielbiam historie szpiegowskie – zachichotał Upadły Anioł, stając w drzwiach do sąsiedniego pokoju.

– Zrobią z tego melodramat – dodał Jack McAuliffe – albo zabawę w Indian i kowbojów. Zobaczycie, okaże się, że wymyśliliśmy to wszystko z nudów, bo nie mamy nic do roboty, a przecież trzeba się jakoś rozerwać.

– Też mi rozrywka! Szpiegowanie to żadna frajda – westchnął Upadły Anioł. – Robię w tym od lat, i co? Przed każdą akcją skręca mnie w brzuchu.

– Nie grzęznę w tym berlińskim błocie dla zabawy – odezwał się Czarnoksiężnik, uprzedzając pytanie, które teraz powinien zadać bystry uczeń. – Jestem tu, bo ci cholerni Goci siedzą nam na karku.

Opatulił się po uszy znoszonym szalikiem i zatupał brudnymi kowbojskimi buciorami w podłogę, żeby przywrócić krążenie w palcach stóp.

– Wyraziłem się jasno? Zapamiętajcie sobie! To nie jest pijacki bełkot. To gadka szychy z berlińskiej bazy. Ktoś przecież musi sterczeć na tych przeklętych barykadach.

Zaciągnął się rozmiękłym camelem i popił sporym łykiem swojej „zdrowotnej” whisky. Widząc spłoszone spojrzenie Jacka, wybełkotał:

– Golnąłem sobie... „Toksyczne ilości alkoholu”, tak napisali w moim raporcie sprawnościowym... A wszystko dlatego, że Goci wygrywają tę pieprzoną wojnę.

Harvey Torriti, alias Czarnoksiężnik, wstał, z hałasem odsunął krzesło i podszedł do jedyne go okna kryjówki, mieszczącej się w kilku wynajętych pokojach, dwa piętra nad kinem w centrum Berlina Wschodniego. W oddali zadudniły moździerze, a po chwili od strony niemieckich okopów dobiegła seria głuchych eksplozji. Tydzień temu kilka dziwek Torritiego oglądało sowiecki film wojenny. Młoda Ukrainka o tlenionych włosach mówiła, że kręcili go w Alma Acie – rozpoznała ośnieżone szczyty gór Ałatau, gdzie zjeżdżała na sankach, kiedy wywieziono ją do Azji Środkowej w czasie wojny. Czarnoksiężnik charknął, żeby odetkać zakatarzony nos, po czym dwoma grubymi palcami w rękawiczce rozchylił deszczułki zamaskowanych żaluzji i wyjrzał przez pokrytą zaskorupałym brudem szybę. Słońce chyliło się ku zachodowi. Musztardowa mgła, która napłynęła z nad polskich łąk, oddalonych o niespełna sto kilometrów na wschód, spowiła radziecki sektor Berlina widmową martwością, oblepiając kręte jelita brukowanych rynsztoków niby kozuch zgniłych wodorostów, cuchnących – wedle skojarzenia Torritiego – intrygą. Gdzieś w dole poderwało się stadko spłoszonych kawek i z chrapliwym krakaniem okrążyło wieżyczkę zrujnowanego kościoła, zamienionego w zrujnowany magazyn... Czarnoksiężnik, gorliwy wyznawca teorii przyczyny i skutku, daremnie czekał na echo wystrzału, który najwyraźniej uszedł jego uwagi. W wąskiej uliczce przed kinem Silwan I, znany jako Słodki Jezus, jeden z rumuńskich Cyganów najętych przez Torritiego w charakterze ochroniarzy, nasunąwszy na oczy czapkę z daszkiem, przechadzał się

w mdłym świetle gazowej latarni, ciągnąc na smyczy pekińczyka w kagańcu. Poza tym ulice „Zachodniej Moskwy” – jak nazywali tę część miasta pracownicy Firmy – sprawiały wrażenie zupełnie wyludnionych.

– Jeśli są tam jacyś *homo sapiens* świętujący Nowy Rok – mruknął ponuro Torriti – to z pewnością się z tym nie afiszują.

Cierpiący na łagodny przypadek tremy przed pierwszą prawdziwą akcją Jack McAuliffe, alias Uczeń Czarnoksiężnika, rzucił od drzwi ze starannie wystudiowaną nonszalancją:

– Ta cisza mnie wnerwia. W Stanach na sylwestra wszyscy trąbią.

Inny Cygan, Silwan II – przechrzczony na Upadłego Anioła przez Torritiego, któremu zdawało się, że w jego czarnych oczach przyczał się złowrogi cień, tak jakby Rumun próbował zapomnieć o jakichś swoich paskudnych sprawkach – wetknął głowę przez drzwi sąsiedniego pokoju. Patykowaty chłopak o twarzy popstrzonej bliznami po wietrznej ospie był kiedyś diakiem w cerkwi i chciał zostać popem, ale komuniści zamknęli seminarium, więc przeszedł na szpiegostwo.

– W Niemieckiej Republice Demokratycznej trąbienie jest niezgodne z prawem – pouczył Jacka swoją szkolną angielszczyzną. – W naszych kapitalistycznych Niemczech zresztą też.

Czarnoksiężnik przetaił rękawem zaparowaną szybę, odsłaniając widok na dachy i migoczące światłami okien wieżowce, które wznosiły się ponad mrocznym miastem niby wierzchołki gór lodowych.

– To nie jest kwestia niemieckiego prawa – wtrącił zaczepnie Torriti. – To kwestia niemieckiego charakteru.

Odszedł od okna, zataczając się tak gwałtownie, że omal nie stracił równowagi. Przytrzymał się krawędzi stołu i opadł ciężko na twarde, drewniane krzesło.

– Tak się składa, że jestem w tej pieprzonej Firmie specjalistą od niemieckiego charakteru – ciągnął, a jego głos przeszedł w wysoki, choć zaskakująco melodyjny falset. – Przesłuchiwałem obersturmführera SS z Oświęcimia, zanim powiesili sukinsyna za zbrodnie wojenne. Jak on się nazywał? Höss. Rudolf Höss. Skurwiel oświadczył, że nie mógł mordować pięciu tysięcy Żydów dziennie, bo pociągi przywoziły tylko dwa tysiące. Argument nie do odparcia! Na sali było szaro od dymu. Kopciliśmy nie gorzej niż obozowe kominy, a Herr Höss oddałby wszystko za jednego pieprzonego papierosa, więc poczęstowałem go moimi camelami. – Torriti zdusił gorzki śmiech. – I zgadnij, chłopie, co zrobił nasz drogi Rudi.

– No?

– Ostatniej nocy przed egzekucją w y r z u c i ł tego pieprzonego papierosa, bo był tam zakaz palenia. Teraz wiesz, co nazywam niemieckim charakterem.

– Lenin powiedział kiedyś, że jedyny sposób, aby zmusić Niemców do ataku na stację kolejową, to kupić im wejściówki na peron – odezwał się Upadły Anioł.

Jack zachichotał – ciut za nerwowo i ciut za głośno jak na gust Torritiego.

Czarnoksiężnik ubrany był w bezkształtne spodnie i długi do kostek, wymięty zielony szynel robotnika z Niemiec Wschodnich. Końce szerokiego, kwiecistego włoskiego krawata zatknął po wojskowemu za dwa guziki koszuli. Zlepione potem rzadkie włosy przylegały do lśniącej czaszki. Mierząc wzrokiem Ucznia, który podpierał przeciwległą ścianę pokoju, zastanawiał się, czy Jack sprawdzi się w akcji. On sam ledwo przebrnął przez prowincjonalny college, a potem zębami i pazurami walczył o każdy awans, by pod koniec wojny dochrapać się stopnia majora i idiotycznych złotych dębowych liści na wystrzępionym kołnierzyku

spłowiałej koszuli khaki. Nic dziwnego zatem, że z trudem tolerował waśniaków z Harvardu, Yale i Princeton, których ochrzcił mianem „chłopcy z HYP”. Uprzedzenie to wzrosło jeszcze, kiedy w ramach powojennych oszczędności zatrudniono go tymczasowo do prowadzenia przesłuchań w FBI (szybko zresztą stamtąd wyleciał, kiedy sam J. Edgar Hoover nakrył go na korytarzu, paradującego w obcisłych spodniach i z rozwiązanym krawatem, i z miejsca wyrzucił na zbity pysk). Do diabła! W Firmie nie pytali go o zdanie, kiedy werbowali studentów z łapanki w Lidze Bluszczu^[2], a on musi się teraz męczyć z takim błaznem jak Jack McAuliffe, zielonym do tego stopnia, że zapomniał ruszyć dupę, by przesłuchać dziwki Torritiego, kiedy Czarnoksiężnik tkwił beczynnie w domu, bo złapał trypra. A zresztą, czego się można spodziewać po absolwencie Yale z dyplomem z wiosłowania?

Przymrużywszy oko, Czarnoksiężnik z namaszczeniem napełnił musztardówkę przydziałową whisky z kantyny.

– Bez lodu to nie to... – wymamrotał, czknął i ostrożnie przytknął grube wargi do szkła. Czuł, jak paląca strużka alkoholu spływa mu w gardło. – Bez lodu, bez dzwonienia... Bez dzwonienia, *schlecht!* – Podniósł głowę i krzyknął do Jacka: – To jak myślisz, chłopie, o której?!

McAuliffe, chcąc zrobić dobre wrażenie, zerknął nonszalancko na zegarek marki „Bulova”, prezent od rodziców za dyplom w Yale.

– Powinien tu być już jakieś dwanaście... piętnaście minut temu – powiedział.

Czarnoksiężnik podrapał w zamyśleniu dwudniowy zarost na obwisłym podbródku. Nie golił się od czterdziestu dwóch godzin, odkąd do berlińskiej bazy wpłynęła depesza z adnotacją NATYCHMIAST. W nagłówku aż się roilo od wewnętrznych kodów i szyfrów, co oznaczało, iż nadeszła bezpośrednio z kontrwywiadu, od Matki. Opatrzona była

dopiskiem: KRYZYS – czyli że trzeba rzucić wszystko i zająć się wyłącznie tą sprawą – oraz, jak wszystkie depesze dotyczące zbiegów, zaszyfrowana jednym z polifonicznych systemów Matki, praktycznie nie do złamania, gdyż posługiwały się dwoma odrębnymi kodami w celu uzyskania wielu różnych substytutów dla każdej litery w tekście.

ŚCIŚLE TAJNE

UWAGA: POUFNE

ZAWIERA DANE WYWIADU

OD: HUGH ASHMEAD [wewnętrzny kryptonim Matki]

DO: ALICJA R. [wewnętrzny kryptonim Czarnoksiężnika]

TEMAT: Dostawa bekonu do domu

Dalej Torriti przeczytał, że ktoś podający się za wysoko postawionego sowieckiego oficera zaczął badać grunt, sugerując chęć współpracy. Informacje te trafiły do jednej z licznych szufladek w biurku Matki (Czarnoksiężnik wiedział z doświadczenia, że wszystko kiedyś ląduje na biurku Matki, ale to już inna sprawa). Depesza wymieniała domniemanego dezertera pod kryptonimem PRZEBIŚNIEG, poprzedzonym literami AE, co oznaczało, iż sprawą zajęła się Sekcja Rosji Sowieckiej. Następnie cytowała (*in extenso*) dotyczący Rosjanina dokument numer 201 z akt centralnego rejestru Firmy.

Wiszniewski, Konstantin: ur. 1898 a. 1899, w Kijowie; wcześniej stracił ojca – inżyniera chemika i członka partii; w wieku lat 17 został kadetem Akademii Wojskowej w Kijowie, którą ukończył po czterech latach jako oficer artylerii; studia podyplomowe w Oficerskiej Szkole Artyleryjskiej w Odessie; na początku II wojny światowej oddelegowany do wywiadu wojskowego; prawdopodobnie członek KPZR; żonaty, jeden syn (ur. 1940); po wojnie przeniesiony do Komitetu

Bezpieczeństwa Państwowego (KGB)^[3]; po ukończeniu rocznego kursu kontrwywiadu w Wyższej Szkole Wywiadu skierowany do Brześcia Litewskiego na okres czterech miesięcy; przez rok uczęszczał do Instytutu Dyplomacji KGB w Moskwie; skierowany do centrali, gdzie przez sześć miesięcy pracował jako analityk w sekcji amerykańskiej Wydziału Informacji KGB; w okresie od lata 1948 do stycznia 1950 w Sztokholmie, prawdopodobnie wywiad wojskowy; kolejna funkcja nieznana. Brak danych w odniesieniu do antyradzieckich poglądów. Wniosek: słaby kandydat do rekrutacji.

Jak zawsze chroniąc swoje źródła z matczyną troską, Matka bardzo dbał, żeby się nie wydało, skąd pochodzi ta poufna informacja, lecz Czarnoksiężnik domyślił się tego bez trudu, gdy berlińska baza zwróciła się do Niemców – „naszych” Niemców, czyli Sud-Deutsche Industrie-Verwertungs GmbH Reinharda Gehlena, pracujących w tajnej siedzibie na przedmieściach Monachium, w Pullah – o rutynowe sprawdzenie danych osobowych i przeszłości trzynastu oficerów KGB, stacjonujących w sowieckiej enklawie Karlshorst w Berlinie Wschodnim. Ludzie Gehlena, zawsze gotowi zadowolić swoich amerykańskich przełożonych, niezwłocznie dostarczyli obszerny rejestr przesłuchań na żądany temat. W raporcie tym znalazł się pewien szczegół, pominięty w dokumencie numer 201: AE/PRZEBIŚNIEG miał prawdopodobnie matkę Żydówkę. To z kolei naprowadziło Czarnoksiężnika na trop izraelski. Przypuszczał, że Matka dostał cynk od agenta Mosadu, znanego w Berlinie Zachodnim jako Rabbi – w dziewięciu przypadkach na dziesięć wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu dotyczyło Żydów, przechodziło przez ręce Rabbiego (Izraelczycy prowadzili oczywiście własną grę, ale zależało im na zebraniu jak największej liczby punktów w Waszyngtonie, wiedzieli bowiem, iż nadejdzie chwila, kiedy sami będą potrzebowali pomocy). Zdaniem Matki domniemany dezertor chciał wyemigrować do Ameryki

z żoną i dzieckiem. Czarnoksiężnik – w określonym dniu i o określonej godzinie – miał się z nim spotkać w kryjówce o nazwie MARLBOROUGH, ustalić jego autentyczność, aby wykluczyć możliwość, że jest to, jak ich Matka nazywał, „zbuk” – specjalnie wysłany na Zachód agent KGB, z teczką wypchaną fałszywymi informacjami – i przycisnąć go, żeby się dowiedzieć, co ma do zaoferowania w zamian za uzyskanie azylu politycznego. Potem Czarnoksiężnik miał się zameldować z powrotem u Matki, po dalsze instrukcje.

W sąsiednim pokoju radio Upadłego Anioła głośnymi trzaskami obwieściło, że wraca do życia. Przedzierając się przez zakłócenia, spłynęły słowa hasła: *Morgenstunde hat Gold im Mund* („Poranna godzina ma złoto na ustach”). Jack wyteżył słuch. Silwan II znowu stanął w drzwiach.

– Idzie tu – wysyczał i przeżegnał się pospiesznie, cmokając w paznokiec kciuka.

Jedna z obserwatorek Torritiego, siwiutka jak gołąbek Niemka, siedziała w ostatnim rzędzie sali kinowej. Nagle spostrzegła ciemną sylwetkę mężczyzny wślizgującego się ukradkiem do toalety. Niezwłocznie wymamrotała tę wiadomość do małego radyjka na baterie, ukrytego w torbie z robótką ręczną.

W toalecie Rosjanin otworzył drzwi szafy na szczotki. Odsunął w kąt miotły i ścierki i nacisnąwszy ukrytą w tylnej ścianie dźwignię, uruchomił mechanizm, który odsłonił śmiesznie wąskie schodki, prowadzące na ostatnie piętro, do kryjówki.

Czarnoksiężnik otrzeźwiał momentalnie. Dał znak czuwającemu w sąsiednim pokoju Silwanowi II, pochylił się nad grzbietem książki *Bóg i człowiek w Yale – przesąd akademickiej wolności* i wyszeptał:

– Próba mikrofonu: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Silwan uniósł w górę oba kciuki i wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Jack czuł, że tętno rozsadza mu skronie. Stanął w kącie przy wejściu, oparł się o ścianę, z kabury na szelkach wyciągnął walthera PPK, odbezpieczył go i schował pod płaszczem. Widok bujającego się na krześle Czarnoksiężnika, z wyrazem ironicznego podziwu na twarzy, odebrał mu resztki odwagi.

– Ładna sztuczka – rzucił Torriti z kamienną miną, a jego maleńkie jak paciorki oczka błysnęły szyderczo. – Schowałeś spluwę, żeby przypadkiem nie wystraszyć sukinsyna, zanim poda nam nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny.

Torriti też miał przy sobie broń: rewolwer z rękojeścią z masy perłowej, ukryty pod spoconą pachą, i szpanerski detective special kalibru 38, zakryty nogawką spodni, ale z zasady nie sięgał po broń, chyba że nie było innego wyjścia – i wtedy zawsze pociągał za spust. Tego McAuliffe się jeszcze nauczył, jak pokręci się w berlińskiej bazie wystarczająco długo: na widok spluwy nerwowi ludzie z branży robią się jeszcze bardziej nerwowi – tym bardziej, im większe jest prawdopodobieństwo, że mogą jej użyć i naprawdę kogoś zastrzelić, co jest raczej niemiłym finałem akcji.

Przyznać trzeba, że szkolenie prawiczków dawało Torritiemu wiele satysfakcji. Swoją fach traktował jak powołanie – mówiło się, że Czarnoksiężnik umie wmieszać się w tłum nawet tam, gdzie nie ma żadnego tłumy – i czerpał niekłamana przyjemność z bojowego chrztu swoich uczniów. Czuł zresztą, że McAuliffe – z tymi swoimi ciemnymi lotniczymi raybanami, ognistorudą, zaczesaną do tyłu czupryną z grzecznym przedziałkiem pośrodku, zawadiackim, kozackim wąsem i nieskazitelnymi manierami, skrywającymi niewyczerpane pokłady agresji – o niebo przewyższa zwykłe mięso armatnie, jakie ostatnio przysyłał im Waszyngton, i chociaż niedouczone, jak wszyscy z Yale, może jeszcze

wyjść na ludzi. Poza tym było w nim coś komicznie irlandzkiego: potomek niezwycięzonego mistrza świata wagi lekkiej w walce na gołe pięści; wyznawca maksymy „raz kozie śmierć”; łajdak z zasadami, który nie schodzi z ringu tylko dlatego, że zabrzmiał gong, a leżąc na deskach, śmieje ci się w twarz; katolik hipokryta, który przy śniadaniu deklaruje przyjaźń do grobowej deski, by przy poobiedniej herbatce posłać cię do diabła.

Jack, speszony, wsunął walthera do kabury.

Czarnoksiężnik popukał się w czoło.

– Wbij to sobie do głowy, że my jesteśmy te dobre chłopaki.

– Wiem, kto jest dobry. Inaczej by mnie tutaj nie było.

W korytarzu, tuż za drzwiami, skrzypnęła podłoga. Ktoś zastukał energicznie. Torriti przymknął oczy i kiwnął głową. McAuliffe otworzył.

W progu stał niski, mocno zbudowany mężczyzna o krótko ostrzyżonych, czarnych jak smoła włosach, szerokiej, słowiańskiej twarzy, jakby ulanej z topionego wosku. Wyraźnie zdenerwowany, rzucił szybkie spojrzenie na Jacka. Potem jego wąskie, azjatyckie oczy zwróciły się w kierunku nieruchomej postaci przy małym stoliku, pogrążonej w medytacji niczym Budda. Nagle Czarnoksiężnik ocknął się, zasalutował żwawo i wskazał gościowi wolne krzesło. Rosjanin podszedł do okna i spojrzał w dół, na ulicę, gdzie jakiś dychawiczny samochód z silnikiem kaszlącym jak stary gruzlik, cud enerdowskiej motoryzacji, przetoczył się koło kina i zniknął za rogiem. Podniesiony na duchu brakiem jakichkolwiek oznak życia na zewnątrz budynku, Rosjanin przeszedł się po pokoju: obmacał tafle pękniętego lustra, nacisnął klamkę u drzwi do sąsiedniego pokoju i zakończył obchód przy zegarze z kukułką.

– Gdzie są wskazówki? – zapytał.

– Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Berlina – odpowiedział Czarnoksiężnik – a było to tydzień po zakończeniu wojny, którą wy, z właściwym sobie poczuciem humoru, nazwaliście wielką wojną ojczyźnianą, cały Ring zapchany był wozami, ciągniętymi przez wymizerowane szkapy. Wychudzone niemieckie dzieciaki gapiły się na nie, zajadając ciastka z żółędzi. Konie prowadzili rosyjscy żołnierze, a na wozach piętrzyły się łupy: łoża z baldachimem, toaletki, grzejniki, krany, zlewy i kuchenki, wszystko, co dało się wynieść albo odkręcić. Pamiętam, jak zabierali sofę z willi Göringa... Nic nie było dla nich za duże czy za małe. Założę się, że wskazówka naszego zegara odjechała na jednym z tamtych wozów.

Na ustach Rosjanina pojawił się cierpki uśmiezek.

– Sam prowadziłem jeden z tych wozów – powiedział. – Służyłem w piechocie jako oficer wywiadu. Przeszedłem cały szlak bojowy, od przedmieść Moskwy po gruzy Reichstagu na Tiergarten. Po drodze mijaliśmy setki naszych wiosek, zrównanych z ziemią przez uciekających nazistów. Grzebaliśmy okaleczone ciała partyzantów, kobiet i dzieci spalonych na węgiel. Na początku wojny mój batalion liczył tysiąc dwustu ludzi. Do Berlina dotarło czterdziestu dwóch. Wskazówki pańskiego zegara z kukułką, panie agencie amerykańskiego centralnego wywiadu, są tylko drobną rekompensatą za krzywdy, jakie wyrządzili nam Niemcy.

Przesunął krzesło, żeby widzieć jednocześnie i Jacka, i Czarnoksiężnika. Torriti gestem podbródka wskazał na butelkę whisky i mrugnął znacząco. Rosjanin, od którego zalatywało lichą wodą kolońską, potrząsnął odmownie głową.

– Dobrze. Przejdźmy do konkretów. Powiedziano mi, że mam oczekiwać kogoś o nazwisku Konstantin Wiszniewski.

– Ja jestem Wiszniewski.

– Dziwne... Na liście berlińskiego KGB nie ma nikogo o takim nazwisku.

– Figuruje tam jako Wołkow. Czy mogę spytać o pańską godność?

Czarnoksiężnik był teraz w swoim żywiole, wprost nie posiadał się z radości.

– Tweedledum. Nazywam się Tweedledum.

– Tweedledum... i co dalej?

– Po prostu Tweedledum. – Torriti wycelował palcem w Rosjanina. – Widzisz, przyjacielu... Zapewne nie jesteś nowy w tej grze. Znasz zasady.

Jack oparł się o ścianę przy drzwiach i czujnym wzrokiem śledził każdy ruch Wiszniewskiego, który powoli odpiął guziki płaszcza, wyciągnął pogiętą blaszaną papierośnicę i długo obracał w palcach długiego, cienkiego papierosa z tekturową gilzą. Z drugiej kieszeni wyjął zapalniczkę Amerykańskich Sił Powietrznych. Trzęsącymi się rękami skrzesał ogień, a kiedy pochylił się nad zapalniczką, papieros drżał mu w ustach. Zaciągnął się głęboko, a wyraz napięcia z wolna ustępował z jego twarzy. Pokój wypełnił się smrodem machorki, którą rosyjscy oficerowie palili w zatłoczonych kabaretach przy Kurfürstendamm.

– Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie – powiedział Wiszniewski. – Czy jest tutaj mikrofon? Nagrywacie naszą rozmowę?

Czarnoksiężnik wyczuł, że od jego odpowiedzi wiele zależy. Postanowił iść na całość. Spojrzał na Rosjanina i nawet nie mrugnawszy okiem, oświadczył z rozbrajającą szczerością:

– Nagrywam... nagrywamy. Tak.

Wiszniewski odetchnął z ulgą.

– To zrozumiałe. W pańskiej sytuacji zrobiłbym to samo. Gdybyście powiedzieli, że nie nagrywacie, wstałbym i wyszedł. Zdrada to taniec na linie bez asekuracji. Moje życie jest w waszych rękach, panie Tweedle...

czy jak się pan tam nazywa. Muszę wam zaufać. – Zaciągnął się i wypuścił dym nosem. – W KGB mam stopień podpułkownika.

Czarnoksiężnik przyjął to do wiadomości krótkim skinieniem głowy. Zapadła martwa cisza. Rosjanin w skupieniu palił papierosa. Torriti nie próbował przerwać milczenia. Bywał w podobnych sytuacjach więcej razy, niż mógł spamiętać. Wiedział, że przede wszystkim powinien ustalić plan działania, narzucić tempo, zaskoczyć przeciwnika, a zwłaszcza dać mu delikatnie do zrozumienia, kto tu rządzi. Jeżeli zdrada ma dojść do skutku, sam będzie dyktował warunki.

– Na liście figuruję jako attaché kulturalny. Działam pod przykrywką paszportu dyplomatycznego – dodał Rosjanin.

Czarnoksiężnik wyciągnął rękę i wierzchem dłoni w rękawiczce pogłaskał butelkę whisky.

– Dobrze... – odezwał się wreszcie. – Powiedzmy, że jestem rybakiem, który łowi na mieliźnie u pruskiego wybrzeża. Kiedy czuję, że coś wpadło w sieci, sprawdzam, co się złapało. Płatki wyrzucam, bo mam ściśle instrukcje zatrzymywać tylko grube ryby. Czy jesteście grubą rybą, towarzyszu Wiszniewski?

Rosjanin poruszył się na krześle.

– Jestem zastępcą szefa Pierwszego Zarządu Głównego bazy w Karlshorst.

Czarnoksiężnik wyjął z wewnętrznej kieszonki niewielki notes i kartkował go, póki nie natrafił na stronę zapisaną drobnym maczkiem, w sycylijskim dialekcie. Regularnie przesłuchiwał siostrę sprzątaczkę z hotelu, w którym zatrzymywali się oficerowie z moskiewskiej centrali KGB podczas wizyt w Berlinie.

– Dwudziestego drugiego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku księgi rachunkowe Karlshorst zostały sprawdzone przez audytora z Komisji Kontroli KC. Jak się nazywał?

– Jewpraksin, Fiodor Jeremiejewicz. Oddano mu do dyspozycji mój gabinet. Siedział przy sąsiednim biurku.

Czarnoksiężnik uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: dobra, pracujesz w Karlshorst... ale będziesz się musiał mocno postarać, by nas przekonać, że jesteś naprawdę grubą rybą.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – spytał nagle Torriti.

Dezenter odchrząknął.

– Jestem gotów wyjechać na stałe do USA – oświadczył – ale pod warunkiem, że będę mógł zabrać ze sobą żonę i dziecko.

– Jaki jest powód pańskiej decyzji?

– Czy moja odpowiedź coś zmieni?

– Proszę mi zaufać. Może zmienić wszystko. A więc dlaczego?

– Moja kariera dobiega końca. Jestem – nie mógł znaleźć angielskiego słowa, więc przeszedł na niemiecki – *desillusioniert* systemem. Nie chodzi mi o komunizm, chodzi o KGB. Tutejszy rezydent próbował uwieść moją żonę. Rozmawiałem z nim w cztery oczy. Powiedziałem mu, że wiem. Wyparł się wszystkiego, oskarżył mnie o szantaż, że niby to chciałem wymusić na nim pochlebny opinię w rocznym raporcie. W Moskwie uwierzyli jemu, nie mnie. Już nigdy nigdzie nie wyjadę. Mam pięćdziesiąt dwa lata... Odstawią mnie na boczny tor jak starą szkapę. Resztę życia spędzę w Kazachstanie, przepisując na maszynie w trzech kopiach raporty informatorów. Marzyło mi się coś lepszego... To moja ostatnia szansa na nowe życie. Nie chcę jej zmarnować... Robię to dla siebie, dla żony, dla dziecka...

– Czy wasz rezydent wie, że jest pan w połowie Żydem?

Wiszniewski zachnął się gwałtownie.

– Skąd pan... – zaczął i dodał zrezygnowany: – Wywęszył to... a raczej tam w Moskwie wywęszyli... W zeszłym roku, latem, umarła moja matka. Przed śmiercią spisała ostatnią wolę. Prosiła, żeby pochować ją na żydowskim cmentarzu w Kijowie. Próbowałem ukryć testament, zanim powędrował do akt, ale...

– Pańska obawa przed odstawieniem na boczny tor wynika z tego, że w centrali dowiedzieli się o żydowskim pochodzeniu... czy może raczej ze sprzeczki z berlińskim rezydentem?

Rosjanin, wyraźnie zmęczony, wzruszył ramionami.

– Już mówiłem, co o tym myślę.

– Czy żona wie, że pan się z nami skontaktował?

– Powiem jej w swoim czasie.

– Jest pan pewien, że zechce wyjechać?

Wiszniewski zastanawiał się przez chwilę.

– Znam ją. Są rzeczy, o które mąż nie musi pytać...

Sapiąc z wysiłku, Czarnoksiężnik wstał z krzesła i obszedł stół dookoła. Oparłszy się rękoma o blat, spojrzał z góry na Rosjanina.

– Gdybyśmy sprowadzili pana i pańską rodzinę, powiedzmy, na Florydę, chcielibyśmy wydać przyjęcie na waszą cześć. – Torriti wykrzywił twarz w niemiłym uśmiechu. – My, w Ameryce, uważamy, że nie wypada zjawiać się na przyjęciu z pustymi rękami. Jeżeli mam przekonać moich przełożonych, żeby zgodzili się panu pomóc, muszę usłyszeć, co pan dla nas ma, towarzyszu Wiszniewski.

Rosjanin zerknął na zegar nad kominkiem, a potem przeniósł wzrok na Torritiego.

– Zanim wysłano mnie do Berlina, ponad dwa lata stacjonowałem w Sztokholmie. Mogę wam dać nazwiska agentów, adresy kryjówek...

– Bardzo trudno jest eksfiltrować troje ludzi z Niemiec Wschodnich.

– Mogę jeszcze dostarczyć schemat organizacyjny rezydentury KGB z Karlshorst w Berlinie.

Jack spostrzegł, że oczy Czarnoksiężnika zaszły mgłą obojętności. Postanowił zapamiętać tę sztuczkę, by włączyć ją do swego repertuaru. Rosjanin chyba też to zauważył, bo nagle wyrecytował jednym tchem:

– KGB działa pod przykrywką tak zwanej Inspekcji po Woprosam Biezopasnosti. Po waszemu: Inspektorat do spraw Bezpieczeństwa. Inspekcja mieści się w Szpitalu Świętego Antoniego i zatrudnia sześciuset trzydziestu pełnoetatowych pracowników. Rezydent, generał Iljiczew, pracuje jako doradca przy Radzieckiej Komisji Kontroli. Jego zastępcą jest Oskar Ugor-Mołody. Na liście figuruje jako szef działu wiz. Generał Iljiczew pracuje nad utworzeniem w łonie Pierwszego Zarządu Głównego w Karlshorst specjalnej placówki do spraw uchodźców. Nowa jednostka będzie funkcjonowała pod nazwą „Zarząd S” i zajmie się szkoleniem agentów i dostarczaniem dokumentów dla nielegalów, wysyłanych na Zachód przez KGB w ramach programu „Westwork”.

Powieki Czarnoksiężnika opadły ciężko, wydawał się niezmiernie znudzony.

Rosjanin rzucił niedopałek na ziemię i zgniótł go obcasem.

– Dam wam mikrofony... sygnały telefoniczne... punkty podsłuchu...

Torriti zerknął na Jacka z wyraźnym rozczarowaniem. Pod oknami karabiny maszynowe ciężkiego kalibru wypluwały kule, zupełnie jak wtedy, kiedy Rosjanie szturmowali czołgi Guderiana w okopach wzdłuż granicy na Odrze i Nysie.

– To będzie wymagało od nas sporego wysiłku... ściągnąć oficera KGB, zakładając, że nim jesteś, wraz z żoną i dzieckiem do Berlina Zachodniego, a później przerzucić ich dalej na Zachód. Wielu ludzi zaryzykuje własne życie. Taka akcja kosztuje mnóstwo pieniędzy. Zbiega należy otoczyć opieką, bardzo troskliwą opieką... Potrzebna mu nowa tożsamość, konto w banku, miesięczne stypendium, dom na spokojnej ulicy w jakimś prowincjonalnym mieście, samochód... – Czarnoksiężnik wepchnął notes z powrotem do kieszeni. – Jeżeli to wszystko, co masz nam do zaoferowania, przyjacielu, to obawiam się, że obaj tracimy czas. Podobno w Berlinie jest siedem tysięcy szpiegów, którzy chętnie zapłacą za to, co nasi niemieccy przyjaciele nazywają *Spielmaterial*. Potarguj się z nimi. Może Francuzi albo Izrael...

Chłonąc każde jego słowo, Jack pojął, że Torriti jest mistrzem w szpiegowskiej grze.

Rosjanin ściszył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

– Przez ostatnie kilka miesięcy byłem łącznikiem KGB ze służbami nowo powstałego wywiadu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zakładają biuro w dawnej szkole, w dzielnicy Pankow w Berlinie Wschodnim, to tuż obok zamkniętego rządowego osiedla. Nowe służby wywiadu, część Ministerium für Staatssicherheit, działają pod przykrywką Institut für Wirtschaftswissenschaftliche Forschung – Instytutu Badań Naukowych i Ekonomicznych. Mogę wam dostarczyć ich schemat organizacyjny, z najdrobniejszymi szczegółami. Szefem jest Anton Ackermann, ale zastępca już się podobno szkoli, żeby zająć jego miejsce. Nazywa się Marcus Wolf, niedawno skończył dwadzieścia osiem lat. Pewnie macie go na zdjęciach... To on w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym relacjonował procesy norymberskie dla rozgłośni Berliner Rundfunk.

Jack, który przez ostatnie sześć tygodni, odkąd przerzucono go do Niemiec, systematycznie studiował archiwa berlińskiej bazy, wtrącił beznamiętnym tonem, mając nadzieję, że Rosjanin dosłyszysz znużenie w jego głosie:

– Wolf całą wojnę spędził w Moskwie, mówi płynnie po rosyjsku. W Karlshorst wszyscy nazywają go Misza.

Wiszniewski sypał dalej. Śpiewał jak z nut nazwiska, daty i miejsca, chcąc zrobić wrażenie na Torritim.

– Zarząd Główny zaczynał z ośmioma niemieckimi i czterema radzieckimi doradcami, ale dynamicznie się rozwija. W jego strukturach powstał mały, niezależny oddział pod nazwą Abwehr, po waszemu – kontrwywiad. Ma na celu monitorowanie i penetrację zachodniemieckich służb bezpieczeństwa. Agenci z Abwehr planują użycie przechwyconych archiwów nazistowskich w celu szantażowania ludzi, którzy piastują na Zachodzie wysokie stanowiska, a zataili swoją hitlerowską przeszłość. Pierwsze miejsce na liście zajmuje Hans Filbinger, polityk z Badenii-Wirtembergii, który jako nazistowski sędzia ferował wyroki śmierci na żołnierzach i cywilach. Twórcą programu „Westwork” jest obecny szef Zarządu Głównego, Richard Stahlmann...

Jack znowu wtrącił:

– Stahlmann to w rzeczywistości Artur Illner. Był członkiem Niemieckiej Partii Komunistycznej od początku pierwszej wojny światowej. Działał pod przybranym nazwiskiem tak długo, że nawet żona mówi o nim Stahlmann.

Czarnoksiężnik, zadowolony, że Jack potrafi włączyć się do gry, nagroził swego ucznia nieznacznym uśmiechem.

Zbity z tropu, Rosjanin wyciągnął z kieszeni spodni wielką chustkę do nosa i wytarł spocony kark.

– Mogę wam dać... – zaczął i zawahał się.

Miał zamiar oszczędnie gospodarować swoją wiedzą: więcej informacji, lepsza opieka... Najsmakowitsze kąski chciał zachować na koniec, kiedy będzie już bezpieczny na Zachodzie, żeby potem wytargować od gospodarzy hojny pakiet zasiedleńczy. Kiedy odezwał się ponownie, mówił tak cicho, że z trudem słyszeli jego słowa.

– Mogę ujawnić tożsamość radzieckiego agenta w brytyjskich służbach wywiadowczych. To ktoś na samym szczycie MI6...

Jackowi, który czujnie śledził każdy gest swego mistrza, zdawało się, że Czarnoksiężnik drgnął.

– Znasz jego nazwisko? – spytał obojętnie Torriti.

– Mam dane, które pozwolą wam ustalić jego tożsamość.

– Na przykład?

– Dokładną datę jego przesłuchania w Sztokholmie latem zeszłego roku. Przybliżoną datę przesłuchania w Zurychu zeszłej zimy. Dwie spalone operacje, które za jego sprawą nie doszły do skutku: jedna dotyczyła agenta, druga podsłuchu. Mając to wszystko, nawet dziecko potrafiłoby go zidentyfikować.

– Jak pan zdobył te informacje?

– Kiedy w lutym służyłem w Sztokholmie, przyjechał tam oficer KGB z moskiewskiej centrali. Podróżował jako dziennikarz sportowy piszący dla „Prawdy”. Często bywał w Szwecji. Tym razem miał nawiązać ściśle tajny, jednorazowy kontakt: przesłuchiwał Szweda, który wcześniej przesłuchiwał brytyjskiego kreta. Ten oficer to mój szwagier. Przyszedł do nas kiedyś na kolację, wypił morze szwedzkiej wódki i zaczął się popisywać. Pewnie chciał mi zaimponować, bo przechwalał się swoją misją.

– Nazwisko?

– Żytkin, Markieł Siergiejewicz.

– Chciałbym panu pomóc, ale muszę mieć coś więcej, żeby to rozgryźć...

Rosjanin przez chwilę cierpiał katusze.

– Dam wam namiary na mikrofon, który zamilkł.

Czarnoksiężnik wrócił na swoje krzesło, otworzył notes, zdjął skuwkę z długopisu i spojrzał na Rosjanina, tym razem bez cienia uśmiechu.

– W porządku. Przejdźmy do konkretów.

Odręcznie wykonany napis, przybity do opancerzonych drzwi sanktuarium Czarnoksiężnika w berlińskiej bazie (dwa poziomy poniżej parteru ceglanego budynku przy cichej, zadrzewionej uliczce na ekskluzywnych przedmieściach Berlina – Dahlem), głosił ewangelię według Torritiego: „Terytorium, chłopie, trzeba bronić na granicy”. Na stołku pod drzwiami siedział Strażnik Wrót Czarnoksiężnika, Silwan II, z oczami czerwonymi z przepicia. Spod jego wyszywanej tyrolskiej kurteczki wystawała przekrzywiona kabura, dyndająca na rozpiętych szelkach. Obok stała blaszanka z bimbrem. Z biura dobiegały trzeszczące dźwięki płyty, ryczącej siedemdziesiąt osiem obrotów na minutę arię w wykonaniu Björlinga – to Czarnoksiężnik, który sam siebie nazywał dyplomowanym paranoikiem walczącym z rzeczywistymi wrogami, znów w obawie przed podsłuchem włączył victrolę na cały regulator. Największa szuflada jego biurka wypchana była po brzegi bronią i magazynkami pełnymi nabojów. Ściany zastawił półkami, uginającymi się od karabinów i pistoletów maszynowych, które „wyswobodził” przez lata służby. Każdego z trzech ogromnych biurowych sejfów strzegła okrągła, pomalowana na czerwono bomba termitowa, żeby Rosjanie – oddaleni o strzał z moździerza – nie dobrali się do akt, gdyby przyszło im do głowy zabawić się w inwazję.

Zgięty w chiński paragraf nad swoim zeszytem, Czarnoksiężnik kończył nocny raport dla Waszyngtonu. Jack, który właśnie wrócił z krematorium, niosąc pustą torbę po spalonych dokumentach, usadowił się na kanapie pod półkami z bronią. Torriti, z przewrotnym błyskiem w oku, przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

– Co o nim myślisz, chłopie?! – ryknął, przekrzykując muzykę, i zamieszał wyciorem lód w szklance whisky.

– Nie podoba mi się! – odwrzasnął Jack. – Wił się jak piskorz, kiedy przepuszczałeś go przez wyżymaczkę. Chrząkał, mamrotał, plątał się w zeznaniach. Na przykład, jak mu kazałeś opisać ulicę, na której mieszkał w Brześciu Litewskim. Albo kiedy spytałeś o nazwiska instruktorów w Instytucie Dyplomacji KGB w Moskwie.

– Gdzie się wychowałeś, chłopie?

– W zaścianku o nazwie Jonestown, w Pensylwanii. Chodziłem do szkoły średniej w pobliskim Lebanon.

– A potem, za jakieś marne trzy tysiące dolarów, w każdym razie więcej, niż wyciąga moja sekretarka, odebrałeś, jak mawiają ciemne masy *hoi polloi*, staranne wykształcenie na Uniwersytecie Yale.

Jack podkręcił kozackiego wąsa.

– Nie mówi się „masy *hoi polloi*”, bo zwrot ów, pochodzący z greki, sam w sobie zawiera już liczbę mnogą, implikując... – przerwał na widok udawanego cierpienia, malującego się w oczach Czarnoksiężnika.

– Daruj sobie ten wykład i nie pieprz, bo mnie nudzisz. Opisz mi ulicę, przy której stała twoja szkoła.

– Ulicę, przy której stała moja... Dobrze. Pamiętam, że rosło tam sporo drzew, tak mi się przynajmniej wydaje... Przybijaliśmy do nich niecenzuralne wierszyki.

– Jakie drzewa? Jaka ulica? Jedno- czy dwukierunkowa? Na rogu były światła czy znak stopu? A zakaz parkowania? Co było naprzeciwko szkoły, po drugiej stronie ulicy?

Jack w skupieniu popatrzył na sufit.

– Naprzeciwko stały domy. Chociaż nie, to raczej w Jonestown... W Lebanon po drugiej stronie był plac zabaw. A może na tyłach szkoły...? Ulica... – Jack wykrzywił twarz w uśmiechu. – Chyba wiem, do czego zmierzasz, Harveyu.

Torriti pociągnął whisky ze szklanki.

– Załóżmy na użytek tej dyskusji, że Wiszniewski miał za zadanie wprowadzić nas w błąd. Gdyby tak było, sypałby szczegółami jak z rękawa. Wyrecytowałby nam bezbłędnie, rozdział po rozdziale i wers po wersji, legendę swego życia, a on jękał się i dukał, jakby wszystko zmyślał.

– Skąd wiesz, że Rosjanie nie są o krok przed nami? A jeśli to jękanie i dukanie też jest zaprogramowane?

– Rosjanie, bracie, może i są cwani, ale brak im finezji... A poza tym nos mnie nie swędziało. Zawsze mnie swędzi, kiedy wietrzy jakiś podstęp.

– Kupiłeś tę historyjkę o rezydencie, który poderwał mu żonę?

– No cóż, po obu stronach żelaznej kurtyny ci na górze mieszkają swoje przywileje. Pomyśl, chłopie, co z tego, że byłbyś główną szycią w Karlshorst, gdybyś nie mógł się przystawiać do żon swoich podwładnych, zwłaszcza jeśli temu podwładnemu pali się grunt pod nogami, bo ukrywa fakt, że jest na wpół Żydem? Posłuchaj mnie uważnie... Sowieccy zdrajcy, którzy się do nas zgłaszają, na ogół mówią to, co myślą, że chcemy usłyszeć: plotą, że rozczarowali się komunizmem, że się duszą z braku wolności, że zrozumieli, że wujaszek Stalin jest tyranem, i tym podobne bajki.

– To co napiszesz do Waszyngtonu? Że nos cię nie swędziało?

– Napiszę, że jest siedemdziesiąt procent szans na to, że Wiszniewski faktycznie wie, kim jest ten pieprzony drań, czyli że powinniśmy go eksfiltrować. Piszę, że za czterdzieści osiem godzin wszystko będzie gotowe do akcji. Piszę, że trzeba sprawdzić tę historyjkę o wtyczce w MI6, bo jeżeli naprawdę mają tam kreta, to wpadliśmy w gówno i siedzimy w nim po szyję razem z naszymi drogimi kuzynami, co oznacza, że tajne informacje lądują za sprawą Angoli w Moskwie, na biurku jakiegoś wesołka z KGB. I przypominam tym z Waszyngtonu, na wypadek gdyby zaczęli robić w majtki, że nawet jeśli zbieg jest czarnym agentem, to i tak warto go do nas ściągnąć.

– Nie nadążam za tobą, Harveyu.

Czarnoksiężnik walnął pięścią w brzeczyk na konsoli telefonu. W drzwiach pojawiła się jego Nocna Mara, panna Sipp, trzydziestokilkuletnia brunetka o sennych oczach, którymi mrugała bardzo rzadko i bardzo ospale. Panna Sipp stała się czymś na kształt legendy berlińskiej bazy od dnia, kiedy to omal nie padła trupem na widok swego szefa, prezentującego nagi tors ozdobiony blizną po szrapnelu, który pozbawił głowy roznegliżowaną damę, wytatuowaną na ramieniu. Traktowała odtąd Torritiego, jakby cierpiał na jakąś zaraźliwą chorobę weneryczną: wstrzymywała w jego obecności oddech, a czas spędzany w gabinecie ograniczała do niezbędnego minimum. Czarnoksiężnik pchnął ku niej bloczek z przygotowaną notatką i listem.

– Szczęśliwego Nowego Roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego, panno Sipp! Czy poczyniła pani jakieś noworoczne postanowienia?

– Obiecałam sobie, że za rok o tej porze nie będę już dla pana pracować
– odparowała cios.

Czarnoksiężnik radośnie pokiwał głową; cenił ostry język u kobiet.

– Zrób coś dla mnie, kochanie. Zanieś to chłopakom z łączności. Powiedz Meechowi, żeby zaszyfrowali na jednorazowym bloczku. Niech to wyślą do Waszyngtonu. Stopień pilności: NATYCHMIAST. Zaszyfrowany tekst odłóż do torby z rzeczami przeznaczonymi do spalenia. Za pół godziny oryginał ma być z powrotem na moim biurku.

Nocną Marę wymiotło z pokoju, a Torriti dolał sobie whisky, rozsiadł się w skórzanym fotelu, kupionym za bezcen na czarnym rynku, i oparł o stół swoje spiczaste kowbojskie buty.

– Teraz, chłopie, wprowadzę cię w arkana zdrady. To delikatny biznes, więc będę mówił powoli i wyraźnie. Ten twój dyplom w Yale... Założmy najgorszy scenariusz: powiedzmy, że nasz rosyjski przyjaciel jest czarnym agentem, a jego historyjki są wysrane z palca. Żona i dzieciak to kamuflaż, żeby wszystko wyglądało bardziej wiarygodnie. Sam byś tak zrobił na jego miejscu. Chcieli nas wykołować, ale my jesteśmy sprytniejsi. Nas tak łatwo nie nabiorą. A kiedy kłamka już zapadnie, zbieg może dowieść swojej dobrej woli tylko w jeden sposób: musi dostarczyć pewną ilość prawdziwych informacji, mam rację?

– Rozumiem... A kiedy dostarczy prawdziwe informacje, zwłaszcza jeśli okaże się, że są naprawdę ważne, wtedy już znamy jego rzeczywiste intencje...

– Niezupełnie, mój chłopcze. Jeżeli dezenter dostarcza prawdziwe informacje, to nie znaczy, że nie jest czarnym agentem. Czarny agent też musi sprzedać pewną rozsądną ilość prawdziwych informacji, żeby przekonać nas, że nie jest podstawiony, i żebyśmy przełknęli ten szmelc, który przemyca między nimi.

Jack, mocno zaintrygowany zawilnością tej wyrafinowanej gry, poprawił się na kanapie i pochylił do przodu.

– Faktycznie, tego nas w Waszyngtonie nie uczyli. A więc jeżeli zdrajca sprzedaje prawdziwe informacje, wcale nie musi być prawdziwym zdrajcą.

– Mniej więcej.

– Jedno pytanie, Harveyu. Skoro tak się rzeczy mają, po co to całe zawracanie głowy?

– Ponieważ może się okazać, że zdrajca jest prawdziwy, a wtedy jego informacje mogą się nam przydać. Tożsamość radzieckiego kreta w MI6 to łakomy kąsek. Taka gratka nie zdarza się co dzień. I nawet jeśli facet jest podstawiony, możemy wykorzystać sprzedane przez niego informacje i nie dać się wywieść w pole. Ale trzeba to zręcznie rozegrać.

– Głowa pęka!

Czarnoksiężnik parsknął.

– Taak... No cóż, ogólnie biorąc, rzecz w tym, że na razie błąkamy się po omacku i drepczemy w kółko, aż w końcu dostaniemy kręćka. Kompletnie wariactwo! Jeśli chcesz wziąć udział w tej grze, musisz przekroczyć granicę świata, który Matka nazywa „dzikim gąszczem luster”^[4].

Jack zamyślił się na chwilę, a potem spytał:

– Kim jest ten Matka, o którym ciągle mówisz?

Torriti nie odpowiedział: głowa opadła mu na pierś, szklanka z resztką whisky, wsparta o fałdę na pokaźnym brzuchu, kiwała się rytmicznie. Po raz pierwszy od dwóch nocy Czarnoksiężnik zapadł w sen.

Nocny raport Czarnoksiężnika, zaadresowany – jak wszystkie depeche wysyłane z zagranicznych placówek Firmy – do dyrektora CIA, został doręczony na biurko Jima Angletona w metalowej teczce z ukośnym czerwonym paskiem, co wskazywało na nadzwyczaj delikatny charakter zawartości – tak delikatny, że (jak głosiło sarkastyczne pouczenie na tablicy

ogłoszeń na pierwszym piętrze) powinno się ją spalić jeszcze przed przeczytaniem. Jediną kopię odszyfrowanego tekstu, podpisaną już przez dyrektora, wyeksponowano (z adnotacją NATYCHMIAST) do Angletona, znanego jako Matka. Dyrektor, Walter Bedell Smith, słynny ze zmiennych humorów, wahających się od irytacji do furii, zręczliwy szef sztabu Eisenhowera z czasów inwazji w Normandii, nabazgrał w poprzek swoim hieroglificznym pismem: „Wydaje się koszerne. WBS”. Jego zastępca, dyrektor operacyjny, mistrz sztuki szpiegowskiej z Biura Służb Strategicznych, w skrócie OSS – amerykańskiej agencji szpiegowskiej z czasów drugiej wojny światowej – Allen Dulles, dodał: „Na litość boską, nie pozwólmy mu się zerwać z haczyka. AD”.

Raport Czarnoksiężnika zaczynał się od zwykłych regulaminowych dyrdymałów:

OD: ALICJA R.

DO: DCI

KOPIA DLA: HUGH ASHMEAD

DOTYCZY: AE/PRZEBIŚNIEG

UWAGI: Wasz 28.12.50 w sprawie dostarczenia bekonu do domu

Angleton, nałogowy palacz – chudy, przygarbiony as kontrwywiadu – pracował w swoim biurze, mieszczącym się w narożniku budynku w kształcie litery „L” – jednej z owych „tymczasowych” konstrukcji, podobnych do drewnianych wraków, które wojna wyrzuciła na brzeg w okolicy Reflecting Pool, pomiędzy pomnikami Lincolna i Waszyngtona. Miejsce to, z przyczyn aż nazbyt oczywistych dla obecnych mieszkańców, zostało ochrzczone mianem Alei Karaluchów. Z okien gabinetu roztaczałby się wspaniały widok, gdyby tylko ktoś się pofatygował i odsłonił żaluzje. Setki fiszek, rozmiaru siedem na dwanaście centymetrów, zapisanych

setkami dupereli, które Matka zgromadził przez lata służby w kontrwywiadzie – jak na przykład lista maturzystów gimnazjum w Brześciu Litewskim (rocznik 35), numery rejestracyjne ziół przewożących członków radzieckiej elity, przedwojenny plan zajęć Odeskiej Szkoły Artyleryjskiej itp. – leżały porozrzucone na biurku, stole i półkach. Jeśli była w ogóle jakaś metoda w tym szaleństwie, z pewnością tylko Angleton miał do niej klucz. Przeglądając i sortując swe cenne karty, szybko znalazł odpowiedzi na pytania Czarnoksiężnika.

1. Tak. Jest w Brześciu Litewskim ulica Michaiła Kutuzowa, rosyjskiego bohatera z czasów wojny napoleońskiej; w pobliskim parku, *vis à vis* luksusowej kwatery miejscowych oficerów KGB, stoi pomnik partyzantów. Wyobraża przywiązaną do pala dziewczynę z zawiązanymi oczyma, czekającą na egzekucję.
2. Tak. Instruktorzy o nazwiskach Piotr Masłow, Giennadij Brykin i Johnreed Archangielski figurowali na liście Instytutu Dyplomacji KGB w Moskwie w 1947.
3. Tak. Zastępca rezydenta w Karlshorst nazywa się Oskar Ugor-Mołody.
4. Tak. Placówka o nazwie Instytut Badań Naukowych i Ekonomicznych otworzyła interes w dawnym szkolnym budynku w Pankow.
5. Tak. Jest dziennikarz sportowy piszący dla „Prawdy” jako M. Żytkin. Nie mogę potwierdzić jego otczestwa, Siergiejewicz. Podobno jest żonaty, ale nie mamy pewności, czy jego żona to szwagierka AE/PRZEBIŚNIEG.
6. Brak danych o wyjeździe Żytkina do Sztokholmu w lutym ubiegłego roku, ale w trzecim tygodniu lutego w „Prawdzie” nie ukazał się żaden artykuł podpisany jego inicjałami.
7. Tak. Urządzenie audio „Division D”, zainstalowane w poręczy fotela, zakupionego przez ambasadę sowiecką w Hadze i dostarczonego do biura ambasadora, działało do godziny 22.45, 12 listopada 1949, kiedy to nagle zamilkło. Zaprzyjaźniony obywatel, który potem odwiedził sowieckiego ambasadora, doniósł, że pod poręczą fotela odkrył małą

dziurkę, co doprowadziło nas do następujących wniosków: podczas rutynowej kontroli biura kontrwywiad KGB natknął się na mikrofon i usunął go. Zapis rozmów sowieckiego ambasadora, dotyczących planów Kremla, aby zmusić Amerykanów do wycofania sił okupujących Berlin Zachodni, był ostrożnie rozprowadzany w kręgach amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu.

8. Jesteśmy zgodni co do tego, że AE/PRZEBIŚNIEG dostatecznie udowodnił swoją dobrą wolę i ma prawo ubiegać się o eksfiltrację. Moje źródła zawiadomią go, że ma się stawić wraz z żoną i synem w kryjówce MARLBOROUGH, bez bagażu, 48 godzin od chwili ostatniego spotkania.

Skończył pisać, wyszedł i dał tekst sekretarce do zaszyfrowania. Wróciwszy do gabinetu, obmacał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Wetknął jednego między delikatne, miękkie wargi, ale nie zapalił. Marszcząc gniewnie brwi, wpatrywał się posępnym wzrokiem w przestrzeń. Istotą kontrwywiadu była dla Angletona infiltracja: penetrowało się szeregi wroga, czy to poprzez zdradę, taką jak ta, którą przygotowywano właśnie w Berlinie, czy – rzadziej – poprzez zwerbowanych *ad hoc* agentów, przesyłających materiały z najpilniej strzeżonych sanktuariów KGB. Cel był jeden: dobrać się do ich tajemnic. A przede wszystkim dowiedzieć się, czy oni już spenetrowali nas. Rosjanie od dawna mieli w Ameryce swoich ludzi w gronie polityków i naukowców; przesłuchiwana przez FBI Elisabeth Bentley, komunistka na usługach Rosji Sowieckiej, wyśpiewała nazwiska około setki ludzi powiązanych z kręgami sowieckich szpiegów w USA i Kanadzie, wśród których znaleźli się między innymi Hiss, Fuchs, Gold, Sobell, Greenglass, Rosenbergowie. Istniały więc podstawy, aby sądzić, że plany bomby atomowej, którą udało się Rosjanom przetestować w 1949 roku, zostały zwinięte z amerykańskich laboratoriów w Los Alamos. Zadaniem Angletona było otoczyć Firmę

kordonem agentów, tak żeby nawet rosyjska mysz się nie prześlizgnęła przez próg siedziby CIA. W ten sposób Matka, wykorzystując swą reputację asa kontrwywiadu z czasów OSS, osobiście monitorował każdą tajną operację i wszystkim zaglądał przez ramię, wskutek czego niejednemu nadepnął na odcisk, a naraził się wielu, z Torritim na czele.

Drogi – i miecze – Angletona i Torritiego skrzyżowały się w 1944 roku, kiedy to dwudziestosiedmioletni wówczas Matka (uznany już, mimo młodego wieku, za mistrza owej subtelnej gry, jaką jest szpiegostwo) kierował rozpracowaniem siatki faszystowskich agentów na tyłach wycofujących się w górę włoskiego buta wojsk niemieckich. Torriti, który biegle władał sycylijskim dialektem i wyłaził ze skóry, żeby wyglądać jak prawdziwy *capo*, był wtedy łącznikiem z mafią, po cichu sprzyjającą aliantom w czasie inwazji na Sycylię i później, gdy rozpoczął się desant na półwysep. Po ostatecznej kapitulacji Niemiec Czarnoksiężnik opowiedział się za udzieleniem jak najdalej idącej pomocy włoskim socjaldemokratom, gdyż przekonany był, iż tylko w ten sposób uda się odsunąć od władzy jawnie wspieranych przez Moskwę komunistów, którzy nie ukrywali, że w następnych wyborach pokażą, na co ich stać. Angleton zaś uważał, że trzecia wojna światowa zaczęła się w dniu, w którym skończyła się druga. Przekonywał, że każdy socjaldemokrata jest kryptokomunistą, posłusznym rozkazom Kremla. Rozumowanie Angletona odzwierciedlało w istocie mentalność wpływowej w Waszyngtonie grupy wysoko postawionych pracowników wywiadu, nazwanej przez Torritiego Ligą Trującego Bluszczu. Firma postawiła wszystko – w formie dziesiątków milionów dolarów w gotówce, kampanii propagandowych i politycznych machlojek, głównie szantażu – na Chrześcijańskich Demokratów, którzy w końcu wygrali wybory.

Z punktu widzenia Angletona Czarnoksiężnik miał dostatecznie dużo doświadczenia, żeby zająć się praktyczną stroną operacji i zorganizować wszystko w terenie, ale tracił głowę w sytuacjach wymagających geopolitycznego wyrobienia; był poza tym zbyt tępy – a ostatnio również zbyt pijany – aby podążyć za Matką w miejsce, które T.S. Eliot nazwał „dzikim gąszczem luster”. Och, Torriti nieźle sobie radził z wyłapywaniem dwuznaczności pierwszego stopnia, a mianowicie, że nawet „czarni” zdrajcy przywożą ze sobą autentyczne tajemnice, aby udowodnić swoją dobrą wolę. Ale były też inne, bardziej finezyjne scenariusze, które tylko garstka oficerów Firmy potrafiła pojąć, a najlepszy w tym był Angleton, przeświadczony, że gdy ma się do czynienia ze zbiegiem przynoszącym prawdziwe informacje, należy ciągle sobie powtarzać, że im cenniejsza jest informacja, tym większy kant się za tym kryje. A z tego wynika – w sposób tak naturalny, jak świt następuje po nocy – że każdy sukces trzeba traktować jak potencjalną porażkę. Wielu weteranów OSS pracujących teraz dla Firmy nie chwyciło owej wieloznaczności operacji szpiegowskich i ci szeptali między sobą, że Matka jest kompletnie stukniętym paranoikiem. „Stare pierdoły! Nie zwracaj na nich uwagi – mawiał Adrian, brytyjski łącznik z MI6 w Waszyngtonie i najlepszy kumpel Angletona, ilekroć siedząc w knajpie nad jednym ze wspólnych cotygodniowych lunchów, Matka wylewał przed nim swoje żale. – Ta m-m-mentalność wrasta w nich jak p-p-paznokiec w palec”.

Brzęczyk interkomu wyrwał Angletona z zamyślenia. W chwilę później znajoma twarz Anglika – przyjaciela i mentora Matki – zmaterializowała się w drzwiach gabinetu.

– Cz-cz-cześć, Jimbo! – powiedział Adrian z arystokratyczną flegmą, jękając się jak za dawnych, wojennych czasów, kiedy dzielili klitkę w hotelu „Rose Garden” przy Ryder Street w Londynie. Rozpadająca się

rudera służyła za centrum dowodzenia połączonych operacji OSS i brytyjskich tajnych służb MI6. Adrian, przez pięć lat zwierzchnik Angletona, specjalista od Półwyspu Iberyjskiego, wprowadził młodego amerykańskiego kaprała, świeżo upieczonego absolwenta Yale i nowicjusza w szpiegowskim fachu, w tajniki rzemiosła. Teraz, z długą listą zasług na koncie, Anglik był wschodzącą gwiazdą na firmamencie brytyjskiego wywiadu, a biurowa plotka głosiła, że jest kandydatem na następcę „C”, jak oznaczano zakodowany odpowiednik szefa MI6.

– Siemasz, Angolu! O wilku mowa... Właśnie o tobie myślałem – odezwał się Angleton. – Siadaj i mów, gdzie cię dziś rano nosiło.

Adrian zdjął z twardego biurowego krzesła pudełko po butach, pełne fiszek, i usiadł naprzeciw swojego amerykańskiego przyjaciela. Matka znalazł wreszcie zapalki. Staromodna lampa od Tiffany’ego rzucała owalną, bladożółtą plamę światła na brzegi papierów wystających z szufladek z napisem „przychodzące”. Wychudła, posępna twarz Angletona, to wyraźna, to znów rozplływająca się w obłoku tytoniowego dymu, wydała się Anglikowi jeszcze bardziej demoniczna niż zwykle.

– Wracam właśnie ze śniadania z twoim panem i władcą – oznajmił Adrian. – Mizerne porcje... Z-z-zaraz przypomniało mi się Connaught i żarcie na kartki. Wygłosił mi prelekcję na temat jakiegoś niedorzecznego planu infiltracji agentów emigrantów... zgadnij gdzie. W Alb-b-banii! Liczycie na to, że zrobimy z Malty bazę przerzutową i stworzymy hiszpańską Armadę z rybackich łódeczek. Pewnie będziesz chciał kopie wszystkich p-p-papierów, skoro to ty masz nadzorować tę akcję?

– Masz, kurde, rację. Będę chciał kopie.

„Angol” wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwie grube koperty.

– Każ to przepuścić przez wyżymaczkę, a my przez ten czas pogadamy.

Angleton wezwał przez telefon sekretarkę i gestem podbródka wskazał jej koperty.

– Glorio, bądź tak dobra, weź to na termofaks i zrób odbitki. Oddaj mu oryginały, jak będzie wychodził.

Półkrwi Meksykanin i anglofil (dzięki wojennej służbie w Londynie, gdzie nabrał sympatii do Angoli), Matka odegnał ręką dym, po czym z ledwie słyszalnym brytyjskim akcentem, nabytym w trakcie trzech lat nauki w college'u, zapytał:

– No i jak ci się podoba nasz Bedell Smith?

– Tak między nami, Jimbo, myślę, że to szczytowy lis. Trzeźwy, niezwykle precyzyjny umysł. Gnojek przerzucił jakieś dwadzieścia a-akapitów na temat albańskiej afery i wyrecytował mi punkt po punkcie cały ten pieprzony raport. Chryste, musiałem spędzić całą noc, żeby wkuć to na p-p-pamięć.

– Nikt mu nie odmawia inteligencji...

– Problem w tym, że to żołnierz. Żołnierze przyjmują na wiarę, że najkrótszą drogą pomiędzy dwoma p-p-punktami jest linia prosta, ale my, staruszkule, dzięki naszej nieskończonej mądrości wiemy, że to ryzykowna hipoteza. Ja osobiście jestem zagorzałym przeciwnikiem Euklidesa. Czegóż takiego jak najkrótsza droga po prostu nie ma. Są tylko meandry. Nigdy nie idzie gładko: zaczynasz w p-p-punkcie „A” i jeden diabeł wie, gdzie skończysz. A już do reszty mnie dobił ten twój cały „Bidul” Smith, kiedy zaczął smędzić, że nie może dojść do ładu z własnymi ludźmi, bo analitycy mówią swoje, a tajni agenci swoje, i nikt już naprawdę nie wie, co jest grane w tej Albanii.

– Znając ciebie, założę się, że wszystko mu wyjaśnisz.

Adrian odchylił się do tyłu i przez chwilę bujał się na krześle.

– Prawdę mówiąc, już to zrobiłem. Zacytowałem mu kilka złotych myśli naszego znakomitego byłego p-p-pierwszego lorda admiralicji. Prawdziwy geniusz, mawiał Churchill, tkwi w umiejętności właściwej oceny sprzecznych informacji. Ty jesteś prawdziwym geniuszem, Jimbo. Masz rzadki dar dostrzegania reguł wśród pozornych sprzeczności. A gra pozorów jest zarazem istotą i fasadą konspiracji. Wie o tym każdy szanujący się szpieg.

Angleton błysnął zębami w uśmiechu.

– Wszystkiego nauczyłem się od ciebie – powiedział. I chórem zacytowali powiedzenie E.M. Forstera, które wisiało nad biurkiem Adriana na Ryder Street: „Wystarczy skojarzyć!” I zachichotali jak uczniaki przyłapani na gorącym uczynku.

Angleton zdusił atak suchego kaszlu i wciągnął nosem powietrze.

– Bierzesz mnie pod włos – stwierdził wreszcie. – A to znaczy, że czegoś ode mnie chcesz.

– Dla ciebie, Jimbo, jestem jak przysłowiowa otwarta księga. – Adrian przestał bujać się na krześle. – Twój generał Smith przyznał, że zajmujecie się sprawą, która powinna mnie zainteresować. Kiedy go spytałem o z-z-zasrane szczegóły, odesłał mnie do ciebie. Przyznaj się, co chowasz w z-z-zanadrzu?

Angleton zaczął grzebać w stercie papierów, szukając nocnego raportu Czarnoksiężnika. Znalazł go wreszcie pod depeszą nadaną z bazy CIA w Ciudad de México, podpisaną przez dwóch oficerów Firmy, E. Howarda Hunta i Williama F. Buckleya Juniora, i zawierającą plany operacji, zwanej eufemistycznie „drugoplanowym projektem specjalnym”.

– Szczerze mówiąc, jesteś jedynym Angolem, któremu bym to pokazał – powiedział Matka, wachlując się raportem Torritiego, żeby rozpędzić dym

z papierosa.

– Jestem zaszczycony.

– Ale daj mi słowo, że nie puścisz farby w Londynie, dopóki nie powiem, że już można.

– To musi być dla ciebie pierońsko ważne, skoro tak stawiasz sprawę.

– Bo jest.

– Masz moje słowo, stary. Będę milczał jak grób.

Angleton podsunął depezę przyjacielowi, który włożywszy okulary, przesiadł się z raportem pod lampę od Tiffany’ego. Po chwili oczy mu się zwęziły.

– Chryste, nic dziwnego, że nie chcesz, żebym dał znać do Londynu. Obchodź się z tym ostrożnie, Jimbo. Zawsze istnieje możliwość, że ten gość z Rosji jest przynętą, a jego h-h-historyjka to część planu, żeby nas poszczuć na siebie. Chcą, żebyśmy sobie nawzajem skoczyli do gardła. Pamiętasz, jak rozpuszczałem w Hiszpanii pogłoski, że mamy *chez eux* kreta wysokiej rangi? Ci z Abwehru pół roku latali jak kot z pęcherzem, zanim odkryli, że to podpucha.

– Wszystko, co Torriti wyciągnął z niego za pierwszym spotkaniem, potwierdziło się co do joty.

– Z mikrofonem, który zamilkł, włącznie?

Angleton skinął głową zza kłębow dymu.

– Już wyznaczyłem grupę ludzi, żeby jeszcze raz dokładnie sprawdzili krzesło rosyjskiego ambasadora w Hadze. Produkt był rozprowadzony w wąskich kręgach, ale, tak czy owak, rozprowadzony. Tych, którzy wiedzieli, skąd pochodził, możesz policzyć na palcach.

„Angol”, stary wyga, ekspert od zdrajców i zdrady, przejął się nie na żarty.

– Trzeba się z tym obchodzić jak ze śmierdzącym jajkiem, Jimbo. Jeśli w MI6 naprawdę jest kret, to gdy tylko poczuje, że coś nie tak, czmychnie jak szczur z tonącego okrętu. KGB na pewno ma jakiś plan awaryjny w razie wpadki. Teraz cały wic w tym, żeby utrzymać akcję w sekrecie tak długo, jak to tylko m-m-możliwe.

Angleton wyciągnął kolejnego papierosa z paczki i odpalił go od poprzedniego, po którym został tylko smętny niedopałek.

– Torriti zamierza przesmuglować Rosjanina i jego rodzinę do Berlina Zachodniego, a potem dalej, prosto do Stanów, samolotem z Tempelhof – powiedział. – Podstawię tam swoich ludzi, żeby od razu wziąć się do roboty i zweryfikować informacje Wiszniewskiego, póki jego zdrada nie wyjdzie na jaw. Przy odrobinie szczęścia będziemy w stanie odkryć tożsamość kreta, zanim w Karlshorst zauważą, że zastępca szefa Pierwszego Zarządu Głównego oddalił się samowolnie. Chciałbym widzieć to piekło, jakie rozpęta się w MI6. Musicie działać błyskawicznie.

– Podaj mi jego nazwisko, a wypatroszę i poćwiartuję s-s-skurwysyna – obiecał „Angol”.

Na czas ewakuacji Wiszniewskiego Torriti odstawił alkohol, co nie było najlepszym pomysłem, jako że brak whisky czynił go jeszcze bardziej drażliwym. Krążył po izdebce nad kinem jak lew w klatce, miotając się od ściany do ściany tak gwałtownie, że Jackowi kręciło się w głowie od samego patrzenia. Przy oknie w wykuszu Upadły Anioł nie spuszczał wzroku ze Słodkiego Jezusa, który paradował przed kinem tam i z powrotem, z pekińczykiem na smyczy. Raz po raz zdejmował czapkę i drapał się w łysinę na czubku głowy na znak, że nie widzi ani Rosjanina, ani jego żony, ani ich jedenastoletniego syna. Radio Silwana II, stojące na podłodze pod ścianą, z anteną rozciągniętą przez cały pokój niczym sznur

do wieszania bielizny, przemówiło nagle ludzkim głosem. W niemal zupełnej ciszy rozległ się szept obserwatora z tylnego rzędu sali kinowej: „*Der Film ist fertig... za osiem minut. Gdzie oni się podziali?*”

– Nos mnie swędzi, niech to szlag – warknął Czarnoksiężnik, stając przed kominkiem. – Coś tu nie gra. Z doświadczenia wiem, że Rosjanie zawsze się spóźniają na spotkania, ale jeśli w grę wchodzi zdrada, wtedy przychodzą za wcześnie.

Miarowe, monotonne tykanie zegara z kukułką, który beznamytnie odmierzał upływające sekundy, było ponad siły Torritiego. Nagle wyszarpnął z kabury rewolwer, chwycił go za lufę i rękojeścią z masy perłowej walnął w zegar, pozbawiając kukułkę głowy i roztrzaskując mechanizm.

– No co, przynajmniej jest cicho. Wreszcie można pomyśleć spokojnie – oznajmił, uprzedzając pytanie, które zadałby Jack, gdyby zebrał się na odwagę.

Do radzieckiego sektora we wschodniej części Berlina przedostali się zwyczajną drogą: Torriti i Jack leżeli na brzuchu w schowku, ukrytym pod dachem małego studebakera, który regularnie kursował przez granicę z dostawą mączki kostnej i tym razem również przejechał bez przeszkód obok odrapanej budki celników; Słodki Jezus i Upadły Anioł, w przebraniu niemieckich robotników, wmieszali się w strumień ludzi, wracających przez Friedrichstrasse Station po całym dniu kopania rowów w zachodniej części miasta. O mało co nie wpadli, kiedy stojący przy turnikiecie tajniak z Volkspolizei zażądał od Słodkiego Jezusa przepustki z miejsca pracy i nawet przekartkował ją dokładnie, sprawdzając, czy nie brakuje żadnych pieczętek. Słodki Jezus, który podczas wojny pracował jako kucharz w jednostce SS w Rumunii i mówił płynnie po niemiecku, wymamrotał

poprawne odpowiedzi na szorstkie pytania funkcjonariusza i przepuścili go bez dalszych ceregieli.

Zaplecze ewakuacji było gotowe. Zbieg Wiszniewski i jego żona mieli zostać przesmuglowani w ciężarówce z nawozem, czekającej już w nieoświetlonej alei za rogiem; kierowca, Polak, o którym krążyły plotki, że w zachodniej części miasta ma niemiecką żonę, a we wschodniej rosyjską kochankę, często wracał do siebie dobrze po północy, prowokując niemieckich strażników na granicy do rubasznych żartów. Punktualnie o północy obok kina miał przejechać, wracając z kolacji w radzieckiej ambasadzie, agent francuskiej Service de Documentation Extérieure et de Contre-Espionnage (SDECE), legitymujący się paszportem dyplomatycznym, w którym figurował jako asystent attaché kulturalnego. Ponieważ dyplomaci z państw sojuszu nie uznawali wschodnioniemieckiej policji i nigdy nie zatrzymywali się na granicy, uzgodniono, że jego citroen, pod flagą i z literami CD na tablicy, przemyci Jacka i Czarnoksiężnika z powrotem na Zachód. Rumuni mieli zadekować się gdzieś w Berlinie Wschodnim, a rano przekroczyć granicę razem z robotnikami, pracującymi po drugiej stronie. Pozostał jeszcze syn Wiszniewskiego. Czarnoksiężnik zaplanował, że chłopca przewiezie holenderski egiptolog, który wraz z żoną przyjechał do Niemiec Wschodnich datować eksponaty w berlińskim muzeum. Para Holendrów miała przedostać się z powrotem do Berlina Zachodniego na podstawie sfalszowanego paszportu rodzinnego z niewyraźnym zdjęciem, na którym chłopak był o jakieś pięć lat młodszy. Czarnoksiężnik bywał w podobnych sytuacjach setki razy: zaspani Volkspolizei rzadko kiedy sprawdzali rodziny. Przeważnie rzucali tylko okiem na fotografię w paszporcie i kazali jechać dalej. Po przekroczeniu granicy Rosjanie zostaną odstawieni na lotnisko Tempelhof w Berlinie Zachodnim i odesłani samolotem transportowym Amerykańskich Sił

Powietrznych do centrum przerzutowego we Frankfurcie, a stamtąd do bazy lotniczej Andrews w Marylandzie.

Lecz sukces ewakuacji zależał od tego, czy Wiszniewskim uda się zgubić obserwatorów – w KGB byli ludzie, których jedynym zadaniem było śledzenie innych ludzi z KGB – i trafić do kryjówki nad kinem. Torriti wciąż nie mógł usiedzieć na miejscu. Krążył po swojej orbicie i zatrzymał się tylko raz, żeby przez ramię Upadłego Anioła wyjrzeć na ulicę.

Z radia popłynął głos: „*Film ist zu Ende. Proszę opuścić kino. Gute nacht. Nie zapomnijcie złożyć Geld na moim koncie*”.

Seans dobiegł końca. W dole, na ulicy, zaroilo się od opatulonych płaszczami postaci. Słodki Jezus, przytupujący z zimna pod latarnią, zerknął w górę na okno w wykuszu i nerwowo wzruszył ramionami. Jack zwinął antenę i zaczął pakować sprzęt do torby.

– Jak długo jeszcze będziemy czekać, Harveyu? – spytał.

Czarnoksiężnik, zlany potem, rozdrażniony z powodu przymusowej abstynencji, odwrócił się gwałtownie.

– Dopóki ja nie zadecyduję inaczej – uciął.

Irlandzka natura Jacka nie poddawała się tak łatwo.

– Miał tu być przed końcem filmu.

I dodał ciszej:

– Skoro nie pokazał się do tej pory, to chyba już nie przyjdzie. Może go zdemaskowali? A jeśli sam nawalił, zawsze można przenieść ewakuację na inną noc.

Upadły Anioł powiedział niespokojnie:

– Skoro go zdemaskowali, to kryjówka też jest spalona. A w takim razie siedzimy po szyję w gównie, szefie.

Torrity wykrzywił twarz, oczy zrobiły mu się wąskie jak szparki. Wiedział, że tamci mają rację. Rosjanin już nie przyjdzie, a tkwić tu dalej to głupota.

– Dajmy mu jeszcze pięć minut, potem się zmywamy – powiedział.

Czas włókł się niemiłosiernie, a może Jackowi, wpatrzonemu we wskazówki bulowy, tylko tak się zdawało. Przy oknie Silwan II, kiwając głową w takt nuconej pod nosem pieśni cerkiewnej, patrolował wzrokiem ulicę. Nagle przycisnął czoło do szyby i chwycił się za brzuch.

– Matko Boska! – syknął. – Słodki Jezus poszedł i zabrał psa.

– Cholera jasna! – wykrzyknął Jack, który dobrze wiedział, co to znaczy.

Czarnoksiężnik zatrzymał się w pół kroku. W głowie miał pustkę. Poczuł, że musi się napić.

– Nawet kaktus więdnie bez... – jęknął.

Upadły Anioł nie dał mu skończyć:

– A niech to, jadą tu! Jedna, druga... Niech to szlag!... Siedem... Nie, czekajcie... osiem ciężarówek Volkspolizei... Skręcają do nas! Słodki Jezus ulotnił się na dobre.

– Najwyższy czas zrobić to samo – stwierdził Torrity i chwycił wymięty płaszcz, wiszący na oparciu krzesła. Jack wepchnął radio do teczki. Wszyscy trzej – Jack na przedzie, za nim sapiący Czarnoksiężnik, a na końcu Upadły Anioł – wyslizgnęli się bezszelestnie z pokoju i ruszyli w górę po wąskich schodach. Tą samą drogą mieli opuścić kryjówkę razem z Wiszniewskim. Trzy piętra niżej kolby karabinów łomotały w masywne, podwójne drzwi kina. W chwilę potem na dole rozległy się stłumione pokrzykiwania w języku niemieckim. Volkspolizei wraz z garstką agentów KGB rozbiegli się po całym budynku.

U szczytu schodów Jack odciągnął zasuwę i pchnął ramieniem stalową klapę. Mroźny powiew uderzył go w twarz, wyciskając łzy spod powiek. Półksiężyc nad jego głową powlekał dachy mozaiką widmowych cieni. Tajne przejście w kinowej toalecie ustąpiło pod naporem podkutych butów. Na schodkach rozległ się głośny tupot. Gdy wszyscy trzej znaleźli się na górze, Upadły Anioł zarygłował właz. Czarnoksiężnik, dysząc z wysiłku, wysapał: „To skurwieli trochę zatrzyma”. Ruszyli przed siebie, pełząc po śliskich dachówkach. Silwan II pomógł Torritiemu wspiąć się na niski murek i lawirując wśród kominów, poprowadził ich na skraj dachu. Potem przerzucił nogę nad krawędzią i zaczął schodzić po drewnianej drabinie, którą sam tam umieścił podczas przygotowań do ewakuacji. Kiedy przyszła kolej Jacka, ten spuścił się błyskawicznie w dół i zeskoczył na dach sąsiedniego budynku. Czarnoksiężnik, ostrożnie macając stopą powietrze w poszukiwaniu każdego kolejnego szczebla, zszedł ostatni.

Przykucnęli, wsłuchując się w poświsty lodowatego wiatru. McAuliffe poczuł nagły przypływ adrenaliny. W uszach mu szumiało, waliło w skroniach. Przez moment sądził, że to strach, ale ze zdziwieniem stwierdził, że wcale się nie boi. Gdzieś pod nimi rozległy się gardłowe rozkazy po niemiecku. Właz odskoczył z trzaskiem. U wejścia zamajaczyły dwie sylwetki. Błysnęły latarki. Snop światła omiótł kominy i znieruchomiał przy drabinie. Ktoś zaklął pod nosem po rosyjsku. Upadły Anioł wyjął z kieszeni starą dziewięćmilimetrową beretę, pamiątkę po włoskim faszyście, któremu podciął gardło gdzieś pod Patras w Grecji. Beretta – cicha broń, nieoceniona w bezpośrednim starciu – zaopatrzona była w krótki tłumik na końcu lufy. Torriti podrapał Silwana II po karku i wyszeptał mu prosto w ucho:

– Strzelaj do tego w mundurze.

Obejmując lewą ręką prawy nadgarstek, Upadły Anioł wziął na muszkę wyższą z dwu postaci i pociągnął za spust. Jack usłyszał krótki syk, jakby ktoś spuścił powietrze z opony. Jedna z latarek brzęknęła o dach. Ciemny kształt osunął się bezwładnie i rozpląnął w mroku nocy. Drugi mężczyzna, dysząc ciężko, podniósł ręce do góry.

– Wiem, że to ty, Torriti – wycharczał. – Nie strzelaj. Jestem z KGB.

Jack, w którym nagle zawrzała irlandzka krew, syknął:

– Jezu Chryste, zabij gnoja!

Czarnoksiężnik stanowczym gestem przytrzymał dłoń Silwana II.

– Niemcy, zgoda. Ale KGB to co innego. My nie strzelamy do nich, oni nie strzelają do nas.

A do Rosjanina zawołał:

– Rzuć broń!

Postawny mężczyzna w cywilnym płaszczu i pilśniowym kapeluszu obrócił się, po czym ostrożnie odłożył latarkę i pistolet. Wstał, zdjął kapelusz i czekał.

Stąpając na palcach, Upadły Anioł przemknął po dachu za plecami Rosjanina i walnął go lufą beretty tuż za uchem – zbyt słabo, żeby zabić, ale wystarczająco mocno, żeby zapewnić mu dotkliwe bóle głowy do końca życia. Zręcznie chwycił pod pachy osuwające się bezwładnie ciało i powoli opuścił je na dach.

W chwilę później wszyscy trzej schodzili po źle oświetlonych schodach. Przebiegli cuchnący uryną korytarz i przez tylne drzwi wypadli na ulicę. Za stertą śmieci czekał na nich studebaker. Upadły Anioł bez słowa rozpląnął się w mroku. Torriti i McAuliffe wdrapali się do schowka pod dachem ciężarówki i wciągnawszy za sobą drabinkę, zatrzasnęli właz. Silnik zakaszlał cicho – znak, że wracał do życia – i samochód potoczył się

leniwie przez spokojne zaułki Berlina Wschodniego do przejścia granicznego w Pankow, a potem dalej, w kierunku francuskiego sektora podzielonego miasta.

Nawet starzy wyjadacze z Firmy nigdy jeszcze nie widzieli Czarnoksiężnika w takim stanie.

– Nie do wiary, kurwa! – pomstował, a jego ochryple wrzaski odbijały się echem wśród podziemnych korytarzy. – Ten gnojek na dachu znał nawet moje nazwisko!

Nalał do szklanki trochę whisky, pociągnął łyk, gwałtownie odchylił głowę, przepłukał gardło i odzyskał równowagę ducha.

– Dobra – zwrócił się do Nocnej Mary. – Prześledźmy to na spokojnie.

Siedząca na kanapie panna Sipp założyła nogę na nogę i zaczęła referować, punkt po punkcie, treść suchego sprawozdania z nieudanej operacji. Musiała mówić głośno, żeby przekrzyczeć arię Scarpia w wykonaniu Tita Gobbiiego. Fakt, że Torriti nie zauważył odsłoniętych podwiązek sekretarki, najlepiej świadczył o stanie jego umysłu.

– Pozycja pierwsza – zaczęła drżącym, modulowanym głosem (w rzeczywistości zaciągnęła się jako Nocna Mara u Torritiego tylko po to, żeby opłacić lekcje śpiewu operowego, które urwały się raptownie, gdy nauczyciel stwierdził, że adeptka ma tyle samo talentu co jego kogut). – Na osiemdziesiąt pięć minut przed planowanym przybyciem Wiszniewskich do kryjówki nasz punkt podsłuchowy odnotował wzmożony kontakt radiowy pomiędzy Moskwą a Karlshorst.

– Dranie dostali rozkaz od samego Wujka Joe – warknął Czarnoksiężnik.

– Pozycja druga: siostra hotelowej sprzątaczkii z Karlshorst zgłosiła się do swojego łącznika w Berlinie Zachodnim, a on z kolei zadzwonił do nas,

żeby powiedzieć, że coś wisi w powietrzu, bo Rosjanie latają jak kot z pęcherzem.

– Kiedy to było? – dopytywał się Jack, jak zwykle podpierający ścianę.

– Około sześćdziesięciu minut przed godziną D.

– Wiedzieli o zdradzie, skurwiele – mruknął Czarnoksiężnik, bardziej do siebie niż do pozostałych ośmiu osób, stłoczonych w biurze. Zebrali się tu wszyscy, żeby dokonać analizy porażki, ale przypominało to raczej czuwanie przy zmarłym. – Tylko dlaczego zwlekali tak długo? Wygląda na to, że informacje dostali w ostatniej chwili.

– Może Wiszniewski stracił zimną krew – zasugerował McAuliffe. – Może tak się pocił, że zwrócił na siebie uwagę.

Czarnoksiężnik z powątpiewaniem machnął ręką.

– To twardziel. Nie skrewiłby w ostatniej chwili.

– Może zwierzył się żonie i to ona skrewiła.

Torriti zmarszczył brwi, próbując się skoncentrować. Potem potrząsnął głową.

– To asekurant. Wszystko sobie dokładnie przemyślał. Pamiętasz, że spytał, czy go nagrywamy? Sprawdzał mnie. Żonę też by sprawdził. Gdyby przypuszczał, że straci zimną krew, zostawiłby ją i zwiął sam. A dzieciak wiedział tylko, że idą do kina na nocny seans.

– Jest jeszcze druga strona medalu – powiedział Jack. – To nieistotne, czy Wiszniewska spała z rezydentem, czy nie. Na pewno się go obawiała, a poza tym czuła się winna, że ściągnęła na męża kłopoty. Przez nią napyskował zwierzchnikowi, a to wystarczy, żeby oboje mieli powód do ucieczki.

– Masz wyobrażnię, stary – zgasił go Czarnoksiężnik, ale widać było, że jest zadowolony ze swego Ucznia. Przymknął oczy i zerknął spod powiek

na kolana panny Sipp, która obciągnąwszy spódnicę, podjęła przerwany wątek:

– Na czym skończyłam? Aha, pozycja trzecia: trzydzieści pięć minut przed godziną D z Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Żydowskiej zgłosił się Rabbi. Powiedział, że przy samochodach stojących na dziedzińcu szkoły w Pankow zbierają się oddziały Hauptverwaltung Aufklärung.

– Przedział czasu sugerowałyby raczej, że to Rosjanie dostali cynk...

Wszystkie oczy skierowały się na tego, kto wypowiedział te słowa. E. Winstrom Ebbitt II, dla przyjaciół Ebby – postawny, barczysty adwokat z Nowego Jorku, uczestnik akcji OSS w ostatnich miesiącach wojny – pracował w Firmie od niedawna i był nowy w berlińskiej bazie. Zajmował się przerzutem agentów na „sporne obszary” Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego. Spędził bezsenną noc nad radiem, czekając na sygnał od dwóch swoich ludzi, których wysłał do Polski przez zieloną granicę. Nad ranem, zwabiony gwarem dobiegającym zza niedomkniętych drzwi, zajrzał do biura Torritiego, żeby poznać szczegóły niedoszłej zdrady Wiszniewskiego.

– Moim zdaniem Rosjanie prawdopodobnie ściągnęli s w o i c h Niemców w ostatniej chwili – dodał – ponieważ nie ufają im tak samo, jak my nie ufamy n a s z y m Niemcom.

Czarnoksiężnik utkwiał złowrogi wzrok w siedzącego okrakiem na jednym z trzech sejfów dryblasa o długich, falujących włosach i krytycznie otaksował jego fantazyjne, wyzywająco szerokie szelki. Wcale tym niespieszony młody człowiek zabawiał się czerwoną puszką bomby termitowej.

– Cóż za błyskotliwa dedukcja, mój drogi Watsonie! – skwitował Torriti szyderczo. – Uważaj, żeby ta zabawka nie wybuchła ci prosto w pysk. Powiedz lepiej, gdzie twoje „baranki”, które posłałeś na rzeź.

– Na razie milczą. Spróbujemy jutro.

– A nie mówiłem? Ci cholerni Goci jeszcze wygrają tę przeklętą wojnę – westchnął Torriti.

Panna Sipp kontynuowała sprawozdanie.

– Pozycja czwarta: jeden z oficerów dyżurnych Gehlena zadzwonił do nas z Pullah na czerwony telefon i powiedział, że ich agent w sowieckiej strefie, spec od *Augenerkundung*, czyli obserwacji – przetłumaczyła dla tych, którzy nie znali niemieckiego – widział Volkspolizei, którzy rozstawiali blokady na drogach prowadzących do radzieckiej bazy lotniczej w Eberswalde. Kilka minut później, akurat wtedy, gdy zbieg miał się zjawić w pańskiej kryjówce, panie Torriti, kolumna limuzyn marki „Tatra” wjechała na płytę lotniska. Konwojowały brązową wojskową karetkę. Z samochodów wysypało się kilkunastu cywilów, cytując: „sądząc z kroju spodni, ochroniarzy KGB”. Z karetki wyniesiono dwa ciała na noszach i załadowano je do samolotu, który stał przy końcu pasa startowego, grzejąc silniki. – Panna Sipp podniosła wzrok znad kartki i uśmiechając się z nadzieją, powiedziała: – To znaczy, że Wiszniewski i jego żona jeszcze żyli. Bo przecież – jej uśmiech zbladł, a głos się załamał – gdyby byli martwi, to po co te nosze?

– A co z dzieciakiem? – przerwał Jack.

– Dowiesz się, jeśli pozwolisz mi skończyć – powiedziała Nocna Mara z przekąsem. Odwróciła się z powrotem do Czarnoksiężnika i znów założyła nogę na nogę. Tym razem gest ten wywołał błysk zainteresowania w jego rozbieganych oczach. – Z jednej z limuzyn wywleczono chłopca w wieku od dziesięciu do piętnastu lat (trudno ocenić dokładnie, bo był opatulony po czubek nosa). Pod obstawą dwóch goryli, z których jeden trzymał dzieciaka pod pachami, wprowadzono go po schodkach do

samolotu. Płakał i krzyczał „tatusiu!” po rosyjsku, więc obserwator wywnioskował, że ludzie na noszach to Rosjanie.

Czarnoksiężnik z wyraźnym podziwem plasnął dłonią w biurko.

– Pieprzony Gehlen wart jest tych dolców, jakie na niego wydajemy. Pomyślcie tylko... jego obserwator stał tak blisko, że u s ł y s z a ł, jak chłopak woła tatę. Ci z Pullah mają chyba na żołdzie któryś z tych cholernych specoddziałów Hauptverwaltung Aufklärung. My, kurwa, bulimy forszę, a oni dostają najlepszych obserwatorów!

– W czasie wojny Gehlen miał swojego agenta w najbliższym otoczeniu Stalina – zauważył archiwista berlińskiej bazy, niegdyś bibliotekarz w Yale, nazywany Kuchnią Rosemarie.

– Dużo mu z tego przyszło – zażartował Ebby i w pokoju rozległ się chichot.

– Nie widzę w tym, kurwa, nic śmiesznego – warknął Torriti. Jego oczy, nagle rozbłyśnięte gniewem, były utkwione w dowcipnisia. – Rusczy dostali cynk... Te fiuty z KGB zawsze wiedzą, kto, gdzie i kiedy. Wiszniewski dostał kulkę w tył głowy i tylko to mnie obchodzi, jasne? Obchodzi mnie, bo liczył, że go z tego wyciągnę, a ja nawaliłem. Obchodzi mnie, bo niewiele brakowało, a byłoby już po nas, tylko dlatego, że jakiś pieprzony kret gra nam na nosie. Jak to się dzieje, że prawie wszyscy nasi agenci w Czechosłowacji czy Rumunii kończą przed plutonem egzekucyjnym? Jak to się dzieje, że cichociemni, których przerzucamy do Polski przez zieloną granicę, nie dają znać przez radio, że mają fajne wakacje, PS pozdrowienia dla wujka Harveya? Jak to się dzieje, że ci skurwiele z KGB wcześniej od nas wiedzą, co zrobimy?

Sapał głośno, a stłoczonym w pokoju ludziom wydało się to sygnałem do walki.

– Dobra... Zrobimy tak. Na początek chcę mieć nazwiska wszystkich, od samego pieprzonego Bedella Smitha w dół, tych z Waszyngtonu i tych z berlińskiej bazy... Każdego, kto wiedział o eksfiltracji dezertera, który mógł zidentyfikować sowieckiego kreta w MI6. Chcę mieć nazwiska sekretarek, które pisały wiadomości, chcę nazwiska szyfrantów, którzy te wiadomości szyfrowali i odszyfrowywali, chcę nazwiska tych, którzy palili te cholerne taśmy i maszynopisy.

Oczy panny Sipp, pochylonej nad stenogramem nocnej depeszy, łzawiły ze zmęczenia.

– W jakim trybie to pójdzie, panie Torriti? W Waszyngtonie jest siedem godzin wcześniej. Wszyscy śpią w najlepsze.

– NATYCHMIAST – warknął Czarnoksiężnik. – Obudzimy sukinsynów...

Matka siedział przy „dyżurnym” stoliku numer 41 w „La Niçoise”, swojej ulubionej knajpce na Wisconsin Avenue. W ogromnym lustrze *vis à vis* mógł obserwować wszystko, co dzieje się na sali. Przyszedł tu z Adrianem i jakimś ważnym gościem z Londynu, żeby obgadać kilka spraw. Kelner zabrał pustą butelkę po burbonie i postawił przed nimi podwójne martini. Stuknęli się szklaneczkami.

– To były cz-cz-czasy! – mówił Adrian do ważnego gościa, brytyjskiego podsekretarza stanu, który właśnie naciągnął Firmę na sfinansowanie planu przekształcenia Malty w bazę przerzutową albańskich operacji. – Nocami wdrapywaliśmy się na dach „Rose Garden”, z b-b-butelkami whisky za pazuchą, żeby popatrzeć na niemieckie V-1. Chryste, gdyby jakiś trafił w Ryder Street, zdmuchnąłby połowę naszych szpiegów!

– Terkotały z daleka jak maszyna do szycia – wspominał Angleton. – Potem chwila kompletnej ciszy, świecąca smuga na niebie i huk. Jeśli

spadały gdzieś blisko, dygotał cały budynek.

– Nie cierpiałem tej ciszy. – Adrian skrzywił się z niechęcią. – Zostało mi to do dziś. Pewnie dlatego tyle mówię.

– Mnie to na szczęście ominęło – mruknął ważny gość. – To była ciężka wojna... – Podciągnął wykrochmalone mankiety i zerknął na bardzo drogi zegarek z datownikiem i kwadrami księżyca. – Może byśmy coś zamówili? – zapytał.

Adrian udawał, że nie słyszy.

– Najlepsze b-b-były noce – paplał dalej. – Pamiętacie, jak nasze szperacze dźgały niebo, tropiąc szkopskie bombowce? A kiedy już któregoś namierzyły, wyglądał jak olbrzymia pieprzona ćma, przyszpilona promieniem światła.

– A niech to! Kogo my tu widzimy? Pan Hoover we własnej osobie... Kim jest ten gość obok niego?

Adrian łypnął zza okularów od państwowego optyka.

– Nie mam pojęcia.

Angleton zerknął w lustro.

– To senator Kefauver – powiedział.

Uniósł trzy palce, żeby zamówić następną kolejkę.

– Mieszkałem w kawalerce przy Craven Hill, niedaleko Paddington... Pamiętasz chyba? Nie włóczyłem się po dachach. Noce spędzałem na łóżku polowym w mojej klitce.

– Już wtedy harował jak wół – wyjaśnił Adrian ważnemu gościowi. – Trudno go było oderwać od roboty. Kiedy tylko się do niego zajrzało, dzień i noc przesiadywał nad tymi swoimi cholernymi fiskami, głowiąc się, jak poskładać wszystko do kupy.

– Znacie bajeczkę o takim jednym, co się uczył, uczył, aż się przeuczył?
– błysnął dowcipem ważny gość.

Adrian spojrzał z ukosa.

– Szczerze mówiąc, nie – odparł. – I co było dalej?

– Nie pamiętam dokładnie... Facet marnie skończył. Też nazywał się Jack...

– Który Jack? – spytał Matka, unosząc w zdumieniu brwi.

– Jak to który? – ważny gość był wyraźnie spłoszony. – Po prostu Jack...
– tłumaczył się z nerwowym uśmiechem.

– Chryste, Jimbo, myślałem, że pęknę ze śmiechu, jak go spytałeś o tego Jacka – powiedział Adrian, kiedy brytyjski dygnitarz, którego wykrochmalone mankiety nieco oklapły od częstego patrzenia na zegarek, wstał z ulgą od stolika, by udać się do Foggy Bottom^[5] na ważne spotkanie o czwartej.

Siedzieli nad przyniesioną na specjalne zamówienie Angletona butelką calvadosu, rozkoszując się bukietem aromatycznego trunku, gdy nagle Matka przeprosił, że musi wyjść na chwilę, i wybiegł z restauracji, by zadzwonić do swojej sekretarki. W obawie przed rosyjskim podsłuchem nie chciał ryzykować rozmowy z automatu w knajpce, gdzie wszyscy go znali; wolał skorzystać z telefonu w mieszczącym się tuż obok sklepie krawieckim. Gdy wracał do stolika, zatrzymał go szef waszyngtońskiej placówki do kontaktów z francuskim SDECE, monsieur Andrieux, który zerwawszy się z krzesła, zaczął wylewnie ścisnąć dłoń Matki, szepcząc mu do ucha tajne informacje. Upłynęło ładnych parę minut, zanim Angleton zdołał się od niego uwolnić. Usiadł wreszcie, odetchnął z ulgą i czekając, aż Adrian napełni mu kieliszek, mruknął:

– Francuzi traktują mnie jak szycę, odkąd przypięli mi do piersi Legię Honorową.

– Żabojady to inna rasa. – Adrian skrzywił się, dyskretnie tłumiąc beknięcie. – Pamiętam, jak jakiś ważniak z SDECE wymądrzał się, uzgadniając z nami szczegóły planu wspólnej operacji przeciw francuskim komunistom... Przyznał, że może i zda egzamin w praktyce, ale wątpił, czy sprawdzi się w teorii. Przepraszam za mojego podsekretarza stanu, Jimbo. Facet lubi zjeść, a ktoś musiał mu postawić ten obiad. Podobno to świetny fachowiec, chociaż nie mam pojęcia, czym się właściwie zajmuje. Nareszcie sobie poszedł, więc możemy pogadać o naszych sprawach. Masz wieści z Berlina?

Matka zmierzył przyjaciela badawczym spojrzeniem.

– Nie spodobają ci się.

– Wal śmiało.

– *Amicitia nostra dissoluta est*: „Przyjaźń nasza jest skończona”. To do ciebie i twoich kumpli z KGB...

Adrian docenił żart i zachichotał z aprobatą. W lot rozpoznał cytata.

– Neron do Seneki, kiedy stwierdził, że nadszedł czas, by jego nauczyciel popełnił harakiri. Chryste, Jimbo, zdumiewa mnie t-t-tylko, że udało mi się tak długo m-m-mydląc ci oczy. A tak poważnie, to co się stało z tym twoim Rosjaninem? Przedostał się do Berlina?

– Wczoraj Czarnoksiężnik wyrwał mnie ze snu w środku nocy depeszą sygnowaną NATYCHMIAST. Odtąd jestem z nim w stałym kontakcie. Wiszniewski się nie pokazał. Zamiast niego pojawili się ludzie z KGB. Były komplikacje. Torriti niepotrzebnie zasiedział się w kryjówce, zbyt długo zwlekał... Musiał zastrzelić jednego z Niemców i ogłuszyć Rosjanina, żeby ratować tyłek. Wiszniewski i jego żona dostali prawdopodobnie

końską dawkę środków nasennych i odlecieli z powrotem do Moskwy wypić piwo, którego sami nawarzyli. Dzieciaka wywieziono z nimi.

– Chryste, kto nawalił?

– Ty mi powiedz.

– A historyjka Wiszniewskiego o krecie w MI6?

W odpowiedzi Matka powiódł żółtym od nikotyny palcem wokół brzegu kieliszka, aż szkło wydało melancholijny jęk.

Adrian zamyślił się na chwilę i powiedział:

– Przykra sprawa. Może powinienem przekazać historyjki Wiszniewskiego do C? Nie jest tego zbyt wiele, ale starczy na zaostrenie apetytu. Powiedz, jeśli coś pokręciłem. Zeszłego lata Rosjanie przesłuchiwali kogoś z MI6 w Sztokholmie, a potem zimą w Zurychu. Były też dwie spalone operacje: jedna dotyczyła agenta, druga mikrofonu w Hadze...

– Dałeś mi słowo, że będziesz milczał jak grób – przypomniał Angleton.

– Jak C się zorientuje, że wiedziałem o wszystkim i nie pisałem ani słowa, zrobi sobie podwiązki z moich bebechów.

– Ode mnie się tego nie dowie.

– Ale co zyskamy czekaniem?

– Jeżeli Wiszniewski nie blefował i w MI6 rzeczywiście jest kret, to może być nim każdy, nawet C.

– Myślę, że kto jak kto, ale on jest poza wszelkim podejrzeniem. – „Angol” wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Kelner przyniósł srebrną tackę z rachunkiem. Adrian sięgnął po czek, ale Angleton był szybszy.

– Ostatnio płaciła królowa – powiedział. – Dzisiaj ja stawiam.

Harold Adrian Russell Philby – Kim dla kolegów z MI6, Adrian dla garstki starych kumpli z Ryder Street – uśmiechnął się z przymusem.

– Najpierw Malta. Teraz lunch. Wygląda na to, że siedzimy w kieszeni jankesów.

Jack McAuliffe zabrał Ebby'ego do eleganckiego kabaretu „Die Pfeffermühle” – „Młynek do Pieprzu” – na przedmieściach Berlina, niedaleko Kurfürstendamm, roziskrzanej neonami głównej arterii stolicy. W lokalu aż się roiło od dyplomatów, szpiegów i biznesmenów z czterech mocarstw okupujących miasto. Na małej scenie transwestyta, ubrany w jaskrawy, jarmarczny strój, zwany przez Niemców *Fahne*, zabawiał gości żarcikami, z których sam rechotał najgłośniej.

– Nie śmiejcie się, towarzyszu, z antyradzieckich dowcipów – przestrzegał, grożąc palcem wyimaginowanemu rozmówcy. – Mogą was zamknąć w więzieniu na trzy lata!

– Wolę to niż trzy lata w przytulnym mieszkanku w nowym wieżowcu na Friedrichsmain – odpowiadał sam sobie piskliwym dyszkantem.

Grupka Anglików z towarzystwa, pijących w kącie przy barze, ryknęła śmiechem, bo jeden z nich właśnie opowiedział kawał. Komik ukłonił się im, myśląc, że to jego występ wywołał tę nagłą wesołość.

Przy małym stoliku, pod drzwiami do toalety, Jack zdjął palcem piankę z piwa, odchylił głowę, odsłaniając ruchliwe jabłko Adama, i duszkiem wychylił złocisty płyn. Otarłszy usta wierzchem dłoni, ostrożnie postawił kufel obok dwóch innych, które już zdążył opróżnić.

– Chryste, Ebby, przestań się go czepiać – odezwał się do przyjaciela. – Czarnoksiężnik jest jak beapański pies, włóczący się po okolicy. Jeśli chcesz, żeby cię zaakceptował, stań bez ruchu i pozwól mu obwąchać twoje spodnie i buty.

– A po co chleje? – zrzędził Ebby. – Nie rozumiem, jak taki żałosny moczymorda może kierować berlińską bazą.

– Alkohol to jego środek znieczulający. On cierpi, Ebby. W ostatnich miesiącach wojny służył pod Wisnerem w OSS w Bukareszcie. Widział sowieckie transporty, wywożące do łagrów na Syberii Rumunów podejrzanych o kolaborację z Niemcami. Patrzył, jak ładowano ich do bydłęcych wagonów, słyszał krzyki katowanych więźniów, pomagał grzebać tych, którzy woleli umrzeć niż wsiąść do tych pociągów śmierci. To wszystko napiętnowało jego życie. Walkę z komunizmem traktuje jak osobistą krucjatę... Walkę dobra ze złem. Dzisiaj zło zwyciężyło i to go zabija.

– Więc pije.

– Owszem, pije. Ale to mu nie przeszkadza w robocie. Świetnie sobie radzi, a pożywką dla jego geniuszu jest alkohol. Jeśli KGB kiedykolwiek mnie przygwoździ na jakimś dachu, chciałbym, żeby Harvey był tam ze mną.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia; Ebby słyszał już plotkę o wpadce z Wiszniewskim.

Po drugiej stronie sali pijany radziecki attaché, ubrany w dwurzędową marynarkę z ogromnymi klapami, zatoczył się, wyśpiewując po rosyjsku na całe gardło popularną piosenkę *Podmoskownyje wieczera*. Przy barze dwaj amerykańscy dyplomaci, świeżo upieczeni absolwenci Yale, zeskoczyli ze stołków i w odpowiedzi zaintonowali piosenkę do słów Kiplinga, tę samą, która później stała się hymnem wioślarskiej drużyny Yale:

*Już wyzbyci i Nadziei, i Honoru,
utraceni i dla Prawdy, i Miłości...*

Jack, zerwawszy się z miejsca, zaczął śpiewać wraz z nimi:

W dół drabiny coraz niżej się zsuwamy...

Ebby, który co prawda ukończył prawo na Uniwersytecie Columbia, ale przedtem też studiował w Yale, poszedł za jego przykładem.

Nasza rozpacz miarą naszej jest młodości.

Boże, pomóż, od zbyt młodych lat zło znamy!

Sześciu Amerykanów, siedzących wokół dużego stołu w kącie, odwróciło się, żeby posłuchać. Kilku dołączyło do chóru.

Niech nasz wstyd pokutą będzie,

zbrodnie spłacić czas nadejdzie,

naszą dumą jest nie zaznać nigdy dumy.

W miarę jak zbliżali się do końca piosenki, coraz więcej głosów rozbrzmiewało na kabaretowej sali. Komik transwestyta, wściekły, zszedł ze sceny.

Teraz nas przygniata klątwa Rubenowa,

póki nas obca ziemia nie pochowa.

Gdy zginiemy, nikt nie powie, gdzieśmy padli.

Teraz już wszyscy Amerykanie stali i potrzęsali kuflami nad głową, rycząc na całe gardło refren piosenki. Radzieccy i wschodnioeuropejscy dyplomaci przyglądali się im z rozbawieniem.

W BITEWNYM SZALE WOJACY DŻENTELMENI,

STĄD DO WIECZNOŚCI POTĘPIENI,
JAK BIEDNE OWIECZKI ZAGUBIENI,
ZLITUJ SIĘ, BOŻE, BEEE...!^[6]

– Wszyscy jesteśmy stuknięci, Ebby! – wrzeszczał Jack, usiłując przekrzyczeć huk oklasków. – Ja jestem wariat. Ty jesteś wariat. Pytanie, jak ja się w to wpakowałem?

– O ile dobrze pamiętam naszą rozmowę w „Cloud Club” – odkrzyknął Ebby – popełniłeś fatalny błąd, mówiąc „tak”, kiedy trener zaprosił ciebie i twojego kumpla od wiosł na *green cup*^[7] do Mory’ego.

CZEŚĆ I

ŁADUJĄC BROŃ

Już w następnej chwileczce Alicja wpadła tam za nim, nie zastanawiając się w ogóle, jakim cudem uda jej się stamtąd wydostać.

Zdjęcie: pożółkła czarno-biała fotografia, wielkości osiem na trzynaście centymetrów. Wzdłuż ząbkowanego brzegu biegnie wyblakły odręczny podpis: „Jack, Leo i Stella po wyścigu, ale przed upadkiem”. Data jest rozmazana i nieczytelna. Na zdjęciu dwóch studentów wymachujących wiosłami, na których powiewają zdarte z pleców drużyny Harvardu koszulki, pozuje na tle lekkiej łodzi wioślarskiej. Nieco z boku stoi szczupła dziewczyna w spódnicy do kolan i męskim uniwersyteckim swetrze, uchwycona akurat w momencie, gdy palcami lewej dłoni odgarnia z czoła włosy, odsłaniając duże, pełne wyrazu oczy. Chłopcy, a raczej młodzi mężczyźni, ubrani są identycznie – w wioślarskie trampki, szorty i podkoszulki bez rękawów z dużym „Y” na piersi. Wyższy, o twarzy ozdobionej kozackim wąsem, ściska w ręku szyjkę otwartej butelki szampana. Głowę zwróconą ma w kierunku koszulki, powiewającej na wiosle niczym proporczyk, ale wzrokiem pożera dziewczynę.

NEW LONDON, CONNECTICUT, NIEDZIELA, 4 CZERWCA 1950

Idąc łeb w łeb pomiędzy bojami, dwie łodzie o kształtnych wiosłach, ósemki ze sternikiem, ślizgały się po gładkiej jak lustro powierzchni Tamizy. Leniwe podmuchy wiatru, przesycone słonym aromatem morza, przelatywały nad dziobami łodzi, niosąc schrypnięte okrzyki stojących na brzegu studentów. Wioślarz szlakowy Yale, Jack McAuliffe, za wcześnie położył pióro na płask. Natychmiast chwycił za rękojeść, żeby naprawić błąd, i usłyszał, jak sternik, Leo Kritzky, zaklął pod nosem. Na finiszu Leo zwiększył tempo do sprintu. Siedzący za Jackiem wioślarze dyszeli ciężko przy każdym ruchu. Jack, skulony tak, że kolana wciskały mu się pod pachy, wreszcie chwycił rytm i wiosło posłusznie ustawiło się do fali. W tej samej chwili poczuł ostre ukłucie pod żebrzem, w którym odnowiło się dawne złamanie. Nie zważając na ból, pociągnął za trzonek, śliski od krwi sączącej się z obtartej dłoni. Na ułamek sekundy oślepił go blask słońca na wodzie. Odzyskawszy wzrok, Jack zobaczył, niby w lustrzanym odbiciu, ósemkę Harvardu – idealnie zsynchronizowane wiosła zanurzały się lekko, wyskakiwały w górę i znów opadały. Leo stwierdził widocznie, że łódź Harvardu wyszła za bardzo do przodu, bo podkręcił ilość uderzeń do czterdziestu ośmiu na minutę. Jack, balansując na ostrzu stępki, na zmianę kurczył i rozprostowywał płynnym ruchem nogi i ręce, poddawszy się rytmowi bólu. Kiedy łódź Yale przekroczyła linię mety o włos przed osadą „szkarłatnych”, opadł ciężko na wiosło, zastanawiając się, co go podkusiło, żeby wstąpić do drużyny.

– Wioślarstwo – perorował trener Skip Waltz, usiłując przekrzyczeć hałas, jaki panował na stacji kolejowej New Haven – stanowi wstęp do prawdziwego życia w tym sensie, że bierzesz do ręki surowe tworzywo i cierpliwie je szlifujesz. To w gruncie rzeczy bardzo proste.

– A kiedy nadchodzi najtrudniejszy moment w całym wyścigu? – zapytał reporter studenckiej gazety Yale.

Waltz skrzywił się.

– Myślę, że za każdym razem, gdy przymierzasz się do kolejnego pociągnięcia, bo poruszasz się wówczas w przeciwnym kierunku niż łódź. Masz wrażenie, że płyniesz pod prąd. Zawsze powtarzam moim chłopcom, że w wioślarstwie jak w życiu. Jeśli nie złapiesz równowagi na kilu, łódź się zachybcze, a zwycięstwo wymknie ci się z rąk.

Trener zerknął na dworcowy zegar.

– To co, chłopcy, chyba wystarczy? – powiedział i odszedł na peron, gdzie zawodnicy zdejmowali żeglarskie worki z wózka bagażowego.

Waltz pogrzebał w kieszeni spodni, wyjął dziesięciocentówkę i dał ją tragarzowi Murzynowi, który podziękował za napiwek, przyłożywszy dwa palce do daszka czerwonej czapki.

– Kto jedzie do Mory’ego na *green cup*? – zapytał Waltz.

– Nie pogniewa się pan, jeśli odmówię? Jutro o jedenastej mam ustny z filozofii, a jeszcze nie przerobiłem *Krytyki czystego rozumu* Kanta – westchnął markotnie jakiś nieszczęśnik.

Jeden za drugim zarzucali żeglarskie worki na ramię, żegnali się i wracali do college’u. Tylko Jack, Leo i jego dziewczyna, Stella, przyjęły zaproszenie trenera. Waltz poszedł po samochód, frazer vagabond, stojący na parkingu w dole ulicy. Czekali na niego przed wejściem. Kiedy podjechał, wrzucili worki do bagażnika i usiedli z tyłu ze Stellą.

U Mory'ego było prawie pusto. Dwaj kelnerzy obsługiwali garstkę studentów pod krawatem, świętujących zwycięstwo nad rywalami z Harvardu.

– *Green cup* dla moich chłopców! – zawołał trener, kiedy wszyscy czworo sadowili się na drewnianych krzesłach z wysokim oparciem naokoło małego stolika.

Przez chwilę rozprawiali o wadze łódek, kształtach wiosł i optymalnej długości ślizgu.

– Czy to prawda, że ślizg wymyślili wiosłarze z Yale? – zapytał Jack.

– A jak! – odparł trener. – To było jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku^[8]. Przedtem zawodnicy smarowali spodnie tłuszczem i ślizgali się na tyłku, tam i z powrotem, po drewnianej desce na dnie kadłuba.

Kiedy przyniesiono *green cup*, trener Waltz podniósł kieliszek i wypił za zdrowie załogi. Milczał chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem zapytał od niechcena, czy znają jakiś obcy język. Okazało się, że Jack biegle posługuje się niemieckim i całkiem nieźle radzi sobie z hiszpańskim; student historii, stypendysta Leo Kritzky – gniewny młody człowiek, który dorastał w rodzinie żydowskich imigrantów z Rosji, zajadłych antykomunistów – specjalizował się w językach słowiańskich, a po rosyjsku i w jidysz mówił nie gorzej niż po angielsku; liznął też trochę włoskiego. Trener przyjął to do wiadomości krótkim skinieniem głowy, a następnie zapytał, czy starcza im czasu, żeby śledzić na bieżąco wszystko, co dzieje się na świecie, a kiedy odpowiedzieli, że tak, skierował rozmowę na komunistyczny zamach stanu w Czechosłowacji w 1948 roku i niedawny wyrok śmierci na węgierskiego kardynała Mindszentyego. I Leo, i Jack byli zgodni co do tego, że gdyby Amerykanie i Brytyjczycy nie wytyczyli linii w poprzek Europy i nie bronili jej tak skutecznie, to rosyjskie czołgi

obróciłyby w perzynę Niemcy i Francję, aż po kanał La Manche. Waltz spytał też, co myślą o sowieckiej próbie wyparcia aliantów z Berlina.

Jack wygłosił płomienną obronę mostu powietrznego Trumana, który zmusił Stalina do wycofania się z blokady.

– Zimna wojna przekształci się w konflikt zbrojny – powiedział, pochylając się przez stół. – Po kapitulacji Niemiec i Japonii Ameryka za szybko się rozbroiła. I to był błąd. Teraz musimy znowu się zbroić. I pospieszmy się, na litość boską. Przestańmy przyglądać się zimnej wojnie, zacznijmy walczyć. My robimy uniki, a oni tymczasem zmieniają państwa satelickie w państwa zniewolone, sabotują wolne wybory we Francji i we Włoszech...

Trener zapytał:

– Ciekaw jestem, chłopcy, jak się zapatrujecie na działalność McCarthy'ego?

Jack powiedział:

– No cóż, może i Joe McCarthy przesadza, kiedy mówi, że w rządzie roi się od komuchów. Ale, jak to mówią, nie ma dymu bez ognia.

– A ja to widzę tak – wtrącił Leo. – Trzeba rozruszać trochę tę nową agencję wywiadowczą, którą wymyślił Truman. Sowieci nas szpiegują. To co, mamy być gorsi?

– Jestem za! – przyklasnął Jack.

Stella, pracownica socjalna z New Haven, starsza od Leo o siedem lat, z dezaprobatą pokręciła głową.

– Nie zgadzam się z ani jednym słowem, chłopcy. Jest taka piosenka z listy przebojów... *Baw się (jest później, niż myślisz)*. Ten tytuł mówi wszystko: powinniśmy bawić się, póki czas, bo jest p ó ż n i e j, niż nam

się wydaje... No co, każdy może mieć własne zdanie – dodała, rumieniąc się pod ich spojrzeniem.

– Trener Waltz mówi poważnie, Stello – powiedział Leo.

– Ja też. Lepiej bawmy się, zanim wybuchnie wojna, bo potem będzie za późno. Ci, którzy przeżyją, będą pełzać jak robaki w podziemnych schronach, uciekając przed radioaktywnym opadem.

W drodze powrotnej do mieszkania, które Leo i Jack (o ile nie waletowali na składanych łózkach w yale’owskim hangarze na łodzie w Hausatonic) dzielili ze stypendystą z Moskwy, Jewgienijem Aleksandrowiczem Cypinem, Kritzky próbował jeszcze przekonać Stellę, ale ona upierała się przy swoim.

– Nie widzę sensu w zaczynaniu całej tej strzelaniny od nowa tylko po to, by utrzymać się w jakimś zapadłym kącie Europy.

Tego już było dla Leo za wiele.

– Taki pacyfizm to woda na młyn Stalina.

Stella przytuliła się do Jacka, lekko trącając go piersią w łokieć.

– Leo jest na mnie zły, Jacky – powiedziała z udawaną urazą. – Ale ty mnie rozumiesz.

– Prawdę mówiąc, oboje macie rację – odparł dyplomatycznie.

– Uważaj, stary! Nie wchodź mi w drogę – ostrzegł Leo.

– Myślałem, że w drużynie wszystko jest wspólne – drażnił się z nim Jack.

Leo stanął jak wryty.

– O czym ty gadasz, do cholery? Chcesz, żebym ci pożyczył Stellę na jedną noc?

– Znowu to samo – westchnął Jack melancholijnie. – Jesteś przewrażliwiony, jak zwykle.

– Kiedy to wreszcie do niego dotrze? – Stella uśmiechnęła się do Jacka. – Chodząca mimoza!

Odwróciła się do Leo.

– Wyjaśnijmy coś sobie – powiedziała, a jej twarz spoważniała nagle. – Nie jestem twoją własnością. Niech ci się nie wydaje, że masz na mnie koncesję. Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nikt nie ma prawa pożyczać Stelli, chyba że Stella sama tego zechce.

Poszli dalej przed siebie.

Jack w zamyśleniu pokręcił głową.

– Cholera! Leo, chłopie, ale z nas dupki! Przecież obaj zostaliśmy wybrani!

– Stella jeszcze nie wybrała...

– Daj spokój Stelli. To Waltz! Pamiętasz, co powiedział tuż przed wyjazdem do Roach Ranch? Dyskutował z nami o polityce... Przypomnij sobie. Pytał, czy sądzimy, że patriotyzm wyszedł z mody, i czy jeden człowiek może ustrzec świat od groźby wojny atomowej? A na odchodnym poprosił, żebyśmy zachowali tę rozmowę dla siebie i uważali na Jewgienija, bo to syn sowieckiego dyplomaty i...

– Nie róbcie z Jewgienija komunisty! – zachnęła się Stella.

– Nic takiego nie powiedziałem – odparł Jack. – Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, jego ojciec nie zaszedłby tak wysoko, gdyby nie był komunistą. – Zwrócił się znów do przyjaciela. – Jak mogliśmy tego nie zauważyć? Nasz trener jest łowcą talentów. A talenty to my.

Leo zaprezentował jeden ze swoich słynnych kwaśnych uśmieszków.

– A niby dla kogo miałyby wyszukiwać te talenty? Dla Straży Przybrzeżnej w New Haven?

– Czuję, że to ma jakiś związek z rządem. I mogę się założyć, że nie chodzi o Państwowe Służby Leśne. – Kozacki wąs Jacka zatrzęsł się triumfalnie. – A niech to! Mam nadzieję, że Zakon Czaszki i Kości nas nie podsłuchuje, ale coś mi mówi, że wszystkie tajne stowarzyszenia w Yale razem wzięte to przy tym pestka.

– Nie ma organizacji bardziej tajemniczej niż Zakon Czaszki i Kości – oświadczyła Stella, ale jej towarzysze pochłonięci już byli własnymi myślami.

Wspiąwszy się gęsiego po wąskich, słabo oświetlonych schodach obskurnego budynku przy Dwight Street, pchnęli drzwi mieszkania na czwartym piętrze bez windy i rzucili w kąt żeglarskie worki. Przy kuchennym stole, z głową opartą na *Wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych* Trevelyana, drzemał Jewgienij. Kiedy Jack potrząsnął go za ramię, Rosjanin przeciągnął się, ziewając.

– Śniło mi się, że przyплыnęliśmy pierwsi i zajęliśmy trzecie miejsce w głównym wyścigu Harvard–Yale – powiedział.

– Leo przeszedł w sprint na finiszu – odparł Jack. – Wygraliśmy o włos. Dwóch wioślarzy, którzy zmarli na skutek wyczerpania, pochowano z honorami w odmętach rzeki.

Stella zapaliła gaz pod czajnikiem. Jack nastawił pocztówkową płytę Cole'a Portera. Cała „trojka” współlokatorów, jak sami siebie nazywali, zepchnęła w kąt sprzęt wioślarski i usadowiła się na podłodze ciasnego pokoju, przygotowując się do tradycyjnego męskiego „wieczorku”. Jewgienij, postawny młody mężczyzna o konopnej czuprynie i jasnych oczach, które zdawały się zmieniać kolor zależnie od nastroju, specjalizował się w historii Ameryki i stał się swego rodzaju maniakiem

wojny secesyjnej – godzinami ślęczał nad *Szpiegami generała Waszyngtona* Pennypackera i *Wojną o niepodległość* Trevelyana, a podczas zimowych ferii zrobił sobie wycieczkę śladami Waszyngtona, przemierzając trasę armii powstańczej od Valley Forge, przez skute lodem przestrzenie Delaware, aż do Trenton.

– Odkryłem ogromną różnicę między rewolucją amerykańską i bolszewicką – mówił teraz. – Amerykanom zabrakło jedności, nadrzędnej idei, wizji totalnej.

– Amerykanie byli przeciwni tyranii i opodatkowaniu bez reprezentacji – przypomniał Jack rosyjskiemu przyjacielowi. – Opowiadali się za prawami jednostki, a zwłaszcza prawem mniejszości do wyrażania swoich poglądów bez narażania się na dyskryminację ze strony większości. I to jest nasza nadrzędna idea.

Jewgienij posłał mu kwaśny uśmiezek.

– To, co Jefferson głosił o wolności jednostki, nie dotyczyło Murzynów, którzy pracowali w jego fabryce gwoździ w Monticello. Nawet powstańcza armia Waszyngtona, tak idealistyczna w swoim programie, rządziła się elitarnymi zasadami. Jak dostałeś powołanie, mogłeś komuś zapłacić, żeby cię zastąpił, albo wysłać czarnego niewolnika.

Stella wsypała po łyżeczce kawy rozpuszczalnej do kubków, napełniła je wrzątkiem z czajnika i podała przyjaciołom.

– Totalna wizja Ameryki polegała na propagowaniu określonego stylu życia – skomentowała. – To się nazywa Objawione Przeznaczenie^[9].

– Amerykański styl życia – zaproponował Jack – nie jest znowu taki zły dla stu pięćdziesięciu milionów Amerykanów, zwłaszcza kiedy popatrzyysz, jak radzi sobie reszta świata.

Stella nie dała za wygraną.

– Ejże, w pracy na co dzień stykam się z Murzynami. Są rodziny, których nie stać nawet na jeden solidny posiłek dziennie. Tych ludzi też wliczyłeś w swoje sto pięćdziesiąt milionów?

Jewgienij przyprawił sobie kawę tanim koniakiem i podał flaszkę dalej.

– To, co motywowało Waszyngtona i Jeffersona, to, co motywuje współczesnych Amerykanów, to coś w rodzaju sentymentalnego imperializmu – powiedział, mieszając kawę ołówkiem z gumką na końcu. – Wojna zaczęła się na Wschodnim Wybrzeżu i rozszerzyła na cały kraj po trupach dwóch milionów Indian. Wy, Amerykanie, pieprzycie o ochronie światowej demokracji, ale tak naprawdę chcecie zapewnić „światowe bezpieczeństwo” dla United Fruit Company.

Leo sposepniał.

– A ty, Jewgieniju, jak byś urządził ten świat?

Jack wstał, żeby nastawić nową płytę.

– Tak, opowiedz nam o wizji jedności według Stalina.

– Moja idea jedności nie ma nic wspólnego z totalitaryzmem Stalina ani z doktryną Marksa. Jej twórcą jest Lew Tołstoj. Spędził większą część życia na poszukiwaniu klucza, który pasowałby do wszystkich drzwi; pragnął sformułować uniwersalną teorię, tłumaczącą nasze namiętności, ekonomię, biedę i politykę. Tak naprawdę jestem tołstojowcem.

Leo powiedział:

– Według Marksa tym uniwersalnym czynnikiem, siłą, która warunkuje wszystkie wybory człowieka, jest ekonomia.

Stella trąciła Jacka łokciem w żebro.

– Myślałam, że to seks stoi za naszymi wyborami – drażniła się.

Jack pogroził jej palcem.

– Znowu czytałaś Freuda.

– Błąd Freuda polegał na tym, że przypadek indywidualny potraktował jako normę – kontynuował Jewgienij, pochyliwszy się nieco ku przodowi, zasłuchany we własne słowa. – A tym indywidualnym przypadkiem był on sam. Nie zapominajcie, że analizował głównie swoje sny. Tołstoj wykroczył daleko poza własną jaźń. W swoim pisarstwie uchwycił fatalizm dziejów, niezgłębione prawa historii, ukryte siły, które pociągają za sznurki historii, ową „wielkość czegoś niepojętego, lecz najważniejszego”^[10], jak mówi jego książkę Andrzej w *Wojnie i pokoju*.

Leo wylał ostatnie krople koniaku z butelki do swojego kubka.

– Ludzkie doświadczenie jest zbyt złożone i niespójne, żeby można je było wyjaśnić jednym prawem lub jedną prawdą.

Jack stwierdził beznamiętnie:

– Wszystkie wizje, które prowadzą do obozów koncentracyjnych, są z gruntu złe.

Stella podniosła rękę, jakby zgłaszała się do odpowiedzi na lekcji.

– W Ameryce też są obozy koncentracyjne. Trudniej je zauważyć, bo nie mają drutów ani murów. Nazywamy je murzyńskimi gettami i rezerwatami dla Indian.

Jewgienij wpadł jej w słowo.

– Stella ma rację, oczywiście...

– A żelazna kurtyna? – wybuchnął Jack. – A zniewolenie uwięzionych za nią narodów? Zrozumcie, do ciężkiej cholery, że Murzyn może wyjść z getta, kiedy mu się żywnie podoba, czego nie da się powiedzieć o Polakach i Węgrach.

– Czarni żołnierze służyli podczas drugiej wojny światowej w odrębnych jednostkach pod białymi oficerami – odparował Jewgienij. – Wasz mister

Truman wziął się do integracji sił zbrojnych dopiero w zeszłym roku, osiemdziesiąt cztery lata po zakończeniu wojny secesyjnej.

– Dyskusja jak z dupą w nocy... Nie mam do was siły – stwierdził Jack, zniechęcony.

Jewgienij wstał, wyjął kolejną butelkę koniaku zza książek na półce i puścił w obieg. Przyjaciele polali fusy na dnie kubków, a Jewgienij wzniósł swój tradycyjny toast po rosyjsku:

– *Za sukces naszego beznadziejnego dzieła!*

– *Za sukces naszego beznadziejnego dzieła!* – powtórzyli Jack i Leo.

– Mówiłeś mi już setki razy, ale zawsze zapominam. Co to znaczy? – spytała Stella.

Leo przetłumaczył.

– Za zwycięstwo naszej beznadziejnej sprawy!

Stella stłumiła ziewnięcie.

– Dla mnie w tej chwili beznadziejną sprawą jest nie zamknąć oczu. Chyba uderzę w kimono. Idziesz, Leo, kochanie?

– Idziesz, Leo, kochanie? – zagruchał Jack, przedrzeźniając Stellę.

Leo wstał, posłał Jackowi na odchodnym wyzywające spojrzenie, po czym wraz ze swoją dziewczyną zniknął w pokoju na końcu korytarza.

Wcześniej rano, kiedy pierwsze, blade promienie słońca rozbłysły nad Harkness Quadrangle, Leo obudził się i stwierdził, że na wąskim łóżku nie ma Stelli. Wstał zaspany, bo usłyszał za ścianą ciche skrobanie igły adapteru, wirującej po gładkich rowkach niewyłączonej płyty. Jewgienij, pogrążony w głębokim śnie, leżał na starej kanapie pod oknem z podartą roletą. Ręka chłopca zwisała bezwładnie, z palcami wciśniętymi w porzucone na podłodze dzieło Trevelyana o wojnie o niepodległość. Leo delikatnie podniósł igłę z płyty i wyłączył nocną lampkę. Kiedy jego oczy

przyzwyczały się do półmroku, zauważył światło, sączące się z pokoju Jacka. Pewien, że ten do rana ślęczał nad książkami, delikatnie nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

Wewnątrz skwiercząca świeczka rzucała roztańczone cienie na obłazącą ze ściany tapetę. Jeden z cieni należał do Stelli. Ubrana w wioślarski bezrękawnik Leo, siedziała na łóżku, opierając się o ścianę, a jej długie nogi były wyciągnięte i rozchylone. Drugi cień rzucał Jack. Klęczał na podłodze, z głową wtuloną w srebrzyste uda dziewczyny. Do zamroczonego snem Leo nie dotarł prawdziwy sens tej widmowej sceny. Zdawało mu się, że zastał przyjaciela rozmodlonego przed ołtarzem.

W półmroku dojrzał twarz Stelli. Patrzyła mu prosto w oczy, a na lekko rozchylonych wargach błąkał się nikły uśmieszek współwinowajczyni.

Wychodząc z pustego biura swojej dawnej kancelarii prawniczej, z którego mógł korzystać, ilekroć bawił na Manhattanie, Frank Wisner zakończył spotkanie z E. (od „Elliott”) Winstromem Ebbitem II i odprowadził go do windy.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że Bill Donovan dopilnował, aby nasze drogi się spotkały – powiedział z charakterystycznym akcentem mieszkańców Missisipi, rozciągając samogłoski, jakby były z gumy. Wisner, znany w Firmie jako As, był zastępcą Allena Dullesa, szefa tego działu nowo powstałej Centralnej Agencji Wywiadowczej, który niektórzy dziennikarze nazywali departamentem brudnych trików. Weteran OSS, o surowej, męskiej twarzy, zaszczycił gościa jednym ze swoich legendarnych, bezzębnych uśmiechów.

– Witam na pokładzie – oświadczył i energicznym gestem podał mu rękę. Ebby, skinąwszy głową, ucisnął wyciągniętą dłoń.

– To dla mnie zaszczyt, że mogę dołączyć do tak znakomitego zespołu.

Kiedy wsiadał do windy, As poklepał go po plecach.

– Zobaczymy, czy będziesz równie zaszczycony, kiedy skopię ci tyłek po nieudanej akcji. Bądź jutro w „Cloud Club” o wpół do piątej.

Ebby wysiadł dwa piętra niżej, żeby zabrać z biurka teczkę pełną sądowych dokumentów. Pchnął podwójne drzwi z wygrawerowanym na szklanej tabliczce złożonym napisem: „Donovan, Leisure, Newton, Lumbard & Irvine. Adwokaci”. Kancelaria świeciła pustkami. Tylko dwie czarne sprzątaczkі pracowicie odkurzały dywany. Wychodząc, zostawił notatkę dla sekretarki: „Proszę odwołać spotkanie o czwartej. Dziś po popołudniu nie ma mnie dla nikogo. Niech pani spróbuje umówić mnie na jakieś piętnaście minut z panem Donovanem na jutro rano, o dowolnej godzinie. Proszę też zrobić kopie zaległych akt i przekazać je Kenowi Brillowi. Niech mu pani powie, że będę wdzięczny, jeśli się spręży i zdąży ze wszystkim najdalej do poniedziałku”. U dołu strony dopisał „E.E.” i wsunął kartkę pod przycisk do papieru na biurku.

W chwilę potem obrotowe drzwi przy Wall Street 2 wypchnęły Ebby’ego prosto w popołudniowy skwar. Luzując krawat, pomachał na taksówkę, podał kierowcy adres przy Park 88 i powiedział, że nie ma potrzeby pędzić na złamanie karku. Wcale mu się nie spieszyło do burzy, jaka się miała rozpętać.

Eleonora (tak właśnie, ze śpiewnym włoskim akcentem, zaczęto wymawiać jej imię, odkąd młodziutka wówczas Eleanor Krandal, studentka Radcliffe, powróciła z Italii, gdzie spędziła pół roku, zgłębiając tajemnice etruskiej biżuterii w rzymskim muzeum Villa Giulia) akurat malowała paznokcie przed wieczornym przyjęciem, kiedy Ebby wszedł do sypialni, mieszając srebrną koktajlową pałeczką absynt z wodą.

– Gdzie byłeś, kochanie?! – zawołała, marszcząc brwi. – Wilsonowie zaprosili nas na ósmą, a to znaczy, że musimy przekroczyć próg ich domu

nie później niż o ósmej trzydzieści. Słyszałam, że przyjdzie pan Harriman...

– U Manny’ego wszystko w porządku?

– Jak panna Utterback odbierała go ze szkoły, nauczycielka powiedziała, że okropnie się przestraszył, kiedy zawyły syreny i wszystkie dzieci musiały schować się pod stolikami. Prawdę mówiąc, sama boję się tych próbnych alarmów. Jak ci poszło?

– Frank Wisner zaprosił mnie dzisiaj po południu na pogawędkę do Carter Ledyard.

Eleonora z umiarkowanym zainteresowaniem oderwała wzrok od paznokci.

– Naprawdę?

Ebby zauważył, że każdy włoszek na nieskazitelnej głowie jego żony jest na swoim miejscu, co oznaczało, że po lunchu z koleżankami z Radcliffe w „Automat” na Broadwayu wstąpiła do fryzjera. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy, gdzie się podziała ta dziewczyna, która przez cztery długie lata czekała wiernie, aż jej ukochany zejdzie z powracającego z wojny okrętu na nabrzeże Manhattanu, udekorowane olbrzymim napisem: „Witamy w domu – dobra robota”. Roznosił ją temperament i aż się paliła, żeby stracić dziewictwo w objęciach narzeczonego, a potem przejść główną nawą pod rękę z ojcem i przyrzec Ebby’ego kochać, szanować i być mu posłuszną, chociaż od pierwszego dnia było jasne, że ten fragment małżeńskiej przysięgi stanowił jedynie formalność. Przez pierwsze lata ich wspólnego pożycia to jej pieniądze – z funduszu powierniczego oraz z pensji półetatowego kupca biżuterii u Bergdorfa – pozwoliły mu przebrnąć przez studia prawnicze na Uniwersytecie Columbia. Kiedy już uzyskał dyplom i został zatrudniony przez „Dzikiego” Billa Donovana – swego dawnego szefa z OSS, który wrócił do praktyki adwokackiej

w Nowym Jorku – Eleonora po krótkim wahaniu postanowiła rzucić pracę, żeby wieść życie, o jakim zawsze marzyła.

Teraz uniósłszy dłoń pod światło, oglądała paznokcie. Ebby zdecydował, że nie ma sensu owijać w bawełnę.

– As zaproponował mi pracę. Przyjąłem jego ofertę.

– Wrócił do Carter Ledyard? Przypuszczam, że nie wyszło mu w Waszyngtonie. Mam nadzieję, że omówiłeś sprawę wynagrodzenia? Znając ciebie, kochanie, jestem pewna, że sam nigdy nie poruszyłbyś kwestii tak krępującej jak pieniądze. Czy wspomniał o ewentualnej spółce? Powinieneś ostrożnie rozdawać karty. Niewykluczone, że Donovan zaproponuje ci stanowisko młodszego wspólnika, żeby zatrzymać cię w firmie. Z drugiej strony, papcio nie miałby nic przeciwko temu, żebyś przeszedł do Carter Ledyard. Zna Wisnera jeszcze z Yale. Obaj należeli do Zakonu Czaszki i Kości. Mógłby szepnąć słówko o tobie...

Ebby poprawił poduszki, wygładził kremową narzutę i wyciągnął się na łóżku.

– Frank Wisner nie wrócił do Carter Ledyard.

– Zdejmij buty, kochanie!

Rozwiązał sznurówki i zrzucił pantofle.

– As pracuje dla rządu.

– Mówiłeś, że spotkaliście się w Carter Ledyard...

Ebby zaczął od początku.

– Frank korzysta tam z biura, kiedy jest w mieście. Zaprosił mnie i zaproponował pracę. Chce, żebym przeniósł się do Waszyngtonu. A poza tym nie zgadłaś, bo, owszem, poruszyłem nieprzyjemną kwestię pieniędzy. Zaczynam w GS-12. Płacą sześć czterysta.

Eleonora z namaszczeniem zakręciła buteleczkę lakieru.

– Kochanie, jeżeli to jakiś głupi żart... – Zamachała palcami w powietrzu, żeby paznokcie szybciej wyschły, ale ujrzawszy wyraz jego oczu, zastygła z uniesioną ręką. – Mówisz poważnie? Chyba nie masz zamiaru angażować się w tę żalosalną agencję wywiadowczą, o której ty i Donovan rozprawialiście nad szklanką brandy zeszłej nocy? Na litość boską, Eb?!

– Przykro mi.

Eleonora rozwiązała pasek jedwabnego szlafrocza, który zsunął się z jej delikatnych ramion na podłogę, gdzie miał pozostać aż do następnego ranka, kiedy kubańska pokojówka posprząta pokój. Ebby zauważył, że żona ma na sobie modną haleczkę, uwydatniającą małe, sterczące piersi.

– Sądziłam, że wreszcie dorosłeś, kochanie – mówiła, wkładając elegancką czarną suknię od Fogarty’ego, ze ściągniętą talią i rozkloszowaną spódnicą. Pewna, że bez trudu wybije mężowi z głowy ten niedorzeczny pomysł, odwróciła się plecami, żeby pomógł jej zapiąć suwak.

– Właśnie – powiedział Ebby i wstał, by zmierzyć się z tym wymagającym nie lada zręczności zadaniem. – Dorosłem. Mam już dosyć kancelarii, fuzji, giełdy i funduszy powierniczych dla zepsutych wnuków. Frank Wisner mówi, że kraj jest w niebezpieczeństwie, i nie on jeden tak myśli. Luce nazwał nasze stulecie wiekiem Ameryki, ale już teraz widać, że będzie to raczej wiek Związku Sowieckiego. Prezydent Czechosłowacji Masaryk został wyrzucony przez okno i szlag trafił ostatni wolny kraj w Europie Wschodniej. Potem oddaliśmy Chiny czerwonym. Jeśli nie weźmiemy się do galopu, komuniści opanują Francję i Włochy, a nasza pozycja w Europie zostanie poważnie zagrożona.

Dał spokój suwakowi i musnął jej kark wierzchem dłoni.

– Wielu ze starej wiary z OSS się zapisuje, Eleonoro. As był taki przekonujący! Powiedział, że ludzi z moim doświadczeniem w zakresie

tajnych operacji nie znajduje się na ulicy. Sama widzisz, że nie mogłem odmówić.

Eleonora wyswobodziła się z jego niezdarnych rąk i podeszła boso do lustra, żeby się przejrzeć.

– Wyszłam za błyskotliwego prawnika ze wspaniałą przyszłością...

– Kochasz mnie czy mój dyplom?

Spojrzała na jego odbicie w lustrze.

– Jeżeli mam być szczerą, kochanie, to i jedno, i drugie. Kocham cię w kontekście twojej pracy. Papcio jest prawnikiem, obaj moi wujowie są prawnikami, bratu został jeszcze rok prawa na Harvardzie, a potem i on dołączy do rodzinnej firmy. Jak mam im powiedzieć, że mój mąż postanowił rzucić posadę za trzydzieści siedem tysięcy dolarów rocznie, w jednej z najlepszych kancelarii na Wall Street, dla roboty za sześć tysięcy? W imię czego, Eb? Zrobiłeś swoje, daj szansę innym. Czy ty zawsze musisz być bohaterem? – Obróciła się gwałtownie do męża, aż spódnica zafalowała jej wokół kostek. – Wiesz co? Nie mówmy o tym dzisiaj. Chodźmy się zabawić do Wilsonów. Prześpij się z tym, Eb. Rano może zmienisz zdanie.

– Przyjąłem ofertę Franka – upierał się Ebby. – Nie wracajmy już więcej do tego.

Piękne oczy Eleonory skamieniały.

– Żebyś wyłaził ze skóry, nigdy nie dorównasz swojemu ojcu, chyba że ktoś postawi cię przed plutonem egzekucyjnym.

– Mój ojciec nie ma tu nic do rzeczy.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem pantofelków.

– Chyba nie oczekujesz, że przeniosę Immanuela do jakiejś odrapanej rudery na obskurnych przedmieściach Waszyngtonu, żeby jego ojciec mógł

podjąć pracę za sześć tysięcy rocznie i szpiegować komunistów, którzy szpiegują Amerykanów, którzy szpiegują komunistów?

Ebby rzucił oschle:

– Sześć czterysta i dwieście dolarów ekstra za wysługę lat w OSS.

Gdy Eleonora odezwała się znowu, jej głos zabrzmiał szorstko.

– Jeżeli porzucisz dobrze zapowiadającą się karierę, opuścisz także żonę i syna. Nie jestem z tych, co to „gdzie ty, tam i ja”.

– Wiem o tym aż za dobrze – westchnął Ebby melancholijnie, z odrobiną nostalgii za tym, co mogło być, ale nie było.

Zręcznym ruchem, który – jak mu się zawsze zdawało – tylko kobiety opanowały do perfekcji, Eleonora sięgnęła z tyłu pomiędzy łopatkami i sama zapięła suwak.

– Lepiej coś na siebie włóż, jeżeli nie chcesz, żebyśmy się spóźnili do Wilsonów.

Znalazła wreszcie leżące pod krzesłem czólenka. Wsunąwszy w nie stopy, wyszła z sypialni, stukając głośno obcasikami.

W windzie, unoszącej Ebby’ego w nieruchomym pędzie na sześćdziesiąte piąte piętro Chrysler Building, atmosfera była gęsta od dymu cygar i najświeższych nowin.

– To nie plotka – perorowała starsza pani, która usłyszała tę wiadomość przez radio, kiedy jechała taksówką. – Korea Północna zaatakowała Południową. Nasz koszmar się spełnił. Dziś rano armia komunistów przekroczyła trzydziesty ósmy równoleżnik.

– To sprawka Moskwy – wtrącił jakiś mężczyzna. – Stalin chce sprawdzić nasze morale.

– Myśli pan, że Truman będzie walczył? – spytała młoda osóbką o twarzy przesłoniętej czarną woalką.

– W Berlinie był twardy jak gład – dodał ktoś inny.

– Tak się składa, że Berlin leży w samym sercu Europy – zgasił go starszy dżentelmen. – A Korea Południowa to przyczółek Japonii. Każdy głupi widzi, że to nie ta wojna i nie w tym miejscu.

– Słyszałem, że prezydent wysłał Siódmą Flotę w morze – powiedział pierwszy mężczyzna.

– Mój narzeczony jest lotnikiem marynarki w stanie spoczynku – przerwała mu kobieta z woalką. – Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon. Okropnie się boi, że będzie musiał wrócić do służby.

Operator windy, siwiejący Murzyn w brązowym, szamerowanym złotem uniformie, zatrzymał windę i dłonią w rękawiczce odsunął ciężką mosiężną kratę.

– Postawili w stan gotowości Osiemdziesiątą Drugą Powietrznodesantową – oznajmił. – Wiem, bo mój bratanek tam służy. Jest radiotelegrafistą. Ostatnie piętro, „Chrysler Cloud Club” – dodał jednym tchem.

Ebby, który przyjechał o pół godziny za wcześnie, przedarł się przez podekscytowany tłum do baru i zamówił szkocką. Słuchając, jak kostki lodu dzwonią w szklance, rozpamiętywał uszczypliwe uwagi, jakich Eleonora nie szczędziła mu przy śniadaniu. Nagle poczuł, że ktoś szturcha go w łokieć.

– Berkshire! – zawołał, zwracając się do Billa Colby’ego jego wojennym pseudonimem z OSS. – Myślałem, że jesteś w Waszyngtonie, w Urzędzie Pracy. Nie mów, że nasz As także ciebie omotał.

Colby przytaknął.

– Siedziałem sobie w NLRB^[11] jak u Pana Boga za piecem, ale to szczywany lis. Wiedział, jak mnie podejść. Słyszałeś, co się dzieje?

– Trudno było nie usłyszeć. Ludzie, którzy w windzie papłą zazwyczaj o byle czym, zorganizowali sobie seminarium na temat, czy Truman poprowadzi kraj do wojny.

Ze szklankami w rękach, utorowali sobie drogę ku wysokim oknom, z których roztaczał się zapierający dech w piersi widok na wyspę zamkniętą w widłach dwóch rzek i drobną siateczkę ulic Manhattanu w dole. Ebby pomachał ręką w kierunku miasta, jakby chciał rozpędzić chmurę smogu.

– Tam gdzieś jest Hudson. W pogodne dni widać park, który ciągnie się aż za Palisades. Eleonora i ja urządzaliśmy tam pikniki, kiedy jeszcze nie mogliśmy sobie pozwolić na obiad w restauracji.

– Co u niej słyhać? Jak idzie Immanuelowi w szkole?

– Dziękuję, oboje mają się nieźle.

Stuknęli się szklankami.

– Dobrze cię znowu widzieć, Bill. Jakie wieści przywozisz ze stolicy?

Colby powiódł dookoła wzrokiem, żeby się upewnić, czy nikt ich nie podsłucha.

– Idziemy na wojnę, Eb. Tak twierdzi As, a on wie, co mówi.

Jasne oczy Colby'ego za przydziałowymi wojskowymi okularami były jak zwykle nieprzeniknione. Cień uśmiechu przemknął przez jego twarz pokerzysty.

– Tym razem dajmy komunistom wygrać – dodał. – Tak czy inaczej, czeka nas próba sił. Może na irańskich polach naftowych albo w kanale La Manche.

Ebby znał dobrze to spojrzenie i ten pokerowy uśmiech. On, Colby i jeszcze jeden młody Amerykanin, nazwiskiem Stewart Alsop, uczyli się

alfabetu Morse'a u tego samego instruktora w tajnym obozie szkoleniowym OSS, położonym opodal szkockiego miasteczka Jedburgh, od którego wzięła nazwę akcja dywersyjna, w jakiej obaj brali udział, kiedy zrzucono ich na teren Francji. Jeszcze długo po powrocie do Stanów Ebby budził się nagle nad ranem, a w uszach brzmiał mu stłumiony warkot liberatora, odlatującego w kierunku Anglii. Słyszał trzask otwierającego się spadochronu, który nabierał powietrza, by opaść w dół ku ognistemu trójkątowi, rozpalonemu w polu przez *maquis*. Ebby i Colby, przydzieleni do różnych oddziałów „Jedburgh”, z których każdy liczył zaledwie trzech żołnierzy, spotkali się ponownie w ogniu walki, kiedy to gnali jak szaleni przez francuskie wsie, wysadzając mosty, żeby chronić odsłoniętą prawą flankę Pattona, podczas gdy jego czołgi przemieszczały się na północ z biegiem Yonne w kierunku Renu. Misję „Jedburgh” zakończył Ebby w lśniącym czarnym cadillacu, który jeszcze niedawno należał do premiera Vichy, Pierre'a Laval'a, a teraz przedzierał się w żółwym tempie przez roztańczony tłum na ulicach wyzwolonego Paryża. Po kapitulacji Niemiec Ebby próbował załatwić sobie przeniesienie do jednej z baz na Pacyfiku, ale ostatecznie trafił do centrum przesłuchań, założonego przez Amerykanów w niemieckiej wytwórni szampana pod Wiesbaden, gdzie ślęczał, rozszyfrowując sowieckie plany na podstawie zeznań rosyjskich zbiegów. Mógłby pracować w powojennym OSS, gdyby takie istniało. Jednak po kapitulacji Japonii Truman stwierdził, że w USA niepotrzebna jest już centralna organizacja wywiadowcza, i rozwiązał biuro. Wskutek nieuniknionej redukcji etatów analitycy OSS zostali przeniesieni do Departamentu Stanu (gdzie powitano ich jak pchły w dywanie), kowboje do Ministerstwa Wojny, a Ebby, który wtedy był już mężem swojej przedwojennej miłości, wrócił na wydział prawa Uniwersytetu Columbia. Aż tu nagle zjawia się kumpel z Jedburgh i kolega ze starszego roku,

Berkshire, który przebąkuje o porzuceniu studiów właśnie teraz, gdy zimna wojna się nasiliła, a Truman w 1947 roku wreszcie doszedł do wniosku, że Ameryce przyda się jednak Centralna Agencja Wywiadowcza.

– Dowiedziałem się pocztą pantoflową, że Trumana omal szlag nie trafił, tak się wściekł na CIA – mówił Colby. – Zarzuca im, że za późno poinformowali go o ataku Korei Północnej. Ma rację, oczywiście. Ale przy tym gównianym budżecie, jaki łaskawie przyznał im Kongres, i tak zakrawa na cud, że udaje się przewidzieć cokolwiek poza humorami Trumana. Polecą głowy, możesz mi wierzyć. Plotka na Kapitolu niesie, że admirał (mówił o ówczesnym DCI, kontradmirał Roscoe Hillenkoetterze) będzie musiał poszukać sobie nowej posady jeszcze przed końcem roku. Wisner uważa, że szef sztabu Eisenhowera w Normandii, Bedell Smith, dostanie zielone światło.

Colby zerknął na zegar ścienny. Ponownie stuknęli się z Ebbym szklankami i wychylili je do dna.

– Chodźmy już – powiedział. – Jak As mówi „szesnasta trzydzieści”, to nie ma na myśli szesnastej trzydzieści jeden.

Mała strzałka przy windach kierowała uczestników sympozjum S.M. Craw Management do sal mieszczących się na końcu korytarza, za drzwiami z napisem: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. W przedsionku dwaj młodzi mężczyźni o ponurym wejrzeniu sprawdzili tożsamość Colby’ego, potem uważnie obejrzelili prawo jazdy Ebby’ego i jego starą laminowaną kartę identyfikacyjną z OSS (którą wygrzebał z pudełka po butach, pełnego pochwał z czasów wojny, medali i papierów dotyczących jego odejścia ze służby). Odhaczyli nazwiska na liście, po czym skierowali Ebby’ego i Colby’ego do drzwi z napisem: „Symposium S.M. Craw”.

Kilkadziesiąt osób, w tym tylko jedna kobieta, tłoczyło się wokół prowizorycznego baru. Druga kobieta, ubrana w spodnie i męską kamizelkę, opiętą na wygniecionej bluzce, napełniała szklanki ponczem i ustawiała je na długim stole. Ebby wziął drinka i zagadnął stojącego na uboczu mężczyznę z kozackim wąsem.

– Nazywam się Elliott Ebbit – powiedział. – Dla przyjaciół Ebby.

– John McAuliffe – przedstawił się wysoki młody człowiek o z lekka ekscentrycznym wyglądzie, wystrojony w drogi trzyczęściowy lniany garnitur, szyty na zamówienie u Bernarda Witherilla w Nowym Jorku. – Ludzie różnie nazywają mnie za plecami, ale przyjaciele mówią mi Jack. – Gestem podbródka wskazał chudzielca o pociągłej twarzy, ubranego w wygniecione spodnie i tandetną marynarkę. – To mój były kumpel, Leo Kritzky.

Ebby połknął haczyk.

– Dlaczego były?

– Jego dziewczyna wskoczyła mi do łóżka pewnej nocy – wyznał Jack z rozbijającą szczerością. – Uważa, że powinienem ją wtedy posłać do diabła. Właśnie próbuję mu wytłumaczyć, że to niezła cizia, a ja jestem zupełnie zdrowym i normalnym *homo erectus*.

– Byłem zły, ale już mi przeszło – skomentował Leo oschle. – Ładne dziewczyny zostawiam facetom bez wyobraźni.

Wyciągnął do Ebby'ego rękę.

– Miło mi pana poznać.

Przez chwilę Ebby'emu się zdawało, że Jack go nabiera, ale ponure spojrzenie i zmarszczone brwi Leo przekonały go, że to najszczerza prawda. Zawsze krępowały go cudze zwierzenia, więc szybko zmienił temat.

– Skąd jesteście? I jak tu trafiliście?

– Obaj będziemy absolwentami Yale pod koniec miesiąca – odparł Leo.

A Jack dodał ze śmiechem:

– Znaleźliśmy się tutaj, bo powiedzieliśmy „tak”, kiedy trener naszej drużyny wioślarskiej zaprosił nas na *green cup* do Mory’ego. Okazuje się, że szukał ludzi do... – Nie był pewien, czy wolno tu wymówić głośno nazwę „Centralna Agencja Wywiadowcza”, więc po prostu machnął ręką w kierunku tłumu.

– A ty, Elliott? – spytał Leo.

– Po Yale wstąpiłem do OSS. To był ostatni rok wojny. Można powiedzieć, że jestem weteranem.

– Brałeś udział w jakiejś operacji? – zainteresował się Jack.

– Zdarzało się.

– Gdzie?

– Głównie we Francji, ale zanim przekroczyłem Ren, Hitler strzelił sobie w łeb, a Niemcy skapitulowały.

Serwująca drinki kobieta zadzwoniła łyżeczką w szklanekę i tłum mężczyzn – których Jack określił jako „wykrochmalonych facetów w koszulach od Arrowa” – przemieścił się w stronę składanych krzeseł, ustawionych rzędami na wprost panoramicznego okna z widokiem na Empire State Building i centrum Manhattanu. Kobieta wstąpiła na szklaną mównicę i postukała długim paznokciem w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa.

– Nazywam się Mildred Owen-Brack – zaczęła, najwyraźniej przyzwyczajona do radzenia sobie z mężczyznami, którzy nie nawykli do współpracy z płcią przeciwną. – Zapoznam was ze standardowym formularzem deklaracji o dochoowaniu tajemnicy, który najbystrzejsi z was

odkryli już na swoich krzesłach; ci mniej bystrzy siedzą na nim. – Tu i ówdzie rozległ się nerwowy chichot. – Wchodząc do tej sali, wkroczyliście na obszar kultury zamkniętej, jak mawiają socjologowie. Formularz zobowiązuje was do uprzedniego przedłożenia komisji publikacji CIA wszystkiego, co chcielibyście ujawnić na temat działalności agencji, zarówno w czasie trwania służby, jak i po wystąpieniu z jej szeregów. Dotyczy to artykułów, literatury faktu, fikcji, scenariuszy, poematów epickich, librett operowych, wierszyków na kartach okolicznościowych, i tak dalej. I jeszcze jedno: tylko ci, którzy podpiszą zobowiązanie, zostaną w tym pokoju. Jakież pytania?

Owen-Brack przyjrzała się twarzom siedzących naprzeciw ludzi. Samotna kobieta w tłumie rekrutów – młoda, ciemnowłosa, wyjątkowo ładna, ubrana w spódniczkę do kolan i dopasowany żakiet – podniosła wypielegnowaną dłoń.

– Jestem Millicent Pearlstein z Cincinnati. – Odchrząknęła z zakłopotaniem, bo zdała sobie sprawę, że nikogo nie obchodzi, skąd przyjechała. – Jesteście zapewne świadomi, że to „zobowiązanie” godzi w pierwszą poprawkę do konstytucji i jako takie może zostać odrzucone w sądzie.

Owen-Brack uśmiechnęła się słodko.

– Domyślam się, że jest pani prawnikiem? Przykro mi, ale muszę panią wyprowadzić z błędu – wyjaśniła z przesadną uprzejmością. – Deklaracje podpisujecie w interesie własnego bezpieczeństwa. Jesteśmy tajną organizacją i mamy obowiązek chronić nasze tajemnice przed niedyskrecją ludzi, którzy mogą ulec pokusie, by opisać swoją pracę. Gdyby jakiś funkcjonariusz (lub funkcjonariuszka) spróbował to zrobić, mógłby się nam narazić, a wówczas bylibyśmy zmuszeni winowajcę (lub winowajczynię) wykończyć, uprzednio rozwiązawszy jego (lub jej) umowę o współpracę.

Nie lubimy, kiedy ktoś wchodzi nam w paradę, i z góry uprzedzam, że konsekwencje, również prawne, mogą być przykre. Mam nadzieję, że nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji, a pani wątpliwości co do legalnych aspektów ochrony tajemnic Firmy pozostaną nierozstrzygnięte.

Ebby pochylił się do Colby'ego.

– Co to za modliszka?

– To *consigliere* Firmy – odszepnął. – As mówi, że lepiej jej nie drażnić.

Owen-Brack przystąpiła do czytania na głos kolejnych paragrafów umowy. Potem obeszła pomieszczenie, zebrała podpisane formularze, włożyła je do tekturowej teczki i zajęła miejsce z tyłu sali.

Na mównicę wszedł Frank Wisner.

– Witajcie w „Kwaszarni” – zaczął, używając firmowego żargonu. – Nazywam się Frank Wisner. Jestem zastępcą zastępcy dyrektora operacyjnego, Allena Dullesa, naszego DD/O. Skrót ten, DD łamane przez O, oznacza zarówno szefa tajnych służb, jak i same służby. – As pociągnął łyk ponczu, żeby zwilżyć usta. – Doktryna Trumana z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku zobowiązała Amerykę do wspomagania wszystkich wolnych narodów w ich walce z totalitaryzmem. Głównym instrumentem tej walki jest Centralna Agencja Wywiadowcza, na której czele stoi właśnie DD/O. Dotychczas nie wszystkie nasze akcje zakończyły się sukcesem: straciliśmy Czechosłowację, ale ocaliliśmy Francję od krachu gospodarczego po wojnie; ustrzeżyliśmy Włochy przed niemal pewnym zwycięstwem komunistów w wyborach i puczem na wzór czeskiego, który, gdyby nie my, z pewnością doszedłby do skutku; uchroniliśmy Grecję od powstania, inspirowanego przez Moskwę. Cywilizacja Zachodu jest zagrożona. Tylko garstka patriotów broni jej szanów. Trzeba wzmocnić ich szeregi i dlatego znaleźliście się dzisiaj w tej sali. Szukamy ludzi gotowych na wszystko, młodych mężczyzn... i kobiet – tu As ukłonił się szarmancko

Millicent Pearlstein – ludzie, którzy nie zejną z raz obranej drogi, nie boją się ryzyka i potrafią, jak Alicja w Krainie Czarów, skoczyć w nieznane, nie myśląc o tym, jak się stamtąd wydostaną. I jeszcze jedno: szpiegostwa nie nauczycie się z podręcznika, zresztą podręcznik taki nie istnieje. Sami musicie go stworzyć, ucząc się na własnych błędach. Dam wam przykład: dziesięć dni temu jeden z naszych oficerów, który od pięciu miesięcy próbował zwerbować pewną kobietę, odkrył, że jest ona gorliwą czytelniczką horoskopów zamieszczanych w lokalnej gazecie. Wiecie, co zrobił? Postarał się, żeby w dniu, w którym miała ostatecznie podjąć decyzję o współpracy, ukazał się horoskop dla Koziorożców, przepowiadający, że w najbliższym czasie otrzymają od kogoś niezwykle korzystną propozycję, która odmieni ich życie i rozwiąże wszelkie problemy finansowe – nie wolno odmówić. Kobieta połknęła haczyk: podpisała, gdzie trzeba, i teraz przekazuje nam informacje z pewnej newralgicznej dla nas i niezwykle drażliwej ambasady w jednym z krajów komunistycznych.

Stojący przy drzwiach ochroniarz Wisnera postukał w szkiełko swojego zegarka. As niedostrzegalnie kiwnął głową.

– Czytacie z pewnością książki z gatunku płaszcza i szpady. Jeżeli swoje wyobrażenia o Centralnej Agencji Wywiadowczej czerpicie z literatury, jesteście w błędzie. Prawdziwy świat szpiegostwa jest znacznie mniej wspaniały i znacznie bardziej niebezpieczny niż na kartach powieści. Jeśli przebrniecie przez szkolenie, całe wasze życie zawodowe składać się będzie ze spraw, o których nie wolno wam rozmawiać z nikim spoza biura, nawet z żoną czy dziewczyną. Szukamy ludzi z fantazją, niepragnących poklasku i potrafiących przeprowadzić ryzykowne operacje, za które rząd wyprze się jakiegokolwiek odpowiedzialności, bez względu na rozwój sytuacji. O tym, czego dokonacie, nie napiszą na pierwszych stronach gazet

– nie napiszą o tym na żadnej stronie – chyba że coś sknocicie. Będziecie mięsem armatnim zimnej wojny, będziecie igrac z śmiercią. Jeżeli macie choćby cień wątpliwości, lepiej od razu poszukajcie sobie jakiejś ciepłej posadki.

Wisner zerknął na zegarek.

– To na razie wszystko. Owen-Brack wprowadzi was w zasadniczą część naszego dzisiejszego spotkania. Powie, gdzie i kiedy macie się zameldować, co trzeba ze sobą zabrać, kiedy zaczniecie pobierać pensję i co powinniście mówić, gdy ktoś zapyta was o pracę. Przydzielili wam też kamuflaż, czyli adres i numer telefonu, pod którym sekretarka powie, że nie ma was w biurze, i spyta, czy coś przekazać. W nadchodzących miesiącach nie będzie was w biurze bardzo często.

Na sali rozległy się śmiechy. Wisner szepnął coś do Owen-Brack, a potem wyszedł w towarzystwie swego ochroniarza. Nachyliwszy się do mikrofonu, Owen-Brack powiedziała:

– Zacznę od tego, że Firma wybrała was oraz zadała sobie trud i poniosła koszt gruntownego sprawdzenia waszej przeszłości, ponieważ potrzeba nam ludzi zaradnych i bystrych, takich, którzy potrafią włamać się do sejfu i zamieszać herbatę, nie brzęcząc łyżeczką. Wszystko wskazuje na to, że trafiliście tu jedynie z tą drugą umiejętnością. My nauczymy was tej pierwszej, wraz z podstawami szpiegostwa, oczywiście jeżeli po dzisiejszym spotkaniu nie zmienicie zdania i zgłosicie się do pracy w tajnych służbach. Oficjalnie odbywacie szkolenie w S.M. Craw Management jako praktykanci firmy Sears & Roebuck. Pierwszy etap szkolenia (który istotnie będzie zawierał także kurs zarządzania, na wypadek gdybyście kiedyś musieli komuś szczegółowo wyjaśniać, czego się tu nauczyliście) odbędzie się w biurach Craw na tyłach „Hilton Inn”

przy drodze numer dziewięćdziesiąt pięć w Springfield w stanie Wirginia. Początek o siódmej trzydzieści rano w pierwszy poniedziałek lipca.

Przerywając raz po raz, żeby rozdać wydrukowane materiały, Owen-Brack ględziła przez kolejne dwadzieścia minut.

– To chyba wszystko – powiedziała na koniec i uśmiechnęła się szeroko.
– Przy odrobinie szczęścia żadnego z was już więcej nie zobaczę.

Kiedy wszyscy już wyszli, Jack został jeszcze na chwilę. Owen-Brack zbierała swoje papiery.

– Zapomniałeś czegoś? – spytała.

– Nazywam się McAuliffe. John J. McAuliffe. Dla przyjaciół Jack. Pomyślałem sobie, że to wstyd być w „Cloud Club” i nie obejrzeć panoramy miasta. A widoki najlepiej podziwiać z kieliszkiem szampana w dłoni...

Owen-Brack zerknęła na Jacka z ukosa. Odnotowała trzyczęściowy lniany garnitur, kowbojskie buty, ciemne okulary i czarne włosy zaczesane do tyłu, z przedziałkiem pośrodku.

– Co oznacza to „J.”? – zapytała.

– Nic szczególnego. Używam go, kiedy staram się wyrzeć na ludziach wrażenie. Mój ojciec wpisał je na moim akcie urodzenia, bo sądził, że taki dodatkowy inicjał dodaje człowiekowi powagi.

– Tak się składa, że jestem w komisji lustracyjnej, weryfikującej akta osobiste potencjalnych rekrutów. Tak, tak... słynne akta numer dwieście jeden. Pamiętam cię dokładnie, Johnie J. McAuliffe. Przedostatni semestr studiów spędziłeś na praktykach za granicą jako stażysta w amerykańskiej ambasadzie w Moskwie...

– Ojciec mi to załatwił. Miał znajomości w Departamencie Stanu – wyjaśnił Jack.

– Ambasador odesłał cię z powrotem, kiedy wydało się, że w bagażu dyplomatycznym szmuglowałeś fińskie homary z Helsinek.

– Wasz wywiad środowiskowy jest niezwykle skrupulatny. Bałem się, że będę musiał zrezygnować ze służby, jeśli to się wyda.

– Myślę, że mogę ci powiedzieć... Twoje wyniki w college'u były dość mierne. Zostałeś wybrany właśnie ze względu na ów incydent. Firma potrzebuje ludzi, którzy nie boją się naginać przepisów.

– Skoro tak, to co powiesz na kieliszek szampana? – zaczął roztaczać swe uroki Jack. – Czy zgodzisz się ze mną, że seks to wspólna gra, w której kobieta bierze udział na równi z mężczyzną? Pochylasz się do przodu, dekolt twojej bluzki się rozchyła... ćwoczyłaś to przed lustrem? Widać kawałek piersi, sutka... Mogłabyś pomyśleć, że coś ze mną nie tak, gdybym tego nie zauważył.

Owen-Brack zacisnęła usta.

– Co ty wiesz o życiu, przystojniaku? Uroda to nie wszystko. Jak dorośniesz, zrozumiesz, że kobiety nie lecą na pięknych chłopców. Nas uwodzi wasz głos, wasze słowa... Podrywa się głową, nie rękami.

Zerknęła niecierpliwie na maleńki, zgrabny zegarek.

– Powinieneś wiedzieć, że Owen to moje panięskie nazwisko – poinformowała sucho. – Po mężu Brack.

– Nikt nie jest doskonały. Nie mam ci za złe, że jesteś mężatką.

Lecz Owen-Brack nie uważała, żeby Jack był zabawny.

– Mój mąż pracował dla Firmy. Zginął w przygranicznej potyczce, o której nigdy nie czytałeś w „New York Timesie”. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba nie chodzi ci o wspólne podziwianie widoków przy kieliszku szampana? Masz ochotę się ze mną przespać. Chcesz znać odpowiedź? Proszę bardzo, możemy się zabawić. Gdyby mój mąż nie

umarł, poszłabym na całość. Często mnie zdradzał. Ale fakt, że on nie żyje, nieco komplikuje sytuację. Żałuję, lecz nie interesuje mnie przygoda na jedną noc, potrzebny mi ktoś na stałe. Tyle że ty nie nadajesz się na kochanka. Do widzenia, Johnie J. McAuliffe. I życzę szczęścia. Przyda ci się.

– Szpiedzy – mówił instruktor cichym, stłumionym głosem, gdyż jego źle zabliźnione struny głosowe łatwo się nadwerężyły – to zupełnie zdrowi na umyśle ludzie, którzy popadają w obsesję na punkcie dupereli.

Robert Andrews, pod takim bowiem nazwiskiem figurował na wywieszanej w holu liście instruktorów S.M. Craw, przyciągnął uwagę „studentów zarządzania” już osiem tygodni temu, gdy wszedł, powłócząc nogami, do sali wykładowej. Jego błyskotliwa kariera w OSS była powszechnie znana. W 1944 roku zrzucono go na spadochronie w Niemczech. Miał skontaktować się z kliką Abwehry, planującą zamach na Hitlera. Po miesiącach przesłuchań na gestapo stał się wrakiem człowieka. O tym, że ocalał, dowiedziano się pod koniec wojny, kiedy oddziały Pattona wyzwoliły Buchenwald. Przeżył, ale stracił ramię, dosłownie wyrwane ze stawu na jakiejś średniowiecznej maszynie tortur, a prawy policzek zeszepecony miał na zawsze kilkoma małymi okrągłymi bliznami. Gdy w trakcie wykładu przechadzał się po auli, pusty rękaw sportowej marynarki, starannie podpięty, uderzał delikatnie o klatkę piersiową w rytm jego kroków.

– Szpiedzy – kontynuował – gromadzą w pamięci setki pozornie nieistotnych szczegółów, które pewnego dnia mogą uratować im życie. Na przykład: która strona ulicy pograży się w cieniu o wschodzie księżyca, albo w jakich warunkach atmosferycznych huk pistoletu brzmi jak strzał gaźnika w samochodzie.

Zza okna dobiegło jęklive wycie syreny policyjnej. Andrews, jak zaczarowany, podszedł powoli do parapetu i zapatrzył się na swoje odbicie w szybie i na jadące drogą numer 95 samochody. Zdawało się, iż dźwięków przeniósł go w inny czas i inne miejsce. Dopiero po dłuższej chwili, z widocznym wysiłkiem, Andrews otrząsnął się z koszmarnych wspomnień.

– Próbowaliśmy wbić wam do głowy to, co nasi pracodawcy uprzejmi są nazywać podstawami szpiegowskiego rzemiosła – powiedział, odwracając się z powrotem do słuchaczy. – Skrzynki kontaktowe, łączność, tajnopisy, tajna fotografia, mikrofilmy, miniaturowe aparaty fotograficzne, gubienie ogona, zakładanie podsłuchu... To już znacie na pamięć. Próbowaliśmy nauczyć was sztuczek KGB: jak podsyłają przystojniaków, by uwiedli sekretarki mające dostęp do tajnych informacji; gdzie ich przewodnicy spotykają się ze swoimi agentami i że zawsze wybierają otwarty teren, nigdy kryjówki; w jaki sposób działający na Zachodzie wschodni Niemiec szpieg wykorzystują numery seryjne amerykańskich dziesięciodolarówek, żeby złamać numery telefonów zaszyfrowane w numerach loterii, ogłaszanych w lokalnych stacjach radiowych. Ale z tą wiedzą nie zajdziecie daleko. Żeby pójść dalej, musicie przed każdym zadaniem wymyślić sobie od nowa – stać się kimś, kogo przeciwnik nigdy by w was nie podejrzewał, a to oznacza robienie rzeczy, o jakie przeciwnik nigdy by nie podejrzewał oficera wywiadu. Był kiedyś agent, który utykał na jedną nogę, gdy kazano mu kogoś śledzić. Wykombinował sobie, że nikt nie będzie podejrzewał kaleki o pracę dla wywiadu. Dodam tylko, że został zatrzymany, kiedy śledzony przezeń człowiek z Abwehry zauważył, że kręci się koło niego facet, który utyka raz na prawą, a raz na lewą nogę. Tym agentem byłem ja. I dlatego jestem być może najważniejszą osobą, by przekazać wam fundamentalne przesłanie naszego rzemiosła... – Andrews odwrócił się do okna i znów zapatrzył

w swoje odbicie. – Na miłość boską – powiedziało odbicie – nie popełniajcie błędów.

Minęło kilka godzin, zanim rekruci rozeszli się na spotkania z przedstawicielami różnych wydziałów Firmy, którzy przybyli z Alei Karaluchów przy Reflecting Pool, by zwerbować praktykantów do swoich sekcji. Jak zwykle zastępca szefa elitarniej Sekcji Rosji Sowieckiej, Felix Etz, miał prawo zebrać samą śmietankę. Nikt się nie zdziwił, że pierwszą namierzoną przez niego osobą była Millicent Pearlstein, prawniczka z Cincinnati, która ponadto zrobiła dyplom licencjacki z filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Chicago.

Na kursie doskonale jej poszło z „otwierania kopert i łamania pieczęci” oraz z „wytrychów i zamków”, uzyskała też wysokie noty z „podstaw werbunku”, „zaawansowanych szyfrów”, a także „teorii i praktyki komunizmu”. Jack z kolei kiepsko wypadł na egzaminach, za to ćwiczenia w terenie zdał celująco. Na biegu treningowym do Norfolk użył fałszywej licencji operatora ze stanu Wirginia Zachodnia i fikcyjnego listu z podpisem nieistniejącego szefa adiutantów marynarki, żeby dostać się na pokład niszczyciela USS „John R. Pierce” i wykraść ściśle tajne dane dotyczące systemu wczesnego ostrzegania. Jego zuchwałość i odwaga, a także doskonała znajomość niemieckiego i hiszpańskiego, zwróciły uwagę Etza, który zaproponował mu niezłą posadę. Ebby ukończył szkolenie z wynikiem celującym, wzbogaciwszy nabyte w OSS doświadczenia, i również zajął wysoką pozycję na liście rekrutów szefa Sekcji Rosji Sowieckiej. Przed Kritzkym droga do kariery stanęła otworem już podczas pierwszej rozmowy z Etzem, który docenił nie tylko płynną znajomość jidysz i rosyjskiego, ale przede wszystkim wojujący antykomunizm, wyniesiony z domu rodzinnego, gdzie wciąż żyła pamięć o dramatycznej ucieczce rodziców Leo przed bolszewikami w 1917 roku.

Wieczorem „studenci zarządzania” udali się do włoskiej restauracji w centrum Springfield, by uczcić zakończenie dwunastotygodniowego kursu, który porządnie dał im w kość.

– Wybieram się do Niemiec – opowiadał Ebby grupce przyjaciół, siedzących przy końcu długiego stołu bankietowego. Napełnił chianti kieliszek Millicent, a potem swój. – Hej, nie uwierzycie, jak wam powiem, dlaczego zwrócili na mnie uwagę.

– Pewnie dlatego, że tak dobrze mówisz po niemiecku – zgadywał Jack.

– Nie każdy, kto zna niemiecki, ląduje w Niemczech – zauważył Ebby. – Chodziło o coś innego. Kiedy miałem szesnaście lat, mój dziadek zmarł, a babcia, osoba nieco ekscentryczna, postanowiła uczcić swoje świeże wdowieństwo i zabrała mnie na wycieczkę po Europie, z nocną wizytą w paryskim *maison close* oraz tygodniową eskapadą do Albanii króla Zoga. Zdążyliśmy zwiedzić kraj tuż przed inwazją oddziałów Mussoliniego – babcia wysupłała zaszyte w gorsecie złote monety, aby zdobyć dla nas dwie koje na trampie płynącym do Marsylii. Okazało się, że jakiś bystry gość wypatrzył w moich aktach, że byłem kiedyś w Albanii, i zdecydował, że to kwalifikuje mnie do operacji na tamtym terenie. A wszystkie albańskie akcje koordynowane są z Niemiec.

Po drugiej stronie sali jakiś chłopak ze Springfield wrzucił pięciocentówkę do grającej szafy i zaczął tańczyć crabwalka z nastolatką w krynolinie.

– A ja wyjeżdżam do Waszyngtonu – zwierzył się Leo. – Ety powiedział mi, że Bill Colby chciałby zatrudnić u siebie kogoś ze znajomością rosyjskiego.

– Mnie skierowali do wojskowej szkoły języków, żebym trochę podszlifowała włoski – powiedziała Millicent. – Potem jadę do Rzymu trzepotać rzęsami do komunistycznych dyplomatów.

Spojrzała przez stół.

– A ty, Jack?

– Również Sekcja Rosji Sowieckiej. Wysyłają mnie do jakiejś tajnej bazy marynarki na przeszkolenie. Przez trzy tygodnie będą mnie uczyć, jak się obchodzić z bronią i dynamitem. Potem dali mi do wyboru Madryt albo pracę w Berlinie dla kogoś o pseudonimie „Czarnoksiężnik”, co oznacza, że będę Uczniem Czarnoksiężnika, bo zdecydowałem się na Berlin. Niemieckie dziewczyny podobno świetnie robią loda.

– Och, Jack, ty zawsze o jednym... – jęknęła Millicent.

– On tylko chce ci pokazać, że stanął na wysokości zadania – wtrącił Ebby.

– Pewnie, że stanął... Chętnie ci to pokażę, Millicent – dodał zachęcająco Jack. – Może wreszcie znajdę uznanie w twoich oczach?

– Marne szanse – syknęła.

– „Zbyt szalony, zły i niebezpieczny, żeby się z nim zadawać”. Tak podpisano zdjęcie Jacka w księdze pamiątkowej Yale – wtrącił Leo. – W cudzysłowie, bo pierwotnie słowa te odnosiły się do lorda Byrona, z którym Jack zawsze się w głębi duszy utożsamiał. Mam rację, staruszkę?

Jack, trochę już podchmielony, odrzucił głowę w tył i zadeklamował:

– „Kiedy mózg się rozpala w miłosnym amoku, Kulejąca Cnota nie dotrzyma kroku”^[12].

– Świetny kryptonim, Jack. Kulejąca Cnota – zachichotała Millicent. – Pasuje jak ulał.

Przed jedenastą większość praktykantów opuściła lokal, żeby zdążyć na nocny seans *Bulwaru Zachodzącego Słońca* w pobliskim kinie. Ebby, Jack, Leo i Millicent zostali. Chcieli dokończyć chianti i poplotkować o czekających ich w przyszłości zadaniach. Ponieważ często tu bywali

w czasie kursu, właściciel postawił im na pożegnanie kolejkę grappy na koszt firmy. Kiedy wychodzili, zatrzymał ich na chwilę przy kasie.

– Jesteście już trzecią, od świąt Bożego Narodzenia, grupą praktykantów z Craw. Czym wy się tam właściwie zajmujecie? – zapytał.

– Jak to czym? *Z a r z ą d z a n i e m* – oświadczyła Millicent z szerokim uśmiechem.

– Prawdę mówiąc, nie pracujemy w Craw – dodał Leo. – Jesteśmy z Sears & Roebuck. Przysłali nas na kurs.

– Moim pracownikom też przydałby się taki kurs – westchnął właściciel. – Szkoda, że wyjeżdżacie ze Springfield! Gdzie was zatrudnią?

– Wszędzie – odparła Millicent. – Część z nas będzie pracować w dyrekcji, w Chicago, innych przyjmą filie w całym kraju.

– No to powodzenia!

– *Auguri* – uśmiechnęła się w odpowiedzi Millicent.

Wilgotna od wieczornej mżawki rynna przy drzwiach restauracji lśniła jak lustro. Na wąskiej uliczce, którą grupka przyjaciół ruszyła z powrotem w stronę „Hilton Inn”, rozlegało się lubieżne, gardłowe miauczenie kota. Ebby przystanął pod latarnią, żeby jeszcze raz przeczytać list od adwokata, zawiadamiający, że sprawa rozwodowa dobiegła końca. Kiedy dogonił przyjaciół, usłyszał, że spierają się o słuszność podjętej przed kilkoma dniami decyzji Harry’ego Trumana o zajęciu kolei przez wojsko w celu uniknięcia strajku generalnego.

– Truman – mówił z uznaniem Jack – to twardziel.

– Raczej łamistrajk – oświadczyła Millicent.

– Prezydent z prawdziwego zdarzenia nie może pozwolić na zamieszki, gdy kraj zaangażowany jest w wojnę z Koreą – powiedział Ebby.

Pochłonięci rozmową, nie zauważyli, że tuż przed nimi, obok sterczącego z chodnika hydrantu, zaparkowała mała furgonetka do rozwożenia prasy. Kiedy ją mijali, tylne drzwi otworzyły się z impetem. Na chodnik wyskoczyło czterech uzbrojonych mężczyzn. U wylotu uliczki pojawiło się kilka ciemnych postaci, blokując przejście. Leo poczuł, że ogarnia go panika. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Co się tu, u diabła, dzie...”, lecz zanim skończył, ktoś zarzucił mu na głowę worek, wykręcił do tyłu rękę i mocno związał je kablem. Leo usłyszał głuchy odgłos padającego ciała i zduszony jęk Jacka. Mocne ręce wepchnęły czwórkę rekrutów do samochodu i brutalnie rzuciły na stertę gazet. Drzwiczki zatrzasnęły się, zawarczał silnik. Furgonetka ruszyła, podskakując na wybojach. Leo otworzył usta, chciał zapytać innych, czy żyją, ale zamilkł natychmiast, poczuwszy na skroni chłodny dotyk metalu. Po chwili usłyszał głos Jacka, mówiący ze złością: „...musieliście nas z kimś pomy...”, a potem znowu zduszony jęk.

Furgonetka wzięła ostry zakręt w lewo, jeszcze raz w lewo, dodała gazu i wyszła na prostą. Jechali jakiś czas, klucząc po drodze i zatrzymując się kilkakrotnie, zapewne na światłach. Leo próbował liczyć zakręty, żeby móc później zrekonstruować drogę, ale wkrótce się pogubił i stracił rachubę. Po czterdziestu, może pięćdziesięciu minutach – równie dobrze mogło to trwać o wiele dłużej – samochód zwolnił i wreszcie stanął w miejscu. Do uszu Leo dobiegło głuche wycie, podobne do dźwięku syren mgielnych. Usłyszał trzask zapalniczki. Za gardło chwycił go strach. Chcą ich spalić żywcem? Gazety zajmą się błyskawicznie... Poczuł dym z papierosa i odetchnął z ulgą. Powtarzał sobie, że to na pewno ćwiczenia, porwanie na niby – nic innego nie przychodziło mu do głowy – zorganizowane przez ludzi z Sekcji Rosji Sowieckiej, żeby wypróbować morale rekrutów. Lecz ziarnko wątpliwości już zakiełkowało w jego umyśle. Przypomniał sobie, co

Andrews mówił o obsesji na punkcie dupereli, i nagle całą uwagę skupił na szczegółach. Dlaczego porywacze milczą? Czy dlatego, że nie mówią po angielsku? A może mówią z obcym akcentem i nie chcą się zdradzić? Albo bez akcentu, co mogłoby oznaczać, że są agentami CIA? Lecz jeśli porwała ich CIA, to skąd się wziął ten zapach machorki, który tak dobrze pamięta z dzieciństwa? Taki sam tytoń palił jego ojciec, zanim się zastrzelił... Podczas gdy rozważał wszystkie te możliwości, zastanawiając się, która z nich jest najbardziej prawdopodobna, jego myśli odpływały z wolna – później zdał sobie sprawę, że po prostu się zdrzemnął – i oto przed oczami poczęły mu się przesuwać niewyraźne, zamglone obrazy, niby wyblakłe fotografie z rodzinnego albumu: trumna ojca opuszczana do grobu na żydowskim cmentarzu na Long Island; podmuchy wiatru, deszcz bębniący o czarne parasole; wystrzał z gaźnika samochodu, który zabrzmiał jak salwa; gołębie, w popłochu podrywające się do lotu z uschniętych gałęzi martwych drzew; monotonny głos stryja, który ciągle się mylił, odczytując na głos spisany łacińskim alfabetem kadis; jękliwe zawodzenie matki, która w kółko powtarzała: „Co z nami będzie? Co z nami będzie?”

Ocknął się nagle, kiedy tylne drzwi otwarły się z impetem i świeży powiew morskiej bryzy wpadł do dusznego wnętrza furgonetki. Czyjeś brutalne ręce zwlokły go z gazetowego łóża i poprowadziły trapem na małą, chybotliwą łódź. Porwani musieli położyć się na cuchnących rybami, rozedrganych deskach pokładu. Przykryci tłustą od smarów plandeką, słyszeli ciche dudnienie silnika, podczas gdy łódka, prując dziobem fale, odpływała coraz dalej od brzegu. Kiedy po kwadransie warkot motoru ucichł, szła jeszcze przez jakiś czas siłą rozpędu, aż wreszcie uderzyła o coś twardego. Stojąc na wodzie, podnosiła się i opadała wraz z falą. Porywacze szarpnięciem poderwali jeńców na nogi i powlekli ich, poszturchując co chwila, najpierw w górę, potem w dół, po długich, wąskich schodkach. Leo

domyślił się, że są na jakimś statku. Potknął się, przechodząc przez luk. Czyjś głos zaklął pod nosem, chyba po polsku. Zszedłszy do ładowni, Leo poczuł zapach mąki unoszący się w stęchłym powietrzu. Wepchnięto go do dusznej kajuty. Czyjeś ręce ściągnęły mu buty i ubranie. Kiedy został w samej bieliźnie, ktoś rozciął więzy, wrzynające się w obolałe nadgarstki, popchnął go na krzesło i wykręciwszy mu ręce do tyłu, przywiązał do oparcia, kilkakrotnie opasując sznurem. Dopiero wtedy zdjęto mu z głowy worek.

Natychmiast zacisnął powieki, oślepiiony światłem nagich żarówek. Potem, wciąż mrużąc oczy, rozejrzał się wokół. Zobaczył swoich przyjaciół, rozebranych, jak on, do majtek i skarpetek. Millicent, w koronkowym staniku i figach, była kredowo blada i wyglądała na kompletnie zszokowaną. Trzej marynarze w grubych swetrach i drelichach przeszukiwali kieszenie leżących na podłodze ubrań, rzucając w kąt, na jedną kupkę, wszystkie portfele i dokumenty. Chudy, wymizerowany mężczyzna w źle skrojonym garniturze stał w drzwiach i patrzył na nich wylupiastymi oczami. Jego wąskie wargi wykrzywił nikły uśmieszek.

– Witam – powiedział angielszczyzną, w której wrażliwe ucho Leo wychwyciło wschodnioeuropejski akcent, łotewski albo polski. – Hej, wy tam, słuchajcie mnie teraz: im szybciej powiecie do mnie rzeczy, które ja chcę wiedzieć, tym szybciej ten nieszczęśliwy epizod będzie za nami. Wy się tu teraz naradzcie ze sobą. Ja, osobiście, jestem głodny. Za jakiś czas wrócę i pogadamy, i zobaczymy, co z wami zrobić... Może wyjdziecie z tego żywi, a może nie, jeszcze się okaże.

Schylił się i zniknął w otworze luku. Marynarze podążyli za nim. Rygle zazgrzytały w grodziach i drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

– Boże! – westchnęła Millicent. Głos jej drżał, strużka śliny ściekała z kącika spuchniętych od przygryzania ust. – To nie dzieje się naprawdę.

Ebby skinął podbródkiem w kierunku grodzi.

– Mają mikrofony – szepnął. – Wszystko usłyszą.

Jack był niemal pewien, że cały incydent jest częścią szkolenia, ale postanowił wziąć udział w grze, aby wykazać się przed instruktorami monitorującymi akcję.

– Dlaczego ktoś miałby porywać praktykantów Craw? – spytał głośno, trzymając się legendy, opracowanej na początku kursu.

Ebby przejął pałeczkę.

– Wzięli nas za kogoś innego. To na pewno jakaś pomyłka.

– Może ktoś ma na pieńku z Craw? – podsunął Jack.

– Chyba raczej z Searsem – dodał Leo.

Millicent nie zwracała na nich uwagi, pogrążona we własnym świecie, jakby nieobecna, mamrotała pod nosem:

– To tylko ćwiczenia – powiedziała do siebie. – Chcą sprawdzić, jak się zachowamy...

Mrużąc oczy w jasnym świetle, zdała sobie nagle sprawę, że jest prawie zupełnie naga, i zaczęła cichutko chlipać.

– Wszystko mi jedno... Boję się, strasznie się boję...

Leo powoli oddychał przez nos, żeby się uspokoić. W kłębowisku bezładnych myśli usiłował odnaleźć nić, która doprowadzi go do jakiegoś logicznego wyjaśnienia. Wreszcie doszedł do wniosku, że istnieją tylko dwie możliwości: albo, co najbardziej prawdopodobne, uczestniczą w niezwykle realistycznej symulacji porwania, będącej swoistym rytuałem inicjacyjnym kandydatów do elitarnej Sekcji Rosji Sowieckiej, albo też naprawdę zostali pojmani przez sowieckich agentów, którzy chcą zdobyć informacje o rekrutacji i treningu w CIA, co po chwili zastanowienia uznał za kompletny absurd. Ale czy nie odrzuca tej myśli tylko dlatego, że bardzo

nie chce w nią uwierzyć? A jeśli to jednak prawda? Może Rosjanie odkryli, że Craw Management jest przykrywką dla Firmy, i od dawna przygotowywali zasadzkę na kursantów? Po cholere się zasiedzieli w tej włoskiej knajpie? Co za pech!

Leo usiłował przypomnieć sobie, czego się dowiedział na seminarium o technikach przesłuchania. Po głowie kołatały mu się oderwane zdania... Kiedy jesteś przesłuchiwany, tamci starają się cię przekonać, że wiedzą więcej niż w rzeczywistości i że każde zeznanie jedynie potwierdza to, co już wiesz. Dlatego musisz trzymać się legendy, nawet gdy dowiodą, że znają szczegóły twojej działalności w CIA. Na ostatnich zajęciach pojawił się nieoczekiwanie pan Andrews; przed oczami Leo stanęła nagle twarz instruktora i jego wiecznie smutny uśmiech, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, o czym wtedy była mowa.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, do uszu Leo dotarł zgrzytliwy dźwięk. Bolce zawiasów powoli obróciły się w grodziach i do kajuty wkroczył ten sam chudy mężczyzna o wymizerowanej twarzy. Przebrał się. Miał teraz na sobie biały kombinezon ze spranymi pomarańczowymi plamami, a na nosie ciemne okulary. Tuż za nim wszedł jakiś marynarz, niosąc drewniany kubek. Postawił go w kącie, zanurzył w nim drewnianą chochlę i każdemu ze spragnionych więźniów nalał prosto do gardła trochę słonej wody. Chudy mężczyzna przysunął sobie krzesło, obrócił je i usiadł na nim okrakiem, twarzą do porwanych. Ze stalowej papierośnicy wyjął papierosa, postukał nim o oparcie, pstryknął zapalniczką i przytknął płomynek ognia do bibułki; Leo znowu poczuł zapach rosyjskiej machorki. Mężczyzna, zaciągnąwszy się głęboko, milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Mówcie mi Oskar – przemówił nagle. – Przyznajcie, że macie nadzieję, że to tylko ćwiczenia CIA, ale nie jesteście pewni. – Zarechotał gardłowo

szyderczym śmiechem. – Niestety, muszę wam zakomunikować niemiłą nowinę. Jesteście na łotewskim frachtowcu „Lepaja”. Kotwiczymy w zatoce Chesapeake. Lada chwila skończymy odprawę i wypłyniemy do Rygi, z ładunkiem mąki. Kontrolę Straży Przybrzeżnej mamy już za sobą. Zwykle trzymają nas tak wiele godzin, bo chcą nam uprzykrzyć życie, ale my się tym nie przejmujemy... Gramy sobie w karty, słuchamy w radiu czarnego jazzu, a czasem przesłuchujemy agentów CIA, którzy wpadli nam w ręce. – Wyjął z kieszeni notes, poślinił palec i zaczął przewracać kartki.

– A więc... – powiedział, kiedy już znalazł to, czego szukał – który z was to Ebbitt?

Ebby odchrząknął.

– To ja. – Jego głos był nienaturalnie ochryply.

– Widzę tu orzeczenie o rozwodzie, wydane przez sąd miasta Las Vegas.

– Oskar podniósł wzrok. – Przy pańskim ubraniu znaleźliśmy laminowany identyfikator pracownika Sears & Roebuck. Był pan uczestnikiem kursu S.M. Craw Management w Springfield w stanie Wirginia?

– Tak.

– Czym dokładnie zajmuje się pan u Searsa?

– Jestem prawnikiem. Piszę kontrakty.

– A więc... Pytam pana, panie Ebbitt: po co pracownik Sears & Roebuck mówi swoim przyjaciołom... – zajął do notesu – „Mają mikrofony. Wszystko usłyszą”?

Ebby odchylił głowę i zmrużył oczy, jakby się opalał w ostrym świetle nagiej żarówki.

– Czytałem za dużo powieści szpiegowskich.

– Moi koledzy i ja wiemy, że S.M. Craw Management to szkoła szpiegowska, prowadzona przez Centralną Agencję Wywiadowczą. Wiemy,

że wasza czwórka ma pracować w wydziale, który nosi dziwną nazwę Sekcji Rosji Sowieckiej. Dziwną, bo Rosja jest tylko jedną z piętnastu republik ZSRR. Zanim wasza słynna agencja szpiegowska dobierze się do naszych sekretów, powinna przestudiować atlas Randa McNally'ego.

– Czego od nas chcecie? – zapytał Leo.

Oskar zmierzył go wzrokiem.

– Na początek chcę, żebyście nie opowiadali mi bajek o pracy u Searsa. I nie wciskajcie mi wyssanych z palca historyjek o kursach zarządzania w Craw. Potem wyśpiewacie resztę: program kursu, szyfry, nazwiska i rysopisy waszych instruktorów, kolegów i agentów, którzy was zwerbowali.

Jak się okazało, Oskar był zaledwie pierwszym z całej kolejki przesłuchujących, którzy na zmianę maglowali więźniów. W jaskrawym, oślepiającym świetle nagich żarówek porwani szybko stracili poczucie czasu. W pewnym momencie Millicent poprosiła o pozwolenie na skorzystanie z toalety. Gruby śledczy z monoklem w oku odchylił jej skrawek biustonosza i uszczypnął w pierś. Potem, chichocząc oblesnie, skinął na jednego z marynarzy. Kazał mu ją rozwiązać i zaprowadzić do obskurnej ubikacji w korytarzu, gdzie Millicent przeżyła przykre chwile upokorzenia, ponieważ marynarz upierał się, że drzwi mają być przez cały czas szeroko otwarte, żeby mógł mieć ją na oku. Jeśli w trakcie przesłuchania komukolwiek z ich czwórki opadła głowa ze znużenia, natychmiast któryś z marynarzy budził go kopniakiem. Zaglądając co chwila do swoich tajemniczych notatek, oprawcy w nieskończoność wałkowali z porwanymi ich fikcyjne życiorysy, spreparowane na samym początku kursu Craw na podstawie rzeczywistych biografii.

– Twierdzi pan, że pracował w kancelarii prawnej „Donovan, Leisure, Newton, Lumbard & Irvine” – powiedział Oskar do Ebby'ego w pewnym

momencie.

– To już chyba przerabialiśmy? Firma „Donovan, Leisure, Newton, Lumbard & Irvine” nigdy nie była agencją rządową, do cholery!

Oskar rzucił na podłogę niedopałek papierosa, który parzył go w palce.

– Czy pański Donovan to ten sam William Donovan, który był szefem amerykańskiego Biura Służb Strategicznych w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej?

– Ten sam – odparł znużonym głosem Ebby.

– I zapewne słyszał pan, że po wojnie Donovan, p a ń s k i William Donovan, namawiał prezydenta Trumana do stworzenia Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Widzę, że czytamy te same gazety – odciął się Ebby.

– A skoro już pracował pan dla Donovana w OSS, byłoby logiczne, gdyby zarekomendował pana ludziom z nowej agencji.

– Najpierw zapytałby mnie o zdanie. Po co, u diabła, miałbym rzucać posadę w renomowanej firmie prawniczej, za trzydzieści siedem tysięcy dolarów rocznie, dla roboty w służbie wywiadowczej za sześć czterysta? To absurd.

Ebby zorientował się, że popełnił błąd, podając konkretne sumy. Wiedział już, jakie będzie następne pytanie.

– A skąd pan wie, że pracownik operacyjny CIA zarabia sześć tysięcy czterysta dolarów rocznie?

Ebby wzruszył ramionami z rozdrażnieniem.

– Pewnie gdzieś przeczytałem.

– I tak dokładnie zapamiętał pan tę liczbę? Sześć tysięcy czterysta?

– Jak widać.

– A dlaczego porzucił pan tę doskonałą posadę za trzydzieści siedem tysięcy dolarów, żeby przenieść się do Sears & Roebuck?

– Ponieważ Donovan zwlekał z przyjęciem mnie do spółki, a u Searsa byli bardzo zadowoleni z kontraktów, jakie dla nich sporządzałem, kiedy jeszcze pracowałem w kancelarii. Poza tym płacili krocie swojemu prawnikowi i zorientowali się, że nawet jeśli dadzą mi więcej niż Donovan, też wyjdą na swoje.

– Z kim pan pracuje u Searsa?

Ebby wymienił nazwiska, a Oskar zapisał je w notesie. Właśnie miał zadać następne pytanie, kiedy wszedł jeden z marynarzy i szepnął mu coś na ucho.

– A więc – oznajmił Oskar – mamy już pozwolenie Straży Przybrzeżnej. Odplywamy.

Deski pokładu zadrżały, coś zadudniło pod stopami więźniów, z początku słabo, później coraz wyraźniej.

– Mam nadzieję, że żadne z was nie cierpi na chorobę morską – powiedział Oskar.

Warknął coś po rosyjsku do jednego z marynarzy. Leo rozumiał każde słowo – chodziło o przyniesienie wiader, na wypadek gdyby ktoś miał wymiotować – ale nie dał tego po sobie poznać.

Millicent znosiła to znacznie lepiej, niż pozostali mogli przypuszczać; zdawało się, że czerpie siłę z uporczywości, z jakim tamci trzymali się swoich historyjek. Śledczy wciąż powracał do kursu Crew Management. Cytował obszernie fragmenty wykładów, prowadzonych przez jednorękiego instruktora o nazwisku Andrews, ale Millicent tylko kręciła głową: nie umie powiedzieć, czym zajmowali się w Crew jej koledzy; może mówić tylko za siebie; studiowała techniki zarządzania; tak, pamięta jak przez mgłę

jednorękiego mężczyznę w pokoju, gdzie sortowano pocztę, ale nigdy nie miała z nim żadnych zajęć; nie, nie było żadnych ćwiczeń terenowych w Norfolk; nikt nie włamywał się do bazy marynarki; po co, na miłość boską, studenci zarządzania mieliby kraść tajemnice wojskowe? I co niby mieli z nimi zrobić?

I wtedy nagle zaczął się ruch w korytarzu. Drzwi rozwarły się szeroko. Jacyś ludzie w mundurach biegali tam i z powrotem, tupiąc donośnie. Obaj śledczy wymienili ze sobą zaskoczone spojrzenia. Oskar w milczeniu kiwnął na swego pomocnika. Wyszli i chwilę naradzali się cicho po rosyjsku z krępyim mężczyzną w oficerskim uniformie ze złotymi warkoczami na rękawach. Leo zdawało się, że słyszy „maszyna szyfrująca” i „torba ciężka jak ołów”, a potem wyraźnie dobiegły go słowa: „za burzę, jeśli Amerykanie spróbują nas zatrzymać”.

– Co oni mówią? – warknął Jack. Zaczynał mieć wątpliwości, czy to naprawdę tylko ćwiczenia.

– Mówią o włożeniu maszyny szyfrującej do torby obciążonej ołowiem i wrzuceniu jej do morza, jeśli Amerykanie spróbują zatrzymać statek – odszepnął Leo.

– Chryste – powiedział Ebby. – Ostatni rozkaz, jaki dotarł do ambasady japońskiej w Waszyngtonie szóstego grudnia czterdziestego pierwszego roku, dotyczył zniszczenia szyfrów i maszyn szyfrujących.

– Cholera jasna, Sowieci szykują się do wojny – zaklął Jack.

Millicent spuściła głowę na pierś i zaczęła drżeć.

Oskar, który ciągle stał w korytarzu, mówił coś o „czterech Amerykanach”, ale jego słowa zagłuszyło wycie okrętowej syreny. Oficer marynarki gniewnie uciął: *Niet, niet*. Podniósł głos, a Leo usłyszał, tym

razem wyraźnie: „Ja tutaj decyduję... «Lepaja» jest pod moimi... w pół... wschód... przez radio... cement i za bur...”

Ebby i Jack spojrzeli na Leo, oczekując tłumaczenia. Z jego przerażonego wzroku odgadli, że wieści są katastrofalne.

– Powiedzieli coś o cemencie – wyszeptał Leo. – Chcą nas wrzucić do morza, jeśli nie będziemy gadać.

– To część ćwiczeń – zapewnił Ebby, zapominając o mikrofonach w grodziach. – Próbują nas zastraszyć.

Z twarzą szarą jak popiół, ze zmarszczonymi brwiami, Oskar wszedł z powrotem do kajuty. Był sam.

– Bardzo złe nowiny – oznajmił. – W Berlinie doszło do starć. Padły strzały. Są ofiary po obu stronach. Nasze Politbiuro postawiło Trumanowi ultimatum: albo w ciągu dwunastu godzin wycofacie wasze wojska z Berlina, albo uznamy, że jesteśmy w stanie wojny.

Do pomieszczenia wpadło pół tuzina marynarzy. Taszczyli worki z cementem i puste dwudziestopięciogalonowe puszki po farbie. Po chwili ktoś wbiegł, ciągnąc za sobą gumowy szlauch, i w pośpiechu przykręcił go do kranu w ubikacji. Oskar pokiwał bezradnie głową. Wyglądał na zrozpaczonego.

– Proszę, uwierzcie mi! Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Zdjął ciemne okulary; jego wyłupiaste oczy były podejrzenie wilgotne.

– Nie jesteście pierwsi. Czasami trzeba było kogoś przycisnąć, ale zawsze w końcu dochodziliśmy do porozumienia...

Millicent trzęsa się jak w febrze, mimo że w kajucie panował upał. Z oczu pociekły jej łzy. Ebby poczuł, że się dusi. W popłochu usiłował znaleźć jakiś sposób, żeby się z tego wywinąć. Leo za wszelką cenę próbował wymyślić, co mógłby powiedzieć Oskarowi. Pamiętał, co mówił

Andrews: musicie stać się kimś, kogo wróg nigdy by w was nie podejrzewał. Kim, kim może się stać? Nagle wpadł mu do głowy szalony pomysł: a jakby tak powiedzieć, że jest rosyjskim agentem, który ma za zadanie infiltrację CIA? Ale czy Oskar się na to nabierze? A jeżeli zechce sprawdzić to w Moskwie?

Ze szlauchu pociekła strużka wody, a marynarze rozerwali papierowe worki i zaczęli sypać cement do puszek po farbie.

– Proszę was, błagam – mówił Oskar. – Przyznajcie się, a ja uratuję wam życie. Jeżeli jesteście rekrutami CIA, mogę odwołać rozkazy. Popłyniecie z nami na Łotwę, żeby przesłuchali was nasi eksperci – nalegał, wciąż kręcąc ponuro głową. – Pomóżcie mi, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby was ocalić.

– Ja powiem... – wyrwała się Millicent.

Na znak Oskara jeden z marynarzy rozsupłał sznur, którym była przywiązana do krzesła. Dygocąc jak w konwulsjach, osunęła się na kolana. Zanosila się od płaczu, słowa ledwo przechodziły jej przez gardło.

– Tak, tak, to prawda... my wszyscy... zwerbowali mnie na uczelni... dlatego że jestem ładna i dobrze mówię po włosku... Craw... szkolenie...

Jąkała się, połykała słowa, potem nagle zaczerpnęła tchu i zaczęła sypać: nazwiska, daty, miejsca... Kiedy Oskar próbował jej przerwać, zatkała uszy i brnęła dalej, opisując w najdrobniejszych szczegółach ich pierwsze spotkanie z Asem w „Cloud Club” i pogróżki Owen-Brack, że wykończy każdego, kto zdradzi tajemnice Firmy. Wysiliwszy pamięć do granic możliwości, drobiazgowo odtworzyła przebieg szkolenia w Craw... Mężczyzna, który uczył ich sztuki szpiegostwa, jest wielkim bohaterem w „Kwaszarni”...

– „Kwaszarni”?

Wodnista wydzielina kapnęła z nosa Millicent na górną wargę. Dziewczyna wytarła się wierzchem dłoni.

– Co jeszcze? Co jeszcze...? Miałam ich kusić: pieniędzmi, pochlebstwami, pieprzyć się z nimi, wytrychy i zamki, nazywa się Andrew, ale, o Boże, nie mogę sobie przypomnieć, czy to imię, czy nazwisko. – Oskar znowu starał się jej przerwać, lecz ona była jak w transie. – Powiem, powiem wszystko, proszę, na rany Chrystusa...

I wtedy spojrzała w górę. Przez łzy dostrzegła w drzwiach pana Andrews w sportowej marynarce z podpiętym pustym rękawem. Pod pełnym niemego wyrzutu spojrzeniem jego oczu zamilkła raptownie, osunęła się bezwładnie na podłogę i głośno przełknąwszy ślinę, jęknęła: „Łajdak... łajdak... BYDŁĘ!” W przyływie bezsilnej furii tłukła głową o deski pokładu. Oskar, z pomocą jednego z marynarzy, próbował ją przytrzymać, a ona dygotała jak w febrze, mamrocząc pod nosem coś, co brzmiało jak „...bułka z masłem, bułka z masłem”.

Leo, widząc, jak Andrews odwraca z zażenowaniem wzrok od roznegliżowanego ciała Millicent, przypomniał sobie nagle, co instruktor powiedział im ostatniego dnia na seminarium z technik przesłuchania; w uszach zabrzmiał mu rozwlekły, charakterystyczny głos: „Wierzcie mi, a mówię to z własnego doświadczenia, że każdego można złamać w s z e ś ć g o d z i n. Największego twardziela. Bez wyjątku. K a ż d e g o. – Tu bezbrzeżny smutek rozlał się po zeszpeconej bliznami twarzy. – Co ciekawe, to nie ból was łamie. Przywykacie do niego, przywykacie do jęków, do własnego skamlenia i nie pamiętacie już, że może istnieć życie bez bólu. Nie, to nie ból was łamie, ale strach. A istnieją setki sposobów na wszczepienie człowiekowi strachu. I jest tylko jeden pewny sposób na to, żeby tego uniknąć: na miłość boską,

przestrzegajcie jedenastego przykazania pracy w wywiadzie: nigdy, przenigdy nie dajcie się złapać”.

Nie było żadnej analizy, przynajmniej oficjalnie. Wieści o porwaniu na niby rozeszły się szybko wśród rekrutów, co było częścią planu. Firma stawiała sprawę jasno: reguły markizy Queensberry nie dotyczą wielkiej gry, jaką jest szpiegostwo. Koledzy z kursu zaczepiali na korytarzu trzech odtwórców głównych ról, żeby zapytać, czy to prawda, i kręcili głowami z niedowierzaniem, kiedy tamci odpowiadali, że tak, dobrze słyszeli, tak to właśnie wyglądało. Leo odkrył, że Millicent Pearlstein została przewieziona nieoznakowaną karetką do kliniki CIA gdzieś na płaskowyżu Piedmont w Wirginii. Musiała odejść, i to nie dlatego, że dała się złamać, ale dlatego, że sama się załamała, a dla ludzi załamanych nie było w Firmie miejsca. Pewnego popołudnia pan Andrews wziął Leo na stronę i powiedział, że czuje się okropnie po tym, co spotkało Millicent, ale myśli, że tak będzie lepiej. Dodał, że nie odebrano jej stopnia oficerskiego i że jak tylko dojdzie do siebie, otrzyma niewielkie odszkodowanie, a potem znajdą jej jakąś spokojną, papierkową robotę w rządowej agencji bezpieczeństwa przy Departamencie Stanu albo w Departamencie Obrony, gdzie też potrzebni są wyszkoleni agenci wywiadu.

Pod koniec tygodnia rekruci zaczęli się pakować – przyznano im dwutygodniowy urlop, żeby wypoczęli, zanim zameldują się, gotowi do pełnienia swojej misji. Zupełnie przypadkiem Jack i Leo natknęli się w „Hilton Inn” na kolejną grupę rekrutów, w której dostrzegli dwóch znajomych z Yale.

– A niech to, wyglądacie, jakby was przepuścili przez wyżymaczkę! – wykrzyknął jeden z nich.

– Ciężko było? Da się tu wytrzymać? – dopytywał się drugi.

– Pestka – powiedział Jack. – Nie napociłem się na kursie.

– Proste jak drut – przyświadczył Leo.

Obaj spróbowali się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmówiły im posłuszeństwa.

MOSKWA, WTOREK, 5 WRZEŚNIA 1950

Moskwianie nie pamiętali takich upałów od stu lat. Fala gorąca napływała z nad pustyni Karakum w Turkmenii, dusząc żarem miasto, aż roztopiony asfalt na ulicach uginał się pod podeszwami letnich butów. W poszukiwaniu ochłody, rozebrani do majtek i podkoszulków, mieszkańcy stolicy tłumnie wylegli na brzeg rzeki Moskwy. Jewgienij zaszył się w dewizowym barze hotelu „Metropol” przy placu Czerwonym. Sączył popołudniowego drinka w towarzystwie szalowej Austriaczki, która przyjechała tu w ramach studenckiej wymiany i z którą flirtował podczas lotu ze Stanów. Udawał Amerykanina, co zawsze sprawiało mu wielką frajdę. Dziewczyna, zatwardziała komunistka, ofiara marksistowskiej indoktrynacji na Uniwersytecie Łomonosowa, entuzjastycznie reagowała na codzienne wieści o zwycięstwach Korei Północnej i porażkach Amerykanów. Pozwolił jej się wygadać i dopiero po dłuższej chwili zveksłował rozmowę z polityki na seks. Owszem, była nie od tego i łatwo dała się poderwać, ale nie chciała – nie mogła – zaprosić go do akademika, w obawie przed agentami KGB, którzy mogliby zaskoczyć ich na miłosnych igraszkach i wyrzucić ją z Rosji za antysocjalistyczne zachowanie. Żadne namowy („W *Das Kapital*, tom drugi – powiedział w pewnym momencie Jewgienij, improwizując z kamienną twarzą – Marks twierdzi, że dziewictwo jest burżuazyjną słabostką, która nie przetrwa walki klasowej”) jej nie przekonały i w końcu dał za wygraną. Uprzytomniwszy sobie nagle, że zrobiło się późno, wyszedł w pośpiechu i przez chwilę bezskutecznie usiłował złapać taksówkę pod teatrem Bolszoj.

Zrezygnowany, wskoczył do ostatniego wagonu odjeżdżającego metra, wysiadł na stacji Maksym Gorki i przebiegł sto pięćdziesiąt metrów, dzielące go od ośmiopiętrowego budynku, w którym zamieszkał jego ojciec, przeszedłszy na emeryturę po długoletniej pracy na stanowisku sekretarza w ONZ. W bramie, przy wejściu na teren otoczonego murem osiedla, wzniesionego na nadrzecznej skarpie, zatrzymał go strażnik, który zmierzył przybysza nieufnym spojrzeniem, po czym zażądał okazania dowodu osobistego. Osiedle na Wzgórzach Leninowskich zbudowano dla partyjnych dygnitarzy, byłych dyplomatów i zasłużonych wydawców. Było pilnie strzeżone przez całą dobę, co tylko dodawało splendoru i tak już uprzywilejowanej „nomenklaturze”. Honorowym lokatorem – jak przechwalał się przez telefon ojciec Jewgienija – był nie kto inny, jak sam Nikita Siergiejewicz Chruszczow, przysadzisty ukraiński chłop, który wybił się w latach trzydziestych, nadzorując budowę moskiewskiego metra, i był jednym z „pieszczoszków” Stalina. Sam zajmował ogromny apartament – *bel étage*, jak mawiają Rosjanie, nawet ci, którzy umieją pisać tylko cyrylicą – i miał do wyłącznej dyspozycji windę, obsługującą tylko jego piętro. Strażnik przyjrzał się fotografii w dowodzie. Spoglądając na Jewgienija, porównał go z twarzą ze zdjęcia, a potem przesunął palcem po liście, przypiętej spinaczem do tekturowej podkładki, szukając jego nazwiska.

– Cypin, Jewgienij Aleksandrowicz... Proszę wejść, czekają na was – oznajmił beznamiętnym, służbowym tonem, wspólnym dla policjantów na całym świecie, po czym wskazał mu drogę.

W holu budynku Jewgienij natknął się na drugiego strażnika. Trzeci pilnował windy. Wypuścił gościa na siódmym piętrze i czekał pod drzwiami, aż Aleksander Timofiejewicz Cypin otworzy i da znak, że wszystko w porządku. Ojciec Jewgienija, który wciąż jeszcze, mimo że od

śmierci żony minęło już jedenaście miesięcy, nosił czarną opaskę na rękawie marynarki, wprowadził swojego najstarszego syna do klimatyzowanego mieszkania, a potem przytulił go, jakby trochę skrępowany, i ucałował w oba policzki.

Trudno powiedzieć, który z nich – ojciec czy syn – czuł się bardziej speszony tym wylewnym powitaniem.

– Przepraszam, że wcześniej nie znalazłem czasu – wymamrotał starszy Cypin. – Wiesz, jak to jest... Konferencje, potem pisanie sprawozdań...

– Zwykła rzecz. Jak twój reumatyzm?

– Raz jest, raz go nie ma, zależnie od pogody. Od kiedy zapuszczasz tę kozią bródkę?

– Od naszego ostatniego spotkania. Od pogrzebu mamy.

Cypin unikał wzroku syna.

– Przykro mi, że nie mogę cię przenocować. Gdzie się zatrzymałeś?

– Przyjaciel ma pokój we wspólnym mieszkaniu. Śpię u niego na kanapie.

Przez podwójne drzwi przestronnego salonu Jewgienij dojrzał panoramiczne okno z zapierającym dech w piersi widokiem na rzekę i miasto.

– *Oczeń choroszo*. Nieźle się tu urządziłeś – mruknął. – Związek Radziecki traktuje swoich byłych dyplomatów jak carów.

– Grinka jest tutaj – powiedział starszy Cypin, biorąc Jewgienija pod ramię. – Przyjechał nocnym pociągami z Leningradu, jak tylko usłyszał, że będziesz. Zaprosiłem też przyjaciela, a on kogoś ze sobą przyprowadził. – Posłał synowi tajemniczy uśmiech. – Jestem pewien, że znajdziecie wspólny język.

Ściszył głos i szepnął synowi na ucho:

– Jeżeli cię spyta o Amerykę, chciałbym, abyś przesadnie ganił ich błędy.

W głębi salonu Jewgienij dostrzegł młodszego brata, który na jego widok zerwał się z miejsca. Padli sobie w ramiona, ściskając się „na niedźwiedzia”. Gosposia Cypina, drobna, pomarszczona Uzbeczka o delikatnej, ptasiej twarzy, częstowała *zakuskami* dwóch mężczyzn, siedzących przy oknie. Ujrawszy Jewgienija, krzyknęła z radości. Wymruczała coś po uzbecku i wspiąwszy się na palce, złożyła na jego czole i ramionach uroczysty pocałunek.

– Witaj, Niura – powiedział.

– Dzięki Bogu, że wróciłeś żywy z tej Ameryki – westchnęła. – Mówią, że tam w miastach rządzą uzbrojeni gangsterzy.

– Nasi dziennikarze trochę z tym przesadzają. Nie jest tak źle – odparł z uśmiechem. Pochylił się i ucałował ją w oba policzki, a ona zarumieniła się z radości.

– Niura opiekowała się Jewgienijem przez całą wojnę, kiedy wysłali nas z żoną do Turcji – wyjaśnił Cypin gościom.

– Przed wojną spędziłem kilka dni na tajnej misji w Stambule – odezwał się starszy z mężczyzn. – Pamiętam, że mieli tam straszliwy bałagan.

Jewgienij wyczuł w jego rosyjskim niemiecki akcent.

– Marzyłem o tym, żeby zamieszkać z rodzicami w Stambule – powiedział – ale Turcja była wtedy ośrodkiem międzynarodowych intryg i porachunków. Zdarzały się porwania, a nawet morderstwa, więc ze względów bezpieczeństwa musiałem zostać w Ałma Acie z Niurą i Grinką.

Cypin dokonał prezentacji:

– Jewgienij... Chodź tu, przedstawię cię... To Martin Dietrich. Towarzyszu Dietrich... poznajcie, proszę, mojego najstarszego syna, który właśnie wrócił z uniwersytetu w Ameryce. A to jest Paweł Siemionowicz

Żyłow, czyli po prostu Pasza, mój serdeczny przyjaciel od niepamiętnych lat, a wśród naszych towarzyszy...

– Być może będziecie mieć szczęście i staniecie się jednym z nich – przerwał mu Dietrich, zwracając się do Jewgienija.

– ...jest znany jako Dziadek.

Jewgienij przywitał się z nimi krótkim uściskiem dłoni, a potem otoczył ramieniem młodszego brata i dyskretnie przyjrzał się gościom ojca. Niski, krępy Martin Dietrich miał co najmniej pięćdziesiąt lat, zniszczoną cerę, zmęczone, osowiałe oczy, a na policzkach blizny po przeszczepie skóry. Znacznie od niego młodszy, ale już grubo po trzydziestce, Pasza Siemionowicz Żyłow był wysoki, szczupły i wyglądał jak żywcem przeniesiony z poprzedniego stulecia: wystrzępiona, szpakowata popia bródka, lekko przymrużone, zamyślane niebieskie oczy, pod których badawczym spojrzeniem Jewgienij poczuł się dziwnie nieswojo... Żyłow stał przy oknie i grubymi, równo przyciętymi paznokciami rozłupywał w milczeniu prażone pestki moreli z Samarkandy, podrzucając migdały prosto do ust. Ubrany był w luźne spodnie i zgrzebną białą koszulę z szerokim, rozpiętym pod szyją kołnierzykiem, spod którego połyskiwał srebrny łańcuszek misternej roboty. Ciemny, chłopski surdut zwisał mu niemal do kolan. Na klapach połyskiwało pół tuzina kolorowych jedwabnych baretek. Jewgienij, który jeszcze w Komsomole nauczył się rozpoznawać najważniejsze odznaczenia, dostrzegł wśród nich Order Bohatera Związku Radzieckiego, Czerwonego Sztandaru, Aleksandra Newskiego, Czerwonej Gwiazdy.

– Jesteście prawdziwym bohaterem wojennym – powiedział z ledwie dostrzegalną ironią. – Może pewnego dnia opowiecie mi historię każdego z tych medali.

Dziadek zaciągnął się bułgarskim papierosem z długą, pustą gilzą, zmierzył wzrokiem syna gospodarza.

– Wbrew pozorom nie żyję przeszłością – odparł beznamiętnym głosem.

– I tym się różnicie od innych Rosjan – orzekł Jewgienij i poczęstował się krakersem z kawiozem. – Dziadek... *starik*. Tak towarzysze nazywali Lenina, prawda? Jak to się stało, że i was tak nazywają?

Ojciec Jewgienija odpowiedział za Dziadka.

– Na Lenina mówili tak dlatego, że był starszy od innych. A Pasza... Cóż, Pasza mówił jak Tołstoj na długo przedtem, zanim sam zapuścił brodę.

Jewgienij, który przejął od Amerykanów nonszalancki styl bycia, zapytał z niewinnym uśmiechem:

– A co mówicie, kiedy mówicie jak Tołstoj?

Ojciec próbował skierować rozmowę na inne tory.

– Jak ci się leciało z Ameryki, Jewgieniju?

Dziadek machnął pojednawczo ręką.

– W porządku, Aleksandrze Timofiejewiczu. Wolę ciekawych młodych ludzi niż takich, co w wieku dwudziestu jeden lat wiedzą już wszystko.

Posłał Jewgienijowi nieco wymuszony, skąpy uśmiezek. Młody człowiek dobrze znał ten zagadkowy grymas. Domyślił się, że dla Dziadka życie jest misterną grą, partią szachów. Oto kolejny członek komunistycznej „nomenklatury”, który wspiał się po ciałach swoich kolegów, żeby być na przedzie!

Dziadek wypluł zepsutą pestkę moreli z Samarkandy na perski dywan.

– To, co mówię – powiedział do Jewgienija, z naciskiem wymawiając każde słowo – jest tajemnicą państwową.

Później, przy obiedzie, skierował rozmowę na Amerykę i zapytał Jewgienija o wrażenia z pobytu. Czy wierzy, że napięcia na tle rasowym mogą doprowadzić do buntu Murzynów? Czy wyzyskiwany kaukaski proletariąt poparłby taki bunt? Jewgienij odrzekł, że w zasadzie nie był w Ameryce – był w Yale, getcie zaludnionym przez klasy uprzywilejowane, które było stać na naukę, lub przez ubogich stypendystów, łudzących się, że zrobią karierę w świecie wielkiej burżuazji.

– A co do buntu Murzynów – dodał – to prędzej człowiek stanie na Księżycu, niż do tego dojdzie. Ten, kto mówi wam takie rzeczy, po prostu nie wie, co mówi.

– Czytałem o tym w „Prawdzie” – powiedział Dziadek, obserwując bacznie, czy syn jego przyjaciela da wreszcie za wygraną.

Jewgienij nagle poczuł się jak na egzaminie.

– Dziennikarze „Prawdy” mówią wam to, co uważają, że powinniście usłyszeć – powiedział. – Jeśli mamy odnieść zwycięstwo nad potężnym mocarstwem, jakim jest kapitalistyczna Ameryka, musimy najpierw zrozumieć, co stanowi jej siłę napędową.

– A wy rozumiecie, co stanowi tę siłę?

– Zaczynam rozumieć Amerykę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie ma takiej możliwości, by Murzyni się zbuntowali.

– A co planujecie zrobić z tą swoją wiedzą o Ameryce? – spytał Dziadek.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

Grinka spytał ojca, czy pamięta, że w „Prawdzie” pisali kiedyś o korespondencie TASS w Waszyngtonie, któremu podano narkotyk, a następnie sfotografowano w łóżku z roznegliżowaną nastolatką. CIA próbowała go potem szantażować, żeby dla nich pracował. Jewgienij stwierdził na to, że równie dobrze ów dziennikarz sam mógł być agentem

KGB. Starszy Cypin, napełniając kieliszki schłodzonym węgierskim białym winem, zauważył, że Amerykanie regularnie oskarżają radzieckich dziennikarzy i dyplomatów o działalność szpiegowską.

Jewgienij zerknął na ojca.

– A nie jest tak? – zapytał, a w jego źrenicach zamigotały figlarne zaczepne iskierki.

Dziadek uniósł kieliszek na wysokość oczu i obracając nóżkę w palcach, obrzucił Jewgienija uważnym spojrzeniem.

– Bądźmy szczerzy: czasami tak jest – odparł spokojnie. – Ale socjalizm, jeśli ma przetrwać, musi się jakoś bronić.

– A czy nie stosujemy względem nich tych samych sztuczek, których oni używają przeciwko nam? – upierał się Jewgienij.

– Mam nadzieję, że tak – wtrącił Martin Dietrich z niespodziewanym u niego poczuciem humoru. – Wziąwszy pod uwagę ryzyko, jakie ponoszą, szpiedzy są raczej kiepsko opłacani i od czasu do czasu muszą dostać rekompensatę w innej postaci niż pieniądze.

– Zgadzam się, że komuś z zewnątrz cały ten szpiegowski interes może się wydawać niezłą zabawą – przyznał Dziadek, utkwivszy wzrok w Jewgieniju, siedzącym po przeciwnej stronie stołu.

Zwracając się do gospodarza, zaczął opowiadać anegdotę o francuskim attaché wojskowym, który został uwiedziony przez młodą kobietę, pracującą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– Pewnej nocy odwiedził ją w pokoju, który dzieliła z inną dziewczyną. Nawet się nie zorientował, kiedy wszyscy troje znaleźli się w jednym łóżku. Dziewczyny pracowały dla KGB. Nasi agenci sfilmowali wszystko przez weneckie lustro. Gdy potem dyskretnie pokazali mu zdjęcia, attaché wybuchnął śmiechem i zapytał, czy mogliby dostarczyć mu kopie, bo chce

wysłać żonie do Paryża, aby jej udowodnić, że jego męskość nie ucierpiała podczas dwóch lat pobytu w Moskwie.

Jewgienij uniósł brwi ze zdziwieniem. Skąd przyjaciel ojca zna takie historyjki? Czyżby Pasza Siemionowicz Żyłow był agentem bezpieczeństwa? Jewgienij zerknął na ojca. Zawsze podejrzewał, że ma jakieś powiązania z KGB. Wiadomo, że dyplomaci za granicą muszą mieć uszy i oczy szeroko otwarte i o wszystkim donosić swoim przewodnikom. S w o i m p r z e w o d n i k o m! Czy to możliwe, żeby takie były ich wzajemne relacje? Ojciec przedstawił go jako swego serdecznego przyjaciela. Jeśli Dziadek istotnie jest jego oficerem prowadzącym, starszy Cypin mógł odegrać znacznie większą rolę w wywiadzie, niż Jewgienij podejrzewał; Żyłow nie wygląda na kogoś, kto tylko przesłuchuje powracających dyplomatów.

Jeszcze jedno nie dawało Jewgienijowi spokoju: kim jest ten podający się za Martina Dietricha Niemiec, który wygląda, jakby jego twarz została kiedyś poparzona albo poddana chirurgii plastycznej? I co takiego zrobił dla ojczyzny, że zasłużył na baretkę Bohatera Związku Radzieckiego?

Niura postawiła na stole butelkę napoleona i kieliszki, które gospodarz nappełnił do połowy. Żyłow i Cypin pograżyli się w dyskusji, rozważając, co powstrzymało ofensywę niezwycięzonej, zdawałoby się, armii niemieckiej na Rosję w czasie ostatniej wojny. Grinka, student drugiego roku historii i teorii marksizmu na Uniwersytecie Leningradzkim, powiedział:

– To samo, co powstrzymało Napoleona: rosyjskie bagnety i rosyjska zima.

– Naszą tajną bronią, zarówno przeciw armii Napoleona, jak i żołdakom Hitlera – pouczył Aleksander młodszego syna – była *razputica*: rzeki topniejącego śniegu wiosną, potoki deszczu jesienią, roztopy, które przekształciły step w nieprzebyte bagno. Pamiętam, że *razputica* była

szczególnie uciążliwa w czterdziestym pierwszym. Trzymała w szachu Niemców przez kilka tygodni, które rozstrzygnęły o losach całej kampanii. A październikowe mrozy skuły ziemię zbyt późno i czołgi Wehrmachtu utknęły pod miastem. Widać je było doskonale z kremlowskich wież. Tam właśnie zastała je zima.

– Aleksander ma rację, mieliśmy tajną broń. Ale to nie były bagnety ani mróz, ani nawet *razputica* – powiedział Żyłow. – Tą bronią byli nasi szpiedzy. To dzięki nim wiedzieliśmy, które z niemieckich ataków były pozorowane, a które prawdziwe; to oni dostarczyli nam dokładne dane o zapasach benzyny, żebyśmy mogli obliczyć, jak daleko będą w stanie dojechać wrogie czołgi; oni wreszcie przekazali nam informację, że dowódca Wehrmachtu, pewni, iż Armia Czerwona nie przetrzyma pierwszego natarcia, nie zabrali ze sobą zimowych smarów, co oznaczało, że ich wozy bojowe będą bezużyteczne, gdy tylko ściśnie mróz.

Jewgienij czuł, jak koniak rozgrzewa mu piersi.

– W wielkiej wojnie ojczyźnianej poległo dwadzieścia milionów ludzi. Nigdy nie rozumiałem, czemu ci, którzy wyszli cało z tej jatki, choć wycierpieli tyle, że nie da się tego opisać, wspominają to teraz z nostalgią.

– Pamiętacie opowieści o sułtanach otomańskich, władcach imperium rozciągającego się od Dunaju aż po Ocean Indyjski? – zapytał Dziadek. – W czasach pokoju spoczywali na ałasowych poduszkach, w namiotach rozstawionych wśród przepysznych ogrodów Stambułu, i tylko połyskujący na kciuku łuczniczy pierścień przypominał im o stoczonych niegdyś bitwach, o których sami już prawie zapomnieli. – Z wolna obrócił głowę w stronę Jewgienija. – Można powiedzieć, że wszyscy, którzyśmy walczyli w wielkiej wojnie ojczyźnianej, nosimy na palcach łucznicze pierścienie albo kolorowe wstążeczki w klapie marynarki. Kiedy nasze wspomnienia

zbledną, wszystko, co nam pozostanie z tych bohaterskich chwil, to te pierścienie i nasze medale.

Później, czekając na windę, Dziadek półgłosem rozmawiał z gospodarzem. Stojąc w otwartych drzwiach, Żyłow odwrócił się do Jewgienija i jakby od niechcienia wręczył mu niewielką wizytówkę.

– Wpadnijcie do mnie na herbatę – mruknął. – Może opowiem wam historię jednego z moich odznaczeń.

Jewgienij domyślił się, że kolacja była testem, i zrozumiał, że zdał. Niemal wbrew swej woli czuł, że zaczyna lubić tego nieokrzesanego, niechlujnego wieśniaka, który – sądząc z jego zachowania i szacunku, z jakim traktował go ojciec – najwyraźniej stał znacznie wyżej od byłego zastępcy sekretarza generalnego ONZ. I ku swojemu zdumieniu usłyszał własną odpowiedź:

– Będzie to dla mnie zaszczyt.

– Jutro o wpół do piątej. – Dziadek nie pytał, on oznajmiał. – Uprzedźcie ojca, gdzie będziecie, a ja wyślę po was samochód. Wizytówka posłuży wam jako *laissez-passer* – użył francuskiego terminu – dla strażników przy zewnętrznej bramie.

– Zewnętrznej bramie czego? – spytał Jewgienij, ale tamten już zniknął w windzie.

Jewgienij obracał wizytówkę w palcach, gdy wtem Grinka wyrwał mu ją z ręki.

– *Gienierał połkownik* w KGB – powiedział i gwizdnął. – Jak myślisz, czego od ciebie chce?

– Może żebym poszedł w ślady ojca... – odparł Jewgienij.

– Zostań dyplomatą!

– Czy tym właśnie byłeś, tato? – spytał Jewgienij z niewinnym uśmiechem.

– Służyłem ojczyźnie – odpowiedział starszy Cypin z irytacją. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Jewgienij odprowadził brata na Dworzec Leningradzki, przeszedł na drugą stronę placu Komsomolskiego i stanął w cieniu, koło kiosku z charakterystyczną czerwoną dachówką. Kiedy zegar dworcowy wybił czwartą, czarna, połyskująca chromem limuzyna „Ził” z przyciemnionymi szybami zatrzymała się przy krawężniku. Okna były szczelnie zamknięte, co oznaczało, że samochód ma klimatyzację. Mężczyzna o okrągłej twarzy, w ciemnych okularach i jasnym kazachskim kapeluszu, opuścił przednią szybę.

– Jesteście z... – zaczął Jewgienij.

– Nie róbcie z siebie durnia – przerwał tamten szorstko. – Wsiadajcie.

Jewgienij otworzył tylne drzwiczki. Ził objechał rondo i pomknął za miasto na południowy wschód, szosą kałuską. Jewgienij zastukał w szybkę, która dzieliła go od dwóch mężczyzn, siedzących z przodu. Ten w kazachskim kapeluszu zerknął przez ramię.

– Kiedy będziemy na miejscu? – zapytał Jewgienij.

Kierowca podniósł dłoń, trzy razy zgiął i rozprostował palce, a potem znów się odwrócił.

Jewgienij, rozparty na chłodnym skórzanym siedzeniu, przyglądał się przechodniom. Pamiętał miłe uczucie podniecenia, jakie ogarniało go, gdy ojciec zabierał jego i Grinkę na wycieczki rodzinną limuzyną marki „Wołga”. Szofer w ministerialnym uniformie, śniady, skośnooki mężczyzna o okrągłej jak brzoskwinia twarzy, zwracał się do chłopców per „paniczu”,

ilekroć otwierał przed nimi drzwiczki. Zerkając zza firanek samochodu, Jewgienij wyobrażał sobie wówczas, że obaj z bratem są bohaterami Matuszki Rosji, odznaczonymi przez samego Wielkiego Sternika, towarzysza Stalina; od czasu do czasu pozdrawiali wyniośle chłopów na drodze do Pieriediełkina, gdzie ojciec dostał ministerialną daczę... Kierowca ziała trąbił na przechodniów, którzy pospiesznie schodzili mu z drogi. Samochód zwalniał, ale ani razu nie stanął na czerwonych światłach. Kiedy spoceni milicjanci w zapiętych pod szyję rubaszkach widzieli nadjeżdżającego ziała, zatrzymywali ruch na skrzyżowaniu, a piesi czekali cierpliwie na chodniku. Ludzie gapili się na przyciemnione szyby, próbując odgadnąć, co to za szycha z Politbiura albo KC wybiera się dziś za miasto.

Wreszcie ział skręcił w wąską, jednokierunkową uliczkę ze znakiem głośzącym: „Centrum Szkoleniowe – Wstęp wzbroniony”. Jechali trzy, może cztery minuty przez brzozowy zagajnik. Przed oczami Jewgienija migwały białe pnie, których kora obłaziła jak podarte papierowe opakowanie. Za drzewami ukazała się opuszczona cerkiewka. Otwory po drzwiach i oknach ziały pustką, a cebulasta kopuła zdawała się falować w upalnych podmuchach znad środkowej Azji. Limuzyna wjechała na elegancki podjazd wysypany białym żwirkiem i zaparkowała od frontu, pod małym budynkiem z czerwonej cegły. Wysoki, zwieńczony zwojami drutu kolczastego płot rozciągał się jak okiem sięgnąć w obie strony. Dwa szarobrazowe syberyjskie husky krążyły tam i z powrotem, uwiązane do drzewa na długich łańcuchach. Do tylnego okna ziała zbliżył się jakiś wojskowy w randze oficera. Zza sterty worków z piaskiem obserwował ich żołnierz z automatem w pogotowiu. Jewgienij uchylił szybę i wręczył oficerowi wizytówkę Dziadka. Do wnętrza samochodu wtargnął podmuch gorącego powietrza. Oficer obejrzał wizytówkę, potem oddał ją i machnął

kierowcy ręką, by jechał dalej. Na końcu żwirowej alejki ukazała się dwupiętrowa przedrewolucyjna posesja. Z boku budynku bujały się na huśtawce dwie bose dziewczynki w krótkich fartuszkach, piszcząc z udawanego strachu, ilekroć któraś z nich wylatywała w górę lub spadała w dół. Tuż obok skubał trawę srokaty koń ze zwisającymi z szyi wodzami. W otwartych drzwiach czekał młody człowiek w przyciasnym garniturze, najwidoczniej uprzedzony o ich przybyciu przez strażnika. Stał z założonymi rękami i miną ważniaka.

– Proszę za mną – powiedział do Jewgienija. Poprowadził go przez marmurowy hol do krętych schodów, przykrytych wytartym czerwonym chodnikiem. Kiedy weszli na drugie piętro, zapukał dwukrotnie do drzwi, otworzył je i cofnął się o krok, by przepuścić gościa.

Pasza Siemionowicz Żyłow, chłodząc się przy zamontowanym w oknie klimatyzatorze Westinghouse'a, czytał na głos z cienkiej książeczki dwóm skulonym na sofie dziewczynkom z bezwstydnie rozchylonymi kolanami. Na widok Jewgienija zamknął książkę.

– Wujku, czytaj dalej – poprosiła jedna z dziewczynek. Druga z ponurą minką ssała paluszek.

Nie zwracając uwagi na dzieci, Dziadek wstał i powitał gościa wylewnie.

– Domyślcie się, gdzie jesteście? – zapytał i wzięwszy go pod ramię, wprowadził do przestronnego salonu.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał Jewgienij.

– Mogę wam zdradzić, że jesteście w obwodzie południowo-zachodnim, niedaleko wsi Czeriomuszki. Posiadłość ta, licząca niegdyś dziesiątki tysięcy hektarów, należała do rodziny Apatowów, ale została przejęta przez Czeka na początku lat dwudziestych i od tamtego czasu wykorzystywana jest jako tajna kryjówka. – Skinął na Jewgienija i przez pokój bilardowy

przeszli do jadalni z wielkim owalnym stołem, zastawionym kosztowną chińską porcelaną i czeskimi kryształami. – Willę podzielono i urządzono tu trzy apartamenty: w jednym mieszka Wiktor Abakumow, szef naszej organizacji SMIERSZ; drugie zarezerwowano dla ministra bezpieczeństwa wewnętrznego, towarzysza Berii. Korzysta z niego, kiedy chce uciec od moskiewskiego zgiełku.

Dziadek wziął butelkę wody mineralnej „Narzan” i dwie szklanki, każdą z plasterkiem cytryny, po czym przeszedł do obszernej, wykładanej boazerią biblioteki, wypełnionej setkami oprawnych w skórę tomów oraz kilkoma tuzinami małych, inkrustowanych złotem i srebrem ikon. Na jedynej niezastawionej ścianie wisiał naturalnej wielkości portret Lwa Nikołajewicza Tołstoja. W prawym dolnym rogu widniało nazwisko malarza – I.J. Riepin – oraz data 1887. Tołstoj, z długą białą brodą, odziany w zgrzebną chłopską koszulę, siedział na krześle, trzymając w lewej ręce otwartą książkę. Jewgienij zauważył, że wielki pisarz ma na obrazie takie same paznokcie jak Dziadek – grube i równo przycięte.

Pośrodku pokoju stał wielki drewniany stół, a na nim leżały starannie ułożone teczki, papiery i akta. Gospodarz postawił butelkę i szklanki, a potem usiadł i wskazał gościowi krzesło naprzeciw siebie.

– Towarzysz Beria uważa, że spokój i wiejskie powietrze to najlepsze lekarstwo na wrzody żołądka. Znacznie skuteczniejsze niż termofor, który każą mu przykładać na brzuch. Kto mu powie, że nie ma racji? – Dziadek włożył do ust bułgarskiego papierosa. – Zapalicie?

Jewgienij odmówił.

Do pokoju, niosąc tacę, wkroczył mężczyzna z ogoloną głową, ubrany w czarną marynarkę i czarne spodnie. Położył na stole spodeczek z cukrem w kostkach i drugi, z plasterkami jabłka, napełnił dwie szklanki parującą herbatą z termosu i wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi. Dziadek włożył

do ust kostkę cukru i zaczął głośno siorbać herbatę. Jewgienij widział, jak jabłko Adama porusza się na jego chudej szyi. Po chwili Żyłow zapytał:

– Czy Amerykanie sądzą, że dojdzie do wojny?

– Różnie mówią, ale nastroje są raczej pacyfistyczne. Amerykanie to pionierzy z Dzikiego Zachodu, kowboje, którzy ustatkowali się, odkąd zaczęli kupować na kredyt wszystko, czego dusza zapragnie, a teraz muszą spłacać odsetki do końca życia.

Dziadek otworzył teczkę leżącą na samym wierzchu pokaźnej kupki akt i sącząc herbatę, zaczął przeglądać raport.

– Nie zgadzam się z wami. Pentagon sądzi, że wojna będzie, przewidzieli tam nawet, że wybuchnie pierwszego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Znakomita większość amerykańskiego Kongresu zgadza się z przewidywaniami Pentagonu. Z początku, tuż po swoim powstaniu w czterdziestym siódmym roku, CIA w kwestii finansów była traktowana po macoszemu; teraz otrzymuje nieograniczone fundusze i rekrutuje agentów w zawrotnym tempie. I wierz mi, że porządnie dają im w kość na szkoleniach. Sekcja Rosji Sowieckiej, nasz *główny przeciwnik*... Jak to będzie po amerykańsku?

– *Principal adversary.*

Dziadek wypróbował swój angielski:

– *Principal adversary...*

I natychmiast wrócił do rosyjskiego:

– ...organizuje realistyczne porwania własnych oficerów przez współpracujących z nimi Rosjan, udających agentów KGB, którzy potem grożą rekrutom śmiercią w wypadku odmowy przyznania się do pracy w CIA. Test jest o tyle trafny, że sprawdza, którzy z nowych oficerów są

zdolni przetrwać psychologiczny szok takiego epizodu i przejść nad nim do porządku dziennego.

Dziadek podniósł wzrok znad akt.

– Jestem pod wrażeniem pytań, których nie zadajecie.

– Jeślibym spytał, skąd wicie takie rzeczy, i tak byście mi nie powiedzieli, więc po co mam pytać?

Dziadek siorbnął kolejny łyk herbaty.

– Porozmawiajmy tak, jakbyśmy znali się równie długo jak ja z waszym ojcem. – Widząc, że Jewgienij kiwa głową, ciągnął dalej: – Pochodzicie ze znamienitej rodziny o długiej tradycji służby w organach radzieckiego wywiadu. W latach dwudziestych, w okresie wojny domowej, ojciec waszego ojca był czekistą, walczył u boku Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego, kiedy ten stworzył Ogólnorosyjską Nadzwyczajną Komisję do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem. Brat waszego ojca jest głową departamentu w Drugim Zarządzie Głównym KGB. Nie wiedzieliście o tym?

– Powiedziano mi, że pracował dla... ale to nieważne, co mi powiedziano.

– A wasz ojciec...

– Mój ojciec?

– Pracował przez długie lata dla Pierwszego Zarządu Głównego, wtedy gdy pełnił funkcje dyplomatyczne, ostatnio, jak wicie, na wysokim stanowisku w Sekretariacie Narodów Zjednoczonych. Przez dwanaście lat byłem oficerem prowadzącym Aleksandra Timofiejewicza, mogę więc osobiście zaświadczyć o jego ogromnym wkładzie w nasze dzieło. Powiedziano mi, że macie raczej cyniczne podejście do tych spraw. Bo czym w istocie jest komunizm? Szalonym pomysłem, że w człowieku kryją

się możliwości, których jeszcze nie odkryto. Tragedią tak zwanego marksizmu-leninizmu jest to, że nadzieje Lenina i oczekiwania Zinowjewa, iż niemiecka rewolucja doprowadzi do powstania radzieckich Niemiec, spełzły na niczym. Pierwszym krajem, który poddał się temu eksperymentowi, nie były bogate proletariackie Niemcy, tylko biedna chłopska Rosja. Kapitałiści wypominają nam do znudzenia nasze zacofanie, ale sami zobaczcie, skąd pochodzimy... Według mnie komunistów można podzielić na dwie grupy: carów, którzy głoszą kult Matuszki Rosji i radzieckiej *własti*, oraz marzycieli, którzy głoszą geniusz i szczodrość ludzkiego ducha.

– Moja matka często mówiła o geniuszu i szczodrości ludzkiego ducha.

– Nie mam nic przeciwko ekspansji naszej radzieckiej potęgi, ale w głębi duszy należę, jak wasza matka, do tej drugiej kategorii. Wiecie zapewne, kim był Lew Tołstoj? W którymś ze swoich listów mówi – tu Dziadek odrzucił głowę w tył, przymknął powieki i wyrecytował melodyjnym głosem: – „Zmiany w naszym życiu powinny wypływać nie z chęci doświadczenia czegoś nowego, ale z niemożności życia inaczej niż w zgodzie z wymogami własnego sumienia”.

Kiedy otworzył oczy, jego źrenice płonęły wewnętrznym żarem.

– Nasz system polityczny – mówił dalej – powstał z chęci wypróbowania nowego sposobu życia i dlatego ma wiele wad. Pamiętajcie, jestem z wami szczerzy. Wiecie chyba, że gdybyście to komuś powtórzyli, zostałbym skazany za zdradę? Ta wrodzona ułomność systemu doprowadziła do wypaczeń. Ale pokaż mi ustrój, który byłby od nich wolny! W poprzednim stuleciu Amerykanie zbierali koce żołnierzy, którzy umarli na ospę, i dawali je Indianom. Południowcy wyzyskiwali czarnych niewolników i linczowali tych, którzy się przeciw temu buntowali. Francuscy katolicy przywiązywali francuskim protestantom ciężarki do nóg i wrzucali ich do rzeki.

Hiszpańska inkwizycja paliła Żydów i muzułmanów, którzy przeszli na chrześcijaństwo, bo wątpiła w szczerą nawrócenia. Za czasów krucjat krzyżowcy zamykali Żydów w świątyniach Jerozolimy i palili ich żywcem. Po co o tym wszystkim mówię? Po to, żebyście zrozumieli, że komunizm, podobnie jak inne, wcześniejsze systemy polityczne, przetrwa wypaczenia naszych carów. – Dziadek wziął termos i dolał sobie herbaty. – Jak długo byliście w Ameryce?

– Mój ojciec zaczął pracować w ONZ zaraz po wojnie. Czyli spędziłem w Stanach... zaraz... prawie pięć i pół roku. Najpierw studiowałem w Erasmus High School na Brooklynie, a potem jeszcze dwa lata w Yale, gdzie dostałem się dzięki protekcji sekretarza generalnego, Lie'a, który na prośbę ojca użył swoich wpływów.

Z leżącej na stole sterty papierów Dziadek wyciągnął jakąś teczkę i przytrzymał tak, żeby Jewgienij mógł zobaczyć okładkę. Na samym środku widniało jego imię i nazwisko – „Jewgienij Aleksandrowicz Cypin”, z adnotacją: „Ściśle tajne. Nie udostępniać nikomu”. Żyłow otworzył akta i wyjął kartkę z odręczną notatką.

– Ani interwencja waszego ojca, ani wpływy sekretarza generalnego Lie'a nie miały tu nic do rzeczy. To ja, poprzez ministra spraw zagranicznych Mołotowa, pociągałem za sznurki. Wy oczywiście tego nie pamiętacie, ale już się kiedyś spotkaliśmy. To było sześć lat temu, na dacy w Pieriedielkinie. Nie mieliście jeszcze piętnastu lat i uczęszczaliście do szkoły zawodowej numer dziewiętnaście w Moskwie. Byliście żądni wiedzy, bystrzy, mieliście ucho do języków; już wtedy znaliście angielski tak dobrze, że swobodnie rozmawialiście z matką. To był wasz tajny język, żeby mały Grinka nie mógł was zrozumieć.

Jewgienij uśmiechnął się na to wspomnienie. Teraz, siedząc naprzeciw Dziadka, pojął, co ciągnie ludzi do spowiedzi i dlaczego wyznają księdzu

rzeczy, jakich normalnie nigdy by nikomu nie powiedzieli.

– Z oczywistych powodów nie mówiło się o tym, ale moja matka pochodziła z arystokratycznego rodu, który wywodził się od Piotra Wielkiego, i tak jak on zapatrzona była na Zachód. Kochała obce języki, biegle władała francuskim i angielskim. Jako młoda dziewczyna studiowała malarstwo w La Grande Chaumière w Paryżu i to zaważyło na jej życiu. Podejrzewam, że małżeństwo okazało się dla niej wielkim rozczarowaniem, chociaż była szczęśliwa, kiedy ojca wysłano za granicę.

– To właśnie tamtego dnia, sześć lat temu w Pieriedielkinie, wasz ojciec dowiedział się, że dostał posadę w ONZ. Wasza matka namówiła go, żeby zabrał dzieci ze sobą do Ameryki. Z początku niechętnie się odniósł do tego pomysłu, ale pomogłem go przekonać. Grinka wylądował w szkole przy konsulacie radzieckim w Nowym Jorku. Byliście starsi od brata, więc matka chciała was zapisać do amerykańskiej szkoły średniej, ale aparatczycy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych oświadczyli, że przepisy są jasne i nie ma mowy o żadnym wyjątku. I znowu zwróciła się o pomoc do mnie. Interweniowałem bezpośrednio u Mołotowa. Powiedziałem mu, że potrzebujemy ludzi wykształconych w Ameryce, znających *perfect* język i przesiąkniętych tamtejszą kulturą. Pamiętam, że Mołotow spytał mnie, czy wierzę, że ktoś wychowany w amerykańskich szkołach może pozostać lojalnym obywatelem Związku Radzieckiego. Odpowiedziałem mu, że ręcę za was moim słowem.

– Skąd mogliście wiedzieć?

– Nie mogłem, ale zaryzykowałem, zrobiłem to dla niej, dla waszej matki. Widzicie, ona i ja byliśmy dalekimi kuzynami, ale łączyło nas coś więcej niż wątłe rodzinne więzy. Przez te wszystkie lata staliśmy się... przyjaciółmi. Nazwijmy to związkiem pokrewnych dusz, żeby ładniej brzmiało. Co prawda, różniliśmy się w niektórych sprawach, zwłaszcza

w kwestii marksizmu. Ale przeważnie zgadzaliśmy się ze sobą co do joty. A poza tym... mieliście w sobie coś... Jakaś tajona pasja tliła się w waszych oczach. C h c i e l i ś c i e uwierzyć... W sprawę, w misję, w człowieka... – Oczy Dziadka zwężyły się. – Pod wieloma względami przypominaliście swoją matkę. Oboje byliście przesądni. – Roześmiał się na to wspomnienie. – Spluwaliście przez lewe ramię, na szczęście. Wasza matka siadywała przed podróżą na walizce, zupełnie jak u Dostojewskiego. I nigdy nie zawracała zza progu, a jeśli już musiała, to zawsze przeglądała się w lustrze, zanim znowu wyszła.

– Wciąż tak robię...

Jewgienij zamyślił się na chwilę.

– Kiedy jeszcze chodziłem do Erasmus High, nie wiedzieliśmy, czy dostanę pozwolenie na studia w Yale i czy ojca stać będzie na chesne, gdyby mi się udało.

– To j a wystarałem się wam o pozwolenie na studia w Yale. To dzięki m n i e książka waszego ojca, *Z radzieckiego punktu widzenia*, została opublikowana przez lewicujące wydawnictwa w wielu krajach Europy i Trzeciego Świata i to j a dopilnowałem, że zarobił na niej tyle, by starczyło na waszą naukę.

– To, co mówicie, nie mieści mi się w głowie – powiedział Jewgienij zduszonym głosem.

Dziadek zerwał się z krzesła, obszedł stół i spojrzał z góry na swojego młodego gościa. Poły chłopskiej marynarki nieco się rozchyliły. Jewgienij dojrzał podniszczoną kolbę ciężkiego marynarskiego pistoletu, zatkniętego za pasek. Serce zabiło mu szybciej.

– Czyżbym się co do ciebie omylił, Jewgieniju? – zapytał Dziadek, przechodząc z oficjalnego „wy” na poufale „ty”. – Czyżbym przecenił

twoją odwagę i uczciwość? Biegła znajomość angielskiego, wiedza na temat Ameryki, fakt, że z łatwością możesz uchodzić za Amerykanina, wszystko to otwiera przed tobą jedyne w swoim rodzaju możliwości. Masz okazję wnieść szczególny wkład w naszą sprawę. Wiesz jedynie tyle, ile przeczytałeś w książkach; ja nauczę cię rzeczy, których w książkach nie znajdziesz. Czy pójdziesz w ślady dziadka i ojca? Czy wstąpisz w szeregi czekistów, żeby pracować z marzycielami, którzy krzewią geniusz i szczodrość ludzkiego ducha?

– Pragnę tego z całej duszy! – wykrzyknął Jewgienij i powtórzył raz jeszcze, czując w sobie zapał, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył: – Tak, tak! Pójdę za tobą wszędzie, gdzie mnie poprowadzisz.

Dziadek, mimo że był powściągliwy z natury i rzadko pozwalał sobie na okazywanie wzruszeń, pochylił się nad Jewgienijem i obiema rękami chwycił jego dłonie. Surowe, nawykłe do powagi usta okraślił serdeczny uśmiech.

– Istnieje wiele sposobów, żeby się dostać do mego świata, ale najlepszą przepustką jest moje osobiste zaufanie. Oddaję w twoje ręce życie naszych agentów, tajemnice państwowe, własne dobro. Opowiem ci teraz o tym, jak dostałem Order Czerwonego Sztandaru. To tajemnica państwowa najwyższej wagi, nawet twój ojciec jej nie zna. Jeśli ją usłyszysz, nie będzie już odwrotu.

– Mów, jestem gotów.

– Rzecz dotyczy Niemca Martina Dietricha – zaczął Dziadek chrapliwym szeptem, oczy mu pałały. – Był radzieckim szpiegiem w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej. Jego prawdziwe imię – zawiesił głos – brzmi Martin Bormann. Tak, ten sam Martin Bormann, który był prawą ręką Hitlera. Pracował dla nas od końca lat dwudziestych. W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym skłoniliśmy go do małżeństwa z córką pewnego

wysoko postawionego nazisty, aby w ten sposób uzyskać dostęp do najbliższego otoczenia Führera. Kiedy zaczęła się wojna, Bormann zdradził nam strategię Hitlera. To od niego wiedzieliśmy, które z niemieckich ataków były manewrami mylącymi przeciwnika, ile benzyny miały w bakach wrogie czołgi i że w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym Wehrmacht nie wziął ze sobą zimowych smarów. Bormann doprowadził do niemieckiej klęski pod Stalingradem, bo to on namawiał Hitlera do podejmowania irracjonalnych decyzji. Wbrew sprzeciwom generałów i za jego podszeptem Führer nie dał von Paulusowi zgody na wyprowadzenie wojska ze stalingradzkiej pułapki, co skończyło się utratą ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy faszystowskich żołnierzy. A przez cały ten czas ja byłem oficerem prowadzącym Martina.

– Ale przecież Bormann zginął podczas ostatniej bitwy o Berlin!

– Na kilka tygodni przed końcem wojny szef niemieckiego wywiadu, admirał Canaris, przechwycił zaszyfrowaną informację, sugerującą, że Bormann może być radzieckim szpiegiem. Canaris zwierzył się Goebbelsowi, ale on nie zdobył się na to, żeby zawiadomić o wszystkim Hitlera, który był już wtedy kompletnym szaleńcem. Na kilka godzin przed ostatecznym zwycięstwem aliantów Martin przedostał się przez Tiergarten na Lehrter Station. Utknął na jakiś czas w krzyżowym ogniu pomiędzy przednią strażą Ósmej Gwardii Czujkowa a oddziałem SS, który okopał się niedaleko stacji, ale w nocy z pierwszego na drugiego maja udało mu się w końcu przedrzeć za linię walki. Czekałem na niego na stacji. Nasi żołnierze mieli rozkaz przepuścić niemieckiego oficera w długim skórzanym płaszczu, narzuconym na maskujący mundur. Zabrałem go do kryjówki.

– Czemu utrzymywaliście tę historię w tajemnicy?

– Martin przyniósł ze sobą mikrofotografie akt Canarisa dotyczących zachodnich służb wywiadowczych. Uznaliśmy, że korzystniej dla nas będzie utrzymać świat w przekonaniu, iż Bormann był do końca lojalny wobec Hitlera i został zabity podczas ucieczki z Berlina. Dzięki operacji plastycznej zmienił się nie do poznania. Teraz jest na emeryturze, ale przez długie lata był wysoko postawionym oficerem naszych służb wywiadowczych.

Dziadek puścił rękę Jewgienija i wrócił na swoje miejsce.

– A teraz – powiedział głosem pełnym triumfu – wyruszmy razem w daleką podróż.

Na kilka następnych tygodni Jewgienij Aleksandrowicz Cypin zniknął po drugiej stronie lustra, w tajemniczym świecie, zaludnionym przez ekscentryczne postaci, które zajmowały się różnymi dziwnymi sprawami i po mistrzowsku opanowały arkana swego osobliwego, tajemnego rzemiosła. Była to fascynująca wyprawa; po raz pierwszy, odkąd pamiętał, czuł, że względy, jakimi go otaczano, nie mają nic wspólnego z faktem, iż jest synem swojego ojca. Otrzymał nowe imię, Grigorij; sam wybrał sobie nazwisko Ozolin, które Dziadek, miłośnik Tołstoja, od razu skojarzył z naczelnikiem stacji w Astapowie, sielskim zaścianku, gdzie wielki pisarz wyzionął ducha wskutek cięgów, jakie sprawiła mu żona. („A jakie były jego ostatnie słowa?” – spróbował zagiąć swego protegowanego Żyłow. „Prawda... Tylko to mnie obchodzi” – odparował Jewgienij. „Brawo! – wykrzyknął Dziadek. – Brawo!”). Po cichu, bez fanfar i pompy, Grigorij Ozolin został członkiem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, z legitymacją numer 01783753, i zamieszkał w przydzielonym mu przez MSW mieszkaniu przy ulicy Granowskiej 3 – klatka druga, lokal numer 71 – wyposażonym w lodówkę (rzadkość w Związku Radzieckim) pełną

słoików pasteryzowanego kumysu, będących własnością tadżyckiej służącej z wąsikiem nad górną wargą. Każdego ranka, sześć razy w tygodniu, furgonetka rozwożąca chleb zabierała Jewgienija z uliczki na tyłach budynku i zostawiała przed tajnym wejściem do *Szkoły Osobogo Naznaczenija* (Szkoły Zadań Specjalnych) Pierwszego Zarządu Głównego, w lasach pod Bałaszychą, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od moskiewskiej obwodnicy. Tam, odseparowany ze względów bezpieczeństwa od mnóstwa innych studentów i studentek, uczęszczających na zajęcia w głównym budynku, Jewgienij uczestniczył w intensywnych kursach korzystania ze skrzynek kontaktowych (zwanym w Rosji *tajnikami*), tajnego pisma, radiotelegrafii, fotografii, kryptografii – ze szczególnym uwzględnieniem zasad posługiwania się jednorazowym bloczkiem szyfrowym – chadzał też pilnie na wykłady z teorii marksistowskiej oraz chlubnej historii Czeka, od Feliksa Dzierżyńskiego po czasy obecne. Program tego ostatniego kursu składał się głównie ze złotych myśli i aforyzmów, które trzeba było znać na pamięć i wyklepać na zawołanie.

– Co było dewizą Czeka w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku? – zapytał na jednej z sesji gorliwy instruktor służbista, którego ogolona głowa lśniła patetycznie w sinym świetle jarzeniówek.

– Lepszy szpieg w garści niż gołąb na dachu?

Instruktor zacisnął usta, a potem, cmokając z dezaprobatą, skarcił niesfornego studenta:

– Towarzyszu Ozolin, jeśli chcecie zdać egzamin, musicie poważniej podchodzić do nauki. – Po czym wyrecytował poprawną odpowiedź, każąc Jewgienijowi wyraźnie powtarzać każde zdanie:

– W naszej pracy odwaga, śmiałość i zuchwałość...

– W naszej pracy odwaga, śmiałość i zuchwałość...

– ...muszą iść w parze...

– ...muszą iść w parze...

– ...z rozwagą.

– ...z rozwagą.

– Innymi słowy, dialektyka.

– Innymi słowy, dialektyka.

– Zupełnie nie rozumiem, co ma dialektyka do pracy w wywiadzie – gderał Jewgienij, kiedy pojawił się Dziadek, jak zwykle w południe, żeby zjeść z nim kanapki, które popijali zimnym kwasem przysłanym ze stołówki.

– W tym leży sedno sprawy – wyjaśniał cierpliwie mistrz. – Nie możemy was nauczyć wszystkiego, ale możemy nauczyć was m y ś l e ć. Dobry agent to taki, który do perfekcji opanował metodologię marksistowską. Co oznacza, że udoskonala on sztukę myślenia konwencjonalnego, a potem rzuca wyzwanie utartym schematom, aby zaskoczyć głównego przeciwnika, *principal adversary* – Dziadek popisał się znajomością angielskiego, a w jego oczach zamigotały filuterne iskierki. – Ten właśnie proces nazywamy w skrócie dialektyką. Przerabiałeś to przecież, studiując Hegla i Marksa. Rozwijasz tezę, zaprzeczasz jej antytezą i rozwiązujesz sprzeczność za pomocą syntezy. Powiedziano mi, że szybko przyswajasz sobie praktyczną stronę programu. Musisz bardziej się przyłożyć do teorii.

W parzyste dni miesiąca muskularny Osetyniec o potężnych barach i szpotawych od urodzenia stopach prowadził Jewgienija do pozbawionego okien pokoju, którego ściany wyłożone były materacami, a podłoga zasłana zapaśniczymi matami, i uczył go zabijania gołymi rękami na siedem różnych sposobów; bezwzględna precyzja ruchów trenera kazała Jewgienijowi przypuszczać, że swego czasu nad wyraz sumiennie

przykładał się do studiów nad przedmiotem, którego teraz nauczał. Dni nieparzyste spędzał Jewgienij w podziemnym, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, gdzie znajdowała się strzelnica. Uczył się tam rozkładać, czyścić i obsługiwać kilka rodzajów amerykańskiej broni palnej. Kiedy to opanował, zabrano go na wycieczkę w teren, do tajnego laboratorium KGB na skraju pewnej podmoskiewskiej wsi, i pozwolono mu wypróbować skonstruowaną tam wyrefinowaną, egzotyczną broń – pudełko na papierosy, w którym ukryty był pistolet z tłumikiem, strzelający kulami wielkości łebka od szpilki, wykonanymi ze stopu platyny; miniaturowe głowice zawierały trujący wyciąg z rącznika, który (jak zapewniał Jewgienija niski, krótkowzroczny mężczyzna w białym kitlu) nieuchronnie prowadzi do zapaści ofiary.

Wieczorami odwożono Jewgienija z powrotem do mieszkania, gdzie zjadał ciepły posiłek, przygotowany przez tadżycką służącą. Po kolacji miał przez kilka godzin odrabiać pracę domową, co oznaczało, że musiał na bieżąco śledzić wszystko, co dotyczyło Ameryki, a zwłaszcza sportu, czytał więc uważnie „Time”, „Life” i „Newsweek”. Kazano mu również przestudiować zbiór wykładów zatytułowanych *Organizacja łączności i sposoby pozyskiwania agentów na terenie USA* autorstwa podpułkownika I.J. Prichodki, oficera wywiadu, który służył w Nowym Jorku jako dyplomata. Pokrzepiony kieliszkiem mocnego koniaku, Jewgienij sadowił się w miękkim fotelu pod lampą i przeglądał materiały Prichodki. „Nowy Jork podzielony jest na pięć dzielnic – zaczynał się jeden z rozdziałów, najwyraźniej przeznaczony dla początkujących – które nazywamy gminami. Spośród owych pięciu gmin najmniej odpowiednią na zorganizowanie kontaktu z agentem jest Richmond, a to z racji odizolowania od reszty miasta (na wyspę można się dostać jedynie promem z Manhattanu i Brooklynu). Pozostałe dzielnice Nowego Jorku –

Manhattan, Bronx, Brooklyn i Queens – są chętnie wykorzystywane przez oficerów radzieckiego wywiadu. Centra handlowe z dziesiątkami wejść i wyjść, z których wiele prowadzi bezpośrednio do metra, stanowią idealny punkt spotkań. Prospect Park na Brooklynie i cmentarze w Queens również nadają się do tego celu. Organizując takie spotkania, nigdy nie precyzuj miejsca (na przykład: południowo-zachodni róg Czternastej Ulicy i Siódmej Alei). Podaj raczej trasę, najlepiej małą uliczkę, wzdłuż której będziesz się przechadzać o umówionej godzinie. Powyższe postępowanie pozwala oficerowi wywiadu stwierdzić, czy agent jest pod obserwacją, czy nie, zanim nawiąże z nim kontakt”.

– Przejrzałem wczoraj kilka wykładów Prichodki – powiedział Jewgienij Dziadkowi któregoś ranka. Nowiutką wołgą z taboru Pierwszego Zarządu Głównego mijali właśnie moskiewskie rogatki, kierując się w stronę Pieriedielkina, gdzie zaprosił ich ojciec Jewgienija, który tego dnia urządzał niedzielny piknik na swojej dacy. Ponieważ Dziadek nigdy nie nauczył się prowadzić, za kierownicą siedział Jewgienij. – Moim zdaniem są wyjątkowo prymitywne.

– Nie pisał ich dla absolwentów Yale, ale dla ludzi, których noga nigdy nie stała w Ameryce – wyjaśnił Dziadek. – Przekonasz się zresztą, że znajdziesz tam wiele przydatnych wskazówek. Na przykład sprawa spotkań z agentami. CIA znana jest z upodobania do kryjówek, ponieważ pozwalają kontrolować wejście i wyjście, a także nagrywać lub filmować wszystko, co dzieje się podczas spotkania. My z kolei wolimy załatwiać sprawy na otwartym terenie, bo możesz się upewnić, że nikt cię nie śledzi.

Z radia popłynął dźwięczny głos spikera. Korespondent dziennika donosił ze stolicy Korei Północnej, Phenianu, że siły narodowowyzwoleńcze odparły atak amerykańskich agresorów, którzy poprzedniego dnia wylądowali w Inczhonie.

– Co o tym myślicie? – zapytał Jewgienij swojego oficera prowadzącego.

– Widziałem wiele tajnych odpraw i powiem ci, że nie ma takiej możliwości, żeby jankesi zostali zepchnięci z powrotem do morza. MacArthur to szczwany lis. W rzeczywistości Amerykanie grożą odcięciem koreańskich oddziałów na południu, co zmusi Koreańczyków do natychmiastowego odwrotu, jeśli chcą uniknąć okrążenia. Istotne, czy Amerykanie zatrzymają się na trzydziestym ósmym równoleżniku, czy też podążą dalej na północ, ścigając komunistów aż za rzekę Jalu, żeby potem zjednoczyć Koreę pod rządami marionetkowego reżimu z Seulu.

– Co na to Chińczycy?

– Przekroczą rzekę i zaatakują, ufni w swoją liczebną przewagę. Amerykanie, stojąc przed groźbą porażki, mogą rzucić na Chiny bombę atomową, a wtedy my będziemy zmuszeni wkroczyć do akcji.

– Innymi słowy, znajdziemy się na krawędzi trzeciej wojny światowej.

– Mam nadzieję, że nie; mam nadzieję, że Amerykanom wystarczy zdrowego rozsądku i nie będą pchać się za Jalu, a jeśli nawet, to przynajmniej zdołają odeprzeć nieunikniony atak Chin bez użycia broni nuklearnej. Zresztą taki rozwój sytuacji byłby dla nas korzystny i mógłby wpłynąć na poprawę stosunków chińsko-radzieckich, które ostatnio są nieco zbyt napięte.

Jewgienij zrozumiał, że analiza sytuacji według Dziadka raczej nie ukazałaby się w „Prawdzie”.

– A dlaczego ich przegrana miałyby uzdrowić nasze wzajemne stosunki?

– Z tej prostej przyczyny, iż uświadomiłaby chińskim przywódcom, że nie powinni wychylać nosa spod radzieckiego parasola atomowego, bo mogą oberwać.

Jewgienij jechał przez wieś Pieriediełkino, która składała się głównie z szerokiej, piaszczystej drogi, budynku miejscowego komitetu partii, z czerwoną gwiazdą nad drzwiami i pomnikiem Stalina przed wejściem, spółdzielni rolniczej oraz szkoły. Przy pierwszym znaku drogowym za wsią wyłączył silnik i zatrzymał się na samym końcu sznura samochodów, stojących w cieniu drzew. Kilkunastu szoferów drzemało na tylnych siedzeniach, inni wylegiwali się na rozłożonych na ziemi gazetach. Jewgienij poprowadził Dziadka wąską, wijącą się wśród trawy dróżką w stronę domu. Słyszeli dobiegające zza drzew dźwięki muzyki, gwar rozmów i śmiech. Przy drewnianej bramie stało czterech ponurych cywilów w ciemnych garniturach i pilśniowych kapeluszach; na widok Dziadka zaszalutowali z szacunkiem. Spory tłumek gości tłoczył się wokół mężczyzny grającego na harmonijce. Długi stół, przykryty białym płótnem, ugiął się pod butelkami armeńskiego koniaku i trudnej do zdobycia „starki”. Służące w schludnych fartuszkach na długich, chłopskich sukienkach roznosiły talerze z sałatką ziemniaczaną i kurczakiem na zimno. Obgryzając udko kurczaka, Jewgienij obszedł dom i zajrzał do stojącej na uboczu szopy: ojciec, rozebrany do pasa, siedział na stołku do dojenia krów, a jakiś staruszek o pomarszczonej twarzy przykładał mu do pleców otwartą butelkę pełną pszczoł.

– Chłopi twierdzą, że ukąszenie pszczoły pomaga na reumatyzm – powiedział Cypin do syna, krzywiąc się, ilekroć żądło wbijało mu się w skórę. – Gdzieś ty się podziewał, Jewgienij? Zaszyleś się w mysią dziurę?

– Twój przyjaciel Pasza Siemionowicz dał mi do przetłumaczenia na rosyjski artykuły z amerykańskiej gazety i protokoły Kongresu – odparł Jewgienij, powtarzając historyjkę, którą wymyślił dla niego Dziadek.

– Gdybyś miał w partii lepszą opinię – westchnął ojciec – daliby ci ważniejszą robotę.

Syknął przy kolejnym ukłuciu.

– Wystarczy, Dymitrze – powiedział do chłopca. – Z dwojga złego chyba już wolę reumatyzm.

Staruszek zatkał szmatką butelkę i odszedł, uchyliwszy kapelusza. Aby choć trochę ulżyć ojcu, Jewgienij wtarł balsam w jego kościstą szyję i ramiona, gęsto pokryte czerwonymi, napuchniętymi plackami.

– Nawet z najlepszą opinią nie zaszedłbym daleko w tym twoim świecie – zauważył Jewgienij. – Musiałbym mieć rozdwojenie jaźni.

Ojciec obejrzał się przez ramię.

– Dlaczego nazywasz to m o i m światem?

Jewgienij popatrzył na niego z miną niewiniątka.

– Myślałem...

– Lepiej nie myśl za dużo... I nie mędrkuj. Co ty możesz wiedzieć o czekistach?

Lejący się strumieniami alkohol zrobił swoje i gdy minęło południe, goście rozproszyli się po całym ogrodzie: jedni drzemali na ławkach, inni wylegiwali się na nagrzanym murawie. Dziadek i Cypin zaszyli się razem w chłodnym wnętrzu domu, a Jewgienij rozsiadł się wygodnie na trawie pod drzewem, grzejąc się w promieniach słońca, które przeświecało przez baldachim liści. Rozleniwiony, trochę senny, nie od razu spostrzegł wysmukłą, młodą kobietę z bosymi stopami, rozmawiającą ze znacznie starszym od niej mężczyzną, który kogoś mu przypominał. Po chwili mężczyzna objął dziewczynę w pasie i odeszli oboje w stronę lasu. Jewgienij zauważył, że dwóch ponurych cywilów spod bramy dyskretnie podążyło za nimi. Osobliwa para mignęła mu jeszcze raz i drugi między

drzewami, lecz wkrótce stracił ich z oczu. Dopił koniak. Powieki ciążyły mu coraz bardziej... Ocknął się nagle, czując, że ktoś zasłania mu słońce. Melodyjny głos oznajmił niezwykle staranną angielszczyzną:

– Tak bardzo nie lubię lata.

Jewgienij odegnął ręką chmurę komarów i jego oczom ukazała się para bardzo zgrabnych gołych kostek. Ukłonił im się uprzejmie.

– A kto przy zdrowych zmysłach nie lubi lata? – odpowiedział pytaniem, także po angielsku.

– Jest za krótkie, a ostra rosyjska zima dopadnie nas, zanim zdążymy złapać trochę słońca. Przepraszam, nie chciałam pana zbudzić.

– W Ameryce powiedzieliby „obudzić”, ale i tak ma pani świetny akcent. – Jewgienij zamrugnął, by otrząsnąć się z resztek snu, i przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała na dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat i była wysoka jak na kobietę, co najmniej metr osiemdziesiąt bez butów. Dwa sandały na płaskim obcasie, wielkie jak kajaki, trzymała w ręku, z ramienia zwisał luźno mały brezentowy plecak. Miała małe znamię na skądinąd całkiem ładnym nosku, przerwę między przednimi zębami, ledwo widoczne zmarszczki wokół oczu i ust i krótkie, proste, ciemne włosy gładko zaczesane za uszy.

– Pracuję jako historyk, a dla przyjemności tłumaczę z angielskiego książki, które mnie interesują – powiedziała dziewczyna. – Czytałam powieści Hemingwaya i Fitzgeralda. Właśnie pracuję nad przekładem *Komu bije dzwon*. Czytał pan to? Słyszałam, że studiował pan w Connecticut. Cieszę się, że mogę pogadać po angielsku z kimś, kto był w Ameryce.

Jewgienij zapraszającym gestem poklepał trawę obok siebie. Dziewczyna uśmiechnęła się, usiadła po turecku i nieśmiało wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Azalia Izanowna. Przyjaciele mówią na mnie Aza.

Przytrzymał jej dłoń w swojej.

– W takim razie ja też tak będę mówił. Jesteś tu z mężem? – zapytał, mając na myśli starszego pana, z którym rozmawiała. – Czy z kochankiem?

– Dzielę pokój z córką towarzysza Berii – zaśmiała się lekko.

Jewgienij gwizdnął.

– Teraz już wiem, gdzie widziałem tego człowieka! W gazetach!

Postanowił jej zaimponować.

– Wiedziałaś, że towarzysz Beria cierpi na wrzód żołądka? I że przykładła sobie butelki z gorącą wodą na obolały brzuch?

– Kim jesteś? – spytała, przechylając głowę.

– Nazywam się... Grigorij. Grigorij Ozolin.

Jej twarz pociemniała.

– Nieprawda. Jesteś Jewgienij Aleksandrowicz, najstarszy syn Aleksandra Timofiejewicza Cypina. Sam Ławrientij Pawłowicz mi ciebie pokazał. Dlaczego kłamiesz?

– Żeby zobaczyć twoją minę, jak mnie zdemaskujesz.

– Znasz prozę Hemingwaya i Fitzgeralda? Z czysto stylistycznego punktu widzenia uderzyła mnie różnica między krótkimi, oznajmującymi zdaniem Hemingwaya a rozwlekłą frazą Fitzgeralda. Mam rację?

– W zupełności.

– Jak to jest, że dwaj amerykańscy pisarze, żyjący w tym samym okresie, a nawet, od czasu do czasu, w tym samym miejscu, mam na myśli oczywiście Paryż, piszą tak odmiennym stylem?

– *Different folks have different strokes*, jak mówimy w Ameryce... Różni ludzie różnie posuwają.

– Co proszę?

– To takie slangowe powiedzonko. Oczywiście, chodzi o wiosłowanie...

– Różni ludzie różnie p o s u w a j ą? Ach, już wiem... Każdy wiosłuje inaczej. Poczekaj, zapiszę to sobie. – Wyjęła z plecaka wieczne pióro i zeszytik i wszystko starannie zanotowała.

Pod drewnianą bramę podjechał czarny żół z szoferem. Tuż za limuzyną przystanął drugi samochód, pełen mężczyzn w czarnych garniturach. Na ganku domu Ławrientij Pawłowicz Beria pożegnał się z Cypinem i Dziadkiem uściskiem dłoni i pomachał na córkę, plotkującą z przyjaciółkami. Córka Berii zawołała Azę.

– Pospiesz się, zaraz jedziemy.

Aza poderwała się i strzepnęła trawę ze spódnicy.

– Spotkamy się jeszcze? – spytał Jewgienij i dodał prędko: – Dokończymy rozmowę o Hemingwayu i Fitzgeraldzie.

Patrzyła na niego przez chwilę, marszcząc brwi.

– Myślę, że to da się zrobić – powiedziała wreszcie.

Nabazgrała jakiś numer w notesiku, wyrwała kartkę i upuściła ją na kolana siedzącego na trawie Jewgienija.

– Zadzwoń do mnie.

– Zadzwonię – odparł z nieukrywanym zapałem.

Od następnego ranka Jewgienij coraz mniej czasu poświęcał na szkolenie zawodowe, rozpoczął się bowiem długi, mozolny proces tworzenia (z pomocą Agrypiny i Serafimy, bliźniaczek jednojajowych, które wcale nie były do siebie podobne) jego legendy, czyli podwójnego, a właściwie potrójnego życiorysu, potrzebne mu były bowiem dwie fikcyjne postaci, tak żeby w każdej chwili mógł się na zawołanie wcielić w jedną z nich.

Była to wyjątkowo żmudna praca, ponieważ musiał starannie wyryć sobie w mózgu każdy najdrobniejszy szczegół, segregując detale i niuanse, aby nie pomieszać różnych tożsamości.

– Nie ucz się legendy na pamięć, po prostu s t a ń s i ę legendą – mówiła Agrypina, kładąc na stole dwa opasłe skoroszyty. – To dla ciebie kwestia życia lub śmierci.

– Musisz zrzucić swoją prawdziwą tożsamość – tłumaczyła cierpliwie Serafima – tak jak wąż zrzuca skórę, a nowy życiorys ma być twoją drugą skórą. Jeśli usłyszysz, że ktoś woła cię dawnym imieniem, powinieneś natychmiast pomyśleć: „A któż to taki? Na pewno nie ja!” Z czasem, po wielu godzinach ciężkiej pracy, zaczniesz bezbłędnie oddzielać osobę znaną jako Jewgienij Aleksandrowicz Cypin od twoich nowych wcieleń.

– Po co mi aż dwie legendy? – zapytał.

– Jedna podstawowa, a druga awaryjna, na wypadek gdybyś został zdemaskowany i musiał zniknąć – wyjaśniła Agrypina, uśmiechając się pobłaźliwie. – Twoja kolej – dodała, zwracając się do siostry.

– Dziękuję, moja droga. A więc do roboty. Zaczniemy od kołyski, a potem stopniowo dojdziemy do czasów obecnych. Dla obu wersji zbudujemy postać młodego mężczyzny, mniej więcej w twoim wieku (wszystko powinno się zgadzać, żaden, nawet najmniejszy szczegół nie może wzbudzać podejrzeń). Łatwiej ci będzie oddzielić fikcyjną tożsamość od prawdziwej, jeśli na użytek każdej z tych osób już teraz nauczysz się inaczej mówić i poruszać...

– ...inaczej czesać, trzymać portfel w innej kieszeni, inaczej się ubierać – wtrąciła Agrypina.

– A nawet – dodała Serafima, rumieniąc się lekko – inaczej się kochać.

Cierpliwie wertując opasłe skoroszyty, bliźniaczki – zatrudnione na stanowiskach starszych analityków w kierowanym przez Dziadka Zarządzie S, który prowadził głęboko utajnionych agentów działających za granicą – zaczęły kreślić zarysy „Historii A” i „Historii B”. „A” spędził dzieciństwo w dobrze znanym Jewgienijowi New Haven; „B” wyrósł w dzielnicy Crown Heights na Brooklynie, którą Jewgienij – z pomocą map, slajdów i opisów publikowanych w prasie amerykańskiej – miał w najbliższym czasie gruntownie poznać. W jednym i drugim przypadku siostry wybrały adresy nieistniejących już budynków, żeby FBI nie mogło sprawdzić, czy dana osoba istotnie tam kiedyś mieszkała. Podstawę obu legend stanowiły autentyczne akty urodzenia z rejestrów w New Haven i Nowym Jorku. Były to metryki dwóch mężczyzn rasy białej, zamieszkałych na stałe w USA, którzy zaginęli na morzu podczas wojny, kiedy alianci wysyłali regularne konwoje do Murmańska. Kolejnymi cegiełkami fikcyjnych życiorysów Jewgienija były dwie sfatygowane legitymacje ubezpieczeniowe. Serafima, ekspert od amerykańskiego systemu opieki społecznej, wyjaśniła, że pierwsze trzy cyfry numeru oznaczają stan, w którym wydano dokument, a dwie środkowe – datę jego wystawienia. Numery obu książeczek, z których jedną Jewgienij powinien stale nosić przy sobie, figurowały w aktualnej kartotece centralnej ewidencji ludności Stanów Zjednoczonych. Otrzymał też komplet innych dokumentów stwierdzających tożsamość – dwa prawa jazdy, dwie karty biblioteki publicznej, dwie laminowane legitymacje ze zdjęciem, upoważniające do zniżki w amerykańskich schroniskach młodzieżowych – oraz karty uprawniające do głosowania, jako że mężczyźni, za których miał się podawać, byli nieco od niego starsi. Legendy poparto świadectwami ocen z archiwów liceum w New Haven i Erasmus High School na Brooklynie (gdzie Jewgienij rzeczywiście studiował) oraz historią zatrudnienia, wiarygodną, ale również nie do

zweryfikowania. Każdej postaci przypisane zostały przebyte rzekomo choroby i zabiegi stomatologiczne, przy czym i tu uwzględniono nieżyjących już od jakiegoś czasu lekarzy, żeby nikt nie mógł tego sprawdzić. Wreszcie bliźniaczki wręczyły Jewgienijowi dwa paszporty ze stosownymi wpisami i stemplami wizowymi.

– Pomyślałyście o wszystkim – zauważył Jewgienij.

– Mamy nadzieję, że tak... dla twojego dobra – powiedziała Agrypina. – Muszę ci jednak zwrócić uwagę na dwa drobne problemy.

– Zgodnie z historią twojego leczenia stomatologicznego – oświadczyła Serafima – większość ubytków została wypełniona przez amerykańskich dentystów. A ty masz dwie dziury plombowane w Związku Radzieckim: jedną, zanim po raz pierwszy odwiedziłeś rodziców w Nowym Jorku, a drugą, kiedy byłeś w Moskwie na wakacjach. Trzeba te zęby zaplombować jeszcze raz. Zajmą się tym nasi dentyści. Jest tu kilku świetnych fachowców, którzy znają się na amerykańskiej technice i mają dostęp do odpowiednich materiałów.

– A ta druga sprawa?

W drzwiach pojawił się Dziadek, niosąc kanapki i butelkę kwasu.

– Nie ma pośpiechu, to może jeszcze poczekać – powiedział. Najwyraźniej był zły na bliźniaczki, że poruszyły ten temat właśnie teraz. – Dowie się w swoim czasie.

Jewgienij zadzwonił do Azy pierwszego wolnego wieczoru. Spotkali się w parku Gorkiego (po drodze, chcąc wypróbować nowo nabyte umiejętności, zgubił człowieka, który szedł za nim po drugiej stronie ulicy). Czekala w umówionym miejscu. Spacerowali alejką wzdłuż rzeki i rozmawiali, z początku o literaturze amerykańskiej, a potem o sobie. Nie, odparła, nie ma rodziców, jest sierotą; oboje – matka, autorka słuchowisk

radiowych, i ojciec, aktor Teatru Żydowskiego – zniknęli pod koniec lat czterdziestych. Nie, nie może powiedzieć nic więcej, bo kiedy władze zawiadomiły ją o ich śmierci, też nie powiedziały nic więcej. Na obozie letnim w górach Uralu zaprzyjaźniła się z córką Berii, Nataszą. Potem pisywały do siebie przez kilka lat, a kiedy jej podanie na wydział historyczny i lingwistyczny Uniwersytetu Łomonosowa zostało, wbrew wszelkim regułom, przyjęte, zamieszkała u dawnej koleżanki. Tak, często widywała jej ojca; jest otwartym, serdecznym człowiekiem, który ma bzika na punkcie córki, wiecznie zajętym jakimiś ważnymi sprawami. Ma na biurku trzy aparaty telefoniczne, jeden z nich czerwony, które dzwonią dzień i noc. Wreszcie Azie sprzykrzyło się to przesłuchanie. Wyjęła z kieszeni przepisane na maszynie wczesne wiersze Anny Achmatowej o miłości i swoje pierwsze, chropowate próbki ich tłumaczenia na angielski. Zamyślona, zrywała jagody z krzaków i machinalnie wkładała je do ust, a Jewgienij czytał na głos, najpierw po rosyjsku, potem po angielsku.

Jakież to nam diabelskie napoje

Mrok styczniowy podsunął i w jakiej

Niewidzialnej nas łunie oboje

Aż po świt unosiły majaki?^[13]

– Powiem ci, co to za napoje – odezwał się Jewgienij. – To pożądanie.

Aza zwróciła na chłopaka oczy pełne powagi.

– Pożądanie roznieca namiętności mężczyzn. Kobiety kierują się innymi, bardziej subtelnymi pragnieniami, które rodzą się z...

– Rodzą się z...?

– ...z niepewności widocznej w spojrzeniu mężczyzny, z nieśmiałości wyczuwalnej w dotyku ręki, z wahania, jakie słyszą w jego głosie, ze

wszystkiego, co jest odzwierciedleniem jego najskrytszej natury.

I dodała z wielką powagą:

– Lubię twój głos, Jewgieniju.

– A ja lubię w tobie to, że go lubisz – powiedział i naprawdę tak myślał.

Następnej niedzieli Jewgienij, posłużony numerem telefonu zastrzeżonym dla urzędników wyższego szczebla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zarezerwował dwa bilety do teatru i zabrał Azę, żeby zobaczyła wielką Tarasową w roli Anny Kareniny. Przez całe przedstawienie, już od słów: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”^[14], trzymali się za ręce. Po spektaklu zaprosił ją na kolację do małej restauracyjki przy placu Trubnym. Kiedy kelner przyniósł rachunek, Aza uparła się, że za siebie zapłaci. „Po niemiecku” – dodała z uśmiechem. „W Ameryce mówi się «po holendersku» albo że «Holender płaci»” – powiedział Jewgienij, a ona zapisała ten zwrot w notesiku. Po kolacji przeszli pod rękę Kwietnym Bulwarem aż do samego serca Moskwy.

– Znasz opowiadanie Czechowa *Na placu Trubnym*? – spytała. – Opisuje w nim stary Ptasi Targ, który znajdował się niedaleko stąd. Moi dziadkowie mieszkali tam po ślubie, w maleńkim pokoiku przy samym rynku. Zadam ci pytanie, Jewgieniju Aleksandrowiczu: czy wszystko przemija tak jak Ptasi Targ?

Jewgienij poczuł w głowie zamęt. Zrozumiał, że chciała wiedzieć, czy ich uczucie spotka ten sam los co Ptasi Targ z placu Trubnego.

– Nie potrafię jeszcze powiedzieć, co na tym świecie trwa, a co przemija.

– To uczciwa odpowiedź. Dziękuję ci za to.

Pod wpływem chwili podszedł do rozstawionych wzdłuż bulwaru straganów z kwiatami i od przekupki w niebieskiej fufajce kupił Azie pęk

białych goździków. Później, pod drzwiami domu w Zaułku Kisłowskim, gdzie mieszkała razem z córką Berii, wtuliła twarz w kwiaty i głęboko wciągnęła ich zapach. Potem zarzuciła Jewgienijowi ręce na szyję, pocałowała go namiętnie w usta i uciekła, zanim zdołał cokolwiek wykrztusić.

Zadzwoił nazajutrz z samego rana, przed wyjściem na kolejne robocze spotkanie z bliźniaczkami.

– To ja – oznajmił.

– Poznaję wahanie w twoim głosie – odparła. – Poznaję nawet dzwonek telefonu.

– Za każdym razem, gdy się spotykamy, Azo, zostawiam z tobą część siebie.

– Och, mam nadzieję, że to nieprawda – powiedziała miękko – bo jeśli będziesz mnie zbyt często widywał, nic z ciebie nie zostanie.

Milczała przez chwilę; słyszał jej oddech w słuchawce.

– W następną niedzielę Natasza wyjeżdża z ojcem na Krym – rzekła wreszcie, a głos jej nie drżał ani trochę. – Przyjdź do mnie. Sprawdzimy, czy można pogodzić w łóżku twoje pożądanie i moje pragnienia. – Mówiła coś jeszcze, ale słowa rozplynęły się w szumie zakłóceń. Połączenie zostało przerwane.

Z każdym dniem Jewgienij coraz głębiej utożsamiał się z postaciami wymyślonymi przez bliźniaczki: szczytywał włosy do przodu, na oczy; odzywał się krótkimi, urywanymi zdaniami, których często nie kończył; mówiąc, przechadzał się po pokoju głośnymi, pewnymi krokami; powtarzał szczegóły swojego życia od kołyski po teraźniejszość. Dziadek, który brał udział w tych sesjach, od czasu do czasu przerywał mu jakimś pytaniem.

– A gdzie dokładnie była drogeria, w której pracowałeś?

– Na Kingston Avenue, zaraz przy Eastern Parkway. Sprzedawałem komiksy o Kapitanie Marvelu, Supermanie, Batmanie i robiłem dla dzieci koktajle mleczno-czekoladowe za pięć centów.

Bliźniaczki były zadowolone z ucznia.

– Myślę, że pozostało nam jeszcze tylko jedno: zniszczyć skoroszyty – powiedziała Agrypina.

– I załatwić tamtą sprawę... – przypomniała Serafima.

Popatrzyły na Dziadka, który kiwnął głową. Wymieniły zakłopotane spojrzenia.

– Ty na to wpadłaś. Sama musisz mu powiedzieć – przekonywała siostrę Serafima.

Agrypina odchrząknęła.

– Ludzie, których losy posłużyły nam do zbudowania obu twoich legend, przyszedli na świat w Stanach Zjednoczonych, a to oznacza, że jak znaczna większość Amerykanów, zostali obrzezani przy urodzeniu. Przystudiowaliśmy twoją metrykę z – tu padła nazwa ekskluzywnej kliniki kremlowskiej, gdzie leczyła się partyjna „wierchuszka” – i nie znaleźliśmy żadnej wzmianki o takim zabiegu. Wybacz mi osobiste pytanie, ale czy mamy rację, przypuszczając, że nie jesteś obrzezany?

– Już widzę, do czego zmierzacie – skrzywił się Jewgienij.

– Raz straciliśmy agenta, który podawał się za kanadyjskiego biznesmena – odezwał się Dziadek. – Kanadyjska Królewska Policja Konna dokopała się do aktu urodzenia tego człowieka i odkryła, że był obrzezany. Nasz agent nie był.

Wyjął z kieszeni świstek papieru i przeczytał:

– Operacja zostanie przeprowadzona w zamkniętej klinice naszej centrali na przedmieściach Moskwy jutro o dziewiątej rano.

Bliźniaczki wstały. Dziadek zatrzymał Jewgienija gestem ręki. Obie siostry pożegnały się z uczniem i wyszły z pokoju.

– Jeszcze jedną sprawę musimy wyjaśnić – powiedział Dziadek. – Mówię o tej dziewczynie, Azalii Izanownie. Zgubiłeś człowieka, który szedł za tobą, ale nie zauważyłeś tego, który szedł p r z e d tobą. Musisz popracować nad techniką poruszania się po mieście. I bądź ostrożniejszy. Monitorowaliśmy twoje telefony. Wiemy, że z nią spałeś...

Jewgienij wybuchnął:

– Jej można ufać! Mieszka razem z córką towarzysza Berii...

Twarz Dziadka wykrzywił złośliwy grymas, oczy ciskały gniewne iskry.

– Nie widzisz, że jest dla ciebie za stara?!

Jewgienij popatrzył na niego spłoszony.

– Jest dwa lata starsza ode mnie, ale co to ma do rzeczy? Kwestia wieku nie odgrywa...

Dziadek nie pozwolił mu skończyć.

– Jest jeszcze coś. Nazywa się Lebowitz. A jej otczestwo wzięło się od imienia Izajasz. To Ż y d ó w k a! – syknął.

Słowo to zapiekło Jewgienija jak policzek.

– Ale przecież towarzysz Beria musiał o tym wiedzieć, kiedy ją przygarnął...

Oczy Dziadka zwęziły się w dwie szparki.

– Oczywiście, że Beria wie. Ci na górze są przezorni i trzymają obok siebie kilku Żydów, żeby w razie czego zadać kłam zachodniej propagandzie, która trąbi na wszystkie strony świata o naszym

antysemityzmie. Ale taki na przykład Mołotow posunął się za daleko, poślubiając jedną z nich. Stalin uznał, że to nie do pomyślenia, żeby minister spraw zagranicznych miał żonę Żydówkę, i kazał ją zesłać do łagru. – Dziadek wpił się kościstymi palcami w ramię Jewgienija. – Pamiętaj, że w twojej sytuacji związek z dziewczyną zawsze przysparza kłopotów. A związek z Ż y d ó w k ą w ogóle nie wchodzi w grę.

– Ja też chyba mam coś do powiedzenia...

Ale Dziadek nie uznawał kompromisów.

– Nic nie macie do powiedzenia – oznajmił z naciskiem, przechodząc na oficjalne „wy”, dobitnie podkreślone w każdym zdaniu. – Wybierajcie: albo dziewczyna, albo kariera... Albo ona, albo ja!

Zerwał się z krzesła i rzucił na biurko kartkę z adresem kliniki.

– Jeśli nie stawicie się na operację, nasze drogi nigdy więcej się nie spotkają.

Tej nocy Jewgienij wdrapał się na dach swojego bloku i przesiedział tam wiele godzin, wpatrzony w czerwoną poświatę spowijającą kopuły Kremla. Wiedział, że stąpa po linie i że w każdej chwili może spaść na jedną lub na drugą stronę. Gdyby kazali mu porzucić Azę dla dobra oczekujących go zadań, zrozumiałby; ale porzucić ją tylko dlatego, że jest Żydówką, to była gorzka pigułka do przełknięcia. Dziadek – jego mistrz, jego Tołstoj – z taką swadą prawił o geniuszu i wspaniałomyślnej szczodrości ludzkiego ducha, a tymczasem okazał się zaciekłym antysemitą. Słowo „Żydówka” dźwięczało Jewgienijowi w uszach, smagało duszę jak biczem. I nagle doznał olśnienia, pojął, że ów głos nie był głosem Dziadka; był to wątył, drżący, podszyty pesymizmem i paniką głos starego człowieka, który nie lękał się śmierci, ale bał się agonii. Słowo „Żydówka” wyszło z ust samego Tołstoja: odrzyj wzniosłego idealistę z ducha, a ujrzysz przed sobą antysemitę, wierzącego, podobnie jak wielki rosyjski pisarz, że skaza

chrześcijaństwa – ta tragedia ludzkości – wzięła początek z rasowej odmienności Chrystusa, który nie był Żydem, i Pawła, który Żydem był.

Jewgienij uśmiechnął się pod nosem. Potem roześmiał w głos. A później otworzył usta i wykrzyczał prosto w noc: *Za uspiech naszego bieżnadiożnogo dieła!* Za zwycięstwo naszej beznadziejnej sprawy!

Obrzezanie, z miejscowym znieczuleniem, trwało kilka minut. Jewgienij dostał tabletki przeciwbólowe i maść antyseptyczną, żeby nie wdało się zakażenie. Wrócił do domu i zagłębiwszy się w wykładach Prichodki, sporządził listę dzielnic, parków i centrów handlowych w różnych miastach na Wschodnim Wybrzeżu, nadających się na ewentualne spotkania z agentami. Telefon dzwonił siedem razy w sobotę, cztery w niedzielę i dwa w poniedziałek. Odbierała służąca. Słyszac kobiecy głos, klęła soczyście po tadżycku i rzucała słuchawkę. Po kilku dniach piekący ból w penisie Jewgienija zelżał, a z czasem minął zupełnie. Pewnego ranka posłaniec na motorze przywiózł zapieczętowaną kopertę. Wewnątrz była druga zapieczętowana koperta, a w niej paszport wystawiony na Grigorija Ozolina oraz bilet na samolot do Oslo. Tam Ozolin zniknie z powierzchni ziemi, a młody Amerykanin nazwiskiem Eugene Dodgson, zwiedzający z plecakiem Skandynawię, wykupi miejsce w kajucie na norweskim frachtowcu, płynącym do Halifaxu w Kanadzie – punktu etapowego dla radzieckich nielegalów, przeznaczonych do zadań na terenie Stanów Zjednoczonych.

Wieczorem, w przeddzień wyjazdu Jewgienija, zjawił się przyjaźnie uśmiechnięty Dziadek z puszką importowanych śledzi i butelką zmrożonej polskiej wódki. Gawędzili do późna o wszystkim i o niczym – o wszystkim prócz dziewczyny. Po wyjściu Dziadka Jewgienij przyłapał się na tym, że

co chwila zerka na telefon w nadziei, że jednak zadzwoni, a melodyjny głos po drugiej stronie powie: „Tak bardzo nie lubię lata”.

Ale kiedy, tuż przed szóstą rano, telefon naprawdę zadzwonił, Jewgienij wyskoczył z łóżka i długo stał, wpatrując się w słuchawkę. Natrętny dźwięk nie dawał za wygraną, rozlegał się echem w całym mieszkaniu. Jewgienij spojrział na spakowaną walizkę, czekającą pod drzwiami, i poczuł, że jakaś nieodparta siła popycha go ku tej szpiegowskiej wyprawie do Ameryki. Pogodzony z losem, uśmiechnął się melancholijnie i usiadł na walizce przed długą, długą podróżą.

FRANKFURT, ŚRODA, 7 LUTEGO 1951

Górne światła przygasły, a w blasku reflektorów zmaterializowało się dwóch wymuskanych pułkowników odkomenderowanych do Kolegium Szefów Sztabów. Niekończące się rzędy orderów i baretek lśniły na przednich kieszonkach starannie odprasowanych mundurów. Po Firmie rozeszła się plotka, że przez cały lot z Waszyngtonu pucowali śliną buty, żeby nabrały lustrzanego połysku.

– Panowie! – zaczął pułkownik z przystrzyżonym wąsikiem.

– Wygląda na to, że uwierzył nam na słowo – mruknął Frank Wisner w rozchełstanej koszuli z podwiniętymi rękawami, jak zwykle rozwlekając samogłoski z typową dla południowca flegmą.

Kilku oficerów, wśród nich Ebby, parsknęło stłumionym śmiechem.

Zebrali się w obszernym audytorium na pierwszym piętrze ogromnego, przytłaczająco nowoczesnego kompleksu I.G. Farben – usytuowanego w Höchst na przedmieściach Frankfurtu – aby zapoznać się z najnowszymi kasandrycznymi przecuciami Pentagonu. Dla Wisnera – zastępcy Allena Dullesa w Departamencie Brudnych Trików – który bawił przejazdem w Niemczech, w trakcie błyskawicznej inspekcji europejskich placówek CIA, odprawa ta była tylko jednym z wielu epizodów „szczeniackiej przepychanki” pomiędzy Kolegium Szefów Sztabów a Firmą w sprawie priorytetów zimnej wojny. Pułkownicy, którzy nie po raz pierwszy zjechali do Frankfurtu, lamentowali nad sowieckim planem wojennym jak nad wnętrznościami ofiarnego barana, przeliczając w tył i w przód uzbrojone po zęby dywizje pancerne, które w niespełna sześć godzin mogłyby przebić się

przez *cordon sanitaire*, rozciągnięty przez aliantów w poprzek Europy jak sznur do suszenia bielizny. W duchu najlepszych tradycji żołnierskiego sposobu myślenia zgrabnie przeskoczyli od możliwości do zamiarów. Niczym delfickie wieszczki, zwiastujące rychły koniec świata, wyznaczyli nawet dzień D (w ściśle tajnej notatce „Poufne” – tylko do użytku wewnętrznego, ostatnią bowiem rzeczą, jakiej by sobie życzyli, było przechwycenie tych informacji przez Rosjan). Trzecia wojna światowa miała wybuchnąć we wtorek, pierwszego lipca 1952 roku.

Tym razem przybyli przedstawić szczegóły domniemanej radzieckiej napaści. Dziobiąc strzałką w ogromną mapę Europy, wąsaty pułkownik recytował nazwiska dowódców i wyliczał stojące w gotowości bojowej sowieckie dywizje w Niemczech Wschodnich i Polsce, dowodząc przy tym, iż Kreml zgromadził trzy razy więcej oddziałów, niż potrzeba do celów okupacyjnych. Szczupły, ostrzyżony na jeża starszy sierżant sztabowy, który ruszał się, jakby miał trzcinkę w tyłku, zmieniał mapy, a pułkownik informował audytorium, które dy ruszy sowiecki pancerny blitzkrieg, spodziewanym atakiem z dwóch stron, przez Nizinę Północną; podczas symulacji wojennej w Pentagonie – mówił ze swadą – wróg dotarł do kanału La Manche w ciągu kilku tygodni... I już na stole zawisła mapa, ilustrująca rozmieszczenie sowieckich lotnisk wojskowych w Polsce i NRD, a także na zachodnim obszarze Czechosłowacji, która miała wesprzeć atak z powietrza. Dając znak, by zapalono światła na widowni, pułkownik odszukał wzrokiem Wisnera, rozpartego na krześle w trzecim rzędzie obok generała Luciana Truscotta IV, kierownika niemieckiej placówki Firmy.

– Szefowie sztabów oczekują – oznajmił pułkownik, wysunąwszy dolną szczękę, a w jego oczach pojawiły się stalowe błyski – że obsadzie swoimi agentami każde z tych lotnisk, najpóźniej do pierwszego lipca

pięćdziesiątego drugiego roku, żeby zaskoczyć wroga sabotażem, kiedy bomba pójdzie w górę i zacznie się zabawa.

Wisner poskubał się w ucho.

– Nie ma sprawy, to dla nas pestka – stwierdził ze śmiertelną powagą. – Przepraszam, nie dosłyszałem... Ile tam jest tych lotnisk?

Pułkownik już sypał liczbami:

– Około dwóch tysięcy pięćdziesięciu, z tolerancją do stu. Część ma asfaltowe pasy startowe, a część szuter. – Wyszczrzył zęby do kolegi po fachu, pewien, że wrócą do Waszyngtonu z załatwioną sprawą.

Wisner kiwnął głową z namysłem.

– Dwa tysiące, część asfalt, część szuter – powtórzył.

Odwrócił się do swego zastępcy, Dicka Helmsa, który siedział tuż za nim.

– A niech mnie, Dick! W jaki sposób jeden człowiek mógłby z ziemi unieszkodliwić pas startowy?

– Nie mam zielonego pojęcia, Frank. – Helms tępo wybałuszył oczy.

Wisner rozejrzał się wokół.

– Ktoś wie? Czekam na pomysły.

Kiedy nikt się nie odezwał, Wisner zwrócił się znowu do pułkownika.

– Może pan nas oświeci. Chętnie posłucham.

Obaj oficerowie wymienili spojrzenia.

– Później wrócimy do tego pytania.

Kiedy pułkownicy skończyli odprawę i rozpoczęli taktyczny odwrót, As odwrócił się tyłem do podium, żeby pogadać ze swoimi ludźmi.

– Kaktus mi wyrośnie, jeśli kiedykolwiek wrócą do tego pomysłu – powiedział, chichocząc. – Nalot dywanowy może wyłączyć pas startowy

z akcji na dwie godziny, góra trzy. Ale żeby jeden człowiek, do tego na ziemi... To już przerasta moją wyobraźnię. Dwa tysiące agentów na dwóch tysiącach lotnisk...

Na widowni rozległy się śmiechy.

– A teraz pomówmy poważnie. Zamknięty w swojej wieży z kości słoniowej Pentagon radzi, jak odeprzeć domniemaną sowiecką ofensywę w Europie, wysoce nieprawdopodobną wobec naszej przewagi w uzbrojeniu, zwłaszcza atomowym, nie wspominając już o tym, że w razie wybuchu wojny niektóre armie państw satelickich byłyby raczej skłonne zaatakować Rosjan niż Amerykanów. Cywile w Waszyngtonie, pod wodzą naszego niegdysiejszego specjalisty od Sowietów, George’a Kennana, pieprzą w kółko o powstrzymaniu ekspansji komunizmu, ale nikt nam nie potrafi powiedzieć, dlaczego Rosjanie mieliby obarczać swoje kruche imperium kolejnym tuzinem podbitych państw. Wiedźcie jedno: sowiecka potęga to domek z kart. Wystarczy porządnie dmuchnąć w odpowiednie miejsce we właściwym czasie, i wszystko się rozsypie. Nie po to jestem szefem tajnych służb, żeby sabotować lotniska albo własną pierś osłaniać Zachód przed dalszą ekspansją komunizmu. Komunizm trzeba zdławić, wypłenić z oblicza Ziemi i oswobodzić zniewolone narody Europy Wschodniej. Czy to jasne, panowie? Mamy zniszczyć komunizm, a nie jakieś główniane pasy startowe na wojskowych lotniskach. I to jest nasza misja!

Od dnia, w którym – w listopadzie ubiegłego roku – zameldował się gotów do pełnienia służby w Niemczech, Ebby bez reszty zaangażował się w kampanię Wisnera, zmierzającą do „odepchnięcia komunizmu”. Jego kariera w berlińskiej bazie zakończyła się dość gwałtownie, z chwilą gdy ośmielił się wyrazić oburzenie, iż placówką Firmy kieruje „żałosny moczymorda”, co natychmiast dotarło do uszu Czarnoksiężnika, który,

niewiele myśląc, pchnął do DD/O jedną ze swoich słynnych depesz pod tytułem „albo on, albo ja”. Poddając się temu, co nieuchronne, Ebby złożył podanie o przeniesienie do bazy we Frankfurcie, gdzie przydzielono go do tajnej grupy zadaniowej Sekcji SE (Sowiety i Europa Wschodnia) jako młodszego oficera pomocniczego, nadzorującego zrzut agentów na terytorium radzieckich Karpat. Była to brawurowa akcja, w której początkujący szpieg miał dowieść, że już wyrzynają mu się ostre zęby.

Pierwsza z tych operacji stała się dla Ebby'ego głębokim osobistym przeżyciem, co doprowadziło do incydentu, który omal nie zakończył jego kariery w Firmie.

Rozpakowywał właśnie walizkę w sypialni na piętrze domu, stojącego przy zacisznej uliczce zarekwirowanego na potrzeby armii willowego osiedla, oddalonego o ponad kilometr od budynku I.G. Farben, kiedy zjawił się jego bezpośredni przełożony Anthony Spink, biegle władający rosyjskim były oficer OSS, i kazał mu się natychmiast zbierać. Jedziemy – wyjaśnił, naciskając gaz do dechy, kiedy mknęli fordem na zachód od Frankfurtu – na spotkanie z agentem o kryptonimie SALTO MORTALE. Wyminąwszy slalomem kolumnę ciężarówek, Spink w skrócie nakreślił Ebby'emu sylwetkę agenta: był to Ukraińiec, szkolony w tajnej bazie wojskowej w celu przerzucenia za żelazną kurtynę, miał dwadzieścia trzy lata, pochodził z Łucka, miasta na środkowo-wschodniej Ukrainie, które podczas wojny walczyło po stronie Niemców pod rozkazami rosyjskiego zdrajcy, generała Własowa. Sam Własow, podobnie jak większość jego oficerów, zginął powieszony przez Rosjan w 1946 roku. SALTO MORTALE, którego prawdziwe imię brzmiało Alosza Kułakow, miał szczęście. Jeden z nielicznych uciekł na Zachód, śladem wycofujących się oddziałów niemieckich, i trafił do obozu dla wysiedleńców, przepełnionego uchodźcami ze Związku Radzieckiego i okupowanych państw satelickich.

Tam wypatrzył go oficer werbunkowy CIA. Przesłuchiwany przez Spinka Alosza utrzymywał, że tysiące uzbrojonych ukraińskich nacjonalistów nadal walczą z Rosjanami w Karpatach, co zostało potwierdzone w przechwyconej i odszyfrowanej informacji, pochodzącej od komunistycznego przywódcy Ukrainy, mało znanego aparatczyka Nikity Chruszczowa, który depeszował do Moskwy: „Za każdym krzakiem, za każdym drzewem, na każdym rogu ulicy czają się zamachowcy, dybiąc na życie funkcjonariuszy”. Firma zadecydowała, że przeszkolą SALTO MORTALE w szyfrach i obsłudze radiostacji, a potem przerzucą w Karpaty, żeby nawiązać kontakt z tamtejszym ruchem oporu.

Na papierze operacja wyglądała obiecująco.

Droga wiła się wśród pól oziminy w stronę stojącej na uboczu fermy mlecznej. Kiedy parkowali przed kamienną stodołą, spostrzegli pochylonego nad studnią młodego, jasnowłosego mężczyznę o chłopięcej twarzy. Powitał Spinka szerokim uśmiechem i klepnął go w plecy.

– Kiedy jadę w Karpaty? – spytał pełen zapału.

– Już niedługo – obiecał Spink.

Przedstawił Ebby’ego (ze względów bezpieczeństwa użył pseudonimu) jako oficera, który będzie pracował z Aloszą nad jego legendą i dostarczy radzieckie dokumenty, niezbędne do przeprowadzenia misji.

– Mam dla ciebie prezent urodzinowy – dodał.

Podeksytowany Alosza nie odstępował Spinka na krok. Ten otworzył bagażnik fordka i wręczył chłopakowi ukryty w zapalniczce aparat fotograficzny „Minox” i przenośny nadajnik wielkości książki, z wbudowanym kluczem do alfabetu Morse’a i zewnętrzną anteną, rozciąganą między drzewami; był to ponemiecki sprzęt o zasięgu ośmiuset kilometrów.

Kiedy Spink wyruszył z powrotem do Frankfurtu, Ebby i SALTO MORTALE przyjrzeni się sobie uważnie. Zanim przystąpili do budowania legendy, Ebby, wierny obowiązującym w Firmie zasadom, chciał poznać prawdziwą biografię Aloszy, żeby jego fikcyjny życiorys był możliwie najbardziej wiarygodny. Z początku młody Ukrainiec niechętnie opowiadał swoje dzieje i Ebby musiał wyciągać z niego szczegóły po szczegóły: dzieciństwo nad brzegiem rzeki Styr w Łucku, przynależność ojca do tajnej organizacji ukraińskich nacjonalistów; życie w ciągłym strachu, kiedy wraz z ojcem zaciągnęli się do wyzwoleniczej armii generała Własowa, żeby u boku Niemców walczyć z sowiecką potęgą („nie dlatego, że to komuniści, ale dlatego, że to Rosjanie”). A kiedy Alosza doszedł do egzekucji ojca, głos zaczął mu się rwać, a w źrenicach błysnęły łzy. Oczy Ebby’ego również zaszły podejrzaną mgłą i zanim się zorientował, co robi, zaczął opowiadać o śmierci swojego ojca, legendarnego oficera OSS, zrzuconego na terytorium Bułgarii pod koniec wojny, aby wyrwać ten kraj z sojuszu państw Osi. Winstrom Ebbitt został zadenuncjowany przez rzekomego partyzanta. Niemcy torturowali go tak długo, aż zgodził się nadać przez radio fałszywą informację; w raporcie przemycił umówiony wcześniej sygnał, że działa pod przymusem. Po pewnym czasie wróg zorientował się, że przynęta nie chwyciła. W dniu, w którym Armia Czerwona przekroczyła Dunaj i weszła do Bułgarii, Ebbitta, ze zmiażdżonymi kostkami obu nóg, wywleczono na stadion na obrzeżach Sofii i przywiązano do słupka bramki. Oprawcom z plutonu egzekucyjnego zabrakło naboju, więc zadźgali jeńca na śmierć bagnietami. Jeden z zabójców zeznał potem na procesie zbrodniarzy wojennych, że amerykański oficer OSS zginął z uśmiechem na ustach.

Te zwierzenia przełamały lody między młodymi ludźmi i przez pozostałe dwa tygodnie nie rozstawali się ani na chwilę. Czy to podczas sesji, ciągnących się niekiedy do białego świtu, czy to podczas spacerów pośród

pól pszenicy, sięgającej teraz do pasa, Alosza opowiadał historię swego życia, a jego „amerykański brat” – jak nazywał Ebby’ego – notował w pamięci każdy szczegół. Opierając się na głównych wątkach biografii Ukraińca i uzupełniając luki wiarygodnymi, choć fikcyjnymi „faktami” (musieli coś wymyślić, żeby wypełnić białe plamy w życiorysie Aloszy, przypadające na lata spędzone w armii Własowa i w obozie dla wysiedleńców), Ebby pieczołowicie konstruował postać, która przeszłaby z powodzeniem nawet przez najbardziej drobiazgowo przesłuchanie wyszkolonych śledczych z KGB. Widząc, że Alosza chwilami traci cierpliwość, zabrał go na nocną eskapadę po Frankfurcie, włączając w to wizytę w miejscowym burdelu (za którą zapłacili parą nylonowych pończoch z wojskowego przydziału) i posiłek w czarnorynkowej restauracji, gdzie za kilka paczek amerykańskich papierosów można było zjeść kolację i wypić butelkę reńskiego wina.

Po powrocie SALTO MORTALE doskonalili umiejętności w zakresie alfabetu Morse’a, uczył się rozpoznawać sylwetki radzieckich samolotów i mozolnie przegryzał przez opasłe tomy, drobiazgowo opisujące realia życia codziennego w Związku Radzieckim: opłaty za przejazd trolejbusem, cenę bochenka czarnego chleba, najnowsze rozporządzenia dotyczące zmiany pracy i przemieszczania się po kraju, najświeższe powiedzonka, potoczny język ulicy. W tym czasie Ebby zajął się przygotowaniem radzieckich dokumentów, które miały uwiarygodnić tak pieczołowicie skonstruowany życiorys. W tym celu nawiązał kontakt z głęboko utajnioną organizacją zachodnioniemieckiego wywiadu „Org”, prowadzoną przez Reinharda Gehlena.

Przy lunchu w wojskowym kasynie, mieszczącym się w jednym z ogromnych budynków I.G. Farben, Tony Spink uzupełniał wiedzę Ebby’ego na temat człowieka, znanego w Firmie pod nieoficjalnym

kryptonimem „Dziwny Kochaś”: generał Gehlen był w czasie drugiej wojny światowej dowódcą Fremde Heere Ost, jednostki niemieckiego wywiadu, której celem był Związek Radziecki. Pod koniec wojny utrwał na mikrofilmach wszystkie swoje archiwa (w tym bezcenną charakterystykę radzieckich przywódców politycznych i wojskowych), zniszczył oryginały i zakopał pięćdziesiąt dwie kasety z aktami obok pewnego szałas w Alpach Bawarskich.

– Te mikrofilmy to polisa ubezpieczeniowa Gehlena – wyjaśnił Spink. – Zbadał grunt w zachodnim wywiadzie i zaproponował, że przekaże je Amerykanom.

– W zamian za co?

Zatrudniony w kasynie uchodźca z pobliskiego obozu dla wysiedleńców zabrał puste talerze i ostrożnie opróżnił popielniczkę, wsypując niedopałki do koperty, którą schował do kieszeni białej marynarki. Spink odczekał, aż kelner odejdzie dostatecznie daleko, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Gehlen chciał utworzyć jednostkę zachodnioniemieckiego wywiadu, w której on sam byłby Führerem, i spodziewał się, że CIA to sfinansuje. Długo się nad tym zastanawiano. Angażowanie niemieckiego generała, zwłaszcza takiego, który do końca pozostał wierny Hitlerowi, nie podobało się wielu ludziom. Pewnie, że chcieliśmy przejąć jego akta i podrzucić mu swoich ludzi, ale on postawił sprawę jasno: albo bierzecie to na moich warunkach, albo nic nie dostaniecie. Coś za coś. Żeby się już nad tym nie rozwodzić, przypomnę tylko, że właśnie wtedy zimna wojna rozgorzała na całego, a mikrofilmy Gehlena były istną kopalnią wiedzy na temat wroga. Poza tym Gehlen dysponował również wsparciem na zapleczu sił nieprzyjacielskich, wzdłuż linii kolejowej Wołogda–Moskwa, i utrzymywał, że pozostaje w kontakcie z niedobitkami armii Własowa, rozproszonymi w górach Oriol, mógł ponadto rozpoznać oddziały

nacjonalistów ukraińskich, operujące wokół Kijowa i Lwowa, no i miał swoich ludzi nawet w tej części Niemiec, która pozostawała pod sowiecką okupacją. – Spink filozoficznie wzruszył ramionami. – Bez Gehlena i jego mikrofilmów utknęlibyśmy po uszy w gównie, przynajmniej jeśli chodzi o Ruskich. – Wyciągnął z paczki dwa papierosy i zostawił na stole jako napiwek. – Wiem, że twój stary słono za to zapłacił, Ebby. Chcesz, to posłuchaj dobrej rady: zaciśnij zęby i rób swoje.

Nazajutrz po południu Ebby wziął służbowy samochód i wyruszył do oddalonego o trzysta dwadzieścia kilometrów Pullah na przedmieściach Monachium. Na miejsce dotarł w nocy. Odnalazł Heilmannstrasse z szarym betonowym murem, wysokim na trzy metry, potem skręcił w wąską uliczkę, biegnącą wzdłuż gęstego żywopłotu, za którym widoczne było ogrodzenie oznakowane tabliczkami: „Uwaga! Wysokie napięcie!”, i zaparkował przed wartownią, obsadzoną strażnikami w zielonych mundurach bawarskich leśniczych. Elektryczna żarówka oświetlała napis w czterech językach: „SUD-DEUTSCHE INDUSTRIE-VERWERUNGS GmbH – Zgaś światła i zapal lampkę wewnątrz samochodu”. Dopiero gdy zastosował się do tego polecenia, jeden z wartowników podszedł do auta. Ebby otworzył okienko i podał mu swój amerykański paszport i kartę identyfikacyjną Firmy. Strażnik zabrał je, wrócił do budki, podniósł słuchawkę i odczytał dane z dokumentów komuś po drugiej stronie linii. Chwilę później do bramy podjechał dżip, z którego wysiadł szczupły, łysiejący mężczyzna. Wszedł na ulicę, po czym zajął miejsce w samochodzie obok Ebby’ego.

– Jestem doktor Uppmann z wydziału archiwów – przedstawił się bez podania ręki. – Już może pan zapalić światła.

– A moja karta identyfikacyjna? – spytał Ebby.

– Dokumenty dostanie pan przy wyjściu. Proszę wjechać za bramę. Będę panu towarzyszył.

Ebby wykonał polecenie, manewrując samochodem według wskazówek Uppmanna.

– Jest pan u nas po raz pierwszy? – zapytał Uppmann.

– Tak – odparł Ebby. Czuł wyraźne mrowienie na karku.

– Zapewniam pana, że chętnie współpracujemy z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi – powiedział jego przewodnik, wskazując gestem ręki oświetloną drogę po prawej stronie.

Ebby skręcił.

– Czy ktoś daje się nabrać na ten napis przy bramie? Południowoniemieckie Zakłady Utylizacji.

Niemiec uśmiechnął się lekko.

– Doktor Schneider (to kryptonim Gehlena) wyznaje teorię, że jeśli chcesz coś utrzymać w tajemnicy, zrób z tego nieciekawego i błahy sekret, zamiast wmawiać ludziom, że nic się za tym nie kryje. Zdziwiłby się pan, widząc, jak wielu Niemców wierzy, że naprawdę próbujemy wykraść Amerykanom lub Francuzom tajemnice przemysłowe.

Stosując się do wskazówek swego przewodnika, Ebby zatrzymał samochód przed długim, parterowym budynkiem. Doktor Uppmann wyjął metalowe kółko z pękiem kluczy. Jednym z nich wyłączył system alarmowy, drugim otworzył dwa zamki w ciężkich metalowych drzwiach. Ebby wszedł za nim do jasno oświetlonego korytarza.

– Jak długo pan tu pracuje? – zapytał.

– Wprowadziliśmy się wkrótce po zakończeniu działań wojennych. Poza paroma podziemnymi pomieszczeniami, które zostały dobudowane, cały kompleks jest nienaruszony. Pierwotnie służyć miał oficerom SS i ich rodzinom i jakimś cudem przetrwał wasze bombardowania. Proszę,

jesteśmy na miejscu. – Uppmann przepuścił przodem Ebby’ego i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Młody Amerykanin rozglądał się wokół ciekawie: solidne meble, szare ściany popstrzone śladami po rozgniecionych insektach, na drzwiach amerykański plakat z napisem: „Eksplozja atomowa, obserwowana z bezpiecznej odległości, jest najpiękniejszym widokiem, jaki oglądały ludzkie oczy”.

– Naprawdę pan w to wierzy? – zdziwił się.

Doktor Uppmann zrobił zakłopotaną minę.

– To tylko żart – odparł zmieszany.

– Już słyszałem, że Niemcy mają specyficzne poczucie humoru – mruknął pod nosem Ebby.

– Co proszę?

– Nic ważnego.

Uppmann przykucnął przed dużym sejfem i przez chwilę manewrował tarczą cyfrową. Drzwiczki odskoczyły. Wyjął szarą tekturową teczkę i starannie zamknął skrytkę. Potem wstał i rozłożył na stole zawartość teczki.

– Proszę... Wszystko podrobione przez specjalistów Abwehry w ostatnich miesiącach walki z bolszewizmem – oznajmił z dumą. – Świetna robota. To pierwszorzędne falsyfikaty, znacznie lepsze od tych, które fabrykowaliśmy podczas wojny. Wielu naszych agentów przerzuconych na tereny bolszewików wpadło z powodu głupiego błędu, jaki popełniliśmy, używając własnych zszywek z nierdzewnej stali zamiast radzieckich, które rdzewieją na potęgę. U was, w Ameryce, macie porzekadło, które my, tu w Niemczech, bardzo cenimy – żyj i ucz się. Niech pan spojrzy na te pieczątki... To są maleńkie arcydzieła. W Rosji tylko

specjalista najwyższej klasy mógłby je odróżnić od autentycznych papierów. – Podsuwał dokumenty Ebby’emu, jeden po drugim. – Ukraiński paszport wewnętrzny, legitymacja pracownicza, książeczka wojskowa, legitymacja oficerska, kartki na żywność. Przy wypełnianiu musi pan pamiętać o pewnych sowieckich osobliwościach: o ile paszport, książeczka wojskowa i legitymacja oficerska mogą zostać wypisane przez zwykłą urzędniczkę o mniej lub bardziej wyszukany charakterze pisma, to legitymacja pracownicza musi wyglądać tak, jakby była wystawiona przez kierownika fabryki, być może analfabetę z awansu społecznego, który zamiast czytelnego podpisu nabazgrze kulfonami swoje inicjały. No i pamiętajcie, żeby wybrać odpowiedni atrament. Ufam zresztą, Herr Ebbitt, że wasi eksperci we Frankfurcie są obeznani z takimi szczegółami.

Herr Doktor poprowadził Ebby’ego do klubowej salki na końcu korytarza. Uprzejmym gestem wskazał mu wygodny, głęboki fotel, po czym wyjął z malowanej bawarskiej szafki butelkę trzygwiazdkowego francuskiego koniaku i dwie szklaneczki. Napełniwszy je po brzegi, podał jedną Ebby’emu.

– *Prosit* – powiedział z uśmiechem.

Stuknęli się. Brzęknęło szkło.

– Za następną wojnę! Tym razem ich dostaniemy.

Ebby zatrzęsł się ze złości. Wstał i huknął w stół szklanką z niedopitym koniakiem.

– Muszę panu powiedzieć, Herr Doktor... – Wziął głęboki oddech, by się opanować.

Uppmann przekrzywił głowę.

– Co takiego musi mi pan powiedzieć, Herr Ebbitt? Że pański ojciec zginął na wojnie? Widzę, że jest pan zaskoczony. Tak, znam tę historię.

Rutynowo sprawdzamy wszystkich naszych gości. Mój ojciec również był ofiarą wojny. Został wzięty do niewoli pod Stalingradem. Zmarł w transporcie, z wyczerpania i chłodu, kiedy pędzili ich do obozu. Mój młodszy brat, Ludwig, wszedł na minę. Stracił obie nogi. Moja matka opiekuje się nim w naszym rodzinnym majątku w Schwarzwaldzie.

– Wiedział pan? – mruknął Ebby.

– O czym?

– Wiedział pan o „ostatecznym rozwiązaniu”?

Niemiec pogładził palcem grzbiet nosa.

– Oczywiście, że nie.

– Jak mógł pan n i e wiedzieć? – odparł Ebby. – Mała dziewczynka, Anna Frank, ukrywająca się na strychu w Amsterdamie, napisała w swoim pamiętniku, że Żydów pakowano w bydlęce wagony. Jak to możliwe, że ona wiedziała, a pan nie?

– Nie zajmowałem się kwestią żydowską. Robiłem wtedy to samo co teraz: walczyłem z bolszewikami. Służyłem w wywiadzie generała Gehlena, trzy i pół roku na froncie sowieckim. Tysiąc dwieście siedemdziesiąt siedem dni, t r z y d z i e ś c i t y s i ę c y s z e ś ć s e t godzin czyśćca! Bolszewizm jest naszym w s p ó l n y m wrogiem, Herr Ebbitt. Gdybyśmy mieli dość zdrowego rozsądku, by wcześniej połączyć nasze siły, pański ojciec i mój najprawdopodobniej żyliby teraz, a bolszewicy nie przywłaszczyliby sobie państw Europy Wschodniej i sporej części starych Niemiec.

– Wy to zrobiliście pierwsi. To w y przywłaszczyliście sobie Polskę, Sudety, Jugosławię...

– Byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, broniliśmy Zachodu przed hordami bolszewików – zachnął się Uppmann.

Stanął przy oknie, patrząc na oświetloną latarniami alejkę.

– Hitler – warknął przez ramię zduszonym głosem – zdradził Niemcy. Pomieszały mu się priorytety: wziął się na Żydów, zamiast rozprawić się z bolszewikami. – Odwrócił się nagle i patrząc Ebby’emu prosto w oczy, mówił dalej, wzruszony: – Popełnia pan błąd, Herr Ebbitt, osądzając nas zbyt pochopnie. Brak panu rzetelnej wiedzy o tym, co się tutaj działo. My, niemieccy oficerowie, gardziliśmy tym prostackim kapralem, ale zgadzaliśmy się z jego celami. Po traktacie wersalskim Niemcy stali się *Volk ohne Raum*: narodem bez przestrzeni życiowej. Będę z panem szczery. Hitler pociągnął za sobą nas, niemieckich patriotów, odrzuceniem postanowień tego haniebnego traktatu, obietnicą *Lebensraum* dla Trzeciej Rzeszy, swoim wojującym antybolszewizmem. Ale popełniliśmy błąd, sądząc, że jego kanclerstwo będzie jedynie przejściową fazą w chaosie niemieckiej polityki. Czy wie pan, co powiedział Hindenburg po swoim pierwszym spotkaniu z Hitlerem? Nie? To proszę posłuchać. Powiedział: „Niemcy nigdy nie oddadzą władzy w ręce czeskiego kaprała”. To jego własne słowa. – Odchyliwszy głowę w tył, Uppmann jednym haustem wychylił koniak ze szklanki, po czym nalał sobie następną porcję. – Osobiście widziałem Hitlera tuż przed końcem, kiedy Herr Gehlen wysłał mnie do bunkra z analizą radzieckiej ofensywy przeciw Berlinowi. Trudno sobie wyobrazić ten widok: nabiegłe krwią oczy, opuchnięta twarz, ręce mu się trzęsły... Siedział zgarbiony na krześle, bezskutecznie usiłując opanować nerwowe drganie w lewym ramieniu. Kiedy wstał, żeby podejść do mapy, zauważyłem, że powłóczy nogą. Ta, którą nazywaliśmy Aniołem Śmierci, Ewa Braun, też tam była: blada, ładna, przerażona... Nie wiem, czego bała się bardziej: tego, że umrze, czy tego, że może przeżyć. Niech pan zgadnie, co Hitler miał do zaoferowania narodowi niemieckiemu w tej tragicznej godzinie? Kazał, słyszałem to na własne uszy, nagrać odgłos czołgów

toczących się po drogach, rozesać taśmy do wszystkich jednostek na froncie i puszczać Rosjanom przez megafon. Mieliśmy powstrzymać bolszewików za pomocą g r a m o f o n u, Herr Ebbitt. A to nigdy, podkreślam, n i g d y nie powinno się powtórzyć.

Ebby z trudem panował nad sobą. Zakrył ręką usta, żeby czegoś nie powiedzieć. Herr Doktor wziął ten gest za objaw współczucia dla ciężkiej doli narodu niemieckiego.

– Widzę, że zaczyna pan wreszcie widzieć sprawy w nowym świetle.

– N i e! – Ebby czuł, że nie zniesie tego dłużej, musi pokazać temu Niemcowi, co o tym wszystkim myśli. – Rzygać mi się chce, jak tego słucham. Wy nie prowadziliście wojny, Herr Uppmann, tylko planują eksterminację. Mówi coś panu słowo „Holokaust”? Jedynym rozwiązaniem kwestii niemieckiej było dla was „ostateczne rozwiązanie”.

– Żydzi wygrali tę wojnę, a potem sami napisali jej historię. – Uppmann zdawał się adresować słowa do wiszącego na ścianie portretu Gehlena. – Te sześć milionów zostało wzięte z sufitu, a świat to gładko przełknął, dla własnej wygody. Zwycięska propaganda chwyta się każdego pretekstu, żeby zdemonizować Niemcy.

– Jedyne, co zostało z pańskiej tysięcznej Rzeszy, Herr Doktor, to pamięć o popełnionych przez nią zbrodniach i pamięć ta przetrwa kolejne tysiąc lat. Niedobrze mi się robi na myśl, że jesteśmy po tej samej stronie barykady, że siedzimy tu razem, że oddychamy tym samym powietrzem... Proszę odprowadzić mnie do bramy, z łaski swojej, chcę stąd wyjść.

Niemiec zeszywniał, zadrgały mięśnie w napiętym karku.

– Im szybciej pan stąd wyjdzie, tym szybciej zabierzemy się do walki z bolszewizmem, Herr Ebbitt. – Dopił swój koniak i cisnął o ścianę pustą

szklanką, rozbijając ją w drobny mak. Rozdeptując butami rozsypane szkło, wyszedł z pokoju.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy najpierw do niemieckiego, a potem amerykańskiego dowództwa wpłynęła skarga na niesforne go agenta. Ebby, wezwany w celu wyjaśnienia niemiłego incydentu, stanął przed trzyosobową komisją śledczą. As przybył aż z Wiednia, żeby uczestniczyć w przesłuchaniu. Ebby nie odwołał żadnego słowa i nawet nie usiłował załagodzić przykrego zajścia, które oficerowie frankfurckiej placówki określili mianem „afery”. Niechcący wywołał burzę w szklance wody. Nabrzmiały od dawna wrzód nagle pękł. Rozproszeni po całych Niemczech oficerowie Firmy dowiedzieli się o sprawie pocztą pantoflową i przesłali Ebby’emu swoje notatki, a on rozdmuchał je do rozmiarów aktu oskarżenia, który odczytał na głos przed komisją.

– Kiedy generał Gehlen dostał pozwolenie na powrót w szeregi wywiadu – zaczął – podpisał zobowiązanie, że nie zatrudni byłych gestapowców ani innych zbrodniarzy wojennych. Tymczasem otoczył się ludźmi o nazistowskiej przeszłości, którzy pod fałszywymi nazwiskami zaciągnęli się pod jego banderę.

– Przypuszczam, że może pan podać prawdziwe nazwiska tych osób – warknął przewodniczący komisji, oficer CIA.

– Proszę bardzo, służę pełną listą. Zacznę od obersturmführerów SS Franza Goringa i Hansa Sommera. Nazwisko tego ostatniego musiało się już panom obić o uszy... W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym spalono z jego rozkazu siedem paryskich synagog, miał zresztą przez to kłopoty ze swoim dowództwem. Następnie sturmbannführer SS Fritz Schmidt, zamieszany w egzekucje robotników z obozu Friedrich Ott niedaleko Kiel w czterdziestym czwartym. Jest tu też Franz Alfred Six,

brigadeführer SS z siódmego departamentu RSHA^[15], skazany w Norymberdze na dwadzieścia lat więzienia za wydanie rozkazu egzekucji na setkach Żydów w lipcu i sierpniu czterdziestego pierwszego, kiedy był dowódcą Jagdkommando; zwolniono go po czterech latach i natychmiast został zatrudniony w Organizacji Gehlena. Jest standartenführer Emil Augsburg, który u Eichmanna stał na czele sekcji zajmującej się tak zwaną kwestią żydowską. Mój przewodnik po siedzibie Gehlena przedstawia się jako doktor Uppmann. Tymczasem jego prawdziwe imię i nazwisko to Gustav Pohl. Był oficerem sztabowym w Grupie Armii „Wschód”, ale miał też inne oblicze: podczas inwazji na Rosję pełnił, z ramienia niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, funkcję oficera łącznikowego przy SS. Zgodnie z przedstawionymi w Norymberdze dowodami, uczestniczył w tworzeniu SS Einsatzgruppen, lotnych szwadronów śmierci, dokonujących masowych rozstrzeliwań komisarzy ludowych oraz Żydów: mężczyzn, kobiet i dzieci, wrzucanych potem do dołów, które kazano im wcześniej wykopać.

Frank Wisner, z przymkniętymi oczami, siedział w kącie, bujając się od niechcenia na twardym, drewnianym krześle. Wyglądał, jakby drzemał, ale czujnie łowił każde słowo.

– Ostrzegałem cię, Ebby! – zawołał nagle. – I nie powiesz mi, że nie słyszałeś. Ostrzegałem, że ci dokopię, jak coś pójdzie nie po mojej myśli.

As odstawił krzesło i powoli przeszedł na drugi koniec pokoju.

– No to dokopię ci teraz. Pozwól, że przedstawię pewne fakty. Wiesz, kim był oficer OSS, który negocjował z Gehlenem przejęcie tych jego cholernych mikrofilmów? To ja, Ebby. Ja się z nim układałem. Schowałem głęboko dumę, przełknąłem tę gorzką pigułkę, odłożyłem na bok skrupuły i moralne rozterki i zawarłem pakt z jednym diabłem, aby zniszczyć drugiego. Czy naprawdę uważasz, że nie wiedzieliśmy, że Gehlen zatrudnia

byłych nazistów? Nie bądź dzieckiem, Ebby, to my płacimy rachunki w Pullah. Chryste miłosierny! Twój człowiek ma wyskoczyć z samolotu nad komunistyczną Rosją, a ty stroisz fomy, bo ci śmierdzi paszport, którego twój człowiek potrzebuje, żeby uniknąć plutonu egzekucyjnego. Ja bym się czołgał w psim gównie i całował tłusty tyłek Hermanna Göringa, gdyby od niego zależało, czy mój człowiek przeżyje. Chowasz głowę w piasek, Ebby. W Berlinie wściekałeś się, bo Harvey Torriti (przypadkowo jeden z naszych najlepszych agentów) nie może się obejść bez butelki whisky dziennie. A we Frankfurcie się wściekasz, bo nie odpowiada ci towarzystwo, jakie dobiera sobie Firma. Tatuś nie mówił ci, że wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem? A skoro już jesteśmy przy tym temacie, powiem coś jeszcze. Zanim twojego tatusia zrzucili na Bułgarię, siedział w Madrycie, negocjując z hiszpańskimi faszystami, jak wykołować niemieckie dostawy surowców. Do diabła, twój tatuś ulepiony był z twardszej gliny niż jego synalek! I co teraz zrobisz, chłopcze? Załatwisz sprawę swojego człowieka czy dalej będziesz nam zawracał dupę lamentami, że wśród porządnych ludzi znalazło się paru eks-nazistów?

W przestronnym biurze na rogu budynku w kształcie litery „L”, przy Reflecting Pool, James Angleton przeglądał dzienny meldunek z terenu, wciśnięty za metalową okładkę teczki, zawierającej ściśle tajne materiały.

– Czy muszę p-p-pisać do domu o wszystkim, co się dzieje, Jimbo? – raczej stwierdził, niż zapytał, Adrian, oficer łącznikowy MI6 w Waszyngtonie.

Angleton wyszarpnął kartkę z teczki i rozłożył ją na zeszycie. Mieszając whisky z wodą mineralną drewnianym patyczkiem do badania gardła, który zakosił z gabinetu lekarskiego, Kim Philby pochylił się nad raportem i pociągnął nosem.

– Pachnie mi tajnym przez poufne – zażartował.

Zerknął uważniej na raport, potem przeczytał jeszcze raz, już wolniej, i aż gwizdnął.

– Chcesz poznać moje zdanie? Powinniśmy zrobić porządek z tym cyrkiem parę miesięcy temu. Jeśli w Karpatach naprawdę działa jakiś ukraiński ruch oporu, wyjdziemy na cholernych i-i-idiotów, jak nie nawiążemy z nim kontaktu.

– Wyświadczyć mi przysługę i zachowaj to dla siebie, dopóki nie usłyszymy, że nasz człowiek jest już bezpieczny – powiedział Angleton.

– Życzenie ajatollaha Angletona jest rozkazem dla jego pokornego sługi – odparł Philby, kłaniając się unizienie.

Parsknęli śmiechem i stuknąwszy się kieliszkami, usiedli wygodniej, żeby dopić drinka.

SALTO MORTALE musiał krzyczeć, żeby jego głos przedarł się przez ryk silników C-47.

– Dziękuję wam, dziękuję prezydentowi Trumanowi, dziękuję Ameryce za to, że odsyłacie mnie z powrotem do kraju. Gdyby mój ojciec mógł mnie teraz zobaczyć, na pewno przewróciłby się w grobie: jego Alosza wraca do domu samolotem, i to jako jedyny pasażer na pokładzie.

O zachodzie słońca Ebby zaprowadził SALTO MORTALE na tajny pas startowy w amerykańskiej strefie okupacyjnej, żeby poznał swoich pilotów, czeskich lotników, którzy latali na spitfire'ach podczas bitwy o Anglię. Na czas akcji w Karpatach C-47 został pozbawiony oznakowania (operację tę nazywano „nurzaniem owieczek”) i zaopatrzony w dodatkowe zbiorniki paliwa pod skrzydłami. Sierżant Sił Powietrznych osobiście zwinął

i spakował do worków oba spadochrony – główny i awaryjny – po czym pokazał Aloszy, jak zaciągnąć paski na łopatkach.

– Samolot obniży się do wysokości sześciuset stóp – poinstruował młodego Ukraińca, który widział filmy szkoleniowe, ale sam jeszcze nigdy nie skakał. – Kiedy zapali się żółta lampka, staniesz w otwartych drzwiach. Kiedy zapali się zielona, skoczysz. Pamiętaj, żeby policzyć do pięciu, zanim pociągniesz za linkę wyzwalającą. Licz powoli. Jeden jedna setna. Dwa dwie setne. Jasne?

– Jasne! – odpowiedział Alosza, naśladowując nowojorski akcent sierżanta.

Ebby pomógł SALTO MORTALE wtaszczyć sprzęt do samolotu: ciężki worek ze spadochronem, małą walizkę (zawierającą znoszone sowieckie łańchy, nadajnik radiowy, kilka tuzinów niemieckich zegarków na łańcówki) oraz prowiant – kanapki i piwo. Gdy samolot grzał silniki, Ebby ostrożnie wyjął z pudełka po zapałkach kapsułkę z trucizną i wepchnął ją w lekko nadpruty szew kołnierzyka Aloszy. Uścisnął podopiecznego, poklepał serdecznie po plecach i ryknął mu do ucha:

– Powodzenia, stary!

Powiedziałby więcej, ale bał się, że nie zapanuje nad głosem.

SALTO MORTALE odwzajemnił się uśmiechem.

– Na szczęście dla nas, na pohybel Stalinowi!

Chwilę później samolot wzbił się w nocne niebo i zatoczywszy koło, zniknął na wschodzie. Ebby wskoczył na rower i co sił w nogach popedałował do baraku z blachy falistej, służącego za centrum lotów. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za jakieś sześć godzin C-47 będzie podchodził do lądowania. Czescy piloci mieli bezwzględny rozkaz utrzymać ciszę radiową. Pozostawało mieć nadzieję, że Rosjanie wezmą samolot za jedną z tych maszyn, które w ramach lotów obserwacyjnych

regularnie patrolowały przestrzeń powietrzną „obszarów spornych”. Dyżurny oficer lotnictwa przyniósł Ebby’emu tackę z porcją konserwowej mielonki i tłuczonych ziemniaków i zaproponował mu miejsce na pryczy w sąsiednim pokoju.

Ebby leżał w ciemności, przewracając się z boku na bok. Nie mógł zasnąć, zaprzątnięty kotłującymi się w głowie myślami. Czy niczego ze Spinkiem nie przeoczyli? Metki przy ubraniu Aloszy – sowieckie; podeszwy jego butów – też sowieckie. Zegarki? Każdy, kto bił się w Niemczech (w książeczce wojskowej Aloszy figurował podrobiony podpis nieżyjącego już oficera), mógł z łatwością wytłumaczyć się z posiadania skradzionych zegarków. Radio, bloczki szyfrowe i minox SALTO MORTALE miał zakopać natychmiast po wylądowaniu. A jeżeli, skacząc, złamie nogę? Co będzie, jeśli straci przytomność i chłopci wydadzą go milicji? Czy i wówczas spreparowana przez Ebby’ego legenda – że Alosza pracował przez dwa i pół roku przy budowie tamy na północy kraju – utrzyma się w krzyżowym ogniu pytań podejrzliwych enkawudystów? Wątpliwości piętrzyły się – jedne urastały do rozmiarów klęski, inne błądły, schodziły na drugi plan.

Mniej więcej na godzinę przed świtem Ebby’emu, który nie bacząc na przenikliwy chłód, wyszedł z baraku, wydało się, że słyszy daleki odgłos silników. Wsiadł na rower i popędził przez płytę lotniska do ogromnego hangaru. Dotarł na miejsce akurat w chwili, kiedy nisko na ciemnym jeszcze niebie zamigotały dwa światelka i C-47 dotknął pasa startowego. Maszyna zaczęła kołować w kierunku hangaru. Spostrzegłszy Ebby’ego, jeden z czeskich pilotów opuścił okienko kokpitu i uniósł w górę dwa kciuki. Ebby pomachał do niego, uszczęśliwiony. Teraz pozostało tylko czekać na szyfrogram, potwierdzający udany zrzut.

Kiedy później tego samego ranka drzemał na składanym łóżku w swoim biurze we frankfurckiej bazie, Tony Spink nagle potrząsnął go za ramię. Ebby oprzytomniał natychmiast.

– Odezwał się?

– Tak... Dzieciak melduje, że wylądował, kości sobie nie połamał. Powiedział, że jak tylko zakopie radio, wyruszy w góry, żeby odszukać swoich przyjaciół. Cieszy się, że wrócił do domu. Skontaktuje się z nami za kilka dni. Powiedział jeszcze... Powiedział: „Kocham was, chłopaki”.

Ebby przyjrzał się uważnie twarzy Spinka.

– Co się dzieje, Tony? Nadane było ręką Aloszy, no nie?

– Co do tego nie ma wątpliwości. Człowiek, który go uczył Morse’a, przysięga, że to on. Ale dzieciak przemycił sygnał ostrzegawczy: podpisał się „Alosza” zamiast SALTO MORTALE.

Ebby uchwycił się ostatniej deski ratunku.

– Może zapomniał...

– Nic z tego, mój drogi. Ktoś mu podyktował tę depezę. Będziemy udawać, że nic nie podejrzewamy, dopóki będzie pionkiem w ich grze. Ale ten dzieciak jest już żywym trupem.

BERLIN, PIĄTEK, 23 LUTEGO 1951

W „Die Pfeffermühle”, gdzie Jack najchętniej przesiadywał po godzinach, roilo się od ludzi, których szef policji Vichy z filmu *Casablanca*, z Humphreym Bogartem w roli głównej, określiłby jako „podejrzanе typy”. Freddie Leigh-Asker, szef placówki MI6, usiadł przy barze i zamówił następną kolejkę.

– Dwa podwójne bez lodu! – ryknął do zabieganego barmana.

– Słyszałeś najnowsze wieści? – zapytał Jacka, sączącego podwójną whisky z lodem.

To była trzecia podwójna whisky Jacka tego popołudnia – zaczynał rozumieć, dlaczego Czarnoksiężnik musiał zalewać robaka. Już za chwilę wstanie i pójdzie do małego teatru tańca na spotkanie z agentką o kryptonimie TĘCZA, z którą widywał się regularnie dwa razy w tygodniu. W uszach dźwięczał mu natrętny głos Freddiego:

– Te świry od wojny psychologicznej znowu coś wymyśliły. To absolutnie genialne: będziemy bombardować Ruskich prezerwatywami w rozmiarze XL. Mamy tego zrzucić kilka milionów.

Na małej scenie chórek dziewcząt z damskiej orkiestry, ubranych w obcisłe skórzane spodnie, ryczał na całe gardło *Kisses Sweeter than Wine*, trzecie miejsce na amerykańskiej liście przebojów.

– Chyba nie nadążam. – Jack starał się przekrzyczeć jazgot, który w innych okolicznościach można by uznać za muzykę.

– Na opakowaniach od kondomów będzie napis *medium*. Po angielsku! Kapujesz, stary? M, a nie XL! – tłumaczył Freddie. – Czy mam ci to przedstawić w formie wykresu? To zdemoralizuje wszystkie ruskie babki przed klimakterium. Od tej pory, patrząc na swoich facetów, będą myśleć tylko o tym, ile tracą. To się nazywa bombowy plan, co?

Wygrzebawszy parę marek z wewnętrznej kieszonki kurtki, Freddie rzucił je na kontuar, zabrał swoją szklankę i oddalił się, niknąc w kłębach papierosowego dymu. Jack był zadowolony, że się go pozbył. Wiedział, że Czarnoksiężnik nie mógł znieść widoku Leigh-Askera. Mówił, że nie ufa ludziom o podwójnym nazwisku, ale panna Sipp miała lepsze wytłumaczenie.

– Tu nie chodzi o jeden głupi, malutki myślnik w nazwisku, o nie, mój drogi – zwierzyła się Jackowi pewnej nocy. – Biedny Freddie Leigh-Asker przeżył to, co Angole nazywają porządną wojną. Był w piekle i nawet go nie osmalilo. Wydaje mu się, że skoro nie zginął do tej pory, zawsze się jakoś wywinie. Przechwala się na prawo i lewo, że jeśli kiedyś umrze, to na pewno we własnym łóżku. Mówi się o nim, że nie wie, co to lęk. Pan Torriti woli pracować z ludźmi, którzy się czegoś boją. Sądzi, że mają większe szanse uprzedzić przeciwnika, przewidzieć jego następny krok. Ciebie lubi, Jack, bo uważa, że za twoją brawurą, za twoją mantrą „raz kozie śmierć”, kryje się zdrowy strach.

Szczupły, krótko ostrzyżony, dobrze zbudowany mężczyzna tuż po dwudziestce wdrapał się na stołek obok Jacka i kiwnął palcem na barmana.

– Piwo z beczki! – zawołał.

Spojrzał w lustro za kontuarem i spostrzegł Jacka.

– McAuliffe! – wykrzyknął. – Jacko McAuliffe!

Jack podniósł wzrok. Odbita w lustrze twarz wydała mu się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Na wszelki wypadek zamachał ręką na powitanie. Młody człowiek zauważył jego konsternację i natychmiast pospieszył z pomocą.

– Mistrzostwa Europy! Monachium! Czterdziesty ósmy! Szlakowy w radzieckich czwórkach ze sternikiem. Obaj zakochaliśmy się po uszy w australijskich bliźniaczkach pacyfistkach, ale romans się skończył, zanim wzeszło słońce... Pamiętasz?

Jack palnął się w czoło.

– Borysow! – wykrzyknął.

Przyjrzał mu się spod oka, szczerze uradowany tym spotkaniem. Borysow był jego starym kumplem z Monachium, zwiedzili razem prawie wszystkie bary w mieście.

– Wańka Borysow! A niech mnie! Skąd się tu wzięłeś, u diabła?

Barman zdjął piankę z piwa wierzchem palca i podsunął kufel Borysowowi. Jack i Wańka stuknęli się na zdrowie.

– Pracuję w radzieckim przedstawicielstwie handlowym – odparł Rosjanin. – Prowadzimy negocjacje handlowe z Niemiecką Republiką Demokratyczną. A ty co porabiasz, Jacko?

– Załapałem fuchę w agencji informacyjnej przy Departamencie Stanu. Siedzę w „kotle”, jak my to nazywamy, i piszę sprawozdania o tym, jak świetnie wiedzie się w kapitalizmie n a s z y m Niemcom i jak cienko przędą w a s i w komunizmie.

– Jak widzieliśmy się ostatnim razem, miałeś ręce obtarte do krwi.

Jack pokazał Rosjaninowi swoje dłonie, pokryte grubymi odciskami.

– Zeszłej wiosny ścigaliśmy się z osadą Harvardu. Wiosłowałem jak opętany. Bałem się, że złamane w Monachium żebro znowu się odezwie,

ale kiedy daliśmy im w dupę, ból zszedł na dalszy plan.

– A co się dzieje z twoim sternikiem? Leonem... jak mu tam?

W głowie Jacka zabręczał ostrzegawczy dzwonek.

– Kritzky... Leo Kritzky. Straciłem z nim kontakt – powiedział, zastanawiając się jednocześnie, czy Rosjanin naprawdę zajmuje się importem i eksportem. – Pokłóciliśmy się o dziewczynę.

– Ciebie zawsze ciągnęło do kobiet. – Wańka uśmiechnął się szeroko.

Jeszcze przez jakiś czas rozmawiali o wioślarstwie. Zdawało się, że Rosjanie wymyślili nowy rodzaj ślizgu na samoczynnie nawilżanych łożyskach kulkowych. Borysow był jednym z pierwszych, którym dane było przetestować ten wynalazek podczas próbnego wyścigu na rzece Moskwie. Mechanizm pracował tak gładko, opowiadał Rosjanin, że pozwalał zawodnikowi zredukować pracę ciała i skoncentrować się na pracy wiosła. Borysow twierdził, że w rezultacie można było zaoszczędzić jedno do dwóch pociągnięć na każde sto metrów. Zamilkł nagle i zerknął z ukosa na Jacka.

– Nigdy nie byłem w Stanach – oznajmił nonszalancko. – Powiedz mi, Jacko, ile to jest kupa forsy w Ameryce?

Alarm w głowie Jacka rozdzwonił się na całego.

– To zależy – odparł spokojnie McAuliffe – czy mieszkasz w mieście, czy na wsi, czy masz studebakera, czy cadillaca, czy kupujesz ubrania gotowe, czy szyte na miarę.

– A tak na oko? – nalegał Borysow. – Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów? Pięćdziesiąt? Sto tysięcy?

Jack pomyślał, że pytanie może być w gruncie rzeczy zupełnie niewinne. W końcu wszystkich w Europie ciekawi, jak żyją Amerykanie. Przyznał, że dwadzieścia pięć tysięcy to niewyobrażalnie duża kupa dolców,

a pięćdziesiąt to już fortuna. Rosjanin przez dłuższą chwilę przetrwał tę informację. Kiedy odezwał się znowu, uśmiech znikł z jego twarzy.

– A powiedz mi, Jacko, ile ty wyciągasz rocznie z pisania tych swoich historyjek dla Departamentu Stanu?

– Jakież sześć tysięcy.

Rosjanin wyduł z namysłem dolną wargę.

– A co byś zrobił, Jacko, gdyby ktoś w tej chwili podszedł do ciebie i zaproponował sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce?

Dzwonek alarmu omal nie rozsadził Jackowi głowy.

– W zamian za co? – usłyszał, jakby z oddali, swój głos.

– W zamian za kilka informacji o panu Harveyu Torritim.

– Skąd ci przyszło do głowy, że znam kogoś nazwiskiem Harvey Torriti?

Borysow przełknął ostatni haust piwa i starannie otarł usta wierzchem dłoni.

– Jeśli sto pięćdziesiąt tysięcy to za mało, wymień odpowiednią sumę.

Jack zastanawiał się, w jaki sposób Wańka znalazł się w szeregach KGB. Prawdopodobnie tak samo, jak on trafił do CIA: zdolny student, wzorowy komsomolec, krótka rozmowa, kilka miesięcy intensywnego szkolenia i hop! – zakłada się przynętę na haczyk i zarzuca go w mętnych wodach „Die Pfeffermühle”.

– A teraz ty mi powiedz – odparł Jack – ile to jest kupa forsy w Związku Radzieckim? – Wańka poruszył się niespokojnie na krześle. – Czy Rosjanin z pięcioma tysiącami dolarów na koncie w szwajcarskim banku mógłby się uważać za bogatego? Nie? A co powiesz na dwadzieścia pięć tysięcy? Nadal nie? Okay, powiedzmy, że ktoś podszedłby do ciebie w tej chwili i zapisał ci numer szwajcarskiego konta w szwajcarskim banku, na którym zdeponowano sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów na twoje nazwisko?

Rosjanin zachichotał nerwowo.

– W zamian za co?

– W zamian za kilka drobnych informacji z Karlshorst... Dane dotyczące importu i eksportu, nazwiska Rosjan, którzy zajmują się importem i eksportem.

Borysow zsunął się ze stołka.

– Miło było znowu cię spotkać, Jacko. Życzę powodzenia... tobie i twojej agencji informacyjnej przy Departamencie Stanu.

– Też się cieszę, że wpadłem tu na ciebie, Wańka. Życzę sukcesów w imporcie i eksporcie. Będziemy w kontakcie, cześć.

Ukryty w cieniu bramy przy Hardenbergstrasse, Jack nie spuszczał wzroku z wyjścia dla aktorów małego teatru tańca współczesnego. Półtorej godziny błąkał się w labiryncie tuneli S-Bahn: wskakiwał w biegu do pociągów i wyskakiwał na chwilę przed zamknięciem drzwi, czekał, aż wagony opustoszeją na końcowej stacji, i wracał tą samą trasą, by wreszcie wysiąść na dworcu Zoo i zginąć w tłumie, klucząc w plątaniu zaułków, a wszystko po to, żeby zyskać pewność, że nikt go nie śledzi. Pan Andrews, pomyślał, byłby z niego dumny. Około dwudziestej ulica zapełniła się ludźmi. Kuląc się pod uderzeniami lodowatego wiatru, obładowani workami z przydziałowym węglem, wydawanym przez aliantów z magazynów przy Tiergarten, wlekli się noga za nogą, a Jack odniósł wrażenie, że wcale im się nie spieszy do domu. Dziesięć po dwudziestej pierwszej pojawili się uczniowie, kończący lekcje w teatralnej szkole tańca – smukli chłopcy i chude nastolatki o charakterystycznym, rozkołysanym chodzie. Chichotali w podnieceniu, a z ich ust unosiły się gęste obłoki pary. Jack odczekał kolejne dziesięć minut, przeszedł przez jezdnię i zniknął w głębi wąskiego korytarza, przesyconego zapachem talku i potu. Za szybą

portierni siedział na obskurnym krześle, z uchem przy radiu, stróż, stary Pomorzanin imieniem Aristide. Jack rozpoznał burzliwe dźwięki *V symfonii* Beethovena – z Wiednia transmitowano na żywo koncert orkiestry pod batutą von Karajana, który występował kiedyś przed Führerem, a raz nawet ustawił krzesła na widowni w znak swastyki. Aristide, w czapce nasuniętej na oczy, nie drgnął nawet, kiedy Jack wsunął przez okienko dwie paczki amerykańskich papierosów. Deski zatrzeszczały pod ciężarem jego kroków, gdy wspinał się po drewnianych schodach na najwyższe piętro. Przystanął przed salą prób i przez chwilę nasłuchiwał. W budynku panowała zupełna cisza. McAuliffe otworzył drzwi.

Jak zawsze we wtorki i piątki TĘCZA została po zajęciach, żeby spokojnie poćwiczyć. Boso, w fioletowych rajtuzach i luźnej, spranej koszulce wykonała głęboki skłon, dotknęła dłońmi podłogi, a potem wyprostowała się i lekko wsparłszy długą nogę na drążku, pochyliła się w kolejnym głębokim skłonie, uważnie śledząc w lustrze swoje ruchy. Jej ciemne, połyskliwe włosy, jakby przesiąknięte blaskiem ostatnich promieni zachodzącego słońca, były gładko zaczesane do tyłu i zaplecione razem z nitkami kolorowej wełny w długi warkocz, który ciasno przylegał do pleców. W tym samym miejscu, w niewielkim zagłębieniu pod łopatką, Jack nosił zwykle swojego walthera PPK. Spotykali się już po raz piąty, a wciąż jeszcze harmonijne piękno jej ciała w ruchu zapierało mu dech w piersi. Złamany przed laty i źle potem nastawiony nos oszpeciłby każdą inną kobietę, lecz jej dodawał tylko zagadkowego uroku.

– Co widzisz, kiedy patrzysz w lustro? – zapytał Jack od drzwi.

Przestraszona, chwyciła wiszący na drążku ręcznik i narzuciła go na plecy. Podeszła tanecznym krokiem, ledwie – jak się zdawało Jackowi – dotykając stopami podłogi, i wytarłszy z potu smukłe palce, wyciągnęła

rękę na powitanie. Pochylona nad leżącą na drewnianym krześle kupką starannie złożonych ubrań, odpowiedziała:

– Widzę swoje błędy. Lustro odbija jedynie błędy.

– Czy nie jesteś dla siebie zbyt surowa?

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Kiedy miałam osiemnaście lat, chciałam być sławną tancerką, *yes?* Teraz mam dwadzieścia osiem i po prostu chcę tańczyć.

Czarnoksiężnik pozyskał TĘCZĘ przez Polaka, wolnego strzelca, który całkiem wygodnie urządził się w podziemnym świątku Berlina, żyjąc ze sprzedaży strzępków informacji oraz kontaktów z ludźmi mającymi dostęp do tajemnic lub tajnych dokumentów. Dżentelmen ów, oficjalnie pracownik zakładu pogrzebowego, nosił zawsze nienaganny czarny garnitur, a mocno już przerzedzone resztki bujnej niegdyś czupryny, przyklejone do wyłysiałej czaszki, smarował pomadą na porost włosów. W obawie przed prowokacją KGB Torriti – który wciąż jeszcze nie mógł przeboleć wpadki z Wiszniewskim – zalecił Jackowi czujność, po czym przekazał TĘCZĘ swojemu Uczniowi, przykazując, żeby przeleciał ją przy pierwszej okazji i nagrał wszystko, co będzie mu szeptała do ucha. Podekscytowany swoim pierwszym samodzielnym zadaniem, Jack umówił się na spotkanie.

Okazało się, że agentką o kryptonimie TĘCZA jest baletnica z Niemiec Wschodnich, która dwa razy w tygodniu przyjeżdża do zachodniej strefy Berlina, żeby udzielać lekcji tańca klasycznego w małym, drugorzędym teatrze. Na ich pierwszym spotkaniu Jack zaczął rozmowę po niemiecku, ale ona zaraz przeszła na angielski, bo chciała skorzystać z okazji i trochę podszlifować akcent. Wyznała też, że marzy o tym, żeby zobaczyć kiedyś Margot Fonteyn na scenie londyńskiego Royal Ballet. Przedstawiła się jako Lili i ostrzegła Jacka, że zerwie z nim wszelkie kontakty, jeśli będzie próbował iść za nią do wschodniej części miasta. Potem odwróciła się

plecami, wyjęła zza biustonosza małeńki skrawek jedwabiu, zapisany drobnym maczkiem, i podała go Jackowi. Ściskając w dłoni miękkie, delikatny materiał, czuł jeszcze na nim ciepło jej piersi. Chciał zapłacić za informację, ale odmówiła.

– Nie znoszę komunistów, *yes?* – oznajmiła, a jej podkrążone oczy wpatrywały się w niego bez drgnienia powiek. – Moja matka była hiszpańską komunistką. Zginęła w walce z faszystami generała Franco. Dlatego mi ufają. Ale ja nienawidzę sowieckich żołdaków za to, co mi zrobili, kiedy zajęli Berlin. Nienawidzę ich za to, co zrobili z moimi Niemcami. Żyjemy w kraju, gdzie telefony przyznawane są tylko tym, którzy zrobią wszystko, żeby przypodobać się nowej władzy; gdzie myślisz jedno, mówisz drugie, a robisz jeszcze co innego. Ktoś musi się temu przeciwstawić, *yes?*

Lili oświadczyła, że jest kurierem kogoś wysoko postawionego w partyjnej hierarchii. Mówiła o nim „Herr Professor”, ale nie chciała zdradzić, o kogo chodzi. Wróciwszy do bazy, Jack zlecił sfotografowanie i przetłumaczenie tekstu ze skrawka jedwabiu. Kiedy pokazał swoją „zdobycz” Czarnoksiężnikowi, Torriti otworzył szampana, żeby uczcić „założenie wtyczki” w samej jaskini wroga. „Herr Professor” otrzymał kryptonim SNAJPER. Za pośrednictwem Lili dostarczył im streszczenie protokołu z posiedzenia rządu, kopie niezakodowanych tekstów depech, jakie ostatnio wymienili między sobą ministrowie NRD i dowódcy miejscowych sowieckich garnizonów (już wcześniej udało się przechwycić zakodowaną wersję tych samych wiadomości, dzięki czemu Amerykanie mogli teraz złamać szyfr). TĘCZA przekazała też, niepełną co prawda, listę pracujących w Karlshorst oficerów KGB. Przez ostatnie pół roku Torriti prowadził agenta o kryptonimie MUZYK, zatrudnionego w radzieckim biurze spedycyjnym, zajmującym się przewozem towarów na trasie

Moskwa–Berlin. Posługując się rejestrem przewozów, MUZYK (przesłuchany osobiście przez Czarnoksiężnika w spelunie nad nocnym klubem przy Grunewaldstrasse w Schönebergu) wskazał prawdziwe nazwiska wielu spośród wysłanych do Karlshorst oficerów i pracowników KGB. Porównanie tych danych z listą dostarczoną przez Lili pozwoliło stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż „Herr Professor” był postacią autentyczną.

– Kim ona, u diabła, jest, chłopie? – dopytywał się Torriti, kiedy Jack wrócił z drugiego spotkania, przynosząc kolejny zapisany drobnym maczkiem skrawek jedwabiu. – A raczej kim jest ten jej cholerny profesorek?

– Ostrzegła mnie, że jeśli spróbuję się dowiedzieć, źródelko wyschnie – przypomniał Jack. – Z tego, co o nim mówi, wnioskuję, że to jakiś naukowiec. Kiedy zapytałem, co jej zdaniem komuniści spaprali w Niemczech Wschodnich, odpowiedziała, cytując profesora, który z kolei cytował Alberta Einsteina: że cechą charakterystyczną naszego stulecia jest perfekcja środków i pomieszanie celów... coś w tym stylu. Poza tym zawsze wyraża się o nim z wielkim szacunkiem, jakby był od niej dużo starszy. Może to jej wujek, a może nawet ojciec...? Kimkolwiek jest, siedzi na samej górze.

– Bardziej prawdopodobne, że to jej kochanek – mruknął Torriti. – Seks i szpiegostwo często idą w parze.

Wrzucił pustą butelkę po whisky do pełnego niedopałków drucianego kosza na śmieci i sięgnął do sejfu po następną. Nalał sobie kielicha, dodał naparstek wody, zamieszał palcem, oblizał go dokładnie i jednym haustem wychylił połowę drinka.

– W Rosji mówią: wykąp niedźwiedzia, ale nie mocz mu futra. Chcę, żebyś tak zrobił z TĘCZĄ.

Żeby wykąpać niedźwiedzia i nie zamoczyć futra, Jack musiał przeprowadzić żmudną operację obserwacyjną: śledzić TĘCZĘ do Berlina Wschodniego, dowiedzieć się, gdzie mieszka i kim jest naprawdę. Kiedy już to odkryją, rozszyfrowanie tożsamości SNAJPERA będzie jedynie kwestią czasu. Gdyby się okazało, że profesor jest wysokim rangą partyjnym dygnitarzem, mającym dostęp do tajnych informacji na temat NRD i Związku Radzieckiego, należałoby się zastanowić nad wykorzystaniem jego osoby w aktywnej infiltracji wschodnioniemieckich komunistów, chociażby nakłaniając go – pod groźbą zdemaskowania – do szerzenia fałszywych pogłosek w środowiskach podatnych na tego rodzaju manipulację lub pokierowania dyskusjami politycznymi w łonie partii w sposób korzystny dla interesów Zachodu. Jeśli istotnie był członkiem elity rządzącej w sowieckiej strefie, można by się nawet pokusić o umieszczenie SNAJPERA na czele rządu, oczywiście po uprzedniej kompromitacji lub eliminacji garstki dygnitarzy, stojących w hierarchii wyżej od niego.

Czarnoksiężnik dał Jackowi do pomocy obu Silwanów – Upadłego Anioła i Słodkiego Jezusa – oraz pół tuzina tajniaków. Za każdym razem, kiedy Jack spotykał się z TĘCZĄ, jeden z Silwanów czatował w tym samym miejscu, z którego Lili wyruszyła poprzednio w drogę powrotną do wschodniej części miasta. Każdy agent szedł za nią nie więcej niż sto metrów. Posługując się walkie-talkie, członkowie grupy obserwacyjnej, wmieszani w uliczny tłum, zmieniali się tak, aby wyprzedzić Lili, a potem przekazać ją następnemu obserwatorowi. Za każdym razem, kiedy Jack spotykał się z TĘCZĄ, wokół dziewczyny zacieśniał się pierścień agentów.

Pierwszego wieczoru po rozpoczęciu operacji – było to już trzecie *rendez-vous* Jacka z TĘCZĄ – Upadły Anioł widział, jak Lili kupowała nylony w luksusowym sklepie przy Kurfürstendamm, a potem śledził ją aż

do ruin Kaiser-Wilhelm Gedächtniskirche u wylotu głównej, sześciopasmowej arterii Berlina Zachodniego; Słodki Jezus, spacerując ze swoim pekińczykiem w kagańcu, nie spuszczał z niej wzroku, póki nie zniknęła w tłumie na placu Poczdamskim, gdzie zbiegały się cztery alianckie sektory. Stracili ją z oczu, gdy przekraczała granicę sektora wschodniego, usytuowaną pod olbrzymim neonem – podobnym do tego z Times Square – który wyświetlał wiadomości dla kontrolowanej przez komunistów połowy miasta.

Następnego wieczoru jeden z Silwanów przejął ją przed Handelorganization, wielkim państwowym domem towarowym po sowieckiej stronie placu, i przekazał drugiemu obserwatorowi w chwili, gdy mijala pokryty bliznami po kulach Reichstag i trawiasty kopiec nad podziemnym bunkrem, w którym Hitler i Eva Braun popełnili samobójstwo. Tam została wylegitymowana przez dwóch umundurowanych policjantów z komunistycznej Bereitschaftspolizisten. Rozglądając się czujnie dokoła, żeby się upewnić, że nie jest śledzona, skręciła w boczną uliczkę, zabudowaną trzypiętrowymi domami, niemal zupełnie zburzonymi przez bomby aliantów. Okna nielicznych ocalałych mieszkań zabite były deskami, a ze zrujnowanych ścian sterczały rury od piecyków – znak, że i tu mieszkają ludzie. Kiedy weszła na Unter den Linden, obserwator szepnął kilka słów do małego walkie-talkie i już po chwili inny agent podążył śladem dziewczyny. Zgubił ją wkrótce, bo rozdzielił ich oddział komunistycznych skautów z formacji Freie Deutsche Jugend, ubranych w niebieskie koszule, niebieskie chusty i krótkie spodenki – nawet zimą; z transparentem „Naprzód za Stalinem” maszerowali do wtóru werbli środkiem jezdni, niosąc portrety Stalina i wschodnioniemieckiego przywódcy Otto Grotewohla.

Tego wieczoru, kiedy Jack spotkał się z TĘCZĄ po raz szósty na ostatnim piętrze obscurnego teatru, Lili, wyjąwszy zza biustonosza jeszcze ciepły skrawek zapisanego jedwabiu, wzięła Jacka za rękę i powiedziała:

– Dotąd nie powiedziałaś mi, jak masz na imię, *yes?* – zauważyła.

– Nazywają mnie Jack – powiedział, przytrzymując jej dłoń w swojej.

– Jakie to amerykańskie... *Jackknife*, scyzoryk. *Jack-in-the-box*, pajacyk z pudełka. *Jack-of-all-trades*, chłopak do wszystkiego...

– To właśnie ja – roześmiał się Jack. – Chłopak do wszystkiego... i do niczego.

Nadal nie puszczał jej ręki. Spojrzała na ich splecione palce, uśmiechnęła się smutno i delikatnie wysunęła dłoń.

– Słuchaj – odezwał się pośpiesznie Jack. – Tak się składa, że mam dwa bilety do opery na jakiś balet Bartóka... *Cudowny mandaryn* czy coś w tym stylu. Tańczy Melissa Hayden. – Wyjął bilety z kieszeni płaszcza i wręczył jeden Lili. – Kurtyna idzie w górę jutro o szóstej. To w sektorze brytyjskim. Zaczynają wcześniej, żeby Niemcy z NRD mogli wrócić do siebie przed północą.

Pokręciła głową.

– Hej – powiedział – żadnych zobowiązań. Obejrzymy balet, postawię ci piwo w jakiejś knajpce, a potem znikniesz w tej swojej mysiej norce.

Kiedy nadal nie chciała wziąć biletu, wrzucił go jej do torby.

– Kusząca propozycja – przyznała. – Słyszałam, że taniec Melissy Hayden przeczy prawom grawitacji. Sama nie wiem...

Następnego wieczoru obserwatorzy, rozmieszczeni w strategicznych punktach wokół Uniwersytetu Humboldta u wylotu Unter den Linden, bez trudu namierzyli TĘCZĘ. Szła od strony Teatru Gorkiego.

Jack czekał przed wejściem do opery w tłumie elegancko, jak na te ciężkie czasy, ubranych berlińczyków. Nagle ktoś wcisnął mu w rękę karteczkę z wiadomością: „Prawie ją mamy. Jak się uda, skończymy dzisiaj”.

Kurtyna poszła w górę, a fotel obok Jacka wciąż był pusty. Raz po raz spoglądał na drzwi. Wreszcie w ciemności zamajaczyła jakaś niewyraźna postać. W chwilę później Lili, prześliczna w maleńkim filcowym kapelusiku i wytartym, opadającym na czubki pantofelków futrze, usiadła na wolnym miejscu. Zsunąwszy płaszcz z ramion, uśmiechnęła się i wyjęła staromodną lornetkę teatralną. Zachłannie wpatrywała się w tancerzy na scenie. Jej usta rozchyliły się lekko, a pierś falowała w niemym zachwycie. Kiedy primabalerina wynurzyła się po raz ostatni zza kurtyny, kłaniając się publiczności, Lili głośno klaskała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Jack poprowadził ją przez zatłoczone foyer do szerokich schodów. Zeszli na parter, do bufetu.

– Bardzo bym chciała *berliner weisse mit Schuss*: jasne piwo z sokiem malinowym – wyjaśniła. Wyjęła portmonetkę z kieszeni futra.

– Daj spokój – powiedział Jack i uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu uśmiechem i schowała portmonetkę z powrotem do kieszeni. Lekka jak piórko wsparła się na jego ramieniu. Poczuł ciepło jej ciała.

– Tam, na wschodzie, maliny są zimną droższe od złota – szepnęła.

Zanieśli kufle z piwem do pustego stolika. Siadając, Lili podciągnęła nieco suknię; Jack zdążył dostrzec szare bawełniane pończochy i smukłe kostki.

– Dziwi mnie, że ktoś taki jak ty jest miłośnikiem baletu – powiedziała, patrząc na niego z ukosa. – Może opowiesz mi coś o swoim życiu, yes?

Jack roześmiał się, ubawiony.

– Skoro nalegasz... – Trącił się z nią kuflem i upił trochę piwa. – Zacznę od początku. Wychowałem się w małym miasteczku w Pensylwanii. Na pewno nigdy o nim nie słyszałaś... Jonestown. Rodzice mieli domek z werandą przy końcu ulicy, za którą były już tylko pola kukurydzy. W dzieciństwie myślałem, że złociste łany ciągną się w nieskończoność, aż po krańce płaskiej, jak mi się wówczas wydawało, Ziemi. Czasami, przy sprzyjającym wietrze, można było usłyszeć dzwony klasztoru ukrytego za pagórkami wśród pól. Ojciec wybudował opodal małą szwalnię. Dorobił się niewielkiego majątku na produkcji bielizny dla wojska, ale nigdy nie zbił fortuny. Kiedy miałem czternaście lat, nauczyłem się prowadzić samochód. To był stary pierce arrow, rocznik trzydziesty siódmy. W stajni obok domu ojciec trzymał konie pod wierzch, a w szopie za stajnią – kury. Matka była organistką w katolickim kościółku w Lebanon, niedaleko Jonestown. Dwa razy do roku jeździliśmy na wakacje do Nowego Jorku. Zatrzymywaliśmy się w hotelu „Waldorf-Astoria” przy Park Avenue. Ojciec urywał się wtedy z kumplami ze szkolnych czasów i wracał w środku nocy, kompletnie pijany. Matka zabierała mnie ze sobą do opery na balet. Pamiętam *Syna marnotrawnego* i *Romea i Julię* Prokofiewa w Metropolitan Opera House.

– A jak zostałeś tym, kim jesteś? Jak...

Pociągnął kolejny łyk piwa.

– W Ameryce wielu jest takich, którzy rozumieją, że walka z komunizmem jest naszą wspólną sprawą i że toczy się na śmierć i życie. Wiedzą też, że tylko jedna strona wyjdzie z niej zwycięsko. Zostałem przez nich zaproszony, żeby stanąć w szranki. – Sięgnął przez stolik i wierzchem dłoni pogładził kołnierz jej futra. – Opowiedz mi o sobie, Lili. Jak masz naprawdę na imię?

Natychmiast zrobiła się czujna.

– Ojciec zawsze tak mnie nazywał, bo matka często puszczała na gramofonie piosenkę *Lili Marleen*. Poza tym... Cóż, niewiele mam do powiedzenia: przeżyłam nazistów, przeżyłam wasze bombardowania, przeżyłam radzieckich żołnierzy, którzy jak hordy barbarzyńców przetoczyli się przez całe Niemcy. – Wtuliła twarz w puszysty kołnierz. – A dzięki temu staremu, pocziwemu futerku z wiewiórek przeżyłam nawet zimę w czterdziestym siódmym.

– Kiedy zaczęłaś tańczyć?

– Tańczę od zawsze. Będąc dzieckiem, odkryłam, jak posłużyć się własnym ciałem, żeby uwolnić się od jego balastu. Odkryłam tajemne miejsca, gdzie nie istnieje grawitacja. Odkryłam sekretny język bez słów. Dorośli mówili mi, że zostanę baletnicą, ale było to na długo przedtem, zanim zrozumiałam, o czym mówili.

– Jezu Chryste! – wyrwało się Jackowi. – Ależ ty jesteś piękna...! Bardzo piękna... – powtórzył miękko.

Przymknęła ze znużeniem powieki. Siedziała tak przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– Nie jestem piękna.

I dodała z uśmiechem:

– Brzydka też nie...

Zebrawszy się na odwagę, Jack zapytał, czy mieszka sama.

– Dlaczego mnie wypytujesz? – odparła ze złością. – Już ci mówiłam. A teraz powtarzam: jeżeli spróbujesz dowiedzieć się, kim jestem albo kim jest profesor, nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Zapytałem, bo łudziłem się, że powiesz, że mieszkasz sama... A wtedy mógłbym mieć nadzieję, że w twoim życiu znajdzie się kiedyś miejsce i dla mnie.

– Moje życie bez reszty wypełnia pustka i nie ma w nim miejsca dla ciebie, Jacku do wszystkiego i do niczego. – Pociągnęła łyk piwa z sokiem, a jej usta zrobiły się czerwone od malin. – Skoro i tak żyjesz w świecie tajemnic, dodam ci jeszcze jedną: istnieją chwile, których nie oddałabym za nic na świecie... gdy budzę się z narkotycznego snu i nie pamiętam, gdzie jestem i kim jestem. Odpływam na tych kilka cudownych chwil w pozbawioną grawitacji próżnię i tańczę tak, jak nigdy bym nie potrafiła na jawie, spętana przyziemną rzeczywistością. Tańczę p r a w i e tak, jak dziś wieczorem Melissa Hayden.

Wracając do domu TĘCZĘ Upadły Anioł przejął u wylotu uliczki na tyłach Teatru Gorkiego. Na miejscu zburzonych domów zalegały zwały gruzu, na których dzieci bawiły się w króla gór. Dziesiątki zdziczałych kotów wałęsały się z przeraźliwym miauczeniem po zdewastowanych przez bomby budynkach, tropiąc wychudzone myszy. Tylko jedna kamienica ocalała z wojennej zawieruchy. Stała nieco w głębi, na niewielkim skwerku, zupełnie ogołocnym z drzew, które co do jednego wycięto na opał. Olbrzymie stalowe dźwigary podpierały boczne ściany, niegdyś połączone z sąsiednimi budynkami. Upadły Anioł, ukryty w cieniu opuszczonego kiosku, zobaczył, że Lili wyjęła z torebki klucz, rozejrzała się wokół, a potem, upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, otworzyła ciężkie frontowe drzwi i weszła do sieni.

W całym domu panowały zupełne ciemności, tylko w jednym oknie, w wykuszu na piętrze, paliła się lampa. Upadły Anioł wyciągnął małą, podręczną lunetę i wycelował ją prosto w jasno oświetlony prostokąt. Dostrzegł starszego mężczyznę, który lewą ręką uchylił firankę i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Miał śnieżnobiałe włosy, koszulę ze staromodnym, sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem, krawat i marynarkę

z zaokrąglonymi kłapami. Usłyszał zapewne skrzypienie otwieranych za plecami drzwi, bo odwrócił się od okna i szeroko otworzył ramiona.

Przez zwiewną firankę Upadły Anioł zobaczył wchodzącą do pokoju Lili.

Nazajutrz po południu Jack wpadł jak burza do biura Czarnoksiężnika.

– ...miałeś rację z tym SNAJPEREM... naukowiec... dużo starszy od TĘCZY! – wrzeszczał w podnieceniu, usiłując przekrzyczeć Carusa, ryczącego na cały regulator, wśród potępieńczych zgrzytów i trzasków zdartej płyty, arię z *Poławiaczy pereł* Bizeta.

– Opanuj się, chłopie. Nie rozumiem ani słowa.

Jack złapał oddech.

– Poszedłem za twoją namową i zasięgnąłem rady u naszego przyjaciela z Mosadu. Rabbi przewertował kilka grubych ksiąg i znalazł dwa nazwiska pasujące do tego adresu. Prawdziwe imię i nazwisko TĘCZY brzmi: Helga Agnes Mittag de la Fuente. Mittag to jej ojciec, Niemiec; de la Fuente to jej matka, Hiszpanka. Rabbi potwierdził również i to, że w czasie hiszpańskiej wojny domowej dziennikarka Agnes de la Fuente została skazana za szpiegostwo na rzecz republikanów i postawiona przed plutonem egzekucyjnym.

– A SNAJPER?

– Profesor Ernst Ludwig Löffler. Wykłada fizykę teoretyczną na Uniwersytecie Humboldta. Przed wojną, kiedy uczelnia ta znana była jeszcze jako Uniwersytet Berliński, przyjaźnił się z Maxem Planckiem i Albertem Einsteinem.

Torriti poprawił się na krześle i zamieszał palcem whisky z wodą.

– Pieprzony fizyk teoretyczny! Poczekaj, aż As to zwietrzy!

– To tylko lukier na cieście, Harvey. Jest jeszcze coś. Zaraz po wojnie Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności Grotewohla, dla zamydlenia oczu, wpuściła do Frontu Narodowego kilka mniejszych partii. Musieli zachować pozory demokracji. Jednym z tych ugrupowań była Liberalna Partia Demokratyczna. SNAJPER jest jej wiceprzewodniczącym. I zastępcą premiera Niemieckiej Republiki Demokratycznej!

– Eureka! – wykrzyknął Torriti. – Wyświadczyć mi przysługę, chłopie. Załóż u SNAJPERA pluskwę w ścianie.

– Czemu chcesz zakładać u niego podsłuch? Przekazuje ci wszystko, co przechodzi przez jego ręce.

– Motywacja, chłopie. Chcę wiedzieć, d l a c z e g o to robi.

– Pluskwę...

– Aha.

BERLIN, WTOREK, 6 MARCA 1951

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy Czarnoksiężnik wsypał do whisky trochę sody, którą przyniosła mu jego Nocna Mara z całodobowej apteki. Zamieszał płyn małym palcem, aż białawy proszek rozpuścił się zupełnie.

– Do dna, panie Torriti! – zachęcała panna Sipp. – Nie otruje się pan. Niech pan sobie pomyśli, że to strzemienny.

Harvey Torriti zatkał nos i duszkiem wychylił miksturę. Otrząsnął się i otarł usta rękawem koszuli. Skurcze żołądka, zaparcia, utrata apetytu, dotkliwe klucie w splocie słonecznym, nieustający kac, dręczący go we dnie i w nocy, chociaż wypijał teraz zaledwie półtorej butelki na dobę, tyle co nic – oto co trapiło Czarnoksiężnika, odkąd schrzanił ewakuację Wiszniewskiego. Bimber był bez smaku, dym z papierosa palił w gardło. Co noc, przed snem, który często wcale nie nadchodził, Torriti, zlany potem, godzinami przewracał się z boku na bok i daremnie usiłował pozbyć się natrętnej wizji pistoletu ciężkiego kalibru, plującego ołowiem prosto w tłusty kark. Niski, przysadzisty Rosjanin o krągłej jak naleśnik słowiańskiej twarzy i czujnych oczach aparatczyka, okaleczony psychicznie weteran czterech brutalnych zim, które zawiodły Armię Czerwoną z Moskwy do Berlina, zawierzył swoje życie spoconym rękami Czarnoksiężnika. I życie swojej żony. I swojego syna. To on, Torriti, przygotował jego zdradę i nawalił. Po całych dniach zadreślał się, rozmyślając, kto i gdzie popełnił błąd. Przewertował akta wszystkich, którzy mieli jakikolwiek, choćby najbardziej odległy związek z fatalną

operacją: Jacka McAuliffe'a, Słodkiego Jezusa, Upadłego Anioła, panny Sipp, szyfranta kodującego depesze do i od Angletona.

Jeśli Wiszniewski zginął z powodu przecieku, to na pewno nie był to przeciek z Berlina.

Czarnoksiężnik wysłał oszczędną w słowach, dyskretną wiadomość do Matki, sugerując, żeby ten uważnie prześledził swoją stronę operacji. Następnego ranka znalazł na biurku cierpką odpowiedź Angletona, który w dwóch zgryźliwych akapitach informował, że: 1) wcale nie jest oczywiste, czy ewakuacja się nie udała z powodu przecieku – Wiszniewski mógł zostać zadenuncjowany przez żonę, syna albo przyjaciela, którego dopuścił do tajemnicy; mógł się też zdradzić sam jakimś podejrzanym gestem lub nieostrożnym słowem; 2) jeśli nawet był jakiś przeciek, to raczej w Berlinie, bo jego podwórko jest czyste. Koniec kropka. Bez dyskusji.

Czytaj: odpieprz się!

Kilka dni po tym fiasku Czarnoksiężnik – wtoczywszy się do biura po kolejnej nieprzespanej nocy – natknął się na niezbity dowód, że jednak ktoś zdradził Wiszniewskiego. Torriti przeszukał ponownie jedno ze swoich najcenniejszych „trofeów”: najnowszy mikrofon rozmiaru pluskwy, umieszczony w ścianie komory łączności w Karlshorst. KGB komunikował się z Moskwą za pomocą szyfrów, których – biorąc pod uwagę ograniczoną ilość kluczy oraz fakt, iż bloczków używano tylko jeden raz, po czym niezwłocznie je niszczone – nie sposób było złamać. Bardzo rzadko, aby przyspieszyć proces, szyfrowaniem zajmowało się dwóch oficerów łączności – jeden czytał na głos tekst, a drugi kodował. Tej nocy, gdy ewakuacja Wiszniewskiego spaliła na panewce, dwóch funkcjonariuszy KGB zaszyfrowało depeszę najwyższego stopnia pilności – NATYCHMIAST – do centrali w Moskwie. Wiadomość ta została

przechwycona przez miniaturowy mikrofon Czarnoksiężnika. Tłumaczenie z rosyjskiego brzmiało: „Wasza NATYCHMIAST zero zero jeden z 2 stycznia 1951 Stop Wczesne ostrzeżenie z centrali udaremniło zdradę podpułkownika Wołkowa-Wiszniewskiego Stop Gratulacje Stop Wołkow-Wiszniewski jego żona i syn dostarczeni do Eberswalde na pokład wojskowego samolotu Stop Przewidywany czas przylotu do Moskwy zero sześć czterdzieści pięć”.

Nawiązanie do „wczesnego ostrzeżenia” w depeszy gratulacyjnej, przesłanej z Karlshorst do Moskwy, potwierdziło przypuszczenia, iż KGB wiedział o planowanej ewakuacji. Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów brzmiało: od kogo?

Czarnoksiężnika prześladowały wciąż słowa Wiszniewskiego: „Mogę ujawnić tożsamość radzieckiego agenta w brytyjskich służbach wywiadowczych. To ktoś na samym szczycie MI6...”

Torriti sprawdził, kto miał okazję przechwycić szyfrogramy Matki wysyłane do Berlina z Waszyngtonu, ale nie znalazł żadnych dowodów na to, że ktoś z MI6 – ściślej biorąc, jakikolwiek Angol – został dopuszczony do tajemnicy. Było rzeczą niepojętą, że Rosjanie złamali polifoniczny szyfr Angletona, praktycznie nie do rozgryzienia. Czy to możliwe... Czyżby sowiecki agent w MI6 dostał jakimiś kanałami cynk o zdradzie i zwęszył, co się święci?

Rozwiązanie tej zagadki – i pomszczenie Rosjanina, który zawierzył Torritiemu swoje życie i je stracił – stało się obsesją Czarnoksiężnika. Jego umysł pracował bez wytchnienia, ale obolałe ciało nie wytrzymało tempa. Zacisnąwszy zęby, Torriti przystąpił do mozolnej analizy nieudanej operacji, badając z uwagą każdy szczegół.

Zaczął od działającego w Niemczech agenta Mosadu, który wyczuł „wibracje” (jak w skrócie określał potencjalną zdradę) w Berlinie

Wschodnim i natychmiast zawiadomił Angletona, który jako szef kontrwywiadu prowadził też w Firmie sprawy Izraela. Rabbi, przezwany tak z powodu długich, sterczących jak druty pejsów i rozwichrzonej brody, przekroczył niedawno czterdziestkę i nosił grube okulary, za którymi wyłupiaste oczy wydawały się znacznie większe i znacznie bardziej wytrzeszczone, co nadawało twarzy groteskowy wygląd. Ubierał się zawsze tak samo, w strój, który koledzy po fachu uznali za mundur Mosadu: obszerny czarny garnitur z rytualnym *cicit* zwisającym spod marynarki, biała koszula bez krawata, zapięta aż po majestatyczne jabłko Adama, czarny pilśniowy kapelusz (także w domu, bo obawiał się przeciągów) i sportowe buty do koszykówki.

– Widzisz przed sobą niezwykle przygnębionego człowieka – zwierzył się Rabbi Torritiemu, gdy ten złożył zwaliste cielsko na jednym z rozklekotanych drewnianych krzesel, stojących pod ścianą zatęchłego przybytku Ezry Ben Ezry we francuskiej strefie Berlina.

– Spróbuj sody – poradził Czarnoksiężnik. Wiedział z doświadczenia, że zanim przejdą do konkretów, trzeba będzie odbyć uprzejmą pogawędkę o duperelach.

– Moja niedyspozycja jest natury psychicznej, nie fizycznej. Chodzi o proces Rosenbergow, który rozpoczął się dziś rano w Nowym Jorku. Gdyby sędzia był gojem, dostaliby dwadzieścia lat, a po dziesięciu by ich wypuścili. Zapamiętaj sobie dobrze moje słowa, Harveyu, zapamiętaj, że usłyszałeś to ode mnie: nieszczęśni, zbłąkani bohaterowie Julius i Ethel zostaną skazani na krzesło elektryczne, bo sędzia federalny jest Żydem, który nienawidzi Żydów, a nazywa się Kaufman.

– Ukradli plany bomby atomowej.

– Przekazali Rosjanom jakieś ogólne szkice...

– Są ludzie, którzy uważają, że Koreańczycy z Północy nigdy by nie zaatakowali tych z Południa, gdyby Rosjanie nie stali za nimi z atomówką.

– *Genug szojn*, Harveyu! Dość tego! Korea Północna napadła na Południową, bo stało za nią sześćset milionów Chińczyków, a nie zmajstrowana naprędce radziecka atomówka, która mogłaby eksplodować jeszcze w samolocie podczas kołowania.

Rabbi przerwał, bo w drzwiach ukazał się młody mężczyzna z ogolonymi brwiami, niosący na tacy dymiące kubki ziołowego naparu. Bez słowa postawił tacę na zaśmieconym biurku Rabbiego i zniknął bezszelestnie, tak jak się pojawił.

Torriti skinął za nim głową.

– Nowy?

– Hamlet. I wierz mi lub nie, ale to jego prawdziwe imię. Z pochodzenia jest Gruzinem, a z powołania moim szabasowym gojem. Są rzeczy, których nie wolno mi robić w święto, i ze względu na moje stanowisko, tajnego co prawda, przedstawiciela Państwa Izrael, muszę tego przestrzegać, więc w soboty to Hamlet włącza światło, odbiera telefony i zabija dla mnie ludzi.

Czarnoksiężnik podejrzewał, że Rabbi mówi prawdę, chociaż stara się to obrócić w żart.

– Nie wiedziałem, Ezro, że jesteś taki pobożny.

– Żyję według podręcznika Mosadu: oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, stopa za stopę, spalenie za spalenie, rana za ranę, siniak za siniak.

– Ale czy naprawdę wierzysz w Boga? Wierzysz w życie po śmierci i tym podobne brednie?

– Oczywiście, że nie.

– Skoro tak, to powiedz, co dla ciebie znaczy być Żydem?

– To znaczy, że gdyby zdarzyło mi się o tym zapomnieć, świat będzie mi o tym przypominał co jakieś dziesięć, dwadzieścia lat, tak jak teraz przypomina Rosenbergom. Poczytaj sobie „New York Timesa” i płacz: dwoje durnych, ale ideowych szlepsów przekazuje jakieś szkice Rosjanom i nagle, Harveyu, nagle tematem numer jeden rozmów na całym świecie staje się międzynarodowy spisek żydowski. Owszem, spisek taki istnieje i Bogu niech będą dzięki! Jego celem jest ocalenie Żydów przed Stalinem... Najchętniej wszystkich zesłałby na Sybir. Oczywiście tych, których jeszcze nie zdążył wymordować. Chce tam utworzyć państwo żydowskie. Żydowskie państwo w tundrze na Syberii! Ale my już mamy żydowskie państwo w krainie, którą Bóg obiecał Abrahamowi. To państwo nazywa się Izrael. – Tu Rabbi zakończył niespodziewanie: – Czemu zawdzięczam twoją uprzejmą wizytę, Harveyu?

– To ty zwietrzyłeś zdradę Wiszniewskiego i zawiadomiłeś Angletona, tak?

– „*Datta. Dayadhvam. Damyata*. Te fragmenty niech moje podeprą ruiny”^[16]... Cytuję z ewangelii według wielkiego poety i małego antysemitę, Thomasa Stearnsa Eliota. Mam u was flaszkę.

– Ewakuację szlag trafił, Ezro. Był przeciek.

Rabbi cmoknął z powątpiewaniem.

– Tak myślisz?

– Ja nie myślę, ja wiem. Czy przypadkiem któryś z twoich szabasowych gojów nie dorabia na boku u konkurencji?

– Każdy z nich przeszedł próbę ognia, Harveyu. Hamlet nie ma palców u prawej dłoni. Obcięli mu je obcęgami w KGB, kiedy odmówił podania nazwisk kilku gruzińskich opozycjonistów, przeciwników Stalina. Skoro mówię, że mój kordon jest szczelny, to znaczy, że jest. Prowadzę mały, ale

wydajny biznes. Sprzedaję i kupuję informacje, mam na oku nazistowskich inżynierów, którzy jeżdżą do Egiptu lub Syrii uczyć Arabów produkcji rakiet, podrabiam paszporty i przemycam je za żelazną kurtynę, przerzucam Żydów do Izraela. Zareczam ci, że jeśli Wiszniewski nie zdradził się sam, jeśli nie zająknął się, kiedy prosił o pozwolenie na nocną przejażdżkę z rodziną po mieście, to przeciek musiał nastąpić gdzieś między Matką a tobą.

– Wszystko dokładnie przejrzałem, Ezro. I nigdzie nie znalazłem słabego ogniwa.

Rabbi wzruszył swoimi kościstymi ramionami.

Czarnoksiężnik sięgnął po ziołową herbatę, pociągnął łyk, skrzywił się i odstawił kubek na stół.

– Wtedy wieczorem Wiszniewski powiedział mi, że w MI6 jest kret.

Rabbi ożywił się.

– W MI6! To prawdziwe trzęsienie ziemi!

– Nie rozumiem... Angole nie byli wprowadzeni w sprawę Wiszniewskiego. Niezły pasztet! I to ja muszę się z tym męczyć. Poza Berlinem działa osiemdziesiąt agencji wywiadowczych, razem z rozgałęzioną siatką rozmaitych filii i przybudówek. Gdzie mam pociągnąć za włóczkę, Ezro, żeby sweter zaczął się pruć? Zastanawiam się, czy nie poprosić Francuzów, żeby dali mi listę zdemaskowanych operacji SDECE z ostatnich dwóch lat...

Rabbi podniósł dłonie i przez chwilę z uwagą przyglądał się swoim starannie wypielęgnowanym paznokciom.

– Zapomnij o Berlinie – powiedział wreszcie. – Zapomnij o Francuzach. Tak się przejęli swoją wojenną klęską, że nie kłaniają się zwycięzcom.

Z wewnętrznej kieszonki marynarki Ben Ezra wyjął ołówek (numer dwa), a z bocznej metalową temperówkę. Dokładnie zatemperował ołówek i zapisał numer telefonu w notesie, który leżał otwarty na biurku. Wyrwał kartkę, złożył i podał Torritiemu. Potem oderwał następną stronę i wrzucił ją do torby z papierami do spalania.

– Na twoim miejscu rozejrzałbym się w Londynie. Od tego bym zaczął – powiedział. – Skontaktuj się z Elihu Epsteinem. To chodząca encyklopedia. Niewykluczone, że Elihu pomoże ci znaleźć odpowiedź na twoje pytania, jak mawiają nasi angielscy przyjaciele.

– Jak mu odświeżyć pamięć?

– Pociągniesz go za język, jeżeli powiesz coś, czego nie powinienś wiedzieć. Potem poproś, żeby ci opowiedział o sowieckim generale nazwiskiem Krywicki. I pilnuj, żeby cały czas mówił. Jeśli ktoś wie, gdzie leży pies pogrzebany, tym kimś jest z pewnością Elihu.

Rozkoszując się nadmetrażem brytyjskiej budki telefonicznej, Czarnoksiężnik wcisnął parę monet do otworu i wykręcił numer, który dostał od Rabbiego.

Po drugiej stronie słuchawki odezwał się opryskliwy głos.

– Co tam znowu?

Torriti nacisnął guzik mikrofonu.

– Z panem Epsteinem...

– A kto mówi?

– Łabędź.

Ociekający szyderstwem głos odpowiedział:

– Proszę chwilkę poczekać, panie Łabędź.

Na linii coś zaszumiało, zatrzeszczało i zaraz potem w słuchawce zabrzmiał niepowtarzalny, przypominający końskie rzenie głos starego przyjaciela Torritiego z czasów OSS.

– Harveyu, drogi chłopcze! Pocztą pantoflową doszły mnie słuchy, że uprawiasz firmowy ogródek w Krautville. Co cię sprowadza na moje brytyjskie zadupie?

– Musimy pogadać.

– Naprawdę? Gdzie? Kiedy?

– Kite Hill, amfiteatr przy Hampstead Heath. Są tam ławki ustawione w stronę centrum miasta. Będę siedział na jednej z nich, podziwiając londyński smog. Pasuje ci w południe?

– W południe? Świetnie. Już się cieszę.

U podnóża pagórka wysoki mężczyzna w garniturze w prążki rozwijał linkę przyczepioną do latawca w kształcie chińskiego smoka, który to pikował, to stawał dęba, to znów, unoszony wiatrem, wzbijał się w niebo i szybował, zgrabnie wykonując powietrzne akrobacje. Obok przystanąła skośnooka kobieta. Oparta ręką o ławkę, moczyła but w kałuży, żeby usunąć z podeszwy psią kupę. Gdzieś w kościele na Highgate dzwon wybił dwunastą. Niski, przygarbiony mężczyzna z poczerniałymi od próchnicy zębami wspiął się po zboczu i z trudem łapiąc oddech, usiadł obok Czarnoksiężnika.

– Zapewne czeka pan na kogoś? – spytał, zdejmując melonik i kładąc go obok siebie na ławce.

– W rzeczy samej – odparł Czarnoksiężnik. – Kopę lat, Elihu.

– Dowcip stulecia, Harv. Cieszę się, że jesteś w dobrej formie.

Podczas wojny Elihu Epstein i Harvey Torriti przez kilka miesięcy byli zakwaterowani w tym samym domu w Palermo na Sycylii. Elihu był oficerem w Commando 3, elitarnej formacji brytyjskiej, która zajęła dawną niemiecką bazę łodzi podwodnych w Zatoce Augusty, żeby zorganizować tam punkt przerzutowy dla oddziałów szykujących się do desantu na Półwysep Apeniński. Czarnoksiężnik, który działał wtedy pod kryptonimem ŁABĘDŹ, kierował operacją OSS, mającą na celu przeciągnięcie bossów wyspiarskiej mafii na stronę aliantów. Wykorzystując swoje prywatne kontakty z mafiosami, dostarczył Elihu dane na temat niemieckich jednostek w miastach położonych wzdłuż wybrzeża. Elihu, wdzięczny za ocalenie swoich ludzi z Commando 3, nigdy nie zapomniał o tej przysłudze.

– Co cię sprowadza do Londynu? – zapytał Czarnoksiężnika.

– Zimna wojna.

Elihu zarżał cichym śmiechem, wydając nosowe dźwięki podobne do meczenia kozy, co było skutkiem wiecznie zatkanym zatok.

– Muszę przyznać rację waszemu generałowi W. Tecumsehowi Shermanowi, który powiedział, że wojna to piekło. Sława i chwała! Co za brednie!

Elihu, który był zastępcą Rogera Hollisa, szefa sekcji MI5, zajmującej się sowieckim szpiegostwem w Anglii, zmierzył kumpla wzrokiem.

– Jesteś trochę za gruby, ale trzymasz formę, co?

– Nie narzekam. A ty?

– Dopadła mnie choroba klas wyższych, stary capie. Mam problemy z konowalem mieniącym się dentystą państwowej służby zdrowia. Uważa, że próchnica zębów to objaw moralnej degeneracji, i radzi mi wyciąć serce. Oby miał rację, Harveyu! Zawsze chciałem sprawdzić, jak to jest być

moralnym degeneratem. Na domiar złego dzwoni mi w lewym uchu i nie chce przestać, chyba że sam buczę jeszcze głośniej. Mam to od czasu wojny, odkąd olbrzymia mina wybuchła nieprzyjemnie blisko mnie.

– Jakież kłopoty?

– Niestety... Tu chodzi o moją emeryturę, Harv. Nie mam nic przeciwko temu, żeby wyrwać się od czasu do czasu z tego domu wariatów i umówić z tobą na pogawędkę, ale nie chcę, żeby mi to kiedyś wygarnęli prosto w twarz. Kapujesz, w czym rzecz? Jest takie stare żydowskie porzekadło: *Me ken nit tancen auf cwaj szasenes mit ajn mol*. Nie można tańczyć na dwóch weselach naraz. Urzędasy z ubezpieczeń społecznych biorą ten nakaz bardzo serio. Wychył się tylko, a zanim się obejrzyysz, już cię wyślą na zieloną trawkę bez złamanego funta przy duszy i nie skubniesz ani ździebełka. Jeżeli uda mi się trzymać z dala od kłopotów, to za dwadzieścia dziewięć miesięcy będę mógł spokojnie oddalić się na pastwisko.

– Gdzie zamierzasz osiąść na emeryturze? Co będziesz robił?

– Odpowiadam na pierwsze pytanie: miałem szczęście i udało mi się kupić domek odźwiernego w pewnej posiadłości w Hampshire. To niewiele, ale w końcu każdy dom jest czymś wymarzonym domkiem. Pogrążę się w gnuśnej nudzie wiejskiego życia i miejscowych ploteczek. Okoliczne kmiotki będą na mój widok uchylać kapelusza i nazywać mnie dziedzicem. Ja będę robił niejasne aluzje do mojej pracy w tajnych służbach, a oni pomyślą, że chcę, aby myśleli, że pracowałem w wywiadzie, i o to chodzi... Oni dojdą do wniosku, że nigdy nie byłem szpiegiem, a ja będę miał święty spokój. Odpowiadam na drugie pytanie: w miejscowym klubie myśliwskim kupiłem sobie dwururkę. W pogodne dni będę się włóczył po polach i strzelał do wszystkiego, co lata. Jak mi dopisze szczęście, od czasu do czasu może uda się coś ustrzelić. W przerwach będę polował na dziewczuchy po opłotkach. Jestem utajonym heteroseksualistą, Harv. Będę służył sobie,

nie Koronie, i używał życia. Przy odrobinie farta dowiodę, że mój dentysta ma rację.

Chuderlawy nastolatek rzucił patyk w dół zbocza i zawołał:

– Aport, Mozart!

Śliniący się owczarek leniwie zwrócił otepiałe oczy na swego młodego pana, który sam pobiegł po kijek, żeby spróbować jeszcze raz.

– Stare psy długo się uczą nowych sztuczek – zauważył Czarnoksiężnik.

– Trafiłeś w sedno – przyznał gderliwie Elihu.

Torriti odczuwał silną potrzebę południowej działki alkoholu. Podrapał się w nos i chwycił byka za rogi.

– Mam pewne podstawy, by twierdzić, że w MI6 macie sowieckiego kreta.

– W MI6? Dobry Boże!

Czarnoksiężnik, nie wdając się w szczegóły operacji, wprowadził przyjaciela w sprawę nieudanej zdrady: pewien podpułkownik KGB w Berlinie chciał przejść na drugą stronę; żeby dowieść swojej dobrej woli i przekonać do siebie Amerykanów, powiedział, że może dostarczyć dane, które doprowadzą ich do kreta w MI6; w noc ewakuacji widziano, jak skrepowanego na noszach Rosjanina załadowano do sowieckiego samolotu. Nie, z niczym się nie wygadał. Za to Torriti dostał cynk, że Rosjanin został zdradzony.

– Przykro mi, stary, sam rozumiesz, że nie mogę powiedzieć nic więcej – zakończył swą opowieść Czarnoksiężnik.

W dziedzinie zbiegów i zdrady Epstein był ekspertem. Zadawał celne, krótkie pytania, a Torriti starał się je tak przekręcić, żeby wyszło na to, że Elihu sam sobie na nie odpowiada: nie, Angole zostali celowo skreśleni z listy odbiorców szyfrogramów dotyczących ewakuacji; nie, nawet Angole

z Berlina, którzy starali się wyczuć, co w trawie piszczycy, nie mogli na nic trafić; nie, nic tam nie śmierdziało prowokacją KGB, mającą na celu zasianie niezgody pomiędzy Amerykanami a Brytyjczykami.

– Zakładając, że twój kumpel Rosjanin został zdradzony – odezwał się zamyślony Elihu – skąd możesz mieć absolutną pewność, że czarny charakter tego dramatu nie działa po amerykańskiej stronie?

– Firma patrzy na ręce swoim ludziom, Elihu. Wy, Angole, jedynie pilnujecie, żeby nosili odpowiednie krawaty.

– Twój wykrywacz kłamstw jest równie dokładny jak chiński test ryżowy. Pamiętasz? Gdy mandaryni uważali, że ktoś plecie koszałki-opałki, zapychali mu usta ryżem. Jeśli ryż pozostał suchy, znaczyło to, że gnojek łągał. Chryste, ty naprawdę myślisz, że to ktoś z nas. Achilles wyznał kiedyś, że czuje się jak orzeł, ugodzony strzałą zrobioną z jego własnych piór. – Elihu zaczerwienił się i dodał tonem usprawiedliwienia: – W Oksfordzie, kiedy byłem jeszcze prawiczkim, czytywałem do poduszki antycznych poetów. To dlatego zwerbowali mnie do MI5...

– Dlatego, że byłeś prawiczkim?

– Dlatego, że znałem grekę.

– Nie chwytam.

– Nie widzisz tego, Harv? Boss, który wtedy kierował MI5, były student Oksfordu, uważał, że jak ktoś jest w stanie skapować cokolwiek z martwego języka, to na pewno da sobie radę z każdym wrogiem Windsoru. – Elihu z rozpaczą potrząsnął głową. – Angol? Cholera! Moglibyśmy jeszcze jakoś z tego wybrnąć, gdyby kret był jankesem. Jeżeli masz rację... Aż boję się pomyśleć o konsekwencjach... Angol? To grozi rozłamem. Pomiędzy CIA i MI6 otworzy się przepaść...

– Uwaga! Głębokie wykopy! – mruknął Torriti.

– Faktycznie, trzeba uważać. Jeden nieostrożny ruch i... wpadniemy po szyję. Wasz niezwykle bystry mister Angleton zbojkotuje nas całkowicie. Nie będzie odbierał naszych telefonów.

– Jest jeszcze jeden powód, który skłania mnie do wniosku, że ciekący kran znajduje się po brytyjskiej stronie.

– Czułem, że chowasz coś w zanadru – mruknął pod nosem Elihu. – Pytanie, czy ja chcę to usłyszeć?

Czarnoksiężnik przysunął się do Anglika tak blisko, że ich ramiona się zetknęły. „Pociągniesz go za język, jeżeli powiesz coś, czego nie powinienes wiedzieć” – poradził mu Rabbi.

– Posłuchaj, Elihu. Technicy z MI5 dokonali rzeczy niezwyklej. Wiesz chyba, że wszystkie radiodbiorniki mają wbudowane oscylatory, dzięki którym łatwiej jest przefiltrować sygnał, do jakiego są dostrojone. Wasi ludzie odkryli, że oscylatory te wytwarzają fale dźwiękowe, wykrywalne na odległość dwustu jardów; macie nawet sprzęt, pozwalający odczytać częstotliwość, do jakiej dostrojony jest odbiornik. A to oznacza, że można wysłać furgonetkę z pralni na objazd po okolicy, namierzając jednocześnie odbiornik s o w i e c k i e g o agenta, dostrojony do jednej z częstotliwości nadawczych moskiewskiej centrali.

Elihu zbladł.

– To jedna z naszych najpilniej strzeżonych tajemnic. – Wziął głęboki oddech. – Nigdy tego nie zdradziliśmy Amerykanom. Skąd, do diabła, się o tym dowiedziałeś?

– Wiem, bo Rosjanie wiedzą. Wyświadcz mi przysługę i wyłącz taśmę, Elihu.

Elihu zawahał się, potem sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął paczkę pall malli. Otworzył ją i nacisnął jeden z papierosów. Torriti usłyszał wyraźne

kliknięcie.

– Boję się, że kiedyś tego pożałuję – westchnął Anglik.

– Sowieci mają podziemny kabel telefoniczny, łączący centralę w Moskwie z bazą KGB w Karlshorst w Berlinie Wschodnim – powiedział Czarnoksiężnik. – KGB używa tego W-Cz kabla, nazwanego tak od rosyjskiego skrótu od *wysokaja czastota*, „wysoka częstotliwość”. Ich technicy wymyślili niezawodne urządzenie zabezpieczające: druty wewnątrz izolacji wypełnili sprężonym powietrzem. Każda pluskwa w drucie powoduje, że powietrze uchodzi z kabla, a natężenie prądu zaczyna opadać. Spadek jest na tyle duży, że można go wykryć za pomocą zwykłego licznika. W ten sposób Rosjanie dostaną cynk o pluskwie. Nasi ludzie potrafią założyć podsłuch tak, żeby powietrze się nie ulatniało.

– Odczytujecie sowieckie transmisje do Karlshorst i z powrotem!

– Odczytujemy wszystkie informacje. Rozszyfrowujemy je po kawałku. Dowiadujemy się ciekawych rzeczy. Między innymi, że centrala ostrzegła Karlshorst, że ich agenci w Niemczech Zachodnich mogą zostać zlokalizowani przez nowe brytyjskie urządzenie, które namierza oscylatory przechwytyjące sygnały z Karlshorst.

– W głowie mi się kręci, Harv. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą...

– ...to Rosjanie mają kreta wewnątrz brytyjskiego wywiadu – dokończył za niego Torriti. – Potrzebuję twojej pomocy, Elihu.

– Nie bardzo wiem, co właściwie mógłbym...

– Czy nazwisko Walter Krywicki coś ci mówi?

Elihu zmarszczył brwi.

– I to dość dużo. Krywicki to czerwonoarmista z holenderskiej rezydentury. Kierował sowieckim wywiadem wojskowym w Europie Zachodniej. Ewakuowany do Stanów w trzydziestym szóstym albo

w trzydziestym siódmym, nie pamiętam... Parę lat później popełnił samobójstwo. Zwabiliście go za ocean na te wasze szybkie samochody, szybkie kobiety i szybkie żarcie. Ale jeszcze przedtem próbowaliście wcisnąć go nam. To nie moje czasy, ale znam całą historię, bo czytałem raporty. Krywicki uraczył nas podniecającą historyjką o młodym angielskim dziennikarzu. Kryptonim PARSIFAL. Został zwerbowany przez swoją ówczesną żonę, wojującą komunistkę. Wysłali go potem na wojnę do Hiszpanii. Jego przewodnikiem był Dziadek, legenda sowieckiego wywiadu. Nawet dziś nie znamy jego tożsamości.

– Nie dało się wyszperać nic więcej?

– Raczej niewiele. Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Przynajmniej czterdziestu młodych Anglików z Fleet Street pisywało swego czasu o wojnie domowej w Hiszpanii.

– Czy twoi poprzednicy podzielili się rewelacjami Krywickiego z Amerykanami?

– Na pewno nie. Były przymiarki, żeby go jeszcze raz przemaglować, ale uprzedził nasz ruch i wpakował sobie kulkę w łeb. To było w czterdziestym pierwszym roku, o ile mnie pamięć nie myli, w pokoju hotelowym w Waszyngtonie... Swoją historyjkę zabrał ze sobą do grobu. Nie mieliśmy pewności, czy Krywicki przypadkiem sobie tego wszystkiego nie zmyślił, żeby podnieść swoją wartość w naszych oczach. Po co było dawać amerykańskim kuzynom powody do nieufności? Taką wówczas przyjęliśmy linię postępowania.

Czarnoksiężnik wydlubał paznokciem trochę wosku z ucha i obejrzał go uważnie, jakby miał nadzieję, że znajdzie tam odpowiedź na dręczące go od niedawna pytanie, dlaczego dobra przydziałowa whisky nagle straciła smak.

– Krywicki nie zmyślał, Elihu. Pamiętasz, że po wojnie pracowałem we Włoszech z Jimem Angletonem – przypomniawszy. – Poróżniliśmy się, ale to inna sprawa. W tych dniach zawarliśmy układ z Żydami z Palestyny, którzy desperacko poszukiwali możliwości przerzutu ludzi, amunicji i broni przez brytyjską blokadę. Nie wchodziliśmy im w drogę, w zamian za co oni pozwolili nam przesłuchiwać żydowskich uchodźców, uciekających z Europy Wschodniej. Jednym z tych palestyńskich Żydów był niejaki Kollek z Wiednia. Teddy Kollek. Na początku lat trzydziestych siedział jeszcze u siebie, w Austrii. Przy jakiejś okazji opisywał mi ze szczegółami pewne wesele. Zapamiętałem to, bo pan młody był guru Angletona z MI6. Pracowali razem na Ryder Street w czasie wojny. Nauczył go wszystkiego o kontrwywiadzie, od A do Z.

Elihu odrzucił głowę w tył i zameczał jak kozioł.

– Kim Philby! Żegnaj, emeryturo!

– Znasz go osobiście?

– Dobry Boże, tak! Całe wieki wymienialiśmy się wiadomościami o bolszewikach, tak jak dzieci wymieniają się kartami z graczami rugby. Rozmawiam z Kimem dwa–trzy razy w tygodniu przez telefon. Stałem się kimś w rodzaju pośrednika między nim a moim szefem, Rogerem Hollisem.

– Małżeństwo, o którym opowiadał Kollek, zostało zawarte w Wiedniu, w trzydziestym czwartym roku. Philby, wówczas świeżo po studiach w Cambridge, przyjechał do Austrii, żeby wesprzeć socjalistów w zamieszkach przeciw rządowi. Najwyraźniej zawróciło mu w głowie znane wśród komunistów nazwisko Litzi Friedman. Kollek znał przelotnie młodą parę i stąd wiedział o ślubie. Małżeństwo nie trwało długo i nikt nigdy nie przywiązywał do niego większej wagi. Philby miał wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata i można było przypuszczać, że ożeni się z pierwszą dziewczyną, która obciągnie mu druta. Kiedy ich związek się

rozpadł, Kim wrócił do Anglii i wkręcił się do londyńskiego „Timesa”, gdzie pisywał o wojnie generała Franco w Hiszpanii.

Elihu chwycił się prawą ręką za lewy nadgarstek, żeby zbadać sobie puls. Tętno waliło jak oszalałe.

– Chryste, Harv! Czy ty w ogóle wiesz, co przed chwilą powiedziałeś? Sugerujesz, że szef naszej Dziewiątej Sekcji, facet, który do niedawna kierował wszystkimi operacjami kontrwywiadu przeciw Rosjanom, jest w rzeczywistości sowieckim kretem!

Powieki Elihu opadły. Wyglądał, jakby pogrążał się w najczarniejszej rozpacz.

– Chyba nie mówisz tego poważnie.

– Jeszcze nigdy nie byłem tak poważny.

– Potrzebuję czasu, żeby to przetrwać. Powiedzmy... dwadzieścia dziewięć miesięcy.

– Nie mamy już czasu, Elihu. Barbarzyńcy stoją u bram. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy przekroczyli zamrożony Ren i rozpieprzyli to, co mieniło się cywilizowaną Europą.

– To również działo się przede mną – wymamrotał Elihu.

– Naszym Renem jest żelazna kurtyna.

– Tak mówią. Tak mówią.

Elihu oparł się, zamknął oczy i odwrócił twarz do słońca.

– „Obróć go ku słońcu promieniom – łagodny ich dotyk zbudzi na skinienie”^[17] – szepnął i dodał: – Podziwiam późnego Wilfreda Owena.

Zamilkł, siedząc bez ruchu, jakby pogrążony w medytacji. Dwóch mężczyzn, których Torriti sklasyfikował jako homoseksualistów, spacerowało aleją wiodącą na szczyt pagórka i dalej, w dół zbocza.

Gestykulując gwałtownie, rozmawiali półgłosem jak ludzie, którzy kłócą się w miejscu publicznym i nie chcą, żeby ich słyszano.

Elihu otworzył oczy. Podjął decyzję.

– Mogą mnie przeciągnąć pod kilem za to, co teraz ode mnie usłyszysz. Jak to mówią, skoro się rzekło A, trzeba powiedzieć i B. Kim Philby na długo przedtem, zanim zaangażował się w operacje kontrwywiadu przeciwko Sowietom, był podwładnym w Sekcji Piątej, zajmującej się obserwacją poczynań Niemców na Półwyspie Iberyjskim. Teren znał dość dobrze, jeszcze z czasów pracy w londyńskim „Timesie”. MI6 posiadała i nadal posiada ściśle tajny centralny rejestr źródeł, zawierający akta i raporty agentów brytyjskich z całego globu. Księgi archiwalne mają układ geograficzny: każda obejmuje inny rejon świata lub Europy. Philby często korzystał z książki iberyjskiej, która podpadała pod obszar jego kompetencji. Pewnego dnia, nie tak znów dawno, zaszedłem do centralnego rejestru, żeby zerknąć na książkę dotyczącą Rosji Sowieckiej, bo to teraz moja działka. Kiedy dyżurny poszedł, żeby mi ją przynieść, przekartkowałem zeszyt wpisów. Ciekaw byłem, kto przede mną badał te źródła. Przeraziłem się, gdy zobaczyłem, że Philby wypożyczał materiały na temat ZSRR na długo przed tym, jak został szefem Sekcji Sowieckiej. Kazano mu ganiać Niemców w Hiszpanii, a nie czytać o brytyjskich agentach w Związku Radzieckim.

– Kto oprócz nas o tym wie?

– Powiedziałem tylko jednemu człowiekowi – odparł Elihu.

– Niech zgadnę... Ezra Ben Ezra, bardziej znany jako Rabbi.

Elihu był szczerze zdumiony.

– Skąd wiedziałeś?

– Rabbi mówił mi kiedyś, że istnieje żydowski spisek, a ja mu uwierzyłem. – Torriti z politowaniem pokiwał głową. – Teraz rozumiem, dlaczego wysłał mnie do ciebie. Powiedz mi, dlaczego nie poszedłeś z tym do Rogera Hollisa?

Ten pomysł przeraził Elihu.

– Bo jeszcze nie zwariowałem, oto dlaczego. A co to wnosi, Harv? Zdrajca z KGB, który próbuje wywołać zamęt, utrzymując, że może podać nazwisko sowieckiego kreta w MI6, małżeństwo w Austrii, radziecki generał robiący aluzje do brytyjskiego dziennikarza w Hiszpanii, kilka wpisów w archiwum, z których łatwo się można wytłumaczyć... Philby mógł się przygotować do tej zimnej wojny, zanim ktokolwiek poczuł, że temperatura spada. Za mało dowodów, żeby oskarżyć przyszłego atamana MI6 o to, że jest sowieckim szpiegiem! Mój Boże, aż strach pomyśleć, co by się stało z nieszczęśnikiem, który spróbowałby to tknąć. Koniec marzeń o zielonej trawce. Gość zostałby w y p a t r o s z o n y, Harv. O mój Boże, jego wnętrzności rzucono by psom na pożarcie, a jego ciało zgniłoby w jakimś bagnie, ha, ha...

– Prawda, czysta i prosta, też ma swoją wagę, Elihu.

Elihu zabrał melonik z ławki i wcisnął go sobie na łysą głowę.

– Oscar Wilde powiedział, że prawda rzadko bywa czysta i nigdy prosta, a ja jestem skłonny mu uwierzyć. – Zagapił się w stronę majaczącego w oddali Londynu. – Urodziłem się i wychowałem w Hampshire, w wiosce zwanej Palestyną, i musiałem się sporo natrudzić, zanim przekonałem mandarynów, by nie wysyłali mnie na Bliski Wschód tylko dlatego, że im się wydaje, iż z tym nieszczęsnym miejscem połączony jestem więzami tradycji i krwi. – Elihu zacisnął usta i potrząsnął głową. – Tak... Cóż, w tej sytuacji pozostaje chyba tylko papka barytowa^[18]. Mógłbyś rozproszyc

kilka porcji... Prześwielimy sukinsyna. Pamiętasz, robiliśmy to w czasie wojny.

– Papka barytowa! O tym nie pomyślałem!

– Tak, w rzeczy samej... Trudna sprawa. Ale pamiętaj, nie podrzucaj mi byle czego. To sprytny kret, nie złapie się na ochłapy. Wybierz coś z górnej półki. Będzie cię to kosztowało trochę nerwów, ale czasem trzeba coś odzależować, żeby wyjść na swoje.

Elihu wstał, z kieszonki na zegarek wyjął kawałek papieru i wręczył Czarnoksiężnikowi.

– W dni powszednie jadam kolację w „Lion & Last” przy Kentish Town. Tutaj masz telefon. Bądź dobrym kumplem i nie dzwoń więcej do mnie do biura. Aha, gdyby ktoś pytał... Tego spotkania nigdy nie było. Zrobisz to dla mnie, Harv?

Torriti, pogrążony w myślach, już zajęty wyszukiwaniem najsmaczniejszych kąsków na przynętę dla kreta, przytaknął z roztargnieniem.

– Nikt nie usłyszy ode mnie nic innego, Elihu.

– Dzięki.

– I tobie też.

WASZYNGTON, DC, PIĄTEK, 30 MARCA 1951

Dwa razy w tygodniu w biurze Billa Colby'ego zbierali się kierownicy podległych mu działów Firmy, żeby przy kawie i pączkach omówić bieżące sprawy. Tego dnia piętnaścioro pełnych zapału młodych ludzi rozsiadło się, gdzie kto mógł – na szafkach, na grzejnikach, nawet na podłodze – ci zaś, dla których brakło miejsca, stali, podpierając odrapane ściany, oddzielające gabinet szefa od labiryntu korytarzy i ciasnych klitek, gdzie urzędowali jego podwładni. Odprawa dotyczyła siatki agentów, tworzonej właśnie w Skandynawii.

– Infrastruktura w Norwegii jest w dziewięćdziesięciu procentach gotowa – meldowała młoda kobieta o tlenionych włosach i starannie pomalowanych paznokciach. – Spodziewamy się, że w ciągu najbliższych tygodni uda się nam ukryć sprzęt radiowy w kilkunastu wcześniej wybranych miejscach, dzięki czemu szefowie naszych tajnych komórek będą mogli porozumiewać się z norweskim rządem emigracyjnym oraz dowództwem NATO, kiedy Rosjanie zajmą kraj...

Colby zachichotał dyskretnie i poprawił:

– J e ż e l i Rosjanie zajmą kraj, Margaret. Powtarzam, j e ż e l i... – Potoczył wzrokiem po swoich podwładnych. – Pozwól, że przerwę ci na chwilę, bo chciałbym zwrócić uwagę na dwie niezwykle istotne sprawy. Po pierwsze, nawet tam, gdzie lokalne władze współpracują w zakładaniu komórek dywersyjnych, jak dzieje się to w większości państw skandynawskich, dążymy do stworzenia naszej własnej, niezależnej siatki. Powód jest oczywisty: może się zdarzyć, że rząd jakiegoś kraju ulegnie

naciskom i zaakceptuje sowiecką okupację. Co do tego nigdy nie ma pewności. Nie ma też pewności, że władze nie będą kolaborować z okupantem i nie zadenuncjują naszych agentów. Po drugie, nie da się przecenić kwestii bezpieczeństwa. Jeśli przecieknie choćby słowo na temat siatki dywersyjnej, Rosjanie rozprawią się z nami, nim zdążymy policzyć do trzech, oczywiście j e ż e l i wejdą. Ponadto, gdyby wśród obywateli rozeszły się pogłoski o istnieniu takiej siatki, mogłoby to nadwątlić ich morale i podkopać wiarę w skuteczność działań Sojuszu Atlantyckiego w razie sowieckiej inwazji.

– Przecież my też w to nie wierzymy – zażartowała Margaret.

– Zgadza się – odparł Colby. – Ale nie musimy się z tym obnosić.

Zdjąwszy marynarkę, rozpiął kołnierzyk, przywołał gestem Kritzky'ego i wskazał mu drewniane krzesło przy biurku.

– Co z punktami węzłowymi? – zapytał.

Zadaniem Leo, po zgłoszeniu się na służbę u Colby'ego w Reflecting Pool, było namierzenie strategicznie ważnych obiektów, jak mosty, linie kolejowe, lokomotywownie i śluzy na kanałach, przydzielenie ich poszczególnym komórkom dywersyjnym oraz rozmieszczenie ładunków wybuchowych, aby w razie wojny sparaliżować transport w całym regionie.

– J e ż e l i zabawa się zacznie – mówił Kritzky – będzie można zniszczyć połowę transportu kolejowego i rzecznoego w całej Skandynawii. Już teraz jesteśmy na to gotowi.

– Połowa to dziesięć procent lepiej, niż się spodziewałem, i połowa tego, czego nam potrzeba – podsumował Colby zza biurka. – Tak trzymaj, Leo.

I zwracając się do wszystkich obecnych, dodał:

– Niełatwo jest przygotować się do wojny w czasie pozornego pokoju. Panuje ogólne przekonanie, że mamy tyle czasu, ile dusza zapragnie. Otóż

nie mamy. Generał MacArthur prywatnie stara się przekonać Kolegium Szefów Sztabów, żeby pozwoliło mu zbombardować cele w Chinach. Ostateczna decyzja, oczywiście, będzie należeć do Trumana. Ale nie trzeba dużej wyobraźni, aby ujrzeć, jak wojna w Korei przekształca się w trzecią wojnę światową, jeśli wyślemy nasze samoloty na północ od Jalu i zrzucimy bomby na Chiny. Odwaliliśmy kawał roboty, ale nie wolno nam spocząć na laurach. Panie i panowie, to wszystko na dziś.

– Jak było? Opatrzeć ci rany, Leo? – zapytała Maud, jego „towarzyszka z komórki”, kiedy wrócił z odprawy do swojego boksu w kącie pokoju.

Maud była kobietą w średnim wieku, nieco zbyt pulchną, z nieodłączną cygaretką „Schimelpenick” w ustach. Kopciła jak smok. Cztery przepastne szafki i wszystkie szuflady jej biurka zavalone były dokumentami Abwehry, „odzyskanymi” w 1945 roku. Maud, historyk z wykształcenia, podczas wojny analityk w OSS, męczyła się nad tym archiwum, szukając widomych śladów operacji sowieckiego wywiadu na ziemiach okupowanych przez Niemcy. Miała nadzieję wytropić sowieckich agentów, działających na terenie Anglii i Francji, którzy po zakończeniu wojny pozostali lojalni wobec Kremla i nadal uprawiają swój szpiegowski proceder.

Leo usadowił się za podniszczonym drewnianym biurkiem i przez chwilę gapił się w poplamiony zaciekami sufit. Dach stanowczo wymaga naprawy, pomyślał. Spojrzał na szperającą w stercie papierów Maud. Postanowił się wyźalić.

– Colby jest nienasycony. Ty dajesz z siebie wszystko, a on chce jeszcze więcej.

– I dlatego on jest szefem, a ty podwładnym – zauważyła sucho.

– Dlatego jest szefem – zgodził się Leo.

– Kurier zostawił to dla ciebie – powiedziała Maud. Rzuciła zapieczętowany list na jego biurko i zapaliwszy świeże cygaro, wróciła do dokumentów Abwehry.

Leo rozerwał kopertę i wyjął cieniutki list.

„Leo, ty stary przyku! – pisał Jack. – Dzięki za wiadomość, która dotarła razem z wczorajszą nocną pocztą. Spieszę się, żeby wysłać to jeszcze dziś wieczorem, więc wybacz bazgroły. Twoja robota w Waszyngtonie wydaje się żmudna, ale ważna. Co do Colby’ego, w Niemczech mówi się, że przeznaczone mu są rzeczy wielkie, więc trzymaj się go, stary druhu. O berlińskiej bazie niewiele mogę napisać, gdyż (jak to się u nas mówi) nie musisz tego wiedzieć. Ale bywa gorąco. Wszyscy latają jak kot z pęcherzem. Pamiętasz tego gościa pod krawatem, którego poznaliśmy w «Cloud Club»? Tego lalusia z OSS... «Ebby’ego» Ebbitta? Wylali go za to, że głośno mówił to, co inni myśleli (oprócz mnie): że największa szycha z berlińskiej bazy za dużo chleje. Odesłali go na placówkę we Frankfurcie i od tej pory słuch o nim zaginął. Tymczasem Czarnoksiężnik szaleje z powodu spalonej ewakuacji. Jest przekonany, że ktoś nas sypnął w KGB. Pytanie: kto? A tak do twojej wiadomości, to dostałem pierwszego agenta do prowadzenia. Ma się ten fart! Ty byś o niej powiedział «piękna jak marzenie»: wielkie, smutne oczy i nogi do samej szyi. Mój szef chce, żebym ją uwiódł, bo ma ochotę posłuchać gruchania pod kołderką. Osobiście jestem gotów poświęcić się dla ojczyzny, ale nie sądzę, żeby udało mi się strzelić gola, a to dla mnie całkiem nowe doświadczenie. Trudno, raz na wozie, raz pod wozem. Będziemy w kontakcie. Mam nadzieję, że się spotkamy, kiedy dostanę przepustkę do domu”.

Było też postscriptum, nabazgrane na marginesie strony: „Pewnego wieczoru natknąłem się w jakimś barze na starego towarzysza (określenie, jak się przekonasz, jest odpowiednie). Pamiętasz Wańkę Borysowa? To ten

osiłek, szlakowy Rosjan na Mistrzostwach Europy w Monachium w 1948. Ty, ja i Wańka przez całą noc włóczyliśmy się po knajpach... To wtedy poderwaliśmy te australijskie bojowniczkę pokoju, pamiętasz? Mówiły ze łzami w oczach, że nasza przyjaźń jest piękna, bo sabotuje zimną wojnę. Potem, u ciebie w hotelu, siostrzyczki rznąły nas na zmianę, przyczyniając się do umacniania pokoju między narodami. Miałem złamane żebro, więc dziewczyny wszystko musiały robić same. Wyobraź sobie tylko ruch pacyfistyczny, którego działaczkami są cudne nimfetki, pieprzące się z kim popadnie, żeby powstrzymać zimną wojnę! Wańka, który przybrał na wadze, wiedział o mojej pracy w «Kwaszarni», co oznacza, że jest w KGB. Rozglądałem się dobrze po barze, ale w zasięgu wzroku nie było żadnych Australijek!”

Leo splótł ręce na karku i oparł się wygodniej. Właściwie to chętnie by popracował w miejscu takim jak Berlin. W porównaniu z tamtą placówką Waszyngton wydawał się oazą spokoju. A jednak to było oko cyklonu – zrozumiał już, że tutaj przyda się najbardziej. Jego wzrok padł na oprawioną w ramki kopię przygotowanego przez Paula Nitze memorandum Rady Bezpieczeństwa Narodowego, które nawoływało do narodowej krucjaty przeciwko komunizmowi na całym świecie. Leo zastanawiał się, czy rycerze wyruszający dziewięć wieków temu na długą wyprawę do Ziemi Świętej też byli zagrzewani do boju przez papieskie edykty. Spojrzał na firmowy kalendarz, wiszący na ścianie. Tak jak wszystkie piątki, trzydziesty marca również zaznaczony był na czerwono, aby Leo nie zapomniał, że to dzień wypłaty; i na niebiesko, żeby nie zapomniał zabrać psa do weterynarza.

Leo pchnął drzwi kliniki weterynaryjnej stanu Maryland, wciągnął za sobą wiekowego, artretycznego psa i zajął miejsce w poczekalni. Pies,

w przeważającej części owczarek niemiecki, przysiadł ciężko na linoleum. Leo wyciągnął rękę i pogłaskał go po głowie.

– Co mu dolega?

Leo podniósł wzrok. Młoda kobieta, odrobinę zbyt pulchna i zbyt niska, o krótko obciętych, kręconych włosach, opadających niesforną grzywką na wysokie czoło, przypatrywała mu się już od dłuższej chwili. Powieki miała zaczerwienione i spuchnięte od płaczu. Ubrana była w czarny golf, wyblakłe pomarańczowe ogrodniczki i tenisówki. Syjamski kot o jasnej, podpalanej sierści, uwalany zakrzepłą krwią, leżał bezwładnie na jej kolanach.

– Zaczyna prowadzić pieskie życie, a to dla niego zupełnie nowe doświadczenie – powiedział posępnie Leo. – Zdecydowałem, że skrócę mu te męki.

– Och – odparła młoda kobieta – musi być panu bardzo smutno. Jak długo jest z panem?

Leo spojrział na psa.

– Czasem mi się zdaje, że od zawsze.

Kobieta w zamyśleniu podrapała kota za uszami.

– Wiem, co pan ma na myśli.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Leo kiwnął głową w stronę kota.

– Jak się nazywa?

– Jej pełne imię to Wyjątkowa Okazja. Dla przyjaciół po prostu Okazja. Ja jestem jej najlepszą przyjaciółką.

– Co dolega Wyjątkowej Okazji?

Opowiedziała mu całą historię. Aż się paliła, żeby to z siebie wyrzucić. Tak jakby rozmowa mogła jej ulżyć w cierpieniu.

– Okazja wychowała się na farmie mojego ojca w Marylandzie. Kiedy w zeszłym roku dostałam pracę w Waszyngtonie i przeprowadziłam się do Georgetown, zabrałam ją ze sobą. I to był błąd. Tęskniła za wolnością, w czterech ścianach czuła się jak w klatce. Bez przerwy przesiadywała w oknie. Kiedy było ciepło, wymykała się na parapet i obserwowała przelatujące ptaki, a ja wiedziałam, że też chciałaby polatać. Śpię przy otwartym oknie nawet zimą. Mogłabym przysiąc, że zamknęłam je, jak wychodziłam dzisiaj rano do pracy, ale musiałam zapomnieć.

Przez chwilę nie była w stanie mówić. Wreszcie, schrypniętym od płaczu głosem, podjęła swoją opowieść:

– Okazja zapomniała, że jest kotem, i postanowiła wyfrunąć z domu jak ptak. Ciągłe słyszy się, że koty zawsze spadają na cztery łapy. A ona wyskoczyła z trzeciego piętra i spadła na plecy. Chyba jest sparaliżowana. Dadzą jej zastrzyk...

Wywołany przez weterynarza Leo zniknął za oszklonymi drzwiami. Kiedy dziesięć minut później wrócił do poczekalni, niosąc jeszcze ciepłe ciało swojego psa w papierowej torbie z supermarketu, kobiety nie było. Usiadł, żeby na nią poczekać. Po chwili wyszła z gabinetu z taką samą papierową torbą. Łzy strumieniami płynęły jej po policzkach. Leo wstał.

Popatrzyła na swoją papierową torbę.

– Okazja jest ciągle ciepła – wyszeptała.

Leo przytaknął.

– Ma pani samochód? – zapytał nagle.

Powiedziała, że tak.

– Co pani zamierza zrobić ze swoją kotką?

– Myślałam, że zawiozę ją z powrotem na farmę...

– A gdybyśmy tak poszli do sklepu, kupili łopatę, a potem pojechali gdzieś za miasto, znaleźli jakiś pagórek ze wspaniałym widokiem i pogrzebali tych dwoje obok siebie? – Leo z zakłopotaniem przestępował z nogi na nogę. – Może to trochę szalony pomysł. W ogóle mnie pani nie zna...

– Spod jakiego jest pan znaku?

– Urodziłem się w dniu wielkiego krachu na giełdzie, dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. Tato żartował sobie, że to moje narodziny spowodowały całe zamieszanie. Nigdy nie potrafiłem pojąć, w jaki sposób fakt mojego przyjścia na świat mógł wpłynąć na giełdę, ale przez długi czas święcie w to wierzyłem.

– Dwudziesty dziewiąty października. Skorpion. Ja jestem spod Bliźniąt.
– Spojrzała na Leo przez łyzy. – Pomysł pogrzebania ich razem bardzo mi się podoba...

Tuląc do siebie papierową torbę, zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Adelle Swett.

Leo niezgrabnie uściskał jej dłoń.

– Leo. Leo Kritzky.

– Miło mi cię poznać, Leo Kritzky.

– I wzajemnie. – Ukłonił się szarmancko.

Uśmiechnęła się przez łyzy, bo wciąż nie puszczał jej ręki. W wielkich, poważnych oczach zamigotały ciepłe iskierki.

Leo i Adelle przeżyli coś, co brukowce nazwałyby szalonym romanssem. Kiedy już pochowali jego psa i jej kota na wzgórzu z pięknym widokiem,

zabrał ją do przydrożnej knajpki pod Annapolis. Kolację – smażone małże i krewetki prosto z marylandzkiego wybrzeża – podano im na stoliku nakrytym pierwszą stroną „Baltimore Sun”. Pokażnych rozmiarów nagłówek głosił, iż Rosenbergowie zostali skazani za szpiegostwo. Leo pognął w górę wąskimi schodami do zadymionego baru i wrócił z dwoma kuflami jasnego piwa z beczki. Zasiedzieli się do późnej nocy, wciąż jeszcze nieco onieśmieleni, rozmawiając o procesie Rosenbergów i książkach, które ostatnio czytali: *Stąd do wieczności* Jamesa Jonesa (podobala się jemu), *Harfa traw* Trumana Capote’a (podobala się jej), *Buszujący w zbożu* J.D. Salinger (podobala się obojgu, gdyż dzielali niechęć głównego bohatera do snobów). Po tej pierwszej randce wpadli w nawyk dzwonienia do siebie niemal codziennie. Adelle zrobiła licencjat z nauk politycznych na Johns Hopkins w Baltimore i pracowała jako doradca prawny świeżo upieczonego senatora, teksańskiego demokratego nazwiskiem Lyndon Johnson, który nie cieszył się nadmiernym poważaniem wśród partyjnych kolegów. Johnson codziennie wysiadywał godzinami przy telefonie niby naczelnik waszyngtońskiej poczty pantoflowej, dzięki czemu Adelle znała wszystkie najnowsze plotki i chętnie się nimi dzieliła. Leo powiedział jej, że jest młodszym analitykiem w Departamencie Stanu, ale kiedy próbowała wyciągnąć z niego coś więcej, wykręcał się mętnie, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu (a była nieźle obeznana ze stołecznymi zwyczajami), że jego zajęcie ma jakiś związek z tajnymi służbami.

Dwa tygodnie po tym, jak się poznali, Leo zabrał Adelle na *Afrykańską królową* z Hepburn i Bogartem, a potem do restauracji w Wirginii. Przy półsurowych, grubych na cal befsztykach z polędwicy Adelle zapytała bardzo oficjalnie, czy jego intencje są honorowe, a on poprosił, żeby wyraziła się jaśniej. Zarumieniła się, ale patrzyła mu prosto w oczy.

Oznajmiła, że jest dziewicą i ma zamiar pójść do łóżka tylko z tym z mężczyzną, za którego wyjdzie za mąż. Leo natychmiast się jej oświadczył. Adelle obiecała, że to przemyśli. Kiedy nadeszła pora deseru, sięgnęła przez stół po jego dłoń i musnęła palcami nadgarstek. Powiedziała, że już się zastanowiła i przyjmuje oświadczyny.

– Niedługo powinienes mnie zaprosić do siebie do domu – dodała.

Wyznał, że trochę się tego obawia. Zapytała, czy miał już kogoś, a kiedy odpowiedział, że tak, żył przez jakiś czas z dziewczyną kilka lat starszą, zdziwiła się.

– Skoro pierwszy raz masz już za sobą, to w czym problem?

Leo odparł, że ją kocha i nie chce, by w łóżku coś poszło nie tak. Kieliszkiem wina wzniosła toast za nich oboje. Nie może się nie udać, szepnęła.

I udało się.

Pozostała jeszcze do pokonania ostatnia przeszkoda: „tatko” Adelle. Okazało się, iż jest nim sam Philip Swett, obrotny biznesmen z St. Paul, który w Chicago dorobił się fortuny na transakcjach terminowych, ostatnio zaś stał się aktywistą Partii Demokratycznej i kołesiem Harry’ego Trumana: jadał z nim śniadanie dwa razy w tygodniu, a niekiedy towarzyszył mu nawet w rześkich, porannych przechadzkach. Aby uświadomić adoratorowi ukochanej córuchy, że powinien znać swoje miejsce, Swett zaprosił Leo na jedną ze swych słynnych sobotnich kolacji w Georgetown. Gośćmi byli bracia Alsopowie, państwo Bohlenowie (właśnie wrócili z Moskwy), państwo Nitze, Phil i Kay Grahamowie, Randolph Churchill i Malcolm Muggeridge (przyjechali z Londynu na weekend) oraz kilka starszych osób, które Leo spotykał czasem na korytarzach Firmy, a wśród nich As (z żoną) oraz DD/O Allen Dulles, który zdaniem większości stołecznych ekspertów pewnego dnia obejmie władzę w CIA. Leo stwierdził, że posadzono go na

szarym końcu, o całą długość stołu od Adelle, która rzucała w jego stronę niespokojne spojrzenia, sprawdzając, jak sobie radzi. Obok niej siedział Dulles, który z wyraźną przyjemnością popisывał się przed gośćmi, sypiąc anegdotami jak z rękawa. W pewnej chwili Phil Graham zapytał, czy jego stosunki z Trumanem poprawiły się.

– Nie na tyle, żeby się to dało zauważyć – odparł Dulles. – Nigdy mi nie wybaczył, że w czterdziestym ósmym poparłem Deweya. Nie ominie żadnej okazji, żeby sobie ze mnie zażartować. W tym tygodniu zastępowałem Bedella Smitha na spotkaniu poświęconym sytuacji w wywiadzie. Jak wychodziłem, Truman przywołał mnie i powiedział, że chce, aby CIA dostarczyła do Gabinetu Owального mapę ścienną z pineskami, wskazującymi rozlokowanie naszych tajnych agentów na całym świecie. Oburzyłem się, że nie wolno nam robić takich rzeczy, bo nie każdy, kto ma tam wstęp, legitymuje się stosownym pozwoleniem. – Dulles zachichotał, rozbawiony własną opowiastką. – I w tym momencie Truman wybuchnął śmiechem, a ja zorientowałem się, że tylko bawił się moim kosztem.

Po kolacji goście przeszli do przestronnego salonu, poodsuwali na bok meble i zaczęli tańczyć przy bigbandowej muzyce z płyt. Leo szukał wzrokiem Adelle, gdy nagle spostrzegł, że Swett kiwa na niego palcem.

– Pan pozwoli ze mną do gabinetu – rozkazał władczo i dał znak córce, żeby poszła z nimi.

Pełen najgorszych przeczuć, Leo podążył za nim po wysłanych puszystym dywanem schodach do pokoju o ścianach wyłożonych kosztowną boazerią. Na kominku wesoło trzaskał ogień. Adelle wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Swett otworzył mahoniową kasetkę na cygara, wskazał Leo skórzane krzesło i zaproponował hawańskie cygaro o fallicznym kształcie.

– Nie palę – powiedział Leo i poczuł się tak, jakby właśnie przyznał się do niewybaczalnej wady charakteru.

Adelle usadowiła się na poręczu jego krzesła. Wydawało się, iż chce mu dać do zrozumienia, że wspólnie stawia czoło ojcu.

– Nie wie pan, co traci – oświadczył Swett.

Przysiadłszy na brzegu stołu, odciął koniuszek hawany srebrnym nożykiem, potarł zapalnik i przytknął płomień do cygara. Wypuścił ustami kłęb dymu, z którego po chwili wydobył się tubalny, chrapliwy głos.

– Chwyć byka za rogi, zawsze to mówię. Adelle wspomniała mi, że często się spotykacie.

Leo przytaknął ostrożnie.

– Czym się pan zajmuje? No, skąd pan czerpie swoje dochody?

– Naoglądałeś się za dużo hollywoodzkich filmów, tatku.

– Pracuję dla rządu – odparł Leo.

Swett zachichotał.

– Jeśli facet wstawia mi mętą gadkę, że robi dla rządu, to znaczy, że siedzi w „Kwaszarni”. Jest pan w Operacyjnym, razem z Allenem Dullesem i Asem?

Leo zaparł się.

– Pracuję w Departamencie Stanu, panie Swett. – Wymienił nazwę biura, nazwisko zwierzchnika i zakres swoich obowiązków. Propozycja, że może podać adres i numer telefonu, została pominięta milczeniem.

Swett zaciągnął się cygarem.

– Ile ci płacą, synu?

– Tatku, obiecałeś, że nie będziesz go straszył.

– Tam, skąd pochodzę, mężczyzna ma prawo spytać chłopaka, który ubiega się o rękę jego córki, jakie snuje plany na przyszłość. – Spojrzał na Leo. – Ile?

Leo wyczuł, że ważniejszy jest sposób, w jaki odpowie na to pytanie, niż sama treść odpowiedzi. Adelle była impulsywna, ale wątpił, czy poślubi kogoś wbrew woli ojca. Musiał być przebiegły i idąc za radą rozmówcy, chwycić byka za rogi.

– A ile pan zarabia, sir?

Adelle wstrzymała oddech. Swett pyknął kilka razy z cygara, przyglądając się Leo badawczo zza kłębow dymu.

– Tak z grubsza, milion czterysta plus jakieś kilkanaście tysięcy. P o opodatkowaniu.

– A ja wyciągam sześć tysięcy czterysta rocznie, sir. P r z e d opodatkowaniem.

W pokoju zapadła martwa cisza.

– Do licha, nie lubię owijać w bawełnę, synu. Widzisz, nie chodzi o pieniądze... Co innego mnie martwi. Kiedy ja się żeniłem, miałem czterdzieści dolców tygodniowo. No cóż, powiem prosto z mostu: jestem przeciwny mieszanym małżeństwom. I nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko Żydom, ale uważam, że Żydzi powinni żenić się z Żydówkami, a biali anglosascy protestanci z białymi anglosaskimi protestantkami.

– Kiedy się nad tym głębiej zastanowić, wszystkie małżeństwa są mieszane – powiedział Leo. – Męsko-damskie.

Adelle położyła mu dłoń na ramieniu.

– To prawda, tatku. Przypomnij sobie, jak to było z tobą i z mamą...

– Sir – powiedział Leo, lekko pochylając się do przodu. – Kocham pańską córkę. Nie przyszłoby prosić o pańskie pozwolenie na ślub. –

Sięgnął po dłoń Adelle, splelił palce. – Przyszliśmy poinformować pana o naszej wspólnej decyzji. Oboje wolelibyśmy mieć pańskie błogosławieństwo, ale jak nie... – mocniej ścisnął rękę Adelle – to nie.

Swett spojrział na Leo z rosnącym, aczkolwiek niechętnym szacunkiem.

– Dam wam błogosławieństwo, chłopcze. Masz lepszy gust niż moja mała dziewczynka.

– Och, tatusiu! – wykrzyknęła Adelle. – Wiedziałam, że go polubisz.

Przebiegła przez pokój i rzuciła się ojcu na szyję.

Ślubu udzieliła im sędzina pokoju z Annapolis w dniu ich pierwszej „rocznicy”, to znaczy miesiąc po tym, jak się poznali w lecznicy dla zwierząt. Adelle na tę okazję wcisnęła się w koronkową suknię swojej młodszej siostry Sydney, która była druhną. Bill Colby drużbował Leo. Pracodawca Adelle, Lyndon Johnson, prowadził pannę młodą w zastępstwie Philipa Swetta, który został wysłany przez Trumana z jakąś misją polityczną do Teksasu i nie zdążył z powrotem na czas. Matka Adelle rozplakała się, gdy sędzia pokoju ogłosił młodych mężem i żoną, póki śmierć ich nie rozłączy. Colby otworzył butelkę szampana „New York State”. Kiedy Leo całował teściową na pożegnanie, wetknęła kopertę do kieszeni jego nowiutkiej marynarki. W kopercie znajdował się czek na pięć tysięcy dolarów i krótkie życzenia: „Żyćcie długo i szczęśliwie albo porachuję ci kości”. Podpisane: „P. Swett”.

Młoda para spędziła trwającą zaledwie jedną noc „miesiąc” miodowy w hoteliku ze wspaniałym widokiem na wschód słońca nad zatoką Chesapeake. Następnego ranka Leo zameldował się w pracy. Czekwały na niego punkty węzłowe w Norwegii i siatka komórek dywersyjnych na zapleczu wroga. Adelle dostała od Lyndona Johnsona trzydniowy urlop. Spożytkowała ten czas, kursując dwudrzwiowym plymouthem pomiędzy

swoim mieszkaniem w Georgetown i kawalerką, którą Leo wynajmował na Bradley Lane, za „Chevy Chase Club” w Marylandzie. Ostatnią rzeczą, którą przewiozła, był prezent ślubny od jej szefa senatora – malutki kociak o śmiesznie wykrzywionym pyszczku. Od razu ochrzciła go imieniem Kwaszorek.

Wkrótce nowożeńcy wpadli w codzienną rutynę. Każdego ranka Leo wychodził z domu i jechał do biura razem z Dickiem Helmsem, kolegą z Firmy, który też mieszkał przy Bradley Lane. Helms był kolejnym wychowankiem OSS, zatrudnionym przez Asa. W drodze do Reflecting Pool wybierał zawsze okrężną trasę – przez Connecticut Avenue i Brookville Road – tak na wszelki wypadek, „dla zmylenia przeciwnika”, żartował. Często rozmawiali o pracy. Leo rozwodził się szeroko nad dywersyjnym planem Colby’ego, Helms opowiadał o szefie irańskiej bazy CIA, który „bił na alarm”, ostrzegając, iż arabski radykał nazwiskiem Mohammad Mosaddek, przywódca ekstremistycznego Frontu Narodowego i poważny kandydat na fotel premiera, grozi nacjonalizacją kontrolowanego przez Brytyjczyków przemysłu naftowego. Firma musi znaleźć sposób, mówił Helms, żeby pokrzyżować mu plany.

Raz na dwa tygodnie Leo brał nocną zmianę i meldował się w Reflecting Pool o czwartej nad ranem jako przedstawiciel tajnych służb w zespole zajmującym się przygotowywaniem dziennego raportu dla prezydenta. Przez kolejne trzy godziny ślęczał nad nocnymi depezbami z placówek CIA na całym świecie, wyłapując wszystko, co powinno przykuć uwagę Trumana. Książkę – jak nazywali blisko dziesięciostronicowy dokument, zredagowany jak kolumny gazety i sygnowany: „Tylko do wiadomości prezydenta” – dostarczał do Białego Domu specjalny kurier, starszy rangą urzędnik, wczesnym rankiem, żeby mister Truman mógł poczytać ją sobie do śniadania.

Pewnej niedzieli, wkrótce po swoim ślubie, Leo miał okazję osobiście oddać „książkę” prezydentowi, bo w ostatniej chwili okazało się, że żona kuriera właśnie zaczęła rodzić. Szczęśliwy ojciec pojechał do szpitala asystować przy narodzinach pierworodnego, a Leo, uzbrojony w listy uwierzytelniające, udał się do Białego Domu. Przy bramie czekał oficer służb specjalnych, który poprowadził go przez wejście pierwszej rodziny pod Portykiem Południowym, a potem dalej, do windy i apartamentów na piętrze. Jediną obecną tam osobą Leo znał ze zdjęć w magazynie „Life”; była to córka Trumana, Margaret, właśnie wróciła z koncertu, jaki dała w Nowym Jorku. Oczywiście, że z przyjemnością zanieśie „książkę” prezydentowi, powiedziała. Leo usiadł na kanapie w korytarzu i czekał. Niedługo drzwi do pokoju, który okazał się prywatną jadalnią prezydenta, otwarły się ze skrzypieniem. Niski mężczyzna, ubrany w dwurzędową marynarkę i elegancką muszkę, skinął nań, by udał się za nim. Stremowany, przejęty, że za chwilę stanie przed obliczem głowy państwa, Leo wszedł do środka. Ku swemu zdziwieniu ujrzał tam Philipa Swetta, siedzącego naprzeciwko Margaret Truman przy nakrytym do śniadania stole.

– A więc jednak pracujesz w „Kwaszarni” – warknął Swett, uniósłszy brwi na jego widok.

– Panowie się znają? – zapytał Truman z lekko nosowym akcentem mieszkańca Środkowego Zachodu.

– To chłopak, który zawział się i ożenił z moją córką, a więc wygląda na to, że to mój zięć – wyjaśnił Swett, zwracając się do prezydenta. – Już przy pierwszej rozmowie miał czelność zapytać o mój roczny dochód.

Truman spojrzał na Leo.

– Szanuję ludzi z charakterem – powiedział z błyskiem rozbawienia w oku. – Co na to Phil?

– Przykro mi, ale nie pamiętam, sir.

– To dobrze! – stwierdził prezydent z uznaniem. – Szanuję również ludzi dyskretnych.

Wyjął wieczne pióro, zdjął skuwkę i zaczął podkreślać różne punkty w raporcie.

– Proszę przekazać Wisnerowi, żeby mi przesłał do rąk własnych szczegółowy raport na temat tego Mosaddeka – mówił, notując na marginesie zaszyfrowane pytania. – Chcę wiedzieć, skąd się wziął, czego chcą islamscy fundamentaliści, czy cieszy się poparciem narodu i jaki macie plan awaryjny na wypadek, gdyby przejął władzę i próbował znacjonalizować British Petroleum...

Truman skończył pisać i wręczył Leo książkę z raportem.

– Adelle to cudowna kobieta – powiedział. – Znam ją osobiście. Szczęściarz z pana.

– Niektórzy mają więcej szczęścia niż rozumu – odezwał się Swett zza stołu wcale życzliwym tonem.

WASZYNGTON, DC, CZWARTEK, 5 KWIETNIA 1951

W niewielkiej kawalerce z ukośnym sufitem, na poddaszu nad sklepem monopolowym „U Kahna” przy M Street, po waszyngtońskiej stronie mostu Key, Eugene Dodgson – młody Amerykanin, który dopiero co wrócił z włości po Skandynawii – przyczepił jeden koniec anteny krótkofalówki do rury od kaloryfera. Rozwinąwszy cały zwój, zamocował drugi jego koniec do śrubki umieszczonej z tyłu aparatu, przypominającego zwyczajne radio kuchenne „Motorola”. Przysunął sobie drewniany stołek, po czym włączył radio, wciskając jednocześnie pierwszy i trzeci guzik – jeden odpowiadał z pozoru za barwę dźwięku, a drugi ustawiał radio na poprzednio odtwarzaną stację – co przekształciło „Motorolę” w skomplikowany odbiornik. Zerkając na zegarek marki „Elgin”, Eugene nastawił pokrętkę na moskiewską częstotliwość i zgarbiony nad aparatem, czekał z ołówkiem w ręku, żeby się przekonać, czy o dwudziestej trzeciej czasu miejscowego stacja nada zaszyfrowane hasło, wplecione w tekst radiowego quizu z literatury angielskiej. Prowadząca audycję spikerka zadała pytanie: „Z jakiej książki pochodzi ten cytat: «A morał z tego: Im mniej masz ty, tym więcej mam ja?»” Student anglistyki z Uniwersytetu Moskiewskiego pomyślał chwilę, a następnie odparł: „Z *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla!” Eugene’owi serce zabiło mocniej, poczuł, że łączy go z ojczyzną niewidzialna pępowina, która przypomina mu, że nie jest sam. Zanotował zwycięski numer loterii, podany dwukrotnie na końcu audycji. Ogarnęło go uniesienie. Zerwał się ze stołka i oparł o pachnące świeżą farbą drzwi. Nie mógł złapać tchu, jakby przed chwilą ukończył

bieg na sto metrów. Oto trzyma w ręku pierwszą wiadomość od Dziadka! Śmiał się w głos i z niedowierzaniem kręcił głową – kody, częstotliwość, wszystko to działa naprawdę! Przystroił radio na lokalną stację muzyczną, a potem ostrożnie zwinął antenę i schował pod podłogą we wbudowanej w ścianę garderobie. Wyjął z portfela „szczęśliwy” banknot dziesięciodolarowy (z wypisaną atramentem dedykacją: „Dla Eugene’a od taty na ósme urodziny”) i odjął numer serii od „szczęśliwego numerka” podanego przez moskiewską stację.

Otrzymał w ten sposób dziesięciocyfrowy numer telefonu w Waszyngtonie do swojego łącznika z rezydentem. Kiedy o północy zadzwonił tam z automatu, kobieta mówiąca ze wschodnioeuropejskim akcentem podyktowała mu numer domowego telefonu radzieckiego agenta, którego miał prowadzić w Ameryce. Był to wysoko postawiony kret o kryptonimie PARSIFAL.

Ten rejs przez Atlantyk – jedenaście dni z Kristiansand do Halifaxu na pokładzie wysłużonego trampa, który dzielnie opierał się potężnej oceanicznej fali – wcale nie odbiegał od normy. Tak przynajmniej utrzymywał brodaty kapitan statku, gdy jeden jedyny raz młody Amerykanin zdołał dołączyć do oficerów na kolację w mesie, podaną na mokrym obrusie, żeby nakrycia nie zsuwały się ze stołu na podłogę za każdym przechyłem statku. I rzeczywiście, talerz Eugene’a Dodgsona ani drgnął, za to gotowana wołowina z makaronem wylądowała prosto na kolanach zmaltretowanego pasażera ku wielkiej uciechu oficerów. Kiedy wciąż zataczając się z lekka, Eugene zszedł wreszcie na ląd w Halifaksie, minęło kilka godzin, zanim ziemia pod jego stopami przestała się kołysać.

Zarzuciwszy plecak na ramię, stanął na szosie pod miastem, żeby złapać jakąś ciężarówkę, jadącą do Caribou w Maine. Na granicy kanadyjski oficer

wetknął głowę do szoferki i zapytał go, skąd pochodzi.

– Z Brooklynu – odparł młody człowiek, uśmiechając się szeroko.

– Myśli pan, że Giganci zdobędą w tym roku mistrzostwo? – zagadnął Kanadyjczyk, żeby sprawdzić jego angielski i przekonać się, czy naprawdę jest mieszkańcem Brooklynu.

– Kpisz pan czy o drogę pytasz?! – wybuchnął Eugene. – Chyba nie widział pan składu Dodgersów? Jackie Robinson i Pee Wee Reese kryją tak, że mysz się nie prześlizgnie. Roy Campanella ma na widoku tytuł najlepszego zawodnika sezonu... Don Newcombe? Ten jak wypuści piłkę, to aż skwierczy! A jeżeli Carl Furillo będzie się spisywał tak jak dotychczas, to trzysta trzydzieści punktów ma z palcem w nosie. Mistrzostwo należy do Brooklynu. Bez gadania.

Z Caribou Eugene złapał dalekobieżny autobus do Bostonu, a potem do Nowego Jorku. Wynajął pokój w hotelu „Saint George” przy Brooklyn Heights. Z pobliskiej budki telefonicznej zadzwonił pod numer, który Dziadek wbił mu do głowy przed wyjazdem z Moskwy. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się zirytowany głos z cudzoziemskim akcentem.

– Czy zastałem pana Goodpastera? – zapytał Eugene.

– A pod jaki numer chciał się pan dodzwonić?

Eugene wyrecytował długi rząd cyfr.

– To pomyłka.

Połączenie zostało przerwane. Po upływie siedmiu minut – tyle czasu zajęło rozmówcy dotarcie do najbliższej budki telefonicznej – aparat Eugene’a zadzwonił. Młody człowiek natychmiast podniósł słuchawkę.

– Jeśli jesz kolację z diabłem, użyj długiej łyżki – powiedział Eugene.

– Mówiono mi, że będziesz trzy dni temu – zrzędził mężczyzna. – Dlaczego to tyle trwało?

– Rejs przez Atlantyk trochę się przedłużył. A potem cały dzień straciłem na dojazd.

– Wiesz, gdzie jest ogród botaniczny?

– Pewnie.

– Jutro o dziesiątej rano, czwarta ławka od bramy głównej, od strony Eastern Parkway. Będę tam siedział i karmił gołębie. Rozpoznasz mnie po aparacie fotograficznym „Leica”. Obok mnie będzie leżała paczka, owinięta w świąteczny, złoto-czerwony papier.

– Jutro, dziesiąta rano – potwierdził Eugene i odłożył słuchawkę.

Dzięki zdjęciu, które pokazał mu Dziadek, Eugene bez trudu rozpoznał chudego, łysiejącego mężczyznę o jastrzębiej twarzy. Pułkownik Rudolf Iwanowicz Abel przybył do Stanów w zeszłym roku i zakamuflował się na Brooklynie jako głęboko utajniony agent. Teraz odrywał kawałki chleba i rzucał okruchy kłębiącym się wokół gołębiom. Nie podniósł wzroku nawet wtedy, gdy Eugene usiadł obok niego na ławce. Pomiedzy nimi leżała zapakowana w bożonarodzeniowy papier paczka, a w niej – motorola, antena i latarka z wydrążoną baterią, w której ukryto czytnik mikrografii; paszport, prawo jazdy tudzież inne dokumenty, na wypadek gdyby Eugene musiał nagle zmienić tożsamość; wydrążona srebrna dolarówka z pozytywem mikrofilmu, zawierającym osobiste kody Eugene’a; arkusze szyfrujące oraz numery telefonów w Waszyngtonie i Nowym Jorku, pod które miał dzwonić w razie nagłej potrzeby; wreszcie koperta z dwudziestoma tysiącami dolarów w banknotach o niskim nominale.

Eugene zaczął: „Jeśli jesz kolację z diabłem...” – lecz Abel przerwał mu w pół słowa.

– Rozpoznaję cię z twojego zdjęcia w paszporcie.

Na jego nieogolonej twarzy pojawił się smutny uśmiech.

– Nazywam się Rudolf Abel.

– Dziadek przesyła panu serdeczne pozdrowienia, jak towarzyszu towarzyszowi – powiedział Eugene.

– Nikt tu nas nie podsłucha. Chyba że te gołębie... – odparł Abel. – Jak ja nienawidzę tych małych drani! Wyświadczyć mi przysługę i mówmy po rosyjsku.

Eugene powtórzył wiadomość w swoim ojczystym języku. Oficer radzieckiego wywiadu chciwie słuchał każdego słowa. Jaka była pogoda w Moskwie, kiedy Eugene wyjeżdżał? Czy przybyło ostatnio samochodów na ulicach? Jakie filmy dawali ostatnio w stołecznych kinach? A co nowego w księgarniach? Czy to prawda, że nic nie można dostać, a może amerykańska propaganda kłamie, że w sklepach są tylko puste półki? Co to za zamieszki o chleb w Krasnojarsku? Czy to prawda, że aresztowano żydowskich poetów i aktorów, spiskujących przeciw towarzyszowi Stalinowi?

Dwadzieścia minut później Eugene wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Pułkownik Abel wyglądał na zawiedzionego.

– Najgorsza jest samotność – powiedział. – I myśl, że być może ojczyzna rzuci bombę atomową na Amerykę, zabijając przy okazji i mnie.

Eugene spędził dziesięć dni w hotelu „Saint George”: wałęsał się wzdłuż Crown Heights, żeby oswoić się z okolicą; popijał koktajle mleczno-czekoladowe w cukierni, w której, zgodnie z legendą, miał zwyczaj przesiadywać; odwiedził pralnię i chińską restaurację, do której często zaglądał. Pewnego deszczowego popołudnia wsiadł w pociąg F na Coney Island i przejechał się na wielkim diabelskim młynie, innym razem złapał IRT na Manhattan, żeby pospacerować po Times Square. W sklepiku na

Broadwayu kupił dwie walizki z przeceny, a w komisie z używanymi ciuchami, przy Madison Avenue – sportową marynarkę, spodnie, jedną parę mokasynów, cztery koszule, krawat, skórzaną kurtkę i prochowiec. W prima aprilis najmłodszy agent Dziadka w USA spakował walizki i chwilę na nich posiedział, żeby zapewnić sobie szczęście w podróży. Potem uregulował gotówką hotelowy rachunek, dojechał metrem do stacji Grand Central i wsiadł do pociągu, który miał go powieźć do Waszyngtonu, ku jego nowemu życiu nielegała z Rosji.

Z Union Station Eugene pojechał taksówką do miasta, na drugą stronę rzeki. Wsiadł przed sklepem monopolowym w bocznej uliczce akurat w chwili, gdy właściciel, Max Kahn, zamykał lokal.

Kahn – niski, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, z czupryną niesfornych siwych włosów, zrobił przerażoną minę, słysząc, że ktoś dobija się do frontowych drzwi. Zamachał gwałtownie rękami i zawołał:

– Przykro mi, ale już...!

Przerwał, spostrzegłszy dwie walizki. Oczy zajaśniały mu radością. Stanął w progu i szeroko otworzył ramiona na powitanie.

– Myślałem, że będziecie tu już parę dni temu – powiedział chrapliwym szeptem. – Wejdźcie, towarzyszu, wejdźcie... Kawalerka na górze jest do waszej dyspozycji. Odmalowałem ją tydzień temu, żeby była gotowa na wasz przyjazd.

Chwycił walizkę i poprowadził Eugene'a w górę wąskimi schodami na tyłach sklepu.

Kiedy Kahn zaczynał mówić o sobie – a zdarzało się to nieczęsto – podkreślał zawsze, iż jego życie zmieniło się diametralnie od chwili, gdy pewnego wieczoru, na początku lat dwudziestych, trafił na spotkanie kółka dyskusyjnego żydowskich intelektualistów, którzy zbierali się regularnie

w prywatnym mieszkaniu na górnym Broadwayu. W owym czasie studiował rachunkowość na Uniwersytecie Columbia, gdzie zapisał się pod rodzowym nazwiskiem ojca – Cohen. Marksistowska krytyka kapitalizmu otworzyła mu oczy na świat, którego wcześniej nie dostrzegał. Z dyplomem w kieszeni wstąpił do Amerykańskiej Partii Komunistycznej i przyłączył się do zespołu partyjnej gazety „The Daily Worker”, gdzie pracował jako zecer aż do napaści Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. Wtedy „odpadł”: przeszedł pod rozkazy pewnego sowieckiego dyplomaty, zaprzestał działalności organizacyjnej, zerwał wszelkie kontakty z partią, zmienił nazwisko na Kahn i przeniósł się do Waszyngtonu. Z pomocą funduszy, jakie zapewnił mu jego oficer prowadzący, wykupił licencję na sklep monopolowy i zmienił jego nazwę na „U Kahna: wina, wódki, likiery”.

– Kilku z nas zostało wybranych do podziemia – opowiadał Kahn przy kolacji tego wieczoru, kiedy Eugene zjawiał się w sklepie. – Już nie należeliśmy do partii, ale wciąż obowiązywała nas dyscyplina... Byliśmy dobrymi żołnierzami, słuchaliśmy rozkazów. Mój przełożony kazał mi iść, a ja szedłem, bez żadnych pytań, i walczyłem za naszą słuszną sprawę i ojczyznę światowego socjalizmu. I nadal walczę – dodał dumnie.

Kahn został powiadomiony, że ma udzielić schronienia młodemu nowojorkowowi, towarzyszowi z Partii Komunistycznej, któremu FBI depte po piętach. Wieczorami gość miał studiować na Uniwersytecie Georgetown, a za dnia, w zamian za mieszkanie w pokoiku nad sklepem, rozwozić alkohol zdezelowanym studebakerem gospodarza.

– Długo będzie u mnie mieszkał? – zapytał Kahn swojego oficera prowadzącego, kiedy jakiś czas temu spotkali się w męskiej toalecie w waszyngtońskiej Smithsonian Institution.

– Tak długo, jak będzie trzeba – odpowiedział krótko Rosjanin.

– Rozumiem – odparł Kahn.

I naprawdę rozumiał.

– Wiem, że obowiązuje was partyjna dyscyplina – mówił, nalewając ostrożnie resztkę piwa do kufła Eugene’a. – Wiem, że są rzeczy, o których nie wolno wam mówić.

Ściszył głos.

– Chociażby sprawa Rosenbergów... Niedobrze mi się robi na samą myśl. Eugene spojrział na niego pytająco.

– Nie czytasz gazet? – Kahn przeszedł na „ty”. – Dzisiaj ich stracono. Na k r z e ś l e e l e k t r y c z n y m! Na miłość boską! Znałem Rosenbergów w końcu lat trzydziestych... Widywałem ich czasem na spotkaniach partii, zanim odpadłem. Zapewniam cię, że Ethel była niewinna. Julius to marksista. Spotkałem go raz po wojnie w nowojorskiej bibliotece publicznej. Powiedział mi, że zrezygnuje w czterdziestym trzecim. Był pod opieką oficera z radzieckiego konsulatu w Nowym Jorku. Później słyszałem, że kazano mu zorganizować coś w rodzaju biura informacyjnego. Przekazywał wiadomości. Był bojownikiem o wolność Ameryki, jak ty i ja. Dostawał koperty i przysyłał je dalej, ale wątpię, czy wiedział, co w nich jest. Ethel gotowała, sprzątała, zajmowała się dziećmi i cerowała skarpetki, podczas gdy mężczyźni dyskutowali o polityce. Jeśli rozumiała choć połowę z tego, co usłyszała, będę zdziwiony. S k a z a n i n a ś m i e r ć! Na krześle elektrycznym... Co się teraz wyrabia na tym świecie?!

– Myślisz, że naprawdę wykonali wyrok? – spytał Eugene.

Kahn sięgnął ręką pod wykrochmalony kołnierzyk, żeby podrapać się po łopatkach.

– Antyradziecka histeria w kraju wymknęła się spod kontroli. Rosenbergowie posłużyli jako kozły ofiarne wojny koreańskiej. Trzeba było znaleźć winnych. Prezydent nie mógł tym razem skorzystać z prawa łaski. Polityka...! – Kahn wstał od stołu. – Wszyscy musimy mieć się na baczności. Jutro rano Bernice przyniesie ci gazety.

– Kto to jest Bernice?

Kahn rozpromienił się cały, przedrzeźniając Eugene’a, jakby odpowiedź na to pytanie była najzupełniej oczywista.

– Kto to jest Bernice? Bernice to Bernice. Bernice jest właściwie moją adoptowaną córką i jedną z nas. Bernice jest prawdziwą towarzyszką, proletariacką bojowniczką. Bernice robi mnóstwo pożytecznych rzeczy. Pomaga mi w sklepie. Ona otwiera, a ja zamykam. Dobranoc, Eugene.

– Dobranoc, Max.

Eugene słyszał jeszcze, jak Kahn, człapiąc w dół po schodach, śmieje się pod nosem i powtarza: „Kto to jest Bernice? Kto to jest Bernice?”

Nazajutrz Eugene, goląc się przed pękniętym lustrem nad umywalką w łazience nie większej od szafy, usłyszał, że na dole w sklepie ktoś szura kartonami. Zaraz potem na schodach rozległy się stłumione kroki i lekkie pukanie do drzwi.

– Czy jest tam kto?! – zawołał kobiecy głos.

Wycierając ręcznikiem resztki kremu z twarzy, Eugene uchylił drzwi i wyjrzał przez szparkę na korytarz.

– Cześć – powiedziała młoda dziewczyna. Trzymała gazetę „Washington Star” i wzrok Eugene’a od razu padł na pierwszą stronę ze zdjęciem Ethel i Juliusa Rosenbergów.

– Ty musisz być Bernice.

– Jak dwa razy dwa jest cztery.

Bernice okazała się szczupłą, śniadą semicką piękną o orlim nosie, gęstych brwiach i głęboko osadzonych oczach, które błyskały wojowniczo, ilekroć zaczynała mówić o tym, co dotyczyło ją do żywego. „W dupie mam «purpurowy gór majestat» – krzyczała wówczas i zaciskała w piąstki szczupłe palce, pochyłona niczym bokser na ringu, gotów do walki. – Naszą piękną Amerykę zbudowano na dwóch zbrodniach, o których nie wypada mówić w towarzystwie: zbrodni przeciw Indianom, wygnanym ze swojej ziemi i wybitym niemal do nogi przez dzielnych białych pionierów, i zbrodni przeciw Murzynom, wywiezionym z ich rodzinnej Afryki i sprzedawanym na targu jak bydło, kto da więcej, panowie, kto da więcej...!”

Eugene nie potrzebował wiele czasu, by zorientować się, że bunt Bernice przeciwko systemowi kapitalistycznemu miał podłoże seksualne. Nie malowała się ani nie nosiła bielizny i ze śmiechem przyznawała, że uważa rozbieranie się do rosołu za uczciwą działalność proletariacką, gdyż pozwala to zrzucić z siebie, choćby na chwilę, burżuazyjną maskę. Mówiła o sobie, iż jest marksistowską feministką, a jej ideałem była Aleksandra Kołłontaj, bolszewiczka, która porzuciła męża i dzieci, żeby służyć Leninowi i rewolucji. Bernice także chętnie porzuciłaby drobnomieszczańską moralność i zaoferowała swe ciało rewolucji, jeśli tylko ktoś wystosowałby odpowiednie zaproszenie.

Bernice nie była głupia. Eugene tak podkreślał fakt, iż urodził się i wychował na Brooklynie, że zaczęła się zastanawiać, czy on w ogóle jest Amerykaninem; kilka razy zdawało się jej, że wychwyciła drobne potknięcia w gramatyce i wymowie, co przywiodło jej na myśl dziadka, żydowskiego imigranta z Wilna, który nawet po wielu latach spędzonych w Stanach mówił w ten sam sposób. Spostrzegła, że pociąga ją tajemnica, jaką wyczuwała wokół Eugene’a. Domyślała się, że wykonuje rozkazy

partii, przypuszczała, że zlecono mu zadanie, dzięki któremu stał się w jej oczach bojownikiem w walce z fanatycznym maccartyzmem, jaki opanował niemal całą Amerykę.

– Przejrzałam cię, Eugene – oświadczyła, kiedy po rozwiezieniu towaru zaparkowali rozklekotane kombi w uliczce na tyłach sklepu i wślizgnęli się do środka tylnym wejściem. Była ubrana w kwieciste spodnie i obcisły biały sweterek, przez który prześwitywały ciemne sutki jej prawie niedostrzegalnych, drobnych piersi. Possała przez chwilę kciuk, a potem wypaliła nagle: – Jesteś kanadyjskim komunistą, jednym z organizatorów zeszłorocznego strajku, kiedy to dokerzy zablokowali wszystkie porty, żeby flota z pomocą humanitarną dla Europy, przesyłaną w ramach planu Marshalla, nie mogła opuścić Kanady. Jesteś ścigany przez tę wstrętną policję konną, mam rację?

– Nie opowiesz tego, co?

– Będę milczeć jak grób. Nikomu nie pisnę słówka. Nawet Maxowi.

– Partia wie, że może na ciebie liczyć.

– Oczywiście, że może – przytaknęła z zapałem.

Podeszła bliżej i namiętnie pocałowała go w usta. Lewą ręką sięgnęła mu do rozporka i zaczęła rozpinać guziki u spodni. Westchnęła głęboko i oznajmiła:

– Dzisiaj wieczorem zabiorę cię do siebie. Strzelimy sobie po działce meskaliny i będziemy się pieprzyć do białego rana.

Eugene, który dopiero co odtrącił jedną Żydówkę w Związku Radzieckim, a w Ameryce znalazł się niespodziewanie w ramionach drugiej, nie stawiał oporu.

Nazajutrz na parkingu za sklepem Kahna Eugene odkrył znak „X”, narysowany niebieską kredą na ścianie wielkiego blaszanego kubła na śmieci. Wieczorem, po zajęciach z literatury amerykańskiej poświęconych pisarstwu Melville’a, powędrował do uniwersyteckiej czytelnicy i wyszukawszy w katalogu trzy opracowania na temat jego twórczości, usiadł na wolnym miejscu przy stoliku w kącie. Z plecaka wyciągnął kieszonkowe wydanie *Billy’ego Budda* w miękkiej oprawie i zaczął podkreślać interesujące go fragmenty, zerkając co pewien czas do podręczników. W bibliotece panował spory ruch. Co chwila ktoś brał książkę z półki lub odkładał z powrotem. Kiedy zegar wybił dwudziestą pierwszą, wysoka, chuda kobieta o rdzawych włosach, upiętych w luźny kok, zsunęła się bezszelestnie z krzesła przy sąsiednim stoliku i z kilkoma tomami pod pachą zniknęła wśród regałów. Pojawiła się znowu parę minut później, już bez książek, wsunęła dłonie w rękawy płaszcza i wyszła głównymi drzwiami.

Eugene tkwił przy swoim stoliku aż do wpół do jedenastej. Wreszcie zabrzmiał dzwonek, oznajmiając zamknięcie biblioteki. Czytelnia opustoszała, tylko jakiś starszy pan o kulach marudził jeszcze przy katalogach. Siedząca za biurkiem bibliotekarka spojrzała wymownie na zegar, dając Eugene’owi do zrozumienia, że najwyższy czas, aby sobie poszedł. Kiwnął głową i zamknął *Billy’ego Budda*. Schował książkę, a potem, przewiesiwszy plecak przez ramię, wziął resztę tomów pod pachę i podszedł do regałów, żeby odłożyć opracowania na miejsce. Na półce, pośrodku sekcji Melville’a, stał opasy podręcznik robótek ręcznych. Rozejrzawszy się, czy nikt nie widzi, Eugene wrzucił książkę do plecaka, wrócił po wiszącą na oparciu krzesła skórzaną kurtkę i ruszył w stronę wyjścia. Bibliotekarka przyjrzała mu się uważnie spoza szkieł okularów, lecz rozpoznawszy w nim studenta kursów wieczorowych, uśmiechnęła się

życzliwie. Eugene otworzył plecak i podsunął jej pod nos, żeby mogła sprawdzić, że nie wynosi encyklopedii.

Zauważyła książkę o robótkach.

– Jest pan chyba jedynym studentem, który studiuje Melville’a oraz r o b ó t k i r ę c z n e – zachichotała.

Eugene starał się wyglądać na zakłopotanego.

– To dla mojej dziewczyny...

– Szkoda... Świat byłby lepszy, gdyby mężczyźni zajęli się dzierganiem na drutach.

Max wypożyczył na wieczór Eugene’owi sklepowe kombi, ale ten, zamiast wrócić prosto do swojego pokoiku na poddaszu, odjechał w kierunku Wirginii. Po upływie mniej więcej pół godziny zatrzymał się na czynnej całej dobie stacji benzynowej. Podczas gdy napełniano mu zbiornik, poszedł do telefonu i wrzucił dwie monety. Firma Bella wprowadziła ostatnio bezpośrednie połączenia międzymiastowe. Eugene wykręcił waszyngtoński numer, który Dziadek podyktował mu przez krótkofalówkę.

W słuchawce odezwał się zaspany głos.

– Halo?

– Dzwonię w sprawie pańskiego ogłoszenia w „Washington Post”. Ile mil ma na liczniku ford, którego pan sprzedaje? – spytał Eugene.

Mężczyzna po drugiej stronie mówił z nienagannym brytyjskim akcentem Anglika z wyższych sfer.

– Przykro mi, ale to p-p-pomyłka. Nie sprzedaję forda. Ani żadnego innego samochodu.

– Cholera, wykręciłem zły numer.

– Wydaje mi się, że nie dosłyszałem przeprosin, ale trudno, nie szkodzi... Żegnam pana – zachnął się Anglik i odłożył słuchawkę.

Zamówienie na cztery butelki lagavulin malt whisky zostało odebrane telefonicznie następnego dnia późnym rankiem. Zamawiający życzył sobie, aby dostarczyć mu towar przed południem. Czy to możliwe? Zrobi się, powiedziała Bernice i zapisała adres ogryzkiem ołówka, który miała zatknięty za ucho.

Przedzierając się sklepowym kombi przez poranne korki na ulicach Waszyngtonu, Eugene pojechał najpierw wzdłuż Canal Road, a potem przez Arizona Avenue aż do skrzyżowania z Nebraska, spokojną zadrzewioną uliczką z dużymi domami po obu stronach. Skręcając, utknął na dobrych parę minut za śmieciarką. Kilku Murzynów w białych ogrodniczkach taszczyło blaszane pojemniki spod tylnych drzwi posesji przez podjazd aż na chodnik, gdzie opróżniano je do ciężarówki. Eugene zerknął na adres wypisany na blankiecie zamówienia i punktualnie o jedenastej podjechał pod oznaczony numerem 4100 piętrowy ceglany budynek z ogromnym oszklonym wykuszem. Klient, który zamówił lagavulina, musiał wyglądać na ulicę przez wąskie okienko w przedsionku, bo frontowe drzwi otworzyły się, gdy tylko Eugene sięgał do dzwonka.

– A niech mnie, co za przednie kombi stoi przy krawężniku! Proszę, niech p-p-pan wejdzie.

W progu stał angielski dżentelmen o długich, falujących włosach i zapuchniętych z przepicia oczach. Ubrany był w powyciąganą niebieską marynarkę z podniszczonymi złotymi guzikami. Szyję miał starannie owiniętą fularem.

– Powinien p-p-pan mieć wizytówkę – zauważył niedbale, wciągając Eugene’a do przedsionka.

Eugene wyjął połowę kartonika, odciętego od opakowania owocowej galaretki (znalazł go w wydrążonej w środku książce o robótkach ręcznych,

którą zabrał z czytelnicy poprzedniego wieczoru). Anglik wygrzebał z kieszeni drugą połowę. Pasowały do siebie idealnie. Wyciągnął dłoń.

– Bardzo się cieszę – wymamrotał, a na jego obrzmiałej twarzy pojawił się uśmiech podobny do nerwowego tiku. – Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że Dziadek przyśle mi kogoś tak młodego. Jestem P-P-PARSIFAL... ale to już pan zapewne wie.

Eugene w oddechu Anglika wyczuł zapach burbona.

– Moje robocze imię brzmi Eugene.

– Jest pan Amerykaninem, prawda? Myślałem, że tym razem Dziadek załatwi mi Rosjanina.

– Mówię po angielsku jak Amerykanin – odparł Eugene. – Ale jestem rodowitym Rosjaninem.

I płynnie wyrecytował po rosyjsku swoje motto:

– *Za uspiech naszego bieżnadiożnogo dzieła!*

Anglik od razu się ożywił.

– Nie znam rosyjskiego. Ale lubię go słuchać. Zdecydowanie wolę mieć do czynienia z Rosjanami Dziadka niż z tymi jego znerwicowanymi jankeskimi komuchami. – Wyjął cztery naświetlone filmy do minoxa i wręczył je Eugene’owi. – To dla Dziadka... na prima aprilis. Proszę mu przekazać tak szybko, jak się da. Zrobiłem parę świetnych zdjęć paru supertajnych dokumentów. Widać tam czarno na białym, na które radzieckie miasta Amerykanie planują zrzucić bombę atomową, jeżeli wybuchnie wojna. Dostanę coś w zamian?

Eugene postawił na podłodze butelki lagavulina i wyjął pozostałe przedmioty, znalezione w pustej książce o robótkach ręcznych: tuzin pięćdziesięcioklatkowych filmów do miniaturowego minoxa, nowe jednorazowe bloczki szyfrowe, zapisane drobnym maczkiem po

wewnętrznej stronie zwykłych kartoników po zapalkach, czytnik do mikrofotografii, ukryty w szerokokątnym obiektywie trzydziestopięciomilimetrowego aparatu, oraz list od Dziadka, zaszyfrowany na jednym ze starych bloczków Anglika, zwinięty ciasno wewnątrz wydrążonej śrubki.

– Dziękuję bardzo – powiedział mężczyzna. – Będzie się pan w najbliższym czasie kontaktował z rezydentem?

– Być może.

– Wydaje mi się, że lepiej, jeśli uczyni p-p-pan to wcześniej niż później. Niech pan mu powie, że może być z tego niezły pasztet. Angleton dostał cynk, że od lat mamy kreta w brytyjskich tajnych służbach, kryptonim HOMER. – Jąkanie Anglika ustępowało, w miarę jak mówił. – Wczoraj powiedział mi, że jego chłopcy od kryptoanalizy odkryli jeszcze jeden szczegół. Dogrzebali się w archiwum do informacji, że HOMER, już po opuszczeniu Waszyngtonu, przyjeżdżał dwa razy w tygodniu do Nowego Jorku na spotkanie z twoim poprzednikiem. Angleton nie będzie musiał długo myśleć, żeby skojarzyć te fakty z Donem Macleanem, który również dwa razy w tygodniu jeździł w odwiedziny do żony. Melinda była wtedy w ciąży i mieszkała w Nowym Jorku, u matki. Maclean jest teraz szefem Departamentu Amerykańskiego przy Foreign Office w Londynie. Ktoś musi go ostrzec, że CIA depcze mu po piętach. Ktoś musi zorganizować ewakuację.

Eugene znał sprawę, dowiedział się o tym jeszcze w Moskwie, od Dziadka.

– Co porabia Burgess? – zapytał.

Guy Burgess, stary kumpel Philby’ego z Trinity College, był sowieckim agentem, który jeszcze podczas wojny zwerbował go do MI6.

– Odkąd dostał przydział do ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie, wynajmował u mnie pokój. Nocleg ze śniadaniem... co w praktyce oznaczało nocleg z butelczyną. A czemu pan pyta?

– Burgess to stary kumpel Macleana, mam rację?

– W rzeczy samej.

– Dziadek powiedział, że w sytuacji awaryjnej może pan wysłać Burgessa, aby ostrzegł Macleana.

Philby natychmiast zauważył płynące z tego korzyści.

– Genialny pomysł! Cóż mogłoby być bardziej naturalnego niż tych dwóch razem, wyprawiających się do pubu? Jeśli sprawy przybiorą nieciekawy obrót, przypuszczam, że Guy mógłby wyrwać się od swoich przyjaciół pedałów z DC na tyle wcześnie, żeby zdążyć do domu i ostrzec Macleana.

– Proszę starannie zatrzeć za sobą ślady. Jeżeli Maclean spróbuje ratować własną skórę, ktoś może dotrzeć przez niego do Burgessa, a przez Burgessa do pana.

Anglik wzruszył ramionami w geście całkowitej rezygnacji.

– Guy może się wykręcić, nawet jak go przycisną – zgadywał. – Poza tym mam alibi. Ostatnią rzeczą, jaką by zrobił radziecki szpieg, byłoby udzielenie schronienia innemu radzieckiemu szpiegowi.

Eugene uśmiechnął się, widząc stalowe nerwy Anglika.

– Powinien mi pan zapłacić za whisky – powiedział, pokazując kartę zamówienia.

Kim Philby wyciągnął kilka banknotów z kobiecej portmonetki i przeliczył je.

– P-p-proszę zachować resztę – zaproponował, znowu się jękając, wpatrzony w przestrzeń zamglonym wzrokiem linoskoczka, który próbuje

przewidzieć swój następny ryzykowny krok na linie, rozpiętej przed oczyma duszy.

HEIDELBERG, PONIEDZIAŁEK, 9 KWIETNIA 1951

Z chodnika wąskiej uliczki gospoda „Propyläen”, nazwana tak od tytułu czasopisma założonego niegdyś przez Goethego, wydawała się ciemna i opuszczona. Restauracja, oddalona o rzut kamieniem od surowego, naznaczonego upływem czasu budynku Uniwersytetu w Heidelbergu, codziennie oferowała studentom ziemniaki z kapustą, dotowane z miejskiego budżetu. Teraz blaszane okiennice były zamknięte, goła żarówka nad sztyldem wygaszona, a na drzwiach wisiała napisana ręcznie kartka, informująca w trzech językach – niemieckim, angielskim i francuskim: „Dziś wyjątkowo nieczynne”. Ebby wynajął jadalnię w gospodzie na pożegnalny bankiet dla swojego albańskiego oddziału komandosów. Zatroszczył się o to, żeby było wystawnie; załatwił puszkowane mięso i alkohol z frankfurckich przydziałów Firmy. W ogrzewanym węglowym piecykiem pomieszczeniu na zapleczu, oświetlonym pełgającymi płomykami świec, zasiadał u szczytu długiego stołu, rozlewał brandy do kieliszków i rozdawał papierosy z filtrem. Pociągłe, ogolone twarze siedmiu Albańczyków i dwóch tłumaczek jaśniały dumą i potem.

Na drugim końcu stołu siedział Adil Azizi, dowódca komandosów, przystojny, smagłolicy młodzieniec o delikatnych, długich, jasnych włosach, i ostrym jak brzytwa sztyletem obierał pomarańczę. Jego sąsiad, mężczyzna w czarnym golfie, powiedział coś półgłosem i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tłumaczka szturchnęła Ebby’ego łokciem i wyjaśniła:

– Mehmet mówi, żeby Adil nie tępił ostrza na pomarańczy, bo przyda się na komuchów.

Zegar przy drzwiach wybił północ. Jedna ze świeczek, wypaliwszy się do końca, zasyczała i zgasła. Kapo, niespełna dwudziestoczteroletni komandos, najstarszy w oddziale i jedyny, który umiał sklecić parę słów po angielsku, wstał, żeby wznieść toast za Ebby'ego. Tłumaczka powtarzała za nim po albańsku każde zdanie, żeby wszyscy mogli zrozumieć.

– Może pan mi wierzyć, panie Trabzon, że nie zawiedziemy ani pana, ani naszych amerykańskich sponsorów, ani naszego narodu – zapewniał.

Mehmet podpowiadał mu po albańsku, co ma dalej mówić, a Kapo kręcił głową, co w języku ludów bałkańskich oznacza aprobatę.

– Mógłbym panu opowiedzieć raz jeszcze o moim ojcu, któremu komuniści wytoczyli proces za to, że był członkiem przedwojennego rządu. Uznali go za winnego i zamknęli w klatce jak dzikie zwierzę, a potem wyrzucili za burtę. Każdy z tu obecnych mógłby opowiedzieć podobną historię.

Adil szepnął coś do Kapo po albańsku.

– Adil mówi, że jego przyrodni brat, Hsynitk, miał proces za słuchanie amerykańskiej muzyki przez radio i został zastrzelony na parkingu przed stadionem w Tiranie pół godziny później. Enver Hodża jest naszym śmiertelnym wrogiem.

Kapo wyjął z kieszeni skórzanej kurtki, wiszącej na oparciu krzesła, niewielką paczkę, zawiniętą w gazetę i okręconą sznurkiem. Uniósł ją w górę. Na twarzach siedzących wokół stołu ludzi pojawiły się uśmiechy.

– Chcielibyśmy dać panu prezent, na pamiątkę wspólnie spędzonych chwil we wspaniałym niemieckim mieście Heidelberg. Niech pan o nas nigdy nie zapomni!

Paczka przechodziła z rąk do rąk, aż dotarła do Ebby'ego, który zaczerwienił się ze wzruszenia.

– Nie wiem, co powiedzieć... – bąknął zmieszany.

– To niech pan nic nie mówi, panie Trabzon. Proszę to tylko otworzyć! – zawołał Kapo.

Wszyscy, rozradowani i podekscytowani, zaśmiali się głośno.

Ebby zerwał sznurek i papier. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy zobaczył, co jest w środku: brytyjski rewolwer „Webley Mark VI” z datą 1915, wygrawerowaną na polerowanej drewnianej rękojeści. Był w idealnym stanie.

– Bardzo się cieszę, że mam teraz taką piękną broń – powiedział miękko Ebby. Przycisnął rewolwer do serca. – Dziękuję wam.

U szczytu stołu Adil powiedział coś po albańsku. Tłumaczka wyjaśniła:

– Adil mówi, że następnym prezentem, jaki pan od nich dostanie, będzie skalp Envera Hodży.

Wszyscy z powagą pokiwali głowami. Adil rzucił za siebie szklanę z brandy; rozbiła się w drobny mak. Inni poszli za jego przykładem, a potem zgodnie stuknęli kufłami o stół. Nikt się nie uśmiechał.

Ebby wstał. Siedząca obok niego tłumaczka też się podniosła. Kiedy tłumaczyła słowa Ebby'ego, podświadomie powtarzała niektóre jego gesty i mimikę twarzy.

– To dla mnie zaszczyt, że mogłem z wami pracować – zaczął Ebby.

Mówił powoli, robiąc długie pauzy między zdaniami:

– Wiele od was zależy. Jesteśmy pewni, że śmierć Hodży doprowadzi do powstania nowego, demokratycznego porządku w Albanii. Siły antykomunistyczne Balli Kombëtare na północy mogą wystawić do walki tysiące uzbrojonych partyzantów. Powstanie w Albanii mogłoby wzniecić

bunt na całych Bałkanach i w państwach Europy Wschodniej, a nawet, czemuż by nie, na Ukrainie, w republikach bałtyckich i w Azji Środkowej. Związek Radziecki jest jak domino... Porusz pierwszy klocek, a inne posypią się za nim. – Ebby potoczył wzrokiem po twarzach zebranych przy stole ludzi. – To wam przypadł zaszczyt i ryzyko poruszenia pierwszego klocka.

Wyszczrzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

– Macie to jak w banku!

Młodzi Albańczycy ryknęli śmiechem. Kiedy się uspokoili, Ebby dodał poważnie:

– Powodzenia i Bóg z wami.

BERLIN, CZWARTEK, 12 KWIETNIA 1951

Bujając się na malowanym koniku na biegunach, którego jeden z oficerów berlińskiej bazy kupił na czarnym rynku i ustawił w korytarzu, Upadły Anioł zatopił się w lekturze *Dennisa Rozrabiaki* – nowego komiksu z amerykańskiego wydania „Die Neue Zeitung” w języku niemieckim. Naprzeciwko wejścia do pokoju Czarnoksiężnika, oparci o baniak ze śliwowicą, panna Sipp i Jack pochylali się nad pierwszą stroną tej samej gazety, gdzie jak zwykle zamieszczono aktualną statystykę dezertersów z Volkspolizei, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przedostali się na Zachód (ich własny, prywatny ranking znacznie przewyższał te dane), oraz obszernie omówienie tematu dnia, czyli decyzji Trumana o odwołaniu z Korei generała Douglasa MacArthura, który publicznie wzywał do nalotów na chińskie miasta. Wszyscy troje, Upadły Anioł, Uczeń Czarnoksiężnika i Nocna Mara Torritiego, byli tak pochłonięci lekturą, że nie zwracali najmniejszej uwagi na wrzaski, dochodzące zza uchylonych drzwi. Tubalny męski głos zagłuszał burzliwe dźwięki uwertury do *Normy* Belliniego w wykonaniu orkiestry symfonicznej.

– Nawet Francuzi mają lepsze pomysły od ciebie! – ryczał generał Lucian Truscott IV, szef CIA w Niemczech.

Czarnoksiężnik odciął mu się sprośną rymowanką:

- Francuzi są twórczą nacją: gadają rękami, a pieprzą się gębami.
- W zeszłym tygodniu zdobyli sowieckie plany organizacyjne w Polsce.
- Ich szeregi się przerzedzają.

- Przynajmniej mają jakieś szeregi.
- Nam też się czasami coś udaje.
- Co na przykład?
- Zdobyłem próbkę gówna Waltera Ulbrichta. Wysłaliśmy ją do Waszyngtonu, do analizy.
- Wspaniale! Następnym razem mi powiesz, że plotki o alergii Ulbrichta na ziele krostawca są prawdziwe!

W korytarzu Upadły Anioł oderwał się na moment od *Dennisa Rozrabiaki* i wymienił porozumiewawcze spojrzenia z panną Sipp, która zgarbiła się i wyduła dolną wargę. Generał Truscott, twardziel i krzykacz, stawał się grubiański już po kilku kolejkach whisky, ale oczyścił pole Firmy w Niemczech. Odkąd się zjawił, wiele spośród co durniejszych pomysłów operacji tajnych służb (jak choćby bombardowanie Związku Radzieckiego prezerwatywami o rozmiarze XL, oznaczonymi jako M) odłożono na półkę, a kilku mniej doświadczonych oficerów wysłano na głęboką prowincję. Pomimo sporadycznych wybryków i awantur Truscott – szorstki w obejściu żołnierz starej szkoły, który kiedyś wylał dzban wody na głowę oficera CIA, aby ten „ochłonął” – miał jednak sporo szacunku dla Czarnoksiężnika. Stolec Ulbrichta nie był jedynym osiągnięciem Torritiego i jego szef dobrze o tym wiedział.

– I jeszcze jedno! – wrzeszczał generał, usiłując przekrzyczeć muzykę, a jego zrzędlawy głos zlewał z burzliwymi dźwiękami orkiestry w jeden kakofoniczny jazgot. – Ludzie z Sił Powietrznych psioczą, że muszą namierzyć cele bombardowań na podstawie starych map niemieckiej Abwehry, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Czy nie można im było dostarczyć czegoś bardziej aktualnego? Słyszysz, co do ciebie mówię, Torriti?!

Pannie Sipp wydało się, że usłyszała, jak kolejna pusta butelka ląduje z hukiem w koszu na śmieci jej szefa.

Jack zapytał krótko:

– Ile dzisiaj poszło?

– Jeśli się kocha – zauważyła Nocna Mara z niewinnym uśmiechem – to się nie liczy.

– Myślałem, że go nienawidzisz – odezwał się Silwan II ze swojego konika na biegunach.

– Nienawidzę go, ale nie mogę powiedzieć, żebym go nie lubiła.

– Aha – powiedział, kiwając głową ze zrozumieniem, chociaż w rzeczywistości nic z tego nie rozumiał. Wolał swojski, prosty świat *Dennisa Rozrabiaki* i z ulgą powrócił do lektury.

– To nie moja wina, że nad Europą Wschodnią wiszą chmury – mówił Czarnoksiężnik do Truscotta.

– Zrozum wreszcie, do jasnej cholery, że przez te pieprzone chmury musimy mieć więcej agentów na ziemi!

Drzwi do pokoju Torritiego otwały się z hukiem i obaj mężczyźni, ściskając w rękę szklanki z whisky, wytoczyli się na korytarz. Truscott akurat wprowadzał Czarnoksiężnika w szczegóły ostatniego koszmarnego scenariusza gier wojennych Pentagonu: Rosjanie zablokują stumilowy korytarz łączący Niemcy Zachodnie z alianckimi sektorami Berlina; jednostki francuskie, angielskie i amerykańskie, wyłonię z czterystu tysięcy stacjonujących tu oddziałów, przegrupują się i zajmą pozycje wzdłuż wschodniej granicy; Rosjanie nie wytrzymają gry nerwów i wysadzą mosty na tyłach, odcinając drogę aliantom; z odsieczą zamkniętym w potrzasku oddziałom Zachód wyśle dywizję czołgów;

komuś gdzieś puszcza w końcu nerwy i pociągnie za spust, a ów wystrzał będzie słycać na całym świecie.

Torriti, chcąc ulżyć swoim piekącym oczom, zmrużył zaczerwienione powieki.

– Łajdaki nie wezmą mnie żywcem, generale – powiedział hardo i wskazał na szpilkę z zatrutym końcem, wbitą w poplamione od whisky klapy wymiętej sportowej marynarki.

Truscott, z ręką na klamce ciężkich drzwi pożarowych prowadzących na klatkę schodową, odwrócił się nagle.

– Słyszałem, że nad czymś ślęczysz. O co chodzi?

– Kto ci powiedział?

– Od czasu do czasu przykładam ucho, gdzie trzeba.

Czarnoksiężnik dostał czkawkę.

– No więc... Robiłem ewakuację... nie wyszło... – wyjęczał.

– Łyżka cukru! Na ogół pomaga – podsunął generał.

Torriti wyglądał na skołowanego.

– W ewakuacji?

– Na czkawkę, do cholery.

Panna Sipp spojrzała znad gazety.

– Niech pan spróbuje napić się wody ze szklanki z włożoną łyżeczką! – zawołała.

– A śliwowica w szklance z... łyżeczką też pomoże?! – odkrzyknął Torriti, wskazując na baniak, po czym zwrócił się znowu do Truscotta. – Rosjanie dostali... cynk. Nawet jeśli miałyby to być ostatnia... rzecz, jaką zrobię, dowiem się... dowiem się, kto... im powiedział.

– Jak?

– Papka... barytowa.

– Papka barytowa? – powtórzył Jack do panny Sipp. – A co to, u diabła, jest?

– Na pewno nic z tych rzeczy, które sprzedają w budkach z hamburgerami na Kurfürstendamm – odparła z miną osoby wtajemniczanej.

– Jaka papka? – zapytał Truscott.

– Barytowa. Mam zamiar nakarmić tym... po kolei każdego z adresatów. To będzie radioaktywne, w pewnym sensie – będę mógł ich... przeświecić... i zobaczyć, kto co widział i kiedy. Wszystko pod kontrolą... Wszelkie prawa zastrzeżone, nie rozpowszechniać bez zgody autora... egzemplarze numerowane. Potem zobaczymy... zobaczymy, które operacje zostały spalone... i dzięki temu dowiemy się... kto jest zdrajcą.

– Rozdajesz klejnoty rodowe – zauważył niespokojnie Truscott.

– Pieprzony kret rozda ich więcej, jeśli nie dobierzemy mu się do tyłka.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknął generał.

– Mam nadzieję... że wiem – czknął Czarnoksiężnik.

Torriti rozpoczął swoje żmudne śledztwo od rozdzielnika ewakuacji Wiszniewskiego. Z tego, czego zdążył się dowiedzieć, wynikało, iż w Waszyngtonie dziewięć osób było, w ten czy w inny sposób, zaangażowanych w operację: dyrektor CIA i jego zastępca, czterech ludzi w Dyrektoriacie Operacyjnym, szyfrant, który odkodował depesze Czarnoksiężnika, oficer z łączności odpowiedzialny za dystrybucję przesyłek w Alei Karaluchów, i oczywiście Jim Angleton, guru kontrwywiadu, który przeświecał wszystkich domniemyanych zdrajców, aby wyeliminować „zbuki”.

Liczba kombinacji nie ograniczała się do ludzi z wewnętrznego rozdzielnika. Kim Philby, rezydent MI6 w Waszyngtonie, przyjaźnił się ze wszystkimi grubymi rybami Firmy, nie wyłączając dyrektora, którego drzwi zawsze stały otworem przed nuncjuszem brytyjskich braci. Miał zatem dostęp do wielu tajemnic, mimo że jego nazwisko nie figurowało w rozdzielniku. Jeżeli ktoś szepnął mu słówko o tajnej akcji, Philby mógł przekazać swojemu szefowi, że jankesi ściągają za ocean zdrajcę, który zna tożsamość sowieckiego kreta w MI6. Niewykluczone, że C, jak nazywano dyrektora brytyjskiego wywiadu, zwołał wówczas naradę wojenną swoich najbliższych współpracowników, chcąc w ten sposób zapobiec prawdziwemu trzęsieniu ziemi w łonie tajnych służb. Jeśli Philby był czysty (Torriti zdawał sobie sprawę, że świadczące przeciw niemu dowody to tylko poszlaki), kretem mógł być każdy, kto dowiedział się o sprawie Wiszniewskiego z drugiej ręki.

Philby był także znany jako dobry kumpel Jima Angletona, jego pomagier z czasów Ryder Street. Z luźnych rozmów telefonicznych z kilkoma starymi przyjaciółmi, pracującymi w znoju w lochach Reflecting Pool, Czarnoksiężnik dowiedział się, że Philby i Angleton w każdy piątek spotykali się na lunchu w pewnej knajpce w Georgetown. Angleton najwyraźniej ufał Philby'emu. Może wypaplał Angolowi treść owej pamiętnej depechy? A ten potem przekazał to dalej, do C, który puścił wiadomość w obieg, żeby przygotować grunt pod ostateczne uderzenie?

Na te i inne pytania Torriti uparcie szukał odpowiedzi.

Ślęcząc po nocach, pochłaniając hektolitry przydziałowej whisky (tym razem nawet panna Sipp zaczęła liczyć puste butelki w koszu na śmiecie), Czarnoksiężnik skrupulatnie odmierzał składniki i pichcił swoją papkę barytową.

Punkt pierwszy: jakiś czas temu przechwyił z transportu wyrzeźbione w drewnie popiersie Stalina, dostarczone potem do pewnego gabinetu w siedzibie wschodnioniemieckiego wywiadu w Pankow. W podstawie popiersia zostały ukryte mikrofon na baterie, mikroskopijnych rozmiarów taśma i przekaźnik impulsowy, który co drugi dzień o drugiej w nocy odtwarzał utrwalone rozmowy. Już podczas pierwszej emisji wydało się, że NRD zainicjowała program pod kryptonimem ACTION J w celu zdyskredytowania Niemców ze strefy alianckiej poprzez wysyłanie do ocalałych z Holocaustu Żydów listów z pogrózkami, pochodzących rzekomo z Niemiec Zachodnich. Listy te, podpisane przez „oficera SS”, były treści następującej: „Jeszcze nie zagazowaliśmy wszystkich Żydów. Któregoś dnia dokończymy naszego dzieła”. Zdemaskowanie ACTION J równałoby się ujawnieniu mikrofonu ukrytego w pokoju, w którym planowano operację.

Punkt drugi: Rabbi, w zamian za ujawnienie miejsca pobytu w Syrii byłego nazistowskiego specjalisty od broni biologicznej (Czarnoksiężnik wyciągnął to od ludzi Gehlena, ci zaś kupili tę informację od agenta egipskiego wywiadu Muhabarat), udostępnił Torritiemu nazwiska dwóch oficerów KGB, pracujących pod przykrywką dyplomatów w ambasadzie sowieckiej w Waszyngtonie. Opierając się na własnym doświadczeniu, Czarnoksiężnik stwierdził, że gdyby informacja ta wpadła w ręce radzieckiego kreta, Rosjanie zaraz znaleźliby pretekst (śmierć w rodzinie, syn złamał nogę na nartach), żeby jak najszybciej sprowadzić tych dwóch z powrotem do Związku Sowieckiego. Jeżeli nie wyjadą z USA, będzie to oznaczało, iż depeza Czarnoksiężnika z ich nazwiskami nie została przechwycona.

Punkt trzeci: Czarnoksiężnik założył podsłuch telefoniczny w biurze najbliższego współpracownika Waltera Ulbrichta, jego żony Lotte, która

pracowała w budynku Komitetu Centralnego na skrzyżowaniu Lothringerstrasse i Prenzlauer Allee w centrum Berlina Wschodniego. Ta porcja papki barytowej zawierałaby zapis ich rozmowy, w której Ulbricht wyraził się niepochlebnie o swoim rywalu z Socjalistycznej Partii Jedności, Wilhelmie Zaisserze. Gdyby Rosjanie dowiedzieli się od kreta o tym podsłuchu, przeprowadziliby rutynową rewizję biura Lotte i wykryli mikrofon.

Punkt czwarty: wschodnioniemiecki agent, który uciekł na Zachód wraz z dziesiątkami tysięcy ernerdowskich emigrantów, wlewających się strumieniami przez otwartą granicę, znalazł pracę w zakładach Messerschmitta. Berlińska baza natknęła się na jego nazwisko podczas przesłuchania niskiego rangą zdrajcy z Karlshorst, a Organizacja Gehlena „zduplikowała” zdemaskowanego agenta, który teraz dostarczał raporty techniczne pełne fałszywych informacji swoim mocodawcom z Niemiec Wschodnich. Człowiek ów jest regularnie, raz w miesiącu, przesłuchiwany w Karlshorst, kiedy odwiedza w tamtej części Berlina schorowaną matkę. Gdyby Torriti ujawnił jego tożsamość, podwójny agent byłby spalony i z pewnością już nie wróciłby z kolejnej wizyty u matki.

Punkt piąty: Czarnoksiężnik osobiście zatrudnił pokojówkę, która pracowała w „Blue House”, rządowym ośrodku wypoczynkowym Ministerstwa Bezpieczeństwa NRD nad Bałtykiem. Pokojówka okazała się siostrą pewnej prostytutki z burdelu mieszczącego się nad nocnym klubem w Berlin-Schöneberg, gdzie Torriti spędzał każdą wolną chwilę, przesłuchując dziwki. Jeżeli rzuci Rosjanom na żer urywki rozmów partyjnych szczych, wypoczywających w „Blue House”, pokojówka zostanie aresztowana, a źródło informacji wyschnie.

Punkt szósty: na poddaszu budynku stojącego naprzeciwko bazy KGB w dawnym szpitalu w Karlshorst Czarnoksiężnik umieścił obserwatora,

który za pomocą aparatu z teleobiektywem robił zdjęcia wyglądającym przez okna pracownikom. Na podstawie tych fotografii berlińska baza stworzyła album z wycinkami „Kto jest kim w sowieckim wywiadzie”. Gdyby Torriti nakarmił kreta tą papką, fotograf znalazłby się za kratkami, a album pozostałby niedokończony.

Punkt siódmy: Czarnoksiężnik widział kopię raportu, przygotowanego przez E. Winstroma Ebbitta II, oficera CIA, którego wykopał z Berlina za rozprowadanie wszem wobec o opilstwie Torritiego. Ebbitt, pracujący obecnie dla placówki we Frankfurcie, został ostatnio szefem tajnej operacji w Albanii z powodu jakichś niejasnych powiązań z tym krajem. Szkoli właśnie grupę emigrantów w zakonspirowanej bazie pod Heidelbergiem. Za kilka dni ma wysłać swoich albańskich komandosów do brytyjskiej bazy w pobliżu Mdiny na Malcie, a potem przemycić ich jachtem na wybrzeże albańskie niedaleko Durrës. Stamtąd mają przedostać się do Tirany i zlikwidować Envera Hodżę, złowrogiego, wzorującego się na Stalinie, wodza albańskiej rewolucji. W tym wypadku papka barytowa mogłaby przybrać formę poufnej depechy do członków Komisji do Zadań Specjalnych, nadzorującej brytyjsko-amerykańskie operacje w Albanii; Kim Philby, jako wysoko postawiony człowiek MI6 w Waszyngtonie, uczestniczył w posiedzeniach komitetu. Czarnoksiężnik ostrzegłby komisję, że Ebbitt ustawił sobie priorytety od dupy strony. Hodża mieszka i pracuje w „Le Bloc”, pilnie strzeżonym rządowym osiedlu w Tiranie. Podobno ze swojej willi do biura przechodzi tajnym tunelem. Torriti mógłby zasugerować, iż znacznie lepszym (i bardziej realistycznym) celem byłyby schrony dla łodzi podwodnych, które Rosjanie budowali w albańskim porcie Saseno, żeby w przyszłości przejąć kontrolę nad Adriatykiem. Gdyby komandosi Ebbitta, dobiwszy do brzegu, natknęli się na komitet

powitalny, oznaczałoby to, że i ta wiadomość przeciekła za pośrednictwem kreta do radzieckiej ambasady w Waszyngtonie.

Punkt ósmy: ostatni, ale istotny. Czarnoksiężnik mógłby wysłać papkę wprost do Angletona, podając w niej szczegóły ostatniej „zdobyczy”, którą kurier o kryptonimie TĘCZA dostarczył ze swojego źródła, znanego jako SNAJPER. Było to niezwykle kuszące: SNAJPER, uplasowany dość wysoko we wschodniemieckiej hierarchii, został zaproszony na spotkanie z przebywającym z wizytą w NRD marszałkiem Gieorgijem Konstantinowiczem Żukowem; podczas tego spotkania Żukowowi – który był mózgiem sowieckiego ataku na Berlin w 1945 roku – wymknęło się, iż w razie wybuchu wojny Armia Czerwona w ciągu dziesięciu dni stanie nad kanałem La Manche. Gdyby Rosjanie zwietrzyli przeciek, źródło SNAJPERA wyschłoby wkrótce, a TĘCZA nie pojawiłaby się już nigdy na lekcjach tańca klasycznego w małym teatrze przy Hardenbergstrasse w Berlinie Zachodnim.

BERLIN, WTOREK, 17 KWIETNIA 1951

Aby uzyskać immunitet dyplomatyczny, Jack – jak wszyscy oficerowie Firmy w Berlinie – został wciągnięty do rejestru jako urzędnik służby dyplomatycznej, zatrudniony w amerykańskim konsulacie. Nic zatem dziwnego, że pewnego dnia otrzymał od ambasadora zaproszenie („Pańska obecność byłaby jak najbardziej wskazana”) na lampkę wina z okazji wizyty architekta amerykańskiej polityki powstrzymania sowieckiej ekspansji, sekretarza stanu Deana Achesona, który wybrał się w podróż po Europie, odwiedzając ważniejsze placówki, i akurat bawił przejazdem w Berlinie. Krążąc po zatłoczonej sali, Jack usłyszał, jak jeden z „elfów” z technicznej sekcji Firmy, który dopiero co wrócił z Waszyngtonu, opisywał niedawno zainstalowany w „Kwaszarni” nowy komputer „Remington Rand Univac”.

– To rewolucja w dziedzinie wyszukiwania informacji – mówił podekscytowany. – Fakt, że urządzenie jest ociupinę nieporęczne... Zajmuje spory pokój. Ale to drobiazg w porównaniu z tym, że może pomieścić zawartość wszystkich książek telefonicznych ze wszystkich miast w Ameryce. Łyka nieprawdopodobną ilość danych... Wystukujesz nazwisko, trochę pobręczysz i po czterech, pięciu minutach wypluwa numer telefonu.

– Cholerne maszyny – ktoś zarechotał – odbiorą nam całą frajdę ze szpiegowania.

Jack roześmiał się odruchowo wraz z innymi, lecz myślami krążył wokół wieczornego spotkania z TĘCZĄ w sali prób, już szesnastego, odkąd ich

drogi skrzyżowały się dwa miesiące temu. Z czasem ich wspólne rozmowy przybrały kształt stenograficznego kodu; sprawy niewypowiedziane ciążyły im bardziej niż te, o których mówili, i oboje dobrze o tym wiedzieli. Tego wieczoru Jack miał zamiar zebrać się na odwagę i wyznać, co mu leży na sercu... Nie był pewien, czy Lili zechce go wysłuchać. Jak zareaguje? Padnie mu w ramiona czy zaprawi w szczękę?

Korzystając z chwilowego zamieszania, Jack wycofał się do baru. Zamówił porcję precli i kolejną whisky z sokiem z limonki. Odwróciwszy się plecami do sali, żeby spokojnie przemyśleć, co dziś powie TĘCZY, stanął oko w oko ze srogim sekretarzem stanu.

– Dzień dobry. Jestem Dean Acheson.

Wokół tłoczyli się dygnitarze: ambasador (który przyleciał helikopterem z Bonn), konsul generalny w Berlinie, dwóch senatorów i grupka wysoko postawionych urzędników z Departamentu Stanu.

– Sir, nazywam się John McAuliffe.

– Co pan tutaj robi?

Jack odchrząknął.

– Pracuję dla pana, panie sekretarzu – powiedział słabo.

– Nie rozumiem.

– Pracuję dla pana. W ambasadzie.

Ambasador próbował ująć Achesona pod ramię i poprowadzić go do bufetu z popcornem i kanapkami, ale sekretarz jakby uwziął się na Jacka.

– A co pan robi w ambasadzie, panie McAuliffe?

Jack potoczył wokół błagalnym wzrokiem. Dwóch senatorów gapiło się gdzieś w przestrzeń. Urzędnicy skupili się na swoich paznokciach.

– Pracuję w sekcji politycznej, sir.

Acheson pomału tracił cierpliwość.

– A co dokładnie pan robi w sekcji politycznej, młody człowieku?

Jack przełknął głośno ślinę.

– Piszę raporty, panie sekretarzu, które... mam nadzieję, będą przydatne...

Nagle Acheson załapał. Szczeka mu opadła i pokiwał głową.

– Taak... Chyba już wiem. No cóż, życzę powodzenia, panie McAuliffe. Przykro mi, że tak wyszło – mruknął, odwrócił się i odszedł w pośpiechu.

TĘCZA wprost nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy Jacka. Mieszkanka ponurej, sowieckiej części podzielonego miasta, skazana na izolację, żyjąca pod jednym dachem z człowiekiem dwadzieścia siedem lat od niej starszym, chłoneła każdą chwilę z tych krótkich spotkań, podczas których czuła się pożądana i sama pożywała. Przez kilka ostatnich tygodni Lili przestała się już skromnie odwracać, kiedy sięgała pod przepoconą koszulkę, by wyciągnąć zza stanika zapisany drobnym maczkiem skrawek materiału. Teraz, po raz pierwszy, Jack chwycił fragment jedwabiu jeszcze ciepły od jej ciała i przycisnął go do ust. Lili, wystraszona, spuściła oczy, potem jednak spojrzała na niego pytająco, kiedy wierzchem dłoni musnął jej drobną pierś i delikatnie pocałował w usta.

– Proszę, och, proszę, zrozum, wiesz przecież... Nie powinniśmy... – błagała zduszonym szeptem. – Nie wolno nam przekroczyć granicy. W innym świecie, w innym życiu...

Zdobyła się na słaby uśmiech, a Jack na mgnienie oka ujrzał jej postarzałą twarz. Tak mogłaby wyglądać za trzydzieści lat.

– *Jack the Ripper*, Kuba Rozpruwacz – wymamrotała. – *Jackhammer*, wiertarka udarowa. *Jack rabbit*, zając północnoamerykański...

– Jezu Chryste, skąd bierzesz te wszystkie słówka?

– Herr Professor ma cudowny słownik amerykańskiego slangu, yes? Kiedyś, dawno temu, postanowiłam, że codziennie nauczę się kilku nowych słówek. Potem mi się znudziło. Już miałam sobie odpuścić, ale spotkałam ciebie. No i przerzuciłam się na te „Jacki”.

– Mówiłaś o mnie Herr Professorowi?

– Nie pytał mnie o ciebie, a ja się do tego nie paliłam. Te informacje, które ci przesyła... Robi to z czystego, staroświeckiego idealizmu. Herr Professor nosi spinki przy mankietach i staromodne, sztywno wykrochmalone kołnierzyki, które zmienia codziennie. Nowinki, zarówno w modzie, jak i w polityce, nie budzą jego entuzjazmu. Zbiera informacje i przepisuje pracowicie na skrawkach jedwabiu, żeby cofnąć czas. Resztę zdał na mnie. Nie interesują go szczegóły naszych spotkań.

– Moglibyśmy zostać kochankami – wysapał Jack.

– Pod wieloma względami już nimi jesteśmy – sprostowała Lili.

– Pragnę cię...

– Dałam ci tyle, ile mogłam...

– Chcę więcej. Chcę tego, czego pragnie każdy mężczyzna. Chcę cię mieć w łóżku.

– Powiem ci bez owijania w bawełnę – tego mieć nie możesz.

– Z powodu Herr Professora?

– Ocalił mi życie pod koniec wojny. W moim słowniku „zbiorowy gwałt” figuruje przed „zrobić sobie przerwę”. Zostałam zgwałcona przez bandę pijanych radzieckich żołnierzy. Naładowałam sobie cegieł w kieszenie płaszcza i chciałam rzucić się do Sprewy, pragnęłam tylko jednego: żeby jej ciemne wody zamknęły się nade mną na zawsze. Herr Professor powstrzymał mnie... przez całą noc opowiadał mi o innych Niemczech... o Tomaszu Mannie, o Heinrichu Böllu... O świcie zabrał mnie na dach

budynku, żebym obejrzała wschód słońca. Przekonał mnie, że to pierwszy dzień mojego nowego życia. Nie będę ukrywać, Jack, że nie jesteś mi obojętny. Chodzi tylko o to, że muszę być wobec niego lojalna. A ta lojalność dotyczy również wierności...

Włożyła spódnicę, zsunęła pod nią treningowe rajtuzy i schowała je do torby. Potem wyciągnęła rękę, żeby przekręcić wyłącznik i zgasić na sali światło.

– Muszę się już zbierać, *yes*?

Jack przytrzymał ją za ramię.

– On naraża cię na ryzyko.

Lili odsunęła się.

– To nie tak... W świecie, w którym żyjemy, istnieje pewna hierarchia... lecz nawet jeżeli są dla niego rzeczy ważniejsze niż ja, to nie znaczy, że mnie nie potrzebuje.

– Ja potrzebuję cię bardziej.

– Na pewno nie. Beze mnie... – Spojrzała w bok, a jej twarz nagle skamieniała.

– Dokończ zdanie, do cholery! Co bez ciebie?

– Beze mnie on nie przeżyje. A ty tak.

– Zechcesz to wyjaśnić?

– Nie.

– Jesteś to sobie winna...

– Jemu jestem winna znacznie więcej. Proszę, pozwól mi teraz odejść, *Jack-o'-lantern*... błędny ogniku.

Borykając się z nowymi dla siebie uczuciami, Jack kiwnął posępnie głową.

– Przyjdiesz znowu w piątek?

– W piątek, yes. Odejdź pierwszy, proszę. Lepiej, żeby nie widziano nas wychodzących razem z teatru.

Jack przytulił ją na pożegnanie. Oparła czoło na jego piersi. Potem odsunęła się nagle, wyłączyła światła, otworzyła drzwi i czekała u szczytu schodów, aż Jack zejdzie na dół.

Obejrzał się tylko raz. Trzy piętra ponad nim Lili niknęła w mroku klatki schodowej.

– Lilijko?! – zawołał.

Kiedy nie odpowiadała, odwrócił się i pospiesznie wyszedł z teatru, mijając Aristide'a drzemiącego za szybką portierni.

– Wyświadczyć mi przysługę, chłopie – rzucił od niechcenia Czarnoksiężnik, jakby prosił Jacka, żeby wrzucił mu parę kostek lodu do whisky. – Załóż pluskwę w ścianie SNAJPERA.

Zainstalowanie podsłuchu u profesora okazało się trudniejsze, niż myśleli. Jack wysłał na przeszpiegi kilku niemieckich wolnych strzelców. W uliczce na tyłach Teatru Gorkiego stały ziejące pustką ruiny i samotna willa, wznosząca się pośrodku zaniedbanej parceli, która kiedyś była ogrodem. Dziesięć dni zajęło im dokładne ustalenie, kiedy TĘCZA i SNAJPER wychodzą z domu. W dni powszednie Herr Professor, wicepremier w rządzie NRD, udawał się każdego ranka do ministerstwa, popołudniami zaś prowadził seminaria z fizyki plazmowej i cząstek elementarnych na Uniwersytecie Humboldta. Lili przez sześć dni w tygodniu jeździła na Alexanderplatz, gdzie uczyła baletu klasycznego w jednej z ostatnich prywatnych szkół w strefie sowieckiej; trzy popołudnia w tygodniu spędzała w pozbawionej okien sali prób w Teatrze Gorkiego, gdzie pobierała lekcje u kalekiej Rosjanki, która przed wojną tańczyła

w balecie Kirowa. Lecz nawet wtedy, gdy TĘCZY i SNAJPERA nie było w domu, montaż mikrofonu nastęczał spore trudności. Herr Professor miał dozorczynię, swoją dawną piastunkę, która zajmowała dwie ciemne klitki w suterenie. Starowina, przykuta przez artretyzm do wózka inwalidzkiego, spędzała większość czasu, gapiąc się przez okno na opustoszałą ulicę.

Jack przyszedł po radę do Czarnoksiężnika: jak pozbyć się dozorczyń, żeby chłopcy mogli włamać się do jej mieszkania i zainstalować podsłuch w suficie?

Torriti odburknął coś, zaprzątnięty bez reszty swoją papką barytową. Oczy miał jeszcze bardziej przekrwione niż zwykle, a powieki zapuchnięte, jakby zdrowo przed chwilą oberwał w jakiejś ulicznej burdzie z bandą oprychów. Była to myśl tak absurdalna, że Jack uśmiechnął się mimo woli: nie potrafił sobie wyobrazić swego szefa w roli pokonanego... Czarnoksiężnik nie poddawał się nigdy.

– Zabić ją? – podsunął Torriti.

Przez moment Jackowi wydawało się, że szef mówi poważnie.

– Nie możemy tak po prostu jej zabić, Harvey. My jesteśmy te dobre chłopaki, pamiętasz?

– Nie znasz się na żartach, stary? Wywabcie ją z domu za pomocą darmowego biletu na partyjną fetę. Wymyśl cokolwiek.

– To staruszka. W dodatku na wózku.

Czarnoksiężnik bezradnie potrząsnął głową.

– Mam własne kłopoty – burknął, a jego podwójny podbródek aż się zatrzęsł. – Choć raz użyj tej swojej pieprzonej wyobraźni.

Przez większą część tygodnia Jack myślał nad rozwiązaniem zagadki. Kolejne trzy dni zajęło mu założenie podsłuchu. Pewnego ranka, tuż po wyjściu Herr Professora i Lili, przy krawężniku zaparkowała

wschodnioniemiecka karetka z dwoma młodymi sanitariuszami w białych kitlach, pomiędzy którymi rozpierał się na siedzeniu pekińczyk w kagańcu. Mężczyźni zapukali do drzwi dozorczyń. Kiedy im otworzyła na szerokość łańcucha, wyjaśnili, że są z Ministerstwa Zdrowia Publicznego i mają przetransportować ją na bezpłatne badanie do lekarza przy Strausbergerplatz. Była to część nowego rządowego programu socjalnego, który miał na celu wspomaganie ludzi starszych i niedołączonych. Jeżeli kwalifikuje się do tej grupy – a sądząc po wózku, zdaje się, że tak – dostanie najnowsze zachodnie pigułki, które ulżą jej w bólu, i nowiutkie czeskie radio. Dozorczyń, przymrużywszy podejrzliwie oczy, dopytywała się, ile będzie musiała za to wszystko zapłacić. Silwan II obdarzył ją jednym ze swoich anielskich uśmiechów i zapewnił, że usługa jest darmowa. Namyslała się przez dłuższą chwilę, skubiąc meszek nad górną wargą. Wreszcie zdjęła łańcuch.

Jak tylko Słodki Jezus i Upadły Anioł odjechali karetką, wioząc starszą panią do lekarza (wynajętego specjalnie na tę okazję), przed domem zatrzymała się niewielka furgonetka z logo Wschodnioniemieckiej Spółdzielni Elektryków na drzwiczkach. Trzej „fachowcy” z Firmy, ubrani w niebieskie ogrodniczki, wnieśli do środka drewnianą drabinę i dwa pudła z narzędziami. Weszli do mieszkania dozorczyń. Czwarty czekał za kierownicą. Nadajnik radia wielkości dłoni, nastawionego na policyjną częstotliwość, zabrzączał pod siedzeniem. „Jesteśmy gotowi – odezwał się głos, mówiący po węgiersku. – Bierzemy się do roboty”.

W obawie, że KGB umieścił mikrofony w mieszkaniu SNAJPERA, zespół wewnątrz budynku pracował bezgłośnie wiertarką, której warkot tłumiony był przez wodę tryskającą z miniaturowego rozpylacza. Ludzie Jacka wpuścili wiertło w strop, na głębokość centymetra od podłogi Herr Professora, a potem przełączyli urządzenie na wolne obroty, żeby delikatnie

nakłuć parkiet, nie pozostawiając śladu trocin. Mikroskopijna „pluskwa”, nie większa od kulki w końcówce długopisu, umieszczona została w miniaturowym otworze, a następnie podłączona do żyrandola, zwisającego z sufitu dozorczyń. Maleńką dziurkę w suficie zaszpachlowano szybko schnącym cementem i pomalowano bezzapachową farbą. Mikrofon, niewidoczny z dołu, podłączono do sieci elektrycznej budynku i zaprogramowano tak, żeby aktywował się na dźwięk głosu i wysyłał sygnały do nadajnika większej mocy, zagrzebanego w stercie gruzu na sąsiedniej niezabudowanej parceli, skąd sygnały przekazywane były do anteny, zamocowanej na dachu budynku w amerykańskim sektorze Berlina.

– Wymyśliłeś coś, chłopie? – wymamrotał Torriti, wpadłszy przypadkiem na Jacka w Dahlem.

– A żebyś wiedział. Wysłałem tam twoich węgierskich elektryków...

Czarnoksiężnik podniósł rękę, nie dając mu skończyć.

– Oszczędź mi szczegółów, synu. W ten sposób nie wydam cię na torturach u Rosjan.

Powiedział to z miną tak poważną, że Jack tylko tępo przytaknął, ale spoglądając za Czarnoksiężnikiem, oddalającym się z dwiema flaszками whisky pod pachą, zaczął podejrzewać, że szef berlińskiej bazy chyba go nabiera. Zresztą, kto go wie? Może i mówił serio? On do wszystkiego był zdolny.

FRANKFURT, PONIEDZIAŁEK, 23 KWIETNIA 1951

Ebby i Tony Spink, w towarzystwie kilku innych oficerów z Sekcji Rosji Sowieckiej i Europy Wschodniej, tłoczyli się wokół ustawionego na biurku Spinka kobylastego magnetofonu szpulowego niczym żałobnicy czuwający przy zwłokach. Technik, który wcześniej tego samego popołudnia nagrał specjalny program radiowy z Tirany, wsunął taśmę za głowicę i zamocował na szpuli. Spink spojrział na tłumaczkę, która na wieczorze pożegnalnym dla albańskich komandosów w gospodzie w Heidelbergu siedziała obok Ebby'ego.

– Gotowa? – zapytał.

Kiwnęła głową. Nacisnął klawisz „start”.

Z początku było słycać tylko szumy i trzaski zakłóceń.

– Mieliśmy problem ze znalezieniem stacji – wyjaśnił technik. – Musieliśmy pokręcić trochę anteną. Teraz już będzie lepiej.

Ebby usłyszał piskliwy głos przemawiającego po albańsku mężczyzny. Zdawało się, że wygłasza jakąś tyradę.

– To ktoś, kogo my nazywamy oskarżycielem, a wy prokuratorem – powiedziała tłumaczka, niska, krótko ostrzyżona kobieta w średnim wieku. – Przedstawia akt oskarżenia przeciwko terrorystom. Mówi, że przybili do brzegu na dwóch pontonach silnikowych dwudziestego kwietnia zaraz po północy. Mówi, że patrol graniczny natknął się na nich, kiedy spuszczaali powietrze z pontonów i zakopywali je w piasku na plaży. – Pochyliła się w skupieniu nad głośnikiem, gdy padło następne pytanie. – Sędzia główny pyta oskarżyciela, co zrobili terroryści, kiedy straż graniczna próbowała ich

zatrzymać. Oskarżyciel mówi, że terroryści otworzyli ogień bez ostrzeżenia, zabijając trzech żołnierzy ze straży granicznej i raniąc dwóch innych. Podczas wymiany strzałów czterech terrorystów zostało zabitych, a trzech innych, którzy teraz siedzą na sali sądowej, zatrzymano. – Tłumaczka otarła łzy. – Teraz sędzia pyta, jakie dowody obciążające znaleziono przy terrorystach w chwili aresztowania.

– Mówią, jakby czytali jakiś pieprzony scenariusz – mruknął gniewnie Spink.

– Oskarżyciel recytuje długą listę przedmiotów, oznaczonych kolejno literami alfabetu, aż do „W” jak „Wiktor”. Pozycje A i B to dwa amerykańskie pontony oraz siedem nadmuchiwanym kamizelek ratunkowych z logo Amerykańskich Sił Powietrznych. Dalej wymienia: pięć brytyjskich karabinów „Lee-Enfield”; dwa amerykańskie karabiny „Winchester Model 74”, wyposażone w brytyjskie tłumiki „Parker-Hale” i teleskopowe przyrządy celownicze typu „Enfield”; trzy amerykańskie pistolety „Browning” z prymitywnymi, wykonanymi chałupniczo tłumikami; jedna mała skórzana walizka zawierająca brytyjski nadajnik i odbiornik radiowy (typ A, łamane na „Mark”, rzymskie „dwa”) z kluczem Morse’a i słuchawkami; mapa Albanii i plan Tirany, odbite na kawałku materiału i zaszyte pod podszewką marynarki; siedem ampułek z cyjankiem w małych mosiężnych pojemnikach, przypiętych agrafkami po wewnętrznej stronie klap... Tutaj sędzia główny przerywa, żeby zadać pytanie, czy udało się zabezpieczyć kody łączności. Oskarżyciel odpowiada, że terroryści zniszczyli koperty z kodami, zanim zostali schwytani. Dalej wyjaśnia, że koperty były pokryte substancją chemiczną, która sprawiła, że w mgnieniu oka spłonęły doszczętnie, gdy tylko przytknięto do nich zapalnik. Mówi też, że...

Piskliwy głos oskarżyciela nieprzerwanie płynął z głośnika. Wtórowały mu przyciszone słowa tłumaczki.

Spink odciągnął Ebby'ego od magnetofonu.

– Nie możesz siebie obwiniać – wyszeptał. – To brudna gra. Takie rzeczy się zdarzają. – Poklepał go po ramieniu.

Wrócili do stołu.

– ...pyta, czy terroryści chcą coś powiedzieć sądowi.

Na sali rozpraw rozległ się gniewny pomruk. Nagle ktoś ciężko westchnął do mikrofonu. Młody męski głos przemówił beznamiętnym, mechanicznym tonem robota.

– On mówi... – Tłumaczka gwałtownie zaczerpnęła tchu i bezwiednie chwyciła się za serce; słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Mówi, że nazywa się Adil Azizi. Mówi, że jest dowódcą grupy komandosów. Mówi, że on i jego towarzysze zostali przeszkoleni w tajnej bazie niedaleko Heidelbergu w Niemczech przez agentów amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mieli wylądować na wybrzeżu Ludowej Republiki Albanii, zakopać pontony, przedostać się do stolicy kraju, Tirany, i z pomocą miejscowych komórek terrorystycznych zlikwidować towarzysza Envera Hodżę. Sędzia główny pyta terrorystę Aziziego, czy istnieją jakieś okoliczności łagodzące, które sąd powinien wziąć pod uwagę, zanim wyda wyrok. Adil Azizi mówi, że nie ma nic na swoją obronę. Adil Azizi mówi, że wszyscy trzej zasługują na najwyższą karę, że są zdrajcami swej ojczyzny... Te wrzaski w tle to okrzyki ludzi zebranych na sali rozpraw, którzy domagają się kary śmierci dla oskarżonych.

Technik wcisnął guzik przewijania do przodu i przez chwilę nie odrywał wzroku od taśmy. Kiedy na liczniku ukazały się cyfry, które wcześniej

zapisał sobie na kartce, ponownie włączył „start”.

– W przerwie, gdy sędziowie udali się na naradę, stacja radiowa puściła dwanaście minut muzyki patriotycznej – wyjaśniła tłumaczka. – Teraz zostanie ogłoszony wyrok. Sędzia główny nakazuje trzem terrorystom, aby powstali. Mówi, że zostali skazani na karę śmierci za zdradę oraz próbę dokonania zamachu na Ludową Republikę Albanii i jej przywódcę, Envera Hodżę. Nie, nie mogę dalej...

– Tłumacz, do cholery – warknął Ebby.

– Mówi, że nie ma żadnego odwołania od decyzji sądu. Nakazuje, aby wyrok został wykonany natychmiast.

– Kiedy oni mówią „natychmiast”, to znaczy natychmiast – mruknął technik.

Oficerowie CIA wstali od stołu. Niektórzy w milczeniu sięgnęli po papierosy. Ebby spostrzegł, że jednemu drżały ręce.

– Teraz słyhać spikera – ciągnęła tłumaczka przyciszonym głosem. – Mówi, że zamachowcy trzęsą się ze strachu, kiedy żołnierze wiążą im dłonie na plecach i wyprowadzają z sali rozpraw... – przygryzła dolną wargę – ...prowadzą ich schodami w dół, do tylnych drzwi, wychodzących na parking, z którego usunięto wszystkie samochody. Wokół zebrały się tłumy ludzi, a w oknach sąsiednich budynków tłoczą się gapie. Żołnierze przywiązują zamachowców do sterczących ze ściany dziewiętnastowiecznego gmachu żelaznych obręczy, służących dawniej do uwiązywania koni... Jakiś cywil podsuwa im butelkę śliwownicy... Teraz spiker opisuje, jak pluton egzekucyjny ładuje karabiny... Jeden ze skazańców błaga o litość...

Głos tłumaczki załamał się. Wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

Z magnetofonu rozległ się huk karabinów, potem trzy krótkie wystrzały z broni mniejszego kalibru.

– Rewolwery – orzekł Spink z miną zawodowca. – Kalibru dwadzieścia dwa.

– To były jeszcze dzieci – powiedział Ebby przez ściśnięte gardło.

Włożył prawą rękę do kieszeni marynarki i dotknął drewnianej rękojeści zabytkowego webleya, który jego młodzi podopieczni podarowali mu na pożegnanie w Heidelbergu.

– Nie zdążyli wyzwolić Albanii.

Spink wzruszył ramionami.

– Liczy się to, że przynajmniej chcieli spróbować. Niech Bóg ich za to błogosławi.

– Niech Bóg ich błogosławi – powtórzył Ebby i zacytował fragment wiersza Byrona, zapamiętanego jeszcze z czasów w Yale:

„Niech będzie światło!” – rzekł Bóg – i już świeci.

„Niech będzie krew!” – rzekł człowiek – i już płynie^[19].

FRANKFURT, ŚRODA, 2 MAJA 1951

Jack skorzystał z okazji i zabrał się z objazdowym kinem Sił Powietrznych do Frankfurtu, dokąd miał dostarczyć kopertę od Czarnoksiężnika – „tylko do rąk własnych” (i pulchnych) generała Truscotta – a potem osobiście zniszczyć jej zawartość w spalarni frankfurckiej bazy i wrócić do Berlina z twierdzącą lub przeczącą odpowiedzią Truscotta. Generał dostał właśnie jednego ze swoich słynnych napadów złego humoru i akurat mieszał kogoś z błotem za zamkniętymi drzwiami gabinetu, podczas gdy Jack czekał cierpliwie na zewnątrz, obserwując dwie sekretarki, z których jedna spokojnie przepisywała na maszynie nagranie z dyktafonu, a druga, jak gdyby nigdy nic, malowała sobie paznokcie.

– I jeszcze masz czelność – ryczał Truscott – stać tu przede mną i mówić, że wypuściłeś pięćset szesnaście balonów w sowiecką przestrzeń powietrzną, a wróciło tylko czterdzieści?!

Ktoś stłumionym głosem zaczął nieudolnie coś wyjaśniać, ale generał przerwał mu w pół słowa.

– „Porywiste wiatry”! Też mi coś! Założę się, że sam coś sknocieś. Miałeś wysłać balony zwiadowcze, żeby zrobić zdjęcia sowieckich instalacji. A ty po prostu wyrzuciłeś w błoto pieniądze podatników. Osiemset tysięcy zielonych! Z mojego stołka wygląda to na skandaliczny brak kompetencji.

Drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszedł zmaltretowany oficer Firmy. Gniew Truscotta ścigał go dalej.

– Nie chcę głupich tłumaczeń, chcę rezultatów, do jasnej cholery! Jak się do tego nie nadajesz, znajdę takich, którzy sobie poradzą. Jest tam pani, panno Mitchel? Proszę mi tu przysłać tego przekłętego Ucznia Czarnoksiężnika.

Młoda kobieta, skupiona na swoich paznokciach, skinęła głową w kierunku drzwi. Jack z udawanym przestrawieniem przewrócił oczami.

– Myślisz, że wyjdę z tego cało? – zapytał.

Sekretarka błysnęła zębami w złośliwym uśmiechu.

– Jego szczekanie to nic w porównaniu z tym, jak potrafi ugryźć – stwierdziła.

– Dzięki za pocieszenie – powiedział Jack.

– Och, nie ma za co, naprawdę.

– Co takiego upichcił Czarnoksiężnik, że wymaga to osobistej dostawy? – prychnął Truscott, kiedy tylko Jack pojawił się w drzwiach.

– Nie znam zawartości, sir.

Podał generałowi zapieczętowaną kopertę, ten rozdarł ją jednym ruchem palca i wyjął pojedynczą kartkę żółtego firmowego papieru. Rozpostarł pismo na biurku, założył okulary i marszcząc brwi, zaczął czytać nabazgraną odręcznie przez Torritiego wiadomość. Jack rozejrzał się po przestronnym gabinecie. Jego uwagę przykuły oprawione w ramki zdjęcia Truscotta z prezydentami, premierami i feldmarszałkami. Wydało mu się, że generał mamrocze coś pod nosem, postukując ołówkiem o biurko. Brzmiało to jak: „Trzydzieści, dwanaście, czterdzieści pięć”.

Truscott podniósł wzrok.

– Proszę mu przekazać, że moja odpowiedź na jego ledwo czytelny biuletyn z Berlina jest twierdząca.

– Twierdząca – powtórzył Jack.

– I niech mu pan od razu przypomni, że poczytam to sobie za osobistą zasługę, jeśli nauczy się pisać na maszynie.

– Życzy pan sobie, żeby następne wiadomości pisał na maszynie – powtórzył Jack.

– A teraz wynocha – warknął Truscott i ryknął przez otwarte drzwi: – Do licha, panno Mitchel, ciągle jeszcze nie odcyfrowali nocnej od szefów sztabów?!

– Mówią, że potrzebują jeszcze dwudziestu minut – odparła sekretarka.

– Czym oni się tam zajmują, do cholery?! – zawył generał. – Robią sobie przerwę na kawę po każdym zdaniu?

Jack zabrał z biurka Truscotta wiadomość Czarnoksiężnika i zszedł na drugi poziom w podziemiach, gdzie znajdowała się spalarnia. Ściany i drzwi, świeżo pomalowane na stalowoniebieski kolor, jeszcze pachniały farbą. W korytarzu przed wejściem, opatrzonym napisem: „Wstęp tylko dla pracowników Centralnej Agencji Wywiadowczej”, ciekawość wzięła górę i Jack zerknął ukradkiem na kartkę. „Generale – przeczytał – postanowiłem wysłać porcję papki barytovej do mojego głównego podejrzanego. Dostanie cynk, że Torriti zna tożsamość radzieckiego kreta, który zdradził Wiszniewskiego. Jeśli przeczucia mnie nie mylą, mój podejrzaný szepnie słówko swoim opiekunom z KGB, a Rosjanie spróbują mnie albo porwać, albo zamordować. Gdyby im się udało, znajdzie pan zaadresowany do siebie list w małym sejfie w kącie mojego biura. Kombinacja jest następująca: trzydzieści, potem w lewo do dwunastu, później w prawo do czterdziestu pięciu. Proszę przepisać te numery w notesie. W liście podam tożsamość kreta i wszystkie dowody. Jeżeli zaś próba porwania lub zamordowania mnie się nie powiedzie, polecę do Waszyngtonu i osobiście przywlokę tu szpiona za łeb, okay? Torriti”.

Jack włożył wiadomość Czarnoksiężnika z powrotem do koperty i wszedł do spalarni. Sierżant sztabowy, który dosłużył się już szesnastu naszywek na rękawie polowego munduru, wiszącego za drzwiami, zerknął na laminowany identyfikator Jacka i wskazał metalowy kosz na śmieci.

– Wrzuć to tutaj. Potem się tym zajmę.

– Mam rozkaz spalić to osobiście – powiedział Jack.

– Nie ma sprawy, koleś.

Jack zmiął kopertę, otworzył kratę pieca i wrzucił papiery do środka.

– Ale jaja – mruknął, gdy koperta zniknęła w płomieniach.

– Co proszę?

– Nie, nic. Tak tylko głośno myślałem.

Do powrotu została jeszcze Jackowi godzina i piętnaście minut, wdrapał się więc na czwarte piętro, do kanciapy Ebby'ego. Drzwi zastał otwarte na oścież. Zastukał i od razu wszedł do środka. Ebby siedział z nogami na parapecie i ponuro gapił się przez okno na dachy Frankfurtu, w zamyśleniu obracając bębenek zabytkowego rewolweru. Tymczasowy współlokator Ebby'ego, świeżo upieczony oficer CIA William Sloane Coffin, przydzielony obecnie do rozrzucania ulotek, właśnie zbierał się do wyjścia.

– Może pan go jakoś rozweseli – szepnął w drzwiach do Jacka.

Ebby wskazał kumplowi krzesło Billa.

– Hej, cóż cię sprowadza do Frankfurtu?

Jack spostrzegł, że Ebby ma mocno podkrążone oczy, przez co wyglądał nie tylko poważniej, ale i znacznie starzej.

– Musiałem dostarczyć poufną wiadomość waszemu generałowi.

Przysunął krzesło bliżej biurka.

– Wyglądasz jak śmierć na chorągwi – powiedział. – Chcesz pogadać?

Ebby przygryzł wargę.

– Byłem opiekunem grupy wyruszającej do Albanii – odezwał się w końcu.

Potrząsnął głową z wyrazem głębokiej rozpacz.

– Moi Albańczycy, wszystkich siedmiu, zginęli. Czterech zastrzelono na plaży, resztę postawiono przed sądem. Wytoczono im lipny proces, a potem... kulka w łeb.

– Przykro mi, Ebby. Posłuchaj, nie chcę tego rozdmuchiwać, ale widzę, że dręczy cię poczucie straty...

– ...porażki. Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– Chciałem powiedzieć, że każdego z nas może spotkać cios – powiedział Jack miękko.

Myślał o niedoszłym sowieckim zdrajcy Wiszniewskim i jego żonie... Myślał o ich zapłakany synku, krzyczącym: „Tatusiu...!”, kiedy wleczono go do samolotu.

– Taką mamy podłą robotę – westchnął.

– Straciłem dwóch ludzi, których przerzuciłem do Polski. Nigdy więcej o nich nie usłyszeliśmy. Straciłem dzieciaka... nazywał się Alosza. Wysłałem go w Karpaty. Nadał do nas sygnał ostrzegawczy. Melduje się teraz co tydzień lub dwa, ale ciągle używa tego samego hasła. Domyślamy się, że ktoś dyktuje mu, co ma pisać. Jak im się znudzi zabawa z radiem, też go zastrzelą.

Ebby dźwignął się z krzesła, podszedł do drzwi i zatrzaskał je tak mocno, że puste filiżanki po kawie, stojące na biurku, zadźwięczały na spodeczkach.

– Ryzykować własne życie to jedno, Jack – ciągnął dalej, sadowiąc się na parapecie i opierając o szybę. – Wysyłać na zgubę naiwnych młodych ludzi

to drugie. Uwodzimy ich, szkolimy i wykorzystujemy jako mięso armatnie. Są spisani na straty. Nie mam zamiaru się tu rozklejać, na Boga, ale czuję się... o Chryste, czuję się okropnie. Czuję się, jakbym ich zawiódł.

Jack wysłuchał Ebby'ego. Wiedział, że niewielu było ludzi, którym jego przyjaciel mógłby się wyzalić, a przecież trzeba się przed kimś wygadać. Od czasu do czasu Jack rzucał pocieszające słówko: nie ciebie jednego to spotyka, stary; jak nie ty, to ktoś inny musiałby to zrobić; o tym, czy nasze wysiłki obalenia komunizmu mają sens, czy może są zwykłą donkiszoterią, dowiemy się dopiero z podręczników do historii... Kto wie, może i o nas napiszą?

Wreszcie zerknął na zegarek.

– O kurczę, muszę lecieć, jeśli nie chcę się spóźnić na samolot.

Ebby odprowadził go do holu.

– Dzięki, że wpadłeś – powiedział.

– Nieszczęścia chodzą parami – odparł Jack.

– Taa, coś w tym rodzaju – przyznał Ebby i uścisnęli sobie dłonie.

Pod wieczór Jack był już z powrotem w berlińskiej bazie i zbiegał po schodach do bunkra Czarnoksiężnika. Nagle stanął jak wryty na widok Nocnej Mary, która splótłszy ręce na swej monumentalnej piersi, stała pod zamkniętymi drzwiami Torritiego. Z wewnątrz dobiegały dźwięki melodyjnego sopranu, wyśpiewującego finałową partię z *Traviaty*.

– Ma pietra – oznajmiła, a sposób, w jaki to powiedziała, sugerował, że przypadek jest nieuleczalny.

– Skąd wiesz? – zapytał Jack.

– Odstawił whisky i przerzucił się na sok wielowarzywny V-8.

– Co mu odbiło? – zapytał Jack.

– Przyniosłam kilka butelek razem z popołudniowymi depezami.

– Mam na myśli pietra...

– Nie jestem pewna. Papka barytowa przyprawia go o skurcze żołądka. Jesteś jego Uczniem, Jack. Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

– Może.

Odsunął ją i zapukał do drzwi. Kiedy Torriti nie odpowiadał, zapukał głośniejsze. Potem wszedł, nie czekając na zaproszenie. Panna Sipp nie przesadzała, mówiąc, że Czarnoksiężnik się spietrał: jego rzednące już włosy sterczały w nieładzie na wszystkie strony, koszula wyłaziła z rozpiętych do połowy spodni, a z cholewy kowbojskiego buta, tkwiącego samotnie pośrodku stołu, sterczały kolby dwóch pistoletów. *Traviata* się skończyła. Nakazując gestem Jackowi, aby nic nie mówił, dopóki muzyka znowu nie zacznie grać, Torriti podszedł do victrola i nastawił nową płytę. Następnie, przekrzywiając głowę i mrużąc oczy, ostrożnie opuścił igłę na rowek. Okropny zgrzyt przyprawił ich o gęsią skórę, lecz zaraz potem rozległ się anielski głos Galli-Curci, śpiewającej *Ah! Non credea mirarti z Lunatyczki*.

Torriti obrócił się na krześle, namierzając coś wyciągniętym palcem, niczym działo przeciwlotnicze naprowadzane na cel. Celem okazał się Jack.

– Jakie wieści przynosisz od generała?

– Dał odpowiedź twierdzącą. Życzy sobie, żebyś odtąd pisywał do niego na maszynie.

– Zabawa w kotka i myszkę to nie w moim stylu, chłopie. – Nalał sobie do pełna soku V-8, wychylił duszkiem pół szklanki i otrząsnął się. – Jakże nisko upadłem! – wyjęczał. – Kiedy moja Nocna Mara napomknęła o tym soku warzywnym, pomyślałem, że V-8 to nowa, ulepszona niemiecka bomba latająca V-2. Co takiego dzieje się we Frankfurcie, o czym powinienem wiedzieć?

Jack opowiedział mu o tym, jak Truscott zmieszał z błotem jednego ze swych nieszczęsnych podwładnych, który bawił się balonami nad Związkiem Radzieckim, ale Torriti, tak zawsze lubiący firmowe plotki, nawet się nie uśmiechnął. Jack wspomniał też, że wpadł do Ebby'ego.

– Pamiętasz Elliotta Ebbitta? Był u nas miesiąc lub dwa, zanim został odesłany do bazy we Frankfurcie.

– Nie o d e s ł a n y – zachnął się Torriti – ale w y w a l o n y. Osobiście wylałem go na zbity pysk za to, że trząsał tą swoją przeklętą jadaczką na prawo i lewo o nadużywaniu alkoholu w berlińskiej bazie. Dobrze, że teraz go tu nie ma, bo paplałby o nadużywaniu soku warzywnego. A co ten gnojek tam porabia?

– Jest w żałobie – zameldował Jack. – Chłopcy z jego sekcji zwerbowali kilku agentów-emigrantów i stracili wszystkich, co do jednego. Ebby był ich oficerem prowadzącym.

Czarnoksiężnik, który w zamyśleniu przeglądał akta w teczce z podpisem: „Papka barytowa”, podniósł oczy, w których zatliła się iskierka zainteresowania.

– Gdzie to się stało? I kiedy?

– W Albanii. Dziewięć dni temu.

Wargi Torritiego rozciągnęły się od ucha do ucha w głupkowanym uśmiechu.

– Albania! Dziewięć dni temu! A dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– To była operacja bazy we Frankfurcie, Harveyu.

– Jesteś pewien, że emigranci zginęli?

– Tak mi powiedział. Czterech na plaży, a trzech przed plutonem egzekucyjnym.

– Eureka! – wykrzyknął Torriti. – To by zawęziło sprawę do Komisji do Zadań Specjalnych, koordynującej operacje w Albanii.

Wyciągnął pistolety z buta. Jeden wsunął do kabury na szelkach, a drugi do kabury przy kostce. Włożył but, przyczesał palcami włosy, wetknął koszulę w spodnie, wrzucił butelkę soku V-8 do kosza, a z przepastnej, najwyraźniej pozbawionej dna szuflady biurka wyjął butelkę przydziałowej whisky.

– Trzeba to oblać! – wykrzyknął, nalewając alkohol do dwóch szklanek. Jedną podał Jackowi. – Za moją śliczną, za moją cudną papkę barytową, chłopie! – oznajmił i uniósł dłoń, wznosząc toast.

– Harvey, zginęli ludzie! Nie widzę powodu do świętowania.

Czarnoksiężnik zerknął na zegarek.

– W Londynie jest dwie godziny wcześniej czy później niż u nas?

– Wcześniej.

– Prawdziwy Anglik powinien właśnie siadać do kolacji w pubie – powiedział Torriti.

Nerwowo przeszukał kieszenie, wywracając niektóre na drugą stronę, aż znalazł to, czego szukał: zwitek papieru z zapisanym numerem. Złapał za telefon.

– Niech Upadły Anioł przyprowadzi mój samochód pod boczne wejście – rozkazał pannie Sipp.

Wypijając jednym haustem resztkę whisky, zamachał na Jacka, żeby szedł za nim, i ruszył do drzwi.

– Dokąd się tak spieszysz, Harveyu?

– Muszę do kogoś zadzwonić. I wtedy będę już wiedział.

– Masz tu przecież służbowy telefon, byłoby szybciej. Linia jest bezpieczna.

– Rosjanie też myśleli, że ich linie w Karlshorst są bezpieczne – wymamrotał Czarnoksiężnik. – Dopóki nie wykombinowałem, jak je złamać. Już wiem, kto pod nami ryje. Nie chcę ryzykować.

Torriti siedział na brzegu niezasałanego łóżka, na ostatnim piętrze burdelu przy Grunewaldstrasse w Berlin-Schöneberg, przyciskając do ucha słuchawkę starodawnego telefonu i bębniąc palcami w widełki. Gdzieś z dołu dobiegał echem stłumiony głos szansonistki, nucącej coś w nocnym klubie. Przez niedomknięte drzwi zajrzała jedna z prostytutek, chuderlawa nastolatka w zwiewnej, przezroczystej halce narzuconej na gołe ciało. Powieki miała wymalowane na fioletowo, a niechlujne włosy ufarbowane na platynowy blond. Kiedy Jack machnął ręką, żeby sobie poszła, wygięła buzię w podkówkę.

– Ale wujek Harvey mówił, że zawsze mogę...

– Nie dzisiaj, złotko – powiedział Jack, podszedł do niej i wypchnął ją delikatnie z pokoju. Zamknął drzwi, oparł się o framugę i zagapił na odbicie Czarnoksiężnika w lustrze przymocowanym do sufitu nad łóżkiem.

– Czy to „Lion and Last” w Kentish Town?! – krzyczał Czarnoksiężnik do słuchawki. – Słyszysz mnie pan? Chciałbym rozmawiać z panem Epsteinem... Elihu Epstein... stołuje się u was w tygodniu... Tak, byłbym wdzięczny, dziękuję. Czy mógłby się pan pospieszyć? Dzwonię z daleka.

Czarnoksiężnik niecierpliwie bębnił palcami o blat stołu. Nagle przestał.

– Elihu, nie poznałeś mnie po głosie? To ja jestem tym kolesiem, z którym się nie spotkałeś na Hampstead Heath... ha, ha, ha. Słyszysz mnie, Elihu? To dobrze. Pamiętasz, o kim wtedy rozmawialiśmy? Tak, to ten gość, który ochajtnął się w Austrii... Muszę mu przekazać pewną wiadomość, ale nie chcę, żeby to wyszło ode mnie... Wspomniałeś, że kilka razy w tygodniu gadasz z nim przez telefon... Tak, podobno mam pamięć

jak słoń... Czy mógłbyś od niechcienia wtrącić te parę słów przy okazji waszej następnej pogawędki? Powiedz mu, że stary kumpel z Commando 3 na Sycylii zadzwonił do ciebie i wypytywał, co by powiedzieli w MI5 na bombową historyjkę z ich własnego podwórka. Twój człowiek w Waszyngtonie zapyta, czy wiesz, co to za bomba, a ty zaczniesz się jąkać i każesz mu przysiąc, że się nie wygada. Powiesz, że to nieoficjalna wiadomość, ale twój kumpel... Pamiętaj, aby dokładnie podać moje imię i nazwisko... Twój kumpel powiedział ci, że zna tożsamość sowieckiego kreta, który doniósł KGB o ewakuacji Wiszniewskiego... Oczywiście to tylko papka barytowa, Elihu... Ja też mam nadzieję, że wiem, co robię... Przepraszam, że przeszkodziłem ci w kolacji... *Szalom.*

Ludzie Czarnoksiężnika wkroczyli na wojenną ścieżkę. Automaty Torritiego zostały zdjęte ze ściennych półek i ułożone rządkiem na prowizorycznym stole w korytarzu. Słodki Jezus i Upadły Anioł sprawdzili magazynki i załadowali zapasowe, żeby w każdej chwili były pod ręką. Jack i panna Sipp wypróbowali nowiutki miniaturowy system walkie-talkie, składający się z mikrofonu, przyczepionego od wewnątrz do kołnierzyka, oraz z głośnika wielkości aparatu słuchowego, umieszczonego w małżowinie ucha.

– Próba. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć – szeptał Jack do kołnierzyka koszuli.

Głos Nocnej Mary brzmiał tak, jakby dochodził z dna szybu kopalnianego, ale było go słychać wyraźnie, choć bardzo cicho.

– Och, świetnie, Jack. Słyszę cię głośno i wyraźnie.

Młodzi, niedoświadczeni rekruci, którzy uczestniczyli w tych przygotowaniach, byli przekonani, że szykują się do odparcia rychłego ataku Rosjan.

– Sir, skąd będziemy wiedzieć, kiedy odpalić bomby termitowe w sejfach? – zapytał Jacka jeden z nowych.

Usłyszał to Czarnoksiężnik, który akurat zalewał robaka śliwownicą z blaszanki.

– Jakby co – zaryczał z korytarza – nie zapomnij ukłuć się igłą z trucizną, żeby cię nie wzięli żywcem.

Rekrut tępo kiwnął głową.

– On żartuje – zlitował się Jack.

– Aha. – Świeżo upieczony absolwent Yale, który trafił do berlińskiej bazy zaledwie parę dni wcześniej, wycofał się pospiesznie, z ulgą opuszczając ów dom wariatów.

Przez dwa dni i dwie noce Torriti i jego ludzie – drzemiąc na łózkach polowych, żywiąc się kanapkami, które Nocna Mara przynosiła ze stołówki, i goląc się nad brudną umywalką w ciasnej ubikacji na końcu korytarza – czekali. Drzwi do pokoju Czarnoksiężnika były przez cały czas otwarte, a na korytarzu i klatce schodowej rozbrzmiewały bez przerwy operowe arie. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, Jack zaglądał do gabinetu i widział, jak Torriti mówi do słuchawki, bawiąc się swoim rewolwerem z perłową rękojeścią: obracał nim, odbezpieczał i celował w ptaka na kalendarzu ściennym. „To nie to” – mówił, kręcąc głową, i odwieszał słuchawkę.

– Skąd będziesz wiedział, że to właśnie t o? – zapytał Jack z rozpaczą w głosie.

– Zaswędzi mnie mój przeklęty nos, chłopie.

I wreszcie, trzeciego dnia rano, zaswędziało.

– Otto, kopę lat – wymamrotał Torriti do telefonu, który zadzwonił przed chwilą. Kiedy Jack pojawił się w drzwiach, Czarnoksiężnik zamachał do

niego w podnieceniu, żeby podniósł drugą słuchawkę. – Gdzie się ukrywałeś? – spytał swojego rozmówcę.

Jack ostrożnie podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

– ...linia jest bezpieczna? – mówił głos po drugiej stronie.

– Pytasz mnie, czy moja linia jest bezpieczna? Otto, Otto, czy myślisz, że udałoby ci się ze mną połączyć na linii, która nie byłaby bezpieczna?

– Chyba mam dla ciebie coś specjalnego, Harv.

– *Ach so?* – odparł Torriti i zachichotał do słuchawki.

Otto też się roześmiał.

– Znowu, jak wy to mówicie, robisz ze mnie balona tym swoim niemieckim akcentem.

– Tak, znowu robię z ciebie balona. Co takiego dla mnie masz?

– Jeden z moich ludzi wrócił właśnie z niezwykle udanej misji na Wschodzie. Słyszałeś o zatruciu siedmiu tysięcy krów we współpracującej z nami mleczarni pod Fürstenbergiem? To była robota mojego agenta.

– Gratuluję z całego serca – rozpląwał się Torriti. – Kolejny celny cios w ten pieprzony komunizm.

– Silisz się na ironię? Nie ma sprawy. Ty rób swoje po swojemu, mój drogi Harv, a my będziemy robić swoje po naszymu. Przed powrotem na Zachód mój agent spędził noc u kuzyna. Ten kuzyn ma kuzynkę ze strony żony, która pracuje jako stenotypistka w biurze szefa Ministerium für Staatssicherheit, po waszemu Stasi. Pisze, co podyktuje jej Anton Ackermann. Zależy jej na forsie, bo oszczędza, żeby wysłać męża na Zachód, na operację oczu, a to kosztuje. Chce sprzedać kopie wszystkich wychodzących listów Ackermanna z ostatnich trzech miesięcy.

– Dlaczego nie zabawisz się w pośrednika, Otto? Pośrednicy zbijają forsy w tym przegniłym mieście.

– Z dwóch powodów, mój drogi Harv. Powód numer jeden: ona chce zbyt dużo dolarów. Powód numer dwa: nie chce robić interesów z Niemcem. Będzie rozmawiać tylko z szefem amerykańskiej CIA w Berlinie. Z Herr Torritim, Harv. I pod warunkiem, że przyjedziesz sam.

– Skąd zna moje nazwisko?

– Ackermann je zna. A ona czyta jego pocztę.

– Ile dolców zażyczyła sobie ta dama, Otto?

– Dwadzieścia pięć tysięcy w zużytych banknotach o niskich nominałach. Proponuje spotkanie dziś wieczorem w sektorze brytyjskim. Chce ci dać próbkę. Jeśli zaakceptujesz towar i dojdziecie do porozumienia co do ceny, ustalicie termin kolejnego spotkania.

Spojrząwszy wymownie na Jacka, Torriti potarł koniec nosa.

– Gdzie i kiedy?

Otto zaproponował mały katolicki kościół przy Reformations Platz w Spandau, niedaleko stacji U-Bahn. Około jedenastej.

– Jeśli to wypali, będę twoim dłużnikiem – powiedział Torriti.

– Harv, Harv... To już jest w aktach.

Czarnoksiężnik, trzymając słuchawkę w dwóch palcach, odłożył ją ostrożnie na widełki, tak jakby jeden nagły ruch mógł spowodować eksplozję.

– Harv, Harv... To już jest w pieprzonych aktach – zaszcebiotał, przedrzeźniając głos Ottona. – Wiem, do cholery, co jest w aktach. – Błogi uśmiezek okraślił jego zwiotczałe wargi.

Torriti wziął głęboki oddech, zerknął na wiszący na ścianie zegar i zatarł dłonie, rozradowany.

– Wszyscy na pokład! – ryknął.

– Widzę, że jednak cię zaswedział. Co to za Otto? – dopytywał się Jack.

Czarnoksiężnik bez oporów sypnął szczegółami:

– Mój przyjaciel Otto to doktor Otto Zaisser, zastępca szefa organizacji o nazwie Kampfgruppe gegen Unmenschlichkeit – Grupa Bojowa do Walki z Bestialstwem – założonej parę lat temu z małą pomocą finansową kilku zaufanych przyjaciół z „Kwaszarni”. Mają siedzibę w dwóch na wpół zrujnowanych secesyjnych kamienicach przy bocznej uliczce tu w okolicy – Torriti machnął ręką w kierunku amerykańskiego sektora miasta – zawalonych skrzynkami od piwnicy aż po dach. W skrzynkach znajdują się karty katalogowe; każda karta zawiera nazwisko kogoś, kto przepadł bez wieści za żelazną kurtyną. Jeżeli szukamy czegoś na temat jakiejś konkretnej osoby, Kampfgruppe bywa bardzo pomocna. Otto specjalizuje się w psikusach. W zeszłym roku podrobił cholerne znaczki pocztowe z podobizną wujaszka Stalina z pętlą na szyi, nakleił je na tysiące kopert i wysłał na Wschód. W martwym sezonie, kiedy nic się nie dzieje, agenci Kampfgruppe wysadzą czasem komunistom jakiś most kolejowy albo wytrują stado kołchozowych krów.

– Ciągłe nie powiedziałaś, czemu cię swędział nos – wtrącił Jack.

– Gdyby Otto naprawdę dostał w swoje ręce kopie wychodzących listów Ackermanna, to wyprosiłby lub pożyczył od kogoś te dwadzieścia pięć tysięcy i wykupił je dla siebie, a potem poleciał i przehandlował cały zbiór Rabbimu za okrągłe pięćdziesiąt patoli. Rabbi przyszedłby z tym do nas i zażądał skromnie siedemdziesiąt pięć; albo oddałby wszystko za darmo, gdybyśmy mu tylko powiedzieli, w jakim miejscu Ameryki Południowej ukrywa się wróg publiczny numer jeden Państwa Izrael, były szef Żydowskiej Sekcji Gestapo, Adolf Eichmann.

– Te termofaksy mogą być prawdziwe. Nie dowiesz się, dopóki nie zobaczysz.

Czarnoksiężnik z błyskiem w oku potrząsnął głową.

– Tak się składa, że wiem, iż towarzysz Ackermann nie dyktuje swoich listów sekretarce. Ma obsesję, wszędzie podejrzewa podsłuchy i przecieki, więc wszystko pisze własnoręcznie i sam zapieczętowuje koperty, tak by było widać, czy ktoś je otwierał.

– A zatem twój przyjaciel Otto nie jest twoim przyjacielem?

– Świadomie lub nieświadomie przygotowuje pułapkę.

– Co teraz zrobisz, Harveyu?

– Wchodzę w to, chłopie.

Torriti porzucił swoją pozę rozlazłego grubasa, który topi smutki i depresje w przydziałowej whisky, i energicznie wziął się do roboty. Wezwał do siebie na naradę Jacka, obu Silwanów i jeszcze czterech innych starannie dobranych agentów. Panna Sipp wyciągnęła wielką płachtę z planem Spandau, usytuowanego w brytyjskiej strefie Berlina, i przypięła ją do ściany.

– Mamy do dyspozycji sześć godzin – zaczął Torriti. – Ukryjcie spluwy. Nikt nie może zobaczyć, że macie przy sobie broń. Kiedy się ściemni, przedostaniecie się pojedynczo na teren operacji. Silwanowie, w pokutnych worach, z głowami posypanymi popiołem i obrzynami w szkaplerzach, zajmą pozycję w kościele... Kiedy przyjdę, chcę was widzieć na kolanach, modlących się o moje zbawienie. Wy czterej przyczaicie się w najciemniejszych bramach, jakie uda się wam znaleźć w pobliżu, najlepiej gdzieś na rogu. Jack, ubrany w znoszoną skórzaną kurtkę i wełnianą czapkę, żeby nikt go nie wziął za absolwenta Yale, będzie prowadził taksówkę. Podrzucisz mnie pod drzwi kościoła i zabierzesz z powrotem, kiedy wyjdę, o ile w ogóle stamtąd wyjdę. M3, razem z magazynkami, trzymaj na siedzeniu obok, pod płaszczem

przeciwdeszczowym. Mamy łączność. Każdy z każdym będzie mógł się bezpośrednio porozumieć dzięki ustrojstwom, które panna Sipp, niech będą błogosławione jej delikatne rączki, przyczepi wam teraz do klap. Jakies pytania?

Słodki Jezus chciał wiedzieć, czy będzie mógł zabrać ze sobą pekińczyka.

– Oczywiście, marnotrawni księża zazwyczaj prowadzą się z psami na smyczy – odparł drwiąco Torriti.

– Dostaniemy premię ekstra, szefie? – pytał dalej Słodki Jezus.

– Tylko jeśli będzie strzelanina.

Słodki Jezus nie dał za wygraną.

– Tak dla ścisłości, czy strzelanina zostanie uznana za strzelaninę, jeśli my będziemy strzelać, a oni nie?

– Marnujesz swój wrodzony talent w szpiegostwie – stwierdził Czarnoksiężnik. – Jesteś stworzony, by być adwokatem, który ugania się za karetkami w poszukiwaniu klientów.

– Mam za sobą trzy lata studiów na wydziale prawa w Bukareszcie, potem przyszli komuniści i musiałem uciekać – przypomniał mu Słodki Jezus.

– To wszystko, o ile mnie moja słoniowa pamięć nie myli – powiedział Torriti do Jacka.

Wyglądał, jakby go ktoś na sto koni wsadził.

Jack podjechał taksówką do krawężnika na wprost katolickiego kościoła, w chwili gdy dzwony na wieży zaczęły wybijać jedenastą. Pochylił się do kołnierzyka koszuli i powiedział:

– Kapitan Whisky. Wszyscy na swoich miejscach?

Obserwatorzy meldowali się po kolei:

- Whisky Jeden, przyjąłem.
- Whisky Dwa, przyjąłem.
- Whisky Trzy i Cztery, na pozycjach.
- A jak tam w kościele? – zapytał Jack.

Przez chwilę słychać było tylko szum.

- Whisky Pięć i Sześć, jak wyżej.

Torriti, ubrany w stary, obszerny płaszcz przeciwdeszczowy, ścisnął w rękę flaszkę ginu, owiniętą w papierową torbę. Pchnął tylne drzwiczki taksówki i wytoczył się na chodnik. Odchylił głowę, dopił resztkę z butelki, rzucił ją na tylne siedzenie i zatrzasnął kopniakiem drzwi samochodu. Jack przechylił się i otworzył okno od strony pasażera. Torriti wyciągnął portfel z kieszeni spodni i podetknął go sobie pod sam nos, licząc banknoty.

- Zaczekaj tu na mnie – warknął.

- *Um wieviel Uhr?* – spytał Jack.

– Później, cholera. *Später.* – Torriti wyprostował się, beknął i udając, że ma problemy z zachowaniem równowagi, zatoczył się w stronę podwójnych drzwi kościoła.

Jack naciągnął czapkę na oczy, położył dłoń na M3, leżącym pod płaszczem przeciwdeszczowym na siedzeniu obok, i czekał; spod daszka czapki mógł bez przeszkód obserwować wszystko we wstecznym i obu bocznych lusterkach. Przez ukrytą w uchu miniaturową słuchawkę odbierał kolejne meldunki.

- Tu Whisky Dwa. Wszedł do środka.
- Whisky Pięć. Widzę go – szepnął Słodki Jezus.
- Whisky Sześć. Ja też go widzę – odezwał się Upadły Anioł.

Czarnoksiężnik przystanął przy chrzcielnicy w kształcie muszli, zaczerpnął wody w dłonie i ochlapał sobie twarz. Wstrząsnął się i ruszył wzdłuż głównej nawy. Na ławkach siedziało kilkunastu modlących się w skupieniu wiernych. W ostatnim rzędzie klęczeli po obu stronach nawy dwaj zakapturzeni mężczyźni w pokutnych workach ze szkaplerzami, kiwając się miarowo w bezgłośnej modlitwie; Torriti pomyślał, że musi im później powiedzieć, że katolicy nie kiwają się w kościele jak Żydzi przy szabasie. Kiedy zbliżał się do ołtarza, zobaczył idącą mu naprzeciw kobietę w zielonym, męskim lodenowym płaszczu, solidnych, wschodnioniemieckich traperkach i z głową owiniętą szalem. Gdy się zrównali, szepnęła:

– Herr Torriti?

– To ja – odparł. – *Sprechen Sie Englisch?*

– Trochę mówię po angielsku – powiedziała kobieta. – Gdzie możemy pójść, żeby porozmawiać?

Torriti wziął ją pod rękę i poprowadził w mroczny kąt z boku ołtarza. Rozejrzał się dyskretnie po ludziach siedzących w ławkach; wydawało się, że tylko dwie zakapturzone postacie w tylnym rzędzie zwracają na nich uwagę.

– Nasz wspólny przyjaciel powiedział mi, że może pani mieć coś ciekawego do zaoferowania – odezwał się Czarnoksiężnik.

– Pokażę panu *zwei* próbki – powiedziała kobieta. Wydawała się bardzo spięta, jakby chciała mieć to już za sobą. – Spodoba się panu to, co pan zobaczy, to spotkamy się znowu i dokonamy wymiany. Ja dam panu listy, a pan mi da dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Amerykańskich.

– Skąd ma pani pewność, że zapłacę? Mogę wziąć listy i zniknąć.

Kobieta ściągnęła usta.

– Zrobi pan tak, a nigdy nie zobaczy reszty listów, *ja?* – Pomyślała chwilę, potem dodała: – Dwadzieścia pięć amerykańskich dolarów *billig* w zamian za to, co panu przyniosłam.

– Zdzierstwo! – jęknął Torriti z udawaną rozpaczą.

Kobieta uśmiechnęła się i sięgnąwszy pod płaszcz, wyciągnęła z fałdów grubej spódnicy dwa złożone arkusze papieru i dyskretnie wręczyła je Czarnoksiężnikowi. Rozejrzył się wokół, potem rozpostarł jedną kartkę i podniósł do światła świecy, płonącej przed figurką Madonny. Dojrzał pisany na maszynie tekst, który zaczynał się od oficjalnego powitania towarzysza Ulbrichta, a kończył partyjnym pozdrowieniem po niemiecku. Na końcu listu, u dołu strony, widniało nazwisko „A. Ackermann”. Wyżej dało się dostrzec bardzo czytelny odręczny podpis Ackermanna. Drugi list adresowany był do zastępcy radzieckiego rezydenta w Karlshorst, towarzysza Oskara Ugor-Mołodego, kończył się takim samym partyjnym pozdrowieniem, a pod spodem widniał taki sam podpis Ackermanna.

– Wydaje się koszerne – powiedział Czarnoksiężnik, chowając oba listy do kieszeni.

Rozejrzył się ponownie i spostrzegł dwóch starszych panów, którzy wstali z ławki i ruszyli główną nawą w kierunku drzwi. Silwanowie też musieli ich zauważyć, bo nieznacznie wsunęli dłonie pod szkaplerze; Torriti dobrze wiedział, że nie robią nic zdroźnego... Minąwszy ostatni rząd ławek, starsi panowie odwrócili się do ołtarza, przyklęknęli, przeżegnali się i szepcząc coś do siebie, wyszli z kościoła.

– Gdzie i kiedy? – zwrócił się Torriti do kobiety.

Sięgnąwszy pamięcią do szkolnych czasów, z trudem wygrzebał odpowiednie niemieckie słowa:

– *Wo? Wann?*

– *Hier* – odparła, wskazując Madonnę. – Jutro *nacht*. Okay? Rozumie pan?

– Rozumiem – powiedział Torriti.

Zamrugnął oczami i położył rękę na figurce, jakby nagle stracił równowagę i musiał się czegoś przytrzymać.

Kobieta sprawiała wrażenie zagubionej, jakby nie wiedziała, co dalej począć. Czarnoksiężnik pomyślał, że jest neofitką, którą ktoś wynajął na jednorazową misję. Zrobiła krok w tył, potem w przód, wreszcie wyciągnęła do niego dłoń w rękawiczce. Czarnoksiężnik pocałował ją w rękę. Kobieta wydawała się zdumiona. Nerwowo zachichotała i odeszła pośpiesznie, prawie biegnąc pomiędzy ławkami, zanim zniknęła w bocznych drzwiach. W tylnym rzędzie Słodki Jezus i Upadły Anioł spojrzeli po sobie niepewnie.

W uchu Czarnoksiężnika zabrzęczał miniaturowy głośnik.

– Whisky Trzy. Obiekt wychodzi bocznymi drzwiami. Idzie bardzo szybko w kierunku Breitestrasse. Czeka... Zatrzymuje się przed nią stary mercedes. Wsiadła. Samochód zawraca, nabiera prędkości, skręca z powrotem w Breitestrasse. Już, straciłem ich z oczu.

– Kapitan Whisky. Co dalej w karcie?

Czarnoksiężnik wymamrotał do kołnierzyka:

– Tu Knajpiarz. Jeśli coś ma się wydarzyć, to właśnie teraz. Bądźcie czujni.

Sięgnął pod płaszcz i poklepał – „na szczęście” – perłową rękojeść rewolweru, potem, nieco się zataczając, ruszył powoli po kamiennej posadzce kościoła w kierunku głównych, podwójnych drzwi. Nawet się nie obejrzał; wiedział, że w razie czego Silwanowie będą go osłaniać. W jego uchu odezwał się nagle jeden z obserwatorów.

– Whisky Jeden. Od strony Carl-Schurz-Strasse nadchodzą dwaj mężczyźni.

– Kapitan Whisky. Wszyscy zachować spokój – rozległ się w słuchawkach beznamiętny głos Jacka. – Widzę ich w bocznym lusterku. Przechodzą pod latarnią. Jeden z nich ma na sobie skórzany płaszcz, drugi skórzaną kurtkę. Idą powoli w stronę kościoła.

Czarnoksiężnik pamiętał jeszcze zdenerwowanie Jacka tamtej nocy, kiedy czekali na Wiszniewskiego w kryjówce nad kinem. Przez te cztery miesiące chłopak dojrzał i okrzepł. Pierwsze wrażenie Torritiego, że Jack przewyższa zdolnościami całe to mięso armatnie, które przysyłają mu z Waszyngtonu, okazało się słuszne.

– Whisky Trzy i Cztery – szepnął niemal bezgłośnie do swojego mikrofonu. – Idźcie za nimi, ale nie przyciskajcie ich za bardzo. Chcę, żeby to oni zaczęli.

Pchnął drzwi i znalazł się na pociemniałej ulicy. Od razu zauważył dwóch mężczyzn, przechodzących pod latarnią gazową jakieś pięćdziesiąt metrów w dół ulicy; światło zaśniło na czubku łysiejącej głowy jednego z nich. Oni także musieli już dostrzec Czarnoksiężnika, bo rozdzielili się i przyspieszyli kroku. Powłócząc nogami, Torriti podszedł do stojącej przy krawężniku taksówki. W środku dostrzegł Jacka, który siedział za kierownicą, udając, że drzemie, lecz jego prawa ręka sięgała po coś na siedzeniu obok. Whisky Trzy i Cztery skręcili za róg i pojawili się tuż za plecami obu mężczyzn.

Kiedy Czarnoksiężnik dotarł do tylnych drzwi samochodu, tamci znajdowali się zaledwie parę metrów od niego. W chwili gdy dotykał klamki, jeden z nich sięgnął prawą ręką za pasek. Coś błysnęło metalicznie w świetle latarni. Mężczyzna ociężale ruszył na Torritiego. Z gracją i lekkością grubasa, który przeżył więcej bójek ulicznych, niż mógł zliczyć,

Torriti uskoczył na bok i przykucnął. Piękna perłowa rękojeść rewolweru zmaterializowała się w jego dłoni i odskoczyła lekko, kiedy pociągnął za spust. Wystrzał, spotęgowany panującymi ciemnościami, odbijał się echem od wysadzanej kocimi łbami jezdni, a kula przeszła ramię napastnika, który rozpląszczył się na ziemi. Rzeźnicki nóż potoczył się do rynsztoku, prosto pod nogi Jacka, który w tym samym momencie wyskoczył zza swojej taksówki, ściskając pod pachą M3, wycelowany w drugiego mężczyznę. Ten stanął jak wryty. Miał widocznie tyle oleju w głowie, żeby nie próbować ucieczki. Po chwili, z pistoletami gotowymi do strzału, nadbiegli Whisky Trzy i Whisky Cztery. Pierwszy kopniakiem odsunął nóż od rannego, który siedział oparty o zderzak i pojękiwał. Drugi przeszukał łysego, stojącego przez cały czas nieruchomo, z rękami uniesionymi nad głową, i zabrał mu broń oraz małe walkie-talkie.

– To miał być atak, Harvey? – Jack z niedowierzaniem potrząsnął głową.
– To była amatorszczyzna...

Nagle, przy końcu ulicy, ukazał się mały samochód z migającym niebieskim kogutem policyjnym na dachu. Pędził w kierunku taksówki i z piskiem opon zahamował jakieś dwanaście metrów od nich. Drzwi z obydwu stron otworzyły się i wysiadło dwóch mężczyzn w mundurach zachodnioniemieckiej *Polizei*. Obaj trzymali palce na spuście pistoletów maszynowych typu „Schmeisser”, które ściskali pod pachą.

– Skąd tak szybko wiedzieli, że mają tu przyjechać? – wyszeptał Jack.
– Może to jednak nie była amatorszczyzna – mruknął pod nosem Torriti.
– Jakież kłopoty?! – zawołał jeden z policjantów.

Jack był z siebie niezwykle dumny, że od razu spostrzegł, iż nie odezwali się po niemiecku. Zauważył to w tym samym momencie, w którym Czarnoksiężnik rzucił od niechcienia:

– Mówią wzorcową angielszczyzną, chłopie. Rozwał ich.

Jack i Torriti otworzyli ogień jednocześnie z policjantami, którzy zaparkłszy się nogami w ziemię, zaczęli pruć do nich ze schmeisserów. Kule Jacka ścięły jednego z nich, strzał Torritiego powalił drugiego. Łysy tajniak, wciąż stojący z rękami w górze, chwycił się nagle za brzuch, trafiony zbłąkaną kulą napastników. W pobliskich domach ludzie otwierali okna, ten i ów wyjrzał lękliwie na ulicę. Ktoś zawołał:

– *Was ist hier Los?!*

– *Schliesse die Fensterläden... das geht uns nichts an!* – wrzeszczała jakaś kobieta.

– *Rufen Sie die Polizei* – odpowiedział jej męski głos.

– *Das ist ein Polizeiauto!* – odkrzyknęła wychylona przez parapet dziewczyna.

– Czas się zbierać – zarządził Czarnoksiężnik z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytał Jack.

– Nie rozumiesz, synu? Gnojki chciały mnie porwać!

Rzucił się na przednie siedzenie obok Jacka. Taksówka odbiła od krawężnika, zarzuciło nią na rogu i zniknęła w upiornej ciszy berlińskiej nocy.

BERLIN, PIĄTEK, 11 MAJA 1951

Na czas nieobecności Czarnoksiężnika stery przejął Jack. Rozparty na krześle szefa, przekrzykując dobywającą się z fonografu arię, opisywał właśnie akcję przed kościołem dwóm świeżo upieczonym rekrutom, którzy zameldowali się na służbie w berlińskiej bazie.

– To jest stary wschodnioniemiecki podstęp i musicie o tym pamiętać – mówił.

Pchnął ku nim przez biurko dwa kubki z przydziałową whisky Torritiego, uniósł w górę swój i wychylił do dna.

– Nasyłają na was paru byczków, wy zaczynacie się z nimi bić albo wycofujecie się w pośpiechu, a tu zajeżdża wóz policyjny... może być też taksówka lub karetka... Biegniecie do nich po pomoc, oni was zgarniają, znikacie bez śladu, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, a potem oglądamy was w telewizji na konferencji prasowej w strefie sowieckiej. Oczy macie szkliste od narkotyków i ogłaszacie światu, że poprosiliście o azyl polityczny w proletariackim Shangri-la wujka Stalina.

– Nigdy nie natknąłem się na coś takiego w gazetach – zauważył jeden z rekrutów i szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Jest zbyt wiele porwań, żeby o wszystkich pisano w gazetach. Tylko w Berlinie kilkaset na miesiąc. A scenariusz bywa prawie zawsze ten sam.

– Czy ta termonuklearna reakcja, nad którą pracujemy w Eniwetok, zmieni coś w tutejszych układach? – wtrącił drugi.

– Rosjanie złamali nasz monopol na bombę atomową – odparł Jack. – Z wodorową zrobią to samo, zanim zdążymy splunąć. Ale spokojna głowa, zimna wojna tak prędko się nie skończy. Zdążycie się wykazać...

– Jak długo pan tu jest? – zapytał z szacunkiem pierwszy rekrut.

Jack wstał, rozluźnił krawat i odchyliwszy niedbałym ruchem poły marynarki, usiadł z powrotem na krześle Czarnoksiężnika. Ostatnio zaopatrzył się w dodatkową broń. W przypiętej do szelek kaburze błysnęła wypolerowana, mahoniowa rękojeść włoskiej beretty.

– Za tydzień minie pół roku. – Potrząsnął głową. – Cholera, jak ten czas leci tu, w Berlinie.

– Czy są tu jakieś... no, wie pan, rozrywki? – dopytywał się nieśmiało młody człowiek.

– Jest kilka nocnych klubów na Kurfürstendamm, ale musicie na siebie bardzo uważać. W tych lokalach wprost roi się od Rosjan i wschodnich Niemców.

Weszła panna Sipp z porannymi raportami od obserwatorów, monitorujących mikrofony w sowieckiej strefie z kryjówki niedaleko Checkpoint Charlie^[20].

– Jeśli macie jakieś pytania, problemy, cokolwiek, zawsze możecie z tym do mnie przyjść! – zawołał Jack.

Kiedy rekruci wyszli, Jack zaczął przeglądać meldunki, szukając nagrania z podsłuchu, który „elektrycy” założyli w podłodze Herr Professora. Od dwunastu dni regularnie napływały rozwlekłe, dość wątpliwej użyteczności kopie zapisu rozmów, przypominających dialogi z opery mydlanej. Tego ranka, bez wyraźnego powodu, po raz pierwszy nic nie przyszło. Jack wyprostował się na krześle i ponownie przejrzał wszystkie kopie.

– Jak to możliwe, że nie ma nic z mikrofonu SNAJPERA?! – zawołał do panny Sipp.

Wetknęła głowę przez drzwi.

– Też się zdziwiłam, więc wzięłam na spytki jednego z obserwatorów. Powiedział, że podsłuch wysechł.

– Sprawdź jeszcze raz, dobra?

– Ciągle nic – zameldowała panna Sipp nieco później tego samego ranka.

– Mówią, że są dwie możliwości. Pierwsza: ktoś odkrył mikrofon i go usunął. Druga: TĘCZA i/lub SNAJPER wpadli w ręce KGB.

– Sukinsyny przeoczyły trzecią możliwość – wysyczał Jack, kipiąc ze złości. – Mikrofon lub któryś z przekaźników ma usterki.

– Przetestowali sprzęt, zanim go zainstalowali – odparła cicho panna Sipp.

Wygładzając dłonią pofałdowaną spódnicę, podeszła do biurka i siostrzanym gestem pogłaskała nadgarstek Jacka.

– Spójrz prawdzie w oczy... Zakochałeś się w swojej łączniczce. Wspomnisz moje słowa, Jack. Nie wyjdzie ci to na zdrowie.

Odepchnął jej rękę.

– A w ogóle to nie rozumiem, dlaczego Harvey uparł się, żebyśmy założyli u nich podsłuch. SNAJPER przekazuje mu wszystko, co sam wie. Na tych jedwabnych szmatkach.

– Pan Torriti zawsze postępuje bardzo metodycznie. Można być pewnym, że zawsze zwietrzy coś, czego inni by nawet nie podejrzewali.

W ten piątek Jack zjawił się wcześniej w sali prób na Hardenbergstrasse, ale zastał jedynie przylepioną na szybie portierni karteczkę z ogłoszeniem, że zajęcia baletowe z Lili zostały zawieszony do odwołania. Odchodząc od zmysłów, poruszył niebo i ziemię w berlińskiej bazie, żeby się dowiedzieć,

czy w sowieckim sektorze zatrzymano ostatnio jakąś grubą rybę. Napływające odpowiedzi nieco go uspokoiły: nie odnotowano żadnego epokowego aresztowania. Oficerowie KGB z Karlshorst zajęci byli nowymi przepisami moskiewskiej centrali, które nakazywały powracającym do ojczyzny oficerom płacić wysokie cła od mebli, ubrań, samochodów, motorów i rowerów, przywożonych z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Mówiło się nawet o krążącej w tej sprawie petycji, ale rezydent, generał Iljiczew, zmył głowę prowodyrom akcji i zdusił rebelię w zarodku. Jack, w dalszym ciągu niezadowolony z wyników swego prywatnego śledztwa, dobrał się do ksiąg stacji podsłuchowych z zapisem wszystkich połączeń radiowych z Karlshorst. Ale i tu nie natknął się na nic szczególnego. Przejrzał ostatnie raporty obserwatorów, mających na oku sowieckie lotniska. Odbyły się zwykłe loty, wszystkie planowe. Jack kazał nawet Upadłemu Aniołowi sprawdzić prywatną szkołę tańca przy Alexanderplatz, gdzie Lili uczyła rano; kartka w okienku dozorczyńi głosiła, że zajęcia Fraülein Mittag będą prowadzone teraz przez Frau Haeckler aż do odwołania. W drodze powrotnej do strefy amerykańskiej Upadły Anioł wpadł do dozorczyńi Herr Professora, żeby zobaczyć, czy jej nowiutkie czeskie radio dobrze odbiera, i jednocześnie wyciągnąć z niej coś na temat lokatorów. Staruszka, jak później powiedział Jackowi, słuchała właśnie monachijskiej rozgłośni Radia Wolna Europa. Lekarstwo na artretyzm nie bardzo jej pomaga. Ludzie, którzy mieszkali na górze, wyjechali. Koniec kropka.

Łudząc się jeszcze nadzieją, że znajdzie się jakieś banalne wytłumaczenie zniknięcia TĘCZY, Jack poszedł na wtorkowe spotkanie. Kartka z portierni Aristide'a zniknęła, a Lili pojawiła się na zajęciach, jak gdyby nigdy nic. Jack, ukryty we wnęce foyer, obserwował ją bacznie. Wydawało się, że nikt jej nie śledził. Dwie godziny później, kiedy ostatni

student opuścił gmach teatru, Jack, przeskakując po trzy stopnie naraz, wbiegł po schodach na górę i gnając na złamanie karku wąskim korytarzem, przesyconym zapachem potu i talku, wpadł do sali na ostatnim piętrze, gdzie Lili stała pochylona, z jedną nogą opartą na drążku.

Chwycił dziewczynę za rękę i przyciągnął ku sobie.

– Gdzie się podziewałaś? – spytał ochryple.

– Puść, to boli...

– Bałem się, że...

– Dałabym ci znać, ale nie wiedziałam, jak...

– Gdyby cię aresztowali...

Jack puścił ją wreszcie. Oboje odetchnęli głęboko.

– *Jack-in-the-box* – wyszeptała Lili.

Odepchnęła go lekko, a potem potrząsnęła głową i westchnąwszy jak dziecko, przytuliła mu się do piersi.

– Brat Herr Professora zmarł nagle... Musieliśmy jechać do Drezna na pogrzeb. Zostaliśmy tam kilka dni, żeby pomóc jego żonie. Wiesz, jak to jest... Konto w banku, polisa na życie... Och, Jack, to wszystko jest bez sensu. Co z nami będzie?

– Daj mi trochę czasu – powiedział. – Coś wymyślę.

– Co pozwala ci wierzyć, że czas dla nas istnieje? – szepnęła mu prosto w ucho, a jej słowa były tak wilgotne i ciepłe jak kawałek jedwabiu.

Jack przytulił ją mocno.

– Spędź ze mną noc, Lili – błagał. – Chociaż raz.

– Nie – powiedziała i wtuliła się w niego mocniej. – Nie mogę... – Jej głos gdzieś odpłynął.

Leżąc na wąskim, drewnianym łóżku, Lili odwróciła się plecami do Jacka, który zaczął całować jej kark i przesunął dłonią po krągłości biodra. Zza jej szczupłego ramienia popłynął głos, ochrypły po miłosnej nocy.

– Zauważyłeś, że kiedy pociąg porządnie się rozpędzi, wszystko w pobliżu torów staje się niewyraźne, zamazane? Ale jeśli szybko zamrugasz powiekami, możesz zatrzymać ruch na ułamek sekundy, możesz zatrzymać obraz. Przelatujesz dziś koło mnie z prędkością światła, Jacku Błyskawico. W oczach mojej duszy...

– Oczyma mojej duszy...

– Tak, oczyma mojej duszy mrugam, aby zatrzymać obrazy nas, kochających się tutaj.

Jack, pieszcząc jej uda, czuł smukłe i twarde jak stal mięśnie tancerki.

– Opisz mi, co widzisz.

– Oczywiście, już się kiedyś kochałam... ale to było dawno, dawno...

Jack pomyślał o Upadłym Aniele, który otwierał z trzaskiem niewielki teleskop i patrzył, jak Lili wpada w objęcia starszego mężczyzny o śnieżnobiałych włosach.

– Zaczynaj od początku – powiedział. – Raz jeszcze przeżyjemy dzisiejszą noc.

Lili drgnęła.

– A więc... Podczas naszej ostatniej rozmowy w sali prób zgadzam się spotkać z tobą w małym hoteliku w sektorze francuskim. Mówię Herr Professorowi, że zanocuję u przyjaciółki z dzieciństwa, w Poczdamie. Jestem zdumiona nie tyle samym kłamstwem, ile tym, jak łatwo mi przeszło przez gardło. Dalej postępuję według twoich instrukcji: idę pod prąd jednokierunkową uliczką, żeby mieć pewność, że nikt mnie nie śledzi. Potem przychodzę tutaj, a serce wali mi jak oszalałe.

Jack zachichotał, wtulając twarz w szyję dziewczyny.

– Ja też sprawdziłem, czy nikt cię nie śledził.

– Recepcjonista za ladą uśmiecha się znacząco, podając mi klucz, ale ja nie czuję się zakłopotana. Wręcz przeciwnie, jestem dumna... Dumna, że ktoś tak piękny jak ty, Jacku-prosty-jak-świeca, tak bardzo mnie pożąda.

– Pożądanie to mało, Lili.

– Czekam w pokoju... Wreszcie słyszę twoje kroki na schodach. Nasłuchiwałam ich tyle razy w teatrze, że teraz rozpoznaję je natychmiast. Otwieram drzwi. I to jest właśnie ten moment, kiedy rzeczy zaczynają biec błyskawicznym tempem... wszystko się zamazuje, rozpływa...

– Mruga. Opisz mi poszczególne ujęcia.

– Ujęcia?

– To, co utrwała kamera. Zatrzymane obrazy.

– Postaram się. Widzę siebie... Nie potrafię wykrztusić słów powitania. Sięgam do uszu, żeby zdjąć kolczyki.

– Ten gest... Zaparło mi dech w piersiach. Zdawało mi się, że zamknęłaś w nim wszystko, czego mężczyzna mógłby zapragnąć od kobiety...

– Widzę ciebie... Widzę, jak ściągasz przez głowę koszulę. Widzę, jak odpinasz ten okropny przedmiot od paska u spodni i wsuwasz go pod poduszkę. Przyglądam się, jak rozpinasz mi sukienkę. Składam moje ubrania, które ty zdejmujesz, i przenoszę ostrożnie na krzesło, co niezmiernie cię bawi... Przypuszczam, że wolałbyś, żebym rzuciła je na podłogę, tak jak by to zrobiła Amerykanka. Czuję, że wierzchem dłoni muskasz skórę na moich piersiach. Och... Widzę, jak stapiają się nasze nagie ciała, widzę twoje oczy szeroko otwarte, kiedy przyciskasz swoje usta do moich...

– Twoje oczy też musiały być otwarte, skoro to zauważyłaś.

– To było jak taniec... Nie chciałam stracić żadnej odsłony spektaklu.

– Pokaż mi więcej obrazów, Lili.

– Więcej ujęć, yes. Tych obrazów wystarczy, by zapełnić wspomnieniami całe życie. Niesiesz mnie do łóżka, pochylasz się nade mną w słabym świetle, sączącym się z uchylonej garderoby, pieścisz swymi wielkimi dłońmi i zgłodniałymi ustami moje nienawykłe do pieszczot ciało. – Westchnęła w poduszkę. – Wchodzisz we mnie powoli, obracasz mnie przodem, potem tyłem, jesteś za mną, pode mną, obok mnie... Wspaniale umiesz się kochać. Jesteś naprawdę dobry... w te klocki – zaśmiała się cicho.

– To zasługa kobiety, że mężczyzna... jest dobry w te klocki – odparł Jack, odkrywając dopiero teraz tę oczywistą prawdę. – Ten sam człowiek raz bywa lichym, a raz przeciętnym kochankiem, ale są chwile, są... kobiety, dla których dajemy z siebie wszystko. Nie można o kimś powiedzieć: to wspaniały kochanek. Nigdy nie mamy pewności, bo za każdym razem jest inaczej.

– Nie mamy już dla siebie zbyt wiele czasu – ostrzegła go Lili.

– Wystarczy, by się przekonać, czy twoje obrazy przerastają moje fantazje.

Zdrzemnęli się jeszcze na krótko, przytuleni do siebie. Zbudziły ich poranne odgłosy ulicy i pierwsze promienie świtu. Jack chciał się znowu kochać, ale jęknęła, że cała jest poobijana od twardego materaca, więc dał spokój, bo nie chciał sprawiać jej bólu. Wstała z łóżka, umyła się nad bidetem za parawanem w kącie pokoju. Kiedy się ubrali, zeszli do małej izdebki na zapleczu portierni i zjedli śniadanie: czerstwe bułeczki z margaryną i dżemem, popijane gorącą czekoladą na mleku w proszku.

Stali na chodniku, zakłopotani, nagle jakby zagubieni. Twarz Lili spochmurniała.

– Chyba się pożegnamy?

– Nie, Lili. Nie będziemy się żegnać – odparł Jack. – Kiedy byłem mały, matka zabierała mnie na każde Święto Dziękczynienia do Atlantic City... Pamiętam, że z podciągniętymi do kolan spodenkami stałem na plaży nad brzegiem oceanu i patrzyłem, jak woda wymywa piasek spod moich bosych stóp, a potem cofa się w głąb morza. Czułem wtedy, że kręci mi się w głowie. Dzisiaj jest tak samo...

– Ja jestem piaskiem spod twoich bosych stóp.

Lili odwróciła głowę, patrząc na usmolone twarze mężczyzn, którzy wyładowywali z ciężarówki torby z węglem i nosili je do piwnicy sąsiedniego budynku.

– Życie to akumulacja małych błędów – powiedziała nagle.

– Dlaczego mówisz o błędach? – zapytał Jack z rozdrażnieniem. – Żeby mi powiedzieć, że nasza noc była błędem?

– Nie to miałam na myśli. Chciałam ci w ten sposób streścić historię mojego życia – wyjaśniła – ale doszłam do wniosku, że prawdziwym problemem są duże błędy, które próbujemy naprawić.

Jeszcze tej samej nocy założony w podłodze SNAJPERA podsłuch zarejestrował dźwięk ludzkich głosów. Ukryty w instalacji oświetleniowej nadajnik przekazał je do kryjówki, a już następnego ranka na biurko Jacka wpłynęły kopie zapisu rozmów: niewyraźne urywki zdań, trzaskanie zamykanych i otwieranych drzwi, plotki o rozwodzie jakiejś znanej pary, skwapliwe zapewnienia starego człowieka o dozgonnym uwielbieniu dla młodej dziewczyny, puenta antyradzieckiego dowcipu, kwiecista pochwała

czyjejś sztuki kulinarnej... Nieistotna paplanina w domowym zaciszu, bez najmniejszego związku z tajnymi informacjami, zbieranymi przez SNAJPERA na uniwersytecie i w rządowych gabinetach. Po dłuższej chwili milczenia dały się słyszeć dwa męskie głosy, pogrążone w cichej rozmowie, prowadzonej w języku angielskim. Pierwszy głos należał niewątpliwie do Herr Professora, drugi – sądząc z akcentu – do jakiegoś obcokrajowca, prawdopodobnie Polaka.

Ten właśnie fragment zapisu najbardziej zaintrygował Jacka. Tekst zawierał szczegóły dotyczące testowanej na bałtyckiej wyspie Rugii broni biologicznej, produkcji uranu w okolicy Joachimstalu w Górach Harzu oraz najnowszych sowieckich eksperymentów nad rozszczepieniem jądra atomu w Azji Środkowej. Potem rozmowa zeszła na wspólnych znajomych: kto umarł na raka okrężnicy, kto zostawił żonę dla młodszej kobiety, kto uciekł do Francji i mieszka teraz w Paryżu... Nagle Polak napomknął, że wydaje mu się, iż Rosjanie mają ważnego szpiega w brytyjskim wywiadzie. Skąd mu to przyszło do głowy, zapytał starszy mężczyzna, wyraźnie zdziwiony. Tu rozmowa się urwała, bo do pokoju, sądząc z odgłosu kroków, weszła jakaś kobieta. Dało się słyszeć podziękowanie za brandy, dzwonienie szklanki o szklankę. Potem mikrofon znów wyłapał miękkie, kocie kroki kobiety, tym razem wychodzącej z pokoju. Starszy mężczyzna powtórzył pytanie: skąd wziął się pomysł, że Rosjanie mają kreta u Anglików. To proste, polski Urząd Bezpieczeństwa wszedł w posiadanie ściśle tajnych dokumentów brytyjskiego wywiadu, odparł Polak i dodał: Miałem te papiery w ręku. Na własne oczy widziałem kopię „listy obserwacyjnej” MI6. Co to jest „lista obserwacyjna”? – zapytał starszy mężczyzna. To wykaz obywateli polskich, uznanych przez brytyjską placówkę w Warszawie za potencjalnych współpracowników, którymi warto się bliżej zainteresować w celu nawiązania kontaktu. Dokument mógł zostać

skradziony agentom MI6 w Warszawie, zasugerował starszy mężczyzna. Nie, nie, zaprzeczał Polak. Na kopii, którą widział, widniały stemple i parafy, wskazujące na to, że pismo zostało rozprawdzone wśród ograniczonej liczby oficerów, z których żaden nie pracował w Polsce.

Rozmowa zeszła na inne sprawy: kwestię rozłamu między polskimi komunistami a Rosjanami, zamknięcie warszawskiego czasopisma za opublikowanie artykułu o masakrze tysięcy polskich oficerów w lesie katyńskim niedaleko Smoleńska w 1943 roku. Rozgorzała dyskusja, czy Polaków zamordowali Niemcy, czy Rosjanie (obaj mężczyźni zgodzili się, że jednak Rosjanie). Potem następowały obietnice podtrzymania wzajemnych kontaktów i ostrzeżenia, że listy mogą wpaść w niepowołane ręce. Dał się słyszeć głos TĘCZY, żegnającej się z Polakiem. Dalej ciężkie kroki na klatce schodowej, odgłos sprzątaných szklanek, trzaśnięcie drzwiami.

Podnosząc oczy znad zapisu, Jack wyobraził sobie kolejną serię ujęć: widział, jak SNAJPER rozpina swój staromodny, sztywno wykrochmalony kołnierzyk i wyjmuje spinki z mankietów; widział, jak TĘCZA sięga do uszu, by zdjąć kolczyki; widział jej uśmiech, kiedy przypomniła sobie reakcję Jacka; widział, jak wraca z toalety, ubrana w luźną, bawełnianą nocną koszulkę; widział, jak podnosi koc na łożu z baldachimem i wsuwa się pod kołdrę obok mężczyzny, któremu tyle zawdzięcza.

Otrząsnąwszy się z tych urojeń, przeczytał raz jeszcze fragment o radzieckim szpiegu w MI6. Gdyby Czarnoksiężnik nie był właśnie w drodze do Waszyngtonu, by popisać się przed Matką swoją papką barytową i zdemaskować sowieckiego kreta, Jack natychmiast by z tym do niego poszedł. Trudno, nieważne. Istotna treść tej rozmowy i tak dotrze do Torritiego, zapisana charakterystycznym pismem SNAJPERA na skrawku jedwabiu, który Jack własnoręcznie wyjmie z za stanika Lili.

ARLINGTON, NIEDZIELA, 20 MAJA 1951

James Jesus Angleton, w poplamionym fartuchu ogrodniczym, narzuconym na starą koszulę i sprane drelichowe spodnie, zamiatał alejkę w oranżerii, którą ostatnio wybudował na tyłach swojego domku na przedmieściach Arlington, z widokiem na „Kwaszarnię” i Reflecting Pool po drugiej stronie Potomacu.

– Próbuję – powiedział, nie wyjmując z ust rozmiękłego papierosa, przyklejonego do dolnej wargi – wyhodować nową odmianę orchidei. Skrzyżuję ją z tą wielką katleją o tęczyliściach... Jeżeli mi się uda, nazwę ją „Cicely Angleton”, na cześć mojej żony.

Zaniósł się suchym kaszlem z głębi przepalonej krtani i przymknął powieki, obolałe od chronicznej migreny.

Czarnoksiężnik poluzował węzeł krawata, a marynarkę rzucił na oparcie bambusowego krzesła. Wyszwiobodził się z kabury na ramieniu i powiesił ją na kłamce lufcika razem ze swoim nieodstępnym rewolwerem o perłowej rękojeści.

– Jeśli chodzi o kwiaty, jestem kompletnym ignorantem. A niech mnie, Jim, jak się krzyżuje orchidee?

– Na miłość boską, nie siadaj na tym! – wykrzyknął Angleton, spostrzegłszy, że Torriti zamierza złożyć potężne cielsko na bambusowym krześle. – Załamie się pod tobą. Przepraszam, nie chciałem...

– W porządku.

Angleton wrócił do zamykania. Kątem oka obserwował Torritiego, który przechadzał się bez celu po oranżerii, dotykając od czasu do czasu glinianych doniczek, słoików i narzędzi ogrodniczych, leżących na bambusowym stoliku.

– Krzyżowanie orchidei to długi i żmudny proces! – zawołał Angleton z drugiego końca pawilonu. – Zupełnie jak praca w kontrwywiadzie.

– Nie mów...

– A jednak... Żeby uzyskać krzyżówkę, trzeba zebrać pyłek z jednego kwiatu i zapylić nim drugi. Znasz kryminały Rexa Stouta? Jest tam detektyw Nero Wolfe, który w wolnym czasie hoduje orchidee. Świetny pisarz... Powinieneś go przeczytać.

– Jestem zbyt zajęty rozwiązywaniem pieprzonych zagadek, żeby tracić czas na jakieś pieprzone kryminały – zauważył Torriti. – To w czym krzyżowanie orchidei przypomina pracę w kontrwywiadzie?

Angleton oparł się na kiju od szczotki, pochylił głowę i odpalił kolejnego papierosa od poprzedniego, który jeszcze tlił mu się w ustach. Wyrzucił peta do porcelanowej sopluchki, pełnej niedopałków.

– Potrzeba aż dwunastu miesięcy, żeby rozwinęła się torebka nasienna – tłumaczył. – Wtedy sadzisz nasionko w jednym z tych małych słoiczek. Uważaj! Nie zrzuć niczego. Przez kolejny rok nasionko kiełkuje na jakieś cztery centymetry. Potem można czekać nawet pięć lat, aż sadzonka zakwitnie, co wcale nie jest takie pewne. Pracując w kontrwywiadzie, też pielęgnujesz latami nasiona w małych słoiczkach, utrzymujesz stałą temperaturę i odpowiednią wilgotność, w nadziei, że kiedyś doczekasz się kwiatów, ale nie masz żadnej gwarancji, że tak się stanie. Tu trzeba anielskiej cierpliwości, której tobie akurat brakuje, Harveyu. Hodowanie orchidei i kontrwywiad to zdecydowanie nie twoja działka.

Torriti podszedł do Angletona.

– Dlaczego mi to mówisz, Jim?

– Pamiętam cię we Włoszech, zaraz po wojnie. Twoim podstawowym błędem był brak cierpliwości. – Ochrypli głos przybrał nagle ostrzejszy ton. – Miałeś obsesję na punkcie wyrównywania rachunków z każdym, kto w jakikolwiek sposób wszedł ci w drogę: z przyjaciółmi z mafii, z Rosjanami, ze mną...

– A mówią, że to ja jestem pamiętliwy!

– Pamiętasz Rzym, Harveyu? Lato roku czterdziestego szóstego? Straciłeś agenta, znaleziono go w pojemniku na śmieci, bez palców i głowy. Rozpoznałeś go dzięki starej ranie od kuli, którą przeprowadzający sekcję lekarze wzięli za bliznę po wycięciu wyrostka. Szalałeś, wzięłeś to bardzo do siebie, tak jakby ktoś ci napluł w twarz. Tygodniami nie spałeś, analizując całą sprawę od początku, krok po kroku. Zawęziłeś krąg podejrzanych do ośmiu, potem do czterech, do dwóch, wreszcie do jednego. Zdecydowałeś, że to kochanka denata. Najśmieszniejsze jest to, że może miałeś rację. Nie zdążyliśmy jej przepyttać, by dowiedzieć się, dla kogo pracowała... Utonęła „w niewyjaśnionych okolicznościach”, jak to określili *carabinieri*. Rozebrała się do naga i wyskoczyła z łódki, żeby sobie popływać o północy przy księżycu. Najciekawsze było to, że nie miała łódki i nie potrafiła pływać.

– Nie potrafiła pływać, bo to raczej niemożliwe z pieprzoną żelazną sztabą przywiązaną do pieprzonej stópki – powiedział Torriti i zachichotał pod swoim zapijaczonym nosem. – Byłem wtedy młody i porywczy. Teraz, kiedy dorosłem, najpierw bym ją przeleciał, a dopiero potem wyrzucił za burzę.

Podciągnął spodnie, odsłaniając łydkę, przy której Angleton dostrzegł drugą kaburę.

– Między przewodnikiem i jego agentem istnieje więź, coś w rodzaju pępowiny, są jak... ojciec i syn – mówił dalej Torriti. – Ty, Jim, tego nie rozumiesz. Masz zbyt analityczny umysł, przepelniony olśniewającymi teoriami, do których wszystko dopasowujesz. Ja na moją wiedzę ciężko zapracowałem. I zawsze ubabram się po łokcie przy jakiejś brudnej robocie.

– Ty ślizgasz się na powierzchni, a ja drążę w głąb – odparł Angleton, znużony sprzeczką. – Co takiego chciałeś mi powiedzieć, że nie mogłeś zaczekać do poniedziałku?

– Jestem w trakcie pisania notatki służbowej do dyrektora, w której wyłuszczam punkt po punkcie, że twój kumpel Philby jest sowieckim szpiegiem. Od początku lat trzydziestych. Jesteś szyczą w kontrwywiadzie, więc pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. A poza tym muszę się upewnić, że Philby nie pryśnie.

– Zrobisz z siebie durnia, Harveyu.

– Trzymam skurwysyna za jaja, Jim.

– No to wal, bracie. Wolę o tym usłyszeć pierwszy.

– Właśnie dlatego przeprowiłem się przez pieprzony Potomac w to dżdżyste niedzielne popołudnie, chociaż mogłem zaszyć się w pieprzonym hotelu i spokojnie chlać do rana.

Angleton oparł szczotkę o szklaną ścianę pawilonu i wyciągnął z kieszeni spodni niewielki notes.

– Masz coś przeciwko, jeśli będę notował?

– Nic a nic.

Przysunąwszy krzesło do bambusowego stolika, Angleton odsunął na bok narzędzia, żeby zrobić miejsce na notes, chwycił ołówek, którym zapisywał dane o roślinach, i z protekcjonalnym uśmiechem na ustach podniósł wzrok na Torritiego.

Czarnoksiężnik, przechadzając się w tę i z powrotem za jego plecami, zaczął swoją opowieść od członkostwa Philby'ego w Związku Socjalistów we wczesnych latach trzydziestych w Cambridge. Mówił o jego pielgrzymce do rozdartego zamieszkami Wiednia, małżeństwie z wojującą komunistką (o ślubie tym wiedział dobrze przyjaciel Angletona, Teddy Kollek), o wysiłkach, jakich nie szczędził, by po powrocie do Anglii ukryć lewicowe sympatie i uchodzić za germanofila, bywalca rautów w niemieckiej ambasadzie, wreszcie o tym, jak „Times” zaproponował mu cykl reportaży o generale Franco i wojnie domowej w Hiszpanii.

Angleton znów spojrzał w górę.

– Adrian był przeświatlany setki razy przez te wszystkie lata. Na razie nie powiedziałaś nic nowego.

Torriti mówił chaotycznie, powołując się na sprawę Krywickiego, którą – według Elihu Epsteina – Brytyjczycy nigdy nie podzielili się ze swoimi amerykańskimi kuzynami.

– Krywicki był przesłuchiwany, kiedy dotarł na ten brzeg Atlantyku – przypomniał Angleton.

Zamknął oczy, żeby lepiej przypomnieć sobie całą historię.

– W MI6 działa kret o kryptonimie PARSIFAL prowadzony przez sowieckiego asa wywiadu, znanego jako Dziadek. Przez pewien czas kret był korespondentem wojennym w Hiszpanii. – Angleton zachichotał nagle i otworzył oczy. – Krywicki sam przyznał, że istnieje jedna szansa na tysiąc, że poważnie potraktujemy jego słowa.

– Ktoś potraktował go poważnie. Został zamordowany w Waszyngtonie w czterdziestym pierwszym roku.

– Według oficjalnego raportu policyjnego to było samobójstwo.

Torriti zatoczył pełne koło, a potem spytał Angletona, czy wie, że Philby korzystał z rejestru źródeł o Rosji Sowieckiej na długo przedtem, zanim zajął się rozpracowaniem sowieckiego kontrwywiadu.

– Nie, nie wiedziałem. Ale znając Adriana i jego pedanterię, zdziwiłbym się, gdyby nie zajrzał do tych rejestrów.

– I tym sposobem dochodzimy do Wiszniewskiego – oznajmił Czarnoksiężnik. – Niewidzianego zdrajcy, który powiedział nam, że może wskazać radzieckiego kreta w MI6.

– Dochodzimy do Wiszniewskiego – zgodził się Angleton.

– W noc nieudanej próby ewakuacji – ciągnął Torriti – wysłano z Karlshorst do centrali w Moskwie nadzwyczaj pilną depezę... Mam tu przypadkiem kopię, gdybyś zechciał rzucić okiem... Depezę z podziękowaniami za wczesne ostrzeżenie, które udaremniło zdradę podpułkownika Wołkowa/Wiszniewskiego, jego żony i syna. Od chwili gdy Wiszniewski oświadczył mi, że zna tożsamość sowieckiego kreta w MI6, podwoiłem środki ostrożności i dopilnowałem, żeby nawet ślad tej informacji nie wpadł w ręce Angolom. A teraz posłuchaj mnie uważnie, Jim. Wiem, że regularnie spotykasz się z Philbym w „La Niçoise”, nie mówiąc już o tym, że wpada do twojego biura, ilekroć jest w „Kwaszarni”. Przypomnij sobie, czy wspominałeś o Wiszniewskim swojemu brytyjskiemu kumpłowi? Puść wreszcie parę z gęby. Powiedziałaś mu, że mamy kogoś, kto utrzymuje, iż może wskazać kreta w MI6?

Angleton odłożył ołówek. Wydawało się, że mówi do siebie.

– Przede wszystkim nie ma żadnego dowodu na to, że Sowieci mają kreta w MI6...

– Wiszniewski twierdził, że mają...

– Wiszniewski nie byłby pierwszym zdrajcą, który chciał podnieść swoją wartość, blefując, że ukrył asa w rękawie...

– Wszystko się zgadza – nalegał Torriti.

– Tak naprawdę nic na niego nie masz – odparł chłodno Angleton. – Ta twoja łamigłówka pasuje do każdego z kilkudziesięciu brytyjskich agentów w USA...

Zaciągnął się papierosem i odwrócił twarzą do Torritiego.

– Znam Adriana lepiej niż kogokolwiek na świecie! – wybuchnął. – Znam jego intencje, wiem, co powie i co zrobi, zanim jeszcze otworzy usta i zacznie się jąkać. Bez wahania powierzyłbym mu własne życie... To niemożliwe, żeby szpiegował dla Rosjan. Nigdy w to nie uwierzę! Reprezentuje sobą wszystko, co tak podziwiam w Anglikach...

Angleton zamilkł na chwilę, a potem z kłębow dymu, który przesłonił mu twarz, dobiegł stłumiony wzruszeniem głos.

– ...Adrian jest taki, jakim ja chciałbym być.

Torriti wyciągnął pomietą chustkę i wytarł spocone ręce.

– A powierzyłbyś mu swoją katleję, gdyby jednak zakwitła? – Roześmiał się z własnego dowcipu i zaraz przeszedł do sprawy agentów, przerzuconych do Polski i na Ukrainę. Ich misja zakończyła się katastrofą, a mógł w tym maczać palce Philby, bo jako łącznik MI6 w Waszyngtonie znał szczegóły całej operacji. – Zrzucasz garstkę odważnych, ale zielonych rekrutów prosto do jaskini lwa, a potem dziwisz się, że pożarto ich żywcem.

Torriti odszedł parę kroków i wziął do ręki jeden ze słoiczków, w którym małeńki pączek przebijał się z trudem przez warstwę ziemi.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie bawił się sadzonkami – warknął Angleton. – Są bardzo delikatne.

Czarnoksiężnik odstawił słoik na miejsce i wrócił chwiejnym krokiem. Wyciągnął zatłuszczony notes, poślinił kciuk i przez chwilę przewracał kartki. Potem zaczął opowiadać historię papki barytowej. Wysyłał starannie spreparowane porcje do każdego, kto tutaj, w Waszyngtonie, mógł zdradzić ewakuację Wiszniewskiego. Barytowe informacje wyglądały z pozoru na powszechnie dostępne, w rzeczywistości jednak dotarły do rąk tylko kilku wybranych osób. Wszystkie operacje, których szczegóły Czarnoksiężnik podał w swojej papce, przebiegły bez problemu. Wszystkie oprócz jednej – zamachu w Albanii. Wiadomość o planowanej akcji trafiła do Komisji do Zadań Specjalnych, której członkiem był, między innymi, Kim Philby.

– W tej komisji jest szesnastu ludzi – zauważył Angleton. – Nie licząc asystentów i sekretarek. Każdy z nich ma dostęp do wszystkich materiałów.

– Wiem – odparł Torriti. – I właśnie dlatego zawęziłem krąg podejrzanych. Kazałem to wysłać do rąk własnych Philby’ego. Dałem mu do zrozumienia, że z n a m tożsamość sowieckiego kreta w MI6. Dwa dni później Rosjanie zastawili na mnie pułapkę. Chcieli mnie porwać.

Angleton potrząsnął głową.

– Rosjanie ciągle kogoś porywają. Nic dziwnego, że próbowali dostać szefa berlińskiej bazy...

Nagle w ciemnych, meksykańskich oczach Angletona pojawił się błysk. Szef kontrwywiadu zamknął z trzaskiem notes i zerwał się na równe nogi.

– Była jeszcze jedna papka barytowa, Harveyu, o której nie wspomniałeś, bo podważa twoją koncepcję domniemanej winy Adriana. Kto jest twoim najlepszym źródłem wywiadowczym we wschodniej strefie Berlina? SNAJPER. Jest nie tylko fizykiem, który ma dostęp do tajnych informacji o sowieckiej broni atomowej, ale również zastępcą przywódcy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wysoko postawionym członkiem państwowej nomenklatury. Kto wie, może pewnego dnia sam zostanie premierem...

A kto pracuje ze SNAJPEREM? Kurier o kryptonimie TĘCZA. Dowiedziałem się o tym z tej twojej papki barytowej. Przyznaję się bez bólu, że o tym także rozmawiałem z Adrianem. Jeżeli to on jest twoim sowieckim kretem, to dlaczego SNAJPER i TĘCZA jeszcze żyją?

Czarnoksiężnik wziął z powrotem swoją kaburę i przekładając lewą rękę przez pętlę, starannie zapiął skórzane szelki.

– Nie wspomniałeś ani razu, czy podzieliłeś się też ze swym kumplem wiadomością o Wiszniewskim.

Angleton, który bawił się płatkami przylepionymi do wilgotnej szyby oranżerii, zdawał się pogrążony w rozmowie z samym sobą.

– Adrian nie może być sowieckim kretem. Tyle lat, tyle operacji... Nie, to wykluczone.

GETTYSBURG, SOBOTA, 26 MAJA 1951

Eugene stał na szczycie Cemetery Hill, patrząc na pole śmierci, ciągnące się w dół aż do Seminary Ridge.

– Przyszli stamtąd – powiedział, wskazując otwartą dłońią las za polami.
– Obląkana szarża Picketta i początek końca konfederatów. Wczesnym popołudniem trzynaście tysięcy rebeliantów przemaszerowało z bagnietami na muszkietach przez ziemię niczyją; sztandary powiewały, werble dudniły, psy szczekały, połowa zuchów sikała w spodnie. Gdyby to byli Rosjanie, zakrzyknęliby na pewno: „Za zwycięstwo naszej beznadziejnej sprawy!” Cel stanowiła linia unionistów, rozciągająca się wzdłuż tej grani aż do Big Round Top. Ich kanonierzy wstrzymali ogień, dopóki nie usłyszeli wrzasku buntowników, którzy w ten sposób zagrzewali się do walki. Nagle tysiąc siedemset muszkietów wypaliło jednocześnie. Nad równiną rozległy się jęki rannych. Kartacze Unii siały spustoszenie w szeregach konfederatów; armaty Jankesów tak się rozgrzały, że artylerzyści parzyli sobie palce, ładując i strzelając, ładując i strzelając. Kiedy ucichły działa i muszkiety, pole bitwy usłane było szczątkami poległych i zbroczone krwią. Tylko połowa z tych, którzy ruszyli do szturm, powróciła do lasu. Tymczasem unioniści szykowali się do kontrnatarcia, żeby wyprzeć rebeliantów za Potomac. Generał Lee podjechał do Picketta i rozkazał mu zebrać rozproszone oddziały. Pickett miał podobno odpowiedzieć, że nie ma już kogo zbierać.

Philby uniósł dłoń, by osłonić oczy od ostrych promieni słońca, i spojrział, przymrużywszy powieki, na pola pod Gettysburgiem.

– Skąd taki b-b-bolszewik jak ty wie tyle o amerykańskiej wojnie secesyjnej?

Ze względu na okoliczności Eugene nie chciał zdradzać prywatnych informacji, które, gdyby zostały ujawnione, mogłyby w ciągu jednego dnia naprowadzić FBI na jego trop. W końcu ilu radzieckich stypendystów studiowało historię Ameryki w Yale?

– Z wykładów na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie – odpowiedział spokojnie.

Philby roześmiał się.

– Kiepska historyjka. Zapomnij, że w ogóle pytałem.

Przewodnik, oprowadzający grupę turystów po wzgórzu, odczytywał właśnie gettysburskie przemówienie Lincolna: „...prowadzą wielką wojnę secesyjną, poddając próbie ten naród, tak pełen wiary i poświęceń, by przekonać się, ile jeszcze potrafi znieść”.

– Cholernie trafne pytanie, nie uważasz? – powiedział Philby, biorąc Eugene’a pod ramię i odciągając go od reszty grupy. Pod pachą ścisnął papierową torbę ze sklepu spożywczego.

Powędrowali brzegiem grani, minęli dzieci, zjadające lody z papierowych kubeczków, rodzinę na pikniku, odpoczywającą w cieniu drzewa, aż oddalili się na tyle, że nikt ich nie mógł usłyszeć.

– Jesteś pewien, że nie szli za tobą?

– Dlatego właśnie się spóźniłem – odparł Philby. – Jeździłem w kółko przez d-d-dobłą godzinę, udawałem, że się zgubiłem. Zatrzymałem się na stacji benzynowej, żeby zapytać o drogę do Antietam w Marylandzie, tak na wszelki wypadek. To, co chcesz mi powiedzieć, musi być cholernie ważne, skoro wywlokłeś mnie w sobotę z domowych pieleszy.

– Nie mam dobrych wieści – przyznał Eugene.

Spoglądając na pole bitwy, Philby odczekał chwilę i dopiero potem się odezwał.

– Nie przypuszczałem, że będą dobre – mruknął.

Poprzedniej nocy Eugene dostroił motorolę do częstotliwości moskiewskiej i w jednym z quizów na tematy kulturalne usłyszał swój własny kod („Ale jeżeli nie jestem sobą, następne pytanie brzmi: – Kim, na Boga, jestem? Ach, oto wielka zagadka!”... Tak, zgadza się, to z *Alicji w Krainie Czarów*). Za pomocą szczęśliwej dziesięciodolarówki przekształcił wygrywający na loterii numer w numer waszyngtońskiego telefonu i zadzwonił tam dokładnie o północy z automatu na rogu ulicy. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się kobiecy głos z wyraźnym polskim akcentem.

– To ty, Gene? Na parkingu stoi pojemnik na śmieci. Z tyłu znajdziesz małą paczkę – zaczęła rzeczowo kobieta. – W środku jest koperta. Zapamiętaj treść, spal instrukcje i wykonaj natychmiast.

Odchrząknęła i dodała:

– Twój opiekun, Dziadek, prosi, abyś przekazał naszemu wspólnemu przyjacielowi, że żałuje, iż sprawy przybrały taki obrót. Powiedz mu, że Dziadek życzy mu szczęśliwej podróży i wyczekuje chwili, kiedy znów się spotkają. Chciałabym dłużej z tobą pogadać, ale dostałam instrukcje, żeby załatwić to szybko.

Połączenie zostało przerwane.

Eugene wykręcił numer Bernice.

– Miałam wspaniały dzień – zaczęła zdyszana. – Zdobyłam czterdzieści cztery podpisy na mojej petycji w sprawie Rosenbergów.

– Nie przyjdę dziś wieczorem – przerwał jej Eugene.

– Dlaczego?

– Wypadło mi coś ważnego.

W jej głosie usłyszał rozczarowanie.

– Rozumiem. A więc jutro.

– Jutro na pewno.

Poszedł na parking za sklepem i starannie obmacał pojemnik na śmieci. Bez trudu znalazł przyklejoną z tyłu paczkę. Zamknął się u siebie na poddaszu, rozerwał kopertę i wyjął z niej kartkę papieru, zapisaną czterocyfrowymi kolumnami liczb. Posługując się ukrytym w pudełku zapalek bloczkiem szyfrowym, odkodował wiadomość, która wyszła od samego Dziadka. Zapamiętał treść, powtarzając wszystko po kilka razy, aby mieć pewność, że zna tekst na wyrywki, potem spalił list i bloczek w rondlu, a popiół wrzucił do sedesu. Zabrał z półki w sklepie dwie butelki lagavulin malt whisky, wskoczył do zaparkowanego w uliczce kombi i ruszył wzdłuż Canal Road w kierunku Arizona Avenue. Skręciwszy w Nebraska, zatrzymał się przed piętrowym budynkiem z ogromnym wykuszem nad wejściem. Za autem Philby’ego stał na podjeździe jakiś samochód. Eugene zostawił silnik na chodzie, podszedł do drzwi frontowych i zadzwonił. Po chwili światło w przedsionku zapaliło się, zgrzytnął zamek i w drzwiach ukazał się rozczochrany Philby w poplamionej, cuchnącej winem koszuli. Zamrugął zapuchniętymi od alkoholu i z niewyspania oczami. Przez moment zdawało się, że nie rozpoznaje Eugene’a. Kiedy wreszcie do niego dotarło, kogo widzi przed sobą, w źrenicach mignął mu popłoch.

– N-n-nic nie zamawiałem – wybełkotał, oglądając się za siebie.

– Ależ tak, szanowny pan raczył zapomnieć – nalegał Eugene.

– Kto to, Adrianie?! – zawołał ktoś ze środka.

– Dostawa alkoholu, Jimbo. N-n-nie chcemy, żeby źródło nam wyszło, prawda?

Przez otwarte drzwi Eugene dostrzegł wyniszczoną, zgarbioną sylwetkę mężczyzny, który właśnie zdejmował jakąś książkę z półki i zaczął ją przeglądać.

– Masz tu czas, miejsce, instrukcje... Wszystko zapisane na wewnętrznej stronie jednego z kartonów – szepnął Eugene. – Nie zapomnij spalić.

Podał Philby’emu formularz zamówienia. Kim zniknął na chwilę we wnętrzu domu i zaraz wrócił, przeliczając banknoty, które wyjmował z damskiej portmonetki.

– Reszty nie trzeba, chłopcze – powiedział głośno i wyraźnie, żeby można go było dobrze usłyszeć.

– I za sto lat nie zgadłbyś, kto u mnie b-b-był wtedy, kiedy przyszedłeś – mówił teraz Philby.

Doszli do kamienia, upamiętniającego najdalsze miejsce, do którego dotarł atak konfederatów pod wodzą Picketta trzeciego lipca 1863 roku.

– Wspaniały Jimbo Angleton, pan Kontrwywiad we własnej osobie, przyszedł złożyć mi wyrazy współczucia. Zdaje się, że jakiś pętaś z Firmy, dziwaczny gość o włoskim n-n-nazwisku, zdecydował, że to ja jestem tą szują, która zdradza sekrety CIA upiornemu KGB.

– I Angleton ci o tym powiedział!

– Jimbo i ja znamy się od stworzenia świata – wyjaśnił Philby. – On wie, że ja nie mógłbym być radzieckim kretem. – Zachichotał, ale nie było mu do śmiechu.

– Obawiam się, że to wcale nie jest zabawne – zauważył Eugene. – Przyniosłeś wszystko? Cały sprzęt?

– Jest tu, w torbie – odparł posepnie Kim.

– Na pewno nic nie zostawiłeś? Przepraszam, ale kazano mi o to spytać.

Philby potrząsnął głową.

Eugene wziął papierową torbę z przedmiotami, które przesądziłyby o losie Philby’ego, gdyby wpadły w ręce Amerykanów: bloczkami szyfrowymi, miniaturowymi aparatami fotograficznymi, puszką na filmy, czytnikami mikrofotografii, tomem poezji Williama Blake’a z instrukcjami nawiązania kontaktu w razie niebezpieczeństwa, zwiniętymi i wciśniętymi w wydrążenie w obwolucie.

– Pozbędę się tego. Pojadę do domu okrężną drogą i gdzieś to zakopię.

– O co tyle hałasu? O t-t-to, że jakiś bezczelny gnojek zjawia się nie wiadomo skąd i grozi mi palcem, to jeszcze nie p-p-powód, do cholery, żeby p-p-p-p... – Philby, najwyraźniej wytrącony z równowagi, nie mógł się wysławić – podnosić alarm!

Zły na siebie, zaczerpnął głęboko powietrza.

– Ryzykowny interes – wymamrotał – przecieranie nowych szlaków szarga nerwy. Najwyższy czas puścić farbę, co? Co jest? Czy Burgess nie ostrzegł Macleana na czas? A może Maclean nie zdążył zwać gliniarzom?

– Maclean opuścił Anglię zeszłej nocy. Jest w drodze do Moskwy przez Niemcy Wschodnie.

– Bomba. W takim razie w czym p-p-problem?

– Burgess spanikował i wyjechał z Macleanem.

– Ulotnił się! – Philby odwrócił wzrok i oddychając szybko, otarł usta. – Cholerny sukinsyn! No to mamy problem.

– Brytyjczycy dowiedzą się, że Maclean uciekł, kiedy przyjdą go przesłuchać w sprawie HOMERA, w poniedziałek rano. Natychmiast

zorientują się, że Burgess nawiał razem z nim, i uderzą na alarm. Zakotłuje się w Londynie i tu, w Waszyngtonie, też.

– A wszystkie podejrzliwe oczy zwrócą się na moją skromną osobę – stwierdził ponuro Philby.

– Burgess cię wrobił – zgodził się Eugene. – Dopóki nie pojechał do Anglii, żeby ostrzec Macleana, mieszkał z tobą w Waszyngtonie. Na domiar złego wiele wskazuje na ciebie. Wiedziałeś, że Amerykanie odszyfrowali fragmenty tekstu, który wyjawiał tożsamość Macleana jako radzieckiego agenta o kryptonimie HOMER. Wiedziałeś, że Brytyjczycy zamierzali go aresztować i przesłuchać w poniedziałek rano. No i jeszcze te operacje emigracyjne, które skończyły się katastrofą. Sprawa ewakuacji Wiszniewskiego... Wystarczy?

Eugene przerwał na chwilę i dodał:

– Rezydent daje ci trzydzieści sześć godzin na opuszczenie kraju. Masz przy sobie drugi paszport, jak sądzę?

– A więc Dziadek chce, żebym zwiewał, tak?

– Uważa, że nie masz wyboru. – Eugene wyciągnął spod marynarki małą paczuszkę. – Tu jest farba do włosów, wąsy, okulary i cztery tysiące osiemset dolarów w drobnych banknotach. Mam dla ciebie w kombi stary płaszcz przeciwdeszczowy. Usuniemy twoją tablicę rejestracyjną i zostawimy samochód tutaj. Zanim miejscowa policja ustali, kto jest właścicielem, ty będziesz już daleko stąd. Podrzucę cię na dworzec autobusowy w Harrisburgu. Trasę masz wypisaną na paczce. Pojedziesz do Buffalo, a potem do Niagara Falls. Tam przekroczysz granicę. Po tamtej stronie będzie czekał samochód, który zawiezie cię do kryjówki w Halifaksie. Ludzie Dziadka wsadzą cię na frachtowiec, płynący do Polski.

Eugene widział, że zaczynają się kłopoty; oczy Philby'ego zaszyły mgłą. Położył dłoń na ramieniu Anglika.

– Przez dwadzieścia lat byłeś na linii frontu. Już czas wracać do domu.

– Dom! – Kim cofnął się o krok. – Jestem k-k-komunistą i m-m-marksistą, ale moim d o m e m jest Anglia, nie Rosja!

Eugene zaczął coś mówić, lecz Philby nie dał mu dojść do słowa.

– Przepraszam, stary... Jakoś nie widzę się w Moskwie. Widzisz, walka za sprawę to jedno, ale przez te wszystkie lata... najbardziej bawiła mnie gra. W Moskwie nie będzie żadnej gry, tylko duszne biura, zatęchła rutyna i nudni biurokraci, którzy wiedzą, po której jestem stronie.

Instrukcje Eugene'a nie przewidywały ewentualności, że Philby odmówi ucieczki. Zdecydował się jeszcze odwołać do jego rozsądku.

– Oni mają zręcznych śledczych. W zamian za darowanie winy zaproponują ci współpracę, zrobią z ciebie potrójnego agenta...

– Jakim cudem, skoro nigdy nie byłem podwójnym agentem? – najeżył się Philby. – Od początku służyłem jednemu panu.

– Nie powiedziałem, że im się uda...

Philby zmrużył oczy, wysunął szczękę do przodu i ważył swoje szanse. Zaczęło mu się podobać to, co zobaczył. Wąty uśmiech rozjaśnił twarz, która jakby nabrała zdrowszego wyglądu. Zniknęło gdzieś jąkanie.

– Mają na mnie same poszlaki. Małżeństwo z ciotką rewolucji dwadzieścia lat temu... I to ma być działanie na szkodę państwa, Wysoki Sądzie? Kilka wyciągniętych z lamusa historyjek, mocno śmierdzących naftaliną, parę zbiegów okoliczności, które łatwo wyjaśnić. A zresztą, przecież mam asa w rękawie...

– Asa w rękawie?

– Placówka CIA w Berlinie przeprowadza operację na wielką skalę. Wysoko postawiony zdrajca przekazuje im dwa razy w tygodniu tajne informacje. Zawiadomiłem o tym centralę, ale z nieznanymi mi bliżej powodów jeszcze go nie zamknęli. Już słyszę ten dialog: Wysoki Sąd naprawdę myśli, że ta operacja trwałaby nadal, gdybym pracował dla KGB? Na pewno nie, do diabła! Chryste, człowieku, to burza w szklance wody! Zapamiętaj to sobie: n i e m a niepodważalnych dowodów. Muszę tylko zachować zimną krew i zablefować.

– Złamali Klausa Fuchsa. Zdołali go zmusić do przyznania się do winy.

– Jesteś od niedawna w tym biznesie, Eugene – powiedział Philby. Stał teraz wyprostowany, z każdym słowem nabierając pewności siebie. – Zdajesz się nie doceniać faktu, iż przesłuchujący znajdują się na straconej pozycji. Jeśli się nie przyznasz, są skazani na domysły. Zbyt dużo poszlak. Na tak nikłej podstawie nie można wytoczyć procesu. Poza tym gdyby chcieli wnieść moją sprawę do sądu, musieliby spalić agentów i operacje. – Mówiąc to, krążył wokół Eugene'a i prawie podskakiwał w narastającym podnieceniu. – Dopóki będę odmawiał przyznania się do czegokolwiek, sukinsyny nie tkną mnie nawet palcem. Co mi tam, moja kariera stanie pod znakiem zapytania, ale będę wolny jak ptak. Wielka gra może toczyć się dalej.

Eugene wyłożył ostatnią kartę.

– Ty i ja jesteśmy jedynie pionkami – tłumaczył. – Widzimy tylko to, co rozgrywa się tuż przed naszym nosem. Dziadek ma jak na dłoni całe pole bitwy, wszystkie manewry i kontrmanewry obu walczących stron. Wydał ci rozkaz. Jako żołnierz nie masz wyboru. Musisz go wykonać.

Wręczył Philby'emu paczkę.

– Weź to i uciekaj – powiedział.

WASZYNGTON, DC, PONIEDZIAŁEK, 28 MAJA 1951

Zwykła południowa odprawa u dyrektora została odwołana. Zamiast niej skrzyknięto naradę wojenną w małej, pozbawionej okien salce konferencyjnej po drugiej stronie korytarza, *vis-à-vis* gabinetu szefa. DCI, Bedell Smith, który siedział pod swym ulubionym, oprawionym w ramki, powiedzonkiem Churchilla („Ludzie czasami potykają się o prawdę, ale większość z nich natychmiast podnosi się i biegnie dalej, jakby nic się nie stało”), przewodniczył zebraniu przy owalnym stole. Obecni byli wszyscy baronowie Firmy, których udało się zebrać w krótkim czasie: DD/O Allen Dulles, jego szef operacji Frank Wisner, prawa ręka Wisnera Dick Helms, generał Truscott, który był akurat w Waszyngtonie, bo załatwiał coś w Pentagonie, Jim Angleton oraz – jak to ujął Angleton, stojąc w korytarzu z resztą uczestników spotkania w kolejce po kawę, podczas gdy służby techniczne sprawdzały, czy w sali konferencyjnej nie ma podsłuchu – „gwiazda przedstawienia, jedyny w swoim rodzaju... Harvey Torriti!”

Generał Smith, który przez weekend przejrzał zarówno służbową notatkę Czarnoksiężnika, jak i kontrargumenty Angletona, nie był – jak to eufemistycznie ujął – „wniebowzięty”, kiedy odkrył, iż sam jest adresatem jednej z papek Torritiego.

– Nic świętego – zrzędził. – Tak jakbyś myślał, że przeciek miał źródło w biurze DCI.

Torriti, ogolony, wypucowany, wystrojony w krawat, marynarkę i świeżo wypraną koszulę, był nadzwyczaj cichy, nie mówiąc już o tym, że trzeźwy.

– Nie mógłbym ustalić, że przecieki wychodziły od Philby’ego – zauważył – gdybym nie wykluczył innych możliwości.

– Zdaniem Jima jeszcze nic nie udowodniłeś – zauważył uprzejmie Dulles, pykając ze swojej fajki.

Wysunął stopy z domowych bamboszy, które zawsze nosił w biurze z powodu podagry, i oparł nogi o wolne krzesło.

– Musimy postępować bardzo ostrożnie – ciągnął, masując sobie kostki.
– Nasze dobre stosunki z kuzynami przetrwają mimo takiego oskarżenia tylko wówczas, gdy będziemy mieli stuprocentową pewność.

Helms – opanowany, powściągliwy biurokrata, miał więcej wspólnego z pracowitymi ciułaczami informacji niż z kowbojami z tajnych służb – przychylił się do opinii Angletona.

– Twoje rozumowanie jest intrygujące – powiedział do Torritiego – ale Jim ma rację. Jeśli rozbierzesz to na części pierwsze, zostaną tylko poszlaki i zbiegi okoliczności.

– W naszym zawodzie – argumentował Torriti – nie ma zbiegów okoliczności.

As, z podwiniętymi do łokci rękawami koszuli, siedział z przymkniętymi oczami, opierając się krzesłem o ścianę. Przyznał, że nie można wykluczyć, iż Czarnoksiężnik istotnie coś wywęszył. Zbieg okoliczności jest jak czerwona muleta matadora; jeżeli się ją raz dojrzy, to instynkt podpowiada, żeby ruszyć do ataku, zamiast dreptać bezradnie w miejscu, grzebiąc nogą w piasku areny. I dlatego, dodał Wisner, przeczytawszy notatkę Czarnoksiężnika, postanowił sprawdzić daty w rejestrach. Teraz zerknął na Angletona i błysnął jednym ze swoich prostolinijnych uśmiechów.

– W poniedziałek, pierwszego stycznia – powiedział, sprawdzając coś w notatkach na kopercie – depesza Torritiego wylądowała na biurku Jima.

We wtorek, drugiego stycznia, w książce wpisów w holu, wprowadzonej ostatnio z powodu zaostżenia ochrony budynku, pojawia się nazwisko Philby'ego, który tego dnia odwiedził generała Smitha i ciebie, Jim, a późnym popołudniem nasze urządzenia odnotowują gwałtowny wzrost liczby zaszyfrowanych połączeń radiowych pomiędzy sowiecką ambasadą a Moskwą. – As spojrział przez stół wprost na generała Smitha. – Zdaje się, że ktoś tam zadzwonił na alarm.

Torriti przytknął palec do nosa. Wydawało się, że chce coś powiedzieć.

– Skoro wszystkie kawałki do siebie pasują – odezwał się po chwili – musielibyśmy być zdrowo stuknięci, żeby dalej ufać Philby'emu. Uważam, że powinniśmy odesłać go do domu, płatne gotówką przy odbiorze, a potem skontaktować się z Angolami i wyłożyć karty na stół. Niech sami wszystko z niego wyduszą. Złamali Fuchsa. Złamią i Philby'ego.

– Wyjdziemy na durniów, jeśli wyrwiemy się z oskarżeniami, nie mając wystarczających dowodów... – wtrącił niemrawo Helms.

– Nie wierzę własnym uszom – jęknął Torriti, starając się nie stracić panowania nad sobą. – Mamy faceta, który rozpoczął dorosłe życie jako zdeklarowany socjalista, żeniąc się w Wiedniu z wojującą komunistką... – Rozejrzał się po stole, żeby sprawdzić, czy między butelkami wody sodowej nie zabłąkał się przypadkiem jakiś alkohol. – Co jest, do kurwy nędzy?! Sukinsyn zdradzał jedną operację po drugiej...

– Są operacje, o których wiedział, a jednak ich nie wydał – zachnął się Angleton.

– Wiedział, że znam tożsamość sowieckiego kreta, który spalił ewakuację Wiszniewskiego – wybuchnął Czarnoksiężnik – b o s a m m u w y s ł a ł e m t a k ą p a p k ę b a r y t o w ą! Zaraz potem jacyś goście zwabiają mnie do kościoła i próbują wyłączyć z obiegu. To o co tu chodzi waszym zdaniem?

Angleton zaciągnął się papierosem.

– Philby wiedział, że twoim najlepszym źródłem w Niemczech Wschodnich jest...

Generał Smith spojrział na poszczególne punkty w notatce Angletona.

– Mam to gdzieś tutaj... Punkt trzeci: SNAJPER.

– Philby był wtajemniczony w sprawę SNAJPERA od samego początku – mówił dalej Angleton. – Idąc tropem przecieków, KGB mógł bez trudu ustalić tożsamość ich źródła. Kiedy Harvey odkrył, że SNAJPER jest teoretykiem fizyki i wicepremierem w rządzie NRD, rutynowo przekazaliśmy tę informację łącznikowi MI6 w Waszyngtonie, czyli Philby’emu.

Zwrócił się do Czarnoksiężnika:

– SNAJPER wciąż działa, prawda, Harveyu?

– Tak, Jim.

Angleton prawie się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć „nie mam więcej pytań”.

– SNAJPER wciąż działa, bo uczestniczy w sowieckiej operacji dezinformacyjnej – odparł Torriti bardzo cicho.

Ludzie wokół stołu wymienili spojrzenia. Truscott oparł się na krześle i zapatrzył w Czarnoksiężnika poprzez mgiełkę dymu z fajki i papierosów.

– Przypuszczam, że jesteś przygotowany, żeby rozwinąć ten wątek.

– Tak mi się zdaje – przyznał Torriti.

Z kieszonki na piersi wyciągnął dwa zmięte kawałki papieru, rozprostował je ręką na kolanie i zaczął czytać:

– To jest poufna, „natychmiastowa” depesza, która przysłała do mnie w sobotę rano. „Od: Uczeń Czarnoksiężnika. Do: Czarnoksiężnik. Dotyczy:

AE/SNAJPER. Po pierwsze: coś mi tu śmierdzi, Harveyu”.

Generał Smith pochylił się do przodu.

– Tak się zaczyna: „Coś mi tu śmierdzi, Harveyu”?

– Aha. Dokładnie tak, panie generale.

– Czy to jest jakiś szyfr?

– Nie, sir. To czysta angielszczyzna.

DCI kiwnął głową z powątpiewaniem.

– Rozumiem. A co mu tak ś m i e r d z i a ł o?

Torriti uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka.

– A więc to było tak – zaczął. – Jakiś czas temu mój Uczeń John McAuliffe, działając według moich instrukcji, założył podsłuch w podłodze mieszkania SNAJPERA. McAuliffe jest oficerem, który prowadzi łączniczkę SNAJPERA o kryptonimie TĘCZA...

Na piątkowym spotkaniu w sali prób Jack zanurzył dwa palce w staniku Lili i przycisnął do jej ciała, całując ją namiętnie. Kiedy wyjął dłoń zza dekoltu dziewczyny, trzymał w ręku zapisany drobnym maczkiem kawałek jedwabiu. Później w Berlinie-Dahlem włożył ów skrawek pomiędzy dwie szklane płytki, przysunął lampę i pochylony z lupą nad tekstem powoli rozpracowywał kolejną „zdobycz” SNAJPERA. Nie był zaskoczony, znalazłszy tam szczegóły dotyczące testowanej na wyspie Rugia na Bałtyku broni bakteriologicznej, produkcji uranu w Joachimstalu w Górach Harzu oraz dane o najnowszych sowieckich eksperymentach nad rozszczepieniem jądra atomu w Azji Środkowej. Potem następował długi cytat z listu Waltera Ulbrichta do sowieckiego ambasadora; dygnitarz skarżył się na aluzje czynione przez jego partyjnego oponenta Wilhelma Zaissera kwestionujące lojalność sekretarza generalnego i jego oddanie dla sprawy komunizmu.

Dalej podana była długa lista jednostek Armii Sowieckiej, szkolonych do działań wojennych z użyciem broni bakteriologicznej. Piątkowa „zdobycz” SNAJPERA kończyła się nazwiskami rządowych urzędników średniego szczebla i prywatnych przedsiębiorców, którzy ukrywając swoją kompromitującą nazistowską przeszłość, stanowili potencjalny cel szantażu.

Skonany po całym dniu pracy, Jack wyłączył lampkę i przetarł zmęczone oczy. Nagle doznał olśnienia. Wpatrzony w ciemność pokoju, zaczął intensywnie myśleć. Śmierdząca sprawa! Zapalił światło i wykręciwszy numer na tarczy niewielkiego sejfu, wyjął stamtąd ostatni zapis rozmów, nagranych przez mikrofon w podłodze SNAJPERA. Pochylony nad biurkiem, porównywał tekst podsłuchu ze słowami wypisanymi na skrawku jedwabiu. Powoli szczęka mu opadła: wszystkie szczegóły dotyczące broni bakteriologicznej testowanej na wyspie Rugia, produkcji uranu w Górach Harzu i sowieckich doświadczeń nad rozszczepieniem jądra atomu w Azji Środkowej były **n i e z n a c z n i e z m i e n i o n e**. Podsłuch i jedwab przedstawiały dwie różne wersje tej samej wiadomości. Co więcej, na jedwabiu nie było najmniejszej wzmianki o przechwyconej przez UB „liście obserwacyjnej” MI6 z nazwiskami Polaków ani o przypuszczeniu, że na samym szczycie brytyjskiego wywiadu działa sowiecki agent, który tę listę dostarczył.

A więc jednak...?

Chwycił bloczek szyfrowy i nabazgrał poufną, pilną depezę do Czarnoksiężnika w Waszyngtonie. „Coś mi tu śmierdzi, Harveyu...” – zaczął.

Jack, ubrany w niebieskie ogrodniczki – służbowy uniform wschodnioniemieckich elektryków – stał oparty o kiosk na południowym

krańcu Alexanderplatz i jedząc kanapkę z odrobiną szwajcarskiego sera, przeglądał pierwszą stronę sobotniego wydania „Neues Deutschland”, naczelnego organu enerdowskiej partii komunistycznej. Obserwując znad gazety przeciwną stronę placu, powtarzał w myślach odpowiedź Czarnoksiężnika na wczorajszą depezę: „Wygarnij to tej swojej TĘCZY w twarz, zaskocz ją – rozkazał Torriti. – Dzisiaj. Chcę znać jej wersję, kiedy będę szedł do jaskini lwa w poniedziałek na dziewiątą rano”.

Jack zobaczył Lili, kiedy wychodziła z prywatnej szkoły tańca, parę minut po tym, jak ucichło wycie syreny oznajmiającej południe. Stała przez chwilę, niezdecydowana, w tłumie ludzi spieszących na lunch. Z twarzą zwróconą do słońca, cieszyła się przez chwilę jego ciepłem. Wreszcie zarzuciła na ramię wypchaną siatkę i ruszyła wzdłuż Mühlendammstrasse. Stanęła w kolejce, żeby kupić buraki z ciężarówki, potem zniknęła w aptece. Jack zamachał na Upadłego Anioła, który wydawał się drzemać za kierownicą małego studebakera, przewożącego nawóz z mączki kostnej do strefy radzieckiej. Zauważywszy Lili, włączył silnik. Jack przeciął Alexanderplatz i znalazł się tuż przed nią, kiedy czekała na zielone światło.

– *Guten Morgen, Helga* – rzucił nerwowo, biorąc ją pod ramię. – *Wie geht es dir?*

Lili odwróciła głowę. W jej podkrążonych oczach mignął popłoch zaszczutego zwierzęcia. Rozejrzała się niespokojnie, jakby chciała uciec, a potem popatrzyła na Jacka pytającym wzrokiem.

– Znasz moje prawdziwe imię? – wyszeptała.

– Wiem o tobie dużo więcej – powiedział cicho, po czym, już głośniej, zapytał: – *Wie geht es Herr Löffler?*

Lili wyrwała mu rękę.

– Skąd to wszystko wiesz?

Jack skinął głową w kierunku robotniczej klubokawiarni po drugiej stronie ulicy. W całym jego zachowaniu widać było dziwne napięcie.

– Zapraszam cię na kawę i ciastko *mit Schlagsahne*.

Lili kręciło się w głowie. Jack podtrzymał ją i poprowadził przez spory o tej porze ruch uliczny do przestronnej dzielnicowej stołówki z jednym witrażowym oknem w stylu Bauhaus, które jakimś cudem przetrwało wojnę. Wiszące na elektrycznych kablach jarzeniówki oświetlały stoliki z laminatu. Po sali krążyli podstarzali kelnerzy w czarnych spodniach, białych koszulach i czarnych kamizelkach, balansując tacami pełnymi filiżanek kawy i ciastek, uniesionymi wysoko nad głową. Jack poprowadził Lili po schodkach na prawie pustą antresolę i wślizgnąwszy się za nią na ukośną ławkę, usiadł plecami do podnieszzonego lustra. Skinął na kelnera, zamówił dwie kawy i dwa ciastka i sięgnął przez stół po jej dłoń.

Odsunęła rękę, jakby się oparzyła.

– Dlaczego ryzykujesz, przychodząc tutaj za dnia?

– To, co mam do powiedzenia, nie może czekać. Rozpęta się piekło. Nie chcę, żebyś została w radzieckiej strefie, kiedy to się stanie.

– Od kiedy znasz nasze prawdziwe nazwiska, Herr Professora i moje?

– To nieważne – powiedział Jack.

– A co jest ważne?

– Chodzi o twojego profesora Löfflera, Lili. Przypadkiem odkryłem prawdę. Zdradził cię. Pracuje dla KGB. Jest, jak to u nas nazywają, agentem dezinformacyjnym.

Lili zwiesiła głowę na piersi. Oddychała ciężko.

Kelner, myśląc, że są w trakcie małżeńskiej sprzeczki, postawił między nimi kawę i ciastka.

– Nie bądź na mnie zła, kochanie, nie bądź na mnie zła... – zanucił, wsuwając rachunek pod spodeczek.

Lili podniosła wzrok i zamrugła gwałtownie, jakby próbowała zatrzymać pod powiekami jakiś obraz.

– O czym ty mówisz, Jack? Nie rozumiem.

– Owszem, Lili, rozumiesz – powiedział z mocą. – Widzę to po tobie. Widzę to w twoich oczach. Rozumiesz mnie bardzo dobrze. Kawałek jedwabiu, który wyjąłem spomiędzy twoich piersi w piątek wieczór...

– Zawierał informacje. Przeczytałam fragmenty, zanim ci to dałam, yes?

– Zawierał resztki z nędznej kolacji. Zawierał rzeczy, o których już wiedzieliśmy, albo rzeczy nieprawdziwe. To, co istotne, zostało wycięte.

Tym razem naprawdę wyglądała na skołowaną.

– Skąd wiesz, co zostało wycięte?

– Mamy podsłuch w mieszkaniu Löfflera. Nagrywa wszystkie rozmowy w pokoju jadalnym. Sześć dni temu mikrofon wychwycił jego namiętne zapewnienia o dozgonnej miłości do ciebie. Chyba pamiętasz, co ci wtedy powiedział, prawda?

Lili, niezdolna wymówić słowa, pokiwała smutno głową.

– Mieliście gościa tamtego wieczoru, prawda, Lili? We trójkę jedliście kolację. Potem ty wyszłaś, żeby posprzątać i dać im swobodnie pogadać. Mikrofon nagrał wymianę zdań między Herr Profesorem a jego przyjacielem Polakiem. Mówili po angielsku. Przyniosłaś im brandy i znowu wyszłaś. To, o czym rozmawiali, kiedy ciebie nie było w pokoju, jest dla nas bardzo interesujące. Problem w tym, że nie umieścili tego na kawałku jedwabiu, który mi dostarczyłaś. Najistotniejsze kwestie, w s z y s t k i e t a j n e i n f o r m a c j e, zostały pominięte. Gdyby Herr Professor faktycznie dla nas pracował, na pewno nie

pominałyby tych szczegółów. A to oznacza, że pracuje dla komunistów. Ktoś, albo on, albo osoba, która go prowadzi, wyprał tekst, zanim Löffler go przepisał.

Lili umoczyła palec w kawie i powiodła nim po ustach, jakby rozprawiała szminkę.

– To złe wieści dla moich szefów, ale dobre dla nas... Dla ciebie i dla mnie – powiedział Jack.

– Jak to? – wykrztusiła z trudem, zaskoczona jego słowami.

– Twój dług wdzięczności wobec Herr Professora został spłacony. Zrozum, ten człowiek cię zdradził. – Jack pochylił się i ponownie dotknął jej dłoni, której tym razem nie cofnęła. – Wyjedź do amerykańskiego sektora, Lili. Wyjedź ze mną. Wyjedź natychmiast i nie oglądaj się za siebie. W bocznej uliczce czeka na mnie furgonetka... Ściśniemy się jakoś w schowku... Przewiozę cię przez granicę mało uczęszczanym przejściem.

– Daj mi pomyśleć...

– Zaczнеш życie od nowa. Zabiorę cię do Londynu, zobaczysz Royal Ballet. Możesz podszlifować swój angielski w Ameryce. Możesz po angielsku powiedzieć sędziemu pokoju, że zgadzasz się wyjść za mnie.

Maska na twarzy Lili wykrzywiła się w gorzkim uśmiechu.

– Zapomniałeś już, mój drogi Jacku Błyskawico, zapomniałeś już, że jestem piaskiem pod twoimi bosymi stopami. Sprawiam, że kręci ci się w głowie, *yes?* Gdyby wszystko było takie proste, jak mówisz... Nic nie rozumiesz. N i c.

Potarła powieki opuszkami palców. Potem westchnęła i spojrzała Jackowi prosto w oczy.

– To nie profesor... – powiedziała. – To ja, ja jestem radzieckim agentem. W pewnym sensie to ja go zdradziłam, nie on mnie.

Jack poczuł nagle skurcz w klatce piersiowej tak silny, jakiego nigdy nie zaznał podczas wiosłowania. Pomyślał nawet, że może właśnie dostał ataku serca; paradoksalnie wydało mu się to rozwiązaniem jego problemów. Pociągnął łyżeczk kawy i z trudem zmusił się do przełknięcia. Potem usłyszał własny głos.

– Dobrze więc. Powiedz mi, co się stało – poprosił, chociaż wcale nie był pewien, czy chce to usłyszeć.

– Co się stało? Sama siebie pytam bez przerwy, co się właściwie stało – odparła, zapatrzona pustym wzrokiem w przestrzeń. – Ernst jest niemieckim patriotą. Po długich rozważaniach doszedł do wniosku, że komuniści, radzieccy komuniści i ich niemieckie marionetki, działają na szkodę Niemiec. Postanowił pracować na rzecz zjednoczenia obu państw niemieckich. Dlatego zgodził się przekazywać na Zachód informacje dyskredytujące komunistów. Przemyślał to bardzo dokładnie. Jako znana zarówno w kręgach uniwersyteckich, jak i rządowych osobistość miał ograniczoną swobodę ruchu, podczas gdy ja legalnie przekraczałam granicę sektora amerykańskiego dwa razy w tygodniu, jadąc na lekcje tańca. Tak więc wspólnie zdecydowaliśmy (bo była to, Jack, również moja decyzja), że on będzie zbierał informacje i wypisywał je na kawałku materiału, a ja będę jego kurierem...

Jack pochylił się ku niej.

– Mów dalej – wyszeptał w napięciu.

Ciałem Lili wstrząsnął dreszcz.

– KGB wykrył nasz spisek. Do dziś dnia nie wiem, jak to zrobili. Może mają podsłuchy w mieszkaniach wszystkich dygnitarzy? Może podsłuchali nasze nocne rozmowy w łóżku? Kiedy szłam na nasze pierwsze spotkanie, Jack, zostałam zatrzymana przed sąsiednim blokiem i wepchnięta na tylne siedzenie limuzyny. Zawiazali mi oczy. Nie potrafię powiedzieć, jak długo

jechaliśmy. Wprowadzili mnie do jakiegoś budynku, wpełnili do windy. Potem weszłam do pokoju, w którym śmierdziało środkiem owadobójczym. Zdjęli mi z oczu opaskę. Pięciu mężczyzn... – Z trudem łapała oddech. – Pięciu mężczyzn stało wokół mnie. Czterech mówiło po niemiecku, jeden po rosyjsku. To on wydawał rozkazy... Był niski, miał grube kostki, oczy wypukłe jak u wielkiego owada. W pierwszej chwili pomyślałam: jak to dobrze, że zrobili tu dezynsekcję, bo będzie się ode mnie trzymał z daleka... Niestety, nie zadziałało. Świetnie mówił po niemiecku. Kazał mi się rozebrać. Kiedy się zawahałam, powiedział, że jeśli odmówię, zrobią to za mnie. W tym pokoju, przed tymi pięcioma obcymi mężczyznami, stałam zupełnie naga. Znaleźli kawałek jedwabiu. Chyba wiedzieli, że był w moim staniku. Zagrozili, że Ernst zostanie skazany za zdradę stanu i rozstrzelany. Powiedzieli, że pójde do więzienia na wiele lat. Powiedzieli, że nigdy już nie będę tańczyć, bo oni się postarają, żeby moje kolana... moje kolana...

– Lili!

– Zrozum, stałam przed nimi kompletnie naga. Gdybym mogła się wczołgać pod stół i tam umrzeć, chętnie bym to zrobiła. Wreszcie Rosjanin powiedział, żebym się ubrała. I powiedział jeszcze... powiedział, że jest wyjście dla Ernsta i dla mnie. Będę im przekazywać pisane na jedwabiu „listy” profesora, a oni zastąpią je innymi. Coś wytną, coś dodadzą, a ja w każdy wtorek i piątek będę się spotykać po lekcjach z amerykańskim szpiegiem. Obiecali, że moja służba dla komunizmu zostanie wzięta pod uwagę... Dopóki będę z nimi współpracować, zostawią Ernsta w spokoju.

Jack stracił wszelką nadzieję. Przypomniawszy sobie, że powiedziała kiedyś: „On beze mnie nie przeżyje”. Wtedy zdawało mu się, że sens jest oczywisty – kochanek nie może przeżyć odejścia ukochanej osoby. Teraz jednak zrozumiał, że miało to znaczenie dosłowne... Lili n i e m o g ł a uciec

na Zachód, bo Ernst Ludwig Löffler zostanie aresztowany, skazany i rozstrzelany.

– Po każdym naszym spotkaniu – mówiła, a jej głos drżał od gniewu – pisałam raport. Musiałam im zdać szczegółową relację: co robiliśmy, gdzie, o czym rozmawialiśmy. Oni znają twoją tożsamość, Jack.

– Powiedziałaś im o...

– Ani słowa. Nic o nas nie wiedzą...

Jack myślał w pośpiechu, jak ją przekonać, żeby zbiegła z nim na Zachód.

– Profesor... Herr Löffler... On... Jego los jest już przesądzony, Lili. Musisz to zrozumieć. Ta gra nie będzie się toczyć bez końca. A ukarzą go chociażby dla przykładu, żeby inni nie poszli jego śladem. Ale ty jeszcze możesz się uratować. Jedź ze mną teraz... Będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– „I żyli długo i szczęśliwie...” Nie, Jack. Nie ma czegoś takiego. To bajki. Jeśli wyjadę, moje odejście zabije go, zanim po niego przyjdą...

A więc słowa „on beze mnie nie przeżyje” miały jednak podwójny sens.

Jack spostrzegł, że kończą mu się argumenty.

– Zabierz go gdzieś, gdzie nie ma podsłuchów, i powiedz mu to co mnie: że KGB go wykorzystuje. Powiedz też, że mogę was oboje z tego wyciągnąć.

– Nie znasz Ernsta. Nigdy nie opuści swojego uniwersytetu, swojej pracy, swoich przyjaciół, kraju, gdzie się urodził i gdzie pochowani są jego rodzice. Nie zrobi tego, nawet żeby ratować życie. – Jej oczy zaszły mgłą. – Zawsze powtarzał, że w razie czego ma broń. Żartował, że naboje są takie małe, że zabić się nimi można tylko w jeden sposób: nabrać wody w usta, włożyć pistolet i wystrzelić...

– On cię kocha! Na pewno będzie chciał, żebyś się ratowała.

Lili smutno pokiwała głową.

– Zapytam go o radę...

– ...co wyjaśnia, dlaczego SNAJPER n i e z o s t a ł zlikwidowany, kiedy Philby przekazał te informacje swoim mocodawcom – podsumował Torriti swoją wypowiedź na nadzwyczajnej naradzie wojennej w Waszyngtonie. – KGB już wiedział o SNAJPERZE. Cała ta akcja była po prostu operacją dezinformacyjną.

Kiedy skończył, w sali konferencyjnej zapadła krępująca cisza. Truscott skrobał coś ołówkiem w żółtym notesie. Dulles celował płomieniem z zapalniczki w główkę fajki, pykając raz po raz, jakby chciał tchnąć życie w dawno przygasły popiół. Wisner bębnił palcami o metalową bransoletkę zegarka.

Angleton podniósł rękę i potarł czoło. Głowę rozsadzał mu ból. Ta przeklęta migrena...

– Fakty można tłumaczyć na wiele sposobów: dwa, pięć, siedem... – powiedział wreszcie. – Potrzebuję czasu, żeby to rozgryźć, przecież...

Nagle rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał generał Smith.

Sekretarka nieśmiało wetknęła głowę.

– Poufna depesza do pana, generale... Natychmiastowa, od szefa bazy w Londynie.

Helms odebrał depeszę i podał ją przez stół do dyrektora. Smith włożył okulary, otworzył metalową okładkę i zaczął czytać. Podniósł wzrok i niecierpliwym gestem ręki wyprosił sekretarkę z pokoju.

– No cóż, panowie. Mamy pasztet – oznajmił. – W piątek brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych upoważniło MI5, żeby w poniedziałek z rana przystąpiło do przesłuchania Macleana w sprawie HOMERA, a w poniedziałek okazało się, że Maclean zwiął. Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko. Wygląda na to, że Burgess też zniknął.

Angleton, ogłuszony nowiną, blady jak ściana, osunął się na krzesło. Generał Truscott gwizdnął.

– Burgess sowieckim agentem! – powiedział. – Skurwysyn! Oczywiście pojechał do Anglii ostrzec Macleana, że złamaliśmy HOMERA. W ostatniej chwili stracił głowę i uciekł razem z nim.

Wisner odsunął krzesło od ściany.

– Skąd Burgess wiedział, że złamaliśmy HOMERA?

– Burgess mieszkał z Philbym w Waszyngtonie – wtrącił znacząco Torriti.

Generał Smith pokręcił głową z niesmakiem.

– Burgess wypożyczył samochód marki „Austin” i pojechał do domu Macleana na przedmieściach Tatsfield – czytał, wodząc palcem po blankiecie depeszy. – W piątek, o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć, Burgess i Maclean wsiedli na łódź „Falaise”, płynącą przez kanał La Manche do Saint-Malo. Jeden z marynarzy zapytał, co będzie z austinem, który został na molu. „Wracamy w poniedziałek!”, zawołał Burgess. Po francuskiej stronie MI5 odnalazło taksówkarza, który rozpoznał na zdjęciach Burgessa i Macleana. Wiózł ich z Saint-Malo do Rennes, gdzie złapali pociąg do Paryża. Tutaj ślad się urywa.

– Ślad prowadzi dalej do Moskwy – powiedział Wisner.

Generał Truscott zmarszczył brwi.

– Skoro Philby j e s t sowieckim szpiegiem, też może uciec.

Torriti zwrócił się do Angletona.

– Ostrzegalem cię, do cholery, że powinniśmy być ostrożni.

Wszyscy ostentacyjnie unikali wzroku Angletona.

– Philby nie uciekł – rozległ się jego schrypnięty głos – bo nie jest sowieckim agentem.

Truscott sięgnął po leżący za nim na stole telefon i pchnął go w stronę Angletona. Generał Smith kiwnął głową.

– Zadzwoń do niego, Jim – rozkazał.

Angleton wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały notes z adresami. Odnalazł literę „P” i wykręcił numer. Trzymał słuchawkę w pewnej odległości od ucha, żeby wszyscy mogli słyszeć sygnał po drugiej stronie linii. Kiedy brzęczyk odezwał się po raz czternasty, Angleton poddał się wreszcie.

– Nie ma go w domu – powiedział.

Truscott i Smith wymienili spojrzenia. Angleton zadzwonił do biura MI6 w Waszyngtonie. Kobiety głos powtórzył wybrany numer, stawiając znak zapytania na ostatniej cyferce.

– Proszę mnie połączyć z panem Philbym – powiedział Angleton.

– Pańska godność?

– Hugh Ashmead.

– Jedną chwilkę, panie Ashmead.

Baronowie zgromadzeni wokół stołu wstrzymali oddech.

Po drugiej stronie słuchawki dał się słyszeć wesoły głos.

– To ty, Jimbo? Przypuszczam, że słyszałeś już niezbyt radosne wieści. Telefony się tutaj urywają. Chryste, kto by pomyślał? Guy Burgess...! A przecież zawsze trzymaliśmy się razem!

– Możesz mieć kłopoty – odparł ostrożnie Angleton.

– Też tak myślałem, stary. Ale nie martw się, mam grubą skórę, odporną na kamienie i strzały. Nie wezmę tego do siebie...

– Może skoczymy gdzieś na jednego? – zaproponował Angleton.

Philby zdusił śmiech.

– Jesteś pewien, że chcesz, by cię ze mną widziano? To może być zaraźliwe...

– W barze „Hay-Adams”? O wpół do drugiej?

– Ty dyktujesz warunki, Jimbo.

Angleton w zamyśleniu odłożył słuchawkę na widełki.

– Trzeba sukinsynowi oddać sprawiedliwość. Ma klasę – stwierdził z uznaniem Torriti.

– Gdyby Philby był sowieckim kretem – zastanawiał się głośno Angleton

– KGB odesłały go do domu razem z Macleanem i Burgessem. – Dla pozostałych uczestników narady zabrzmiało to tak, jakby sam siebie próbował przekonać.

Generał Smith odsunął z hałasem krzesło i wstał.

– To rozstrzyga sprawę, Jim. Philby jest skazony. Od dzisiaj nie ma wstępu do naszych budynków. Musi opuścić Amerykę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Niech nasi kuzyni przycisną go porządnie i ustalą, czy szpiegował dla Ruskich, czy nie.

Spojrzał z góry na Angletona.

– Zrozumiano?

– Zrozumiano, generale.

– Torriti...

– ...?

– Jesteś najbardziej nieszablonowym oficerem na naszej liście płac. Teraz, kiedy cię lepiej poznałem, zaczynam wątpić, czy znowu bym cię zatrudnił, ale na pewno nie będę tym, który cię zwolni. Zrozumiano?

Torriti powściągnął uśmiech.

– Zrozumiano, panie generale.

W dyrektorskim kiblu na końcu korytarza Czarnoksiężnik rozpiął spodnie i z westchnieniem ulgi zaczął sikać do pisuaru.

– Człowiek jest zagadką! Kto by powiedział, że odlać się to taka przyjemność? – rzucił filozoficznie w przestrzeń, łypiąc okiem na stojącego przy drugim pisuarze mężczyznę.

Niski, krępy Elihu Epstein, przyjaciel Torritiego z MI5, zachichotał pod nosem.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem – przyznał. – Otworzyłeś mi oczy. Widzę teraz wyraźnie, jakie to błogie chwile.

Zapiął guziki rozporka i odkręcił kran nad umywalką.

– Jak ci poszło rano? – zagadnął odbicie Czarnoksiężnika w lustrze.

Torriti namydlił ręce.

– Jesteś podłączony, Elihu?

– Obawiam się, że tak.

– Nagrywasz czy nadajesz?

– Nadaję. Nagrywają moi kumple po drugiej stronie.

– Gdzie tym razem wsadziłeś mikrofon?

Epstein wskazał na kokardę Orderu Królowej Wiktorii w klapie.

Torriti wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu, pochylił się nad Epsteinem i wrzasnął prosto do kokardy:

– Harold Adrian Russell Philby, znany swoim pomagierom w zatechłym świecie brytyjskiego wywiadu jako Kim, został ogłoszony *persona non grata*. Sukinsyn ma dwadzieścia cztery godziny, żeby wziąć dupę w troki i opuścić nasz piękny kraj, potem możecie go sobie wziąć. I nie liczcie na to, że śledztwo wam pójdzie jak po maśle! Trzeba go będzie trochę przydusić, żeby zaczął śpiewać.

Torriti odwrócił się plecami do lustra i ochlapał twarz wodą. Nie spał przez całą noc, przygotowując się do ostatecznej batalii przeciw Philby'emu. Teraz, kiedy napięcie opadło, poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

– A tak przy okazji, jak to przyjął wasz James Jesus Angleton? – zapytał Epstein, przekrzykując szum automatycznej suszarki do rąk.

– Ciężko. Sądzę, że od dzisiaj inaczej będzie patrzył na świat.

– Hmm... Tak. No cóż. Nie jestem pewien, czy należy cię błogosławić, czy przekląć, Harveyu. Stosunki między naszymi bratnimi wywiadami ochłódzą się jeszcze bardziej... Ale od czego jest sztuka kompromisu? Nie zawsze można powiedzieć: kochaj albo rzuć.

– Nie zawsze – zgodził się Torriti.

Stanowczo musiał się napić.

Była pora lunchu. W „Hay-Adams” – po przeciwnej stronie parku La Fayette'a niż Biały Dom – kłębiły się tłumy. Angleton ciężko opadł na stołek przy barze, obok Philby'ego. Barman postawił przed Anglikiem trzy podwójne martini. Philby wychylił dwa naraz i zezując, próbował nadziać na wykałaczkę oliwkę ze spodeczka.

– Zauważyłeś przy wejściu trzyczęściowe garniaki, Jimbo? – zapytał półgłosem. – Eunuchy J. Edgara. Nie spuszczają mnie z oka. Przed

drzwiami stoją jeszcze dwa pełne samochody. Przeklęte FBI! Można by pomyśleć, że obrabowałem Fort Knox!

– Niektórzy z moich współpracowników tak myślą – powiedział Angleton.

Skinął na barmana, popatrzył znacząco na martini Philby'ego i pokazał dwa palce.

– Uważają, że wysłałeś Burgessa, aby ostrzegł Macleana. Myślą, że to tylko wierzchołek góry lodowej.

Philby, nieudolnie naśladowując teksański akcent, odpowiedział:

– A nie jest tak, chłopie?

– Zrobiłeś to, Adrian? Wysłałeś Burgessa, żeby ostrzegł Macleana?

Philby powoli zwrócił swoje zaczerwienione oczy na Angletona.

– To boli, Jim. Że ty to mówisz... – Potrząsnął głową. – „W życiu człowieka są przypływy i odpływy...” Mój świat się rozlatuje, prawda?

– Bedell Smith wysłał do C jadowitą depezę z wiadomością, że kazał cię wydalić z kraju. Chłopcy z MI5 będą ci przypiekać pięty.

– Myślisz, że nie wiem?

Chwycił trzecie martini i wychylił do dna.

– Uciekłbym, gdybym był jednym z nich – powiedział do kieliszka.

– Pamiętam pewną noc na Ryder Street, kiedy wokół nas wybuchały niemieckie bomby – odezwał się Angleton. – Rozmawialiśmy o teorii i praktyce, a ty nagle oświadczyłeś, że teoria jest dobra, dopóki się sprawdza. Zacytowałeś założyciela brytyjskich tajnych służb z szesnastego wieku...

– Francisa Walsinghama, staruszku.

– Nigdy nie mogłem zapamiętać jego nazwiska, ale nie zapomnę słów, które wtedy zacytowałeś...

Philby zmusił się do uśmiechu.

– Szpiegostwo to próba znalezienia okna do duszy drugiego człowieka.

– Właśnie, Adrianie... okna do duszy drugiego człowieka.

Barman postawił przed nimi jeszcze dwa martini. Angleton zamieszał w kieliszku precelkiem.

– Nie znalazłem okna do twojej duszy, Adrianie. Kim ty jesteś?

– Myślałem, że wiesz.

– Też tak myślałem. Teraz nie jestem pewien.

– Przysięgam ci, Jimbo, że nigdy nie zdradziłem swojej strony...

– A która strona jest twoja, Adrianie?

Pytanie zbiło Philby'ego z tropu. Po chwili odezwał się z wymuszoną beztroską.

– No cóż, chyba powinienem się już zbierać. Przykro mi, że nie mogę zostać na lunch. Muszę spakować torby, zamknąć mieszkanie, złapać samolot i tak dalej. – Nie wstał, raczej spadł ze stołka. Jedną ręką przytrzymał się kontuaru i wcisnął zmiętą pięciodolarówkę pod spodeczek z oliwkami. Wyciągnął dłoń na pożegnanie. Angleton uścisnął ją mocno, po męsku. Philby pokiwał głową, jakby jakaś nagła myśl upewniła go w już powziętym postanowieniu. – Trzymaj się, Jimbo.

– Mam taką nadzieję.

Angleton patrzył, jak Philby odchodzi, potyka się w drzwiach... Trzyzęściowe garniaki Hoovera wypadły za nim na ulicę. Wrócił do swojego drinka, pociągnął spory łyk i skrzywił się – za dużo wermutu, ale co tam! Dopijając martini, zamyślił się nad nieskończoną niemal liczbą możliwych kombinacji, które można by dopasować do faktów

i okoliczności, jakże mglistych, wzięwszy pod uwagę niejednoznaczność wciąż jeszcze niezbadanych ludzkich zachowań. Powiedzmy, czysto teoretycznie, że Adrian szpiegował dla Rosjan. Ktoś tak ważny musiałby podlegać pracownikowi o ogromnym doświadczeniu wywiadowczym, komuś takiemu jak... Dziadek. Angleton zaczął gromadzić dossier Dziadka, kiedy po raz pierwszy usłyszał o nim od sowieckiego zdrajcy Krywickiego. Nie było tego dużo – ot, cienka teczuska – ale wystarczyło, by przekonać Angletona, iż tajemniczy Dziadek jest przebiegłym i precyzyjnym graczem, który czerpie przyjemność i satysfakcję z tego, że zawsze potrafi wyprzedzić ruch przeciwnika. A to oznaczało, że rzecz nie w tym, co począć z Philbym – tym niech się martwią w MI5 – ale w tym, kto go zastąpi. Jasne, że Dziadek nie pozwoli źródłu wyschnąć, a sowiecka infiltracja nie zakończy się nagle dwudziestego ósmego maja 1951 roku.

Początkowo oskarżenia Torritiego pod adresem Kima wyprowadziły Angletona z równowagi, ale teraz poczuł nowy przypływ energii. Wyraźniej niż kiedykolwiek widział, co powinien uczynić. Przypuściwszy z nowym zapalem szturm na drugie martini, pogrążył się w styksowe otchłanie swego wyrafinowanego umysłu, pełne subtelnych dwuznaczności i zaskakujących kombinacji, których diabelska kakofonia zagłuszyła dręczące go poczucie winy. Z grymasem niesmaku na twarzy Angleton poprzysiągł sobie uroczyście, że nigdy, przenigdy nie zaufa już żadnemu śmiertelnikowi, tak jak zaufał Philby'emu. Nikomu. Nigdy. W końcu każdy może być sowieckim kretem.

Albo wszyscy.

BERLIN, SOBOTA, 2 CZERWCA 1951

Czarnoksiężnik zastukał w otwarte drzwi Jacka.

– Mogę, ehe, wejść? – zapytał, stojąc w progu i pochylając swoje zwaliste cielsko w pełnym szacunku ukłonie.

Pytanie zdumiało Jacka.

– Ależ proszę, czuj się jak u siebie – odparł z za niewielkiego biurka, zarekwirowanego Wehrmachtowi pod koniec wojny.

Pańskim gestem wskazał jedyne siedzisko, jakie mieściło się w jego przyciasnej klitce – metalowy fryzjerski stołek na kółkach. Sięgnął do kartonu pod nogami, wyciągnął butelkę whisky, postawił dwie szklanki i napełnił je równo do połowy, żeby było sprawiedliwie. Torriti, sadowiąc się ostrożnie na chybotliwym stołku, podjechał bliżej biurka i zręcznie chwycił swoją szklankę.

– Nie masz przypadkiem lodu? – zapytał.

– Lodówka w korytarzu nie działa.

– Bez lodu to nie to. Bez lodu, bez dzwonienia, *schlecht!*

– To samo mówiłeś tej nocy, kiedy czekaliśmy na Wiszniewskiego – przypomniał Jack. – Bez dzwonienia, *schlecht!*

Czarnoksiężnik wydrapał paznokciem łupież z brwi.

– Wiele wody upłynęło przez te pięć miesięcy.

– Bardzo wiele.

– Trafiłeś SNAJPERA – powiedział Czarnoksiężnik. – Twoje zdrowie.

Wypili do dna.

– Pierwszy raz jestem na najwyższym piętrze. – Rozejrzył się po kanciapie Jacka. – Przyjemnie tu.

– Ciasno.

– Ciasno, ale przyjemnie. Przynajmniej masz okno. Co widać, kiedy odsłonisz roletę?

– Ścianę budynku po drugiej stronie ulicy.

Torriti zachichotał.

– Cóż, nie przyjechałeś tu, żeby podziwiać widoki.

– Co z Philbym?

– Torquemadowie z MI5 łamią go kołem. Na razie obstaje przy swoim.

– Złamią go?

– Mój kumpel z MI5, Elihu Epstein, magluje go bez przerwy. Mówi, że Philby to twardy orzech do zgryzienia.

Przez dobrą chwilę nie odzywali się do siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie Jack zauważył:

– Opuściła dwa spotkania, Harveyu.

Torriti przytaknął z zażenowaniem.

– Mikrofon w podłodze SNAJPERA milczy. Ta cisza mnie ogłusza.

Czarnoksiężnik rozejrzył się wokół, jakby szukając drogi ucieczki.

– Jack, mam dla ciebie niemiłą wiadomość.

– O TĘCZY?

– O TĘCZY. O SNAJPERZE.

– Mhm.

– Pamiętasz podsłuch, który zamontowaliśmy w telefonie żony Ulbrichta w KC?

– Pamiętam.

Torriti pchnął szklanę przez blat biurka, żeby Jack dolał mu whisky. Uczeń spełnił życzenie mistrza. Czarnoksiężnik wychylił trunek, poklepał się po kieszeniach, szukając czegoś, i wyciągnął spod kabury zwitek papieru.

– To zapis rozmowy sprzed dwóch dni... Pomiędzy Ulbrichtem i jego żoną Lotte.

Zaczął rozprostowywać kartkę na biurku, ale Jack go powstrzymał.

– Sam powiedz, co tam jest napisane.

Czarnoksiężnik skinął głową.

– Ulbricht mówi, że tajniacy z Karlshorst wyśledzili Ernsta Ludwiga Löfflera w domu jego brata w Dreźnie. Poszli go aresztować za zdradę. Nikt nie otwierał, więc wyważyli drzwi i znaleźli skuloną w szafie, przerażoną szwagierkę Löfflera. On sam wisiał na karniszu. Powiesił się na własnym krawacie. Nie żył już od dwóch dni.

– Mhm.

– Lotte pyta Ulbrichta o Helgę Agnes.

– Mhm.

– Ulbricht mówi, że zamknęła się w kiblu. Chłopcy z Karlshorst kazali jej wyjść. Usłyszeli strzał. – Torriti odchrząknął. – Są też szczegóły, których pewno nie chciałbyś poznać... Słuchasz mnie, chłopie?

Jack pociągnął palcem po brzegu szklanki.

– Weszła w to, nie zastanawiając się, co będzie dalej.

– Zadurzyłeś się w niej, co?

– Nie mieliśmy czasu do stracenia. Oboje.

Czarnoksiężnik wstał.

– Cóż ci mogę powiedzieć?

– Raz na wozie, raz pod wozem.

– Tak trzymaj, Jack. To nie była twoja wina. Proponowałeś przepustkę. Nie przyjęła, jej problem.

– Jej problem – zgodził się Jack. – Woda w usta, pistolet małego kalibru... i po sprawie.

Czarnoksiężnik spojrzał uważnie na swego Ucznia.

– Skąd wiesz o wodzie w ustach? Skąd wiesz, że to był mały kaliber?

– Strzał w ciemno.

Torriti ruszył do drzwi.

– Powiedz mi coś, Harveyu – odezwał się nagle Jack.

Czarnoksiężnik zawrócił.

– Wal, synu. Co chcesz wiedzieć?

– Czy to ta twoja papka barytowa? Wykorzystałeś ich, żeby to upichcić? Jeżeli tak, Harveyu, to nie jestem pewien, czy mogę dalej...

Torriti rozłożył ręce.

– SNAJPER był klejnotem w koronie berlińskiej bazy, chłopie. Mogłem wiele poświęcić. Mogłem odzłować podsłuch w telefonie Lotte... Ale nie SNAJPERA.

Potrząsnął głową dla podkreślenia wagi swych słów.

– Nigdy bym go nie wydał. – Uniósł do góry prawą dłoń. – Hej, przysięgam, stary. Na grób mojej matki.

– Teraz mi trochę lepiej, Harveyu.

– Byle do przodu, chłopie.

– Byle do przodu. Dokądkolwiek.

**CZERIOMUSZKI, OBWÓD MOSKIEWSKI, PONIEDZIAŁEK, 4 CZERWCA
1951**

Dziadek wspinał się po spiralnych żelaznych schodach na płaski dach dwupiętrowej willi, żeby nieco odetchnąć od urywających się telefonów. Czy to prawda, dopytywał się Beria, że dwaj Anglicy, którzy szpiegowali dla Związku Radzieckiego, już przybyli do Moskwy? Kiedy, pytał wydawca „Prawdy”, zachodni dziennikarze będą mogli przeprowadzić z nimi wywiad, aby dowieść, iż zdradzili z własnej nieprzymuszonej woli? Biuro Polityczne musi wiedzieć, nalegał Nikita Chruszczow, czy krążące po Kremlu pogłoski o tym trzecim Angliku są oparte na faktach, czy też wysane z palca.

Rozgniatając butem bułgarskiego papierosa, Dziadek podszedł na skraj dachu i wychylił się przez balustradę. Zza lasu białych brzoź dochodził ostry zapach końskiego łajna, rozwłózonego bronami po polach, które sowchoz w Czeriomuszkach obsieje kukurydzą pastewną, jeśli pogoda się utrzyma. Pasza Żyłow, kryptonim „Dziadek”, urodził się i wychował na Kaukazie. Jego ojciec, akolita, który pościł co niedzielę, a każdego wieczoru czytywał do snu swoim sześciorgu dzieciom Apokalipsę według Świętego Jana, zmarł podczas epidemii tyfusu. Pasza miał wtedy szesnaście lat. Po śmierci ojca wysłano go na Ukrainę, do stryja, który na początku lat trzydziestych, jeszcze przed kolektywizacją, jeździł jako przedstawiciel bolszewickiej władzy na inspekcje po okolicznych wsiach, pilnując, żeby chłopci oddawali należne sumy do państwowej kasy. Pasza często towarzyszył stryjowi w tych objazdach. Zapamiętał z tamtych lat ostrą woń

końskiego nawozu, unoszącą się w parnym, letnim powietrzu. Ponieważ stryj, ze zrozumiałych względów, nie cieszył się sympatią wieśniaków – bywało, że dziurawili opony w jego aucie albo dosypywali piasku do baku – towarzyszył mu zawsze samochód z uzbrojoną po zęby obstawą. Strażnicy pozwalali czasem chłopakowi postrzelać ze swoich naganów do ustawionych na płocie butelek po piwie.

Okazał się nadzwyczaj marnym strzelcem. Nie potrafił opanować drżenia rąk i odruchowego wzdrygnięcia, ilekroć miał pociągnąć za spust. Najwyraźniej, żartował stryj, zdolności Paszy objawią się na innym polu.

Patrząc w dal ponad wierzchołkami brzoź, Dziadek uśmiechnął się na wspomnienie tych słów. Stryj był przewidującym człowiekiem!

W bladym prześwicie pomiędzy horyzontem a ciemnymi, burzowymi chmurami Dziadek dojrzał olbrzymi samolot pasażerski. Maszyna, z ogłuszającym rykiem silników, podchodziła do lądowania na wojskowym pasie startowym, o którego istnieniu niewielu w Moskwie wiedziało. Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, Burgess i Maclean są teraz na pokładzie. Powita ich garstka generałów w paradnych strojach, żeby zdrajcy poczuli się ważni, a potem zostaną przerzuceni do tajnego ośrodka szkoleniowego KGB i poddani długiemu, dokładnemu przesłuchaniu, co Dziadek nazywał „wyciskaniem gąbki”. Następnie zajmą się nimi ludzie z partii, którzy przygotowują ich na dociekliwe pytania dziennikarzy z całego świata. Trzeba wykorzystać siłę propagandy.

Zdolności Dziadka istotnie objawiły się na i n n y m polu, chociaż nie uświadczylbyś nawet trojga ludzi w całym Związku Radzieckim – ba, na całym świecie! – którzy by do końca rozumieli, co było istotą i ostatecznym celem jego pracy.

A istotą i ostatecznym celem jego pracy była destrukcja amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej. O d ś r o d k a .

Pierwszy etap żmudnej kampanii Dziadka polegał na podrzuceniu wybranych kluczy szyfrowych prosto w ręce ekspertów CIA, co pozwoliło im na złamanie znacznej części tekstu, dotyczącego radzieckiego agenta o kryptonimie HOMER. To z kolei doprowadziło Amerykanów do brytyjskiego dyplomaty Macleana, którego Dziadek bez żalu spisał na straty, jako że ujawnienie jego działalności było i tak jedynie kwestią miesięcy.

Zasadniczą sprawą stało się zgranie wszystkiego w czasie. Żyłow wiedział, że Philby dowie się od Angletona, iż Amerykanie przejrzeni Macleana. Kiedy Brytyjczycy gromadzili materiał dowodowy, podsunął Philby'emu myśl, że Burgess mógłby ostrzec HOMERA. Posunięcie było genialne: Burgess wcale nie stracił zimnej krwi, jak to sugerowały zachodnie gazety – to Dziadek kazał mu uciec z Macleanem. Burgess początkowo odmówił. Bał się, że ruch ten doprowadzi do ujawnienia jego starego kumpla, Philby'ego, którego sam kiedyś wprowadził do brytyjskich tajnych służb, a ostatnio nawet mieszkali razem przez jakiś czas w Waszyngtonie. Londyński rezydent KGB, trzymając się ściśle wskazówek Dziadka, przekonał Burgessa, że dni Philby'ego jako szpiega są policzone – od czasu spalonej ewakuacji Wiszniewskiego w Berlinie pętla na jego szyi stale się zaciska i wkrótce on także będzie musiał ratować się ucieczką. Pozostało mu dosłownie kilka dni; zanim Amerykanie przyjdą po niego, będzie już bezpieczny, a potem, w Moskwie, wszyscy trzej: Burgess, Maclean i Philby, na oczach całego świata będą świętować swój triumf.

Sprowadzając Burgessa do Związku Radzieckiego, Dziadek niewiele tracił, człowiek ów bowiem, wiecznie pijany i jeszcze bardziej przerażony, doprowadzał do rozpaczki większość brytyjskich i amerykańskich kolegów po fachu, a co za tym idzie, nie przedstawiał sobą większej wartości wywiadowczej.

Kim Philby pozostał więc jako jedyny pionek w grze. Był blisko z Angletonem, miał dostęp do innych wysoko postawionych ludzi w CIA i nadal dostarczał sporo tajnych informacji. Lecz z przechwyconych szyfrogramów Dziadek dowiedział się, że sprawa Wiszniewskiego postawiła wszystkich na nogi. Sprytny szef berlińskiej bazy, niejaki Torriti, coś zwęszył... Wysłana przez Philby'ego do centrali alarmująca wiadomość, że Amerykanin depcze mu po piętach, mogła być skutkiem prowokacji, mającej na celu zdemaskowanie kreta. W każdym razie oczywiste było, że prędzej czy później ktoś wpadnie na jego trop, idąc śladem zeznań Krywickiego i spalonych operacji CIA.

Wielką niewiadomą pracy w wywiadzie było zużycie materiału, czyli intelektualne i emocjonalne wyczerpanie agenta, destrukcja jego osobowości. Trudno to zmierzyć, a jeszcze trudniej – naprawić. Philby nieźle się sprawdzał, ale po dwudziestu latach służby był już do niczego: zniszczył go pociąg do butelki i życie w nieustannym napięciu. Najwyższy czas ściągnąć człowieka do domu.

A ściągając Philby'ego do domu, można by zrealizować jeszcze jeden, znacznie ważniejszy cel.

Dziadek układał plan o wiele bardziej misterny, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Sercem służby wywiadowczej jest kontrwywiad. Angleton zaś działał w samym sercu amerykańskiego kontrwywiadu. Żyłow przyglądał się uważnie Angletonowi, odkąd Philby po raz pierwszy zameldował o jego obecności na Ryder Street podczas wojny. Potem Dziadek obserwował go z daleka, kiedy Angleton był we Włoszech i później, gdy wrócił do Waszyngtonu, aby objąć resort kontrwywiadu w CIA. Ślęczał nad zapisem nocnych rozmów Philby'ego i Angletona, który wciąż głądził o wyższości teorii nad praktyką, dowodząc, iż każdą sprawę należy drążyć w głąb aż do skutku, analizując po siedmiokroć każdy szczegół, każdą wersję. Owe

dywagacje o wszystkim i o niczym pochłaniały go do tego stopnia, iż nie potrafił sobie wyobrazić kogoś, kto byłby bardziej wnikliwy od niego, bardziej od niego wyrafinowany. Tak więc ten, kto umiałby dostrzec jeszcze jeden, ósmy wariant, miałby nad nim ogromną przewagę.

Jak wszyscy agenci kontrwywiadu, Angleton wykazywał pewne skłonności do paranoi. Każdy zbieg był potencjalną wtyką; każdy oficer wywiadu był potencjalnym zdrajcą. Każdy, z wyjątkiem jego mentora i przyjaciela, Kima Philby'ego.

Wystawiając Philby'ego, Dziadek zepchnie Angletona na skraj prawdziwej paranoi. Paranoja zagnieździ się w jego umyśle. Będzie gonił za cieniami, podejrzewał każdego b e z w y j ą t k u. Od czasu do czasu Dziadek podeśle mu jakiegoś „zdrajcę”, żeby podsycić obłąd; będzie zostawiał ślady domniemanych kretów w agencji, w rządzie, gdzie popadnie... Jeśli rozegra to starannie, Angleton przysłuży się radzieckim interesom lepiej niż niejeden prawdziwy obcy agent wewnątrz amerykańskiego wywiadu – w poszukiwaniu nieuchwytnych rosyjskich kretów rozerwie swoją agencję na strzępy i zmiażdży jej antysowiecką elitę.

Tylko jedno nie poszło według planu – Philby nie miał zamiaru uciekać. Najwyraźniej przywykł do burżuazyjnych wygod; żył, aby mydlić ludziom oczy, co tylko podnosiło jego poczucie wyższości. A teraz poszedł na wielką grę i będzie obnosił się ze swoją niewinnością aż po dzień Sądu Ostatecznego. I bardzo prawdopodobne, że MI5 nigdy i przed żadnym sądem nie dowiedzie, że jest inaczej.

Ale Angleton wiedział!

A przecież to on był celem Dziadka. Wystawienie Philby'ego złamie Angletona. Złamany Angleton okaleczy CIA i wtedy nic już nie będzie stało na przeszkodzie, żeby przeprowadzić operację o kryptonimie CHOŁSTOMIER – długo przygotowywany, niemal epicki plan Dziadka,

mający na celu zmuszenie zachodniej demokracji industrialnej do zgięcia karku, powalenie jej na kolana i oczyszczenie pola dla szerzenia marksistowsko-leninowskich idei w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej.

Był jeszcze jeden powód, dla którego trzeba było odstawić Philby'ego na boczny tor – Dziadek zainstalował w Waszyngtonie swojego ostatniego, najlepszego kreta o kryptonimie SASZA. To był ktoś z dostępem do elity, z CIA i Białym Domem włącznie. SASZA na razie miał nerwy w porządku i mógł teraz przejąć pałeczkę od Philby'ego.

Znad nawożonych pól nadleciał ciepły powiew, przynosząc ze sobą mocną woń łajna i świeżo zaoranej gleby. Jeszcze chwilę Dziadek chciwie wdychał ten zapach, po czym wrócił do biura, gdzie wciąż urywały się telefony.

Zanosilo się na długą zimną wojnę.

Na ogromnym łóżku dokazywały trzy dziewczynki. Ich długie, białe nogi splatały się ze sobą, a ciemne, drobne sutki prężyły pod przezroczystymi bluzeczkami. Nagimi palcami stóp łaskotały swawolnie uda i penis Dziadka, ukryty pod zgrzebną, chłopską koszulą. Na sofie w kącie pokoju, zarzuciwszy nogę na oparcie, wylegiwała się kilkunastoletnia pannica. Podkasana wysoko sukienka odsłaniała chude kolana i znoszone bawełniane majteczki.

– Cicho! – burknął Dziadek. – Jak macie się skoncentrować na tym, co wam czytam, skoro bez przerwy się wiercicie?

– To działa – zachichotała jedna. – Staje.

– Ile razy mam wam powtarzać, że staje tylko wtedy, kiedy do niego mówicie – odezwała się urągliwie z kanapy najstarsza z dziewczynek, która była z Dziadkiem najdłużej. Wykrzywiła się brzydko, wystawiając różowy języczek.

Najmłodsza, blondynka o kręconych włosach, która w zeszłym tygodniu obchodziła dziesiąte urodziny, zajrzała wujkowi pod koszulę.

– Eee tam! To wcale nie stoi! – zawołała do swoich przyszywanych siostrzyczek. – Wygląda jak trąba słońca.

– Pogadaj z nim – poradziła jej tamta, nie ruszając się z kanapy.

– A co mam powiedzieć?

Dziadek złapał ją za kostkę, wyciągnął spod koszuli i pchnął z powrotem na łóżko.

– Nie będę powtarzał – pogroził im palcem.

– Ciii... Ciii! – wołały jedna przez drugą.

– Ciii – odezwała się nagle milcząca do tej pory dziewczuszka o buzi porcelanowej lalki i poprawiła na nosku okrągłe okulary w drucianej oprawie. – Jak nie będziemy cicho, to wujek się na nas pogniewa.

– A więc... – zaczął Dziadek i otworzywszy książkę na stronie, na której zakończył poprzedniego dnia, przeczytał na głos: – „Spośród wszystkich dziwacznych rzeczy, które Alicja ujrzała w czasie swej wędrówki po Drugiej Stronie Lustra, tę zapamiętała najdokładniej. Po latach umiała sobie ponownie odtworzyć całą tę scenę, jak gdyby rozegrała się ona wczoraj... łagodne błękitne oczy i dobrotliwy uśmiech Rycerza...”

– Och, uwielbiam Rycerza – westchnęła blondynka.

– Nie można przerywać, kiedy wujek czyta – pouczyła ją z kanapy najstarsza.

– „...zachodzące słońce, prześwitujące przez jego włosy i lśniące na zbroi takim blaskiem, że niemal oślepiało ją... koń z wodzami zwisającymi u szyi, poruszający się powoli, to tu, to tam, i szczypiący trawę u jej stóp... i mroczny cień lasu w głębi...”

– Boję się mrocznych cieni – pisnęła dziewczynka w okularach.

– Ja się boję lasu – wyznała druga.

– A ja wojny – westchnęła trzecia, zacisnęła powieki i zakryła oczy dłońmi, żeby odgonić straszne wizje.

– *Diadia* Stalin uważa, że będzie wojna – odezwała się jedyna, która dotąd w ogóle się nie odzywała. – Słyszałam, jak to mówił w kronice filmowej.

– Wujku, jak myślisz, wybuchnie wojna?

– Nie będzie takiej potrzeby – odparł Dziadek. – Parę miesięcy temu natknąłem się na tezę, postawioną przez pewnego bystrego ekonomistę. Z początku sam pomysł wydał mi się oburzający, ale potem zacząłem dostrzegać możliwości...

– A co to jest teza?

– A co to jest ekonomista?

– Zadajecie zbyt dużo pytań, moje miłe.

– To jak mamy się czegoś nauczyć, skoro nie wolno zadawać pytań?

– Możecie się uczyć, siedząc cicho jak mysz pod miotłą i słuchając, co do was mówię! Teza, na którą się natknąłem, mogłaby posłużyć jako... – snuł swoje rozważania Dziadek.

– Teza to broń – zgadła dziewczynka w okularach. – Coś jak czołg, tylko większe. Coś jak okręt podwodny, tylko mniejsze. Mam rację?

Zanim zdążył odpowiedzieć, najstarsza zapytała:

– A co się stanie z naszymi wrogami, wujku?

Dziadek przecesał palcami pszeniczne loki małej kobietki.

– Cóż, to jasne jak słońce... Pewnie to trochę potrwa, ale jeśli będziemy cierpliwi, pokonamy ich bez jednego wystrzału.

– Jak to możliwe, wujku?

– Właśnie, skąd wiesz, że tak będzie?

Dziadek uśmiechnął się niedostrzegalnie i zacytował jedno ze swych ulubionych powiedzonek: „Jestem od was starszy i dlatego wiem lepiej”.

CZĘŚĆ II

KONIEC NIEWINNOŚCI

Są oni przerażająco rozmiłowani w ucinaniu ludziom głów: to prawdziwy cud, że ktokolwiek z nich jeszcze żyje!

Zdjęcie: szczotka starego numeru magazynu „Life”, przeznaczonego do publikacji w połowie listopada 1956 roku, ale wycofanego z druku na prośbę Centralnej Agencji Wywiadowczej, która na zajmującej całą szpalę fotografii rozpoznała swoich pracowników i przestrzegła, iż opublikowanie tego materiału może narazić na szwank realizowane przez nich misje, a nawet zagrozić życiu agentów. Zdjęcie, zrobione za pomocą silnego teleobiektywu, ukazuje grupę ubranych w zimowe płaszcze ludzi – między innymi zastępcę dyrektora operacyjnego, Franka Wisnera, Jacka McAuliffe’a i doradcę CIA Mildred Owen-Brack – stojących na wzniesieniu i obserwujących mozolny marsz uchodźców, którzy z trudem brną przez błotnistą, poraną koleinami drogę: jedni wloką ciężkie walizki, inni tulą do piersi lub prowadzą za rękę dzieci. Jack zdaje się rozpoznawać kogoś w porannej mgle i unosi dłoń w powitalnym geście. Postawny mężczyzna, niosący na ramionach małą dziewczynkę, macha do niego, jakby również go pozdrawiał.

MOSKWA, SOBOTA, 25 LUTEGO 1956

W przegrzanym gabinecie na ostatnim piętrze moskiewskiego gmachu na Łubiance grupa starszych oficerów z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, utkwivszy oczy w stojącym na biurku radiu, słuchała programu wojskowego, nadawanego na specjalnej częstotliwości. Z głośnika wydierał się na całe gardło nieokrzesany wieśniak Nikita Siergiejewicz Chruszczow, pierwszy sekretarz KPZR, który właśnie kończył przemawiać na tajnym posiedzeniu XX Zjazdu Partii. Patrząc przez okno na oblodzony, połyskujący w słońcu pomnik Feliksa Dzierżyńskiego pośrodku placu, Dziadek zaciągnął się w zamyśleniu bułgarskim papierosem z pustą gilzą, próbując przewidzieć wpływ tajnego przemówienia Chruszczowa na zimną wojnę, a w szczególności na operację o kryptonimie CHOŁSTOMIER. Wrodzony instynkt podpowiadał mu, iż decyzja Chruszczowa o ujawnieniu zbrodni zmarłego i – przynajmniej w kręgach KGB – opłakiwanego Józefa Wissarionowicza Dżugaszwilego, znanego światu jako Stalin, wstrząśnie fundamentami komunizmu.

Najwyższy czas, uważał Dziadek – im więcej poświęceń dla idei, instytucji, t e o r i i życia, tym trudniej znieść niedoskonałości systemu.

I to właśnie powiedział Chruszczowowi, kiedy pierwszy sekretarz wspomniał mu przy jakiejś okazji, iż zamierza rozliczyć się z okresem błędów i wypaczeń. Ci dwaj, którzy znali się jeszcze z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej, przechadzali się teraz po nadbrzeżnej skarpie, w pobliżu miejsca, gdzie najdłuższa rzeka Europy, Wołga, wpada do Morza Kaspijskiego. Czterech uzbrojonych ochroniarzy dyskretnie podążało za

nimi. Chruszczowowi udało się przechytryć towarzyszy z Politbiura w długotrwałej walce o władzę, jaka rozpętała się po śmierci Stalina w marcu 1953 roku, i stanąć na czele partii.

– A co wy o tym sądzicie, Paszo Siemionowiczu? – zapytał Chruszczow.
– Zbyt długo poplecznicy Stalina żyli w ciągłym strachu, zastanawiając się, czyja głowa poleci tym razem. Ja sam nigdy nie kładłem się spać bez plecaka pod łóżkiem. Zawsze miałem pod ręką szczoteczkę do zębów i parę zapasowych skarpetek. Leżałem godzinami, nasłuchując, czy przypadkiem nie podjeżdża pod moje drzwi karetka więzienna, żeby mnie odwieźć do łagru w Workucie, gdzie więźniowie co rano ssali sople zamrożonego mleka, aby nie umrzeć z głodu. – Dźgnął powietrze swoim krótkim palcem.
– Wiele przemawia za tym, żeby naprawić wypaczenia. Ale czy ja to przeżyję?

Dziadek rozważał w duchu odpowiedź na owo trudne pytanie. Publiczne oskarżenie Stalina o skłonność do popełniania błędów (w domyśle – do terroru) wstrząsnęłoby partią, która najpierw oddała tyranowi pełnię władzy, a potem nie potrafiła mu się przeciwstawić, kiedy jej nadużył, kiedy po serii pokazowych procesów skazał dziesiątki najbliższych współpracowników, kiedy pozwolił, aby setki tysięcy, a nawet miliony, tak zwanych kontrrewolucjonistów zginęły w syberyjskich gułagach.

– Nie umiem powiedzieć, czy przeżyjecie – odparł w końcu. – Ale jeśli chcecie przetrwać, jeśli chcecie, żeby przetrwał leninizm – szukał słów zrozumiałych dla tego chłopskiego politykiera, który z nizin wzniósł się na szczyty władzy i został pierwszym sekretarzem partii – trzeba zaorać ziemię przed siewem.

– Każdy może zbłądzić – mówił teraz Chruszczow przez radio – ale Stalin myślał, że nigdy nie popełniał błędów, że zawsze miał rację. Nie

przyznał się do żadnego błędu, ani małego, ani dużego, chociaż popełnił ich wiele, i w teorii, i w praktyce.

– Co mu chodzi po głowie?! – wykrzyknął jeden z oficerów.

– Ryzykowna sprawa, publiczne pranie brudów – mruknął drugi. – Kto wie, czym to się może skończyć. Kiedy lawina ruszy, trudno ją zatrzymać.

– Stalin umacniał rewolucję – burknął wysoki mężczyzna, czyszcząc jedwabną chusteczką okulary w stalowej oprawce. – Mao miał rację, kiedy mówił, że rewolucja to nie bankiet.

– Żeby zrobić omlet – zgodził się ktoś inny – trzeba rozbić jajka.

– Stalin – grzmiał nalany generał lejtnant KGB – mawiał, że rewolucjoniści, którzy wzbraniają się przed terrorem, to wegetarianie. Ja tam jestem mięsożerny.

– Chruszczow twierdzi, że Stalin ma ręce splamione krwią – wtrącił młody oficer. – A on to co? Może lepszy? Wszyscy wiedzą, co wyprawiał na Ukrainie! To samo, co Stalin w Moskwie: likwidował wrogów ludu.

Z radia wciąż płynął głos pierwszego sekretarza, chwilami piskliwy jak u zawodzącej wsiowej baby.

– Stalin, poprzez gloryfikację swojej własnej osoby, stał się głównym propagatorem kultu jednostki. Towarzysze, musimy obalić kult jednostki. Raz na zawsze.

Rozległa się burza oklasków delegatów na Zjazd Partii, co z początku brzmiało jak zakłócenia. Transmisja dobiegła końca. W pokoju na Łubiance zapadła głucha cisza, wszyscy zebrani unikali nawzajem swego wzroku. Ten i ów podszedł do stolika, żeby nalać sobie mocnej whisky. Niski, łysawy mężczyzna pod sześćdziesiątkę, stary bolszewik, który stał na czele trzynastego wydziału KGB nazwanego wydziałem mokrej roboty, ponieważ

jego pracownicy specjalizowali się w porwaniach i morderstwach, podszedł do stojącego przy oknie Dziadka.

– Dobrze, że przemówienie było tajne – zauważył. – Trudno przewidzieć, jak by to przyjęli przywódcy bratnich krajów.

Dziadek, który z racji swoich osiągnięć i doświadczenia był „prezbiterem” moskiewskiej centrali, wyjął z ust papierosa i patrzył na żarzący się koniuszek, jakby w nim szukał odpowiedzi.

– Już wkrótce przestanie być tajne – powiedział. – A kiedy wyjdzie na jaw, rozbije i zaleje radziecki obóz jak fala. Komunizm trzeba oczyścić albo zostanie zmieciony z powierzchni Ziemi.

Pół godziny po oficjalnym zamknięciu XX Zjazdu Ezra Ben Ezra, człowiek Mosadu znany w Berlinie jako Rabbi, odebrał „wstrząs” z komunistycznego źródła w Berlinie Wschodnim: w Moskwie miało miejsce wydarzenie polityczne o sile dziewięć w skali Richtera; delegaci na zjazd, zobowiązani pod przysięgą do dochowania tajemnicy, spieszyli do swoich włości na odprawę z aparatem partyjnym niższego szczebla.

Ponieważ była sobota, Rabbi kazał Hamletowi, swojemu szabasowemu gojowi, wykręcić domowy numer Czarnoksiężnika w Berlin-Dahlem i przytrzymać sobie słuchawkę przy uchu.

– To ty, Harvey? – zapytał Rabbi.

Po drugiej stronie dał się słyszeć przepity głos Torritiego.

– Jezu, Ezro, co za niespodzianka usłyszeć cię w szabas. Czy zdajesz sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujesz? Rozmawiając przez telefon w sobotę, możesz podpaść Stwórcy.

– Nie rozmawiam przez telefon – upierał się Rabbi. – Mówię do powietrza. Zwykłym zbiegiem okoliczności mój szabasowy goj trzyma

słuchawkę przy moich ustach i uchu.

– Co się święci? – zapytał Czarnoksiężnik.

Rabbi powtórzył to, co usłyszał o „wstrząsie” od swojego komunisty z Berlina Wschodniego.

Czarnoksiężnik chrząknął z uznaniem.

– Mam u ciebie dług, Ezro – powiedział.

– Ja myślę! Jak tylko słońce zajdzie i skończy się szabas, zapiszę to sobie w notesie, który trzymam pod poduszką. – Rabbi zachichotał do słuchawki.

– Nieścieralnym atramentem, Harveyu.

Torriti wykonał jeszcze parę telefonów i przeprowadził swoje własne dyskretne dochodzenie, a następnie pchnął błyskawiczną z dopiskiem KRYZYS do Asa, który zastąpił Allena Dullesa na stołku dyrektora operacyjnego DD/O, kiedy tamten awansował i został szefem całej Agencji. W Moskwie aż huczy od plotek, pisał Czarnoksiężnik. Na XX Zjeździe Partii Nikita Chruszczow wygłosił tajne przemówienie, w którym skrytykował kult jednostki, co było nader eufemistycznym określeniem dwudziestu siedmiu lat stalinowskiego terroru. Rewelacje te miały wstrząsnąć światem komunistycznym i wyrzucić znaczący wpływ na przebieg zimnej wojny.

Wisner docenił powagę sytuacji. Osobiście zaniósł depezę Torritiego prosto do Dullesa, który właśnie kończył briefing dla Jamesa „Scotty’ego” Restona z „New York Timesa”. DCI, pykając fajkę, wskazał Asowi miejsce na kanapie i gestem ręki dał do zrozumienia, żeby poczekał, aż skończy.

– Podsumujmy to, Scotty. Patrząc całościowo, trzeba przyznać Firmie punkty za jej sukcesy: pozbyliśmy się Mosaddeka w Iranie (kiedy znacjonalizował British Petroleum, wstawiliśmy na jego miejsce proamerykańskiego szacha, dzięki czemu udało się zabezpieczyć zapasy

ropy, przynajmniej na jakiś czas); dwa lata temu udzieliliśmy moralnego wsparcia siłom, które obaliły rządy Arbenza w Gwatemali, kiedy skumał się z komunistami. Tu obecny As miał w tym swój, niemały zresztą, udział.

Reston uśmiechnął się do niego szeroko.

– Możesz sprecyzować, na czym polegało to „moralne wsparcie”, Frank?

Wisner odwzajemnił uśmiech.

– Trzymaliśmy za rękę rebeliantów, którzy bali się ciemności.

– Żadnych konkretów?

– Możliwe, że odpaliliśmy im gratis kilka par wojskowych butów z demobilu, kiedy Honduranie przemoczyli nogi, przechodząc przez zieloną granicę... Musiałbym przejrzeć raporty, żeby się upewnić.

– Oczywiście fakt, iż Arbenz, demokratycznie wybrany przywódca, przywłaszczył sobie ponad szesnaście tysięcy hektarów bananowej plantacji, należącej do amerykańskiej firmy, nie miał nic wspólnego z zamachem? – indagował Reston.

– Zejdź z tych wyżyn, Scotty – powiedział Wisner z przyklejonym do twarzy uśmiechem, jak zwykle przeciągając samogłoski. – Firma nie broniła interesów United F r u i t i ty dobrze o tym wiesz. Broniliśmy interesów United S t a t e s. Słyszałeś zapewne o doktrynie Monroego. Musimy odgrodzić naszą półkulę od komunizmu.

– To już załatwione – wtrącił Dulles. – Iran i Gwatemala są w naszym obozie.

Reston zaczął powoli zakładać skuwkę na wieczne pióro.

– Zapewne słyszeliście, chłopcy, o tym, co powiedział Czou Enlaj, kiedy go zapytano o wpływ rewolucji francuskiej na Francję. Podobno złożył dłonie, zetknąwszy palce na kształt piramidy, i odrzekł: „Zbyt wcześnie, żeby o tym mówić”. Zanim wpisze Iran i Gwatemalę na listę sukcesów

CIA, poczekajmy na to, co będzie się tam działo za jakieś dwadzieścia pięć lat.

– Myślałem, że Scotty ma być jednym z przyjaciół Firmy – zżymał się As, kiedy Reston wreszcie wyszedł.

– To rozsądny dziennikarz – odparł Dulles, z ulgą wsuwając stopy w miękkie bambosze. – Jak masz mocne argumenty, na ogół możesz na niego liczyć. Jest wściekły, bo „Times” wykupił naszą historyjkę o „moralnym wsparciu” na dwa lata naprzód. Od tamtej pory poszło sporo atramentu na Gwatemalę. Ludzie zdają sobie sprawę, że to my wyreżyserowaliśmy tę inwazję i wykurzyliśmy Arbenza.

Dulles zapalił fajkę i spojrzał pytająco na świstek papieru, który Wisner miętosił w rękach.

– Grubsza sprawa, jak się domyślam, skoro przychodzisz z tym osobiście.

Wisner powiadomił DCI, że Czarnoksiężnik dostał cynk o tajnym przemówieniu Chruszczowa, w którym sowiecki przywódca ujawnił błędy – a być może i zbrodnie – Stalina. Dulles, znudzony już na śmierć administracyjną dłubaniną i wykresami budżetu, zawsze otwarty na pomysłowe operacje, natychmiast dojrzał propagandową siłę tego niesłychanego wydarzenia: gdyby Firmie udało się zdobyć tekst przemówienia Chruszczowa, mogłaby puścić je w obieg w państwach satelickich i samym Związku Radzieckim. Rezultat byłby nieoceniony: szeregowi komuniści na całym świecie przejrzeliby na oczy; komunistyczne partie Włoch i Francji, niegdyś tak potężne, że zastanawiano się, czy nie oddać im części władzy, prawdopodobnie już by się nie podniosły po takim ciosie; w krajach Europy Wschodniej, a zwłaszcza w Polsce i na Węgrzech, rewizjoniści obaliliby stalinowskich przywódców...

Dulles polecił Wisnerowi wysłać ściśle tajną depezę do wszystkich placówek Firmy za granicą, poinformować je o istnieniu tajnego przemówienia i kazać im przekopać wszystko, co się da, w celu zdobycia jego tekstu.

W rezultacie to nie Firma zdobyła kopię tajnego przemówienia Chruszczowa, lecz izraelski Mosad. Pewien polski Żyd natknął się na tłumaczenie przemówienia Chruszczowa, które leżało na biurku w stalinowsko-gotyckiej siedzibie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie. Udało mu się przemycić tekst do ambasady Izraela, gdzie agenci Mosadu mieli wystarczająco dużo czasu, aby dokładnie go sfotografować i przesłać do kraju.

W Waszyngtonie James Angleton przystawił sobie drugi stolik do biurka i rozłożył kartony z aktami oficerów i agentów CIA. Na wielu teczkach i dokumentach widniały czerwone nalepki, z których każda oznaczała spaloną operację, nieopatrzne słowo, podejrzane spotkanie... Papiery były popstrzone nalepkami tak gęsto, iż jeden z gości, z rzadka odwiedzających sanktuarium Matki, porównał je kiedyś poetycko do pola czerwonych maków na śniegu. W niespełna dwa tygodnie po XX Zjeździe Partii Angleton (który zajmował się też kontaktami z Mosadem), wróciwszy z lunchu, zakończonego jak zwykle trzema podwójnymi martini, zasiadł za biurkiem, by zagłębić się w akta jednego z oficerów CIA, który utrzymywał, iż zwerbował w Turcji sowieckiego dyplomatę. Angleton z zasady bywał podejrzliwy. Tym bardziej teraz postanowił przyjrzeć się bliżej agentowi, który dokonał rekrutacji. Zauważył, iż oficer ten należał swego czasu do socjalistycznego kółka naukowego w Cornell i że wykręcał się dość mętnie, gdy zapytano go o to podczas pierwszej rozmowy kwalifikacyjnej. Angleton pamiętał, że Philby również należał do socjalistycznego ugrupowania w Cambridge i że później zerwał wszelkie

kontakty z socjalistami, starając się zatrzeć ślady swojej działalności poprzez nawiązanie bliskich, rzec można zażyłych stosunków z ludźmi prawicy. Wziąwszy pod uwagę powyższe fakty, należałoby ściągnąć owego oficera do Waszyngtonu i przemaglować porządnie, tu na miejscu, nie da się bowiem wykluczyć możliwości, iż on także jest sowieckim kretem, który opuścił szeregi socjalistów na rozkaz KGB. Jeżeli zaistnieje choć cień podejrzenia, zostanie „zachęcony” do porzucenia służby w Agencji. Tak czy inaczej, sowieckiego dyplomatę w Turcji trzeba trzymać na bezpieczną odległość, na wypadek gdyby okazało się, iż działa w porozumieniu z Rosjanami.

Angleton przyklejał właśnie kolejną czerwoną nalepkę na akta owego „niepewnego” oficera, gdy nagle ktoś zapukał dyskretnie. Drzwi uchyliły się lekko i do gabinetu weszła sekretarka, niosąc zapieczętowaną torbę, którą przed chwilą odebrała od młodego izraelskiego dyplomaty. Angleton złamał pieczęć cążkami do drutu i wyjął dużą szarą kopertę. Na kopercie widniała notatka nabazgrana odręcznie przez szefa izraelskiego Mosadu: „Potraktuj to jako zaliczkę za informację, którą mi obiecałeś na temat egipskiego *modus operandi* w Kanale Sueskim”. Wewnątrz Angleton znalazł starannie opraciony maszynopis, zatytułowany *Tajne przemówienie pierwszego sekretarza Nikity Chruszczowa na XX Zjeździe Partii*.

Kilka dni później Dulles (wbrew zdecydowanemu sprzeciwowi Angletona, który chciał trochę przetrzymać Rosjan i najpierw nieco „przysposobić” tekst, a potem cedzić go po kawałku, żeby przedłużyć efekt) opublikował pełną wersję owego historycznego wystąpienia w „New York Timesie”.

Potem, do spółki z Asem, spokojnie się przyglądali, jak Rosjanie wiją się w agonii.

Pisujący artykuły na pierwszą stronę „Prawdy” przyjaciel Azalii Izanowny podzielił się z nią nieoficjalną nowiną, kiedy w stołówce, mieszczącej się przy małej uliczce na tyłach Kremla, stali w kolejce po herbatę i ciasteczka. „New York Times” opublikował tekst przemówienia, które Nikita Chruszczow wygłosił na zamkniętym posiedzeniu XX Zjazdu Partii. Chruszczow wywołał sensację – podawała amerykańska gazeta – potępiając zbrodnie Stalina i oskarżając Wielkiego Sternika o nadużycie władzy i uprawianie kultu jednostki. Z początku Azalia nie wierzyła. Uznała, iż Centralna Agencja Wywiadowcza wysłała z palca całą historyjkę, żeby postawić Chruszczowa w niezręcznej sytuacji i zasiać nieufność w szeregach hierarchii partyjnej. Nie, nie, to pewna wiadomość, upierał się przyjaciel. Mąż szwagierki jego brata uczestniczył w tajnym zebraniu Podstawowej Organizacji Partyjnej w Mińsku, gdzie w ścisłym gronie lojalnych towarzyszy przeanalizowano, słowo po słowie, przemówienie pierwszego sekretarza KPZR. Teraz, gdy Chruszczow wreszcie zebrał się na odwagę i przełamał lody, nastąpi długo oczekiwana odwilż...

– Może nawet uda ci się – ściszył głos do szeptu – opublikować twoje...

Położyła palec na ustach, przerywając mu w połowie zdania.

Azalia, ukończywszy studia historyczne, pracowała od czterech lat jako analityk w moskiewskim Instytucie Historycznym, gdzie zatrudniono ją dzięki protekcji ojca jej przyjaciółki, samego Ławrientija Pawłowicza Berii, szefa KGB. Korzystając z dostępu do tajnych źródeł, zaczęła w sekrecie gromadzić akta ofiar stalinowskich represji i tworzyła swoje prywatne archiwum.

Przed laty do głębi poruszył ją fragment wiersza Achmatowej *Requiem*, na który natknęła się w samizdacie, krążącym z ręki do ręki w podziemnym obiegu:

*Imiona ich zawsze bym chciała pamiętać,
Spisałam je wszystkie, lecz spis mi odjęto^[21].*

Tak więc śmierć Wielkiego Sternika w marcu 1953 roku Azalia uczciła otwarciem swojego archiwum. Niezwłocznie przystąpiła do poszukiwania zaginionych list, a katalog ofiar stalinowskiego terroru stał się jej starannie skrywaną życiową pasją. Pierwsze dwie karty w indeksie zawierały nazwiska i imiona jej rodziców, aresztowanych pod koniec lat czterdziestych. W dokumentach wyszperanych w instytucie wyczytała, że jako „wrogowie ludu” zostali zamordowani w lochach Łubianki. Ich ciała, tak jak ciała setek innych rozstrzelanych tego samego dnia ludzi, spalono w miejskim krematorium (żeby psy nie rozwłóczyły szczątków po pobliskich polach), a ich prochy wrzucono do rowu na przedmieściach Moskwy. Znakomitą większość fiszek Azalia sporządziła na podstawie akt znalezionych w kartonach, które porastały kurzem w podziemiach instytutu. Resztę danych zdobyła poprzez prywatne kontakty z pisarzami, artystami i kolegami z pracy; niemal każdy z nich stracił krewnych lub przyjaciół w czasie stalinowskich czystek, wiele nazwisk znano ze słyszenia. Do chwili pamiętnego przemówienia Chruszczowa zgromadziła w sekrecie dwanaście i pół tysiąca kart katalogowych, zawierających nazwiska oraz daty urodzenia, aresztowania i egzekucji (lub zniknięcia) obywateli, którzy dotąd byli tylko bezimiennymi ofiarami tyranii Stalina.

W przeciwieństwie do Achmatowej Azalia mogła nazwać ich wszystkich po imieniu.

Zachęcona przez przyjaciół z redakcji „Prawdy”, zorganizowała spotkanie z jakimś pociotkiem jednego ze swoich dalekich kuzynów, który pracował w redakcji tygodnika „Ogoniok”, pisma znanego ze stosunkowo liberalnej linii. Wspomniała przy tym, iż natknęła się na dawno zapomniane

akta w archiwum Instytutu Historycznego i zgromadziła dość materiałów, by w świetle ujawnienia przez Chruszczowa stalinowskich zbrodni napisać artykuł, publikując nazwiska niektórych ofiar oraz szczegóły ich procesów, egzekucji i męczeńskiej śmierci w łagrach.

Podobnie jak inni moskiewscy intelektualiści, redaktor znał już pogłoski o słynnym przemówieniu pierwszego sekretarza, ale w jego zawodzie ryzyko nie popłacało. Obiecał więc ostrożnie, że najpierw wybada pozostałych członków redakcji, na razie nie ujawniając tożsamości informatorki. Zresztą nawet gdyby przystali na jej propozycję, i tak nie podejmą ostatecznej decyzji bez zasięgnięcia opinii KC.

Jeszcze tej samej nocy Azalię Izanownę obudziło głośne tupanie na schodach. Wiedziała, co to znaczy – безпеaka nigdy nie używała windy, w przekonaniu, że donośny odgłos kroków w uśpionym budynku będzie przestrogą dla każdego, kto znalazł się w pobliżu. Ktoś załomotał pięścią do drzwi. Ktoś kazał jej narzucić ubranie. Zaciągnęli ją do dusznego pokoju na Łubiance i przesłuchiwali aż do południa następnego dnia, wypytując o pracę w instytucie. Czy to prawda, indagował śledczy, że zdobyła informacje o wrogach ludu, którzy w latach trzydziestych i czterdziestych zmarli w łagrach? Czy to prawda, że zamierzała opublikować artykuł na ten temat? Inny, zerknąwszy w akta, zapytał mimochodem, czy jest tą samą Azalią Izanowną, Żydówką z pochodzenia, która w roku 1950 została wezwana do KGB i przesłuchana na okoliczność stosunków łączących ją z niejakim Jewgienijem Aleksandrowiczem Cypinem? Śmiertelnie przerażona, ale przytomna Azalia starała się udzielać jak najbardziej mglistych odpowiedzi. Tak, znała kiedyś Cypina; powiedziano jej, że utrzymywanie z nim kontaktów nie leży w interesach państwa radzieckiego; ich związek, o ile można tu w ogóle mówić o jakimkolwiek związku, rozpadł się już dawno. Wyglądało na to, że śledczy nie wiedzieli

o zgromadzonym przez nią archiwum, przechowywanym potajemnie w blaszanym kufrze na wiejskim strychu. Po blisko trzynastu godzinach nieustannych przesłuchań wypuszczono ją z krótkim ostrzeżeniem: nie mieszajcie się w nie swoje sprawy, partia sama potrafi się tym zająć.

Oschły, choć nienagannie uprzejmy mężczyzna o okrągłej jak naleśnik twarzy sprowadził Azę po szerokich schodach do tylnego wyjścia, nie spuszczać z niej badawczych oczu, ukrytych za okularami w cienkiej, drucianej oprawce.

– Zaufajcie nam – powiedział już w drzwiach. – Wszelkie poprawki do oficjalnej historii Związku Radzieckiego zostaną wniesione przez historyków partii, którzy działają w interesie mas. Stalin może i popełnił jakieś drobne błędy, ale kto ich nie popełnia? Nie wolno nam zapominać, że kiedy obejmował władzę, radzieccy chłopci nierzadko sami zaprzęgali się do pług, żeby zaorać pole, a teraz jesteśmy światową potęgą, mamy broń atomową i rakiety.

Aza zrozumiała, iż pomimo przemówienia Chruszczowa prawdziwa reforma Rosji ma szansę dokonać się dopiero wtedy, gdy historia Związku Radzieckiego zostanie napisana od nowa, przez bezpartyjnych historyków, a nie – jak do tej pory – pod dyktando KGB. Aza poprzysięgła sobie, że nie przerwie rozpoczętej pracy i nadal będzie gromadzić swoje fiszki. Ale dopóki sytuacja nie ulegnie radykalnej zmianie, niech sobie jeszcze poleżą w blaszanym kufrze.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Leżała z otwartymi oczami, śledząc uliczne cienie, tańczące na koronkowych zasłonach w oknie. Myślała o tajemniczym młodym mężczyźnie, który sześć lat temu pojawił się w jej życiu, a potem zniknął nagle, bez słowa, bez adresu. Przepadł jak kamień w wodę, jakby nigdy nie istniał. Bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał, pamiętała go jak przez mgłę, ale nie

zapomniała jego głosu. Za każdym razem, gdy się spotykamy, Azo, zostawiam przy tobie cząstkę siebie. A ona odparła: Och, mam nadzieję, że to nieprawda, bo jeśli będziesz mnie zbyt często widywał, nic z ciebie nie zostanie. Ulegając czarowi chwili, zaprosiła go do siebie, wiedzona chwilowym impulsem, żeby przekonać się, czy można pogodzić w łóżku jego pożądanie i jej pragnienia.

Okazało się, że można, i to aż za dobrze, skutkiem czego nagłe zniknięcie Jewgienija stało się jeszcze bardziej bolesne. Próbowiła go odszukać; przy każdej okazji wypytywała o niego ludzi, którzy byli wtedy z nimi na dacy w Pieriedielkinie; zebrała się nawet na odwagę i zapytała towarzysza Berię, czy nie mógłby się dowiedzieć, gdzie podział się ten młody człowiek. Parę dni później znalazła pod drzwiami liścik, napisany własnoręcznie przez Ławrientija Pawłowicza. Podtrzymywanie znajomości z Cypinem nie leży w interesie państwa – przeczytała – zapomnij o nim. Kiedy po kilku tygodniach wezwano ją do KGB, żeby wypytać o związki z Cypinem, zdołała wyrzucić go z pamięci. Pozostało jej po nim tylko echo jego głosu.

Lubię twój głos, Jewgieniju, powiedziała mu kiedyś.

A ja lubię w tobie to, że go lubisz, odparł.

NOWY JORK, PONIEDZIAŁEK, 17 WRZEŚNIA 1956

Zmęczony zimną wojną E. Winstrom Ebbitt II wrócił do domu, do Stanów, na swój pierwszy od dziewiętnastu miesięcy urlop i przeżył trzytygodniowy romans z atrakcyjną panią adwokat z Departamentu Stanu. Romans ów urwał się gwałtownie, gdy prześliczna prawniczka, rozważywszy wszystkie za i przeciw, postawiła na wróbla w garści – awans i posadę na placówce w Manili. W dni powszednie Ebby uzupełniał informacje analityków Firmy na temat wywołanego przemówieniem Chruszczowa i wciąż rosnącego napięcia w państwach satelickich (w czerwcu polscy robotnicy wyszli na ulice Poznania w burzliwym proteście przeciw komunistycznemu reżimowi). W weekendy jeździł na Manhattan, żeby spędzić trochę czasu z synem Mannym, szczupłym chłopcem o poważnych oczach, który niedawno skończył dziewięć lat. Była żona Ebby'ego, Eleonora, wyszła ponownie za mąż. Jej nowym wybranym został wzięty prawnik, właściciel luksusowego apartamentu przy Piątej Alei. Nie kryła niezadowolenia z przyjazdu eks-małżonka, który zjawiał się teraz u niej w każdą sobotę i niedzielę, żeby spędzić weekend z synem. Immanuel powitał ojca z nieśmiałym zaciekawieniem, lecz z czasem garnął się do niego coraz bardziej. Ebby zaś (za radą swoich rozwiedzionych kolegów, których w Firmie nie brakowało) starał się, żeby mieli te spotkania tylko dla siebie: raz poszli na Ebbets Field zobaczyć, jak Sandy Koufax prowadzi Dodgersów do zwycięstwa nad Giantsami, kiedy indziej znów wybrali się metrem do wesołego miasteczka na Coney Island (dla Manny'ego, który do swojej prywatnej szkoły zawsze jeździł limuzyną,

wyprawa ta miała posmak wielkiej przygody), żeby przejechać się kolejką górską i na ogromnym diabelskim młynie.

Później, w drodze powrotnej na Manhattan, Manny pogryzał w metrze lodowego milky waya.

– Co to jest Centralna Agencja Wywiadowcza? – zapytał nagle ni z gruszki, ni z pietruszki.

– A czemu o to pytasz?

– Mamusia mówi, że tam pracujesz. I mówi, że to dlatego tak często wyjeżdżasz z Ameryki.

Ebby rozejrzał się wokoło. Siedzące obok nich dwie kobiety w skupieniu podziwiała swoje odbicia w szybie wagonu.

– Pracuję dla rządu...

– Nie dla tej Centralnej Agencji jakiejś tam?

Ebby przełknął ślinę.

– Słuchaj, może porozmawiamy o tym kiedy indziej, nie tutaj...

– A co robisz dla rządu?

– Jestem prawnikiem...

– T o wiem.

– Prowadzę sprawy w Departamencie Stanu.

– Podajesz ludzi do sądu?

– Niezupełnie.

– To co?

– Pomagam obronić Amerykę przed jej wrogami.

– Dlaczego Ameryka ma wrogów?

– Są na świecie państwa, które nie we wszystkich sprawach się z nami zgadzają.

– W jakich?

– Takich jak istnienie różnych poglądów i partii politycznych, takich jak uczciwe procesy, wolne wybory, wolność słowa i prawo obywatela do krytykowania rządu bez lęku przed aresztowaniem... Właśnie takich.

Manny zastanawiał się przez chwilę.

– Wiesz, co zrobię, jak będę duży?

– Co?

Wcisnął rączkę w dłoń taty.

– Będę bronił Ameryki przed jej wrogami tak jak ty. Jeżeli jeszcze będą jacyś wrogowie.

Ebby ukrył uśmiech.

– Nie wydaje mi się, Manny, żeby w najbliższej przyszłości zabrakło nam wrogów.

– Powiedział mi, że jak dorośnie, też będzie bronił Ameryki. Bał się tylko, że zabraknie mu wrogów – opowiadał Ebby.

As wychylił do dna swoją krwawą Mary i kiwnął na przechodzącego kelnera, żeby zamówić jeszcze dwie kolejki.

– Spokojna głowa – zachichotał.

– Powiedziałem mu to samo – odparł Ebby. – Trochę się uspokoił.

Ebby i DD/O, Frank Wisner, jedli właśnie roboczy lunch przy stoliku w rogu prywatnej stołówki „Cloud Club” na ostatnim piętrze Chrysler Building. Kiedy dwa następne drinki znalazły się już na stole, As, który wydał się Ebby’emu jeszcze bardziej wymizerowany i zatroskany niż zwykle, wznosił toast:

– Za ciebie i za twojego syna!

Stuknęli się szklankami.

– Jak znosisz urlop, Eb? – zapytał.

Ebby potrząsnął głową z konsternacją.

– Czasem czuję się tak, jakbym wylądował na innej planecie. Byłem na kolacji z trzema prawnikami z mojej starej firmy. Zniewieścili i porośli w piórka: apartament w centrum, domek za miastem, ekskluzywny klub w Westchester... Jeden gość, z którym pracowałem, został mianowany młodszym wspólnikiem. W miesiąc wyciąga więcej niż ja przez cały rok.

– Zastanawiasz się, czy dobrze wybrałeś?

– Nie, Frank. Ale tam jest wojna. A tutaj wydaje się, że ludzie się tym wcale nie przejmują. Ta energia, z jaką starają się przewidzieć opcje na zakup akcji i fuzje... Do diabła, ciągle myślę o tych albańskich chłopakach, którzy zginęli w Tiranie.

– Są tacy, co uważają, że tylko na uniwersytecie człowiek zмага się z prawdziwymi problemami. Na przykład czy po tysiąc dziewięćset dziewiętnastym Joyce używał przecinków...

Ebby zachichotał.

– Wygląda mi na to, że niedługo wrócisz na posterunek – powiedział Wisner. – Dlatego od razu przystąpię do rzeczy. Chciałbym ci zaproponować nowe zadanie, Eb.

– Jeżeli ty c h c e s z z a p r o p o n o w a ć, to znaczy, że mogę odmówić.

– Musisz zgłosić się na ochotnika. To będzie niebezpieczne. Połkniesz haczyk, to powiem ci więcej...

Ebby pochylił się ku niemu.

– Połknąłem, Frank.

– Tak myślałem. Ta misja to coś dla ciebie. Chcę, żebyś ruszył tyłek i pojechał do Budapesztu, Eb.

Ebby gwizdnął pod nosem.

– Budapeszt! Przecież mamy tam swoich ludzi w ambasadzie.

As odwrócił oczy.

– Mają obstawę, a ich biura i mieszkania są na podsłuchu. Dziesięć dni temu szef placówki myślał, że zgubił „ogon”. Wrzucił do skrzynki list zaadresowany do dysydenta, który był jego informatorem. Opróżnili skrzynkę, otworzyli wszystkie listy i dotarli do gościa jak po sznurku. Aresztowali go jeszcze tej samej nocy. Skończył na haku do mięsa w więziennej chłodni. – Spojrzał na Ebby’ego. – Mówię poważnie. Potrzebujemy tam nowej twarzy, Eb. Ze względu na bezpieczeństwo, ze względu na to, że przysłanie kogoś z zewnątrz podkreśli wagę dostarczonej wiadomości.

– Dlaczego ja?

– Dobre pytanie. Po pierwsze, masz za sobą doświadczenie w pracy dywersyjnej, a doświadczenie to najlepsza rekomendacja w naszym fachu. Po drugie, jesteś godnym zaufania prawnikiem, a to oznacza, że możemy wymyślić ci wiarygodną przykrywkę, która świetnie usprawiedliwi twój pobyt w Budapeszcie. Umowa jest taka: w połowie października jedzie na Węgry delegacja z Departamentu Stanu, żeby negocjować w sprawie odszkodowań za aktywa zamrożone w Ameryce, kiedy Węgry przeszły na stronę Niemiec w czasie drugiej wojny światowej. Twoja dawna kancelaria prawnicza reprezentowała interesy Amerykanów węgierskiego pochodzenia, którzy stracili swoje majątki, kiedy po wojnie władza na Węgrzech przeszła w ręce komunistów – mówimy tu o fabrykach, prywatnych przedsiębiorstwach, rozległych terenach, zbiorach dzieł sztuki, mieszkaniach i tym podobnych. Twój były szef, Bill Donovan, zakasał rękawy i wziął się do roboty – jego biurko jest dosłownie zawałone podaniami Amerykanów węgierskiego pochodzenia. Chodzi o to, żebyś

zaszył się u niego na kilka tygodni. Przez ten czas znajdziemy dla ciebie jakąś przykrywkę, a ty zapoznasz się z podaniami. Potem pojedziesz do Budapesztu, jako członek delegacji z Departamentu Stanu, i będziesz się upierał, że każda umowa musi zawierać wysokość stosownego odszkodowania. Jeśli wzbudzisz czyjeś podejrzenia, ludzie Donovana będą cię kryć, a twoja sekretarka powie każdemu, kto o to zapyta, że pracowałeś tam od stworzenia świata.

– Nie wyjaśniłeś, na czym polega prawdziwa misja – zauważył Ebby.

Wisner zerknął na zegarek. Ebby dostrzegł, że drgnęła mu powieka.

– DCI wyraźnie powiedział, że porozmawia o tym z tobą osobiście.

– Dulles?

– Nie na darmo nazywają go Bwana Kubwa. Od tej chwili, Eb, masz trzymać się jak najdalej od Alei Karaluchów. Dulles spodziewa się nas w „Alibi Club” w Waszyngtonie, mamy tam wpaść na drinka pojutrze o szóstej.

Ebby zaczął ssać lód ze swojej szklanki.

– Byłeś cholernie pewien, że się zgodzę.

As uśmiechnął się.

– Chyba masz rację. Chyba liczyłem na twoje zaangażowanie w obronę Ameryki przed jej wrogami.

Strosząc szczeciniaste wąsy i błyskając oczami zza okularów w srebrnej oprawce, DCI Allen Dulles podejmował kolegów, którzy zebrali się przy barze w „Alibi Club”, ulubionym miejscu spotkań pracowników położonego opodal Białego Domu niepozornego budynku z czerwonej cegły, tak ekskluzywnego, że tylko garstka ludzi w Waszyngtonie wiedziała o jego przeznaczeniu.

– Zdarzyło się to w Szwajcarii zaraz po pierwszej wojnie – mówił. – Powiedziano mi, że ktoś chce się ze mną spotkać w biurze, ale pomyślałem: „Do diabła z nim, niech sobie czeka”, i dalej grałem w tenisa. W ten sposób ominęło mnie spotkanie z Władimirem Iljiczem Uljanowem, znanym panom jako Lenin.

Dojrawszy w drzwiach Asa i Ebby’ego, Dulles przecisnął się przez tłum i poprowadził ich do niewielkiego gabinetu za szatnią, który często rekwirował na użytek prywatnych spotkań. Wisner przedstawił Ebby’ego i usunął się w cień; wiedział z doświadczenia, iż Dulles uwielbiał tę tajną, operacyjną stronę pracy w Firmie.

– A więc ty jesteś Ebbitt – powiedział, wskazując gościowi krzesło obok siebie.

Siedzieli tak blisko, że ich kolana niemal się stykały. Pykając fajkę, Dulles prześledził *curriculum* Ebby’ego; chciał wiedzieć, gdzie uczęszczał na uniwersytet, do jakich klubów studenckich należał, jak trafił do OSS, za co otrzymał we Francji Croix de Guerre. Wypytywał o jego działalność w Niemczech, o spalone operacje przerzutu agentów w rejon Karpat i do Albanii, o infiltrację Organizacji Gehlena w Pullah przez KGB. Potem nagle zmienił temat.

– As mówił mi, że zgłosiłeś się na misję do Budapesztu – powiedział. – Domyślasz się, po co cię tam wysyłamy?

– Za to mi nie płacą.

– Spróbuj chociaż.

– Zebrałem trochę informacji – przyznał Ebby. – Tajne przemówienie Chruszczowa pokrzyżowało plany stalinistom z państw satelickich. W Polsce aż wre od zamieszek. Węgry siedzą na beczce prochu. Totalitarny reżim pod wodzą mało popularnego przywódcy rządzi krajem przy pomocy

czterdziestu tysięcy tajniaków i półtora miliona kapusiów. Przypuszczam, że chcecie, abym się skontaktował z węgierskimi podżegaczami i pomógł im odpalić.

Dulles, który prywatnie, przy kieliszku, bywał wesołym kompanem, w sprawach służbowych nie bawił się w ceregiele. Chłodny, nawet dosadny, nie uznawał żadnych sentymentów. Zerknął spod zmrużonych powiek na siedzącego w kącie Wisnera, a potem, oczami wąskimi jak szparki, przyjrzał się uważnie Ebby'emu.

– Odwróć to o sto osiemdziesiąt stopni, Ebbitt. Masz im powiedzieć, żeby trochę przystopowali.

– Radio Wolna Europa zachęcało ich do powstania... – zaczął Ebby.

Dulles przerwał.

– Radio Wolna Europa nie jest organem rządu Stanów Zjednoczonych. Rzecz w tym, że nie chcemy, aby Węgry eksplodowały wcześniej, niż będziemy na to gotowi. Nie zrozum mnie źle: wycofać się to nadal oficjalne stanowisko...

– Masz na myśli oficjalną p o l i t y k ę, prawda, Allenie? – wtrącił słówko Wiz.

Dulles nie odniósł się przychylnie do tej poprawki.

– Stanowisko, polityka, wszystko jedno – odparł ze zniecierpliwieniem, po czym zwrócił się z powrotem do Ebby'ego: – Szacujemy, że przygotowanie całej instalacji zajmie nam półtora roku. Organizacja generała Gehlena ma Sekcję Węgierską, ale potrzebujemy trochę czasu, żeby zorganizować tajny skład broni na Węgrzech i wyszkolić węgierskich emigrantów, zaznajomić ich ze sprzętem i zasadami łączności, dzięki czemu będziemy mogli koordynować powstanie.

– Zakładacie, że wywrotowcy będą w stanie kontrolować swoje oddziały – powiedział Ebby. – Z tego, co wiem, nie wydaje mi się, by spontaniczne powstanie mogło podlegać czyjejkolwiek kontroli.

– Nie kupuję tego – zachnął się Dulles. – S p o n t a n i c z n a może być uliczna demonstracja. Ogólnonarodowe powstanie to zupełnie co innego.

– Chwilowo problem tkwi w tym – wtrącił Wisner – że wywrotowcy mogą uznać, iż Stany Zjednoczone mają obowiązek wkroczyć i uratować im skórę, kiedy oni już wszystko rozkręcą. A przynajmniej zagrozić, że wkroczymy do akcji, żeby utrzymać Rosjan na bezpieczną odległość...

– W takim razie się przeliczą – ostrzegł Dulles. – Ani prezydent Eisenhower, ani jego sekretarz stanu Foster nie są gotowi rozpocząć z powodu Węgier trzeciej wojny światowej. Twoje zadanie to przekonać o tym wywrotowców. Jeżeli zrozumieją, będziemy mieć święty spokój, nawet gdyby zdecydowali się wzniecić bunt. Z drugiej strony jeśli uda im się przycząć na, powiedzmy, osiemnaście miesięcy...

– Może wystarczyłby rok... – podsunął Wisner.

– Niech ci będzie... A więc za rok czy za osiemnaście miesięcy, kiedy Węgrzy, z naszym potajemnym wsparciem, będą już mieli całą infrastrukturę powstania, sytuacja stanie się bardziej sprzyjająca.

– Jest jeszcze jeden problem, o którym powinieneś wiedzieć – powiedział As. – Zaognia się sytuacja na Bliskim Wschodzie. Zajęcie Kanału Sueskiego przez Nasera w lipcu zeszłego roku i odrzucenie złożonej przez osiemnaście państw propozycji, żeby utworzyć międzynarodową strefę wokół kanału – wszystko to przyparło Brytyjczyków i Francuzów do muru. Izraelskie delegacje miotają się między Tel Awiwem a Paryżem. Założę się, że coś szykują; Żydzi zrobią wszystko, żeby tylko Francuzi dali im reaktor nuklearny. Wzmógł się ruch szyfrowy pomiędzy centralnym dowództwem

armii izraelskiej w Tel Awiwie a francuskim Sztabem Generalnym. Izraelczycy mogą zainicjować brytyjsko-francuski Blitzkrieg na Kanał Sueski.

– A w tym zamieszaniu rewolucja na Węgrzech przejdzie bez echa – powiedział Dulles.

Wstał i wyciągnął rękę.

– Powodzenia, Ebbitt.

Przed „Alibi Club” sprzedawca gazet, wymachując ostatnim wydaniem „Washington Post”, torował sobie drogę w ulicznym tłumie.

– Musicie to przeczytać! – wykrzykiwał śpiewnie. – Dow Jones skoczył na pięćset dwadzieścia jeden punktów.

– Bogacze się bogacą. – Wisner uśmiechnął się sarkastycznie.

– A mięczaki mięką – dodał Ebby.

BUDAPESZT, WTOREK, 16 PAŹDZIERNIKA 1956

Orient Express Paryż–Stambuł mknął w stronę Budapesztu poprzez równiny, rozciągające się nad brzegami kredowobiałego Dunaju. Popijając gorącą czarną kawę z nakrętki od termosu, Ebby wyglądał przez okno przedziału pierwszej klasy, patrząc na stada przysadzistego bydła o szerokich rogach, pilnowanego przez *czikos*, węgierskich pasterzy na żyłastych koniach. Za szybą migwały kamienne domki i stodoły, schludne obejścia z wypielęgnowanymi ogródkami i ogrodzonymi podwórkami, po których biegały stadka kur i gęsi. Wkrótce pojawiły się pierwsze zabudowania fabryczne. Kiedy pociąg mijał przedmieścia Budy, oczom Ebby’ego ukazały się wąskie uliczki, pełne zdezelowanych ciężarówek, wypluwających spaliny z rur wydechowych. Parę minut później Orient Express wjechał na Dworzec Zachodni u podnóża Góry Zamkowej.

Ebby, taszcząc wypchany neseser i skórzany pokrowiec na garnitury, podziękował kiwnięciem głowy umundurowanemu tragarzowi i przeszedłszy pod szklaną kopułą hali dworcowej, zbiegł po schodkach na ulicę, gdzie powitał go rumiany, zażywny radca amerykańskiej ambasady, który wyjechał po niego służbowym fordem.

– Sądzę, sir, iż mam przyjemność z panem Ebbitem? – zagadnął.

– Skąd ta pewność?

– Bez obrazy, ale gdy tylko zobaczyłem pański bagaż, domyśliłem się, że jest pan prawnikiem z Nowego Jorku – odparł młody człowiek z szerokim uśmiechem.

Wziął od Ebby’ego pokrowiec na garnitury i wrzucił do bagażnika.

– Doolittle – przedstawił się, wyciągając dłoń. – Jim Doolittle i nie łączy mnie żadne pokrewieństwo z lotnikiem o tym samym nazwisku. Witamy w Budapeszcie, panie Ebbitt.

– Elliott.

– Niech będzie Elliott – powtórzył, sadowiac się za kierownicą forda, a Ebby zajął miejsce obok.

Doolittle, zręcznie manewrując wśród samochodów, wydostał się z ulicznego korka i ruszył na południowy wschód, ku Dunajowi.

– Zostałeś zakwaterowany w hotelu „Gellért”, razem z całą delegacją. Przylecieli wczoraj. Ambasador kazał ci powtórzyć, że jeśli będziesz czegoś potrzebował, masz tylko szepnąć słówko. Pierwsza sesja negocjacji jest przewidziana na jutro, na dziesiątą rano. Ludzie z Departamentu Stanu zostaną przewiezieni do Ministerstwa Spraw Zagranicznych jednym z naszych minibusów. Też możesz się z nami zabrać. Znasz Węgry?

– Wiem tylko to, co wyczytałem w przewodniku – odparł Ebby. – Jak długo już tu jesteś?

– Dwadzieścia trzy miesiące.

– Często spotykacie się z miejscowymi?

– Spotykać się z Węgry! Widzę, że niewiele wiesz o życiu za żelazną kurtyną. Tu jest komunizm! Jedyni miejscowi, jakich regularnie widzimy, to tajniacy z tutejszej bezpieki Allamvédelmi Hatóság, w skrócie AVH. Reszta za bardzo się boi. A przy okazji... Nasz oficer do spraw bezpieczeństwa prosił, żebym cię ostrzegł przed...

– Przed czym?

– Przed Węgierkami, które są nadto chętne... Wiesz, co mam na myśli. Przed Węgry też. Zawłoką cię do jakiegoś nocnego klubu na totalnym zadupiu i kłopot gotowy. I przypadkiem nie wymieniaj pieniędzy na

czarnym rynku ani nie przyjmuj paczek dla „kuzyna” z Ameryki; mogą się w nich znaleźć tajne dokumenty. Aresztują cię za szpiegostwo i następnym razem pogadamy przez kratki w więzieniu.

– Dzięki za wskazówki – powiedział Ebby. – Szpiegostwo to nie mój biznes.

Doolittle zerknął na swojego pasażera z lekkim rozbawieniem.

– Przypuszczam, że nawet nie zauważyłeś małej niebieskiej škody za nami?

Prawdę mówiąc, Ebby zauważył ją od razu, ale nie chciał, żeby Jim Doolittle o tym wiedział. Zrobił małe przedstawienie, oglądając się przez ramię. Niebieski samochód, z dwiema osobami na przednim siedzeniu, jechał w niewielkiej odległości za ich fordem.

Doolittle roześmiał się.

– Wszyscy, cała ambasada, jesteście nieustannie śledzeni – powiedział. – Można się przyzwyczaić. Zdziwię się mocno, jeśli wkrótce i ty nie dostaniesz przyzwoitki.

Jadąc wzdłuż Dunaju, przemknęli obok zielonych dźwigarów mostu Szabadság, wyminęli żółty tramwaj i zatrzymali się przed secesyjną fasadą hotelu „Gellért” u podnóża wzgórz Budy. Patrząc, jak Ebby przechodzi przez wielkie obrotowe drzwi, Doolittle potrząsnął głową. „Kolejny naiwny za granicą” – mruknął, po czym zapuścił silnik i ruszył z powrotem do ambasady.

Mała niebieska škoda z długą anteną przy tylnym błotniku wjechała na podjazd przed odkrytym basenem hotelu „Gellért” i zaparkowała za żywopłotem, skąd doskonale było widać główne wejście. Siedzący obok kierowcy Węgier wyjął ze schowka małą mikrofon i wcisnął go do

aparatu nadawczo-odbiorczego w desce rozdzielczej. Pstryknął włącznik, odczekał pół minuty, żeby lampy próżniowe dobrze się rozgrzały, i zameldował:

– *Szervusz, szervusz*. Tu lotny dwadzieścia siedem. *Amerikai Ebbitt* wszedł do hotelu „Gellért”. Uruchomić mikrofony w pokoju dwa zero trzy. Zaczekamy tu i przejmujemy go, jeśli opuści hotel. Odbiór.

– *Viszlát* – powiedział jakiś głos.

– *Viszlát* – powtórzył mężczyzna w samochodzie i wyłączył nadajnik.

Ebby’emu tydzień zleciał na męczących negocjacjach, które w zasadzie utknęły w martwym punkcie. Podczas długich porannych i popołudniowych sesji wokół podniszczonego, owalnego stołu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych węgierscy negocjatorzy zdawali się postępować według z góry ustalonego scenariusza. Sącząc wodę mineralną i zaciągając się papierosami, wyżebranymi od swoich amerykańskich kolegów, odczytywali monotonnym głosem niekończące się listy węgierskich majątków, które – jak twierdzili – zamrożono w Ameryce piętnaście lat temu, i podawali iście szokujące szacunki ich wartości. Delegaci z Departamentu Stanu, przyzwyczajeni do rozmów z komunistycznymi aparatczykami, którzy zazwyczaj nie mogli zejść poniżej uzgodnionego z przełożonymi progu, traktowali rozmowy z przymrużeniem oka. Jeden z amerykańskich ekonomistów zauważył sucho, iż znakomita większość przedsiębiorstw z węgierskiej listy splajtowała albo w trakcie, albo zaraz po krachu giełdowym w 1929 roku, ale Węgrzy, nie zająknąwszy się nawet, nadal wyczytywali wspomniane firmy ze swojej listy zamrożonych majątków. Drugiego popołudnia Ebby’emu udało się wreszcie wtrącić trzy grosze. Zwrócił uwagę na fakt, iż każda umowa z tytułu powyższych odszkodowań musi również obejmować rekompensatę dla Amerykanów węgierskiego

pochodzenia – tu uniósł w górę opasłą teczkę – którzy stracili majątki, kiedy w roku 1947 komuniści przejęli władzę w kraju. Niski, krępy szef węgierskiej delegacji, który podczas przemowy Ebby’ego ostentacyjnie dłubał w zębach, stłumił ziewnięcie. Sugestia, jakoby Węgierska Republika Ludowa skonfiskowała czyjeś majątki, powiedział sztywno, to jawne przeinaczanie historycznych faktów. Zgodnie z obowiązującym na Węgrzech ustawodawstwem obywatele, którzy porzucili swą ojczyznę, utracili tym samym prawo do odszkodowania za upaństwowione majątki, ponieważ nie złożyli stosownych podań.

– A czy teraz można jeszcze złożyć takie podanie? – zapytał Ebby.

– Termin upłynął z dniem trzydziestym pierwszym grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku – odparł Węgier.

– Kto ustanowił to prawo? – dopytywał się Ebby.

– Prawomocnie wybrany rząd Węgierskiej Republiki Ludowej – odpowiedział biurokrata.

– Innymi słowy – kontynuował Ebby – po skonfiskowaniu majątków wasz rząd wydał prawo *ex post facto*, odmawiające wypłaty odszkodowań obywatelom, którzy opuścili kraj?

– Niczego nikomu nie odmawiamy – upierał się Węgier. – Nie wypłaciliśmy odszkodowań tym wszystkim, którzy nie złożyli podań na czas.

– Musisz trochę przyhamować – powiedział do Ebby’ego na wieczornym przyjęciu w ambasadzie szef amerykańskiej delegacji, który już nieraz brał udział w podobnych rozmowach. – My tu mamy tylko zachowywać pozory. Rząd Stanów Zjednoczonych nie zamierza przekazać ani jednej sztabki złota tutejszym komunistom tylko po to, żeby wszystko wydali na czołgi i samoloty.

W sobotę rano Ebby zamówił samochód z kierowcą znającym angielski i (z małą niebieską škodą na ogonie) wyruszył na zwiedzanie Budapesztu. Wspiął się na wzgórze Budy, zwiedził zamek, w którym niegdyś mieli swą siedzibę węgierscy królowie i władcy z dynastii Habsburgów; zajrzał do kościoła Koronacyjnego, zamienionego pod rządami Turków otomańskich w meczet; ze szczytu baszty Rybackiej podziwiał widok na odbijający się w spokojnych wodach Dunaju dostojny budynek Parlamentu, neogotycki relikwiarz monarchii austro-węgierskiej, zarysowany kapryśną linią na tle peszteńskiego nieba. O pierwszej trzydzięci po południu odprawił kierowcę i poszedł przekąsić coś w stylowej knajpce po drugiej stronie rzeki. Usiadł przy stoliku, obok jakiejś starszej pani o ptasiej twarzy. Miała na głowie narciarską czapkę, a wokół chudej szyi owinęła wytartego srebrnego lisa. Sącząc tokaj ze szklaneczki, szepnęła coś po węgiersku do Ebby'ego. Widząc jego zakłopotanie, spytała po niemiecku, czy jest cudzoziemcem. Kiedy odrzekł, że owszem, Amerykaninem, nagle wpadła w popłoch.

– Och, bardzo pana przepraszam, ale muszę już iść – powiedziała cichutko. Zostawiła niedopite wino, rzuciła kilka monet na stół i uciekła z kawiarni.

Przez szybę Ebby zobaczył, jak jeden z pasażerów niebieskiej škody ledwo dostrzegalnym gestem podbródka wskazał odchodzącą pośpiesznie aleją Stalina staruszkę. Dwaj stojący po drugiej stronie ulicy mężczyźni w czarnych płaszczach do kostek i pilśniowych kapeluszach zastąpili jej drogę. Kobieta grzebała przez chwilę w torebce, szukając dokumentów, które natychmiast wyrwali jej z ręki. Jeden z nich wcisnął je do kieszeni i ruchem głowy dał kobiecie do zrozumienia, że ma pójść z nimi. Wszyscy troje – dwaj rośli mężczyźni i drobna kobieta – zniknęli za rogiem bocznej uliczki.

Ebby'ego ogarnął niepokój o tę starszą panią, której jedynym przewinieniem było to, że siedziała przy stoliku z Amerykaninem. A może chodzi o coś więcej? Tajniacy z AVH na pewno dostali rozkaz, żeby go mieć na oku. Ale czy śledzą go dlatego, że tak postępują z każdym Amerykaninem, który postawił stopę na węgierskiej ziemi, czy też zostali ostrzeżeni przez jednego z dysydentów, z którymi Ebby miał się tutaj spotkać? A to by znaczyło, że wiedzą, kim jest i po co przyjechał. Wsunął banknot pod spodeczek, włożył płaszcz i ruszył w górę alei Stalina, przystając od czasu do czasu przed witrynami sklepów, żeby sprawdzić, co dzieje się za jego plecami na ulicy. Niebieska škoda jechała za nim bardzo powoli, ale w środku siedział teraz tylko jeden człowiek; Ebby zauważył, że ten drugi idzie przed nim. Młody mężczyzna w pionierkach przystawał i czytał gazetę, ilekroć Ebby się zatrzymał. Po drugiej stronie ulicy spacerowała kobieta w średnim wieku, udając, że ogląda wystawy, podczas gdy w rzeczywistości śledziła każdy ruch Amerykanina.

Czując dziwny ucisk gdzieś w okolicy żołądka – po raz pierwszy doświadczył tego podczas wojny, kiedy skakał ze spadochronem za linią Niemców – szedł przed siebie wciąż tą samą ulicą. Na skrzyżowaniu o nazwie Octagon zawahał się przez moment i sprawdził coś na planie miasta w przewodniku. Przy końcu alei okrążył park Bohaterów, z ogromnym pomnikiem Stalina na piedestale z różowego marmuru. Na lewo zobaczył Muzeum Sztuk Pięknych. Znów zerknął do przewodnika, po czym wszedł na schody wiodące do gmachu. W szybkie drzwi dostrzegł odbicie niebieskiej škody, która właśnie podjeżdżała do krawężnika.

Stanął w kolejce do kasy. Wywieszona w okienku informacja dla zagranicznych turystów potwierdziła to, czego dowiedział się jeszcze w Waszyngtonie – zwiedzanie tylko z przewodnikiem, codziennie o czternastej trzydzieści. Przyłączył się więc do grupy angielskojęzycznych

wycieczkowiczów, stłoczonych przy schodach w oczekiwaniu na swoją kolej. Punktualnie o wpół do trzeciej drzwi się otworzyły i wyszła z nich młoda, mniej więcej trzydziestoletnia, szczupła kobieta o niesfornych popielatoblond włosach, które wyglądały tak, jakby ktoś obciął je na karku sekatorem. Ubrana była na czarno, w obcisły prążkowany golf, flanelową spódnicę do kostek, grube zimowe pończochy i solidne buty na płaskim obcasie. Nie miała makijażu, tak przynajmniej wydawało się Ebby'emu, który nie chciał jej się przyglądać zbyt nachalnie. Na przypiętej do sweterka plakietce widniało nazwisko „E. Németh”.

– Dzień dobry, mam być państwa przewodnikiem – oświadczyła sucho nieskazitelną angielszczyzną damulki z wyższych sfer.

Ślad nerwowego uśmiechu pojawił się na jej twarzy, kiedy omiotła spojrzeniem grupę turystów. Przez ułamek sekundy, nie dłużej, zatrzymała wzrok na Ebby'm. Powiedziała coś po węgiersku do portiera przy wejściu. Mężczyzna wpuścił zwiedzających za obrotową bramkę.

– Proszę za mną – rzuciła krótko E. Németh, obróciła się na pięcie i ruszyła wzdłuż długiego korytarza, obwieszzonego olbrzymimi płótnami, przedstawiającymi krwawe bitwy, stoczone przez Węgrów z Turkami otomańskimi.

Ebby trzymał się nieco z boku, a jego umysł pobieżnie rejestrował fragmenty obrazów i odnotowywał nazwiska malarzy. Idąc po schodach na drugie piętro, usłyszał, jak jedna z turystek, korpulentna dama o lasce, zapytała przewodniczkę: „Moja droga, gdzie się pani nauczyła tak pięknie mówić po angielsku?”

– Jestem pół-Angielką – odparła E. Németh. – Urodziłam się w Toskanii, ale wychowałam i wykształciłam w Wielkiej Brytanii...

Zerknęła przy tym przez ramię na Ebby'ego. Na jej twarzy znów pojawił się nieśmiały, nerwowy uśmiech.

– Nie chciałabym być niedyskretna, ale... Jak pani trafiła do Budapesztu, jeśli wolno spytać?

– Wyszłam za mąż – odparła krótko E. Németh.

– Ach, jakie to romantyczne, moja droga! Jakie romantyczne...

Kiedy pięćdziesiąt minut później dotarli do ostatniego pomieszczenia w planie wycieczki, E. Németh zwróciła się do swoich podopiecznych.

– Widzą tu państwo sześć obrazów, namalowanych przez sławnego hiszpańskiego malarza El Greco – oznajmiła. – Mamy jeszcze siódme płótno, ale jest właśnie w trakcie renowacji. W podziemiach gmachu mieści się pracownia konserwatorska. Dzieła te, duma naszego muzeum, to największy na świecie, oczywiście oprócz Hiszpanii, zbiór prac tego genialnego artysty. El Greco urodził się na Krecie w roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym, jako Dominikos Theotokopulos. Zanim osiadł w Toledo, kształcił się u weneckiego mistrza Tycjana. Intensywne barwy i głębokie cienie, jak również smukłe, nienaturalnie wydłużone postaci sprawiły, iż okrzyknięto go mistrzem malarstwa religijnej ekstazy. Wiele postaci, które tutaj państwo widzą, to hiszpańska szlachta...

Ebby wysunął się nieco z grupy.

– Czy to prawda, że deformacja postaci u El Greco spowodowana była wadą wzroku? Podobno tak właśnie widział i dlatego tak malował...

E. Németh przekrzywiła delikatnie głowę i palcami o obgryzionych paznokciach (do gołej skóry, pomyślał Ebby) zaczęła z namysłem skubać dolną wargę. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Oczywiście znam tę teorię – odparła w końcu. – Ale, o ile mi wiadomo, to tylko hipoteza, niepoparta świadectwem medycyny.

Kiedy grupa ruszyła po schodach w dół, do głównego wyjścia z muzeum, Ebby został trochę z tyłu, razem z przewodniczką. W powietrzu dał się

wyczuć zapach olejku różanego.

– Dużo pan wie o El Greco – zauważyła.

– Jestem wielbicielem jego dzieł.

– Może w takim razie zainteresuje pana to płótno, które znajduje się w podziemiach?

– Nawet bardzo.

Na półpiętrze minęli wąskie drzwi. Przewodniczka obejrzała się za siebie. Nie dojrawszy nikogo, zawróciła, otworzyła je i wciągnęła za sobą Ebby'ego.

– Śledzono cię, kiedy tu przyjechałeś – szepnęła. – Widziałam ich przez okno: samochód i przynajmniej trzech tajniaków na ulicy. Posłali za tobą chyba cały oddział agentów...

– Też ich widziałem – odparł Ebby. – Prawdopodobnie łążą za każdym, kto przyjechał z Ameryki.

E. Németh zaczęła schodzić po drewnianych stopniach, słabo oświetlonych żarówkami na każdym półpiętrze i tak wąskich, że trzeba było iść gęsiego. Deski z surowego drewna skrzypiały pod jej stopami. Na dole pchnęła kolejne drzwi i zajrzała do środka. Widząc, że droga wolna, skinęła na Ebby'ego. Przeszli po betonowej podłodze przez przestronny warsztat, wypełniony popiersiami i obrazami, i zatrzymali się przy drzwiach, zamkniętych od wewnątrz na zasuwę.

– Co oznacza „E” na twojej plakietce? – wyszeptał Ebby.

– Elizabet.

– Ja mam na imię Elliott.

Spojrzała na niego uważnie swoimi ciemnymi oczami.

– Byłam pewna, że to ty, zanim jeszcze wypowiedziałeś umówione zdanie – powiedziała.

Zdjęła z wieszaka budrysówkę i zarzuciła ją sobie na plecy jak pelerynę. Wyjęła z kieszeni olbrzymi wytrych i otworzyła masywny zamek. Kiedy wydostali się z podziemi na dziedziniec, położony na tyłach muzeum, nieco poniżej parteru, zamknęła drzwi i poprowadziła Ebby'ego w górę po stalowych schodach do furtki w wysokim żelaznym ogrodzeniu, którą otworzyła drugim, mniejszym wytrychem i również starannie zamknęła. Przecięli aleję i ruszyli wzdłuż wąskiej alejki. W drewnianej szopie na małym podwórku czekał na nich zdezelowany dwudrzwiowy fiat. Elizabet usiadła za kierownicą. Ebby'emu wskazała miejsce obok siebie i dodając gazu, ruszyła w dół uliczki do skrzyżowania z główną arterią, gdzie włączyli się w sznur samochodów.

Elizabet jechała zatłoczonymi ulicami Pesztu w całkowitym skupieniu. Po jakimś czasie Ebby przerwał ciszę.

– Gdzie teraz jedziemy?

– Arpád i jego przyjaciele czekają na ciebie w mieszkaniu w Budzie, za Dworcem Południowym.

– A jeżeli w muzeum zauważą, że nie wyszedłem frontowymi drzwiami?

– Chwilę poczekają, a potem zaczną szukać. Kiedy zorientują się, że cię zgubili, wrócą do hotelu i tam na ciebie zaczekają. Zawsze tak robią. W obawie o własną skórę nie zameldują przełożonym, że zniknąłeś. Po spotkaniu z Arpádem zostawię cię na moście. Stamtąd, jak gdyby nigdy nic, wrócisz pieszo do „Gellérta”.

– Słyszałem, jak mówiłaś tej kobiecie w muzeum, że wyszłaś za mąż za Arpáda.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

– Nie powiedziałam, że wyszłam za Arpáda. Jestem jego kochanką. Moje małżeństwo to zupełnie inna historia.

Ebby skrzywił się.

– Nie chciałem być wścibski...

– Oczywiście, że chciałeś. Jesteś szpiegiem, wścibstwo to twój fach.

Porywy lodowatego wiatru znad Dunaju łomotały o szyby w narożnym mieszkaniu na ostatnim piętrze budynku, zagubionego w labiryncie ulic na wzgórzach Budy. Kiedy Ebby stanął w drzwiach, wyszedł go powitać krępy mężczyzna pod czterdziestkę, z grzywą przedwcześnie posiwiałych włosów, o płaskim czole i rzymskim nosie. Ubrany był w znoszony wełniany sweter, sztruksowe spodnie i ciężkie sznurowane buty.

– Z całego serca witam pana w Budapeszcie – powiedział, chwytając obiema rękami dłoń gościa i przyglądając mu się uważnie ciemnymi, niespokojnymi oczami.

– To Arpád Zelk – przedstawiła go Elizabet.

– Jestem zaszczycony, mogąc poznać tak znamienitego poetę – powiedział Ebby.

Arpád zaśmiał się gorzko.

– Piszę wiersze w moim ojczystym języku, którym posługuje się zaledwie dziesięć milionów z dwóch i pół miliarda ludzi zamieszkujących Ziemię, a więc moja znamienitość da się porównać z uznaniem, jakie otacza małego ptaszka, śpiewającego na całe gardło w dźwiękoszczelnej klatce.

Arpád odwrócił się, aby pospiesznie zamienić kilka słów po węgiersku z Elizabet i dwoma młodymi mężczyznami, siedzącymi przy stoliku ze szklanym blatem. Ebby rozejrzał się po pokoju: na stole ogromne radio z lat trzydziestych (wystarczająco duże, żeby zmieścić małego psa), drewniane belki pod sufitem, ciężkie, podobne do dywanu zasłony, zaciągnięte na całą szerokość okna, kominek zapchany czekającymi na spalenie papierami,

dwa wiadra z węglem, stosik broszurek pod ścianą. Elizabet zerknęła na Ebby'ego.

– Przepraszam cię na moment... Opowiadam im właśnie o tajniakach, którzy cię śledzili. Arpád chce się upewnić, że nie przyjechali tutaj za nami.

Zelk wyłączył górne światło, podszedł do okna, uchylił zasłonę na dwa palce i wyjrzał na ulicę.

– Wygląda na to, że ich zgubiłeś – oznajmił. – W każdym razie mam ludzi, którzy obserwują ulicę z drugiego mieszkania. Jakby co, ostrzegą nas przez telefon.

Wskazał Ebby'emu wolne krzesło przy stole. Skinął głową w kierunku dwóch mężczyzn.

– Poznajcie się... To Mátyás, a to Ulrik – przedstawił ich tylko z imienia. – Towarzysze z Węgierskiego Ruchu Oporu.

Uścisnęli sobie dłonie. Mátyás ubrany był w krótką, studencką kurtkę; Ulrik miał na sobie garnitur, kamizelkę i koszulę z odpinanym kołnierzykiem, a na nosie okulary w stalowych oprawkach. Wyglądał na intelektualistę. Dokonawszy prezentacji, usiedli przy stole, a Elizabet usadowiła się na kanapie.

Arpád napełnił kieliszek białawym płynem i podał gościowi.

– Poznałeś już nasz *magyar torkoly*? Ach, tak też myślałem. To brandy z winogronowych wyłoczyn. *Egészségedre* – powiedział, unosząc swój kieliszek.

– *Egészségedre* – powtórzyli obaj mężczyźni, przepijając do Ebby'ego.

– Na zdrowie – odparł Ebby.

Wychylili trunek do dna. Ebby skrzywił się, otworzył szeroko usta i gwałtownie złapał powietrze. Uśmiechnęli się, widząc jego minę.

– Czy mogę teraz spytać – odezwał się Arpád, a zabrzmiało to bardzo oficjalnie – z czym do nas przyjeżdżasz? Co chcesz nam powiedzieć w imieniu Ameryki?

– Przywożę wam życzenia pomyślności od ludzi piastujących wysokie stanowiska w rządzie USA. Przywożę wyrazy solidarności i uznania dla waszej odwagi w walce za sprawę...

Arpád walnął pięścią w blat stolika, aż Ebby zdziwił się, że szkło nie pękło. Mátyás mruknął coś po węgiersku, a Arpád odpowiedział mu zirytowany. Kiedy Mátyás nalegał, Arpád niechętnie kiwnął głową. Znowu spojrzął na Ebby'ego.

– Moi przyjaciele i ja nie jesteśmy dyplomatami, a nasze spotkanie to nie popołudniowa herbatka w ambasadzie – rzucił szorstko, gestykulując gwałtownie rękami o grubych, serdelkowatych palcach. – Nie potrzebujemy waszych życzeń, waszej solidarności ani wyrazów szacunku. Potrzebujemy konkretnego, wymiernego wsparcia, w razie gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Rząd amerykański nie chce zbyt mocno naciskać Sowietów...

– ...w sprawie tak błahej jak Węgry – warknął Arpád, kończąc za niego zdanie. – Proszę, proszę, wal śmiało, nie krępuj się.

– Węgry nie są dla nas błahą sprawą. Właśnie dlatego chcemy, żebyście odłożyli powstanie do chwili, gdy będziemy gotowi; do chwili, gdy Chruszczow, który sprawia wrażenie polityka elastycznego i ugodowego, nie opanuje sytuacji w KC.

– Na jak długo?

– Rok, może półtora.

Ulrik powtórzył to po węgiersku, aby się upewnić, że dobrze zrozumiał.

– *Igen* – powiedziała Elizabet. – Rok, może półtora.

– *Reménytelen!* – zachnął się młody człowiek.

– Ulrik mówi, że to nierealne – przetłumaczyła Elizabet.

– Nie rozumiem, po co ten pośpiech – odparł Ebby. – Zdobądźcie się na odrobinę rozwagi i cierpliwości. Rząd amerykański nie chce wojny z Sowietami...

– Pozwól, że powtórzę to, co Trocki powiedział Rosjanom przed rewolucją w tysiąc dziewięćset siedemnastym – odezwał się Arpád, utkwivszy wzrok w Ebby’ego. – „Wy możecie nie interesować się wojną, ale wojna zainteresuje się wami”. – Mátyás wymamrotał coś i Arpád skinął głową na znak, że podziela jego zdanie. – Mátyás mówi, że to nie od nas zależy, czy powstanie wybuchnie, czy nie. Co ma być, to będzie, z nami czy bez nas, z wami czy bez was. Żyjemy w kraju, który cierpi na *esengofrasz*...

Arpád spojrział na Elizabet, czekając, aż przetłumaczy.

– Uczulenie na dzwonek do drzwi – powiedziała.

– Tak, dobrze słyszałeś. Uczulenie na dzwonek do drzwi. Każdy się boi, że agenci AVH zadzwonią o północy do jego drzwi i zabiorą na przesłuchanie lub tortury. Ja sam byłem aresztowany pięć razy, dwukrotnie przez faszystów, którzy wciągnęli Węgry do wojny światowej po stronie Niemiec, i trzykrotnie przez komunistów, którzy po wojnie, z pomocą Armii Czerwonej, przejęli władzę. Spędziłem w więzieniach jedenaście lat i cztery miesiące. O piętnaście mniej niż markiz de Sade, a o sześć więcej niż Dostojewski. Miesiącami tkwiłem w dusznych, podziemnych celach, czołgałem się razem ze szczurami w więziennej twierdzy Vac na północ od Budapesztu. Jednej szczególnie srogiej zimy oswoiłem kilka z tych szczurów; wychodziły wieczorami, żeby się ze mną przywitać, a ja grzałem zziębnięte palce w ich futerku. W tym samym więzieniu – i w t e j s a m e j c e l i – byłem torturowany najpierw przez węgierskich faszystów, a potem przez węgierskich komunistów. Różnica między nimi

jest bardzo pouczająca. Faszyści torturowali po to, by więzień przyznał się do czynów, które naprawdę popełnił. Komuniści torturują po to, by więzień przyznał się do przestępstw wymagowanych. Podsuwają mu do podpisu zeznanie, które sami wcześniej spreparowali, zmuszając, by przyznał się do kontaktów z obcym wywiadem, do spisków mających na celu wymordowanie komunistycznych przywódców, do dosypywania zmielonego szkła do worków z mąką w celu dokonania gospodarczego sabotażu...

Opadł z powrotem na krzesło i powoli wciągnął powietrze przez nos. Uspokoiwszy się, mówił dalej:

– Kiedyś, żeby uniknąć dalszych tortur, przyznałem się, że przekazywałem tajemnice państwowe szefowi amerykańskiego wywiadu w Wiedniu, Edgarowi Allanowi Poe. Za to przestępstwo zostałem skazany na piętnaście lat więzienia, ale wypuścili mnie po cichu, bo ktoś na górze rozpoznał to nazwisko.

Machając pogardliwie ręką, Ulrik powiedział coś po węgiersku do Arpada, a ten kilka razy skinął głową na znak zgody.

– Ulrik mówi, że Wolna Europa bez przerwy wzywa do obalenia komunizmu.

– Radio Wolna Europa nie jest organem rządu Stanów Zjednoczonych – upierał się Ebby. – To niezależne przedsięwzięcie, zorganizowane przez emigrantów z krajów komunistycznych. Jego audycje niekoniecznie reprezentują oficjalną politykę Ameryki...

– Jeżeli można spytać, kto finansuje tę rozgłośnię?

Ebby milczał, skonsternowany. Ulrik, bębniąc palcami w blat stołu, znów coś powiedział po węgiersku, a Arpad znów energicznie przytakiwał.

– On mówi, że nadchodzi chwila prawdy. Mówi, że musicie być gotowi, by moralnie i materialnie wesprzeć nasze powstanie. Mówi, że jeśli uda się wam powstrzymać Rosjan od interwencji – a przynajmniej tyle nam się od was należy – komunizm na Węgrzech ostatecznie się jedynie na zakurzonych kartach historii.

W tym momencie student wtrącił nieśmiało kilka słów. Arpád z uśmiechem pochylił się przez stół i klepnął go w plecy.

– Mátyás zacytował wiersz Bertolta Brechta o krótkim powstaniu przeciw komunistom w Niemczech Wschodnich w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku – przetłumaczyła Elizabet.

Arpád zamknął oczy, odrzucił w tył głowę i w skupieniu wyrecytował po angielsku:

*Czy nie
byłoby wszak prościej,
gdyby rząd
rozwiązał naród i
wybrał drugi?*^[22]

Kątem oka Ebby zerknął na skuloną na kanapie Elizabet. Czuł na sobie jej wzrok.

– Nikt w Ameryce nie wątpi w waszą determinację. Wiemy, że zrobicie wszystko, by zrzucić jarzmo stalinowskiej dyktatury – powiedział do Arpáda. – Ale uważamy, że musicie odłożyć romantyzm na bok i stanąć oko w oko z rzeczywistością. A fakty są nagie i mówią same za siebie. Dwie zmechanizowane dywizje sowieckie, druga i siedemnasta, stacjonują czterdzieści mil od Budapesztu; do stolicy mogą dotrzeć w godzinę. Mamy mnóstwo dowodów na to, że Sowieci nie są ślepi ani głusi i doskonale zdają

sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiemy, że zmobilizowali potężne rezerwy na wypadek powstania. Doniesiono nam o ruchach wojsk na granicy z Ukrainą i o budowie mostów pontonowych na Cisie.

Arpád i Elizabet wymienili ponure spojrzenia – informacje Ebby’ego najwyraźniej ich zaskoczyły.

– Dowództwo nad całą operacją objął generał Koniew – ciągnął Ebby – ten sam, który poprowadził Armię Czerwoną na Berlin, a obecnie cieszy się opinią jednego z najlepszych sowieckich taktyków. Minister obrony Żukow naciska z kolei na Chruszczowa i Biuro Polityczne ze względów strategicznych. Rosjanie wyprodukowali w tajemnicy nowe pociski balistyczne średniego zasięgu, które chcą rozmieścić na terenie Węgier, żeby zagrozić południowym granicom NATO, czyli Włochom i Grecji. Tak więc w razie wybuchu powstania interwencja wydaje się przesądzona.

Teraz głos zabrał Ulrik. Elizabet, zdanie po zdaniu, tłumaczyła jego słowa. Ulrik, rządowy analityk polityczny, przyznał, że nic nie wiedzieli o mostach pontonowych, podał za to w wątpliwość ocenę sytuacji w Moskwie, nie wierzył bowiem, że Chruszczow posunie się do wysłania czołgów na Węgry.

– Kreml – argumentował Ulrik – ma dość własnych wewnętrznych problemów.

Arpád wyjął kapciuch z kieszeni sztruksowych spodni.

– I dlatego – mówił, zwijając skręta – Rosjanie przystali w pięćdziesiątym piątym na neutralność Austrii. Z tych samych powodów Chruszczow przyznał pozostającej wciąż poza sowieckim blokiem Jugosławii status „kraju na drodze do socjalizmu”. W Polsce groźba ogólnonarodowego powstania doprowadziła do zwolnienia z więzienia komunistycznego reformatora Gomułki, który w najbliższych dniach

zostanie prawdopodobnie mianowany pierwszym sekretarzem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej...

Poślinił bibułkę, zręcznie skleił papierosa, postukał nim o stół, żeby upakować tytoń, i włożywszy skręta do ust, zaczął szukać po kieszeniach zapalek.

– Nawet jastrzębie z Politbiura wydają się pogodzone z sytuacją w Polsce – dodał.

Przytknął płonąca zapalkę do papierosa. Zaciągnął się głęboko i wypuścił nosem kłęb dymu.

– Dlaczego widmo sowieckich czołgów ma spędzać nam sen z powiek, skoro w Polsce jednak się udało? – spytał retorycznie.

– Ponieważ sytuacja na Węgrzech jest inna niż w Polsce – przekonywał dalej Ebby. – Gomułce nawet nie przyszło do głowy, żeby wyprowadzić kraj z bloku państw socjalistycznych. To zdeklarowany komunista, który nie miał zamiaru obalać systemu.

– Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy zatrzymali się w pół drogi! – wybuchnął Mátyás.

– Dotknąłeś sedna sprawy – stwierdził z ponurą miną Ebby.

Kiedy Elizabet przetłumaczyła jego słowa, Mátyás gniewnie szurnął krzesłem, wstał od stołu i usiadł koło niej na kanapie. Oboje zaczęli szeptać do siebie po węgiersku i najwyraźniej wciągnęli się w jakąś ożywioną dyskusję. Było oczywiste, że Elizabet stara się przekonać do czegoś Mátyása, ale z marnym skutkiem.

Przy stole Arpád przez dłuższą chwilę kontemplował kalendarz na ścianie za plecami Ebby'ego. Kiedy w końcu odwrócił się z powrotem do swojego gościa, oczy mu błyszczały jak w gorączce.

– Przychodzisz do nas ze swoją zachodnią logiką i zachodnimi realiami – zaczął – ale nie bierzesz pod uwagę beznadziejności naszej sytuacji ani naszego narodowego charakteru, który każe nam stanąć do walki wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Żyjemy w stanie wojny praktycznie bez przerwy, odkąd tysiąc dwieście lat temu mój imiennik, węgierski wódz Arpád, przeprowadził konne zastępy Madziarów przez Ural i podbił rozległe węgierskie stepy. Węgrzy to naród straceńców, a ryzyko mamy we krwi. W sytuacjach bez wyjścia czujemy się jak ryby w wodzie.

Ebby postanowił mówić bez ogródek.

– Przysłano mnie tu, aby uświadomić wam, jak ryzykowne jest wasze przedsięwzięcie. Jeżeli zdecydujecie się wzniecić zbrojne powstanie, musicie pamiętać, że Zachód nie da się w to wciągnąć tylko po to, żeby własną pierśią osłonić was przed czołgami Koniewa.

Trzej mężczyźni zebrani wokół stołu wymienili nieznaczące uśmiešky, a Ebby zrozumiał, że nie wykonał zadania.

– Ja i moi przyjaciele dziękujemy, że podjąłeś to ogromne ryzyko i przybyłeś do Budapesztu – powiedział Arpád. – A oto odpowiedź, którą zawieziesz do Ameryki. Dwa tysiące czterysta lat temu grecki dziejopis Tukidydes, odnosząc się do konfliktu między Atenami i Spartą, napisał, że są trzy rzeczy, które popychają mężczyzn do walki: honor, strach i chciwość. Jeśli przystąpimy do wojny, dla Węgrów będzie to kwestia honoru i strachu. Mamy nadzieję i głęboko w to wierzymy, że amerykańscy przywódcy, kierując się własnym interesem, przyłączą się wtedy i nam pomogą.

Rozmowa wokół stolika ze szklanym blatem przeciągnęła się do wieczora. Zza grubych zasłon dobiegał od czasu do czasu stłumiony dźwięk karetki albo płaczliwe wycie policyjnej syreny. Kiedy szarawy zmierzch

otulił miasto, Elizabet zniknęła w kuchni. Wróciła po mniej więcej dwudziestu minutach, z tacą zastawioną dymiącymi miseczkami zupy z cukinii i grubymi pajdami ciemnego chleba. Arpád zacytował dwie linijki z wiersza legendarnego węgierskiego poety Sándora Petőfiego, który poległ podczas walk z Rosjanami w 1849 roku:

Jem, piję jak nikt drugi w świecie.

Węgierski szlachcic jestem przeciw^[23].

Uniósł swoją miseczkę, trzymając ją w obu rękach, i wypił zupę. Potem wyciągnął z kieszonki na bilon ciężki niemiecki zegarek, sprawdził godzinę i spojrzawszy przepraszająco na zagranicznego gościa, powiedział, że musi za chwilę wyjść, bo zaproszono go na Politechnikę, żeby przeczytał swoje wiersze studentom. To najbardziej wywrotowe środowisko w całym Budapeszcie, więc może Ebby też miałyby ochotę pójść? Elizabet wszystko mu przetłumaczy.

Ebby zgodził się chętnie. Jeżeli chciał poznać nastroje panujące na tutejszych uczelniach, wieczór poetycki stanowił po temu doskonałą okazję.

Arpád wykręcił numer telefonu i wymamrotał coś do towarzyszy, obserwujących ulicę z okien pobliskiego domu. Następnie wszyscy – Arpád na czele, potem Ebby, Elizabet i obaj młodzi ludzie – przeszli wąskim korytarzem do sypialni w głębi mieszkania. Mátyás i Ulrik przesunęli ogromną szafę, odsłaniając wąski, zakryty kolorową makatką otwór w ścianie, wiodący do sąsiedniego mieszkania w przyległym budynku. Arpád, Elizabet i Ebby, przedostawszy się tajnym przejściem, wyszli kuchennymi drzwiami, zbiegli do piwnicy i po chwili znaleźli się w zaułku, który wyprowadził ich na ulicę po drugiej stronie budynku. Unikając głównych arterii, klucząc po słabo oświetlonych uliczkach Budy, przecięli

Karinthy Frigyes i chwilę później po pochylni dla węglarzy weszli do gmachu Politechniki. Oczekiwał ich chłopak z czupryną kręconych włosów. Poprowadził całą grupę przez kotłownię do stołówki dla pracowników, gdzie zastali tłum studentów. Jedni siedzieli w ławkach, inni podpierali ściany – w sumie około stu pięćdziesięciu młodych ludzi. Powitali poetę owacjami, tupiąc w cementową posadzkę i skandując jego imię: „Ar-pád, Ar-pád, Ar-pád!”

Arpád stanął na środku sali, dmuchnął w mikrofon, żeby się upewnić, czy działa, i odrzuciwszy w tył głowę, zadeklamował:

*Nie mam ojca, domu, matki
ani Boga, ni ojczyzny,
nie mam trumny ni kołyski
i kochanki sercu bliskiej^[24].*

Studenci rozpoznali wiersz i zagrzmiały brawa.

Elizabet przytknęła usta do ucha Ebby’ego.

– To wersy z wiersza Attili Józsefa – powiedziała mu. – Napisał go na przełomie wieków... Mówi o szalonym węgierskim indywidualizmie...

– Twój przyjaciel Arpád to nowator – wyszeptał jej Ebby do ucha.

– On nie jest moim przyjacielem, jest moim kochankiem – odparła Elizabet. – A to dwa różne światy.

To osobiste wyznanie przełamało lody i dalej posypały się urywane zdania:

– Masz rację co do Arpáda... szalony Węgier... chaos emocji... maniak słów i rytmu... opętany przez demony, uzależniony od bólu, zadawanego kobietom, które go kochają...

Ebby drgnął, słysząc słowo „kobiety”. Zastanowiło go, dlaczego użyła liczby mnogiej. Elizabet odwróciła wzrok, znów przez chwilę skubała dolną wargę, a potem spojrzała na niego ciemnymi oczami, spochmurniałymi od gniewu i żalu.

– To poeta chirurg, który odwraca uwagę od starych ran poprzez otwieranie nowych – powiedziała z goryczą.

Studenci uciszyli się i Arpád zaczął recytować monotonnym, beznamiętnym głosem.

– To ten poemat uczynił go sławnym – szepnęła Elizabet. – Tytuł brzmi *E jak Ertelmiségi*, czyli *I jak Intelektualista*. Przez ten wiersz Arpád siedział trzy lata w więzieniu. Zanim go zwolniono, tekst przechodził z rąk do rąk, aż w końcu pół kraju znało go na pamięć. Arpád opisuje w nim, jak to chciał się przedostać przez granicę do Austrii, kiedy w czterdziestym siódmym roku komuniści przejęli władzę: zdradził go przewodnik, prosty chłop. Arpád stanął przed sądem. Rozprawa trwała zaledwie osiem minut. Skazano go i osadzono w osławionym więzieniu Vac, gdzie zmarłych nie grzebie się, tylko rzuca sępom na pożarcie. Kiedy wreszcie stamtąd wyszedł, odkrył, że jego dokumenty zostały podstemplowane czerwonym „E”, co oznaczało, że nie wolno mu wykładać na żadnej uczelni. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat... – Przez chwilę słuchała w skupieniu głosu poety. – Teraz opowiada o tym, że pracował jako kamieniarz, stolarz, hydraulik, pomywacz, kierowca ciężarówki, a nawet instruktor tańca... Wszystko dlatego, że żadne wydawnictwo, żadne czasopismo literackie nie chciało publikować tego, co napisał.

Studenci byli jak zaczarowani. Wychyleni z ławek, chłonęli każde słowo poety. Kiedy zapominał jakiegoś wersu, natychmiast ktoś mu podpowiadał, a Arpád, śmiejąc się, recytował dalej.

– Teraz – szeptała Elizabet – mówi o tym, że w więzieniu uległ nieoczekiwanej przemianie: stał się w połowie aniołem... to była jego żydowska połowa, po matce. Wyjaśnia, że Żydzi wierzą, iż anioły nie mają stawów w kolanach i dlatego nie mogą przed nikim klękać. A w komunizmie niemożność klęczenia miewa fatalne skutki.

Wiersz kończył się czymś w rodzaju „postludium”. Poeta, wznosząc ręce wysoko nad głowę, zawołał: *Ne bántsd a Magyart!*

Studenci powstali i tupiąc nogami, skandowali za nim: *Ne bántsd a Magyart! Ne bántsd a Magyart! Ne bántsd a Magyart!*

Elizabet, porwana ogólnym entuzjazmem, wykrzyczała Ebby’emu prosto do ucha.

– Ręce precz od Madziarów!

Potem wzniosła do góry prawą pięść, krzycząc wraz z innymi: *Ne bántsd a Magyart! Ne bántsd a Magyart!*

Kiedy dzwony w klasztorze Paulinów na Górze Gellérta wybiły jedenastą, siedzący w niebieskiej škodzie tajniak z AVH dojrzał mężczyznę, idącego chodnikiem po moście Szabadság. Na chwilę zasłonił go przejeżdżający tramwaj. Kiedy mężczyzna znów pojawił się w polu widzenia agenta, ten przyjrzał mu się uważnie przez lornetkę, sprawdził, czy lampy nadajnika już się rozgrzały, po czym włączył mikrofon.

– *Szervusz, szervusz*, tu lotny dwadzieścia siedem. Ścigany jest na moście Szabadság. Wykonać plan operacyjny ZARVA. Powtarzam: wykonać plan operacyjny ZARVA.

Z trudem wyrwawszy się ze szponów obezwładniającego letargu, Ebby zastanawiał się w duchu, czy to wszystko nie było aby jakimś koszmarnym snem – pisk hamulców, mężczyźni, którzy nagle wyłonili się z cienia

dźwigarów i wciągnęli go do samochodu, niewyraźna bryła tonącego w mroku magazynu, mająca gdzieś na drugim brzegu Dunaju, niekończący się korytarz, światło, które raziło w oczy nawet przez zamknięte powieki, pytania, dobiegające z ciemności, precyzyjne uderzenia w brzuch, które tamowały dech w piersi. Ale dzwonienie w uszach, suchość w ustach, ból w okolicach serca i skurcze strachu w żołądku wnet sprowadziły Ebby'ego na ziemię. Leżąc na wznak, usiłował otworzyć oczy. Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, udało mu się wreszcie unieść jedną powiekę – tę, która była mniej spuchnięta. Miał wrażenie, że świeci nad nim słońce, ale stwierdził ze zdziwieniem, że wcale nie grzeje. Widok słońca przeniósł go na jacht ojczyma. Była to piękna łódź – siedemnastostopowy herschoff, zwrotny i szybki. Pewnego razu, kiedy płynęli z wiatrem wzdłuż wybrzeża zatoki Penobscot w Maine, nagły szkwał sprawił, że wiatr zmienił kierunek i Ebby oberwał bomem w tył głowy. Gdy odzyskał przytomność, leżał na pokładzie, a słoneczna kula bujała się ponad masztem niczym ogromne wahadło. Teraz jednak z wolna docierało do niego, że światło nad głową nie jest słońcem, lecz nagą żarówką, zwisającą na kablu z sufitu. Z wielkim trudem zdołał wreszcie usiąść. Oparł się o betonową ścianę. Stopniowo wszystkie kształty nabierały ostrości. Znajdował się w obszernej celi z małym zakratowanym okienkiem, umieszczonym wysoko na ścianie, jak w piwnicy. W rogu stał drewniany cebrzyk, cuchnący uryną i wymiocinami. Drzwi wzmocniono zardzewiałymi, przybitymi na krzyż żelaznymi sztabami. Przez okrągły judasz obserwowało go czyjeś baczne, nieruchome oko.

Zdenerwował się, że nie wie, czy jest to prawe, czy lewe oko.

W głowie roiło mu się od pytań. Skupił się, żeby je jakoś uporządkować. Nieważne, że na razie nie zna odpowiedzi. Przyjdzie na nie czas.

Jak długo go tutaj trzymają?

Czy w trakcie przesłuchania powiedział coś, co mogłoby zdradzić prawdziwy cel jego pobytu na Węgrzech?

Czy Amerykanie z hotelu „Gellért” zauważą, że go nie ma?

Czy zawiadomią ambasadę?

Czy (i kiedy) uznają za stosowne wysłać depezę do Waszyngtonu?

Czy Arpád zorientuje się, że go aresztowano?

A jeżeli tak, to czy jest w stanie mu pomóc?

No i ostatnia, najbardziej istotna sprawa: dlaczego został zatrzymany? Czy AVH ma swoich ludzi w Węgierskim Ruchu Oporu? Czy wiedzieli, że CIA ma przysłać kogoś do Budapesztu, żeby nawiązać kontakt z Arpádem? Czy wiedzą, że to on jest tym kimś?

Formułowanie pytań wyczerpało Ebby’ego. Opuściwszy głowę na pierś, zapadł w niespokojny sen.

Obudziło go skrzypnięcie zawiasów. W progu celi stali dwaj mężczyźni w niebieskich mundurach i zwalista kobieta, która mogłaby uchodzić za zapaśnika sumo. Miała na sobie dres i długi, biały rzeźnicki fartuch z rdzawymi plamami, przypominającymi zaschniętą krew. Wyszczrzywszy zęby w uśmiechu, powłócząc nogami, podeszła do deski, chwyciła Ebby’ego za szczękę, wykręciła mu twarz do światła i zręcznie odsunęła kciukiem powiekę zdrowszego oka. Następnie zmierzyła puls, nie spuszczając czarnych jak węgiel oczu z zegarka, który wyciągnęła z kieszeni fartucha. Potem warknęła coś po węgiersku do policjantów. Postawili Ebby’ego na nogi i powlekli długim korytarzem do pokoju z mnóstwem lamp skierowanych na stojące pośrodku biurko, przybite gwoździami do podłogi. Posadzono go na twardym stołku. Z ciemności dobiegł głos, zapamiętany z poprzedniego przesłuchania.

– Proszę nam podać swoje pełne imię i nazwisko.

Ebby pomasaował sobie szczękę.

– Już znacie moje nazwisko.

– Proszę podać swoje pełne imię i nazwisko, jeśli można.

Ebby westchnął.

– Elliott Winstrom Ebbitt.

– Stopień?

– Nie mam żadnego stopnia. Jestem prawnikiem...

– Proszę, proszę, panie Ebbitt. Zeszłej nocy wziął nas pan za idiotów. Miałem nadzieję, że po namyśle zda pan sobie sprawę z beznadziejności swego położenia i pójdzie za głosem rozsądku, choćby tylko po to, żeby uniknąć konsekwencji, jakich nie omieszkamy wyciągnąć, jeżeli odmówi pan współpracy. Karierę prawnika porzucił pan już w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Jest pan agentem CIA, zatrudnionym w Sekcji Rosji Sowieckiej, podwładnym Franka Wisnera. Od wczesnych lat pięćdziesiątych działa pan na terenie Niemiec Zachodnich, w amerykańskiej placówce we Frankfurcie, skąd z wielkim oddaniem, ale mizernym skutkiem, wysyła pan agentów emigrantów do Polski, ZSRR i Albanii. We Frankfurcie pańskim bezpośrednim przełożonym był z początku Anthony Spink, ale odkąd w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym przeniesiono go z powrotem do Waszyngtonu, samodzielnie nadzoruje pan całą operację.

Myśli przelatywały w błyskawicznym tempie przez głowę Ebby'ego. Było jasne, że ktoś go zdradził, i to ktoś, kto znał go osobiście albo miał dostęp do jego akt w centralnym rejestrze Firmy. A to wykluczało ewentualnego informatora z Węgierskiego Ruchu Oporu. Osłonił dłonią zdrowe oko i spojrzał pod światło, próbując rozejrzeć się po pokoju. Zdawało mu się, że dostrzega nogi kilku mężczyzn: spodnie z szerokimi

mankietami i lśniące czarne buty, w których można się było przejrzeć jak w lustrze.

– Musieliście mnie z kimś pomylić – powiedział, z trudem wydobywając z gardła chrapliwy głos. – W czasie wojny pracowałem w Biurze Studiów Strategicznych, to prawda. Ale potem studiowałem prawo i zatrudniono mnie w kancelarii Donovan, Leisure, Newton, Lumbard & Irvine przy Wall Street dwa...

Ebby zobaczył, że jedna para czarnych butów wyłania się z kręgu ciemności i zbliża ku niemu kaczym chodem. W chwilę później przysadzisty osiłek w workowatym garniturze przesłonił lampę i wymierzył szybki, mocny cios prosto w otrzewną Ebby'ego, tamując mu oddech. Ostry ból przeszył ciało aż po koniuszki palców stóp. Szorstkie, brutalne ręce podniosły Ebby'ego z ziemi i posadziły z powrotem na stołku. Zgięty w pół, chwycił się za żołądek, a z ciemności znów dobiegł łagodny, kojący głos.

– Proszę nam podać swoje pełne imię i nazwisko.

– Elliott... Winstrom... Ebbitt – wydusił z siebie Ebby.

– Może teraz zechce pan zdradzić swój stopień oficerski.

Pytania nagle wydały mu się takie błahe. Po co robić o to tyle szumu? Powie im, jak się nazywa, jaki ma stopień i ile zarabia, a oni pozwolą mu się zwinąć w kłębek na drewnianej desce w wilgotnej celi, cuchnącej uryną i wymiocinami. Otworzy zdrowe oko i spojrzy w górę na nagą żarówkę i przypomni sobie słońce, rozkołysane niczym wahadło, wysoko nad masztem... Poczuje na wargach słoną wilgoć morskiej bryzy i senne pluskanie atlantyckich fal pod pokładem łodzi.

– Mój stopień...

Wtem zobaczył kamienne, przesywające go na wskroś oczy byłej żony. Usłyszał poirytowany, gardłowy głos Eleonory. „Cokolwiek zrobisz –

powiedziała – nigdy nie dorównasz swojemu ojcu, chyba że cię postawią przed plutonem egzekucyjnym”.

– Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego! – wykrzyczał Ebby. Ale jeszcze w trakcie wypowiedzania tych słów zrozumiał, że owszem, ma, i to wiele.

– Dlaczego mówi pan o swoim ojcu? – odezwał się kojący głos z mroku zalegającego poza lampami. – Nie jesteśmy psychoanalitykami. Chcemy się jedynie dowiedzieć, jaki jest pański stopień. Tylko tyle.

– Idźcie... wszyscy... do... diabła – wycedził z trudem Ebby.

Workowaty cywilny garnitur znów się do niego zbliżył, ale tym razem kojący głos warknął coś po węgiersku i oprawca powrócił w ciemność. Wyłączono światła. Świat pogrążył się w atramentowej czerni. Czyjeś ręce chwyciły Ebby’ego pod pachy, podniosły ze stołka, popchnęły i oparły o ścianę. Poczul na policzku grubą, ciężką kotarę. Zasłona rozsunała się przed jego oczyma, ukazując grubą szybę, a za nią jasno oświetlony pokój. Pośrodku, na stołku przykręconym śrubami do podłogi, siedziała, niby w wielkim akwariu, blada, niemal przezroczysta postać, bardziej podobna do zjawy niż do istoty z krwi i kości. Ebby zamrugał zdrowym okiem i obraz powoli zaczął nabierać ostrości.

Ebby rozpoznał swoją przewodniczkę z muzeum, żonę Węgra nazwiskiem Németh, kochankę poety Arpáda Zelka. Była naga, jeśli nie liczyć pary opadających na biodrze brudnych, bladoróżowych majtek z urwaną gumką. Jedną ręką zasłaniała piersi. Palcami drugiej pocierała wyszczerbiony przedni ząb. Pod ścianami, jak w pokoju Ebby’ego, można było dostrzec nieruchome ciemne sylwetki kilku mężczyzn. Prawdopodobnie ją też właśnie przesłuchiowano, ale przez grube szkło nie docierał żaden dźwięk. Elizabet na wszystkie pytania odpowiadała przeczącym ruchem głowy. Jedna z mrocznych postaci podeszła do niej od

tyłu i chwyciwszy za łokcie, przytrzymała jej ręce na plecach. Nagle w kręgu światła pojawiła się zwałista kobieta w białym rzeźnickim fartuchu. Ściskając w dłoni obcęgi, kroczyła ku Elizabet ciężkim, niezgrabnym krokiem. Ebby próbował odwrócić twarz, ale mocne ręce przytrzymały mu głowę.

Spuchnięte usta Elizabet wykrzywiły się z bólu, kiedy kobieta miażdżyła jej sutek.

Ebby'emu zebrało się na wymioty, ale wypluł tylko flegmę.

– Nazywam się – oznajmił, kiedy zawlekli go z powrotem na stołek – Elliott Winstrom Ebbitt. Jestem oficerem Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych w stopniu GS-5.

Ze źle skrywaną nutą triumfu w głosie śledczy zapytał z ciemności:

– Jakie zadanie miał pan do wykonania w Budapeszcie? Co pan zdążył przekazać kontrrewolucjonście Arpádowi Zelkowi?

Ebby otarł wierzchem dłoni łzawiące oczy, oślepione blaskiem lamp. W uszach brzmiał mu niewyraźny, dobiegający z oddali głos pana Andrews: „To nie ból was łamie, ale strach”. Tylko ta jedna myśl kołatała mu się po głowie, tych kilka słów jednorękiego instruktora, który powtarzał w kółko, jakby zacięła się płyta: „Nie ból, ale strach! Nie ból, ale strach!”

Ów krzepiący głos odzywał się coraz ciszej i ciszej, ale Ebby już wiedział, czego się trzymać. Wejrzał w głąb siebie i ku ogromnemu zdumieniu odkrył, że nie boi się bólu, umierania, pustki po śmierci – b o i s i ę s a m e g o s t r a c h u.

To odkrycie podniosło go na duchu – i wyzwoliło.

Czy jego ojciec również doświadczył podobnej iluminacji, stojąc przywiązany do słupka bramki na opustoszałym stadionie? Czy to dlatego

się uśmiechał, kiedy Niemcy dźgali go bagnetami, bo skończyły im się naboje?

Ebby poczuł się tak, jakby z jego wnętrzości usunięto rakowatą narośl.

– Co pan mu przekazał, pytam? – ponaglał głos z ciemności. – Przypominam, że nie chroni pana żaden immunitet.

– Odpierdol... się... palancie – wycedził Ebby przez zęby.

WASZYNGTON, DC, NIEDZIELA, 21 PAŹDZIERNIKA 1956

Nastroje w korytarzach gmachu przy Alei Karaluchów były mocno przygaszone. Młodszy oficerowie tłoczyli się wokół wózków z kawą i pączkami, rozmawiając ściszym głosem. Czuli, że coś się szykuje. Nikt nie znał szczegółów. Ktoś z Firmy jest gdzieś w terenie, a jego życie wisi na włosku. Leo Kritzky, którego awans na wicedyrektora Sekcji Rosji Sowieckiej DO zbiegł się z narodzinami córek bliźniaczek, wiedział więcej niż inni. DCI Allen Dulles, wyrwany ze snu o trzeciej nad ranem przez oficera dyżurnego, który odczytał mu przez telefon ściśle tajną, poufną depezę od szefa placówki CIA w Budapeszcie, zwołał o świcie naradę wojenną na najwyższym szczeblu. Leo też tam był, w zastępstwie swojego szefa, który musiał zostać w domu z powodu choroby. Dulles, w okularach z przyciemnianymi szklami, zasiadłszy w miękkim skórzanym fotelu, wprowadził zgromadzonych w szczegóły sprawy: E. Winstrom Ebbitt II, który przebywa ze ściśle tajną misją w Budapeszcie (pod przykrywką negocjacji w sprawie odszkodowań dla węgierskich emigrantów, a więc pozbawiony ochrony, jaką daje immunitet dyplomatyczny), nie wrócił wieczorem do hotelu. Sprawdzono szpitale i komisariaty policji. Niestety, bez rezultatu. W AVH, które rutynowo „przeświewa” przyjeżdżających na Węgry Amerykanów, udają, że nic nie wiedzą. Przyznają, iż otrzymali informację, że nowojorski prawnik nazwiskiem Ebbitt dołączył do grupy negocjatorów z Departamentu Stanu, zameldowanych w hotelu „Gellért”, ale nie mają żadnych danych co do aktualnego miejsca jego pobytu;

naturalnie przyjrzą się bliżej tej sprawie i skontaktują z ambasadą, jak tylko się czegoś dowiedzą.

– Łajdaki kłamią w żywe oczy – powiedział Dulles. – Gdyby Ebbitt, z sobie tylko wiadomych powodów, postanowił nagle zapaść się pod ziemię, na pewno dałby nam znać. Zanim wyjechał z Waszyngtonu, wkuł na blachę namiary węgierskiego kontaktu, wyposażonego w radio i szyfry. Chryste, opracowaliśmy nawet plany natychmiastowej ewakuacji, na wypadek gdyby został zdemaskowany.

W pół godziny po rozpoczęciu spotkania przemówił z głośnika DD/O Frank Wisner, który był właśnie w Londynie, swoim pierwszym przystanku podczas inspekcji europejskich placówek. Wisner przypomniał im, że węgierskie AVH to przybrane dziecko sowieckiego KGB.

– Miejcie to na uwadze – radził zza Atlantyku, jak zwykle przeciągając samogłoski. – Jak KGB kichnie, to AVH łapie przeziębienie.

– As może mieć rację – przyznał Bill Colby, kiedy głośnik już zamilkł. – W AVH niczego się nie dowiemy. Z drugiej strony KGB we własnym dobrze pojętym interesie powinien dotrzymać niepisanej umowy pomiędzy naszymi służbami wywiadowczymi.

Przez następne dwadzieścia minut szefowie departamentów jeden przez drugiego proponowali różne rozwiązania. Departament Stanu musi wysłać oficjalną skargę do węgierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, chociaż nikt z siedzących wokół biurka Dullesa nie wierzył w skuteczność tego pisma. Za pośrednictwem węgierskiego kontaktu zostanie otwarty kanał dyplomatyczny w celu ustalenia, czy Ebby zdążył się spotkać z Arpádem Zelkiem i innymi ludźmi z Ruchu Oporu. Przez pośrednika z Austrii skontaktują się z wtyczką w AVH, ale to trochę potrwa; jeśli Węgrzy schwytali Ebbitta, wtyczka powinien coś o tym wiedzieć. Leo, który w porównaniu z obecnymi na zebraniu szychami nadal był młodszym

oficerem i nie powinien zabierać głosu, poczuł na sobie ciężki wzrok Dullesa, kiedy ośmielił się zaproponować wciągnięcie w tę sprawę Czarnoksiężnika. Torriti mógłby się spotkać w Berlinie ze swoim odpowiednikiem z KGB i uświadomić mu straty, jakie poniosą obie strony, jeśli pozwolą swoim satelickim służbom wywiadowczym na ściąganie skalpów, podsunął Leo. Jeden z analityków zastanawiał się na głos, czy interwencja u Rosjan nie pogrąży Ebbitta do reszty.

Leo potrząsnął głową w zamyśleniu.

– Jeżeli mają Ebbitta – powiedział – to dlatego, że przejrzeni jego przykrywkę. Teraz trzeba się skupić na tym, jak go stamtąd wyciągnąć żywego i w jednym kawałku.

Dulles, spowity w kłęby fajkowego dymu, pokiwał głową.

– Nie przypominam sobie twojego nazwiska – powiedział do Leo.

– Kritzky. Zastępuję tu... – podał nazwisko szefa Sekcji Rosji Sowieckiej.

– Podoba mi się pomysł, żeby Czarnoksiężnik trochę postraszył Rosjan – oznajmił Dulles, przyglądając się Leo znad okularów. – To powinno wywrzeć na nich wrażenie. Z Torritim nie ma żartów. – Podwinął mankiet i zerknął na zegarek. – W Berlinie dopiero minęło południe. Może jeszcze dzisiaj coś się ruszy. Przygotuj depeszę, Kritzky. A ja podpiszę.

Korpulentne ciało Torritiego może i zniedołężniało z wiekiem, ale umysł wciąż działał pierwszorzędnie. Odszyfrowana wersja depeszy Dullesa: „Działać natychmiast”, dotarła na jego biurko w momencie, gdy odsypiał na nim kaca po butelce irlandzkiej starki, którą wreszcie napoczął; dostał ją od Rabbiego z okazji żydowskiego Nowego Roku. („Niech ten Nowy 5717 Rok przyniesie Ci sławę, bogactwo i zbiega z Biura Politycznego – napisał żartobliwie na karteczce dołączonej do butelki. – O ile nie wydarzy się coś nieprzewidzianego, dożyj chociaż roku 5718”). Czarnoksiężnik otrząsnął

się z zamroczenia, nałożył okulary, których używał do czytania drukowanych liter, przetrawił rozkaz Dullesa, a następnie ryknął przez uchylone drzwi na pannę Sipp:

– Złap McAuliffe’a! Niech tu zaraz przyjdzie, ale już!

– Z Waszyngtonu, bułka z masłem – zauważył Jack, obecnie zastępca szefa berlińskiej bazy, po przeczytaniu depeszy. – Jeden z naszych ludzi dostał się w łapy AVH w Budapeszcie. Mamy wypatroszyć tych z KGB, jeżeli włos mu z głowy spadnie. Na razie idzie dobrze. Ale, na Jezusa Chrystusa, jak Dulles chce, żebyśmy w tak krótkim czasie zorganizowali spotkanie z rezydentem KGB? Wyobraża sobie, że złapiemy za słuchawkę, zadzwonimy do Karlshorst i zaprosimy go do Berlina Zachodniego na herbatkę?

– Wiedziałem, że wymyślisz coś oryginalnego – powiedział Torriti.

Przysunął do siebie telefon i przecesał palcami rzednące włosy, żeby lepiej wyglądać przed rozmową telefoniczną, którą miał nadzieję odbyć. Z kieszeni pogniecionych spodni wyjął mały kluczyk na przypiętym do paska długim, cienkim łańcuszku. Przymrużywszy oczy, włożył kluczyk do zamka prawej górnej szuflady biurka, wyciągnął ją i zaczął szperać wśród pudełek z amunicją. Po chwili znalazł mały, szkolny dzienniczek, którego używał jako książki adresowej.

– Karlshorst jest na „C” czy na „K”? – zapytał Jacka.

– Na „K”, Harveyu.

– Mam. Karlshorst rezydentura.

Czarnoksiężnik, celując palcem wskazującym w otwórki telefonicznej tarczy, starannie wykręcił numer. Jack usłyszał sygnał w słuchawce po drugiej stronie linii. Wreszcie odezwał się kobiecy głos, trajkocząc coś po rosyjsku.

Torriti zaczął mówić, ostrożnie dobierając słowa i wymawiając dokładnie każdą zgłoskę.

– Proszę mnie połączyć z kimś, kto mówi po a-me-ry-kań-sku. Tak, po a-me-ry-kań-sku.

Powtarzał to kilka razy. W końcu, po dłuższej chwili, zgłosił się ktoś inny.

– Posłuchaj mnie, przyjacielu – powiedział Czarnoksiężnik tak cierpliwie, jak tylko potrafił. – Chcę, żebyś poszedł i przekazał Oskarowi Ugorowi-Żyłowowi, że Harvey Torriti chce z nim rozmawiać. – Zmarszczył czoło i przeliterował swoje nazwisko: – Tak, T-O-R-R-I-T-I – po czym znowu nastąpiła dłuższa przerwa w rozmowie. – Oskar? Nareszcie! Jak leci? Tu Harvey Torriti. Tak, ten Harvey Torriti. Myślę, że powinniśmy pogadać. Nie, nie przez telefon. Oko w oko. Jak mężczyzna z mężczyzną. Dostałem wiadomość z samej góry i chciałbym to przekazać twojej górze. Im szybciej, tym lepiej. – Odsunął słuchawkę od ucha i komicznie wykrzywił twarz.

Jack usłyszał niewyraźny głos, mówiący po angielsku z silnym rosyjskim akcentem i starannie dobierający słowa, żeby sklecić kilka poprawnych zdań.

– Chyba żartujesz – warknął do słuchawki Torriti. – W żadnym wypadku moja noga nie postanie w Berlinie Wschodnim. Mam lepszy pomysł. Znasz plac zabaw w lasku Spandau w sektorze brytyjskim? Pamiętasz lodowisko pod gołym niebem? Spotkajmy się tam na środku, o północy.

Rezydent KGB wymamrotał coś w odpowiedzi.

Torriti dodał:

– Możesz przyprowadzić ze sobą tylu zbirów, ilu ci się podoba, pod warunkiem że na lodowisko wejdiesz sam. O tak, przynieś dwa kieliszki.

Ja skombinuję whisky – zakończył z chichotem i odłożył słuchawkę.

– Jak chcesz to rozegrać, Harveyu? – zapytał Jack.

Torriti, zaskakująco trzeźwy, spojrział na niego bystro.

– Żarty się skończyły – odparł.

Księżyc w pełni to zniknął, to znów wylaniał się zza chmur. Jego światło przemieniło lód w argentyński marmur. Kiedy wybiła północ, dwa cienie pojawiły się na skraju lasu po dwóch stronach lodowiska i zaczęły ostrożnie sunąć ku środkowi tafli. Oskar Ugor-Żyłow, żyłasty mężczyzna po pięćdziesiątce, w futrzanej czapie z podniesionymi do góry nausznikami i luźnych spodniach, których nogawki były wetknięte w gumowe kalosze, niósł w jednej ręce dwa kieliszki do wina, a w drugiej nieporęczne radzieckie walkie-talkie. Czarnoksiężnik, z gołą głową, przytrzymywał obiema rękami poły długiego, sięgającego mu do kostek zielonego płaszcza (brakowało w nim dwóch guzików), a pod pachą ścisnął butelkę przydziałowej whisky. Podczas gdy dwaj mężczyźni nieufnie okrążali się na środku lodowiska, olbrzymi samolot transportowy Amerykańskich Sił Powietrznych przeleciał tuż nad wierzchołkami drzew, kierując się na lotnisko Tegel we francuskim sektorze Berlina.

– Jesteśmy dokładnie pod korytarzem powietrznym! – krzyknął Torriti do Rosjanina.

Ugor-Żyłow podniósł do ust walkie-talkie i wymamrotał kilka słów. W odpowiedzi rozległ się świdrujący w uszach pisk. Czarnoksiężnik pomachał butelką. Rosjanin kiwnął głową i wyciągnął kieliszki, które Torriti po brzegi napełnił whisky. Chwycił jeden za nóżkę i salutując rezydentowi KGB, wychylił trunek do dna. Nie chcąc pozostać w tyle za Amerykaninem, Ugor-Żyłow jednym haustem opróżnił swój kieliszek.

– Masz rodzinę? – zapytał Torriti, ślizgając się na butach dookoła swego radzieckiego odpowiednika, zafascynowany kępką kręconych włosów, sterczących pod jego dolną wargą.

Pytanie Torritiego rozbawiło Rosjanina.

– Spotykasz się ze mną na jakimś zadupiu w środku nocy po to, żeby mnie spytać, czy mam rodzinę?

– Lubię coś wiedzieć o ludziach, z którymi się zadaję.

– Jestem żonaty – powiedział Ugor-Żyłow. – Mam dwóch synów, obaj mieszkają w Moskwie. Jeden jest starszym inżynierem aeronautyki, drugi dziennikarzem „Prawdy”. A ty, gospodin Harvey Torriti, masz rodzinę?

– Miałem kiedyś żonę – powiedział smutno Czarnoksiężnik. – Ale już nie mam. Nie była zachwycona moją pracą. Powiedz mi, Oskar... Nie masz nic przeciwko temu, żebym mówił ci po imieniu, prawda? Powiedz mi... Nie miałbyś ochoty zwać na Zachód? – Widząc gniewny grymas na twarzy swego rozmówcy, Torriti roześmiał się w głos. – Spokojnie, chłopie, zrobiłem cię w balona. No wiesz, żartowałem... taki dowcip. Ej, wy Rosjanie naprawdę powinniście się trochę wyluzować. Musicie nauczyć się, że czasem trzeba pójść w tango. I znać się na żartach. – Nagle Torriti spoważniał. – Pytałem cię o rodzinę, Oskarze, kochany – powiedział, mierząc go wzrokiem, jakby brał miarę do trumny – bo...

Nie dokończył zdania. zaproponował, żeby wypili jeszcze po kieliszku, ale Rosjanin stanowczo potrząsnął głową. Torriti westchnął, nalał sobie i ostrożnie postawił butelkę na lodzie.

– Przypuśćmy, że kopnąłbyś w kalendarz, Oskarze... gryzł ziemię, wachał kwiatki od spodu czy wyciągnął kopyta, czyli po prostu umarł. Czy twoja rodzina dostałaby rentę?

– Grozisz mi? W takim razie wiedz, że dwaj snajperzy mają cię cały czas na celowniku.

Wargi Torritiego wykrzywiły się w obleśnym uśmiechu.

– Jeżeli nie zejdziesz żywy z lodowiska, chłopie, to mogę się założyć, że ty również nie wyjdiesz z tego cało. Wcale ci nie groziłem, Oskarze. Mówiłem czysto hipotetycznie. N a p r a w d ę m n i e m a r t w i, co się stanie z twoją rodziną, jak zaczniemy się tu zabijać, to znaczy nie my dwaj, ale moja i twoja firma. Bo przecież służba wywiadowcza to nie mafia, mam rację? Należymy do cywilizowanych organizacji po przeciwnych stronach barykady. Różnimy się w takich sprawach jak na przykład: co to są „wolne wybory” czy „właściwa procedura prawna”, i tak dalej. Ale przecież staramy się nie...

Gardłowy pomruk małego śmigłowca, przelatującego nad Spandau, zagłuszył słowa Czarnoksiężnika.

– A więc, jak już powiedziałem, staramy się, ty i ja, twój KGB i moja CIA, nie wchodzić sobie w paradę i nie krzywdzić naszych ludzi.

Ugor-Żyłow wyglądał na zdezorientowanego.

– O ile dobrze wiem, nie krzywdzimy nikogo z CIA.

– To źle wiesz – odparł lodowato Czarnoksiężnik. – Tak się składa, że zatrzymaliście jednego z naszych.

– Nic mi nie wiadomo o...

– W Budapeszcie, chłopie. Osoba, o którą chodzi, zniknęła nam z radarów dwadzieścia cztery godziny temu.

Rosjaninowi najwyraźniej ulżyło.

– Ach, Węgry... To komplikuje sprawę. AVH jest całkowicie niezależną...

– Gówna prawda! Pieprzysz, Oskarze! KGB nadzoruje AVH tak samo jak wszystkie służby specjalne w całej sowieckiej Europie. Wy się

wysracie, a oni spuszczają wodę.

Na tle lasu ponad ramieniem Rosjanina błysnęła latarka, opisała okrąg i zgasła. Torriti, ślizgając się na butach, podjechał bliżej Ugora-Żyłowa.

– Co by się stało, gdybym teraz sięgnął pod marynarkę, wyjął broń i przytknął ci lufę do kałduna?

Oczy Rosjanina zwięziły się; nie był człowiekiem, który łatwo dawał się zastraszyć.

– Zrobiłbyś duży błąd, Torriti – powiedział spokojnie. – To by było samobójstwo.

Kiwając głową, Czarnoksiężnik dokończył swoją whisky, mlasnął ustami i postawił kieliszek na lodzie. Następnie powoli wsunął prawą dłoń pod płaszcz i wyciągnął rewolwer o perłowej rękojeści. Rosjanin zamarł. Długa lufa zalśniła w świetle księżyca, gdy Torriti zasłonił broń własnym ciałem, żeby żaden z obserwatorów rozstawionych wokół lodowiska nie mógł jej zobaczyć. Ugor-Żyłow wstrzymał oddech w oczekiwaniu na huk wystrzału, odbijający się echem od lodowej tafli. Czarnoksiężnik, uśmiechając się kwaśno, odbezpieczył kurek i przytknął koniec lufy do brzucha Rosjanina.

– Wygląda na to, że twoje zuchy ucięły sobie drzemkę – stwierdził i pociągnął za spust.

Kurek opadł na iglicę z głuchym trzaskiem.

– Cholera – powiedział Torriti – musiałem zapomnieć naładować drania.

Ugor-Żyłow, wylewając na Torritiego potok rosyjskich przekleństw, zaczął cofać się na swoją stronę lodowiska.

– Jeżeli naszemu chłopakowi w Budapeszcie spadnie chociaż jeden włos z głowy – zawołał za nim Torriti – naładuję rewolwer i znajdę cię wszędzie! Nie ma takiej mysiej dziury, jak Niemcy długie i szerokie, gdzie mógłbyś się schować. Nadążasz za mną, Oskarze? Jak mawia mój przyjaciel Rabbi,

nasz człowiek traci ząb, ty tracisz ząb. Nasz człowiek oślepnie, ty też oślepniesz. Nasz człowiek przestanie oddychać, twoja żona dostanie po tobie rentę od KGB.

Torriti podniósł z lodu kieliszek i butelkę i nalał sobie whisky. Sunąc chwiejnie w kierunku lasu i nucąc pod nosem, uraczył się dobrze zasłużoną porcją rozgrzewającego napoju.

– To wreszcie ilu ich tam było, tych skurwysynów? – zapytał Jacka Czarnoksiężnik, kiedy siedzieli ściśnięci jak śledzie w beczce na tylnym siedzeniu furgonetki, pełnej agentów z berlińskiej bazy. Słodki Jezus prowadził. Tuż za nimi jechało jeszcze jedno kombi.

– Sześciu. Dwóch snajperów z karabinami, dwóch z pistoletami maszynowymi, jeden z lornetką i jeden z walkie-talkie.

– Bardzo się stawiali?

Jack uśmiechnął się.

– To całkiem rozsądne chłopaki, widać to było po ich oczach, kiedy ujrzeli naszą artylerię – odparł Jack. Wyciągnął z kieszeni budrysówki niewielką lornetkę Zeissa i podał Czarnoksiężnikowi. – Pomyślałem, że byłbyś zadowolony z jakiegoś trofeum.

Torriti poczuł nagle, że jest bardzo, ale to bardzo zmęczony. Przymknął oczy.

– Zatrzymaj to, Jack. Zasłużyłeś sobie.

– Zatrzymam, Harveyu. Ale obaj wiemy, kto bardziej na to zasłużył.

BUDAPESZT, WTOREK, 23 PAŹDZIERNIKA 1956

Ebby, wisząc na rzeźnickim haku, czuł, że ręce i nogi zeszywniały mu od przeraźliwego zimna. Raz po raz zapadał w drzemkę, ale co chwila budził się z płytkiego snu. Kiedy usłyszał zgrzytanie klucza w zamku, był już zupełnie rozbudzony i rozpoznał kroki więziennych dozorców. Cieszył się, że wreszcie po niego przyszli; w pokoju śledczym będzie na pewno cieplej, a zanim zaczną go bić, zdąży trochę odtajać w ciepłe lamp. Jeden ze strażników chwycił go wpół, podniósł i postawił na ziemi, podczas gdy drugi, wspiąwszy się na drewnianą skrzynkę, zdejmował z haka marynarkę i koszulę. Ebby stanął bosymi stopami na lodowatej podłodze i uniósł w górę ramiona, aby mogli go złapać pod pachy i zawlec na kolejne przesłuchanie. Jednak, ku jego zdumieniu, oprawcy obchodzili się z nim jak z jajkiem. Zrozumiał, że coś się musiało zmienić. Ostrożnie, bez pośpiechu wyprowadzili go z chłodni, podtrzymując, gdy słaniał się na nogach. Wjechali windą na piętro i przeszli długim korytarzem, wyściełanym miękkim chodnikiem, do ogrzewanego pokoju z drewnianym łóżkiem, zasłanym świeżą pościelą. Jeszcze bardziej zdziwił go widok lampki nocnej, toalety i okna z drewnianą żaluzją. Zza szyb dobiegał uliczny hałas.

Dźwięk klaksonu zabrzmiał w uszach Ebby'ego jak najpiękniejsza muzyka.

Niska, korpulentna kobieta o sztywnych, siwych włosach zapukała w otwarte drzwi. Na szyi miała stetoskop. Uśmiechając się bezosobowo, podeszła do Ebby'ego i przystąpiła do badania. Osłuchiwała go, opukała, sprawdziła, czy ma całe żebra (widać było, że nie po raz pierwszy styka się

z więźniami przesłuchiwanymi przez AVH), i wreszcie wetknęła mu pod język termometr. Wymasowała Ebby'emu ręce i stopy, żeby przywrócić krążenie. Zanim odeszła, zdezynfekowała rany na klatce piersiowej, posmarowała jakimś balsamem opuchniętą powiekę, a na stoliku zostawiła szklankę wody i dwie tabletki, pokazując Ebby'emu na migi, że ma je połknąć przed snem. Po chwili inna kobieta przyniosła czyste ubranie i tacę z jedzeniem – była tam miska rosółu, kromka chleba, talerz gulaszu, a nawet cukierek owinięty w celofan. Ebby wypił rosół, żeby rozgrzać obolałe gardło, i skubnął trochę gulaszu. Zanim wyciągnął się na łóżku, podszedł do okna i przez listewki żaluzji wyjrzał na ulicę. Po słabnym świetle odgadł, że zbliża się wieczór. Samochodów było niewiele, za to wszędzie roilo się od biegnących gdzieś i nawołujących się nawzajem młodych ludzi. Odkryta ciężarówka, wyładowana po brzegi studentami, którzy wykrzykiwali z zapalem jakieś hasła i powiewali olbrzymią węgierską flagą, przejechała pod oknem, zmierzając w tę samą stronę co tłum demonstrantów.

Ebby przytrzymał się oparcia krzesła, na którym leżało jego nowe ubranie, zgasił lampkę i wrócił do łóżka. Rozebrał się do rosółu, rzucił brudne rzeczy na podłogę, wślizgnął się pod kołdrę i powolutku wyprostował obolałe członki. W głowie kłębiło mu się mnóstwo pytań. Spróbował się skupić, żeby jakoś je uporządkować.

Dlaczego ci z AVH zaczęli się z nim nagle obchodzić jak z jajkiem?

Przypuszczał, że koledzy z rządowej delegacji powiadomili ambasadę, iż nie wrócił na noc do hotelu, a rezydent CIA zaalarmował Waszyngton. Czy Firma zaryzykowała i zwróciła się w jego sprawie do KGB? Wiedział, że istniało milczące porozumienie między obiema służbami; bywały oczywiście wyjątki, ale na ogół żadna ze stron nie pozwalała sobie na likwidację agentów konkurencji. Czy funkcjonariusze AVH – znanego

z wyjątkowo brutalnych metod – sami postanowili rozprawić się z wicherzycielami? Czy aresztując go, działali za plecami KGB? Czyżby zatem Rosjanie przywołali ich do porządku? A co z nim? Czy postanowili go podtuczyć, zanim pójdzie pod nóż, czy może zostanie wymieniony na jakiegoś oficera KGB, który dostał się wcześniej w ręce Amerykanów?

A te tłumy młodzieży na ulicy pod oknem? Biegli na mecz czy na wiec komunistyczny? Jeśli na wiec, to jak wytłumaczyć ów zdumiewający szczegół, który przykuł jego uwagę: z biało-zielono-czerwonej węgierskiej flagi, powiewającej nad głowami studentów w ciężarówce, wycięto komunistyczny emblemat – sierp i młot.

Nazajutrz wczesnym rankiem rozległo się ciche pukanie do drzwi. W chwilę później ktoś zapalił nocną lampkę. Ebby usiadł z trudem i podciągnął kołdrę pod nieogoloną brodę. Karłowaty mężczyzna – Ebby ocenił go na jakieś metr pięćdziesiąt, nie więcej – o okrągłej twarzy, ozdobionej wąsami i kocią bródką, przysunął sobie krzesło. Poprawił na nosie okulary w ciemnej oprawce i siedział jakiś czas w milczeniu, dyndając nogami nad podłogą. Otworzył blaszane pudełko i poczęstował Ebby'ego papierosem. Kiedy Ebby odmówił, mężczyzna wyjął jednego dla siebie, chwilę pomiętosił w palcach i wsunął pomiędzy wyjątkowo grube wargi. Przypalił, zaciągnął się, odwrócił głowę i wypuścił dym.

– Podczas naszej rozmowy – powiedział po angielsku z wyraźnym rosyjskim akcentem, spojrzawszy znowu na Ebby'ego – proszę nazywać mnie Wasylem. Pozwoli pan, iż najpierw wyrażę ubolewanie z powodu... jak by to określić?... z a p a ł u, z jakim przesłuchiwali pana moi węgierscy koledzy. Niemniej trzeba ich zrozumieć. Powstanie ogarnęło już nie tylko Budapeszt, ale cały kraj. Nic więc dziwnego, że moi niekiedy zbyt nerwowi koledzy z AVH chcieli jak najszybciej poznać instrukcje, które przywiózł pan dla kontrewolucjonisty A. Zelka, chociażby po to, żeby

przewidzieć, w jakim kierunku poprowadzi masy. Pańskie zachowanie, mister Ebbitt, zasługuje na najwyższy podziw. I chociaż walczymy po przeciwnych stronach barykady, żywię dla pana głęboki szacunek, choć nie wiem, czy wiele jest dla pana wart. – Rosjanin odchrząknął z zakłopotaniem. – Pewien angielski obywatel, aresztowany tej samej nocy co pan, nie oparł się jakże przekonującym metodom przesłuchań moich węgierskich kolegów. Teraz znamy już treść wiadomości, którą pan dostarczył A. Zelkowi.

– Widziałem te p r z e k o n u j ą c e metody – zauważył zjadliwie Ebby.

– Wasi protegowani, mister Ebbitt, w a s i Niemcy, stosowali podobne lub nawet surowsze środki, żeby przekonać więźniów do wyznania ich maleńkich sekretów. Jest pan doświadczonym oficerem wywiadu. Z pewnością możemy się dogadać i nie spierać się o sposób prowadzenia śledztwa.

– Ta kobieta jeszcze żyje?

Rosjanin w zamyśleniu zaciągnął się papierosem.

– Żyje i nadal jest przesłuchiwana – odparł w końcu. – Moi węgierscy koledzy mają nadzieję, że z jej pomocą dostaną A. Zelka, zanim...

Gdzieś w mieście rozległ się huk wystrzałów; brzmiało to jak fajerwerki puszczane w dniu chińskiego Nowego Roku. Rosjanin uśmiechnął się gorzko.

– ...zanim sytuacja pogorszy się na tyle, iż dojdzie do otwartego konfliktu, chociaż mam wrażenie, że już się spóźniliśmy. Mogę panu powiedzieć, że w stolicy wybuchły zamieszki. Podobno A. Zelk odczytywał wywrotowe wiersze tłumom studentów, zebranych pod pomnikiem

węgierskiego poety Petőfiego. Zapewne widział pan grupki młodzieży, zmierzającej w kierunku mostu Erzsebet i pomnika Petőfiego...

Nagle z pobliskiego skrzyżowania dobiegł ich terkot karabinowej serii. Pod oknem przejechał samochód z głośnikiem na dachu. Z megafonu grzmiały dźwięki hymnu narodowego. I raptem Ebby doznał olśnienia. Wiedział już, dlaczego sierp i młot zniknęły ze studenckiej flagi – studenci stanęli do otwartej walki z komunizmem!

– Nie nazwałbym tego z a m i e s z k a m i, Wasylu. To prawdziwa rewolucja.

W drzwiach pojawił się młody Węgier w wymiętym mundurze AVH i zameldował coś jednym tchem łamaną ruszczyzną. Wasyl przydeptał butem niedopałek, podszedł do okna i stając na palcach, wyjrzał w dół, na ulicę. Najwyraźniej nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– Proszę się szybko ubrać – rozkazał. – Tłum studentów przygotowuje się do ataku na budynek. Wyjdziemy tylnymi drzwiami.

Ebby prędko narzucił na siebie czyste ubranie i niepewnym, chwiejnym jeszcze krokiem podążył za Rosjaninem. Zeszli po żelaznych schodkach do podziemnego garażu. Węgier, który ostrzegł Wasyla, kościsty młody człowiek z nerwowym tikiem w powiece, siedział przygarbiony za kierownicą lśniącego czarnego zila z włączonym silnikiem. Muskularny oficer AVH, z belkami kapitana na epoletach i pistoletem maszynowym wciśniętym pod pachę, wślizgnął się na siedzenie pasażera. Wasyl wskazał Ebby'emu tył samochodu i sam usadowił się obok niego. Kierowca powoli ruszył ku metalowej bramie, unoszącej się stopniowo w górę. Potem wcisnął gaz do deski i ził wyskoczył z garażu prosto w boczną uliczkę, ciemną i opustoszałą. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił gwałtownie w prawo, biorąc zakręt na dwóch kołach. Światła samochodu omiotły tłum młodych ludzi, maszerujących wprost na nich, z uniesionymi w górę

sztandarami i plakatami. Wasyl warknął jakiś rozkaz. Kierowca ostro zahamował, wrzucił wsteczny i zaczął się wycofywać. W blasku reflektorów ujrzeli biegnącego ku nim młodego mężczyznę z karabinem. Chłopak zrobił jeszcze kilka kroków, przyklęknął, wycelował i strzelił. Przednia prawa opona pękła i ził, jadąc zygzakiem, uderzył w latarnię. Oficer otworzył drzwiczki, przykucnął za nimi i zaczął strzelać do buntowników. Kilkoro z nich padło na ziemię. W tłumie rozległy się krzyki. Studenci okrążyli samochód. Oficer gorączkowo próbował załadować pistolet, ale powaliły go dwa szybkie strzały z karabinu. Czyjeś ręce wyrwały drzwiczki z zawiasów i wywlokły pasażerów do rynsztoka. Postawiono ich pod ścianą jakiegoś budynku. Ebby usłyszał za plecami szcęk ładowanych karabinów. Zakrywając oczy rękami, jakby osłaniał się od kul, zawołał w nocny mrok:

– Jestem Amerykaninem! Byłem ich więźniem!

Ktoś krzyknął coś po węgiersku. W słabym świetle kilku ocalałych latarni dojrzał, jak tłum studentów rozstępuje się, aby kogoś przepuścić.

I wtedy z ciemności wyłonił się Arpád Zelk. Miał na sobie czarną skórzaną marynarkę, czarny beret i czarne spodnie, w ręku trzymał karabin. Rozpoznał Ebby'ego i wydał rozkaz. Młody mężczyzna z butelką po winie, z której wystawał szmaciany knot, wyskoczył do przodu i odciągnął Amerykanina od dwóch Rosjan. Kierowca rzucił się na kolana i urywanymi zdaniem zaczął błagać o litość. Karłowaty Wasyl, uśmiechając się ironicznie, spokojnie wyciągnął z kieszeni metalowe pudełko i wetknął papierosa między grube, mięsiste wargi. Skrzesał ognia, ale już nie zdążył zapalić.

Studenci, którzy naprędce sformowali pluton egzekucyjny, powalili obydwóch mężczyzn urywaną salwą.

Arpád podszedł do Ebby'ego.

– Elizabet... Co z Elizabet? Wiesz, gdzie ona jest? – padło pospieszne, żarliwe pytanie, ni to prośba, ni to modlitwa.

Ebby odparł, że widział, jak ją przesłuchiowano. Wyjaśnił, że tuż obok, w zaułku, znajduje się wjazd do podziemnego garażu pod budynkiem więzienia. Wymachując karabinem nad głową, Arpád zawołał na studentów, żeby poszli za nim, i chwyciwszy Ebby'ego pod ramię, ruszył w stronę gmachu AVH. Z sąsiedniej ulicy dobiegały okrzyki demonstrantów, zgromadzonych na rogu ulicy przed główną bramą i forsujących stalowe ogrodzenie. Chłopak, który odebrał zabitemu oficerowi pistolet maszynowy, wystąpił do przodu i odstrzelił zamek garażu. Wszyscy runęli do żelaznych drzwi, które szybko ustąpiły pod ich naporem. Z wnętrza padły strzały. Dziewczyna z długimi ciemnymi warkoczami, w których połyskiwały wplecione we włosy kolorowe nitki, odwróciła się do Ebby'ego, spojrzała na niego gasnącym wzrokiem i zwała się ciężko na ziemię, prosto pod jego nogi. Studenci ruszyli gromadą w dół podjazdu i zniknęli w ciemności. Ebby próbował dotrzymać kroku Arpádowi, ale wkrótce stracił z oczu znajomą sylwetkę. W garażu aż dudniło od ciągłych wystrzałów. Pod jakimś samochodem wybuchł koktajl Mołotowa, zbiornik na benzynę stanął w ogniu i eksplodował. Języki płomieni lizały betonowy sufit. W pełgającym blasku pożaru Ebby zobaczył, że grupka demonstrantów spędziła pod ścianę kilku mężczyzn w podartych mundurach. Studenci cofnęli się o krok i stanęli w szeregu. Arpád wydał rozkaz. Jazgot karabinowej serii odbił się echem po całym garażu. Martwi już funkcjonariusze bezpieczeństwa osunęli się bezwładnie na ziemię.

Studenci, z Arpádem na czele i Ebby'ym deptającym mu po piętach, wbiegli po stalowych schodach i rozpierzchli się po budynku, likwidując każdego napotkanego po drodze agenta, otwierając cele i wypuszczając więźniów. W podziemnej toalecie powstańcy dopadli trzy kobiety (Ebby

rozpoznał wśród nich tę, która wyglądała jak zapaśniczka sumo), ukrywające się w kabinach. Wyciągnęli je, siłą posadzili na pisuarach i wykończyli strzałem w tył głowy. Ebby pociągnął Arpáda przez ciężkie, podwójne drzwi, oddzielające biura administracji od cel. Znaleźli się w korytarzu, który wydawał się Ebby'emu znajomy. Jak w transie odciągał zasuwę i otwierał na oścież wszystkie drzwi. Za jednymi z nich ujrzał własną celę z deską zamiast łóżka i zakratowanym piwnicznym oknem pod sufitem. Wreszcie stanęli przed grubymi, metalowymi drzwiami. Ebby przekręcił chromowane koło rygła i naparł całym ciałem. Poczłł lodowate zimno chłodni.

Na rzeźnickim haku, zaczepiona o kołnierzyk podartej koszuli, wisiała Elizabet. Jej bosc stopy kołysały się bezradnie niby w jakimś makabrycznym tańcu. Na ich widok otworzyła usta, a jej wargi poruszyły się bezgłóśnie, ale dźwięk, jaki wydobył się z gardła, nie przypominał ludzkiej mowy. Arpád i Ebby zdjęli ją z haku, wynieśli z chłodni i położyli na podłodze. Arpád znalazł w kącie przegniły koc i okrył nim Elizabet, by osłonić jej nagość.

Dwaj młodzi mężczyźni – Ebby rozpoznał w jednym z nich Mátyása, gniewnego studenta, który był na spotkaniu w kryjówce w Budzie – pojawili się w drugim końcu korytarza, popychając przed sobą lekarkę z szorstkimi, siwymi włosami i starszego mężczyznę w mundurze AVH ze złotymi, generalskimi belkami na mankietach. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie, a z nosa ciekła krew.

– Ona jest lekarzem – powiedział Ebby do Arpáda.

Arpád poderwał się na równe nogi i wskazał kobiecie leżącą na podłodze Elizabet. Wdzięczna, że nie podzieli losu innych funkcjonariuszy AVH, rzuciła się na kolana i zaczęła mierzyć puls. Arpád, wyciągnąwszy zza paska pistolet, dał znak Mátyásowi, aby przyprowadził więźnia bliżej.

Oficer spojrzął na Ebby'ego i odezwał się po angielsku:

– Na miłosierdzie pańskie, powstrzymaj go. – Złoty ząb w dolnej szczęce zaślął od śliny. – Mam informacje, które bardzo wam się mogą przydać w CIA.

Ebby rozpoznał ów głos, ten sam, który w ciemności pokoju przesłuchań powtarzał bez przerwy: „Proszę nam podać swoje pełne imię i nazwisko”.

– Nazywa się Száblakó – powiedział Arpád, a w oczach, wąskich teraz jak szparki, błysnęła mu chłodna nienawiść. – Jest komendantem tego więzienia. Zna go każdy, kto miał do czynienia z AVH.

Ebby podszedł bliżej.

– Skąd wiedzieliście, że jestem z CIA? Skąd wiedzieliście, że pracuję dla Wisnera? Skąd wiedzieliście, że byłem we Frankfurcie? – zapytał.

Száblakó chwycił się tego jak tonący brzytwy.

– Weź mnie w areszt, ocal od nich, a powiem ci wszystko, co wiem.

Ebby zwrócił się do Arpáda.

– Daj mi go. Jego informacje mogą się dla nas okazać bezcenne.

Arpád, z wahaniem, spojrzął na skuloną na podłodze Elizabet, potem przeniósł wzrok na Száblakó. Wreszcie popatrzył na Mátyása, który gwałtownie potrząsał głową.

– Oddaj go mnie – wyszeptał Ebby.

Mięśnie wokół oczu poety zadrgały, a jego twarz wykrzywił grymas nienawiści. Nagle stanowczym gestem podbródka skinął w stronę chłodni. Mátyás od razu zrozumiał, o co chodzi. Ebby próbował jeszcze zastąpić im drogę, ale Arpád, zaślepiony gniewem, odepchnął go brutalnie. Száblakó, widząc, co się szykuje, zaczął dygotać jak w febrze.

– Dostaliśmy cynk z centrali! – zawołał do Ebby'ego, kiedy Arpád i Mátyás ciągnęli go do chłodni.

W podziemnym korytarzu rozległ się krzyk przerażenia i zaraz potem zwierzęcy, wilczy skowyt. Jęki nie ustawały, dopóki Arpád i Mátyás nie wyszli z chłodni i nie zatrzasnęli za sobą ciężkich drzwi. Przekręcili chromowe koło, starannie ryglując wszystkie zamki.

Arpád zerknął na Elizabet, rozdarty, czy zostać przy niej, czy na czele zbuntowanych tłumów dokończyć dzieła rewolucji. Wahał się jeszcze przez ułamek sekundy. Wreszcie chwycił karabin i pobiegł za Mátyásem. Lekarka zdezynfekowała rany Elizabet, a potem z pomocą Ebby'ego ubrała ją w męską koszulę i za duże spodnie, które podciągnęli jej niemal pod brodę i przewiązali w pasie sznurkiem. Elizabet zamrugła oczami, przesunęła językiem po wyszczerbionym przednim zębie, w końcu niepewnie dotknęła lewej piersi. Spojrzała nieprzytomnie na Ebby'ego, nie poznając go zrazu. Nagle w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. Spierzchnięte usta wymówiły jego imię.

– Elliott?

– Witaj w świecie żywych, Elizabet – wyszeptał Ebby.

– Bili mnie...

Ebby bez słowa pokiwał głową.

– Tam było tak zimno...

– Teraz jesteś bezpieczna.

– Zdaje mi się, że powiedziałam im, kim jesteś...

– To już nie ma znaczenia.

W końcu korytarza Ebby spostrzegł obskurny zlew z pojedynczym kranem. Oddał kawałek materiału ze swojej koszuli, zmoczył go i zwilżył usta Elizabet, pokryte skorupą zastygłej krwi.

– Co się stało? – zapytała słabo.

– Powstanie się rozpoczęło – odparł Ebby.

– A gdzie jest Arpád?

Ebby zdobył się na mizerny uśmiech.

– Stara się dogonić rewolucję, żeby stanąć na jej czele.

Niebo na wschodzie szarzało, gdy po mieście rozeszła się plotka, że sowieckie czołgi z drugiej i siedemnastej dywizji zmotoryzowanej dotarły już na przedmieścia stolicy. Pierwszy T-34, z wymalowaną białą farbą na wieżycze numerem „527”, Ebby spostrzegł na skrzyżowaniu, skąd furgonetka rozwożąca pieczywo zabrała jego i Elizabet do kina „Korwin” na rogu alei Ulloi i Józsefa. Za kierownicą siedziała chuda dziewczyna imieniem Margit, z rdzawymi pasemkami w długich blond włosach. Ebby zajął miejsce obok niej, a Elizabet leżała zwinięta na materacu za tylnym siedzeniem. Na placu Kalwina pięć czołgów ustawiło się w półkole, z lufami skierowanymi na zewnątrz, a żołnierze, wychyleni z otwartych włazów, obserwowali przez lornetki okoliczne ulice. Ebby zauważył, że na trzech maszynach powiewały węgierskie flagi; Rosjanie najwyraźniej nie szukali zaczepki u studentów, uzbrojonych w koktajle Mołotowa.

Na kawałku papieru nabazgrał adres przy ulicy Prater, gdzie znajdowało się mieszkanie węgierskiego kontaktu, mającego dostęp do radia i szyfrów. Margit udało się tam dotrzeć bocznymi uliczkami, dzięki czemu uniknęli skrzyżowań, strzeżonych przez sowieckie czołgi. Kontaktem okazał się beztroski, z lekka postrzelony młody Cygan imieniem Zoltan, z bokobrodami w kształcie sierpa, które zawijały się aż na pokryte bliznami po ospie policzki. Kiedy uśmiechnął się szeroko na widok niespodziewanych gości, w jego ustach błysnęły dwa srebrne zęby. Ebby nie musiał go długo przekonywać, żeby z nimi poszedł. Cygan nie miał nic przeciwko komunizmowi, ale bardzo chciał walczyć z Rosjanami, którzy okupowali jego kraj. Zabrał ze sobą plecak z aparatem nadawczo-

odbiorczym, długi, zakrzywiony nóż, którego ojciec jego ojca używał podczas bitew z Turkami, i domowej roboty skrzypce w płóciennym pokrowcu.

– Rozumiem, radio i nóż – powiedział Ebby, kiedy upychali się na przednim siedzeniu furgonetki. – Ale po co skrzypce?

– Nie można wojować bez skrzypiec – odparł poważnie Zoltan. – Dawniej do wtóru cygańskiej muzyki Madziarzy szli bić Mongołów, a teraz cygański skrzypek, czyli wasz uniżony sługa, będzie przygrywał Węgrom, kiedy pójdą bić Ruskich. – Przeżegnał się i powtórzył Margit to samo po węgiersku, a dziewczyna zaczęła się tak śmiać, że aż łzy popłynęły jej z oczu.

Na ulicy Rakoczego furgonetka utknęła w tłumie młodych ludzi, którzy wyrócili do góry kołami żółte wagony tramwajowe. Utworzona w ten sposób barykada zablokowała ruch. Studenci z opaskami w narodowych barwach na rękawach, uzbrojeni w stare, pamiętające czasy pierwszej wojny światowej niemieckie karabiny i jedną kawaleryjską szablę, sprawdzali przejeżdżające samochody. Wysoko w górze dyndały pozrywane kable zniszczonej trakcji. Studenci, ujrawszy Margit, natychmiast przepuścili furgonetkę, która klucząc wśród walających się po ziemi szczątków blachy, przedostała się bez przeszkód na drugą stronę barykady. Na chodniku jakaś stara kobieta uniosła laskę na znak powitania. „*Eljen!* – krzyknęła. – Niech żyją!” Na następnym rogu młodzież wynosiła ze sklepu całe naręczą garniturów. Pod ścianą leżała już spora sterta eleganckich ubrań. Dziewczyna w uniformie konduktorki, z wypchaną granatami skórzaną torbą na bilety, wołała do przechodniów, że każdy, kto przyłączy się do powstańców, dostanie nowy garnitur i pięć koktajli Mołotowa. W kilka chwil stłoczyła się wokół niej grupka chętnych.

Kino „Korwin” – przylegająca do trzypiętrowego domu mieszkalnego okrągłą, podobną do bunkra budowlę, odsuniętą od szerokiej ulicy – zamieniono w fortecę i stanowisko dowodzenia pięciu naprędce zorganizowanych kompanii batalionu „Korwin”. Na wiszącym w foyer plakacie filmu *Irena, do domu!* ktoś przekreślił słowo „Irena” i dopisał „Ruscy”. W piwnicy dziewczyny przygotowywały setki koktajli Mołotowa, używając do tego benzyny z pobliskiej stacji. Na trzecim piętrze zorganizowano szpital polowy, gdzie niesiono pomoc rannym w ulicznych starciach. Sala projekcyjna zamieniła się w miejsce zgromadzeń, których spontaniczna atmosfera przypominała burzliwe obrady piotrogrodzkich „sowietów” z czasów rewolucji bolszewickiej. Dyskutowano i przegłosowywano rezolucje, wygłaszano płomienne mowy, wszędzie pełno było delegatów ze szkół, fabryk i koszar, którzy spierali się zawzięcie o kształt przyszłych Węgier. Większość z nich uważała, że celem powstania powinno być nie tylko wyzwolenie kraju spod radzieckiej okupacji, ale i obalenie komunizmu, ponieważ reforma obecnego systemu nic nie da.

Studenci z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawach przenieśli Elizabet na noszach do prowizorycznego szpitala. Ebby i jego Cygan łącznościowiec rozłożyli swój kram w biurze na ostatnim piętrze.

– Tu będzie najbezpieczniej. Żaden pieprzony czołg nam nie przywali – powiedział Zoltan, uśmiechając się od ucha do ucha. – W tych wąskich uliczkach T-34 nie mogą strzelać tak wysoko. Dobra, bierzmy się do roboty.

Zoltan wdrapał się na sterczący z dachu żelazny komin od piecyka i przywiązał do niego antenę krótkofalówki, po czym wziął się do szyfrowania pierwszej wiadomości Ebby’ego dla punktu łączności w Wiedniu. Była to krótka informacja o jego aresztowaniu i nieoczekiwanym przybyciu oficera KGB, który próbował wywieźć go niepostrzeżenie z więzienia AVH, ale zginął, rozstrzelany przez doraźny

pluton egzekucyjny, podczas szturmu powstańców na siedzibę tajnej policji. Dalej Ebby donosił o sowieckich czołgach na ulicach Budapesztu i o wywieszanych przez czołgistów węgierskich flagach. Wszystko wskazuje na to – pisał – że Sowieci nie są w stanie stłumić powstania bez pomocy węgierskiej armii i regularnych oddziałów policji w liczbie czterdziestu tysięcy ludzi; zastanawiający jest fakt, iż – jak wynika z jego obserwacji – siłom pancernym nie towarzyszą wojska lądowe. Jak dotąd – kończył swój raport Ebby – wynik radzieckiej interwencji nie jest jeszcze przesądzony, tym bardziej że zgodnie z pozyskanymi przez niego informacjami stacjonujący w Budapeszcie żołnierze i policjanci już w drugim dniu powstania ogłosili neutralność lub przyłączyli się do – jak nazwał ich Ebby (a prasa później podchwyciła ów zwrot) – bojowników wolności.

WIEDEŃ, PONIEDZIAŁEK, 29 PAŹDZIERNIKA 1956

Na Węgrzech rebelia ogarnęła już niemal cały kraj, a tymczasem wszystkie placówki CIA w Europie słały posiłki do Wiednia. Jack McAuliffe został odkomenderowany z Berlina i zameldował się w podrzędnym hoteliku nad brzegiem Kanału Dunajskiego, w robotniczej dzielnicy na przedmieściach Landstrasse, gdzie Firma wynajęła kilka obskurnych pokoi na trzecim piętrze. Jako dowódca grupy specjalnej zaczął przygotowywać zaplecze, potrzebne do dokładnego prześwietlenia uchodźców, którzy zdołali przedrzeć się przez austriacko-węgierską granicę, tym bardziej że w razie gdyby sprawy przybrały groźny obrót, należało się spodziewać prawdziwej powodzi uciekinierów. Austriacki Czerwony Krzyż otworzył punkty imigracyjne w wioskach położonych niedaleko granicy. Jack miał za zadanie dopilnować, żeby przechwycono i przesłuchano wszystkich komunistów średniego lub wyższego szczebla, jak również oficerów armii i policji; musiał też mieć absolutną pewność, że żaden z uchodźców nie przemknie się przez sito Firmy, chodziło bowiem o wyłapanie ludzi, których można by zwerbować jako agentów i odesłać z powrotem na Węgry.

Pod wieczór dwudziestego dziewiątego października Jack dostał cynk, że w jego sieci wpadła pierwsza gruba ryba – pułkownik węgierskiej armii, przydzielony do sztabu generalnego jako łącznik z sowiecką drugą dywizją zmotoryzowaną; oficer ów, wraz z rodziną, przekroczył w nocy granicę i teraz gotów był sprzedać ważne informacje w zamian za azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych. Jack sporządzał właśnie notatkę służbową w tej

sprawie, kiedy do pokoju zajrzał jeden z młodszych oficerów, świeżo po kursie S.M. Craw Management w Alexandrii w stanie Wirginia, aby przypomnieć, że za dwadzieścia minut ma się odbyć spotkanie informacyjne na temat rozwoju sytuacji na Węgrzech.

Jack zjawił się przed czasem. Sadowił się właśnie na składanym żelaznym krześle w głębi sali bankietowej na ostatnim piętrze hotelu, gdy przez wahadłowe kuchenne drzwi weszła młoda kobieta. Siedzący obok oficer gwizdnął cicho.

– Tej tobym z łóżka nie wygonił – powiedział.

– Jeśli to ona będzie prowadzić odprawę – zażartował inny – to powinni zamówić jeszcze jedną ciężarówkę krzeseł.

Jack, zsunąwszy na koniec nosa raybany, spojrzał uważniej na dziewczynę. Wydawała się dziwnie znajoma. Ubrana była w długą do kostek, jasnoniebieską spódnicę, białą bluzkę i obcisły żakiet do konnej jazdy. Usta miała pomalowane szminką w kolorze świeżych malin. Energicznym krokiem przeszła przez salę, stanęła na podium, położyła na mównicy czarną aktówkę i długim, wypielęgnowanym paznokciem postukała w mikrofon. Następnie potoczyła wzrokiem po zgromadzonych na sali prawie dziewięćdziesięciu oficerach Firmy.

– Nazywam się – oznajmiła stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem – Mildred Owen-Brack.

Oczywiście! Owen-Brack! „Cloud Club”, budynek Chryslera na Manhattanie... Ależ się wtedy wygłupił! Startował do niej, ale przekonał się, że nie była z tych, które dadzą się poderwać na jedną noc. „Do widzenia, Johnie J. McAuliffe! I życzę szczęścia!” – powiedziała i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, które natychmiast ostudziło jego zapały.

Stojąc na podium, Owen-Brack streszczała po kolei najnowsze wydarzenia na Węgrzech. Staliniści zostali odsunięci od władzy, a rządy objął były premier Imre Nagy, niedawno zwolniony z więzienia, gdzie został osadzony jako dysydent. Nagy, zwolennik systemu ochrzczonego przez partyjnych intelektualistów mianem „socjalizmu z ludzką twarzą”, oświadczył Rosjanom, że nie odpowiada za to, co się stanie na Węgrzech, jeżeli radziecka armia nie wycofa się z Budapesztu. W ciągu paru godzin sowieckie czołgi rozpoczęły odwrót. Długa kolumna transporterów opancerzonych, ciągnących kuchnie polowe, opuściła centrum miasta, kierując się na wschód. Ludzie, przekonani, że powstanie się powiodło, wylegli na ulice świętować zwycięstwo. Nagy, czując za sobą poparcie wojska, nie wahał się wystawić na próbę cierpliwości Rosjan. Pewna wydawana poza cenzurą gazeta przytoczyła nawet jego nieoficjalną wypowiedź, w której rzekomo opowiadał się za obaleniem systemu monopartyjnego i wolnymi wyborami. Doradca polityczny ambasady amerykańskiej przypuszczał, że gdyby do tego doszło, komuniści uzyskaliby nie więcej niż dziesięć procent głosów, co oznaczałoby kres socjalizmu na Węgrzech. Krążyły również pogłoski, iż Nagy rozważa możliwość wystąpienia Węgier z Układu Warszawskiego.

Pytanie, na które nikt z obecnych nie znał odpowiedzi, brzmiało: czy Rosjanie będą siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak Nagy wyzwala Węgry spod sowieckiej okupacji? A może wycofują się z Budapesztu, żeby zyskać na czasie i przez mosty pontonowe na Cisie przerzucić w głąb kraju stacjonujące na Ukrainie posiłki?

Po odprawie Jack został jeszcze na chwilę, ponieważ chciał omówić z podwładnymi szczegóły akcji monitorowania uchodźców, a potem podszedł do baru po drugiej stronie sali bankietowej. Owen-Brack już tam była, pogrążona w rozmowie z dwoma dygnitarzami z Komisji Izby

Reprezentantów do spraw Sił Zbrojnych. Jack zamówił whisky z sokiem z limonki i przysunął się bliżej. Kobieta odwróciła się, żeby sięgnąć po przekąskę, i poczuła na sobie jego uważny wzrok.

– Wstyd, żeby wdrapać się na ostatnie piętro hotelu i nawet nie zerknąć na panoramę – zauważył. – Z tamtego okna można dojrzeć błękitne wody Dunaju płynące ku Węgrom.

Owen-Brack spojrzała na niego, usiłując przypomnieć sobie, skąd go zna. Nagle pstryknęła palcami.

– Nowy Jork. „Cloud Club”. Wyleciało mi z głowy twoje nazwisko, ale pamiętam, że miałeś w inicjale dodatkową literkę, która nic nie znaczyła. – Roześmiała się. – Jeśli mam być szczerą, nie poznałabym cię bez tych wąsów... Zmieniłeś się.

– Co masz na myśli?

– Wydajesz się starszy. Twoje oczy... – nie dokończyła zdania.

– Starszy i mądrzejszy, mam nadzieję.

– Jeżeli mądrzejszy równa się mniej pewny siebie – powiedziała kokieteryjnie – mogłeś tylko awansować.

Jack uśmiechnął się.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, zaproponowałem ci lampkę szampana. Przejrzałaś mnie na wylot. Odgadłaś, że chciałem cię zaciągnąć do łóżka, i miałaś cholerną rację.

Owen-Brack wypchnęła językiem policzek.

– Wiesz co – odparła – dzisiaj chętnie skorzystam z zaproszenia. Na drinka.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Przyjaciele mówią na mnie Millie.

Jack potrząsnął jej dłonią.

– John McAuliffe. Dla ciebie Jack.

Postawił jej daiquiri i odeszli od baru, by podziwiać widok na Dunaj z ogromnych, panoramicznych okien. Niestety, na sali zapalono już światła, więc widzieli jedynie swoje odbicie w szybie.

– Co porabiałeś od tamtego dnia w „Cloud Club”? – zapytała.

– To i owo.

– A gdzie robiłeś to swoje to i owo?

– Tu i tam.

Przymrużyła oczy z uśmiechem.

– Hej, mam dostęp do wszystkich ściśle tajnych i poufnych wiadomości. Czytam to samo co Allen Dulles.

– Oddelegowali mnie do Berlina – powiedział Jack.

– Pracujesz z tym indywiduum Torritim?

– Tak. Jestem jego PO.

– Berlin to niebezpieczny rewir.

– Tak mówią.

– Teraz rozumiem, czemu twoje oczy są starsze.

Jack odwrócił się od okna i spojrzał jej prosto w twarz. Spodobało mu się to, co zobaczył.

– Harvey Torriti cierpi na skurcze żołądka, brak apetytu, bóle w splocie słonecznym. Ja też. Myślę, że to coś w rodzaju choroby zawodowej. Ale dotąd fortuna mi sprzyja. Miałem więcej szczęścia niż twój mąż.

W źrenicach Millie zamigotało wzruszenie.

– Dzięki, że pamiętałeś – powiedziała miękko.

Stuknęli się szklankami i wypili za szczęście jednych i pecha drugich. Jack zapytał, czy nie chciałyby spróbować czegoś spoza hotelowego menu, a kiedy odparła: „Czemu nie?”, zabrał ją na kolację do małej wiedeńskiej restauracji z ogródkiem, położonej tuż za rogiem ulicy, nad brzegiem Kanału Dunajskiego. Zamówili świeżego pstrąga z rusztu, prosto z kuchennego akwarium, i butelkę schłodzonego reńskiego wina. Jack wspominał dzieciństwo w Pensylwanii i studia w Yale, które z perspektywy czasu wydawały się najlepszym okresem jego życia. Mówił o uniwersyteckiej drużynie wioślarskiej i wyznał, że kiedy czuł w dłoniach trzyipółmetrowe wiosło, zapominał o całym świecie.

Zanim otworzyli drugą butelkę wina, Millie już zdążyła opowiedzieć o tym, jak dorastała w Santa Fe, gdzie większość wolnego czasu spędzała w siodle, zapuszczając się w najodleglejsze zakątki ciągnących się bez końca kanionów i wzgórz. Odebrała coś w rodzaju wykształcenia w stanowym college'u, a potem przez cztery lata studiowała prawo na uniwersytecie w Kolorado. I wtedy spotkała zuchwałego mężczyznę, starszego od niej o ładnych parę lat, który wprowadził ją w świat zupełnie różny od tego, jaki знаła z kanionów Anasazi w Nowym Meksyku. Odbyła zwariowaną podróż przez Tajlandię i Laos, usunęła ciążę... Rozstali się w gniewie, by znów do siebie powrócić. Ze względu na nabyte w krajach Dalekiego Wschodu doświadczenie i umiejętność posługiwania się dialektem mandaryńskim jej mąż został zwerbowany przez Firmę i w ten sposób Millie również trafiła do „Kwaszarni”. Ze względów bezpieczeństwa CIA chętnie zatrudniała żony swoich oficerów, przekonana, że dzięki temu tajemnice Firmy pozostaną „w rodzinie”. A potem pewnego dnia, którego Millie miała nigdy nie zapomnieć, DD/O Allen Dulles i jego zastępca Frank Wisner stanęli nad jej biurkiem, akurat w chwili gdy podpisywała jakieś dokumenty, i przekazali tragiczną wiadomość: mąż

wpadł w zasadzkę na granicy chińsko-birmańskiej i zginął w akcji. Młodą wdowę wziął pod skrzydła Wisner i przyjął do pracy w DD/O. Teraz wysłał ją do Wiednia, żeby naświetliła oddelegowanym tam oficerom sytuację na Węgrzech. Sam również miał się wkrótce zjawić.

Było już po jedenastej, kiedy Jack poprosił o rachunek i zaczął odliczać banknoty w portfelu. Nagle podniósł wzrok i spojrzał Millie prosto w oczy.

– Chyba teraz powinienem zapytać: u mnie czy u ciebie?

Wzięła głęboki oddech.

– Jesteś pewien, że nie kusisz losu?

– To nie mój los kuszę.

Wysączyła wino do ostatniej kropli.

– Nie zmieniłam zdania w kwestii przygód na jedną noc.

– A ja tak. – Jack wstał i usiadłszy obok Millie, położył jej dłoń na kolanie. – Nie interesują mnie już tak jak kiedyś.

Widać było wyraźnie, że chętnie by mu uległa.

– Dopiero co się poznaliśmy... Kto wie, może jesteś seryjnym mordercą.

– Zaśmiała się odrobinę za głośno. – No to jak, Jack? Jesteś seryjnym mordercą?

W skupieniu przyglądał się śladowi malinowej szminki na brzegu kieliszka. Przypomniał mu się kolor ust Lili tamtej nocy, gdy spotkali się w teatrze, a on kupił jej *berliner weisse mit Schuss*. Wciąż jeszcze nie mógł się uwolnić od wspomnienia smukłej tancerki, która dzielnie przetrwała amerykańskie bombardowania, najazd sowieckich żołdaków i srogie zimowe mrozy w 1947 roku, ale załamała się, kiedy agenci Stasi załomotali w zamknięte drzwi łazienki; oczyma duszy widział, jak nabiera w usta wody i wsuwa lufę pistoletu pomiędzy malinowe wargi.

– Zabiłem – oznajmił, patrząc Millie prosto w oczy – ale tylko raz.

– Jeśli to miał być dowcip – zachnęła się – to bardzo kiepski.

Lecz widząc jego nieobecne spojrzenie, zrozumiała, że mówił serio.

– Cholera jasna! – jęknęła.

– Co się stało?

– Za każdym razem w sylwestra obiecuję sobie, że nie zwiążę się z nikim, kto pracuje dla Firmy.

Jack wziął ją za rękę.

– Po to składamy takie sylwestrowe przyrzeczenia – powiedział uroczyście – żeby je potem łamać.

BUDAPESZT, PIĄTEK, 2 LISTOPADA 1956

Od początku powstania minęło dziesięć dni. Studenckie bojówki przeczesywały miasto w poszukiwaniu agentów znienawidzonej tajnej policji, kryjących się jak zaszczute zwierzęta w tunelach metra, piwnicach i kanałach. Wytropionych powstańcy wywlekali na ulice i rozstrzeliwali na miejscu. Ich ciała wieszali na drzewach i latarniach, głową w dół, z przypiętymi do spodni kartkami, na których każdy mógł przeczytać, ile zarabiali za życia, a były to sumy, o których przeciętny robotnik nie mógł nawet marzyć. W piątek, tuż po północy, Arpád osobiście poprowadził wypad na grupę tajniaków z AVH, którzy zadekowali się w budynku opuszczonego posterunku policji na przedmieściach Pesztu; podobno ukryło się tam dwóch partyjnych kacyków, znanych z wyjątkowo brutalnych metod sprawowania władzy. Ebby, który chciał jak najwierniej przekazać w raportach wszystko, co działo się w mieście, uprosił poetę, żeby zabrał go ze sobą na akcję.

Od okupujących koszary Kilian powstańców wypożyczyli transporter opancerzony i upchnąwszy się z trudem w sześciu taksówkach, ruszyli aleją Józsefa. Kiedy skręcili w aleję Stalina, ujrzeni ślady zaciętych walk: rozbite okna wystaw, wyszczerbione fasady budynków, tysiące łusek po nabojach, stosy kocich łbów, usypanych w wały przeciwczołgowe, spalone szczątki samochodów i żółtych tramwajów, czarne chorągiewki wywieszane w oknach mieszkań na znak żałoby po stracie bliskich. W parku Bohaterów minęli olbrzymi pomnik Stalina, leżący teraz w rynsztoku. Rozwścieczony tłum już w pierwszych godzinach powstania zwałił go z piedestału; na

cokole z różowego marmuru ostały się jedynie buty dyktatora z wetkniętymi w środek węgierskimi flagami.

Po drugiej stronie parku, na ciemnej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się opustoszałe magazyny i garaże samochodowe, kolumna zatrzymała się, ustawiła w półkole na wprost obskurnego piętrowego budynku – dzielnicowego posterunku AVH – i omiotła światłami czarne okna. Transporter opancerzony wycelował działko we frontowe drzwi. Z włączonego w którejś z taksówek radia dolatywały melancholijne dźwięki akordeonu, wygrywającego *Que sera, sera*. Arpád stanął za otwartymi drzwiami samochodu, uniósł megafon i wygłosił ultimatum. Jego donośny głos odbił się echem po ulicy i zamilkł. Poeta w napięciu utkwiał wzrok we wskazówki zegarka. Nawet nie zauważył, że przyklejony do wargi papieros dopalił się i parzy go w usta.

Na ułamek sekundy przed upływem czasu, jaki Arpád wyznaczył ukrywającym się w budynku ludziom, drzwi frontowe otworzyły się i z ciemnego wnętrza wyszedł ostrzyżony na jeża, brzuchaty oficer AVH, z rękami podniesionymi nad głowę tak wysoko, że spod rękawów wymiętego munduru wystawały białe mankiety koszuli. Za nim wysypało się jeszcze sześciu funkcjonariuszy węgierskiej bezpieki. Oślepiiony przez światła samochodów oficer osłonił oczy dłonią.

– *Polgátárs!* – zawołał.

W oczach Arpáda błysnęła tłumiona furia. Wypluł z ust wciąż jeszcze tłący się niedopałek.

– Po dziewięciu latach komunizmu nagle staliśmy się „obywatelami” – wycedził do Ebby’ego.

Oficer powiedział coś błagalnie i zaśmiał się nerwowo. Wysoki mężczyzna tuż za nim wyciągnął oprawioną fotografię trójki swoich dzieci, zebrząc o litość. Arpád obejrzał się na sąsiednią taksówkę i skinął na

Ulrika, którego lewa ręka owinięta była w zakrwawiony bandaż. Ulrik z kolei wymamrotał coś do stojących obok uzbrojonych ludzi. Pół tuzina karabinów oparło się o górną krawędź otwartych drzwiczek. Ebby, ukryty w cieniu samochodu, obserwował tę scenę z zapartym tchem. Padły strzały. Odwrócił głowę, a kiedy znowu spojrzął, ciała siedmiu funkcjonariuszy AVH leżały bezwładnie na ziemi.

W oknach posterunku pojawiły się ciemne sylwetki. Ktoś otworzył ogień do powstańców. Przednia szyba w taksówce Ebby'ego rozprysła się w drobny mak; odłamki porały mu prawą stronę twarzy. Przycisnęła chusteczkę do policzka, żeby zatamować krwawienie. Studenci odpowiedzieli serią z karabinów. Na bruk posypały się odłamki szkła i cegieł. Reflektor którejś taksówki wybuchł z głośnym sykiem. Działko transportera wypaliło we frontowe drzwi i gryząca woń kordytu przesyciła mroźne, nocne powietrze. W wyłomie z chmury pyłu i kurzu wyłoniła się jakaś postać, wymachując parasolem z przywiązaną do niego białą szmatą. Strzelanina ucichła. Z budynku wyszło powoli siedmiu mężczyzn i dwie kobiety w podartych mundurach.

– Na miłość boską! – krzyknął Ebby do Arpada. – Aresztuj ich!

Nagle w drzwiach pojawił się major AVH. Trzymał pistolet przy głowie przerażonej dziewczynki. Dziecko, które miało nie więcej niż dwanaście lat, zawołało coś przez łzy. Major, chudy mężczyzna w ciemnych okularach z jednym szkłem, gestem ręki zażądał, żeby powstańcy zrobili mu przejście.

Na swoje nieszczęście zapomniał się i machnął tą samą ręką, w której trzymał pistolet. Dziewczynka uchyliła się i wyrwała. Zza oślepiającej łuny reflektorów huknął karabin. Major chwycił się za gardło, zatoczył w tył i upadł na plecy, martwy. Widząc to, jego towarzysze rzucili się w popłochu do ucieczki, tylko po to jednak, by zginąć od kul studentów. Jedna z kobiet

była już przy taksówce Ebby'ego, kiedy rozległ się huk i pocisk karabinowy rozłupał jej czaszkę na pół.

Z wnętrza posterunku dobiegł stłumiony odgłos dwóch wystrzałów; Ebby domyślił się, że to dwaj sekretarze partii, ukrywający się wciąż w budynku, popełnili samobójstwo. Powstańcy wdarli się do środka i w chwilę później wynieśli ich ciała. Jeden z dygnitarzy jeszcze żył. Z rany po kuli, która nie przebiła mu czaszki, tylko drasnęła skórę, obficie sączyła się krew. Ulrik z pomocą kilku innych studentów związał mu nogi sznurkiem. Powlekli go na drugą stronę ulicy pod zabytkową gazową latarnię. Przerzucili koniec sznura przez ozdobny żelazny łuk lampy i podciągnęli w górę bezwładne już ciało, które zawisło nad chodnikiem nogami do góry. Z kieszeni marynarki posypały się zielone, dwudziestodolarowe banknoty. Studenci zgarnęli pieniądze na kupkę, razem z walającymi się wokół uschniętymi liśćmi i strzępkami starej gazety, i podpalili wszystko zapalką. Kiedy płomień dosięgł włosów mężczyzny, ten odzyskał nagle przytomność i wykrzyknął histerycznie: „Komunizm zwycięży!”

Arpád, z szaleńczym błyskiem w oku, podszedł do tańczącego na sznurze ciała. Wcisnął lufę karabinu w usta wiszącego i pociągnął za spust. Potem odwrócił się na pięcie i niedbale strzepnął wierzchem dłoni resztki kości i mózgu ze swojej skórzanej kurtki.

Upiorna cisza – taka, jaka występuje w najczystszej formie tylko w oku cyklonu – ogarnęła cały Budapeszt. Cienka warstwa śniegu otuliła w nocy wzgórze Budy, pokrywając delikatnym białym puchem nadpalone wagony żółtych tramwajów, które znów ruszyły w trasę. Rankiem szklarze zaczęli wstawiać nowe szyby w oknach wystaw, rozbitych podczas ulicznych starć, a Węgrzy byli dumni z tego, że pomimo stłuczonych witryn nikt nie

plądrował sklepow. Z okazji Zaduszek w kościołach w całym mieście paliły się świece. Niemal cała ludność tego w większości katolickiego kraju modliła się za dusze cierpiące w czyśćcu.

Do południa słońce stopiło śnieg, a przejmująco zimny wiatr, wiejący od Dunaju, stał się trochę mniej dokuczliwy. Przechadzając się wzdłuż peszteńskiego wybrzeża, Ebby i Elizabet, szczelnie opatuleni, w pożyczonych budrysówkach, usłyszeli dzwony, ogłaszające koniec porannego nabożeństwa za zmarłych. Elizabet wydawało się, że dzwony te świętują triumf rewolucji i początek nowej epoki dla Węgier.

Ebby był bardziej sceptyczny. Za dużo ludzi zginęło, powiedział. To prawda, że Sowieci wycofali się z Budapesztu. Ale jeśli powrócą z posiłkami, komunizm podniesie głowę i nastąpi krwawy odwet. Elizabet wybuchnęła gniewem.

– Przez całe lata torturowali nas, więzili, wyrzynali jak zwierzęta – odparła z pasją. – A ty mówisz, że jeszcze się z nami policzą!

Od czasu pobytu w więzieniu często wybuchwała płaczem i teraz też z trudem powstrzymywała łzy.

Ominęli rozłożone na chodniku walizki, w które wrzucano datki dla rannych, i poszli dalej wzdłuż ścian oklejonych wierszami, karykaturami i wszechobecnymi hasłami w rodzaju: *Nem Kell Kommunizmus* – „Nie chcemy komunizmu!” Na rogu Elizabet przystanęła, żeby pogadać z dwoma młodymi dziennikarzami, którzy rozdawali czterostronicową niezależną gazetę, wydawaną od początku powstania. Wracając do Ebby’ego, zamachała mu przed nosem ręcznie drukowanym egzemplarzem i przetłumaczyła motto na pierwszej stronie: „«W rewolucji, tak jak w powieści, najtrudniej jest wymyślić zakończenie» – de Tocqueville”. Przechodząc przez ulicę, zatrzymała się przed dwoma rzędami świeżych grobów, usypanych na trójkątnej wysepce trawy pośrodku skrzyżowania;

kilkanaście niewysokich kopców zasłanych było kwiatami i wstęgami w narodowych barwach: czerwonej, białej i zielonej. Ze zdjęć przymocowanych do prowizorycznych krzyży z patyków patrzyły uśmiechnięte twarze chłopców i dziewcząt w szkolnych mundurkach lub wojskowych panterkach z demobilu.

– Rosjanie nie zaatakują – powiedziała Elizabet z uczuciem. – Z tego samego powodu, dla którego dotąd nie najechali Jugosławii. Wiedzą, że nasza młodzież jest gotowa umrzeć za rewolucję i zabierze ze sobą do grobu tysiące radzieckich żołnierzy.

Po policzkach pociekły jej łzy. Otarła je dłonią i spojrzała na pomnik męczennika arcybiskupa Gellérta z uniesionym wysoko krucyfiksem, stojący po drugiej stronie rzeki na jednym ze wzgórz Budy.

– Nie zmieszczą się w piekle, jeżeli popełnią ten błąd i wrócą – powiedziała.

Wsunęła rękę pod budrysówkę, żeby pomasować okaleczoną pierś. Jej oczy znowu zwilgotniały.

– Boję się płakać – wyznała.

– Tyle przeszłaś, że możesz płakać z czystym sumieniem – odparł Ebby.

– Nie – powiedziała twardo. – Boję się, że jeśli zacznę, nie będę mogła przestać.

Rana na piersi zabiźniała się powoli i Elizabet na nowo wzięła się do pracy w kinie „Korwin”. Uczestniczyła w sesjach rady i w nieformalnych spotkaniach komitetu. Czasem przechodzili z Ebbym podziemnym przejściem do koszar Kilian po drugiej stronie ulicy, żeby pogadać z oficerami liczącego dziewięciuset ludzi batalionu wojsk inżynieryjnych, który przyłączył się do powstania. Wieczorami słuchali (a Elizabet

tłumaczyła na gorąco) niekończących się dyskusji w kinowych korytarzach, które zamieniono w tymczasową noclegownię dla setek studentów. Niekiedy zapraszano Arpáda, żeby przeczytał jakiś wiersz, ale przeważnie rozprawiano o tym, jak zmusić rząd Nagya do zerwania ze Związkiem Radzieckim i komunistyczną przeszłością kraju.

Zgodnie z tym, co podawali w radiu, wciąż trwały negocjacje w sprawie wycofania armii sowieckiej z Węgier; delegacja pod przewodnictwem wysokiego, ponurego ambasadora ZSRR w Budapeszcie, Jurija Andropowa, oraz ideologa z Politbiura, Michaiła Susłowa, chcąc za wszelką cenę uniknąć upokorzenia, żądała jedynie, aby oddziały mogły opuścić kraj z podniesionymi sztandarami i przy dźwiękach orkiestry. W kuluarach kina „Korwin” odzywały się też odważne, choć nieliczne głosy, wzywające do powstrzymania się od wystąpienia Węgier z Układu Warszawskiego i natychmiastowego zwołania wolnych wyborów, gdyż kroki te mogłyby niepotrzebnie rozdrażnić Moskwę, ale opinie te ginęły w ogólnym entuzjazmie. Rewolucja zwyciężyła, dowodził Arpád podczas jednej z korytarzowych dysput. Po co wdawać się w układy, które jedynie umniejszą ten triumf?

– A jeżeli Rosjanie uznają, że posunęliśmy się za daleko, i zaatakują Węgry? – zastanawiał się chłopak z długimi jasnymi włosami.

– Wtedy znowu ich pokonamy – odparł Arpád.

– A jeśli wyślą na nas dwa tysiące czołgów? – dopytywał się inny.

– Amerykanie – obiecywał Arpád, wymachując dymiącym papierosem, jakby chciał podkreślić wagę tych słów – przyjdą nam z pomocą. Samoloty NATO zbombardują sowieckie czołgi, zanim kolumna dotrze do Budapesztu. Zrzucą nam broń przeciwpancerną, żebyśmy sami mogli rozprawić się z niedobitkami. – Ponad głowami studentów popatrzył

wyzywająco na Ebby'ego. – Tylko nie dajmy się zastraszyć – mówił – a już wkrótce będziemy obywatelami wolnych i demokratycznych Węgier.

Z jego rzymskiego oblicza bił fanatyczny zapał. W geście zwycięstwa poeta wzniosł nad głową zaciśniętą pięść:

– *Ne bántsd a Magyar!* – zakończył płomiennym okrzykiem.

– *Ne bántsd a Magyar!* – powtórzyli za nim jak echo, zagłuszając własne głosy burzą oklasków.

– Z takimi żołnierzami – zawołała Elizabet do Ebby'ego – nie możemy przegrać!

Ebby tylko potrząsnął głową. Modlił się w duchu, żeby Arpád miał rację; żeby Rosjanie pozostali w Związku Radzieckim. Jeśli wrócą, ich liczba i siła przytłoczy powstańców. A świat nie kiwnie nawet palcem, gdy Arpád i jemu podobni będą prowadzić na rzeź bohaterską węgierską młodzież.

Pewnej nocy Ebby usłyszał w ciemności, że Elizabet rzuca się na materacu, szukając pozycji, w której niezagojone jeszcze rany będą ją mniej bolały. Zastanawiał się, która może być godzina. Sympatyczny młody murarz z obandażowanym uchem замуrował w ścianie dziurę po snajperskim strzale, dzięki czemu skończyły się wreszcie przeciągi, a słońce nie budziło Ebby'ego nad ranem. Od czasu do czasu Amerykanin słyszał w korytarzu obok krzątanie chłopców z batalionu „Korwin”, co jednak wcale nie musiało oznaczać nadchodzącego świtu, bo przez całą noc grupki bojowników kręciły się tam i z powrotem, zmieniając warty czy wyruszając w miasto na patrol – pieszo albo zarekwirowaną taksówką. Po drugiej stronie pokoju Elizabet zaszurała materacem. Oparłszy go o ścianę, usiadła na nim jak w fotelu. Twierdziła, że mniej ją boli, kiedy śpi na siedząco.

– Elliott...

Ebby uniósł się na łokciu.

– Co się stało?

– Boli mnie. Cała jestem obolała. Nie mogę spać. Nie mogę nie spać.

Martwię się.

Ebby przysunął bliżej swój materac. Poczuł, że Elizabet szuka w ciemności jego ręki. W milczeniu splełli dłonie.

– Cieszę się, że tu jesteś – wyznała szeptem.

– Chcesz porozmawiać? – spytał.

– Mam dziecko... córeczkę...

– Jak jej na imię?

– Nellie. W styczniu skończy sześć lat.

– Ojcem jest Arpád?

– Tak. – Ebby słyszał, jak ociera łzy. – Mieszkałam jeszcze z mężem, kiedy Arpád i ja... kiedy my...

– Nie musisz o tym mówić – powiedział. – Gdzie jest teraz twój mąż? Zapomniałem, jak się nazywa...

– Németh. Nándor Németh. Mój teść miał wysokie stanowisko w partii. Kiedy się pobraliśmy, Nándor był podsekretarzem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dwa lata temu wysłali go na placówkę do Moskwy. Wiedział już o Arpádzie. Zdecydowałam, że nie wyjadę z nim...

– Gdzie jest teraz Nellie?

– Mieszka z siostrą Nándora na wsi niedaleko Győr, około dziewięćdziesięciu kilometrów od Budapesztu. Dopóki się to wszystko nie zaczęło – westchnęła Elizabet – jeździłam do niej co niedzielę. Zanim Arpád zszedł do podziemia, AVH aresztowało go regularnie raz lub dwa

razy w miesiącu; czasem przesłuchiwali go przez cały tydzień. Kiedy siedział w więzieniu, zabierałam Nellie do siebie.

– Dlaczego nie przywoziłaś jej do Budapesztu, kiedy Arpád był na wolności?

Elizabet nie od razu odpowiedziała.

– Musisz zrozumieć Arpáda. Jest żarliwym bojownikiem o abstrakcyjną wolność, ale jak przyjdzie co do czego, bez mrugnięcia okiem neguje prywatną wolność jednostki, jak choćby prawo do życia pod jednym dachem z własną córką. – Przez chwilę milczała ze ściśniętym gardłem. – Prawda jest taka, że on nie lubi dzieci wokół siebie. Mogłam oczywiście od niego odejść. Parę razy nawet próbowałam. Ale zawsze w końcu wracałam, niemal włóczęc mu się u nóg. Arpád jest jak narkotyk. Musisz brać, bo inaczej...

Pustka brzmiąca w głosie Elizabet przeraziła Ebby'ego. Żeby jakoś odwrócić jej uwagę, zaczął opowiadać o swoim synku, trzy lata starszym od Nellie.

– Ma na imię Manny, to zdrobnienie od Immanuela. Jest bystrym chłopcem, bystrym i poważnym. Mieszka z moją byłą żoną... nie znam go tak naprawdę... za dużo czasu spędzam za granicą.

– To musi być dla ciebie trudne...

Ebby nie odpowiedział.

Mocniej ścisnęła jego rękę.

– Kiedy to wszystko się skończy... ta cała rewolucja, zabijanie, ból, euforia... będziemy spędzać więcej czasu z naszymi dziećmi.

– Tak. Znajdziemy na to sposób.

– Wyglądasz, jakby przejechał cię walec – zauważył młody radca amerykańskiej ambasady Jim Doolittle, zwracając się do Ebby’ego.

Był piątek wieczór. Stali przy oknie, na piętrze gmachu Parlamentu, z którego rozciągał się wspaniały widok na ogromny plac. Nieco wcześniej zachód słońca rozgorzał czerwoną łuną nad horyzontem, a teraz ostatnie pociągnięcia złota na pociemniałym płótnie nieba ustępowały przed rozpościerającą swój płaszcz czernią nocy. Na środku placu płonęło wielkie ognisko, przy którym grała cygańska orkiestra. Co chwila podjeżdżała otwarta ciężarówka, a Cyganie wyładowywali krzesła, zarekwirowane z pobliskiej siedziby partii, roztrzaskiwali je o płyty chodnika i dorzucali do ognia. Ebby dostrzegł Zoltana tańczącego wokół ogniska, ze smyczkiem swoich ukochanych skrzypiec w ręce.

Czyżby Zoltan miał własne źródła informacji? Czy cygański skrzypek rozgrzewał się, żeby poprowadzić Węgrów do walki z Rosjanami?

Radca odwrócił się od okna i zerknął spod oka na ambasadora USA, który w towarzystwie chargé d’affaires (bezpośredniego przełożonego Doolittle’a) oraz szefa placówki CIA w Budapeszcie rozmawiał ściszym głosem w drugim końcu lustrzanej sali recepcyjnej z premierem Węgier, Nagyem. W kącie jeden z asystentów Nagya palił jakieś dokumenty, wrzucając je do kominka.

– Waszyngton powinien nas ostrzec, że jesteś z Firmy – powiedział Doolittle do Ebby’ego. – Lepiej byśmy cię pilnowali, a kiedy zaginałeś, wcześniej byśmy wszczęli alarm.

Ebby dotknął wciąż jeszcze opuchniętego oka.

– Nic by to nie zmieniło – zauważył.

– Chyba masz rację – przyznał Doolittle.

W drzwiach sali pojawił się Arpád w asyście wysokiego, chudego oficera w pomiętym mundurze wojsk pancernych. Żołnierskim krokiem przeszli po marmurowej posadzce i dołączyli do otaczającej Nagya grupki.

– Kto to jest ten facet obok Zelka? – spytał Ebby.

– Pal Maléter, minister obrony i dowódca koszar Kilian. To on negocjował z Rosjanami ich odwrót.

Szef placówki pomachał na Ebby'ego, zapraszając, żeby do nich podszedł. Nagy rozmawiał przez chwilę po węgiersku z Maléterem. Potem zwrócił się do Amerykanów.

– Jeśli można, panie ambasadorze, proszę powtórzyć to, co mi pan powiedział.

Ambasador, dyplomata starej szkoły, który zadreślał się sytuacją na Węgrzech, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dwurzędowej marynarki blankiet depechy. Do kartki doklejone były paski papieru z odszyfrowanym tekstem ściśle tajnego kablogramu, który tego dnia nadszedł do ambasady.

– Mamy doniesienia... – zaczął dygnitarz i odchrząknął; czuł się, jakby odczytywał wyrok śmierci. – ...doniesienia, iż dwa pociągi z sowieckimi czołgami najnowszej typu, T-54, przekroczyły w Zahony węgierską granicę. Zamaskowane maszyny zostały rozmieszczone w rejonie pomiędzy Szolnok i Abony. Wiemy, że stare czołgi T-34, które przed kilkoma dniami wycofały się z Budapesztu, dotarły do Vecses, czternaście kilometrów od miasta, zawróciły i zablokowały drogi. Francuscy dyplomaci, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin opuścili Węgry, donoszą, że widzieli, jak sowieckie czołgi otaczały trzy budapeszteńskie lotniska – Ferihegy, Budaórs i Tokol. Jeden z naszych własnych samolotów zwiadowczych, lecący z bazy w Austrii, wypatrył niedaleko Vac i Cegledopen dwieście czołgów i długą kolumnę transporterów opancerzonych BTR-152, zmierzających w kierunku stolicy.

Nagy zaciągnął się amerykańskim papierosem. Popiół opadł na klapę jego brązowej marynarki, ale premier zdawał się tego nie dostrzegać.

– My także mamy informacje, że znaczna liczba sowieckich czołgów przekroczyła Tiszę i stacjonuje na Węgrzech – powiedział do ambasadora, po czym zwrócił się do swojego ministra obrony i ze względu na obecność Amerykanów zapytał po angielsku: – Czy omawialiście tę sprawę podczas dzisiejszych negocjacji z Rosjanami?

– Tak jest, panie premierze – odparł Maléter. – Ambasador Andropow był wściekły. Twierdził, że to prowokacja CIA, mająca na celu zaognienie naszych wzajemnych stosunków, aby nie dopuścić do ustalenia warunków wycofania się radzieckich żołnierzy z terytorium Węgier. Przestrzegł nas, byśmy nie dali się zwieść Amerykanom.

– Komu wierzycie? – zapytał otwarcie Ebby. – Andropowowi czy nam?

Maléter zmierzył go wzrokiem.

– Mogę tylko powiedzieć, że nie mamy wyjścia. Powiem więcej: nie dopuszczamy innego rozwiązania, gdyż skutki mogłyby się okazać zbyt tragiczne. Oczywiście, jeżeli Sowieci zaatakują Węgry, staniemy do walki. Ale tylko po to, by polec z honorem.

– Nie mamy najmniejszych złudzeń – dodał ponuro Arpád Zelk. – W razie otwartej wojny nie pokonamy Rosjan bez pomocy Ameryki.

– Wierzy pan, panie premierze, że Rosjanie zaatakują? – spytał Nagy chargé d'affaires.

Premier zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Biorąc pod uwagę historię – powiedział w końcu – trzeba odpowiedzieć: tak. Rosjanie nigdy nie rezygnują.

– Bądźmy realistami – wtrącił Maléter. – Na pewno są w Moskwie ludzie, i to na samej górze władzy, którzy argumentują, że gdyby

pozwolono Węgrom odejść z radzieckiej strefy wpływów, inne państwa satelickie niechybnie podążyłyby ich śladem.

Nagy zauważył wreszcie popiół na klapie marynarki i strzepnął go wierzchem dłoni.

– Historia surowo nas osądzi, jeśli posuniemy się za daleko. Rozwaga, oto czego nam potrzeba – wyznał szorstko.

Zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym.

– Wszystko sprowadza się do jednego: co zrobią Amerykanie w razie wojny?

– Od początku jasno stawialiśmy sprawę – zaczął ambasador. – Obecny tu pan Ebbitt z narażeniem życia przekazał jednoznaczny wiadomość panu Zelkowi. W dniu, w którym objął pan stanowisko premiera, panie Nagy, osobiście przedstawiłem panu nasze stanowisko: ani Ameryka, ani NATO nie są przygotowane do interwencji na Węgrzech.

– A gdybyśmy dostarczyli Zachodowi *casus belli*, odstępując od Układu Warszawskiego i deklarując neutralność?

– Nic by to nie zmieniło – odparł ambasador – tylko jeszcze bardziej rozsierdziłoby Sowietów.

– Zatem naszą jedyną nadzieją pozostaje jak najdłużej utrzymać Rosjan w niepewności co do reakcji USA na ewentualną akcję zbrojną – stwierdził Maléter. – Dopóki sytuacja się nie wyjaśni, Chruszczow i jego „gołąbki” z Politbiura mają szansę powstrzymać Żukowa i jego „jastrzębie”.

Kiedy Amerykanie opuszczali gmach Parlamentu, szef placówki CIA wciągnął Ebby’ego do przedsionka.

– Myślę, że powinieneś wrócić ze mną do ambasady. Damy ci dyplomatyczną przykrywkę...

– A co z Zoltanem, moim łącznościowcem? Co z Elizabet Németh?

– Jeżeli się rozniesie, że udzielamy azylu Węgrom, do naszych drzwi zaczną walić tłumy...

– Wielu z nich postawiło dla nas wszystko na jedną kartę.

– To, co zrobili, zrobili dla Węgiei, nie dla nas. Nie jesteśmy im nic winni.

– Przykro mi, ale myślę inaczej – odparł Ebby. – Zostanę z nimi.

Szef placówki wzruszył ramionami.

– Nie mogę ci rozkazywać. Oficjalnie nawet nie wiem, że jesteś w Budapeszcie, odpowiadasz bezpośrednio przed DD/O. A tak między nami, jeśli Rosjanie zaatakują, zmień zdanie.

– Dzięki za radę.

– Dobre rady nic nie kosztują.

Ebby kiwnął głową.

– Twoja jest naprawdę tania.

WASZYNGTON, DC, SOBOTA, 3 LISTOPADA 1956

O wschodzie słońca Bernice przewróciła się na bok, przyciskając duże sutki swoich drobnych piersi do pleców Eugene'a. Poprzedniej nocy zjawił się w jej mieszkanku na poddaszu później niż zwykle – świece, które zawsze zapalała, kiedy wiedziała, że zaraz przyjdzie, dopaliły się niemal do końca – i kochali się też dłużej niż zwykle. Nie chciał brać meskaliny, ale i tak wydawało się, że jest w siódmym niebie.

– Nie śpisz już? – szepnęła mu do ucha Bernice. – Chyba powinnam ci coś powiedzieć, kochanie.

Poruszywszy się leniwie, Eugene otworzył jedno oko i zmrużył powiekę, patrząc na promienie słońca, wdzierające się przez okiennice do wnętrza pokoju.

– Co takiego?

– Wiem już, skąd nie pochodzisz.

– To skąd nie pochodzę?

– Z Kanady, kochanie.

Eugene przekręcił się na plecy. Bernice położyła się na nim. Była lekka jak piórko. Przez chwilę przeczesywała mu palcami włoski na podbrzuszu.

– Skoro nie pochodzę z Kanady, to skąd?

Koniuszką języka musnęła wnętrze jego ucha.

– Ze Związku Radzieckiego, kochanie. Jesteś Rosjaninem.

Eugene szeroko otworzył oczy.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Mamrociesz przez sen w obcym języku.

– Może mówię po kanadyjsku.

Bezgłośny śmiech wstrząsnął ciałem Bernice.

– Powiedziałaś coś jak *kniga*.

– *Kniga*? To bardzo kanadyjskie!

– Daj spokój! Max liznął trochę rosyjskiego, kiedy był w Moskwie podczas wojny. Hej, nie martw się... Powiedziałaś mu, że podsłuchiwałaś dwóch klientów, którzy rozmawiali między sobą po rosyjsku, i zapytałam go o tę „knigę”. A on na to, że mam rację, bo *kniga* to u nich „książka”.

– Książka?

– Tak, kochanie. K s i ą ż k a! Więc nie udawaj niewiniątka. Gadałeś jeszcze inne rzeczy. Na przykład *starik*. Max mówi, że *starik* to po rosyjsku „stary człowiek”, „dziadek”. I że tak nazywali Lenina, bo prawie wszyscy, którzy z nim pracowali, byli od niego młodszy. *Starik*... O Jezusie, Eugene, dostaję gęziej skórki, kiedy pomyślę, że rozmawiasz we śnie z samym towarzyszem Leninem!

Próbował obrócić to wszystko w żart.

– Może w poprzednim wcieleniu byłem Rosjaninem?

– A może jesteś Rosjaninem w tym wcieleniu? Hej, jest jeszcze coś. Mam powody, żeby tak myśleć...

Eugene usiadł na łóżku. Pod plecy wsunął sobie poduszkę i sięgnął po papierosy, leżące na nocnym stoliku. Poczęstował Bernice i sam też zapalił.

– To co? Powiedzieć ci czy nie?

– Lubię dobre żarty.

– Pamiętasz, jak dwa tygodnie temu wybraliśmy się do Key West samochodem Maxa? Przed wyjściem z domu usiadłeś na walizce. To było

takie śmieszne!

– Chciałem ją zamknąć.

– Kiedy na niej siadałeś, kochanie, była już bardzo porządnie zamknięta.

Zaciągnął się w zamyśleniu papierosem.

– A w drodze przypomniałeś sobie, że zostawiłeś antenę od motoroli. Wyszło na to, że jestem skończoną kretynką, bo nawet nie wiedziałam, że do motoroli potrzeba anteny. Jak wróciliśmy, poszłam się wysiusiać. Znalazłeś antenę w szafce i potem znowu zrobiłeś coś śmiesznego – przejrzałeś się w lustrze ściennym, wiszącym obok kibla.

– I dlatego mam być Rosjaninem? Chyba raczej narcyzem!

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam o moim dziadku z Wilna? Zawsze siadał na walizce przed podróżą. Wszystkie dzieci się z niego śmiały! Mówił, że to przynosi szczęście. Za Boga nie chciał przejść z powrotem przez próg, jeśli już raz wyszedł z domu. Uważał to za zły znak. Kiedyś jednak musiał wrócić, bo babcia zapomniała zabrać krople na serce. I wiesz, co wtedy zrobił? Przejrzał się w lustrze, zupełnie tak samo jak ty. – Sięgnęła przez Eugene’a do spodeczka na nocnym stoliku, żeby strzepnąć popiół z papierosa. – Nie wiem, skąd się wziął ten twój brooklyński akcent, ale jeśli ty nie jesteś Rosjaninem, to ja zostanę zakonnicą.

Eugene przyjrzał się uważniej dziewczynie, którą znał od pięciu lat.

– To już przestaje być śmieszne, Bernice.

Pochyliła się nad nim, przycisnęła wargi do jego ucha i zaczęła szeptać:

– Kiedy odkurzałam wczoraj twój pokój nad sklepem, natknęłam się na skrytkę pod podłogą w ubikacji. Znalazłam antenę. Znalazłam pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Więcej, niż kiedykolwiek widziałam na oczy. Znalazłam s p r z ę t – miniaturowy aparat, rolki filmu, jakiś malutki przyrząd, który mieści się w dłoni i wygląda jak mikroskop. Znalazłam

pudełko zapalek z rzędami cyfr i liter po wewnętrznej stronie. – Bernice zadrżała. – Jestem z ciebie taka dumna, Eugene, że o mało nie pęknę. Jestem dumna, że mnie wybrałeś. Jestem dumna, że mogę się z tobą pieprzyć. – Sięgnęła prawą ręką do jego podbrzusza i opiekuńczym gestem pogłaskała go po jądrach. – Och, kochanie, aż mi zapiera dech w piersi, jak o tym pomyślę... To dopiero coś! To po prostu w s p a n i a ł e! Mój Eugene szpiegiem Związku Radzieckiego! Bojownikiem, komunistą, który walczy z amerykańskim imperializmem. – Pieściła jego ciało, ssała sutki, pokrywała wilgotnymi pocałunkami brzuch, muskała wargami penis. – Możesz być spokojny, kochanie. Bernice prędzej umrze, niż powie komuś, że jesteś szpiegiem ojczyzny.

– Nawet Maxowi, Bernice. Szczególnie Maxowi.

Łzy szczęścia płynęły po jej policzkach.

– Nawet Maxowi, najdroższy – wyszeptała bez tchu. – O mój Boże, Kocham cię na zabój, Eugene. Kocham cię za to, kim jesteś, Kocham cię tak, jak kobieta kocha żołnierza. Ta tajemnica będzie naszym pierścieniem zaręczynowym. Przysięgam ci to.

Paplała bez ładu ni składu o światowej rewolucji, o zwycięstwie marksizmu, świetlanej przyszłości i dyktaturze proletariatu, zachłystując się własnymi słowami, aż Eugene przestał w ogóle rozumieć, co do niego mówi.

Poprzedniego wieczoru Eugene spotkał się z SASZĄ w miejscu oznaczonym jako

X O X

O X O

O O X

w zapisie gry w kółko i krzyżyk: przy pomniku McClellana na California Avenue. Spotkanie twarzą w twarzą agenta z jego oficerem prowadzącym należało do rzadkości; przeważnie Eugene odbierał filmy i zaszyfrowane wiadomości ze skrzynek kontaktowych. Zarówno SASZA, jak i Eugene przedsięwzięli zwykłe środki ostrożności, aby upewnić się, że nie są śledzeni; kluczyli, zawracali po własnych śladach, jechali pod prąd jednokierunkowymi uliczkami, wchodzili do sklepów głównym wejściem, a wychodzili bocznym. Na pobliskiej ławeczce pod latarnią pomimo przejmującego zimna dwóch starszuchów grało w szachy. SASZA wskazał ich gestem podbródka, ale Eugene pokręcił przecząco głową. Zanim narysował kredą zakodowane kółka i krzyżyki na skrzynce pocztowej niedaleko domu SASZY, przeprowadził staranne rozpoznanie terenu – za każdym razem widywał tu tych samych, szczelnie opatulonych starszuchów, pochylonych nad szachownicą.

– Wiesz, kim był generał McClellan? – zapytał Eugene, spoglądając na pomnik.

– Wygrał jakąś bitwę w wojnie secesyjnej, ale nie pamiętam którą – odparł SASZA.

– Pod Antietam, jak nazwali tamto miejsce Jankesi, od pobliskiej zatoki. Albo pod Sharpsburgiem, jak wolą ci z południowych stanów. McClellan nieźle przetrzepał tyłek generałowi Lee, ale potem, kiedy przyszło do ostatecznej rozprawy, Lincoln zarzucił mu zbyt dużą ostrożność, „ślamazarność”, jak sam się wyraził, i odebrał dowództwo.

– Moim zdaniem Chruszczow też jest zbyt ślamazarny – westchnął SASZA markotnie. – Jeżeli nie wkroczy na Węgry i nie zdusi tej ich pieprzonej „rewolucji”, wkrótce zbuntuje się cała Europa Wschodnia. A my stracimy strefę buforową. Zobaczysz, będziemy mieli NATO za miedzą.

– Chruszczow zwleka, bo obawia się kolejnej wojny światowej – podsunął Eugene.

– Nie będzie żadnej wojny światowej – oświadczył stanowczo SASZA. – Na pewno nie o Węgry. Dlatego prosiłem o to spotkanie. – Wyciągnął małą torebkę z brązowego papieru, pełną fistaszków. – Pod orzeszkami znajdziesz dwie rolki mikrofilmu, które zmienią bieg historii. Są tam dokumenty z ostatniej chwili, zapis rozmowy telefonicznej na wysokim szczeblu, informacje z wiedeńskiej bazy, jest nawet stenogram narady CIA z udziałem prezydenta Eisenhowera na temat stanu gotowości bojowej stacjonujących w Europie wojsk amerykańskich. Byłem przy tym. Kiedy skończyli, Eisenhower potrząsnął głową i powiedział: „Na Boga, chciałbym im pomóc, ale nie mogę”. Zapamiętaj te słowa, Eugene. Nie ma ich na żadnym z mikrofilmów, to wiadomość z pierwszej ręki!

– „Na Boga, chciałbym im pomóc, ale nie mogę”.

– Odkąd w Budapeszcie zawrzało, Dziadek bombarduje mnie pytaniami. Oto moja odpowiedź: jeśli Chruszczow spuści ze smyczy Żukowa, Amerykanie nie kiwną palcem, żeby pomóc Węgrom.

Eugene poczęstował się orzeszkiem i zabrał torebkę z rąk SASZY.

– Za dwie godziny Dziadek pozna komentarz Eisenhowera.

– Jak się dowiem, że mu to przekazałeś? – zapytał SASZA.

– Czytaj nagłówki w „Washington Post” – odparł Eugene.

Philip Swett sporo się natrudził, żeby skrzyknąć na ten wieczór grono swoich wpływowych przyjaciół, stałych bywalców wystawnych sobotnich bankietów w jego domu w Georgetown. Gwiazdy i gwiazdeczki waszyngtońskiej prasy, bliscy współpracownicy Białego Domu, członkowie rządu, sędziowie Sądu Najwyższego, generałowie z Kolegium Szefów

Sztabów, asy wywiadu z „Kwaszarni” i dygnitarze z Departamentu Stanu wymówili się od udziału w imprezie. Wszyscy byli zbyt zajęci niecodziennymi wydarzeniami w świecie wielkiej polityki, żeby znaleźć czas na spotkania towarzyskie. Tylko Joe Alsop – ten sam, który w jednym ze swych poczytnych felietonów spopularyzował teorię „domina” – wpadł na moment, ale zmył się w połowie przyjęcia, kiedy odebrał pilny telefon z redakcji, z nowiną, iż Moskwa miała podobno zagrozić użyciem rakiet, jeśli Izrael nie zgodzi się na zawieszenie broni na Bliskim Wschodzie, a Brytyjczycy i Francuzi nie złagodzą stanowiska w sprawie Egiptu. Tak więc Swett musiał się zadowolić towarzystwem kilku drobnych płotek w randze podsekretarzy stanu i doradców wszelkiego autoramentu oraz swojej zbłąkanej córki Adelle i jej męża Leo Kritzky’ego. Robiąc dobrą minę do złej gry, zaprosił wszystkich do jadalni.

– Wygląda na to, że w następnny wtorek Stevenson pójdzie na dno – oznajmił, skinąwszy na kelnerów, żeby otworzyli szampana i napełnili kieliszki. – Według ostatnich sondaży Ike zbierze pięćdziesiąt siedem procent głosów.

– Adlai nigdy nie miał szans – wtrącił jakiś urzędnik z Departamentu Stanu. – Żaden przemądrzały gubernator z Illinois nie prześcignie Eisenhowera. Zwłaszcza że na Węgrzech szaleje rewolucja, a sytuacja na Bliskim Wschodzie może zaognić się z dnia na dzień!

– Ludzie są przerażeni, obawiają się wojny – zauważył mężczyzna piszący przemówienia republikanom. – Chcą mieć u steru kogoś, kto już sprawdził się w walce.

– Bać się wojny to jedno – utrzymywał kapitan marynarki z Kolegium Szefów Sztabów – a co innego stać z boku i przyglądać się, jak nasi sojusznicy: Brytyjczycy, Francuzi i Żydzi, ruszają do ofensywy na Egipt, żeby odzyskać Kanał Sueski. Jeżeli teraz nie pomożemy naszym

przyjaciołom, oni też nie kiwną palcem, kiedy my znajdziemy się w potrzebie.

– Ike postępuje rozważnie, nic więcej – przekonywał urzędnik z Departamentu Stanu. – Powstanie na Węgrzech to dla Rosjan drażliwa kwestia. A inwazja Izraela na Synaj i brytyjsko-francuskie ataki na lotniska wojskowe w Egipcie mogą doprowadzić do tego, że Moskwa poczuje się zagrożona i błędnie oceni sytuację.

– W erze atomowej jeden mały błąd w ocenie może zniszczyć świat – wtrąciła Adelle. – Jako matka dwóch małych dziewczynek nie winię amerykańskiego prezydenta o to, że jest ostrożny.

– Zbytek ostrożności nie zawsze popłaca – powiedział Leo.

– A to ciekawe... Zechcesz wyrazić się jaśniej, z łaski swojej? – odezwał się Swett u szczytu stołu.

Leo zerknął na Adelle, która uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: na litość boską, nie pozwól mu się zastraszyć. Uśmiechnął się z zażenowaniem, po czym zwrócił się do teścia.

– Z informacji, jakie ostatnio do mnie dotarły, wynika, że Chruszczow i jego poplecznicy stracili ochotę na bezpośrednią konfrontację – zaczął. – To prawda, że będą jeszcze dla zasady wymachiwać szabelką i zapewne postraszą nas interwencją w sprawie Kanału Sueskiego. Ale ważne jest to, co robią, a nie to, co mówią. Kiedy Węgrzy wyszli na ulice, Sowieci wycofali swoje wojska z Budapesztu. Jeżeli dobrze rozegramy tę partię, uda się nam wyrwać Węgry z radzieckiej strefy wpływów.

– Rosjanie, podobnie jak my, wierzą w teorię „domina” – odezwał się członek zespołu doradców z Departamentu Stanu, znany z licznych publikacji profesor, który na dobrych radach zbił niezłą fortunę. – Wiedzą,

że jeżeli choć jedno państwo satelickie wyjdzie z ich obozu, inne podążą tym samym śladem. Nie mogą sobie pozwolić na takie ryzyko.

– Czy to właśnie mówi pan w Departamencie Stanu? Że Armia Sowiecka ruszy na Węgry? – zapytał Swett.

– Proszę mi wierzyć, Armia Sowiecka powróci, i to z posiłkami – zapowiedział profesor.

– Gdyby Rosjanie faktycznie zaatakowali – znów wtrącił Leo – Ameryce i NATO nie będzie wypadało stać z założonymi rękami. A skoro nie mamy zamiaru się do tego mieszać, musimy przełknąć porażkę i przestać trąbić na prawo i lewo o naszej bezkompromisowej walce z komunizmem. Oczywiście jeżeli chcemy zachować twarz.

Adelle, która była doradcą prawnym lidera senackiej większości Lyndona Johnsona, zdziwiła się.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy przystąpić do wojny, żeby utrzymać wiarygodność?

Zanim zdążył odpowiedzieć, do rozmowy włączył się urzędnik z Departamentu Stanu.

– Proszę zapamiętać moje słowa: nikt nie pójdzie bić się za Węgry. Znając Ike' a, znając Johna Fostera Dullesa, wycofamy się, jak przyjdzie co do czego.

– Mam nadzieję, że pan się myli – uparcie obstawał przy swoim Leo. – Mam nadzieję, że przynajmniej starczy im odwagi, żeby zwodzić Rosjan. Dopóki Rosjanie nie będą pewni reakcji Ameryki, „gołębie” z Politbiura, a z nimi Chruszczow, mogą powstrzymywać zakusy „jastrzębi”.

Kiedy ostatni gość opuszczał rezydencję, zegar wybijał północ. Zostali we własnym, rodzinnym gronie (przed dwoma laty Philip Swett, już jako szczęśliwy dziadek bliźniaczek, uznał Leo, aczkolwiek niechętnie, za

członka rodziny). Pan domu otworzył bardzo starą i bardzo drogą butelkę napoleona i rozlał złocisty trunek do trzech kieliszków.

– Nasze zdrowie! – wzniósł toast.

Z namaszczeniem pociągnął pierwszy łyk. Przez chwilę obracał kieliszek w palcach i delikatnie pomlaskiwał wargami, rozkoszując się dojrzałym bukietem i popatrując spod oka na zięcia.

– Wiedziałem, Leo, że jesteś zagorzałym przeciwnikiem komunizmu. Podejrzewam, że nie pracowałbyś w Firmie, gdyby było inaczej... Ale nigdy nie przypuszczałem, że masz bzika na tym punkcie. Strasznie się gorączkujesz tą historią na Węgrzech.

– Przyznasz, że jest coś wzniosłego... ekscytującego... w narodzie, który zrzuca jarzmo niewoli – odparł Leo.

– A niech sobie zrzucają, tylko dlaczego naszym kosztem? Ta ich wolność grozi zagładą reszty świata!

– Każdy ma własny pogląd na to, co leży w interesie Ameryki... – zaczął Leo.

– Co nam, do ciężkiej cholery, przyjdzie z tego, że wywołamy wojnę atomową i zamienimy Stany w kupę popiołów?! – Swett zmrużył oczy i spojrzał na zięcia. – Skąd masz pewność, że Chruszczow i jego zgraja stracili ochotę na konfrontację? Wiesz coś, o czym nie piszą w gazetach? A może macie wtykę w samym Politbiurze?

Leo uśmiechnął się nerwowo.

– Powiedzmy, że to taka... naukowa hipoteza.

– Nie pieprz! Co ma do tego nauka? – zachnął się Swett.

– Ja też się z nim nie zgadzam, tatku – wtrąciła Adelle. – Ale każdy ma prawo do własnego zdania.

– A niech sobie ma. Tylko po co plecie bzdury?

Swett wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Leo, zamiast się obrazić, machnął ręką na gadanie staruszka.

– I tym optymistycznym akcentem – powiedział, wstając od stołu – powinniśmy zakończyć, bo musimy wracać, żeby zwolnić opiekunkę.

Skinął głową teściowi.

– Do widzenia, Phil.

Swett odpowiedział tym samym.

– Trzymaj się, Leo.

Adelle westchnęła.

– Cóż, przynajmniej znacie swoje imiona.

Pochylony nad biurkiem w tajnym gabinecie w podmoskiewskiej willi Abakumowa, Dziadek dopasowywał wypisane na kartce cyfry do liter z tabeli bloczka szyfrowego, odczytując raport od swojego agenta w Rzymie; wolał, żeby wiadomości na temat operacji CHOŁSTOMIER nie przechodziły przez ręce szyfrantów. Były tam wymienione znaczne kwoty w dolarach amerykańskich, przelane w ciągu ostatniego półrocza do pewnego banku w Szwajcarii przez SowGaz i Radziecką Spółdzielnię Importowo-Eksportową, a następnie dyskretnie wpłacone na konta kilku podstawionych spółek z Luksemburga, które z kolei przekazały otrzymane pieniądze do Banco Ambrosiano, największego prywatnego banku we Włoszech, skąd ostatecznie powędrowały do samej Stolicy Apostolskiej, gdzie spoczęły bezpiecznie w skarbcu watykańskiego banku.

Dziadek spalił zaszyfrowaną wiadomość i bloczek w wiadrze na węgiel, a potem włożył odkodowany już raport do staromodnego segregatora z żelaznym zamkiem. Na dębowym wieczku wypisane były ozdobną cyrylicą słowa: *Sowierszenno siekrietno* („Ścisłe tajne”) i CHOŁSTOMIER.

Postawił pudełko na półce dużego sejf, wbudowanego w ścianę za portretem Lenina, uruchomił mechanizm awaryjnego samozniszczenia, zamknął ciężkie drzwiczki i starannie przekręcił zamki u góry i u dołu jedynym istniejącym kluczem, który zawsze nosił na szyi, na kutym w srebrze łańcuszku.

Teraz zajął się drugą depeszą, która nadeszła czternaście minut wcześniej jako „natychmiastowa”. Pracujący w kabinie ciszy szyfranci złamali ją przed chwilą. Oficer, który dostarczył odszyfrowany tekst, wspomniał, że rezydentura w Waszyngtonie, używając procedury awaryjnego kontaktu, zgłosiła się przez radio poza godzinami zwykłej transmisji, co podkreślało wagę sytuacji.

Dziadek przeczytał krótką wiadomość od SASZY – „Na Boga, chciałbym im pomóc, ale nie mogę” – i oczy mu rozbłysły. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer wartowni.

– Przeprowadzić mój samochód pod frontowe drzwi. Natychmiast! – rozkazał.

Krążąc po korytarzu, Dziadek wyjął z paczki ostatniego bułgarskiego papierosa z pustą gilzą i wsunął go między wargi. Opakowanie zgniótł w dłoni i wrzucił do stojącego w kącie kubła z blachy falistej. Jeden z sześciu ochroniarzy KGB, siedzących na drewnianych ławkach pod ścianą i przeglądających kolorowe czasopisma, zauważył, że Dziadek maca się po kieszeniach, i podał mu ogień. Pasza Siemionowicz Żyłow pochylił się nad płomieniem zapalniczki i zaciągnął głęboko.

– Jak długo to trwa?! – zawołał do siedzącego pod drzwiami sekretarza, młodego człowieka o posępnej twarzy, z ogromnymi okularami na nosie.

– Od dziewiątej rano – odparł sekretarz.

– Siedem godzin – burknął jeden z ochroniarzy.

Zza zamkniętych drzwi sali obrad Politbiura dochodził stłumiony szmer ożywionej dyskusji. Co chwila ktoś podnosił głos i można było usłyszeć oderwane zdania: „Nie, nie dostaniecie tego na piśmie”, „Nie mają wyjścia, muszą nas poprzeć”, „To kwestia najwyżej kilku dni”, „Rozważcie konsekwencje”, „Jeśli odmówicie, na was będzie spoczywać cała odpowiedzialność”.

Dziadek przystanął obok sekretarza.

– Na pewno wie, że tu czekam?

– Położyłem mu waszą notatkę przed samym nosem. Co jeszcze mogę zrobić?

– Muszę z nim mówić, zanim zapadnie ostateczna decyzja – powiedział Dziadek. – Zadzwońcie do niego.

– Mam ścisły rozkaz, żeby nie przerywać...

– A ja wam nakazuję przerwać. Źle się to dla was skończy, jeśli odmówicie.

Młody człowiek spojrzał na niego w rozterce, niezdecydowany, co powinien uczynić.

– Dajcie mi to raz jeszcze na piśmie, towarzyszu generale-pułkowniku. Zobaczą, co się da zrobić.

Dziadek nabazgrał coś w notesie i wyrwał kartkę. Sekretarz nabrał powietrza i wszedł do sali, zostawiając za sobą uchylone drzwi, zza których znów dobiegły strzępki dyskusji: „Jeżeli nie wkroczymy, narazimy ich na niedopuszczalne ryzyko”, „Jeszcze nie pozbiali się po ostatniej wojnie”, „Na kontrrewolucję musimy odpowiedzieć siłą. Tylko tak przemówimy im do rozumu”...

Drzwi otworzyły się szerzej. Z sali wyszedł sekretarz, a za jego plecami pojawiła się korpulentna postać Nikity Chruszczowa. Ochroniarze skoczyli

na równe nogi i wyprężyli się w postawie na baczność. Dziadek rzucił papierosa na podłogę i przydeptał.

Chruszczow był w paskudnym nastroju.

– Co jest, do cholery? Co to za ważna sprawa, że nie może poczekać...

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Dziadek wyjął brązową kopertę, a z niej kilka kartek papieru i podał Chruszczowowi.

– To mówi samo za siebie.

Pierwszy sekretarz KPZR włożył na nos okulary w stalowej oprawce i zaczął przeglądać dokumenty. Kiedy skończył czytać pierwszą stronę, jego grube wargi rozchyliły się w wyrazie bezbrzeżnego zdziwienia. Od czasu do czasu podnosił wzrok i rzucał pytanie.

– Jak bardzo jesteście pewni źródła tych informacji?

– Za tego agenta rękę własną głową.

– To są chyba zapiski ze spotkania...

– Odbyła się trójstronna rozmowa telefoniczna na wysokim szczeblu, w której uczestniczyli dyrektor CIA Dulles, jego brat John Foster Dulles, przebywający obecnie w szpitalu na rekonwalescencji, oraz sekretarz obrony Charles Wilson. Notował stenotypista z biura Dullesa.

Chruszczow zachichotał.

– Nie będę was pytał, jak weszliście w posiadanie tych papierów.

– Nie powiedziałbym wam, nawet gdybyście spytali – odpowiedział Dziadek bez uśmiechu.

Chruszczow najeżył się.

– Jeżeli wam każę, to mi powiecie.

– Najpierw złożylbym rezygnację – odparł stanowczo Dziadek.

W drzwiach, za plecami pierwszego sekretarza, stanął Nikołaj Bułganin, były mer Moskwy, który w zeszłym roku na polecenie Chruszczowa został mianowany premierem.

– Nikito Siergiejewiczu, marszałek Żukow nalega na odpowiedź...

Chruszczow wręczył Bułganinowi plik papierów.

– Przejrzyjcie to, Nikołaju Aleksandrowiczu – rzucił szorstko.

Przeczytał pozostałe dokumenty, dwa z nich nawet dwukrotnie, po czym spojrzał na Dziadka. Jego małe oczka błyskały z podniecenia w okrągłej jak naleśnik twarzy.

– Ta uwaga w nawiasie, tu na górze – powiedział, ścisząc głos – sugeruje, że te słowa wypowiedziano w Białym Domu.

Dziadek pozwolił sobie na wąty uśmiech.

Chruszczow pokazał Bułganinowi ostatnią kartkę, a potem oddał wszystko Dziadkowi.

– Przyjmijcie moje podziękowania, Paszo Siemionowiczu. Oczywiście rzuca to zupełnie nowe światło na całą sytuację.

Rzekłszy to, pierwszy sekretarz powrócił wraz z drepczącym za nim premierem na salę obrad, starannie zamykając za sobą drzwi. Ochroniarze z powrotem usiedli na ławkach. Młody sekretarz odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że za ciężkimi, drewnianymi drzwiami burza już przeszła, a jej miejsce zajął monotony szmer głosów, pogrążonych w rzeczowej dyskusji, zmierzającej do podjęcia jednogłośnej decyzji.

BUDAPESZT, NIEDZIELA, 4 LISTOPADA 1956

Na scenie kina „Korwin”, pośród walających się po podłodze skórek pomarańczy, pustych puszek po sardynkach, połamanych skrzynek po zużytej amunicji, różnorakiej broni, porozrzucanych w nieładzie ubrań i stert odbitych na powielaczu odezw i broszur, aktorzy dramatu czekali na odsłonę trzeciego aktu. Kilka nastoletnich dziewcząt wkładało w kieszonki ładownic naboje pistoletów maszynowych, przemycone poprzedniego wieczoru z węgierskiej bazy wojskowej. Chichotały przy tym, zerkając zalotnie na chłopców. Siedzące na proscenium kobiety napełniały benzyną butelki po piwie i wciskały do nich szmaciane lonty. Zoltan, cygański łącznościowiec Ebby’ego, ostrzył w kącie długi, zakrzywiony nóż ojca swego ojca, od czasu do czasu sprawdzając klingę opuszką kciuka. Młody dowódca oddziału, który właśnie wrócił z patrolu na peszteńskim brzegu Dunaju, odpiął ładownicę, zdjął skórzaną kurtkę i wydziergany na drutach sweter i położył się na sienniku obok śpiącej smacznie, piegowatej nastolatki o jasnych, ściągniętych w kucyki włosach. Dziewczyna poruszyła się, obróciła i wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi. Przez parę minut szeptali coś do siebie, po czym zasnęli, ciasno objęci. Z tyłu widowni Ebby, z głową wspartą na prowizorycznej poduszce ze zwiniętej kotary, drzemał na składanym drewnianym krześle. Elizabet wyciągnęła się na trzech siedzeniach w ostatnim rzędzie, przykryta wojskowym szynelem. Oczy i uszy zasłoniła za dużą dla niej marynarską czapkę, która odgradzała ją co prawda od światła i dźwięku, ale nie chroniła przed dręczącym niepokojem.

Na krótko przed czwartą nad ranem przez podwójne drzwi sali kinowej wkroczył Arpád. Rozejrzał się wokół. Spostrzegłszy Ebby'ego, przeszedł przez widownię i opadł ciężko na krzesło obok Amerykanina.

Ebby obudził się natychmiast.

– A więc to prawda? – zapytał.

Arpád posepnie kiwnął głową. Oczy miał podkrążone z niewyspania.

– Musisz jak najszybciej przekazać te wieści swoim amerykańskim przyjaciołom w Wiedniu. Pál Maléter i pozostali członkowie delegacji zostali zaproszeni na dalsze negocjacje do radzieckiego stanowiska dowodzenia na wyspie Tokol na Dunaju. Tuż po jedenastej w nocy Maléter zadzwonił, że nic nie zakłóca rozmów. Godzinę później zjawił się w Parlamencie jego kierowca i zameldował, że wszystkich aresztowano. KGB wtargnął na salę obrad podczas przerwy na kawę. Kierowca Malétera drzemał w szatni. Przeoczyli go w zamieszaniu i udało mu się wymknąć tylnymi drzwiami. Powiedział, że prowadzący pertraktacje radziecki generał dostał szału. Dał Maléterowi słowo żołnierza, że węgierska delegacja będzie bezpieczna. Dowódca oddziału KGB wziął go na stronę i szepnął mu coś do ucha. Generał machnął ręką ze złością i wyszedł. Ci z KGB założyli naszym na głowy brezentowe worki i wyprowadzili ich z gmachu.

– To może oznaczać tylko jedno – mruknął Ebby.

Arpád westchnął.

– Wszyscy nas zdradzili – powiedział smutno. – Nic nam nie pozostało, jak tylko polec w walce.

Z zewnątrz dobiegł głuchy stukot karabinów, jakby ktoś pukał do drzwi gdzieś daleko. Nad Pesztem przetoczył się głuchy grzmot wybuchów. Śpiący na podłodze studenci zerwali się na równe nogi. Kolejna eksplozja,

tym razem w alei Ulloi, sprawiła, że budynek zatrzęsł się w posadach. Wszyscy zaczęli przekrzykiwać się nawzajem, aż wreszcie jeden z oficerów wskoczył na scenę i kazał im się uciszyć. Wydawał krótkie, jasne rozkazy. Chwyając za broń, upychając po kieszeniach butelki z benzyną, powstańcy rzucili się do drzwi.

Elizabet wstała. Dygocząc pod szynelem, który otulał ją niczym peleryna, przyciskała ręce do okaleczonej piersi, wsłuchana w odległy huk wystrzałów. Krew odpłynęła jej z twarzy, usta zbieleły.

– Co się dzieje? – wyszeptała z trudem.

Arpád podniósł się z krzesła.

– Rosjanie wrócili. Wypowiedzieli wojnę naszej rewolucji.

Mówił coś jeszcze, ale jego słowa zagłuszyła potężna eksplozja w pobliżu koszar Kilian po drugiej stronie ulicy. Światła w kinie zgasły, z sufitu posypał się tynk.

Wokół widowni zabłysły latarki. Ebby dopadł Zoltana i pociągnął go do przejścia, wybitego w ścianie łączącej kino z przyległym budynkiem. Wspięli się na ostatnie piętro, do pustego mieszkania, które służyło za punkt łączności. Ogryzkiem ołówka Ebby nabazgrał w pośpiechu depeszę KRYZYS do placówki w Wiedniu.

– Nie baw się teraz szyfrowaniem – powstrzymał Zoltana. – Najważniejsze to...

Przerwał mu skowyt MiG-ów, przelatujących tuż nad dachami. Kiedy ryk silników ucichł, Ebby usłyszał donośne staccato ich działek. Podbiegł do okna i zobaczył, że sąsiadujący z koszarami dom stanął w płomieniach. Zoltan, ze zmarszczką skupienia na czole, podłączał radio do akumulatora. Cierpliwie kręcił gałką, dopóki strzałka nie wskazała, że złapał sygnał połączenia. Następnie podłączył klucz Morse'a. Ebby skończył pisać. Podał

kartkę Zoltanowi, przytrzymując latarkę, podczas gdy Cygan wystukiwał słowa:

sowiecka artyleria na wzgórzach budy rozpoczęła ostrzał pesztu o 4 rano
wybuchy słyszalne w całym mieście jeden pocisk wylądował na ulicy
przed korwin sowieckie samoloty bombardują kryjówki rebeliantów
według niepotwierdzonych meldunków kgb aresztował ministra obrony
pala maletera i pozostałych członków węgierskiej delegacji wczoraj
w nocy powstańcy w korwin szykują się do oporu ale tym razem chyba
nie wygrają

Pochylony nad kluczem Morse'a Zoltan, posługując się dwoma palcami prawej ręki, podpisał wiadomość kryptonimem Ebby'ego. Usłyszeli dudnienie czołgów, jadących wzdłuż Ulloi. Ebby otworzył okno i wyjrzał. Długa kolumna zamglonych świateł sunęła ulicą w kierunku kina. Co chwila któraś z maszyn obracała się ociężale na gąsienicach, celując prosto w budynek. Jak przewidział Zoltan, ostatnie piętro było poza zasięgiem rażenia. W ograniczonej przestrzeni ulic działa miały niewielkie pole manewru, mogły jednak zniszczyć dolne kondygnacje, a wówczas wszystko ległoby w gruzach.

– Chyba powinniśmy stąd wiać – stwierdził Ebby.

Zoltanowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zwinęli antenę, wpełchnęli do plecaka radio i akumulator i zbiegli pędem po schodach do przejścia w ceglany murze, a kiedy pierwsze sowieckie czołgi zaczęły bombardować budynek, wymknęli się na uliczkę na tyłach kina. Chmury nad ich głowami poczerwieniały od szalejących w mieście pożarów. Dziewczęta i chłopcy z kina „Korwin”, ubrani w krótkie skórzane kurtki z czerwono-biało-zielonymi opaskami na rękawach i czarne berety, siedząc w kucki, czekali na swoją kolej, żeby rzucić się z koktajlami Mołotowa na czołgi, których lufy wciąż były skierowane na betonowe ściany kina

i podobną do twierdzy fasadę masywnego budynku koszar po drugiej stronie ulicy. Ktoś włączył radio na baterie i ustawił je na dachu taksówki z przebitymi oponami. Najpierw słychać było jedynie trzaski, lecz po chwili z głośnika popłynął głuchy, beznamienny głos Imre Nagya.

Gestykulując z zapalem rękami, jakby to on sam przemawiał, Zoltan tłumaczył Ebby'emu słowa premiera:

– Mówi, że siły radzieckie zaatakowały naszą stolicę, żeby obalić legalny demokratyczny rząd Węgier. *Okay...* Mówi, że nasi bojownicy wolności walczą z wrogiem. Mówi, że naród węgierski... cały świat... nie może patrzeć obojętnie na to, co się tu, do cholery, wyprawia. Mówi, że dzisiaj chodzi o Węgry, ale jutro może przyjść kolej na...

Pośród studentów, gotujących się do ataku na sowieckie czołgi, rozległy się szydercze gwizdy. Żaden z tych młodych ludzi nie podzielał rozterek premiera – książkowego reformatora i komunisty z przekonania, miotającego się pomiędzy sowieckim Politbiurem i antykomunistycznymi żądaniami przytłaczającej większości narodu. Jakiś chłopak podniósł karabin, wymierzył i zestrzelił radio z dachu taksówki. W tłumie rozległy się oklaski.

Z sąsiedniej ulicy raz po raz dochodził odgłos serii z karabinów maszynowych. Zza rogu wypadł oddział powstańców, niosących kilku rannych. Na wyrwanych z zawiasów drzwiach studenci medycyny z białymi opaskami na rękawach zanieśli ich do kina „Korwin”.

Kilku młodych ludzi, stojących najbliżej wylotu uliczki, podpaliło lonty w koktajlach Mołotowa. Piegowata szesnastolatka z kucykami trzęsa się od płaczu. Ktoś próbował odebrać jej butelkę z benzyną, ale ona ścisnęła ją w rękę z całej siły. Kiedy nadeszła jej kolej, dziewczyna wstała i chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Za nią pobiegli inni. Metaliczny terkot radzieckich karabinów rozdarł zamgloną ciszę poranka. Kule

wyszczерbiły ceglaną ścianę po drugiej stronie jezdni i z brzękiem spadły na ziemię.

Zoltan podniósł jedną z nich i obrócił w palcach; była jeszcze ciepła. Pochylił się do Ebby'ego.

– Wiesz, co myślę? *Okay...* Lepiej ruszmy dupę i wiejmy do amerykańskiej ambasady.

Ebby pokręcił głową.

– Którędy? Nie przejdziemy.

W kinowym foyer, przy schodach, Arpád i Elizabet kłócili się zawzięcie. On co chwila odwracał się, jakby chciał odejść, a ona przytrzymywała go za klapy skórzanej kurtki i perorowała dalej. Musieli odsunąć się na bok, żeby przepuścić dwóch studentów medycyny, taszczących do piwnicy ciało martwej dziewczyny – tej samej piegowatej szesnastolatki, która rozplakała się, zanim wybiegła na ulicę. Na jej widok Arpád uniósł ręce w geście przerażenia, lecz potem wzruszył ramionami w poczuciu gorzkiej rezygnacji.

Elizabet podeszła do Ebby'ego i przykucnęła obok.

– Pamiętasz tunel, który biegnie pod ulicą do Kilian? Namówiłam Arpáda, żeby z nami poszedł. W koszarach zabarykadowało się kilkuset powstańców, mają mnóstwo amunicji. Ściany w niektórych miejscach są grube na trzy metry. Możemy się tam bronić przez długi czas. Nawet jeśli reszta miasta się podda, będziemy podsycać opór, nie pozwolimy, by wygasł. Może Zachód przyjdzie nam z pomocą? Może intelektualiści zmuszą rządy swoich krajów do powstrzymania Sowietów. – Wskazała na plecak Zoltana. – Musisz z nami iść, żeby wysyłać raporty do Wiednia. Napisz, że wciąż się bronimy. Tobie uwierzą.

Zoltan natychmiast docenił korzyści, płynące z przeniesienia się do koszar.

– W razie czego z Kilian można uciec tunelami do miasta – przekonywał.

– Moje raporty niczego nie zmieniają – odparł Ebby. – Przecież wreszcie znajdzie się ktoś z odrobiną oleju w głowie i położy kres tej masakrze.

– Dopóki walka trwa, musisz wysyłać raporty – nalegała Elizabet.

Ebby kiwnął głową bez wielkiego entuzjazmu.

– Powiem im, jak umierają Węgrzy, ale powtarzam wam: to niczego nie zmieni.

Wszyscy czworo zeszli po kręconych, żelaznych schodkach do kotłowni, a potem wąskim, ciasnym korytarzem przedostali się do piwnicy, w której dawniej, zanim kino przeszło na centralne ogrzewanie, składowano węgiel na opał. Teraz urządzono tam tymczasową kostnicę. Za nimi sanitariusze wnosili coraz więcej ciał i układali je rzędami, tak jakby ów geometryczny ład mógł złagodzić niezrozumiały chaos gwałtownej i przedwczesnej śmierci. Niektóre zwłoki były kompletnie zmasakrowane, inne nie nosiły żadnych widocznych śladów przemocy i gdyby nie tocząca się w mieście wojna, nikt by nie potrafił odgadnąć, co stało się przyczyną zgonu. W niewietrzonych podziemnych korytarzach panował nieznośny trupi odór i Elizabet, ze łzami w oczach, podciągnęła golf aż po czubek nosa.

Klucząc pomiędzy ciałami, dotarli do stalowych drzwi, które prowadziły do wąskiego tunelu, oplecionego siecią grubych kabli elektrycznych. Na wielkim kamieniu ktoś wyrył dłutem datę „1923”, a pod nią nazwiska robotników, pracujących na tej budowie. Przeszedłszy około czterdziestu metrów, znaleźli się pod aleją Ulloi. Nad ich głowami zadudniły gąsienice czołgów, jeżdżących tam i z powrotem w poszukiwaniu celu. Arpád, który szedł pierwszy, załomotał lufą pistoletu w stalowe drzwi przy końcu tunelu.

Dwa razy, potem przerwa, i znowu dwa razy. Usłyszeli, jak odskakują ciężkie zasuwę. Zgrzytnęły zawiasy i drzwi otworzyły się powoli. Oczom uciekinierów ukazał się ksiądz o wejrzeniu szaleńca i siwej, postrzępionej brodzie, opadającej na wytartą sutannę. Kilku chłopców, uzbrojonych w zbyt dla nich duże, przestarzałe karabiny, błysnęło im w oczy latarkami. W słabym świetle można było dojrzeć dziecinne twarze i wytarte polowe mundury młodziutkich żołnierzy. Rozpoznawszy Arpáda, ksiądz wykrzywił wargi w uśmiechu.

– Witam w Gehennie! – zawołał histerycznie.

Uroczystym gestem podniósł kciuk, z namaszczeniem zwilżył go własną śliną i nakreślił znak krzyża na czole każdego z czworga przybyszów, przekraczających próg powstańczej reduty.

WIEDEŃ, ŚRODA, 7 LISTOPADA 1956

Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych przybył do Wiednia niezwłocznie. Wprowadziwszy się do swojego starego kumpla z Georgetown, Llewellyna Thompsona, obecnie amerykańskiego ambasadora w Austrii, As urządził sobie centrum dowodzenia w wykładanej boazerii bibliotece ambasady i zabrał się do mozolnego studiowania każdego świstka papieru, który wpadł mu w ręce. Millie Owen-Brack zarekwirowała wózek na herbatę, żeby przewozić sterty depesz z Firmy i Departamentu Stanu oraz przesyłane na bieżąco doniesienia agencji prasowych z całego świata; przed Asem piętrzyła się rosnąca w błyskawicznym tempie góra papierów. Półprzytomny z niewyspania, z zaczerwienionymi oczami i mokrą od potu koszulą, atakował każdą nową kartkę z melancholijną determinacją, jakby sama lektura o tym, co działo się po drugiej stronie odległej o kilkadziesiąt kilometrów granicy, miała mu dopomóc w opanowaniu sytuacji. Poprzedniego dnia Dwight Eisenhower przytłaczającą większością głosów po raz drugi wygrał wybory, ale As prawie tego nie zauważył.

– Kałmuckie hordy przeczesują osiedla dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu w poszukiwaniu przywódców rebelii – odczytał na głos depeszę, wysłaną z ambasady USA w Budapeszcie. – Bojownicy wolności tysiącami ładowani są do bydłych wagonów i wywożeni w kierunku Ukrainy.

Wisner zmiął kartkę i rzucił na podłogę.

– Matko Boska – jęknął, z głośnym świstem wciągając nosem powietrze.
– To znowu Ebbitt, z datą piąty listopada: „Koszary Kilian wciąż jeszcze odpierają oblężenie. Nastolatki przywiązują sobie do pasa laski dynamitu i rzucają się wprost pod gąsienice sowieckich czołgów. Kończą się zapasy amunicji. Morale spada. Bojownicy wolności postawili w oknach martwe ciała swoich kolegów w nadziei, że Rosjanie zaczną do nich strzelać i zabraknie im kul. Wszyscy pytają, co na to ONZ i kiedy przyjdą Amerykanie. Co mam im powiedzieć?”

Wisner ze łzami w oczach wymachiwał Millie przed nosem depeszą Ebby’ego.

– Przez sześć lat – sześć lat! – namawialiśmy naiwniaków z państw satelickich do buntu przeciw sowieckiej dominacji. Wydaliśmy miliony na tajne operacje i stworzenie odpowiedniej infrastruktury: zgromadziliśmy arsenały broni w całej Europie, wyszkoliliśmy tysiące agentów... Mój Boże, Węgrzy w Niemczech walą do nas drzwiami i oknami, żeby tylko wysłać ich do kraju. A my co robimy? Co my robimy, Millie? Wciskamy im te cholerne, nadęte, górnolotne frazesy Eisenhowera: „Ameryka całym sercem jest z narodem węgierskim”. Cóż, może i serce się wyrywa, ale ręka mocno tkwi w kieszeni...

– Wszystkiemu winien Suez. Teraz gra toczy się o kanał – powiedziała cicho Owen-Brack, ale As, zajęty już kolejną depeszą, nie słuchał jej wcale.

– O Jezu, posłuchaj tego... Od korespondenta „Associated Press” z Budapesztu: **POD OSTRZAŁEM KARABINÓW MASZYNOWYCH. CZY POMOC WRESZCIE NADCIĄGNIE? SZYBKO, SZYBKO. NIE MA CZASU DO STRACENIA. Posłuchaj tego: SOS SOS. SĄ CORAZ BLIŻEJ. NIE WIEM, JAK DŁUGO ZDOŁAMY SIĘ UTRZYMAĆ. POCISKI WYBUCHAJĄ TUŻ OBOK. KRAŻĄ POGŁOSKI, ŻE**

AMERYKANIE BĘDĄ TU ZA GODZINĘ ALBO DWIE. CZY TO PRAWDA?

Wisner rzucił kartki na stół i wyciągnął ze stosu kilka następnych, jakby nie mógł się doczekać końca opowieści:

– ŻEGNAJCIE, PRZYJACIELE. NIECH BÓG MA W OPIECE NASZE DUSZE. ROSJANIE SĄ TUŻ.

As jak w transie cytował na głos oderwane zdania, ciskał niedoczytane depesze na podłogę i wyciągał kolejne.

– „Przyspieszone egzekucje... miotacze ognia... zwęglone ciała... ochlapane wapnem zwłoki, zakopane w płytkich grobach na skwerach i w parkach... Ukrywający się w jugosłowiańskiej ambasadzie Nagy, skuszony obietnicą amnestii, opuścił gmach poselstwa przy placu Stalina i został aresztowany”...

W drzwiach biblioteki stanął ambasador Thompson.

– Musisz odpocząć, Frank – powiedział, przedzierając się przez stosy zmiętych kartek, walających się po podłodze.

Podszedł do biurka i położył dłoń na ramieniu Wisnera.

– Powinieneś coś zjeść i porządnie się wyspać. Wtedy będziesz jaśniej myślał.

As strząsnął jego rękę.

– Nie chcę jaśniej myśleć! – krzyknął.

Zgarbił się, jakby nagle odpłynęła z niego cała energia.

– Nie chcę myśleć – poprawił się chrapliwym szeptem.

Obiema rękami przyciągnął ku sobie kolejną stertę papierów, jakby to były żetony wygrane właśnie w ruletkę, i chwycił pierwszą z brzegu depeszę, na którą naklejono paski z odszyfrowanym tekstem. Wyszła od samego dyrektora CIA, Allena Dullesa.

– Oto wiadomość z Waszyngtonu – prychnął z irytacją. – KWATERA GŁÓWNA PRZYPOMINA PLACÓWCE W WIEDNIU, ŻE POLITYKA FIRMY NIE POLEGA NA PODŻEGANIU DO BUNTU. Nie podżegać do buntu! Jesteśmy świadkami kałmuckiej inwazji na cywilizację Zachodu, ale mamy nie podżegać do buntu! A kto podburzał Węgrów? Kto obiecywał rozprawić się raz na zawsze z sowieckim komunizmem? Czy to ich wina, że nam uwierzyli? Ruscy też siedzieliby spokojnie, gdybyśmy nie wchodzili na ich podwórko. Ale my nie damy się wciągnąć w żaden bunt, broń Boże!

Ambasador spojrzał na Owen-Brack.

– Nie przynoś mu więcej dokumentów – szepnął.

Wisner wstał i z całej siły kopnął pełen zmiętych papierów kosz, który wyładował na drugim końcu biblioteki. Thompson otworzył usta.

– Ty się zajmij tą zasraną ambasadą – powiedział As lodowatym tonem, celując w przyjaciela palcem wskazującym, jakby przymierzał się do strzału – a ja się zajmę operacją CIA.

Gestem podbródka wskazał wózek na herbatę.

– Przynieś mi więcej depeusz – rozkazał Millie. – Przynieś wszystko, co ci wpadnie w ręce. Muszę się w to wczytać... zrozumieć... znaleźć rozwiązanie...

Kiedy Owen-Brack zerknęła niepewnie na ambasadora, Wisner spiorunował ją wzrokiem.

– Rusz tyłek! – ryknął i opadł z powrotem na krzesło. – Na miłość boską, przynieś mi te papiery – błagał, mrugając gwałtownie powiekami i oddychając ciężko.

Chwycił brzeg stołu, żeby się uspokoić. Pochylił się, schował głowę w stercie dokumentów i cicho zapłakał.

Ni z tego, ni z owego Wisner oświadczył, że chce zobaczyć na własne oczy uchodźców, wciąż napływających do Austrii przez węgierską granicę. Udreka, tak jak grypa, wymaga czasem kuracji wstrząsowej, powiedział. Szef placówki, ostrzeżony przez ambasadora, zwodził go jakiś czas, ale gdy telefony od Asa przybrały ton pogroźek, zapewnił mu w końcu transport. Millie Owen-Brack poprosiła Jacka McAuliffe'a, oficera, który instalował infrastrukturę monitorowania uchodźców w ośrodkach austriackiego Czerwonego Krzyża, żeby towarzyszył Asowi w charakterze przyzwoitki.

Exodus z Węgier, który z początku można by porównać do niewielkiego potoku, przemienił się z chwilą powrotu Sowietów w rwącą rzekę. Każdej nocy setki Węgrów przedzierały się ku wolności przez pola minowe, nie bacząc na radzieckich spadochroniarzy, zastępujących w wielu rejonach patrole węgierskiej straży granicznej, które często przymykały oko na uchodźców.

W dwadzieścia pięć minut po wyjeździe z Wiednia służbowy chevy i drugi samochód (wiozący ochroniarzy Firmy) zatrzymały się przy pierwszym ośrodku dla uchodźców, mieszczącym się w stołowie miejskiego gimnazjum. Około dwustu Węgrów, którzy poprzedniej nocy przekroczyli granicę – młodych ludzi, często z dziećmi i rodzicami – polegiwało na rozłożonych na podłodze materacach. Wielu paliło w milczeniu amerykańskie papierosy, inni patrzyli w przestrzeń nieobecny wzrokiem. W kącie pracownicy austriackiego Czerwonego Krzyża w białych kitlach rozdawali chleb, zupę, gorącą kawę i pączki. Siedzący za stołem dziewiętnastoletni amerykański wolontariusz, z wpiętą w klapę plakietką z nazwiskiem B. Redford, pomagał uchodźcom wypełniać podania o azyl polityczny. Zwerbowani przez Jacka tłumacze krążyli po sali, uzbrojeni w podkładki do pisania i kwestionariusze. Od

czasu do czasu przyklękali, żeby porozmawiać z kimś ściszym głosem, i zapisywali informacje o ruchach sowieckich wojsk, zapraszając tych, którzy wykazali zainteresowanie „wyrównaniem rachunków z bolszewikami”, do prywatnego domu po drugiej stronie ulicy na dłuższe przesłuchanie.

As, w zimowym płaszczu z postawionym kołnierzem, który osłaniał go od nieistniejących przeciągów, opatulony po czubek nosa szalikiem z logo Uniwersytetu Wirginii, stał przez chwilę, przypatrując się temu wszystkiemu. Pokręcił głową i wymamrotał: *déjà vu*. To było pod koniec wojny. Kierował placówką OSS w Bukareszcie, gdy Armia Czerwona rozpoczęła obławę na Rumunów, którzy powstali przeciwko sowieckiej władzy. Ładowano ich do bydłych wagonów i wywożono do syberyjskich łagrów.

– Czy ktoś tu zna Harveya Torritiego? – zapytał, rozglądając się wokół piekącymi z niewyspania oczami.

Kiedy Jack powiedział, że pracował dla Czarnoksiężnika, As ożywił się. Dobry człowiek ten Torriti. Gruboskórny. Musi mieć grubą skórę, żeby przetrwać w tym fachu, chociaż czasem i to nie pomaga... Krzyki bitych Rumunów, pędzonych po torach jak stado bydła... Wykrzywiona rozpaczą twarz Harveya... We dwóch gołymi rękami grzebali ciała więźniów, którzy woleli zginąć niż wejść do tego pociągu. *Déjà vu*, wymamrotał Wisner. Historia się powtarza. Ameryka zostawia dobrych ludzi ich własnemu losowi, gorszemu niż śmierć. Rumuni. Polacy. Niemcy ze wschodu. A teraz Węgrzy. Ta lista robi się już stanowczo za długa.

Mały chłopiec, ubrany w znoszony, o kilka rozmiarów za duży płaszcz, podszedł do Asa i wyciągnął małą rączkę.

– *A nevem Lórin*c – powiedział.

Jeden z ludzi Jacka, dobrze znający węgierski, przetłumaczył:

– Mówi, że ma na imię Lórinç.

As kucnął i uścisnął dłoń chłopca.

– Ja mam na imię Frank.

– *Melyik foci csapatnak drukkolsz?*

– Pyta, której drużynie piłkarskiej kibicujesz.

– Drużynie piłkarskiej? Nie jestem wielkim miłośnikiem futbolu. Ale gdybym miał już wybierać, to na pewno New York Giants. Powiedz mu, że New York Giants są moją ulubioną drużyną. A Frank Gifford to mój ulubiony piłkarz.

Wisner przeszukał kieszenie. Chciał coś dać temu dziecku. Ale znalazł tylko rulonik dropsów na kaszel Smith Brothers. Przywołując na zeszywniałe usta jeden ze swych niemrawych uśmiechów, wyciągnął dropsy z kieszeni. Chłopiec spojrzał na niego poważnie wielkimi, szeroko otwartymi oczyma, po czym wziął paczuszkę.

– Pomyśli, że to cukierki – powiedział bezradnie Wisner. – Chyba mu nie zaszkodzą? Do diabła, nie możemy go już bardziej skrzywdzić, niż skrzywdziliśmy.

Uśmiech powoli zniknął z twarzy Asa, który skulił się w sobie i zacisnąwszy zęby, kręcił głową, jakby cierpienie stało się nie do zniesienia. Nagle wyprostował się. Jack i Millie Owen-Brack wymienili niespokojne spojrzenia. Wisner rozejrzał się dokoła w panice.

– Duszę się tutaj – oznajmił dziwnie spokojnym głosem. – Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, jak się stąd wydostać?

Kiedy powracający z objazdu nadgranicznych miasteczek As wszedł do węgierskiej restauracji ogrodowej pod szklaną kopułą przy Prinz-Eugen-Strasse, w lokalu panował tłok; stoliki były oblężone przez tłumy

wiedeńczyków, którzy po wyjściu z teatru chętnie spędzali tu resztę wieczoru. Korki strzelały, szampan lał się strumieniami, kasa obok szatni dźwięczała nieustannie, perlisty śmiech zagłuszał szmer prowadzonych półgłosem rozmów. Kobiety w głęboko wyciętych paryskich sukniach pochylały się nad płomieniami świec, aby zapalić cieniutkie cygara, a mężczyźni zerkali dyskretnie na odsłonięte dekolty dam. As siedział u szczytu stołu w kształcie litery „L”, ustawionego w rogu sali. Znał dobrze to miasto i nie omieszkiał przypomnieć swoim gościom – ambasadorowi Thompsonowi, Millie Owen-Brack, Jackowi McAuliffe’owi i jeszcze kilku pracownikom wiedeńskiej placówki CIA oraz korespondentowi gazety „Knight-Ridder”, którego nazwiska nikt nie mógł sobie przypomnieć – gdzie się znajdują.

– Jesteśmy – mówił, zakrywając usta dłonią, by stłumić beknięcie – o rzut kamieniem od osławionego Kammer für Arbeiter und Angestellte, gdzie Adolf Eichmann prowadził tak zwane Centralne Biuro do spraw Emigracji Żydów.

Wstał i brzęknął nożem o butelkę wina.

– Nie jestem pewien, czy wypilem za dużo, czy za mało – zaczął, a współbiesiadnicy nagrodzili jego słowa gromkim śmiechem – ale chciałbym wznieść toast za zwycięstwo Eisenhowera nad Stevensonem. Oby przez te kolejne cztery lata Ike zdobył się na więcej odwagi niż dotąd. – Ambasador wykonał ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale Wisner powstrzymał go gestem ręki. – Jeszcze nie skończyłem...

Przez chwilę zbierał myśli.

– Nie wiem, czy nie złamię wytycznych Departamentu Stanu, ale co tam... Zdrowie szalonych Madziarów! – zawołał, podnosząc kieliszek. – To będzie prawdziwy cud, jeśli ktokolwiek z nich przeżyje.

– Za szalonych Madziarów! – powtórzyli siedzący wokół stołu goście w nadziei, że to już koniec; nagłe zmiany nastroju Asa niepokoiły wszystkich.

Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli się oglądać na nieokrzesanych Amerykanów.

Wisner przekrzywił głowę i zmrużył oczy, kontemplując w poszukiwaniu inspiracji szklany dach.

– Za towar, którego tak brakuje ostatnio – brnął dalej. – Jedni nazywają to męstwem, zimną krwią, duchem walki, inni wiernością swoim przekonaniom albo niezłomnością serca, ale, do diabła, to wszystko sprowadza się do jednego: trzeba mieć jaja! – ryknął radośnie.

– A niech to! Wypiję za jaja – rzekł poważnie Jack.

– Ja też – zgodziła się Millie.

Wisner pochylił się ku nim przez stół. Stuknęli się kieliszkami. Wszyscy troje rozumieli się bez słów. Kiwając z rozgoryczeniem głową, As wychylił alkohol do dna i spochmurniał.

– Na czym skończyłem? – zapytał, potoczywszy po obecnych posępnym wzrokiem.

Ambasador Thompson skinął na kelnera, prosząc o rachunek.

– Myślę, że już wystarczy – powiedział.

– Tak – zgodził się Wisner. – Już wystarczy. Co za dzień! *Dzień na wyścigach*, grają bracia Marx... żadnych powiązań z Karolem, senatorze McCarthy. Dzień z życia Dennisa Daya. Dzień, który pograży się w niesławie...

Osunął się z powrotem na krzesło i chwycił w palce długą nóżkę kieliszka.

– Problem ze światem... – mamrotał niewyraźnie sam do siebie. – Ludzie myślą, że aby ich statek zawinął do portu, wystarczy wypłynąć w morze. Utracili zdolność astronawigacji. Zgubili prawdziwą północ.

BUDAPESZT, CZWARTEK, 8 LISTOPADA 1956

W niewielkiej kaplicy przy wewnętrznym dziedzińcu koszar Kilian Elizabet, wychudła i wymizerowana, w wełnianych rękawiczkach bez palców, mieszała w kotle, w którym coś pyrkotało nad otwartym ogniem. Co chwila wrzucała do ognia kawałki mebli, żeby podtrzymać płomień. To była już trzecia zupa, którą gotowała na tych samych kościach kurczaka. Od czasu do czasu któryś z osiemdziesięciu paru pozostałych przy życiu powstańców podchodził do „kuchni Kilian” i zanurzał w garze cynowy kubek. Przykucnąwszy przy ognisku, by choć trochę się ogrzać, młodzi ludzie sączyli powoli cieniutki rosół i żartowali, że kiedy wykurzą Ruskich z Budapesztu, Elizabet będzie mogła otworzyć restaurację. Dzień przedtem zabili ostatniego psa w koszarach, kundla o imieniu Szuszi; jeden z chłopców przytrzymał go za przednie łapy, a drugi poderznął gardło, żeby nie marnować kul. Żołnierz, który wychował się na wsi, obdarł zwierzę ze skóry, wypatroszył i upiekł mięso na ruszcie. Rozmowy o zastawianiu pułapek na szczury urwały się, kiedy żołnierze odkryli, że Rosjanie zalali tunele ściekami. Elizabet była zadowolona. Z trudem zdołała przełknąć psie mięso.

W izdebce na poddaszu Ebby na wyrwanej z podręcznika musztry kartce napisał kolejną wiadomość do Wiednia, a Zoltan dostroił radio, żeby złapać coraz słabszy sygnał połączenia. Akumulator był na wyczerpaniu i Cygan obawiał się, że może to być ich ostatnia wiadomość. Było w każdym razie jasne, że koszary – otoczone ze wszystkich stron przez sowieckich komandosów, ostrzeliwane przez czołgi, podziurawione kulami

z karabinów maszynowych – nie wytrzymają długo. Kluczem Morse’a Zoltan wystukał:

sytuacja już nie krytyczna teraz beznadziejna widać dno zapasów żywności amunicji leków przeciwbólowych sowieci ogłosili przez megafony amnestię dla tych którzy złożą broń ci co przeżyli debatuja czy walczyć do końca czy negocjować warunki kapitulacji wszyscy są zgodni że po aresztowaniu nagya i maletera rosjanom nie można ufać ale pole manewru się kurczy jeśli skapitulują mam zamiar oddać się w ręce...

Wskazówka mocy w aparacie Zoltana zamigotała i zgasła; akumulator wysiadł definitywnie. Cygan podniósł go, potrząsnął, sprawdził styki i jeszcze raz spróbował uruchomić klucz Morse’a. Pośepnie pokręcił głową.

– Cholerny akumulator zdechł, *okay* – oznajmił.

Z ulicy dobiegł wizg wystrzelonej z daleka snajperskiej kuli.

O wyznaczonej godzinie dziewięć czołgów wystrzeliło dwukrotnie prosto w gmach Kilian i wycofało się szeroką tyralierą, ustępując miejsca następnym. Rosjanie już dawno stracili nadzieję, że uda im się skruszyć potężne mury koszar i zwalić je na głowy obrońców, ale chcieli być pewni, że żaden z nich nie zmruży oka. Dlatego też, w przerwach między jedną salwą a drugą, z umieszczonych na czołgach megafonów donośny głos wzywał powstańców do złożenia broni.

Podczas gdy snajperzy trzymali sowieckich komandosów na odległość, reagując na najmniejszy ruch na ulicy, niedobitki bojowników wolności zebrały się na dziedzińcu przed kaplicą. Arpád, którego obfita czupryna wyszarzała i zmatowiała, a oczy zapadły się głęboko ze zmęczenia, rozdał papierosy tym, którzy chcieli zapalić, a z resztek tytoniu skręcił jednego dla

siebie. Zapalił i wskoczywszy na murek, popatrzył po pełnych napięcia twarzach. Potem spokojnym głosem podsumował sytuację.

– Mówi, że wczoraj w nocy Rosjanie zdobyli kino „Korwin” – tłumaczyła Ebby’emu na angielski Elizabet. – W mieście słychać strzały, więc wygląda na to, że na ulicach nadal operują lotne oddziały, chociaż odgłosy walki słabną z godziny na godzinę. Mówi, że nam przypadł honor obrony ostatniego bastionu zorganizowanego oporu w stolicy. Kończą się zapasy żywności. Mamy jeszcze setki koktajli Mołotowa, ale tylko po dwanaście naboju na głowę. Nie można dłużej ignorować pytania, które samo się nasuwa. Kiedy tunele zostaną zatopione, droga ucieczki zostanie odcięta. Są tylko dwie możliwości: albo będziemy walczyć do końca, albo uwierzymy w amnestię i złożymy broń.

Wśród powstańców wybuchł zażarty spór. Elizabet nie musiała tłumaczyć – było jasne, że część z nich uważała, że trzeba się poddać, podczas gdy inni chcieli bić się dalej. Dwóch żołnierzy rzuciło się na siebie z pięściami i ledwo dało się ich rozdzielić. Arpád patrzył na młodych bojowników udręczonymi oczami człowieka, który popełnił tragiczną omyłkę. W końcu nakazał ciszę.

– Wzywa do głosowania przez podniesienie ręki – wyjaśniła Elizabet.

Dłonie poszły w górę. Arpád wpatrywał się w dymiący koniuszek papierosa; był przeciwny kapitulacji. Elizabet nie podniosła ręki. Nie miała żadnych złudzeń co do intencji Rosjan i wołała walkę niż komunistyczne więzienie.

Arpád spojrzał na Ebby’ego.

– Też masz prawo głosować – powiedział.

Ebby podniósł dłoń.

– Należę do szkoły, która uczy: „Żyj, żebyś mógł jeszcze kiedyś stanąć do walki”.

Jeden z młodych żołnierzy wdrapał się na skrzynkę i policzył głosy.

– Większość chce wypróbować dobrą wolę Sowietów – powiedziała Elizabet do Ebby’ego; widać było, że jest gorzko rozczarowana. – Arpád wyjdzie z białą flagą i wynegocjuje warunki amnestii. Potem wyniesie rannych. Jutro prawdopodobnie się poddamy.

Ze wszystkich zakamarków koszar znoszono rannych na półkolisty dziedziniec, wiodący do wąskich stalowych drzwi w załomie muru. Wielu kuśtykało na prowizorycznych kulach. Ci, którzy mogli chodzić, pomagali tym, którzy nie byli w stanie poruszać się o własnych siłach. Arpád przywiązał do kija brudny biały podkoszulek. Kilku bojowników wolności odwróciło zamglone łzami oczy, gdy przywódca, rzuciwszy Elizabet ostatnie dzikie spojrzenie, odsunął rygiel pancernych drzwi i wyszedł na ulicę.

Ebby i Elizabet pobiegli na drugie piętro, żeby przez wyrwę w ścianie obejrzeć scenę kapitulacji. Sowiecki oficer w długim szarym płaszczu, z lśniącymi złotem epoletami na ramionach, wyłonił się zza czołgu i spotkał z Arpádem na środku jezdni. Poczęstował poetę papierosem, a kiedy ten odmówił – wzruszył ramionami. Rozmawiali przez kilka minut, przy czym oficer cały czas kręcił głową, najwyraźniej nie chcąc ustąpić. Wreszcie poeta skinął głową na znak zgody. Rosjanin wyciągnął dłoń. Arpád spojrzał na nią z odrazą, a potem, włożywszy obie ręce do kieszeni skórzanej kurtki, obrócił się na pięcie i odszedł w stronę koszar.

Po chwili znów pojawił się na ulicy, tym razem na czele wynędzniałej procesji rannych bojowników: niektórych niesiono na krzesłach, inni szli o własnych siłach, powłócząc nogami, ciągnięci przez towarzyszy ku sowieckim czołgom. Siwobrody ksiądz, z głową owiniętą zakrwawionym

bandażem, wspierał się na ramieniu młodziutkiej sanitariuszki. W połowie drogi do linii czołgów poeta zatrzymał się, a inni stanęli tuż za nim. Paru z nich osunęło się z wyczerpania na chodnik. Przez wyrwę w murze Ebby widział, jak Arpád gniewnie wymachuje ręką, wskazując na kilkudziesięciu radzieckich strzelców wyborowych, przyczajonych na dachach po drugiej stronie ulicy. Po chwili otrząsnął się gwałtownie, jakby ocknął się z głębokiego snu. Wyciągnął z kieszeni kurtki duży, ciężki pistolet, wystąpił krok naprzód i przyłożył sobie do skroni koniec długiej lufy. „Eljen! – zawołał szorstkim głosem. – Niech żyją!” I pociągnął za spust. Rozległ się głuchy strzał, który roztrzaskał czaszkę poety. Arpád padł na ziemię prosto do rynsztoka. Podwinięta, przygnieciona ciężarem ciała noga sterczała śmiesznie jak u połamanej marionetki, z olbrzymiej dziury w głowie tryskała krew. Ranni, którzy najpierw stłoczyli się wokół martwego przywódcy, zaczęli się cofać. Z dachów po przeciwnej stronie ulicy rozległ się przenikliwy gwizd. Potem gwałtowna seria ścięła powstańców z nóg. Ci, którzy siedzieli na krzesłach, potoczyli się bezwładnie na ziemię. Po chwili było już po wszystkim. Elizabet, zbyt ogłuszona, by wymówić choć słowo, odwróciła się i oparła plecami o ścianę, blada i drżąca. Na moment zapadła śmiertelna cisza. Nagle wokół rozległo się dzikie, zwierzęce wycie. Ktoś otworzył ogień do snajperów, ktoś inny krzyczał, żeby nie marnować amunicji.

– Dlaczego? – wykrztusiła z trudem Elizabet. – Komu potrzebna była ich śmierć?

– Spanikowali, kiedy usłyszeli strzał – zgadywał wstrząśnięty do głębi Ebby.

Elizabet, skulona, jakby skurczona w sobie, patrzyła na ciało kochanka, leżące w rynsztoku w kałuży krwi. Szukając ukojenia, przywołała z pamięci wers z perskiego poematu, który stał się natchnieniem jednego z wczesnych

wierszy Arpáda. „Najczerwieńsza róża kwitnie tam, gdzie Cezar we krwi leży pogrzebany” – wymamrotała. Potem wyjęła zza paska stary rewolwer „Webley-Fosbery” i obróciła bębenek.

– Zostały mi cztery kule – trzy dla Rosjan, ostatnia dla mnie. Nie zniosłabym znowu tortur...

Ebby podszedł do przykrytego gazetami ciała i zabrał porzucony obok karabin. Odpędził muchy i zaczął szperać po kieszeniach martwego żołnierza w poszukiwaniu naboju. Znalazł dwa – załadował jeden i zarepetował broń.

– Idę z tobą. Będziemy walczyć razem – powiedział.

Gdzieś ponad ich głowami rozległ się melancholijny jęk cygańskich skrzypiec; to Zoltan wzywał węgierskich bojowników wolności na ostatnią bitwę z hordami najeźdźców.

Okolo drugiej czterdzieści pięć nad ranem siedzący pod ścianą Ebby, który próbował spać z karabinem na kolanach, poczuł, że ktoś delikatnie szturcha go w ramię. Otworzył oczy i ujrzał przykucniętego tuż obok Zoltana.

– Jest droga ucieczki – szeptał Cygan w podnieceniu. – Przez tunele.

Elizabet, skulona pod kocem na betonowej podłodze, ocknęła się natychmiast.

– Dlaczego nas budzisz? – burknęła gniewnie. – Czołgi strzelają dopiero o trzeciej.

– Zoltan uważa, że możemy uciec – powiedział cicho Ebby.

– Harowaliśmy z chłopakami kilka godzin – mówił Zoltan, błyskając białymi zębami w pełnym dumy uśmiechu. – Zrobiliśmy wyłom w tunelu kanału na tyłach koszar i spuściliśmy ścieki do piwnicy, okay? Za jakiś

kwadrans będzie można tamtędy przejść. Czmychniemy jeszcze tej nocy. Wszyscy już wiedzą. Jak to pan wtedy powiedział, panie Ebbitt... kiedy głosowaliśmy? Przeżyjemy, żeby walczyć kiedy indziej, prawda? To chodźcie ze mną. Tylko cicho.

Idąc po omacku, Zoltan sprowadził ich po żelaznych schodkach do wjazdu w podziemiach, a potem znowu w dół, po drewnianej drabinie, do dawnego, nieużywanego od lat magazynu. Ogromna sala, oświetlona kilkoma kolejowymi lampami naftowymi, była całkiem pusta, jeśli nie liczyć drewnianych jaszczy, w których niegdyś przewożono proch armatni. Ceglane mury pokrywał zielonkawy osad wilgotnej pleśni. Jeden po drugim nadchodzili obrońcy koszar Kilian. Przyprawdzono też dwunastu radzieckich dezertersów, ukrywających się w lochu, w którym kiedyś, na przełomie wieków, trzymano więźniów. Rozdano im cywilne ubrania, ściągnięte z ciał poległych bojowników, węgierskie dokumenty i pieniądze, a także mapy z zaznaczoną drogą do jugosłowiańskiej granicy. W oczach Rosjan czaił się strach, ale ochoczo uchwycili się tej ostatniej szansy, jaką była dla nich ucieczka do Jugosławii; gdyby ich schwytano, stanęliby przed plutonem egzekucyjnym.

Powstańcy i dezertery podzielili się na pięcioosobowe oddziały. Co pięć minut jakaś grupka znikła w mrocznych czeluściach ceglanej studni. Na zewnątrz, jak zwykle punktualnie o trzeciej nad ranem, zagrzmiały głucho salwy sowieckich czołgów. Zoltan, Ebby, Elizabet i dwóch dezertersów stanowili przedostatnią grupę. Powoli opuściwszy się na rękach po ścianie szybu, Cygan stanął na dnie tunelu, po kostki w cuchnących kałem ściekach. Idąca pomiędzy Ebby a Zoltanem Elizabet zakryła dłonią usta i nos, ale i tak kręciło jej się w głowie od duszącego, wszechobecnego smrodu. Ebby zauważył, że zatacza się z boku na bok i objęła o śliskie ściany, więc chwycił ją mocno za pasek, żeby nie upadła. Zoltan, ze swoim

zakrzywionym nożem za pasem, skrzypkami przerzuconymi na sznurze przez plecy i lampą naftową w ręku, parł cały czas naprzód. Przeszli już jakieś sto pięćdziesiąt metrów, kiedy poziom ścieków nagle zaczął się podnosić. Elizabet krzyknęła. Zoltan przyspieszył kroku, przedzierając się przez maź, która sięgała teraz kolan. Za ich plecami rozległy się przerażone głosy ostatniej grupy, zalewanej przybierającą szybko falą.

Ścieki dochodziły im już do pasa, kiedy tunel skręcił w prawo i oczom uciekinierów ukazała się metalowa drabinka, połyskująca w bladym świetle lampy naftowej. Umocowane w ścianie szczelne nikiły gdzieś w ciemności, wysoko ponad ich głowami. Zoltan wspiął się pierwszy i podał rękę Elizabet; robił tak za każdym razem, gdy napotykał złamany szczebel. Z oddali dobiegały stłumione pokrzykiwania uciekinierów, brnących przez cuchnącą rzekę. Nagle usłyszeli głośny plusk, jakby ktoś gwałtownie szamotał się w wodzie, a po chwili chrapliwe rżenie.

Wiszący na drabince Zoltan zawołał coś po węgiersku. Ktoś odkrzyknął gardłowym głosem.

– Tylko dwoje przeszło – powiedział Zoltan, po czym odwrócił się i znów zaczął się wspinać.

Nad ich głowami zamigotało światło, jakiś cichy głos szeptał słowa otuchy. Mocne ręce wyciągnęły ich na powierzchnię. Bez sił upadli na ziemię. Dwaj radzieccy dezernerzy – tak młodzi, że na ich twarzach nie było śladu zarostu – usiedli obok nich. Wokół, oparci o ściany, odpoczywali wszyscy, którym udało się wyjść z kanałów.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Ebby.

– W piwnicy. Na górze jest piekarnia. Słyszycie...? – odparł jeden z powstańców, znający trochę angielski.

Istotnie, z góry dobiegał cichy warkot maszyn. Zoltan porozmawiał z kilkoma bojownikami, potem wrócił do Ebby'ego i Elizabet.

– Powiedzieli, że zostało nam jakieś dwie i pół godziny ciemności, *okay*? Odetchniemy tu chwilę, a później rozdzielimy się na małe grupki i oddalimy od koszar na bezpieczną odległość, zanim Ruscy zorientują się, żeśmy im prysnęli. Jest tu paru studentów, którzy znają Peszt jak własną kieszeń. Poprowadzą nas.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała Elizabet.

– Do Austrii – odparł Zoltan.

Dziewczyna odwróciła się do Ebby'ego.

– Możesz się schronić w amerykańskiej ambasadzie.

Ebby potrząsnął głową.

– Rosjanie na pewno otoczyli budynek, żeby Węgrzy nie mogli poprosić nas o azyl. – Uśmiechnął się do niej. – Najlepiej będzie, jak pojedę z tobą do Austrii.

Najpierw wyruszyli dezercerzy, bo to oni mieli najwięcej do stracenia. Jeden z nich odwrócił się w drzwiach i powiedział coś po rosyjsku. Ukłoniwszy się w pas bojownikom wolności, zniknął na drewnianych schodach. Parę minut później Ebby, Elizabet i Zoltan podążyli ich śladem. Wydostawszy się z piwnicy, przeleźli przez płot i znaleźli się na szkolnym boisku. Od Dunaju wiał zimny, suchy wiatr. Elizabet, zwrócona twarzą w stronę rzeki, głęboko wdychała czyste, rześkie powietrze. W oddali płomienie lizały czarne niebo nad miastem. Gmach Archiwum Narodowego na Górze Zamkowej po drugiej stronie Dunaju stał w ogniu. Ze szpitala Rokus zostały tylko zgliszcza. Nad Csepel, Ujpest i Kőbánya szalał pożar. Młody chłopak, okularnik o pociągłej, wymizerowanej twarzy, uzbrojony w zdezelowany karabin, przewieszony przez kościste ramię, poprowadził

ich labiryntem bocznych uliczek w kierunku południowych przedmieść Pesztu. Droga wiodła przez dobrze utrzymane ogrody na tyłach posesji, ceglane murki i żelazne ogrodzenia. Minęli hale targowe, pełne milczących kobiet z dziećmi, i klucząc w wąskich zaułkach, dotarli do szerokiej alei, wychodzącej na niewielki skwer. Z domów po obu stronach ulicy zostały jedynie kupy gruzu. Chodnik zasłany był poźółkłymi, jesiennymi liśćmi, odłamkami cegieł i szkła. Wyjrżeli ostrożnie zza węgła. Niedaleko skweru dostrzegli sowieckich żołnierzy, grzejących dłonie nad ogniskiem, rozpalonym pośrodku ulicy. Od miedzianej czerwieni rozżarzonego nieba odcinały się nagie gałęzie drzew.

Z gałęzi zwisały, roztańczone w podmuchach wiatru, ciała dwunastu bojowników wolności. Na jezdni leżała rozjechana gąsienicamiczołgów, nienaturalnie powyginana ludzka postać z rozrzuconymi rękami, niby szmaciana kukła.

– Nie patrz tam – wyszeptał dziko Ebby, odciągając Elizabet.

Zrozpaczona, zatoczyła się na ścianę i ukryła twarz w dłoniach.

Nisko pochyleni, przebiegli przez ulicę, nie zwracając na siebie uwagi stojących wokół ogniska żołnierzy. W pewnej chwili Elizabet, roztrzęsiona, do cna wyczerpana, niemal bez tchu, zaczęła zostawać w tyle. Ebby objął ją ramieniem i powlókł za sobą. Kiedy pierwsze szare smugi rozjaśniły niebo, uciekinierzy byli już daleko na przedmieściach Pesztu. Z lewej strony rozciągały się pola czarnej, zaoranej ziemi, połyskującej od rosy. Za Csepel znaleźli turystyczne rowery wodne, przycumowane do pomostu. Rozbili kłódki, odwiązali łańcuchy i przepłynęli na drugi brzeg Dunaju, a potem ruszyli przed siebie polną drogą, biegnącą wzdłuż rzeki. Po dwóch kilometrach dotarli do drewnianej bramy, prowadzącej na teren spółdzielni mleczarskiej „Czerwony Sztandar”, znanej z poparcia dla rebeliantów. Niebo było już zupełnie jasne. Nocny stróż z długą czarną brodą

zaprowadził ich ukradkiem do szopy na paszę. Padli bez sił na siano i natychmiast zasnęli.

W ciągu dnia w szopie pojawili się nowi uchodźcy: profesor uniwersytetu w podeszłym wieku i jego wymizerowana małżonka, dyrygent budapeszteńskiej filharmonii, lalkarz taszczący dwie ogromne walizy marionetek, słynny komentator sportowy z dziewczyną i równie słynny bramkarz węgierskiej narodowej drużyny piłkarskiej z żoną i dzieckiem. W południe kilka kobiet ze spółdzielni przyniosło kosze z chlebem i serem. Uciekinierzy żarłocznie rzucili się na jedzenie; dla wielu był to pierwszy posiłek od paru dni. O zmierzchu przed szopę zajechała stara zakładowa ciężarówka marki „Škoda” z silnikiem Diesla. Elizabet wzięła kierowcę na bok i szeptała z nim gorączkowo przez jakiś czas. Z wahaniem pokręcił głową, na co Elizabet wyjęła ze skrytki mapę, rozłożyła ją na masce i palcem pokazała mu drogę. Potem chwyciła go za rękę i ponowiła prośbę. Mężczyzna zerknął na zegarek i bez większego zapału skinął głową. Elizabet, ocierając łzy, dziękowała mu wylewnie.

Dziewiętnaścioro uchodźców stłoczyło się na skrawku wolnego miejsca, w tyle załadowanej paszą przyczepy. Rolnicy zasłonili ich deskami, które przykryli snopkami siana. Elizabet, wciąż jeszcze słaba i wyczerpana, chociaż przespała w szopie prawie cały dzień, oparła głowę na ramieniu Ebby’ego. Objął ją i przyciągnął bliżej. Po chwili usłyszeli, jak silnik škody wystrzelił kilka razy i w końcu zaskoczył.

Prawie trzy godziny ciężarówka kluczyła bocznymi drogami, omijając wsie i miasteczka. Ukryci pod sianem uchodźcy, ciasno przytuleni do siebie, poobijani od ciągłego podskakiwania na wybojach, bezskutecznie próbowali rozprostować zdrętwiałe ręce i nogi. Profesor, Żyd talmudysta, mamrotał pod nosem okolicznościowe modlitwy po hebrajsku. Dyrygent wyciągnął małą kieszonkową latarkę i partyturę jakiejś symfonii; od czasu

do czasu nucił zdartym falsetem kilka melodyjnych taktów, po czym znów zagłębiał się w lekturę interwałów, krzyżyków i bemoli.

Okolo dziesiątej pasażerowie poczuli, że ciężarówka bierze ostry zakręt i wjeżdża na twardą, brukowaną drogę. Wkrótce zatrzymali się. Silnik zamilkł. Słysząc było, jak jacyś ludzie wdrapują się na boki samochodu. Czyjeś ręce odsunęły snopki siana i zdjęły deski. Nad głowami uciekinierów ukazało się nagle bezchmurne niebo, usiane gwiazdami, wśród których wyraźnie zaznaczała się Droga Mleczna. Wysiedli, żeby choć na chwilę rozprostować kości. Kilka osób zniknęło w ciemności, szukając krzaczków. Znajdowali się na terenie państwowego gospodarstwa rolnego. Mężczyźni w służbowych ogrodniczkach ustawili się w szeregu; jedni napełniali plastikowe kanistry olejem napędowym z wielkiej cysterny, inni podawali je dalej i wlewali zawartość do baku stojącej w szopie ciężarówce. Elizabet niecierpliwie rozglądała się wokół. Do szopy weszła otyła kobieta. Trzymała za rękę małą, chudą dziewczynkę o krótko ostrzyżonych, popielatych włosach. Dziewczynka, w chłopięcym płaszczku, z lalką pod pachą, dostrzegła Elizabet i z płaczem rzuciła się jej na szyję. Przytuliły się mocno do siebie. Kiedy bak samochodu był już pełen, kierowca zawołał, żeby się pospieszyli, bo najpóźniej o trzeciej muszą być na granicy. Otyła kobieta przykucnęła i ucałowała dziecko. Potem objęła Elizabet i szepnęła jej coś na pożegnanie. Ebby podsadził lekką jak piórko dziewczynkę na przyczepę. Gdy ostatni snopek siana legł z powrotem nad głowami uciekinierów, Elizabet pochyliła się do Ebby'ego i szepnęła:

– To moja córka Nellie. Nellie, kwiatuszku, przedstawiam ci bardzo miłego pana, który ma na imię Elliott.

Nellie przytuliła do siebie lalkę.

– Cześć – powiedziała nieśmiało. – Lubisz chować się w sianie?

– Niezła zabawa – odparł Ebby.

– Czy źli ludzie nas znajdą?

Ebby wziął w dłonie jej drobną rączkę. Wyczuł, że mała z wielkim napięciem czeka na jego odpowiedź.

– Nie mają szans.

– A jeżeli im się uda?

– Nie uda się.

Wyglądało na to, że ją przekonał.

– Elliott? – spytała po chwili.

– Tak?

– Boisz się ciemności?

– Dawniej się bałem – odparł Ebby. – Teraz już nie.

– Jak miałam cztery latka, bardzo się bałam. Ale niedługo skończę sześć, więc już się nie boję – oznajmiła zadziwiająco dorosłym tonem.

– Musisz mi obiecać – powiedziała Elizabet do córki – że nie będziesz marudzić.

– Obiecuję – przyrzekła Nellie.

– Grzeczne dziecko – pochwalił Ebby z uśmiechem.

Nellie zasnęła na kolanach Elizabet, która też się zdrzemnęła na ramieniu Ebby'ego. Ciężarówka zjechała na polną drogę i ruszyła dalej na zachód, podskakując na wybojach. Od czasu do czasu ktoś zapalał latarkę. Ebby widział ich widmowe, trochę nierealne postaci. Jedni spali, inni patrzyli w przestrzeń szeroko otwartymi oczyma. Tuż po pierwszej w nocy samochód zatrzymał się gwałtownie. Szarpnięcie obudziło pasażerów. Usłyszeli, że ktoś rozmawia z kierowcą. Elizabet, oddychając bezgłośnie, podała w ciemności Ebby'emu swój rewolwer. Upewnił się, czy broń jest

naładowana. Odbezpieczył. Zoltan wyszeptał mu do ucha: „Blokada drogowa. To Węgrzy, nie Sowieci, *okay*? Bez paniki. Kierowca mówi, żeby nie szukali pod sianem, bo wszystkich obudzą. Żołnierze się śmieją i pytają ilu. Kierowca mówi, że osiemnastu, nie licząc jednego dziecka i jednego niemowlęcia. Żołnierz prosi o papierosa, mówi, żebyśmy uważali, bo Ruscy patrolują granicę. Życzy nam szczęścia”.

Ruszyli dalej. O drugiej dwadzieścia pięć nad ranem zjechali z drogi i stanęli nad jakąś rzeczką. Uchodźcy wygramolili się spod sterty siana. Elizabet zmoczyła chusteczkę w strumyku i przemyła twarz Nellie. Sama też się trochę odświeżyła.

– Jestem głodna – poskarżyła się dziewczynka.

Profesor podszedł i wręczył jej niedojedzoną kanapkę.

– Będiesz miała co opowiadać swoim dzieciom, jak dorośniesz – rzekł.

– Powiedzą, że wszystko wymyśliłaś, żeby im zaimponować.

Dwadzieścia minut później Ebby usłyszał na drodze głuchy tętent. W chwilę potem ich oczom ukazał się szczupły mężczyzna w średnim wieku, ubrany w buty do konnej jazdy, bryczesy i skórzaną kurtkę. Jechał na gniadym ogierze, którego kopyta owinięte były szmatami. Przedstawił się jako Marton. Uchodźcy otoczyli go ciasnym kręgiem, a on wyjaśniał im coś przyciszonym głosem.

– Mówi, że do granicy jest jakieś czterdzieści minut drogi piechotą – tłumaczyła Ebby’emu Elizabet. – To teren patrolowany głównie przez Węgrów. Jeśli nas wypatrzą, będą prawdopodobnie udawali, że nic nie widzą. Radzi tym młodym, żeby dali dziecku proszek na sen. Mówi, że lepiej zostawić bagaże; mogą opóźnić marsz. Ale lalkarz się upiera. Mówi, że w tych walizkach jest całe jego życie; bez nich nie będzie w stanie wyżyć na Zachodzie. Jak zostaniesz w tyle, twoja sprawa, odpowiada Marton. Pójdziemy parami za nim i jego koniem. Zna drogę przez pole

minowe. Od tygodni przechodzi tędy co noc. Każdy ma iść dokładnie po śladach tego, który jest przed nim. Dziewczynka nie nadaży. Ktoś musi ją nieść.

– Powiedz mu, że wezmę ją na ręce.

Marton wyjął fiolkę proszków nasennych. Młoda matka odłamała kawałek tabletki i włożyła dziecku do buzi. Wszyscy rozpakowali bagaże, żeby zabrać ze sobą tylko to, co najbardziej wartościowe. Kiedy ruszyli za Martonem, Ebby zobaczył, że lalkarz taszczy dwie ogromne walizy. Schylił się i wziął jedną od niego.

Mężczyzna zwrócił ku niemu twarz jarmarcznego kuglarza i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Dziękuję panu – wyszeptał.

Gęsta mgła otuliła uchodźców, gdy tylko opuścili bezpieczne schronienie wśród drzew. Idąc parami za Martonem i jego koniem, przecięli w poprzek autostradę numer 10, łączącą Budapeszt i Wiedeń, i powędrowali na przełaj łąkami. Przez stulecia chłopci strzegący bydła grodzili te pastwiska, stawiając niskie kamienne murki – jeden metr każdego dnia. Teraz uciekinierzy mozolnie pokonywali te przeszkody, brnąc przez spowite mrokiem pustkowie. Lodowaty wiatr przewiewał ubrania na wskroś, przejmował chłodem do szpiku kości. Pod stopami skrzypiał szron. Gdzieś w oddali jakiś pies wył do księżyca, przeświecającego przez koronki chmur. Z niewidocznych w ciemności opłotków odpowiedział mu przeciągły skowyt. Wysoko nad autostradą wybuchła bezdźwięczna raca i z sykiem opadła w dół. Koń Martona, oświetlony nagłym blaskiem, parsknął i zarył kopytami w ziemię. Uchodźcy zamarli. Przewodnik, nasłuchując odgłosów nocy, wspiął się na murek i wpatrzył w horyzont. Wymamrotał coś pod nosem.

– Mówi, że to Ruscy. Pewnie robią obławę na uchodźców. Ale nie tutaj... Trochę dalej na północ.

Kiedy raca zgasła zupełnie, Marton znowu ruszył. Dyrygent, idący tuż przed Ebbym, obejrzał się do tyłu. W mroku zamajaczyła pociągła, wymizerowana twarz. Długi skórzany płaszcz lśnił od skraplającej się mgły.

– Zna pan może *Kindertotenlieder* Mahlera? – zapytał.

Kiedy Ebby mruknął coś wymijająco, dyrygent zdjął beret, przetarł nim okulary i zanucił cicho jakąś melodię.

– Mieliśmy to grać dzisiaj wieczorem w Budapeszcie – powiedział, a jego obwisłe policzki zatrzęśły się, gdy z niedowierzaniem pokiwał głową. – Kto by przypuszczał, że to się tak skończy?

Odwrócił się i pomaszerował dalej, kuląc się w podmuchach wiatru.

Nellie, którą Ebby niósł na barana, poklepała go w głowę.

– Zimno mi – szepnęła. – Nie skarżę się. Po prostu chcę, żebyś wiedział.

– Jesteśmy prawie na miejscu – pocieszała ją Elizabet. – Prawda? – zwróciła się do Amerykanina, a w jej głosie zadźwięczał niepokój.

– Chyba już niedaleko – powiedział.

Szli tak jeszcze przez pół godziny. Nagle na skraju pola, które teraz opadało łagodnie ku ciemnej kępie drzew, dostrzegli białe zabudowania, majaczące we mgle niczym fatamorgana na pustyni. Marton zebrał wszystkich uchodźców wokół siebie i tłumaczył coś półgłosem. Kilkoro z nich uścisnęło mu dłoń jak na pożegnanie.

– Mówi, że tutaj się rozstajemy – powiedziała Elizabet po angielsku. – To gospodarstwo jest już po drugiej stronie granicy, w Austrii. Dostaniemy tam gorącej zupy. Kiedy odpoczniemy, pójdziemy do ośrodka austriackiego Czerwonego Krzyża w wiosce. To tylko dwa kilometry.

Wracając po własnych śladach, Marton przeszedł obok Ebby'ego. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Ebby wyciągnął rękę.

– Dziękuję – powiedział.

Marton podał mu swoją i odparł coś po węgiersku.

– On mówi: nie zapomnij o nas, kiedy już odjedziesz – przetłumaczyła Elizabet.

– Powiedz mu, że nigdy nie zapomnę ani Węgier, ani jego – odrzekł Ebby.

Marton wskoczył na konia i cmokając, zawrócił go na węgierską stronę. Prowadzenie grupy przejął Zoltan. Ruszyli w kierunku otynkowanego domostwa. Byli już w połowie drogi, gdy usłyszeli jakieś odgłosy. Z rowu melioracyjnego wyskoczyło jak spod ziemi pięć zakapturzonych postaci w wojskowych szynelach. Szczęknęły karabiny. Zoltan sięgnął po nóż. Ebby zsadził Nellie na ziemię, zrobił krok naprzód, żeby ją zasłonić, i wyjął z kieszeni płaszcz rewolwer Elizabet. W ciszy, jaka nagle zapadła, usłyszał, że profesor znów szepcze hebrajskie modlitwy. Jeden z żołnierzy podszedł do Zoltana i o coś zapytał.

Elizabet odetchnęła z ulgą.

– To Węgier – powiedziała. – Mówi, że w pobliżu nie ma Rosjan. Pyta, czy nie mamy papierosów. Powiedziała: „Idźcie z Bogiem”.

Żołnierze zasalutowali i odeszli.

Z bielejącego na skraju pola domu wybiegło czterech młodych Austriaków, żeby pomóc uchodźcom przejść ostatnie pięćdziesiąt metrów. W obszernej izbie buzował pod kuchnią ogień, a w żeliwnym garnku pyrkotała zupa. Uciekinierzy zdjęli buty i zaczęli rozcierać przemarznięte stopy, popijając gorącą zupę. Wkrótce po nich zjawiono się jeszcze czterech Węgrów, a potem dwa młode małżeństwa z trójką dzieci. Zoltan ogrzał ręce

nad piecem, włożył wełniane rękawice bez palców, chwycił swoje ukochane skrzypki i zaczął wygrywać rzewne cygańskie melodie. Z twarzy wyczerpanych koszmarowymi przeżyciami i długą drogą ludzi zniknęło z wolna napięcie. Ten i ów zdobył się na nikły uśmiech. Parę godzin później, kiedy niebo na wschodzie zaróżowiło się, jeden z Austriaków poprowadził ich ścieżką w dół, do wioski. Ebby niósł Nellie i wielką, pękatą walizkę lalkarza. Prawie równocześnie dostrzegł wieżyczkę kościoła i grupkę ludzi na pagórku.

Jeden z nich pomachał do niego ręką.

– Ebby! – zawołał, zbiegając po zboczu ku drodze.

– Jack! – krzyknął Ebby.

Uściskali się serdecznie.

– As tutaj jest... – Jack odwrócił się w stronę wzniesienia i zawołał: – To naprawdę on!

Potem znów popatrzył na Ebby'ego.

– Frank bardzo wziął sobie to wszystko do serca – powiedział i gestem podbródka wskazał uchodźców, potykających się w koleinach drogi. – Przyjeżdżaliśmy tu co rano. Na przekór wszystkiemu wierzyliśmy, że przyjdiesz... A tu taki widok! Cholera, nawet nie wiesz, jak się cieszę... – Wyrwał mu z ręki walizkę. – Daj, wezmę to... Jezu Chryste! Ebby, co ty tam masz?!

– Nie uwierzysz, jak ci powiem.

Jack, idąc żwawo obok niego, roześmiał się:

– Zobaczymy. Wal, stary!

– Marionetki, chłopie. – Ebby obejrzał się za siebie, patrząc w stronę Węgier. – Marionetki.

WASZYNGTON, DC, PIĄTEK, 23 LISTOPADA 1956

Obszar działalności kontrwywiadu Firmy rozrósł się ogromnie, odkąd na jego czele stanął James Jesus Angleton. Trzy sekretarki bez przerwy strzegły drzwi do jego gabinetu, a przez ostatnie dwanaście miesięcy do wciąż powiększającej się listy dyżurów dopisano trzydziestu pięciu oficerów CIA. Pomimo chronicznej ciasnoty, panującej w gmachu przy Alei Karaluchów, kontrwywiad zdołał wydrzeć dla siebie spory skrawek przestrzeni. Akcję tę dowcipnie nazwali „Anschluss Angletona” – Matka zarekwirowała wielką, pozbawioną okien kamerę i zastawił ją pancernymi sejfami, w których przechowywał papierowe skarby, odnalezione przez jego cudowne dzieci w nieprzebytym gąszczu archiwów CIA. Ale sercem kontrwywiadu pozostał tonący w półmroku gabinet, najświętszy przybytek Angletona (jedna ze szkół filozoficznych utrzymywała, iż wiecznie spuszczone żaluzje, chroniące ów azyl od przypadkowych spojrzeń, były na stałe p r z y k l e j o n e do okna), zawalony stertami fiszek „oflagowanych” czerwonymi nalepkami, oznaczającymi informacje najwyższej wagi.

– Dzięki, że wpadłeś. Nie spodziewałem się ciebie tak szybko – powitał Angleton Ebby’ego, prowadząc przez labirynt pudeł do jedyne w całym pomieszczeniu w miarę przyzwoitego krzesła.

– Nie mam żadnych pilnych spraw. Z Dullesem umówiłem się dopiero po południu – odrzekł Ebby.

– Jacka Daniel’sa? – zapytał Angleton, sadowiąc się za biurkiem i zerkając na gościa zza lampy od Tiffany’ego. Przymrużył oczy. Gdzieś

w okolicy łuków brwiowych czaiły się jeszcze resztki migreny, która dręczyła go przez całą noc.

– Chętnie.

Angleton napełnił dwie szklanki i pchnął jedną do Ebby'ego.

– Twoje zdrowie – powiedział.

– Za naiwnych Węgrów, którzy dali się nabrać na gadkę o „odpychaniu komunizmu” – odparł Ebby zaczepnie.

Tręcili się szklankami. Sącząc burbona, Ebby skrzywił się na wspomnienie palącego smaku węgierskiej brandy „Torkoly”, którą Arpád Zelk poczęstował go przy pierwszym spotkaniu. Jack Daniel's Matki był o niebo łagodniejszy. Tu, w Waszyngtonie, wszystko było łagodniejsze.

– Zgorzkniałeś trochę...

– Naprawdę?

Angleton nie lubił przelewać z pustego w próżne i zawsze krępowwały go towarzyskie pogawędki o niczym, ale brnął dalej.

– Jak podróż? – zagadnął.

– O wiele za długa. Bite dwadzieścia siedem godzin, nie licząc półtora dnia w Niemczech. Chłopcy z Sił Powietrznych musieli naprawić kaszlący silnik.

– Doszły mnie słuchy, że wróciłeś z kobietą...

– Z kobietą i z dzieckiem. Dziewczynką. Ma prawie sześć lat i nie boi się ciemności. Kobieta ma prawie trzydzieści trzy i bardzo się boi ciemności. Światła też, jak się nad tym dobrze zastanowić.

– Doszliście już do siebie? Zdążyłeś trochę odpocząć po tej węgierskiej eskapadzie?

– As załatwił nam dziesięć dni w jakimś gasthausie pod Innsbruckiem. Długie spacery po Alpach Bawarskich. Ciche wieczory przy trzaskającym ognisku. Kiedy tam byliśmy, przez granicę przedostało się jeszcze dwanaście tysięcy uchodźców.

Angletonowi wyraźnie zabrakło tematu do dalszej rozmowy. Zapalił papierosa i z ulgą skrył się za kłębami dymu.

– Czytałem – zakaszłał sucho – notatki z przesłuchania w Wiedniu...

– Tak myślałem.

– Szczególnie zainteresowały mnie twoje podejrzenia co do sowieckiego kreta...

– To nie są podejrzenia, to pewność.

– Aha.

– Powiedziałem już prawie wszystko, co wiem.

– Zechcesz mi to powtórzyć?

– Miałem doskonałą przykrywkę z mojej dawnej kancelarii prawniczej, w razie gdyby ktoś bardziej się mną interesował, ale ludzie z AVH trafili do mnie jak po sznurku. Zostałem porwany...

– Przed spotkaniem z Arpádem Zelkiem?

– Po spotkaniu.

Angleton myślał na głos.

– A więc mógł cię zdradzić ktoś z otoczenia Zelka.

– Mógł, ale nie zdradził. Generał pułkownik, który mnie przesłuchiwał, znał moje akta z rejestru centralnego. Wiedział, że zostałem przydzielony do Dyrektoriatu Operacyjnego Franka Wisnera; wiedział, że byłem w Sekcji Rosji Sowieckiej DD/O. Wiedział, że pracowałem w bazie we

Frankfurcie i że wysyłałem emigrantów do Polski, Związku Radzieckiego i Albanii.

Ukryte za zasłoną dymu oczy Angletona zwężyły się jak szparki.

– Potem wyszła sprawa Tony’ego Spinka – dodał Ebby.

– W protokole twoich zeznań nie ma żadnej wzmianki o Spinku.

– Uświadomiłem to sobie podczas jednego z długich alpejskich spacerów, kiedy w kółko wałkowałem w myślach wszystko, co przeżyłem w trakcie śledztwa. Męczyło mnie to nawet we śnie. Wciąż ten sam koszmar: znów jestem w tamtym pokoju, siedzę na stołku, oślepiiony blaskiem lamp, albo stoję przy oknie i patrzę, jak torturują Elizabet...

– Mówiłeś o Spinku – wrócił do tematu Angleton.

– Ach, tak... O Spinku. Towarzysz generał pułkownik wiedział, że Tony był moim bezpośrednim przełożonym we Frankfurcie. Wiedział, że dostałem awans, kiedy w pięćdziesiątym czwartym przeniesiono Spinka do Waszyngtonu.

– Znał datę?

– Tak. Powiedział: „Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty”. – Ebby przymknął oczy. – Zanim Arpád Zelk zaciągnął go do chłodni i powiesił na haku, tamten zdążył jeszcze krzyknąć, że dostał o mnie cynk z centrali...

Matka pochylił się do przodu.

– W świecie wywiadu jest wiele central.

– Miał na myśli centralę w Moskwie.

– Skąd wiesz?

– Tak przypuszczam... – Ebby wzruszył ramionami.

Zabrzączał jeden ze stojących na biurku telefonów. Angleton, notując coś na fiszce, podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

– Nie, to nie pogłoska – powiedział po dłuższej chwili. – Moja krzyżówka katlei właśnie zakwitła... Wyobraź sobie, osiemnaście miesięcy wcześniej, niż się spodziewałem! Jest przepiękna. Przepraszam cię, Fred, ale mam gościa. Oddzwonię później. – Rzucił słuchawkę na widełki.

– Co to jest krzyżówka katlei?

Angleton uśmiechnął się półgębkiem. Było to tak niezwykle u tego posępnego z natury, zamkniętego w sobie człowieka, że Ebby miał wrażenie, iż szef wywiadu wręcz promienieje szczęściem.

– To nowa odmiana orchidei – wyjaśnił szef kontrwywiadu ze wstydliwą dumą. – Lata pracy. Zakwitła, skubana, akurat w ten weekend. Chcę ją zarejestrować pod imieniem mojej żony. Będzie figurować w książkach jako Cicely Angleton.

– Moje gratulacje.

Angleton nie wyczuł ironii.

– Dziękuję. – Skinął głową. – Dziękuję bardzo. – Odchrząknął i zerknął do swoich fiszek.

Kiedy odezwał się znowu, jego głos przybrał już zwykły, oschły ton.

– O czym jeszcze zapomniałeś powiedzieć podczas przesłuchania w Wiedniu?

– Jest tego całe mnóstwo. Prawie same pytania.

– Jakie?

– Dlaczego zrzuty agentów poszły źle już po czerwcu pięćdziesiątego pierwszego roku, czyli wtedy, kiedy Philby’ego wylali, a Maclean i Burgess siedzieli w Moskwie? Dlaczego straciliśmy tę parę podwójnych agentów w Niemczech? Skąd KGB wiedział, którzy z dyplomatów pracujących w naszej ambasadzie w Moskwie obsługują skrzynki kontaktowe? Lista pytań jest długa. Skąd wyszedł przeciek? Skąd węgierski generał

pułkownik czerpał niezachwianą pewność, że pracuję dla Asa? Skąd wiedzieli, że zastąpiłem Spinka, kiedy został odwołany do domu? Jeżeli od KGB, to skąd o tym wiedzieli Rosjanie?

Angleton, jakby zgarbiony pod ciężarem tajemnic, wstał i wyciągnął rękę do Ebby'ego.

– Dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas. Cieszę się, że znów jesteś z nami, cały i zdrowy.

Młody człowiek uśmiechnął się pod nosem.

– Cały może. Ale nie wiem, czy zdrowy.

Po wyjściu Ebbitta Angleton usiadł za biurkiem i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę Jacka Daniel'sa. Elliott się nie myli, to jasne: Rosjanie mają kreta w CIA, najprawdopodobniej w tajnych służbach, może nawet w samym sercu tajnych służb, w Sekcji Rosji Sowieckiej. Wyciągnął z pudła fiszkę Anthony'ego Spinka i przykleił w rogu czerwoną kropkę. Zaintrygował go ten człowiek. Zarówno Ebbitt, jak i inni pracownicy frankfurckiej placówki nie znali całej prawdy. Spink wcale nie został p r z e n i e s i o n y do Waszyngtonu – ściągnięto go z powrotem, bo sypiał z Niemką, której siostra mieszkała w Niemczech Wschodnich. Poddano go wtedy badaniu wykrywaczem kłamstw, ale jeśli łyknie się wystarczającą ilość środków uspokajających, można z powodzeniem oszukać wariograf. Nie zaszkodziłoby wezwać go tu znowu i przebadać jeszcze raz. A skoro tak, to należałoby też przyjrzeć się bliżej dwóm oficerom, którzy kryli go swego czasu przed centralą. Jest jeszcze zastępca szefa placówki w Pradze, który zdeponował siedem tysięcy dolarów na koncie swojej żony w pewnym banku w północnej części stanu Nowy Jork. I szyfrant w Paryżu, który siedem razy dzwonił do Stambułu pod pretekstem rozmowy z córką, przebywającą tam na wakacjach. I sekretarka w Warszawie, która dostała kwiaty od Polaka, poznanego przypadkowo na

jakimś koncercie. I żołnierz piechoty morskiej z ambasady w Moskwie, który płacił za usługi radzieckiej prostytutki dolarami sprzedawanymi na czarnym rynku. I pracownik kontraktowy w Meksyku, którego widziano wychodzącego z nocnego klubu dla transwestytów, gdzie znajdował się punkt kontaktowy miejscowych agentów KGB. I młody oficer z ambasady w Sofii, który w bagażu dyplomatycznym przemycił do Stanów trzy bezcenne ikony. No i oczywiście E. Winstrom Ebbitt II. A jeżeli go przekabacili w tym więzieniu? A jeżeli nigdy w więzieniu nie siedział? A jeżeli to Ebbitt jest sowieckim kretem? Dziadek, wirtuoz szpiegowskiej gry, mógł podsunąć mu, żeby sam poruszył tę sprawę – ż e b y p o w i e d z i a ł A n g l e t o n o w i t o, c o i t a k j u ż b y ł o w i a d o m e! – i w ten sposób odwrócił uwagę od siebie. Trzeba rozważyć i taką możliwość.

Angleton zakrył uszy rękami. W skroniach czuł odległe dudnienie migreny – prymitywne tam-tamy, przyzywające ducha Dziadka, który odtąd miał go nawiedzać, pozbawiając snu i rozsądku, dopóki szef kontrwywiadu nie odprawi nad nim egzorcyzmów.

Pławiąc się w rozkosznym omdleniu po chwilach erotycznych uniesień, Bernice opadła na stołek przy barze w „Peoples Drugstore”, o kilka minut spacerkiem od jej mieszkania.

– Na co masz ochotę? – zapytała Eugene’a, który usadowił się obok niej.

– Na ciebie.

– Mnie dopiero co miałeś – rzekła Bernice. – Mówię o kolacji, kochanie.

– Może kiełbaski – zdecydował Eugene i zawołał do Greka za ladą: – Podaj nam kiełbaski, Lukas! Całą skwierczącą patelnię. Ze startymi ziemniakami, smażoną cebulką i jednym z tych twoich greckich omletów z mnóstwa jajek. I kawę.

– Wygląda na to, że dwa gołąbki znów zapracowały na niezły apetyt. –
Lukas uśmiechnął się lubieżnie.

Widywał ich wystarczająco często, aby odgadnąć, że i tym razem
zawdzięczają wilczy apetyt udanemu seksowi.

– A co dla młodej damy?

– To samo, tylko bez ziemniaków – powiedziała dziewczyna. – I jeszcze
colę, i malinowy koktajl mleczny na deser.

– Już się robi – odparł Grek, zręcznie wbijając jajka do miski.

Trzydzieści pięć minut później zebrał puste talerze, a Bernice zajęła się
swoim koktajlem, głośno siorbiąc przez dwie słomki. Kiedy przerwała,
żeby nabrać powietrza, podniosła głowę i spojrzała na Eugene'a.

– Od paru tygodni jesteś z siebie bardzo zadowolony, kochanie. To się
rzuca w oczy.

Młody człowiek zerknął na Lukasa, który szorował patelnię po drugiej
stronie lady.

– Mam powody. Kontrrewolucja na Węgrzech dostała po nosie.
Kolonializm dostał wycisk w Egipcie. To był dobry miesiąc dla socjalizmu.

– Jesteś zabójczo namiętny, Eugene. Nie tylko w łóżku... Do wszystkiego
podchodzisz z pasją. Znałam wielu socjalistów, ale żaden nie był taki jak ty.

– Pociągnęła spory łyk. – Popraw mnie, kochanie, jeżeli się mylę –
odezwała się po chwili, a jej twarz stężała nagle w napięciu – kiedy
w Ameryce zwycięży komunizm, pewnie wrócisz do domu.

Eugene zamieszał cukier w drugiej filiżance kawy.

– Tak sędzę.

– Naprawdę mógłbyś?

– Co przez to rozumiesz?

– Czy teraz, kiedy przywykłeś do tego wszystkiego – machnęła ręką w kierunku kolorowej, zatłoczonej ulicy – potrafiłbyś żyć w komunie?

– Nie zepsuł mnie materializm, Bernice.

– Wcale tego nie powiedziałam, kochanie. Chodzi o to, że trudno ci się będzie przestawić. – Uśmiechnęła się na samą myśl. – Powinieneś wracać powoli, jak nurek wypływający na powierzchnię.

Zachichotał rozbawiony.

– To co innego. Nie jestem nurkiem!

– Ależ tak, w pewnym sensie... Jesteś radzieckim nurkiem, który walczy z rekinami i płaszczkami, żeby splądrować wrak kapitalizmu, spoczywający na dnie w mrocznych głębinach.

Spostrzegłszy gniew w jego oczach, dodała szybko:

– Hej, Lukas nas nie słyszy...

Uśmiechnęła się tęsknie.

– Proszę cię, Eugene, weź mnie ze sobą. – Zerknęła na Greka i dokończyła szeptem: – Chcę wrócić z tobą do Matuszki Rosji, kochanie. Marzę o tym od dawna.

– To nie takie proste. Tam jest inaczej, niż myślisz – powiedział cicho.

– A jak?

– Brakuje mieszkań. Nierzadko dwie, a nawet trzy rodziny żyją pod jednym dachem. W sklepach są długie kolejki. Żeby cokolwiek kupić, trzeba stanąć w trzech naraz...

Zastanawiał się, jak by tu ją odstraszyć. Kto wie, może po powrocie uda mu się odnaleźć Azalię Izanowną? Może znowu będą razem? O ile nie wyszła za męża. O ile go jeszcze pamięta. Nawet teraz, po tylu latach, brzmi mu w uszach jej głos: „Sprawdzimy, czy można pogodzić w łóżku twoje pożądanie i moje pragnienia”.

– ...a już na pewno ci się nie spodoba – dodał z powagą – że w Rosji nie ma jazzu.

– Ale za to nikt nikogo nie wyzyskuje – nie dawała za wygraną Bernice – bo środki produkcji są własnością proletariatu. Uważam, że wspólna łazienka to niezbyt wygórowana cena za równość i sprawiedliwość. Kiedy socjalizm przeobrazi się w prawdziwy komunizm, kolejki znikną, a robotnicy będą słuchać jazzu w swoich nowych mieszkaniach. Prawda, kochanie?

– Co do mieszkań i kolejek, zgoda. Gorzej z jazzem.

– Dla dobra sprawy chętnie zrezygnuję z jazzu – odparła poważnie. – Na razie to czysta teoria, ale muszę wiedzieć, czy zabierzesz mnie ze sobą do ojczyzny socjalizmu. Powiedz, tak czy nie?

Eugene zrozumiał, że Bernice nie popuści.

– Nie my o tym decydujemy, tylko partia. Nawet gdyby w Ameryce zmienił się ustrój, centrala może zażądać, żebyś została. Tu, na miejscu, będą nam wtedy potrzebni oddani towarzysze. Ktoś musi trzymać rękę na pulsie.

Bernice miała bardzo nieszczęśliwą minę.

– To znaczy, że do końca życia będę musiała mieszkać w Stanach? O to ci chodzi?

– Ty i Max jesteście żołnierzami na froncie – tłumaczył cierpliwie Eugene. – Kiedy komunizm zwycięży, ludzie nazwą ulice amerykańskich miast waszymi imionami. Kto wie, jak wysoko zajdziecie.

– Na przykład?

– Ktoś taki jak ty, z tak piękną kartą w życiorysie, powinien znaleźć się w Białym Domu. Wiem, co mówię.

Bernice pojaśniała.

– Eee tam, chcesz mnie tylko pocieszyć...

– Ależ skąd! Naprawdę tak myślę.

Odchyliła się do tyłu, potrząsnęła głową, roześmiała się i zachwiała na stołku, jakby zakręciło jej się w głowie.

– Powiem ci coś, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiłam. Wiesz, ta cała permanentna rewolucja, dyktatura proletariatu, wyzysk, alienacja... Właściwie to ja tego wcale nie rozumiem.

– A czym jest dla ciebie komunizm, Bernice?

Zastanowiła się chwilę.

– Dla mnie – odezwała się wreszcie – komunizm to walka z obojętnością. Troszczenie się o innych bardziej niż o samego siebie.

Eugene pochylił się ku niej i pocałował ją w usta.

– Jesteś piekielnie dobrym towarzyszem broni, Bernice.

– Ty też, Eugene, kochanie.

Narada u DCI, zaplanowana na szóstą trzydzieści, opóźniała się. Kilku starszych oficerów Firmy, wśród nich Leo Kritzky, czekało w dawnym budynku Ministerstwa Wojny na wiceprezydenta Richarda Nixona, który miał przybyć na odprawę poświęconą sytuacji na Węgrzech. Allen Dulles zamknął się u siebie w gabinecie, gdzie zwołał prywatne konsylium psychiatrów, żeby omówić sprawę Franka Wisnera, którego stan budził poważne obawy. Plotki o nieobliczalnym zachowaniu Asa rozniosły się już po całej Firmie. Upadek węgierskiego powstania odbił się wyraźnie na jego psychice. Z początku starzy współpracownicy DD/O przypisywali jego zmienne nastroje i gwałtowne reakcje stresowi oraz przemęczeniu pracą, mając nadzieję, że z czasem odzyska równowagę. Dick Helms, szef operacji Wisnera, krył go, jak mógł, ale oficerowie tajnych służb i tak ze

wszystkim przychodzili do niego, starannie omijając nieobliczalnego zwierzchnika. Helms, cierpliwy biurokrata, który instynktownie unikał ryzyka, wyciągnął odpowiednie wnioski z węgierskiego fiaska i zawiesił programy „odpychania komunizmu”. Paramilitarne oddziały agentów-emigrantów w Niemczech zostały rozwiązane, tajne składy broni opróżnione. Radio Wolna Europa i Radio Swoboda objęto ścisłą kontrolą; czasy, kiedy obie rozgłośnie nawoływały zniewolone narody do otwartego buntu i podawały w swych audycjach przepisy na koktajle Mołotowa, należały już do przeszłości. Za Helmsa Centralna Agencja Wywiadowcza „przyczaiła się”, skupiona na mozolnym gromadzeniu oraz interpretacji materiałów wywiadowczych, dotyczących jej głównego wroga – ZSRR.

Dulles, szurając kapciami, wszedł do prywatnej jadalni DCI dwadzieścia minut po czasie.

– Spójrz na jego nogi – szepnęła Elizabet do Ebby’ego, kiedy dyrektor człapał po sali, zatrzymując się co chwila, żeby pogadać z gośćmi, sączącymi szampana i pogryzającymi tartinki.

– Cierpi na podagrę – wyjaśnił Ebby. – Puchną mu stopy.

– To choroba Anglików z wyższych sfer – orzekła z powagą i umoczyła usta w szampanie. – A on jest Amerykaninem. Nie może mieć podagry.

– Jestem pewien, że się ucieszy, jak mu to powiesz – odpowiedział.

Dulles, z wyciągniętą ręką, zmierzał właśnie w ich stronę.

– Wiele wody upłynęło, odkąd widzieliśmy się ostatni raz w „Alibi Club”.

– To nie woda płynęła, dyrektorze – odparł młody człowiek. – To krew. Zna pan Elizabet Németh?

DCI przyglądał się przez chwilę Ebby’emu, usiłując rozgryźć jego intencje. Obrzucił przeciągłym spojrzeniem stojącą obok szczupłą kobietę

i oczy mu się zaświeciły. Dulles był znanym kobieciarzem. W Firmie krążyły plotki, że rujnował się u Cartiera na prezenty dla żony, której po każdym nowym romansie kupował jakiś kosztowny „drobiazg” na przeprosiny.

– Czytałem o pani bohaterstwie, młoda damo – oświadczył tubalnym głosem, roztaczając wokół swój męski urok.

Przytrzymał dłoń Elizabet w swoich rękach i wyglądało na to, że wcale nie zamierza jej puścić.

– Gdyby pracowała pani dla Agencji, odebrałaby dziś pani medal, tak jak Ebbitt.

– On służy interesom Ameryki i Ameryka jest mu wdzięczna – powiedziała, wyswobodzając rękę z uścisku. – Ja służyłam interesom mojego kraju. – Uśmiechnęła się z goryczą. – Może kiedyś wolne i demokratyczne Węgry przypomną sobie o swych poległych synach i córkach.

– Na pewno, droga pani, na pewno – odparł z emfazą.

Gwar przyciszonych rozmów ustąpił miejsca pełnej napięcia ciszy. Zerknąwszy przez ramię dyrektora, Ebby spostrzegł w drzwiach Asa. Krocząc po miękkich dywanach do stolika z szampanem, Wisner nerwowo omiół wzrokiem zebranych wokół ludzi. Wychylił duszkiem alkohol, chwycił za drugi kieliszek i zatoczył się w stronę Dullesa.

– Co nowego, Frank? – zagadnął go DCI.

– Za oddane światowemu komunizmowi zasługi – oznajmił As dobitnie, z wyraźnym rosyjskim akcentem – Kreml awansował mnie do stopnia generała pułkownika KGB. – Wzniósł kieliszek w geście pozdrowienia. – Towarzyszu dyrektorze – brnął dalej – wy i wasz personel działaliście zgodnie z najlepszymi tradycjami socjalistycznego surrealizmu. Marks,

Engels i rządząca w ich imieniu nomenklatura mogą być z was dumni. Duch Władimira Iljicza Lenina przypnie wam do piersi Order Aleksandra Newskiego. Duch Józefa Wissarionowicza Stalina ogłosi was Bohaterem Związku Radzieckiego. Bez zachęty z waszej strony otumaniony propagandą lud pracujący miast i wsi Węgierskiej Republiki Bananowej nigdy nie powstałby przeciwko swym braciom z Armii Sowieckiej. Gdybyście wy i wasi towarzysze nie podstawili im nogi, to kto wie...? Może ich kontrrewolucyjne szaleństwo zostałyby uwieńczone powodzeniem?

Dulles rozejrzał się wokół niespokojnie.

– Za dużo wypiełeś, Frank – powiedział ściszym głosem.

– Trafiełeś w dziesiątkę – przyznał Wisner. – Wszystko przez ten przeklęty alkohol. Jak tylko wytrzeźwieję, popatrzę na to z dystansem. Dwadzieścia tysięcy zabitych Węgrów i dwieście tysięcy uchodźców to dopiero początek. Podnieśmy stawkę, wyślijmy na śmierć więcej ludzi. Niech za nas umierają.

Przygryzł dolną wargę i klepnął Ebby'ego w ramię.

– Spieprzyłeś, chłopie. Nie powstrzymałeś ich. Co się stało?

– Ty mi powiedz.

– Jasne, że ci powiem. To dlatego, że nikt, ze mną na czele, dobrze tego nie przemyślał...

Kieliszek szampana wysunął mu się z ręki i brzęknął o podłogę, ale się nie rozbił. As kopnął go butem pod stół.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – powiedział.

Jeszcze przez chwilę poruszał bezdźwięcznie ustami. Kilka razy dźgnął palcem powietrze, zataczając nim kręgi niczym szpadą, jakby próbował znaleźć jakiś punkt zaczepienia, który pozwoli mu zaprowadzić ład

w skołatanej głowie. Zebrani na sali goście z zażenowaniem odwracali wzrok.

Po krótkiej szarpaninie kilku baronów Firmy odciągnęło go w kąt, a Dulles pospiesznie rozpoczął ceremonię. Od razu przystąpił do rzeczy: za odwagę i męstwo, wykraczające daleko poza służbową powinność, E. Winstrom Ebbitt II otrzymuje Medal za Wybitne Zasługi dla Wywiadu drugiego stopnia; odznaczony działał w duchu najlepszych tradycji tajnych służb, przynosząc zaszczyt swojemu krajowi i Firmie. Tu Dulles sobie zażartował, gdzie Ebbitt może nosić swój order (ponieważ odznaczenia CIA były z natury tajne, nazywano je ineksprymablami). Strzeliły korki od szampana. Ebby'ego poproszono o parę słów. Wystąpił krok naprzód i stał przez chwilę, wpatrując się w medal, który trzymał w dłoni. Jego oczy poraziły obrazy przeszłości. Zobaczył leżącą w rynsztoku, podobną do szmacianej kukły postać, zmiażdżoną gąsienicami sowieckich czołgów, i dwanaście ciał wiszących na czarnych gałęziach bezlistnych drzew. Potoczył po sali nieprzytomnym, niewidzącym wzrokiem.

– Proszę, pamiętajcie o Węgrach. – Spojrzał na Elizabet, która otarłszy łzę wierzchem dłoni, nieznacznie skinęła głową. – Na miłość boską, nie popełniamy już więcej błędów.

Po skończonej ceremonii blady jak śmierć Ebby stał razem z Leo i Elizabet w korytarzu, czekając na windę. Kiedy drzwi się otworzyły, wszyscy troje weszli do środka. Ebby nacisnął guzik. Winda zawarczała i ruszyła w dół.

Leo zerknął spod oka na przyjaciela.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – powiedział. – Dobrze się czujesz?

– Nie. Mam chorobę kesonową. Za szybko wyszedłem stamtąd na powierzchnię.

Leo nie zrozumiał.

– Skąd wyszedłeś?

Ebby przypomniał sobie księdza o dzikich oczach, który powitał ich znakiem krzyża, kiedy z Arpádem i Elizabet wyszli z tunelu na dziedziniec koszar Kilian.

– Wyszędłem z Gehenny – odparł.

CZEŚĆ III

BŁĘDNE KOŁA

Zauważyła, że z wodą dzieje się coś dziwnego, gdyż od czasu do czasu wiosła grzęzły w niej i z trudem udawało się je wyciągnąć.

Zdjęcie: amatorska fotografia, zrobiona na morzu z mostka amerykańskiego niszczyciela, ukazuje marynarzy, schodzących po drabince sznurowej, żeby wciągnąć na pokład mężczyznę w przemoczonym polowym mundurze, kolebiącego się na pontonie, z którego uszło niemal całe powietrze. Ponieważ obraz jest zamazany, a mężczyzna ma brodę, Pentagon nie sprzeciwił się publikacji zdjęcia w ostatnim numerze magazynu „Time”, z kwietnia 1961 roku, pod warunkiem jednak, iż nie zostanie ujawnione amerykańskie obywatelstwo rozbitka.

WASZYNGTON, DC, PIĄTEK, 9 WRZEŚNIA 1960

– Jeśli umieścisz to w jednej ze swoich książek – wrzeszczał Dick Bissell do E. Howarda Hunta, etatowego oficera CIA, niedzielnego pisarza, autora szpiegowskich brukowców – i tak nikt ci nie uwierzy!

Bissell, wysoki, szczupły mężczyzna o temperamencie aktywnego wulkanu, przejął po Wisnerze stanowisko zastępcy dyrektora operacyjnego. Krążył teraz w tę i z powrotem po ścieżce, którą wydeptał w służbowej wykładzinie. Przygarbiony, z rękami założonymi do tyłu, wychylił się przez narożne okno, za którym stroszył pnącza jesienny „koci pazur”. Hunt – stołeczny elegant, któremu kazano wziąć dupę w troki, pojechać do Miami i nie ruszać się stamtąd, dopóki jakieś siedemset, z grubsza licząc, przeciwnych Fidelowi Castro ugrupowań nie skleci czegoś, co przynajmniej na papierze mogłoby uchodzić za rząd na emigracji – kiwał z zapalem głową.

– Jakiś bezimienny geniusz – kontynuował Bissell – wpadł na kretyński pomysł, żeby rozpuścić na Kubie pogłoskę o powtórny przyjściu Mesjasza. Jedna z naszych łodzi podwodnych miała wynurzyć się nocą u brzegów wyspy i wystrzelić fajerwerki na znak, że koniec świata już blisko. Wtedy kubańscy katolicy utożsamiliby Castro z Antychrystem i posłali go do diabła.

– Eliminacja przez iluminację – zażartował Hunt.

– Najgorsze – ciągnął zde gustowany Bissell – że jest to chwilowo najlepszy pomysł, jaki trafił do mojej szuflady.

Na biurku Bissella zapiszczał interkom. DD/O rzucił się na przycisk jak na natrętny budzik, który trzeba wyłączyć, zanim postawi na nogi cały dom.

– Jest tutaj – odezwał się wysoki kobiecy głos. – Ale obawiam się, że musisz zejść do holu i go wyratować.

Bissell, bez marynarki, w spodniach na szelkach, wypadł z gabinetu. Zastał Czarnoksiężnika w pakamerze za recepcją, gdzie umundurowani ochroniarze grali w bezika. Na stole leżały porzucone w pośpiechu karty. Dwóch strażników, z karabinami maszynowymi w pogotowiu, trzymało intruza na muszce pod ścianą, a trzeci przeszukiwał go od stóp do głów. Pod pachą zdefasonowanej sportowej marynarki wyczuł coś twardego. Sięgnął i z zapoconej kabury wyjął rewolwer o perłowej rękojeści. Torriti, z przyklepionym do twarzy uśmiechem, pykał grube hawańskie cygaro, śledząc kątem oka poczynania wartowników.

– Harvey Torriti, jak się domyślam? – wysapał zdyszany Bissell.

– A ty to zapewne Dick Bissell – odparł Czarnoksiężnik.

– Wparował do holu jak gangster – tłumaczył się gorączkowo jeden ze strażników, przestraszony, że sponiewierał jakąś szychę. – Kiedy podeszliśmy i poprosiliśmy, żeby okazał swoją kartę identyfikacyjną, pomachał nam przed nosem wymiętym świstkiem i pomaszerował prosto do windy.

– Widać było, że ma broń – poparł go drugi. – Przyciskał coś pod pachą.

Bissell zerknął na pognieciony karteluszek. Była to odszyfrowana kopia depeszy natychmiastowej, adresowanej do Alicji R. i wzywającej Harveya Torritiego do Waszyngtonu.

– Czy on wygląda na kogoś, kto się nazywa Alicja? – wtrącił trzeci.

– W porządku, chłopcy. Działaliście zgodnie z przepisami. – Bissell uspokajał wartowników. – Ręczę za tę Alicję – dodał, a w kącikach jego ust

czaił się uśmiech.

Podszedł do Czarnoksiężnika i wyciągnął rękę. Poczuł symboliczny uścisk miękkich, spoconych palców. Torriti, odzyskawszy rewolwer, bez dalszych przeszkód podążył za Bissellem. W drzwiach odwrócił się na pięcie ze zwinnością baletnicy, aż brzeg marynarki zafurczał mu wokół bioder.

– Należałoby zdegradować tych pajaców. Powinni krowy pasać – powiedział do Bissella.

Pochylił się, zawinął nogawkę i błyskawicznym ruchem wyciągnął zza podwiązki swoją szpanerską trzydziestkęósemkę.

– Przegapili drania – oznajmił radośnie i wyszczerzył zęby do posiniałych ze złości strażników. – O kurwa, gdyby wzrok mógł zabijać, już bym nie żył.

– Po co się z nimi drażnisz? – rzucił pojednawczo Bissell, gdy rozsiedli się w zaciszu gabinetu, z dala od czujnych oczu sekretarek.

Torriti, rozparty na kruchym krzeselku, które ledwie mogło udźwignąć jego potężne cielsko, leniwie pykał cygaro, usiłując pokazać, kto tu rządzi, i od razu ustawić DD/O na właściwym miejscu.

– Nie lubię, kiedy mną pomiatają.

– Jeżeli ktoś prosi grzecznie, żebyś okazał kartę identyfikacyjną, to jeszcze nie znaczy, że tobą pomiata – zauważył łagodnie Bissell.

– Oni nie prosili. Oni kazali. Poza tym dawno temu zgubiłem tę pieprzoną kartę. W Berlinie nie była mi potrzebna. Każdy mnie tam znał.

– Widzę, że tutaj też szybko cię poznają. – Bissell skinął podbródkiem w stronę kredensu z baterią butelek. – Mogę cię poczęstować wodą ognistą?

Łypiąc okiem zza kłębów wonnego dymu, Czarnoksiężnik przyjrzał się zawartości barku. Zapasik dyrektorskiej whisky połyskiwał gaelickimi

etykietkami, pyszniąc się swoim szesnastoletnim rodowodem. Złocisty płyn długo dojrzewał w dębowych beczkach, zanim zlano go do butelek i wystawiono na sprzedaż, żeby ratować rodzinne browary przed bankructwem. Torriti może i był alkoholikiem, ale miał swój honor i za skarby świata nie tknąłby tego świństwa dla wyższych sfer. Co to, to nie. Porządna whisky pali w gardło. Koniec kropka.

– Dzisiaj jest piątek – powiedział w końcu. – To kwestia religii. W piątki nie piję.

– Od kiedy?

– Odkąd zobaczyłem etykiety na twojej whisky. Zbyt szykowne jak na mój gust.

Czarnoksiężnik przyglądał się przez chwilę DD/O. Miał wielką ochotę go wkurzyć. Znał przeszłość Bissella – wychowanek Yale, ekonomista z wykształcenia, naukowiec z zamiłowania, oficer i dżentelmen z pochodzenia, ryzykant z natury. Właśnie owa skłonność do ryzykanctwa przykuła uwagę Dullesa, kiedy za plecami Dicka Helmsa szukał następcy Franka Wisnera. As został bowiem zdiagnozowany jako typ maniakalno-depresyjny i odszedł z branży, żeby osiąść na swojej farmie we wschodnim Marylandzie, gdzie spędzał czas na gapieniu się w przestrzeń.

Bissell w zamyśleniu znęcał się nad spinaczem, wyginając go na wszystkie strony.

– Twoja sława cię wyprzedza, Harveyu.

– A ja ją, kurwa, gonię i wypruwam sobie flaki, żeby dorównać własnej reputacji.

– Kręcisz się w kółko za własnym ogonem – uciął Bissell. Wetknął sobie spinacz do ust i zaczął go żuć. – Prowadzę nowy projekt, Harveyu. Dlatego

cię wezwałem. Mam dla ciebie robotę. Coś dużego. Bardzo dużego. Zgaduj. Do trzech razy sztuka.

Czarnoksiężnik zastanawiał się, czy jednak nie spróbować gaelickiej whisky Bissella, ale uważał, że nie zna DD/O na tyle, aby się do tego przyznać.

– Kuba, Kuba, Kuba.

Bissell z uznaniem skinął głową.

– Chruszczow trąbił ostatnio na cały świat, że doktryna Monroego umarła śmiercią naturalną. Mam zamiar udowodnić, że się myli. Prezydent Eisenhower upoważnił mnie, żebym rozwinął tajną działalność przeciw reżimowi Castro. Będziemy się wzorować na modelu gwatemalskim, ale na znacznie większą skalę: rozgłosimy plotki o zmasowanym desancie i zamieszkach i wykurzymy Fidela z Kuby, tak jak wykurzyliśmy Arbenza z Gwatemali. Plan wymaga stworzenia rządu na emigracji, wzmożonej ofensywy propagandowej, wspierania opozycji na wyspie oraz szkolenia oddziałów paramilitarnych poza terytorium Kuby na wypadek działań partyzanckich. Całe przedsięwzięcie będzie miało kryptonim JMARC.

Czarnoksiężnik pyknął z cygara.

– A gdzie tu ja?

DD/O obszedł stół i bezwiednie ściszył głos.

– Ściągnąłem cię, żebyś założył kolejną strzałę na naszą cięciwę, Harveyu. Stworzysz w Firmie nową komórkę, która zajmie się unieszkodliwianiem kłopotliwych przywódców pewnych krajów. Nazwijmy to akcją likwidacyjną. Wewnętrzny kryptonim: ZR/RIFLE. Pierwszym zadaniem ZR/RIFLE będzie zlikwidowanie Fidela Castro. Jeżeli ci się powiedzie, akcja militarna stanie się zbędna albo przynajmniej łatwiejsza.

– Nie mów mi, że jeszcze nie próbowaliście go wykończyć.

Bissell znów zaczął wydeptywać ścieżkę w wykładzinie.

– Ludzie, zajmujący się tym do tej pory, miewali kłopoty z czytaniem. Gdybym ci powiedział o niektórych spiskach...

– Powiedz mi, chociażby po to, żebym nie popełnił tych samych błędów.

– Mieliśmy swojego człowieka w hotelu. Zgodził się wysmarować buty Fidela pewnym związkiem talu, żeby pozbawić go brody, tyle że Fidel nigdy nie wystawiał butów do czyszczenia. Zatruliśmy jadem kiełbasianym całe pudełko jego ulubionych cygar „Cohiba”. Przemyciliśmy je na wyspę, a jeden z naszych miejscowych współpracowników miał mu to dostarczyć. Gość zgarnął forszę, wyrzucił cygara i zniknął. Kawalarze z technicznego podsunęli nam inne rozwiązanie: chcieli rozpylić LSD w przewodach wentylacyjnych studia telewizyjnego w Hawanie, żeby Castro, zamiast wygłosić przemówienie do narodu, zaczął pleść trzy po trzy do mikrofonu. Były też inne plany, które nigdy nie ujrzały światła dziennego: obsypanie piankowego kombinezonu Fidela zarodnikami grzybów, wprowadzenie do jego akwalungu prątków gruzlicy, umieszczenie na dnie morza pięknej, egzotycznej muszli, która wybuchłaby mu w rękach, gdyby ją podniósł.

Zadzwoił jeden z czterech telefonów na biurku Bissella. DD/O odebrał, przez moment słuchał w milczeniu, a potem powiedział:

– Przełącz go na bezpieczną linię. – Gestem ręki uspokoił Torritiego, że rozmowa nie zajmie wiele czasu, i chwycił za słuchawkę czerwonego aparatu: – Słuchaj, Dave... Problem w tym, że ten twój numer jest zbyt schludny. Na wskroś amerykański. Ktoś może się zorientować, że maczaliśmy w tym palce. Cała sztuka polega na tym, żeby wszystko wyglądało mniej profesjonalnie, bardziej po kubańsku. Wiesz, o czym mówię: niechlujny bełkot źle przygotowanych spikerów, zacinający się sygnał radiowy, audycje nadawane za wcześnie albo za późno... Więcej

niedociągnąć, Dave, i sukces gwarantowany. Oto cała tajemnica... Wiem, że się postarasz.

Bissell rzucił słuchawkę na widełki.

– Słyszałeś kiedyś o Wyspie Łabędzi, Harveyu? To kupa guana u wybrzeży Hondurasu, z pięćdziesięciokilowatowym przekaźnikiem, nadającym na falach średnich audycje propagandowe dla Kuby.

– Chwileczkę, Dick – przerwał mu Torriti. – O ile dobrze zrozumiałem, uważasz, że przy agitacji przesadzamy z profesjonalizmem, a przy likwidacji Fidela z amatorszczyzną?

Bissell uśmiechnął się mimo woli.

– Dobrze zrozumiałeś, Harveyu. Jediną regułą jest brak wszelkich reguł.
– Usiadł za biurkiem i zaczął się bawić chromowaną nakrętką, obracając ją na chromowanej śrubce. – Potrafisz jeszcze gadać po sycylijsku?

– Tego się nie zapomina, Dick. Jestem pół-Sycylijczykiem ze strony matki.

– Podczas wojny byłeś łącznikiem OSS z tamtejszą mafią.

Czarnoksiężnik zachnął się, zde gustowany.

– Nie można sądzić człowieka za to, że obraca się w złym towarzystwie, skoro pracuje dla organizacji wywiadowczej.

– Powinieneś odnowić swoje stosunki z mafią, Harveyu.

Torriti pochylił się do przodu. Pod rozpiętą marynarką błysnęła perłowa kolba rewolweru.

– Chcesz, żeby cosa nostra załatwiła Fidela?!

Bissell uśmiechnął się.

– Wiadomo, że robią takie rzeczy. I cieszą się dobrą opinią. Między innymi dlatego, że potrafią trzymać język za zębami.

– Co będą z tego mieli?

– Na początek forszę. Zaczynij od Johnny'ego Rossellego. Jako kilkunastoletni chłopak przeschmuglował się do Stanów na lewych papierach. Grozi mu deportacja. Gdyby zgodził się na współpracę, moglibyśmy temu zaradzić. Zanim Castro zszedł z gór, Rosselli prowadził sieć kasyn cosa nostry w Hawanie. Teraz ma udziały w domach gry w Las Vegas i reprezentuje mafię z Chicago na Zachodnim Wybrzeżu.

– Kiedy chciałbyś ruszyć z JMARC?

– Na pewno nie przed listopadowymi wyborami. Nie przepadamy za Nixonem aż tak bardzo. Po co mu ułatwiać życie? Nie widzę powodu, dla którego miano by mu przypisać zasługę obalenia Castro. Jeszcze wzrosłyby jego szanse na wygraną... Zdradzę ci tajemnicę państwową, Harveyu: wiceprezydent nie jest w naszym typie. Allen Dulles woli Jacka Kennedy'ego. Chce, żeby to on zasiadał w Białym Domu. Chce, żeby miał u nas dług.

– Bo poczekamy z uderzeniem na Castro, aż Kennedy obejmie władzę?

– Właśnie. Z drugiej strony powinniśmy się do tego zabrać jak najszybciej, powiedzmy latem przyszłego roku. Pięćdziesięciu pilotów Fidela uczy się w Czechosłowacji latać na sowieckich MiG-ach. Za dziewięć miesięcy Castro będzie miał i samoloty, i wyszkolony personel.

– Kennedy wie o JMARC?

– W bardzo ogólnych zarysach.

– To jaką macie gwarancję, że podpisze operację, jak już wygra wybory?

– Zadajesz dobre pytania, Harveyu. Uważamy, że to mało prawdopodobne, aby następny prezydent wycofał poparcie dla paramilitarnych operacji, zainicjowanych przez wielkiego amerykańskiego

bohatera wojennego, Dwighta Eisenhowera. Spadłyby na niego gromy. Republikanie powiedzieliby, że brakuje mu jaj.

– Ludzie z otoczenia Kennedy’ego mogą odwieść go od tego pomysłu.

Bissell ściągnął usta.

– Kennedy uchodzi za bystrego i nieustępliwego polityka. Ludzie z jego otoczenia wiedzą, jak daleko mogą się posunąć.

– Czy wielki amerykański bohater wojenny Eisenhower wie o akcji likwidacyjnej?

DD/O zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

– W Białym Domu nie mówi się o takich sprawach.

Torriti wyciągnął z kieszeni marynarki pogniecioną chustkę do nosa i otarł pot z czoła. Teraz, po tych wzajemnych zwierzeniach, czuł, że zna już DD/O o wiele lepiej.

– Czy mógłbym... – Skinął głową w kierunku kredensu.

– Na miłość boską, ależ oczywiście. Po to to jest, Harveyu. Lód masz w wiaderku.

Czarnoksiężnik chwycił butelkę z niemożliwą do wymówienia gaelicką nazwą na etykietce i nalał sobie whisky na cztery palce. Wrzucił kostkę lodu i zamieszał, dzwoniąc o brzeg szklanki. Potem jednym haustem wychylił połowę.

– Dobrze wchodzi, co?

– Za dobrze. Porządna whisky, tak jak dobra propaganda, musi mieć pewne niedociągnięcia...

Zatoczył się w kierunku okna, rozsunał żaluzje i objął spojrzeniem panoramę stolicy. Zawsze czuł się obco w tym mieście – za dużo tu było wszystkowiedzących moli książkowych, za dużo wygadanych lawirantów, którzy nigdy nie mówili wprost, o co im chodzi, oczekując, że będziesz

czytał w ich myślach, a potem, jeśli coś poszło nie tak, zostawiali cię na lodzie. Chcąc nie chcąc, Bissell zasłużył na jego szacunek. Ale był jeden minus: nigdy nie prowadził żadnego pieprzonego agenta i nigdy nie kierował żadną pieprzoną placówką Firmy. Z drugiej strony miał opinię człowieka, który potrafi dopiąć swego. To dzięki niemu istniejący jedynie na papierze nowy samolot wywiadowczy U-2 – szybowiec z silnikiem odrzutowym, wyposażony w kamery, zdolne z wysokości szesnastu kilometrów odczytać tablice rejestracyjne parkujących przed Kremlem samochodów – w niespełna osiemnaście miesięcy poszybował z deski kreślarskiej w stratosferę nad Związkiem Sowieckim. Chłopcom z Sił Powietrznych zajęłoby to co najmniej osiem lat. Teraz ten DD/O z Groton-Yale, z upodobaniem do szpanerskiej whisky, chce komuś spuścić łomot i wygarnął to, cholera, prosto z mostu, nie przebierając w słowach. Nie owijał niczego w pieprzoną bawełnę.

Torriti odwrócił się tyłem do Bissella i powiedział w przestrzeń:

– No więc zgadzam się.

DD/O poderwał się z krzesła.

– Bardzo się cieszę...

– Ale na moich warunkach.

– Wal, Harveyu.

Czarnoksiężnik przeszedł się tanecznym krokiem po gabinecie, postawił szklankę na ściśle tajnych papierach, ułożonych w skrzynce „przychodzące”, i zaczął wyliczać na palcach punkt po punkcie.

– Przede wszystkim chcę mieć dobrą przykrywkę.

– Jeśli chodzi o Firmę, to jesteś nowym szefem Sztabu D, niewielkiego wydziału Agencji, zajmującego się przechwytywaniem informacji.

– Nie chcę, żeby ten pieprzony James Jesus Angleton patrzył mi na rękę.

– Masz z nim jakiś problem, od razu wal z tym do mnie. Jeżeli sam nie będę mógł temu zaradzić, pójdę do dyrektora. Spokojna głowa, będziemy go trzymać od ciebie z daleka.

– Oczekujesz, że przytknę palcami i Fidel zniknie, w porządku. Ale nie chcę, aby inne agencje rządowe się o tym dowiedziały. Każdą pieprzoną sprawę w Firmie trzeba będzie załatwiać na gębę.

– Żadnych papierów – zgodził się Bissell.

– Egzekutorami ZR/RIFLE będą obcokrajowcy, którzy nigdy nie mieszkali w Ameryce i nie mają amerykańskiej wizy. Trzeba podrobić akta numer dwieście jeden z rejestru centralnego i wstawić wcześniejsze daty. Niech to wygląda tak, jakby każdy, kogo zwerbuję, był długoletnim agentem sowieckim lub czeskim.

Bissell skinął głową. Dochodził do wniosku, że ściągnięcie Torritiego z Berlina było z jego strony przejawem geniuszu.

Czarnoksiężnik wyliczył „po piąte...”, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to miało być.

– Coś jeszcze, Harveyu? – zapytał Bissell zachęcająco.

– Coś jeszcze...? – Próbował uporządkować kłębiące się w głowie myśli.
– Całe mnóstwo! Na początek, chcę mieć gabinet w piwnicy. Jestem jak kret, wolę siedzieć pod ziemią. Czuję się pewniej... Musi być duży. Taki, jaki dostałby rektor Yale, gdyby tu pracował. Chcę, żeby dozorczy sprawdzali codziennie, rano i wieczorem, czy nikt nie podłożył mi pluskwy. Chcę mieć nieograniczony zapas taniej whisky i bezpieczną linię telefoniczną, i fonograf, żebym mógł puszczać sobie opery, gdy będę rozmawiać przez telefon, na wypadek gdyby dozorczy spieprzyli robotę. Chcę tutaj mieć moją sekretarkę z Berlina, pannę Sipp. Chcę samochód, który będzie pomalowany na jakikolwiek kolor tęczy, byle nie to służbowe

khaki. Chcę moich rumuńskich Cyganów, Słodkiego Jezusa i Upadłego Anioła, żeby mieli wszystko na oku. Co jeszcze? A, tak... Potrzebuję tej cholernej laminowanej karty identyfikacyjnej ze zdjęciem, żebym mógł zatańczyć walca pod samym nosem tych pajaców przy drzwiach.

– Załatwione, Harveyu. Wszystko co do joty.

Czarnoksiężnik, dysząc, jakby właśnie przebiegł sto metrów przez płotki, kiwnął głową z umiarkowanym entuzjazmem.

– Myślę, że nieźle się ze sobą dogadamy, Dick.

– Tylko przytknij dla mnie palcami, Harveyu, a możesz sam wystawić sobie przepustkę.

– Nie znam wielu ludzi, którzy wieszają sobie szpadle nad kominkiem – zauważył Philip Swett. – Można by pomyśleć, że to pamiątka rodzinna.

– To jest pamiątka, tatau – wyjaśniła Adelle. – Ten szpadel kupił Leo w dniu, w którym się poznaliśmy. Właśnie wtedy pochowaliśmy jego psa i mojego kota na wzgórzu w Marylandzie. Natknęliśmy się na niego w zeszłym miesiącu podczas porządków w piwnicy i zdecydowaliśmy, że będzie zabawnie, jak go tu zawiesimy.

Bliźniaczki, Tessa i Vanessa, liczące sobie sześć lat i pięć miesięcy, ucałowały chropowate policzki dziadka i powiewając kucykami, wybiegły z kuchni, żeby złapać szkolny autobus przed małym domkiem w Georgetown, który Swett kupił córce, kiedy urodziła mu wnuczki. Adelle, zerkając to na kuchenny zegar, to na toster, postawiła na stole ulubioną marmoladę ojca.

– To gdzie się podziewa ten twój pierwszy mąż? – burknął Swett.

– Pierwszy i jedyny, tatau – jęknęła Adelle, znudzona starym dowcipem.

„Tatko” za skarby świata by nie przyznał, że przez te wszystkie lata przywiązał się do zięcia, a nawet go polubił.

– Leo rozmawia przez telefon, jak zwykle. – W głosie Adelle zabrzmiała duma. – Dostał awans. Na miłość boską, tylko mu nie mów, że ci powiedziałam. Obdarłby mnie żywcem ze skóry. Od kilku miesięcy był konsultantem i mediatorem Dicka Bissella. Raz nawet poleciał do L.A. i spotkał się z Frankiem Sinatrą. W zeszły piątek powiedzieli mu, że już na stałe został mianowany zastępcą DD/O. A to oznacza podwyżkę. I własną sekretarkę. – Westchnęła. – A także więcej telefonów w środku nocy. Ten Dick Bissell chyba nigdy nie śpi...

W drzwiach pojawiła się Kwaszunia, kotka ze skrzywionym pyszczkiem, którą Adelle dostała w prezencie ślubnym od LBJ. Ucięła sobie drzemkę na stercie brudnej bielizny, czekającej na czarną gosposię, która przychodziła sprzątać trzy razy w tygodniu. Adelle wlała troszkę mleka do spodeczka i postawiła na podłodze, a Kwaszunia zaczęła chłeptać z zapalem. W ślad za kotką do kuchni zajrzał Leo Kritzky z niezawiazanym krawatem, powiewającym wokół rozpiętego kołnierzyka. Adelle starła mu palcem z ucha resztkę kremu do golenia. Leo uściśnił dłoń teścia i usiadł przy stole naprzeciw niego.

– Dziewczynki zdążyły na autobus? – zapytał.

– Gdyby im uciekł, jeszcze by tu były – odburknął Swett.

– Jak leci, Phil?

– Jestem wykończony. Skonany. Jeżeli myślisz, że zbieranie funduszy na katolickiego kandydata to bułka z masłem...

– Myślałem, że za kampanię płaci jego ojciec – powiedział Leo.

– Joe Kennedy przepchnął go przez prawybory, zwłaszcza w pierwszej fazie. Teraz niech bulą wpływowi demokraci z jego komitetu. A jeśli nie

wybuła, to zanim się obejrzymy, w Białym Domu zasiądzie Cwany Dick^[25].

Adelle napełniła kawą z ekspresu dwa okazałe kubki i postawiła je na stole.

– Gdzie jest dzisiaj Kennedy? – spytała ojca.

Swett posmarował grzanekę masłem i nałożył szczodłą porcję marmolady.

– Jack rozpoczyna właśnie kolejny objazd Środkowego Zachodu. Dzisiaj będzie spał u mnie w Chicago, dlatego wprosiłem się tu na śniadanie. Muszę tam być zaraz po południu i zorganizować dla niego zbiórkę pieniędzy. A co porabia Lyndon?

Adelle, która koordynowała pracę ankietników obsługujących wiceprezydencką kampanię Lyndona Johnsona, wyrzuciła z małego chińskiego imbryczka zużytą torebkę herbaty i napełniła swoją filiżankę.

– Wyjechał na spotkania wyborcze do Teksasu i Kalifornii – odparła. – Uważa, że nie wygra bez poparcia tych dwóch stanów. Widziałeś artykuł w „Washington Post”, w którym Lyndon rozprawił się z administracją Eisenhowera za tę łódź podwodną do zabawy...

– Czytałem, czytałem. – Swett wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Jaka znowu łódź podwodna do zabawy? – zapytał Leo.

– I ty pracujesz w wywiadzie! – zżymał się teść. – Jakaś firma produkująca zabawki wypuściła na rynek miniaturowy model naszej nowej łodzi „Polaris”, prawie identyczny z pierwowzorem. Ma wszystko, co trzeba: reaktor atomowy, dwie rakiety... Odtworzone w najdrobniejszych szczegółach. No i po co Rosjanom szpiedzy? Wystarczy, że wysupłają dwa dolary dziewięćdziesiąt osiem centów, i już nas mają.

– To ja, tатku, namówiłam Lyndona, żeby poruszył ten temat i posłużył się nim, podając go jako przykład nieudolności administracji Eisenhowera.

Natknęłam się na tę historię na ostatnich stronach „Baltimore Sun” i pokazałam ją jednemu z naszych ludzi piszących przemówienia.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? To wstyd i hańba, że podano im na tacy naszą polaris. – Swett podmuchał z głośnym świstem na swoją kawę i pociągnął duży łyk. – Gdybym to ja pracował w tej twojej Firmie, mój drogi Leo, dałbym KGB do zrozumienia, że ten model to zmyłka.

Leo pokiwał głową.

– To nie takie proste, Phil. Gdybyśmy spróbowali przekonać KGB, że to nasza sprawka, od razu by zgadli, że chcemy im wmówić, że to podpucha.

– W takim razie – podsunęła Adelle, uśmiechając się promiennie – powinniśmy rozpuścić pogłoski, że model jest prawdziwy. A wtedy oni pomyślą, że chcemy ich oszukać.

Leo potrząsnął głową.

– To mogłoby się udać, oczywiście pod warunkiem, że nie mają jakiegoś bystrego analityka, który powie: „Słuchajcie, chłopcy, CIA rozpuszcza pogłoski, że to prawdziwy model, abyśmy pomyśleli, że oni chcą, byśmy uwierzyli, że jest fałszywy. A to oznacza, że musi być autentyczny”.

– O matko, to zbyt zawiłe jak na mój gust – westchnęła Adelle.

– A jeszcze niedawno wcale nie chciałeś się przyznać, że pracujesz w „Kwaszarni”... – dodał Swett, przyglądając się uważnie zięciowi. – Co się szykuje na Kubie? – zapytał nagle.

Leo rzucił szybkie spojrzenie Adelle i powiedział:

– Wiem tylko to, co piszą w gazetach.

– Leo, Leo, pamiętasz mnie? To ja, Phil Swett! Facet, który jadał śniadania z Harrym Trumanem, jest na ty z Dwightem Eisenhowerem i przewidział, że Lyndon Johnson ma po dziurki w nosie siedzenia w Senacie i nie będzie się wzbraniał, kiedy Jack Kennedy zaproponuje mu

fotel wiceprezydenta. Jeżeli Lyndon zwycięży w Teksasie, a Jack wkłęci się do Gabinetu Owalnego, ludzie będą się ustawiać w kolejce, żeby uściskać moją dłoń. Mógłbyś wreszcie przestać mnie traktować jak sowieckiego szpiega albo, nie przymierzając, półgłówka. Na Karaibach coś się święci. Wszystkie wróble o tym ćwierkają. To żadna tajemnica, że do Kennedy'ego przychodzą raporty o jakiejś kubańskiej operacji. Podobno szykujecie się na Fidela?

– W takim razie wiesz więcej niż ja – odparł Leo, patrząc teściowi prosto w oczy.

W źrenicach Adelle zamigotały figlarne iskierki.

– Wkurza cię, że Leo może wiedzieć coś, o czym ty nie wiesz. Prawda, tatku?

Swett ledwo się pohamował.

– Co jest, do jasnej anielki? Ani Harry Truman, ani Ike, ani Jack Kennedy nie wątpią, że jestem patriotą. A mój własny zięć traktuje mnie, jakbym pracował dla Kremla.

– Uwierz mi, Phil... Gdybym wiedział coś o akcji na Kubie, na pewno bym tego nie krył. Skoro Jack Kennedy jest tak dobrze poinformowany, to niech ci sam powie. W Firmie jest tyle wydziałów... Ja się po prostu nie zajmuję tą częścią świata, jasne?

– Myślę, że mówisz prawdę. Znam się na ludziach. Zauważyłem, że byłeś zdziwiony, kiedy powiedziałem ci o raportach dla Kennedy'ego.

– Leo nigdy by cię nie okłamał, tatku. Na pewno.

– Faktycznie byłem zdziwiony – przyznał Leo.

Leo zaczekał, aż wartownik w holu Oka Kwatery, dawnych koszarach WAVES^[26] przy Ohio Drive w centrum Waszyngtonu, zarekwirowanych

przez Bissella na użytek JMARC, sprawdzi jego kartę identyfikacyjną. Przypiął sobie czerwoną plakietkę i ruszył wąskim, słabo oświetlonym korytarzem na parterze w kierunku zielonych drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Pod spodem ktoś dopisał kredą: „Wszystkim bez wyjątku”. Leo wystukał numer kodu. Usłyszał ciche buczenie i elektryczny zamek odskoczył z lekkim trzaskiem. Okna „kubańskiego” centrum dowodzenia Bissella zostały dokładnie zaciemnione. Na dwóch ścianach wisiały ogromne mapy Kuby i basenu Morza Karaibskiego, powleczone przezroczystą folią, na którą można było nanosić kolorowymi markerami szczegóły taktyczne. Trzecią zajmowały powiększone zdjęcia najważniejszych obiektów militarnych na wyspie: głównego lotniska wojskowego ze stojącymi na pasach odrzutowcami szkoleniowymi T-33 i myśliwcami pokładowymi „Sea Fury”; Point One, kubańskiego centrum dowodzenia, mieszczącego się w luksusowej piętrowej willi na przedmieściach Nuevo Vedado w Hawanie; a także baz wojskowych i milicyjnych oraz hangarów, pełnych sowieckich czołgów, amerykańskich ciężarówek i dżipów z demobilu.

Rosemary Hanks – pulchna, siwowłosa sekretarka Leo – sortowała właśnie nocne depesze. Z leżącego na stole tekturowego pudełka wyciągnęła papierową chusteczkę i głośno wytarła nos.

– Alergia? – zapytał Leo.

– Tak. Na złe wiadomości – oznajmiła sucho pani Hanks z twardym akcentem z Montany. Zamachała w powietrzu depeszą. – A właśnie takie otrzymaliśmy z Helvetii – powiedziała, mając na myśli plantację kawy w górach Sierra Madre w Gwatemali, gdzie CIA założyła obóz szkoleniowy dla brygady kubańskich uchodźców, która wkrótce miała zostać przerzucona na wyspę. – Jeden z Kubańczyków zginął podczas wczorajszych manewrów. Spadł z klifu. Nazywał się Carlos Rodríguez

Santana. Kumple postanowili przyjąć jego numer identyfikacyjny, dwa tysiące pięćset sześć, za oficjalne oznaczenie brygady.

– Chciałbym, żebyś choć raz zaczęła od dobrych nowin – odparł Leo.

Sekretarka energicznie potrząsnęła głową.

– Pan Bissell zawsze chce usłyszeć najpierw te złe. Wolał mieć to za sobą. A teraz lepsza wiadomość: znaleźliśmy więcej bombowców B-26, niż się można było spodziewać. Za Tucson w Arizonie zadekowano całą flotę.

– Świetnie – ucieszył się Leo.

Wziął depezę i pchnął drzwi do swego gabinetu, opatrzone napisem: „Asystent DD/O”. Rzucił marynarkę na oparcie krzesła i zasiadł za biurkiem, żeby spokojnie przeczytać tekst. Bissell postanowił, że siły powietrzne brygady użyją do operacji starych bombowców B-26 z czasów drugiej wojny światowej, gdyż setki tych samolotów zostały po wojnie sprzedane na całym świecie, więc w razie czego Waszyngton mógłby spokojnie zaprzeczyć, że dostarczył maszyny kubańskim emigrantom. Jedyne problem tkwił w tym, jak wydrzeć kilkanaście sztuk B-26 z łap skąpych urzędników z Pentagonu, nie mówiąc wyraźnie, w czym rzecz. Piloci z Narodowej Straży Powietrznej Alabamy, którzy na użytek operacji JMARC przeszli „nurzenie owieczek”, mieli się zająć podobną „kąpielą” samolotów (usunąć wszelkie numery i znaki, mogące ujawnić ich pochodzenie), a potem przyprowadzić je na pas startowy, budowany w pobliżu bazy Helvetia, w Retalhuleu. Dopiero wówczas można będzie rozpocząć szkolenie pilotów, zwerbowanych spośród kubańskich emigrantów w Miami, do zadań bojowych na Kubie.

Leo przejrzał starannie teczkę z nocnymi depeżami, odesłał niektóre do oficerów przydzielonych do JMARC i przekazał Bissellowi nowinę o zadekowanych w Arizonie B-26, z zapytaniem, jak zamierza podejść grube ryby z Pentagonu. „Może Dulles zechce poruszyć tę sprawę

bezpośrednio z przewodniczącym Kolegium Szefów Sztabów, generałem Lemnitzerem?” – sugerował Leo. Pani Hanks przyniosła segregator z wycinkami przygotowanymi przez nocną zmianę. Leo dokładnie przestudiował wszystko, co w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin pojawiło się w prasie krajowej i światowych serwisach agencyjnych na temat Castro lub Kuby. Do torby Bissella dorzucił trzy raporty naocznych świadków o sytuacji na wyspie: jeden z nich donosił, iż coraz więcej Kubańczyków uczestniczy w niedzielnych mszach, co interpretowano jako przejaw rosnącego oporu względem komunistycznego reżimu Fidela. Teraz Leo mógł spokojnie zająć się metalową teczką, oznaczoną ukośnym czerwonym paskiem. Tego ranka zawierała tylko jedną pozycję. Była to odszyfrowana depesza od informatora Firmy w Hawanie. Opisywała historię zasłyszaną na koktajlu ku czci brata Fidela Castro, Raula. Ernesto Che Guevara, argentyński lekarz, który walczył podczas rewolucji u boku Castro i stał się drugą najważniejszą postacią na Kubie, powrócił właśnie z Moskwy razem z szefem Castrowskiego wywiadu, wykształconym w Ameryce *barbudo*, Manuelem Piñeiro. Przechwalali się obaj spotkaniem z samym Nikitą Chruszczowem oraz jakimś tajemniczym Rosjaninem, znanym jako Dziadek – podobno najważniejszą figurą w całym KGB. Kubańczycy żartobliwie nazywali swego radzieckiego interlokutora „Białobrodym” – *Barba Blanca* – w odróżnieniu od Piñeiro, który znany był jako *Barba Roja*, czyli „Rudobrody”. Depeszę od tajnego współpracownika Leo dołączył do wiadomości dla Bissella. Przez otwarte drzwi zawołał panią Hanks i poprosił, żeby zabrała torbę i osobiście zaniósła ją na ostatnie piętro Oka Kwatery, gdzie znajdował się „zakłety rewir” DD/O.

Uporawszy się z porannymi obowiązkami, Kritzky obrócił się na krześle i otworzył górną szufladkę metalowej szafki na akta, zamykanej na

specjalny szyfrowy zatrask. Poszperał chwilę, wyjął jakąś teczkę i rozłożył ją na biurku. Kiedy teść zapytał go przy śniadaniu o Kubę, Leo faktycznie się wystraszył. „To żadna tajemnica, że do Kennedy’ego przychodzą raporty o jakiejś kubańskiej operacji”... Rzecz w tym, że to właśnie Leo przekazywał senatorowi te informacje. Za pierwszym razem dopadł go w Miami, gdzie kandydat na prezydenta zaszył się przed światem w rozległej posiadłości Franka Sinatry. W towarzystwie trzech aktorów i piosenkarzy z legendarnej hollywoodzkiej „piątki” – Sinatry, Deana Martina i Sammy’ego Davisa – odpoczywał nad basenem na tyłach posesji. Był z nimi niski, łysiejący mężczyzna, który przedstawił się jako Sam Flood, i oszałamiająco piękna, młoda brunetka, która nie została przedstawiona. Później, gdy Leo udało się przycisnąć do muru jednego z tajnych agentów przydzielonych do Kennedy’ego, dowiedział się, że to Judy Exner, przelotna miłostka Sinatry. Tak czy inaczej, замуrowało go na widok słynnych artystów, oglądanych dotąd tylko w kinie lub telewizji (w zeszłym miesiącu razem z Adelle widzieli ich w *Ocean’s Eleven*, komedii o skoku w Las Vegas). Leo miał niezłą frajdę, widząc minę Adelle, kiedy opowiadał jej, jak sam Sinatra serwował mu drinki i zabawiał pogawędką, podczas gdy senator Kennedy odbierał jakiś telefon.

Po powrocie do Oka Kwatery Leo przygotował dla Bissella raport ze spotkania z kandydatem, zatrzymując kopię dla siebie. Teraz, kiedy czytał to ponownie, zdał sobie sprawę, jak mglista i pełna niedomówień była ta rozmowa. Może stracił rezon z powodu Sinatry, Sammy’ego Davisa, Deana Martina i Judy Exner, którzy bez przerwy kręcili się w pobliżu i mogli coś usłyszeć. Pamiętał, że Kennedy stwierdził, iż sprawa musi być najwyższej wagi, skoro Leo przejechał taki szmat drogi, żeby z nim porozmawiać. Leo odparł, iż zgodnie z dobrym obyczajem Agencji główni kandydaci do fotela prezydenckiego informowani są o bieżących wydarzeniach. Kennedy,

w białych flanelowych spodniach i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, był w dobrej formie i sprawiał wrażenie odprężonego. Nalał sobie kolejną porcję ginu z tonikiem. Stuknęli się szklankami. Słucham, powiedział. Chodzi o Kubę, zaczął Leo. Senator kiwnął głową. Tak przypuszczałem, mruknął. Leo przedstawił w ogólnych zarysach projekt szkolenia kubańskich emigrantów w tajnej bazie CIA na odosobnionej plantacji kawy w Ameryce Środkowej. Czy Eisenhower podpisał tę operację? – dopytywał się Kennedy. Oczywiście, odrzekł Leo, Agencja nie zaangażowałaby się w coś takiego bez zgody prezydenta. Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, dodał, przerzut kubańskiej brygady na wyspę zbiegnie się z powstaniem rządu tymczasowego na emigracji i wzmożoną aktywnością oddziałów partyzanckich, działających na terenie kraju. Tylko nie przesadźcie, powiedział senator. Nie róbcie za dużo hałasu. Świat nie powinien się dowiedzieć, że stoi za tym USA. Proszę się nie obawiać, zapewnił Leo. Będzie trochę szumu, ale tylko tyle, ile trzeba, żeby podsycić rebelię, która doprowadzi do obalenia dyktatora. Ustaliliście już termin? – zapytał Kennedy od niechcienia. Leo zerknął na Sinatrę, który wybuchnął głośnym śmiechem po wysłuchaniu jakiejś anegdotki Deana Martina. Wiceprezydent Nixon naciskał, żebyśmy zaczęli jeszcze przed listopadowymi wyborami, odparł.

A zaczniecie?

Nie wydaje nam się, żeby to było rozsądne.

Hmm... Rozumiem. Kennedy podrapał się w ucho. Jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał.

Leo potrząsnął głową. Na razie to wszystko. Nie muszę chyba dodawać, senatorze, że to ściśle poufne informacje, do których nikt poza panem nie powinien mieć dostępu. Nawet najbardziej zaufani ludzie z pańskiego sztabu.

To się rozumie samo przez się, powiedział Kennedy. Podał Leo dłoń. Dziękuję, że pan z tym do mnie przyszedł. Potrafię to docenić.

Tego samego wieczoru Leo zobaczył go w telewizji. Senator obwinił Eisenhowera o to, iż dopuścił, aby żelazna kurtyna znalazła się o niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów od brzegów Ameryki, i zarzucał obecnej administracji, że nie robi nic, by temu zaradzić. „Nie robi nic, by temu zaradzić!”... Kennedy wiedział, że to nieprawda. Wiedział też, że Nixon nie może się bronić, bo spaliłby operację. Z maską szczerości na twarzy Kennedy przysięgał, że jeżeli zostanie wybrany, poprze kubańskich bojowników wolności w ich wysiłku przywrócenia demokracji na Kubie.

Powyższa rozmowa odbyła się w lipcu. Siedząc teraz nad aktami, Leo był zdumiony, jak bardzo w ciągu tych dwóch miesięcy zmienił się profil kubańskiej operacji. To, co zaczęło się od partyzanckich wypadów, mających na celu wystraszenie Castro i zmuszenie go do ucieczki, przekształciło się dzięki strategii Bissella w operację wojskową na wielką skalę, w stylu drugiej wojny światowej – wodno-lądowy desant na plażę w okolicy kubańskiego miasta Trinidad, z udziałem siedmiuset pięćdziesięciu dywersantów i osłaniającej ich z powietrza floty bombowców B-26. Ocena wszystkich za i przeciw tej operacji nie należała do Leo, czuł jednak, że JMARC wydostaje się spod kontroli. I sądził, że wie, dlaczego tak się dzieje. W teorii Bissell nadal sprawował nadzór nad całością tajnych służb i osobiście odpowiadał za pięćdziesiąt głęboko zakonspirowanych baz na całym świecie oraz setki operacji, nie licząc „cukiereczka”, czyli stu milionów dolarów w funduszach rezerwowych, przeznaczonych do finansowania tych przedsięwzięć. Ale w praktyce przekazał to wszystko swojemu zastępcy, Dickowi Helmsowi, żeby bez reszty poświęcić się sprawie, która stała się jego obsesją – obaleniu komunistycznego dyktatora, Fidela Castro.

Na biurku zadzwonił wewnętrzny telefon. W słuchawce rozległ się głos Bissella.

– Nieźle wykombinowałeś z tymi B-26. Zaraz pogadam z szefem, żebyśmy ściągnęli parę maszyn od Lemnitzera.

– Dobrze, że dzwonisz – przerwał mu Leo. – Mam tu coś dla ciebie. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Wal.

Leo podzielił się z DD/O podejrzeniami, że Phil Swett dostał cynk od kogoś ze sztabu Kennedy’ego.

– Właśnie przeglądałem notatki z tego spotkania – dodał. – Ostrzegałem senatora, że materiał jest ściśle tajny. Prosiłem, żeby nikomu tego nie powtarzał, nawet swoim najbliższym współpracownikom.

Leo widział niemal, jak Bissell wzrusza ramionami pod drugiej stronie słuchawki.

– Nie możemy robić szumu o każdą plotkę krążącą po Georgetown...

– Nie lekceważ tego, Dick. Gwatemalska gazeta „La Hora” wypuściła kilka tygodni temu artykuł o pilnie strzeżonej bazie CIA niedaleko Retalhuleu. Szczęśliwie dla nas prasa amerykańska nie podchwyciła tej historii. Ale niedługo zrobi się o jedną plotkę za dużo. „Times” albo „Post”, albo jakieś inne pismo poskłada sobie to wszystko do kupy...

– Będę się dzisiaj widział z Kennedym na kolacji w Georgetown – powiedział Bissell. – Jeżeli mi się uda zamienić z nim kilka słów na osobności, to obiecuję ci, że poruszę tę sprawę.

Leo odniósł wrażenie, iż Bissell nie pałał entuzjazmem do tej rozmowy. Emerytura Dullesa zbliżała się wielkimi krokami i DD/O żywił nadzieje na objęcie po nim stanowiska dyrektora Agencji. Najwyraźniej nie chciał podpaść senatorowi – nigdy nie wiadomo, pierwszy katolicki kandydat na

prezydenta w historii Ameryki może się jakoś prześlizgnąć przez wyborcze sito i wygrać.

Po czterech godzinach od startu z tajnej bazy CIA w Opa-Locka na przedmieściach Miami Jack McAuliffe obudził się w nieoznakowanym C-54 z uczuciem gwałtownych mdłości. Ryk silników wwiercał mu się w czaszkę aż do bólu. Kapitan załogi, Kubańczyk o przydomku Barrigón, które nadano mu z powodu wielkiego piwnego brzucha, wtoczywszy się do kabiny pasażerskiej ze szklaneczką czystej whisky, zaprawionej sproszkowaną dramaminą, spostrzegł, że Jack trzyma się rękami za głowę.

– Jak masz zamiar rzygać, to rób to do torebki! – wrzasnął, przekrzykując warkot silników.

Zamieszał w szklance grubym paluchem i podał drinka Jackowi, jedyjnemu pasażerowi rejsu pocztowego do Gwatemali. Szczercząc zębami od ucha do ucha (ludzi odpornych na chorobę lokomocyjną zwykle bawi widok cierpiących), Barrigón obserwował, jak Jack przełyka przygotowaną miksturę.

– Zobaczysz, bez hałasu jest jeszcze gorzej! – zawołał Kubańczyk.

Jack zadrżał.

– Jezu Chryste, czy może być gorzej?! – odkrzyknął.

– Nie ma hałasu, nie ma silników – wyjaśnił pilot. – Bez silników staniemy w miejscu, jakbyśmy wyrznęli w ścianę. Będziemy dyndać w powietrzu... – Podzieliwszy się tą cenną informacją z dziedziny aerodynamiki, popukał się brudnym paznokciem w łysiejącą czaszkę i zataczając się wśród stojących na podłodze pak i skrzyń, odpłynął w stronę kokpitu.

Jack niechętnie opuszczał Waszyngton, niedawno bowiem został ojcem maleńkiego rudzielca imieniem Anthony. Ale nowe zadanie kusilo, stwierdził więc, że za nic nie przepuści takiej gratki. Dziecko przyszło na świat w Wirginii, trzy lata po cichym cywilnym ślubie Jacka i Millie Owen-Brack. Leo Kritzky, świadek tej skromnej ceremonii, został ojcem chrzestnym chłopca, a matką – żona Ebby’ego, Elizabet, która po ucieczce z Węgier bardzo zaprzyjaźniła się z Millie. Córka Elizabet, Nellie, rozbawiła wszystkich do łez, kiedy na chrzcie Anthony’ego szła pod rękę z synem Ebby’ego, Mannym – oboje śmiertelnie poważni niby para uroczystych krasnoludków. Ksiądz, zafascynowany dziwnym znamieniem Anthony’ego – ciemnym obrzękiem w kształcie krzyża na małym palcu prawej stopy – skropił główkę dziecka wodą święconą, a potem wszyscy wyszli na skąpany słońcem dziedziniec, żeby ustawić się do zbiorowej fotografii. Oprawione w ozdobne ramki zdjęcie, na którym Millie, tuląc w ramionach niemowlę, wpatrywała się z miłością w profil męża, wisiało teraz nad biurkiem Jacka w jego nowym mieszkaniu w Arlington.

Whisky z dramaminą podziałała kojąco i McAuliffe, zeszywniały od drzemania w niewygodnej pozycji, przeszedł się do kokpitu, żeby rozprostować nogi. W dole, na prawo, roztaczał się zarys linii brzegowej.

– To Teksas! – krzyknął pilot, żołnierz Sił Powietrznych Alabamy, zatrudniony jako pracownik kontraktowy CIA. – Mniej więcej za godzinę piętnaście będziemy nad Zatoką Honduraską. A potem jeszcze tylko dziecinnie łatwe lądowanie na waszym pasie w Retalhuleu.

– Niech pan tego nie przegapi! To warto zobaczyć! – zawołał drugi pilot. – Wchodzimy pod wulkan. Widok zwala z nóg.

Jack zerknął na dziesiątki guziczków i przycisków. Większość z nich miała chińskie napisy.

– Skąd ta chińszczyzna? – zapytał.

Drugi pilot zapalił papierosa i roześmiał się.

– To maszyna z Formozy – wyjaśnił. – Ktoś z waszej ekipy zapomniał ją wykąpać.

– Może specjalnie – zażartował Barrigón, który siedział na stołku obok radia i popijał piwo z puszki. – Kiedy zaatakujemy Kubę, Fidel pomyśli, że to żółtki.

Lądowanie w Retalhuleu nie zawiodło ich oczekiwań. Aktywny wulkan Santiagu górował nad plantacją kawy, położoną w sercu dzikich gór Sierra Madre. C-54 zatoczył koło i nagle zanurkował w gęstą mgłę tak gwałtownie, że Jackowi serce podeszło do gardła. W ostatniej chwili przejaśniło się i oczom ich ukazała się długa wstęga asfaltu – nowiuteńki pas startowy CIA. Ciężki, transportowy samolot uderzył o podłoże, podskoczył i znów uderzył, po czym trzęsąc się i podrygując, zatrzymał się na drugim końcu pasa, aż jęknęły nity poszycia. Stary, wściekle pomarańczowy wóz strażacki, jeden dżip i kilka wojskowych ciężarówek z plandekami podjechało pod luk towarowy. Z dżipa wyskoczył Kubańczyk w wypolerowanych żołnierskich butach i wymiętym połowym mundurze.

– *Habla español?* – zapytał.

– *Antes hablaba español* – odparł Jack. – Już zdążyłem trochę zapomnieć.

– Jestem Roberto Escalona – przedstawił się tamten.

– Jack McAuliffe.

– Witamy na zadupiu planety Ziemi, znanym wśród miejscowych pod nazwą Camp Trax. – Escalona uklonił się z ironicznym uśmiechem na pełnych wargach.

– Cieszę się, że tu jestem.

Rzuciwszy swój brezentowy worek na tylne siedzenie dżipa, Jack usadowił się obok Escalony, dowódcy Brygady 2506. Kubańczyk puścił sprzęgło. Samochód ruszył, zjechał z asfaltu na piaszczystą drogę i omijając wyrwy po niedawnym deszczu, wspiał się na wzgórze.

Jack, w trosce o własne życie, kurczowo trzymał się drzwi.

– Masz coś do mnie? A może nie lubisz tego dżipa?! – zawołał, z trudem utrzymując równowagę.

Escalona, zawodowy oficer, osadzony w więzieniu za bunt przeciw Batiście, jeszcze zanim Castro obalił znienawidzonego dyktatora, zerknął spod oka na pasażera.

– Jestem zły na Fidela za to, że zdradził *revolución!* – odkrzyknął. – Na razie nie mogę się na nim odegrać, więc wyzywam się na moich „kotach”. Daję im popalić...

– Skąd znasz angielski? – zapytał Jack.

– Fort Benning, Georgia. Byłem tam na kursie z taktyki piechoty.

Dowódca brygady zręcznie przeprowadził dżipa przez rów i wąski drewniany mostek. Wjechawszy na polanę, usianą rzędami baraków z blachy falistej, wcisnął hamulec i zatrzymał się przed drewnianą szopą, dawną sortownią kawy, służącą teraz za koszary dla trzydziestu ośmiu „doradców” – specjalnie przeszkolonych wojskowych, podających się obecnie za cywilów. Ze ścieżki do drzwi szopy prowadził niewielki pomost z desek. Po obu stronach, na starannie wypielonych grządkach, rosła wysoka do pasa marihuana, której liście drżały w podmuchach porannego wiatru od wulkanu. Zza drzwi dobiegały trzeszczące dźwięki, w których można było rozpoznać głos Julie London, śpiewającej *If I Am Lucky*.

– Chce pan poznać moją listę zakupów, panie McAuliffe? – zapytał Kubańczyk.

– Nie traci pan czasu.

– Nie marnuję amunicji, słów i czasu – odparł rzeczowo Kubańczyk. – Wszystkiego nam brakuje.

– Mam być waszym łącznikiem z Waszyngtonem – powiedział Jack. – Wy mi mówicie, jakie macie problemy, a ja przekazuję wyżej to, co uznam za istotne i wymagające rozwiązania. – Wyciągnął notes i długopis.

Escalona wyjął z kieszeni koszuli mały notatnik z oślimi uszami i nałożył okulary.

– Dobrze. A więc, przede wszystkim, CIA musi lepiej prześwietlać rekrutów w Miami, zanim ich tutaj przyśle. W zeszłym tygodniu dostałem faceta, który był skazany za morderstwo, inny jest opóźniony w rozwoju i myśli, że Castro to rodzaj kanapy. Problem w tym, że kiedy raz się tu znajdują, nie możemy ich odesłać z powrotem, bo już o nas wiedzą.

– Prześwietlać rekrutów w Miami – powtórzył Jack, zapisując to w notesie. – Co jeszcze?

– Obiecano nam przerośnięte pryszniczki i do tej pory ich nie otrzymaliśmy. Wasi „doradcy” kąpią się w basenie przy rezydencji, ale postawili tablicę: „Tylko dla oficerów”, co oznacza, że moi Kubańczycy nie mają się gdzie myć, a woda w rzece jest lodowata.

– Na początek zdejmujemy tablicę przy basenie – powiedział Jack. – Potem dopilnuję, żebyście dostali swoje przerośnięte pryszniczki.

– Mieliśmy otrzymać dobrze wyposażone ambulatorium – ciągnął Escalona – tymczasem wszystko, co mamy, to skrzynia z bandażami, aspiryną i środkami na owady. W tej okolicy roi się od jadowitych węży, a my nie mamy ani kropli surowicy.

Czas mijał. Jack notował, a Escalona odliczał kolejno punkty ze swojej listy. Gdzieś na wzgórzach rozległ się przerywany huk karabinów. Każdy

wystrzał odbijał się cichym echem w dolinie. Obok nich przebiegł marszowym truchtem oddział młodziutkich kubańskich rekrutów o dziecinnych twarzach. Amerykańskie karabiny M-1 majtały się im śmiesznie na chudych plecach. Zasapany amerykański „doradca” w moro i mokasynach zamykał pochód, trzęsąc okazałym brzuchem i pokrzykując bez tchu: „Raz-dwa-raz-dwa-raz-dwa...!”

– I ostatnia sprawa – powiedział Escalona. – Mamy kłopoty z utrzymaniem dyscypliny. To również kwestia bezpieczeństwa. Każdego dnia jakieś piętnaście procent moich ludzi samowolnie oddała się z bazy.

Jack potoczył wzrokiem po otaczających obóz wzgórzach, pełnych jadowitych węży.

– Dokąd? – zapytał.

– Do wioski San Felipe. To czternaście kilometrów stąd, po drugiej stronie gór.

– Jak, u diabła, się tam dostają?

– Ci, którym się udaje, zwijają dzipa albo ciężarówkę. Ci, którym się nie udaje, łapią okazję, czasem idą na piechotę. Tam i z powrotem. W jedną noc.

– A co takiego jest w San Felipe, że warto przeprowić się przez góry dwadzieścia osiem kilometrów, żeby to zobaczyć?

– Dziwki.

Jack pokiwał głową.

– Dziwki.

– Oczywiście wbijamy naszym rekrutom do głowy, żeby nie puszczały pary z gęby, ale te dziewczyny musiałyby być głuche, ślepe i głupie, by się nie zorientować, że w Helvetii jest jakiś wojskowy obóz szkoleniowy. Z tego, co wiem, niektóre z nich mogą szpiegować dla Castro.

– To z całą pewnością wymaga natychmiastowego rozwiązania – zgodził się McAuliffe. – Zobaczę, co się da zrobić.

Escalona podszedł do dżipa, zdjął worek Jacka i postawił go na deskach podjazdu. Wciskając notes do kieszeni, Jack wysiadł z samochodu. Kubańczyk przyglądał mu się przez chwilę, odchrząknął i spojrzał na jego buty. Potem podniósł wzrok.

– Słuchaj pan... – zaczął.

– Słucham.

– Ci ludzie... Te kubańskie dzieciaki, uczące się, jak z zamkniętymi oczami rozłożyć i złożyć M-1, artylerzyści, którzy ćwiczą się w namierzaniu celu, ja sam, my wszyscy tutaj narażamy własne życie. Albo wygramy, albo zginiemy.

– Dlaczego pan mi to mówi? – zapytał Jack.

Escalona wzruszył ramionami.

– Tak po prostu – powiedział.

Na odchodnym odwrócił się.

– Mówię to, bo chcę, żebyś pan wiedział, na czym stoisz. Bo chcę, żebyś pan wiedział, kim jesteśmy. Proszę nie myśleć, że to letni obóz dla kubańskich skautów... Chociaż czasem może to tak wyglądać. Nawet dla mnie.

Jack podkreślił kozackiego wąsa.

– Bywałem już na froncie. Wiem, gdzie jestem. Zrobię wszystko, żeby wam pomóc, señor Escalona.

– Roberto – poprawił go Kubańczyk.

McAuliffe skinął głową.

– Jack.

Dopiero teraz uścisnęli sobie dłonie.

Wkrótce potem nastąpiła ożywiona wymiana korespondencji, która mocno rozbawiła grupkę wtajemniczonych w Oku Kwatery.

ŚCIŚLE TAJNE

UWAGA: POUFNE

OD: Kombinator z Północy [kryptonim Jacka McAuliffe'a]

DO: Kumpel Ocelota [kryptonim Leo Kritzky'ego]

TEMAT: Latanie na dziwki

1. Bezpieczeństwo bazy poważnie zagrożone z powodu napalonych rekrutów, którzy co noc samowolnie oddalają się poza teren obozu, masowo latając na dziwki do pobliskiej wioski. Dyskretne rozpoznanie wykazało, iż panienki te są obywatelkami Gwatemali, zatrudnionymi przez miejscowego dilerę narkotyków, który ma na boku burdel. Co tydzień dowożą mu nowe dziewczyny, żeby zastąpić chore, niedysponowane lub nadmiernie eksploatowane prostytutki. Z powodu tak częstej wymiany „kadry” nie sposób dojść, kto dowiedział się czego i od kogo.

2. Proszę o zezwolenie na werbunek brazylijskich dziewcząt w celu założenia burdelu pod kryptonimem PROJEKT FENIKS (podobnie jak Feniks odrodził się z popiołów, tak i my odrodzimy dyscyplinę wśród napalonych rekrutów). Z personelem ww. placówki kubańscy bojownicy będą mogli porozumiewać się tylko językiem ciała, co pozwoli nam w pełni kontrolować sytuację.

3. Na miłość boską, nie mów mojej żonie, czym się tutaj zajmuję.

ŚCIŚLE TAJNE

UWAGA: POUFNE

OD: Kumpel Ocelota

DO: Kombinator z Północy

TEMAT: Napaleni

DOTYCZY: Twój „Latanie na dziwki”

1. Poruszyłem tę delikatną sprawę PROJEKTU FENIKS z Kermitem Trumną [kryptonim Dicka Bissella]. Zatkano go. Powiedział, że nie ma mowy, aby finansować z pieniędzy podatników zachcianki napalonych rekrutów, i żebyś sobie wyobraził skandal, który wybuchnie, jeżeli Kongres zwiertzy, jakiego rodzaju usługi chcesz zaoferować kubańskim bojownikom. Trumna sugeruje, że ostrzejszy nadzór i patrole wokół obozu rozwiążą problem.

2. Nie martw się o żonę. Ona myśli, że przyuczysz tych chłopców do służby liturgicznej i kształcisz ich na ministrantów w miejscowych kościołach.

3. Następny ruch należy do ciebie, chłopie.

ŚCIŚLE TAJNE

UWAGA: POUFNE

OD: Kombinator z Północy

DO: Kumpel Ocelota

TEMAT: Napalony do Napalonego

1. Helvetia ma 20 tysięcy km², w tym 96 (powtarzam: dziewięćdziesiąt sześć) kilometrów dróg prywatnych. Zgodnie z moimi własnymi obliczeniami patrole wokół obozu wymagałyby zaangażowania całej policji z Dystryktu Kolumbii, co byłoby wysoce nierozsądne, gdyż ich nieobecność zwróciłaby uwagę Kongresu, narażając nas wszystkich na kłopotliwe pytania.

2. Nie mam zamiaru sięgać do worka z pieniędzmi podatników, żeby sfinansować burdel. Proponuję skorzystać z funduszy rezerwowych. A kiedy przedsiębiorstwo się rozkręci, zgodnie z kapitalistyczną zasadą „forsa na stół”, będącą filarem gospodarki rynkowej, której tak zaciekle bronimy na naszej półkuli, zwrócimy wszystko co do grosza. Pozostałe dochody z PROJEKTU FENIKS proponuję zużyć na poprawienie tutejszych warunków bytowych.

3. Twoja piłka.

ŚCIŚLE TAJNE

UWAGA: POUFNE

OD: Kumpel Ocelota

DO: Kombinator z Północy

TEMAT: FENIKS odradza się z popiołów

1. Kermit Trumna nie chce więcej słyszeć o PROJEKCIE FENIKS. Zostałeś tam wysłany, żeby upewnić się, czy rekruci są wyszkoleni i gotowi do akcji. Jeżeli ich przygotowanie do tejże akcji wymaga od Ciebie podjęcia decyzji, nazwijmy to, „kreatywnych”, niech tak będzie. Masz zrobić wszystko, co jest Twoim zdaniem niezbędne dla utrzymania brygady w dobrej kondycji, zarówno psychicznej, jak i fizycznej.

Roberto Escalona, w koszuli mokrej od potu po dwudniowym marszobiegu przez porośniętą gęstą dżunglą góry, stanął nad McAuliffem, który leżał w szopie na wojskowej pryczy, przykrytej kawałkiem tektury, „od wilgoci”.

– *Hombre* – powiedział, budząc go z poobiedniej sjesty.

Jack, którego kozackie wąsy lepiły się od potu, oparł się na łokciu.

– Jak poszło, Roberto?

– Świetnie. Nie licząc trzech zwichniętych kostek i jednego zabłąkanego oddziału. Chłopcy źle odczytali mapę i nie stawili się w umówionym miejscu. Na szczęście mieliśmy przy sobie surowicę przeciw jadowi węży, więc tym razem nikt nie bał się chodzić po lesie nocą. W drodze powrotnej, chociaż nie pisałem ani słówka, wszyscy przyspieszyli kroku. Jak konie, kiedy czują stajnię. Chłopcy z kuponami do twojego *bordello* wykąпали się w basenie i ruszyli prościutko do „Feniksa”.

– Roberto, wbij sobie wreszcie do głowy, że to nie jest moje *bordello*.

Escalona usiadł na sąsiedniej pryczy i zaczął rozwiązywać sznurówki zabłoconych butów.

– Tu chodzi nie tylko o burdel, Jack. Załatwiłeś nam lodówki, żebyśmy mieli zimną pepsi. Pysznice przy barakach. Filmy z Hollywood, które nam puszczasz każdego wieczoru w kantynie. Naboje do M-1... Nareszcie każdy może ćwiczyć strzelanie do celu przez dwie godziny w tygodniu. Morale się podniosło. Chłopcy zrozumieli, że nie jesteśmy sami. Teraz, kiedy prezydentem został Kennedy, zaczęli wierzyć, że naprawdę mają poparcie Ameryki. A z Ameryką nie możemy przegrać.

– Możecie, Roberto. Dostaniecie B-26 i amunicję do M-1. Wyszkolimy waszych pilotów. Ale z Castro musicie rozprawić się sami. Jeżeli wpadniecie w tarapaty, Ameryka nawet nie kiwnie palcem, żeby wam pomóc.

Escalona uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Znam oficjalne stanowisko.

Jack, już zupełnie rozbudzony, potrząsnął markotnie głową.

– To nie jest kwestia oficjalnego stanowiska, Roberto. To oficjalna polityka. Zasady gry. Nie możemy udzielić wam jawnego poparcia.

– Wiem o tym, Jack.

– Cholera, mam nadzieję, że nie będziecie musieli się przekonać na własnej skórze, że mówię prawdę.

NOWY JORK, WTOREK, 22 LISTOPADA 1960

– Jack Kennedy... W porządziu, znamy takiego gościa. Jego ojczulek Joe... Jego też znamy – mówił Johnny Rosselli. – Ale nie znamy... – *Consigliere* odwrócił leniwie głowę i przez ciemne okulary w rogowych oprawkach spojrzął na Upadłego Anioła, który oparłszy się o zderzak brudnopomarańczowego chevroleta, zaparkowanego przy President Street na obrzeżach niewielkiego parku, przymknął oczy i wystawił do słońca swoją anielską twarz. – Mówiłeś, że jak on się nazywa?

– Nie mówiłem – odparł Czarnoksiężnik. – Nazywa się Silwan Drugi.

– To chyba nie po naszymu...

– Jest Rumunem. Wołamy na niego Upadły Anioł.

– Co takiego zrobił, że upadł?

Torrity zastanawiał się, czy to czysto zawodowa ciekawość – jeden zabójca podziwia drugiego... Wysoki, srebrnowłosy, schludnie ubrany, z jedwabną chusteczką, wystającą dyskretnie z kieszonki na piersi, Rosselli wyglądał na faceta, którego w Hollywood obsadzono by w roli właściciela zakładu pogrzebowego. Zaczynał w cosa nostrze w Chicago, gdzie pracował dla Ala Capone. Od tego czasu zebrał na koncie kilkanaście krwawych gangsterskich porachunków.

– Nie radzę go o to pytać. Słyszałem, że ciekawość drastycznie zwiększyła gęstość zaludnienia piekła – powiedział w końcu Torrity. – Rozmawialiśmy o Jacku Kennedym. Powiedziłeś, że go znasz... – wrócił do tematu.

– Tak... Jack ma głowę na karku. Ale nie znamy jego braciszka. Kto to jest ten Bobby Kennedy? Jakie pomysły chodzą mu po głowie? Po co włóczy się po całym kraju i papie na prawo i lewo, że weźmie i dobierze się nam do skóry? Irlandczycy pozazdrościli Włochom czy co?

– Nie chodzi o narodowość. To kwestia polityki.

Rosselli potrząsnął głową.

– Nie znam się na tym.

– Moim zdaniem – powiedział Torriti – polityka jest kontynuacją wojny, tylko innymi sposobami.

– Że jak?

Czarnoksiężnik rozejrzał się czujnie po parku. Nie licząc pięciu bandziorów Rossellego, siedzących na pobliskich ławkach, w parku nie było żywej duszy. Zaniepokoiła go ta pustka. Zbliżała się pora lunchu. Słońce jasno świeciło. O tej porze dnia starszycy mówiący w sycylijskim dialekcie powinni grać w *bocce* na parkowych ścieżkach... Widocznie Rosselli skorzystał ze swoich stosunków w południowym Brooklynie i zarekwirował cały park na dzisiejsze spotkanie. Oprych z najbliższej ławki pochylił się do przodu i rozrzucił chleb gołębiom, kłębiącym się wokół jego butów na grubej podeszwie. Spod krzykliwej, kraciastej marynarki wystawały skórzane paski kabury, okalające muskularny kark nad wąskim kołnierzykiem białej koszuli. Torritiemu przypomniły się ni stąd, ni zowąd odsłonięte podwiązki panny Sipp.

Spotkanie z Rossellim miało odbyć się w hotelu „Plaza” na Manhattanie. Kiedy Czarnoksiężnik zjawił się w foyer, podszedł do niego szczupły mężczyzna. Jednym okiem patrzył wprost na Torritiego – drugim gapił się gdzieś w przestrzeń ponad jego ramieniem.

– To pan musi być Torriti.

Czarnoksiężnik wiedział, że Upadły Anioł, gładząc prawą ręką sprężynowy nóż, ukryty w kieszeni wiatrówki, zajął już upatrzoną pozycję. Po przeciwległej stronie holu, przy stoisku z prasą, Słodki Jezus obserwował ich znad rozpostartej gazety.

– Jak mnie wypatrzyłeś, chłopie? – zapytał Torriti.

Rozbiegany wzrok mężczyzny na mgnienie oka zatrzymał się na postaci Upadłego Anioła.

– Powiedziano mi, że mam szukać dżentelmena, któremu dobrze by zrobiła natychmiastowa dieta – odparł, niespeszony faktem, iż Czarnoksiężnik przyszedł z obstawą, i wręczył mu świstek papieru, zapisany drukowanymi literami.

PLAN B – przeczytał Torriti. – CZEKAM W POŁUDNIOWYM BROOKLYNIE W PARKU CARROLL NA ROGU PRESIDENT I CARROLL WEJDŹ BRAMĄ OD CARROLL. Na odwrocie widniał szkic, jak dostać się na miejsce.

Zjechawszy z mostu Brooklyńskiego, Torriti wiedział już, że trafił pod właściwy adres. Młodociane oprychy w skórzanych kurtkach wysiadywały pod bramami ponurych kamienic z piaskowca, taksując bezczelnym wzrokiem każdego przechodnia. Z narożnych okien spoglądały na ulicę figurki Najświętszej Pani. President Street, Carroll Street, Smith Street... Tu nie było przestępczości. Żadnej. I to nie policja wymierzała sprawiedliwość w tej dzielnicy. Przed wejściem do parku jeden ze zbirów Rossellego obszukał Czarnoksiężnika (najwyraźniej spodziewał się znaleźć przy nim mikrofony i broń). Obok przejechał biało-niebieski samochód patrolowy z 76. komisariatu. Siedzący w środku dwaj policjanci uparcie patrzyli prosto przed siebie. Człowiek Rossellego odszedł z niczym. Torriti zostawił swoje spluwy w chevrolecie, bo nie lubił, kiedy obcy ludzie go obmacywali.

– Mam nadzieję, że się nie wkurwiłeś tą nagłą zmianą planów? – zapytał Rosselli.

– To było finezyjne zagranie – odparł Czarnoksiężnik.

– Jakie?

– Sprytnie pomyślane. Bystrzak z ciebie. Jesteś ostrożny.

Rosselli zachichotał.

– Dlatego jeszcze żyję.

– Przed rewolucją – powiedział Czarnoksiężnik – prowadziłeś kasyno „Sans Souci” w Hawanie.

– Przyjemne miasto. Mili ludzie ci Kubańczycy. Wszystko to się skończyło, kiedy Castro zszedł z Sierra Maestra... Nie znam Castro – dodał, nie zmieniając tonu głosu ani wyrazu twarzy.

– Zamknął wszystkie kasyna. Uważasz, że to mało?

Słońce załśniło na wypiełgnowanych paznokciach Rossellego.

– Nie wiem, czego te komuchy chcą... Dlaczego się wzięli na prywatną inicjatywę? My, Włosi, lubimy wolny rynek.

Torriti domyślił się, o co chodzi. Po wyjeździe z Chicago Rosselli występował jako statysta w Hollywood. Przyłapano go na wymuszaniu haraczu od wytwórni filmowych i posłano za kratki na trzy lata. Niedawno zdobył koncesję na sprzedaż lodu do klubów w Las Vegas. Sądząc po butach z krokodyla, platynowej bransoletce zegarka i brylancie połyskującym w sygnecie na małym palcu, musiał sprzedawać mnóstwo lodu.

– Reprezentuję gościa, który reprezentuje kilku facetów z Wall Street, zaangażowanych w wydobywanie niklu na Kubie – powiedział Torriti. – Moi klienci chcieliby ujrzeć powrót prywatnej inicjatywy na wyspę.

Rosselli obserwował go z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na wargach. Było oczywiste, że nie kupił ani jednego słowa z wyводу Czarnoksiężnika.

– No to Castro musiałyby zniknąć – odparł.

– Masz kontakty na Kubie. Może znasz kogoś, kto by mu w tym pomógł?

– Chcesz, żebyśmy stuknęli Fidela?!

– Nie za darmo. Twój człowiek też...

Ponurą twarz Rossellego wykrzywił grymas skrzywdzonej niewinności.

– Nie wziąłbym za to złamanego grosza – rzucił porywczo. – Stany Zjednoczone Ameryki przygarnęły mnie i moich bliskich. Jestem patriotą. Na pewno nie gorszym od innych. Skoro trzeba go sprzątnąć dla dobra ojczyzny...

– Możemy inaczej okazać swoją wdzięczność.

Rosselli dumnie wypiął pierś pod szytą na miarę marynarką.

– Niczego za to nie chcę.

– Czy to znaczy, że...

– To znaczy, że zobaczę, co się da zrobić... Fidela nie tak łatwo ustrzelić. Jeżeli chcesz, skontaktuję cię z kimś, kto ma w Hawanie przyjaciół, którzy mogliby się zająć naszą sprawą.

– Jak się nazywa twój przyjaciel?

Na President Street jakiś samochód strzelił z gaźnika. Zbiry Rossellego skoczyły na równe nogi i sięgnęły pod kraciaste marynarki. Wystraszone gołębie, łopocząc skrzydłami, poderwały się do góry.

Consigliere spojrział na odlatujące ptaki, wyprostował palec wskazujący, zakrzywił kciuk i wycelował.

– Bang, bang, właśnie wygrałeś bilet w jedną stronę do ptasiego nieba.

Odwrócił się do Czarnoksiężnika.

– Przyjaciele mojego przyjaciela nazywają go Mooney.

Martin Macy pomachał do Czarnoksiężnika, gdy ten pojawił się w drzwiach „La Niçoise”, ekskluzywnej restauracji w Georgetown, popularnej wśród bonzów Firmy. Torriti ruszył w jego stronę, lawirując pomiędzy zatłoczonymi stolikami i witając się po drodze z Dickiem Bissellem i jego ADD/O/A, Leo Kritzkym, aż wreszcie opadł na krzesło obok swego starego kumpla z FBI.

– Powiedz mi, Martin... Czy istnieje życie po emeryturze? – zapytał.

Skinął na kelnera i wskazał na pustą szklanę, po czym uniósł dwa palce, dając do zrozumienia, że chce dwa razy to samo.

Macy, żylasty mężczyzna o kwadratowej szczęce Dicka Tracy’ego i kalafiorowatych uszach, będących pamiątką niefortunnej kariery pięściarza wagi półśredniej za studenckich czasów, smętnie pokiwał głową.

– Coś tam się jeszcze we mnie kołacze, ale co to za życie – westchnął i przecesał palcami rzednące włosy. – Żeby dać się tak sponiewierać po dwudziestu dziewięciu latach służby... Dwadzieścia dziewięć lat! To naprawdę boli, Harveyu.

– Załatwili cię po chamsku, bez dwóch zdań – przyznał Torriti.

– Nie musisz mi mówić.

– Co ci Hoover zarzucił?

Macy skrzywił się na samo wspomnienie.

– Jeden z ludzi Bobby’ego Kennedy’ego chciał dostać akta Hoffy i jego Teamsters Union^[27], a ja zrobiłem ten błąd, że dałem mu je bez pytania o zgodę dyrekcji. Poniewczasie okazało się, że takiej zgody nigdy nie było.

– Wysączył drinka do ostatniej kropli, ale kelner już stawiał przed nimi

kolejne dwa. – Hoover nienawidzi klanu Kennedych, Harveyu. Każdy, kto poda im rękę, kończy na czarnej liście. Musiałem wynająć adwokata i zagrozić Firmie procesem, żeby wydrzeć jej moją emeryturę.

– Kennedy nie urodził się wczoraj. Po co go trzyma w dyrekcji? Żeby mu psuł krew?

Macy znacząco przewrócił oczami.

– Hoover ma coś na niego? – zgadł Torriti.

– Ode mnie tego nie usłyszałeś – zastrzegł się Martin.

– A co takiego?

Macy rozejrzał się wokół, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Kobitki. Choćby ta bogini seksu z Hollywood, Marilyn Monroe. Jest też jedna z licznych przyjaciółek Sinatry, ślicznotka imieniem Exner, która skacze z łóżka do łóżka... Kiedy nie trzyma za rękę Kennedy'ego, wdzięczy się do bossa mafii w Chicago. A jeśli obie te damy są akurat zajęte, prezydent elekt sprasza sobie dziewczęta, które robią mu loda, po dwie naraz.

– Nie wiedziałem, że z Jacka taki napaleniec – mruknął Torriti z podziwem, jako że jurność była dla niego jedną z największych cnót. – A ty, Martinie, co teraz porabiasz?

– Pracuję jako doradca u prokuratorów okręgowych, którzy chcą się zasłużyć, deptając po piętach miejscowym bonzom z cosa nostry. Jeżeli Jack posłucha ojca i mianuje Bobby'ego prokuratorem generalnym, u niego też się zatrudnię. Zobaczysz, że Bobby jeszcze się odegra za Hoffę i Teamsters Union.

Torriti nałożył okulary i zajrzał do karty.

– Wiesz już, co chcesz zjeść? – zapytał.

Kiedy czekali, aż kelner przyjmie zamówienie, Macy nachylił się przez stół, ścisząc głos.

– Czy to nie ten twój paranoik tam siedzi?

Czarnoksiężnik łypnął okiem znad grubych szkieł. James Angleton tkwił, jak zwykle, przy swoim stoliku, zwrócony tyłem do restauracji, z papierosem w jednej ręce i szklanką w drugiej, pogrążony w konwersacji z dwoma nieznanymi Torritiemu facetami. W trakcie rozmowy co chwila zerkał w ogromne lustro, wiszące przed nim na ścianie, śledząc bacznie wszystko, co działo się za jego plecami. Napotkawszy spojrzenie Torritiego, nieznacznie skinął głową na powitanie. W odpowiedzi Czarnoksiężnik zrobił nieokreślony gest podbródkiem.

– Tak, to on – przytaknął.

– Wygląda na to, że serdecznie się nienawidzicie.

– Zamecza wszystkich w Firmie tymi swoimi wydumanymi podejrzeniami. Mnóstwo dobrych chłopaków pominięto przy awansie tylko dlatego, że znaleźli się na jego liście potencjalnych kretów. Wypięli się na niego, pieprzą to i siedzą teraz na ciepłych posadkach u prywaciarzy, gdzie wyciągają dwa razy tyle i gdzie żaden Angleton nie truje im dupy. Wierz mi, Martinie, że w ten sposób nie można prowadzić tego interesu. Wywiad to cholernie drażliwy biznes.

Przez chwilę obaj zajęli się tym, co mieli na talerzach. Potem Macy podniósł wzrok.

– Czemu zawdzięczam ten lunch, Harveyu?

– Myślisz, że udałoby ci się wpasować w grafik jeszcze jednego klienta?

Macy ożywił się.

– Ciebie?

– Moja forsa nie jest chyba gorsza niż pieniądze Kennedych? – Torriti zdjął skuwkę z długopisu, narysował na pudełku zapalek znak dolara, dopisał kwotę i pchnął to przez stół do Martina.

Macy cicho gwizdnął.

– Emerytura z minuty na minutę jawi mi się coraz bardziej różowo.

– Dostaniesz tyle po każdej naszej rozmowie. W gotówce. Żadnych rachunków. Żadnych pokwitowań.

– Mogłeś mnie wypytać za darmo, Harveyu.

– Wiem. – Czarnoksiężnik z zakłopotaniem podrapał się w głowę. – Znamy się nie od dzisiaj.

Macy przytaknął.

– Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Czy imię Mooney coś ci mówi?

Macy zmrużył oczy.

– Znowu zadajesz się z mafią, Harveyu? Myślałem, że już skończyłeś z Sycylijczykami.

Czarnoksiężnik parsknął śmiechem.

– Uciałem sobie pogawędkę z gościem o nazwisku Rosselli. W parku na Brooklynie. Ma mnie umówić na randkę w ciemno z kimś, na kogo wołają Mooney.

– Lepiej weź ze sobą broń – doradził Macy. – I niech ktoś cię osłania. Mooney alias Sam Flood alias Sal „Mo-Mo” Giancana (to ostatnie to jego prawdziwe nazwisko) jest szefem cosa nostry w Chicago. Wspomniałem ci o nim przed chwilą... To ten, który dzieli się z Jackiem Kennedym tą małą Exner.

– Jak to mówią w Hollywood... wątki się zazębiają, akcja nabiera tempa.

Macy, który swego czasu był jednym z ekspertów FBI od cosa nostry, odchylił się w tył, przymknął oczy i wyrecytował:

– Giancana, Salvatore, urodzony w roku tysiąc dziewięćset ósmym. W podaniu o paszport, w rubryce „zawód”, wpisał „kierownik motelu”. „Kierownik motelu”, a niech mnie! To ordynarny płatny zabójca cosa nostry, który swoją drogę po szczeblach mafijnej kariery gęsto usłał trupami. W końcu wdrapał się na sam szczyt „Przedsiębiorstwa”. Jest ojcem chrzestnym chicagowskiej „rodziny” – mówią, że sześć okręgów wyborczych siedzi u niego w kieszeni. W latach pięćdziesiątych zgarnął miliony na mafijnych kasynach w Hawanie i Las Vegas. Kiedy nie ma go w Chicago, włóczy się z Sinatrą, przez którego poznał Judy Exner.

W małych oczkach Czarnoksiężnika pojawił się błysk zainteresowania.

– To jeszcze nie koniec – ciągnął Macy. – Latami podsłuchiwałem Giancanę. Założyliśmy pluskwy w jego telefonach, w domu, w pokojach hotelowych, w których zwykle zatrzymywał się w podróży, a także w speluncie o nazwie „Armory Lounge”, gdzie melinuje się, gdy wraca do Chicago. Mamy całe kilometry taśmy z jego rozmów. To głównie dzięki niej Hoover trzyma Kennedy’ego w szachu. Kobiety, romanse to przy tym pestka. Kogo to obchodzi? Ale nagrania Giancany to co innego...

– Nie rozumiem.

– Na taśmie Joe Kennedy prosi Mooneya, żeby zorganizował dla jego syna głosy w wyborach. Joe jest właścicielem Hali Targowej w Chicago; kiedy czegoś chce, nikt mu nie odmówi, nawet Giancana. Bandziory Mooneya wzięły się do roboty we wszystkich sześciu okręgach. W Illinois Jack wygrał dziewięćdziesiąt tysięcy głosów. A w ogóle wygrał przewagą stu trzynastu tysięcy głosów na sześćdziesiąt dziewięć milionów oddanych. To nie przypadek, że trzy stany, w których rządzi cosa nostra: Illinois, Missouri i Nevada, poparły Kennedy’ego jak jeden mąż.

– Mafia nic nie robi za darmo. To musiało być coś za coś.

– Papcio Kennedy obiecał Giancanie, że jeśli jego synalek zostanie prezydentem, mianuje Bobby’ego prokuratorem generalnym. Oficjalnie Hoover podlega bezpośrednio prokuratorowi generalnemu. Joe dał Giancanie do zrozumienia, że Bobby przymknąłby oko na działalność „rodziny”. – Macy sięgnął do kubelka po butelkę sancerre, napełnił dwa kieliszki i pociągnął łyk chłodnego wina. – Hoover ma jeszcze inne taśmy. W sierpniu zeszłego roku, kilka tygodni po wygranej w Los Angeles, Jack zniknął na dwadzieścia cztery godziny z hotelu „Carlyle” na Manhattanie. Przydzieleni do niego chłopcy z tajnych służb dostali amoku. Przypadkiem wychwyciliśmy go na taśmie... Był w pokoju hotelowym Judy Exner. Pieprzyli się, jak zwykle. W pewnym momencie Jack powiedział Judy, że jeśli nie wygra wyborów, to prawdopodobnie rozwiedzie się z Jackie. Schadzka zresztą niezbyt się udała, a stosunek był przerywany, bo przeszkodził im portier, który zadzwonił do pokoju, żeby oznajmić przybycie niejakiego pana Flooda.

– Kennedy osobiście spotkał się z Giancaną!

Macy przytaknął.

– Wszystko wyglądało całkiem niewinnie. Judy wyszła pod pozorem skorzystania z toalety. Jack otworzył drzwi. Obaj mężczyźni gawędzili przez kilka minut w saloniku. Mówili o pogodzie. Mooney opowiadał, jak w piątej rundzie Floyd Patterson znokautował Johanssona... Widział to dokładnie, bo miał miejsce przy samym ringu. Jack powiedział, że słyszał od ojca, że Sal...

– To oni są po imieniu?

Macy skinął głową.

– Sal, Jack... Jack, Sal... Jak najbardziej. A więc Jack słyszał, że Sal zdobędzie dla niego głosy w Chicago. Podziękował mu za pomoc. Wróciła Judy i zrobiła im coś do picia. Pod koniec wizyty pana Flooda była mowa o jakiejś torbie w ubikacji... Poprosili Judy, żeby ją przyniosła i wręczyła Salowi.

– Co było w torbie?

– Możemy się tylko domyślać. Forsa prawdopodobnie. Żeby opłacić ludzi, którzy będą głosować w sześciu okręgach Giancany.

Czarnoksiężnik zerknął ukradkiem na Angletona. Szef kontrwywiadu odwrócił się od lustra, żeby pogadać z kimś przechodzącym koło stolika. Torriti wyciągnął kopertę i pchnął ją po blacie w kierunku Macy'ego, który szybko wsunął ją do kieszeni.

– Stąpają po kruchym lodzie – powiedział Macy. – Rosselli, Giancana... Dla nich to gra o wszystko.

– Robi się z tego pieprzona puszka Pandory – wymamrotał Czarnoksiężnik. – Wydaje mi się, że coś źle kombinujemy... Może powinniśmy poważnie się zastanowić, czy nie przenieść całego biznesu gdzie indziej.

Dick Bissell skończył pisać wiadomość dla Jacka McAuliffe'a w Gwatemali. Podszedł do drzwi i wręczył ją sekretarce.

– Doris, puść to natychmiast – powiedział.

Zamknął drzwi, wrócił za biurko i zaczął znęcać się nad spinaczem.

– Skąd masz te informacje, Harveyu?

– Zasięgnąłem porady u starego kumpla ze świty Hoovera. Mam to od niego. Słuchaj, Dick, Johnny Rosselli był w siódmym niebie, że może pomóc. Mam się spotkać z Mooneyem w Miami jutro po południu. Będzie

śpiewał na tę samą nutę. Ci goście nie mają nic do stracenia. Jak Rosselli i Giancana pomogą nam stuknąć Castro, bez względu na to, czy im się uda i czy r z e c z y w i ś c i e s i ę d o t e g o p r z y ł o ż ą, staną się nietykalni. A Bobby nie pozwoli prokuratorowi federalnemu wezwać ich na świadków i kazać im przysięgać, że będą mówić prawdę i tylko prawdę, bo będzie się bał, że faktycznie to zrobią.

– Z drugiej strony – powiedział Bissell – Firma nie ma na Kubie punktu zaczepienia. Prawie wszyscy nasi ludzie zostali odwołani. A ci goście mają kontakty w Hawanie... I powód, żeby nam pomóc. Kiedy Castro zniknie, oni wrócą do swoich kasyn. Wiem, że to ryzykowna gra, Harveyu. Ale zawsze coś. Może doprowadzą tę robotę do końca, bo jeśli uda im się go stuknąć, zyskają większe wpływy w Departamencie Sprawiedliwości. A bez Fidela inwazja na wyspę i droga z plaży do Hawany pójdzie naszej brygadzie jak po maśle...

Bissell szperał przez chwilę w szufladzie i wyjął inhalator. Przytknął go do nosa i wciągnął lek na zatoki.

– Dorastałem w domu w Hartford, gdzie Mark Twain napisał *Przygody Tomka Sawyera* i *Przygody Hucka* – powiedział. – Może dlatego tak mnie kusi myśl o tym, żeby kiedyś spłynąć rzeką na tratwie... Wiosło daje ci poczucie kontroli, ale prąd i tak cię znosi, gdzie chce. – Potrząsnął w zamyśleniu głową. – Każdy, kto by się teraz znalazł w mojej skórze, musiałby dobrze rozważyć wszelkie za i przeciw. Biorąc pod uwagę ogólną sytuację, dwóch bandziorów, którzy unikną rozprawy, to niewielka cena za pozbycie się Fidela Castro.

Bissell odprowadził Czarnoksiężnika do drzwi.

– Bardzo możliwe, że ich samych też ktoś wkrótce stuknie – dodał. – Trzymaj kurs tratwy z biegiem rzeki, Harveyu... Przekonamy się, dokąd porwie cię nurt. Zgoda?

Torriti zasalutował.

– Tak jest, kapitanie!

Czarnoksiężnik nie mógł oderwać wzroku od palców Mooneya. Długie, kościste, z kępkami czarnych włosów pomiędzy kostkami i sygnetem z szafirem na małym palcu (podarunkiem od Franka Sinatry), bębniły o blat stołu, musnęły popielniczkę, z której wysypywały się niedopalone cygara, dotknęły brzegu wysokiej szklanki z podwójną szkocką, wydłubały woszczyne z ucha i w końcu przecięły ze świstem powietrze.

– Bobby Kennedy to pieprzony cwaniak – szydził rozsierdzony Mooney.
– Zeszłego roku wziął mnie na spytki przed tą całą pieprzoną komisją senacką, co nie? Siedzę tam, z tym pieprzonym uśmieszkiem przyklejonym do buźki powołuję się na piątą poprawkę, tak jak mi radził mój papuga, i co ten skurwiel mówi?

– Co mówi ten skurwiel? – spytał Rosselli.

– Ten skurwiel mówi: „Myślałem, że tylko małe pieprzone dziewczynki tak chichoczą, panie Giancana”. Tak mi powiedział. Na głos. Przy wszystkich pieprzonych senatorach. Co poniektóry zaczął się trząść ze śmiechu. A potem w każdej pieprzonej gazecie w tym pieprzonym kraju wydrukowali na pierwszej stronie, że pieprzony Bobby Kennedy nazwał Mooneya Giancanę małą pieprzoną dziewczynką. – Gangster wyjął z ust hawańskie cygaro i wycelował je rozżarzonym końcem prosto w oko Torritiego. – Nikt nie będzie obrażał Mooneya Giancany. Nikt. Niedługo przywalę temu pieprzonemu kutasowi, ma to, kurwa, jak w banku.

Siedzieli wszyscy trzej na stołkach przy półkolistej ladzie opustoszałego baru, niedaleko lotniska w Miami. Okna zasłonięte były ciężkimi kotarami, które nie wpuszczały do wnętrza popołudniowego słońca ani odgłosów ulicy. Ludzie Rossellego, rozstawieni po całym lokalu, pilnowali drzwi

wejściowych oraz korytarza, prowadzącego do toalet i kuchni. Barmanka, wyblakła blondynka w cielistym biustonoszu, prześwitującym przez nylonową bluzkę, podała im whisky i zniknęła, zostawiając na ladzie otwartą butelkę i kubełek z lodem.

– Grał pod publiczność, skurwiel. – Rosselli wydał wyrok w sprawie Bobby’ego Kennedy’ego.

– Nikt, kurwa, nie będzie grał pod publiczność moim kosztem. – Giancana zaciągnął się cygarem i zza kłębow dymu przyjrzał się Czarnoksiężnikowi.
– Johnny mi mówił, że jesteś w porządku.

Rosselli, który wyglądał bardzo wytwornie w dwurzędowym garniturze w prążki, wtrącił pospiesznie:

– Znam na Sycylii ludzi, którzy pamiętają go jeszcze z czasów wojny. Twierdzą, że jest okay.

– Z taką rekomendacją przyjęliby mnie nawet na uczelnię z Ligi Bluszczu – wyszczerzył się Torriti.

Rosselli wyglądał na rozbawionego tym pomysłem.

– Co byś tam robił?

– Nauczyłbym ich życia.

Giancana, niski, łysiejący mężczyzna, pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. Torriti spostrzegł kilka czarnych od próchnicy.

– A to, kurwa, dobre – powiedział Mooney. – Pójść na pieprzony uniwersytet i uczyć tych pieprzonych profesorków.

Czarnoksiężnik chwycił butelkę za szyjkę i dolał sobie whisky.

– Uważam, że skoro mamy współpracować, powinniśmy ustalić pewne zasady – zaczął.

– Wal – odparł wesoło Giancana.

– Po pierwsze, to jest zlecenie jednorazowe. Kiedy już będzie po wszystkim, to tak, jakbyśmy się nigdy nie spotkali.

Mooney machnął od niechcienia cygarem, dając do zrozumienia, że to tak oczywiste, że nawet nie trzeba o tym wspominać.

– Johnny – ciągnął Czarnoksiężnik – nie chciał ode mnie przyjąć pieniędzy...

Giancana wywrócił oczami, zażenowany.

– Jak już ci mówiłem, Mooney, on jest gotów zapłacić nam gotówką, ale powiedziałem, że jeżeli się zdecydujemy w to wejść, zrobimy to z czystego patriotyzmu.

– Wyłącznie z patriotyzmu – skwapliwie przytaknął Giancana, kładąc rękę na sercu. – Ameryka była cholernie...

– Cholernie dla was dobra – powiedział Czarnoksiężnik. – Wiem.

– To jak mamy kropnąć tego Fidela? – zachichotał nerwowo Mooney.

– Miałem nadzieję, że znacie w Hawanie kogoś, kto mógłby go wyeliminować.

– Co on pieprzy? O co chodzi z tym wy-e-li-mi-no-wa-niem? – zapytał Rossellego Giancana.

– On chce, żebyśmy go sprzątnęli – wyjaśnił Rosselli.

– No to przecież powiedziałem. Chcesz, żebyśmy go kropnęli. Macie jakieś specjalne życzenia co do daty?

– Im szybciej, tym lepiej – odparł Czarnoksiężnik.

– Te rzeczy wymagają czasu – zastrzegł Giancana.

– Powiedzmy, gdzieś pod koniec następnej zimy.

Mooney skinął ostrożnie podbródkiem.

– Jak twoi mocodawcy to sobie wyobrażają? Znaczy się, jak go mamy stuknąć?

Czarnoksiężnik zrozumiał, że zaczynają przechodzić do konkretów.

– Myśleliśmy, że twoi ludzie rozpracują zwyczaje Castro, zatrzymają jego limuzynę i go zastrzelą. Coś w tym stylu...

Giancana spojrział na Rossellego. Wysunął dolną wargę i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Widać, że te pieprzone kutasy z Wall Street nie mają w tych sprawach żadnego pieprzonego doświadczenia.

Odwrócił się znowu do Czarnoksiężnika.

– Spluwy? Ryzykowne. Nikt na to nie pójdzie. Dopadną go, zanim zdąży pociągnąć za spust. Kto się zgłosi do takiej roboty?

– To jak ty to widzisz, Mooney?

Giancana zaciągnął się w zamyśleniu cygarem, potem wyjął je z ust i obejrzał.

– Jak ja to widzę? Ja bym go, na ten przykład, otrułem. Ty byś skombinował truciznę. Castro lubi koktajle mleczne...

– Mooney to poważny gość. Poważnie zabrał się do problemu – powiedział Rosselli do Torritiego.

– Jestem pod wrażeniem – odparł Czarnoksiężnik.

– Tak jak mówiłem, ma słabość do koktajli. Czekoladowych, jak już chcesz wszystko wiedzieć. Kupuje je w kawiarni hotelu „Libre”, za moich czasów był tam „Havana Hilton”. Zawsze chce płacić za zamówienie, ale oni nigdy nie przyjmują od niego pieniędzy. Potem czasami idzie do „Brazylijskiej”. To taka mała spelunka w porcie Cojímar, gdzie jeszcze przed pieprzoną rewolucją dekował się ten wasz Hemingway. Castro często tam zagląda ze swoją przyjaciółką, chudą kobitką, córką doktora... nazywa

się Celia Sánchez... albo z tym Argentyńczykiem, jak on się, kurwa, nazywa?

– Che Guevara – odpowiedział Torriti.

– Właśnie. Ktoś, kto ma motorówkę, mógłby doprawić koktajl Fidela w hotelu albo danie w knajpie i zwiać morzem.

Giancana zsunął się ze stołka i zapiąwszy środkowy guzik sportowej marynarki, skinął na dwóch goryli, pilnujących wejścia do baru.

– Przyrowadź samochód, Michael!

Potem znów odwrócił się do Czarnoksiężnika:

– Spotkajmy się jeszcze raz, powiedzmy, w połowie stycznia. Jeśli będę ci potrzebny, Johnny wie, jak mnie złapać. Powęszę trochę w Hawanie i zobaczę, co tam słychać. A ty powęszysz na Wall Street. – Rosselli uśmiechnął się znacząco, a Giancana zachichotał. – Zobacz, czy twoi przyjaciele mogą skombinować truciznę, która by nam pasowała. Coś, co da się łatwo ukryć... Musi wyglądać jak alka seltzer czy coś w tym stylu. I musi szybko zadziałać, zanim zdążą go przewieźć do pieprzonego szpitala i przepłukać mu pieprzony żołądek.

– Widzę, że trafiłem na właściwego człowieka – rzekł Torriti.

– Oj, tak – powiedział Rosselli. – Mooney się nie opieprza.

– Pewnie, że się, kurwa, nie opieprzam – zgodził się Giancana.

PALM BEACH, WTOREK, 10 STYCZNIA 1961

Rój tajnych agentów, w ciemnych okularach i z charakterystycznymi znaczkami wpiętymi w klapy marynarek, wybiegł naprzeciw nowo przybyłych gości, którzy weszli na wysypaną białym żwirem alejkę.

– Panowie będą łaskawi się wylegitymować – powiedział dowódca grupy.

Allen Dulles, kuśtykający nieco z tyłu z powodu ataku podagry, wydawał się dotknięty tym, że go nie rozpoznano.

– Jestem dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej – odparł tonem urażonej godności. – Ci panowie i ja mamy umówione spotkanie z prezydentem elektem.

– Mimo to bylibyśmy wdzięczni, gdyby panowie zechcieli okazać nam jakiś dowód tożsamości – nalegał ochroniarz.

Dulles, Dick Bissell, Leo Kritzky i Czarnoksiężnik wyciągnęli z portfeli laminowane karty identyfikacyjne. Dowódca obejrzał uważnie każde zdjęcie, podnosząc co chwila wzrok, żeby porównać je z twarzami stojących przed nim ludzi.

– Macie coś przy sobie? – indagował.

DCI Dulles wyglądał na zbitego z tropu.

– Pyta, czy jesteśmy uzbrojeni – wyjaśnił Dick Bissell.

– Idźże do cholery, nie nosiłem broni od czasu wojny.

Bissell i Leo Kritzky potrząsnęli przecząco głowami. Torriti, nieco zawstydzony, wy dobył spod pachy rewolwer o perłowej rękojeści i wręczył

go jednemu z agentów, który zdeponował broń w szarej papierowej torbie. Bissell odkaszlnął dyskretnie.

– A tak, prawie bym zapomniał – mruknął Czarnoksiężnik, po czym wyciągnął zza skarpetki szpanerski detective special i podał go zdumionemu ochroniarzowi.

Przy końcu alejki młody adiutant odhaczył ich nazwiska z listy i poprowadził gości przez pełen zakamarków dom Josepha Kennedy’ego do wypielegnowanego ogrodu na tyłach posesji. Zza wysokiego żywopłotu dobiegał perlisty śmiech i głosy pluskających się w basenie ludzi. Przechodząc przez umajoną zielenią furtkę, Leo dostrzegł niezwykle szczupłą i opaloną młodą kobietę, ubraną jedynie w skąpe majteczki bikini, zażywającą na odskoczni kąpieli słonecznej. Przed sobą zaś ujrzał Jacka Kennedy’ego w rozchełstanej koszuli, który siedział na bujanym wiklinowym fotelu i odwracał głowę w bok, żeby nie patrzeć, jak pielęgniarzka robi mu zastrzyk.

Idący z tyłu grupy Bissell szepnął do Leo:

– Penicylina na przewlekłą rzeżączkę.

– To choroba weneryczna – zdziwił się Leo. – Jesteś pewien?

– Na ogół wiem, co w trawie piszczy. Chcesz się założyć, że pierwsze jego słowa będą dotyczyły „New York Timesa”?

– Nie rób ze mnie frajera.

Kobieta, która zaaplikowała Kennedy’emu zastrzyk, powiedziała: „A więc w następny wtorek w Waszyngtonie. Do widzenia” – i odeszła.

Kennedy wstał z krzesła, żeby powitać Dullesa.

– Widziałeś zapewne artykuł w „Timesie” – zaczął, najwyraźniej poirytowany.

Ze stosu gazet, leżących na wiklinowym stoliku, wyciągnął jeden egzemplarz.

– Pierwsza strona, a jakże! „W tajnej bazie w Gwatemali Stany Zjednoczone szkolą komando do walki z reżimem Castro”... Zamieścili nawet mapę obozu! Castro nie potrzebuje już szpiegów w Ameryce. Ma „New York Timesa”! Dobrze cię znowu widzieć, Dick. Leo Kritzky? Pamiętam, jak przyjechałeś do mnie zeszłego lata. – Witał się ze wszystkimi po kolei.

Bissell przedstawił Czarnoksiężnika.

– Harvey Torriti, podpora naszego zespołu.

Kennedy przytrzymał chwilę jego dłoń.

– Słyszałem o panu. Podobno jest pan naszym Jamesem Bondem.

Czarnoksiężnik zachichotał pod nosem.

– Niestety, nigdy mu nie dorównam w erotycznych ekscesach. Brakuje mi wdzięku.

Kennedy wskazał gościom krzesła. Znad basenu podeszli do nich Bobby i Joe. Ojciec poklepał Jacka po ręce i obaj uśmiechnęli się do siebie. Joe Kennedy zajął wolne krzesło, a Bobby usiadł na ziemi, oparty plecami o słupek altany. Jack wrócił na swój bujany fotel.

– Zaczynaj, Allen – powiedział.

– Panie prezydencie elekcie – odezwał się Dulles. – Za dziesięć dni zostanie pan zaprzysiężony jako prezydent Stanów Zjednoczonych, a wtedy, jak mawiał Harry Truman, cała odpowiedzialność spadnie na pańskie biurko. Jest sprawą kluczową, aby został pan poinformowany o szczegółach operacji, którą generał Eisenhower – użycie przez Dullesa słowa „generał” zamiast „prezydent” nie uszło niczyjej uwagi – zatwierdził.

– O ile dobrze zrozumiałem pańskie słowa, dyrektorze, p r e z y d e n t Eisenhower zezwolił CIA na opracowanie planów oraz infrastruktury operacji, ale nie na samą operację – sprostował Kennedy.

Dulles odchrząknął.

– Zdawało mi się, Jack, że to właśnie powiedziałem.

– Chciałem się upewnić, Allen, że nadajemy na tej samej fali – mruknął Kennedy, bujając się w fotelu, i dał znak Dullesowi, żeby kontynuował.

DCI, czerwony ze złości, zerknął w nabazgrane na kopercie notatki.

– Żeby nie było nieporozumień, panie prezydencie elekcie, informuję pana, iż sto czterdzieści pięć kilometrów od wybrzeża Florydy Moskwa zainstalowała marionetkowy reżim komunistyczny. Castro sfałszował wybory, nałożył prasie kaganiec, znacjonalizował plantacje trzciny cukrowej oraz przemysł, którego przeważająca część, pragnę nadmienić, znajdowała się w rękach Amerykanów. Skazał na śmierć ponad pięciuset członków opozycji politycznej, a tysiące innych uwięził. Otoczył się marksistowskimi doradcami i zwrócił do Związku Radzieckiego z prośbą o broń. Obecnie szkoli w Czechosłowacji pięćdziesięciu kubańskich pilotów, którzy uczą się latać na sowieckich MiG-ach. Samoloty mają być gotowe do akcji latem przyszłego roku. A jeśli uważa pan, że to za mało, żeby mu się dobrać do skóry, możemy przedstawić dowody na to, że Castro rozsyła podżegaczy, których zadaniem jest szerzenie rewolucji i podburzanie ludzi do buntu w Panamie, Dominikanie, Haiti i Nikaragui. Ma konszachty z Kreml, a jego ostatecznym celem jest otoczenie USA łańcuchem komunistycznych państweczek satelickich i odizolowanie nas na własnej półkuli.

Bobby Kennedy potarł oko.

– Nikt nie wątpi, że Castro jest upierdliwy, panie Dulles – powiedział, przeciągając samogłoski na podobieństwo ospałego akcentu z Nowej Anglii. – Pytanie tylko, jaką decyzję w tej sprawie podejmie administracja Kennedy’ego. – Ostatnie słowa wymówił szczególnie rozwlekle.

– Operację antycastrowską – odparł Dulles – pod kryptonimem JMARC prowadzi Dick Bissell. Dick, przejmij pałeczkę.

Bissell był w swoim żywiole. Nie musiał sięgać do żadnych notatek. Rozsiadł się swobodniej i niecierpliwie bębniąc butami o posadzkę, przedstawił trzem panom Kennedym projekt, który sam nazwał „nową paramilitarną koncepcją planu «Trinidad»”.

– Przewidujemy rozmieszczenie od sześciuset do siedmiuset pięćdziesięciu ludzi z brygady wzdłuż plaży w okolicy Trinidadu, miasta na południowym wybrzeżu Kuby, znanego jako siedlisko opozycji. Desant nastąpi o świcie i będzie poprzedzony serią nalotów, które rozpoczną się na dwie doby przed dniem D. Ataku dokonają kubańscy piloci, szkoleni obecnie do lotów na naszych maszynach. Do operacji użyte zostaną nadwyżki B-26, które wystartują z tajnego lotniska w Gwatemali.

– Wątpię, czy dzisiaj można to jeszcze nazwać tajnym lotniskiem – mruknął Bobby.

Bissell nie przywykł, by mu przerywano. Zwrócił się do Bobby’ego, który w wieku trzydziestu pięciu lat doprowadził do perfekcji sztukę odgrywania złego gliny, w odróżnieniu od Jacka, który był tym dobrym.

– Chciał pan coś powiedzieć, panie Kennedy? – zapytał chłodno DD/O.

– Mów dalej, Dick – wtrącił szybko Jack.

Bissell przez chwilę jeszcze mierzył Bobby’ego wzrokiem, a potem podjął przerwana kwestię.

– Jak pan zapewne wie, panie prezydencie elekcie, nie spodziewamy się, że brygada, nawet przy taktycznym wsparciu z powietrza, pokona w otwartej walce dwustutysięczną armię Fidela. Ale mamy nadzieję, że desant, który zbiegnie się w czasie z powstaniem tymczasowego rządu na gruncie kubańskim, stanie się zarzewiem powszechnego powstania przeciw reżimowi Castro. Liczymy na to, że liczebność brygady podwoi się w ciągu kolejnych czterech dni. Wtedy opuści przyczółek i wyruszy w głąb wyspy. Nasz wywiad donosi, że od siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu procent kubańskich żołnierzy nie popiera komunistycznych rządów. Znaczny jest też odsetek oficerów gotowych do buntu i przejęcia dowództwa nad oddziałami powstańców. Ludność wiejska niektórych prowincji, zwłaszcza na zachodzie Kuby, przyłączy się do rebeliantów, jak tylko rozlegną się pierwsze strzały. Można liczyć również i na to, że brygadę zasilą więźniowie polityczni z Isla de Pinos.

– A jak zamierzacie uzbroić tych wszystkich chłopów i więźniów? – zapytał Jack Kennedy.

Leo Kritzky, który monitorował dla Bissella profil logistyczny brygady, wyjaśnił:

– Statki wiozące kubańskich uchodźców na miejsce desantu będą wyładowane skrzyniami z działkami bezodrzutowymi, moździerzami, amunicją, granatami, walkie-talkie... Wystarczy tego, żeby obdzielić tysiąc pięciuset ludzi.

– Jak długo może się utrzymać brygada, jeżeli nie podwoi liczebności i nie zdoła się przedrzeć w głąb wyspy? – indagował dalej prezydent elekt.

– Szacujemy, że z parasolem Sił Powietrznych nad głową może przetrwać jakieś cztery dni – odparł Bissell.

Jack Kennedy nagle przestał się bujać.

– A co potem?

– Pamiętajcie, że mówimy o najczarniejszym scenariuszu – wtrącił Dulles.

– Trzeba być przygotowanym na najgorsze – warknął Joe Kennedy. – A jak wszystko pójdzie dobrze, będziemy skakać do góry z radości.

– W najgorszym wypadku – powiedział Bissell – brygada wycofa się w Sierra Escambray i rozpocznie wojnę partyzancką. Będziemy w stanie zrzucać im zapasy z powietrza. Przyłączą się do istniejących już oddziałów guerrilli. Tak czy inaczej, Castro będzie miał problem z eksportem swojej rewolucji do Ameryki Łacińskiej, jeżeli zdławi kontrrewolucję na Kubie.

Jack Kennedy bujał się w milczeniu. Ludzie z CIA wymienili między sobą spojrzenia – ciężko było wyczuć, jaki będzie wynik narady. Zza żywopłotu doleciał pisk wrzucanej do basenu dziewczyny, a zaraz potem plusk wody.

– Teddy znowu bawi się w ratownika – roześmiał się Jack.

– Naturalnie nie oczekujemy od was żadnych decyzji, dopóki dokładnie nie rozważycie operacji JMARC – powiedział Dulles.

Kennedy pokiwał głową. W pewnej chwili przestał się bujać i spojrzał na Bobby'ego, który uniósł brwi.

– Zbyt hałaśliwe – orzekł w końcu prezydent elekt.

– W jakim sensie? – Dulles pochylił się do przodu.

– Zdaję sobie sprawę, że im mniejsze jest ryzyko polityczne, tym większe ryzyko militarne – powiedział Kennedy. – Cała sztuka w tym, żeby znaleźć złoty środek. „Trinidad” jest zbyt spektakularny, zbyt głośny. Całe to przedsięwzięcie wygląda na inwazję w stylu drugiej wojny światowej. Mniej hałasu, panowie. Jeżeli mam się pod tym podpisać, wolałbym, żeby to był cichy desant na ustronnej plaży, najlepiej w nocy. Chciałbym, żeby

statki, które przywiozą tam naszą brygadę, zniknęły jeszcze przed świtem daleko za horyzontem. W ten sposób możemy wiarygodnie zaprzeczyć jakiegokolwiek udziałowi Ameryki w tej aferze... Ot, grupka kubańskich uchodźców wylądowała na plaży, kilka B-26 z demobilu ochrania ich z powietrza, a za sterami siedzą dezenterzy. Coś w tym rodzaju.

Joe Kennedy potrząsnął głową.

– A co zrobicie z Castro? Powinien zostać zamordowany jeszcze przed inwazją albo całe przedsięwzięcie szlag trafi.

Zapadła niezręczna cisza. Torriti otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Bissell ostrzegawczo dotknął jego ramienia.

– To jest już nie nasza sprawa, tato – zmitygował ojca Jack.

Joe Kennedy pojął aluzję.

– Oczywiście, oczywiście. Wycofuję pytanie.

Prezydent elekt chciał poznać wszelkie szczegóły dotyczące operacji JMARC. Odpowiedzi udzielił mu Bissell, a Leo Kritzky dorzucił kilka mniej istotnych informacji. Tak, Castro ma własne siły powietrzne: kilkadziesiąt samolotów, które mogą startować z lądu, stare maszyny typu „Sea Fury” i parę odrzutowców szkoleniowych T-33. Bardzo możliwe, że te ostatnie zostały wyposażone w działa, które Stany Zjednoczone przekazały Batiście. Rzecz jasna, B-26 będą w stanie przejąć kontrolę nieba nad objętym inwazją skrawkiem wybrzeża bez pomocy amerykańskich myśliwców startujących z lotniskowców. Morale brygady jest wysokie, a kwalifikacje bojowe uchodźców doskonałe. Każdy rekrut wystrzelił więcej magazynków niż przeciętny amerykański żołnierz podczas rutynowego szkolenia. Tak, to prawda, że wybuchła lokalna rebelia w prowincji Oriente, ale dość szybko została stłumiona przez wojsko. Tak, najświeższe doniesienia z prowincji Camagüey potwierdzają, że Castro

goni w piątkę, możliwe nawet, że zaczęły się rozruchy, żeby nie powiedzieć: anarchia, co pozwala wierzyć, iż desant brygady i stworzenie rządu tymczasowego doprowadzą do ogólnonarodowego powstania.

Narada się przedłużała, więc Bobby zerknął na zegarek i przypomniał bratu, że za dziesięć minut ma rozmawiać przez telefon z Charles'em de Gaullem. Jack podziękował kierownictwu CIA za przybycie i poprosił Allena Dullesa, by towarzyszył mu w drodze do domu.

– Eisenhower namawiał mnie gorąco, żebym się zdecydował na to rozwiązanie – mówił przyszyły prezydent do kuśtykającego obok DCI. – Ale chciałbym, Allenie, abyś pamiętał o dwóch sprawach. Pod żadnym pozorem nie poprę zbrojnej interwencji Ameryki. Wszystko, co próbujemy osiągnąć w Ameryce Łacińskiej, cała moja inicjatywa Sojuszu dla Postępu, spaliłoby na panewce, gdyby świat się dowiedział, że uderzyliśmy na takie malutkie państewko. Brygada musi poradzić sobie sama. Poza tym zastrzegam, że odwołam desant w ostatniej chwili, jeśli tylko uznam, że ryzyko jest zbyt wielkie.

– Kiedy przyjdzie czas decyzji, pamiętaj, Jack, że jeśli się wycofamy, staniemy wobec nowych problemów.

– Jak to?

– A co zrobimy z członkami brygady po odwołaniu operacji? Zdemobilizujemy ich w Gwatemali? Trudno przewidzieć skutki. A jak nie zechcą złożyć broni i zaatakują na własną rękę? Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby włączyli się po Ameryce Łacińskiej i rozpowiadali na prawo i lewo, kto ich szkolił i po co. Jeżeli się rozejdzie, że daliśmy za wygraną, spodziewaj się efektu domina: komunizm zacznie podnosić głowę na całym świecie, punkty zapalne rewolucji będą wybuchały to tu, to tam...

Kennedy przystanął i dźgnął paznokciem w koszulę na piersi Dullesa.

– Nie dam się zapędzić w kozi róg, Allen.

– Wcale nie miałem takiego zamiaru, Jack. Chcę tylko uczulić cię na problemy, przed którymi staniemy, jeśli odwołamy akcję.

Bobby zaprosił Bissella, Leo i Czarnoksiężnika do barku i zaproponował im strzemiennego. Wiedział, że Bissell szykował się do objęcia stanowiska DCI po Dullesie, jak tylko mistrz szpiegostwa przejdzie na zasłużoną emeryturę. Tak więc Bobby wolał nie zadzierać z człowiekiem, który wkrótce miał się stać szarą eminencją i pociągać za wszystkie sznurki w Waszyngtonie. Jednocześnie zaś chciał mu dać do zrozumienia, że to on, Bobby, będzie teraz drugą najważniejszą osobą na Kapitolu.

– Wydaje mi się, że wasze spotkanie odniosło pożądany skutek – odezwał się do Bissella. – Mój brat lubi CIA. Zawsze powtarza, że jak się chce mieć coś szybko, to najlepiej iść z tym do „Kwaszarni”. Biurokraci w Departamencie Stanu potrzebują kilku dni, żeby wydusić z siebie odpowiedź na najprostsze pytanie.

Przez uchylone drzwi widać było Jacka Kennedy’ego rozmawiającego przez telefon, podczas gdy jego ojciec stał obok z założonymi rękami i przysłuchiwał się konwersacji.

– Wyjaśnijmy sobie jedno – ciągnął Bobby. – Kuba to dla mojego brata sprawa priorytetowa. Wszystko inne zostało zepchnięte na dalszy plan. Cenny jest czas, pieniądze, wysiłek i każda para rąk. Chcemy, żebyście pozbyli się Fidela, nieważne, w jaki sposób. – Spojrzenie Bobby’ego nagle złodowaciało; mówił teraz cicho i wyraźnie. – My też nie mamy czasu do stracenia. Chcemy, żeby administracja Kennedy’ego rozpoczęła działalność z wielkim hukiem. – Popatrzył twardo na Bissella. – Jeżeli mam być szczery, to martwimy się, że CIA straci głowę.

Czarnoksiężnikowi, który poczuł się znacznie lepiej, gdy alkohol zaczął krążyć mu w żyłach, wypłynął na usta szatański uśmiech. Arogancja

Bobby'ego wkurzyła go.

– My nie tracimy głowy – wybełkotał, miażdżąc w zębach kostkę lodu. – Ale boimy się, że wy możecie.

Bobby zmrużył oczy.

– Dopracujecie plan, a mój brat się pod tym podpisze. Decyzja będzie łatwiejsza, jeśli Castro zniknie z pola widzenia, jak słusznie zauważył ojciec.

Czterej agenci CIA, każdy pogrążony we własnych myślach, jechali w milczeniu firmową limuzyną, wiozącą ich na lotnisko, gdzie czekał prywatny samolot, którym mieli odlecieć z powrotem do Waszyngtonu.

Leo pierwszy przerwał ciszę.

– Bobby to niebezpieczny łajdak.

– Kłopot w tym – zauważył Dulles – że ilekroć używa imperialnej formy „my”, nie wiadomo, czy mówi również w imieniu Jacka, czy po prostu stara się przydać wagi swoim słowom.

– Myślałem, że zabieracie mnie, żebym zdał Jackowi relację z przebiegu akcji likwidacyjnej – powiedział Czarnoksiężnik.

– Jack najwyraźniej nie chciał o tym gadać przy świadkach – odparł Bissell. – W każdym razie już sama twoja obecność była wymowna.

– Bobby nie owija w bawełnę – wtrącił Dulles. – „Pozbądźcie się Fidela, nieważne, w jaki sposób”... Rzecz oczywista, że bracia Kennedy nie uronią łzy, gdy uda nam się zneutralizować Castro.

– Mam nadzieję, że nie wstrzymają JMARC, jeśli coś pójdzie nie tak – martwił się Bissell.

– Jack nie jest taki głupi – pocieszył go Dulles. – Wyeliminowanie Castro byłoby nie lada gratką, ale nie wierzę, żeby zbyt na to liczył.

Bissell, który zadręczał się losem swojego projektu, w milczeniu wyglądał przez okno pędzącego samochodu.

Po chwili odezwał się DCI.

– Pamiętam przyjęcie u Jacka w domu Kennedych przy N Street. To było zaraz po tym, jak wybrali go do Senatu. Po kolacji panowie udali się do gabinetu, żeby wypalić cygara. Rozmowa zeszła na amerykańskich prezydentów. Okazało się, że Jacka fascynują Abraham Lincoln i Franklin Roosevelt. Mój brat Foster zapytał go, czemu akurat ci dwaj. Jack odparł, że byli najlepsi. Potem powiedział... – Dulles zamknął oczy, żeby lepiej odtworzyć sobie tamtą scenę – ...powiedział: „Żeby być wielkim prezydentem, trzeba być prezydentem czasu wojny”. – Uniósł powieki i trącił Bissella łokciem. – Zobaczysz, Dick, on odpali JMARC. Zapamiętaj moje słowa.

Pracownicy służb technicznych, zwani w Firmie elfami, żyli w swoim własnym świecie, ukryci w labiryncie pokoi na ostatnim piętrze jednego z „tymczasowych” budynków Firmy w Reflecting Pool. Jedyne wejście do ich siedziby stanowiły hermetyczne drzwi, ozdobione wizerunkiem trupiej czaszki z pieszczelami, pilnie strzeżone dzień i noc przez uzbrojonych strażników. Elfowie – przygarbieni mężczyźni z tendencjami do grubych szkieł i rzednących włosów – preferowali białe laboratoryjne kitle z kieszeniami wypchanymi jednorazowymi strzykawkami. W niektórych pomieszczeniach panowała iście cieplarniana temperatura, a w zacisznych inkubatorach dojrzewały tajemnicze zarodniki, troskliwie otulone wilgotną watą. Wszędzie sterczały tekturowe etykiety: bakterie, grzyby, algi, neurotoksyny rozrastały się tam jak chwasty. Człowiek, który dowodził tą sekcją, doktor Aaron Sydney – zrędlivy biochemik, niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu, z kępkami sztywnej szczeciny na policzkach – zanim

trafił do Firmy, pracował dla wielkiego koncernu farmaceutycznego. Jego najnowszym osiągnięciem było wyprodukowanie zakażonej chusteczki do nosa, którą CIA przesłała irackiemu generałowi Abd al-Karim Kasimowi, zwolennikowi żołnierskiej krzepy i rządów silnej ręki, który naraził się kilku cherlakom, pociągającym za sznurki amerykańskiej polityki zagranicznej. „Och, nie ma obawy. To go z pewnością nie zabije – miał powiedzieć doktor Sydney Dullesowi, gdy przyniósł mu ukończony produkt. – Przy odrobinie szczęścia będzie chory do końca swoich dni”.

– Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska, kiedy pan dyrektor Bissell zadzwonił i umówił mnie na to spotkanie – powitał doktor Sydney Czarnoksiężnika, gdy ten zjawił się w jego biurze.

– Torriti, Harvey.

– A zatem czym mogę panu służyć, panie Harveyu?

Czarnoksiężnik rozejrzał się niepewnie po gabinecie. Wszystkie ściany zawieszane były półkami, na których stało mnóstwo słoików pełnych pływających w formalinie małych płodów i białych myszek. Każde z tych naczyń opatrzone było szczegółową informacją, wypisaną czerwonym tuszem: *clostridium botulinum*, *toxoplasma gondii*, tyfus, ospa wietrzna, dżuma dymienicza, *lupus*. Żeby zyskać na czasie, Torriti powtórzył pytanie:

– Czym mi pan może służyć? Może mi pan dać alka seltzer.

– O mój Boże, ma pan mdłości?

– Chciałbym, aby ktoś inny dostał mdłości.

– Aha. Rozumiem. Kobieta czy mężczyzna?

– Co za różnica?

– Zasadnicza. Chodzi o ilość.

– W takim razie to mężczyzna.

Doktor Sydney zdjął skuwkę z pióra i zapisał coś w żółtym notesie.

– Czy to będzie zbyt wiele, jeśli spytam, w jakim wieku jest ten mężczyzna, jaki ma wzrost, wagę, jaki jest ogólny stan jego zdrowia?

– Trochę po trzydziestce, wysoki, mocno zbudowany, zdrow jak ryba, o ile mi wiadomo.

– Zdrow... jak ryba – powtarzał doktor Sydney, zapisując wszystko na kartce.

Po chwili znów wlepił w Czarnoksiężnika oczy, powiększone przez szkła okularów.

– Jak dużych mdłości ma dostać ten pan?

Torritiego zaczynała bawić ta rozmowa.

– Chcę, żeby jego żołądek w ogóle przestał funkcjonować.

Doktor Sydney nie gubił rytmu.

– Nagle czy stopniowo?

– Im natychmiastowiej, tym lepiej.

Doktor Sydney zmarszczył brwi.

– „Natychmiastowiej”? Nie znam takiego słowa...

– Teraz już pan zna.

– Natychmiastowiej. Hmm. To by sugerowało, że nie chce pan dać mu czasu na płukanie żołądka.

– Coś w tym guście, tak.

– Czy preparat powinien być jakoś ukryty, żeby bez przeszkód mógł przejść przez odprawę celną?

– To całkiem niegłupi pomysł. Tak. Odpowiedź brzmi: tak.

– Oczywiście proszek nie wchodzi w rachubę. Służby celne niektórych państw są przeczulone na tym punkcie i niekiedy reagują zbyt emocjonalnie na widok substancji sypkich. Może pigułka?

– Alka seltzer?

– Och, panie Harveyu, widzę, że jest pan nowicjuszem w tych sprawach. Alka seltzer to zbyt duża tabletką. Obawiam się, że potrzebuje pan czegoś mniejszego. Im mniejsza pigułka, tym łatwiej będzie wrzucić ją do płynu bez zwracania niczyjej uwagi. Naturalnie zależy panu, żeby sprawca uniknął schwytania, jak mniemam?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. – Czarnoksiężnik podrapał się po nosie. – Dobra. Przemyślałem to. Chcę, żeby sprawcy udało się zwać.

– Ile porcji pan potrzebuje, panie Harveyu?

Torriti rozważał przez chwilę to pytanie.

– Jedną.

Doktor Sydney wydawał się zdziwiony.

– Jedną?

– Jedna to źle?

– Na ogół robimy więcej niż jedną, na wypadek gdyby coś poszło źle podczas dostawy. Ktoś może się pomylić i wrzucić preparat nie do tej szklanki. A jeśli nawet substancja trafi do właściwego naczynia, może z takich czy innych powodów nie zostać skonsumowana. Jeżeli sprawca ma zapas, zyskuje on (lub ona, dlaczegoż by nie?) drugą szansę. – Doktor Sydney obdarzył Czarnoksiężnika wyjątkowo obmierzłym uśmiechem. – Gdyby nie powiodło się za pierwszym razem...

– Akrobacje spadochronowe to nie dla pana.

– Co proszę?

– Nieważne, taki żart. Fakt, trzeba coś mieć w zapasie. Skoro i tak pan się nad tym napracuje, może pan równie dobrze dać mi całą garść pigułek.

– Co pan powie o trzech?

– W porządku.

Doktor Sydney zapisał cyfrę w notesie.

– Mogę spytać, czy gonią pana terminy, panie Harveyu?

– Powiedzmy, że zależy mi na czasie, ale bez pośpiechu.

– O mój Boże, ładnie powiedziane; oj, jak ładnie, w rzeczy samej. Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy... Co nagle to po diable. – Doktor Sydney wstał i spojrzał na Czarnoksiężnika. – Oby wszyscy w „Kwaszarni” pracowali tak jak pan, panie Harveyu. Pan Bissell na ogół chce mieć wszystko na wczoraj. Jeśli uda się panu znowu do mnie zajść, powiedzmy, za jakieś cztery dni, być może już będzie miał to, czego pan potrzebuje.

Leo Kritzky przypinał właśnie zdjęcia do ściany, kiedy Dick Bissell wkroczył wraz ze swoim kubańskim oddziałem specjalnym do centrum dowodzenia, mieszczącego się na parterze w Oku Kwatery.

– Jak to się zapowiada? – zapytał Bissell.

Założył na nos okulary w ciemnych oprawkach i kiwając się na piętach, zaczął przyglądać się z uwagą czarno-białym powiększeniom. Zrobione z wysokości ponad dwudziestu tysięcy metrów podczas wczorajszej misji U-2 nad południowym wybrzeżem Kuby, ukazywały coś, co przypominało długi pas plaży, zajętej częściowo przez małe domki letniskowe, ustawione w grzecznych rzędach.

– To wygląda nawet lepiej niż Trinidad – powiedział Leo.

Bissell wskazał swoim ludziom drewniane krzesła i skinął głową.

– Przedstawisz nam to dokładniej?

– To, co tu widzicie, to Bahía de Cochinos, Zatoka Świń. Piaszczysty pas lądu, długi na jakieś pięćdziesiąt kilometrów i szeroki na sześć. Z jednej strony mamy Morze Karaibskie, a z drugiej bagna Zapata, praktycznie nie do przebycia z powodu kolczastych zarośli, których długie ciernie tną skórę jak masło, trujących krzewów *guao* i jadowitych węży, że nie wspomnę już o *cochinos cimarrones*, żarłocznych, niegardzących ludzkim mięsem dzikich świniami, od których zatoka wzięła nazwę.

– Brzmi jak opis wzgórza Kapitolu – ktoś zażartował.

– Przez bagna Zapata prowadzą trzy drogi, trzy groble – Leo dotknął zdjęcia wskaźnikiem – przerzucone ponad grzędzawiskiem.

– Jest wojsko? Czy Castro trzyma tam jakieś oddziały? – zapytał Bissell.

Leo pokazał na coś, co wyglądało jak cztery długie, niskie budowle. Obiekt znajdował się na skraju niebrukowanej drogi za miastem Girón, na które składało się kilkadziesiąt drewnianych domów, rozrzuconych na niewielkiej przestrzeni wzdłuż głównej ulicy.

– Tu widzicie koszary, w których stacjonuje około stu milicjantów z trzysta trzydziestego ósmego batalionu. Zwróćcie uwagę na anteny na trzecim budynku. To prawdopodobnie barak z radiostacją. Tutaj mamy powiększenie parkingu. Odczytaliśmy tablice rejestracyjne i stąd wiadomo, że to milicyjne ciężarówki. Dokładnie siedem. Żadnych wojsk pancernych, żadnej artylerii.

E. Winstrom Ebbitt, którego ściągnięto ostatnio do centrali w charakterze zastępcy Bissella do spraw logistyki i planowania, pochylił się mocniej do przodu. Ci, którzy dobrze znali Ebby'ego, wiedzieli, że żywił poważne obawy co do powodzenia operacji JMARC, ale starał się unikać jawnej konfrontacji z Bissellem i jego bojowym sztabem planowania z ostatniego piętra.

– Wygląda na to, że koszary ciągną się dużo dalej. Widzisz to, Leo? Tam, na dole... Nie, bardziej w lewo, na północ od drogi, która biegnie równoległe do plaży.

– Nie. To zwykłe zabudowania mieszkalne, tak przynajmniej twierdzą nasi eksperci od fotografii – odparł Leo. – Robotnicy budujący bungalowy w kurorcie Playa Girón – wskazał na grzeczne rzędkie jednoizbowych domków – mieszkają tutaj. Tu też możecie odczytać tablice rejestracyjne na dżipach, wywrotkach i dwóch koparkach, stojących na polu na tyłach zabudowań. To teren cywilny. Ten barak przy molu, z szyldem „U Blanco”, jest zapewne miejscową jadłodajnią. Te dwa pomosty wydają się w dobrym stanie. Jeden jest z betonu, drugi z drewnianych pali i desek. Pomiedzy nimi znajduje się coś w rodzaju niewielkiej przystani; zdaje się, że jest tam na tyle głęboko, że można przycumować desantowiec. Zauważono śladowe ilości wodorostów, ale nie powinny sprawiać poważniejszych problemów. Moi ludzie przygotowują wykresy przyptyków i odpływów...

– Interesuje mnie lotnisko – przerwał mu Bissell.

– Pas startowy to dar niebios, chyba nie muszę o tym mówić – powiedział Leo i przesunął wskaźnikiem po linii, biegnącej ukosem na lewo od Girón. – To piper, zaparkowany obok wieży kontroli lotów. Opierając się na tym szczególnie, obliczyliśmy długość całego pasa. Wystarczy dla B-26, a to oznacza, iż począwszy od dnia D, wszyscy będą przekonani, że naloty odbywają się z terytorium Kuby. A kiedy już zdobędziemy przyczółek i wyładujemy paliwo, maszyny faktycznie będą mogły startować z tego pasa.

– Co na to szefowie sztabów? – ktoś zapytał.

– Przesłaliśmy im to wczoraj w nocy – zameldował Leo. – Mówią, że wygląda nieźle.

– Ale nie tryskali entuzjazmem – zauważył Ebby.

– To nie jest operacja szefów sztabów – uciął Bissell. – Dlatego wolą zachować dystans. Nie oczekujcie, że przyjmą jednoznaczne stanowisko. W ten sposób jeżeli JMARC nie wypali, będą mogli powiedzieć „a nie mówiliśmy?”.

– Lubię groble – odezwał się nagle jeden z wojskowych planistów Bissella, pułkownik piechoty morskiej oddelegowany do Firmy na użytek kubańskiego projektu. – Jeśli brygadzie uda się zdobyć i utrzymać pozycje na plaży, oddziały Castro znajdą się w potrzasku, odcięte na groblach, a B-26 będą do nich strzelać jak do kaczek.

Ebby potrząsnął głową.

– Jest jeden minus tej waszej Zatoki Świń – zwrócił się do Leo. – Stracimy możliwość przejścia do ofensywy partyzanckiej, jeśli coś pójdzie nie tak.

– A to dlaczego? – ktoś spytał.

Ebby podszedł do wielkiej mapy, wiszącej na sąsiedniej ścianie.

– Trinidad leży u stóp Sierra Escambray. Z Zatoki Świń do podnóża gór jest jakieś – odmierzył odległość palcami i porównał ze skalą – sto trzydzieści kilometrów przez nieprzebyte bagna. Jeśli B-26 nie przegonią Fidela z grobli, brygada nie przedrze się w głąb wyspy. Zostanie uwięziona na plaży.

– Ale jest też plus twojego minusa – powiedział Bissell. – Będą mieli bliżej do Hawany, kiedy brygada sforsuje pierwsze punkty oporu.

– Jeżeli naloty nie zniszczą oddziałów pancernych Castro, nasi chłopcy będą mieli odcięty odwrót – upierał się Ebby.

Bissell zachnął się.

– Brygada nie będzie potrzebowała drogi odwrotu.

– Sprawy mogą przybrać zły obrót...

– Przy brzegu będzie zacumowany lotniskowiec – zapewnił Bissell. – Jak nie dadzą rady z powietrza, podeślemy im posiłki. Tak czy inaczej, armia kubańska zostanie rozbita.

– Kennedy podkreślił w obecności dyrektora Dullesa, że nie podpisze się pod jawną amerykańską interwencją – stwierdził Leo stanowczym głosem.

– Jak przyjdzie co do czego – przerwał mu Bissell – będzie musiał.

Wstał i przeszedł się kilka kroków.

– Podoba mi się to, Leo. Nie licząc garstki milicji i robotników, teren jest prawie niezamieszkały, a Kennedy żądał od nas dyskrecji. A teraz, panowie, wracajmy za biurka. Opracujmy szczegółowy grafik całej operacji. Desant planujemy na początek kwietnia w Zatoce Świń. A co do partyzantki, to nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy poruszać tę sprawę podczas kolejnego spotkania z prezydentem.

Kucając przy biurowym sejfie tak, żeby zasłonić sobą szyfr, doktor Sydney przekreślił tarczę i otworzył ciężkie drzwiczki. Wyjąwszy ze środka metalowe pudełko, postawił je na biurku. Z kieszeni laboratoryjnego fartucha wyciągnął kluczyk, włożył go do zamka yale i uchylił wieczko. Wewnątrz, obłożona styropianem, spoczywała niewielka fiolka, do połowy napełniona pigułkami, łudząco przypominającymi aspirynę Bayera. Doktor Sydney wyjął buteleczkę i położył ją na stole.

– Wygląda jak zwyczajna aspiryna, nieprawdaż, panie Harveyu? – powiedział z dumą. – W rzeczywistości trzy z tych tabletek to właśnie aspiryna.

– Skąd sprawca będzie wiedział, które są te szczególne? – spytał Torriti.

– To dziecinnie łatwe – odparł doktor Sydney.

Zdjął zakrętkę, wysypał zawartość fiolki na bibułę i szpatułką porozsuwał pastylki.

– Proszę spróbować. Niech pan sam zobaczy, czy można je odróżnić – zachęcał.

Czarnoksiężnik nałożył okulary i zaczął grzebać palcami w tabletkach. Po chwili potrząsnął głową.

– Cholera, jak dla mnie to one są identyczne.

– Tak właśnie zareaguje celnik albo policjant – zgodził się doktor Sydney.

Pochylił się nad bibułą.

– Ale jeżeli się pan uważnie przyjrzy pigułkom, zauważy pan, że na trzech z nich słowo „Bayer” zostało zmienione na „Bayar”. – Szef Sekcji Służb Technicznych oddzielił trzy tabletki od pozostałych. Torriti wziął jedną, starannie obejrzał i dostrzegł wypisane na niej słowo „Bayar”.

– Tabletką, którą pan trzyma, podobnie jak jej dwie towarzyszki, zawiera botulinę, którą osobiście przetestowałem na trzech małpach. Wszystkie zdechły w ciągu paru minut. Truciznę otrzymałem z zapasów Korpusu Broni Chemicznej w Fort Detrick w Marylandzie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan się dowiedział, iż dostałem od nich partię broni biologicznej. Zaproponowali mi bakterię *Francisella tularensis*, która wywołuje tularemię, znaną panu zapewne jako „gorączka królicza”. Zaoferowali mi też *brucellae*, które powodują brucelozę. Och, miałem w czym wybierać, mówię panu. Mogłem mieć gruźlicę albo wąglika, albo ospę wietrzną, mogłem mieć *encephalitis lethargica*, bardziej znaną jako śpiączka. Ale wolałem trzymać się starej, sprawdzonej botuliny, wywołującej paraliż mięśni dróg oddechowych i śmierć przez uduszenie. Jest parę rzeczy, na które chciałbym pana uczulić. Te szczególne aspiryny

nie powinny się znaleźć we wrzących płynach – mam na myśli zupę, kawę czy herbatę. Mogą być rozpuszczone w wodzie, piwie, winie...

– A w koktajlach mlecznych?

– Tak, tak, koktajl byłby idealny. Ale muszę pana ostrzec, że moc truczizny nie trwa wiecznie.

– Ile mam czasu?

– Zalecałbym, aby moje małe skarby zostały wykorzystane w ciągu trzech miesięcy. Jeśli sprawa będzie się przeciągać, zaistnieje ryzyko, że pigułki staną się niestabilne – mogą się rozpaść panu w rękach, nim zdąży je pan wrzucić do szklanki, mogą stracić swoją moc i spowodują jedynie silne skurcze żołądka.

– Odwalił pan kawał roboty – powiedział Czarnoksiężnik.

Ostrożnie wrzucił tabletkę z napisem „Bayar” z powrotem do buteleczki.

– Jeszcze coś powinienem wiedzieć, doktorze?

– Niech pomyślę... Ach, tak, panie Harveyu, jest pewien drobiazg... Proszę umyć dokładnie ręce, zanim zasiądzie pan do lunchu.

Wlokąc się w żółwym tempie, przestronna winda towarowa sunęła w górę, na drugie piętro składu celnego przy Printer’s Row w Chicago, na południe od Loop. Przez stalowe kraty nad głową Czarnoksiężnik mógł obserwować olbrzymi kołowrotek, powoli nawijający kabel. Szpetny windziarz kilkoma szarpnięciami zatrzymał dźwig na poziomie podłogi. Dwaj ludzie Giancany, ubrani w szare kombinezony z napisem „Southside Gym” na piersi, otworzyli podwójne zakratowane drzwi, jakby odsuwali kurtynę w teatrze, i Torriti wytoczył się z windy do największego pokoju, jaki kiedykolwiek widział. Nie licząc ustawionych pod ścianą kilkuset skrzynek z alkoholem, opieczętowanych napisem „Duty Free”,

pomieszczenie było prawie zupełnie puste. W najdalszym kącie sali, niby na drugim końcu boiska, a przynajmniej w podobnej odległości, jak ocenił na oko Czarnoksiężnik, za jedynym w polu widzenia meblem, ogromnym stołem, który dawniej mógł służyć do cięcia tkanin, siedział Mooney Giancana. Przez brudne okno za jego plecami przeświecały promienie słońca, delikatne i wątle jak nitki babiego lata. Kilku mężczyzn w sportowych marynarkach z watowanymi ramionami podpierało żelazne słupy, gapiąc się w stojący na stole telewizor.

Przy windzie jeden z goryli Giancana wyciągnął pudełko po butach i gestem podbródka wskazał tors i łydkę Czarnoksiężnika. Torriti rozbroił się bez słowa i odłożył oba pistolety do pudełka.

– Twoje chłopaki mają zamiar odstawić tu całą odprawę celną? – zapytał z grymasem irytacji na twarzy.

Jeden z atletów z Southside wziął na serio to pytanie.

– Co się pan rzucasz? Taka praca.

Znad stołu rozległ się głos Mooneya.

– Chodź tu, do cholery! Kennedy składa przysięgę w telewizji.

Czarnoksiężnik przespacerował się na drugi koniec sali. Giancana, nie wyjmując z ust hawańskiego cygara i nie odrywając od ekranu ukrytych za ciemnymi okularami oczu, wskazał mu krzesło obok siebie. Goryl usłużnie nalał szampana do plastikowych kubków i wręczył jeden Torritiemu.

– Świątujesz coś, Mooney? – zapytał Czarnoksiężnik.

– A żebyś, kurwa, wiedział, że tak. Świątuję przeprowadzkę Kennedy’ego do pieprzonego Białego Domu – zarechotał Giancana, a jego osiłki mu zawtórowały.

W telewizji Kennedy, z gołą głową, ubrany w elegancki frak, stał na podium i wygłaszał przemówienie inauguracyjne tym swoim rozwlekłym,

nosowym głosem, który Torriti rozpoznał natychmiast. „Niech słowo niesie się od tej chwili i z tego miejsca do naszych przyjaciół i wrogów...”

– Kto by pomyślał, że dzieciak Joego zostanie prezydentem? – westchnął jeden z ochroniarzy.

– Ja, kurwa, pomyślałem – powiedział Giancana.

„...urodzony w tym stuleciu, ukształtowany przez wojnę, zdyscyplinowany przez twarde i gorzki czas pokoju...”

– Za pieprzonego Jacka – wznosił toast plastikową szklanką. – *Salute*.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się polityką – rzucił Czarnoksiężnik z kamienną twarzą.

– Robisz sobie ze mnie, kurwa, jakieś żarty – odparł Giancana. – Głosowałem na skurwysyna. Setki razy. Można powiedzieć, że prowadziłem jego kampanię. Gdyby nie ja, nie byłby teraz w tym pieprzonym Białym Domu.

„...każdy naród wie, niezależnie od tego, czy życzy nam dobrze, czy źle, że zapłacimy każdą cenę...”

– Pozyskiwałeś dla niego głosy – powiedział Czarnoksiężnik.

Giancana spojrzał z ukosa na Torritiego.

– Masz, kurwa, rację, pozyskiwałem. Pozyskałem tyle głosów, że wygrał w Illinois.

„...wspierać każdego przyjaciela, walczyć z każdym wrogiem, zapewnić przetrwanie i triumf wolności”.

– Dostyc tych bzdur – warknął Giancana.

– Chcesz, żebym to wyłączył, Mooney? – zapytał jeden z osiłków.

– Wyłącz dźwięk, zostaw sam obraz. – Giancana obrócił się na krześle, żeby usiąść przodem do Torritiego. – A więc co cię sprowadza do naszego

pięknego miasta?

– Zwiedzam. – Czarnoksiężnik zerknął na przytwierdzone do stołu cztery skórzane obroże dla psów, zastanawiając się, do czego mogą służyć. – Powiedziano mi, że warto zobaczyć jezioro Michigan.

Giancana zarechotał.

– Widziałem je już tyle razy, że kiedy na nie patrzę, to go, kurwa, nie zauważam.

Torriti zerknął wymownie w pusty kubek.

Giancana wybuchnął:

– Na litość boską, macie mu, kurwa, dolewać, z a n i m o to poprosi! Gdzie się wychowaliście? Na śmietniku?

Jeden z goryli wstał, podszedł chwiejnym krokiem i napełnił szklanekę Czarnoksiężnika. Torriti wychylił szampana, jakby to była woda, i wyciągnął rękę z kubkiem po dolewkę.

– Mógłbyś...? – Skinął głową w kierunku bandziorów, przysłuchujących się ich rozmowie.

– Zostawcie tę pieprzoną butelkę i wynoście się stąd – rozkazał Giancana.

Mężczyźni wycofali się na drugi koniec składu.

– Są jakieś postępy w naszej sprawie? – zapytał Torriti.

– Tak, można tak powiedzieć. Mam gościa, który pracuje w hotelu „Libre” w Hawanie. Dokładniej w kawiarni. Castro raz, dwa razy w tygodniu przychodzi tam na koktajl mleczny.

– Jak nazywa się twój przyjaciel?

Giancana przewrócił oczami.

– Nie bądź takim pieprzonym mądralą.

Torritiemu przyszło nagle do głowy, że obroże służą do przywiązywania za ręce i nogi rozmaitych mądrali, i oczami wyobraźni ujrzał swoje ciało rozciągnięte plackiem na stole.

– Powiedz przynajmniej, dlaczego chce wziąć tę robotę...

– Jest mi winien przysługę.

– To dopiero musi być przysługa.

Giancana błysnął okrutnym uśmiechem.

– Tylko dzięki przysługom świat się jeszcze kręci. – Zaciągnął się cygarem, wypuścił w powietrze idealne kółko dymu, potem drugie, i zachichotał z zadowolenia. – No to jak, masz ten alka seltzer?

Torriti wyjął z kieszeni marynarki fiolkę z aspiryną.

– W tej flaszeczce są trzy aspiryny. Każda może zabić słonia.

Giancana nie spuszczał wzroku z buteleczki, pykając w zamyśleniu cygaro.

– Skąd ten gość w Hawanie będzie wiedział, które są przyprawione?

Torriti opowiedział mu o zamianie litery w słowie „Bayer”.

Twarz Mooneya wykrzywiła się w uśmiechu.

– W porządku – rzekł. – Umowa stoi.

Czarnoksiężnik podniósł się z krzesła.

– To kiedy ktoś się tym zaopiekuje?

Szef chicagowskiej mafii odwrócił się do Kennedy’ego w telewizorze.

– Znałem kiedyś faceta, który umiał czytać z ust, chociaż wcale nie był głuchy – odrzekł. – Powiedział mi, że nauczył się tego na wypadek, gdyby kiedyś ogłuchł. Morał z tego taki, że powinno się wszystko planować na zapas. – Znowu spojrzął na Torritiego. – Tak jak ci mówiłem w Miami, takich spraw nie załatwia się w pośpiechu. Najpierw muszę wysłać aspirynę

do Hawany. Potem muszę zorganizować motorówkę, która zabierze mojego przyjaciela, kiedy będzie już po wszystkim. A potem będziemy czekać na odpowiednią chwilę.

– To ile czasu potrzebujesz?

Giancana zachichotał nerwowo.

– Ty mi powiedz, kiedy byłoby najlepiej dla twoich przyjaciół z Wall Street?

– Mamy dwudziesty styczeń – odparł Torriti. – Powiedzmy, że do dziesiątego kwietnia powinieneś się upewnić, czy twój przyjaciel zechce ci oddać tę przysługę.

– Dziesiąty kwietnia – powtórzył Giancana. – To powinno się udać.

Philip Swett wrócił z oficjalnego lunchu z Jackiem Kennedym wielce z siebie zadowolony. To było kameralne spotkanie w przytulnej jadalni na pierwszym piętrze prywatnych apartamentów prezydenta. Przyłączyli się do nich Dean Rusk, sekretarz stanu Kennedy’ego, i McGeorge Bundy, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Dyrektor CIA Allen Dulles, który cały rano naradzał się z Bundym i jego sztabem w podziemiach Białego Domu, został zaproszony w ostatniej chwili, kiedy Kennedy dowiedział się, że wciąż jeszcze przebywa w budynku. Pełniąc rolę gospodarza przy stole zastawionym lekkim lunchem – szynka wirginijska, mizeria i białe wino – Kennedy skorzystał z okazji, aby publicznie podziękować Swettowi za wysiłek włożony w zbieranie funduszy.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że chciałby kupić mi wygraną w wyborach – zażartował Jack. – Ale jednocześnie kategorycznie odmawiał opłacenia walnego zwycięstwa i dlatego wygrałem minimalną ilością głosów. Ale żarty na bok... Naprawdę bardzo mi pomogłeś, Phil.

– Proszę mi wierzyć, panie prezydencie – odparł Swett – że wielu ludzi, ze mną włącznie, śpi teraz spokojniej, wiedząc, że to pan, a nie Nixon, dzierży ster rządów w kraju.

Przy kawie i miętówkach rozmowa zeszła na temat Kuby. Rusk zdał prezydentowi relację z nocnej depechy z Moskwy: oficer polityczny ambasady amerykańskiej dowiedział się od radzieckiego dziennikarza, który pozostawał w bliskich kontaktach z Politbiurem, że Chruszczow w odpowiedzi na jawną napaść Amerykanów na Kubę zamknie drogi dojazdowe do Berlina i zbuduje wielki mur, żeby oddzielić Niemcy Wschodnie i Zachodnie. Kennedy spoważniał i sparafrazował pierwszy wers *Ziemi jałowej* T.S. Eliota:

– Tak czy inaczej, najokrutniejszym miesiącem będzie kwiecień.

– Fidel Castro przekona się, o ile w ogóle będzie mógł to zobaczyć, że Zatoka Świń stanie się jego Waterloo. Obiecuję to panu, panie prezydencie – powiedział Dulles tubalnym głosem.

Kennedy zaszczylił go chłodnym uśmiechem.

– Ty, Allenie, i Bissell kontrasygnowaliście ten czek.

McGeorge Bundy wymienił spojrzenie z prezydentem i nieznacznie skinął głową w kierunku Swetta. Kennedy zrozumiał i zmienił temat.

– Czy ktoś z tu obecnych czytał powieść Hellera *Paragraf 22*? Wydaje mi się, że to najlepsza książka o wojnie. Jest tam bohater, Yossarian, który postanawia żyć wiecznie albo zginąć.

Oddalając się od Białego Domu w rozpędzonej limuzynie, Swett rozsiadł się wygodnie i zapalił cygaro, które Kennedy włożył mu po lunchu do kieszonki na piersiach. Dostrzegł ostrzegawczy gest Bundy’ego, kiedy była mowa o Kubie. Ale i bez tego zrozumiał, że słyszał rzeczy, które nie były znane przeciętnemu zjadaczowi chleba w stolicy. Na miłość boską, jego

własny zięć, od lat pracujący w CIA, nie miał zielonego pojęcia o tym, co szykują Bissell z Dullesem. Ale Swett potrafił kojarzyć fakty: któregoś dnia „najokrutniejszego miesiąca” kwietnia Kubańczycy wyszkoleni i uzbrojeni przez CIA wylądują w miejscu znanym jako Zatoka Świń. „O ile w ogóle będzie mógł to zobaczyć”! Swett, otulony mgiełką wonnego dymu, zachichotał triumfalnie. Oczywiście! Jak mógł to przeoczyć? Dulles i jego ludzie byliby ostatnimi frajerami, gdyby wpierrw nie pozbyli się Castro!

A niech to, ludzie z „Kwaszarni” bywają różni, pomyślał Swett. Ale, nie licząc jego zięcia, na pewno nie są frajerami.

WASZYNGTON, DC, SOBOTA, 11 LUTEGO 1961

Eugene, który całe popołudnie rozwoził alkohol, postanowił jechać prosto do Bernice, nie wstępując po drodze do swojej kawalerki nad sklepem. Zaparkował kombi Maxa przy bocznej uliczce w Georgetown, zamknął drzwiczki i ruszył w dół Wisconsin na spotkanie dziewczyny. Wyczuł, że coś jest nie tak, gdy tylko skręcił w Whitehaven. Była dziewiąta dwadzieścia, osiedlowa uliczka zwykle o tej porze świeciła pustką. Tym razem jednak wręcz roiło się na niej od ludzi. Mężczyzna i kobieta, opatuleni w budrysówki, rozmawiali na ganku kamienicy, *vis-à-vis* budynku, w którym mieszkała Bernice. Z daleka wyglądali na parę zakochanych, godzących się po jakiejś kłótni. Starszy pan, którego nigdy tu przedtem nie widział, spacerował z psem na smyczy. Nieco dalej Eugene minął białą furgonetkę z napisem: „Slater & Slater RADIO-TV”, zaparkowaną obok hydrantu pożarowego. Po co panowie Slater miałiby zostawiać swój samochód na całą noc przy hydrancie, skoro w bocznych uliczkach, przyległych do Wisconsin, było mnóstwo wolnych miejsc? Nieco dalej, niedaleko skrzyżowania z Trzydziestą Siódmą Ulicą, wypatrzył szarego forda, ustawionego tyłem do podjazdu. W jasnym świetle ulicznych lamp dojrzał dwie ciemne sylwetki na przednim siedzeniu i długą antenę, wystającą z bagażnika. Kątem oka zerknął na okna mieszkania na drugim piętrze po przeciwnej stronie ulicy. Wewnątrz paliło się światło, co było dziwne, bo zawsze kiedy Bernice spodziewała się jego wizyty, w pokoju płonęły tylko nastrojowe świeczki.

Idąc w dół Whitehaven, słyszał echo własnych kroków, spotęgowane w mroźnym, nocnym powietrzu. Z wysiłkiem zdusił dławiący go paniczny strach. Przypominał sobie, czego uczyli go w lasach pod Bałaszyczą: „Ludzie niewinni zachowują się jak niewinni” – nie puszczają się biegiem, kiedy zwietrzą niebezpieczeństwo. Dobrze, że był ostrożny i zaparkował samochód, z a n i m wjechał w Whitehaven. Jeżeli agenci FBI obserwują mieszkanie Bernice, z pewnością spodziewają się tu furgonetki Maxa. Dobrze też, że nie przeszedł na drugą stronę ulicy. To zasieje w nich ziarno niepewności. Nie będą ryzykować i zatrzymywać nie tego człowieka, co trzeba... Ten właściwy w każdej chwili mógłby wyjść zza rogu i zorientować się, że dom jest pod obserwacją.

Opanowując się całą siłą woli, Eugene naciągnął na oczy wełnianą czapkę, wtulił brodę w podniesiony kołnierz i szedł dalej przed siebie. Minął mężczyznę z psem, okna mieszkania Bernice, parę godzących się kochanków, szary samochód ze sterzącą z bagażnika anteną... Czuł na sobie spojrzenia siedzących w fordzie ludzi, zdawało mu się, że słyszy szumy i trzaski włączanego radia. Na rogu skręcił w prawo i skierował się w dół Trzydziestej Siódmej Ulicy. Za skrzyżowaniem z Calvert poszedł wzdłuż Wisconsin i wreszcie dotarł do „Peoples Drugstore”, gdzie często chodzili razem z Bernice, kiedy zgłodnieli po erotycznych ekscesach.

Popychając drzwi, Eugene pomachał do stojącego za ladą Greka.

– Hej, Lukas, jak leci?

– Nie narzekam. Gdzie twoja pani?

– Odsypia.

Greki uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Chcesz, żebym ci przygotował coś do jedzenia?

Eugene od lunchu nie miał nic w ustach.

– Może sadzone na bekonie, smażone z dwóch stron, i kawę...

– Smażone z dwóch stron, bekon, już podaję – powtórzył Lukas.

Eugene podszedł do telefonu na ścianie *vis-à-vis* toalet. Wrzucił dziesięciocentówkę i wykręcił numer Bernice. Może zaczyna popadać już w paranoję? Przypomniawszy sobie zszargane nerwy Philby'ego. Z drugiej strony za nic nie chciałby skończyć jak ten radziecki pułkownik, z którym spotkał się w ogrodzie botanicznym na Brooklynie, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Ameryki w 1951 roku. Informacje o aresztowaniu Rudolfa Abła przez FBI sześć lat temu znalazły się na pierwszych stronach gazet w całym kraju i sprawiły, iż Eugene'owi przebiegł dreszcz po plecach – gdyby pułkownik nie miał tego szczęścia, że wymieniono go na schwytanego przez Rosjan amerykańskiego szpiega, spędziłby resztę życia w więzieniu.

Telefon dzwonił i dzwonił. To także było dziwne; przecież skoro wiedziała, że ma do niej przyjść, a on nie zjawił się na czas, powinna od razu podnieść słuchawkę. Po siódmym sygnale wreszcie odebrała.

– Halo – powiedziała.

– Bernice?

– To ty, Eugene? – przemówiła jakby z wysiłkiem.

Nastąpiła chwila ciszy, której nie chciał przerywać.

– Gdzie jesteś? – spytała.

– Zatrzymałem się, żeby zatankować. Wszystko w porządku?

Zaśmiała się histerycznie.

– Pewnie, że wszystko w porządku. Jak nigdy. – Nagle ryknęła do słuchawki: – Uciekaj, kochanie! Przyskrzynili Maxa. Znaleźli twoje rzeczy w ubikacji...!

Dobiegły go odgłosy szamotaniny. Bernice krzyknęła z bólu. W słuchawce rozległ się męski głos. Mówił szybko, próbując przekazać wiadomość, zanim połączenie zostanie przerwane.

– Dla twojego własnego dobra, Eugene, nie rozłączaj się. Możemy zawrzeć pewien układ. Wiemy, kim jesteś. Nie uciekniesz daleko. Nie zostaniesz aresztowany, jeśli zaczniesz z nami współpracować, jeśli przejdziesz na naszą stronę. Możemy ci dać nową toż...

Eugene wściekle przycisnął palcem guzik, ucinając rozmowę w pół zdania. Potem powiedział „pieprz się, frajerze” do głuchego telefonu, który z pewnością był na podsłuchu. Pewnie właśnie ustalali, skąd dzwonił. Przy kasie wyciągnął z portfela banknot, a z kieszeni ćwierć dolara i położył to wszystko na ladzie.

– Coś mi wypadło, Lukas – mruknął.

– U mnie nie płaci się za coś, czego się nie zjadło – zaprotestował Grek, ale Eugene nie zabrał pieniędzy. – Następnym razem zjesz swoje sadzone, smażone z dwóch stron, na koszt firmy...

– Będę pamiętał – odparł Eugene i zamknął za sobą ciężkie drzwi.

Na zewnątrz noc wydała mu się nagle jeszcze mroźniejsza niż przedtem. Wstrząsnęły nim dreszcze. Nie będzie następnego razu, pomyślał. Wszystko, czym dotąd żył, legło w gruzach – Max, Bernice, pokój nad sklepem i Eugene Dodgson... Ścieżki jego życia znów zaczęły się rozwidlać. Nawet kombi Maxa do niczego mu się już więcej nie przyda.

Przyspieszył kroku. Musiał wszystko sobie przemyśleć, poukładać. Tu nie ma miejsca na omyłkę. Minął go autobus i zatrzymał się na rogu. Eugene zerwał się do biegu. Kierowca musiał go widzieć w bocznym lusterku, bo trzymał otwarte drzwi i młody człowiek zdążył jeszcze

wskoczyć. Z trudem łapiąc oddech, podziękował, zapłacił za bilet i przeszedł do tyłu.

Spojrzał w górę na reklamy. Jedna z nich, przedstawiająca dwa miętowe batoniki, przypomniała mu bliźniaczki z Jasienowa, Serafimę i Agrypinę, które dzień po dniu wbijały mu do głowy dwie legendy, dwa życiorysy: Eugene'a Dodgsona, człowieka, w którego wcielił się z chwilą przybycia do Ameryki, i Gene'a Lutwidge'a, który miał mu służyć za przykrywkę w razie kłopotów. „Musisz zrzucić swoją prawdziwą tożsamość – tłumaczyła Serafima – tak jak wąż zrzuca skórę”.

Tylko nowa skóra może go uratować przed losem pułkownika Abła.

Ale jak FBI wpadło na trop Eugene'a Dodgsona? Max Kahn, schodząc do podziemia, zerwał wszelkie kontakty z partią. Mimo to mógł przez przypadek wpaść na jakiegoś starego kumpla albo zatelefonować do któregoś z dawnych przyjaciół, żeby podtrzymać znajomość. Osoba, z którą się skontaktował, mogła być informatorem FBI albo linia była na podsłuchu. A kiedy już przyczepili się do Maxa, nabrali podejrzeń co do Bernice i Eugene'a; zrobili im zdjęcia ze swojej furgonetki przez małą dziurkę w „O” w słowie RADIO i przy pierwszej lepszej okazji przeszukali mieszkanie Bernice i jego kawalerkę nad sklepem.

„Znaleźli twoje r z e c z y w ubikacji!” – krzyknęła Bernice, zanim odciągnęli ją od słuchawki. Odkrycie szpiegowskiego sprzętu Eugene'a – anteny, motoroli, przeglądarki mikrofotografii, szyfrów, skrzętnie owiniętych plików banknotów – musiało wzmóc czujność agentów federalnych. Na pewno zdali sobie sprawę, że natknęli się na głęboko zakonspirowanego radzieckiego agenta, działającego tuż pod ich nosem. Przyjęli, że Max, Bernice i Eugene byli częścią rozgałęzionej siatki wywiadowczej. Najprawdopodobniej postanowili, że nie aresztują ich od razu, w nadziei, że przez nich dotrą do reszty. Może nawet sam J. Edgar

Hoover osobiście nadzoruje tę operację, choćby po to, żeby sobie przypisać zasługę ujęcia niebezpiecznych szpiegów. A jeśli szpiedzy ze sklepu monopolowego „U Kahna” nie doprowadziliby FBI do nikogo – Max i Bernice nie mieli żadnych podejrzanych kontaktów, a Eugene nie spotykał się z SASZĄ od tygodni – Hoover musiałby ich zamknąć. Wtedy mógłby ich złamać, napuścić na siebie nawzajem za pomocą gróźb, propozycji współpracy lub obietnicy nietykalności. Czysty przypadek sprawił, że Eugene nie wpadł w zastawioną pułapkę. A Bernice, odważna do końca, zdołała go ostrzec. Teraz list gończy z podobizną Eugene’a Dodgsona obiegnie cały Waszyngton. Fotografie ukążą nieogolonego, przygarbionego mężczyznę z długimi włosami, tuż po trzydziestce. Lokalna policja będzie obserwować stacje kolejowe, dworce autobusowe i lotniska; wymachując jego zdjęciem przed zaspanymi oczami nocnych portierów, agenci FBI będą przeszukiwać motele i domy noclegowe. Jeżeli Eugene zostanie zatrzymany, specjaliści od daktyloskopii porównają jego odciski palców z materiałem zebrany w kawalerce nad sklepem Kahna. O aresztowaniu, podobnie jak kiedyś o sprawie pułkownika Abla, będą pisać na pierwszych stronach amerykańskich gazet.

Eugene już dawno temu opracował sobie plan działania na wypadek, gdyby jego legenda została spalona. Na czarną godzinę ukrył w mankietach spodni dziesięć pięćdziesięciodolarowych banknotów, złożonych na pół i jeszcze raz wzdłuż, a potem zaprasowanych żelazkiem. Za te pięć setek utrzyma się przy życiu, dopóki nie nawiąże kontaktu z rezydentem w sowieckiej ambasadzie. Najważniejsze teraz było znalezienie jakiegoś schronienia. Musi gdzieś przeczekać tę noc. Rano, kiedy w mieście jest tłoczno od spieszących do pracy ludzi, wmiesza się w tłum, może w grupkę turystów. Po południu wybierze się na film i odzyska skrzynkę, którą schował w uliczce na tyłach kina. Tylko wtedy będzie mógł powiadomić

rezydenta, a za jego pośrednictwem Dziadka, że został zdemaskowany, a szyfry wpadły w ręce FBI.

Dwukrotnie przesiadając się do innego autobusu, Eugene dotarł na New York Avenue. Kiedy przemykał bocznymi uliczkami na tyłach pętli autobusowej, zauważył kilka prostytutek, skulonych w bramach i przytupujących z zimna.

– Chłodna noc – zagadnął niską, pulchną blondynkę w butach na wysokich obcasach, wytartym płaszczu z wystrzępionym futrzanym kołnierzem i peruwiańskich rękawiczkach z jednym palcem. Wyglądała na siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat.

Dziewczyna uszczypnęła się w policzki, aby dodać sobie rumieńców.

– Mogę cię rozgrzać, złotko – odparła.

– Jak bardzo uderzy mnie to po kieszeni?

– Zależy, na co masz ochotę. Chcesz się pieprzyć na chybcika czy wolisz wybrać się w podróż dookoła świata?

Eugene zdobył się na słaby uśmiech.

– Zawsze lubiłem podróżować.

– Bilet kosztuje pół stowy. Nie pożałujesz, złotko.

– Jak masz na imię?

– Iris. A ty?

– Billy. Tak jak Billy Kid. – Wyciągnął z kieszeni marynarki zwinięty banknot i wsunął go za ściągacz peruwiańskiej rękawiczki. – Dostaniesz drugie tyle, jeżeli będę mógł zostać z tobą do rana.

Iris wzięła Eugene'a pod rękę.

– Umowa stoi, Billy Kid.

Pociągnęła go w dół ulicy i zaprowadziła do swojego mieszkania na ostatnim piętrze bez windy, o jedną przecznicę dalej.

Podróż dookoła świata w wykonaniu Iris okazała się mniej lub bardziej rutynowym spółkowaniem, suto okraszonym szeptanymi do ucha czułymi słówkami, które brzmiały jak zacięta płyta winylowa („O mój Boże, jesteś taki duży... Och, kochanie, nie przerywaj”, itd.). Jednak prostytutka miała jeszcze inne talenty, które zainteresowały jej klienta bardziej niż sam seks. Okazało się, że zanim przeniosła się do Waszyngtonu, pracowała jako fryzjerka w Long Beach w stanie New Jersey. Za pomocą nożyczek kuchennych udało jej się krótko przyciąć sięgające ramion włosy Eugene’a, a następnie, nad kuchennym zlewem, przefarbować je na blond. Za kolejne pół stówy dała się namówić na drobne zakupy. Wyszła z samego rana, zostawiając go nad rozpoczętym śniadaniem. Wróciła po trzech kwadransach, z używanym, ale wciąż jeszcze dobrze się prezentującym czarnym garniturem i płaszczem ze sklepiku z używaną odzieżą. Przyniosła też wąski dżersejowy krawat i tanie okulary o słabych szklach. Podczas jej nieobecności Eugene ogolił się i skrócił bokobrody. Koło południa, ubrany w nowy strój, w którym wyglądał, zdaniem Iris, jak bezrobotny przedsiębiorca pogrzebowy, wyszedł na ulicę.

Gdyby miał walizkę, usiadłby na niej na szczęście; czuł, że otwiera się przed nim drugi etap długiej podróży.

Zmierzając w stronę głównego wejścia Union Station, z rozmysłem przedfilował przed samym nosem dwóch policjantów, przyglądających się uważnie twarzom mężczyzn w różnokolorowym tłumie. Nie zwrócili na niego większej uwagi. Ze stojaka na prasę wziął „Washington Post” i uważnie przejrzał całą gazetę w poszukiwaniu artykułu o sowieckim szpiegu. Na jednej ze stron poświęconych wydarzeniom lokalnym znalazł krótką notatkę o aresztowaniu niejakiego Kahna, właściciela sklepu

monopolowego, pod zarzutem handlu narkotykami. Zatrzymano też jedną z jego pracownic. Jeszcze tego samego wieczoru zostali postawieni w stan oskarżenia. Odmówiono im kaucji, ponieważ okazało się, że oboje od lat występowali pod przybranymi nazwiskami.

Dla zabicia czasu Eugene kupił sobie bilet na autokarową wycieczkę, której trasa rozpoczynała się pod Union Station i prowadziła szlakiem zabytkowych budowli z czasów Waszyngtona. Wczesnym popołudniem, kiedy wycieczka dobiegła końca, zjadł kanapkę w barze i przespacerował się do „Loew’s Palace” na F Street, gdzie grali *Psychozę* Alfreda Hitchcocka. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu oglądał ją w towarzystwie Bernice. Teraz przesiedział seans, wspominając, jak ukryła twarz na jego ramieniu, kiedy Janet Leigh została zadźgana pod prysznicem, i poczuł litość na myśl, przez co Bernice musiała teraz przechodzić. Była dobrym towarzyszem broni i przywiązał się do niej przez te wszystkie lata. Możliwe, że resztę życia spędzi w więzieniu za współpracę z agentem obcego wywiadu. W ciemnej sali kinowej powiało nagle chłodem. Eugene wzdrygnął się na myśl o Maksie i Bernice. Tacy jak oni byli mięsem armatnim zimnej wojny.

Film dobiegł końca, zapaliły się światła. Eugene odczekał, aż kino opustoszeje, i dopiero wtedy wyszedł w boczny zaułek na tyłach gmachu. Na dworze było już ciemno. Grube płatki śniegu tłumili uliczny zgiełk. Posuwając się niemal po omacku wzdłuż pogrążonej w mroku uliczki, dotarł do dużego blaszanego kosza na śmieci na zapleczu chińskiego baru z daniami na wynos. Oparł się ramieniem o kubel i przechylił go odrobinę. Obmacał mur. Bez trudu odnalazł obluzowaną cegłę. Wyjął ją delikatnie i sięgnął do schowka. Pod palcami wyczuł metalowe pudełeczko, które umieścił tam, gdy po raz pierwszy przybył do Waszyngtonu, prawie dziesięć lat temu. Co roku z namaszczeniem sprawdzał, czy wszystko jest

na miejscu, i dzięki pomocy rezydenta KGB z radzieckiej ambasady aktualizował dokumenty i karty identyfikacyjne.

Trzymając w ręku plik papierów – paszport na nazwisko Gene Lutwidge, zapełniony stemplami kontroli granicznej różnych państw, polisę ubezpieczeniową, prawo jazdy ze stanu Nowy Jork, kartę uprawniającą do głosowania oraz legitymację członka Ligi Ochrony przed Zniesławieniem – Eugene poczuł przyływ głębokiej ulgi; właśnie przyoblekał się w swoją drugą i na razie bezpieczną skórę.

Kontakty telefoniczne z radziecką ambasadą przebiegały wedle ściśle ustalonego i przewidzianego scenariusza. Eugene oświadczył, że chce rozmawiać z attaché kulturalnym. Wiedział, że i tak go połączą z jego sekretarką i zarazem żoną, w rzeczywistości trzecim co do rangi oficerem KGB na tej placówce.

– Proszę podać powód pańskiego telefonu – zaintonował monotonię kobiecy głos, zręcznie naśladowując taśmę magnetofonową.

– Powód mojego telefonu jest taki, że chcę powiedzieć panu attaché... – I Eugene wykrzyczał resztę wiadomości do słuchawki, bacząc, by nie pomylić kolejności: – Pieprzyć Chruszczowa, pieprzyć Lenina, pieprzyć komunizm! – Po czym się rozłączył.

Wiedział, że sekretarka natychmiast zamelduje się u rezydenta. Otworzą sejf i sprawdzą treść wiadomości z tajnym szyfrem zamieszczonym w memorandum Dziadka. Nawet jeśli do tej pory nie zauważyli artykułu w „Washington Post”, natychmiast zrozumieją, co się stało: Eugene Dodgson został zdemaskowany, jego szyfry spalone (jeśli FBI spróbuje ich użyć do kontaktów z centralą w Moskwie, w KGB będą wiedzieć, że wiadomość nie wyszła od Eugene’a, i podejmą odpowiednie kroki), a on

sam, uniknąwszy aresztowania, zacznie od dziś posługiwać się swoją awaryjną tożsamością.

Dokładnie dwadzieścia jeden godzin po telefonie od Eugene'a autobus wynajęty przez radziecką szkołę podstawową przy ambasadzie zatrzymał się przed wejściem do ogrodu zoologicznego w Waszyngtonie. Uczniowie w wieku od siedmiu do siedemnastu lat, pod opieką trzech nauczycieli i trojga rodziców (w tym żony attaché), spacerowali po schludnych alejkach, gapiąc się na płowe lamparty i czarne nosorożce i przechylając przez murek fokarium, żeby lepiej się przyjrzeć śmiesznym lwom morskim, które pływały w otwartym basenie. W pawilonie gadów Rosjanie stłoczyli się wokół klatki boa dusiciela, a nauczyciel przyrody opowiadał, w jaki sposób gad ów zabija swe ofiary – opisywał, jak najpierw je dusi, a potem zjada, rozwierając szczęki tak szeroko, że mógłby połknąć w całości kozę. Dwóch nastolatków z radzieckiej grupy miało plecaki wyładowane ciastkami i butelkami soku, przeznaczonymi na podwieczorek; trzeci niósł plastikową torbę lotniczą American Airlines. W przedsionku pawilonu gadów wycieczka przystanęła na krótki odpoczynek. Żona attaché kulturalnego zaczęła rozdawać napoje z plecaków. Kilku chłopców, w tym ten z torbą lotniczą, poszło do toalety. Po paru minutach wrócili, ale już bez torby.

Jej zniknięcia nie zauważyli dwaj agenci FBI, którzy z pewnej odległości obserwowali grupę.

Kiedy Rosjanie znów wsiedli do autobusu, nad Waszyngtonem zapadał już zmierzch. Eugene, który wszedł do pawilonu gadów z drugiej strony, wstąpił do toalety. W chwilę później opuścił budynek drugim wyjściem i udał się w kierunku przeciwnym niż zwiedzający zoo Rosjanie.

W ręku niósł torbę lotniczą American Airlines.

W ciasnym pokoiku, który wynajął nad garażem podmiejskiego domku w Tysons Corner, obejrzał zawartość pakunku. Było tam małe radyjko z budzikiem firmy General Electric z instrukcją, jak przekształcić je w krótkofalowy odbiornik, a także: starannie zwinięta antena, schowana w wydrążeniu tylnej ścianki obudowy radia; przeglądarka do mikrofotografii, ukryta w środkowej części wiecznego pióra; talia kart z szyframi i nowymi lokalizacjami skrzynek kontaktowych oraz ich oznaczenia kodowe, sprytnie umieszczone wewnątrz kart; plansza do gry w szachy, którą można było podważyć spinaczem i w ten sposób dostać się do zapasowego mikroaparatu fotograficznego i dodatkowej rolki filmu; opakowanie kremu do golenia „Gillette”, wydrążone, żeby pomieścić kasety z wywołanym filmem, który miał dostarczyć SASZA; dwanaście tysięcy dolarów w banknotach o niskich nominałach, w paczkach po tysiąc, spiętych gumką recepturką.

Tej nocy, dokładnie o dwudziestej trzeciej, Eugene nastawił radio na nadawany na falach krótkich anglojęzyczny quiz Radia Moskwa. Usłyszał, jak gracz zgaduje, że słowa „Zagrzmudnił pośród srożnych skał” pochodzą z *Po Drugiej Stronie Lustra* Lewisa Carrolla. Zdanie „Zagrzmudnił pośród srożnych skał” było jednym z osobistych kodów Gene’a Lutwidgę’a. Pod koniec programu Eugene zanotował liczby wygrywające w loterii, potem wyjął z portfela swój szczęśliwy banknot dziesięciodolarowy i postępując zgodnie z procedurą, uzyskał numer telefonu w Waszyngtonie. O północy zadzwonił tam z budki telefonicznej.

– Gene, to ty? – zapytał kobiecy głos, który w uszach Eugene’a zabrzmiał jak kwilenie ptaka z podciętymi skrzydłami, głos z zaświatów, odległy o całe lata świetlne. – Dałam ogłoszenie do „Washington Post”, że sprzedam duesenberga model A, rocznik

dwadzieścia trzy; karoseria srebrna, stan idealny, jeden z zaledwie stu czterdziestu sprzedanych w owym roku.

– Rozumiem – powiedział Eugene.

Dziadek informował SASZĘ, że Eugene Dodgson zniknął z pola widzenia, a jego miejsce zajął Gene Lutwidge; zagadkowe ogłoszenie automatycznie uaktywni zupełnie nowy zestaw skrzynek kontaktowych i kryptonimów.

– Otrzymałam dziewięć zgłoszeń – ciągnęła kobieta z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. – Jeden z zainteresowanych pytał, czy byłabym skłonna zamienić duesenberga na czarnego czterodrzwiowego packarda z tysiąc dziewięćset trzynastego, do reperacji.

– I co mu powiedziałaś?

Po drugiej stronie linii rozległo się westchnienie.

– Powiedziałam, że to przemyślę. Klient odparł, że w takim razie odezwie się za dwa dni, aby zapytać, czy się zgadzam. Umówiliśmy się na siódmą dziś wieczorem, ale nie zadzwonił.

– Mam nadzieję, że jeszcze znajdziesz nabywcę na duesenberga – odrzekł Eugene i dodał: – Do widzenia. I życzę szczęścia!

– Och, to ja powinnam ci życzyć szczęścia, drogie dziecko – odparła kobieta, po czym się rozłączyła.

Po powrocie do swego pokoiku na przedmieściu Eugene zajrzał do nowej listy skrzynek kontaktowych. Określenie „czarny czterodrzwiowy packard z 1913, do reperacji” oznaczało, że SASZA zostawi cztery rolki mikrofilmu, po pięćdziesiąt klatek każda, w wydrążonej cegle, ukrytej w krzakach za pomnikiem Jamesa Buchanana w parku Meridian Hill.

Eugene ledwo trzymał się na nogach. Nastawił budzik na szóstą i wyciągnął się na łóżku. Chciał znaleźć się w parku równo z brzaskiem,

aby opuścić go, zanim ludzie zaczną wyprowadzać psy. Zgasił światło i leżał tak przez dłuższy czas, wsłuchany w ciszę, zapatrzony w ciemność. Nie wiedzieć czemu, stanęło mu przed oczyma widmo matki, wyłaniające się nieśmiało z mglistych obrazów przeszłości. Głos miała, jak zawsze, cichy i melodyjny, przemawiała do niego ich tajnym językiem – po angielsku. Mówiła coś o geniuszu i szczodrości ludzkiego ducha. „Te szlachetne strony człowieczej natury istnieją tak samo, jak istnieją chciwość i okrucieństwo – mówiła. – Spadkobiercy Lenina, rycerze geniuszu i szczodrości, powinni zetrzeć w pył jego wrogów”.

Po raz kolejny stanął do walki. Eugene Dodgson zniknął z powierzchni ziemi. Gene Lutwidge, absolwent Erasmus High School, który wychował się w dzielnicy Crown Heights na Brooklynie i próbował związać koniec z końcem, pisząc krótkie opowiadania, zajął jego miejsce i był gotów do akcji.

Wysoki, smukły Rosjanin ze strzępiastą, szpakowatą brodą wyłonił się z wnętrza 14-14 i przystanął na chwilę na najwyższym stopniu ruchomych schodków, oślepiiony jasnym kubańskim słońcem. Do nadgarstka miał przykutą łańcuszkiem płaską metalową kasetę na dokumenty. Obok błyszczącego czarnego chryslera, stojącego z zapalonym silnikiem tuż przy ogonie samolotu, dostrzegł znajomą sylwetkę. Kiedy pozostali pasażerowie skierowali się ku sali przylotów, Rosjanin ruszył samotnie w kierunku otwartego samochodu. Dwaj kubańscy milicjanci w niebieskich mundurach podbiegli do niego usłużnie, ale gdy stojący obok chryslera człowiek warknął coś po hiszpańsku, odskoczyli jak oparzeni. Kubańczyk postąpił krok do przodu i objął gościa niezdarnym uściskiem. Chwyciwszy go pod ramię, wskazał miejsce na tylnym siedzeniu. Postawny ochroniarz o byczym karku wymamrotał coś szyfrem do walkie-talkie i przesiadł się

obok kierowcy. Nieśmiały młodzieńcy tłumacz i jakaś kobieta w średnim wieku, zapewne sekretarka, usadowili się wewnątrz limuzyny naprzeciwko Rosjanina i jego kubańskiego gospodarza. Samochód ruszył przez płytę lotniska i zjechał na rozciągające się wokół pola, kierując się ku drodze wyjazdowej, której wylotu strzegli żołnierze w polowych mundurach. Widząc zbliżającego się chryslera, otworzyli bramę na oścież. Śmignął koło nich, zanim zdążyli zaszalutować. Jeszcze przez chwilę podskakiwał na wybojach, wreszcie wy dostał się na szosę i pomknął w kierunku przedmieść Hawany, Nuevo Vedado. Celem podróży była ocieniona drzewami willa w pobliżu centrum dowodzenia Fidela Castro.

Gdy tak pędzili szerokim nadbrzeżnym bulwarem, wysadzonym po obu stronach krzewami kwitnącej bugenwilli, Manuel Piñeiro, szef aparatu bezpieczeństwa narodowego, polecił, by tłumacz powiedział, iż Kubańcy cieszą się, mogąc gościć Pawła Siemionowicza Żyłowa podczas jego pierwszej wizyty w ich komunistycznej ojczyźnie. Dziadek zauważył grupę starszych ludzi, gimnastykujących się w parku, i kiwnął z aprobatą głową; to była Kuba, jaką znał z setek radzieckich kronik filmowych. Odwróciwszy się do Piñeira, wygłosił stosowną odpowiedź: pragnie zapewnić, iż czuje się zaszczycony pobytem na tej pięknej wyspie i gotów jest wspierać kubańską rewolucję. Potem, chcąc skrócić sobie ostatni kwadrans jazdy do Nuevo Vedado, obaj dygnitarze zajęli się przyjacielską pogawędką o tym, co porabiali od czasu ich ostatniego spotkania w Moskwie. Za pośrednictwem tłumacza – nieśmiałego, przygarbionego chłopaka, kiwającego głową przy każdym słowie – gawędzili o wspólnych znajomych: szefie niemieckiego wywiadu Marcusie Wolfie i jego udanej infiltracji w szeregi tajnych służb Reinharda Gehlena; o byłym ambasadorze radzieckim w Hawanie, który wszedł w konflikt z Chruszczowem i został zesłany do Kirgizji, żeby zarządzać fabryką

obuwia; i o romansie znanej kubańskiej piosenkarki z żoną członka KC KPZR. Piñeiro, zagorzały „fidelista”, który, zanim przyłączył się do Castro i jego partyzantów w górach Sierra Maestra, studiował na nowojorskim Uniwersytecie Columbia, dopytywał się, czy ukazujące się w amerykańskiej prasie artykuły na temat obecnego przewodniczącego Rady Najwyższej, Leonida Breżniewa, są rzetelne i wiarygodne. Czy to prawda, że Breżniew chce zająć miejsce Chruszczowa? Jaka jest jego pozycja w Politbiurze? Czy rozgrywki pomiędzy tymi politykami nie wpłyną na radziecką politykę wobec Kuby?

Dopiero gdy obaj mężczyźni i tłumacz znaleźli się w „kabinie ciszy” na ostatnim piętrze Willi Piñeira, przeszli do omawiania istotnych spraw, które sprowadziły Dziadka na wyspę.

– Przybyłem, aby was ostrzec przed niebezpieczeństwem, jakie grozi kubańskiej rewolucji – oznajmił Dziadek.

Wyjął mały kluczyk, rozpiął nim stalową bransoletkę, otworzył kasetę na dokumenty i wyciągnął cztery szare teczki z adnotacją o tajności, wypisaną cyrylicą na każdej z nich. Otworzył pierwszą, a następnie, przyglądając się uważnie tłumaczowi, zmarszczył niepewnie brew. Piñeiro roześmiał się i powiedział coś po hiszpańsku. Młody tłumacz odezwał się po rosyjsku.

– Mówi, żeby wam powiedzieć, że jestem synem jego siostry i jego chrześniakiem.

– Chłopak jest moim siostrzeńcem. Można przy nim mówić – dodał Piñeiro po angielsku.

Dziadek zmierzył wzrokiem tłumacza, kiwnął głową i zwrócił się znów do Piñeira.

– Informacja ta jest zbyt ważna i zbyt poufna, by ryzykować przesłanie jej zwykłymi kanałami i przechwycenie przez Amerykanów, którzy

mogliby złamać nasze lub wasze szyfry. Z powodów, które staną się dla was oczywiste, nie chcemy, by oni wiedzieli, że my wiemy. Amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza – Dziadek uśmiechnął się na wspomnienie Jewgienija, tłumaczącego mu z zapalem, jak powiedzieć po angielsku *główny przeciwnik*, i postanowił użyć teraz tych słów – nasz *principal adversary*... – przeszedł znowu na rosyjski – ...zbroi i szkoli oddział zwerbowanych w Miami kubańskich uchodźców w celu inwazji na Kubę. Oddział ów składa się z brygady piechoty i kilkudziesięciu pilotów samolotów bojowych B-26, „wypożyczonych” z flotyli bombowców, zadekowanych w pobliżu miasta Tucson w Arizonie. Maszyny CIA różnią się od waszych tym, że tamte mają metalowe nosy, podczas gdy wasze mają nosy z plastiku.

Piñero wyjął z grubej koperty plik odszyfrowanych depech i przesunął kciukiem wzdłuż tekstu.

– To, co mówisz, mój miły Paszo, nie jest dla nas niczym nowym – powiedział. – Wyobraź sobie, że włożyliśmy sporo wysiłku w zbudowanie siatki naszych agentów w Miami. Kilku z nich pracuje dla tamtejszej placówki CIA, mieszczącej się na terenie uniwersytetu. Według jednego z moich informatorów kubańscy najemnicy, znani jako brygada dwadzieścia pięć zero sześć, są szkoleni przez Amerykanów w Retalhuleu, w górach Sierra Madre w Gwatemali, i obecnie jest ich cztery tysiące.

Ascetyczne wargi Dziadka, który w poprzednim wcieleniu z powodzeniem mógł być mnichem, okraślił nikły uśmiech. Było to tak rzadkie zjawisko, że Piñero poczuł się nieswojo.

– Liczba czterech tysięcy jest niedokładna – powiedział Żyłow. – A to dlatego, że zaczęli ich numerować od dwóch tysięcy pięciuset, aby was wprowadzić w błąd. Najemnik numer dwadzieścia pięć zero sześć zginął

podczas upadku ze skarpy i brygada przejęła jego numer jako swoją oficjalną nazwę.

– A więc jest ich tylko tysiąc pięciuset? Fidel bardzo się ucieszy, kiedy dowie się o tym szczególe.

– Inwazja jest przewidziana na początek kwietnia – ciągnął Dziadek. – Aktualne plany zakładają, że trzy cywilne frachtowce przewiozą na wyspę połowę najemników, czyli około siedmiuset pięćdziesięciu ludzi, chociaż niewykluczone, że liczba ta wzrośnie dwukrotnie, jeżeli do operacji włączy się więcej statków.

Piñeiro wyciągnął z pliku kolejną depeszę.

– Mamy swojego człowieka wśród dokerów, załadowujących „Río Escondido”, frachtowiec, który stoi zakotwiczony na rzece Missisipi. Statek ma na pokładzie furgonetkę z łącznością, olbrzymie zapasy amunicji i pewną ilość paliwa lotniczego.

– Część paliwa mieści się w zbiornikach pod pokładem, reszta znajduje się w stu pięćdziesięciopięciolitrowych beczkach, przytwierdzonych cumami na górnym pokładzie – powiedział Dziadek do Kubańczyka. – Z takim zapasem paliwa „Río Escondido” będzie smacznym kąskiem dla waszych samolotów. Zauważ też, że bombowce najemników uderzą trzykrotnie, zanim rozpocznie się właściwy desant: pierwszy raz na dwa dni przed dniem D, drugi na dzień przed dniem D i trzeci raz rankiem tego dnia, gdy rozpocznie się desant. Głównym celem obu wstępnych nalotów będą samoloty zaparkowane w waszych bazach lotniczych i wszelkie obiekty znajdujące się na terenie tych baz. Trzeci atak skupi się na samolotach, które przetrwają dwa pierwsze bombardowania, oraz na centrach dowodzenia, infrastrukturze łączności, a także wcześniej namierzonych przez U-2 pojazdach pancernych i stanowiskach artyleryjskich, rozlokowanych w pobliżu miejsca inwazji.

– Wiemy, że Amerykanie planują wysadzenie kubańskich kontrrewolucjonistów na brzegu w okolicach Trinidadu – powiedział Piñeiro; bardzo chciał zaimponować swojemu gościowi osiągnięciami kubańskiego wywiadu. – Wybrali Trinidad ze względu na jego położenie w pobliżu Escambray. Liczą na to, że gdyby nie udało im się rozniecić ogólnonarodowego powstania i doprowadzić do buntu w armii, będą mogli wycofać się w góry i stworzyć tam oddziały partyzanckie, które wspomagane przez zrzuty z powietrza uprzykrzą życie rewolucjonistom.

Dziadek zajrzał do drugiej teczki.

– To prawda, że CIA początkowo brała pod uwagę Trinidad, ale pod naciskiem nowego prezydenta przesunęła ostatnio miejsce desantu na bardziej odległe tereny. Nawet Roberto Escalona, dowódca brygady najemników, nie został jeszcze poinformowany o tej zmianie. Aktualny plan przewiduje zbudowanie przyczółka na dwóch plażach w miejscu zwanym Zatoką Świń.

Piñeiro przypuszczał, że KGB ma doskonałe źródła informacji w Ameryce, ale aż dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo doskonałe. Chociaż był zbyt dyskretny, by poruszyć tę kwestię, stało się dla niego jasne, iż Dziadek prowadził agenta na najwyższym szczeblu struktury CIA, być może nawet kogoś z dostępem do Białego Domu.

– Bagna Zapata w Zatoce Świń – podjął z zapalem – to teren dobrze znany Fidelowi. Jeździ tam często, żeby nurkować. – Wyjął z szuflady szczegółową mapę południowej Kuby i rozłożył na stole. – Zatoka Świń... Aż trudno uwierzyć, że są tak głupi. Można tam dojechać tylko trzema drogami, przez groble, które łatwo zablokować.

– Musicie być ostrożni i manewrować czołgami i artylerią pod osłoną nocy, a w ciągu dnia dobrze je kamuflować, żeby ci z CIA ich nie wypatrzyli i nie zorientowali się, że przejrzelście ich plany.

– Fidel jest mistrzem w tej grze – uspokoił go Piñeiro. – Najemnicy wpadną w pułapkę na plaży i zostaną zniszczeni przez ogień artyleryjski i ostrzelani przez czołgi.

– O ile nie zainterweniuje marynarka USA.

– Macie informacje, że może do tego dojść?

– Mamy informację, że tak się n i e stanie. – Dziadek otworzył następną teczkę. – Amerykanie będą mieć w odwodzie lotniskowiec „Essex” z eskadrą niszczycieli, stojący na kotwicy niedaleko waszego wybrzeża, a także bazy lotnicze w Key West, piętnaście minut lotu od Kuby. Młody Kennedy szczególnie ostrzegwał CIA, że nie ma najmniejszego zamiaru jawnie angażować do walki sił amerykańskich, nawet jeśli sprawy przybiorą zły obrót dla kubańskich najemników. Jednak dowodzący tą operacją ludzie z CIA wierzą, że w obliczu całkowitego unicestwienia kubańskiej brygady w Zatoce Świń prezydent ustąpi przed logiką faktów i chcąc uniknąć kompletnego fiaska, rzuci do walki amerykańskie samoloty i statki.

– A co ty o tym myślisz?

– Nowy prezydent będzie pod dużą presją ze strony CIA i kliki wojskowych, nalegających na interwencję w razie fiaska akcji. Mój nos mi mówi, że Kennedy nie ugnie się pod ich presją. Położy na tym krzyżyk i będzie szukał następnej przygody.

Omawiali jeszcze wiele szczegółów operacji. Uwagę ich pochłonał jej aspekt techniczny: uzbrojenie i amunicja, jakimi będą dysponować najemnicy w czasie desantu; kanały łączności z amerykańską flotą, zakotwiczoną przy brzegu; skład rządu emigracyjnego, który miał zostać przerzucony na miejsce inwazji, jeżeli napastnikom uda się utrzymać przyczółek. Piñeiro zapytał, jaka byłaby reakcja Związku Radzieckiego, gdyby prezydent Ameryki jednak uległ ogólnej presji i przystąpił do

otwartej wojny. Dziadek zapewnił swego kubańskiego kolegę, że osobiście poinformował Nikitę Chruszczowa o planach inwazji na Kubę. Nie było jednak wówczas mowy o reakcji obozu radzieckiego na jawną agresję USA. Tę kwestię Fidel Castro powinien przedyskutować z towarzyszem Chruszczowem osobiście, w bezpośredniej rozmowie, albo przez ambasadorów obu państw. I znowu wszystkie wiadomości wymieniane pomiędzy zainteresowanymi stronami należy przekazywać pocztą dyplomatyczną, aby amerykańscy deszyfranci nie dowiedzieli się, że plany CIA zostały przechwycone przez obcy wywiad. Przyparty do muru, Dziadek wyraził własną opinię: w wypadku jawnej agresji USA obóz radziecki mógłby zagrozić podobną interwencją, na przykład w Berlinie. Amerykański prezydent musiałby się wówczas zastanowić, czym to grozi światu...

Piñeiro wskazał brodą na szare teczki Dziadka.

– Jest jeszcze czwarta teczka, której nie otworzyłeś – powiedział.

Dziadek popatrzył mu prosto w oczy.

– Inwazja to nie wszystko – powiedział. – CIA chce zamordować Fidela Castro.

Tłumacz drgnął przy słowie „zamordować”. Piñeiro zmarszczył brwi. Jego ruda broda zatrzęsała się, kiedy radziecki gość wyjął z czwartego dossier pojedynczą kartkę i zaczął czytać na głos. Siostrzeniec Piñeira tłumaczył zdanie po zdaniu. CIA wezwała do centrali Harveya Torritiego, wieloletniego szefa berlińskiej bazy, Amerykanina sycylijskiego pochodzenia, który podczas wojny pozostawał w kontakcie z mafią; polecono mu rozwinąć działalność, mającą na celu fizyczną likwidację tych przywódców państwowych, którzy utrudniają amerykańską politykę zagraniczną. Castro jest pierwszy na liście. Torriti nawiązał kontakt z kilkoma osobistościami z amerykańskiej cosa nostra, z samym Salvatore

Giancaną na czele. Giancana z kolei ma na wyspie swojego człowieka, tutejszego obywatela, który gotów jest wsypać truciznę do jednego z ulubionych napojów Fidela. Giancana odmówił podania tożsamości zabójcy. Nie znają jej nawet w CIA. Tak więc Rosjanie nie są w stanie przekazać jego nazwiska kubańskim władzom.

– Wiemy tylko, że w przyszłym miesiącu otrzyma on fiolkę z tabletkami aspiryny. Trzy z nich będą zawierać śmiertelną dawkę botuliny – zakończył Dziadek.

Piñeiro zapytał, jak rozpoznać tabletki z trucizną. Dziadek musiał przyznać, że nie potrafi na to odpowiedzieć. Kubańczyk, gorączkowo zapisując wszystko w notesie, dopytywał się o najdrobniejsze szczegóły spisku. Ludzie z mafii najwyraźniej liczyli na to, że uda im się wywieźć zabójcę z Kuby na pokładzie motorówki, jak tylko ten dokona zbrodni. Dla Piñeira był to niezwykle istotny szczegół i nie omieszkał się tym podzielić z Dziadkiem. Wszystko wskazywało na to, iż zamach na Fidela Castro miał nastąpić w pobliżu jakiegoś portu.

Żyłow tylko wzruszył ramionami.

– Sami dopasujcie pozostałe fragmenty układanki – powiedział.

– Już my się postaramy – odparł Piñeiro z lodowatym błyskiem w oku.

Kilka minut po jedenastej rozległo się ciche pukanie do drzwi apartamentu na ostatnim piętrze hotelu na przedmieściach Hawany. Dziadek podszedł ostrożnie na swoich pajęczych nogach, wystających spod nocnej koszuli, i spojrzął przez judasz. Za drzwiami stały trzy chichoczące podlotki, których szczuplutkie ciała były zniekształcone przez soczewkę wizjera. Dziadek przekręcił zamek i otworzył. Dziewczynki, ubrane w białe bawełniane haleczki, wślizgnęły się do środka, stąpając cichutko bosymi stopami, czarnymi od brudu. Najwyższa, z ufarbowanymi na blond

kędzierzawymi włosami, zaczęła mówić coś po hiszpańsku, lecz Dziadek przyłożył palec do ust. Okrążył całą grupkę, obejrzał ich wystające łopatki, płaskie klatki piersiowe i doklejone rzęsy. Potem zajrzał im pod halki. U blondynki dostrzegł kilka kręconych włosków łonowych i natychmiast ją odprawił. Pozostałe dwie zaprosił do ogromnego łóża, umieszczonego bezpośrednio pod lustrami na suficie.

W swoim niezmiennie pograżonym w mroku narożnym biurze w Reflecting Pool w Waszyngtonie James Jesus Angleton niczym ślimak przesuwiał palcem po poufnych depezach, oznaczonych na czerwono kartach katalogowych i zamglonych czarno-białych fotografiach, zostawiając na nich lepki ślad domysłów.

Zapalając nowego papierosa, wierzchem dłoni niecierpliwie strzepnął popiół z otwartego segregatora (dwie i pół paczki dziennie sprawiały, że palce miał poplamione nikotyną, a gabinet i wszystko, co się w nim znajdowało, przesycone było dymem; ludzie, którzy pracowali w kontrwywiadzie u Angletona, zwykli mówić, że wystarczy powąchać jakiś dokument, żeby wiedzieć, czy już przeszedł przez ręce szefa, czy nie). Znow sięgnął po szkło powiększające i przytrzymał je nad jednym ze zdjęć. Zostało zrobione aparatem z silnym teleobiektywem, ze szczytu dachu, niecały kilometr od lotniska, i powiększone kilka razy w laboratorium Firmy, co dało ziarnisty, puentylistyczny wręcz obraz mężczyzny, wyłaniającego się z ciemnych czeluści ła, który dopiero co wylądował na lotnisku José Martí jako jeden z samolotów rejsowych, kursujących dwa razy w tygodniu między Moskwą a Hawaną. Człowiek ten zdawał się mrużyć oczy, porażone jaskrawym słońcem, które świeciło mu prosto w twarz. Na jego lewym ręku lśniło coś w rodzaju metalowej bransoletki.

No jasne! Kasety na dokumenty! Standardowe procedury KGB wymagały mocowania jej łańcuszkiem do nadgarstka kuriera.

Ale to nie był zwykły kurier. Postać mężczyzny na zdjęciu w niewytłumaczalny sposób niepokoiła, przykuwała uwagę: wzrost, chudość, pociągła twarz, zapadnięte oczy, przerzedzone włosy, źle skrojony, wymięty garnitur... I ta długa, rzadka, rozczochrana, siwa broda...

Angleton pogrzebał w stercie ściśle tajnych depeesz i wyciągnął jedną. Człowiek CIA w Hawanie donosił o rozmowie, podsłuchanej na pewnym bankiecie, podczas której Che Guevara i Manuel Piñero opowiadali o swoim spotkaniu w Moskwie z brodatym szefem KGB, znanym wśród Rosjan jako Dziadek. Kubańczycy, lubujący się w rozmaitych przydomkach i przezwiskach, nazwali go Białą Brodą.

Przyklejony do dolnej wargi Angletona papieros zadrgał nerwowo. W duszy szefa kontrwywiadu załęgło się graniczące z pewnością podejrzenie, iż patrzy oto, po tylu latach udręki, na wizerunek – cóż z tego, że zamazany – swojej nemezis, osławionego Dziadka.

Chciewie wpatrywał się w niewyraźną fotografię. Słowo CHOŁSTOMIER cisnęło mu się na usta i wypowiedział je głośno w ciszy swojego biura. Niedawno jeden z młodszych prawników z rzymskiej prokuratury, działający poza strukturami CIA osobisty informator Angletona, zameldował, że słyszał pogłoski, jakoby Instytut Dzieł Religijnych – bank Watykanu – prał ogromne sumy pieniędzy w twardej walucie, wyprowadzane systematycznie ze Związku Radzieckiego i Europy Wschodniej. Cynk pochodził od włoskiego komunisty, kapusia na żołdzie prokuratury. Twierdził on, iż ta gigantyczna operacja finansowa, powiązana z zaciąganiem pożyczek w Banco Ambrosiano, największym prywatnym banku we Włoszech, nosi kryptonim CHOŁSTOMIER, znany jedynie garstce najbardziej zaufanych pracowników banku. Wspomniane sumy

pieniędzy były tak niewyobrażalne, że prokurator generalny tylko zaśmiał się szyderczo, gdy mu o tym doniesiono. Do sprawy przydzielono oskarżyciela z urzędu, początkującego, niedoświadczonego złotodzioba, lecz dochodzenie zostało przerwane, gdy motorówka, którą miał nieszczęście płynąć, zatoniła wraz z nim w okolicach Wenecji. Wkrótce potem znaleziono w Tybrze ciało pechowego komunisty donosiciela (domniemanej ofiary przedawkowania narkotyków). Prokurator, nieporuszony w najmniejszym stopniu owym zbiegiem okoliczności i przekonany, że cała afera jest polityczną propagandą, umorzył śledztwo.

Angleton przesunął lupę nad drugą fotografię. Ta również została powiększona i też brakowało jej ostrości. Przedstawiała Manuela Piñeira, który niezdarnie obejmował wyższego od siebie mężczyznę. Fakt, iż szef kubańskiego wywiadu osobiście wyjechał na lotnisko powitać Rosjanina, tylko umacniał Angletona w przekonaniu, że była to wizyta niezwyklej wagi.

Chwycił butelkę, nalał sobie kolejny kieliszek i pociągnął spory łyk. Poczł w gardle przyjemne, odprężające ciepło. Ostatnimi czasy potrzebował coraz więcej alkoholu, żeby jako tako funkcjonować. Przypuśćmy, że człowiek na zdjęciu to Dziadek. Co zatem robił w Hawanie? Angleton rozejrzał się po tonącym w półmroku gabinecie, szukając jakiejś wskazówki, która naprowadziłaby go na właściwy trop. Dziadek mógł osobiście pofatygować się na Kubę tylko z jednego powodu: aby dostarczyć informacje, których nie chciał powierzyć nikomu innemu ani wysłać szyfrem w obawie, iż wpadną w ręce Amerykanów. Castro wiedział już o tym, o czym głośno mówili wszyscy Kubańczycy w Miami (w końcu „New York Times” opublikował wszystko w najdrobniejszych szczegółach), a mianowicie, że na ustronnej plantacji kawy w Gwatemali Firma szkoli kubańskich uchodźców, żeby potem przerzucić ich na wyspę

i zapoczątkować antykomunistyczne powstanie. Nie wiedział jednak, gdzie i kiedy zaatakują. W samej CIA dane te trzymane były w ścisłej tajemnicy: niespełna pięćdziesięciu ludzi znało miejsce, a zaledwie dwudziestu kilku datę desantu.

Przez te wszystkie lata amerykańskim kryptografom udało się złamać urywki zaszyfrowanych sowieckich wiadomości. Rozrzucone po różnych tekstach, niejasne z pozoru i enigmatyczne fragmenty zdań złożone w jedną całość wskazywały na istnienie Rosjanina, działającego w głębokim utajeniu w Waszyngtonie, pod kryptonimem SASZA. Zakładając, tak jak to uczynił Angleton, że SASZA jest sowieckim kretem w samym sercu Firmy, można było przypuścić, iż znalazł się on wśród garstki wybrańców, którzy znali datę i cel kubańskiej operacji. SASZA mógł nawet wywąchać istnienie supertajnego planu ZR/RIFLE, mającego na celu zamach na Fidela. Angleton spróbował prześledzić w duchu kolejne ogniwa łańcuszka kontaktów, wiodącego od SASZY poprzez łącznika, Dziadka i Piñeira aż do samego Castro.

Obecność łącznika mocno intrygowała Angletona. Kilka tygodni wcześniej odebrał prywatny meldunek od jednego z podwładnych Hoovera. Departament dokopał się do starego komunisty, niejakiego Maxa Cohena, który zmienił tożsamość i zszedł do podziemia w 1941 roku, prawdopodobnie na rozkaz swojego prowadzącego z KGB. Kahn, bo tak się teraz nazywał, nie ugiął się pod naciskami FBI: utrzymywał, że aresztowali niewłaściwego człowieka oraz że nic mu nie wiadomo o młodym mężczyźnie nazwiskiem Dodgson, który rozwoził dla niego alkohol, ani o szpiegowskim ekwipunku, znalezionym przez agentów federalnych pod podłogą pokoiku nad sklepem.

FBI wpadło na trop Kahna zupełnie przypadkowo, kiedy wysłał do jednego ze swych dawnych partyjnych przyjaciół życzenia z okazji

dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Przechwycona przez FBI ozdobna karta podpisana była: „Max, Twój wierny towarzysz broni, który nigdy nie zapomniał o starej przyjaźni ani nie zszedł z głównej drogi”. Odciski palców na kopercie i pocztówce pasowały do odcisków Cohena, który zniknął bez śladu w 1941 roku. List nadano w Waszyngtonie, DC. Dzięki stemplowi pocztowemu federalni odnaleźli urząd pocztowy, a potem (wychodząc z założenia, że Cohen, zmieniając nazwisko, pozostał przy swoim imieniu) prześledzili książkę telefoniczną, szukając mieszkających w stolicy białych mężczyzn noszących imię Max. Okazało się, iż w tym rejonie pocztowym mieszka ich stu trzydziestu siedmiu. Po wielu tygodniach żmudnej dłubaniny, porównując zdjęcia młodego Cohena z opracowaną przez specjalistów od fotografii symulacją jego wyglądu po dwudziestu latach, FBI dotarło wreszcie do Maxa Kahna. Agenci długo śledzili zarówno jego, jak i oboje zatrudnionych w sklepie pracowników, zanim zdecydowali się przeszukać ich mieszkania. I wtedy właśnie natrafili na żyłę złota: w kawalerce nad sklepem odkryli pudełko, zawierające szyfry, mikrofilmy, przeglądarkę do mikrofotografii, spory plik banknotów oraz radio przystosowane do odbioru na falach krótkich. Hoover miał nadzieję, że jedno z trójki obcych agentów doprowadzi go do szpiegujących dla Związku Sowieckiego Amerykanów, ale po dziesięciu dniach stracił cierpliwość. W obawie, iż któreś z nich spostrzeże w końcu, że są obserwowani, postanowił ich aresztować. Ten, który był znany jako Dodgson – mężczyzna rasy białej, lat trzydzieści jeden, wzrost średni, włosy ryże – zdołał jednak wymknąć się z sieci. Po telefonie do swojej dziewczyny, która zdążyła go ostrzec, nim odebrano jej słuchawkę, po prostu zapadł się pod ziemię, co pozwalało Angletonowi przypuszczać, iż został drobniawo wyszkolony i zaopatrzony w awaryjną tożsamość. Chociaż Eugene Dodgson mówił podobno po angielsku bez cienia obcego

akcentu, szef kontrwywiadu nie wykluczał możliwości, że to Rosjanin podający się za Amerykanina.

Angleton był gotów wyrzec się papierosów do końca swego życia w zamian za możliwość przesłuchania tego Dodgsona. Ślęcząc nad tym problemem, po raz kolejny uświadomił sobie kluczową cechę kontrwywiadu: wszystko, w ten czy w inny sposób, wiązało się ze sobą. Zbieg z Korei Północnej, który prosił o azyl w Singapurze, powiązany był z fragmentem wiadomości, wysłanej przez rezydenta KGB w Londynie do centrali w Moskwie, przechwyconej w drodze i złamanej przez MI6, co z kolei miało związek ze zniknięciem w Niemczech sekretarki, pracującej na pół etatu u Gehlena. W nadziei, że może natknie się na brakujące części układanki, Angleton poprosił FBI o listę klientów Kahna od momentu, gdy sklep rozpoczął działalność na początku lat czterdziestych. Nazwisko Philby'ego od razu rzuciło się w oczy. W 1951 roku Eugene Dodgson wielokrotnie dostarczał alkohol na adres Philby'ego przy Nebraska Avenue. Nagle wszystko zaczęło nabierać sensu: Philby był zbyt cenny, żeby narażać go na bezpośrednie kontakty z ludźmi z sowieckiej ambasady, pozostającymi pod stałą obserwacją FBI. Dziadek musiał więc zorganizować łączność, posługując się jakimś głęboko zakonspirowanym agentem. Dodgson – nieważne, Rosjanin czy Amerykanin – stał się zatem łącznikiem pomiędzy Philbym a jego sowieckim przewodnikiem. A to oznacza, iż działał także jako łącznik pomiędzy SASZĄ a KGB.

Przeglądając raz jeszcze listę klientów Kahna od momentu, gdy Philby opuścił Waszyngton, Angleton odkrył nazwiska, które odpowiadały imionom stu sześćdziesięciu siedmiu obecnych pracowników CIA,

zatrudnionych na pełnym etacie, i sześćdziesięciu czterech pracowników kontraktowych.

Wzmocniwszy się kolejnym kieliszkiem koniaku, zaczął rozpracowywać listę...

WASZYNGTON, DC, WTOREK, 4 KWIETNIA 1961

– Czy dobrze zrozumiałem? – zapytał Jack Kennedy Dicka Bissella, gdy DD/O skończył przekazywać zebrany najświeższe informacje na temat inwazji na Kubę. – Pierwszy atak, szesnaście bombowców B-26 z zasobów brygady, startuje z Gwatemali, by zaatakować trzy główne lotniska na wyspie. Mniej więcej godzinę później dwie inne maszyny, z powierzchniowymi dziurkami po kulach, wylądują w Miami. Pilotujący je Kubańczycy będą utrzymywać, że są dezertkami z armii Fidela Castro i że ostrzelali jego pasy startowe, zanim odlecieli do Miami poprosić o azyl.

Bissell, wycierając okulary brzegiem krawatu, skinął głową.

– Tak wygląda ogólny zarys planu, panie prezydencie.

Kennedy, przymrużywszy oczy, zmarszczył w skupieniu brwi i powoli potrząsnął głową.

– To nie przejdzie, Dick. Szesnaście samolotów... Czy twoim zdaniem nikt się nie zorientuje, że było ich aż tyle? A zdjęcia? A taśmy? Na pewno sfilmują ten nalot. Jak, na Boga, chcesz im wmówić, że w ataku wzięły udział tylko dwie maszyny? Nikt tego nie łyknie.

– Istotnie, trudno nam się będzie wyprzeć naszego udziału w inwazji – przyznał sekretarz stanu Dean Rusk.

Jack Kennedy, w sportowej marynarce i rozpiętej pod szyją koszuli, przewodził spotkaniu, siedząc u szczytu długiego, owalnego stołu, zastawionego filiżankami kawy, paczkami papierosów i spodeczkami, które służyły za popielniczki. Wcześniej, po południu, prezydent uczestniczył w zaprzysiężeniu Anthony'ego Drexela Biddle'a na ambasadora

w Hiszpanii, a zaraz po ceremonii, dokładnie za kwadrans szósta, zamknął się w niewielkiej salce konferencyjnej na tyłach gabinetu Rusk. Do dnia D pozostało trzynaście dni. W pomieszczeniu zebrało się już kilkunastu ludzi. Niektórzy czekali od paru godzin – zostali poinstruowani, że mają schodzić się pojedynczo przez całe popołudnie, najlepiej bocznymi drzwiami, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi.

Bissell i Dulles wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Leo Kritzky podkreślił w raporcie dwa zdania i podał papiery Bissellowi, który rzuciwszy na nie okiem, zwrócił się do Kennedy'ego.

– Panie prezydencie, to oczywiste, iż kluczem do powodzenia operacji jest udany desant. A kluczem do udanego desantu, o czym mówiliśmy już wcześniej, jest pełna kontrola przestrzeni powietrznej nad wybrzeżem. Siły powietrzne Castro są niezbyt liczne... Przewidujemy, że ma dwadzieścia cztery maszyny zdolne unieść się w powietrze i tylko szesnaście gotowych do walki. Aby nasz plan się powiódł, musimy zniszczyć je na ziemi, zanim nadejdzie dzień D. Jeśli martwi pana nasza przykrywka...

– Martwi mnie – warknął Kennedy – że nikt przy zdrowych zmysłach w nią nie uwierzy. Możemy być pewni, że obóz komunistyczny zrobi z tego aferę w ONZ. Oczywiście całe światło zwróci się na nas. Znajdziemy się pod lupą. Adlai Stevenson będzie musiał złożyć bardzo przekonujące dementi...

– A może tak wysłalibyśmy do Miami jeszcze kilka B-26... – zaproponował Dulles.

– Z podziurawionymi skrzydłami – skomentował ironicznie Kennedy.

Rusk pochylił się do przodu.

– Spójrzmy prawdzie w oczy: żadna przykrywka nie będzie się trzymać kupy, dopóki wasi Kubańczycy nie zajmą pasa startowego w Zatoce Świń. Tylko wtedy możemy przekonać świat, że kubańscy bojownicy o wolność

rozpoczęli działania na własną rękę, bez porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi.

– Czy da się jakoś zredukować liczbę samolotów, Dick, żeby historia o dezterach wyglądała na bardziej prawdopodobną? – zapytał Kennedy.

Bissell szybko zorientował się, skąd wieje wiatr – jeżeli teraz nie ustąpi, nie będzie żadnych nalotów przed dniem D.

– Ostatecznie mógłbym ją zmniejszyć do sześciu. Po dwa na każde z trzech lotnisk. Potem można jeszcze powtórzyć nalot w przeddzień inwazji.

Napięcie zelżało. Prezydent wyglądał na przekonanego.

– To już lepiej brzmi. Jakoś to przeżyję – powiedział.

Spojrzał na Ruska, który niechętnie skinął głową.

– Wolałbym, żeby nie było żadnych samolotów, ale trudno, zgadzam się na sześć. I ani jednego więcej – oznajmił sucho sekretarz stanu.

Zebrani wokół stołu zaczęli zasypywać Bissella pytaniami. Jakie jest morale kubańskiej brygady? Czy dowództwo stanie na wysokości zadania? Czy rząd tymczasowy będzie wiarygodny? Skąd pewność, że część żołnierzy Fidela Castro złoży broń, a chłopcy przyłączą się do bojowników wolności?

Bissell odpowiadał z mieszaniną powagi i chłodnej pewności siebie. Brygada jest silnie zmotywowana i rwie się do walki. Gdy nadejdzie chwila prawdy, rząd emigracyjny stanie na wysokości zadania. Najświeższy raport CIA – CS-myślnik-trzy-ukośnik-cztery-siedem-zero – który dziś rano rozesłano do wszystkich zainteresowanych, wskazuje jasno, iż Castro z każdym dniem traci na popularności: odnotowano częste przypadki sabotażu i znacznie wzrósł odsetek wiernych uczęszczających do kościoła, a wśród ludności wiejskiej szerzy się coraz większe niezadowolenie.

W szeregach wysokich urzędników państwowych i oficerów kubańskiej armii znajdują się opozycjoniści, którzy zasieją ferment w strukturach władzy, jak tylko rozpocznie się właściwy desant.

Z drugiego końca stołu odezwał się Paul Nitze, zastępca sekretarza obrony do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego u Kennedy'ego. Zapytał, co się stanie z brygadą w razie odwołania inwazji. Dulles i Kennedy wymienili spojrzenia. Prezydent uśmiechnął się posępnie. Bissell przyznał, że spowodowałyby to spore komplikacje. To tysiąc pięciuset żołnierzy. Nie można ich ściągnąć z powrotem do Miami, taką liczbę ludzi trudno ukryć, tym bardziej że trzeba ich trzymać z dala od dziennikarzy.

– To już chyba tylko na Kubie – wtrącił z przekąsem Kennedy.

W ostatniej chwili zaprosił na naradę senatora Fulbrighta, który dowiedziawszy się o JMARC, przesłał prezydentowi prywatną notatkę z wyjaśnieniem, dlaczego sprzeciwia się tej operacji. Ogromne doświadczenie Fulbrighta w sprawach zagranicznych zapewniło mu wielki szacunek nawet wśród oponentów. Zapytany przez Kennedy'ego, co o tym wszystkim myśli, spojrzał na siedzącego *vis-à-vis* Bissella.

– O ile dobrze zrozumiałem pańską strategię, panie Bissell, wasza brygada ma sforsować przyczółek i pomaszerować do Hawany, zbierając po drodze ochotników.

DD/O przytaknął ostrożnie; nie był zadowolony, że prezydent dopuścił Fulbrighta do tak bliskiej współpracy.

Senator zaszczylił go bladym uśmiechem.

– Przypomina mi to powrót Napoleona z Elby w tysiąc osiemset piętnastym roku.

– Napoleon również zaczynał z tysiąc pięciuset ludźmi – odparował Bissell – a kiedy dotarł do Paryża, miał już całą armię.

– Trwało to zaledwie sto dni – zauważył Fulbright, po czym zwrócił się do prezydenta. – Porzućmy na chwilę te dywagacje i skupmy się na innej kwestii, tej mianowicie, iż inwazja na Kubę jest pogwałceniem kilku traktatów, jak również prawa amerykańskiego. Mówię o rozdziale osiemnastym Kodeksu Stanów Zjednoczonych, paragrafy od dziewięćset pięćdziesiąt osiem do dziewięćset sześćdziesiąt dwa, a także o rozdziale pięćdziesiątym, patrz aneks, paragraf dwa tysiące dwadzieścia jeden, który zakazuje werbowania do zagranicznej służby wojskowej na terenie USA, przygotowywania zagranicznych ekspedycji wojskowych i ekwipowania zagranicznej floty do służby przeciwko państwu, z którym nie jesteśmy w stanie wojny.

Rusk machnął ręką.

– Moim zdaniem sukces wszystko usprawiedliwia. Usankcjonował Fidela Castro, gdy ten zdobył władzę. Usankcjonował ojców założycieli tego kraju, gdy zbuntowali się przeciw rządowi brytyjskim. Zawsze uważałem, że Jefferson i Waszyngton zostaliby powieszani jako zdrajcy, gdyby wojna o niepodległość się nie powiodła.

Fulbright gniewnie potrząsnął głową.

– Panie prezydencie, Stany Zjednoczone potępiają Moskwę za to, że miesza się w sprawy suwerennych państw. Interwencja na Kubie otworzy drzwi sowieckiej interwencji na całym świecie...

– Sowieci już interweniują na całym świecie, senatorze – wtrącił Dulles.

Fulbright nie dawał za wygraną.

– Jeżeli zdecydujemy się na ten krok, jeżeli zaatakujemy Kubę, nie będziemy już mieć prawa ich potępiać.

– Zapomina pan, że operacja ma wyglądać jak inicjatywa samych Kubańczyków – zauważył Bissell.

Fulbright przeszył go wzrokiem.

– Nieważne, na jak bardzo kubańską będzie ta operacja wyglądać, bo i tak wszyscy, jak świat długi i szeroki, odpowiedzialność za ten incydent rzucą na Stany Zjednoczone i administrację Johna Kennedy’ego. – Tu senator zwrócił się znów do prezydenta. – Jeśli Kuba faktycznie stanowi takie zagrożenie dla naszych interesów narodowych, powinniśmy wypowiedzieć jej wojnę i wysłać tam naszych *marines*.

– Chciałbym się dowiedzieć, co myśli o tym każdy z was. Po kolei, tak jak siedzicie wokół stołu – zażądał prezydent.

Spojrzał na prawo od siebie w stronę Adolfa Berle’a, specjalisty Departamentu Stanu do spraw Ameryki Łacińskiej. Berle, stary wyga, liberał, który służył pod Franklinem Rooseveltem, zaczął rozważać rozliczne za i przeciw.

Kennedy przerwał mu szorstko:

– Nadal nie powiedziałaś, po której jesteś stronie, Adolfie. Powiedz krótko: tak czy nie?

– W takim razie gaz do dechy, panie prezydencie! – wykrzyknął Berle.

Rusk, który uczestniczył w planowaniu akcji partyzanckich w Chinach i Birmie podczas drugiej wojny światowej, nie był przekonany co do sukcesu całej operacji, czuł jednak, iż sekretarz stanu powinien twardo stać u boku prezydenta, i tak też uczynił teraz, całym sercem popierając przedsięwzięcie. Sekretarz obrony Robert McNamara, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego McGeorge Bundy, zastępca Bundy’ego Walt Rostow – wszyscy oni głosowali za JMARC. Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, Lyman Lemnitzer, i szef operacji marynarki wojennej, Arleigh Burke, wyrazili wątpliwość, czy Ameryka zdoła w sposób wiarygodny zdementować swój udział w interwencji, lecz przyparci do

mur przyznali, że zarówno CIA, jak i prezydent mają więcej doświadczenia w tego rodzaju sprawach niż armia. Nitze stwierdził, że jego zdaniem istnieje pięćdziesiąt procent szans na to, iż plan się powiedzie, ale pewność, z jaką Bissell mówił o tym, że ludność wyspy jak jeden mąż przyłączy się do buntowników, przeważa szalę na korzyść inwazji.

Kennedy zerknął na zegarek.

– Wiem, że dla nas wszystkich jest to twardy orzech do zgryzienia – zwrócił się do Bissella. – Znasz kwestię Jacka Benny’ego, kiedy bandyta przykłada mu broń do brzucha i krzyczy: „Pieniądze albo życie!”?

Bissell spojrzał tępych wzrokiem na prezydenta.

– Kiedy Benny nie odpowiada – ciągnął Kennedy – bandyta powtarza swoje żądanie: „Powiedziałem, pieniądze albo życie”. I wtedy Benny mówi „Właśnie się zastanawiam”.

Mało kto zdobył się na uśmiech.

Kennedy westchnął.

– I ja też się właśnie zastanawiam. Ile mam czasu?

– Okręty wypłyną z Gwatemali na sześć dni przed dniem D. Akcję można odwołać najpóźniej w przeddzień desantu.

Prezydent zmrużył oczy, skupiony na własnych myślach, jakby nagle został sam w pokoju pełnym ludzi.

– W południe – powiedział. – Szesnastego kwietnia.

Wybrzeże Moskitów było już ledwie wspomnieniem, gdzieś daleko za widnokretem, kiedy pięć zdezelowanych frachtowców, o pół dnia drogi od Puerto Cabezas w Nikaragui, sunęło na północ w stronę Kuby, pozostawiając za sobą spieniony, srebrzystoszary ślad. Siedząc na głównym pokładzie „Río Escondido”, oparty plecami o oponę furgonetki łączności,

Jack McAuliffe wypatrzył przez lornetkę błysk anteny radaru lotniczego na szczycie masztu amerykańskiego niszczyciela, o długość kadłuba od sterburty. Gdzieś tam, zasłonięty przez eskortujące go okręty, powinien płynąć lotniskowiec „Essex”, wyładowany odrzutowymi myśliwcami AD-4 „Skyhawk”. Krzepiąca była świadomość, że tuż za horyzontem znajdują się jednostki marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, osłaniające zdezelowane frachtowce i stłoczonych na nich tysiąc czterystu pięćdziesięciu trzech kubańskich bojowników wolności. Nad głową Jacka, na mostku, oficer floty handlowej ustawiał lusterka sekstansu na pierwszą planetę, która pojawi się na wieczornym niebie. Na pokładzie, pośród beczek z paliwem lotniczym, przywiązanych do pokładu rdzewiejącymi stalowymi łańcuchami, leżało na śpiworach i kocach stu osiemdziesięciu żołnierzy Szóstego Batalionu „La Brigada”. Niektórzy słuchali hiszpańskiej muzyki z przenośnych tranzystorów, inni grali w karty, jeszcze inni czyścili i oliwili broń.

– Sześć dni przed dniem D – powiedział Roberto Escalona, sadowiac się koło Jacka. – Jak dotąd, wszystko gra.

W górze, na dziobówce, kilku Kubańczyków wrzucało do wody puste puszki i strzelało do nich z automatów Browninga lub pistoletów maszynowych M-3. Ilekroć komuś udało się wcelować, rozlegał się okrzyk triumfu i zadowolenia. Z daleka wyglądali bardziej na dzieci zabawiające się na jarmarcznej strzelnicy niż na wojowników, zmierzających w stronę mrocznej doliny śmierci, jak powiedział kapelan brygady podczas wieczornej modlitwy.

– Sześć dni do dnia D – przytaknął Jack. – I wcale nie jest dobrze.

– W czym problem, *hombre*?

Jack rozejrzał się dookoła, potrząsając ze zniechęceniem głową.

– Przede wszystkim logistyka, Roberto. Z punktu widzenia logistyki ta operacja to beczka prochu. Czy słyszałeś kiedykolwiek o transportowcu, który wyrusza do walki, mając pod pokładem tysiąc ton amunicji, a na pokładzie dwieście beczek paliwa?

– Mówiliśmy o tym setki razy – odparł Roberto. – Castro ma tylko szesnaście sprawnych samolotów. Nasze B-26 zniszczą je, zanim jeszcze dotrzemy do plaży.

– Mogą przeoczyć jeden lub dwa – nie dawał za wygraną Jack. – A jeśli się okaże, że Castro zadołował kilka maszyn na czarną godzinę?

Roberto parsknął, zirytowany.

– Nad Bahía de Cochinos będziemy mieć parasol ochronny – argumentował. – Każdy kubański samolot, który przetrwa pierwsze naloty, zostanie zestrzelony przez myśliwce z lotniskowca, pilotowane przez ludzi nieznających ani słowa po hiszpańsku.

– Nadal wierzysz, że Kennedy rozpęta wojnę, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót?

Roberto zacisnął dłoń i uderzył się w pierś.

– Wierzę w Amerykę, Jack. Gdyby nie to, nigdy nie poprowadziłbym tych ludzi do walki.

– Ja też wierzę w Amerykę, Roberto, ale Ameryka nie powiedziała mi, jak mamy przenieść dwustukilowe beczki paliwa ze statku na plażę. A jeśli nie wyładujemy ich na brzeg, nasze B-26 nie będą mogły wystartować z pasa w Zatoce Świń.

Roberto tylko się uśmiechnął.

– Kiedy moi chłopcy poczują smak rychłego zwycięstwa, przeniosą góry.

– Po co zaraz góry – powiedział Jack. – Wystarczą beczki z paliwem.

Steward z mesy oficerskiej podał im na drewnianej tacy dwa blaszane kubki *añejo* – destylowanego rumu, na Kubie podawanego z kawą, a na pokładzie „Río Escondido” bez niczego, ponieważ popsuł się ekspres do kawy. Roberto przepił do Jacka i pociągnął łyk rumu.

– Dodzwoniłeś się do żony? – spytał.

– Tak. Szef załadunku w Puerto Cabezas pozwolił mi skorzystać ze swojego telefonu.

Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie tej rozmowy.

„Och, Jack, to naprawdę ty? Cholera, nie wierzę własnym uszom! – krzyczała Millie do słuchawki. – Skąd dzwonisz?”

„To nie jest bezpieczna linia, Millie” – ostrzegł ją Jack.

„O Boże, w takim razie zapomnij, że w ogóle pytałam. Ale i tak wiem, gdzie jesteś. Wszyscy wiedzą”.

„Przykro mi to usłyszeć – powiedział Jack i naprawdę było mu przykro. Dotarł już do niego artykuł z «New York Timesa» o operacji CIA w Gwatemali. – Jak mój synek?”

„Wspaniale! Wczoraj skończył osiem miesięcy i uczcił ten dzień, wstając po raz pierwszy bez niczyjej pomocy. Potem upadł też bez niczyjej pomocy. Ale nie płakał, Jack, tylko podniósł się znowu. Och, kochanie, jestem pewna, że jego pierwsze słowa będą brzmiały «raz kozie śmierć!». Nieodrodny syn swego ojca!”

„A co u ciebie? Trzymasz się jakoś?”

Na linii zapadła krótka cisza. Jack słyszał oddech Millie po drugiej stronie słuchawki.

„Daję sobie radę – odparła w końcu. – Tęsknię za tobą, Jack. Tęsknię za ciepłem twojego ciała w łóżku. Tęsknię za łaskotaniem twoich wąsów.

Gorąco mi się robi, kiedy sobie przypomnę, jak w Wiedniu włożyłeś mi rękę pod spódnicę...”

Jack roześmiał się.

„Chryste, gdyby to była bezpieczna linia, powiedziałbym ci, za czym ja tęsknię”.

„Chrzanić linię, powiedz mi, Jack” – szepnęła Millie.

Szef załadunku wskazał palcem na stojący przy nabrzeżu „Río Escondido”. Przez brudne okno Jack widział, jak marynarze zwijają ciężkie cumy.

„Muszę już kończyć, kochanie – powiedział. – Daj Anthony’emu dużego buziaka od tatusia. Przy odrobinie szczęścia powinienem być niedługo w domu”.

Millie wydawała się przybita.

„Wracaj, jak tylko będziesz mógł, Jack. Uważaj na siebie! Nie zniosłabym, gdybyś...”

„Nic mi nie będzie”.

„Kocham cię”.

„Ja też cię kocham, Millie”. – Przez chwilę słuchał jeszcze jej oddechu, a potem delikatnie odłożył słuchawkę na widełki.

– Jest coś, o co chciałem cię zapytać, *hombre* – wyrwał go z tych wspomnień Roberto.

– Wal śmiało.

– Wiem, co ja tutaj robię. Wiem, co oni tu robią – machnął ręką w stronę wylegających się na pokładzie Kubańczyków. – Ale nie wiem, co ty tu robisz, Jack.

– Jestem tu, bo dostałem rozkaz, żeby tu być i trzymać cię za rękę.

– Gówno prawda i ty dobrze o tym wiesz. Słyszałem, że sam się zgłosiłeś.

– To niezła okazja dla młodego oficera, który chce dochrapać się awansu.

– Też gówno prawda, *hombre*.

Strzelanina na dziobówce ustała. Zapadła noc, nagle, jak zwykle na Karaibach. Nad kiwającymi się czubkami masztów tańczyły gwiazdy. Fala, połyskująca od fosforyzujących wodorostów, ochlapywała burty starego kadłuba. Jack dokończył swój rum.

– Z początku – powiedział do Roberta – zostałem z wami z rozpędu. Przez ostatnie dziesięć lat, odkąd wysłali mnie do Berlina, bez przerwy byłem w ruchu. Po prostu nie mogłem usiedzieć na miejscu... A potem to była chyba ciekawość. Tam, skąd pochodzę, od małego wpajają człowiekowi, że w życiu ciągle trzeba się sprawdzać. – Pomyślał o Anthonym. – Wstajesz, upadasz i znowu wstajesz... W ten sposób uczysz się odkrywać samego siebie.

– A ty co odkryłeś?

– Rdzeń, podstawę, kamień węgielny, sedno. Ja, Jack McAuliffe, syn irlandzkiego imigranta, który przyplłynął za chlebem do Ameryki, jestem tu z wami, żeby znaleźć odpowiedź na odwieczne pytanie o istotę życia. Jak by ci to powiedzieć, Roberto? Myślę, że to, co odkryłem, warte było wiosłowania do utraty tchu.

Kubańskie centrum dowodzenia Dicka Bissella na parterze Oka Kwatery stało się miejscem działań, które jakiś dowcipniś z Firmy ochrzcił mianem przedśmiertnej autopsji zwłok JMARC, czyli ostatniej odprawy przed desantem w Zatoce Świń. Na sali ustawiono rzędami pięćdziesiąt składanych krzeseł. Pod ścianą, na blaszanych stolikach, czekały na głodnych lub spragnionych kanapki, napoje i termosy z kawą. Wywieszka

na wewnętrznej stronie drzwi informowała gości, że mogą robić notatki do późniejszej dyskusji, ale przed opuszczeniem sali zobowiązani są wrzucić je do kosza na materiały przeznaczone do spalenia. Dick Bissell, w rozchełstanej koszuli i niechlujnie zawiązanym krawacie, mówił bez przerwy przez godzinę i piętnaście minut. Odwróciwszy się tyłem do audytorium, zaznaczył markerem kilka punktów na plastikowej mapie, żeby zapoznać zebranych z aktualną pozycją pięciu frachtowców, transportujących Brygadę 2506 do Zatoki Świń, w rejon dwóch plaż, nazwanych Niebieską i Czerwoną.

– Mamy dzień D minus trzy i zaczyna się odliczanie – powiedział. – Samoloty z „Essex”, patrolujące przestrzeń powietrzną w rejonie działań, nie odnotowały wzmożonej aktywności Kubańczyków. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, U-2 startują zgodnie z rutynowym rozkładem. Wczorajszy lot zwiadowczy również nie dostarczył żadnych niezwykłych obserwacji.

Z pierwszego rzędu krzesel przerwał mu pułkownik piechoty morskiej, „przemalowany” na użytek operacji JMARC.

– Łącznościowcy z Wyspy Łabędziej meldują o częstej wymianie zaszyfrowanych depech pomiędzy centrum dowodzenia Castro i kilkoma jednostkami milicji na wyspie. Również Pentagon donosi o wzmożonym ruchu w eterze na linii Moskwa–Hawana.

Leo podniósł w górę palec.

– Jest też raport emigracyjnego rządu kubańskiego w Miami o dwóch milicjantach z Batalionu Trzysta Dwunastego, stacjonującego na Isla de Pinos, którzy wczoraj w nocy uciekli z wyspy kutrem rybackim na Florydę. Uciekinierzy twierdzą, iż wydano zakaz opuszczania terytorium kraju.

Bissell pociągnął łyk wody ze szklanki.

– To niepotwierdzone informacje – powiedział. – A co do wymiany depesz, to pragnę wam wszystkim przypomnieć, że już od lutego wiemy, iż kubański Sztab Generalny planuje na koniec marca lub początek kwietnia alarm próbny, żeby sprawdzić przygotowanie milicji na wypadek sytuacji awaryjnej. Akcja ta nosi kryptonim...

– *Culebras* – wtrącił Leo.

– Tak jest – zgodził się Bissell. – *Culebras*... Węże.

– A ta nadmierna aktywność Rosjan z czego, twoim zdaniem, wynika? – zapytał z drugiego rzędu Ebby.

Bissell bawił się skuwką pióra.

– Jeśli sprawdzisz ruch pomiędzy jakąkolwiek ambasadą sowiecką na świecie a Moskwą, zobaczysz, że zwiększa się z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień. Nie bardzo wiem, jakie wnioski mielibyśmy z tego wyciągnąć. Równie dobrze można by przypuszczać, że szyfrant z ambasady w Hawanie ma burzliwy romans z szyfrantką w Moskwie.

– Niezbyt przekonujące – mruknął Ebby.

Bissell przeszył go wzrokiem.

– A ty co byś wywróżył z tych fusów, Eb?

Ebby podniósł oczy znad swoich notatek.

– Z natury rzeczy każda porcja informacji wywiadowczych da się zinterpretować na wiele sposobów. Ale jest faktem, że ilekroć napotykamy coś, co mogłoby nas odwieść od realizacji JMARC, staramy się to zbagatelizować.

Nagle dla wszystkich stało się jasne, do czego zmierza: jeden z najbardziej szanowanych oficerów Firmy średniego szczebla, weteran nieudanych prób infiltracji agentów CIA za żelazną kurtynę we wczesnych

latach pięćdziesiątych, odznaczony Medalem za Wybitne Zasługi dla Wywiadu, ma złe przeczucia co do całej operacji. Na sali zapadła cisza.

– Nie wiem, co przez to rozumiesz, Eb. Sugerujesz, że nie jesteśmy zdolni do krytycznej oceny naszych działań?

– Niestety, tak. Chyba właśnie to miałem na myśli, Dick. Firma prowadzi akcję na Kubie, więc stała się ślepa na wszystko, co mogłoby temu przeszkodzić. Owszem, potrafimy odnieść się krytycznie do tego czy innego szczegółu, ale nigdy do operacji jako takiej. Powiedz mi, dlaczego nikt się nie zastanowił, czy przypadkiem cały plan nie jest jednym wielkim błędem?

– Wydaje mi się, że już trochę za późno na tego typu dyskusję.

– Nigdy nie kryłem moich wątpliwości. Byłem przeciwny przeniesieniu miejsca desantu z Trinidadu do Zatoki Świń, bo wiedziałem, iż uniemożliwi to późniejsze działania partyzanckie. A kiedy przydzielono mnie do grupy logistycznej, wystosowałem pismo, w którym wytknąłem, że nasze obsesyjne dążenie do wyparcia się jakiegokolwiek udziału Ameryki w inwazji źle wpłynęło na dobór sił i środków. Użyliśmy zdezelowanych statków transportowych o małej ładowności i przestarzałych bombowców B-26, które zamiast z Florydy, co dałoby im znacznie więcej czasu na zrealizowanie celu, startują z jakiegoś zadupia w Ameryce Środkowej. – Ebby, którego prześladowało poczucie, iż Firma potraktuje kubańskich bojowników wolności tak jak pięć lat temu Węgrów, przymknął oczy i potarł palcami powieki. – Może powinienem być bardziej stanowczy, powtarzać to wszystko do znudzenia...

Bissell machnął ręką, jakby się oganiał od natrętnej muchy.

– Jeśli to są twoje jedyne wątpliwości...

– To nie są moje jedyne wątpliwości, wcale nie... – najeżył się Ebby.

– Pan Ebbitt zdaje się zapominać, że mamy już za sobą podobną operację w Gwatemali – odezwała się z ostatniego rzędu jakaś młoda kobieta z grupy propagandowej.

Ebby stawał się coraz bardziej rozdrażniony.

– Jedynym skutkiem obalenia Arbenza są masowe represje – odparował, odwracając się do tyłu. – Proszę zapytać tamtejszych *campesinos*, czy odnieśliśmy sukces. Proszę ich zapytać, czy...

Bissell spróbował rozluźnić atmosferę.

– W porządku, Ebby. Po to tu jesteśmy. Powiedz nam, co cię jeszcze dręczy.

– Przede wszystkim – zaczął Ebby – nadal nie wiemy, czy tak zwany model gwatemalski zda egzamin na Kubie. Castro to nie Arbenz, nie wystraszy się tylko dlatego, że wysadzimy brygadę emigrantów na jednej z jego plaż. On nie podda się tak łatwo. Spójrzcie, czego dokonał: z garstką partyzantów popłynął na Kubę niewielkim jachtem, przedarł się w góry, wyczekał odpowiedniej chwili i kiedy Batista zaczął tracić grunt pod nogami, wkroczył do Hawany. Dzisiaj ma trzydzieści pięć lat, jest pewnym siebie, energicznym mężczyzną u szczytu władzy, a w rządzie i w armii otaczają go oddani ludzie, gotowi dla niego w ogień wskoczyć.

Ebby wstał, podszedł do stolika i nalał sobie filiżankę kawy. Na sali wciąż panowała cisza. Wrzucił dwie kostki cukru, zamieszał plastikową łyżeczką i odwrócił się do Bissella.

– Spójrz na to wszystko z innej perspektywy, Dick. Nawet jeśli inwazja się uda, cały świat będzie wiedział, że to robota CIA. JMARC sparaliżuje Firmę na długie lata. Naszym zadaniem jest wykradanie tajemnic, a następnie analizowanie tego, co się da z nich wydusić. Koniec kropka. Wykorzystanie Firmy do tego, żeby po cichu załatwiała sprawy, których

rząd nie chce załatwić jawnie, bo brakuje mu jaj, utrudni nam zbieranie informacji. Jaki mamy interes w tym, żeby organizować inwazję morsko-ładową na suwerenny kraj tylko dlatego, że rządzi tam facet, na którego wkurzyli się bracia Kennedy? Od tego jest armia: piechota morska, marynarka wojenna i lotnictwo... – Ebby otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu wzruszył ramionami i zamilkł.

Stojący na mównicy Bissell przez cały czas bawił się obrączką, zsuwając ją i wsuwając na palec, aż poczerwieniała mu w tym miejscu skóra.

– Ktokolwiek użył słowa „przedśmiertny”, wiedział, o czym mówi – wymamrotał niewyraźnie, a po sali rozszedł się nerwowy chichot. – Każdy, kto myśli, że nie zastanawialiśmy się nad tym, co mówi Ebbitt, źle nas ocenia. To, co powiedziałaś, Eb, i co wszyscy powtarzaliśmy sobie tyle razy, że słowa te brzęczą mi w uszach jak zacięta płyta, oznacza jedno: narażamy się na ogromne ryzyko. Ale niepodejmowanie ryzyka też bywa ryzykowne. Ryzykiem jest przeniesienie inwazji do Zatoki Świń. Ryzykiem jest użycie przestarzałych B-26 zamiast nowoczesnych skyhawków. Ryzykiem jest snucie domysłów, jak zareaguje na desant naród kubański i co zrobi wojsko. Naszym zadaniem jest skalkulować to ryzyko i rozważyć wszelkie plusy i minusy. I możecie mi wierzyć, że to uczyniliśmy...

Bissell zachrypł tak, że znów musiał napić się wody. Potem wyprostował się i wypiął pierś jak żołnierz na defiladzie.

– Chciałbym, abyście mnie dobrze zrozumieli. Wierzę w użycie siły, kiedy jest to konieczne, dla celów, które uważam za uzasadnione. Uwalniając naszą półkulę od Fidela Castro, oswobodzimy Kubańczyków z jarzma komunizmu. I dlatego podejmiemy to ryzyko, panie i panowie, i wygramy naszą małą wojnę o sto czterdzieści pięć kilometrów od wybrzeża Florydy.

Pułkownik piechoty morskiej uniósł pięść w geście zwycięstwa. Tu i tam rozległy się skąpe oklaski. Bissell, zażenowany, zaczął szperać w swoich notatkach.

– A teraz chciałbym powiedzieć parę słów o fałszywkach, jakie będziemy nadawać z Wyspy Łabędziej...

Później tego samego popołudnia, już po „przedśmiertnej autopsji”, grupka starych wyjadaczy zatrzymała Ebby’ego w korytarzu, żeby powiedzieć mu, iż wielu z nich podziela jego wątpliwości co do powodzenia i zasadności operacji JMARC; przyznali, że wszyscy popełnili ten sam błąd, myląc krytykę z nielojalnością. Potem w męskiej toalecie Ebby wpadł na Tony’ego Spinka, swojego byłego szefa z Frankfurtu. Spink, odpowiedzialny za zrzuty dla antycastrowskich *guerrilleros*, stwierdził, że Bissell i jego sztab wydają się tak cholernie pewni siebie, iż zaczyna podejrzewać, że wiedzą coś, o czym on nie wie, a co przeważa szalę na korzyść operacji.

– O co tu chodzi? – zapytał Ebby. – Może Kennedy po cichu dał Bissellowi do zrozumienia, że w razie czego gotów jest do zbrojnej interwencji?

Rozwahał przez chwilę taką ewentualność. Bissell, być może, liczy na to, że Kennedy w obliczu przegranej ustąpi i wyśle skyhawki, ale jeśli DD/O faktycznie tak myśli, to sam się oszukuje. Po co prezydent zadawałby sobie tyle trudu, żeby przeprowadzić tajną operację, jeśli potem miałby ją ratować jawną interwencją? To po prostu się kupy nie trzyma.

– Chyba masz rację – orzekł Spink. – Tu idzie o coś więcej, coś jak... – Spink, który zbliżał się do wieku emerytalnego i tęsknił już za normalnym życiem, wykrzywił twarz w uśmiechu. – Nie pracowałeś przypadkiem w Berlinie dla Torritiego, zanim przenieśli cię do Frankfurtu? – zapytał.

– Zgadza się – potwierdził Ebby. – Pracowałem dla niego, dopóki ktoś nie doniósł, że nazwałem go pijaczną.

– A co robi Czarnoksiężnik w Waszyngtonie? – zapytał Spink i zaraz sam sobie odpowiedział: – Podobno kieruje jakimś „Sztabem D” i zakłada podsłuchy.

Ebby zrozumiał, do czego zmierza Anthony.

– Czarnoksiężnik nie jest specem od łączności – powiedział.

Spink kiwnął głową.

– W czasie wojny miał konszachty z sycylijską mafią – przypomniał.

Nagle Ebby’ego oświeciło, o co chodzi przyjacielowi. Uśmiechnął się ponuro.

– Nie – powiedział. – To niemożliwe. Nawet Bissell nie podjąłby się czegoś takiego. Czy możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby to przeciekło do wiadomości publicznej? Nie, na pewno nie.

Spink uniósł znacząco brwi.

– A może jednak?

– Nie. Nie wierzę.

Ale od tej chwili Ebby nie mógł przestać o tym myśleć.

Wróciwszy po północy do małego domku, który wynajęli z Elizabet w Arlington, zastał żonę skuloną na kanapie w salonie, w przytulnym świetle nocnej lampki, ze szklaneczką szkockiej w jednej ręce i do połowy opróżnioną butelką na podłodze.

– Elliott, kochanie, nie uwierzysz, co mi się dzisiaj przytrafiło – oznajmiła bez wstępów.

Ebby zrzucił marynarkę i opadł zmęczony na miękkie poduszki, Elizabet wyciągnęła się, kładąc głowę na jego udzie.

– Co takiego? – zapytał.

– Po południu zadzwonili do mnie ze szkoły – zaczęła. – Znowu Nellie. Złapali ją, jak biła się z jakimś chłopcem. Był rok od niej starszy i o głowę wyższy, ale wcale jej to nie odstraszyło. Kiedy tam pojechałam, znalazłam ją u szkolnej pielęgniarki, z tamponami w nosie, bo leciała jej krew. Dyrektor ostrzegł mnie, że następnym razem wezwą policję. Podobno rodzice zaczynają się na nią skarżyć. Mój Boże, Elliott, on mówił o niej tak, jakby była młodocianym kryminalistą! Nasza mała Nellie... – Elizabet zachichotała nerwowo. – Będzie pierwszym jedenastolatkiem na liście poszukiwanych przez FBI. Oczywiście jej wersja wydarzeń różni się całkowicie od oficjalnej wersji dyrekcji. Powiedziała mi, że ten chłopiec, który nazywa się William, dokuczał jej, wyśmiewał się z obcego akcentu. Kiedy powiedziała mu, że urodziła się na Węgrzech, i zaczęła mówić po węgiersku, aby mu to udowodnić, stwierdził przy wszystkich dzieciach, że skoro tak, to na pewno jest zaszraną komunistką. Wtedy uderzyła go w twarz i rozcięła mu wargę. A on oddał jej prosto w nos. Muszę przyznać, że kiedy pobiła się po raz pierwszy, wydawało się to nawet zabawne, ale teraz już mi nie do śmiechu. Elliott, co ja mam z nią zrobić? Nie może przez całe życie nokautować każdego, kto ją wkurzy, nie?

– A niby czemu nie? Nasz rząd robi to samo – rzucił posepnie Ebby.

Jego nabrzmiały gniewem głos sprawił, że Elizabet nagle usiadła prosto. Przyjrzała się uważnie mężowi, próbując rozszyfrować wyraz jego twarzy, prawie niewidocznej w półmroku salonu.

– Elliott, kochanie, przepraszam... Coś cię dręczy, a ja zawracam ci głowę Nellie. Co się dzieje? Co się stało?

Ebby przytulił żonę i delikatnie pogłaskał jej okaleczoną w więzieniu pierś. Przytrzymała jego dłoń.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – spytała cicho po dłuższej chwili.

– Nie mogę.

– Znowu te twoje cholerne tajemnice?

Nie odezwał się.

– Jakaś afera?

– Ludzie, dla których pracuję, zaangażowali się w coś, co wybuchnie im prosto w twarz. Nie chcę brać w tym udziału. Postanowiłem, że rezygnuję z pracy w Firmie. Napisałem już podanie. Dałbym je Dullesowi jeszcze dzisiaj, ale już nie złapałem go w biurze. Pójdę do niego jutro, z samego rana.

– Powinieneś się z tym przespać, Elliott.

– To nic nie zmieni. Muszę jakoś zaprotestować przeciwko temu, co się tam dzieje. Kto wie, może reszta pójdzie w moje ślady? Być może uda nam się odwieść Bissella od...

– A więc to Bissell?

– Nie powinienem był tego mówić.

– Jak zwykle, nie muszę nic wiedzieć.

– Jesteś żoną szpiega, Elizabet. Znasz zasady.

Nie dała za wygraną.

– Skoro w sprawę zamieszany jest Bissell, to znaczy, że chodzi o Kubę. W gazetach pisali, że szkolicie emigrantów w Gwatemali. Coś się szykuje, prawda? O mój Boże, oni zaatakują Kubę! – Elizabet przypomniała sobie rewolucję na Węgrzech. – Czy Kennedy im pomoże? Wyśle wojsko?

– Bissell pewnie na to liczy. Myśli, że jest w stanie wpłynąć na prezydenta... Prawdopodobnie coś na niego ma.

– A co ty o tym myślisz?

– Wydaje mi się... Obawiam się, że to będą drugie Węgry. Historia się powtarza. Oni tam postawią wszystko na jedną kartę, licząc na pomoc Ameryki, ale pomoc nie nadejdzie. Będą musieli radzić sobie sami. Zginie bardzo wielu ludzi, kochanie.

Elizabet wtuliła twarz w jego ramię.

– Na pewno uda ci się ich przekonać...

– Wmawiają sobie, że się uda. W kółko to sobie powtarzają i chyba sami w to uwierzyli.

– Ale i tak uważam, że powinieneś się z tym przespać, kochanie. Pamiętasz, co powiedziałaś Arpádowi w koszarach Kilian, kiedy głosowałaś za poddaniem się Rosjanom? Że należysz do szkoły, która uczy: „Żyj, żebyś mógł jeszcze kiedyś stanąć do walki”. Kto im wyrąbie prawdę w oczy, jeżeli ciebie zabraknie? Kto im powie głośno, co o nich myśli?

– Po co się wysilać, skoro nikt nie słucha?

– Zawsze jest ktoś, kto słucha głosu rozsądku – odparła Elizabet. – Jeżeli przestaniemy w to wierzyć, naprawdę zginiemy.

Nieprzespana noc jedynie umocniła Ebby'ego w postanowieniu – naprawdę żył, żeby w a l c z y ć, i walczył. Nic nie było w stanie tego zmienić. CIA bez skrupułów wysyłała na front obywateli bratnich narodów, żeby toczyli za nią wojny, a sama, bezpieczna w fortecy „Ameryka”, obserwowała, ilu zdoła przeżyć. O dziesiątej rano Ebby przedarł się przez kordon sekretarek i ochroniarzy i pchnął uchylone drzwi gabinetu Dullesa. Dyrektor wyglądał jak własny cień. Siedział zgarbiony nad biurkiem i studiował notatkę, która miała się ukazać w następnym numerze „New York Times Magazine”.

– Ebbitt! – powitał gościa rozdrażnionym głosem, łypiąc złowrogo znad gęsto zapisanych kartek i nawet nie próbując ukryć irytacji; tylko kilku zastępców dyrektorów oraz szef kontrwywiadu mieli prawo wchodzić do zakrystii DCI bez pukania. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Chciałem dostarczyć to panu osobiście – powiedział Ebby i rzucił kopertę na biurko.

– Co to takiego?

– Moja rezygnacja.

Dulles wyjął podanie, szybko przebiegł je wzrokiem i włożył z powrotem do koperty.

– Nie mam zastrzeżeń do twojej służby – westchnął z udręką. – Nie przyjmę tej rezygnacji. Nie lubię ludzi, którzy opuszczają statek w chwili, gdy rusza do bitwy.

– Nie zasługuję na... – zaczął mówić Ebby.

Zadzwonął czerwony telefon. DCI podniósł słuchawkę, przez chwilę milczał i nagle wybuchnął.

– Czego chce?! Powiedz Huntowi, że to wykluczone – powiedział szorstko. – Rząd tymczasowy zwoła konferencję prasową wtedy, kiedy my im powiemy, i ani minuty wcześniej. Aż do tej pory będziemy się trzymać ustalonego scenariusza... Tak, zgadza się. Hunt wyda oświadczenie w ich imieniu.

Rzucił słuchawkę na widełki i znowu spojrzał na nieproszonego gościa.

– Są dwie możliwości, Ebbitt. Możliwość pierwsza: akcja wypali, a wtedy twoja rezygnacja będzie wyglądała po prostu głupio. Możliwość druga: akcja okaże się niewypałem, a wówczas Kennedy nie będzie obwiniał Eisenhowera o to, że rozpoczął JMARC, ani siebie samego o to, że zmienił miejsce desantu, bo bał się hałasu. Kennedy zwali całą winę na

CIA. I tak właśnie powinno być. Kiedy sprawy przybiorą zły obrót, ktoś musi wziąć winę na siebie. Prezydent nie może tego zrobić pod żadnym pozorem. A więc to mnie zmyją głowę, i słusznie. Dick Bissell też będzie skończony. Prasa nie zostawi na Firmie suchej nitki. Kongres powoła komisję śledczą, żeby stwierdzić, dlaczego nawaliliśmy, a fakt, że chodziło o likwidację komunistycznego reżimu, kwitnącego tuż pod naszym bokiem, nie będzie miał żadnego znaczenia. Jeśli JMARC okaże się fiaskiem, Firma będzie potrzebować takich ludzi jak ty, żeby pozbierali to wszystko do kupy, żeby ocalili to, co jeszcze da się ocalić, żeby kontynuowali tę żmudną i niebezpieczną robotę dla dobra kraju. Boże, dopomóż Stanom Zjednoczonym Ameryki, jeżeli Centralna Agencja Wywiadowcza polegnie w ogniu zimnej wojny. Ameryka potrzebuje ochrony, a lepsza taka niż żadna. Nadążasz za mną, Ebbitt?

– Chłonę każde pańskie słowo, dyrektorze.

– To dobrze. Nie puszczaj ich mimo uszu. – Rzucił Ebby’emu kopertę. – A teraz wynoś mi się stąd i wracaj do pracy.

– Niczego tak nie kocham, wierz mi, ale to po prostu niemożliwe.

– Kiedyś było możliwe – odpowiedział kobiecie głos po drugiej stronie słuchawki.

– Musisz mnie zrozumieć – nalegał Jack Kennedy. – Nie możemy spotykać się tak często, jak byśmy oboje chcieli. A już na pewno nie tutaj. Z równym powodzeniem moglibyśmy mieszkać w akwarium... Wszyscy wszystko widzą i wiedzą. Poczekaj chwilę, dobrze? – Prawdopodobnie zakrył ręką mikrofon, bo słowa dobiegały jakby z daleka. „Powiedz mu, że nie mogę teraz podejść do telefonu. Powiedz, że muszę to przemyśleć. Potem ściągnij tu Bobby’ego. Daj mu do zrozumienia, że to ważne”. Po

czym w słuchawce znów rozbrzmiał czysty, męski głos. – Jesteś tam jeszcze?

– Zawsze jestem pod ręką, jak wygodne kapcie...

– Niesprawiedliwie mnie osądzasz i dobrze o tym wiesz.

– Jak twoje plecy?

– Na razie w porządku. Przedwczoraj przyjechał tu Jacobson z Nowego Jorku i dał mi jeden ze swoich cudownych zastrzyków.

– Martwię się o ciebie. Nie wiem, czy powinieneś brać zastrzyki z amfetaminy...

– Ufam mu, to dobry lekarz. Wie, co robi. Słuchaj, muszę lecieć w sobotę do Nowego Jorku na zbiórkę funduszy.

– Żona jedzie z tobą?

– Ona nie cierpi tej propagandowej szopki. Chce zabrać dzieci do Hyannisport, do moich rodziców. Zostaną tam na cały weekend.

– W takim razie może ja przyjadę? Co ty na to?

– Wyjęłaś mi to z ust, Judy. Zarezerwuję dla ciebie pokój w „Carlyle” na twoje panięńskie nazwisko.

– O której kończy się ta feta?

– Około jedenastej trzydzieści.

– Do północy zapomnisz, że kiedykolwiek bolały cię plecy.

– Sama myśl o tym, że cię zobaczę, sprawia, że nic już mnie nie boli. – Odchrząknął. – Jest tam gdzieś Sal?

– W salonie...

– Sam?

– Sal nigdy nie jest sam. Zawsze włóczy się ze swoją świtą.

– Możesz poprosić go do telefonu? Tylko nie mów przy wszystkich, kto dzwoni.

– Nie urodziłam się wczoraj. Nie rozłączaj się... Do zobaczenia w sobotę. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i ciężkie, męskie kroki.

– Co tam? O co się rozchodzi?

– Jak leci, Sal?

– Powolutku, nie narzekam. A co u ciebie, Jack?

– W porządku. Jaka pogoda w Chicago?

– Dmucha, jak zawsze. Gdybym nie musiał pilnować interesów, jeszcze dzisiaj zwiążyłbym do Vegas. Jadę tam na weekend. Canary będzie w mieście. Frank byłby w siódmym niebie, gdybyś się z nim spotkał. Może zrobisz sobie krótki urlop i zabawisz się z nami?

– Niestety, nie mam teraz czasu dla przyjaciół. Ale nie zapomniałem, kto jest moim przyjacielem. Masz torbę, Sal?

– Judy dała mi ją, jak tylko wysiadła z pociągu. Dzięki, Jack.

– Słuchaj, Sal, co z tą drobną sprawą, którą się zajmujesz?

– Masz na myśli to, o co mnie prosił ten grubas?

– Jaki grubas? – zapytał zbity z tropu Jack.

Sal zarechotał.

– Ten, który gada po sycylijsku. Żłopie jak gąbka i nigdy się nie upija. Chciałbym wiedzieć, jak on to, kurwa, robi.

Do Jacka wreszcie dotarło.

– Już wiem, o kim mówisz.

– Tak myślałem, że będziesz wiedział. A więc jeśli chodzi o tę drobną sprawę, masz to jak w banku, Jack.

– Jesteś pewien? Muszę podjąć pewne decyzje. Dużo od tego zależy.

– Co to ma znaczyć, czy j e s t e m p e w i e n? Tylko dwie rzeczy są pewne na tym świecie, stary: śmierć i podatki – zachichotał Sal. – No dobra, żarty na bok. Spoko, to pewniak.

– Kiedy?

– Choćby zaraz.

– Ale pamiętaj, mnie w to nie mieszaj...

– Jack, Jack... Czy zrobiłbym ci coś takiego? – Sal wydawał się urażony.

– Mam sporo do stracenia.

– Zawsze jest sporo do stracenia, Jack. Wszędzie. Przez cały czas.

– W porządku.

– W porządziu. Słyszałeś, co ci pieprzeni Ruscy zrobili? Że wysłali tego palanta w kosmos? Tego Gagarina czy jak mu tam?

– Mam ludzi, którzy mnie informują o takich rzeczach na bieżąco, Sal – zauważył Jack cierpko.

– No, nie wiem... Jakoś się tym nie przejąłeś. A myślałem, że to my, Amerykanie, pierwsi polecimy rakieta. Zrobili nas, Jack. Wyszliśmy na durniów.

– Dopilnuj tego, o czym mówiliśmy, Sal, to Chruszczow sam wyjdzie na durnia.

– W porządziu. A czy dobrze słyszę, że Bobby ma dać wycisk Hoffie?

– Skąd masz takie wiadomości?

– Papużka szepnęła mi do uszka. Słuchaj, Jack, nie obchodzi mnie, co twój braciak ma do Hoffy, dopóki będzie się trzymał umowy między mną a twoim ojcem. Może się pieprzyć z całym Detroit, aż mu jaja zsinieją. Ale Chicago niech zostawi w spokoju.

– Niech cię o to głowa nie boli, Sal. Możesz spać spokojnie.

– Cieszę się, że tak mówisz, Jack. Ulżyło mi. Serio.

Kennedy roześmiał się serdecznie.

– Pozdrów ode mnie Franka.

– Nie ma sprawy. Chcesz jeszcze pogadać z Judy?

– Nie. Jestem za bardzo zajęty. Wyluzuj, Sal.

– Spoko, spoko... Zawsze jestem wyluzowany. To mi wychodzi najlepiej. Ty też sobie trochę odpuść, Jack.

– Na razie, Sal.

– Na razie.

Arturo Padrón pedałowal na swoim ciężkim chińskim „Latającym Gołębium” przez brudne uliczki w centrum Hawany. Skręcił w zaułek na tyłach hotelu „Libre”, gdzie zatrzymywali się bogaci Kubańczycy, zanim Castro wkroczył do miasta. Zanedbane domy, zajęte przez dzikich lokatorów, wyglądały jak wraki wyrzucone na brzeg – powyrywane dachówki odsłaniały ziejące w więźbie dziury, ganki zapadały się pod ciężarem bujnie rozrosłego zielska i pnączy, w ogródkach włóczyły się stada wygłodniałych kotów. Padrón, mężczyzna w średnim wieku, z przerzedzonymi włosami, opadającymi na nadnaturalnych rozmiarów uszy, przywiązał łańcuchem rower do zardzewiałego żelaznego płotu, wszedł do hotelu wejściem dla pracowników i ruszył w dół po schodkach do szatni. Otworzył szafkę i błyskawicznie przebrał się w jasnobrązowy uniform kelnera i czarne buty z metką „Made in China” po wewnętrznej stronie języków. Buty były dla niego za ciasne i skrzypiały, kiedy chodził. Obiecano mu nową parę, jak tylko przyjdzie kolejna dostawa. Po drodze do przestronnej kuchni, sąsiadującej z hotelową kawiarnią, zawiązał na szyi czarną muszkę. Pchnął podwójne wahadłowe drzwi i krzyknął kilka słów

powitania do czterech kucharzy, pocących się nad rzędem kuchenek gazowych. Jeden z nich, staruszek, który pracował tu, gdy hotel nosił jeszcze nazwę „Hawana”, posłał Padronowi porozumiewawcze spojrzenie i skinął nieznacznie podbródkiem w stronę gabinetu kierownika. Padrón rozłożył ręce, jakby zamierzał zapytać: „O co chodzi?”, gdy nagle drzwi gabinetu otwały się i stanęło w nich dwóch milicjantów w zielonych mundurach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kazali mu wejść do środka. W pierwszej chwili chciał się rzucić do ucieczki. Zerknął przez ramię i w wahadłowych drzwiach kuchni zobaczył jeszcze dwóch. Rozchylili kabury i położyli dłonie na kolbach rewolwerów. Padrón przywołał na swoją smutną, pociągłą twarz niewinny uśmiech i niespiesznie wkroczył do pokoju dyrektora. Usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi. Za biurkiem stał elegancki mężczyzna z równo przystrzyżoną rudawą bródką.

– Padrón Arturo? – zapytał.

Padrón wierzchem dłoni otarł z czoła kroplę potu.

– Tak, to ja. Padrón Arturo.

– Ma pan kuzyna imieniem Jesús, który posiada dwusilnikową łódź motorową „Chris Craft”, zacumowaną w porcie Cojímar? Podobno za opłatą przewozi nią Kubańczyków do Miami.

Padrón poczuł ostry ból w klatce piersiowej i nagle zabrakło mu tchu. W gazetach widział zdjęcia tego mężczyzny stojącego za biurkiem. Był to sam Manuel Piñeiro, szef kubańskiej bezpieki.

– Mój kuzyn ma łódź, *señor* – odparł – ale co z nią robi, tego nie wiem.

Piñeiro zgiał palec i kiwnął na Padrona, żeby podszedł bliżej. Popchnięty przez jednego z milicjantów, skrzypiąc butami, kelner zrobił kilka kroków w stronę biurka.

– Pański kuzyn Jesús zeznał, iż dostał polecenie, żeby bak z paliwem i zapasowe kanistry były zawsze pełne. On sam miał przez cały tydzień siedzieć wieczorami w domu i czekać na telefon z umówionym hasłem. Gdyby usłyszał w słuchawce fragment z Listu do Koryntian: „Albo jeśli trąba brzmi niepewnie, któż będzie się przygotowywał do bitwy?”^[28], powinien natychmiast wyruszyć w morze, zabrać pana z plaży Miramar, oddalonej stąd o parę minut drogi na rowerze, i przewieźć do Miami. Miał za to dostać dwanaście i pół tysiąca amerykańskich dolarów.

Z twarzy Padrona odpłynęła cała krew.

– Nie jestem religijny – kontynuował Piñeiro, kiwając dobrodusznie głową, jakby chciał mu dodać otuchy – ale jako dziecko musiałem chodzić do kościoła, żeby zadowolić dziadków. Zapadło mi wówczas w pamięć jeszcze jedno zdanie z Pisma Świętego: „Biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził”^[29].

Nagle zmienił ton.

– Proszę opróżnić kieszenie i wyłożyć wszystko na biurko – rzucił ostro.

Trzęsącymi się dłońmi Padrón zrobił, co mu kazano. Piñeiro porozsuwał przedmioty koniuszkami palców: scyzoryk, trochę monet, kilka listków gumy do żucia, pomietą chusteczkę, wykałaczki, resztki nitki dentystycznej, dwie kostki cukru owinięte w szary papier, jakiego używano w kawiarni, nietkniętą paczkę radzieckich papierosów, pudełko zapalek, zegarek bez paska, kupon loterii, dwa małe kluczyki, pasujące do kłódki przy łańcuchu, którym „Latający Gołąb” przywiązany był do żelaznego ogrodzenia za hotelem, pustą do połowy buteleczkę z aspiryną Bayera, wymiętą fotografię dziecka w kołysce i drugą, przedstawiającą sztucznie uśmiechniętą kobietę o apatycznych oczach, i wreszcie dowód osobisty z podniszczonym zdjęciem młodszego i szczuplejszego Padrona.

– A teraz zadam panu kilka pytań – powiedział Piñeiro, świdrując wzrokiem kelnera, który nerwowo przygryzł dolną wargę. – Pierwsze: ile miał pan dostać za zamordowanie Fidela Castro?

– O niczym nie wiem. – Padrón zaczerpnął głęboko powietrza. – Przysięgam na grób mojej matki. Przysięgam na głowę mego synka.

– Drugie: kto wydał panu rozkaz?

– Nie otrzymałem żadnych rozkazów...

– Trzecie: kto jeszcze uczestniczy w spisku?

– Jak Bóg mi świadkiem, nie ma żadnego spisku.

Piñeiro przyjął jego zapewnienia z głupawym uśmieszkiem. Sięgnął po fiolkę aspiryny. Następnie zdjął wieczko i wysypał tabletki na stół. Pochylając się nad pigułkami, rozłożył scyzoryk Padrona i ostrzem porozsuwał drażetki. Z początku nie zauważył między nimi żadnej różnicy. Podniósł wzrok, a dostrzegłszy przerażenie w oczach kelnera, znów zaczął grzebać palcem w pigułkach, starannie oglądając jedną po drugiej. Nagle wykrzyknął triumfalnie:

– A więc o to chodzi!

Odsunął na bok jedną pigułkę, potem drugą i trzecią. Wyprostował się i patrząc kelnerowi prosto w oczy, powiedział:

– Lepiej by było dla pana, gdyby się pan nigdy nie narodził.

Padrón zrozumiał, że ten wyrok jest gorszy niż śmierć.

Kiedy Piñeiro skinął na milicjantów, kelner błyskawicznie porwał ze stołu jedną z tabletek, wepchnął ją sobie do ust i szybko rozgryzł. Dwaj funkcjonariusze chwycili pod ramiona jego zwiotczałe nagle ciało. Przytrzymali je przez chwilę, a potem opuścili na podłogę, patrząc w popłochu na swego przełożonego, niepewni, czy nie obarczy ich winą za to, co się stało.

Piñeiro odchrząknął.

– Oszczędził nam kłopotu z egzekucją – powiedział.

Czarnoksiężnik, w przekrzywionym jaskrawym krawacie, poplamionym szkocką, w niezmiętej od kilku dni koszuli, której kołnierzyk zdążył już poszarzeć, w okularach zsuniętych na czubek nosa i kompletnie zamazanych lepkim brudem, pochylał się nad dalekopisem United Press, zainstalowanym w kącie centrum dowodzenia, przeglądając wiadomości, które przesuwają się mu między palcami.

– Jest coś z Hawany?! – zawołał Dick Bissell z kabiny ciszy, nie odrywając wzroku od przezroczystych, plastikowych plansz, które przedstawiały aktualną sytuację taktyczną. Na ogromnej mapie pięć frachtowców, z Brygadą 2506 na pokładzie, znajdowało się już o rzut kamieniem od wybrzeży Kuby. Dwa amerykańskie niszczyciele, które tej nocy miały poprowadzić siły inwazyjne do Zatoki Świń – oczywiście, o ile prezydent nie odwoła całej operacji – krążyły w pobliżu, niewidoczne za linią horyzontu. Dwa desantowce CIA, wylądowane mniejszymi łodziami desantowymi typu LCU i LCVP, które miały przewieźć żołnierzy na plażę, dobijały do miejsca spotkania niedaleko brzegów wyspy.

– Zwykle weekendowe pieprzenie – odparł Torriti. Schylił się, wyjął plastikową butelkę po wodzie mineralnej i nalał sobie wódki do brudnego kubka z fusami po kawie. – Jest coś o radości wędkowania na głębokim morzu u wybrzeży Hawany i o kubańskiej rodzinie, od pięciu pokoleń produkującej cygara.

Bissell nie mógł usiedzieć na miejscu. Krążył nerwowo od ściany do ściany, zerkając co chwila na tablicę kodów operacyjnych, jakby chciał nauczyć się ich na pamięć. W centrum dowodzenia panował ożywiony ruch. Bez przerwy ktoś wchodził i wychodził. Jedni wpadali jak burza, żeby

skorygować wynikię w ostatniej chwili błędy, inni znosili sterty depesz do podpisu. Leo Kritzky przyniósł wycinki prasowe na temat Kuby z ostatnich dwudziestu czterech godzin oraz tekst przemówienia do ochotników z cywilnej obrony przeciwlotniczej w Hawanie, w którym Fidel Castro po raz kolejny wychwalał zalety socjalizmu. Sekretarka Leo, Rosemary Hanks, zjawiała się z koszem świeżych kanapek i zapasem szczoteczek do zębów dla tych, którzy spali na miejscu i zapomnieli wziąć z domu własnych. Allen Dulles zgłaszał się od czasu do czasu na bezpiecznej linii, żeby dowiedzieć się, czy Jack Kennedy dał wreszcie sygnał do rozpoczęcia akcji. Wielki zegar ścienny odmierzał sekundy, doprowadzając wszystkich do szału głośnym tykaniem, które brzmiało w ich uszach niby seria głuchych detonacji, coraz donośniej, w miarę jak długa wskazówka przesuwiała się w kierunku dwunastej – ostatecznego terminu, jaki Bissell dał prezydentowi na odwołanie inwazji.

Jeszcze w przeddzień rozpoczęcia nalotów na trzy główne bazy lotnicze Castro operacja JMARC miała kiepskie rokowania. Meldunki z teatru działań nie napawały optymizmem – przesłane do Pentagonu zdjęcia samolotu zwiadowczego U-2, ukazujące rozmiar zniszczeń, potwierdziły przypuszczenia, iż uszkodzono zaledwie pięć maszyn; trafiono też kilka sea fury i odrzutowców szkoleniowych T-33, ale specjaliści od fotografii lotniczych nie byli w stanie orzec, czy są sprawne, czy nie. Mogli jedynie zgadywać, ile maszyn stało wewnątrz hangarów i w okolicznych stodołach, a ile ocalało z bombardowania. Na domiar złego Adlai Stevenson, ambasador USA przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, skłął Ruska na czym świat stoi, oskarżając go, iż zrobił z niego idiotę. Kiedy bowiem Rosjanie rozpętali w ONZ burzę z powodu ataku na Kubę, Stevenson wymachiwał im przed nosem fotografią dwóch B-26, które wylądowały w Miami, i przysięgał, że za naloty odpowiedzialni są dezenterzy

z kubańskich sił powietrznych, a Ameryka nie ma z tym nic wspólnego. Przykrywka (w którą Stevenson, dzięki wysiłkom CIA, święcie wierzył) została spalona, gdy dziennikarze zauważyli charakterystyczne metalowe nosy samolotów i doszli do wniosku, iż nie mogą to być kubańskie maszyny, jako że wszystkie zakupione przez Fidela Castro B-26 miały nosy plastikowe. Stevenson, wściekły, że został „celowo wyprowadzony w pole” przez własny rząd, cały gniew wyładował na Rusku. Jeszcze w niedzielę rano echa tej afery odbijały się donośnym echem w korytarzach Białego Domu.

Ostateczny termin Bissella minął, ale DD/O wcale się tym nie przejął. Miał swoje powody: poinformował prezydenta, że w niedzielę o dwunastej frachtowce znajdą się tak blisko wybrzeży Kuby, że nie będzie już odwrotu, w rzeczywistości jednak zostawił sobie margines błędu, gdyż dopiero o czwartej po południu okręty miały przekroczyć „linię krytyczną”. Zgromadzeni w centrum dowodzenia wpatrywali się w czerwony telefon, a zegar nieubłaganie odmierzał sekundy. Ebby i Leo nalali sobie kawy z żaroodpornego dzbanka i poszli pogadać do pokoju Leo.

– Byłem gotów rzucić to wszystko – zwierzył się Ebby przyjacielowi, opadłszy ciężko na krzesło. – Złożyłem nawet rezygnację.

– I co?

– I nic. Dulles pouczył mnie, że nie opuszcza się tonącego statku.

Leo pokręcił głową.

– Sam nie wiem... Wcale nie jest powiedziane, że JMARC musi skończyć się klapą.

– Wierzysz w cuda?

– Bissell czeka na wieści z Hawany. Jeszcze wszystko może się zmienić – powiedział półgłosem Leo.

Ebby pociągnął łyk kawy.

– Nie przejmujesz się tym, że największa światowa potęga próbuje usunąć z tego padołu buńczuczny przywódce maleńkiego wyspiarskiego państewka tylko dlatego, że zagrał jankesom na nosie? Toż to, na miłość boską, klasyczny przypadek słonia rozdeptującego mrówkę.

Leo wzruszył ramionami.

– Nie płacą mi za to, żebym roztrząsał moralne dylematy – odburknął.

– Wygląda na to, że tutaj nikt nie ma żadnych dylematów – zżymał się Ebby.

Przysiadłszy na brzeжку biurka, Leo w zamyśleniu szperał wśród dokumentów.

– Powiedzmy, że Castro przeżyje – rzucił w przestrzeń. – Wtedy operacja miałaby szanse powodzenia.

– Brednie! Desant, owszem, może się udać, jeśli zapewnimy im osłonę z powietrza. Ale co potem? Castro i jego brat, Raul, i ten ich kumpel Che Guevara nie odejdą na wcześniejszą emeryturę w Związku Radzieckim. Jeżeli przegrają, wycofają się w lasy Sierra Maestra i rozpoczną wojnę partyzancką. Tito też walczył przeciw Niemcom w górach Jugosławii i nie mogli sobie z nim dać rady. W górach Castro, w Hawanie rząd tymczasowy, zmontowany i wspierany przez CIA... Wiesz, czym to się skończy? Wybuchnie wojna domowa, która może potrwać nawet dziesięć, dwadzieścia lat!

– Mam nadzieję, że się mylisz – westchnął Leo.

– Boję się, że mam rację – powiedział Ebby.

W centrum dowodzenia zadzwonił czerwony telefon. Wszyscy zamilkli nagle i zwrócili głowy w stronę aparatu. Czarnoksiężnik odłożył dalekopis United Press i przyczłapał bliżej biurka. Ebby i Leo, zdyszani, stanęli

w otwartych drzwiach. Bissell, zgarbiony, z trudem trzymając nerwy na wodzy, podszedł powoli do telefonu. Z ociąganiem sięgnął po słuchawkę.

– Bissell – powiedział.

Milczał przez dłuższą chwilę, słuchając uważnie. Napięcie zniknęło stopniowo z jego twarzy.

– Tak jest, panie prezydencie – rzekł w końcu. – No pewnie...! Dziękuję, panie prezydencie.

Uśmiechając się szeroko, odwiesił słuchawkę i uniósł oba kciuki.

– Co powiedział? – zapytał Torriti.

– Powiedział: „Zaczynajcie!” – odparł rozradowany Bissell i wyprostował się, jakby poczuł nowy przypływ energii. – No dobra, zaczynamy zabawę. Leo, przekaż zaszyfrowany sygnał na „Essex” i do Jacka McAuliffe’a. Potem połącz się z Wyspą Łabędzią. Czas puścić w ruch propagandę. I ściągnij mi tu Hunta z Miami. Niech ruszy tyłek! Jak tylko pierwsi Kubańczycy dotrą na plażę, musimy nadać przez radio oświadczenie rządu tymczasowego. Panie i panowie, właśnie wlewamy w doktrynę Monroego nowe życie.

I wtedy wszyscy zaczęli mówić naraz. W centrum dowodzenia zawrzało. Po raz pierwszy od kilku dni głucho detonacje przesuwającej się po tarczy zegara ściennego wskazówki utonęły w ogólnym zgiełku. Na plastikowej planszy z wielką mapą Karaibów frachtowce przesunęły się w kierunku brzegów Kuby. Bissell, z grupką speców od fotografii, zasiadł nad wydrukami zdjęć zwiadowczych i zakreślił na czerwono wszystkie pasy startowe, hangary i zbiorniki z paliwem. Wezwano na konsultację dwóch generałów z Pentagonu. Do wieczora zweryfikowana wersja planu operacyjnego została zaszyfrowana i wysłana do bazy powietrznej CIA

w Retalhuleu, gdzie B-26 miały załadować bomby i amunicję w celu przeprowadzenia decydującego ataku w dniu D minus jeden.

Wieczorem DD/O odebrał telefon od Ruska i obaj rozmawiali przez dobrych kilka minut o Adlaiu Stevensonie. Kiedy Bissell napomknął, że maszyny brygady szykują się do drugiego nalotu, w słuchawce zaległa cisza.

– Oddzwonię jeszcze do ciebie w tej sprawie – odezwał się w końcu Rusk.

– Jak to oddzwonisz? – zapytał niemile zaskoczony Bissell.

– Prezydent wzywa mnie dziś do siebie, do Glen Ora. Wyjechał tam na weekend, ale przedtem długo dyskutowaliśmy. Zastanawia się, czy nie wstrzymać tego nalotu – wyjaśnił Rusk. – Nie jest pewien, czy to rozsądne.

– Przecież został już zatwierdzony...

– Oddzwonię do ciebie – nie ustępował Rusk.

Parę minut później sekretarz stanu znów był na linii. Przekazał Bissellowi, iż prezydent, wobec ostatniej afery w ONZ, odwołał drugi atak. Nie zgodzi się na żadne naloty, dopóki brygada nie zajmie pasa startowego w Zatoce Świń. Dopiero wtedy Ameryka będzie mogła w sposób wiarygodny dowieść, iż B-26 startują z ziemi kubańskiej.

Oświadczenie Ruska rozpętało istną burzę w centrum dowodzenia. Ebby wodził rej wśród tych, którzy uznali, że CIA zdradziło brygadę.

– Byłoby zbrodnią rozpoczynać desant w tych okolicznościach – grzmiał, waląc pięścią w ścianę. – Zredukowali liczbę bombowców z szesnastu do sześciu już przy pierwszym ataku. Teraz odwołali drugi. Brygada nie będzie miała żadnych szans, jeżeli Castro wyśle swoje samoloty do zatoki.

W pomieszczeniu wrzało jak w ulu. Zapominano o randze i szarży, młodszy oficerowie nie dawali dojść do słowa starszym. Awantura zwabiła

cały personel. Wszyscy zbiegli się, żeby popatrzeć na kłótnię dowództwa. Zresztą cała ta dyskusja okazała się bezproduktywna. Kości zostały rzucone. Było już za późno, żeby zawrócić statki, które w tej właśnie chwili, w ślad za dwoma amerykańskimi niszczycielami, przekradały się do Zatoki Świń.

Bissell pojechał z Leo do Departamentu Stanu, aby namówić Ruska i Kennedy'ego do zmiany decyzji. Sekretarz cierpliwie wysłuchał argumentów i zgodził się zadzwonić do prezydenta. W krótkich słowach przedstawił mu całą sprawę: CIA domaga się wznowienia nalotów, ponieważ frachtowce są zbyt łatwym celem z powietrza i Bissell obawia się, że jeśli nie ponowimy natarcia i nie zniszczymy pozostałych maszyn na ziemi, żołnierze brygady zostaną wystrzelani jak kaczki.

– Moim zdaniem, panie prezydencie, operacje tego typu nie są uzależnione od osłony powietrznej w tym samym stopniu, co morsko-łądowe operacje w czasie drugiej wojny światowej. Wziąwszy to pod uwagę, zalecałbym daleko posuniętą ostrożność, choćby ze względu na sprzeciw, z jakim pierwszy nalot spotkał się na forum ONZ, i powstrzymałbym się od dalszych akcji tego typu. – Rusk przez chwilę słuchał w milczeniu, a potem przesłonił dłonią słuchawkę i powiedział krótko: – Prezydent się ze mną zgadza.

Wyciągnął słuchawkę do Bissella.

– Chce pan z nim sam pomówić?

Bissell, który ledwo się trzymał na nogach po kilku nieprzespanych nocach w Oku Kwatery, popatrzył na Leo i zniechęcony potrząsnął głową.

– Skoro prezydent podjął już decyzję – powiedział znużonym głosem – chyba nie ma sensu zawracać mu głowy, prawda?

Po powrocie do centrum dowodzenia Bissell usiłował znaleźć dobre strony zaistniałej sytuacji. Było wielce prawdopodobne, że duża część kubańskich maszyn bojowych została unieszkodliwiona w czasie pierwszego natarcia. Owszem, mogły przetrwać jakieś T-33, niegroźne samoloty ćwiczebne, być może nawet nieuzbrojone. Poza tym, argumentował B., prezydent nie jest głupi. Dał swoje błogosławieństwo dla operacji, więc niewykluczone, że jeszcze się złamie i zezwoli na to, by odrzutowce z „Essex” wkroczyły do akcji, gdyby samoloty Castro faktycznie pojawiły się nad plażą.

– A jeżeli Kennedy nie ustąpi? – dopytywał się Ebby.

Bissell nie odpowiedział. Przygarbiony, nagle postarzały, w milczeniu krążył od ściany do ściany.

– Masz coś nowego?! – zawołał do pochylonego nad dalekopisem Czarnoksiężnika.

Grubas kopnął stojące na podłodze pudło, wypełnione białymi zwojami papieru.

– Na razie nic – wymamrotał.

– Cholera, nie słyszę cię.

– NA RAZIE NIC! – wrzasnął na całe gardło Torriti.

Na krótko przed północą DD/O odebrał kolejny telefon od mocno zirytowanego sekretarza stanu. Prezydent chce wiedzieć, oznajmił lodowato Rusk, gdzie oni teraz są. Bissell porównał zaszyfrowane fragmenty wiadomości z kodami operacyjnymi na tablicy. Płetwonurkowie brygady przedostali się już na wyspę, żeby oznakować drogę migającymi światłami podejścia. Załogi łodzi przygotowały się do desantu. Za chwilę trzy LCU i cztery LCVP zaczną zabierać żołnierzy z frachtowców, a po upływie piętnastu minut popłyną w stronę obu plaż, Czerwonej i Niebieskiej. Zanim

nadejdzie świt, tysiąc czterystu pięćdziesięciu trzech członków Brygady 2506 znajdzie się na brzegu.

Rusk wymamrotał coś o konieczności wycofania statków handlowych z pola widzenia, zanim wzejdzie słońce. Zamilkł na chwilę i dodał, że prezydenta gnębi jeszcze jeden drobny, choć istotny szczegół. Chce się mianowicie upewnić, że żaden Amerykanin nie zejdzie z Kubańczykami na ląd.

Bissell obiecał, że do tego nie dopuści. Nie miał najmniejszego zamiaru wysyłać Amerykanów na brzeg.

NIEBIESKA PLAŻA, ZATOKA ŚWIŃ, PONIEDZIAŁEK, 17 KWIETNIA 1961

Ludzie z pierwszej fali desantu, z twarzami umazanymi sadzą z pieca w kambuzie, zarzucili na ramię zapasowe ładownice i pochylili głowy na błogosławieństwo kapelana brygady.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, amen* – zaintonował ksiądz i Kubańczycy z Szóstego Batalionu zaczęli schodzić po drabinkach sznurowych na pokład LCU, kołyszącej się na falach przy burcie „Río Escondido”. Dwie LCVP, wyladowane czołgami i ciężarówkami, terkotały w pobliżu, a woda pluskała cicho o ich tępe dzioby.

Jack, w polowym mundurze i spadochroniarskich butach, z dyndającą u pasa czterdziestkapiątką, zszedł ostatni. Planował tę akcję od tygodni. Teraz, kiedy znalazł się niemal u celu, nie mógł, mimo wyraźnych rozkazów Bissella, pozostać na frachtowcu i obserwować operacji przez lornetkę. To po prostu nie wchodziło w rachubę. Nie dla potomka pięściarza, niepokonanego McAuliffe’a, którego nazwisko było legendą County Cork. Musi to zrobić dla Roberta Escalony i jego chłopców, musi pokazać kubańskim bojownikom wolności, że Ameryka na tyle jest pewna wygranej, że wysyła na brzeg jednego ze swoich ludzi.

Na pokładzie łodzi ktoś złapał Jacka za ramię.

– *Hombre*, co ty właściwie wyprawiasz? – zapytał Roberto Escalona.

– Schodzę z wami na ląd – odparł Jack.

– Nie – powiedział Roberto. – Nie zrozum mnie źle. Jestem ci wdzięczny za pomoc, ale teraz to już wyłącznie nasza sprawa.

– Nie bój się, nie będę się wtrącał. Rozejrzę się trochę, żeby móc zdać w Waszyngtonie relację z pierwszej ręki, i zaraz wracam na statek.

– Nigdy nie dajesz za wygraną? – uśmiechnął się Escalona. – Będziesz wioskował do utraty tchu...

– Chyba można tak to nazwać – przyznał Jack.

Roberto odchrząknął znacząco. Kilku żołnierzy odwróciło głowy. Widać było, że obecność Amerykanina dodaje im otuchy. Escalona dał znak marynarzom, którzy odepchnęli LCU od opon wiszących na zardzewiałym kadłubie frachtowca. Ponton zanurzył się we wzburzonych falach i ruszył ku mrugającym na brzegu czerwonym światłom.

Jack przykucnął wśród Kubańczyków, którzy szeptali coś między sobą po hiszpańsku. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Roberta, stojącego obok sternika. Dowódca brygady przesłonił dłonią oczy, wpatrując się w nocny mrok przez mgiełkę wilgotnej, słonej bryzy. W pewnej chwili machnął ręką w prawo. Sternik zmniejszył prędkość i skręcił w stronę kamiennego nabrzeża.

– Jeszcze niecałe sto metrów! – zawołał Roberto, starając się przekrzyczeć huk fal i szum wiatru.

Wtem pod dnem łodzi rozległ się okropny zgrzyt. Ostre skały rafy koralowej przebiły kadłub. Ponton zakołysał się gwałtownie i znieruchomiał. Skulony obok Jacka mężczyzna zachłysnął się i z jękiem chwycił za nogę. Ktoś zapalił latarkę. Otumaniony, zamroczony nagłym uderzeniem żołnierz podążył wzrokiem za smugą światła. Ostry jak brzytwa koral odciął mu stopę nieco powyżej kostki. Z otwartej rany tryskała strumieniem krew. Obok kołysał się na wodzie w zębie wojskowy but z żywym mięsem w środku. Obecny na pokładzie lekarz zdjął pasek od spodni i ścisnął nim łydkę rannego mężczyzny, ale nie zdołał zatamować

krwotoku. LCU z wolna nabierał wody. Roberto, klnąc na czym świat stoi, skoczył do ładowni.

– Twoi ludzie przysięgali, że ta plama na zdjęciach to tylko wodorosty! – wrzasnął Jackowi prosto do ucha.

– Jezu Chryste, wyłącz ten cholerny motor! – krzyknął Jack do sternika.

Escalona zawołał do swoich ludzi:

– Szybko, wszyscy za burtę! Jesteśmy osiemdziesiąt metrów od brzegu... Nie powinno być głęboko.

– *Qué haremos con él?*^[30] – zapytał lekarz, zaciskając mocniej pasek na łydce rannego, który bezwładnie osunął się na pokład. Zabarwiona czerwono woda pluskała łagodnie wokół niego.

Roberto dotknął szyi żołnierza i potrząsnął gwałtownie głową.

– *Muerto*^[31] – powiedział.

Po dwóch, po trzech Kubańcy, trzymając karabiny wysoko nad głową, zsuwali się za burtę tonącego statku. Jackowi woda sięgała do pasa. Ciemne sylwetki powoli brnęły do brzegu, zmagając się z naporem fal. Zostało im do przebycia jeszcze jakieś czterdzieści metrów, kiedy od strony plaży dobiegł warkot silnika i pisk hamulców. Dwa snopy światła omiotły morze. Oślepieni blaskiem reflektorów bojownicy wolności ujrzeli wysypujących się z ciężarówki milicjantów. Jack wyrwał karabin stojącemu obok żołnierzowi i zaczął strzelać. Inni oprzytomnieli wreszcie i poszli w jego ślady. Milicjanci odpowiedzieli wściekłą salwą z karabinów, a potem, wlokąc ze sobą rannych i zabitych, zaczęli wycofywać się pod osłonę gęstego lasu po drugiej stronie nadbrzeżnej drogi. Reflektory zgasły. W ciemności Roberto krzyknął na swoich ludzi, żeby przerwali ogień i ruszyli w kierunku plaży.

Inny batalion, na prawo od nich, również dotarł już do kamiennego mola i parł teraz w głąb lądu, w stronę niewielkiego pawilonu, na którym połyskiwał neon „U Blanca”. Na lewo kolejny oddział opuścił tonącą LCVP. Żołnierze, ostrzeliwując się gęsto, dopadli brzegu i przeciąwszy piaszczysty pas, pobiegli w kierunku stojących na skraju plaży bungalowów. Jack przykucnął za stertą taczek. Obok przyklęknął jeden z Kubańczyków i wypalił ze swojej siedemdziesiątkipiątki w pierwszy z brzegu domek, w którego oknach, niczym świetliki, błyskały małe światełka. Pocisk trafił w dach. W jednej chwili wszystko stanęło w płomieniach. W szafranowej, migotliwej poświacie ognia niedobitki milicjantów wycofały się na pobliskie pola.

I nagle nocą zawładnęła przeraźliwa cisza. Słyszeć było tylko świerszcze w lesie i pomruk generatora na tyłach bungalowów. Roberto stanął na molu, podniósł w dłoni garść piachu i wygłosił krótką mowę. Ci, którzy mogli go dosłyszeć, odpowiedzieli radosnym okrzykiem. Potem wszyscy ruszyli dalej w głąb lądu, żeby zająć szosę, miasto Girón i trzy drogi na groblach, wiodących przez bagna Zapata. Żołnierze jednego z pododdziałów natknęli się na starego chevroleta, zaparkowanego za jednym z domków. Zapalili silnik i pojechali zdobywać pas startowy.

Jack postanowił sprawdzić plażę. Kilku rannych z brygady przeniesiono do prowizorycznego szpitala polowego w jednym z betonowych bungalowów. Na drzwiach innego Roberto Escalona wydrapał symbol „G-2” i urządził tam swoją kwaterę główną. Na tyłach domków Jack znalazł zakrwawione ciała trzech żołnierzy Castro z 339 Batalionu Milicji, leżące twarzą do ziemi. Przyglądał się im przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, co właściwie przywiodło brygadę na Kubę. Czy cel uświęcił środki? Czy warto po to zabijać i dać się zabić?

Odpowiedzi na te pytania nie były łatwe. Nagle cała zimna wojna – igraszki mocarstw zonglujących wielkimi ideami – sprowadziła się w jego oczach do tych ciał na plaży i krwi wsiąkającej w ten piasek.

Idąc dalej wzdłuż brzegu, natknął się na młodziutkiego kaprała z ogromnym radiem przytroczonym do pleców. Chłopak przycupnął za rozwalonym dżipem, podtrzymując rękami głowę poległego oficera brygady. Jack delikatnie ułożył na piasku bezwładne ciało martwego żołnierza i skinąwszy na kaprała, by szedł za nim, zawrócił w stronę baru „U Blanca”. Wewnątrz szafa grająca nadal połykała płyty; przy monotonnym akompaniamencie zgrzytów i trzasków z głośnika płynął przebój Chubby’ego Checkera: *Twist again like you did last summer*. Na stołach wały się puszki po kubańskim piwie i kostki domina. Niewielki *fogón*, piecyk na węgiel, leżał na podłodze, podziurawiony kulami. Jack przysunął sobie krzesło i opadł na nie bez sił; do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest wyczerpany. Kiwnął palcem na kaprała. Chłopak odłożył radio pod ścianę i podszedł bliżej.

– *Debes tener un nombre, amigo?*^[32] – zapytał Jack.

– Orlando, *señor*.

– *De dónde eres?*^[33]

Chłopiec machnął ręką w stronę bagien.

– *Soy de aquí. De Real Campiña, qué está al otro lado de Zapata*^[34].

– Witaj w domu, Orlando.

Jack podał mu zwitek papieru, na którym miał zapisane dwie awaryjne częstotliwości lotniskowca „Essex”. Radiotelegrafista, dumny, że asystuje jedyńemu jankesowi na plaży, wyciągnął antenę i dostroił aparat. Jack z wysiłkiem wstał z krzesła i zachwiał się jak pijany. Otrząsnął się, aby rozjaśnić sobie umysł, i zatoczył się po pomieszczeniu.

– Może ty mi powiesz, co ja tu, kurwa, robię – powiedział.

Radiotelegrafista nie rozumiał po angielsku.

– *Qué dice, señor?*

Jack roześmiał się i poklepał chłopaka po kościstym ramieniu.

– W porządku, stary. Cokolwiek tu robimy, zrobmy to dobrze. – Chwycił za mikrofon i zawołał: – Przystanek na Żądanie! Tu Kombinator z Północy, słyszysz mnie? Odbiór!

Przez szумы i trzaski przedarł się daleki głos, mówiący po angielsku z rozwlekłym, południowym akcentem.

– Przyjąłem, Kombinatorze z Północy... Tu Przystanek na Żądanie... Słyszę cię wyraźnie. Odbiór!

– Przekaż Kermitowi Trumnie: pierwsza faza operacji zakończona. Początkowe cele w naszych rękach. Lekko ranni. Przynajmniej jedna LCU i jedna LCVP z ciężkim sprzętem i zapasem amunicji rozbiły się na rafie i zatoniły niedaleko od brzegu. Czekamy na wyładunek amunicji i furgonetki z przenośnym sprzętem radiowym z „Río Escondido” i szpitala polowego z „Houstona”.

Jack miał się już rozłączyć, kiedy radiotelegrafista z „Essex” nadał dla niego wiadomość: „Centrum informacji bojowej melduje, że Castro nadal posiada sprawne samoloty. Spodziewajcie się ataku o świcie. Wyładujcie ludzi i zapasy i odeślijcie statki w morze najszybciej, jak to będzie możliwe”.

Jack krzyknął do mikrofonu:

– A co z tym pieprzonym parasolem powietrznym, który miał być rozpostarty nad plażą?!

Łącznościowiec z „Essex” odpowiedział krótko:

– Powtarzam: atak nastąpi o świcie. Wyładujcie ludzi i zapasy i jak najszybciej odeślijcie statki w morze.

– Jak mamy to wszystko wyładować? LCU i LCVP nie mogą podejść do brzegu przez tę cholerną rafę. Do świtu nie da rady. Musimy czekać na poranny przypływ. Odbiór.

– Zaczekaj chwilę, Kombinatorze z Północy.

Również trzy minuty później radiotelegrafista odezwał się znowu.

– Tu Przystanek na Żądanie. Trumna mówi, że to jakieś nieporozumienie. Tam nie ma żadnej rafy, tylko wodorosty. Odbiór.

Jack zaczął mówić wolno i dobitnie.

– Tu Kombinator z Północy. Proszę łaskawie zapytać Trumnę, czy kiedykolwiek słyszał, żeby wodorosty rozpruły kadłub statku i odcięły człowiekowi stopę?

To rzekłszy, wyłączył mikrofon.

Bissell, zwykle tak opanowany, dostał białej gorączki, kiedy Leo przyniósł mu wiadomość z „Essexa”. Zdenerwowało go nie tyle to, co Jack powiedział, ile fakt, że kąd nadał swój meldunek.

– Zszedł na ląd! – wykrzyknął z niedowierzaniem.

– Jest razem z Szóstym Batalionem na Niebieskiej Plaży, Dick – powiedział Leo.

– Kto, na miłość boską, pozwolił mu schodzić na brzeg?

– Najwyraźniej zrobił to z własnej inicjatywy...

DD/O wziął się w garść.

– W porządku. Połącz się z „Essexem”. Chcę przekazać rozkazy. Utrzymuj z nimi łączność, dopóki ludzie Escalony nie wyładują furgonetki

ze sprzętem radiowym. A McAuliffe niech ruszy tyłek i wraca migiem na statek, nawet gdyby miał płynąć w pław.

Bissell sprawdził godzinę i podszedł do mapy. Nie podobało mu się to, co zobaczył. Nadchodził świt, a frachtowce wciąż tkwiły w wąskim gardle Zatoki Świń. Do tej chwili powinny już dawno pozbyć się swego cennego ładunku i odpłynąć bezpiecznie na otwarte morze. Zdawało mu się, że słyszy daleki, złowrogi pomruk nadchodzącej katastrofy. Próbował go zagłuszyć, ale złowróżbny dźwięk brzmiał coraz natarczywiej, świdrował w uszach, rozsadzał głowę.

W Miami Howard Hunt zamknął kubański rząd tymczasowy w kryjówce i wydał w jego imieniu „Biuletyn numer jeden”: „Dzisiaj przed świtem kubańscy patrioci rozpoczęli walkę o wyzwolenie naszej ojczyzny spod rządów Fidela Castro...”

Z Wyspy Łabędziej na Morzu Karaibskim potężny przekaznik CIA wzywał wojsko kubańskie do buntu: „Żołnierze! Zajmijcie wszystkie punkty strategiczne, drogi i węzły kolejowe! Tych, którzy odmówią wykonania waszych rozkazów, aresztujcie albo zastrzelcie! Wszystkie samoloty muszą pozostać na ziemi...” W przerwach – w ramach wojny psychologicznej, mającej na celu przekonanie Fidela Castro, że powstanie już wybuchło i ogarnęło całą wyspę – nadawano rzekome szyfrogramy dla podziemnej armii: „Pierwsza pełnia po równonocy wzejdzie dziś przed świtem. Powtarzam: pierwsza pełnia po równonocy wzejdzie dziś przed świtem. Las stoi w krwistoczerwonych płomieniach. Powtarzam: las stoi w krwistoczerwonych płomieniach. Morze Karaibskie pełne jest meduz. Powtarzam: Morze Karaibskie pełne jest meduz...”

Gdy nadszedł oczekiwany przypływ, zaczęto wyładowywać ekwipunek. Roberto z radości ucałował pierwszy z trzech czołgów, które majestatycznie wytoczyły się z desantowca, i natychmiast wysłał je na groblę, żeby wzmocnić jednostki blokujące drogi. Nadzy do pasa mężczyźni, utworzywszy żywy łańcuch, rozciągnięty w poprzek plaży aż do zamienionego w wojskowy magazyn bungalowu, podawali sobie z rąk do rąk pudła z mielonką i puszki amunicji. Na bezchmurnym niebie nad zatoką, jakieś trzydzieści kilometrów na północ w kierunku Czerwonej Plaży, wytrysnęła cienka smużka dymu – samotny sea fury przemknął tuż nad taflą morza i trafił rakieta frachtowiec „Houston”. Bojownicy wolności stali na brzegu i patrzyli bezradnie, jak płonący okręt nabiera wody. „Houston” szedł na dno, zabierając ze sobą żołnierzy Piątego Batalionu, szpital polowy i tony amunicji. Wielu utonęło, próbując dopłynąć do plaży, a ci, którym się udało, nie nadawali się już do walki.

Przy końcu mola na Niebieskiej Plaży chłopak obsługujący jedno z kilku działek przeciwlotniczych na brzegu obserwował przez lornetkę niebo na północy. Nagle zamarł w bezruchu.

– Sea fury! – krzyknął.

– Sea fury! Sea fury! – powtarzali rozproszeni na plaży ludzie, rzucając się w popłochu do prowizorycznych okopów.

Jack, który drzemał na podłodze w barze „U Blanca”, wypadł w pośpiechu na ganek. Znad bagien Zapata nadlatywały dwie wrogie maszyny. Jedna z nich odłączyła się, zatoczyła koło i ruszyła wzdłuż linii brzegowej, prując piasek ogniem z karabinów maszynowych. Jack wskoczył w dziurę, którą jeszcze w nocy wykopał w piachu pod gankiem. Bojownicy leżeli na plecach pod osłoną umocnień i strzelali do samolotu, który sunąc tuż nad ich głowami, zawracał, żeby powtórzyć nalot. Drugi sea fury szorował niemal brzuchem po falach, kierując się wprost na

bakburtę „Río Escondido”, zakotwiczonego w odległości trzech kilometrów od brzegu. Wystrzelił osiem rakiet, po czym wyprysnął pionowo w górę, umykając przed plującymi ogniem działkami frachtowca. Siedem z wystrzelonych przez sea fury pocisków wpadło do morza niedaleko celu. Ósmy ugodził statek tuż pod mostkiem kapitańskim, zapalając kilka beczek z paliwem. W ułamku sekundy pożar ogarnął prawie cały pokład. Ukryty w swoim dołku Jack widział marynarzy, którzy chwyciwszy gaśnice, daremnie walczyli z rozszalałym żywiołem. Wkrótce potem usłyszał stłumiony huk i naraz potężna eksplozja wstrząsnęła frachtowcem – zajęły się zapasy amunicji w ładowni. Ludzie w pomarańczowych kapokach wyskakowali do morza, a obok nich płomienie strzelały dziesiątki metrów w górę. Na kilka minut statek przesłoniły chmury dymu, a kiedy opadły, Jack ujrzał sterczącą pionowo rufę „RE” z obracającymi się jeszcze w powietrzu śrubami, po czym statek zanurzył się powoli w oleistych wodach Zatoki Świń.

Z kominów dwóch pozostałych frachtowców, które szły teraz pełną parą w morze, unosił się czarny dym.

Sea fury po raz ostatni przeleciały nad plażą, strzelając do nieosłoniętych ciężarówek, i zniknęły nad bagnami. W barze Jack kazał swojemu kubańskiemu kapralowi złapać przez radio „Essex”.

– Wołam Przystanek na Żądanie! Wołam Przystanek na Żądanie! Tu Kombinator z Północy. Dwie maszyny zaatakowały plażę i statki. „Río Escondido” dostał i zatonął. Powtarzam: „Río Escondido” zatonął. Straciliśmy paliwo lotnicze, furgonetkę ze sprzętem radiowym i amunicję. Pozostałe frachtowce wzięły dupę w troki i właśnie wychodzą w morze. – Uśmiechnął się na myśl o tym, co zaraz powie. – Bądź także uprzejmy przekazać Trumnie, że nie wracam na pokład „Río Escondido”, bo jest pod wodą.

Z „Essex” popłynął lakoniczny głos.

– Przyjąłem, Kombinatorze z Północy. Skoro nie ma furgonetki ze sprzętem radiowym, musimy utrzymać ten kanał. Jedyne meldunki z Niebieskiej Plaży mamy od ciebie. – Coś zatrzeszczało i głos, nagle jakby zdyszany, powiedział: – Centrum informacji bojowej ma zdjęcia z jednego z naszych skyhawków. Dostrzeżono oddziały wroga w sile dziewięciuset żołnierzy. Powtarzam: widziano batalion złożony z dziewięciuset ludzi. Zbliżają się do środkowej grobli, prowadzącej do Girón i na pas startowy. Nasz pilot naliczył sześćdziesiąt, powtarzam: sześćdziesiąt pojazdów, w tym kilkanaście czołgów „IS-3”.

– A gdzie obiecany parasol powietrzny? – zapytał Jack.

– Kombinatorze z Północy, meldujemy trzy brygady B-26 sto dwadzieścia kilometrów stąd, będą u was niedługo. Życzę szczęścia.

– Będziemy potrzebować czegoś więcej niż szczęścia – odparł Jack, po czym wyłączył mikrofon.

Wyszedł na ganek i zapatrzył się na migotliwe fale upalnego powietrza, unoszące się na horyzoncie nad bagnami Zapata. Słyszał dalekie pomruki armat, kiedy kolumna Castro otaczała jednostkę, blokującą drogę na środkowej grobli. W parnej mgłę widział stada ptaków wzbijające się do lotu i kołujące nad polem bitwy.

Młody kapral podszedł do niego i wskazał ręką w niebo.

– *Buitres* – wyszeptał.

Jack wziął głęboki oddech.

– Sępy – powtórzył.

W Waszyngtonie Millie Owen-Brack w bardzo przekonujący sposób udawała, że jest bez reszty pochłonięta pracą. Zlecono jej przygotowanie

materiałów prasowych dla Allena Dullesa, który miał udzielić nieoficjalnego wywiadu pewnemu felietoniście, uchodzącemu za przyjaźnie nastawionego do CIA. Dyrektor zamierzał dać mu jasno do zrozumienia, że chociaż Ameryka solidaryzuje się z kubańskimi rebeliantami, Firma nigdy nie angażowała się w organizację desantu w Zatoce Świń ani w żaden sposób nie pomagała kubańskiej brygadzie podczas samej inwazji. Millie, która myślami była daleko stąd, po raz dziesiąty z rzędu przerabiała drugi akapit, zmieniając „w żaden sposób” na „jawnie”, żeby potem to wykreślić i napisać „nie udzieliła militarnej pomocy”. Zostawiła to i dodała jeszcze „logistycznej”, po czym usiadła wygodniej i zaczęła czytać wszystko od początku. Zamyślona, gapiła się w okno. Już tydzień temu na ulicy zaczęły kwitnąć drzewa czereśniowe, ale ani w powietrzu, ani tym bardziej w jej sercu nie czuło się jeszcze wiosny.

Dwie koleżanki z pokoju zerkały na nią znad swoich biur, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. Wiedziały, że Millie martwi się o męża, którego tajemnicze zniknięcie miało jakiś związek z inwazją w Zatoce Świń.

Późnym rankiem zadzwoniła sekretarka któregoś z dyrektorów, pytając o Millie.

– Tak, jest tutaj. O co chodzi? – odparła ta, która odebrała telefon.

Millie uniosła wzrok znad papierów.

– Kto to?

– Ktoś pytał, czy jesteś w biurze.

Millie uznała to za zły omen.

– Jest poniedziałek. Gdzie mam być, jak nie tutaj, na miłość boską?

Po chwili w korytarzu rozległy się czyjeś spieszne kroki. Millie gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Bardzo dobrze pamiętała ów dzień

sprzed dwunastu lat, kiedy do jej ciasnego gabinetu weszli Allen Dulles, wówczas jeszcze DD/O, i jego zastępca Frank Wisner i powiedzieli, że jej mąż został zastrzelony na granicy chińsko-birmańskiej. Dulles, elokwentny w oficjalnych kontaktach z pracownikami, ale zupełnie bezradny, gdy w grę wchodziły uczucia, odwrócił głowę i ukrył twarz w dłoniach, na próżno szukając jakichś słów pociechy. Tylko Wisner objął ją ramieniem i powiedział, jak bardzo jest im przykro, że sprawy potoczyły się w ten sposób. Zapewnił ją, że nie musi martwić się o byt. Firma roztacza opiekę nad swoimi wdowami.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało Millie z tych wspomnień.

– Proszę! – zawołała.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczył Allen Dulles. Postarzał się bardzo przez ostatnie parę miesięcy i zmizerniał. Zniknęła gdzieś jego energia, przepadł optymizm. Przygarbiony, bez cienia uśmiechu w poważnej twarzy, dyrektor stanął nad biurkiem Millie.

– Niech pani nie wstaje – powiedział i opadłszy na sąsiednie krzesło, w milczeniu zaciągnął się fajką.

Wreszcie podniósł wzrok i napotkał pełne przerażenia oczy Millie.

– O Boże – westchnął. – Powinienem to powiedzieć od razu... Niepotrzebnie się pani martwi, nie przynoszę złych wieści.

Millie odetchnęła głęboko, ale jej serce nadal waliło jak szalone.

– Dobrych też nie... – ciągnął Dulles.

Zerknął na pochylone nad biurkami kobiety.

– Czy koleżanki mogłyby...?

Kiedy zostali sami, Millie spojrzała na niego wyczekująco.

– Tak, a zatem... – odchrząknął. – Dzisiaj rano samoloty Castro zatopiły dwa frachtowce, a wśród nich „Río Escondido”, na którym płynął Jack. Ale

jego już tam nie było. Samowolnie opuścił statek i zszedł na ląd razem z pierwszą grupą bojowników. Okazuje się, że dobrze zrobił. Furgonetka ze sprzętem radiowym brygady poszła na dno, lecz Jack utrzymuje łączność z „Essexem”, więc mamy wiadomości z pierwszej ręki.

– Kiedy z nim rozmawialiście? – zapytała Millie.

Dulles spojrzął na zegarek i z namaszczeniem zaczął go nakręcać.

– Jakież trzy kwadransy temu. Wtedy dowiedzieliśmy się o zatonięciu „Río Escondido”.

– Jak tam jest?

– Nie najlepiej. – Dulles przymknął oczy i potarł brwi. – W zasadzie tragicznie. Są praktycznie uwięzieni na plaży. Niedługo zabraknie im amunicji. Żołnierze Castro zacieśniają pierścień.

– Nie jest chyba za późno...

– Przykro mi. Statki, które nie zatonęły, odpłynęły już daleko w morze.

Millie świetnie zdawała sobie sprawę z absurdalności całej sytuacji: ona, specjalista do spraw public relations, siedzi tu i omawia szczegóły operacyjne z szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Z pewnością możecie zorganizować zrzuty...

– Nie, dopóki samoloty Castro są w powietrzu. Jack Kennedy odmówił kategorycznie... – Dulles nie dokończył zdania.

– Jak robi się naprawdę gorąco – powiedziała Millie – wyrwiecie stamtąd Jacka, prawda?

– Oczywiście – odparł, a w jego głosie zabrzmiała dawna energia. – Nie pozwolimy, żeby oficer CIA dostał się w łapy Fidela. Wiem, przez co pani przeszła... – Ponownie odchrząknął. – Chciałem, aby pani wiedziała, co się tam naprawdę dzieje... Gdyby rozeszły się plotki o zatopieniu frachtowców, mogłaby się pani przestraszyć, że Jack...

Millie wstała i podała mu dłoń.

– To miło z pańskiej strony, dyrektorze, że mimo natłoku spraw...

Dulles wstał.

– Moja droga, chociaż tyle mogłem dla pani zrobić.

– Będzie pan mnie dalej informował, co się dzieje z Jackiem?

– Naturalnie.

– Dziękuję, panie dyrektorze.

Dulles skinął głową. Przez chwilę zastanawiał się, co by tu jeszcze powiedzieć. Potem zacisnął usta, odwrócił się i wyszedł.

We wtorek wczesnym rankiem Jack, który po krótkiej drzemce tryskał energią, siedział w bungalowie G-2 w towarzystwie Roberta Escalony. Chrupiąc sucharki i popijając kawę z puszki, omawiali zaistniałą sytuację. Ciężka artyleria Fidela otoczyła plażę; jego czołgi i moździerze wkrótce znajdą się w zasięgu rażenia. Prowizoryczny szpital polowy był przepełniony rannymi, a kostnica trupami żołnierzy. Rezerwa amunicji skurczyła się niebezpiecznie; jeżeli frachtowce nie wrócą do Zatoki Świń i nie rozładują zapasów, wkrótce nie będzie czym strzelać. No i ten nieszczęsny parasol powietrzny... Bez odrzutowców z „Essexa” przestarzałe B-26, telepiące się na Kubę aż z Gwatemali, nie mają żadnych szans. Na domiar złego trzy z nich zostały zestrzelone tego ranka podczas ataku na siły Castro na grobli. Jednostki brygady blokujące przejścia na bagna poniosły poważne straty. Roberto nie był pewien, jak długo uda im się bronić bez wsparcia. A kiedy już raz się wycofają, nic nie powstrzyma ciężkich czołgów „IS-3” przed szarżą na plażę.

Jack poczekał na przerwę w ostrzale i pobiegł do baru „U Blanca”, żeby złożyć poranny meldunek dla „Essexa”. Przed południem wyszedł na ganek

i rozejrzał się przez lornetkę po zatoce. Nadal nie było widać żadnego frachtowca. Wdrapał się na dach. Wychylony do połowy z małego okienka połaciowego, majtając nogami nad głową Orlanda, obserwował białe smugi, ciągnące się za przecinającymi niebo samolotami. Potem zwrócił lornetkę na północny wschód, gdzie wrzała bitwa o środkową groblę.

– To było świństwo – mruknął do siebie pod nosem, z dezaprobatą potrząsając głową.

Myślał o tym, co zrobił Millie, schodząc z brygadą na ląd. Nie móc się oprzeć pokusie, która każe ryzykować życie, to jedno, ale narażać ukochaną żonę na powtórne wdowieństwo – to już zupełnie co innego.

– Pan prezydent i pani Kennedy!

Jack Kennedy, wystrojony w elegancki frak i białą muszkę, wkroczył do Pokoju Wschodniego w Białym Domu. W tej samej chwili orkiestra wojskowa, wystrojona w odświętne czerwone mundury, zagrała *Mr. Wonderful*. Jackie, w zielonych kolczykach i długiej do ziemi, turkusowej sukni, która odsłaniała jedno ramię, trzymała męża pod rękę. Wśród blisko osiemdziesięciu zaproszonych gości rozległy się oklaski. Jack, uśmiechając się szeroko, jakby nie miał żadnych zmartwień, zaprosił żonę do tańca.

Potem, już osobno, ruszyli na obchód sali, żeby z każdym zamienić choć kilka uprzejmych słów.

– Och, dziękuję – powiedziała zadyszana Jackie do kongresmana, który pogratulował jej udanego przyjęcia. – Za czasów państwa Eisenhowerów często bywaliśmy w Białym Domu. Zawsze było strasznie drętwo. I ani kropli alkoholu. Więc kiedy my się tu wprowadziliśmy, postanowiliśmy, że nikt nie będzie się u nas nudził.

Jack gawędził właśnie z senatorem Smathersem z Florydy, kiedy zobaczył, że od drzwi kiwa na niego Bobby.

– Zrobiła się chryja – oznajmił Bobby konspiracyjnym szeptem. – Wszystko się zawaliło, nawet nie uwierzysz. Bissell już tu idzie. – Zerknął na zegarek. – Ściągnąłem wszystkich... Będą czekać o północy w Pokoju Gabinetowym.

Jack skinął głową. Z trudem przywołał na twarz uśmiech, odwrócił się i podszedł do żony znanego felietonisty, żeby zamienić z nią kilka słów.

Na dwie minuty przed północą prezydent, ciągle jeszcze we fraku, pchnął drzwi do Pokoju Gabinetowego. Zastał tam kilku gości z wieczornego przyjęcia: wiceprezydenta Johnsona oraz sekretarzy Ruska i McNamarę. Za prezydentem weszli generał Lemnitzer i admirał Burke, wystrojeni w paradne mundury z rzędem połyskujących na piersi medali. Wezwano też najbliższych współpracowników Białego Domu, Departamentu Obrony i Departamentu Stanu. Zaspani, w sportowych sztruksach i kolorowych podkoszulkach, nie pasowali do eleganckiego otoczenia, podobnie zresztą jak Bissell, Leo Kritzky i jeszcze paru ludzi z CIA, którzy przybyli tu prosto z pracy, nieogoleni, w niezmienianych od wielu dni, wymiętych ubraniach. Na widok prezydenta wstali z szacunkiem, ale gdy Kennedy zajął miejsce u szczytu stołu, wszyscy, oprócz Dicka Bissella, z ulgą opadli z powrotem na krzesła.

– Panie prezydencie, panowie, nie mam najlepszych wiadomości – zaczął DD/O.

– Cóż za wstrzemięźliwość w przedstawianiu faktów! – zauważył Bobby Kennedy. – Obecna administracja liczy sobie zaledwie dziewięćdziesiąt dni, a wy już...

– Pozwól mu powiedzieć... Niech ja się wreszcie dowiem, co się dzieje – przerwał zniecierpliwiony Jack.

Bissell, z trudem trzymając nerwy na wodzy, zapoznał obecnych z sytuacją. Brygada została otoczona przez czołgi i artylerię Castro. Są

ranni i zabici. Jednostkom blokującym dostęp do grobli kończy się amunicja. Roberto Escalona po aptekarsku dzieli to, co zostało – kiedy ktoś prosi o pięć pocisków do moździerzy, powinien skakać z radości, jeśli dostanie dwa. Kiedy samoloty Castro zatopiły oba frachtowce, statki wiozące zapasy amunicji uciekły na pełne morze. Dowództwo marynarki nakazało im powrót na wody terytorialne Kuby, ale nie należy liczyć na to, że zdążą na czas. Ponadto sprawę komplikuje postawa kilku członków rządu tymczasowego – trzymanego pod kluczem w jednym z hoteli w Miami – którzy zagrozili, że popełnią samobójstwo, jeżeli nie pozwolimy im dołączyć do ich towarzyszy w Zatoce Świń. Oficerowie łącznikowi Firmy z Retalhuleu meldują, że stacjonujący w Gwatemali piloci, którzy od poniedziałku rano bez przerwy byli w powietrzu, muszą bezwzględnie odpocząć przed kolejnymi startami i chwilowo nie mogą zapewnić żadnej osłony odciętych na plaży oddziałom. Paru amerykańskich doradców, przydzielonych do brygady z jednostki w Alabamie, zgłosiło się na ochotnika, prosząc o pozwolenie na lot w zastępstwie...

– Ufam, iż nie wyraził pan zgody – warknął Kennedy.

– Odpowiedziałem im krótko: to wykluczone.

Sekretarz McNamara i generał Lemnitzer domagali się szczegółów. Bissell, który od wielu dni nie zmrużył oka, rozejrzał się bezradnie, ale siedzący obok niego Leo nabazgrał coś na kartce i szybko podsunął ją szefowi. Korzystając z tej ściągawki, DD/O odpowiadał na zadawane mu pytania najlepiej, jak potrafił. Straty? Jest około stu zabitych i dwa razy tyle rannych. Tak, brygada ma własne czołgi, ale z braku paliwa nie mogą ruszyć z miejsca i wykorzystywane są jako nieruchome stanowiska artyleryjskie...

– Oczywiście, dopóki będą miały czym strzelać – wtrącił Bobby.

– Dziękuję za podpowiedź, panie prokuratorze generalny – odparł Bissell.

– Zawsze do usług.

– A teraz kwestia zasadnicza, panie prezydencie – ciągnął niezrażony DD/O, próbując zignorować uwagi Bobby’ego. – Istnieje pewna szansa i wciąż jeszcze można uratować całą operację.

– Ciekawe jak? – zapytał zgryźliwie Kennedy.

– Sytuacja może się odwrócić na naszą korzyść, jeżeli zezwoli pan na udział odrzutowców z „Essexą” w zadaniach bojowych nad plażą. Oczyszczenie dróg na grobli zajęłoby im niecałe czterdzieści pięć minut.

Nieoczekiwanie Bissell znalazł sprzymierzeńca w osobie admirała Burke’a.

– Dajcie mi dwie takie maszyny, a sam zestrzelę wszystko, co Castro na nas wyśle – oświadczył szorstko szef operacji morskich.

– Nie ma mowy – uciął kategorycznie Kennedy. – Pragnę przypomnieć, że od początku stawiałem sprawę jasno, i nadal podtrzymuję to, co powtarzałem do znudzenia: siły zbrojne USA nie będą uczestniczyć w inwazji.

– Problem w tym, że CIA i admirał Burke wierzą, że wszystko da się jeszcze uratować – zauważył Bobby. – A prezydent chce znaleźć sposób na to, żeby straty, również polityczne, były jak najmniejsze. Świat tylko czeka na nasz fałszywy krok.

Burke z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Jeden niszczyciel w zatoce mógłby zmieść czołgi Castro z powierzchni ziemi i zmienić bieg wydarzeń...

Kennedy przymrużył oczy.

– Nie chcę mieszać do tego Stanów Zjednoczonych, Burke. Koniec kropka.

Lecz Arleigh Burke nie poddawał się tak łatwo.

– Do diabła, panie prezydencie, przecież j u ż jesteśmy w to zamieszani.

Sekretarz stanu Rusk napisał coś na kartce i podał ją Jackowi. Prezydent zerknął, przeczytał i spojrział przez stół na Bissella, który wciąż stał, choć inni siedzieli.

– No właśnie, Dick... Niech idą w góry. Myślę, że nadszedł czas, by przejść do działań partyzanckich, nie uważasz?

Wszyscy w napięciu czekali na odpowiedź. Leo zerknął ukradkiem na szefa. DD/O – zniechęcony, niemal bliski łez, osamotniony w swoich poglądach – sprawiał wrażenie kompletnie przegranego. Stał ze spuszczoną głową, bezradnie przestępując z nogi na nogę.

– To niemożliwe, panie prezydencie...

Kennedy popatrzył na niego, zbity z tropu.

– Wydawało mi się... Zapewniałeś mnie... – Rozejrzał się wokół, szukając wsparcia.

Generał Lemnitzer oskarżycielskim gestem wycelował w Bissella palec wskazujący prawej ręki.

– Sam pan mówił, że w najgorszym wypadku brygada będzie mogła zaszyć się w Sierra Escambray i rozpocząć wojnę partyzancką.

DD/O odpowiedział tak cicho, że ledwo go było słyhać:

– Tak, gdyby desant odbył się w Trinidadzie... Ale na wyraźne żądanie prezydenta zmieniliśmy plany. W przypadku Zatoki Świń takie rozwiązanie w ogóle nie wchodzi w grę. Żeby przedostać się w góry, brygada musiałaby pokonać bagna. To sto dwadzieścia pięć kilometrów piekła... – Rozejrzał się bezradnie, a spostrzegłszy stojące za jego plecami krzesło, opadł na nie

ciężko, skurczony jak balon, z którego wypuszczono powietrze. – Panie prezydencie...

– Słucham, Dick.

– ...nasi ludzie znaleźli się w pułapce, zamknięci na skrawku plaży. Castro wysłał tam blisko dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Gdyby udało się ich powstrzymać na jakiś czas, blokując dostęp do grobli, brygada mogłaby odetchnąć, przegrupować siły... Ściągnęlibyśmy statki z amunicją... – Siedzący wokół stołu ludzie ostentacyjnie gapili się to na ściany, to w sufit, ale Bissell nie zwracał na nich uwagi, zapalał się coraz bardziej. – Rząd tymczasowy przejąłby sprawy w swoje ręce... Mielibyśmy punkt oparcia na wyspie...

– Tyle, żeby stanąć na czubku palca – zgasił go Bobby.

Bissell, niezrażony jego sarkazmem, ciągnął dalej:

– Kiedy rząd tymczasowy znajdzie się na Kubie, oddziały Castro będą dezertować masowo. Mamy to tutaj czarno na białym, prawda, Leo? Poszukaj ostatniego raportu...

Podczas gdy Kritzky wertował setki papierów w pękatach od dokumentów teczkach, zniecierpliwiony Bissell zaczął cytować z pamięci:

– Odnotowano liczne przypadki sabotażu. Frekwencja w kościołach znacznie wzrosła, co można interpretować jako opór wobec reżimu. Chłopsztwo się burzy. Opozycja ma swoich ludzi nie tylko w wojsku, ale również w najbliższym otoczeniu Fidela Castro. Z chwilą gdy brygada przedrze się w głąb wyspy, można na nich liczyć. Na pewno porządnie namieszają... – Bissell potoczył wzrokiem po zebranych. – Porządnie namieszają... – powtórzył niepewnie i urwał.

W Pokoju Gabinetowym zapadła martwa cisza. Prezydent odchrząknął.

– Burke, zezwalam na lot sześciu odrzutowców bojowych nad plażą, jutro rano przez jedną godzinę, ale pod warunkiem, że zostaną przemalowane i pozbawione wszelkich amerykańskich oznakowań. Nie mogą atakować celów naziemnych...

– Nawet jeśli wpadną pod ostrzał, panie prezydencie? – zapytał admirał Burke.

– Nie ma takiego ryzyka, bo nie znajdą się w zasięgu baterii przeciwlotniczych. Wykorzystaj tę godzinę, Dick, żeby ściągnąć te B-26 z Gwatemali. Maszyny z „Essexa” będą je osłaniać. Jeżeli jakiś kubański T-33 lub sea fury podejdzie zbyt blisko, nasze samoloty mają prawo go zestrzelić. I tylko tyle. Nic więcej.

– Tak jest, sir – odparł Burke.

– Dziękuję, panie prezydencie – wymamrotał Bissell.

Kiedy spotkanie dobiegało końca, jeden z doradców do spraw bezpieczeństwa narodowego podbiegł do prezydenta i podsunął mu jakąś notatkę. Kennedy przeczytał, z niedowierzaniem potrząsnął głową i pokazał kartkę bratu. Wokół nich zebrała się spora grupka uczestników narady. Czuli, że coś się wydarzyło.

– Chryste Panie! – wykrzyknął Bobby. – Czterej piloci z Alabamy, którzy szkolili Kubańczyków w Gwatemali, zrobili samowolny wypad dwoma B-26 i zostali zestrzeleni nad Kubą.

– Co z pilotami? – zapytał generał Lemnitzer.

– Nie wiadomo – odparł Bobby i zwrócił się do Bissella. – Lepiej, żeby ci cholerni idioci byli już martwi! – ryknął z wściekłością, a jego głos osiągnął górne C.

W środę w południe niedobitki blokujących groble jednostek zaczęły się wycofywać ku Girón. Kiedy wieść o tym dotarła na plażę, ludzie Escalony wpadli w popłoch. Czołgi Castro, sunące drogą od strony lotniska, były już w zasięgu wzroku. Bar „U Blanca” został wzięty w dwa ognie. Jack i Orlando stwierdzili, że najwyższy czas dołączyć do Roberta, który okopał się na brzegu z garstką bojowników. Wokół wybuchały pociski, wzbijając tumany pyłu, który przysłaniał słońce, ale wyrządzały stosunkowo niewielkie szkody, bo miękki piasek tłumił siłę eksplozji.

– Ciemno jak w grobie! – zawołał Jack, usiłując przekrzyczeć zgiełk walki.

Roberto, z dwiema prawie pustymi już ładownicami przewieszonymi na ukos przez pierś, ścisnął karabin i poprzez zasłonę czarnego dymu wpatrywał się w morze. Amerykański niszczyciel z zamalowanym numerem na kadłubie stał półtora kilometra od brzegu.

– Mogę ich ściągnąć tu bliżej, zabiorą nas! – krzyknął Jack.

Roberto potrząsnął głową.

– Nie, *hombre*. Jeżeli to już koniec, polegniemy tutaj.

Los brygady został przesądzony tego samego ranka w Waszyngtonie, kiedy główni planiści Bissella, nieprzytomni z niewyspania, zapomnieli o różnicy w czasie pomiędzy Kubą a Gwatemalą. Sześć nieoznakowanych transportowców A4D dotarło nad plażę o godzinę za wcześnie. Gdy na niebie pojawiły się lecące z Retalhuleu samoloty brygady, amerykańskie odrzutowce już wracały na „Essex”, a t-birdy Castro urządziły sobie polowanie na B-26, zestrzeliwując dwie maszyny.

W okopach na brzegu plaży skulony obok Jacka Kubańczyk wpadł nagle w szal i wykrzykując wulgarne obelgi pod adresem amerykańskiego niszczyciela, zaczął do niego strzelać jak opętany. Zdążył opróżnić dwa

magazynki, zanim Roberto odebrał mu karabin. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ludzie miotali się we wszystkie strony, szukając osłony w płytkich lejach, pozostawionych przez wybuchające co chwila bomby. Orlando, który od rana nie zdejmował słuchawek, szarpnął Amerykanina za ramię.

– *Quieren hablar con usted, señor!*^[35] – zawołał.

Jack przycisnął słuchawkę do ucha. Skrzywił się, usłyszawszy przeraźliwy pisk i trzaski. Potem odezwał się stłumiony głos, z trudem przebijający się przez szumy zakłóceń.

– Kombinatorze z Północy, tu Whisky z Limonką patrolująca Niebieską Plażę. Słyszysz mnie?

Jack chwycił mikrofon i wszedł do wody, mając Orlanda tuż za plecami.

– Whisky z Limonką, tu Kombinator z Północy. Słyszę cię. Odbiór.

– Kombinatorze z Północy, mam dla ciebie rozkaz od Trumny. Musisz natychmiast opuścić plażę. Powtarzam...

Jack przerwał mu szorstko.

– Whisky z Limonką, słyszysz mnie? Nie ma mowy. S a m nie opuszczę tej plaży.

Nagle stanął obok niego Roberto.

– Bierz dupę w troki i jazda stąd! – ryknął. – Nam już nie pomożesz.

– Na Boga, albo idziemy stąd wszyscy, albo zostaję z wami.

Dwa pociski wybuchły, jeden po drugim, tworząc płytkie leje po obu stronach wykopu. Na chwilę tuman piasku przesłonił wszystko wokół. Kiedy kurz opadł, ujrzeli idącego chwiejnym krokiem człowieka, z otwartą raną w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą miał ucho. Z ciemnej, gęstej brody ściekała mu krew. Zatoczył się i upadł twarzą do ziemi. Inny żołnierz wrzucił sobie na plecy rannego towarzysza, spojrzął na Roberta i potrząsnął głową. Jack poczuł na udzie coś lepkiego. Odłamek szrapnela drasnął go

w nogę. Przez rozdarte spodnie widać było rozoraną skórę. Roberto nie wytrzymał. Zdecydowanym ruchem wyszarpnął z kabury Jacka jego własną czterdziestkępiątkę i wycelował prosto w głowę przyjaciela.

– Jak Castro cię złapie – zawołał łamiącym się głosem, a po uwalanych piachem policzkach popłynęły mu łzy – powie całemu światu, że dowodzili nami amerykańscy oficerowie! Na miłość boską, Jack, nie odbieraj nam resztek godności! Pozwól nam umrzeć z honorem. Zrobisz to dla mnie, Jack? Słyszysz, Jack? Przysięgam, nie dopuszczę, żeby cię wzięli żywcem. Prędzej sam cię zabiję!

Jack cofnął się. Woda chlupała mu wokół kolan.

– Dupek! – krzyknął do Roberta.

– *Gringo carajo!*^[36] Spieprzaj, bo odstrzelę ci łeb!

Jack odwrócił się i wszedł głębiej w wodę. Raptem stracił grunt pod nogami. Zaczął płynąć pieskiem, byle dalej od plaży. Od czasu do czasu oglądał się za siebie. Tanki Castro, plując ogniem, manewrowały pomiędzy rzędami bungalowów. Jeden z czołgów brygady eksplodował. Zmiażdżona wieżyczka osunęła się na bok, a lufa zaryła w piach. Na oczyszczone przez oddziały wojsk pancernych wydmy wkroczyli kubańscy żołnierze. Biegli schyleni, pokrzykując coś po hiszpańsku. Wzdłuż całej plaży, z wygrzebanych w piasku dołków i okopów, wyłaniali się ludzie z podniesionymi rękami. Jack odwrócił się znowu i popłynął dalej. Przed sobą zobaczył odwrócony do góry dnem ponton i postanowił do niego dopłynąć. Wdrapał się na chybotliwą gumową łódź i długo leżał bez ruchu, z twarzą zwróconą ku słońcu. Pod przymkniętymi powiekami przesuwały się niewyraźne obrazy – sceny niedawnej bitwy i zamglona, zwiewna postać Millie, pochylona nad jego bezwładnym ciałem, całująca rozpalonymi wargami rany, które zasklepiały się jedna po drugiej.

Stracił poczucie czasu. Podniósł się na łokciu i spojrzał w stronę plaży. Strzelanina ustała. Bojownicy wolności, z podniesionymi do góry rękoma, wspinali się na wydmy, popychani i kluci bagnietami przez żołnierzy Castro. Obok pontonu unosiła się na wodzie złamana deska. Jack chwycił ją i leżąc na płask, żeby nie dostrzegli go z brzegu, zaczął wiosłować na otwarte morze. Z obtartych do krwi dłoni sączyła się krew, pokrywając prowizoryczne wiosło rdzawymi plamami. Srebrzyste promyki, tańczące na falach zatoki, oślepiały go. Zmrużył powieki. Kątem oka dostrzegł stalowy błysk kadłuba odpływającego okrętu. Przyspieszył. Słońce paliło mu kark. Pomimo upału raz po raz wstrząsały nim dreszcze, ale wtedy myślał o Millie, o kojącym ciepłe jej ciało... Zdawało mu się, że słyszy jej głos, szepczący mu do ucha: „Wracaj, jak tylko będziesz mógł. Nie zniósłabym, gdybyś...”

Kiedy znów spojrzał w górę, niszczyciel był tak blisko, że Jack widział świeżą farbę na dziobie, gdzie zamalowano numer kadłuba. Słyszał okrzyki marynarzy, którzy machali do niego z pokładu. Obejrzał się za siebie. Odpłynął już daleko od brzegu i nareszcie mógł swobodnie usiąść. Chwycił mocniej za deskę i pociągnął. Jęknął z bólu, ale jednocześnie poczuł, że wiosło posłusznie sprzęga się z wypukłością fali. W żebrach czuł ostry ból, kręciło mu się w głowie. Zdawało się, że słyszy doping stojących nad rzeką kibiców. Płynnymi, posuwistymi ruchami popychał łódź do przodu. Już, już dochodził do mety...

I nagle wiosło utknęło w wodzie. Jack oprzytomniał. Uświadomił sobie, że nie jest na zawodach. Pociągnął deskę, ale stawiała opór. Spojrzał na bok. Z wodą działo się coś dziwnego – mętna, brudnoczerwona, przelewała się przez kożuch zielonkawych alg. Wtem zobaczył, że czubek deski utkwiał w rozdętym brzuchu wplątanego w wodorosty topielca. Jack puścił deskę, zakrztusił się, odwrócił i z wymiotował, potem znów się zakrztusił i znowu

zwymiotował, i jeszcze raz, i jeszcze... aż poczuł, że nic już nie ma w środku: ani serca, ani płuc, ani żołądka, ani jelit.

To uczucie idealnej pustki owładnęło nim całkowicie i stracił przytomność.

Zaraz po południu Ebby zadzwonił z biura do Elizabet.

– Słuchałaś wiadomości? – zapytał.

– Cała Ameryka siedzi z uchem przy radiu – odparła. – UPI mówi o setkach ofiar i ponad tysiącu jeńców.

– Tutaj rozpętało się prawdziwe piekło – powiedział Ebby. – Nie mogę teraz rozmawiać. Leo i ja pomyśleliśmy, że może dobrze by było, gdybyś zabrała Adelle i podjechała do Millie, żeby podtrzymać ją na duchu.

– Jest już w domu?

– Zadzwoniła dziś rano, że nie przyjdzie. Nic tu po niej, bo i tak nie mogłaby się skupić na pracy.

Elizabet wstrzymała oddech.

– Jakieś złe wieści?

– Nie ma żadnych wieści – powiedział Ebby. – Chyba nie jest dobrze.

– Och, Elliott, stało się to, czego się obawiałeś. Powtórka z Budapesztu.

Po drodze Elizabet wstąpiła po Adelle, która już czekała na nią na chodniku. Obie bardzo się do siebie zbliżyły przez te wszystkie lata, ale teraz jechały w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Obeszły od tyłu dom i pchnęły zabezpieczone moskitierą drzwi. Żona Jacka siedziała w kuchni. Gapiła się bezmyślnie w telewizor, czekając na dziennik. Na stole stała otwarta butelka szkockiej. W zlewie piętrzyła się góra niepozmywanych naczyń, koło pralki leżała sterta rzeczy do prania.

Millie podskoczyła i spojrzała na przyjaciółki z przestrawieniem w oczach.

– Tylko nie owijajcie w bawełnę, na miłość boską – prosiła. – Jeśli coś wiecie, powiedzcie mi to od razu.

– Wiemy tylko tyle, ile mówią w wiadomościach – zapewniła ją Elizabet.

– Przysięgacie na Boga, że nic nie ukrywacie?

– Wiemy, że to zupełna klęska – odparła Adelle. – Nic ponadto.

– Jack jest na plaży – szepnęła Millie.

Wszystkie trzy mocno się do siebie przytuliły.

– Możesz być pewna, że poruszą niebo i ziemię, by go stamtąd wydostać – pocieszyła ją Adelle.

– W biuletynach nie było żadnej wzmianki o Amerykaninie – zauważyła Adelle. – Castro chwaliłby się już przed całym światem, gdyby pojmał jednego z naszych.

– Gdzie Anthony? – zapytała Elizabet.

– Mama zabrała go do siebie.

Millie naląła wszystkim szkockiej. Stuknęły się szklankami.

– Za mężczyzn naszego życia – powiedziała Elizabet.

– Za dzień, w którym będą mieć dość Firmy i zaczną pracować od dziewiątej do piątej, sprzedając używane samochody – dodała Millie.

– Ale wtedy nie byłiby to już ci sami mężczyźni, których poślubiłyśmy – zauważyła Adelle.

Usiadły przy kuchennym stole. W telewizji cztery gospodynie domowe próbowały odgadnąć cenę mahoniowego kompletu do sypialni; miał zostać własnością tej, która trafi najbliżej.

– Tym razem faktycznie schrzanili robotę – powiedziała Millie. – Dick Bissell i dyrektor pójda na zasilek.

Aby odwrócić jej uwagę od klęski w Zatoce Świń, Elizabet spytała, jak poznała Jacka. Millie uśmiechnęła się na wspomnienie młodego, aroganckiego dryblasa z kozackimi wąsami, który próbował ją poderwać na sześćdziesiątym piątym piętrze budynku Chryslera. Myślałam, że poznaliście się w Wiedniu, w pięćdziesiątym szóstym, powiedziała Adelle. Nie, oświadczył mi się już wtedy, w Nowym Jorku. W Wiedniu tylko powiedziałam „tak”, sprostowała Millie. Po pięciu latach! Nigdy nie zaszkodzi, jak trochę poczekać, zaśmiała się Adelle. Przez chwilę rozmawiały o córce Elizabet, Nellie, i o synku Ebby’ego z pierwszego małżeństwa, Mannym, który skończył czternaście lat i był najlepszy w klasie w Groton. Adelle, chichocząc, opowiadała, jak uświadamiała swoje bliźniaczki. Kiedy zaczęła im mówić o ptaszkach i pszczołkach, Vanessa przerwała jej z pobłażliwym uśmiechem: och, mamusiu, wiemy już wszystko o tym jak mu tam, co twardnieje i wchodzi do tej jak jej tam, i jak to coś płynie, żeby zapłodnić jajeczko, i takie tam rzeczy. Skąd, na Boga, wytrzasnęłyście tego jak mu tam i tę jak jej tam? – zapytała Adelle z poważną miną. Dziewczynki wyjaśniły, że ich szkolna koleżanka Mary Jo podwędziła starszej siostrze szwedzki podręcznik wychowania seksualnego z ilustracjami i zdjęciami nagich ludzi, którzy „to robili”, i spędziły cały weekend nad tą książką, z lupą przy oku. Dzieci teraz szybko dorastają, westchnęła Elizabet.

I wtedy zadzwonił telefon. Elizabet i Adelle wymieniły spojrzenia. Millie podniosła słuchawkę. Krew odpłynęła jej z twarzy, gdy usłyszała głos Dullesa.

– Tak, przy telefonie... – powiedziała. – Rozumiem... Jest pan absolutnie pewien? Nie ma mowy o pomyłce?

Z ekranu dobiegł radosny pisk kobiety, która właśnie wygrała komplet do sypialni. Adelle wstała i wyłączyła telewizor. Świeące paseczki

zamigotały i zniknęły.

Millie odezwała się do słuchawki.

– Proszę się nie kłopotać, panie dyrektorze, czuję się dobrze – mówiła Millie do słuchawki. – Są tu ze mną dwie koleżanki... Dziękuję. Jestem dumna z Jacka. Bardzo. Tak. Do widzenia.

Odwróciła się do przyjaciółek. Oczy jej zwilgotniały. Nie mogła wydobyć z siebie słowa, dławiło ją w gardle. Adelle, pochlipując, obeszła stół i mocno ją do siebie przytuliła.

– To nie to, co myślicie – wykrztusiła wreszcie Millie. – Jack jest cały i zdrowy. Ściągnęli go z plaży. Niszczyciel zabrał go z pontonu. – Po jej policzkach spływały łzy. – Buty ma przeżarte solą, ręce obtarte do krwi i całe w pęcherzach, a w nodze ranę od szrapnela, ale dyrektor przysięga, że to same zadrapania, nic poważnego. – Śmiała się przez łzy. – On żyje! Jack żyje!

W środę wieczór w Skrzydle Zachodnim Białego Domu światło paliło się do późna. Przed gabinetem prezydenta drzemała przy biurku zmęczona sekretarka. Nawet stojący w korytarzu czterech agencji ochrony z trudem tłumili ziewanie. Bufet w gabinecie zastawiony był srebrnymi tacami, pełnymi nietkniętych kanapek. Kongresmani ściskali dłoń wstrząśniętego prezydenta i odchodzili czym prędzej, zdumieni, jak taki inteligentny człowiek mógł dać się wplątać w tak nedorzeczną awanturę. Tuż po jedenastej przybył Leo z najświeższym raportem. Jack Kennedy i jego brat Bobby stali w kącie, pogrążeni w rozmowie z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, McGeorge'em Bundym. Czekając przy drzwiach, Leo posłyszał fragmenty rozmowy.

– Dulles to legenda – mówił prezydent. – Trudno pracować z legendą. Będzie musiał złożyć miecz.

– Bissell też będzie musiał odejść – powiedział Bobby.

– Popełniłem błąd, umieszczając Bobby’ego w Ministerstwie Sprawiedliwości – stwierdził Jack. – Marnuje się tam. Powinien być w CIA.

– To tak samo logiczne jak zamykanie stajni, gdy koń już dawno pogalopował w siną dal – zauważył Bobby.

Bundy był tego samego zdania, ale z innego powodu.

– Żeby dobrze kierować Agencją, trzeba znać ją od podszewki. CIA to zamknięty świat, który rządzi się własnymi prawami...

– Kompletnie się na tym nie znam – przyznał Bobby.

– Ale mógłbyś to rozgryźć – upierał się Kennedy.

– Przed końcem twojej drugiej kadencji pewnie by mi się udało... – zażartował Bobby.

Prezydent dostrzegł stojącego przy drzwiach Leo.

– Co nowego pod Waterloo, Kritzky?

Leo wręczył mu raport. Kennedy przeleciał go wzrokiem, potem przeczytał urywki na głos Bobby’emu i Bundy’emu.

– Stu czternastu zabitych, tysiąc stu trzynastu internowanych, kilkudziesięciu zaginionych. – Spojrzał na Leo. – Czy tych zaginionych da się jeszcze uratować? Mają jakieś szanse?

Na mgnienie oka prezydent znów stał się dowódcą PT-109 z czasów drugiej wojny światowej, zatroskanym o los powierzonych mu ludzi.

– Niektórzy Kubańczycy zbiegli na bagna – odparł Kritzky. – Niszczyciele zabierały ich stamtąd po dwóch, po trzech... Kilku uciekło żaglówką. Przechwyciliśmy ich na morzu.

Kennedy westchnął głośno.

Leo zebrał się na odwagę.

– Mogło być gorzej, panie prezydencie – powiedział.

– Czyżby? – rzucił z przekąsem Bobby, który nie zamierzał popuścić „tym z CIA”.

Leo zaczerpnął głęboko powietrza.

– Tak. Mogło się udać.

Kennedy przyjął to zrezygnowanym skinieniem głowy.

– Kiedy obejmowałem to stanowisko, wierzyłem, że ludzie z wywiadu posiadają nadludzkie zdolności, nieosiągalne dla zwykłych śmiertelników. Nie popełnię znowu tego samego błędu.

– Teraz naszym problemem jest Chruszczow – oznajmił Bobby. – Uzna cię za mięczaka, który nie potrafi doprowadzić do końca tego, co zaczął.

– Będzie mu się zdawało, że łatwo cię zastraszyć – zgodził się Bundy.

Leo, który wciąż czekał przy drzwiach, żeby się dowiedzieć, czy prezydent ma jeszcze jakieś sprawy do CIA, usłyszał wyraźnie jego odpowiedź.

– No cóż, jest takie miejsce, gdzie możemy pokazać Chruszczowowi, że nie damy sobą pomiatać i że jesteśmy gotowi postawić wszystko na jedną kartę i wygrać. Tym miejscem jest Wietnam.

– Wietnam – powtórzył ostrożnie Bobby – może być odpowiedzią na nasze modlitwy.

Prezydent włożył ręce do kieszeni i wyszedł przez taras do ogrodu. Od strony miasta dobiegał daleki warkot samochodów, a w powietrzu dało się wyczuć pierwszy wyraźny powiew wiosny. Kennedy zniknął w ciemności. Zatopiony we własnych myślach, próbował się uporać z pierwszą w życiu polityczną porażką.

WASZYNGTON, DC, PIĄTEK, 5 MAJA 1961

Bobby Kennedy, w samej koszuli, z podwiniętymi rękawami i z laminowaną przepustką dyndającą u kieszonki na piersiach, przepytywał Leo w centrum dowodzenia na parterze Oka Kwatery. Ogromne mapy ścienne i plastikowe nakładki z informacją taktyczną zostały już usunięte. W ich miejsce przypięto powiększone zdjęcia ze zwiadowczego lotu U-2 nad plażami w Zatoce Świń, zrobione już po pogromie. Ukazywały roztrzaskane czołgi, ciężarówki i dżipy do połowy zakopane w piachu, wyrzucone na brzeg szczątki kilku LCU i wielką kubańską flagę, powiewającą na dachu baru „U Blanca”. Od dziesięciu dni Bobby spędzał większość czasu w siedzibie CIA, usiłując rozgryźć prawa rządzące tym zamkniętym światem; Jack Kennedy porzucił, co prawda, pomysł obsadzenia brata w roli szefa Firmy, ale uznał, że dobrze by było, gdyby emisariusz klanu Kennedych zapoznał się bliżej z jej funkcjonowaniem.

– To jak z *Paragrafu 22* – mówił Leo. – Jeżeli zasięgamy konsultacji u specjalistów, zyskujemy cenne ekspertyzy, ale cierpi na tym bezpieczeństwo. Kiedy za dużo ludzi wie o jakiejś operacji, to prędzej czy później musi nastąpić przeciek.

– A więc gdybyście wprowadzili więcej osób w plany inwazji w Zatoce Świń, można by uniknąć katastrofy? – indagował Kennedy.

Kritzky potrząsnął głową.

– Mam być szczery?

Kennedy przytaknął.

– Tak będzie lepiej dla nas obu.

Leo podrapał się za uchem.

– To nie jest kwestia braku ekspertyz. Mieliśmy ich pod dostatkiem, mimo iż drastycznie zawęziliśmy krąg wtajemniczonych. Tutaj, w tym pokoju, odbyła się gorąca dyskusja, rzekłbym nawet, ostra wymiana zdań. Problem w tym, że prezydent, odziedziczywszy po Eisenhowerze operację, której wtedy wołał nie odwoływać, był nastawiony dość sceptycznie. Tymczasem Dick Bissell odnosił się do sprawy z nadmiernym entuzjazmem. Tak więc obie strony musiały pójść na ustępstwa. I to właśnie kompromisy ponoszą winę za tę klęskę, panie prokuratorze generalny. Kompromisem było przeniesienie miejsca desantu z Trinidadu do Zatoki Świń. Kompromisem było użycie przestarzałych B-26. Kompromisem był ograniczony zasięg pierwszego nalotu. Odwołanie drugiego było również tragicznym w skutkach kompromisem. Domyślam się, dlaczego prezydent okroił w ten sposób operację; jako głównodowodzący zobowiązany jest patrzeć na zimną wojnę z szerszej perspektywy. Gdyby wysłał na Kubę amerykańskie samoloty i okręty, Chruszczow mógłby odpowiedzieć atakiem na Berlin. Nasz błąd polegał na tym, że nikt nie powiedział jasno, iż zrobiliśmy o jedno ustępstwo za dużo. Ktoś powinien był chwycić byka za rogi... Ryzyko stało się tak wielkie, że przewyższało hipotetyczne korzyści. Moim zdaniem należało to wszystko odwołać.

Bobby utkwiał w Kritzkiemu spojrzenie swoich zimnych, niebieskich oczu. Zdawało mu się, że wreszcie zaczyna rozumieć rządzące Firmą prawa.

– Co was powstrzymało?

Leo zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– U nas koegzystują pod jednym dachem dwie odrębne mentalności. Są tacy, którzy uważają, że jesteśmy stworzeni do tego, by wykraść tajemnice wroga, a potem je analizować. Kluczowa dla tej szkoły jest wiara w to, iż można odkryć intencje przeciwnika poprzez analizę jego umiejętności. Po

co Hitler miałyby koncentrować okręty na kanale La Manche, gdyby nie zamierzał zaatakować Anglii? Albo: po co Chińczycy mieliby koncentrować swoje siły wzdłuż Jalu, gdyby nie planowali ataku na Amerykanów w Korei Północnej? Coś w tym stylu. Są też tacy, którzy chcą, aby nasza instytucja mogła nie tylko przewidywać wydarzenia, ale również wywierać na nie istotny wpływ: manipulować wyborami, podkopywać morale, wspierać bunty, eliminować niewygodnych polityków, przekupywać urzędników na wysokich stanowiskach, by za ich pośrednictwem pociągać za sznurki... Operacją w Zatoce Świń sterowali ludzie wyznający tę drugą zasadę. Kiedy karty zostały rozdane, kiedy pierwsze atuty spadły na stół, nie chcieli się już wycofać z gry.

– A ty do której opcji należysz?

Leo uśmiechnął się. Słyszał, że w trakcie tego dziesięciodniowego kursu Bobby'emu bardzo spodobały się tajne operacje, gadzety, skrzynki kontaktowe i kryjówki.

– Siedzę okrakiem – odparł po namyśle.

– Tak bezpieczniej?

– Rozsądniej. Po co wiązać sobie ręce?

Bobby uniósł brwi.

– Dałeś mi sporo do myślenia, Kritzky – powiedział.

Popatrzył na zegar, wstał i przeszedł na drugi koniec sali, gdzie kilka osób oglądało telewizję, ściszywszy dźwięk. Rankiem tego dnia major Alan Shepard wystartował z przylądka Canaveral w kapsule „Mercury”, aby zostać pierwszym Amerykaninem w kosmosie. Zakładając, że Shepard powróci żywy, Stany Zjednoczone – administracja Kennedy'ego – będą mogły przypisać sobie zasługę dogonienia Rosjan w wyścigu w przestrzeni kosmicznej. Na ekranie telewizora Walter Cronkite donosił, iż Shepard

właśnie osiągnął apogeum lotu, czyli sto osiemdziesiąt pięć kilometrów wysokości. Stojący obok telewizora dalekopis wypluwał niekończący się język papieru. Z początku Bobby w zamyśleniu przesuwał go w palcach, lecz nagle, zaintrygowany, pochylił się nad maszyną i przeczytał tekst uważnie. Wiadomość, napisana prostym, zwięzłym językiem, została wysłana bezpiecznym wewnętrznym kanałem Firmy z centrum łączności w sąsiednim budynku w Reflecting Pool, gdzie odszyfrowano oryginalną depeszę.

ŚCIŚLE TAJNE

UWAGA: DO RĄK WŁASNYCH

Zawiera dane wywiadu

OD: Placówka w Mexico City

DO: Trumna

TEMAT: Wieści z Castrolandii

1. Do placówki w Mexico City dotarły krążące wśród lewicowych środowisk w Ameryce Łacińskiej pogłoski, jakoby Castro skłonny był wymienić pochwyconych w Zatoce Świń jeńców na pięćdziesiąt, powtarzam: pięćdziesiąt milionów dolarów w lekach i żywności.
2. Przechwycono rozmowę telefoniczną kubańskiego attaché kulturalnego z żoną pewnego lewicującego wydawcy, Kubanką z pochodzenia. Mówili o możliwości porozumienia z prywatnymi organizacjami humanitarnymi, jeżeli takie rozwiązanie bardziej by odpowiadało administracji Kennedy'ego.

Bobby, podekscytowany, oderwał od papierowej taśmy kawałek z tekstem depeszy i ruszył w kierunku drzwi.

Harvey Torriti – który właśnie wrócił ze swojej przerwy na kawę, to znaczy na podwójne martini, i był w kiepskim humorze – spostrzegłszy, że

prokurator generalny zmierza w stronę wyjścia, ściskając w ręku tajną informację, zastąpił mu drogę swoim zwalistym cielskiem.

– Ejże, a dokąd to się z tym wybieramy? – zapytał.

Bobby spiorunował go wzrokiem.

– Uważaj, kurwa, do kogo mówisz!

Wargi Czarnoksiężnika wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu.

– Do ciebie mówię, chłopie. W gazetach piszą, że jesteś drugim co do ważności człowiekiem w całym Dystrykcie Kolumbii. I czy to prawda, czy nie, nie wyjdiesz stąd z tym papierem pod pachą. Na tym świstku aż się roi od operacyjnych kodów Firmy i innych istotnych drobiazgów. Nic z tego, stary.

– Nie podoba mi się twój ton, Torriti...

Czarnoksiężnik przyczłapał bliżej Bobby'ego, jedną ręką wykręcił mu nadgarstek, a drugą wyrwał depezę. Patrzący na to ludzie zamarli w oczekiwaniu na wynik potyczki. Leo jednym skokiem znalazł się przy Czarnoksiężniku.

– Przesadzasz, Harvey. To prokurator generalny, zna zasady...

– Ty i twój brat spieprzyliście całą robotę – warknął Torriti do Bobby'ego. – Zatoka Świń to był twój błąd. Przez ciebie kubańscy bojownicy o wolność gniją w więzieniach Castro.

Twarz Bobby'ego posiniała z wściekłości.

– Jesteś skończony – wycedził pod adresem Torritiego, po czym zwrócił się do Leo. – Ma wylecieć z tego budynku, z tego miasta i z tego kraju.

– Pierdol się – odszczeknął Czarnoksiężnik i zamachał na Bobby'ego, jakby chciał zatrzymać taksówkę. – Każcie mu się odpierdolić! – ryknął na całe centrum dowodzenia, zakrył dłonią usta i beknął. Potem pchnął drzwi i z trudem się przez nie przeciskając, wytoczył się na korytarz.

– Gdybyś to widziała! – mówił z przejęciem Jack. – Wyglądał jak Mojżesz, patrzący na Ziemię Obiecaną, w której nigdy nie będzie dane mu zamieszkać. Wszyscy wiedzą, że Dulles musi polecieć, ale wielu z nas jest po jego stronie.

Rany od szrapnela na udzie Jacka zasklepiły się i zarosły szorstkimi strupami. W ciemności sypialni Millie delikatnie przesunęła po nich palcami, po czym przytuliła się do jego szczupłego ciała.

– Odkąd wróciłeś, nie przespałam porządnie ani jednej nocy – wyszeptała mu do ucha. – Budzę się i sprawdzam, czy to naprawdę ty, czy tylko wytwór mojej wyobraźni.

Jack przygarnął ją do siebie.

– Dziś w nocy też ci się tak zdawało?

Koniuszkiem języka musnęła płatek jego ucha.

– Uwielbiam, kiedy jesteś we mnie, Jack. Chciałabym, żebyś pozostał tak na zawsze.

– Byłoby cudownie, ale cóż robić... Orgazm to nasz wróg. Jest jak napis „koniec”, który pojawia się na ekranie.

– Zawsze można zacząć od nowa.

– T y możesz, ale przeciętny śmiertelnik, taki jak ja, musi odpocząć kilka godzin.

– A jeśli uda mi się rozpalić cię szybciej?

– Jak...?

Millie poczuła, że znów ogarnia go podniecenie.

– Opowiem ci o tym, co mogłabym zrobić, żeby cię rozpalić.

Oboje parsknęli śmiechem. Ciasno objęci, przez chwilę słuchali dochodzących z interkomu dźwięków. W sąsiednim pokoju Anthony przez

sen przewracał się w łóżeczku.

– Mówiłeś o Dullesie – przypomniała Millie.

– Zachował się bardzo przyzwoicie. Jak prawdziwy dżentelmen. Nigdy byś nie pomyślała, że wkrótce ma ustąpić miejsca jakiemuś nadzianemu katolickiemu konstruktorowi statków, przyjacielowi JFK. Podjął prezydenta jak udzielny książe i oprowadził go po nowych włościach, wskazując co ciekawsze rzeczy swoją nieodłączną fajką...

– Jakie jest Langley?

– Bardzo nowoczesne, dopracowane w każdym szczególe. Nawet nie ma porównania z Aleją Karaluchów. Po tamtej ciasnocie to prawdziwe salony. Każdy wydział ma teraz własne biura. Sekcja Sowiecka na trzecim i czwartym piętrze, a PR i twój gabinet na piątym, żeby szychy z szóstego miały blisko... – Jack zachichotał. – Nie lubią się z wami rozstawać!

– Jesteśmy dla nich jak przytulanki – powiedziała Millie.

– Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Przecież w każdym wywiadzie powtarzacie tylko: „Bez komentarza”.

– I o to chodzi...

– W Langley łatwiej się będzie pracowało – ciągnął Jack. – W biurze DCI jest kilka poczekalni; goście wreszcie przestaną na siebie wpadać. Dokumenty wewnątrz budynku można przesyłać bezpośrednio pocztą pneumatyczną. Założyli nam równoległą linię telefoniczną i każdemu przydzielili numer z centrali Departamentu Stanu albo Obrony, a specjalnie przeszkolone operatorki będą udawać sekretarki rozmaitych instytucji rządowych. „Przykro mi, ale pan McAuliffe jest w tej chwili nieosiągalny. Może coś przekazać?” – przedrzeźniał wyimaginowaną sekretarkę.

Przez chwilę leżeli w ciszy. Millie słuchała oddechu Jacka i nagle przyszło jej na myśl, że to najbardziej krzepiący dźwięk, jaki zna.

– Wspaniale było dziś na grillu u Kritzkych – powiedziała, zmieniając temat. – Adelle wszystko tak świetnie przygotowała!

– Leo i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy – odparł Jack sennym głosem.

– Leo, Ebby i ty... To ta historia w Zatoce Świń tak was do siebie zbliżyła, prawda?

– Zgadzą się w wielu sprawach. Zaczynają nas już nazywać trzema muszkietierami, bo zawsze trzymamy się razem: razem pracujemy, razem jemy lunch, razem spędzamy weekendy. – Jack zamilkł na chwilę. – Bardzo lubię Ebby’ego... Jest z nas najlepszy. Kiedy trzeba, potrafi działać, rzucić się w wir walki jak wtedy w Budapeszcie, ale umie też myśleć i wie, że czasem dobrze spojrzeć na wszystko z dystansu. Nie boi się głośno mówić, co mu leży na sercu. Będzie świetnym szefem Sekcji Rosji Sowieckiej. Nie mogli wybrać lepiej. Coś mi się zdaje, że nasz Ebby daleko zajdzie...

– Co miał na myśli ojciec Adelle, kiedy powiedział tobie i Leo, że „słyszał to z pierwszej ręki”? I co takiego usłyszał?

– Phil Swett regularnie bywa w Białym Domu. Powiedział, że kiedy jadł tam lunch w zeszłym tygodniu, bracia Kennedy przez cały czas mówili tylko o Wietnamie. A Lyndon Johnson zlecił Adelle przygotowanie raportu, przedstawiającego oficjalne stanowisko rządu w tej sprawie.

– A co tak naprawdę dzieje się w Wietnamie, Jack?

– Jak dotąd niewiele. Wybuchło powstanie przeciw komunistom, ale to tylko pretekst. Po tym, co się wydarzyło na Kubie, Kennedy doszedł do wniosku, iż musi przekonać Chruszczowa, że potrafi być twardy. Twardy i nieprzewidywalny. Wietnam to świetna okazja, żeby urządzić pokazówkę na użytek Rosji. Firma wzmacnia swoją tamtejszą placówkę, a JFK wysłał tam kilkuset komandosów z zielonych беретów, żeby pomogli szkolić partyzantów.

– Oby tylko nie przeholował, bo potem może się z tego nie wyplątać. Amerykanie raczej nie poprą wojny w Azji.

– To tak daleko. – Jack ziewnął w poduszkę. – Nikt nawet nie zauważy.

Cztery dziewczynki – dwie nowe i dwie, które mieszkały w willi już od pół roku – siedziały w kucki na podłodze i grały w ciupy. Wszystkie były golusienkie jak je Pan Bóg stworzył.

– Robię „piątki” – ogłosiła szczuplutka blondyneczka, której złociste pukle opadały do połowy nagich pleców.

Podrzuciła w górę kamyczek, zręcznie zebrała resztę i złapała spadający kamyk, zanim zdążył uderzyć o podłogę.

– Podrzucasz za wysoko – żaliła się jedna z nowych. – Dlatego ciągle wygrywasz.

– Każdy może rzucać, jak chce – wytknęła jej złotowłosa.

– A właśnie, że nie – upierała się tamta.

– A właśnie, że tak!

– Nie!

– Wujku, chodź i powiedz, kto ma rację! – zawołała blondynka.

– Dajcie mi spokój, jestem zajęty! – odkrzyknął Dziadek z kąta pokoju.

– Ja tak nie chcę – złościła się nowa. – Jak nie ustalimy jasnych reguł, ona będzie zawsze wygrywać.

Dziadek siedział za biurkiem, sącząc gorącą herbatę przez trzymaną w ustach kostkę cukru, i po raz kolejny czytał najświeższe wiadomości od SASZY. Jedna z nowych – chudziutka dziewczynka, która chodziła na paluszkach niczym baletnica – podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Jaka śliczna książka, wujku! Pokaż mi, chcę zobaczyć – poprosiła.

– To się nazywa atlas świata – pouczył ją Dziadek, dumny, że podopieczne robią postępy w nauce i pilnie kształcą się pod jego okiem.

– A co za świat jest w tym atlasie? – dopytywała się dziewczynka, wsuwając mu chudą rękę pod koszulę.

– Cała kula ziemską. Popatrz tutaj... na każdej stronie są mapy różnych krajów.

– To na świecie jest aż tyle krajów, że można nimi wypełnić taką grubą książkę?

– Nawet więcej, kochanie.

– A jaki kraj jest na tej stronie, wujku?

– Wietnam.

Zachichotała mu do ucha.

– Nigdy nie słyszałam o takim kraju.

– Możesz być spokojna, że wkrótce usłyszysz – zapewnił ją Dziadek.

Kariera Czarnoksiężnika na stanowisku szefa placówki w Rzymie zaczęła się niezbyt pomyślnie, bo podczas pierwszej narady przy okrągłym stole zdrzemnął się w obecności ambasadora. Oficer polityczny ambasady, doktor John Hopkins, krótkowidz okularnik, który miał fatalny zwyczaj pociągania nosem po każdym wypowiedzianym zdaniu, rozwodził się nad niuansami ostatniego przemówienia przywódcy Włoskiej Partii Komunistycznej, Palmira Togliattiego. Wszystko wskazywało na to, iż Togliatti dążył do uniezależnienia się od swego Wielkiego Brata z Kremla, i attaché uznał, iż należy z tego skorzystać, na wszelkie możliwe sposoby popierając rozłam w łonie światowego komunizmu. W połowie przydługiej perory zwaliste cielsko Czarnoksiężnika osunęło się bezwładnie na krzesło, głowa opadła mu na pierś, z której dobyło się głośne chrapanie, a spod

kraciastej marynarki wypadł rewolwer o perłowej rękojeści i z trzaskiem gruchnął o podłogę. Torriti ocknął się gwałtownie.

– Przeszkodził mi panu w drzemce? – zapytał ambasador.

– Daję wytchnienie moim oczom, ale głowa pracuje przez cały czas – odparł Czarnoksiężnik, schylając się po broń. – Słyszałem każde słowo.

– Na drugi raz proszę słuchać z otwartymi oczami – uciał sucho dygnitarz.

„Dlaczego akurat w Rzymie? – depešował ambasador do Foggy Bottom^[37] w Waszyngtonie, kiedy parę dni później Torriti zjawił się pijany na przyjęciu ku czci włoskiego ministra spraw zagranicznych. – Mamy tyle innych ambasad na całym świecie... W każdej z nich mógłby się ukryć przed Bobbym Kennedym”.

Czarnoksiężnik musiał udać się na wygnanie, chociaż bronił się przed tym zębami i pazurami.

– Praworządny obywatel i patriota Torriti zostaje deportowany do Włoch, a te kutasy z cosa nostra, Rosselli i Giancana, żyją sobie w Ameryce jak u Pana Boga za piecem – mamrotał do mikrofonu na kameralnym przyjęciu pożegnalnym, które Dick Bissell wydał w przeddzień jego odlotu do Rzymu.

Na sali rozległy się śmiechy. Angleton, jeszcze chudszy, jeszcze bardziej ponury i bardziej zamyślony niż zwykle, wynurzył się z podbiegunowych ciemności swojej samotni, aby wręczyć upominek człowiekowi, którego szczerze nie znosił, o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Była to ręcznie szyta skórzana kabura na trzydziestkęósemkę Torritiego.

– O Jezus... James, naprawdę nie wiem, co powiedzieć – wykrztusił Czarnoksiężnik, po raz pierwszy w życiu nie znajdując właściwych słów.

– Nie Jezus James – poprawił go gniewnym tonem Angleton – tylko James J e s u s.

Torriti zerknął na Jamesa Jesusa Angletona, niepewny, czy to żart, ale wyraz świętego oburzenia, malujący się na posępnym obliczu szefa kontrwywiadu, szybko wyprowadził go z błędu.

– Przepraszam, przepraszam. – Czarnoksiężnik giął się w ukłonach, przymierzając broń do nowej kabury. – James Jesus, oczywiście, jakżebym śmiał...

Przez kilka pierwszych miesięcy po przyjeździe do Rzymu Czarnoksiężnik uczciwie starał się prowadzić placówkę, ale wkrótce zaczął brnąć z jednej afery w drugą. Bywało, że jadąc z miejscowym pułkownikiem karabinierów na inspekcję jugosłowiańskiej granicy, chrapał w najlepsze przez całą drogę na tylnym siedzeniu fiata, odsypiając nocne hulanki i popijawy. Wdał się w romans z włoską aktoreczką, którego nie dało się zatuszować, bo nim się obejrzeni, sprawa trafiła do rubryk towarzyskich kilku rzymskich brukowców. Potem zadarł z ambasadorem, co odbiło się głośnym echem aż w Departamencie Stanu. Były też dwa drobne wypadki samochodowe – jeden spowodowany przez samochód z ambasady, a drugi przez prywatne auto Czarnoksiężnika, zakupione podobno w jakimś komisie, którego właściciel zaklinał się, że zostało mu skradzione, Torriti zaś utrzymywał, iż uścił zapłatę w gotówce, chociaż odmówił przedłożenia rachunku z domniemanej transakcji. Tę sprawę również zatuszowano, gdy tylko fundusze rezerwowe Firmy zmieniły właściciela. Nim nadszedł lipiec, Czarnoksiężnik wprowadził zwyczaj sobotnich wypadów do Berlina. Podczas tych sentymentalnych eskapad w towarzystwie starych kumpli, którzy służyli pod nim, kiedy był jeszcze szefem berlińskiej bazy, robił rundki po barach, gdzie jego imię obrosło już w legendę, a potem wałęsał się po ciemnych zaułkach koło Checkpoint

Charlie, żeby znowu poczuć się w wirze walki, jak sam to określał. Pewnego pamiętnego wieczoru, po kilku szklaneczkach whisky w pubie w sektorze brytyjskim, musieli go siłą powstrzymać od wkroczenia do strefy sowieckiej, gdzie chciał znaleźć godnych siebie kompanów do kieliszka. Pewnej sierpniowej niedzieli, o drugiej w nocy, wdrapał się ze swoim starym druhem z Mosadu, Ezrą Ben Ezrą, na dach jakiegoś budynku mieszkalnego, żeby popatrzeć, jak wschodni Niemcy, pod lufami radzieckich czołgów, rozciągają na granicy zasieki z drutu kolczastego. Za czołgami i oddziałami jechała kolumna buldożerów, które światłami wypalały tunel w kurzu i ciemności, równając szeroki pas ziemi niczyjej, później zaminowany.

– Dziewięć w skali Richtera – powiedział Rabbi do przyjaciela. – Moje źródła donoszą, że jest to odpowiedź Chruszczowa na Zatokę Świń. Mają zamiar zbudować chiński mur przez całe Niemcy, żeby oddzielić komunistów od wolnego świata.

Czarnoksiężnik wyciągnął z kieszeni flaszkę i podał ją Rabbiemu. Ben Ezra potrząsnął głową.

– Nie mamy co świętować – westchnął ze smutkiem. – Teraz wydobyć stąd Żydów będzie graniczyć z cudem.

Wróciwszy tej nocy do Rzymu, Torriti zastał na biurku dwa kuchenne kubki i butelkę taniej whisky, a na kanapie chrapiącego w najlepsze Jacka McAuliffe'a. Potem, przy świetle nocnej lampki, rzucającej tajemnicze cienie na ściany w kolorze kawy z mlekiem, roztrzaskali swe rozterki, topiąc chandrę na dnie kieliszka. Czarnoksiężnik zamrugął podpuchniętymi oczami, wyjął swój ukochany rewolwer o perłowej rękojeści i położył go sobie na kolanach, celując lufą prosto w brzuch Jacka.

– Nie urodziłem się wczoraj, chłopie – zrzędził. – Nie kazali ci tu jechać taki kawał, żebyśmy sobie mogli pogawędzić. Wal śmiało! O co chodzi?

– Chodzi o to, Harveyu, że przynosisz wstyd całej Firmie.

– Kto tak mówi?

– Amerykański ambasador w Rzymie tak mówi. Nowy DD/O, Dick Helms, jest tego samego zdania, a nowy DCI, John McCone, zgadza się z nimi w zupełności.

– Pieprzyć ich.

– Chodzi też o to, że już dość długo siedzisz w tym fachu. Nie oszczędzałeś się. Masz prawo być przemęczony.

– Krótko mówiąc, chodzi o to, że powinienem zrobić sobie fajrant, tak?

– Wziąwszy wszystko pod uwagę, tak byłoby chyba najlepiej, Harveyu.

– Cieszę się, że to właśnie ciebie przysłali, Jack. – Czarnoksiężnik, nagle zupełnie trzeźwy, wyprostował się na krześle. – Czy chcą, żebym tu został, dopóki nie przyjdzie nowy szef placówki?

– Ja jestem nowym szefem placówki, Harveyu.

Torriti skinął apatycznie głową.

– Twoja wola, chłopie.

Czarnoksiężnik sam sobie zorganizował przyjęcie pożegnalne w sali balowej rzymskiego „Hilтона”. Z głośników dobiegały patetyczne dźwięki arii w wykonaniu odkrycia ostatniego sezonu, młodego włoskiego tenora Luciana Pavarottiego. Alkohol płynął strumieniami. Wygłaszano pompatyczne przemówienia, przy czym słowa „koniec epoki” powtarzały się niczym refren. Około północy Jackowi w końcu udało się zadzwonić do Millie. Powiedziała, że przyleci za tydzień razem z Anthonyem, a meble przyplyną frachtowcem pod koniec miesiąca. Czy znalazł już mieszkanie? Obiecał, że zacznie szukać od poniedziałku.

Wróciwszy do sali, zauważył, że kierownik nocnej zmiany „Hilтона” wyłączył klimatyzację. Garstka maruderów dryfowała w stronę wyjścia,

a dwie dorożne sekretarki taszczyły nieźle już wstawionego Czarnoksiężnika, który bezskutecznie usiłował je namówić, żeby „wynieśli się wreszcie z tej speluny i spędzili resztę wieczoru w jakimś przyzwoitym lokalu”. O drugiej nad ranem Jack i jego dawny mistrz wytoczyli się chwiejnym krokiem z hotelu na ulicę. Duszny sierpniowy upał uderzył ich prosto w twarz.

Jack stęknął.

– Chodźmy gdzieś, gdzie da się oddychać.

– I gdzie dają wódkę – zgodził się Torriti.

Objęci w pól, pohalsowali do „Excelsioru” przy via Veneto i sutym napiwkami przekupili zaspanego barmana, żeby nalał im strzemiennego.

Żując oliwkę, Czarnoksiężnik zerknął spod oka na Jacka.

– Powiedz prawdę... Kochałeś ją, stary?

– Kogo?

– Tę niemiecką dziewczynę. Tę tancerkę, która się zastrzeliła. Kryptonim TĘCZA.

– Lili... Tak, Harveyu, kochałem ją.

– Tak myślałem. – Torriti pociągnął łyk burbona. – Chcę, żebyś wiedział, że nie była moją przynętą, Jack.

– Już to mówiłeś. Wtedy...

– Była wojna, ale są pewne granice, których nigdy nie przekraczam.

– Wiem, Harveyu.

– Wierzysz mi, synu, prawda?

– Wierzę.

– Bo gdybyś mi nie wierzył, gdybyś myślał, że użyłem jej jako przynęty, kiedy pichciłem tę cholerną papkę... bardzo by mnie to bolało. Wiesz, o co

mi chodzi?

– Wiem. Nie mam do ciebie żalu.

Czarnoksiężnik klepnął Jacka w plecy.

– To wiele dla mnie znaczy, synu... – Rozejrzał się niespokojnie za butelką.

Znękany barman napełnił szklanki.

– To już naprawdę ostatni. Rano idę do pracy... Muszę kiedyś spać!

Torrity stuknął się z Jackiem. Brzęknęło szkło.

– Przyznaj, że nieźle to wymyśliłem. Moja papka barytowa to był majstersztyk. Sam powiedz, kto wywachał Philby’ego? Może nie ja? A ten pieprzony Jezus James, wiesz, o kim mówię, tylko fundował mu obiadki w „La Niçoise”.

– Firma dużo ci zawdzięcza, Harveyu.

Torrity pochylił się do Jacka tak blisko, że omal nie spadł ze stołka.

– Mamy jeszcze jednego kreta – wymamrotał, zionąc mu alkoholem prosto w twarz. – Słynny SASZA... A ja wiem, kto to jest.

– Znasz tożsamość SASZY?!

– Pieprzony A. Zdradzę ci mały sekret, synu. SASZA to nie kto inny, tylko sam Jezus James pieprzony Angleton...

Widząc, że Jack się uśmiecha, Torrity skrzywił się ordynarnie.

– Sporo o tym myślałem, brachu. Wiem, wiem, mam tylko poszlaki... Ale spójrz na to inaczej: żaden kret, o ile faktycznie istnieje, nie narobiłby w Firmie więcej szkody niż sam Angleton.

– Nie jestem pewien, czy za tobą nadążam...

– Przez ostatnie dziesięć lat wywrócił całe CIA do góry nogami, szukając kretów, dobrze gadam, chłopie? No to powiedz mi, czy kiedykolwiek

znalazł jakiegoś? Odpowiedź brzmi: nie. Ale doprowadził Sekcję Rosji Sowieckiej do zapaści, bo wszyscy wszystkich podejrzewają i nikt już nikomu nie ufa. Znam chłopaków, którzy boją się sprowadzić zbiega w obawie, iż Angleton pomyśli, że instalują w Firmie wtyczkę KGB, bo sami też są wtyczkami. Kiedyś przeprowadziłem małe dochodzenie... Jezus James zrujnował karierę ponad stu swoim pracownikom. Wchodzi w skład komisji do spraw awansów...

– Nie wiedziałem.

– Ale ja wiem. Cofnął dziesiątki nominacji, wysłał przyzwoitych ludzi na wcześniejszą emeryturę. Pewien oficer z czarnej listy Angletona przeszedł pomyślnie test na wariografie i wyjechał do Paryża objąć tamtejszą placówkę. Wiesz, co zrobił Angleton?

– Co?

– Pieprzony Jezus James poleciał do Francji i osobiście ostrzegł francuski kontrwywiad, że szef placówki CIA jest sowieckim kretem, a pieprzone żabojady natychmiast zablokowały wszelkie kontakty. Do ciężkiej cholery! Angleton rozgłasza w Kongresie tym, którzy jeszcze chcą go słuchać, że konflikt chińsko-sowiecki to dezinformacja KGB, mająca na celu uśpienie czujności Zachodu. To samo z Tito w Jugosławii.

Barman skończył myć szklanki.

– Panowie, miejcie serce. Muszę już zamykać.

Czarnoksiężnik zsunął się ze stołka i podciągnął wysoko, prawie pod pachy, swoje workowate spodnie.

– Zapamiętaj sobie dobrze, chłopie, od kogo pierwszy raz to usłyszałeś – powiedział. – Jezus James pieprzony Angleton to SASZA.

– Nie zapomnę, Harveyu.

– Dupek myślał, że kupi mnie nową kaburą, ale ja jestem o krok przed nim. Cholera, może i zataczam błędne koła, ale jeszcze potrafię być o krok przed wszystkimi.

Przed „Excelsiorem” Torriti rozejrzał się po opustoszałej ulicy, próbując odgadnąć, w którą stronę powinien iść i co zrobić z resztą życia. W końcu począł w stronę amerykańskiej ambasady. Jack powlókł się za nim, nieco z tyłu.

Gdy Czarnoksiężnik stanął przed bramą, młody żołnierz piechoty morskiej, dyżurujący w przeszklonej budce, powitał go służbiście.

– Dzień dobry, sir.

– Mówię ci, kurwa, że nie! – zawołał Torriti przez ramię do Jacka, który przeszedł obok strażnika, kierując się do głównego wejścia. – Nie wystawiłem im TĘCZY... Nie była moją przynętą!

Zatoczył się na ścianę, rozpiął rozporek, ugiął kolana i zaczął sikać.

– Pamiętałbym to, chłopie. Coś takiego utkwiloby mi w mózgu jak jakiś cholerny guz.

Jack dogonił Czarnoksiężnika.

– Wiem coś o tym, Harveyu...

Nagle zobaczył wybladłe twarze Roberta, Orlanda i innych Kubańczyków, stłoczonych w więziennej celi. Mrugając gwałtownie powiekami, żeby odpędzić ów natrętny obraz, rozpiął rozporek i również sobie ulżył pod ścianą ambasady.

Torriti bezmyślnie utkwil wzrok w rozlewającą się u jego stóp kałużę moczu.

– Wciąż jesteś Uczniem Czarnoksiężnika, chłopie?

– Tak, Harveyu. Jestem Uczniem Czarnoksiężnika. To dla mnie zaszczyt.

CZEŚĆ IV

LICHO NIE ŚPI

*I próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda płomień świecy po
zdmuchnięciu świecy...*

Zdjęcie: czarno-biała fotografia, zrobiona w środku nocy filmem ASA 2000 przy świetle rzucanym przez kute żelazne latarnie, ukazuje sylwetki dwóch mężczyzn, mijających się pośrodku opustoszałego mostu. Wyglądają, jakby zatrzymali się na krótką chwilę, żeby zamienić ze sobą kilka słów. Starszy, wymizerowany, w okularach z grubymi szklami, które w blasku ulicznych lamp wyglądają jak umazane sadzą, przeczesuje kościstą dłonią rzednące włosy. Gest ów zdradza niepokój i zniecierpliwienie. Drugi mężczyzna, młodszy i wyższy, ubrany w bezkształtny, workowaty płaszcz przeciwdeszczowy, uśmiecha się nieznacznie, jakby ubawiony zasłyszonym przed chwilą dowcipem. Zdjęcie zostało zrobione przez dziennikarza z „Der Spiegel”, który obserwował most na polecenie Organizacji Gehlena z Pullah. Zanim „Der Spiegel” opublikował fotografię, CIA dowiedziała się o jej istnieniu i spowodowała, że negatyw i odbitki zostały zarekwirowane przez pewnego niemieckiego prokuratora i przekazane szefowi berlińskiej bazy, który podarł wszystko prócz jednej jedynej kopii, złożonej w archiwach placówki. Fotografię opatrzone pieczętkami „Ścisłe tajne” i „Tylko do archiwum”.

CZERIOMUSZKI, OBWÓD MOSKIEWSKI, ŚRODA, 1 MAJA 1974

Na ekranie telewizora robotnicy Fabryki Nawozów Sztucznych „Czerwona Gwiazda” z Nizniewartowska nad Obem wylewali się długą kolumną na plac Czerwony, niosąc ogromną tekturową podobiznę sekretarza generalnego Komunistycznej Partii ZSRR, Leonida Breżniewa. Gdy kołyszący się nad głowami uczestników pochodu portret ukochanego przywódcy zrównał się z trybuną, wzniesioną na szczycie Mauzoleum Lenina, z tłumu wybiegła szczuplutka dziewczynka w przetykanych złotą nitką rajstopach i srebrnym fartuszką, wskoczyła na wiodące w górę schodki i wręczyła pierwszemu sekretarzowi, którego twarz pokryta była na użytek kamer telewizyjnych grubą warstwą makijażu, bukiet czerwonych i różowych goździków.

– Jaka ona śliczna! – zawołała jedna z siedzących przed telewizorem dziewczynek, dwunastoletnia Czeczenka o niewinnych oczach. – Gdyby wujek to widział, zaraz by złapał za telefon i zapytał, jak się nazywa.

Wujek widział – został bowiem zaproszony przez sekretarza generalnego do jego prywatnego apartamentu na Kremlu, gdzie wraz z szefem Komitetu Gosudarstwiennoj Biezopasnosti i kilku starszymi oficerami Zarządu oglądał pochód pierwszomajowy na gigantycznym ekranie, sącąc szampana i przegryzając *zakuskami*. W willi Apatowów pod Czeriomuszkami ulubienice wujka – obecnie jedynie pięć, ponieważ szóstą, Ujgurka z Sinciang w Azji Środkowej, została odesłana do domu, gdy podczas kąpieli wydało się, że dostała miesiączkę – znudziły się oglądaniem pochodu, który miał trwać jeszcze bite cztery godziny,

i postanowiły pobawić się w chowanego. Przycupnąwszy w szafie za szlafrokami wujka, Kubanka imieniem Revolución odkryła w pudełku po butach rewolwer, mały jak dziecinnie zabawka.

– Chodźcie! – krzyknęła, wychodząc ze swej kryjówki. – Zobaczcie, co znalazłam.

Dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, ale nikt nie pomyślał o wyłączeniu centralnego ogrzewania. W sypialni wujka zrobiło się gorąco jak w saunie. Dziewczynki, w samych majteczkach i cienkich koszulkach, usadowiły się kręgiem na ogromnym łóżku, a Revolución nauczyła je nowej gry, o której słyszała jeszcze w Hawanie. Usunęła z rewolweru wszystkie kule prócz jednej. Potem spojrzała na swe towarzyszki i wyrecytowała z pamięci fragment z ulubionej książki wujka: „Na to kot: Adwokatem, sędzią, woźnym i katem ja sam będę. Ja sam też skażę ciebie na śmierć”. Następnie zakręciła bębenkiem i zacisnąwszy powieki, wsadziła sobie koniec długiej lufy do ust. Trzymając broń oburącz, nacisnęła spust. Gdy kurek opadł na pustą komorę, rozległ się suchy trzask. Uśmiechając się niewinnie, podała rewolwer siedzącej po jej prawej stronie kuzyneczce z Kazachstanu. Dziewczynka spojrzała na broń bezradnie, więc Revolución zrobiła to za nią – zakręciła bębenkiem, włożyła jej lufę do ust i pokazała, jak trzeba nacisnąć spust. Znów szczęknął kurek.

Czeczenska, która była następna, potrząsnęła głową.

– Ojejku, ja nie chcę w to grać – pisnęła.

– Musisz – nalegała Revolución. – Kiedy się już zacznie, nie ma odwrotu. To jak u Alicji i jej przyjaciół, rozumiesz? Każdy wygra i każdy dostanie nagrodę.

– Czy ja wiem...

– Graj, graj – prosiły wszystkie. – Nie bądź taka...

Czeczenka niechętnie wzięła broń do ręki. Zakręciła bębenkiem i z wahaniem włożyła sobie lufę do ust.

– No, szybciej, przecież to tylko zabawa – ponaglała ją niecierpliwie Revolucion.

– Graj, graj – namawiały koleżanki, widząc, że jeszcze się waha.

Wznosząc oczy do nieba, Czeczenka westchnęła i pociągnęła za spust.

Tym razem rozległ się głuchy trzask miażdżonej czaszki. Odłamki kości, strzępki mózgu i krew zbryzgały ścianę i skulone na łóżku dziewczynki.

Wróciwszy wieczorem z Moskwy, wujek zastał w sypialni ciało małej Czeczenki. Długo nie mógł dojść do siebie. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy mężczyźni w białych kitlach wynieśli zwłoki z domu, owinąwszy je uprzednio w zakrwawione prześcieradło. Ledwie żywe z przerażenia protegowane zostały odesłane do przymusowej kąpieli, podczas gdy wujek zmywał gąbką ze ściany za łóżkiem ślady krwi i resztki mózgu. Revolucion musiała wysłuchać reprimendy za zabawę z bronią i nie dostała za karę kolacji. Nie pozwolono jej także uczestniczyć w przytulankach i całowankach, które zawsze następowały po czytaniu na dobranoc z podniszczonej książki wujka, teraz poplamionej krwią.

Następnego popołudnia na progu apartamentu w willi Apatowów stanęła nowa dziewczynka. Na imię miała Aksinia. Przyjechała z Nizniewartowska nad Obem, a ubrana była w pończochy ze złotą nitką i srebrny fartuszek.

Poruszając się niczym zjawy pośród ciszy i bezruchu, jakie zwykle panują tuż przed świtem, siedmiu członków grupy specjalnej, ubranych w identyczne czarne spodnie, golfy i adidasy, zaatakowało dom w Oak Park niedaleko Chicago. Trzej z nich odcięli linię telefoniczną i kable elektryczne, potem wspięli się na wysoki ceglany mur z kawałkami szkła wtopionymi w górną krawędź, lekko zeskoczyli na trawnik i włamali się do

stróżówki. Przy użyciu puszek po aerozolu, wypełnionych gazem paralizującym sowieckiej produkcji, obezwładnili trzech ochroniarzy, śpiących na wojskowych pryczach, zanim ci zdążyli podnieść alarm. Dwaj inni napastnicy przecięli szybę w piwnicznym okienku i wślizgnąwszy się do środka, wylądowali w starym koszu na węgiel. Przemknęli bezszelestnie do małej słuźbówki, gdzie zaskoczyli leżącą w łóżku parę Koreańczyków, których związali i zakneblowali. Dowódca grupy specjalnej i jeden z jego ludzi wdrapali się po kracie na taras. Krótkim łomem ze spiłowanym końcem wyważyli okno balkonowe na piętrze. Lawirując wśród okrągłych stolików i wyplatanych krzeseł, przebiegli przez pokój i wypadli na korytarz, gdzie drzemał w fotelu strażnik z nocnej zmiany. Błyskawicznie odurzili go gazem i bezszelestnie opuścili na podłogę. Ściskając mocno czeskie pistolety kalibru 7,65 z tłumikiem, dwaj intruzi pchnęli drzwi ogromnej sypialni przesyconej zapachem cygar, których niedopałki walały się wokół szklanej popielniczki na nocnej szafce. Niski, łysiejący mężczyzna w pasiastej piżamie, wyrwany raptownie z głębokiego snu, usiadł na łóżku. Przygwoździło go światło dwóch latarek.

– Co jest, kurwa...?

Młoda kobieta z długimi farbowanymi włosami i obfitym biustem wysunęła się spod kołdry i przykucnęła w kącie, zakrywając nagie ciało rąbkami zasłony. Jeden z napastników skinął w kierunku drzwi do łazienki. Kobieta, szczęśliwa, że może się wymknąć, runęła przez pokój i zamknęła się w toalecie.

– Kto was, kurwa, przysłał? – zachrypiął mężczyzna, wpatrzony w lufę rewolweru, wycelowaną prosto w jego twarz.

Dowódca grupy specjalnej wyjął nylonową żyłkę i zaczął przywiązywać mu ręce i nogi do łóżka.

– Co wy, do kurwy nędzy...? Mówię wam, że robicie błąd! Nie wiecie, kim jestem? Kurwa, to się nie dzieje naprawdę...! Nie mnie...

Unieruchomiony we własnym łóżku mężczyzna wpadł w popłoch.

– Czekaście... Dam dwa razy tyle niż ten skurwiel, co wam płaci! Przysięgam na Chrystusa. Podwoję! Nawet potroję... Tak, potroję. – Wykręcił głowę w stronę drzwi. – Charlie, gdzie jesteś, do cholery? – Znow odwrócił się do swoich oprawców. – Dostaniecie trzy razy tyle... Stać mnie na to! Śmierdzi wam moja forsa? Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby... Mówię wam, możecie zgarnąć furę szmalu. Jezu Chryste, nie stójcie tak! Co się gapiacie? Powiedzcie coś!

Dowódca podniósł z łóżka poduszkę.

– *Hubiese sido mejor para ustedes de no haber nacido nunca* – wymamrotał.

– O Jezu, nie znam hiszpańskiego. Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Mówię po kubańsku – odparł dowódca. – Mówię: lepiej by było dla was, żebyście się nigdy nie narodzili.

– Matko Przenajświętsza, nie mam zamiaru tu wykitować. Nie chcę. Odmawiam.

Dowódca powoli opuścił poduszkę na twarz swojej ofiary.

Niski, łysiejący mężczyzna w piżamie, wykręcając głowę na boki i szarpiąc żyłki, które wrzynały mu się w ciało, wycharczał z trudem:

– ...proszę, nie... błagam was... na miłość boską... proszę, och, proszę... miejcie litość... na kolanach... was błagam...

Drugi napastnik przytknął tłumik do poduszki i wystrzelił siedem kul prosto w twarz mężczyzny.

Tuż po północy zatokę Dumfoundling przecięła samobieżna barka śmieciarka, regularnie obsługująca statki, które kotwiczyły u wybrzeży North Miami Beach. Morze było spokojne, lekka bryza ledwie muskała zwisającą z masztu spłowiałą flagę. Na falach tańczyły światła rufowe, a w górze poprzez zamglone niebo przeświecał sierp księżyca, zapalając w kilwaterze srebrzyste iskierki. W zębie, po kostki w śmieciach, rozstawiwszy szeroko nogi dla utrzymania równowagi, stał wysoki, szpakowaty mężczyzna o smutnej twarzy. Czterech ludzi w czarnych spodniach, golfach i kaloszach trzymało go na muszce. Mężczyzna zdjął marynarkę, wyrócił ją na lewą stronę i położył na stercie odpadków. Potem rozwiązał krawat, odpiął srebrne spinki do mankietów i położył je na marynarce. Chwyciwszy się burty, zrzucił najpierw jeden, potem drugi mokasyn ze skóry aligatora, ściągnął skarpetki i przytrzymujące je na łydkach podwiązki. Rozpiął srebrną sprzączkę paska i guziki przy rozporku, opuścił spodnie do kostek i ostrożnie je zdjął, starając się nie stawiać gołych stóp w cuchnących śmieciach. Rozpiął guziki koszuli i rzucił ją na kupkę ubrań. Zegarek i diamentowy sygnet z małego palca cisnął za burte. Potem spojrzał na dowódcę grupy specjalnej, który obserwował go z otwartych drzwi sterówki.

Dowódca pokazał palcem na białe slipy mężczyzny. Ten zsunął je bez słowa, złożył i dołączył do reszty ubrań. Wyprostował się i stał tak, zmarznięty, zupełnie nagi, z rękami skrzyżowanymi na owłosionej piersi.

– Gotowe. A teraz powiedz mi, kto chce mnie stuknąć! – zawołał w stronę sterówki.

– *Hubiese sido mejor para ustedes de no haber nacido nunca!* – odkrzyknął dowódca.

Nagi mężczyzna, który znał hiszpański, potrząsnął z niesmakiem głową.

– Ktokolwiek to jest, przekaż mu, żeby się odpierdolił – powiedział.

Oprawcy podeszli i związali mu nadgarstki i kostki nóg kablem telefonicznym, który zacisnęli kombinerkami, aż werznął się w skórę i trysnęła krew. Nagi mężczyzna milczał, kiedy wkładali go do pustej beczki po paliwie, usadzając go w środku, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Zamknęli wieko, przybili je kilkoma uderzeniami młotka i przenieśli beczkę na pomost, biegnący od dziobu do rufy nad zęzą ze śmieciami. Beczkę opasali ciężkim kotwicznym łańcuchem, zabezpieczając ją dodatkowo grubym drutem. Na znak dowódcy czterej mężczyźni potoczyli beczkę w stronę burty. Zanim zepchnęli ją do morza, ze środka dobiegł ich głuchy okrzyk:

– Niech się, kutas, pierdoli!

Beczka uderzyła o lustro wody i przez chwilę unosiła się na powierzchni. Potem, bardzo powoli, pogrążyła się w falach zatoki.

WASZYNGTON, DC, NIEDZIELA, 12 MAJA 1974

Doroczny składkowy grill Sekcji Sowieckiej (anachroniczne słowo „Rosja” zostało wreszcie usunięte z obowiązującego w Firmie nazewnictwa) w ogródku na tyłach niedawno nabytej posesji Leo Kritzky’ego w Georgetown został z powodu deszczu przeniesiony do środka. Goście rozpierzchli się po kuchni, jadalni i salonie, a kiedy zjawiała się garstka młodszych oficerów z żonami i dziewczynami, wszyscy siedzieli już w piwnicy, w pokoju gier. Leo, obecny szef sekcji, i jego żona Adelle krążyli po pokojach, częstując hot-dogami. Ebby, już drugi rok pełniący funkcję DD/O, przepychał się przez tłum, donosząc coraz to nowe butelki beaujolais, gdy zauważył, że jego syn, Manny, kłóci się w kącie z Nellie, córką Elizabet. Tych dwoje nie widziało się przez dziewiętnaście miesięcy. Nellie, świeżo upieczona absolwentka wydziału prawa na Harvardzie, olśniewająca dwudziestotrzyletnia piękność o smukłej figurze i czarnych, żywych oczach swej matki, błyszczących pod burzą ciemnoblonde włosów, wróciła niedawno z Hongkongu, gdzie pracowała w firmie ubezpieczeniowej. Teraz starała się o posadę w Waszyngtonie. Dwudziestoosmioletni Manny, nieco przygarbiony, skryty młody człowiek o poważnej twarzy, został zwerbowany przez Firmę zaraz po ukończeniu z wyróżnieniem studiów w Katedrze Azji Środkowej w Yale; władał biegle językiem rosyjskim, swobodnie mógł się porozumieć z Afgańczykiem w paszto i targować jak przekupka na tadżyckim suku.

– Wietnam to zła wojna w złym miejscu i złym czasie – mówił Manny, teraz już młodszy oficer Sekcji Sowieckiej.

– Nie chrzań! Zapomniałeś, że istnieje coś takiego jak efekt domina? – odparowała Nellie.

Włożyła do ust papierosa i wiedząc, że Manny nie pali, pociągnęła za rękaw przechodzącego obok młodego człowieka.

– Masz ogień?

Spojrzał na nią z uśmiechem i podał jej zapalniczkę. Nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, delikatnie przytrzymała jego dłoń i przytknęła płomień do papierosa.

– Dzięki – powiedziała i odwróciła się do Manny'ego. – Jeżeli Wietnam ulegnie, to wierz mi, że Laos, Kambodża i Tajlandia pójdą w jego ślady. Piekło i szatani, komuniści zajmą całą Azję Południowo-Wschodnią, Japonia zostanie sama jak palec, a amerykańskie interesy w tej części świata zawisną na włosku. Nie trzeba być politykiem, aby zrozumieć, że gdzieś wreszcie musimy ich zatrzymać.

– Mówisz jak Joe Alsop – wytknął jej Manny. – I popełniasz ten sam błąd. Wojna w Wietnamie to problem polityczny, który wymaga politycznego, a nie wojskowego rozwiązania.

Nellie postanowiła, że najwyższy czas pohalsować w stronę portu, do którego miała nadzieję zawinąć.

– Może i mówię jak Joe Alsop, ale na pewno nie wyglądam tak jak on. – Popatrzyła na niego zalotnie.

Manny zdobył się na wymuszony uśmiech; Nellie zawsze bezbłędnie trafiała w jego najczulszy punkt.

– Posłuchaj... To, co było między nami... – Rozejrzał się nerwowo i ściszył głos. – Chcę powiedzieć, że jesteśmy właściwie jak brat i siostra.

Wsunęła mu dłoń pod ramię i delikatnie przycisnęła się do niego piersią.

– Kazirodztwo jest stare jak świat. Już w Biblii...

– Choć raz bądź poważna.

– Niech cię nie zwiedzie mój uśmiech. Ja zawsze jestem poważna. Przecież gdyby Bóg potępił kazirodztwo, zaczęłyby wszystko od dwóch par w dwóch różnych ogrodach. A skoro tak nie uczynił, możemy przypuszczać, że nie uważał go za grzech. Dlaczego nie chcesz pójść na całość? Nasza przygoda na jedną noc trwała cały miesiąc. Kto wie, jak by się skończyło, gdybyśmy spróbowali przygody na jeden miesiąc? Mogłaby potrwać cały rok.

Manny poczuł się niezręcznie i spróbował obrócić wszystko w żart.

– Nie ma mowy, Nellie. Jestem uczulony na papierosy. Nie widzę siebie z kimś, kto pali.

Ścisnęła go mocniej za łokieć.

– Gdybyś mnie kochał choć trochę, też byś zaczął palić. Co powiesz na nową komedię Mela Brooksa? *Młody Frankenstein* brzmi jak obowiązkowy tytuł na liście filmów dla szpionów z CIA.

– Nic z tego. Mam nocny dyżur od ósmej do ósmej.

– Może kiedy indziej?

– Nie rozumiem cię, Nellie. Kiedy gdzieś wchodzisz, mężczyźni... do diabła, kobiety też!... urywają w połowie zdania i odprowadzają cię wzrokiem. Wystarczy, że ktoś poda ci ogień, i już jest w tobie po uszy zakochany. Dlaczego akurat ja?

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Wierz mi, że zadaję sobie to samo pytanie. Może to przez tę przygodę na jedną noc, która trwała cały miesiąc? To było takie... inne.

Manny uniósł brwi, dając do zrozumienia, że wreszcie pogodził się z tym faktem i przyjął go do wiadomości.

– Przerażasz mnie, Nellie.

– Jeżeli cię to jakoś pocieszy, sama też jestem nieludzko wystraszona. To kiedy?

– A niech to... Właściwie czemu nie?

– Wtorek?

– Wtorek.

W ciasnej spiżarni przy kuchni tyczkowatemu czternastoletniemu synowi Jacka, Anthony'emu, udało się w końcu dopaść Leo Kritzky'ego, który był jego ojcem chrzestnym.

– Słuchasz posiedzeń Komisji Śledczej? – spytał chłopak.

– Musiałbym być chyba głuchy, żeby nie słuchać – odparł Leo.

– Jak myślisz, postawią Nixona w stan oskarżenia?

– Powoli dochodzę do wniosku, że to całkiem możliwe. Szczególnie jeśli Sąd Najwyższy weźmie pod uwagę taśmy i orzeknie na niekorzyść prezydenta.

– Wyłumacz mi, bo nie rozumiem... – Anthony potrząsnął ognistą czupryną, spadającą mu na oczy. – Czy Nixon byłby aż tak głupi, żeby nagrać wszystkie swoje rozmowy z Gabinetu Ovalnego, z tymi, które wskazują na jego udział w aferze Watergate, włącznie?

Leo wzruszył ramionami.

– To kwestia charakteru. Nixon czuje, że nie jest lubiany na Wschodnim Wybrzeżu. Zabarykadował się w Białym Domu i zamartwia się swoimi prawdziwymi lub wyimaginowanymi wrogami. Te taśmy to jego testament dla potomności.

– Spotkałeś się kiedyś z Nixonem, Leo?

– Wzywał mnie kilka razy, żebym zdał mu relację z działań Sekcji Sowieckiej.

– Na przykład?

Leo nie mógł powstrzymać uśmiechu. Bardzo lubił swojego chrześniaka i podziwiał go za dociekliwość i żądzę wiedzy, nawet gdy chłopak próbował przyprzeć go do muru.

– Powinieneś wiedzieć, Anthony, że nie wolno ci zadawać takich pytań.

– Nie jestem sowieckim szpiegiem, na miłość boską. Chyba możesz mi zaufać?

– Wcale nie podejrzewam cię o współpracę z KGB, są jednak rzeczy, o których nie musisz wiedzieć. Takie mamy w Firmie zasady.

– Prawdę mówiąc, to już się zdecydowałem, że będę pracował u was, kiedy skończę college – odparł chłopak. – Chcę pójść w ślady rodziców.

– Najpierw skończ szkołę i postaraj się o miejsce na przyzwoitej uczelni. A potem zobaczymy.

Jack McAuliffe w poszukiwaniu alkoholu pchnął drzwi do kuchni. Zamachał do Anthony'ego, złapał dwie butelki beaujolais i wrócił do pokoju gier. Jack, który był szefem operacji Ebby'ego, nadal nosił ekstrawaganckie, kozackie wąsy, ale jego ciemne włosy nieco się przerzedziły na czubku głowy, a smukła niegdyś sylwetka zaokrągliła w środkowej części tułowia. Dla młodszego pokolenia oficerów Firmy był człowiekiem-legendą: tym, który zlekceważył rozkazy i zszedł na ląd w Zatoce Świń, skąd wycofał się dopiero wtedy, gdy dowódca brygady zagroził, że go zastrzeli.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał Jack, rozlewając wino do wyciągniętych w jego stronę kieliszków.

– Na plaży w Zatoce Świń – podpowiedział jakiś nowicjusz z Sekcji Sowieckiej.

– Nie radziłbym wam jechać tam na przepustkę – zażartował Jack.

Młodszy oficerowie, którzy usiedli kręgiem wokół niego, zaśmiali się z uznaniem.

– Czy inwazja miałaby szanse powodzenia, gdyby Kennedy nie zredukował pierwszego nalotu i nie odwołał drugiego? – zapytała z przejęciem poważna młoda kobieta.

– Raczej nie – odparł Jack z namysłem. – Ale gdyby Chruszczow nie był przekonany, że Kennedy stchórzy, pomyślałby dwa razy, zanim zainstalowałby na Kubie swoje wyrzutnie.

– Czy chce pan powiedzieć, że winę za kubański kryzys ponosi Kennedy? – dopytywał się inny oficer.

Jack obrócił się na stołku.

– Chruszczow zawinił, bo instalując na Kubie rakiety, próbował zachwiać równowagę sił na naszej półkuli. Kennedy zawinił, bo pozwolił Chruszczowowi mieć nadzieję, że ujdzie mu to na sucho.

Do pokoju zajrzał Ebby i widząc Jacka, przyłączył się do grupki dyskutujących kolegów. Jeden z oficerów średniego szczebla, specjalista od przesyłek, które klasyfikował według kształtu, rozmiaru, wagi i oznaczeń, zapytał go o rolę CIA w węgierskiej rewolucji z 1956 roku. Siedząc na brzegu stołu do ping-ponga, Ebby opowiedział, jak wysłano go do Budapesztu, żeby odwiódł Węgrów od powstania albo przynajmniej powstrzymał ich na jakiś czas.

Jack wspominał spotkanie na austriackiej granicy.

– Naszym DD/O był wtedy Frank Wisner – mówił. – Nie wierzył, że Ebby wyjdzie z tego cało. Popłakał się, kiedy go zobaczył.

– Co się z nim stało? – ktoś zapytał.

Jack i Ebby patrzyli w przestrzeń, unikając swego wzroku.

– Węgry go złamały – odezwał się wreszcie DD/O. – Zrobił się nieprzewidywalny, wpadł w głęboką depresję. Trudno z nim było wytrzymać. Jego stan pogarszał się z dnia na dzień. W końcu wylądował w prywatnej klinice psychiatrycznej niedaleko Baltimore. Tam stwierdzili u niego zespół maniako-depresyjny połączony z manią wielkości. Podejrzewano, że jego choroba zaczęła się znacznie wcześniej, a pierwszym jej symptomem miała być obsesja na tle likwidacji komunizmu w Europie Wschodniej. Został poddany kuracji wstrząsowej, co wyleczyło go z depresji, ale nie uwolniło od manii prześladowczej. Jeszcze przed emeryturą...

– To było w sześćdziesiątym drugim roku – wtrącił Jack.

– ...nigdy nie jadał dwa razy w tej samej knajpie, bojąc się, że jest pod obserwacją KGB. Dziewięć lat temu...

Jack znowu nie dał mu skończyć.

– W sześćdziesiątym piątym mieszkał na farmie w Marylandzie. Rodzina ukryła przed nim broń, ale pewnego dnia As znalazł pistolet – Jack głęboko wciągnął powietrze – i zastrzelił się...

– To on mnie zwerbował – dodał Ebby. – A kiedy straciłem z oczu cel, dał mi porządnego kopa i sprowadził na prostą drogę. Był pasjonatem, człowiekiem wielkiej mądrości i niespożytej energii. Jestem dumny, że go znałem... Dumny, że walczyłem razem z nim na froncie zimnej wojny.

– Jeszcze jeden niedoceniony bohater Ameryki – westchnął Jack.

Wczesnym wieczorem deszcz przestał padać i goście rozjechali się do domów. Manny wrócił do Langley na nocny dyżur w Centrum Operacyjnym. Leo, Jack i Ebby zaszyli się w gabinecie na piętrze, żeby w spokoju wypić po szklaneczce whisky. Kritzky zerknął na przyjaciół.

– No i co wy na to? – zapytał.

– Przypuszczam, że masz na myśli Giancanę – upewnił się Ebby.

– Harvey Torriti zadzwonił do mnie z Santa Fe, kiedy przeczytał o wszystkim w gazecie – powiedział Jack.

– Co o tym myślisz? – spytał Ebby.

– Z pozoru wszystko wygląda na mafijne porachunki: włamanie, gaz paralizujący, poduszka na twarzy ofiary, siedem kul...

– Czuję, że zaraz pojawi się małe słówko „ale” – rzekł Leo.

– Owszem, jest małe „ale” – przyznał Jack. – Rosselli gdzieś przepadł. Czarnoksiężnik powiedział, że to zbyt duży zbieg okoliczności: dwóch mafiosów z cosa nostry, którzy próbowali dla nas stuknąć Castro, znikają w tym samym czasie.

– A więc zakłada, że Rosselli nie żyje – zauważył Ebby.

Jack prychnął.

– Jezu Chryste, faceci tacy jak Rosselli nie znikają w ten sposób. O północy wyszedł z mieszkania tamtej kobiety... Policja w Miami znalazła jego samochód na parkingu niedaleko doków przy North Miami Beach. Drzwi były otwarte na oścież, kluczyki w stacyjce, spluwa w schowku. Czarnoksiężnik słyszał, jak ludzie gadali, że Rosselli też zarobił kulkę w łeb.

– To mógł być Castro – powiedział Ebby.

– Fidel wiedział, że Firma próbuje go przyszpilić – odparł Leo. – I wiedział, kim byli nasi pośrednicy.

– Jeżeli za morderstwem Giancany i zniknięciem Rossellego stoi Castro, to nie wróży nic dobrego... – mruknął Ebby.

Zaterkotał jeden z dwóch telefonów na biurku. Leo podniósł słuchawkę.

– Kritzky, słucham!

Wcisnął guziczek z napisem „szyfr” i przez chwilę słuchał uważnie.

– Dorzuć to do raportu dla prezydenta, ale dopisz, że chodzi o źródła HUMINT, żeby nie pomyślał, że złamali szyfr. – Milczał przez chwilę, a potem dodał: – Wylatujemy dziś wieczorem. Nie będzie mnie przez dwa tygodnie, chyba że wybuchnie trzecia wojna światowa... Dzięki, mam taki zamiar – odłożył słuchawkę. – Do placówki w Wiedniu zgłosił się sowiecki dziennikarz, który utrzymuje, że do końca miesiąca Indie zamierzają przetestować bombę atomową. Dziesięć kiloton...

– No to już wiemy, czym będziemy się zajmować w najbliższym czasie – westchnął Ebby. – Kissinger ze swojej kwatery w podziemiach Białego Domu zasypie nas papierkami w stylu: „Rzuć wszystko i zajmij się tym natychmiast”.

– Wróćmy do twoich złych przeczuć – odezwał się cicho Jack.

– Pamiętajcie, co Castro miał powiedzieć po Zatoce Świń? – zapytał Ebby. – Że skoro rząd Stanów Zjednoczonych nasyła terrorystów na kubańskich przywódców, sam też nie będzie bezpieczny.

– Zawsze, kiedy o tym rozmawiamy, czuję, że ziemia usuwa mi się spod nóg – wyznał Leo.

– Pewnie nigdy tego nie rozwikłamy – dodał Jack.

– Może to i lepiej – stwierdził Ebby. – Licho nie śpi.

– Kiedyś Adelle powtórzyła mi, co powiedział jej Lyndon Johnson kilka dni po zamachu na Kennedy’ego – wtrącił Leo i nożykiem do otwierania listów zamieszał kostki lodu w szklance. – Kennedy próbował zabić Castro, lecz Castro dostał go pierwszy.

– Gdyby Johnson miał jakieś dowody, nie zataiłby ich przed komisją Warrena, prowadzącą dochodzenie w sprawie zabójstwa prezydenta – odparł Ebby. – Po prostu intuicja.

– Komisja Warrena to był zwykły cyrk – powiedział Jack. – Pamiętacie, jak Harvey Torriti zeznawał na zamkniętym posiedzeniu? Nawet się nie zająknął o powiązaniach Firmy z cosa nostra i próbie usunięcia Castro. Nie wyjawiał, że Oswald, zanim zamordował Kennedy’ego, odwiedził sowiecką ambasadę w Meksyku; ani tego, że spotkał się ze specjalistą od mokrej roboty, Walerym Kostikowem z Trzynastego Wydziału KGB, powiązanym z ludźmi z najbliższego otoczenia Fidela. Zagadnąłem kiedyś Harveya, dlaczego nie wspomniał o tym ludziom Warrena. Wiecie, co mi odpowiedział? Że go o to nie pytali. – Zachichotał.

Ebby potrząsnął z zakłopotaniem głową.

– Zakładając, że to Castro zamordował Giancanę i Rossellego, nasuwa się pytanie, czy zabił również Johna Kennedy’ego?

– Może napisze o tym w swoich pamiętnikach – odrzekł Leo.

Ebby popatrzył na niego i zapytał nagle:

– Gdzie jedziecie z Adelle?

– Zmieniasz temat – wtrącił Jack.

– Nad Loarę – odparł Leo. – Będziemy jeździć na rowerach od zamku do zamku. Nie zapominaj, że co dzień będziemy się raczyć specjałami francuskiej kuchni. Trzeba będzie pedałowac od świtu do nocy, żeby rzucić kalorie.

– Kiedy ostatni raz brałeś urlop?

– Dwa lata temu we wrześniu, w dziesięć dni zjechaliśmy wtedy na rowerach całą Nową Szkocję – powiedział Leo. – Ile już minęło? Dwadzieścia miesięcy.

– Należy ci się odpoczynek – przyznał Ebby.

– Tessa i Vanessa też z wami jadą? – zapytał Jack.

– Mają inną koncepcję odpoczynku. Są szczęśliwe, że starzy wyjadą i zostawią im wolną chatę – roześmiał się Leo.

Ebby wstał i przeciągnął się, żeby rozprostować kości.

– Chyba powinniśmy wyznaczyć ludzi do sprawy Giancany i Rossellego – powiedział do Jacka. – Może znajdziemy jakieś odciski palców.

– Brak odcisków też jest swoistym odciskiem – zauważył Leo.

– Ty masz być na wakacjach – wytknął mu Jack.

Manny rozsiadł się wygodnie w dyżurce Centrum Operacyjnego, zrzucił adidasy i założył nogi na biurko, zastawione milczącymi aparatami telefonicznymi. Nocna służba, którą pełnił raz na trzy tygodnie, niezupełnie odpowiadała jego wyobrażeniom o obfitującej w seksowne przeżycia nocy; zdecydowanie wolałby pójść z Nellie na *Młodego Frankensteina*. Pierwsze dwie godziny mijały zwykle dość szybko na pisaniu zaległych raportów, ale potem zupełnie nie było co robić. Żeby jakoś zabić nudę i przetrwać do rana, dyżurni oficerowie kartkowali po raz setny zaczytane niemal do cna powieści szpiegowskie z czasów zimnej wojny, stojące w biblioteczce obok automatu z wodą.

Ta noc zapowiadała się podobnie i nie zanosilo się na żadną sensację. Najpierw Manny przejrzał najnowsze wydanie wewnętrznego biuletynu wywiadowczego „National Intelligence Daily”, które następnego ranka miało trafić do rąk wyselekcjonowanej (i bardzo nielicznej) grupki wtajemniczonych. Po pokoju kręcili się ubrani w nieskazitelnie białe kombinezony „technicy” z Biura Ochrony, sprawdzając urządzenia, które wprawiały w drgania szyby okienne, żeby KGB nie mógł podsłuchiwać rozmów za pomocą promieni laserowych. Stojące rzędem na półce telewizory nastawione były na główne kanały informacyjne, co pozwalało śledzić na bieżąco najnowsze wydarzenia i najświeższe wiadomości.

Młodszy oficerowie z różnych dyrektoriatów siedzieli wokół ogromnego stołu i rejestrowali nocne depeche, napływające z rozszaniach po całym świecie placówek. Sortowali dokumenty według stopnia ważności i tajności, a te najpilniejsze przekazywali do skrzynki „przychodzące” na biurku oficera dyżurnego. Manny zerknął na zegar i stwierdził, że zostało mu jeszcze dziesięć i pół godziny nocnej służby. Tłumiąc ziewanie, zaatakował pokazną stertę szyfrogramów, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie trzeba kogoś wyrwać ze snu w środku nocy.

Po przejrzaniu pierwszej partii depeche zdawało się, że wszystkie mogą poczekać do rana, aż ludzie zaczną schodzić się do pracy. Był tam raport z placówki w Kairze o zmianach personalnych w Muhabaracie, egipskich służbach wywiadowczych, do których prezydent Anwar As-Sadat wprowadził ludzi znanych z lojalności i bezgranicznego oddania jego osobie. Stacja w Bejrucie ponownie ostrzegała przed wojną domową pomiędzy islamskimi fundamentalistami i arabskimi chrześcijanami – Organizacja Wyzwolenia Palestyny Jasira Arafata, ciesząca się coraz większym poparciem w palestyńskich obozach dla uchodźców, gromadziła broń i przechwalała się, że zamieni północną część kraju w jedną wielką wyrzutnię raketową, żeby z Izraela nie pozostał kamień na kamieniu. W Sajgonie bito na alarm, bo sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli; w związku z tym CIA, wspólnie z marynarką, przygotowywała plan ewakuacji tysiąca pięciuset obywateli amerykańskich na wypadek, gdyby regularna armia z Północy przedarła się za linię okopów w Wietnamie Południowym i zaatakowała stolicę. Placówka w Paryżu przewidywała, że w przyszłym tygodniu gaullista Valéry Giscard d’Estaing pokona w drugiej turze wyborów socjalistę François Mitterranda. W Lizbonie obawiano się, iż komuniści z lewicowej junty, która w zeszłym miesiącu przejęła władzę w drodze zamachu stanu, przekażą tajemnice NATO do Moskwy.

Po wpół do dziesiątej nad drzwiami do Centrum Operacyjnego zamigotało zielone światełko. Uzbrojony po zęby wartownik wyjrzał przez judasz i zawołał: „Kawę przywieźli!” Oficerowie i sekretarki z nocnej zmiany, szczęśliwi, że choć na chwilę mogą się oderwać od nudnych zajęć, stłoczyli się za drzwiami w korytarzu, przepychając się do wózka z poczęstunkiem. Manny nałożył buty i też stanął w kolejce. Wziął pełny kubek kawy, poczęstował się pączkiem z dżemem i wrócił za biurko. Dziewczyna z centrali zdjęła z uszu słuchawki i oznajmiła: „Sir, na otwartej linii mam telefon od kobiety, która chce rozmawiać z dyżurnym. Mówi, że to sprawa życia lub śmierci”.

– Przełącz ją na moją zewnętrzną linię – polecił Manny i podniósł zieloną słuchawkę. – Słucham?

Po drugiej stronie rozległ się podenerwowany głos.

– Macie tam chyba jakiegoś szefa nocnej zmiany... Muszę z nim natychmiast rozmawiać.

– Proszę podać nazwisko i powiedzieć, o co chodzi – zaczął Manny, ale kobieta mu przerwała.

– Na miłość boską, nie bawcie się ze mną w kotka i myszkę! Od tego telefonu zależy życie człowieka. Przed jedenastą musi wrócić do ambasady... To pilne... Proszę mnie połączyć z kimś kompetentnym...

Manny wyprostował się na krześle i wcisnął guzik wbudowanego w aparat magnetofonu.

– Rozmawia pani z oficerem dyżurnym.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki wzięła głęboki oddech.

– No dobra, niech będzie. Nazywam się Agatha Ept. E-P-T, jak w „adept”, tylko bez „ad”. Pracuję w Urzędzie Patentowym. Tydzień temu, w piątek, poznałam sowieckiego dyplomatę... na bankiecie w Smithsonian,

z okazji stulecia amerykańskich wynalazków. Przedstawił mi się jako attaché polityczny. Był świetnie zorientowany w temacie, zaczęliśmy rozmawiać... W pewnej chwili zapytał, czy możemy się jeszcze kiedyś spotkać, a ja pomyślałam, że czemu nie. Umówiliśmy się na lunch w zeszłą niedzielę, w Centrum Kennedy'ego. – Zakryła dłonią słuchawkę i powiedziała do kogoś: „Zaraz do tego dojdę”. – Na czym skończyłam? – zwróciła się znów do Manny'ego.

Podobał mu się jej sposób mówienia: rzeczowy, opanowany... Miał nawet wrażenie, że mimo powagi sytuacji wyczuwa w jej głosie nutkę rozbawienia niecodzienną sytuacją.

– Jadła pani lunch w Centrum Kennedy'ego... – podpowiedział.

– A, tak... Więc mój znajomy Rosjanin...

– Zechciałaby pani podać jego nazwisko?

– Specjalnie mnie prosił, żebym nie robiła tego przez telefon. No więc pogawędziliśmy sobie o tym i owym, a potem rozeszliśmy się, każde w swoją stronę. I nagle dziś wieczorem, około wpół do dziewiątej, usłyszałam brzęczyk domofonu. I któż to był? Nasz dyplomata we własnej osobie! Znalazł mój adres, nie mam zresztą pojęcia gdzie, bo nie figuruję w książce telefonicznej. Stał na dole w holu. Błagał, żebym wpuściła go na górę. Powiedział, że to sprawa życia lub śmierci, co wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie było przesadą. Wpuściłam go i wszedł do mnie na górę. Krótko mówiąc, chce dostać azyl polityczny. Powiedział, że Rosjanie nie spotykają się z wieloma Amerykanami. Że byłam jedyną osobą, do której mógł się zwrócić. Poprosił, żebym się skontaktowała w jego imieniu z CIA. Chce zostać w Ameryce, a w zamian za to gotów jest przekazać wam pewne informacje.

– Jakie informacje?

Słyszał, jak Ept powtarza pytanie Rosjaninowi: „Chcą wiedzieć, jakiego rodzaju informacje mógłby pan przekazać”.

Manny usłyszał gorączkowy szept mężczyzny, mówiącego z silnym obcym akcentem.

– Powiedział, że ma mnóstwo tajemnic do sprzedania. To co mam teraz robić? – odezwała się znowu kobieta.

– Teraz powinna mi pani podać swój numer telefonu i adres. Potem proszę nie ruszać się z domu. Niech pani zaparzy kawę, zabawi gościa rozmową i czeka, aż przyjadę, dobrze? – poinstruował ją Manny.

– Chyba nie mam innego wyjścia.

Manny upewnił się, że wszystko dobrze zanotował. Agatha chciała wiedzieć, z kim rozmawia. Powiedział, żeby zwracała się do niego per Manny. Roześmiała się i odrzekła, że wolałaby jego prawdziwe nazwisko, ale „Manny” też może być. Spytała jeszcze, pod jakim znakiem zodiaku się urodził, a kiedy powiedział, że jest Koziorożcem, odetchnęła głośno z wyraźną ulgą. Wyjaśniła pospiesznie, że Rosjanin jest spod Panny, a ona sama spod Byka z ascendentem w Koziorożcu, powinni zatem dogadać się bez przeszkód, bo wszyscy troje należą do znaków ziemi. Manny miał szczęście, dodała: Jowisz wchodzi właśnie w Byka i wkrótce utworzy sekstyl z Wenus w Pannie, a to znaczy, że nie ma takiej rzeczy, której byśmy nie dokonali, o ile będziemy działać razem.

– Podoba mi się twój styl, Agatho. Czekaj tam na mnie – powiedział Manny.

Odłożył słuchawkę i wrzasnął:

– Marv, za dziesięć minut w garażu mają na mnie czekać dwa samochody i sześciu ludzi z Biura Ochrony! Wszyscy uzbrojeni, w cywilnych ciuchach.

Waldo, daj mi tu odczyt o Amerykance nazwiskiem Ept, literuję E-P-T, pierwsze imię Agatha, pracuje w Urzędzie Patentowym. Natychmiast!

Sięgnął po czerwony telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się lista ściśle zastrzeżonych numerów. Manny wykręcił jeden z nich. Po czterech sygnałach zgłosił się szef operacji DD/O, Jack McAuliffe.

– Panie McAuliffe, mówi Manny Ebbitt, oficer dyżurny nocnej zmiany w Centrum Operacyjnym...

– Dlaczego tak oficjalnie, Manny?

– Dzwonię w sprawie służbowej, więc myślałem, że...

– Źle myślałeś. Co się dzieje?

– Wygląda na to, że mamy przypadkowego klienta...

W kilku słowach streścił, o co chodzi. Opowiedział o telefonie od kobiety, która podawała się za pracownika Urzędu Patentowego, i o sowieckim attaché, który prosił o azyl polityczny w zamian za podanie bliżej nieokreślonych informacji. W trakcie tych wyjaśnień Waldo podsunął mu jakiś papier.

– Dostałem właśnie dane tej kobiety, Jack. Ept Agatha, lat czterdzieści dwa, rozwódka, od dziewięciu lat współpracuje z Urzędem Patentowym jako ekspert. W normalnych okolicznościach poszedłbym z tym do szefa mojej sekcji, ale Leo wyjechał do Europy. Dlatego dzwonię do ciebie.

Jack, który odkąd spotkał się ze swoim pierwszym zbiegiem w berlińskiej kryjówce nad kinem, prowadził już co najmniej sześciu innych, przystąpił od razu do rzeczy.

– W porządku. Upoważniam cię do rozmowy z tym Rosjaninem. Upewnij się, czy to przypadkiem nie jakiś dziennikarz, bawiący się z nami w kotka i myszkę. Jeżeli naprawdę jest sowieckim dyplomatą i faktycznie ma dostęp do tajemnic, postaraj się zwodzić go przez jakiś czas. Najpierw

spróbuj wy badać, co ma do zaoferowania i czego oczekuje w zamian. Nie zobowiązuj się do niczego w imieniu Firmy. Dla nas byłoby najlepiej, gdyby na razie pozostał w sowieckiej ambasadzie, przynajmniej do wygaśnięcia kontraktu, i stamtąd nas informował. Pamiętaj, że nawet jeśli będzie sprawiał wrażenie człowieka w pełni wiarygodnego, zawsze może się okazać, iż został nasłany, żeby wcisnąć nam jakiś kit. Jak ci się spodoba, każ mu zadzwonić do tej Ept w połowie tygodnia. Wszyscy sowieccy dyplomaci, pośrednio lub bezpośrednio, pracują dla KGB. Niech udaje, że ma romans z pracownicą Urzędu Patentowego albo że dopiero usiłuje nawiązać z nią znajomość w celu pozyskania informacji na temat amerykańskich patentów. Możemy mu nawet podrzucić jakieś dane. Tam wszyscy patrzą sobie na ręce, powinni to kupić.

W drzwiach pojawił się Marv i uniósł dwa palce na znak, że samochody już czekają w podziemnym garażu.

– Dobra. Idę – powiedział Manny.

– Bierzesz obstawę?

– Dwa samochody i sześciu ludzi.

– Niech najpierw wybadają teren. Musisz się upewnić, że nie pakujesz się w gniazdo os. Na wszelki wypadek weź kogoś ze sobą na górę. Nagraj rozmowę, jeśli to możliwe. Zadzwon, jak tylko stamtąd wyjdiesz. Zawiadomię twojego ojca i kontrwywiad. Angleton na pewno chciałby o tym wiedzieć. Spotkamy się w gabinecie DD/O, jutro z samego rana, i zobaczymy, czy gra jest warta świeczki.

Manny wskazał Waldo swój wygodny fotel, machnął ręką na pożegnanie, chwycił w biegu wiszącą na oparciu marynarkę, zabrał z półki mały magnetofon na baterie i ruszył do drzwi.

Choć raz nudna nocna zmiana okazała się bardziej intrygująca niż powieści szpiegowskie z okresu zimnej wojny.

Pięciopiętrową kamienicę, w której mieszkała Agatha Ept, zbudowano – zgodnie z datą widniejącą nad bramą – w 1946 roku, kiedy amerykańscy żołnierze powracali z wojny do kraju. Usytuowana na obrzeżach obwodnicy o rzut kamieniem od Rockville, w samym sercu osiedla zamieszkanego przez niższą klasę średnią, zeszpecona obskurnymi schodami pożarowymi, które przywarły do jej ceglanych ścian niczym kolonia małży do skalistego dna oceanu, nie zasługiwała na miano rudery wyłącznie dlatego, że wszystko wokół świeciło czystością. Równo przyszyżony żywopłot rósł po obu stronach alejki, prowadzącej do ciężkich, przeszklonych drzwi, za którymi znajdował się jasno oświetlony hol, a w nim drugie drzwi, również przeszklone, otwierane wyłącznie kluczem lub z domofonu. Pięciu tajniaków z obstawy Manny’ego rozpierchło się bezszelestnie po całym domu, pilnując głównych i tylnych wejść, podziemnego garażu oraz ginących w mroku chaszczy pod schodami pożarowymi na zewnątrz budynku. Szósty krył Manny’ego, który właśnie naciskał chromowy guzik obok wizytówki „Ept, A.”.

Z głośnika rozległ się kobiecy głos.

– Kto tam?

– Człowiek, z którym niedawno rozmawiała pani przez telefon – odparł Manny.

– Marty?

Manny zrozumiał, że ma do czynienia z dość przebiegłą osobką.

– Nie Marty. Manny.

– Spod jakiego jesteś znaku?

Stojący za jego plecami tajniak postukał się palcem w czoło, jakby chciał powiedzieć „wariatka”.

– Niepraktykujący Koziorożec – odparł Manny.

– Nie wiesz, co tracisz. Czwarte piętro, drugie drzwi na prawo od windy.

Zabuczał brzęczyk domofonu. Kiedy wysiedli z windy, zobaczyli Agathę, stojącą w progu mieszkania. Była wysoką, smukłą kobietą o jasnych oczach i delikatnych rysach. Posłała im nerwowy uśmiezek, ukazując imponujący garnitur zębów.

– Który z was to niepraktykujący Koziorożec? A ten drugi to kto? – zapytała nieufnie.

– Ja jestem Manny, a to mój parasol ochronny – wyjaśnił Manny.

– On nie może wejść – oświadczyła kategorycznie. – Mój Rosjanin powiedział, że będzie rozmawiał z tobą i z nikim więcej.

– Tylko rozejrzę się w środku – odezwał się pojednawczo ochroniarz. – Jeżeli mieszkanie jest czyste, poczekam na zewnątrz.

– Mam jakiś wybór? – zerknęła pytająco na Manny’ego.

Wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Niech będzie. Jedynie rzucimy okiem.

Agatha wpuściła obu mężczyzn i zamknęła drzwi na łańcuch. Ochroniarz, nie zwracając najmniejszej uwagi na Rosjanina, który obserwował ich z kuchni, robił swoje: otwierał po kolei wszystkie drzwi, przeciągał dłonią pod blatami stołów, po oparciach i poręczach krzeseł. Zniknął w sypialni, a kiedy wrócił, kiwnął głową i powiedział do Manny’ego:

– Gdybyś mnie potrzebował, będę w holu.

Manny podszedł do dyplomaty i wyciągnął rękę.

– Nazywam się... – zaczął po rosyjsku.

Rosjanin mocno uściskał jego dłoń i odparł w ojczystym języku:

– Tak, wiem. Pan jest tym Mannym, który z nami rozmawiał przez telefon. Siergiej Siemionowicz Kukuszkin...

Manny ustawił magnetofon na stoliku do kawy i włożył kasetę.

– Co pan robi z tą maszyną? – zapytał Rosjanin.

– Chciałbym nagrać naszą rozmowę.

Rosjanin energicznie pokręcił głową. Jego długie, płowe, rozczochrane włosy potargały się jeszcze bardziej.

– *Niet, niet.* Jeśli można, wolałbym nie.

Manny spojrzał na Agathę.

– Mogłabyś...? – zapytał, wskazując drzwi do sypialni.

– Ostatecznie, skoro nikt nie widzi... – Posłała Rosjaninowi pocieszający uśmiech i zniknęła w drugim pokoju.

Kukuszkin wziął stojącą na kuchennym blacie szklanę pomarańczowego płynu.

– Sok z marchwi – powiedział, unosząc ją pod światło. – Chce pan trochę?

Manny potrząsnął głową.

– Miałem nadzieję, że to whisky...

– Ta pani jest wegetarianką – westchnął Rosjanin.

Manny wskazał mu miejsce na kanapie, a sam usiadł na krześle naprzeciw niego. Postanowił sprawdzić, jak Kukuszkin radzi sobie z angielskim.

– Czujki KGB z waszej ambasady wiedzą, gdzie pan teraz jest?

Kukuszkin wydawał się zbity z tropu.

– Czujki?

– Wasi nadzorcy. Wasza ochrona.

– Ach, czujki... Podpisałem się, że idę do kina.

– Na co?

– Na *Młodego Frankensteina*.

– O której kończy się seans?

– Dwudziesta druga czterdzieści. Powinienem być w ambasadzie przed jedenastą, jedenastą piętnaście.

Manny zerknął na zegarek.

– Mamy więc czterdzieści minut, jeżeli podrzucimy pana na przystanek przed kinem. Wie pan, o czym jest ten film?

– Tak... Czytałem recenzje.

Manny przyjrzał mu się uważniej. Miał około czterdziestu pięciu lat, był średniego wzrostu, przystojny, barczysty, o krępej budowie zapaśnika. Z oczu wyzierały mu szczerość i zdecydowanie. Jediną oznaką zdenerwowania było nieustanne prztykanie paznokciem środkowego palca o paznokieć kciuka.

Manny miał niejasne i zarazem niemiłe uczucie, że ma do czynienia z zawodowcem. Przeszedł z powrotem na rosyjski.

– Agatha wspomniała, że jest pan attaché politycznym...

Na twarz Kukuszkiina wypłynął gorzki uśmiech.

– Attaché polityczny to moja dyplomatyczna przykrywka. Naprawdę nazywam się Klimow. Siergiej Klimow. Zostałem czasowo oddelegowany do ambasady w stopniu kapitana KGB. – Paznokcie Rosjanina strzelały rytmicznie niczym metronom. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się kogoś starszego rangą. Pan jest zbyt młody. Gdybym chciał zrobić sobie operację

mózgu, nie poszedłbym z tym do początkującego chirurga... To samo dotyczy szpiegów – dodał po angielsku.

– Zapewniam, że jestem wystarczająco doświadczony, żeby zająć się tą sprawą. Zechce mi pan przedstawić pokrótce swój życiorys?

Kukuszkina niechętnie kiwnął głową.

– Zacząłem od studiów nad politycznym modelem kapitalizmu. Zanim zostałem przydzielony do tutejszej ambasady, w KGB byłem związany z Zarządem S, który prowadzi oficerów i agentów działających za granicą pod głęboką przykrywką. W tamtym okresie przez moje ręce przeszło mnóstwo depech. Do Waszyngtonu przyjechałem czternaście miesięcy temu. Moim głównym zadaniem jest analiza stosunków pomiędzy Białym Domem i Kongresem. Delegacja taka jak moja trwa zwykle siedem miesięcy, ale może zostać przedłużona na dwa i pół roku, a nawet na trzy lata, o ile ochrona wyrazi na to zgodę.

– Chce pan przejść na naszą stronę? – zapytał z wahaniem Manny.

– Chcę dostać azyl polityczny w Ameryce. – Rosjanin wyglądał tak, jakby miał zaraz zwymiotować. – Dla mnie – dodał. – Dla mojej żony. Dla mojej siedmioletniej córki.

– Dlaczego?

– Nie rozumiem pańskiego pytania. Jak to „dlaczego”?

– Co pana do tego skłoniło?

– Wiem, że motywy mojej decyzji są dla was bardzo istotne, bo dzięki temu możecie się zorientować, czy jestem autentycznym, czy też podstawionym zbiegiem, ale w tej chwili nie mamy za wiele czasu na wyjaśnienia. Na razie powiem tylko, że jednym z paradoksów zimnej wojny jest to, że agenci KGB, a zwłaszcza ci wysyłani na Zachód, lepiej niż przeciętny Rosjanin rozumieją mocne i słabe strony kapitalizmu. Ja sam

jestem tego żywym dowodem. Rozczarowałem się korupcją i niewydolnością sowieckiego systemu. Wierzę w Matkę Rosję, nie w Związek Radziecki. – Kukuszkin pochylił się do przodu i mówił dalej ze źle skrywaną pasją. – Wyznam panu szczerze, że istnieje jeszcze jeden ważny powód. Moja żona od lat choruje na serce. Leczy się w ambasadzie u sowieckiego lekarza. Chcę, żeby leczył ją amerykański lekarz i żeby brała amerykańskie lekarstwa.

– Od jak dawna odczuwa pan rozczarowanie?

Kukuszkin podniósł ręce w geście rezygnacji.

– Uczucie frustracji nie rodzi się z dnia na dzień. Kiełkuje z wolna i narasta przez wiele lat, zatruwając stopniowo serce i mózg.

– Czy myślał pan tak samo czternaście miesięcy temu, w dniu przyjazdu do Waszyngtonu? Czy pańska żona już wtedy potrzebowała pomocy lekarskiej?

Rosjanin pokiwał ze znużeniem głową; nie był pewien, dokąd prowadzą te pytania.

Manny zsunął się na brzeg krzesła.

– Dlaczego pan nie przyszedł do nas czternaście miesięcy temu?

Po raz pierwszy Kukuszkin oderwał wzrok od oczu Manny'ego.

– *Nieważność!* – powiedział z naciskiem, ścisząc głos niemal do szeptu.

Manny nie dawał za wygraną.

– Dlaczego to było niemożliwe?

Rosjanin, prztykając w milczeniu palcami, zastanawiał się przez chwilę.

– Rezydent KGB w Waszyngtonie, Borysow, jest moim kolegą z Uniwersytetu Łomonosowa. Przez dwa lata mieszkaliśmy w jednym pokoju. Bywa ze mną bardziej szczerzy niż z innymi, mówi mi wiele rzeczy,

kiedy spotykamy się późno w nocy w jego biurze, żeby wypić razem szklaneczkę whisky. Od niego wiem, że KGB ma w CIA, jak wy to nazywacie, kreta o kryptonimie SASZA. Ten SASZA zajmuje u was bardzo wysokie stanowisko... – Ręką pokazał kolejne szczeble wyimaginowanej drabiny. – Nie mogłem skontaktować się z wami w czasie, kiedy SASZA przebywał w Waszyngtonie. Dowiedziałyby się o tym od razu i zawiadomił naszych ludzi z ochrony. Rosjanin próbujący przejść na waszą stronę, jego rodzina... – Przeciągnął palcem po gardle. – Wszyscy kaput.

Manny zrozumiał, że Kukuszkin, o ile nie jest podstawiony, stanowi prawdziwą żyłę złota.

– Chce pan powiedzieć, że t e r a z SASZY nie ma w Waszyngtonie?

Rosjanin skinął ponuro głową.

– Borysow mówił mi, że obydwaj, SASZA i jego łącznik, są poza miastem.

– Może pan zidentyfikować SASZĘ? – zapytał cicho Manny.

Paznokcie Kukuszki nagle ucichły.

– Nie sądzę, żeby nawet rezydent znał jego tożsamość. Wie tylko, że SASZA istnieje. Pan wie już więcej... Pan wie, że SASZY nie ma teraz w Waszyngtonie. Mogę dorzucić jeszcze parę innych szczegółów... Mogę wam powiedzieć, kiedy znowu go tu nie będzie. Mogę zdradzić wam pierwszą literę jego nazwiska, jak również kilka innych ważnych szczegółów biograficznych. W zamian za azyl polityczny dla mnie i moich bliskich gotów jestem pomóc wam zawęzić listę podejrzanych.

– Znacie się? – spytał DCI Bill Colby, gdy legendarny szef kontrwywiadu Firmy, James Jesus Angleton, ostrożnie złożył swe wątle ciało na krześle u szczytu stołu.

– Nigdy się nie spotkaliśmy – wymamrotał Angleton.

Jack McAuliffe dokonał wzajemnej prezentacji.

– Manny Ebbitt, wschodząca gwiazda na firmamencie Sekcji Sowieckiej.

– To dla mnie zaszczyt, że mogę pana poznać – odezwał się Manny.

Angleton przyjrzał mu się, przewiercając go niemal na wylot zamysłonymi meksykańskimi oczami.

– A więc to ty jesteś synem Elliotta – powiedział w końcu.

– Tak, to on – przyświadczył cierpko siedzący obok Colby’ego Ebby.

– Każdy ma swój krzyż – zażartował Jack, chcąc nieco rozluźnić atmosferę. Ale nikt się nie uśmiechnął.

Angleton, z trudem powstrzymując suchy kaszel nałogowego palacza, pochylił głowę i odpalił papierosa od peta, żarzącego się w jego wyschniętych na wiór wargach.

– Zaczynajmy – powiedział niecierpliwie. – O jedenastej mam spotkanie z Prezydenckim Zespołem Doradców do spraw Wywiadu.

Manny był dość onieśmielony faktem, iż został dopuszczony przed oblicze legendarnego Matki. Przez ponad dwadzieścia lat Angleton stał samotnie na straży, czuwając nad bezpieczeństwem Agencji. Własnymi rękami odwracał każdy kamień, by szukać robaków zdrady, przypisując wszystkie klęski Firmy istnieniu sowieckiej wtyczki, a wszystkie sukcesy – diabolicznym knowaniom Dziadka, mającym na celu umieszczenie kreta na wyższym szczeblu hierarchii CIA. W Sekcji Sowieckiej o Matce mówiło się wyłącznie szeptem. Ten i ów przechwalał się, że dojrzał z daleka wymizerowaną, przygarbioną postać, krążącą po korytarzach Langley, z rękami założonymi na plecy i nieobecny spojrzeniem pałających oczu. Mówiło się, że lata świetności Angletona już dawno minęły, że jego dni są policzone, że po lunchu, złożonym z czterech martini, nie jest w stanie

przekopać się jak dawniej przez stertę depesz i akt, zalegających biurko. Podczas roboczych zebrań dyrekcji na szóstym piętrze budynku, który stare wygi Firmy nazwały „Campusem”, wałkował podobno w kółko swoją najnowszą teorię. Raz utrzymywał, iż kryzys chińsko-radziecki oraz pozorna niezależność Dubčeka w Czechosłowacji, Ceaușescu w Rumunii i Tito w Jugosławii to brudna robota KGB, który w wiadomym sobie celu usiłuje wmówić Zachodowi, że na sowieckim monolicie powstały głębokie rysy. Kiedy indziej znów grzmiał na Philby’ego – swego dawnego druha, a dziś największego wroga – który zbiegł do Moskwy we wczesnych latach sześćdziesiątych, gdy ostatecznie wydało się, że szpiegował na rzecz obcego mocarstwa. Angleton utrzymywał, iż pod wpływem Philby’ego KGB zmienił oblicze i styl działania, a sowieckie służby wywiadowcze stały się bardziej subtelne i wyrafinowane – bliższe skrytobójczej finezji sztyletu niż armatnim salwom. Posunął się nawet do tego, że jemu właśnie przypisał zamianę nieodłącznego uniformu agentów KGB – rzucających się w oczy, workowatych spodni i marynarek z przykrótkimi rękawami – na szyte na miarę garnitury. Coraz więcej pracowników Firmy szemrało przeciw wszechwładnemu szefowi kontrwywiadu, oskarżając go, iż paranoiczną nagonką na krety paraliżuje wszelkie operacje przeciw Sowietom, czym szkodzi Agencji bardziej niż najgłębiej zakonspirowany obcy agent. Angleton nadal miał swoich obrońców, choć ich szeregi z każdym rokiem stawały się coraz mniej liczne. W każdej organizacji wywiadowczej jest jakiś paranoik, argumentowali. Angleton był paranoikiem Firmy. A fakt, że dotąd nie udało mu się wytropić żadnego kreta, nie oznacza jeszcze, że takiego kreta nie ma.

Colby usiadł, założył nogę na nogę i spojrzał na Manny’ego znad okularów.

– W takim razie zaczynaj, chłopcze.

– Tak jest, sir. Około dziewiątej trzydzieści dwie odebrałem telefon od kobiety nazwiskiem Ept Agatha...

– Co to znaczy o k o ł o dziewiątej trzydzieści dwie? Wyrażaj się precyzyjnie! Albo powiedz o k o ł o wpół do dziesiątej, albo d o k ł a d n i e o dziewiątej trzydzieści dwie.

Manny, z ledwie dostrzegalnym cieniem uśmiechu na ustach, zajrzał do swoich notatek.

– Tak jest, sir. Ta Ept utrzymuje, że pracuje w Urzędzie Patentowym. Sprawdziłem to...

– Sprawdziłeś, czy osoba nazwiskiem Ept Agatha figuruje na liście płac Urzędu Patentowego – przerwał mu znowu Angleton. – Ale nie sprawdziłeś, o ile mi wiadomo, czy kobieta podająca się za Ept Agathę jest istotnie Ept Agathą, zatrudnioną w Urzędzie Patentowym.

Ebby trzymał język za zębami. Colby rzucił Angletonowi szybkie spojrzenie.

– Szukasz dziury w całym, Jim. Pozwól mu skończyć.

– Szukanie dziury w całym to mój zawód, Bill – odparł Angleton.

Było jasne, że ci dwaj szczerze się nie znoszą i mają po temu powody. Wkrótce po swej nominacji na DCI, w 1973 roku, Colby zamknął jedną z ulubionych operacji Angletona – HT/LINGUAL – która polegała na czytaniu wszystkich listów z i do Związku Radzieckiego, przechodzących przez urzędy pocztowe w Nowym Jorku. Colby zasłaniał się statutem CIA, który zakazywał jakichkolwiek operacji na terytorium Stanów Zjednoczonych. Żeby jeszcze dolać oliwy do ognia, uszczuplił imperium Angletona, redukując liczbę jego pracowników z trzystu do zaledwie osiemdziesięciu.

– Wyświadczyć mi przysługę, Jim – powiedział, patrząc mu prosto w oczy – i szukaj dziury w całym u siebie.

Odwrócił się do Manny’ego i dał mu znak, żeby mówił dalej.

– Tego wieczoru był u niej attaché polityczny sowieckiej ambasady, którego poznała kilka tygodni wcześniej, na przyjęciu w Smithsonian Institution.

Angleton przymknął oczy i zaciągnął się papierosem.

– Ept ma zastrzeżony numer. Skąd wiedział, gdzie mieszka?

Jack napotkał spojrzenie Ebby’ego i machnął uspokajająco ręką.

Manny bez drgnienia powieki wytrzymał przenikliwy wzrok Angletona.

– Powiedziała mi przez telefon, że w zeszłą niedzielę zjedli razem lunch w Centrum Kennedy’ego. Kiedy zapytałem go wprost, jak do niej trafił, odpowiedział, że szedł za nią do domu.

– To wyjaśnia sprawę – odezwał się chłodno Ebby.

Manny zastanawiał się, czy wszystkie ważne spotkania na szczycie odbywają się w tak nerwowej atmosferze.

– Jack... pan McAuliffe... upoważnił mnie telefonicznie do przeprowadzenia wstępnej rozmowy. Pojechałem tam i przesłuchałem tego Rosjanina, któremu nadałem roboczy kryptonim AE ukośnik PINAKIEL. Ept nie uczestniczyła w dalszej części spotkania. Na wyraźną prośbę Rosjanina nie nagrałem tej rozmowy.

Angleton podniósł wzrok.

– To standardowa procedura w przypadku infiltracji. Ludzie, którzy go do nas przysłali, nie chcą, żebym szukał dziury w całym, dopóki nie połkniesz przynęty.

– Na miłość boską, Jim, Manny postępował zgodnie z przepisami! – wybuchnął Ebby. – Zbieg, kontaktując się z nami, naraża życie. To

normalne, że jest ostrożny, a standardowa procedura nakazuje uczynić zadość jego życzeniom, o ile nie niesie to ze sobą ryzyka.

– Dziękuję za tę wielce pouczającą instrukcję, jak obchodzić się ze zbiegami – powiedział Angleton beznamiętnym głosem.

– Manny, wyświadczysz mi przysługę, jeśli dokończysz swoją prezentację – odezwał się ponuro Colby.

– Tak jest, sir. AE/PINAKIEL przedstawił się jako Siergiej Siemionowicz Kukuszkin, attaché polityczny sowieckiej placówki w Waszyngtonie. Jednak w trakcie dalszej rozmowy wyznał, iż w rzeczywistości nazywa się Siergiej Klimow i jest agentem KGB, oddelegowanym w randze kapitana do pracy w ambasadzie... – Manny przewrócił następną kartkę w swoich notatkach. – Dziś rano sprawdziłem akta numer dwieście jeden w rejestrze centralnym. Mamy tam Klimowa Siergieja, urodzonego w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, co by oznaczało, że ma teraz czterdzieści siedem lat, a to z kolei zgadzałoby się z grubsza z wyglądem Kukuszki. Klimow Siergiej ukończył czteroletnie studia wyższe na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie, a obowiązkowy egzamin z marksizmu-leninizmu zdał na trójkę, w skali ocen od dwóch do pięciu. Specjalizował się w analizie porównawczej systemów politycznych. Otrzymał dyplom z wyróżnieniem za pracę magisterską na temat amerykańskiego modelu republikańskiego oraz mechanizmów kontroli i równowagi pomiędzy poszczególnymi ośrodkami władzy. Pod koniec studiów przyszli absolwenci stają zwykle przed komisją rekrutacyjną, złożoną z przedstawicieli rozmaitych instytucji państwowych i ministerstw: MSZ, MHZ, KGB, GRU, agencji TASS, związków zawodowych – do wyboru, do koloru. Klimow dostał przydział do KGB. Kolejna wzmianka o nim dotyczy okresu, w którym jako pracownik Pierwszego Głównego Zarządu analizował przechwycone od Amerykanów informacje o bieżącej

sytuacji politycznej oraz artykuły o podobnej tematyce, ukazujące się w amerykańskich gazetach i czasopismach. W tym samym czasie ożenił się z córką generała pułkownika artylerii, nadzorującego wyrzutnie międzykontynentalnych pocisków balistycznych na terenie Kazachstanu. Ciekawe, że w aktach dwieście jeden nie ma żadnej wzmianki o córce, która – o ile istotnie ma teraz siedem lat, jak powiedział mi AE/PINAKIEL – właśnie wtedy powinna przyjść na świat. Potem Klimowa przeniesiono do Zarządu S, zajmującego się prowadzeniem sowieckich nielegalów. Więcej danych nie mamy. Podający się za niego Rosjanin wspomniał mi o pracy w Zarządzie S. Jeżeli postanowimy spotkać się z nim znowu, można by mu zadać kilka pytań o znajomych z tamtych lat, żeby potwierdzić jego tożsamość.

Angleton w milczeniu pokręcił głową.

– Co ci się teraz nie podoba, Jim? – zapytał Colby.

– To nic nie da. Jeżeli Kukuszkin, co mało prawdopodobne, jest prawdziwym zbiegiem, na pewno będzie znał odpowiedzi na te pytania. Jeżeli jest podstawiony, także będzie je znał.

Jack przez dłuższą chwilę skubał w zamyśleniu swe kozackie wąsy.

– Jim ma rację – powiedział wreszcie, po czym zwrócił się do Manny'ego. – Jaki powód przejścia na naszą stronę podał ten twój Kukuszkin-Klimow?

– Nic nowego. Rozczarował się do komunizmu... – zaczął Manny.

Angleton zachichotał.

– Cóż za oryginalność!

– Jest jeszcze coś – kontynuował Manny, niezrażony. – Twierdzi, że jego żona od lat choruje na serce. Chce jej zapewnić opiekę amerykańskich

lekarzy. Ten szczegół można łatwo sprawdzić. Nie można udawać wady serca.

– Ostatecznym i najważniejszym testem będzie informacja, którą nam dostarczy – powiedział Colby.

Angleton nadal kręcił głową.

– Podstawieni agenci zawsze podają pewną ilość prawdziwych informacji, żeby tym lepiej nas przekonać o swojej autentyczności.

– Przejdźmy zatem do sedna – zaproponował Colby.

Manny zajrzał do notatek, które spisał na gorąco zeszłej nocy po powrocie do Langley.

– Rozmowa była za krótka, żeby go porządnie przycisnąć. Ale dał mi do zrozumienia, że kiedy już podejmiemy ostateczną decyzję o eksfiltracji, przyniesie nam aktówkę pełną tajemnic. I tu jestem skłonny przyznać rację panu Angletonowi... Informacje, a przynajmniej ich część, mogą okazać się prawdziwe, nawet jeśli AE/PINAKIEL jest podstawiony. Dobrze. Zrelacjonuję teraz wszystko, krok po kroku, dopóki nie dojdę do sedna sprawy. Proszę o trochę cierpliwości. To będzie jak droga z podnóża góry na szczyt... – Inkwizytorskie spojrzenia, jakimi Angleton przewiercał go na wylot przez kółka dymu, zaczynały wyprowadzać Manny'ego z równowagi. Gdyby Leo Kritzky był tutaj, na pewno podtrzymałby go na duchu!

– Na początek Kukuszkin zaproponował, że poda nam *modus operandi* radzieckiej ambasady w Waszyngtonie. Spodziewam się, że dostaniemy od niego nazwiska, stopnie, numery identyfikacyjne agentów, lokalizację skrzynek kontaktowych, hasła i sygnały kontaktowe, na przykład drobne ogłoszenia w gazetach, informujące, czy skrzynka jest pełna, czy została opróżniona.

Angleton szyderczo wzruszył kościstymi ramionami.

– Też mi coś! – rzucił opryskliwie.

– AE/PINAKIEL utrzymuje, iż w Moskwie powołano niedawno Zarząd Dezinformacji, noszący nazwę Zarząd D, który ma koordynować zakrojoną na szeroką skalę akcję dezinformacyjną. Kukuszkin mówił, że pracuje tam pięćdziesięciu oficerów, wybranych spośród rejonowych i ogólnokrajowych specjalistów, doświadczonych w pracy w terenie. Twierdzi, że o istnieniu tego ściśle tajnego wydziału dowiedział się tylko dlatego, że sam został zwerbowany, ze względu na dogłębną znajomość amerykańskiego systemu politycznego. Ponieważ praca w Zarządzie Dezinformacji wiązała się z powrotem do kraju, AE/PINAKIEL poprosił teścia, żeby użył swoich wpływów i cofnął przeniesienie.

Wreszcie Manny’emu udało się wywrzeć wrażenie na Angletonie. Szef kontrwywiadu wyprostował się na krześle.

– Czy twój Rosjanin ma jakieś szczegółowe dane na temat działalności Zarządu D? Wspomniał coś o kryzysie chińsko-sowieckim? O Dubčeku, Ceaușescu, Tito?

– Tego się dowiemy, jeżeli będziemy przesłuchania kontynuować – zauważył Manny.

– Co jeszcze ma nam do zaoferowania? – zapytał Jack.

– Oświadczył, że jest w posiadaniu informacji na temat obecnego premiera Wielkiej Brytanii, Harolda Wilsona, ale kiedy spróbowałem go przycisnąć, zeznawał raczej mętnie. Powiedział tylko, że w Moskwie pracował w jednym pokoju z oficerem KGB, przez którego ręce przechodziły materiały dotyczące Wilsona.

– Stawia się – stwierdził Colby.

– Negocjuje swój pakiet emerytalny – przytaknął Ebby. – Gdyby wszystko podał nam od razu na tacy, jego akcje by spadły.

Manny zerknął do notatek.

– Jestem już w połowie drogi do szczytu. AE/PINAKIEL twierdzi, iż mniej więcej rok temu doszły do niego słuchy, że do tutejszej rezydentury zgłosił się z propozycją współpracy pewien nałogowiec z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) – nałogowiec miał słabość do kobiet i hazardu i rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Aby uniknąć niepotrzebnego ryzyka, wszystkie osobiste przesłuchania odbywały się za granicą podczas wakacyjnych wyjazdów „klienta”. Na miejscu, w Waszyngtonie, komunikowano się z nim przez skrzynki kontaktowe. Kiedy w grudniu ubiegłego roku, na zamkniętej uroczystości w ambasadzie, prowadzący go podpułkownik KGB został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru, AE/PINAKIEL domyślił się, że zdrajca musi być jakąś grubą rybą w NSA. W połowie stycznia (dokładniej – szesnastego, we środę) rezydent KGB poprosił Kukuszkina, aby zastąpił podpułkownika, który zachorował na gripę. Poinstruowano go, jak obsługiwać skrzynkę kontaktową w męskiej toalecie hotelu „Jefferson” w centrum Waszyngtonu. Rezydent wręczył mu wieczne pióro z wciśniętym pod stalówkę zwitkiem papieru, po czym roześmiał się i lekceważąc obowiązujące przepisy, zdradził podwładnemu treść zaszyfrowanej informacji, skierowanej, jak przypuszcza Kukuszkin, do kreta wewnątrz NSA. AE/PINAKIEL twierdzi, że kiedy i my ją poznamy, będziemy w stanie zidentyfikować zdrajcę. Rola Kukuszkina skończyła się na tym jednorazowym kontakcie, operacja była bowiem zastrzeżona dla garstki wtajemniczonych.

Colby aż gwizdnął. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, zajmująca się między innymi nasłuchem łączności sowieckiej ambasady i łamaniem szyfrów, była tak głęboko utajniona, że niewielu Amerykanów wiedziało

o jej istnieniu; po Firmie krążył dowcip, że skrót NSA to inaczej „Nasza Sekretna Agencja”. Jeżeli prawdą jest, że KGB ma tam swojego agenta, to znaczy, że nastąpił niekontrolowany przeciek najpilniej strzeżonych zimnowojennych sekretów Ameryki. Gdyby zdrada Kukuszkiina doprowadziła CIA do kreta w NSA, byłby to poważny cios dla KGB.

Angleton głośno pociągnął nosem, jakby wyczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

– *Timeo Danaos et dona ferentes...* Boję się Greków, nawet gdy przynoszą dary.

– Aż boję się pomyśleć, co nas czeka na szczycie, skoro doszliśmy dopiero do kreta w NSA – zauważył Jack.

– Miejmy to już za sobą – powiedział do Manny’ego Colby.

Manny spojrzał na ojca, siedzącego po drugiej stronie stołu. Ebby skinął głową na zachętę. Manny zobaczył błysk dumy w jego oczach.

– I tak oto doszliśmy na szczyt – zaczął, zerkając ukradkiem na Angletona, który właśnie zapalał kolejnego papierosa. – Ostatni punkt mojego raportu... – zrobił efektowną pauzę – ...dotyczy SASZY.

Senne oczy Angletona nagle otwarły się szeroko.

– AE/PINAKIEL twierdzi, że moskiewska centrala, z pominięciem tutejszej rezydentury, prowadzi działającego wewnątrz Firmy agenta o kryptonimie SASZA. Mózgiem tej operacji jest ktoś znany jako Dziadek, po rosyjsku: *Starik*. W rezydenturze mówi się, że to ten sam człowiek, który prowadził Philby’ego. SASZA nigdy nie kontaktuje się z nimi osobiście. Wszystko przechodzi przez ręce mieszkającego na stałe w Ameryce, głęboko zakonspirowanego łącznika.

– Sratatata... – burknął Angleton, ale widać było, że historia zrobiła na nim wrażenie.

– Kukuszkin chwalił się, że rezydent KGB, szef sekcji konsularnej Klimient Jewgieniewicz Borysow, to jego stary kumpel ze studenckich czasów. Obaj często piją do późnej nocy. AE/PINAKIEL twierdzi, że postanowił zbiec właśnie teraz, bo Borysow wygadał się przed nim, że SASZA i jego łącznik wyjechali z miasta. Gdyby SASZA był w Waszyngtonie, natychmiast dowiedziałyby się o zdradzie i ostrzegły ambasadę. Wraca za dwa tygodnie, więc czasu jest mało. Kukuszkin mówi, że kiedy on i jego rodzina będą już bezpieczni, poda nam pierwszą literę nazwiska SASZY, jak również ważne szczegóły z jego życiorysu i dokładne daty wcześniejszych wyjazdów z Waszyngtonu, co pozwoli nam ustalić jego tożsamość.

Angleton niecierpliwym gestem ręki odegnał kłęby dymu. Do tej pory przyjmował jako dogmat, iż każdy sowiecki klient CIA jest specjalnie podstawionym agentem, ponieważ w Firmie działa kret, który ostrzega Moskwę, gdy tylko zwietrzy zdradę, a centrala eliminuje zbiegów, zanim zdążą swe zamiary wprowadzić w czyn. Teraz wreszcie usłyszał coś, co dało mu do myślenia: nie można z góry wykluczyć wiarygodności zbiega, jeżeli w chwili jego dezercji SASZA przebywa poza Waszyngtonem, a co za tym idzie – nie może się dowiedzieć o planowanej zdradzie.

– Czy ten twój Rosjanin powiedział ci coś bliższego na temat łącznika? – zapytał schrypniętym od papierosów głosem.

– Próbowałem go przycisnąć, ale dowiedziałem się tylko, że łącznik SASZY wyjechał. Wezwanie powrotu do Rosji przekazała mu kobieta, będąca ogniwem pośrednim w jego kontaktach z rezydenturą. AE/PINAKIEL nie jest pewien, czy łącznika odwołano z powodu wyjazdu SASZY, czy też było odwrotnie. Na razie nie chciał mi zdradzić żadnych szczegółów dotyczących biografii SASZY ani daty jego poprzedniej

nieobecności w Waszyngtonie. Wiem jedynie, że zbiegła się z podróżą zagraniczną Dziadka.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy siedzieli w milczeniu, przetrawiając rewelacje Manny'ego. Ebby w zamyśleniu pokiwał głową. O istnieniu sowieckiego kreta w Firmie przekonany był od chwili, gdy wpadł w ręce węgierskiej bezpieki.

Colby wstał i zaczął nerwowo krążyć wokół stołu.

– Umówiłeś się na drugie spotkanie ze swoim radzieckim przyjacielem?
– zapytał.

– Nie. Uważałem, że sam nie mogę podjąć takiej decyzji – odparł Manny.

– Jak ma się z tobą skontaktować? – odezwał się Ebby.

– Wziąłem sobie do serca radę pana McAuliffe'a i powiedziałem Kukuszkinowi, żeby w czwartek wieczorem zadzwonił do Agathy Ept. Zasugerowałem również, by powiedział w ambasadzie, że po przypadkowym spotkaniu w Smithsonian próbuje ją uwieść w nadziei na uzyskanie dostępu do amerykańskich patentów. Jeżeli w czwartek Agatha zaprosi go na kolację, będzie wiedział, że zamierzamy kontynuować znajomość. Jeśli nie zechce się z nim umówić, to znaczy, że nie jesteśmy zainteresowani dalszą współpracą.

Angleton szurnął krzesłem, jakby chciał wstać, ale nie ruszył się z miejsca.

– Naturalnie od tej chwili sprawę przejmuje kontrwywiad – oznajmił.

– Dla mnie to wcale nie jest takie oczywiste. Najbardziej kompetentna jest tu Sekcja Sowiecka – najeżył się Jack.

Colby usiadł z powrotem na krześle i skubnął się w ucho.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział.

Angleton sięgnął po popielniczkę i zgniótł papierosa.

– Istnieją małe szanse na to, że mamy do czynienia z prawdziwym zbiegiem – zaczął ostrożnie. – Równie dobrze może to być sprawka KGB... samego Dziadka... Mogli celowo podsunąć nam przynętę.

– Rozpatrzmy najpierw najczarniejszy scenariusz – wtrącił Colby. – Założmy, że Kukuszkin jest przynętą. Obiecuje, że zdradzi nam szczegóły dotyczące Zarządu Dezinformacji i jakieś bliżej nieokreślone „rewelacje” na temat brytyjskiego premiera, a na deser dorzuci kilka smakowitych kąsków, jak kret w NSA i SASZA. Zawsze powtarzałeś, że fałszywy zbieg też przekazuje prawdziwe informacje, żebyśmy łatwiej połknęli haczyk, przekonani, iż działa w dobrej wierze. Jeśli sprytnie rozegramy tę partię, na pewno uda nam się oddzielić ziarna od plew.

– A to będzie możliwe tylko wtedy – odparł Angleton – kiedy do akcji włączy się kontrwywiad. Po co niepotrzebnie ryzykować? Jeżeli AE/PINAKIEL jest z nami szczerzy, czeka nas żmudne przedzieranie się przez labirynt zeznań, a jeżeli jest podstawiony, musimy dowiedzieć się, dlaczego KGB zadał sobie aż tyle trudu...

W nagłym napadzie duszności Angleton kilka razy wciągnął powietrze z głośnym świstem. Potem spojrzał na Ebby’ego.

– Twój chłopak odwalił kawał dobrej roboty, nie przeczę. Na razie nie popełnił żadnego błędu. Ale jest zbyt młody i niedoświadczony, żeby to dalej prowadzić. Przesłuchiwanie zbiega to sztuka sama w sobie. To nie tylko kwestia zadawania odpowiednich pytań w odpowiednim momencie; pytania przynoszą odpowiedzi, a odpowiedzi są wrogiem procesu myślenia. To wymaga praktyki i cierpliwości.

– Manny nie byłby sam, Bill – powiedział Jack do Colby’ego. – Dostałby poważne wsparcie z Sekcji Sowieckiej.

– Z oczywistych powodów uchylam się od podejmowania decyzji w tej kwestii – odparł Ebby.

– Cóż, a ja nie. Gdyby teraz był tu z nami Leo Kritzky, powiedziała by to samo co ja. Sprawą powinna się zająć Sekcja Sowiecka pod egidą DD/O. Kontrwywiad szczyli się długą listą wątpliwych zbiegów, z których część, żeby nie powiedzieć większość, mogła być prawdziwa – rzekł Jack.

– Nawet jeśli kontrwywiad patrzy niechętnym okiem na dezertersów – odparował Angleton – to dlatego, że chce chronić Firmę przed nasłanymi agentami...

– W porządku, Jim – powiedział Colby. – Obaj wiemy, że znajoma twarz warta jest dwa razy tyle co potencjalny zbieg. Sam przyznałeś, że Manny nie popełnił żadnego błędu... Niech DD/O stworzy grupę zadaniową, która zajmie się tą zdradą – zwrócił się do Ebby'ego. – Niech to, co tu dzisiaj usłyszeliśmy, nie wyjdzie poza ścisłe grono „wybrańców”, czyli wszystkich obecnych na tej sali, ich najbliższych współpracowników i osobiste sekretarki. Każdy dotyczący tej sprawy dokument będzie sygnowany hasłem NODIS. W ciągu najbliższych trzynastu dni, zanim SASZA wróci do Waszyngtonu, proszę mi przedstawić rekomendacje dla członków grupy zadaniowej. Manny, ty będziesz naszym czarnym koniem w tej grze. Spotkasz się z AE/PINAKLEM i zyskasz jego zaufanie... Ty, Jim, będziesz w grupie zadaniowej reprezentował kontrwywiad. Gdybyś miał jakieś problemy, których nie da się rozwiązać z DD/O lub jego zastępcą, przyjdź z tym do mnie. Kiedy już wydoimy tego Rosjanina, możesz umieścić w raporcie dla mnie swoje *votum separatum*, o ile nie dojdiesz do takich samych wniosków jak DD/O. – Colby energicznym ruchem ręki podciągnął mankiet i spojrzał na zegarek. – Jak się nie pośpieszysz, wystawisz do wiatru Prezydencki Zespół Doradców do spraw Wywiadu.

– W porządku... Nie ma sprawy.

– Przecież słyszę, że wcale nie jest w porządku.

– Hej, myślisz, że nie mam z kim iść do kina? Chętnych nie brakuje! A potem wieczór u mnie, butelka czerwonego kalifornijskiego wina, przyćmione światło, płyta Paula Anki... Sam wiesz, jak to jest. Ani się obejrzysz i... Erica Jong mówi na to „szybki numerek”.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Nellie, ale wypadło coś ważnego...

– Facetom zawsze wypada coś ważnego. Tak mówi moja mama. Powiedziała, że mi odbiło, jeśli zakochałam się w kimś, kto pracuje w CIA, chyba że mam zamiar szybko zostać wdową. Dalej jest już podobno tylko równia pochyła...

Manny wrzucił następną monetę.

– Chcesz powiedzieć, że zakochałaś się w kimś z Firmy?

– Zakochałam się w przeciwieństwie szybkich numerków. Niestety, na razie doświadczyłam tego jedynie z tobą.

– Kładziesz duży nacisk na fizyczną stronę związku...

– Bystry jesteś! Chcesz poznać moją teorię trwałych związków? To skup się: zawsze trzeba gdzieś zacząć, więc dlaczego nie w sypialni? A w ogóle to mam dla ciebie nowinę. Założę się, że nie zgadniesz...

– Dostałaś pracę!

– A żebyś wiedział... Och, Manny, po prostu szaleję z radości! Pomachałam im przed nosem moim harwardzkim dyplomem i od razu zmiękli. To nieduża firma, ale ma już ustaloną markę w Dystrykcie Kolumbii... Dwóch byłych senatorów i były minister. Jestem tam pierwszą kobietą, która zajmie się czymś poważniejszym niż przepisywanie tego, co jej dyktują. Zrobię furorę! Już to widzę... Wszystkie te trzyczęściowe garnitury, a wśród nich ja w mini!

– To fantastycznie, Nellie. Wiedziałem, że ich powalisz na kolana...

– Chcesz usłyszeć, ile mi będą płacić?

– Chyba nie.

Nellie nagle zaświtała w głowie pewna myśl.

– Hej, chyba nie masz nic przeciwko spotykaniu się z dziewczynami, które zarabiają więcej od ciebie?

– Nie. Jedyne, co mi przeszkadza, to kazirodztwo.

Słuchawka aż się zatrzęsała od śmiechu Nellie.

– Przyznam, że mi ulżyło. Uprzedzenie w kwestii pieniędzy to twardy orzech do zgryzienia. Kiedy się zobaczymy?

– Może w ten weekend. Może.

– Dlaczego „może”?

– Mówiłem ci już, wyskoczyło mi coś ważnego.

– Trudno, do soboty będę musiała się onanizować...

– Nellie, jesteś niemożliwa...

– To tobie się coś poprzestawiało, Manny. Ja jestem jak najbardziej możliwa.

Grupie zadaniowej AE/PINAKIEL przydzielono puste biuro w sąsiedztwie gabinetu DD/O. Pokój skrupulatnie sprawdzono, usunięto odnalezione pluskwy, wyniesiono sejf z zamkiem „Burmah”, niszczarkę dokumentów, spalarkę i wszystkie meble. Na szefa zespołu wyznaczony został Jack McAuliffe, odpowiedzialny przed DD/O, czyli Ebbym, który z kolei podlegał bezpośrednio DCI Billowi Colby’emu. Angleton (zainteresowany sprawą ze względu na osobę SASZY) uczestniczył w odbywających się co drugi dzień nieoficjalnych spotkaniach. Manny, pod nadzorem Jacka, przygotowywał zaplecze organizacyjne ewakuacji Kukuszkina, choć nikt nie był w stanie przewidzieć, czy w ogóle dojdzie ona do skutku. Agatha Ept, podekscytowana zmianą, jaka zaszła w jej

monotonnym, uporządkowanym życiu, z zapalem włączyła się do gry. Dlaczego nie? Dla dobra kraju chętnie nawiąże romans z żonatym sowieckim dyplomatą... Dozorcą w jej domu był emerytowany starszy bosman sztabowy, który swego czasu pomalował całą piwnicę na nostalgiczny, stalowoniebieski kolor, a teraz wyłaził ze skóry, żeby tylko na coś się przydać. Świetnie się składa, powiedział, bo pod koniec miesiąca zwolni się sąsiednie mieszkanie, zajmowane dotąd przez parę homoseksualistów, którzy przenoszą się do dwupoziomowego apartamentu w Annadale. Kiedy Manny zapukał do drzwi pod 5F i wyjąwszy legitymację urzędnika Departamentu Stanu, zaproponował im, że opłaci wszystkie zaległe rachunki, jeżeli wyprowadzą się natychmiast, aż podskoczyli z radości. Jeszcze tej samej nocy do pustego już lokalu pracownicy Biura Ochrony wnieśli sprzęt elektroniczny, dwa łóżka polowe i ekspres do kawy, po czym dokładnie okablowali każdy kąt u Agathy Ept i tak ustawili telefony i dzwonki przy drzwiach, że dźwięczały w obu mieszkaniach jednocześnie. Potem zainstalowali magnetofon i aparaturę wspomagającą i rozgościli się na dobre.

Wróciwszy do Langley, Manny poprosił szefa Urzędu Patentowego o udostępnienie wszystkich złożonych ostatnio wniosków, do których mieli dostęp niżsi urzędnicy, tacy jak Ept, napotkał jednak mur nie do przebicia i musiał przekazać sprawę wyżej. W końcu DD/O zadzwonił do kolegi z Yale, obecnie radcy prawnego przy Senackiej Komisji Sił Zbrojnych, i przedstawił swój problem. Trzy kwadranse później szef Urzędu Patentowego zatelefonował do Ebby'ego i obiecał przesłać mu trzy najnowsze projekty drobnych ulepszeń w przemyśle. Teraz, gdy zrozumiał, w czym rzecz, czuje się szczęśliwy, że może pomóc, a jeśli będzie trzeba, dostarczy drugie tyle.

W tym samym czasie Angleton spłodził cały elaborat, bite sześć stron drobnym druczkiem, zawierający listę pytań (z podanymi w nawiasach odpowiedziami), którymi Manny miał bombardować AE/PINAKLA w celu ustalenia, czy zbieg Kukuszkin jest faktycznie Siergiejem Klimowem z akt numer 201 centralnego rejestru Firmy, czy tylko się za niego podaje. Pytania były różne: od „Kto na Uniwersytecie Łomonosowa prowadził wykłady z cyklu *Burżuazyjna demokracja jako sprzeczność sama w sobie* i jak tę osobę przeżywali studenci?” do „Jakie przezwisko nosiła gruba kobieta, która podawała herbatę w stołówce na drugim piętrze gmachu Pierwszego Zarządu Głównego w Moskwie?” Angleton pouczył Manny’ego, iż powinien się zastanowić siedem razy, zanim wyciągnie ostateczne wnioski, bo wymowa faktów nigdy nie jest jednoznaczna, a prawdę można wyłuskać, tylko odsłaniając mozolnie kolejne warstwy. Weźmy na przykład tę listę, tłumaczył szef kontrwywiadu. Autentyczny zbieg nie będzie w stanie poprawnie odpowiedzieć na wszystkie pytania, ale dobrze wyszkolony agent, nasłany przez KGB, również pozostawi część pytań bez odpowiedzi. Kiedy Manny zapytał, jak w takim razie poznać, czy Kukuszkin jest prawdziwy, Angleton zachrypiął przez kłęby dymu: Witaj w dzikim gąszczu luster!

To właśnie Angleton, bezskutecznie walcząc z migreną, wskutek której jego oczy zmieniły się w zażawione szparki, opracował dla Manny’ego *modus operandi* drugiego spotkania z AE/PINAKLEM. Najpierw należało ustalić *bona fides* zbiega, czemu miała służyć owa starannie opracowana lista pytań. Zdaniem szefa kontrwywiadu szczególna sytuacja, w jakiej znalazł się dezerterski *in spe*, związana z koniecznością zakończenia całej operacji, zanim SASZA wróci do Waszyngtonu, dawała im przewagę w grze. Jeżeli Kukuszkin-Klimow zda egzamin, głównym zadaniem Manny’ego będzie namówić go, żeby bez dalszych ceregieli naprowadził

ich na ślad SASZY. AE/PINAKIEL musi pogodzić się z tym, że nawet w najbardziej sprzyjających warunkach przygotowanie ewakuacji trojga ludzi wymaga czasu. Należy więc uświadomić mu, że dla własnego dobra powinien puścić farbę jak najprędzej. Manny powinien wytłumaczyć Kukuszkiniowi, że jeśli SASZA nadal pozostanie nieznany, na pewno dowie się o zdradzie i natychmiast doniesie na niego do ambasady. Angleton napomknął też, że gdyby udało się zidentyfikować i aresztować SASZĘ zaraz po jego powrocie do Waszyngtonu, Manny mógłby spróbować namówić AE/PINAKLA, żeby pozostał na swoim stanowisku i szpiegował dla nich, dopóki centrala nie zechce odwołać go do Moskwy. Można by to osiągnąć metodą kija (postraszyć Kukuszkina, że jeżeli się nie zgodzi, nigdy nie dostanie azylu, a jego żona może zapomnieć o amerykańskich lekarzach) i marchewki (obiecać mu, że gdy już przejdzie na ich stronę, dostanie okrągłą sumkę, nową tożsamość dla siebie i swojej rodziny oraz niezłe płatny kontrakt na stanowisko konsultanta Firmy).

Pod koniec spotkania Manny przypomniał, że AE/PINAKIEL może być na podsłuchu.

Angleton skrzywił się niechętnie.

– Jeżeli jest prawdziwy, nie będzie na podsłuchu – powiedział. – A jeżeli nasłany, to tym bardziej, bo mógłby się zdradzić.

W czwartek wieczorem ledwo żywy ze zmęczenia Manny, razem z dwoma chłopakami z Biura Ochrony, popijał letnią kawę w mieszkaniu pod numerem 5F. Nagle zadzwonił telefon. Włączyli magnetofon i wcisnęli przycisk głośnika. Usłyszeli głos Agathy Ept.

– Halo? – odezwała się z wahaniem.

– Witaj.

Na znak Manny'ego jeden z mężczyzn chwycił za słuchawkę drugiego aparatu, podłączonego na stałe do gorącej linii, i rzucił półgłosem: „Zadzwoń. Sprawdźcie, czy możecie go namierzyć”.

– Ach, to ty... – powiedziała Agatha, udając, że z wrażenia brak jej tchu. Manny modlił się w duchu, żeby nie przesadziła; zastanawiał się, czy w ambasadzie też nagrywają tę rozmowę. – Pewnie nie powinnam tego mówić, ale miałam nadzieję, że zadzwonisz – dodała.

AE/PINAKIEL odetchnął z ulgą.

– A ja miałem nadzieję, że to powiesz.

Teraz z kolei odetchnął Manny. Agatha znakomicie wczuła się w rolę.

– Myślę, że może... może mógłbyś znaleźć trochę czasu... A zresztą, do diabła, co mi tam! Wpadniesz do mnie jutro na kolację?

Rosjanin odchrząknął.

– Świetnie, akurat jutro jestem wolny. Dziękuję, przyjdę bardzo chętnie.

– Pamiętasz, gdzie mieszkam?

AE/PINAKIEL roześmiał się, podekscytowany. On też nieźle odgrywał swoją rolę, ale... jaka właściwie była jego rola?

– Nie zapominam takich rzeczy – odparł.

– Skąd dzwoniisz? – spytała Agatha.

– Z budki telefonicznej w pobliżu... w pobliżu mojej pracy.

– Namierzyli telefon. Dzwoni z ambasady – szepnął Manny'emu siedzący przy drugim aparacie człowiek z Biura Ochrony.

– A więc jesteśmy umówieni – powiedziała Agatha. – Najlepiej około wpół do siódmej. O wpół do szóstej wracam z Urzędu Patentowego. – (Manny prosił ją, żeby wtrąciła tę informację). – Będę miała godzinę, żeby zrobić się na bóstwo.

– Ty zawsze wyglądasz jak bóstwo...

Agatha z trudem łapała oddech.

– A więc do jutra?

– Tak, do jutra. Do widzenia, moje bóstwo.

– Do widzenia, Siergiej.

W chwilę później zadzwonił telefon pod 5F. Manny złapał za słuchawkę.

– Przyjdzie tu – oznajmiła podniecona Agatha.

– Wiem, słyszałem waszą rozmowę.

– Jak mi poszło?

– Byłaś wspaniała. Powinnaś pomyśleć o pracy w teatrze.

Zachichotała nerwowo.

– Szczerze mówiąc, serce podchodziło mi do gardła. Miałam okropną treść.

– A teraz pamiętaj: musisz zachowywać się naturalnie, jakby nie działo się nic niezwykłego. Będziemy obserwować twoje mieszkanie dniem i nocą, żeby nie założyli u ciebie pluskwy. Gdyby ktoś cię nachodził albo nagabywał przez telefon, natychmiast zadzwoń pod numer, który ci podałem, i zamelduj, komu trzeba.

– Będziesz tu, jak przyjdzie?

– Będę przed twoimi drzwiami, kiedy wysiądzie z windy.

Pomimo zapewnień Angletona, że AE/PINAKIEL nie jest na podsłuchu, Manny stwierdził, że nie zaszkodzi tego sprawdzić. Gdy tylko Rosjanin wyszedł z windy, Manny położył palec na ustach i pokazał mu kartkę, na której było napisane po rosyjsku: „Jesteś na podsłuchu?”

– Nie jestem na podsłuchu, Manny – odpowiedział Kukuszkin po angielsku. Podniósł ręce i rozstawił nogi. – Możesz mnie przeszukać, jeśli chcesz. Mój rezydent bardzo się ucieszył, kiedy mu powiedziałem o tym kontakcie. Będzie mógł się pochwalić przed centralą, że ma nowe źródło informacji.

Manny pokazał na migi, żeby opuścił ręce i poszedł za nim. Wyjął klucz, otworzył drzwi numer 5D, a kiedy obaj znaleźli się w mieszkaniu Ept, zaryglował je starannie.

Agatha wyszła z pokoju.

– Dzień dobry – powiedziała, nieśmiało wyciągając dłoń, którą Rosjanin potrząsnął energicznie.

– Witaj, moje bóstwo – odparł z uśmiechem.

– Nie mówię, że to ma jakieś znaczenie – zaczęła – ale tak się składa, że mamy dziś idealny dzień na kontakty Koziorożców z Pannami. Jeżeli przełamią pierwsze lody, mogą dokonać wspólnie wielkich rzeczy. Chętnie bym wyjaśniła dokładniej, o co w tym wszystkim chodzi, ale widzę po minach, że wam się spieszy... Tak myślałam. Wobec tego zostawiam was samych, panowie. – Zawróciła na pięcie i zniknęła w sypialni.

Manny wskazał Kukuszkinowi kanapę, a sam usadowił się na krześle naprzeciw niego. Rosjanin poluzował krawat i mruknął pod nosem kilka słów, w których Manny rozpoznał tadżyckie przekleństwo.

– Mówisz po tadżycku? – spytał ze zdziwieniem.

– Nie mówię. Przeklinam – poprawił go Kukuszkin. – Mój dziadek ze strony ojca był Tadżykiem. Skąd znasz tadżycki?

– Studiowałem języki Azji Środkowej. – Z kieszonki na piersi wyciągnął gruby plik gęsto zapisanych kartek. – Nadeszła godzina pytań i odpowiedzi, Siergiej – powiedział.

– Znam zasady tej parszywej gry. Chcesz się przekonać, czy naprawdę jestem tym, za kogo się podaję.

– Tak jakby. – Manny zmierzył Rosjanina wzrokiem. – Kiedy wczoraj zatelefonowałeś do Agathy, powiedziałaś, że dzwonisz z budki. Tak było?

Kukuszkin rozejrzył się dookoła.

– Gdzie są mikrofony?

– Wszędzie – odparł Manny.

Kukuszkin posępnie kiwnął głową.

– Telefonowałem z ambasady. Rezydent, Klimient Borysow, słuchał na wewnętrznej linii, ochrona nagrywała. Borysow kazał mi powiedzieć, że dzwonię z budki... Przecież mam romans i nie chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział, zwłaszcza żona. – Rosjanin założył nogę na nogę, lecz zaraz wrócił do poprzedniej pozycji, widocznie czuł się pewniej, dotykając stopami podłogi. – Masz dla mnie te dokumenty patentowe? Mogę je zabrać?

Manny nałożył rękawiczki chirurgiczne i wyjął z szarej koperty kopie trzech wniosków. Wręczył je Kukuszkinowi, który szybko przebiegł tekst wzrokiem.

– Są na tym jej odciski palców? – zapytał.

– Myślisz o wszystkim – powiedział Manny, zdejmując rękawiczki. – Kazałem jej to przeczytać i włożyć do koperty.

Rosjanin schował papiery w kieszonce na piersi.

– To ty myślisz o wszystkim, Manny.

– Czas rozpocząć zabawę – powiedział Manny i zerknął na pierwsze pytanie, pracowicie wystukane na maszynie cyrylicą. – Kto na Uniwersytecie Łomonosowa prowadził wykłady z cyklu *Burżuazyjna*

demokracja jako sprzeczność sama w sobie i jak tę osobę przeżywali studenci?

Kukuszkin przymknął oczy.

– Macie tam u siebie bardzo dokładne akta osobowe. Profesor wykładający *Burżuazyjną demokrację* jest Żydem i nazywa się Lifszyc. Stracił oko podczas wielkiej wojny ojczyźnianej, kiedy eskortował brytyjski konwój z Murmańska, i nosi teraz czarną przepaskę, więc studenci przeżywają go Mosze Dajan.

Manny powoli dobrnął do końca listy, czytając po rosyjsku pytania, na które Kukuszkin odpowiadał po angielsku. Nie ze wszystkimi zdołał się uporać – raz wyleciał mu z głowy jakiś szczegół, to znów czyjeś nazwisko – a na kilka odpowiedział niepoprawnie, ale na ogół szło mu nieźle. Na chwilę przerwała im Agatha, przynosząc na tacy herbatę. Posiedziała z nimi, dopóki nie wypili. Kukuszkin wypytywał ją o pracę w Urzędzie Patentowym i o dokumenty, które przechodzą przez jej ręce. Manny domyślił się, że zbiera w ten sposób informacje, które będzie musiał przekazać w raporcie dla ochrony. Gdy wrócili do listy Manny'ego, Kukuszkin poprawił jedną ze swoich wcześniejszych nieprawidłowych odpowiedzi, przypomniawszy sobie przezwisko grubej kobiety, która podawała herbatę w stołówce na drugim piętrze moskiewskiej centrali – z powodu wąsów nad górną wargą i zwyczaju noszenia męskich koszul wszyscy mówili na nią „Dzentelmen Dzim”. Kiedy Manny był już w połowie ostatniej z sześciu stron przygotowanych przez Angletona, zadzwonił stojący na kredensie telefon. Obydwaj, Rosjanin i Manny, wpatrywali się z napięciem w aparat, dopóki w drzwiach sypialni nie pojawiła się Agatha; z pokoju za jej plecami dobiegały salwy śmiechu, bo w telewizji nadawali właśnie *Ukrytą kamerę*.

– Może to moja mama – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Odbierz – rozkazał Manny.

– Co mam powiedzieć, jeżeli to nie ona?

– Nic nie mów. Wdałaś się w romans z żonatym mężczyzną. Przecież nie będziesz o tym paplać przez telefon, kiedy twój kochanek tu jest.

Agatha ostrożnie podniosła słuchawkę.

– Halo? – zapytała.

Milczała przez chwilę.

– Pod jaki numer chciał się pan dodzwonić?

Spojrzała na Manny’ego i powiedziała bezgłośnie: „Nie mam pojęcia, kto to”.

– Tak, to ten numer, ale tu nie mieszka nikt o takim nazwisku... Nie szkodzi, nic się nie stało. – Odwiesiła słuchawkę. – Chciał rozmawiać z jakąś Maureen Belton. – Zamrugnęła nerwowo powiekami i wycofała się do swojej sypialni.

Manny podszedł do kredensu i podniósł słuchawkę.

– Namierzyliście go? – Przez chwilę słuchał, po czym rozłączył się i usiadł z powrotem na krześle. – Niestety, rozmawiali za krótko. To był mężczyzna... Mówił z wyraźnym obcym akcentem.

– Ci z ochrony mają jej numer. Może sprawdzali, czy faktycznie mieszka tutaj kobieta.

– Może... – zgodził się Manny.

– Jak mi poszło? – zapytał Kukuszkin, gdy Manny dobiegł do końca ostatniej strony.

– Nieźle.

– Możemy teraz porozmawiać o mojej ewakuacji? Jak i kiedy przejdę na waszą stronę?

Manny potrząsnął głową.

– To nie takie proste, Siergiej. Nie załatwimy tego w jeden wieczór. Najpierw kontrwywiad musi przeanalizować twoje odpowiedzi...

– Mister Angleton... – wtrącił Kukuszkin.

– Słyszałeś o Angletonie?

– Wszyscy w naszej ambasadzie o nim słyszeli.

– Jeżeli kontrwywiad da nam zielone światło, trzeba będzie przygotować kryjówkę, najlepiej gdzieś na wsi, i obsadzić ją ludźmi. Dopiero potem weźmiemy się do organizowania właściwej ewakuacji: ustalimy dzień, w którym bez przeszkód będziesz mógł z rodziną opuścić teren ambasady pod jakimś wiarygodnym pretekstem. Ty musisz mieć możliwość i okazję wypełnić tę aktówkę dokumentami i tajemnicami, które nam obiecałeś, i wynieść to wszystko z ambasady. My musimy mieć możliwość i okazję przewieźć was w bezpieczne miejsce, zanim ludzie z ochrony zorientują się, że zwiąłeś.

Twarz Kukuszkina sposepniała.

– Jak długo to potrwa?

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jakieś pięć do sześciu tygodni.

Rosjanin skoczył na równe nogi.

– Za pięć tygodni SASZA już dawno będzie w Waszyngtonie! – Podszedł do okna, uchylił zasłonę i wyjrzał na ciemną ulicę. – Za pięć tygodni, Manny, będę trupem.

– Uspokój się, Siergiej. Jest wyjście z tej sytuacji.

– Z trumny nie ma wyjścia.

Manny podszedł do okna i stanął obok Kukuszkina.

– Nie będzie żadnej trumny, Siergiej, jeżeli teraz powiesz mi, co wiesz o SASZY. Podaj nam chociaż pierwszą literę jego nazwiska, kilka szczegółów biograficznych, datę poprzedniego wyjazdu z Waszyngtonu...

Kukuszkin krążył tam i z powrotem, od ściany do ściany, jak pantera w klatce, szukająca drogi ucieczki z pułapki.

– Powiedz, przyjemnie ci, kiedy mnie szantażujesz?

Manny unikał jego wzroku.

– Wręcz przeciwnie, czuję się podle. Ale taką mam pracę...

Rosjanin odchrząknął.

– Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Obaj mamy parszywą robotę.

– Nie ja wymyśliłem SASZĘ – odezwał się spod okna Manny. – Nie jestem winien temu, że wraca za tydzień.

– A czy mogę być pewny, że nie wyrzucicie mnie jak starego śmiecia, kiedy już wszystko wam wyśpiewam?

– Masz na to moje słowo, Siergiej...

– Dla waszego mister Angletona twoje słowo nic nie znaczy.

– Wiesz o innych sprawach, które nas interesują... Na przykład kim jest ten twój kret w NSA.

Rosjanin usiadł znowu na kanapie, pokonany logiką faktów.

– A co z opieką medyczną dla mojej żony?

– W ciągu najbliższych kilku dni możemy jej załatwić specjalistyczne badanie lekarskie. Jeśli istotnie wymaga opieki, będzie ją miała.

– Jak to chcecie zorganizować?

– Rosjanie z ambasady, którzy leczą zęby w Ameryce, chodzą do bułgarskiego dentysty, niedaleko stacji metra Dupont Circle. Gość mówi po rosyjsku i nie bierze dużo. Gdyby twoją żonę nagle rozbolał ząb, mogłaby

zapisać się do niego na wizytę, a gdyby jeszcze okazało się, że potrzebuje leczenia kanałowego, musiałaby jeździć tam regularnie przez trzy, cztery tygodnie. Zorganizowalibyśmy wizytę u kardiologa w innym gabinecie w tym samym budynku.

– A dentysta Bułgar?

– Będzie z nami współpracował. Może udawać, że ją leczy. I tak nikt się nie zorientuje.

– Skąd wiesz, że zechce?

Manny tylko się uśmiechnął.

Przez chwilę AE/PINAKIEL rozważał jego propozycję. Manny podszedł i usiadł na oparciu kanapy.

– Zaufaj mi, Siergiej... Powiedz mi, co wiesz o SASZY. Jeżeli uda nam się go zidentyfikować, skończą się twoje kłopoty. Ewakuujemy was, ograniczając ryzyko do minimum. Ty, twoja żona i córka bezpiecznie przejdziecie na naszą stronę... A potem otrzymasz taką ofertę, że ci oko zbieleje. Nie będziesz żałował.

WASZYNGTON, DC, PIĄTEK, 24 MAJA 1974

Czas uciekał radzieckiemu attaché politycznemu Kukuszkinowi w zastraszającym tempie. Z dwutygodniowego okresu wolności zostało mu jeszcze czterdzieści osiem godzin. Jeżeli jego informacje były prawdziwe, SASZA wróci do Waszyngtonu w niedzielę, a następnego ranka zjawi się w pracy. Pomimo starań, aby utrzymać w ścisłej tajemnicy rezultaty pracy grupy zadaniowej, z pewnością dotrą do niego pogłoski o zdradzie na wysokim szczeblu. A wówczas doniesie o wszystkim, komu trzeba.

Z początku Angleton odnosił się do AE/PINAKLA, jak do wszystkich zbiegów, z dużą rezerwą. Ale wrodzona skłonność do czarnowidztwa poczęła słabnąć w dniu, w którym Manny przekazał mu zdobytą od Kukuszki informację o utworzonym niedawno w Moskwie Zarządzie D, koordynującym globalną kampanię dezinformacyjną KGB. Już od dłuższego czasu Angleton domyślał się istnienia podobnej jednostki, choćby dlatego, że cały świat, z amerykańskimi mediami włącznie, kupował bez zastrzeżeń każdą plotkę, dotyczącą rozłamu między Pekinem a Moskwą, oraz mniej lub bardziej wiarygodne historyjki na temat Dubčeka, Ceașescu i Tito, którzy usiłowali zerwać z sowiecką dominacją. Angleton szczylił się tym, iż potrafi bezbłędnie odróżnić dezinformacje KGB od autentycznych wydarzeń światowej polityki. Wyczuwał intuicyjnie, że wiele z tych „faktów” zostało spreparowanych specjalnie po to, by uspić czujność Zachodu i doprowadzić do redukcji budżetu przeznaczonego na wojsko i wywiad.

Rewelacje na temat SASZY, dostarczone przez Manny'ego po drugim spotkaniu z AE/PINAKLEM, sprawiły, że w głowie Angletona zaroilo się od nowych pomysłów. Przez ostatnie dwa lata większość czasu poświęcił tropieniu SASZY, stopniowo zawężając w drodze eliminacji listę podejrzanych. Czuł, że już wkrótce, być może w ciągu kilku najbliższych miesięcy, będzie mógł z dużym prawdopodobieństwem ustalić tożsamość nieuchwytnego agenta. Ale zanim to się stanie, SASZA może jeszcze wyrządzić wiele szkód. Właśnie dlatego zeznania Kukuszkinia były tak istotne. W zaciszu swego gabinetu Angleton porządkował uzyskane informacje, przydzielając do rozpracowania każdej z nich odpowiedni zespół specjalistów kontrwywiadu:

- SASZA będzie przebywał poza Waszyngtonem do niedzieli 26 maja, co prawdopodobnie oznacza, iż w Langley pojawi się w poniedziałek 27 maja.
- SASZA biegle zna rosyjski.
- Nazwisko SASZY zaczyna się na literę „K”.
- Kiedy Kukuszkin pracował w zarządzie moskiewskiej centrali, podlegał bezpośrednio Dziadkowi. We wrześniu 1972 polecono mu zapewnić wsparcie logistyczne – mapy autostrad i miast, rozkłady jazdy autobusów i pociągów, adresy agencji wypożyczających samochody – dla jednej z nielicznych dalekich podróży Dziadka, tym razem do Nowej Szkocji w Kanadzie. W trakcie luźnej rozmowy, która miała miejsce, gdy Kukuszkin osobiście dostarczył żądane dokumenty do prywatnych apartamentów w willi Apatowów koło wsi Czeriomuszki, Dziadek zwierzył mu się, iż wyjeżdża za granicę, żeby się z kimś spotkać. Dopiero później, kiedy Kukuszkin zdał sobie sprawę z istnienia na wysokim szczeblu CIA wtyczki KGB o kryptonimie SASZA, skojarzył oba fakty i doszedł do wniosku, że tylko ktoś tak ważny jak SASZA mógł skłonić Dziadka do uciążliwej wyprawy na drugą półkulę.

Z takimi informacjami zidentyfikowanie SASZY równałoby się znalezieniu igły w stogu siana. Firma zatrudniała około dwudziestu dwóch tysięcy etatowych funkcjonariuszy i blisko cztery tysiące pracowników kontraktowych. W tajnych służbach działało niespełna pięć tysięcy ludzi, z czego cztery tysiące pracowało w Waszyngtonie, a reszta rozszkana była po placówkach na całej kuli ziemskiej.

Podczas gdy kontrwywiad ślęczał nad rejestrem centralnym, przeglądając stosy akt, Manny załatwił wizytę u lekarza żonie Kukuszkina – niskiej, krępej kobiecie o krótko przystrzyżonych, przedwcześnie posiwiałych włosach. Nazywała się Jelena Antonowna. Zgodnie z instrukcją zaczęła skarżyć się pielęgniarce na ból zęba i poprosiła o polecenie jej jakiegoś dobrego, niedrogiego dentysty. Pielęgniarka dała jej telefon do Bułgara, u którego leczyli się pracownicy ambasady sowieckiej.

Akurat ktoś odwołał wizytę, więc Jelena umówiła się od razu na następny dzień. Dentysta, kontraktowy pracownik Firmy, nawet nie zadając sobie trudu, by zbadać pacjentkę, wydał pani Kukuszkynie oficjalną diagnozę na piśmie: ropień w korzeniu dolnego zęba przedtrzonowego, wymagający leczenia kanałowego, a co za tym idzie – przynajmniej trzech lub czterech wizyt; koszt każdej: czterdzieści pięć dolarów.

Kiedy Jelena Antonowna wyszła z gabinetu, trzymając w ręku karteczkę z zaświadczeniem o odbytej wizycie, Manny już czekał pod drzwiami. Dał znak, żeby poszła za nim. Poprowadził ją przez dwie kondygnacje schodów do przeszklonych drzwi z napisem: „Proffit & Proffit, zespół adwokacki”. Przedstawił ją kardiologowi z Firmy, dopuszczonemu do ściśle tajnych informacji. Doktor, który powiedział, że nazywa się M. Milton (takie nazwisko podawał zawsze, gdy pracował na zlecenie CIA), mówił płynnie po rosyjsku. Poprosił Kukuszkinę, żeby przeszła do sąsiedniego pokoju, wyposażonego w specjalistyczny sprzęt, przyniesiony tam poprzedniej

nocy. Po trwającym trzy kwadransy badaniu wygłosił w obecności Manny'ego orzeczenie o stanie zdrowia pacjentki: wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Jelena Antonowna cierpi na anginę pectoris, będącą skutkiem wysokiego poziomu cholesterolu we krwi i zwężenia tętnic. Doktor Milton zaproponował leczenie kombinacją betablokerów, żeby zwolnić akcję serca i wyrównać puls, oraz środków rozszerzających naczynia, żeby udroźnić naczynia wieńcowe. Jeśli kuracja się nie powiedzie, trzeba będzie założyć by-passy.

Manny odprowadził Kukuszkinę do windy. Po drodze wyjaśnił jej po rosyjsku, że podczas kolejnej wizyty u dentysty dostanie od Miliona lekarstwa, umieszczone w opakowaniu po dostępnych bez recepty tabletkach, powszechnie stosowanych przez kobiety przy bólach menstruacyjnych. *Bolszoje spasibo*, szepnęła. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Muszę się panu przyznać, że jestem przerażona. Jeżeli się o tym dowiedzą, to Siergieja, mnie i naszą córkę Ludmiłę czeka straszny los...

– Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby się nie dowiedzieli – obiecał Manny.

W Langley Angleton, nie zważając na paskudną azjatycką grypę i wysoką gorączkę, zwałował się z łóżka, aby wziąć udział w codziennym zebraniu grupy zadaniowej. Opatulony szalikiem po czubek nosa, nie zdejmując płaszcza, usiadł na swoim zwykłym miejscu u szczytu stołu. Skóra na jego rękach i twarzy była niemal przezroczysta, na skroniach błyszczały kropelki potu. Po raz pierwszy w historii nie zapalił od razu papierosa.

– Moi ludzie dokładnie sprawdzili historyjki Kukuszkina, jedną po drugiej – zachrypiął z widocznym wysiłkiem. – A ja dodałem własną, którą pielęgnowałem w myślach od lat. Doszedłem też do wniosku, że

AE/PINAKIEL jest być może najrzadszą odmianą orchidei, czyli autentycznym zbiegiem, który zdradza prawdziwe tajemnice.

Colby spojrział na swego DD/O, Elliotta Ebbitta. Obaj osłupieli.

– Chcesz powiedzieć, że zidentyfikowałeś SASZĘ? – zapytał Jack.

– To ci się nie spodoba – odparł krótko Angleton.

– Mówże wreszcie – rzucił niecierpliwie Colby, który zdążył już ozdobić swój żółty notes mnóstwem ząbiających się kół i kółek, starannie wyrysowanych ołówkiem numer 2.

Pod ciepłym płaszczem chudym ciałem Angletona wstrząsały dreszcze.

– Na podstawie przekazanych nam przez AE/PINAKLA informacji – powiedział w końcu – moi ludzie bardzo zawężili listę podejrzanych. Firma zatrudnia stu czterdziestu czterech pracowników, którzy znają rosyjski, mają nazwiska na literę „K” i wrócą do Waszyngtonu w tę niedzielę. Dwudziestu trzech wyjeżdżało z Waszyngtonu we wrześniu 1972, a więc w tym samym czasie, kiedy, jak utrzymuje Kukuszkin, nie było tu również SASZY.

Colby narysował niezwykle wyszukane „dwadzieścia trzy”, szczerze ozdobione różnymi zawijasami. Siedzący na końcu stołu Manny zauważył, że Angleton kuli się na krześle niczym zwierzę czające się do skoku na ofiarę.

– I tym samym dotarliśmy do historyjki, którą odkładałem sobie na później przez trzynaście lat. – Nieruchoma jak maska twarz Angletona wykrzywiła się w pełnym udręki uśmiechu; jego ciemne oczy zdawały się śmiać z jakiegoś dawno zapomnianego dowcipu. – T r z y n a ś c i e l a t! Żeby uprawiać orchidee, należy mieć anielską cierpliwość. Bywa, że torebka nasienna rozwija się nawet przez dwanaście miesięcy, a potem trzeba czekać jeszcze rok lub dwa, by nasionko wypuściło kiełek wielkości

kciuka. Na kwiaty, o ile w ogóle dojdzie do kwitnienia, można liczyć za kolejne pięć lat, nierzadko dziesięć. Kontrwywiad jest jak uprawa orchidei... Latami przechowujesz w słoikach nasionka, utrzymujesz odpowiednią temperaturę i wilgotność, masz nadzieję, że pewnego dnia z nasionek rozwiną się piękne kwiaty, ale nie masz na to żadnej gwarancji. I przez cały ten czas słyszysz, jak szepczą za twoimi plecami. Matka jest obłąkana, gadają. To paranoik, gadają. Matka naciąga fakty, żeby utwierdzić się w swoich teoriach. – Angleton znów zatrzęsł się z zimna pod płaszczem i przygryzł dolną wargę. – Wierzcie mi, słyszałem każde słowo. I każde słowo bolało.

Colby spróbował wrócić do tematu.

– A ta piąta historyjka, Jim?

– Piąta... historyjka... – powiedział Angleton, cedząc słowa, jakby chciał się podrażnić ze słuchaczami. – W sześćdziesiątym pierwszym roku FBI natknęło się na starego komunistę Maxa Cohena, który zapadł się pod ziemię dwadzieścia lat wcześniej. Pamiętasz, Bill? Cohen zmienił nazwisko na Kahn i otworzył w Waszyngtonie sklep monopolowy. Zapewnił idealną przykrywkę sowieckiemu łącznikowi, który mieszkał nad sklepem i dostarczał alkohol do setek klientów w całym mieście. Ów łącznik nazywał się Dodgson. Tak samo brzmiało prawdziwe nazwisko Lewisa Carrolla, autora *Alicji w Krainie Czarów*, a to daje do myślenia... Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem mistrz szpiegostwa z KGB, który p r o w a d z i ł Philby'ego, a teraz p r o w a d z i SASZĘ, nie próbuje, jak Carroll, tworzyć światów wewnątrz światów, znajdujących się wewnątrz innych światów, bo liczy na to, że się w tym wszystkim pogubimy... – Angleton zamknął oczy, jakby przez chwilę medytował, po czym mówił dalej: – Kiedy ludzie z FBI przeszukali sklep Kahna, znaleźli szyfry, mikrofilmy, czytnik do mikrografii, krótkofalówkę i zwinięte

w ruloniki banknoty, wszystko ukryte pod podłogą w łazience Dodgsona. Aresztowano Kahna i jego współniczkę. Dodgson zdołał się wymknąć, ale ja nigdy o nim nie zapomniałem. Nawet przez chwilę. Przez te wszystkie lata. Doglądałem moich nasionek, utrzymywałem odpowiednią temperaturę i wilgotność, wbrew wszystkim i wszystkiemu wierzyłem, że któregoś dnia nasionka rozwiną się w kwiaty... – Jego głos ucichł, a spojrzenie zaszło mgłą.

Colby nie rezygnował.

– A ta piąta historyjka?

– Piąta historyjka... Sprawdziłem faktury Kahna z ostatnich dziesięciu lat i odkryłem, że w pewnym okresie, na początku lat pięćdziesiątych, Dodgson dostarczał alkohol... mojemu byłemu koledze, Adrianowi Philby'emu – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Któregoś wieczoru sam widziałem, jak przywiózł dwie butelki lagavulina. Wtedy, oczywiście, nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Dopiero teraz rozumiem, jak blisko byłem... – urwał i potrząsnął głową. – Logicznie biorąc, kiedy Philby wyjechał, Dodgson powinien zostać łącznikiem jego następcy, czyli SASZY.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął paczkę papierosów i położył ją na stole. Zdawało się, że na ten widok wstępują w niego nowe siły.

– Sprawdziłem listę klientów Kahna z ostatnich dziesięciu lat i otrzymałem w ten sposób nazwiska stu sześćdziesięciu siedmiu etatowych pracowników Firmy oraz sześćdziesięciu czterech pracowników kontraktowych...

Jack nie wytrzymał.

– ...i porównałeś z dwudziestoma trzema nazwiskami, wyodrębnionymi dzięki informacjom Kukuszkina!

– To wydawało się podejrzenie proste – przyznał Angleton. – I, niestety, tak było. Żadne nazwisko z naszej listy nie pokrywało się z listą Kahna.

– Tak więc znów zabrnąłeś w ślepią uliczkę... – podsumował Colby.

Angleton wyjął papierosa i zaczął obracać go w palcach.

– Na pierwszy rzut oka mogłoby to tak wyglądać. Ktoś mniej dociekliwy odłożyłby wszystko *ad acta*. Ale nie ja. Wiedziałem, że obie listy muszą się jakoś zazębiać, że stanowią klucz do ustalenia tożsamości SASZY. – Wcisnął papierosa pomiędzy spierzchnięte wargi, ale nie zapalił. – W zeszły piątek – ciągnął stłumionym, gardłowym głosem – usłyszałem, jak żona zamawia przez telefon pokój w hotelu w New Haven. Cicely i ja wybieraliśmy się na wykład Roberta Lowella w Yale... Ze względów bezpieczeństwa (chyba nikt nie chce, żeby wrogowie śledzili mój każdy krok, prawda?) wszystkie rezerwacje robi żona na swoje panińskie nazwisko. I nagle doznałem olśnienia... Mój Boże, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? SASZA też może mieć żonę. Chcąc ograniczyć do minimum kontakty z Dodgsonem, mógł ją poprosić, żeby zamawiała alkohol pod swoim p a n i e Ń s k i m nazwiskiem. Z tą myślą zagoniłem moich ludzi z powrotem do roboty. Sprawdziliśmy panińskie nazwiska żon owych dwudziestu trzech pracowników Firmy, a potem raz jeszcze porównaliśmy je z listą Kahna, zwracając szczególną uwagę na ludzi, którym Dodgson dostarczał alkohol w okresie pomiędzy nagłym wyjazdem Philby’ego a aresztowaniem Kahna dziesięć lat później.

Wszyscy w napięciu pochylili się do przodu, utkwivszy wzrok w wargi Angletona, jakby się spodziewali, że zobaczą spływające z jego ust nazwisko, jeszcze zanim je usłyszą.

– I...? – wyszeptał Colby.

– Jedyne nazwisko, które pojawiło się na obu listach, to... Swett – oznajmił Angleton.

Obydwaj, Jack i Ebby, znali je aż nazbyt dobrze.

– Adelle Swett jest córką Philipa Swetta – powiedział Jack.

– I żoną Leo Kritzky’ego – mruknął Angleton.

– Musiałeś się pomylić, Jim. Chyba nie myślisz, że... – zaczął Ebby.

– Sugerujesz, że Leo Kritzky to SASZA? – zapytał z niedowierzaniem Jack.

– To znowu jakaś ślepa uliczka... – odezwał się Manny.

Jack walnął pięścią w stół.

– Znam Leo jeszcze z Yale. Razem wiosłowaliśmy. Razem mieszkaliśmy. Jest ojcem chrzestnym mojego syna. Ręczę za niego własną głową...

Angleton wyjął zapalniczkę i przyłożył ją do koniuszka papierosa. Zaciągnąwszy się głęboko, wypuścił dym przez nos.

– Nie rób tego, Jack, bo mógłbyś ją stracić.

Colby w zamyśleniu drapał się po zarosniętej krótką szczeciną brodzie.

– Skąd pewność, że akurat Adelle zamawiała alkohol u Kahna? Może to był jej ojciec?

– Albo jakiś inny Swett? – warknął Jack.

Nikotyna ukoiliła rozhuśtane nerwy Angletona. Już nie trząsał się z zimna, policzki miał zaróżowione, nawet jego głos brzmiał teraz inaczej.

– Kwestia adresów – wyjaśnił. – Na początku lat pięćdziesiątych wszystkie zamówienia na nazwisko Swett dostarczano do mieszkania przy Bradley Lane, na tyłach klubu „Chevy Chase”, gdzie mieszkał Kritzky, kiedy ożenił się z Adelle. Od pięćdziesiątego czwartego roku Dodgson zaczął dostarczać zamówienia do małego domku przy Jefferson w Georgetown, który Philip Swett kupił dla swojej córki, kiedy przyszły na świat bliźniaczki.

– Brak mi słów – przyznał Colby. – Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli to prawda... Dobry Boże, jeśli przez te wszystkie lata Leo Kritzky szpiegował dla Sowietów... Zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? W latach pięćdziesiątych wtajemniczony był w opracowaną przez Wisnera strategię „odpychania komunizmu”, wiedział wszystko o sowieckich operacjach Asa. Wiedział o twojej misji w Budapeszcie, Eb. Był ADD/O/A Bissella podczas inwazji na Zatokę Świń: znał czas i miejsce desantów, znał *modus operandi* brygady, wiedział, które statki wiozły amunicję i paliwo. Sama myśl, że człowiek stojący na czele Sekcji Sowieckiej mógłby być kretem KGB...

– Już raz tak było – przypomniał Colby’emu Angleton. – Nie zapominaj, że po wojnie Philby prowadził antysowieckie operacje kontrwywiadu w MI6.

Colby’ego zastanowiło coś jeszcze.

– Za prezydentury Johnsona Adelle była radcą prawnym w Białym Domu. Pomyślcie tylko, co mógł od niej wyciągnąć! Na samą myśl robi mi się słabo!

– Nie kupuję tego – oświadczył stanowczo Ebby. – Leo jest lojalnym obywatelem Ameryki...

Angleton z lubością zaciągał się papierosem, zionąc kłębamii dymu. Zdawał się tym spokojniejszy, im bardziej tamci byli zdenerwowani.

– Wszystko do siebie pasuje jak w układance – powiedział. – Leo Kritzky świetnie zna rosyjski, jego nazwisko zaczyna się na literę „K”, we wrześniu siedemdziesiątego drugiego był na dwutygodniowych wakacjach w Nowej Szkocji, a sowiecki łącznik Dodgson, który wcześniej dostarczał alkohol Philby’emu na Nebraska Avenue, realizował również zamówienia dla osoby nazwiskiem Swett... I okazuje się, że tą osobą jest prawie na pewno żona Kritzky’ego, Adelle. – Angleton wbił wzrok w Colby’ego. –

Dowody są przytłaczające, Bill. Kritzky wyjechał na dwa tygodnie do Francji. Wraca w niedzielę po południu...

– Jezu! – wykrzyknął Manny z końca stołu, przerażony wnioskami, jakie Angleton wysnuł z historyjek AE/PINAKLA. – Co zamierzacie teraz zrobić? Aresztować go?

– Od tego należałoby zacząć – zauważył Angleton.

– Mamy same poszlaki – upierał się Jack. – W twoim rozumowaniu jest za dużo luk. Nie wytrzyma dogłębnej analizy.

Colby dorysował jeszcze jedno kółko w swoim żółtym notesie.

– A jeśli nie przeprowadzimy dogłębnej analizy, wyjdziemy na dupków – oświadczył po namyśle. – Nie zapominajmy, że AE/PINAKIEL postawił wszystko na jedną kartę. Ale jeśli Kritzky jest SASZĄ, nie możemy go wpuścić z powrotem do Langley. – Zwrócił się do Angletona. – Teraz twoja kolej, Jim. Ruszaj.

Jack wybuchnął.

– Do cholery, Bill, dajesz mu wolną rękę!

Angleton zebrał swoje papiery.

– To nie *garden party*, panowie – uciął sucho.

– Nie powiedziałem, że możesz robić, co chcesz. Istnieją pewne granice... – upomniał go Colby.

– A kto je wyznacza? – zapytał Jack.

Manny zadzwonił jeszcze raz. Kiedy nikt nie odpowiadał, pchnął drzwi na poddasze Nellie. Były otwarte. Wetknął głowę do środka.

– Hej, jest tam kto?! – zawołał. – Nellie?!

Wszedł, zamknął za sobą drzwi kopniakiem i rozejrzał się dookoła. Długi, wąski salon tonął w blasku świec. Po całej podłodze rozrzucone były

kartki papieru ze śladami bosych stóp. Manny, śmiejąc się, podążył tym tropem i dotarł do przymkniętych drzwi w końcu korytarza, gdzie w srebrnym wiaderku, pełnym pokruszonego lodu, stała otwarta butelka dom perignon i dwa kieliszki. Delikatnie uchylił drzwi. Płonące w kandelabrach świece spowijały pomieszczenie przymgloną, żółtą poświatą. W wypełnionej parującą wodą wannie leżała Nellie; w szybce świetlika nad jej głową błyszczał księżyc w trzeciej kwadrze.

– Spóźniłeś się dziesięć minut – szepnęła z wyrzutem. – Lód zaczął już topnieć. Ja też.

– Na miłość boską, Nellie...

– Nie rozebrałam się ze względu na miłość b o s k ą, zrobiłam to wyłącznie z miłości do c i e b i e. – Uśmiechnęła się lubieżnie. – Przebierz się w coś wygodniejszego, najlepiej w strój Adama... Będziemy popijać w wannie szampana, a ja ci się trochę ponarzucam...

Manny napełnił kieliszki, podał jeden Nellie i przysiadł na brzegu wanny. Spojrzał na nagie ciało dziewczyny. W krystalicznie przejrzystej wodzie wyraźnie było widać brązowe sutki i jasne włoski na łonie.

Nellie również mu się przypatrywała, sącząc szampana.

– Powiedz mi, co ci się we mnie nie podoba? – powiedziała zaczepnie. – Tylko szczerze. Nie bój się, że mnie urazisz.

Manny bawił się nóżką kieliszka.

– Przede wszystkim masz za duży nos. Twoje sutki są za duże, uda za chude, zbyt dziewczęce, zbyt mało kobiece, ramiona za kościste, włoski łonowe za krótkie...

– Bo je gołę, głuptasie, żeby nie wystawały, kiedy wkładam bikini w żółte kropki.

– Masz łono jak u kilkunastoletniej smarkuli, za mało ciała na biodrach, za duże stopy, za szeroko rozstawione oczy, wystaje ci pępek... – jego głos stawał się coraz głębszy, coraz bardziej gardłowy – ...twoja skóra w świetle księżyca wygląda cudownie, twoje ciało zapiera mi dech...

– Włóż – syknęła. – Zrobię ci sztuczne oddychanie metodą usta–usta.

Manny pociągnął łyk szampana.

– Nie zostawiasz facetowi wiele pola do popisu.

– Nie przejmuj się. Elizabet mówi, że praca w Firmie grozi utratą zdrowia psychicznego. Rozmawiałam z nią dziś wieczorem przez telefon. Powiedziała, że kiedy twój ojciec wrócił dzisiaj z biura, wyglądał jak śmierć na chorągwi. Pewnie tak jak ty w tej chwili. Jakież problemy?

– Zawsze są jakieś problemy – odparł wymijająco Manny.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie mogę.

– Spróbuj.

Potrząsnął głową.

– Poczekaj, niech zgadnę... Ziemia zderzy się z asteroidą? Rosjanie znowu coś knują? Kongres chce wam zredukować budżet o parę miliardów?

– Z psychologicznego punktu widzenia wszystko, co wymieniłaś, i jeszcze trochę. Ktoś, kogo znam, lubię i szanuję, ma poważne kłopoty... – nie dokończył zdania.

– I dlatego mamy popsuć sobie wspólny wieczór?

– Nie będzie wspólnego wieczoru, Nellie. Przyszedłem, żeby ci to powiedzieć. Zdawało mi się, że zrozumiesz... Rozumiesz?

Nellie wypięła duszkiem resztę szampana i wyciągnęła kieliszek po dolewkę. Wychyliła wszystko do dna i wyskoczyła z wanny. Owinęła się wielkim białym ręcznikiem i wybiegła z łazienki. Manny, z butelką w ręku, podążył za mokrymi śladami jej stóp.

– Jak chcesz, żeby dziewczyna cię zrozumiała, jeżeli nic jej nie mówisz?!
– krzyknęła z furią i rzuciła się na kanapę. Ręcznik rozchylił się, odsłaniając kościste biodro i białe udo.

– Posłuchaj, za trzy kwadransy muszę być w pewnym miejscu – tłumaczył się Manny. – To sytuacja awaryjna, wszyscy bez wyjątku mają stawić się na pokład. Zostałbym i porozmawiał z tobą...

– ...gdybyś mógł. Ale nie możesz.

Manny pochylił się, żeby ją pocałować, ale odsunęła się szorstko.

– Właśnie zacząłem się przyzwyczajać do myśli, że się we mnie zadurzyłaś – powiedział.

– Nie zadurzyłam się. Kocham cię, Manny.

– W tej chwili wyglądasz tak, jakbyś mnie nienawidziła.

Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

– Nienawidzę tej części ciebie, której nie kocham.

– Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

– Jak chcesz... Ale nie myśl sobie, że wystarczy mi rzucić kilka okruchów. Ja chcę mieć cały bochenek, Manny. Wszystko albo nic.

Airbus linii Air France dotknął płyty lotniska Dulles International kilka minut po czwartej po południu. Leo i Adelle, zesztywniali od długiego lotu, stanęli w kolejce do odprawy paszportowej, odebrali bagaże i ruszyli w stronę wyjścia z napisem: „Nic do oclenia”. Dojrzeli Vanesę, która machała do nich zza szyby.

– Hej, tato, mam, witajcie w domu! – wołała radośnie.

Ucałowała matkę i rzuciła się ojcu na szyję.

– Jak było?

– Wspaniale, z wyjątkiem jednego dnia, kiedy twój tatuś zawieruszył się gdzieś po drodze i dotarł do zamku dopiero o jedenastej w nocy.

– Błąkałem się po całej okolicy, bo w jakiejś wsi, której nazwy nawet nie potrafię powtórzyć, skręciłem nie tam, gdzie trzeba... – tłumaczył się ze skruchą Leo. – I zapomniałem, w którym zamku mieliśmy nocować.

– I jak się skończyło?

– Wezwaliśmy policję – powiedziała Adelle. – Znaleźli go w przydrożnym bistrze, dwadzieścia dwa kilometry od zamku. Siedział sobie spokojnie i popijał calvados. Kiedy przywieźli go suką razem z rowerem, był czerwony jak burak.

– Wy to jesteście... – orzekła Vanessa z podziwem. – Kumple o mało nie pękli z zazdrości, jak im powiedziałam, że moi rodzice włączą się rowerami po Europie.

Leo spostrzegł, że jakiś młody człowiek w eleganckim burberry, stojący tuż przy wyjściu z hali głównej, bacznie mu się przygląda. Widząc, że został zauważony, nieznajomy zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Przepraszam, czy pan Kritzky? – zapytał bez uśmiechu.

Leo nagle stał się czujny.

– Kim pan jest?

– Mam list do pana Kritzky'ego. Służbowy.

– Dlaczego nie wysłali go pocztą?

– Mam osobiście oddać go panu do rąk własnych, sir.

– W porządku, to ja jestem Kritzky – powiedział Leo.

– Mógłbym zobaczyć pański paszport, sir?

Leo wyciągnął z kieszeni dokumenty. Młody człowiek zerknął na fotografię, potem na twarz Leo, zwrócił mu paszport i wręczył zapieczętowaną kopertę.

– Tatusiu, o co chodzi? – zapytała Vanessa.

– Zaraz się dowiem... – Rozerwał kopertę i wyjął złożoną na pół kartkę papieru.

Najpierw zerknął na podpis: nad oficjalnym nadrukiem „William Colby, DCI” widniał odręczny dopisek „Bill”, nabazgrany niebieskim atramentem. „Drogi Leo – zaczynał się list – przykro mi, że zawracam Ci głowę sprawami zawodowymi w momencie, gdy dopiero co zszedłeś z pokładu samolotu, ale zaszło coś, co wymaga Twojej natychmiastowej interwencji. Czy mógłbyś przyjechać do biura prosto z lotniska? Resztę powiem ci na miejscu”.

– Sir – odezwał się młody człowiek. – Samochód już czeka.

Leo przyjrzał mu się uważnie.

– Wiesz, co jest w tym liście?

– Wiem jedynie tyle, ile mi powiedziano, sir. Miałem przyjechać tu po pana i zawieźć samochodem w wyznaczone miejsce.

– Co się dzieje, Leo? – zaniepokoiła się Adelle.

– Bill Colby wzywa mnie do Langley – odparł ściszym tonem. – Vanesso, zabierz mamę do domu. Przyjadę, jak tylko będę mógł. Jeśli coś się przedłuży, zadzwonię.

– Sir, proszę za mną...

Leo ucałował córkę w oba policzki i uśmiechnął się do Adelle. Potem podążył za człowiekiem w prochowcu.

– W jakiej sekcji pracujesz? – zapytał.

– W Biurze Ochrony, sir.

Nieznajomy pchnął drzwi, puszczając Kritzky'ego przodem. Przy krawężniku stał szary czterodrzwiowy ford sedan. Kierowca przytrzymał drzwiczki. Leo schylił się i usiadł z tyłu. Ku jego wielkiemu zdziwieniu na siedzenie obok wpakował się jakiś osiłek, a z prawej strony dosiadł się jeszcze jeden, który wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z ringu.

– Co jest, do...

Nim skończył, chwycili go pod ręce i błyskawicznie zakuli w kajdanki. Młody człowiek w prochowcu stał obok samochodu i mówił coś do walkietalkie. Kierowca zatrzasnął drzwi, zapalił silnik i ruszył.

– Pochyl się, głowa między kolana – warknął osiłek, a kiedy Leo się zawahał, bokser uderzył go w brzuch.

Leo skulił się z bólu i z wymiotował na buty.

– O kurwa – zaklął osiłek, dociskając mu kark do kolan.

Ford utknął w korku. Wokół rozlegało się natarczywe wycie klaksonów. Leo czuł, że drętwieją mu plecy. Spróbował się poruszyć, ale ręka na jego karku zacisnęła się natychmiast jeszcze mocniej. Po jakichś czterdziestu minutach samochód skręcił. Leo usłyszał zgrzyt otwieranej bramy, potem jeszcze raz ten sam dźwięk i nagle znaleźli się w ciemności. Ucisk na karku zelżał. Leo wyprostował się i zobaczył, że znajdują się w słabo oświetlonym podziemnym garażu. Lawirując wśród zaparkowanych aut, podjechali pod drzwi windy, które rozsunęły się bezszelestnie. Strażnicy wywlekli Leo z samochodu. Bokser nacisnął guzik. Winda z cichym szumem ruszyła do góry. Po chwili drzwi otworzyły się znowu. Dwaj mężczyźni poprowadzili Leo ciemnym korytarzem i wepchnęli do pomalowanego na kremowo pokoju, oświetlonego z góry rzędem lamp chirurgicznych. Wewnątrz czekały na nich dwie kobiety w średnim wieku,

ubrane w długie białe kitle. Bokser wyjął kluczyk i rozpiął kajdanki. Baczenie śledził każdy ruch Leo, który stał spokojnie, masując sobie obolałe nadgarstki.

– Rób dokładnie to, co ci powiem – rozkazała jedna z kobiet. – Zdejmiesz całe ubranie, sztuka po sztuce, bardzo powoli. Teraz. Zaczynij od lewego buta.

– Czego szukacie? – wykrztusił Leo zduszonym głosem.

Osilek uderzył go w twarz.

– Nikt ci nie mówił, że możesz gadać! But, panie Kritzky.

Leo czuł, jak pali go policzek. Łzy napłynęły mu do oczu, ale pochylił się bez słowa, zdjął posłusznie lewy pantofel i podał bokserowi, który przekazał go jednej z kobiet. Oglądała but długo i starannie, obracając nim na wszystkie strony, jakby pierwszy raz w życiu widziała taki fason. Oderwała cząstkami obcas i nacięła skórę żyłką, żeby zajrzeć pod podeszwę i na spodnią stronę języka. Niczego nie znalazłszy, odrzuciła na bok lewy but Leo i wskazała na prawy. Sztuka po sztuce, obie kobiety zlustrowały każdy szew, każdą nitkę w ubraniu Leo, aż stanął przed nimi zupełnie nagi, w zimnym, ostrym świetle jarzeniówek. Jedna z kobiet założyła gumowe rękawiczki.

– Stań w rozkroku – powiedziała.

Kiedy ociągał się z wykonaniem tego rozkazu, bokser pomógł mu kopniakiem. Kobieta uklękła na podłodze i zaczęła obmacywać palce i podeszwy stóp Leo. Następnie przesunęła dłońmi po wewnętrznej stronie nóg, w górę, aż do krocza, jąder i penisa, skrupulatnie badając wszystkie fałdki. Przygryzał w upokorzeniu wargi, gdy jej palce wodziły po jego pachwinach i przeczesywały owłosienie na podbrzuszu. Skończywszy oględziny, wstała, wyjęła łyżeczkę i kazała mu otworzyć usta.

– Szerzej – powiedziała krótko i odchyliwszy jego głowę do światła, uważnie obejrzała wszystkie zęby. – Ślicznie. A teraz przyjrzymy się pańskiemu odbytowi, panie Kritzky.

– Nie – jęknął płacząco Leo. – Chcę rozmawiać...

– Dupa, dupku! – warknął bokser.

Uderzył Leo w brzuch i jednym zręcznym chwytem dżudo przewiesił go sobie przez ramię. Kobieta zanurzyła palec w słoiku z wazeliną i przyklękawszy za plecami Leo, zbadała jego odbyt.

Kiedy pozwolono mu się wyprostować, wykrztusił: „Wody!”

Osiłek spojrział na kobietę w chirurgicznych rękawiczkach. Odpowiedziała mu wzruszeniem ramion, więc wyszedł i wrócił po chwili z plastikowym kubkiem. Leo wypił duszkiem, a potem zapytał, z trudem łapiąc oddech:

– Czy ja nadal jestem w Ameryce?

Bokser zarechotał.

– Tu jest jak w Watykanie, chłopie... Teren eksterytorialny. Zapomnij o *habeas corpus*.

Druga kobieta rzuciła Leo pod nogi białą piżamę i kapcie.

– Ubierz się – powiedziała beznamiętnym tonem.

Leo naciągnął spodnie. Nie miały gumki w pasie, więc przez cały czas musiał je przytrzymywać, żeby nie opadły. Z trudem włożył górę. Dłoń mu drżała, kiedy próbował zapinać guziki jedną ręką. W końcu bokser zrobił to za niego. Pod eskortą osiłka Leo poczłapał do wyjścia, a potem, szurając kapciami, podążył długim, ciemnym korytarzem do zamkniętych drzwi na samym końcu. Mężczyzna zapukał dwukrotnie, wyjął klucz, przekręcił go w zamku, nacisnął klamkę i odsunął się na bok. Zaczerpnawszy gwałtownie powietrza, Leo wszedł do środka.

Znalazł się w przestronnym, pozbawionym okien pokoju o ścianach i drzwiach wyłożonych gumą piankową. Z wysokiego sufitu zwisały na kablach trzy gołe żarówki. Z boku, przy wejściu, leżał złożony w kostkę brązowy żołnierski koc. W kącie, obok murowanego sedesu bez klapy, stał cynowy kubek. Środek pomieszczenia zajmowały dwa krzesła i mały stolik z magnetofonem, przykręcone na stałe do podłogi. Na jednym z krzeseł siedział James Jesus Angleton z przyklejonym do ust papierosem, pochylony nad stertą papierów i popielniczką pełną niedopałków. Nie podnosząc wzroku, wskazał Leo miejsce naprzeciw siebie, po czym wcisnął guzik magnetofonu.

– Absolwent Yale, rocznik pięćdziesiąty, o ile się nie mylę? – zaczął.

Leo, wyczerpany psychicznie, kompletnie otumaniony, ciężko zwałił się na krzesło.

– Yale. Pięćdziesiąty. Zgadza się.

– Jaki college?

– Dwa lata w Timothy Dwight. Potem mieszkałem poza kampusem.

– Ja byłem w Silliman, ale to dawne czasy – powiedział Angleton. Przewrócił kartkę, zerknął, sprawdził coś i wrócił na pierwszą stronę. – Może zaczniemy od twojego ojca?

Leo pochylił się do przodu.

– Jim, to ja, Leo. Leo Kritzky. Porwali mnie z lotniska. Poturbowali. Obszukali, musiałem rozebrać się do naga. Co się tutaj dzieje?

– Zaczynij od ojca.

– Jim, na miłość boską... – Leo zerknął na obracające się szpule magnetofonu, zatrząsł się jak w febrze i odetchnął głęboko. – Mój ojciec miał na imię Abraham. Abraham Kritzky. Urodził się w Wilnie, w gminie żydowskiej, dwudziestego ósmego listopada tysiąc osiemset

dziewięćdziesiątego szóstego roku. Wyemigrował do Ameryki podczas pogromów w tysiąc dziewięćset dziesiątym. Znalazł pracę w fabryce Triangle Shirtwaist, szyjącej opaski do kapeluszy. W tysiąc dziewięćset jedenastym w fabryce wybuchł pożar, w płomieniach zginęło sto pięćdziesiąt szwaczek. Ojciec ocalał cudem. Z maszyną do szycia na plecach, wydostał się z budynku w ostatniej chwili, gdy strażacy wyważyli zaryglowane od wewnątrz drzwi ewakuacyjne.

– Czy to przeżycie sprawiło, że stał się rozgoryczony?

– Oczywiście, że stał się rozgoryczony.

– Czy to zniechęciło go do kapitalizmu?

– Po co się w tym grzebiesz, Jim? Przecież już raz przez to przechodziłem, kiedy mnie werbowaliście. Nie mam nic do ukrycia. Ojciec był socjalistą. Wielbił Eugene’a Debsa. W tysiąc dziewięćset osiemnastym wstąpił do Partii Socjalistycznej, a kiedy Debsa aresztowano, bodajże w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, organizował pikietę. Prenumerował „Jewish Daily Forward”. Jego Biblią była *Poczta Bintela*, kolumna, w której ludzie wylewali swoje żale. Czytał nam te listy na głos, w jidysz. Ojciec miał miękkie serce, ale dopóki na scenie nie pojawił się Komitet do Badania Działalności Antyamerykańskiej, nie uznawano tego w Ameryce za przestępstwo.

– Urodziłeś się dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego...

Leo roześmiał się gorzko.

– W dniu, w którym nastąpił krach na giełdzie. Sądysz, że to omen?

– Twój ojciec prowadził wtedy mały interes. – Angleton przewrócił kolejną kartkę. – Wyrabiał i naprawiał kapelusze przy Grand Street na Manhattanie. Krach go wykończył.

– Banki zażądały od niego zwrotu pożyczki... Kupił na kredyt kamienicę na Grand Street. Mieszkaliśmy na piętrze. Na dole mieściła się firma. Stracił wtedy wszystko.

– I co się stało później?

– Mogę napić się wody?

Angleton gestem podbródka wskazał cynowy kubek, stojący na podłodze obok sedesu.

– W misce jest woda.

Leo potrząsnął z obrzydzeniem głową.

– Chyba upadłeś na głowę, Jim. Jesteś szalony, jeżeli myślisz, że będę pił z klozetu.

– Jak poczujesz prawdziwe pragnienie, napijesz się. Co się wydarzyło po krachu na giełdzie?

Leo nie odpowiadał, Angleton przyjrzał mu się i powiedział:

– Wyjaśnijmy coś sobie. Zostaniesz w tym pokoju, dopóki nie odpowiesz na wszystkie moje pytania, i to wielokrotnie. W kółko będziemy analizować twój życiorys przed wstąpieniem i po wstąpieniu do Firmy. Nie obchodzi mnie, czy to zajmie tygodnie, czy miesiące. Mnie się nie spieszy. Chcesz kontynuować teraz czy mam wrócić jutro?

– Skurwieli – szepnął Leo.

Angleton zaczął składać papiery.

– Dobra, dobra... Odpowiem na te twoje pieprzone pytania. Ojciec popełnił samobójstwo.

– W jaki sposób?

– Dobrze wiesz, w jaki sposób.

– Chcę to usłyszeć.

– Skoczył z mostu Brooklyńskiego. Następnego ranka znaleźli jego ciało, dryfujące niedaleko doków pod Brooklyn Heights.

– Kiedy to było?

– W marcu trzydziestego szóstego.

– Dokładnie siódmego marca – poprawił go Angleton. – Twój ojciec został komunistą dopiero po krachu na giełdzie czy był nim już wtedy, kiedy przyjechał tu z Rosji?

Leo uśmiechnął się pod nosem.

– Mój ojciec był Żydem, który wierzył, podobnie jak żyjący osiem stuleci przed Chrystusem prorok Amos, że jeśli masz więcej, niż ci potrzeba, jesteś złodziejem, bo to, co posiadasz, zostało skradzione tym, którzy mają za mało. Na szczęście dla Amosa w jego czasach nie narodził się jeszcze Joe McCarthy. – Wzrok Leo powędrował gdzieś w bok; oczyma duszy ujrzał ojca, czytającego podniszczoną Torę, i zacytował z pamięci: – „Albowiem wiedzą, iż nie czynią dobrze ci, rzekł Pan, którzy w swoich pałacach chowają przemoc i rozbój”. Amos trzy–dziesięć, o ile dobrze sobie przypominam...

– Zdaje się, że masz bzika na punkcie McCarthy’ego.

– Był skończonym dupkiem.

– Zgadzałeś się z Amosem i swoim ojcem? Myślałeś, tak jak oni, że to, co posiadasz, zostało skradzione tym, którzy mają za mało?

– W idealnym świecie podobne sentymenty miałyby jakąś rację bytu. Ale już dawno temu przeniosłem się do świata niedoskonałego.

– Czy to kapitalizm zabił twojego ojca?

– Mój ojciec sam się zabił. Kapitalizm w takiej formie, w jakiej był praktykowany w Ameryce lat dwudziestych i trzydziestych, stworzył warunki, które sprawiły, że wielu ludzi targnęło się wówczas na własne

życie, nie wyłączając samych kapitalistów, którzy rzucali się z okien przy Wall Street w dwudziestym dziewiątym.

Angleton zapalił papierosa. Cień uśmiechu błąkał się w kącie jego warg, a w źrenicach czaiły się podstępne iskierki. Leo przypomniał sobie, że Jim był zapalonym wędkarzem. Mawiano, że mógł godzinami „moczyć patyk” w górnym dziale wodnym północnego Wisconsin: zarzucał wędkę z własnoręcznie zrobioną muchą i cierpliwie czekał na mitycznego pstrąga brunatnego, kryjącego się rzekomo w nurtach rzeki. Leo uderzyło zaskakujące podobieństwo – szef kontrwywiadu zarzucał teraz wędkę w inny strumień: nęcił go własnoręcznie zrobionymi muszkami w nadziei, że połknie haczyk, nie powie prawdy, przekręci jakiś szczegół, a wtedy on zacznie ostrożnie zwijać żyłkę.

Przerzucając luźne kartki w swoim notesie, Angleton to odhaczał jakiś punkt, to podkreślał jakieś zdanie, to znowu wymazywał jakieś słowo i pisał nad nim coś innego. Wypytywał o stosunek Leo do Związku Sowieckiego podczas drugiej wojny światowej. Byłem dzieckiem, odpowiadał przesłuchiwany, nie interesowały mnie wtedy te sprawy.

– Po wojnie wstąpiłeś do Ethical Culture – zauważył Angleton.

– Nigdy tak naprawdę nie wstąpiłem do Ethical Culture – odparł Leo. – Chodziłem na wieczorne spotkania na Brooklynie. Głównie po to, żeby pograć w szachy.

– Kogo tam poznałeś?

Leo nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Szachistów.

– A ta dziewczyna? – spytał Angleton. – Nazywała się... – Zwilżył palec i przewrócił kilka kartek. – Nazywała się Stella.

Tak, przyznał. Pamiętał Stellę. Miała wkurzający zwyczaj wycofywania każdego ruchu na szachownicy. Dlatego tylko on chciał z nią grać.

– Pamiętasz nazwisko? – indagował dalej Angleton.

Leo przez chwilę się zastanawiał. Nie, odezwał się w końcu, nie pamiętam. Na twarzy Angletona znów pojawił się nikły uśmiech.

– Może Bledsoe?

– Może... Brzmi znajomo.

Monotonny głos Angletona przeszedł w cichy, pełen zadowolenia pomruk. Szef kontrwywiadu miał minę kota, który bawi się z myszą, wiedząc, że prędzej czy później i tak jej dopadnie.

– Była tam Bledsoe, Stella. Whittaker Chambers zeznał, że sympatyzowała z komunizmem. Po wojnie widywał ją na zebraniach partii.

Leo milczał. Angleton podniósł wzrok znad notatek.

– Czy Stella Bledsoe była komunistką?

Leo parsknął.

– Była pracownikiem socjalnym. Wielu z nich miało lewicowe poglądy. Oczywiście, że mogła być komunistką, ale kiedy poznałem ją w latach czterdziestych, nic o tym nie wiedziałem.

Angleton zaciągnął się papierosem.

– Opowiadała się za oficjalnym stanowiskiem partii: jednostronnym rozbrojeniem, oddaniem Berlina Rosjanom... Chyba zgodzisz się ze mną, że można ją określić jako komunistkę?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Żadnego, Leo. Ale wiele ułatwi.

– Komu?

– Tobie. Mnie. Firmie.

Leo wstał i przytrzymując jedną ręką spodnie od pizamy, poczłapał w kierunku toalety. Spojrzał w dół na wodę w misce klozetowej. Przełknął głośno, aby jakoś ulżyć zaschniętemu gardłu, i wrócił na krzesło.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, wskazując na wyłożone gumą piankową ściany.

Zdawało mu się, że zna odpowiedź: Dwudziesta Trzecia Ulica, dawny Szpital Marynarki – kompleks żółtych budynków naprzeciwko siedziby Departamentu Stanu. Tajny ośrodek CIA. Ponieważ miejsce było bezpieczne, czasami przesłuchiowano tu zbiegów.

Angleton podniósł wzrok znad papierów i spojrzał na Leo.

– Jeśli o ciebie chodzi, to równie dobrze moglibyśmy być na innej planecie – powiedział bez cienia złośliwości, jakby przekazywał suchą informację.

– Jak nie wrócę do domu, moja żona zacznie zadawać pytania.

Angleton zerknął na zegarek.

– Teraz – rzekł – dyrektor pewnie dzwoni do Adelle i przeprosza ją, że musiał cię tak nagle wysłać do Azji. Coś wyskoczyło, powie. Na pewno rozumie pani, że nie mogę wdawać się w szczegóły. Twoja żona przyjmie to bardzo dzielnie. Zapyta, kiedy wrócisz, a on odpowie wymijająco, że to może trochę potrwać. Nie wzięł ze sobą żadnych ubrań, zmartwi się Adelle. To niech pani spakuje mu parę rzeczy w jakąś torbę, a ja przyślę po nie samochód, zaproponuje dyrektor. Odezwie się do mnie? – zapyta jeszcze twoja żona. Kazałem mu zachować ciszę w eterze, odpowie dyrektor, ale obiecuję, że zadzwonię do pani osobiście, jak tylko będę miał jakieś informacje. Czy to niebezpieczna misja? – zaniepokoi się Adelle. Nic z tych rzeczy, powie dyrektor. Ma pani na to moje słowo.

Leo czuł się tak, jakby znów ktoś uderzył go w brzuch. Zabrakło mu tchu.

– Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jaka z ciebie szuja – mruknął.

Angleton, niezrażony, przewrócił notatki z powrotem na pierwszą stronę i zagapił się na jedno jedyne słowo, wypisane wielkimi literami. Leo skupił się i spróbował odczytać je do góry nogami. Litery ułożyły się w słowo SASZA.

Angleton zamknął notes i zatrzymał taśmę w magnetofonie. Włożył to wszystko, razem z popielniczką, do szarej papierowej torby i bez słowa podszedł do drzwi. Zastukał dwa razy. Bokser otworzył, wypuścił go na zewnątrz, po czym z powrotem zaryglował zamek. Ku swemu zdziwieniu Leo stwierdził, że żałuje, iż Angleton sobie poszedł. Przynajmniej miał z kim rozmawiać. Rozłożył koc i spróbował się zdrzemnąć. Trzy gołe żarówki paliły się teraz jaśniej niż przedtem. Domyślił się, że mocne światło ma uniemożliwić sen. Położył się, skulony jak embrion, i stracił poczucie czasu. W pewnym momencie drzwi otworzyły się, ktoś wsunął do środka cynową miskę, po czym zatrzaskał je znowu. Przytrzymując spodnie, Leo podszedł, przyklęknął i zaczął palcami wyjadać zimną gotowaną kapustę. Była słona. Przełykając łyżę, wstał i długo wpatrywał się w kąt z prowizoryczną toaletą. W końcu poczłapał do sedesu, zanurzył cynowy kubek w muszli i pociągnął spory łyk. Zakrztusił się. Kucnął, wciskając głowę między nogi i oddychając głęboko, żeby powstrzymać wymioty. Kiedy się poczuł nieco lepiej, wysikał się i spuścił wodę, a potem wrócił na swój koc i leżąc z otwartymi oczyma, pogrążył się w myślach.

SASZA.

Agatha Ept była stanowcza: to nie jest najlepszy dzień dla Koziorożca i Panny na podejmowanie nowych projektów.

– Jeśli chcecie, to zaraz wam wszystko wyjaśnię – powiedziała, wycofując się do sypialni. – Pluton w opozycji do Marsa... Dobra, dobra, zrozumiałam aluzję. – Zniknęła za drzwiami.

– Ta Amerykanka jest szalona – powiedział Siergiej Kukuszkin do Manny’ego, kiedy zostali sami. – Naprawdę myśli, że o naszym losie decydują gwiazdy?

Manny polubił Kukuszkina. Jego otwarta twarz, troska, z jaką mówił o żonie i córce, nawet nerwowe prztykanie paznokciami – wszystko to zdawało się potwierdzać jego szczerą intencję. Manny bardzo chciał, żeby było inaczej. Chciał, żeby Siergiej, mówiąc, nie patrzył mu prosto w oczy, chciał wyczuć nieznaczną choćby wahanie w uścisku jego dłoni, jakiś trwający ułamek sekundy odruch cofnięcia ręki, jakiś fałsz. Bo jeżeli Angleton ma rację i Kukuszkin nie jest podstawiony, to SASZĄ jest Leo Kritzky.

– Czy Jelena Antonowna zażyła dziś rano swoje tabletki? – zapytał.

W oczach Rosjanina czaił się uśmiech.

– Pierwsze dwie łyknęła, jak tylko dotarła do ambasady – powiedział. – Powiedziała mi, że już po paru minutach poczuła wyraźną ulgę. – Paznokcie Kukuszkina zamilkły, co oznaczało, że zaraz zada szczególnie ważne pytanie. – A co z SASZĄ? Co się stało z SASZĄ?

Manny z pewnym wysiłkiem wytrzymał spojrzenie Kukuszkina.

– Mister Angleton twierdzi, że zna jego tożsamość.

Rosjanin zapytał szeptem:

– Aresztowali go?

Manny skinął głową.

– Nie wyglądasz na uszczęśliwionego.

– Do mnie – odparł po chwili – należy organizacja naszych spotkań, ustalanie kodów i sygnałów, którymi można się posłużyć w razie zmiany planów, przekazywanie pytań i odpowiedzi. To, co dzieje się z tym potem, to już nie moja działka.

– A tak z ręką na sercu... Jesteś pewien, że ten SASZA, który został aresztowany, to prawdziwy SASZA?

– Mamy czwartek – powiedział Manny. – Według twoich informacji SASZA powinien był wrócić do pracy w Langley w poniedziałek. To prawda, że jedynie garstka naszych zna twoją tożsamość. Ale wielu ludzi z różnych departamentów jest w to pośrednio zamieszanych: prowadzą nasłuch telefoniczny, pakują tabletki dla twojej żony, chodzą za wami wszędzie... Wieść o zdradzie na wysokim szczeblu z pewnością się rozniesie. Jeżeli się nie mylisz co do SASZY, jeżeli to ktoś naprawdę ważny, już byś o tym usłyszał. Może coś zwróciło twoją uwagę? Może wasza ochrona przedsięwzięła jakieś specjalne środki ostrożności?

Kukuszkin potrząsnął przecząco głową.

– Czy twoją żonę ktoś śledził, kiedy szła do dentysty?

– Jeżeli nawet, to nie sądzę, żeby zauważyła.

– My byśmy zauważyli na pewno. Była czysta, kiedy wychodziła z metra przy Dupont Circle. Była czysta, kiedy wracała. A w ambasadzie? Nikt cię nie nagabywał? Nie wypytywali cię o nic?

– Rezydent wezwał mnie do siebie, otworzył butelkę szkockiej i zaproponował mi drinka.

– Ucieszył się z wniosków o patenty? Był z ciebie zadowolony?

Kukuszkin zastanawiał się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że tak. W grudniu ubiegłego roku miał kłopoty w centrali. Wezwano do Moskwy jednego z naszych oficerów; utrzymywał,

że prowadzi amerykańskiego zbiega, który przekazał mu tajne dane na temat wykorzystywania i konstrukcji radarów. Tymczasem okazało się, że informacje pochodziły z powszechnie dostępnych czasopism lotniczych. Miesiąc później pułkownik KGB, pracujący pod dyplomatyczną przykrywką, napisał dziesięciostronicowy raport z rozmowy, jaką przeprowadził z sekretarzem obrony Schlesingerem, podczas gdy w rzeczywistości wymienili tylko uścisk dłoni na jakiejś oficjalnej uroczystości z udziałem korpusu. – Rosjanin bezradnie uniósł rękę. – Naciskają nas, więc czasem preparujemy tajemnice, żeby się wykazać.

Manny stwierdził, że nadszedł czas na pytanie, które w końcu i tak musiało kiedyś paść.

– To jak, Siergiej? Zaryzykujesz? Zostaniesz w ambasadzie, teraz gdy SASZA już ci nie zagraża?

– A jeśli zostanę, to...

Manny zrozumiał, że Kukuszkin chciałby jeszcze raz usłyszeć warunki umowy.

– Przejmiemy was w czasie Bożego Narodzenia, kiedy pojedziesz z rodziną do Disneylandu. Na twoim koncie w banku będzie czekała okrągła sumka, w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, oraz dziesięcioletni kontrakt na stanowisko konsultanta Firmy, z pensją półtora tysiąca miesięcznie. Dostaniesz obywatelstwo amerykańskie, zupełnie nową tożsamość i ekskluzywną piętrową willę na Florydzie, w miejscu, które sam wybierzesz. Przed domem na podjeździe będzie stał czterodrzwiowy oldsmobile.

– A jeśli przedtem mnie namierzą?

– Uzgodnimy zawczasu procedurę awaryjną, żeby w razie czego natychmiast was ściągnąć.

Kukuszkin z uwagą przyjrzał się swoim paznokciom i po chwili milczenia powiedział:

– Być może jestem równie szalony jak Agatha Ept, ale ufam ci, Manny. Nie sądzę, żebyś mnie okłamywał. Nie sądzę, że mógłbyś mnie zdradzić. Zrobię to. Nie dla pieniędzy, chociaż będę szczęśliwy, mogąc zapewnić przyszłość mojej rodzinie. Zrobię to, żeby udowodnić wam, że jestem tym, za kogo się podaję, i że jestem lojalny wobec Ameryki.

Manny wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

– Nie pożałujesz, Siergiej. Obiecuję ci to. – Spojrzał na zegarek. – Mamy jeszcze trzy kwadranse.

Kukuszkin sam włączył magnetofon i przysunął sobie mikrofon.

– Zacznę dzisiaj od wiadomości, którą zostawiłem w męskiej toalecie hotelu „Jefferson” dla naszego agenta w NSA. – Zawahał się, a Manny uśmiechem spróbował dodać mu odwagi. – Jak już mówiłem, wiadomość tę, zaszyfrowaną i ukrytą w skuwce wiecznego pióra, odebrałem osobiście od rezydenta. Ponieważ nie zawierała informacji operacyjnych, Borysow zdradził mi jej treść. Tekst brzmiał: „Gratulacje z okazji Drugiego Mężczyzny”. Wiecie zapewne, iż zgodnie z wytycznymi KGB powinniśmy zwracać szczególną uwagę na prywatne życie naszych amerykańskich agentów. Treść notatki sugeruje zatem, że żona szpiegującego dla nas człowieka urodziła drugiego syna, prawdopodobnie gdzieś na początku stycznia...

MOSKWA, NIEDZIELA, 9 CZERWCA 1974

Gdyby nie siateczka zmarszczek wokół oczu i dodatkowe kilka kilogramów w pasie, można by powiedzieć, że PARSIFAL nie zmienił się wcale od czasu, kiedy Jewgienij spotkał się z nim na polu bitwy pod Gettysburgiem dwadzieścia trzy lata temu.

– Strasznie miło z twojej strony, że wpadłeś – wymamrotał Harold Adrian Russell Philby, prowadząc gościa wąskim korytarzem, w którym unosił się ostry zapach płynu do mycia szyb.

Otworzył szklane drzwi, wiodące do niewielkiego pokoju zastawionego meblami, na których piętrzyły się stosy książek i czasopism. Ciszę zakłócał głośny szum klimatyzatora Westinghouse'a, wbudowanego w ścianę pod oknem.

– Ch-ch-cholerna maszyna! Hałasuje jak rakieta, ale przynajmniej jest chłodno. Czy dobrze pamiętam? Ostatnim razem n-n-nazywałeś się Eugene. Kim jesteś teraz?

– Rosyjskim ekwiwalentem tego samego imienia: Jewgienij.

– Cóż, s-s-stary, trzeba przyznać, że nieźle się trzymasz. Znam kilku, którzy w tym zawodzie kompletnie zeszli na psy. Cały czas siedziałeś w Ameryce?

Jewgienij uniósł przepaszająco brwi.

– O rany, znowu t-t-to samo! Przepraszam, przepraszam, naprawdę przepraszam – mruknął Philby, zażenowany. – Wiem, bracie, wiem... Nietaktowne pytanie. I tak mi nie powiesz. – Nie było jeszcze czwartej,

a oddech Philby'ego już cuchnął alkoholem. – Dziadek cię wysłał na przeszpiegi, co?

– Właściwie – skłamał Jewgienij – to sam go spytałem, gdzie mogę cię znaleźć. Pomyślałem, że fajnie by było pogadać, wymienić wrażenia...

– Jasne. Akurat. Wymienić wrażenia ze starym PARSIFALEM, co? – Mrużąc oczy, złapał na wpół opróżnioną butelkę lagavulina i nalał do dwóch szklanek, sobie do pełna. – Lód? Woda? Jedno i drugie? Nic?

– Trochę lodu, jeśli można. Przywoziłem ci lagavulina na Nebraska Avenue. Skąd wytrzasnąłeś w Moskwie taką whisky?

Philby rozpiął poplamioną alkoholem marynarkę i ostrożnie zagłębił się w zniszczonym fotelu, w którym zaskrzypiały zardzewiałe sprężyny.

– Mogę tu dostać, co tylko zechcę – odburknął. – Dziecinnie proste. Sporządzam listę zakupów: chutney od H-h-harrodsa, szyta na miarę marynarka z Savile Row, bieleńca z Morza Kaspijskiego, oliwki z Włoch, *Tinker, Tailor, Soldier, Spy* z księgarni Hayward Hill, londyński „Times”, co prawda sprzed tygodnia, ale cóż, nie można mieć wszystkiego. Ja składam zamówienie, a moi „opiekunowie” troszczą się o dostawę.

– Przeszkadza ci, że cię pilnują? – zapytał Jewgienij, sadowiąc się na wytartej, zdezelowanej kanapie o przesadnie krzykliwym, kwiecistym wzorze.

Na ochroniarzy Philby'ego natknął się, gdy tylko przekroczył próg zaniedbanej kamienicy na Patriarszych Prudach: jeden już w bramie zażądał od niego dokumentów i odhaczył nazwisko w notesie; drugi, dyżurujący przy stoliku na trzecim piętrze, zaszczyił go aroganckim skinieniem głowy; trzeci wylegitymował pod drzwiami obskurnego, trzypokojowego mieszkania.

Philby zachichotał.

– Prawo natury, stary. Ci p-p-pieprzeni ochroniarze zawsze przeszkadzają. Ale jak przestaniesz na nich zwracać uwagę, już jesteś jedną nogą w grobie, mam rację? Mówią, że potrzebuję ochrony dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo inaczej sprzątnie mnie MI6. Tak naprawdę to boją się, że Jimbo Angleton przekabaci mnie na potrójnego agenta. Chryste, to by dopiero był ubaw... Bez fałszywej skromności myślę, że całkiem nieźle sobie radziłem jako podwójny agent. Ale kombinować na trzy strony? Nie spałbym po nocach, tylko się zastanawiał, dla kogo właściwie pracuję... – Zarechotał rubasznie z własnego dowcipu.

Jewgienij powoli sączył whisky.

– Jak to jest – zapytał, przyglądając się Philby’emu znad szklanki – znaleźć się znowu w domu, po tylu latach?

– Pamiętasz, co ci mówiłem w Gettysburgu? Namawiałeś mnie do ucieczki... A moim domem, bracie, zawsze była Anglia. To żadna tajemnica – odparł Philby, zdegustowany. – W stosunku do Rosji jestem tylko lojalny. Uznałem to za swój obowiązek, kiedy pojąłem, że świat musi się zmienić. Wtedy, w Cambridge... nawet w najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczałem, że spędzę tu resztę życia. O ile to można nazwać życiem. – Rozejrzał się po zagraconym wnętrzu. – Muszę jednak przyznać, że to i tak są salony w porównaniu z kłitką, jaką zapewne musiałbym się zadowolić w Anglii – zakończył z sarkazmem.

Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzała kobieta, którą Jewgienij znał dawniej jako panią Maclean (Philby, prysnąwszy do Rosji przed deptającymi mu po piętach agentami, odbił żonę przyjacielowi i wziął z nią ślub w Moskwie).

– Kim, czy twój przyjaciel zostanie na herbacie? – zapytała. – Będzie nam bardzo miło. – Uśmiechnęła się do Jewgienija.

Jej radosny głos dziwnie nie pasował do tego ponurego mieszkania, a cała scena była jak żywcem przeniesiona z wiejskiego dworu w Midlands w środkowej Anglii.

– Zostań, s-s-stary – poparł ją Philby.

– Niestety, nie mogę. Może innym razem... – odparł Jewgienij.

– „Herbatka dla trojga, dla trojga herbatka...” – zanucił Philby, odprawiając żonę gestem ręki. – Trudno, nie to nie. Dżentelmeni nie nalegają. – Utkwił przekrwione spojrzenie w oczach gościa. – Nie ufają mi, stary, co?

– Nic o tym nie wiem. Kto tak powiedział?

– Powiedział, powiedział... B-b-brecht napisał kiedyś, że dobry komunista ma mnóstwo wgnieceń na swoim hełmie i część z nich to robota wroga. – Philby otarł usta wierzchem dłoni. – Dziadek siedzi okrakiem na płocie i nie wie, na którą stronę ma zeskoczyć. Kiedy tu przyjechałem, przypięliście mi do m-m-marynarki Order Lenina. Wtedy jeszcze uważałem, że jest równie cenny jak medale Jej Królewskiej Mości, ale teraz zaczynam w to wątpić. Oberführer KGB, towarzysz Andropow, trzyma mnie na bezpieczną odległość. Nigdy nie miał na tyle p-p-przyzwoitości, żeby przyznać mi stopień oficerski. Dla niego nadal jestem podrzędnym agentem. Wysługuje się mną bez skrupułów. Wszystkie piątkowe wieczory muszę spędzać poza domem, w towarzystwie ludzi, którzy tak starannie kryją się w półmroku, że nigdy nie widziałem ich twarzy. Uczę ich, jak wygląda życie w Anglii i w Stanach; mówię im, jak się daje napiwki i że zawsze trzeba wiedzieć, kiedy wstać i wyjść, bo lepiej wypić strzemiennego niż zalać się w trupa; radzę im, żeby potoczny amerykański szlifowali, rozmawiając o pieniądzach, a brytyjski – o ostatniej wojnie. – Philby przymknął na chwilę powieki. – Opowiadam, jakimi metodami działa szef kontrwywiadu CIA. Wiesz przecież, że jestem ekspertem od Jimbo

Angletona. To nasz najlepszy człowiek w Ameryce. Przez mnie podejrzewa teraz wszystkich bez wyjątku, więc nikt nie traktuje go poważnie.

Philby pociągnął spory łyk lagavulina, odchylił głowę w tył i przełknął z lubością.

– Zdradzę ci pewien sekret, chłopie, jak mi przyrzekniesz, że nie będziesz o tym gadał na prawo i lewo. Kiedy tu przyjechałem, Jimbo przysłał mi coś w prezencie... Gnojek dorwał się do książki, którą zamówiłem z Londynu, i na karcie tytułowej wpisał odręczną dedykację. Pod spodem nabazgrał wielkie „J”.

– Co tam było?

– *Amicitia nostra dissoluta est*. To po łacinie... „Przyjaźń nasza jest skończona”. Tak napisał Neron do Seneki, kiedy chciał, żeby ten stary piernik zrobił mu uprzejmość i popełnił samobójstwo. – Philby zachichotał jak pensjonarka. – Trochę nie z tej epoki, prawda? Czyżby Jim sądził, że podetnę sobie żyły, dlatego że on sam drogo zapłacił za naszą przyjaźń?

Pogrążył się w ponurym milczeniu.

Jewgienij odezwał się po chwili:

– Czy myślisz czasem o powrocie?

– Nawet gdyby, to nie powiedziałbym ci tego, prawda, chłopie? Nie jestem aż tak szalony. – Przełknął kolejny łyk whisky. – Szczerze mówiąc, nawet gdybym mógł, nie dałbym skurwielom tej satysfakcji.

Rozmawiali tak jeszcze przez następne pół godziny. Philby na bieżąco śledził z uwagą proces Nixona. Szczególnie zaintrygowała go obecność dawnego specy z CIA, E. Howarda Hunta, wśród „hydraulików” z Białego Domu, którzy dokonali włamania do „Watergate”; zastanawiał się na głos, czy przypadkiem CIA nie wie o całej aferze więcej, niż się do tego

przyznaje. Owszem, Breżniew to f-f-farciarz i łajdak, zgadza się; nie przynosi chluby komunizmowi fakt, że taki drań wspiął się na szczyty władzy... Tak, w angielskich gazetach Philby czytuje czasem o dysydentach; w swojej ulubionej londyńskiej księgarni, Hayward Hill, zamówił ostatnio egzemplarz książki *Archipelag Gułag* Sołżenicyna, spodziewa się jej lada dzień. Jeden ze sługusów Andropowa wystosował list potępiający opozycyjnych pisarzy i chciał, żeby on też się pod tym podpisał, ale Philby odesłał g-g-gnojka z kwitkiem; powiedział, żeby zajęli się łapaniem prawdziwych kryminalistów, zamiast prześladować Bogu ducha winnych dysydentów.

Odprowadzając gościa do drzwi długim, ciemnym korytarzem, Philby, ze szklanką whisky w pulchnej dłoni, zataczał się od ściany do ściany i mamrotał pod nosem.

– Trochę schizofreniczni ci Rosjanie, nie uważasz? Mam taką własną teorię... Rzecz w tym, że Rosjanin Piotr Wielki próbował przerobić ich na Niemców, a Niemka Katarzyna Wielka próbowała zrobić z nich Rosjan. – W drzwiach, na których pod numerem mieszkania widniało rosyjskie nazwisko SYNOK TOM, Philby chwycił Jewgienija za klapy marynarki. – Słyszałeś wiadomości? Angole chcą nakręcić o mnie film. Na razie cicho sza. Mówią, że zagra mnie M-m-michael York. Kiepski wybór moim zdaniem. Ciekawe, jak on z tego, u d-d-diabła, wybrnie. M-m-michael York nie jest przecież dżentelmenem, prawda, stary?

Jewgienij, który skrupulatnie raz na trzy, cztery tygodnie obsługiwał skrzynki kontaktowe SASZY, nigdy nawet nie pomyślał o wyjeździe na urlop do kraju. Pewnej nocy, mniej więcej na miesiąc przed spotkaniem z Philbym, kiedy – jak zwykle o jedenastej wieczorem – rozciągnął antenę na haczykach od obrazów zdobiących ściany ciasnej klitki przy Tysons

Corner i dostroił częstotliwość radia General Electric do nadawanego po angielsku na falach krótkich quizu Radia Moskwa, rozpoznał w cytacie „Nie chciałabym być częścią cudzego snu” swój osobisty kod. Odjawszy numer seryjny swojej „szczęśliwej” dziesięciodolarówki od wygrywającego numeru loterii, otrzymał w wyniku numer telefonu w Waszyngtonie. Punktualnie o północy zadzwonił tam z budki w pobliskim centrum handlowym. Odebrała ta sama co zawsze pani, mówiąca po angielsku z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem.

– Gene?

– Tak, to ja.

– Nareszcie, drogi chłopcze... – Odetchnęła z ulgą. – Jak dobrze znowu usłyszeć twój głos... Cieszę się, że jesteś cały i zdrow.

Dla własnego bezpieczeństwa Jewgienij nie lubił zbyt długo rozmawiać przez telefon. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś akurat nie podsłuchuje albo nie próbuje go namierzyć. Ale kobieta wyraźnie miała ochotę pogadać. A on lubił jej głos.

– Czy wiesz, Gene, że to nasza siedemnasta rozmowa w ciągu dwudziestu trzech lat?

– Szczerze mówiąc, nie liczyłem – roześmiał się Jewgienij.

– A ja tak – powiedziała z uczuciem kobieta. – Jesteś dla mnie wszystkim, Gene. Tylko ze względu na ciebie siedzę w tej zapadłej Ameryce. Czasem myślę nawet, że tylko ze względu na ciebie jeszcze żyję. Siedemnaście rozmów w ciągu dwudziestu trzech lat! Za każdym razem muszę zmieniać adres i numer telefonu. Wprowadzam się i czekam. Czekam, aż do mnie zadzwonisz, czekam na instrukcje, które mam ci przekazać...

– Jesteś istotnym ogniwem... – zaczął Jewgienij, ale przerwała mu zniecierpliwiona.

– Przez te wszystkie lata tak się do ciebie przywiązałam, Gene, że wydaje mi się, iż dobrze się znamy. Zaczęłam o tobie myśleć jak o synu, którego zabili w Polsce faszyci. To dawne czasy, ale...

– Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro...

Zrozumiała chyba, że niepotrzebnie przeciąga rozmowę.

– Przepraszam, Gene. Chodzi o to, że nie mam nikogo na tym świecie. Nie czuję się samotna tylko wtedy, kiedy rozmawiam z tobą.

Odchrząknęła z zakłopotaniem.

– Przykro mi, że muszę ci przekazać złe wieści. Dziesięć dni temu twojemu ojcu zoperowano oba kolana. Gdyby nie poddał się operacji, przez resztę życia byłby przykuty do wózka. Spędził siedem godzin na sali operacyjnej. Serce nie wytrzymało... Dwa dni później dostał wylewu. Prawą stronę ciała ma całkowicie sparaliżowaną. Słyszy, ale nie może mówić. Twój mentor, Dziadek, rozmawiał z nim w szpitalu w cztery oczy i powiedział mu wreszcie, czym się zajmujesz. Gdy twój ojciec to usłyszał, podobno otworzył oczy i z aprobatą kiwnął głową. Był szczęśliwy, wiedząc, że syn podążył w jego ślady, i bardzo z ciebie dumny... Chcę, żebyś wiedział, że ja też.

Uwięziony w ciasnej, dusznej budce telefonicznej, Jewgienij próbował zanalizować swoje uczucia i był zaskoczony kompletnym brakiem emocji. Uważał, że mimo wszystko powinien coś czuć. Nigdy nie kochał ojca, nie był nawet pewien, czy go lubił. Głębsza więź łączyła go z tą nieznaną kobietą. Teraz, gdy poznał na własnej skórze, co to znaczy ukrywać się przez całe życie, zrozumiał, że ojciec – który najpierw pracował jako tajny agent KGB w Sekretariacie ONZ, a potem dla Dziadka – musiał mieć

nerwy jak postronki i sporo odwagi. Przypomni ł sobie odr czn  dedykacj  na „szcze liwej” dziesi ciodolar wce: „Dla Eugene’a od taty na  sme urodziny”. Od Aleksandra Timofiejewicza Cypina nigdy nie dostał nic pr cz sł w krytyki: je li w szkole co  poszł  mu źle, słyshał,  e powinien przynosić same pi tki; je li poszł  mu dobrze, słyshał,  e powinno być jeszcze lepiej. Koniec rozmowy.

– Gene, jeste  tam?

– Tak.

– Prosz , wybacz,  e w takiej chwili b d  m wiła o obowi zkach.

– Źycie toczy si  dalej.

– Prawda? – przy wiadczyła skwapliwie swoim dr żącym głosem. – Nie wolno nam ogl dać si  wstecz. Trzeba patrzeć w przyszł c i iść naprz d. Ty i ja jeste my słuɡami historii.

– Nigdy nie uwa ałem inaczej.

– Wzi wszy pod uwag  stan zdrowia twego ojca oraz pewne, niezale ne od nas, okoliczno ci, postanowiono,  e powiniene  wracać do kraju. Słyshysz mnie, Gene? Ju  dawno nale ały ci si  wakacje...

Jewgienij omal nie parskn ł śmiechem do słu hawki. Wzmianka o wakacjach skojarzyła mu si  z nudn  prac  na etacie, od  smej do czwartej.

– Sam nie wiem... Nie byłem tam od dwudziestu trzech lat...

– Drogi chłopcze, nie mo na si  bać powrotu do wlasnego domu.

– Masz racj . Zreszt  i tak zawsze jestem posłuszny Dziadkowi. Co mam zrobić?

Wszystko poszł  jak z płatka: Jewgienij spakował podniszczon  walizk , przysiadł na niej na chwil , splun ł przez rami  na szcz cie i pojechał na lotnisko,  eby złapać lot czarterowy do Pary a, gdzie – legitymuj c si 

kanadyjskim paszportem z nową tożsamością – wszedł do wiedeńskiego pociągu. Potem, na pokładzie węgierskiego parowca, popłynął Dunajem do Budapesztu. W peszteńskiej herbaciarni niedaleko portu przechwyciła go węgierska tajna policja Allamvédelmi Hatóság. Został przewieziony do miejscowej rezydentury KGB, gdzie wręczono mu paszport australijski i odstawiono Aerofłotem do Moskwy. Gdy Jewgienij wyszedł z hali przylotów na lotnisku Szeremietiewo, przy krawężniku czekał na niego czarny żół i dwóch cywilów. Jeden z nich podszedł, przywitał się, wziął walizkę i powiedział:

– Generał pułkownik was oczekuje.

Czterdzieści pięć minut później limuzyna skręciła w wąską uliczkę ze znakiem „Centrum szkoleniowe – Wstęp wzbroniony”. Uzbrojeni strażnicy w małej wartowni z czerwonej cegły przepuścili samochód i otworzyli bramę. Przy końcu żwirowego podjazdu wyłoniła się willa Apatowów, gdzie Jewgienij po raz pierwszy rozmawiał z Dziadkiem, na początku lat pięćdziesiątych. Trzy dziewczynki w za dużych kostiumach kąpielowych chlapały się w plastikowym baseniku. Ich radosne piski niesły się echem po wypielegnowanych trawnikach. W chwilę później Paweł Siemionowicz Żyłow we własnej osobie otworzył na oścież drzwi swojego apartamentu na drugim piętrze i wyciągnąwszy ramiona, niezręcznie przycisnął Jewgienija do piersi.

– Witaj z powrotem, Jewgieniju Aleksandrowiczu – wymamrotał. – Witaj w domu.

– W domu... – powtórzył za nim Jewgienij. – Mam wrażenie, że to wszystko sen.

Dziadek bardzo posunął się w latach i zmizerniał. Brunatne plamy pokryły jego twarz, zwiotczała szyję i szorstkie, chłopskie ręce. Szpakowata niegdyś bródka posiwiiała zupełnie i wyraźnie się przerzedziła.

Tylko oczy pozostały te same, pałające wewnętrznym żarem, i jak dawniej, kiedy dumał nad czymś w skupieniu, źrenice zwęzały mu się jak u kota i zdawało się, że wzrokiem mógłby zapalić świecę.

– Wiernie służyłeś sprawie i mnie – mówił Dziadek, prowadząc Jewgienija przez amfiladę pokoi do obszernej, wykładanej boazerią biblioteki, wypełnionej setkami grubych, oprawnych w skórę tomów, wśród których połyskiwały inkrustowane złotem i srebrem ikony.

Dwie dziewczynki w krótkich kretonowych sukienkach kucały na lśniącym parkiecie, grając w bierki.

– Mówię ci, że się poruszyła – poskarżyła się płaczliwie jedna z nich; zmarszczyła brwi i spojrzała w górę, na Dziadka. – Wujku, powiedz Aksini, żeby nie oszukiwała.

– Zmykajcie obydwie, już was tu nie ma – przegonił je Dziadek ze śmiechem i klepnął po pupie przebiegającą obok niego Aksinię.

– Nareszcie trochę spokoju – westchnął.

Wskazał mu krzesło przy wielkim drewnianym stole, napłynął dwie szklanki wodą mineralną „Narzan”, dorzucił do każdej po plasterku cytryny i pchnął jedną w stronę gościa.

– Twoje zdrowie – powiedział, wznosząc toast. – Niewielu jest takich jak ty w służbie naszej krucjaty. Niewielu tak niezłomnych i tak bezinteresownych, tak gorliwych w krzewieniu geniuszu i szczodrości ludzkiego ducha, niewielu tak oddanych naszej wspólnej sprawie, wiernych obrońców idei wyzwolenia ludzkości z jarzma kapitalistycznego wyzysku i alienacji, dążących do stworzenia prawdziwie egalitarnego społeczeństwa.

– Niewielu ma możliwość służyć – odparł skromnie Jewgienij.

Dziadek zwilżył usta wodą.

– Z pewnością jesteś wyczerpany, zmęczony podróżą...

– Właśnie zaczynam nabierać nowych sił – uśmiechnął się Jewgienij.

– Na Wzgórzach Leninowskich czeka na ciebie wygodne mieszkanie. Kiedy się już urządzisz, omówimy sprawy operacyjne. Na razie chciałbym cię spytać...

Widząc, że Dziadek się waha, Jewgienij powiedział:

– Pytaj, o co tylko zechcesz.

Dziadek pochylił się do przodu i utkwiał wzrok w oczy Jewgienija.

– Jak tam jest? – zapytał podniosłym tonem.

– G d z ie jak jest?

– W Ameryce. Jaka tak naprawdę jest Ameryka? Byłem w Niemieckiej Republice Demokratycznej, na Kubie i raz w Kanadzie, ale nigdy nie byłem w Ameryce. Moja wiedza o tym kraju jest selektywna, przefiltrowana. Więc proszę teraz ciebie, Jewgieniju Aleksandrowiczu, opisz mi Amerykę.

Podobna prośba w ustach człowieka, który miał dostęp do wszystkich tajnych dokumentów wywiadowczych i który codziennie czytał rozprowadzane w obrębie KGB rosyjskie tłumaczenie „New York Timesa”, wydała się Jewgienijowi co najmniej dziwna.

– Amerykanie to wspaniały naród – zaczął Jewgienij – schwytny w straszliwą pułapkę bezdusznego ustroju, który kultywuje w nich wszystko co najgorsze, tak jak nasz ustrój kultywuje w nas wszystko co najlepsze. Kapitalizm gloryfikuje zdobywanie i akumulację dóbr materialnych, więc ludzie osądzają siebie i innych na podstawie tego, ile posiadają, i wiedzą, że sami również będą oceniani wedle tych samych kryteriów. Stąd bierze się ich skłonność do obnoszenia się ze swoim bogactwem i obsesyjna pogoń wszystkich klas społecznych za wszelkiego rodzaju „trofeami”: dużymi lśniącymi samochodami, pierścionkami z brylantem, modnymi ubraniami, kanapą u psychoanalityka.

– A jak byś opisał podejście Amerykanów do życia?

– Śmieją się, i to głośno, z byle powodu. A ja myślę, że się po prostu boją.

– Czego?

– Boją się utraty dobrobytu. Boją się, że ktoś ich wyprzedzi, że ich kraj nie będzie największy i najlepszy. W ciągu ostatnich lat nic nie wstrząsnęło psychiką Amerykanów bardziej niż fakt, że nasz Jurij Gagarin znalazł się na orbicie przed Johnem Glennem.

– Jakie są ich najważniejsze cechy?

– Amerykanie są bystrzy, otwarci, obdarzeni bogatą wyobraźnią i w pewnym sensie niewinni, a raczej naiwni. Ich otwartość ułatwia pracę szpiegom, gdyż przeciętny Amerykanin przyjmuje wszystko i wszystkich za dobrą monetę. Ich niewinność prowadzi do swego rodzaju ślepoty intelektualnej; wychowywani w wierze, że system, w którym żyją, jest najlepszy na świecie, nie są w stanie dostrzec, że jest inaczej: nie widzą dwudziestu pięciu milionów własnych rodaków, którzy co noc kładą się spać głodni, nie widzą Murzynów żyjących w gettach, nie widzą wyzysku klasy robotniczej, nie widzą, że właściciele środków produkcji pomnażają swe bogactwa kosztem mas pracujących.

Z ogrodu dobiegły ich przytłumione piski pluskających się w basenie dziewczynek. Dziadek wyjrzał przez okno.

– Ciekawe... Twoi Amerykanie przypominają mi bohaterkę książki, którą czytuję na głos moim siostrzenicom – zauważył. – Ona również jest bystrą, otwartą, obdarzona bujną wyobraźnią i niewinna.

Jewgienij stanął obok swego mentora.

– Dlaczego pytasz mnie o Amerykę?

– Kiedy się jest zaangażowanym w konflikt, tak jak my, ma się tendencję do demonizowania wroga.

– Amerykanie z pewnością demonizują Związek Radziecki – przyznał Jewgienij.

– To wielki błąd sprowadzać wroga do roli demona – powiedział Dziadek. – Trudno wówczas o trzeźwy osąd, a jeszcze trudniej o racjonalne działanie, gdy trzeba przechytrzyć przeciwnika.

Oblicze Moskwy bardzo się zmieniło w ciągu tych wszystkich lat, które Jewgienij spędził za granicą. Z niewielkiego balkonu mieszkania na Wzgórzach Leninowskich roztaczał się wspaniały widok na rozległą panoramę miasta, a z dołu dobiegał nieustanny szum samochodów, mknących wartkim strumieniem po szerokich arteriach. Pejzaż stolicy, słynny niegdyś z wyniosłych gotyków Stalina, został zeszpecony nowoczesnymi wieżowcami, które przytłaczały swym ogromem cebulaste kopuły opuszczonych cerkwi. W drodze powrotnej z willi Apatowówził Jewgienija utknął w długim rzędzie pojazdów na Gorkiego, niedaleko placu Puszkina; kierowcy, nie przejmując się zupełnie gwizdkami milicjantek, które usiłowały zaprowadzić porządek na jezdni, trąbili w najlepsze, jakby ta kakofonia klaksonów mogła rozładować korek.

– W zasadzie Rosjanie to zdyscyplinowany naród – mówił szofer Jewgienija, Litwin o sennych oczach, etatowy pracownik KGB. – Ich bunt wyraża się jedzeniem lodów w środku zimy i na tym też się kończy. Ale kiedy usiądą za kierownicą, zmieniają się nie do poznania. Jeszcze nie przywykli. Swoboda uderzyła im do głowy...

Nazajutrz Jewgienij odwiedził ojca. Nie było tak źle, jak oczekiwał, ale nie miało to większego znaczenia, gdyż spodziewał się najgorszego. W szpitalu zastał swego młodszego brata, Grinkę, i jego drugą żonę.

Grinka, obecnie partyjny aparatczyk i wysoki urzędnik państwowy, powitał go protekcyjnie, z miną godną i nadętą, jak na dygnitarza przystało. Poinstruowany przez pułkownika KGB, nie wspomniał nawet słowem o dwudziestotrzyletniej nieobecności Jewgienija. Dwaj bracia uścisnęli sobie dłonie, jakby nie dalej niż tydzień temu jedli razem kolację.

– Świetnie się trzymasz – stwierdził Grinka. – Poznaj moją żonę, Kapitolinę Pietrownę.

– Macie dzieci? – zapytał Jewgienij, kiedy szli śmierzącym gotowaną kapustą korytarzem w kierunku sali ojca.

– Dwójkę, z pierwszego małżeństwa. Dziewczynki, dzięki Bogu. Starszej dałem na imię Agrypina, po naszej matce... – Zamilkł nagle i ścisnął Jewgienija za łokieć. – Wiesz, że ojciec jest umierający?

Jewgienij skinął głową.

– Nie pytam, gdzie byłeś przez te wszystkie lata, zresztą wiem, że nie możesz o tym mówić. Ale musisz zrozumieć, że cały ciężar opieki: wożenie go tam i z powrotem na daczę, załatwianie renty... wszystko spadło na mnie.

Ściszył głos do szeptu.

– Chodzi o to, że... Widzisz, mieszkanie na Wzgórzach Leninowskich należy do państwa, przyznali je ojcu za zasługi, jakie położył dla kraju, ale dacza w Pieriedielkinie jest jego własnością. Nie da się jej sensownie podzielić między dwie rodziny, więc...

– Jeżeli o to się martwisz – mruknął Jewgienij – to przestań się zadręczać. Nie chcę daczy. I tak nie mógłbym z niej korzystać. Nie zabawię tutaj długo.

– Ach, Jewgieniju... Mówiłem Kapitolinie, że z ciebie swój chłop...

Pielęgniarz, Azer w brudnym białym kitlu do kolan i kolorowej mycce na głowie, dwukrotnie zapukał do drzwi, po czym otworzył je szeroko i odsunął się na bok, żeby przepuścić przodem obu braci.

– Ojczy, zobacz, kto do ciebie przyszedł! – zawołał Grinka.

Prawe oko Aleksandra Timofiejewicza otworzyło się. Spróbował wypowiedzieć słowa, które więzły gdzieś w gardle.

– Jew... Jew...

Z kącika ust pociekła mu ślina. Azer przyniósł z szafki drugą poduszkę i ułożył chorego wygodniej, żeby podtrzymać opadającą bezwładnie głowę. Nareszcie Cypin mógł popatrzeć na swego starszego syna.

– Proszę usiąść na tym krześle – polecił pielęgniarz Jewgienijowi. – Będzie pana lepiej widział.

Ściągnięta, poszarzała skóra nadawała twarzy starca wygląd maski pośmiertnej. Wargi na wpół otwartych ust drżały. Jewgienij sięgnął po dłoń ojca i przytrzymawszy ją w swojej, pogłodził delikatnie.

– Zdaje się, że Paweł Siemionowicz nagadał ci różnych historii na mój temat...

Kościste palce Aleksandra Timofiejewicza zacisnęły się na ręce syna z zadziwiającą siłą. Jedyne uczucie, na jakie Jewgienij mógł się w tej chwili zdobyć, była litość dla zniedołęźniałego, sędziwego człowieka, przykutego do szpitalnego łóżka w zamkniętej klinice KGB przy ulicy Piechotnej. Zastanawiał się, czy ojciec tak kurczowo uchwycił się jego, czy życia.

– Du... dum... dumny – zdołał wykrztusić Aleksander Timofiejewicz. – Sa... sam... samotny.

– Tak, takie życie skazuje na samotność. – Uśmiechnął się, spojrzawszy w zdrowe oko ojca. – Ale daje wiele satysfakcji, jak zapewne wiesz

z własnego doświadczenia.

Jeden kącik ust opadł, jakby Cypin chciał się uśmiechnąć, zmusić sparaliżowane mięśnie, by poddały się jego woli.

– Gdzie? – zdołał wydusić. – Kie... kiedy?

Jewgienij zrozumiał pytanie.

– To samo miejsce co wtedy. Niedługo.

Utkwione weń oko zamrugnęło i uroniło parę łez. Pielęgniarz delikatnie dotknął ramienia Jewgienija.

– Nie wolno go przemęczać – szepnęła.

Jewgienij po raz ostatni uścisnął bezwładną teraz dłoń. Otwarta powieka opadła ciężko, przesłaniając zmętniałą źrenicę. W ciszy izolatki słyszeć było tylko chrapliwy, świszczący oddech schorowanego człowieka.

Dni mijały szybko. Dziadek zawładnął rankami Jewgienija. Wałkowali w kółko najdrobniejsze szczegóły jego spotkań z SASZĄ i analizowali rygorystyczne środki ostrożności, stanowiące zaporę ogniową pomiędzy waszyngtońską rezydenturą a Polką, która pełniła rolę „bezpiecznika”, izolując Jewgienija od SASZY tak skutecznie, iż widywali się tylko w wyjątkowych okolicznościach. Pewnego popołudnia zjawił się w willi Apatowów zaufany technik, który zapoznał Jewgienija ze szpiegowskimi gadżetami najnowszej generacji: projektorem mikrofotografii, ukrytym w skrzynkowym aparacie Kodaka; wmontowanym w elektryczną golarkę nadajnikiem, który mógł przesyłać i odbierać zakodowane na perforowanej taśmie sygnały, symulujące zwykłe zakłócenia fal radiowych; strzelającym ołówkiem, wyposażonym w kulę kalibru 6,35 milimetra, uwalnianą przez naciśnięcie gumki.

Wieczorami Jewgienij spacerował po ulicach Moskwy. Wmieszany w tłum ludzi spieszących po pracy do domu, wpatrywał się w twarze, jakby

szukał w nich potwierdzenia, że obrał słuszną drogę i że komunizm faktycznie zmierza ku świetlanej przyszłości. Potem szedł na kolację do chińskiej restauracji w hotelu „Pekin” albo do jakiejś knajpki na Arbacie. Pewnego razu, tuż po wizycie u ojca w klinice, został zaproszony przez Dziadka do prywatnej salki na ostatnim piętrze hotelu „Ukraina” na przyjęcie z udziałem najwyższych rangą pracowników KGB. Kiedy wskazano mu miejsce za stołem, suto zastawionym półmiskami czarnego kawioru z bielugi i butelkami francuskiego szampana, Jewgienij spostrzegł, iż obok niego zasiada nie kto inny, tylko sam naczelnik KGB, Jurij Władimirowicz Andropow, który jako ambasador Związku Radzieckiego w Budapeszcie był pomysłodawcą i mózgiem interwencji na Węgrzech w 1956 roku i aresztowania Imre Nagya. Rozmowa toczyła się na dość błahe tematy – Andropow zdawał się bardziej zainteresowany plotkami o amerykańskich gwiazdach filmowych niż aferą Watergate i możliwością oskarżenia Nixona. Dopytywał się natrętnie, czy John Kennedy rzeczywiście sypiał z Marilyn Monroe, czy to prawda, że słynny kobieciarz Errol Flynn mieszkał w Cannes na jachcie z jakąś szesnastolatką, i czy ślub... – tu wymienił legendarną hollywoodzką parę – to blef spreparowany przez studia filmowe w celu zatuszowania faktu, iż szczęśliwi nowożeńcy mają skłonności homoseksualne?

Uprzątnięto wszystkie dania i na stół wjechała czterogwiazdkowa brandy „Napoleon”. Kelnerzy zniknęli. Podwójne drzwi zamknięto od wewnątrz. Andropow, wysoki, poważny mężczyzna, o którym mówiło się, że pisze nostalgiczne wiersze o miłości i żalu za utraconą młodością, wstał i zadzwonił nożem o kieliszek.

– *Towariszci* – zaczął. – Przypadł mi w udziale zaszczyt, a nawet honor, uczczenia dzisiejszego wieczoru, w tym z konieczności niewielkim gronie, błyskotliwej kariery jednego z naszych znakomitych agentów. Ze względów

bezpieczeństwa zmuszony jestem wyrażać się nieco enigmatycznie. Dość powiedzieć, iż siedzący po mojej prawicy towarzysz, Jewgienij Aleksandrowicz Cypin, położywszy wielkie zasługi dla naszej wspólnej sprawy, świeci jak najjaśniejsza gwiazda na firmamencie szpiegostwa niby drugi Richard Sorge, który, jak nam wszystkim wiadomo, odegrał kluczową rolę na scenie japońskiej podczas wielkiej wojny ojczyźnianej. Z tym że dziś stawka jest znacznie wyższa. Mogę wam tylko zdradzić, że gdy nadejdzie czas Jewgienija Aleksandrowicza, jego portret zajmie poczesne miejsce obok bohaterów radzieckiego wywiadu w Izbie Pamięci Pierwszego Zarządu Głównego!

Andropow sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małe, płaskie pudełko. Nacisnął delikatnie i wieczko odskoczyło z cichym trzaskiem. Na błękitnym aksamicie, w połyskliwych zwojach barwnej wstęgi, błysnął medal. Jewgienij wstał.

– Przyjmijcie ode mnie ten oto Order Czerwonego Sztandaru – oznajmił uroczyście Andropow i przełożywszy wstęgę przez głowę Jewgienija, z pietyzmem ułożył odznaczenie na jego piersi. Następnie pochylił się i ucałował go w oba policzki.

Osiem zebranych w pokoju osób poczęło brzękać nożami o kieliszki. Jewgienij, zakłopotany, zerknął przez stół na Dziadka.

Pasza Siemionowicz, kiwając z zadowoleniem głową, wraz z innymi z zapalem dzwonił w szkło. I nagle Jewgienij zrozumiał, iż aprobata tego człowieka znaczy dlań o wiele więcej niż pochwały ojca. Pojął, że Dziadek – który z początku był tylko mentorem i nauczycielem, drugim Tolstojem – stał mu się teraz ojcem, takim, jakiego zawsze chciał mieć: apodyktycznym idealistą, zawsze potrafiącym wskazać właściwą drogę. O ileż łatwiej jest iść wyznaczonym szlakiem niż podjąć trud wyboru!

Nazajutrz zatelefonował Grinka i przekazał złe wieści: nad ranem ojciec zapadł w śpiączkę; zmarł, gdy nad Moskwą wschodziło słońce. Kremacja miała się odbyć jeszcze tego samego dnia. Grinka zaproponował bratu, żeby pojechali do Pieriediełkina i rozrzucili prochy w otaczającym dom brzozowym lesie. Ku jego wielkiemu zdumieniu Jewgienij odmówił.

– Jestem zbyt zajęty życiem i nie mam czasu na zajmowanie się zmarłymi.

– Ale spotkamy się jeszcze? – dopytywał się Grinka, a nie usłyszawszy odpowiedzi, dodał: – Nie zapomniałeś chyba o naszej umowie? Trzeba podpisać dokumenty.

– Zostawię pełnomocnictwo. Dacza jest twoja – odparł i odłożył słuchawkę.

Przed wyjazdem Jewgienij chciał załatwić jeszcze jedną ważną sprawę. W tym celu musiał zaopatrzyć się w moskiewską książkę telefoniczną, która nie była dobrem ogólnodostępnym. Pewnego popołudnia, kiedy wałęsał się po wąskich uliczkach na tyłach Kremla, zajrzał na Poczta Główną przy ulicy Gorkiego i podszedł do pierwszego z brzegu okienka. Machnąwszy urzędnicze przed oczami legitymacją oficera GRU, poprosił o spis abonentów, trzymany w sejfie pod kluczem niby najpilniej strzeżona tajemnica państwowa.

– O jaką literę wam chodzi? – odburknęła nieuprzejmie kobieta.

– Szukam nazwiska na „L” – odparł niezrażony Jewgienij.

W chwilę później siedział na zapleczu i wertował opasłe tomiszczce. Przesuwając palcem wzdłuż kolumny z różnymi Lebowitzami, natknął się na inicjały „A.I.”. Zapisał dane na skrawku papieru. W budce telefonicznej na pobliskiej ulicy wrzucił kopiejkę do automatu i wykręcił numer. Po dwóch sygnałach w słuchawce rozległ się melodyjny głos.

– To ty, Marina? Mam dla ciebie tę dokumentację... – Moment pełnej wahania ciszy i niepewne pytanie: – Kto mówi?

– Azalia Izanowna?

– Przy telefonie.

Jewgienij spostrzegł nagle, że nie wie, co powiedzieć.

– Jestem duchem przeszłości – wykrztusił w końcu. – Nasze ścieżki skrzyżowały się w poprzednim wcieleniu...

Po drugiej stronie słuchawki Azalia poczuła, że nie może złapać tchu.

– Rozpoznaję tę nutkę niepewności w głosie...

Odetchnęła głęboko.

– Czy powstałeś z martwych, Jewgieniju Aleksandrowiczu?

– W pewnym sensie. Czy moglibyśmy... Czy zechcesz ze mną porozmawiać?

– A o czym tu gadać? Po co odgrzebywać stare dzieje, zastanawiać się, co by było, gdyby...? Sądzisz, że można cofnąć czas, jakby nic się nie stało?

– Nie miałem wyboru...

– Zgoda na brak wyboru też jest jakimś wyborem.

– Masz rację... Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– U m n i e tak. A co z tobą?

– Wyszłaś za mąż?

Milczała przez chwilę.

– Byłam zameżna – odezwała się wreszcie. – Mam dziecko, śliczną córeczkę. Latem skończy szesnaście lat. Niestety, moje małżeństwo nie miało przyszłości. Mąż nie chciał, żebym się angażowała w pewne sprawy. Różnica poglądów... Krótko mówiąc, jestem rozwódką. A ty? Ożeniłeś się? Masz dzieci?

– Nie. – Roześmiał się, zażenowany. – To też był jakiś wybór... Co porabiasz? Gdzie pracujesz?

– Nic się nie zmieniło, odkąd... Pracuję w archiwum Instytutu Historycznego w Moskwie. W wolnych chwilach tłumaczę z angielskiego. Znasz pisarza Alana Sillitoe? Tłumaczę jego książkę... *Samotność długodystansowca*.

– Intrygujący tytuł.

– A ty, Jewgieniju Aleksandrowiczu? Czy ty jesteś długodystansowcem?

– W pewnym sensie tak.

Ulicą Gorkiego przejechała betoniarka, zagłuszając następne słowa Azy. Jewgienij zatkał palcem ucho i mocniej przycisnął słuchawkę.

– Przepraszam, nie usłyszałem...

– Pytałam, czy czujesz się samotny.

– Nigdy nie czułem się bardziej samotny niż teraz. Zmarł mój ojciec.

– Tak mi przykro. Pamiętam go z przyjęcia na daczę w Pieriedielkinie... Przykładał sobie do gołych pleców butelkę pełną pszczoł, kiedy towarzysz Beria podszedł, żeby mnie przedstawić. Pewnie ci smutno...

– I w tym właśnie problem. Wcale mi nie jest smutno, przynajmniej nie z powodu śmierci ojca. Ledwo go znałem, a jeszcze mniej lubiłem. Był jak zimna ryba...

– Cóż, przynajmniej dożył sędziwego wieku. Moi rodzice zginęli podczas wojny.

– Tak, pamiętam. Opowiadałaś mi, że przepadli bez wieści...

– Nie przepadli bez wieści. Zostali zamordowani.

– U schyłku życia Stalin odszedł od komunizmu, wypaczył jego idee...

– Wypaczył idee! Na jakim ty świecie żyjesz? Już w latach trzydziestych wymordował chłopów, wymordował swoich partyjnych towarzyszy... Dopiero wojna go powstrzymała, ale nie na długo. Potem przyszedł czas na Żydów...

– Nie zadzwoniłem do ciebie po to, żeby dyskutować o polityce.

– A po co do mnie zadzwoniłeś, Jewgieniju Aleksandrowiczu? Pewnie sam tego nie wiesz.

– Chciałem tylko... myślałem... – Milczał przez chwilę. – Szczerze mówiąc, przypominałem sobie...

– Co sobie przypominałeś?

– Przypominałem sobie tę przerwę między twoimi przednimi zębami. Przypominałem sobie, jak pogodziliśmy w łóżku moje pożądanie i twoje pragnienia.

– Nie powinieneś był tego powiedzieć...

– Nie chciałem cię urazić...

– Ty rzeczywiście wróciłeś z zaświatów, Jewgieniju Aleksandrowiczu. Nie jestem tą samą osobą, która mieszkała kątem u towarzysza Berii. Straciłam niewinność. Nie chodzi o seks – dodała szybko. – Chodzi o politykę.

– Chciałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej...

– Nie wierzę ci.

Stojąca przed budką kobieta postukała palcem w szkiełko zegarka. „Zajmuje pan telefon. Ludzie czekają!” – zawołała.

– Błagam, uwierz mi! Musisz mi uwierzyć, że życzę ci jak najlepiej. Do widzenia, Azalio Izanowna.

– Nie jestem pewna, czy cieszę się, że zadzwoniłeś. Wolę nie wracać do wspomnień. Żegnaj, Jewgieniju Aleksandrowiczu.

W oczach Dziadka błysnął gniew.

– Nie będę więcej powtarzał! – krzyczał na swoje dwie podopieczne. – Dość tych głupich uśmieszków!

Dziewczynki od razu zauważyły, że wujek jest w okropnym humorze, ale wiedziały, że muszą pomagać mu w pracy, a to, co teraz robił, to przecież była praca, trudna chyba, skoro tak bardzo się złościł. Dziwiły się tylko, że w taki dziwny sposób musi zarabiać pieniądze. Zapalił lampy i skierował światło reflektorów na dwie drobne figurki o anielskich twarzyczkach. Wróciwszy do trójnoga, spojrzął na nie przez szlifowane szkiełko czeskiego flexaretu.

– Revolución, ile razy mam ci mówić, że masz objąć Aksinię ramieniem! Przechyl głowę. Właśnie tak. Dobrze.

Wpatrzona w obiektyw dziewczynki rozstawiły patykowate nogi w bezwstydnym rozkroku, zalotnie wypinając chude biodra.

– Wujku, rób już to zdjęcie – prosiła Aksinia. – Zimno mi.

– Pospiesz się, wujku, bo umrzemy z zimna – zachichotała Revolución.

– Trochę cierpliwości, moje małe – upomniął je Dziadek. – Muszę ustawić ostrość i sprawdzić światłomierz. To bardzo ważne.

Pochylił głowę i przyglądał się uważnie obrazowi na matowym szkle: jaskrawe światło lamp łukowych odarło nagie ciała dziewczynek z dziecięcej różowości; widoczne były jedynie obwódki oczu, nozdrza, usta i podobne do różanych pączków sutki. Dziadek raz jeszcze zerknął na światłomierz, ustawił naświetlenie, po czym stanął obok i uważnie przyjrzał się dziewczynkom. Wpatrywały się w obiektyw, aż do bólu świadome swej nagości. A on chciał uchwycić to, co w nich niematerialne, bezcielesne,

nieziemskie, utrwalić obraz zawieszony poza czasem i przestrzenią. I nagle wpadł na pomysł, jak odwrócić ich uwagę.

– Niech każda z was wyobrazi sobie, że jest Alicją: małą, niewinną dziewczynką, zagubioną w Krainie Czarów... Przenieście się na chwilę w jej zaklęty świat...

– Jaka n a p r a w d ę jest Kraina Czarów? – wtrąciła nieśmiało Aksinia.

– Czy Kraina Czarów jest w socjalistycznym obozie, wujku? – dopytywała się, jak zawsze konkretna, Revolucion. – Czy to jest raj robotników, jak myślisz?

– To jest raj małych dziewczynek – wyszeptał Dziadek.

Nieuchwytny, eteryczny blask rozświetlił dziecinne buzie. Kuzyneczki przenosiły się myślami w wyimaginowany świat, gdzie w każdej chwili może wybiec Biały Królik, elegancko ubrany, z parą białych rękawiczek w jednej łapce i olbrzymim wachlarzem w drugiej. Dziadek, zadowolony z efektu, zwolnił migawkę, otworzył szeroko przesłonę, aby zwiększyć efekt spranych kolorów, i zrobił kilka zdjęć. Potem machnął ręką w stronę drzwi.

– Na dzisiaj wystarczy – powiedział szorstko. – Idźcie pobawić się na dworze. Wróćcie na kolację.

Szczęśliwe, że mogą wreszcie zejść wujkowi z oczu, wciągnęły na siebie w pośpiechu kuse płócienne koszuliny bez rękawów i trzymając się za ręce, wybiegły z pokoju. Ich radosne piski jeszcze przez chwilę rozlegały się na schodach, potem Dziadek usłyszał trzaśnięcie drzwi i w willi Apatowów zapanowała błoga cisza. Wyłączył lampy, przewinął film i wetknął rolkę do kieszeni swojej chłopskiej rubaszki. Pogrążony w zadumie, wrócił do biblioteki i nalał sobie szklanek wody.

Zastanawiał się nad Philbym. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co o nim myśleć. Polubił go. Jewgienij twierdził, że Anglik jest zgorzkniałym pijakiem, niezdolnym do zawilej gry intelektualnej, jakiej wymaga praca potrójnego agenta. Andropow z kolei był absolutnie przekonany, że Angleton zdołał go przekabacić i że w głębi serca Philby pozostał lojalny wobec CIA. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, argumentował Andropow, że Philby nie został aresztowany? Dlaczego, mimo niepodważalnych dowodów zdrady, pozwolono mu uciec z Bejrutu, gdzie – po wyjeździe ze Stanów – pracował jako dziennikarz? Intuicja Dziadka – którego odczucia podzielała jedynie garstka entuzjastów ze ścisłego kierownictwa KGB – podpowiadała mu, iż Angleton byłby w siódmym niebie, gdyby Philby’emu udało się umknąć. Być może nawet osobiście dopilnował, żeby pogłoski o planowanym aresztowaniu dotarły do uszu Anglika, w nadziei, że jego były przyjaciel i powiernik zbiegnie do Moskwy, zanim dopadną go agenci z MI6 i odstawią do rodzinnego Londynu. Gdyby został schwytany, cały świat dowiedziałby się o ich wspólnych obiadkach w „La Niçoise”, podczas których Philby wydarł tak wiele pilnie strzeżonych informacji człowiekowi odpowiedzialnemu za utrzymanie ich w sekrecie. A była to ostatnia rzecz, jakiej Angleton sobie życzył. Kiedy więc w 1963 roku Philby zjawił się w Moskwie, Dziadek spędził wiele tygodni, analizując jego raporty ze spotkań z szefem kontrwywiadu CIA. W żadnym nie znalazł nic, co obudziłoby jego czujność, co oznacza... Co to oznacza? Gdyby Philby istotnie stał się potrójnym agentem, Angleton byłby na tyle przebiegły, żeby dostarczać mu prawdziwe informacje, bo w przeciwnym razie KGB zaczęłyby coś podejrzewać. Tak właśnie robił Dziadek przez te wszystkie lata. I nadal tak robi: wysyłanie fałszywych zbiegów z prawdziwymi wiadomościami i autentycznych zbiegów z fałszywymi informacjami jest częścią gry.

Sącząc wodę mineralną, Dziadek wślizgnął się przez ukryte w boazerii przejście do swego małego sanktuarium. Zamknąwszy wąskie drzwiczki, rozbroił mechanizm niszczący ogromnego sejfu, wbudowanego w ścianę za portretem Lenina, i otworzył go kluczem, który zawsze nosił na szyi, zawieszony na srebrnym łańcuszku. Wyjął starodawny segregator, ze słowami „*Sowierszenno siekrietno CHOŁSTOMIER*” wypisanymi cyrylicą w poprzek dębowego wieczka, położył go na stoliku i wyjął gruby plik depez, dostarczonych poprzedniego wieczoru do willi Apatowów. Rezydent KGB w Rzymie zawiadamiał Zarząd S o krążących wśród włoskich bankierów pogłoskach: patriarcha Wenecji, kardynał Albino Luciani, widział podobno raporty, z których wynikało, iż Bank Watykański, znany także jako Instytut Dzieł Religijnych, zamieszany jest w pranie brudnych pieniędzy. O trwającym już czternaście lat śledztwie Luciani – w którym upatrywano następcę obecnego papieża Pawła VI – powiadomiony został przez rzymskiego oskarżyciela publicznego w sprawie nielegalnej operacji finansowej o kryptonimie CHOŁSTOMIER i wysłał dwóch biegłych w rachunkowości księży, aby przestudowali ręcznie pisane księgi, porastające kurzem w archiwach Instytutu Dzieł Religijnych.

Dziadek podniósł wzrok znad depez, a jego oczy jeszcze bardziej pociemniały od niepokoju. Na szczęście jeden z kardynalskich ekspertów pochodził z pewnej tokańskiej rodziny, silnie związanej z Włoską Partią Komunistyczną. Rzymski rezydent będzie mógł śledzić poczynania obu księży i przechwytywać wysyłane do Lucianiego informacje.

Jeżeli patriarcha Wenecji zanadto zbliży się do ognia, poparzy sobie palce. Nic nie może zakłócić operacji CHOŁSTOMIER. Teraz, gdy amerykańska gospodarka przeżywa recesję, a inflacja gwałtownie rośnie, nadszedł czas, by przedstawić projekt Andropowowi, a jeśli zyska jego

akceptację – zapoznać ze szczegółami przedsięwzięcia tajny Komitet Trzech radzieckiego Politbiura, nadzorujący operacje wywiadowcze. Dziadek miał nadzieję, że jeszcze przed końcem roku pod projektem CHOŁSTOMIER podpisze się sam towarzysz Breżniew. A wtedy plan, który rzuci Amerykę na kolana, wreszcie zostanie wprowadzony w życie.

Myśli Paszy Siemionowicza odpłynęły ku Jewgienijowi. Gorzko żałował decyzji ściągnięcia go z powrotem do Związku Radzieckiego. Doszedł do wniosku, że to choroba starego Cypina zaćmiła mu umysł, sprowadziła na manowce sentymentów; miał wobec niego pewien dawny dług do spłacenia, ale teraz dług został spłacony, a prochy Aleksandra Timofiejewicza rozsypały wśród brzoź w Pieriedielkinie. Nadszedł czas, by jego syn wrócił na pole bitwy. Czas też wykonać kolejny ruch w pasjonującej grze w kota i nietoperza, którą Dziadek od lat prowadził z chylącym się co prawda ku upadkowi, lecz wciąż jeszcze niebezpiecznym Jamesem Jesusem Angletonem.

– „Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? Czy nietoperze ochoty nie miewają na koty?” – wyrecytował na głos i postanowił, że musi przeczytać ten rozdział dziewczynkom, zanim ułoży je do snu.

WASZYNGTON, DC, CZWARTEK, 4 LIPCA 1974

Czarny rządowy oldsmobile, wyposażony w kuloodporne szyby i zawieszenie przeciwwminowe, przedzierał się przez sznur samochodów na obwodnicy do Langley. Siedzący obok kierowcy ochroniarz, z ręką na izraelskim uzi, które trzymał na kolanach, rozglądał się uważnie na wszystkie strony i jednocześnie rozmawiał przez krótkofalówkę z jadącym za nimi wozem eskorty.

– Falochron Dwa, zielony ford pikap, dwa auta za nami, siedzi nam na ogonie od jakiegoś czasu...

Szumy i trzaski poprzedziły odpowiedź.

– Falochron Jeden, już od mostu mamy go na oku... Z przodu dwóch białych w raybanach.

– Falochron Dwa, bądź tak dobry i odetnij ich, jeśli spróbują się podczepić...

– Falochron Jeden, przyjąłem.

Z tyłu siedział dyrektor CIA, Bill Colby, i przeglądał poufne nocne depesze, które wyjmował z metalowej teczki, oznakowanej przerywaną ukośnie czerwoną kreską. Przez ostatnie kilka tygodni nie posunęli się nawet o milimetr: przesłuchujący Leo Kritzky'ego Angleton utknął na martwym punkcie, Jack McAuliffe nadal nie miał pojęcia, kto jest kretem w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a Manny Ebbitt gonił resztkami sił, wałkując wciąż te same pytania podczas spotkań z AE/PINAKLEM. W tej sytuacji Colby entuzjastycznie witał każdą dobrą wiadomość. Machnął parafkę pod depeszą donoszącą o słabnących działaniach opozycji

islamskich fundamentalistów w Iranie i dorzucił ją do szczupłej kupki innych wiadomości, które po oczyszczeniu z wewnętrznych oznaczeń i kodów operacyjnych Firmy zostaną odesłane do sekretarza stanu Kissingera. Ocena sytuacji dokonana przez placówkę w Teheranie umocniła dyrektora w przekonaniu, iż prozachodni władca Iranu, szachinszach Mohammad Reza Pahlawi, będzie rządził swoim krajem przynajmniej do końca stulecia, a fundamentaliści nie zagrożą w najbliższej przyszłości ani pokojowi nad Zatoką Perską, ani światowym zapasom ropy.

Na konsoli zabrzączał czerwony telefon. Colby podniósł słuchawkę.

– Tak? – Przez chwilę słuchał w milczeniu. – Punkt ósma będę w biurze. Powiedz mu, żeby do mnie wpadł.

Kilka minut później Colby podawał kubek gorącej kawy Jackowi McAuliffe'owi, zastępcy dyrektora operacyjnego, Elliotta Ebbitta.

– To wydawało się całkiem jasne – opowiadał Jack. – Manny kazał nawet AE/PINAKLOWI powtórzyć to sformułowanie, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiał. Nie ma żadnej pomyłki. Za kaloryferem w męskiej toalecie hotelu „Jefferson” rezydent KGB umieścił wiadomość przeznaczoną dla kreta w NSA: „Gratulacje z okazji Drugiego Mężczyzny”.

Colby wyjrzał przez okno: wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągał się lesisty krajobraz Wirginii, tchnący niezwykłym spokojem, tak odmiennym od panujących w Langley nastrojów.

– Może drugi syn kreta urodził się w grudniu, a nie w styczniu? – podsunął Colby.

– Braliśmy to pod uwagę – odparł Jack. – Przeanalizowałem listę dyżurów NSA. W Fort Meade jest ponad dziesięć tysięcy ludzi, zajmujących się układaniem i łamaniem szyfrów. Czternastu z nich urodził się syn w styczniu, ośmiu w grudniu, osiemnastu w listopadzie.

– No to macie co robić...

Jack potrząsnął głową.

– Pamiętaj, co powiedział Manny’emu AE/PINAKIEL. Wszystkie kontakty rezydentury z kretem w Waszyngtonie odbywały się poprzez skrzynki kontaktowe. Spotkania twarzą w twarz miały miejsce jedynie wtedy, gdy kret przebywał na wakacjach za granicą: w siedemdziesiątym drugim roku w Paryżu, podczas Bożego Narodzenia; w siedemdziesiątym trzecim w Kopenhadze, również Boże Narodzenie; i w Rzymie, na Wielkanoc tego roku. Żaden ze szczęśliwców, którzy po raz drugi doczekali się męskiego potomka, nie pasuje do tych danych.

– A może spróbujemy zacząć od tych wakacji i przeanalizować to wstecz?

– Też o tym pomyśleliśmy. Utknęliśmy. Połowa NSA bierze urlop na Boże Narodzenie, druga połowa na Wielkanoc. Nie muszą meldować, dokąd jadą. W Biurze Ochrony nie mają takich danych. Jeśli podam im nazwisko, spróbują się czegoś dowiedzieć: przejrzą rejestry rozmów telefonicznych, popytają dyskretnie w biurach podróży, posłuchają plotek. A ja mam jedynie podejrzenia. Potrzebujemy drugiego syna, żeby zawęzić pole poszukiwań.

– A co o tym wszystkim myśli Elliott?

– Ebby uważa, że odpowiedź mamy prawdopodobnie przed samym nosem. Trzeba tylko ugryźć problem z innej strony.

– W porządku. Szukajcie dalej. Coś jeszcze?

– Szczerze mówiąc, tak – odchrząknął McAuliffe.

– Wal śmiało, Jack.

– Chodzi o Leo Kritzky’ego...

– Tak myślałem.

– Jim Angleton trzyma go na dywaniku już od pięciu tygodni.

– Też potrafię liczyć – odparł chłodno Colby.

– Zawsze, kiedy Angleton zjawia się na spotkaniu naszej grupy zadaniowej, co ostatnio zdarza się coraz rzadziej, Ebby i ja pytamy go, jak idzie przesłuchanie...

– Pewnie mówi wam to samo co mnie – przerwał z zakłopotaniem Colby.

– Mówi, że to wymaga czasu i że jest przekonany o wiarygodności AE/PINAKLA, a skoro AE/PINAKIEL mówi prawdę, to SASZĄ m u s i być Kritzky.

– Czego ode mnie oczekujesz, Jack?

– Wyznacz mu limit czasu na to przesłuchanie. Bóg jeden wie, co jego ludzie wyczyniają z Leo. Jeżeli pozwolisz, żeby maglowali go zbyt długo, facet przyzna się do wszystkiego, co Angleton zechce usłyszeć.

Colby wyjął z wypchanej teczki szarą kopertę i rzucił ją na stół, Jackowi pod nos.

– Jim zrobił Kritzky’emu badanie wykrywaczem kłamstw.

– Nie można testować kogoś, kto od pięciu tygodni przebywa w odosobnieniu. I bez tego ma nerwy w strzępach. Wystarczy, że poda własne imię i nazwisko, a igła skoczy pod sufit.

– Posłuchaj mnie, Jack. Czy chcesz tego, czy nie, Jim Angleton jest szefem kontrwywiadu. A kontrwywiad ma za zadanie tropić sowieckich szpiegów w Firmie. Angleton uważa, że właśnie złapał trop.

– A swoje przekonanie opiera na tym, że SASZA ma nazwisko na literę „K”, mówi po rosyjsku i w takim a takim czasie przebywał poza krajem. To się ledwo trzyma kupy, dyrektorze. Przypominam, że informacja AE/PINAKLA o sowieckim krecie w NSA na razie się nie potwierdziła. Więc może i ta druga historyjka jest fałszywa?

Colby spojrzał bystro na Jacka.

– Jesteś pewien, że chcesz, aby ta pierwsza się sprawdziła?

Pytanie zaskoczyło Jacka.

– Nie rozumiem?

– Jeżeli znajdziesz kreta w NSA, to znaczy, że AE/PINAKIEL nie jest podstawiony. A jeżeli AE/PINAKIEL nie jest podstawiony, to Leo Kritzky jest SASZĄ.

– Cholera, dałbym sobie uciąć prawą rękę, by okazało się, że w NSA nie ma żadnego kreta. Ale jeżeli jest, to znajdę sukinsyna. Może pan na mnie liczyć, dyrektorze.

– Gdybym myślał inaczej, Jack, nie siedziałbyś tu teraz ze mną. Posłuchaj, zarzuty Angletona opierają się na solidniejszych podstawach. Chodzi nie tylko o historyjki AE/PINAKLA. W aferze SASZY można się dopatrzeć pewnych prawidłowości, a ich logika wskazuje na Leo. Choćby długa lista operacji, które zostały spalone, oraz krótka lista tych, które się udały i pchnęły do przodu karierę Kritzky'ego. Jim mówi, że i tak miał go na widelcu, nawet bez rewelacji Kukuszki.

Jack odsunął kubek z kawą i pochylił się do przodu.

– Odkąd Philby został zdemaskowany jako sowiecki agent, Angleton ugania się za cieniami. Jest przeświadczony, że rozłam chińsko-sowiecki to zwykły bluff, a połowa przywódców zachodniego świata to agenci KGB. W trakcie obławy na SASZĘ zdziesiątkował szeregi Sekcji Sowieckiej. Na miłość boską! Przecież nie ma żadnej pewności, czy SASZA nie istnieje przypadkiem jedynie w umyśle Angletona.

– Uspokój się. Weź się w garść. Może AE/PINAKIEL jest nasłany. Może Leo Kritzky jest czysty jak łąza. Może SASZA jest tylko tworem wyobraźni Jima. Ale nie wolno nam ryzykować, nie wolno zignorować czarnego scenariusza Angletona. – Colby wstał. – Znajdź mi ojca drugiego syna,

Jack. Albo dostarcz mi dowody na to, że nie istnieje – powiedział na pożegnanie.

Zamknąwszy za sobą drzwi, McAuliffe, zirytowany, wzruszył ramionami. „Jak można dowieść, że coś nie istnieje?”

Słowa, wypowiedziane chrapliwym szeptem, były prawie niedosłyszalne.

– Nie pamiętam.

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Sowiecki dziennikarz, zwerbowany w Trieście, przeszkolony w Austrii... W niespełna tydzień po powrocie do Moskwy został wepchnięty pod nadjeżdżające metro.

– Placówka w Moskwie orzekła, że był pijany.

– Ach, a więc jednak sobie przypominasz... Placówka w Moskwie przekazała nam opublikowany w „Prawdzie” raport policyjny, w którym pisano o wysokiej zawartości alkoholu we krwi zmarłego. Dziennikarz, pracujący w tej samej rozgłośni radiowej, widział, jak poprzedniego wieczoru dwaj nieznajomi mężczyźni wsadzili go do samochodu i odjechali w niewiadomym kierunku. Nasz człowiek był wtedy zupełnie trzeźwy. Następnego ranka sprzątaczkę ze stacji metra znalazły na torach jego ciało. Akta NODIS, opisujące początkowy etap rekrutacji dziennikarza, noszą twoje inicjały. A ty chcesz złożyć to na karb jakiegoś zbiegu okoliczności...

– Nie mogę się... wypróżnić od wielu dni. Mam skurcze żołądka. Potrzebuję lekarza...

James Angleton podniósł wzrok znad notesu. Z ust sterczał mu rozmiękły papieros.

– W sierpniu pięćdziesiątego dziewiątego roku, na wybrzeżu Chin, pochwycono dwa sześciuosobowe zespoły płetwonurków z Tajwanu. Następnego ranka wszystkich jeńców rozstrzelano. Pamiętasz to zajście?

– Pamiętam. Już mnie o to pytałeś. Ale nie przypominam sobie, żebym podpisywał rozkaz operacji, zanim został przekazany wyżej, do DD/O.

Angleton wyjął z notesu jedną kartkę. Była to kopia rozkazu operacji.

– „L.K.” w prawym górnym rogu wygląda chyba znajomo? – zapytał, trzymając dokument w górze.

Leo Kritzky zaczął się kiwać na krześle, próbując się skoncentrować. Jaskrawe światło lamp raniło źrenice, nawet kiedy zamykał oczy. Powieki piekły go nieznośnie. Włosy mu posiwiały i wypadały garściami, gdy tylko ich dotknął. Skóra na dłoniach nabrała koloru i faktury papierusu. Bolały go kości. W skroniach czuł pulsowanie, w uszach mu dzwoniło.

– Trudno mi... się... skupić – wyjąkał z trudem.

Trzęsąc się ze zmęczenia, przygryzł wargę, aby powstrzymać wzbierający w nim płacz.

– Na miłość boską, Jim, proszę cię o odrobinę cierpliwości...

Angleton zamachał papierem przed nosem Kritzky'ego.

– Wysił się choć trochę.

Leo z trudem otworzył jedno oko. Teraz zobaczył wyraźnie inicjały „L.K.”, a obok nich kilka innych parafek.

– Nie ja jeden podpisywałem ten rozkaz, Jim.

– Nie ty jeden podpisywałeś sto czterdzieści pięć innych rozkazów operacji, które skończyły się aresztowaniem, procesem i egzekucją naszych agentów. Ale tylko twoje inicjały figurują na wszystkich stu czterdziestu pięciu. Mam uwierzyć, że to zbieg okoliczności?

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku straciliśmy około trzystu siedemdziesięciu agentów. A to znaczy, że moje nazwisko nie miało nic wspólnego z...

Leo był na bakier nawet z prostą arytmetyką. Zamilkł, usiłując policzyć dokładnie.

– ...z pozostałymi – dokończył po chwili.

– Twoje nazwisko nie wiąże się z dokładnie dwustu dwudziestoma pięcioma z nich. Ale nie wszystkie dokumenty przechodziły przez twoje ręce, bo albo stałeś za nisko w hierarchii, albo nie było cię w mieście, albo byłeś na urlopie, albo odkomenderowano cię akurat do innych zadań.

– Przysięgam, że powiedziałem prawdę, Jim. Nigdy nikogo nie zdradziłem Rosjanom: ani tego sowieckiego dziennikarza, który zginął w Moskwie, ani Chińskich Nacjonalistów, których rozstrzelano w Chinach, ani Polki, która była członkiem Komitetu Centralnego.

– Ani Turka, który przemycał agentów do Gruzji?

– Jego też. Przecież w śledztwie ustalono, że doniósł na niego brat narzeczonej, kiedy nasz Turek nie zapłacił obiecanego posagu.

– I nie ty zdradziłeś Kubańczyków w Zatoce Świń.

– Na Boga, Jim! Nigdy nie zdradziłem Kubańczyków.

– I nie ty powiedziałeś Rosjanom, że miejsce desantu zostało przeniesione z Trinidadu do Zatoki Świń?

Kritzky pokręcił przecząco głową.

– Ktoś jednak musiał szepnąć słówko, bo kiedy brygada przybijała do brzegu, czołgi i artyleria Fidela czekały już po drugiej stronie bagien Zapata.

– W orzeczeniu Kolegium Szefów Sztabów wysunięto sugestię, że to były zwykłe manewry.

– Czyli, innymi słowy, kolejny zbieg okoliczności?

– Tak. Zbieg okoliczności. Czemu nie?

– Nie za dużo tych zbiegów okoliczności? – Angletonowi przyszła nagle na myśl maksyma E.M. Forstera, którą Philby powiesił sobie nad biurkiem, jeszcze na Ryder Street: „Wystarczy skojarzyć!” – Nie przekazałeś KGB *modus operandi* brygady, ale kubańscy bojownicy, którzy zostali zwolnieni z Castrowskich więzień, mówili, że śledczy znali szczegóły operacji. I nie ty powiedziałaś Rosjanom, że Kennedy nie dopuszczał jawnej interwencji ze strony Ameryki pod żadnym pozorem?

– Nie i jeszcze raz nie. To wszystko nieprawda.

– Cofnijmy się na chwilę do roku pięćdziesiątego szóstego. Obecny DD/O, Elliott Ebbitt, wyjechał do Budapesztu z tajną misją. Po kilku dniach został aresztowany przez AVH.

– Prawdopodobnie zdradził go sowiecki szpieg wewnątrz węgierskiego ruchu oporu.

Angleton potrząsnął głową.

– Pułkownik AVH, który przesłuchiwał Ebby’ego, musiał znać jego akta z rejestru centralnego: wiedział, że Elliott pracował w Centrum Operacyjnym u Franka Wisnera, wiedział, że organizował zrzuty emigrantów za żelazną kurtynę, a nawet znał nazwisko jego przełożonego z frankfurckiej bazy, Anthony’ego Spinka.

Leo spuścił głowę.

– Jesteś jednym z trzydziestu siedmiu oficerów w Waszyngtonie, których inicjały widnieją na dokumentach związanych z misją Ebbitta. Przypuszczam, że i to także zechcesz przypisać zbiegowi okoliczności.

– A co z resztą, co z tymi trzydziestoma sześcioma oficerami? – próbował wtrącić Leo, lecz Angleton przewrócił już następną stronę i wpatrywał się w nią w skupieniu, usiłując odczytać własne bazgroły.

– W listopadzie pięćdziesiątego szóstego roku, razem z DCI i DD/O, byłeś obecny na naradzie u prezydenta Eisenhowera w Białym Domu. Rozmowa dotyczyła naszej gotowości militarnej na wypadek wojny w Europie.

– Tak, pamiętam. Zgadza się.

– Co wówczas Eisenhower powiedział naszym ludziom?

– Powiedział, że chciałby pomóc Węgrom, ale nie może.

– Dlaczego nie mógł?

– On i John Foster Dulles obawiali się, że amerykańska interwencja może wzniecić wojnę w tej części Europy, a nie byliśmy do tego przygotowani.

– Mamy mnóstwo dowodów na to, że w sprawie ewentualnej interwencji sowieckie Politbiuro nie było jednomyślne i Chruszczow długo powstrzymywał się z podjęciem ostatecznej decyzji. Potem, ni stąd, ni zowąd, przestał się wahać. Czy nie dlatego, że przekazałeś im komentarz Eisenhowera, co?

– Nigdy niczego nie przekazywałem Rosjanom – upierał się Leo. – Nie jestem sowieckim szpiegiem. Nie jestem SASZĄ.

– Zaprzeczyłeś temu również wtedy, gdy podłączyłem cię do wykrywacza kłamstw.

– Tak. Zaprzeczyłem wtedy i zaprzeczam teraz.

– Specjaliści, którzy odczytują wariograf, orzekli, że kłamałeś.

– Mylą się, Jim. – Leo pomachał ręką, żeby rozpędzić kłębiącą się pomiędzy nimi chmurę dymu. – Jestem podenerwowany. Wykończony. Nie odróżniam już dnia od nocy. Straciłem poczucie czasu. Mówię coś, a za chwilę nie pamiętam, co powiedziałem. Umykają mi słowa, myśli. Nie panuję nad nimi, Jim. Potrzebuję snu. Proszę, pozwól mi się zdrzemnąć.

– Powiedz prawdę, a wyłączę wszystkie lampy i pozwolę ci spać tak długo, jak zechcesz.

Na ułamek sekundy w oczach Leo rozbłysła iskra rozgoryczenia.

– Ty nie chcesz prawdy. Chcesz, żebym potwierdził kłamstwa. Chcesz moim kosztem dowieść swojej racji, usprawiedliwić te wszystkie zmarnowane lata, w ciągu których wywróciłeś Firmę do góry nogami w poszukiwaniu SASZY. Nigdy nie złapałeś prawdziwego kreta, prawda? Ale tropiąc swoich wymaginowanych szpiegów, zламаłeś karierę ponad stu oficerom Sekcji Sowieckiej. – Oblizął z warg zaschniętą krew. – Nie złamię się, Jim. To nie może trwać wiecznie. – Potoczył wokół dzikim wzrokiem, mrużąc załzawione oczy, oślepione blaskiem jarzących się u sufitu lamp. – Nagrywasz mnie. Wiem, że tak. Ktoś gdzieś przeczyta zapis tych rozmów. W końcu przekonają się, że jestem niewinny.

Angleton przerzucił kolejną kartkę w notesie.

– Pamiętasz sowieckiego radcę handlowego w Madrycie? Zaproponował, że zdradzi nam klucz do szyfrów dyplomatycznych, ale zanim zdążył się z nami skontaktować, podano mu narkotyk i nieprzytomnego wywieziono do Moskwy samolotem Aerofłotu...

Millie pocałowała Anthony'ego na dobranoc i zeszła do salonu, gdzie Jack właśnie nalewał sobie kieliszek whisky. Ostatnio po powrocie z pracy pierwsze kroki kierował do barku.

– Przepraszam – mruknął i machnął ręką, jakby chciał tym gestem ogarnąć wszystko, czego żałował: że po raz kolejny wrócił do domu o skandalicznej porze, że nie zdążył pomóc Anthony'emu w lekcjach, że nie zabrał Millie do kina, że znowu ma wszystkiego dość.

– Nic nie mów, niech zgadnę... Ciężki dzień w biurze, prawda? – zauważyła cierpko.

Miał to wypisane na twarzy, w zmarszczkach wokół oczu. Po południu Millie była na lunchu z Elizabet. Musiała z kimś porozmawiać, zrozumieć, co się dzieje. Ebby również od dłuższego czasu był w kiepskim nastroju, więc podejrzewały najgorsze. Siedziały, zmartwione, snując najróżniejsze domysły. Możliwości było wiele: jednego z nich (a może obu?) wylali na zbity pysk albo przenieśli do „firmowego” odpowiednika podsłuchowej stacji polarnej; szykują się przetasowania w dyrekcji i Ebbitt boi się, że wyleci; jakaś ważna operacja spaliła na panewce; któryś z przyjaciół zginął lub gnije w komunistycznym więzieniu... Pewne było tylko jedno: ich mężowie nie chcieli o tym rozmawiać. Kiedy próbowały poruszyć drażliwy temat, zasklepiali się jak ostrygi i sięgali do barku po kolejną butelkę.

– Jack – szepnęła Millie, sadowiać się obok niego na kanapie. – Jak długo to jeszcze potrwa?

– Co?

– Wiesz, o czym mówię. Dzieje się coś bardzo złego. Chodzi o nas? O nasze wspólne życie, nasze małżeństwo?

– Co ci przyszło do głowy? – odparł Jack. – To nie ma żadnego związku z nami. Chodzi o sprawy Firmy.

– Coś złego?

– Bardzo.

– Pamiętasz mnie, Jack? To ja, Millie Owen-Brack, twoja żona, na dobre i na złe. Piszę przemówienia dyrektora i komunikaty dla prasy – przypomniała. – Mam dostęp do tych samych tajemnic co ty.

Jack jednym haustem wychylił pół szklanki whisky.

– Nie musisz wiedzieć, Millie. A nawet gdybyś wiedziała, nie mogłabyś mi pomóc.

– Małżonkowie powinni dzielić się swoimi problemami. Zrzuć to z siebie, powiedz mi, co cię dręczy... Spróbuj chociaż.

Widziała wyraźnie, że zaczął się wahać. Otworzył już nawet usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle wypuścił powietrze i znowu zacisnął wargi. Objął ją i przytulił do siebie.

– Mów, co dzisiaj robiłaś – powiedział.

Oparła mu głowę na piersi.

– Przez cały dzień siedziałam nad materiałami prasowymi na temat swobodnego dostępu do informacji. Wiesz, że jeśli Kongres przepchnie tę cholerną ustawę, każdy będzie mógł zajrzeć do swoich akt w CIA? Nawet tych z tajnego archiwum?

Jack powoli sączył drinka.

– Agencje wywiadowcze są od tego, żeby strzec swoich sekretów, a ludzie mają prawo wiedzieć, co się dzieje. Tak było, tak jest i tak będzie. Klasyczna sprzeczność interesów.

– Wyobraź sobie, co się stanie, jeżeli Amerykańska Partia Komunistyczna zażąda od FBI ujawnienia numerów telefonów na podsłuchu. Co wtedy?

Jack zachichotał.

– Wyznamy granicę, której nie będzie można przekroczyć ze względu na ryzyko narażenia na szwank bezpieczeństwa narodowego.

– Zdziwiasz mnie, Jack. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że jesteś zwolennikiem swobodnego dostępu do informacji. Kto jak kto, ale ty?

– Dlaczego nie? Dopóki mamy sprawny system ochrony, nie widzę w tym nic złego.

– Hej, na stare lata zmieniłeś się w zagorzałego liberała!

Wzrok Jacka powędrował ku wiszącemu na ścianie zdjęciu, na którym dwóch młodych wioślarzy w sportowych podkoszulkach z dużym „Y” na piersi pozowało na tle smukłej, lekkiej łodzi regatowej. Obok stała szczupła dziewczyna, ubrana w męski uczelniany sweter i spódniczkę do kolan. Wyblakły napis na białym, ząbkowanym brzegu fotografii głosił: „Jack, Leo i Stella po wyścigu, ale przed upadkiem”.

– Wierzę w ideę społeczeństwa otwartego, takiego jak nasz naród – powiedział Jack. – Bóg mi świadkiem, że długo o to walczyłem. Wierzę w *habeas corpus*, wierzę, że każdy człowiek ma prawo do sprawiedliwego procesu, ma prawo wysłuchać postawionych mu zarzutów i zmierzyć się ze swym oskarżycielem. Czasami zapominamy, że właśnie to nas odróżnia od tej bandy z Kremla.

Millie usiadła, wyprostowana, i zaczęła masować kark Jacka. Nigdy przedtem nie rozczulał się w ten sposób nad amerykańskim ustrojem.

– Powiedz mi, co się tam u was dzieje?

Postanowił zmienić temat.

– Nadal brakuje wam rąk do pracy w dziale prasowym?

Millie westchnęła.

– Geraldine zdecydowała się wziąć tę robotę w sektorze prywatnym. A Florence wkrótce pójdzie na urlop macierzyński. Ach, zapomniałabym... Wczoraj zrobiła sobie USG i dowiedziała się, że będzie dziewczynka. Była trochę rozczarowana... Jej mąż koniecznie chciał mieć syna. Ale powiedziałam jej, że powinna dziękować Bogu.

Jack słuchał z roztargnieniem.

– A czemuż to? – spytał zamyślony.

– Powiedziałam jej, że trudno jest wytrzymać z jednym mężczyzną, a co dopiero z dwoma... Wiem to z własnego doświadczenia. Podwójny kłopot!

No i są w większości. Ty jedna, a ich dwóch...

Jack nagle spojrzał Millie prosto w oczy.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że dwóch mężczyzn w domu to podwójny kłopot. Ona jedna, a ich dwóch...

– Ona jedna, a ich dwóch?

– Jack, co z tobą?

– Ona jedna i ich dwóch... Pierwszym jest mąż, a drugim jego p i e r w o r o d n y syn!

– No tak, to by się zgadzało. Ale to tylko żarty, Jack.

– Więc kiedy Florence urodzi syna, to mogę jej wysłać kartkę z życzeniami: „Gratulacje z okazji Drugiego Mężczyzny”, prawda?

– Jeśli liczyć męża jako pierwszego mężczyznę, to tak.

Ebby miał rację. Odpowiedź faktycznie była na wyciągnięcie ręki. Czemu wcześniej na to nie wpadli? Jack poderwał się z kanapy, chwycił w biegu marynarkę i runął do drzwi.

– Gdzie idziesz, Jack?

– Znaleźć pierwszego mężczyznę.

Adelle odchodziła od zmysłów. W ciągu ostatnich pięciu tygodni rozmawiała z Colbym dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy zadzwonił, aby zawiadomić ją, że wysłał Leo do Azji, oraz poprosić o spakowanie walizki męża i oddanie jej kierowcy, który przyjedzie odebrać bagaż. Gdy minęły trzy tygodnie, a Leo wciąż nie dawał znaku życia, Adelle postanowiła sama skontaktować się z dyrektorem. Dopiero po trzech kolejnych telefonach i dwóch dniach oczekiwania udało jej się sforsować kordon sekretarek i ochroniarzy. Nie ma powodów do obaw, uspokajał ją Colby, kiedy

w końcu zdołała zamienić z nim słowo. Leo jest cały i zdrowy, ale misja, którą mu zlecono, nie należy do najłatwiejszych. To sprawa najwyższej wagi, zaznaczył. Przykro mu, ale nic więcej nie może powiedzieć. Oczywiście liczy na jej dyskrecję; im mniej ludzi się dowie o wyjeździe Leo, tym lepiej. Adelle zapytała, czy może napisać do męża. Dyrektor podał jej numer skrzynki pocztowej i obiecał, że zadzwoni, jeśli nadejdą jakieś nowe informacje.

Wysłała dwa listy, które pozostały bez odpowiedzi.

Teraz, pięć tygodni po ich powrocie z Francji, nadal nie było żadnych wieści od Leo. Zaniepokojona Vanessa coraz częściej się o niego dopytywała. Tatuś nigdy nie zniknął na tak długo, mówiła, jak nie wróci za parę dni, to ominie go przyjęcie z okazji osiemdziesiątych urodzin dziadka, a szykuje się wielka feta, z udziałem kongresmanów, członków gabinetu i sędziów Sądu Najwyższego, a może nawet samego wiceprezydenta. Adelle, widząc przygnębienie córki, która wprost uwielbiała ojca, kazała jej przysiąc, że będzie milczeć jak grób, i powiedziała, że Leo wyjechał służbowo do Azji z niezwykle ważną misją. Aż tak ważną, że Firma musiała zlecić ją szefowi całej Sekcji Sowieckiej? – zdziwiła się Vanessa. To nielogiczne. Dlaczego n i e l o g i c z n e? – odparła Adelle. Związek Sowiecki rozciąga się przecież na Azję, w gazetach pisali, że na Kamczatce znajdują się bazy łodzi podwodnych i wyrzutnie rakietowe, którymi CIA ostatnio bardzo się interesuje.

Odpowiedź ta zadowoliła Vanessę, ale jej matka miała przeczucie, że Colby nie był z nią zupełnie szczery. Właśnie wtedy postanowiła, że zapyta ojca, czy przypadkiem nie wie, gdzie i po co został wysłany Leo.

Philip Swett postarzał się mocno i już niedosłyszał, więc Adelle musiała powtarzać każde słowo po kilka razy, zanim zrozumiał, o co jej chodzi.

– Chcesz mi powiedzieć, że twój mąż od pięciu tygodni przepadł jak kamień w wodę, czy tak? – upewnił się staruszek.

– Jak kamień w wodę, tatku.

– A ten cały Colby twierdzi, że wysłał go do Malezji?

– Nie do Malezji, tatusiu... do Azji.

– A niech to, już ja się wszystkiego dowiem – obiecał Swett i zadzwonił do Henry’ego Kissingera.

Kissinger odpowiedział na telefon w ciągu godziny.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Phil? – zapytał.

Swett wyjaśnił, że jego zięć, Leo Kritzky, szef Sekcji Sowieckiej w Langley, zniknął nagle i ślad po nim zaginął.

– Colby zwodzi moją córkę, wmawiając jej, że Kritzky został wysłany z misją do Azji.

– I w czym problem? – zapytał Kissinger, zirytowany, że staruszek zwraca mu głowę.

On tu dwoi się i troi, próbuje jakoś ustawić żagle polityki zagranicznej, żeby Ameryka przetrwała bez szwanku burzę, jaka rozpełtała się w Kongresie po oskarżeniu prezydenta; nie ma czasu ani siły na tropienie zaginionych członków personelu CIA.

– Do jasnej cholery, Henry! Chłopaka nie ma już piąty tydzień. Żadnego listu, żadnego telefonu, nic.

Z biura Kissingera oddzwonili do Swetta jeszcze tego samego dnia. Jeden z bliskich współpracowników sekretarza stanu skontaktował się z Langley. Wydaje się, że Kritzky został wysłany z prywatną misją dla DCI. Firma odmówiła udzielenia jakichkolwiek dalszych informacji i dała jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie więcej pytań.

Swett dobrze wiedział, kiedy go splawiano. Do licha, już on wygarnie Colby'emu przy pierwszej lepszej okazji... Starość, pomyślał. A jeszcze tak niedawno Harry Truman ćwiczył przed nim swoje przemówienia, Dwight Eisenhower zasięgał u niego porady, a młody John Kennedy pomstował na własną głupotę, wściekły, że dał się zrobić CIA w inwazję na Kubę... De Gaulle miał rację, stary człowiek to wrak. Dokładnie za tydzień Swettowi stuknie osiemdziesiątka. Tylko patrzeć, jak przestaną nawet oddzwaniać.

Wyciągnąwszy się wygodnie na kanapie, pomyślał, że zaraz po sjeście musi zadzwonić do córki. Może to i prawda, że Kritzky siedzi w tej Malezji, jak utrzymuje Colby... Może wróci na to cholerne przyjęcie urodzinowe. A jeżeli nie, to Swett na pewno nie będzie płakał. Zawsze zastanawiał się, co, u diabła, Adelle w nim widziała. Ostatnio nawet przebąkiwała, że nie układa im się najlepiej. Cóż, gdyby zdecydowała się rozwieść z tym Żydkiem, nie spędzi mu to snu z powiek...

Powieki Philipa Swetta nagle stały się dziwnie ciężkie, zakrywając oczy tak szczelnie, że zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy światło dnia.

Promień poświaty księżycowej wkradł się przez szparę między zasłonami i posrebrzył drewnianą podłogę. Manny, leżąc w ogromnym łóżku, przytknął ucho do pleców Nellie i wsłuchiwał się w jej oddech. Poprzedniej nocy, po kolacji we francuskiej restauracyjce w Georgetown, gdzie popijali daiquiri i beaujolais nouveau, zawędrowali, na lekkim rauszu, do mieszkania Nellie. Manny był jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Dziewczyna rzuciła buty i zwinęła się na kanapie obok niego. Wyczuła, że myślami jest daleko od niej. Pomogę ci zapomnieć, szepnęła, zalotnie muskając wargami jego ucho. I zsunąwszy ramiączka jedwabnej małej czarnej, dotrzymała obietnicy. Przez chwilę niecierpliwie testowali

możliwości i wytrzymałość kanapy, po czym pobiegli do sypialni i kochali się po raz drugi, niespiesznie, leniwie, na świeżej pościeli, pachnącej wiosennym bzem. Potem, zatraciwszy zupełnie poczucie czasu, gawędzili półgłosem, dopóki ulica pod ich oknem nie pogrążyła się w nocnej ciszy.

Nad ranem Nellie powróciła do sprawy, która nie dawała jej spokoju.

– Więc dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego właśnie dzisiaj? Dlaczego się ze mną pieprzyłeś?

– Nie p i e p r z y ł e m się z tobą, Nellie. Kochałem się z tobą.

– O rany, wiem, wiem... Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Dlaczego dzisiaj?

– Zrozumiałem, że tylko w ten sposób zbliżymy się do siebie naprawdę, a z powodów, których nie mogę ci wyjaśnić, akurat teraz strasznie potrzebowałem kogoś bliskiego, bardzo bliskiego.

– To chyba najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam od mężczyzny, Manny – szepnęła ochryłym głosem. – Kazirodztwo definitywnie wygrywa z... masturbacją.

Teraz, gdy spała, Manny wrócił myślami do swojego ostatniego spotkania z AE/PINAKLEM. Pod wieczór przesłuchiwał Kukuszkina w mieszkaniu Agathy, skrupulatnie zapisując każde słowo Rosjanina, mimo że cała rozmowa była nagrywana. Kukuszkin wydawał się bardziej zdenerwowany niż zwykle. Niespokojnie krążył po pokoju, składając ostatnie zeznania.

...W centrali w Moskwie podrobiono list premiera Chin Czou Enlaja, opublikowany w zeszłym miesiącu w jakiejś afrykańskiej gazecie, w którym Czou przyznał jakoby, iż rewolucja kulturalna była błędem politycznym.

...KGB finansował kosztowną międzynarodową kampanię, popierającą ratyfikację traktatu ABM, który nakazywał Związkowi Radzieckiemu i Stanom Zjednoczonym redukcję liczby rakiet antybalistycznych do jednej na każdą ze stron.

...Rosjanie, przekonani, że Nixon kłamał, gdy twierdził, że odwołał amerykański program broni biologicznej w końcu lat sześćdziesiątych, wystartowali z własnym programem, dzięki czemu mogą obecnie uzbroić głowice międzykontynentalnych rakiet balistycznych w bakterie wąglika i wirusy ospy.

...Kreml ma powody, aby podejrzewać, iż Tajwan próbował zakupić od RPA technologię nuklearną, opracowaną w ostatnich latach przez izraelskich i południowoafrykańskich naukowców.

...KGB zainstalował pluskwy w elektrycznych maszynach do pisania, używanych w ambasadzie USA w Moskwie. Sabotażu dokonano w sowieckim pociągu podczas transportu sprzętu z Finlandii. Przepisywane na maszynach teksty przekazywane są do najbliższej stacji podsłuchowej na falach krótkich, na częstotliwości używanej przez przekaźniki telewizyjne, żeby uniknąć przechwycenia sygnałów przez system kontroli bezpieczeństwa amerykańskiej placówki.

– I to by było wszystko, Manny. Twoja cotygodniowa porcja sekretów.

– W ambasadzie wszystko w porządku?

Kukuszkin usadowił się na kanapie i spojrzął na zegarek; chciał znaleźć się w ambasadzie, zanim żona wróci od dentysty.

– Chyba tak.

– Tylko „chyba”?

– Nie. Jestem pewien. Wszystko wygląda normalnie, moja żona też tak myśli. – Rosjanin zdobył się na wąły uśmiech. – Doceniam twoją troskę,

Manny.

– Gdyby coś się stało... Gdyby zaistniała jakaś sytuacja awaryjna, masz tę maszynkę do golenia z numerami na rączce.

Kukuszkin skinął ze znużeniem głową; już to omawiali.

– Przekręcam uchwyt, by dopasować ustawienie ostrza. Jeśli ustawię dokładnie między dwójką a trójką i przekręcę odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, otworzy się ukryty schowek. Wewnątrz jest mikrofilm z procedurą na wypadek sytuacji awaryjnej i wskazówkami, jak nawiązać z wami kontakt w Waszyngtonie i w Moskwie.

– Nadal jesteś w dobrej komitywie z rezydentem Borysowem?

– Sądzę, że tak. Zeszłej nocy zaprosił mnie do siebie na szklaneczkę koniaku. Kiedy mu powiedziałem, że wygląda na przygnębionego, roześmiał się tak, jak tylko Rosjanie potrafią... Jak by ci tu wyjaśnić... bardziej filozoficznie niż radośnie. Powiedział, że Rosjanie rodzą się przygnębieni. Kładzie to na karb naszej srogiej zimy. Obwinia o to bezkresną przestrzeń rosyjskiej ziemi. Mówi, że lękamy się tego bezkresu tak samo, jak dzieci boją się ciemności... Lękamy się, że wokół czai się chaos, który tylko czeka, by nas omotać swoimi mackami. Powiedziałem mu, że to tłumaczy nasze uwielbienie dla Stalina... Strach przed chaosem, anarchią, popycha nas w drugą skrajność: cenimy porządek, nawet jeśli nie towarzyszy mu poszanowanie prawa.

Kiedy Kukuszkin mówił, Manny obserwował jego oczy, pełne tajonej udręki. Pstrykanie paznokciami ucichło nagle. Z ust Rosjanina wyrwało się westchnienie. Czy jest autentycznym zbiegiem, za jakiego się podaje, czy raczej doskonałym aktorem, odgrywającym przedstawienie pod tytułem „Zdrada”?

Od odpowiedzi na to pytanie zależał los Leo Kritzky’ego.

Kukuszkin nagle zapragnął odsłonić przed Mannym swoją duszę.

– Powiem ci coś, czego nigdy jeszcze nikomu nie mówiłem. Nawet żonie. Był taki komunista, nazywał się... – nawet teraz, nawet w tej chwili, Rosjanin z przyzwyczajenia ściszył głos – ...Piotr Trofimowicz Iszow. W nagrodę za bohaterstwo, jakim odznaczył się podczas wojny domowej, awansował do stopnia generała pułkownika. Pewnego dnia zniknął. Po prostu nie wrócił z pracy do domu. To było w trzydziestym ósmym roku, miałem wtedy jedenaście lat... Kiedy żona Iszowa, Zinaida, zaczęła o niego wypytywać, powiedziano jej, że został przyłapany na spiskowaniu z Trockim, gdy planowali zamach na Stalina. Nie było żadnego procesu – może odmówił zeznań, może był zbyt wycieńczony, żeby publicznie zeznawać. W ciągu paru dni Zinaida i najstarszy syn Iszowa, Oleg, zostali aresztowani jako wrogowie ludu i deportowani do kolonii karnej na pustyni Karakum, w Azji Środkowej. Tam Zinaida popełniła samobójstwo. Tam też Oleg umarł na tyfus, a jego młodszy brat, jedenastoletni malec, został oddany do adopcji dalekiemu krewnemu z Irkucka. Krewny nazywał się Klimow. Tym chłopcem byłem ja. Jestem synem wroga ludu, Iszowa.

Manny wyczuł, że nadchodzi decydujący moment ich znajomości. Wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Kukuszkin. Rosjanin pokiwał głową. Zapadła krępująca cisza.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? – zapytał Manny.

– Wcześniej... nie byłeś moim przyjacielem.

Jedno w tym wszystkim zastanowiło Manny'ego.

– Nie zwerbowałiby cię do KGB, gdyby znali twoją przeszłość.

– Mój przybrany ojciec, Iwan Klimow, pracował jako inżynier budowlany w fabryce maszyn lotniczych w Irkucku. Po wielkiej wojnie ojczyźnianej przeniesiono go do Moskwy, gdzie zaczął robić partyjną

karierę i dochrapał się teki wiceministra do spraw awiacji przy Ministerstwie Zbrojeń. Wiedział, że gdyby moja przeszłość wyszła na jaw, nigdy nie przyjęliby mnie do partii ani na uniwersytet, a zatem nie mógłbym objąć żadnego wyższego stanowiska. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku Klimowie stracili syna w wypadku samochodowym... Chłopak był w moim wieku. Przed wyjazdem do Moskwy postarali się, żeby moje poprzednie nazwisko zniknęło z ewidencji ludności. Pomógł im siostrzeniec, który pracował w Urzędzie Rejonowym w Irkucku. W Moskwie Iwan Klimow przedstawiał mnie wszędzie jako swego własnego syna, Siergieja.

– Mój Boże! – wyszeptał Manny. – Co za historia!

A najbardziej niepokoił go fakt, że czegoś takiego nie można było wymyślić.

Jack wrzucił parę monet do telefonu na parkingu przed ciągnącymi się w nieskończoność budynkami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w Marylandzie.

– Spełnił się nasz najgorszy koszmar – zwierzył się Ebby’emu. – Nie mogę na razie powiedzieć więcej. Dzwonię z publicznego aparatu. Wrócę przed trzecią. Zwołaj naradę wojenną całej grupy zadaniowej.

Colby przybył na spotkanie ostatni.

– Przepraszam za spóźnienie – bąknął, zajmując wolne krzesło. – Telefon z Białego Domu. Dostają małego rozumu z powodu indyjskich prób jądrowych. – Skinął na Jacka. – Możesz zaczynać.

– AE/PINAKIEL miał rację – powiedział McAuliffe. – Rosjanie faktycznie mają kreta w NSA. – Zauważył, że na wargach Jamesa Angletona, rozpartego na krześle u szczytu stołu, pojawił się nieznaczny uśmiezek. – Idąc za radą DD/O, spróbowaliśmy zanalizować zdanie

„Gratulacje z okazji Drugiego Mężczyzny” pod innym kątem. – Skłonił się w stronę Ebbitta. – Jeżeli przyjmiemy, że „pierwszym mężczyzną” jest mąż, a „drugim” syn pierworodny, wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować. W NSA jest dwudziestu trzech pracowników, którym w styczniu urodziło się dziecko. Siedemnaścioro spośród tych dwudziestu trojga dzieci to synowie pierworodni. Opierając się na rejestrach rozmów telefonicznych, podaniach o urlop oraz aktach osobowych, ustaliliśmy, iż ojciec jednego z owych siedemnastu chłopców przebywał w Paryżu w okresie Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, w siedemdziesiątym trzecim spędził święta w Kopenhadze, a tegoroczną Wielkanoc w Rzymie. A to, jak pamiętacie, zgadza się z terminami przesłuchań KGB, o których mówił nam AE/PINAKIEL.

– Kto to jest? – zapytał Colby. Po minie Ebbitta widział, że sytuacja jest nieciekawa.

– Raymond R. Shelton, lat czterdzieści osiem. Pracownik średniego szczebla, zajmujący się analizą zapisów sowieckich informacji, przechwyconych przez NSA.

– Tylko tego nam brakowało – westchnął Colby.

Angleton podniósł do góry ołówek na znak, że chce zabrać głos.

– Zebraliście jeszcze jakieś inne dowody oprócz dat jego wyjazdów i narodzin dziecka?

– Odpowiedź brzmi: „tak” – powiedział Ebby.

Jack wprowadził ich w dalsze szczegóły.

– AE/PINAKIEL wspominał również, że kret ma słabość do kobiet i hazardu. Z pensją dwudziestu czterech tysięcy pięciuset dolarów rocznie ledwo wiązał koniec z końcem. Sprzedał się Rosjanom za pieniądze.

– Nie wiem już, co jest gorsze: robić to dla forsy czy dla idei – mruknął Colby pod nosem.

– Cztery lata temu – kontynuował Jack – żona Sheltona wypełniła papiery rozwodowe. Jako powód wskazała zdradę. Potem jednak pogodziła się z mężem i wycofała sprawę. Wydział personalny NSA postanowił przyrzeć się temu bliżej. Okazało się, że Shelton to bawidamek, dziwkarz i karciarz, cierpiący, jak napisano w raporcie, na „rozsądny” pociąg do pokera... Rzadko przegrywał więcej niż sto dolarów w ciągu wieczoru. Sheltona ostrzeżono, że zostanie zwolniony, jeśli nie rzuci hazardu. Wyparł się spódniczek i przysiągł, że wyrzeknie się pokera, co najwyraźniej udobruchało kadry. Wstawili się też za nim przełożeni: szef sekcji i dyrektor oddziału. Podobno nie mogą się bez niego obejść.

– Kto poza obecnymi tutaj wie o Sheltonie? – spytał Colby.

– Musiałem wtajemniczyć szefa ochrony kadr w Fort Meade – przyznał Jack. – Nie powiedziałem mu jednak, skąd czerpiemy swoje wiadomości.

Angleton zapisał coś w notesie.

– A co powstrzyma szefa ochrony NSA przed doniesieniem o tej sprawie swoim przełożonym? – zapytał.

Jack podniósł głowę i spojrział mu prosto w oczy.

– Pozwoliłem sobie przypomnieć mu, że Bill Colby kieruje nie tylko CIA, ale całym amerykańskim wywiadem, w tym również Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, i jako taki z pewnością poinformuje o zaistniałej sytuacji odpowiednich ludzi na najwyższym szczeblu NSA, kiedy uzna to za stosowne. Na razie afera Sheltona objęta jest ścisłą tajemnicą.

– No cóż – chrząknął Colby. – Chyba wyczerpaliśmy temat. Coś jeszcze?

Angleton jednak drążył dalej.

– Czym dokładnie zajmuje się ten Shelton?

Jack kiwnął głową.

– Dowodzi zespołem przydzielonym do jednej z najbardziej skutecznych operacji przechwytywania danych w historii NSA. Jest to supertajny projekt klasy BIGOT, kryptonim BLUSZCZ.

– Chryste, przecież ten BLUSZCZ filtruje wiadomości, które przekazują do Białego Domu! – wykrzyknął Colby.

– Przykro mi, Jack... Nie miałem o tym wszystkim pojęcia – powiedział Ebby.

– Ja też, aż do dzisiejszego ranka – przyznał Jack. – Okazuje się, że amerykańskie łodzie podwodne umieściły wodoszczelną pluskwę na sowieckim kablu na dnie Morza Ochockiego. Kabel jest częścią wojskowego systemu łączności. Ów podsłuch to prawdopodobnie najbardziej skomplikowane urządzenie tego typu, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Samoczynnie owija się wokół kabla i elektronicznie penetruje linię, nie dotykając bezpośrednio przewodów. Kiedy Ruscy wyławiają kable do konserwacji, podsłuch odzepia się i kamufluje na dnie morza. Co sześć tygodni nasi nurkowie wymieniają taśmy. Nagrania przekazywane są do NSA, gdzie zostają przepisane i odszyfrowane. Wiadomości nie należą do najświeższych, ale to kopalnia informacji o sowieckich próbach rakietowych...

– Sowieckie rakiety próbne odpalane z Kamczatki lądują w Morzu Ochockim – wtrącił Colby.

– A wszystkie raporty na ten temat przechodzą przez naszą pluskwę – dodał Ebby.

– Rosjanie tak święcie wierzą, że ich podwodne linie są bezpieczne od wszelkiego podsłuchu, że nawet nie używają systemów szyfrowych

o wysokim zabezpieczeniu – ciągnął Jack. – Na niektórych kanałach w ogóle nie zwracają sobie głowy szyfrowaniem przekazywanych wiadomości.

Manny popatrzył na Jacka. Ich spojrzenia się spotkały.

– Czegoś tu nie rozumiem. Skoro facet, który dowodzi zespołem NSA, zajmującym się materiałami BLUSZCZU, jest sowieckim agentem, to znaczy, że Rosjanie wiedzą o podsłuchu. Wiedzą, że ich podwodne kable nie są szczelne. Dlaczego ich nie zlikwidują?

– A co ty byś zrobił na miejscu Ruskich? – zapytał Jack.

Manny otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał.

– Wszyscy wyprzedzacie mnie o krok, co? Nie zniszczą instalacji, bo nie chcą, żebyśmy wpadli na trop ich człowieka w NSA.

– Świadomość, że telefon jest na podsłuchu, ma też inne zalety – podpowiedział Ebby. – Można na przykład puścić w obieg fałszywe informacje...

– A Sowieci mogą celowo przesadzać, wyolbrzymiać swoje sukcesy... Będziemy musieli się cofnąć i ponownie przeanalizować każdy najdrobniejszy szczegół przechwyconych przez BLUSZCZ informacji – westchnął Colby.

– Kiedy aresztujemy Sheltona... – zaczął Manny.

Angleton mu przerwał.

– Aresztowanie Sheltona nie wchodzi w grę.

– Jak to? Pozwolimy, żeby w NSA nadal działał sowiecki kret? – zdziwił się Manny.

Jack pospieszył z wyjaśnieniem.

– Rusz głową. Jeżeli złapiemy Sheltona, KGB zacznie się zastanawiać, jak do niego trafiliśmy, a to z kolei naprowadzi ich na ślad AE/PINAKLA.

Fakt, że wiemy, że oni wiedzą o BLUSZCZU, jest nam bardzo na rękę. Możemy teraz sprawdzać, co próbują nam wcisnąć. To świetna okazja, żeby ustalić, co naprawdę dzieje się w ich programie raketowym.

– Przypominam – odezwał się Colby – że takie same pluskwy założyliśmy Chińczykom i Francuzom. Na razie nikt nie wie o istnieniu podwieszanych wodoszczelnych podsłuchów, ale dowiedzą się wszyscy, jeśli zdemaskujemy Sheltona.

– To klasyczny przykład sytuacji patowej w wywiadzie – zauważył Angleton. – Rosjanie wiedzą o naszym podsłuchu, ale go nie likwidują, żebyśmy nie dowiedzieli się o Sheltonie. My wiemy o Sheltonie, ale go nie demaskujemy, żeby oni nie dowiedzieli się o AE/PINAKLU. Jeżeli puści choćby jedno ogniwo, nastąpi reakcja łańcuchowa, a wtedy wyjdzie na jaw wiele spraw, które wolelibyśmy zachować w sekrecie.

– Teraz musimy podrzucić Sheltonowi kilka fałszywek, żeby przekazał je swoim kontrolerom – powiedział Ebby.

Papieros w wąskich wargach Angletona spopielił się niemal doszczętnie, ale szef kontrwywiadu był tak pochłonięty dyskusją, że nawet tego nie zauważył.

– I tu wracamy do punktu wyjścia – wycedził, patrząc spod przymrużonych powiek – czyli do AE/PINAKLA i SASZY.

Ebby zerknął na Jacka i spuścił wzrok.

– Mniemam, że nikt z tu obecnych nie wątpi, iż Kukuszkin dowiódł swojej *bona fides* – stwierdził Angleton.

Wszyscy dobrze wiedzieli, co to znaczy.

– Dyrektorze – odezwał się Jack. – Chciałbym pomówić z Leo...

– Nie ma mowy – warknął Angleton. – Kritzky przebywa w całkowitym odosobnieniu. Trzeba go doprowadzić do ostateczności...

– Co chcesz przez to osiągnąć? – spytał Jacka Colby.

McAuliffe zastanowił się przez chwilę.

– Leo i ja od dawna się przyjaźnimy. Mógłbym mu uświadomić, w co się pakuje...

Ebby uchwycił się tego jak ostatniej deski ratunku.

– Powinniśmy go przekonać, że wcale nie musi spędzić w zamknięciu reszty życia. Nie chodzi przecież o to, żeby złamać Kritzky'ego, ale żeby go nagiąć. Możemy to rozegrać na naszą korzyść, klęskę zmienić w triumf... Wyobraźcie sobie, jak namieszamy w KGB, jeżeli Leo zgodzi się pracować dla nas.

Angleton, zgodnie ze swoim zwyczajem, zaczął myśleć na głos.

– Ale w tym celu trzeba go przekonać, że mamy niezbite dowody jego zdrady. Musielibyśmy mu powiedzieć o AE/PINAKLU. A to jest wbrew wszelkim regułom...

– I dlatego może się udać – przerwał Jack z nagłym zapałem. – Jeżeli będziesz trzymał się zasad, Jim – zwrócił się wprost do Angletona – Bóg jeden wie, jak długo to jeszcze potrwa. Czeka nas powtórka z przesłuchań Philby'ego, które ciągnęły się miesiącami, chociaż pracowali nad nim nasi najlepsi ludzie. Wiedzieli, że zdradził, ale dopóki się nie przyznawał, dopóki się upierał, że jest niewinny, nie mogli postawić go przed sądem, bo bez przyznania się do winy dowody pozostają tylko poszlakami.

– Może warto spróbować... – Ebby spojrzał pytająco na Colby'ego.

– Trzeba ugryźć problem z innej strony... To twoje własne słowa – przypomniał Jack.

Angleton zaciągnął się papierosem.

– Nieprawdopodobne – zachnął się gwałtownie. – Nie lubię takich rozwiązań.

Colby przez chwilę wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

– Muszę się nad tym zastanowić – powiedział wreszcie.

Z początku Jack myślał, że wpuszczono go nie do tej celi, co trzeba. Na podłodze, na wojskowym kocu, siedział obcy mężczyzna, oparty plecami o ścianę. Wyglądem przypominał ludzi, którzy przetrwali obóz koncentracyjny: ubrany w pasiastą, zbyt obszerną piżamę, chudy, wycieńczony, z rozczochraną brodą, porastającą zapadnięte policzki, i wyblakłymi oczyma, które wydawały się nienaturalnie wielkie i smutne w kredowobiałej twarzy. Nerwowo przygryzał dolną wargę. Jego ręka drżała, gdy uniósł ją, by osłonić oczy przed światłem trzech gołych żarówek, zwisających z wysokiego sufitu.

– Przeszedłeś zwiedzić lochy Angletona, Jack? – wycharczał, a z ust pociekła mu ślina.

Jack prawie się zachłysnął.

– Leo, to naprawdę ty?!

Kamienną twarz Kritzky'ego wykrzywił grymas uśmiechu.

– To ja, a raczej to, co ze mnie zostało – spróbował wstać, lecz opadł bez sił z powrotem na podłogę. – Mogę ci zaproponować do picia tylko wodę. Możesz się napić, Jack, jeśli nie masz nic przeciwko wodzie z sedesu.

McAuliffe podszedł i przykucnął naprzeciw niego.

– Boże wszechmogący, nie wiedziałem... – Odwrócił głowę i popatrzył na cynowy kubek, stojący na podłodze obok klozetu. – Nikt z nas nie wiedział...

– Powinieneś się był domyślić, Jack – powiedział Leo z wyrzutem. – Zostawiliście mnie na pastwę Angletona. Mam rozwolnienie... Kiedy chce mi się pić, gołymi rękami czyszczę tę muszlę z własnego gówna...

Jack usiłował się skupić na tym, z czym tu przyszedł.

– Leo, proszę, wysłuchaj mnie... Nie musisz tu gnąć do końca życia... ani tu, ani w żadnym innym więzieniu.

– Dlaczego miałbym iść do więzienia, Jack?

– Za zdradę. Za zdradę ojczyzny. Za to, że szpiegowałeś dla Rosjanina noszącego kryptonim „Dziadek”.

– I ty w to wierzysz, Jack? Wierzysz, że SASZA to ja?

Jack skinął głową.

– To nie jest kwestia wiary, Leo. My to wiemy. Nie pozostaje ci nic innego, tylko się przyznać. Jeśli twój własny los jest ci obojętny, pomyśl o Adelle. Pomyśl o dzieciach. Jeszcze nie jest za późno, możesz się zrehabilitować...

Z nosa Leo pociekła lepka strużka śluzu. Niemrawo, jak na zwolnionym filmie, podniósł rękę, otarł wydzielinę rękawem brudnej piżamy, a potem osuszył krew na wardze.

– Skąd wiecie, że jestem SASZĄ? – zapytał.

Jack usiadł na podłodze. Dopiero teraz zauważył, że w pomieszczeniu panuje dotkliwy chłód.

– Mamy sowieckiego zbiega – powiedział. – Nadaliśmy mu kryptonim AE/PINAKIEL. Zgłosił się do nas jakiś czas temu. Manny, syn Ebby’ego, akurat miał wtedy nocny dyżur. Od tamtej pory prowadzi tę sprawę.

Oczy Leo zachłannie wpatrywały się w Jacka. Kritzky pojął wreszcie, że ta wizyta mocno odbiega od przyjętych w Firmie zasad. Był zaskoczony, że Angleton na to przystał.

– Ten AE/PINAKIEL zidentyfikował mnie z imienia i nazwiska? Powiedział, że Leo Kritzky to SASZA?

– Powiedział, że nazwisko SASZY zaczyna się na „K” i że SASZA biegle zna rosyjski.

– Skąd o tym wiedział?

– Pracował dla Zarządu S w Moskwie. Zarząd S zajmuje się nielegalami...

– Wiem, do cholery, co to jest Zarząd S!

– Podlegał bezpośrednio samemu Dziadkowi. We wrześniu siedemdziesiątego drugiego roku zorganizował jego wyjazd do Nowej Szkocji, gdzie Dziadek miał się spotkać z agentem.

– Powiedział, że Dziadek miał się tam spotkać z agentem?

– Nie, ale domyśliliśmy się tego. Domyśliliśmy się, że tylko spotkanie z SASZĄ mogło wywabić go z Rosji.

– A ja w tym samym czasie wybrałem się na wycieczkę rowerową do Nowej Szkocji?

– Właśnie tak, Leo.

– Ale to nie wystarczy. Musicie mieć coś więcej.

– AE/PINAKIEL dowiedział się od rezydenta KGB, że SASZA wyjechał z Waszyngtonu na dwa tygodnie. Miał wrócić w niedzielę, dwudziestego szóstego maja.

– Akurat wtedy, kiedy ja byłem we Francji. – Leo parsknął gardłowym śmiechem. – I to wszystko?

– Chryste, jeszcze ci mało?

– A nie wpadliście na to, że Dziadek podstawił wam fałszywego zbiega z fałszywymi informacjami, żeby zrobić niewinnego człowieka?

– Niby dlaczego miałyby cię w to zrobić?

– Żeby odwrócić waszą uwagę od prawdziwego kreta.

Jack potrząsnął głową.

– Angleton przedstawił twoje dossier tak sugestywnie i przekonująco...

Leo wysilił się na sarkastyczny uśmiech.

– Tak, wiem... Udane operacje miały mi pomóc w karierze, a te, które skończyły się fiaskiem, zostały spalone przeze mnie...

– To nie może być zwykły zbieg okoliczności. Za dużo tu się zazębia, za dużo do siebie pasuje... Poza tym zawałiłeś badanie na wykrywaczu kłamstw, i to haniebnie.

– A ten wasz AE/PINAKIEL też przeszedł takie badanie?

– Daj spokój, Leo. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie podłącza się zbiega do wariografu w trakcie wstępnych przesłuchań w kryjówce. Facet byłby zbyt spięty, zbyt nerwowy... Taki odczyt nie może być wiarygodny. Zbadamy AE/PINAKLA, kiedy już ostatecznie przejdzie na naszą stronę.

– Nie wolno testować zbiega w kryjówce. A w celi można? Angleton trzyma mnie pod kluczem i każe pić wodę z klozetu, ale wyniki j e g o badań są wiarygodne... – Leo pochylił się do przodu. – Posłuchaj mnie uważnie, Jack, bo powiem coś, co powinieneś dobrze zapamiętać: AE/PINAKIEL nigdy nie zostanie podłączony do wariografu. Zostanie przejechany albo napadnięty w jakiejś ciemnej uliczce, albo przerwany z powrotem na łono Matuszki Rosji, pod byle pretekstem. Ale nigdy nie zostanie przebadany, bo nigdy nie przejdzie na naszą stronę. Nie przejdzie na naszą stronę, bo jest agentem nasłanym po to, by Angleton uwierzył, że to ja jestem SASZĄ.

Jack z rozpaczą potrząsnął głową.

– Jeżeli nie ty jesteś SASZĄ, Leo, to znaczy, że SASZA gdzieś się przyczaił i nadal działa. A skoro tak, to dlaczego AE/PINAKIEL nie wpadł do tej pory w ręce bezpieki?

– Jack, Jack... Nie dorwali go, bo ten wasz cały AE/PINAKIEL jest nasłany, a S A S Z A o t y m w i e. Oczywiście, o ile ktoś taki jak SASZA w ogóle istnieje...

– To teraz ty mnie posłuchaj, Leo. Nie przyszedłem tu po to, żeby się z tobą kłócić. Przyszedłem, żeby ci zaproponować jakieś wyjście z tej sytuacji.

– Jedyne wyjście prowadzi przez te drzwi, Jack – wyszeptał ochrypłym głosem Leo. – Jestem niewinny. Nie jestem SASZĄ. To ja, Leo Kritzky. Od dwudziestu czterech lat walczę o słuszną sprawę. I jak mi się odwdzięczyli...?

Nagle zaczął się trząść. Objął rękami skronie i oddychał ciężko przez otwarte usta.

– To takie niesprawiedliwe, Jack. Tak cholernie niesprawiedliwe. Musi być ktoś, kto mi uwierzy... Uwierzy, że ten zbieg został podstawiony, nasłany, żeby mnie zrobić...

Jack przez chwilę szukał właściwych słów.

– Nie mogę ci dokładnie powiedzieć, w jaki sposób, ale AE/PINAKIEL dowiódł swojej *bona fides* ponad wszelką wątpliwość. On nie jest podstawiony, Leo. A to oznacza, że jego informacje o SASZY są prawdziwe. A wszystko wskazuje na ciebie. Przyznaj się, że jesteś SASZĄ. Powiedz nam, co im przekazałeś przez te wszystkie lata, żebyśmy mogli przeprowadzić analizę strat. I przejdź na naszą stronę. Będziesz podwójnym agentem, będziesz pracował dla nas p r z e c i w k o KGB. Nikt tu ci nie przebaczy, nikt już ci nie poda ręki, Leo. Ale Adelle i dzieci nie dowiedzą się, że zdradziłeś ich ojczyznę, chyba że sam im o tym powiesz. A kiedy to wszystko się skończy, możesz wyjechać gdzieś, gdzie cię nikt nie zna, i w spokoju przeżyć resztę życia.

Leo wstał z trudem. Przytrzymując spodnie od piżamy i szurając nogami, ostrożnie podszedł do toalety. Uklęknął nad sedesem, nappełnił cynowy kubek wodą z muszli i zwilżył sobie usta. Obejrzał się na Jacka. A potem, przez cały czas patrząc mu prosto w oczy, powoli wypił wszystko, do ostatniej kropli. Odstawił kubek z powrotem na podłogę i wyszeptał przez spierzchnięte wargi: „Odpierdol się, Jack”.

WASZYNGTON, DC, WTOREK, 30 LIPCA 1974

– I wtedy AE/PINAKIEL zniknął z ekranu radaru.

– Jak to zniknął? – zapytał Jack, kiedy Manny zadzwonił do niego przez bezpieczny telefon z kryjówki obserwatorów *vis-à-vis* mieszkania Agathy.

– Po prostu zniknął, Jack. To wszystko.

– Namierzyła go bezpieka z ambasady?

– Nie wiem.

Jack był wyraźnie zirytowany.

– A co wiesz?

– AE/PINAKIEL zatelefonował do Ept w piątek, zanim wyszła do pracy. Zaprosił się do niej na poniedziałek wieczór. Odsłuchałem tę rozmowę z taśmy. Powiedział, że byłby wdzięczny, gdyby udało jej się zdobyć więcej tych łakoci, które od czasu do czasu wносиła dla niego z Urzędu Patentowego. A to znaczy, że jeszcze w piątek rano wszystko grało.

– Mówił normalnie? Nic cię nie zaniepokoiło?

– Nie odniosłem wrażenia, że mówił z pistoletem przystawionym do głowy, jeśli o to ci chodzi. Owszem, był spięty... Każdy by był spięty na jego miejscu... Ale nie dosłyszałem w głosie Kukuszki wzburzenia czy strachu.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Dokładnie tydzień temu. Skróciliśmy wtedy spotkanie, bo jego córka miała gorączkę i chciał jak najszybciej wrócić do ambasady.

– Zachowywał się normalnie?

– Tak, Jack, najzupełniej normalnie. To znaczy „normalnie” zaaferowany, niecierpliwy... Aż się palił do tego, żeby podzielić się ze mną informacjami, które dla nas zebrał, niespokojny o przyszłość swoją i swojej rodziny. Pogadaliśmy trochę, czekając na windę: opowiedział mi najnowszy dowcip o Breżniewie, a potem obiecał, że wkrótce zadzwoni do Ept i przekaże jej, kiedy znowu będzie mógł przyjść.

– Co robił od wtorku do piątku? – zapytał Jack.

– Kamery FBI namierzyły go we środę po południu i w czwartek rano, kiedy wychodził z ambasady w towarzystwie konsula Borysowa, tutejszego rezydenta KGB: śmiali się, gawędzili w najlepsze, pełna sielanka... W piątek nagraliśmy jego rozmowę z Ept, a potem zniknął. Wpadł jak kamień w wodę.

– Nie podoba mi się to, Manny – stwierdził Jack. – Przecież przez cały czas był pod obserwacją. Nie rozumiem, jak człowiek może tak po prostu zniknąć. I to dyplomata! Coś mi tu śmierdzi...

– Ostatnio Rosjanie zakupili kilka limuzyn z przyciemnianymi szybami. Nagrywamy każdy wjazd i wyjazd z podziemnego parkingu, ale nie wiemy, kto siedzi w środku. Może wywieźli go takim samochodem?

– A co z jego żoną i córką?

– Ani śladu. W poniedziałek po południu Jelena Antonowna nie przyszła do kardiologa, chociaż była umówiona na EKG. I nie zadzwoniła do dentysty, żeby odwołać wizytę.

– Dobra – powiedział Jack. – Jeżeli AE/PINAKIEL i jego żona opuścili Waszyngton, jest wysoce prawdopodobne, że odlecieli samolotem, a zatem powinniśmy ich mieć na taśmach z lotniska. Dam znać ludziom z Biura Ochrony, niech się tym zajmą. A ty też przyjdź i patrz uważnie, jak będą

przeglądać materiał filmowy. Tylko ty znasz Kukuszkina z twarzy. Może go gdzieś wypatrzysz...

Resztę poranka i całe popołudnie Manny spędził w sali projekcyjnej Firmy, dokładnie przeglądając taśmy, przygotowane przez pracowników Biura Ochrony. Zaczął od piątku: przewijając szpulę za szpulą, wpatrywał się w tłum pasażerów, którzy wsiadali do samolotów, odlatujących w różne strony świata. Parę razy zdawało mu się, że widzi mężczyznę o kwadratowych ramionach i jasnych włosach. Ale kiedy puszczano mu to samo ujęcie w zwolnionym tempie, okazywało się, że to jednak nie Kukuszkin. Gdy przyniesiono kanapki i kawę, wziął się do materiału z soboty.

W przerwie zadzwonił do Nellie, żeby nie liczyła na niego tej nocy. Już od jakiegoś czasu mieszkali razem, ale Manny jeszcze zwlekał z ostateczną wypowiedzią ze swojego starego lokum, co zawsze stanowiło pretekst do kłótni. Nie chodzi mi o to, że płacimy podwójny czynsz, zrzędziła, kiedy któregoś ranka przy śniadaniu poruszył drażliwy temat. Chodzi o sam fakt. Nie chcesz palić za sobą mostów... Do kazirodztwa trzeba przyzwyczajając się stopniowo, odpowiedział i obydwójce wykrzyknęli ze śmiechem: „Nie ma jak kazirodztwo!”, co stało się już ich życiowym mottem.

– Hej, oglądasz telewizję? – pytała teraz Nellie.

– Aktualnie pochłania mnie coś innego – odparł sucho.

– Cóż, właśnie przegapiłeś historyczną chwilę... Komisja Śledcza Izby Reprezentantów właśnie przegłosowała trzeci artykuł impeachmentu.

– Nixon się z tego wykręci – powiedział Manny. – Zawsze mu się udaje.

– Nie tym razem – odparła Nellie. – Moim zdaniem ani afera Watergate, ani te czterdzieści cztery taśmy obciążające Nixona nie mają z tym nic wspólnego...

– Ty zawsze masz jakieś egzotyczne koncepcje – przerwał jej Manny.

– Po prostu widzę to, czego nie widać, to wszystko – odparła Nellie.

Manny połknął haczyk.

– A co zobaczyłaś w aferze Watergate?

– Nie udawaj niewiniątka – powiedziała Nellie. – Za wszystkim kryje się ropa naftowa... Jedenaście dolarów i dwadzieścia pięć centów za baryłkę. Wiem o tym, bo moja firma prawnicza negocjuje ubezpieczenie tankowców. No i recesja... Dow Jones spadł o sześćset punktów i nadal nie widać dna. Tu nie chodzi o Nixona. Nixon robił to samo, co Lyndon Johnson za swojej prezydentury... Tu chodzi o gospodarkę.

Kiedy Manny wrócił do sali projekcyjnej, kinooperator przyniósł rolki filmu z sobotniego popołudnia. Nie zwlekając, wzięli się do pracy. W połowie jednej szpuli Manny drgnął nagle i zawołał:

– Morris, daj to jeszcze raz!

Podniecony, pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Na ekranie krępy mężczyzna o kwadratowych ramionach zapaśnika i jasnych, potarganych włosach stanął w kolejce pasażerów samolotu Scandinavian Airlines, lecącego do Sztokholmu.

– O Boże – wyszeptał Manny i zerwał się na równe nogi. – Dajcie pauzę i zróbcie z tego odbitki! – zawołał, po czym wybiegł z pokoju.

O siedemnastej pięćdziesiąt pięć zajmująca się sprawą AE/PINAKLA grupa zadaniowa zebrała się w małym gabinecie obok biura DD/O. Spotkaniu przewodził Bill Colby. Wokół zasiedli: Ebby Ebbitt, Jack McAuliffe, Jim Angleton i Manny.

Colby sprawiał wrażenie zmęczonego. Widać było, że przez ostatnich kilka miesięcy nie miał lekkiego życia. Obecnie starał się za wszelką cenę

osłonić Firmę przed nagonką, jaka nieuchronnie będzie towarzyszyła procesowi prezydenta i jego ewentualnej rezygnacji. Na dodatek nadal utrzymywało się rozgoryczenie wywołane sprawą „klejnotów rodowych”. W 1973 roku CIA znalazła się pod ostrzałem, gdy okazało się, że większość ludzi zamieszanych w aferę Watergate miała powiązania z Firmą. Gdy Kongres zaczął węszyć wokół Agencji, Colby, ówczesny DD/O, wydał swoim pracownikom polecenie, by natychmiast meldowali mu o wszystkich działaniach niezgodnych z „prawnym statutem instytucji”. W rezultacie przedłożył Kongresowi do wglądu 693-stronicowy raport. Był przekonany, że ujawnienie „złych” sekretów ochroni te „dobre”, czyli tożsamość agentów i szczegóły rozpoczętych operacji. Angleton nie szczędził mu krytyki za tę decyzję. Rozповідаł w Langley na prawo i lewo, że dyrektor wyrządziłby Agencji mniejszą szkodę, gdyby sam został sowieckim płatnym agentem. „Tylko powszechne przekonanie, że to my jesteśmy te dobre chłopaki, może nam ocalić skórę – mówił. – Kto podkopuje w ludziach tę wiarę, wyrządza krzywdę całej Firmie”.

Siedząc za stołem, Colby wpatrywał się znad okularów w niewyraźną fotografię, powieloną przez laborantów z Biura Ochrony.

– Jesteś pewien, że to AE/PINAKIEL? – zapytał ponuro; utrata cennego zbiega, szpiegującego dla Firmy wewnątrz radzieckiej ambasady, była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował.

– To Kukuszkin, nie ma mowy o pomyłce – zapewnił go Manny.

– Na lotnisku nie było ani śladu Rosjan – powiedział Jack. – Zatem nie ma powodu, żeby przypuszczać, że wsiadał do samolotu pod przymusem.

– Ja też widziałem te taśmy – odezwał się Ebby. – W każdej chwili mógł dopaść jakiegoś policjanta i poprosić o azyl. Fakt, że tego nie zrobił, mówi sam za siebie: wyjechał z własnej nieprzymuszonej woli.

Angleton utkwiał swoje beznamiętne spojrzenie w DD/O. Wiedział, że w głębi duszy Elliott Ebbitt i jego ludzie mają nadzieję, że AE/PINAKIEL był podstawiony, jego historyjki fałszywe, a Leo Kritzky niewinny.

– Czy wiemy, Elliott, co się stało z Kukuszkinem w Sztokholmie? – zapytał.

Ebby wyciągnął z teczki odszyfrowaną depezę z pieczętkami „ściśle tajne” i „poufne”.

– Rosjanina, pasującego do opisu AE/PINAKLA, widziano w sali tranzytowej na lotnisku w Sztokholmie. Kupił dwie butelki wody mineralnej, a potem wsiadł na pokład samolotu linii Aerofłot, odlatującego do Moskwy.

– Nie wygląda na to, aby się obawiał, że go aresztują po wylądowaniu – zauważył Colby.

– Mamy też informacje, które wskazują na to, że jego żona, Jelena Antonowna, i ich siedmioletnia córka, Ludmiła, już w piątek po południu odleciały do Moskwy bezpośrednim rejsem Aerofłotu z Nowego Jorku – powiedział Jack. – Na liście pasażerów figurują dwie kobiety o nazwisku Zubina, prawdopodobnie matka i córka. Zubina to nazwisko panieńskie Jeleny Antonowny. Jedynie Manny mógłby je rozpoznać, ale nie miał jeszcze okazji przejrzeć materiału z lotniska Kennedy’ego. Samolot tankował w Sztokholmie, a pasażerowie zostali przewiezieni do poczekalni, gdzie podano im kawę i ciastka. Jedna z kelnerek zapamiętała niską, kręłą Rosjankę z krótko ostrzyżonymi włosami i chudą dziewczynkę w wieku około siedmiu lat. Wysłaliśmy do Szwecji odbitki zdjęć Jeleny Antonowny i Ludmiły, wykonane na podstawie klisz znajdujących się w kartotekach Departamentu Stanu. Czekamy na odpowiedź.

– Załóżmy, że Jelena Antonowna i Ludmiła faktycznie znajdowały się na pokładzie samolotu – odezwał się Ebby – i zastanówmy się, co mogłyby je

skłonić do wyjazdu. Macie jakieś przypuszczenia?

Jack i Manny potrząsnęli głowami. Angleton zaciągnął się papierosem i powiedział:

– W sowieckiej gazecie wojskowej „Krasnaja Zvezda” moi ludzie natknęli się na coś, co może rzucić nieco światła na tę sprawę. – Wszyscy utkwili wzrok w Angletona, który był wyraźnie zadowolony, że znów znalazł się w centrum uwagi. – Dowódcą baz raketowych w Kazachstanie mianowany został generał Masłow. Pamiętacie zapewne, że funkcję tę piastował dotychczas Zubin, teść Kukuszkin. Ta sama gazeta donosi, iż poprzednikowi Masłowa przyznano urlop zdrowotny. Dowódcy baz raketowych mianowani są na pięć lat. Zubina odwołano dwadzieścia dwa miesiące przed końcem kadencji. Można zatem przypuszczać, że istotnie jest ciężko chory...

– ...a żona i córka Kukuszkin pojechały, żeby go pielęgnować – dokończył za niego Colby.

– Wszystko pasuje – odparł Angleton. – Jeżeli wezwanie było nagłe, AE/PINAKIEL nie zdążyłby tego odkręcić.

– I nie mógłby ich powstrzymać, nie wzbudzając podejrzeń – podsunął Manny.

– Ale dlaczego sam też wyjechał? Dlaczego tak się pośpieszył? – zastanawiał się Colby.

– Bo że wyjeżdżał w pośpiechu, to pewne – dodał Jack. – Nawet nie zczekał do przyszłego tygodnia na bezpośredni rejs Aerofłotu, tylko kupił bilet do Sztokholmu, żeby stamtąd złapać połączenie do Moskwy.

– Może teść wyciągnął kopyta – zgadywał Manny. – Może Kukuszkin poleciał na pogrzeb Zubina...

– Moi ludzie będą trzymać rękę na pulsie. Może znajdą coś w gazetach...
– wtrącił Angleton.

Na stoliku zabrzączał telefon. Ebby odebrał natychmiast. Słuchał przez chwilę w milczeniu, a potem powiedział „dzięki” i odłożył słuchawkę.

– Nie musisz już przeglądać materiałów z Nowego Jorku – zwrócił się do syna. – Kelnerka ze Sztokholmu potwierdziła tożsamość żony i córki AE/PINAKLA.

– A to by znaczyło, że Kukuszkin jest cały i zdrowy w Moskwie – podsumował Colby. – Co za ulga!

Ale Manny’emu, którego lojalność względem Leo Kritzky’ego dorównywała poczuciu odpowiedzialności za los Kukuszkina, wcale nie ulżyło.

– Nie odetchnę spokojnie, dopóki na własne oczy nie zobaczę AE/PINAKLA z powrotem w Waszyngtonie.

Angleton, z udręczoną miną, przymknął oczy, jakby jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę.

– Na jakiej podstawie uważasz, że wróci?

– Po prostu założyłem...

– Sowieci nie wysyłają za Atlantyk urlopowanych dyplomatów, którym pozostaje mniej niż pół roku do końca służby na placówce – wytknął Angleton. – Jest to oczywiście podyktowane względami finansowymi. Nie tylko my mamy problemy z pieniędzmi... Kadencja Kukuszkina miała zakończyć się w grudniu, czyli za pięć miesięcy. A poza tym nie zapominaj, że chcieli go przenieść do Zarządu Dezinformacji KGB. Teraz, gdy jego kadencja w Waszyngtonie dobiega końca, trudno mu się będzie wymigać.

– Ustaliłeś z nim postępowanie awaryjne w celu nawiązania kontaktu w Moskwie? – zapytał Manny’ego Jack.

Chłopak przytaknął.

– Uzgodniliśmy główne i dodatkowe miejsce spotkania w drugi i czwarty wtorek każdego miesiąca.

– To daje nam czternaście dni – obliczył Colby.

– Nie dowiemy się, co jest grane, dopóki ktoś nie porozmawia z nim osobiście – westchnął Jack.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zawiadomić kogoś z naszych ludzi w Moskwie – powiedział Colby.

Angleton znów otworzył przymknięte oczy.

– Podczas ostatniego przesłuchania AE/PINAKIEL ostrzegł nas, że KGB zaczął pokrywać buty amerykańskich dyplomatów substancją, którą wyszkolone psy z łatwością mogą wytropić. A to znaczy, że nasi ludzie są śledzeni za każdym razem, kiedy obsługują skrzynki kontaktowe. Ryzykujemy spalenie Kukuszki, jeśli wyślemy na to spotkanie jakiegoś oficera z ambasady.

Jack przytaknął.

– To musi być ktoś stąd. Niech tam pojedzie, spotka się z nim i wraca natychmiast.

Manny spojrzał na ojca. Ebby uśmiechnął się i skinął głową; przez te trzy miesiące jego syn, prowadząc sprawę Kukuszki, stał się doświadczonym oficerem CIA. Ebbitt czuł, że rozpiera go duma, bo wiedział, co Manny zaproponuje, nim ten zdążył otworzyć usta.

– To muszę być ja – oświadczył młodszy Ebbitt i przytoczył słowa dyrektora Colby'ego, wypowiedziane na pierwszym zebraniu grupy zadaniowej: „Znajoma twarz jest warta dwa razy tyle co potencjalny zbieg”.

– Nie podoba mi się to – powiedział Jack. – Człowiek, który się z nim skontaktuje, może skończyć w celi na Łubiance.

– Ale to jedyne rozsądne rozwiązanie – zaproponował Manny z zapalem. – Albo Kukuszkin zgodzi się pracować dla nas w Moskwie, albo zgodzi się na ewakuację. W obu przypadkach będziemy górą.

Colby poruszył się niespokojnie na krześle i zerknął na Ebby'ego.

– Narazi się na ogromne ryzyko.

– Jest świadomym swoich czynów, dorosłym człowiekiem, dyrektorem, a przy tym cholernie dobrym oficerem Sekcji Sowieckiej. W dodatku mówi płynnie po rosyjsku – odparł Ebby.

– Przez dwa tygodnie nie zdążymy przygotować dla niego wiarygodnej przykrywki dyplomatycznej – zauważył Colby. – Będzie musiał pojechać na wariata.

– Skoro już mamy wysłać kogoś od nas, powinien to być ktoś, kogo Kukuszkin zna i komu ufa – powiedział Ebby.

Colby zebrał swoje notatki.

– Muszę się z tym przespać – oznajmił.

– Zaczniemy jeszcze raz – powiedziała Nellie, nie zważając na to, że może rozpętać burzę w szklance wody. – Wyjeżdżasz gdzieś, prawda?

– Tylko na tydzień...

– Wyjeżdżasz gdzieś na tydzień, ale nie możesz mnie ze sobą zabrać ani powiedzieć mi, dokąd się wybierasz?

Manny niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Nie powiesz mi tego, bo to tajemnica?

– Tak.

– Skąd mam mieć pewność, że nie uciekniesz z inną?

– Do diabła, Nellie! Jesteś jedyną kobietą w moim życiu.

– Czy to niebezpieczne? Chociaż tyle mi powiedz.

Manny wziął ją za rękę.

– Posłuchaj, Nellie, skoro masz brać ślub z Firmą, są pewne rzeczy, które powinnaś...

– A kto powiedział, że mam brać ś l u b z Firmą?

– Wydaje mi się, że skoro już razem mieszkamy, powinniśmy wziąć pod uwagę i taką możliwość. Sama mówiłaś, że nie ma jak kazirodztwo...

– Ślub? Nasz?!

– Tak to się przeważnie kończy...

– Jesteś gotów zrezygnować ze swojego mieszkania?

Manny zastanowił się chwilę, po czym uniósł brwi i kiwnął głową.

Nellie przechyliła zalotnie swoją śliczną główkę i zapytała:

– Czy to mają być oświadczenia?

Manny wydawał się równie jak ona zaskoczony obrotem sprawy.

– Przypuszczam, że można to tak nazwać – bąknął zmieszany.

Nellie przycisnęła dłonie do piersi i opadła na kanapę.

– Cóż, to nieco zmienia postać rzeczy – mruknęła.

Usiadł obok niej.

– A ja mam nadzieję, że ślub nic nie zmieni – powiedział.

– Mówię o twojej podróży. To moja teoria, Manny. Trzeba być zaborczym wobec rzeczy, których nie posiada się na własność. Ale jak już coś należy do ciebie, można trochę odpuścić.

– Nie jestem pewien, czy za tobą nadążam.

Pochyliła się i pocałowała go w usta.

– Zgadza się – oznajmiła ochryłym szeptem. – Jak sięgnę pamięcią, zawsze miałam ochotę się z tobą pieprzyć. Od dziecka marzyłam, że kiedyś

za ciebie wyjdę. Nie zmieniałam zdania nawet wtedy, gdy mnie uderzyłeś.

– Nigdy cię nie uderzyłem, Nellie...

– A nie pamiętasz, jak wepchnąłeś mnie w zaspę?

– Rzucaliś we mnie śnieżkami...

– To kiedy ślub?

– Wyjeżdżam w piątek po południu. Którego to będzie?

– Dziewiątego.

– Tak, w piątek, dziewiątego sierpnia... Szesnastego powinienem być z powrotem. W takim razie może w następną sobotę?

Nellie nagle zabrakło tchu.

– Ty wiesz, jak powalić dziewczynę na kolana...

Przez chwilę milczała, zamyślona.

– Więc skoro mamy się za tydzień pobrać, to znaczy, że jesteśmy zaręczeni? – zapytała nagle.

– Chyba tak.

– No to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś powiedział swojej przyszłej żonie, dokąd jedziesz. – Na widok jego miny wybuchnęła śmiechem. – Nie mów, niech zgadnę: firmowe żony...

– ...nie zadają...

– ...głupich pytań.

Leo Kritzky doznał olśnienia: W s w o j e j c e l i n i e j e s t s a m!

Jego towarzyszką niedoli była ćma, która wleciała z mrocznego korytarza, gdy Jim Angleton, wychodząc, odwrócił się w drzwiach i zadał

mu ostatnie pytanie:

– Nie przypominasz też sobie dostawy alkoholu ze sklepu Kahna do twojego mieszkania przy M Street?

– Ciągłe powracasz do sprawy tego sklepu...

Leo dojrzał trzepoczące skrzydełka ćmy, kiedy ta, prawdopodobnie zwabiona światłem zwisających z sufitu gołych żarówek, przelatywała obok kolana Angletona. Przez jedną straszną chwilę był pewien, że Angleton ją zauważy; a zauważywszy, wezwie strażników i każe ją przygwoździć do wyściełanych gąbką ścian, zanim on zdąży się nacieszyć tym skromnym towarzystwem. Zdecydowany nie patrzeć w stronę ćmy, żeby nie zdradzić jej obecności, Leo z całych sił skoncentrował się na osobie Angletona.

– ...tymi rzeczami zajmowała się w domu Adelle i to ona zamawiała pizzę, alkohol i w ogóle wszystko... Nawet nie wiem, gdzie robiła zakupy. Nigdy o to nie pytałem. Miałem na głowie mnóstwo innych spraw. I nie przypominam sobie, żebym wypełniał jakieś czeki dla Kahna.

– Byłeś sprytny. Wszelkie rachunki wystawiano na nazwisko panięskie twojej żony, żeby nikt nie skojarzył cię z osobą dostawcy, w razie gdyby się wydało, że to człowiek KGB.

Kątem oka Leo spostrzegł, że ćma usiadła na ścianie nad muszlą klozetową. Nie mógł się doczekać, kiedy Angleton wreszcie wyjdzie, a on będzie mógł oficjalnie powitać swego nieoczekiwanego gościa.

– To tylko kolejny domysł, który pasuje do tego, w co tak usilnie wierzysz – powiedział niecierpliwie Leo. – Problem w tym, że twoje domysły nie trzymają się kupy. To jedynie poszlaki i ty dobrze o tym wiesz.

– Moje poszlaki, jak to nazwałeś, opierają się na niezbitych dowodach, które pochodzą od wiarygodnego świadka. Masz tylko jedno wyjście: przyznaj, że jesteś SASZĄ, i zacznij z nami współpracować, żeby odrobić

szkody, jakie wyrządziłeś Firmie. – Angleton poklepał się po kieszeni marynarki w poszukiwaniu papierosa, odwrócił się i wyszedł. Strażnik zaryglował za nim drzwi.

Przez kilka minut Leo siedział na złożonym pledzie, oparty plecami o ścianę. Nie chciał narażać ćmy na niebezpieczeństwo, a podejrzewał, że Angleton będzie go podglądał przez judasz. Odczekał dłuższą chwilę, żeby upewnić się, że za drzwiami już nikogo nie ma, i odważył się spojrzeć na nocnego motyla, który zastygł nieruchomo nad sedesem. Było to najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widział: misterny, symetryczny, fioletowobrazowy deseń na rozpostartych szeroko skrzydełkach tchnął wyrefinowaną elegancją; wydłużony, mechaty odwłok i pierzaste czułki, badające, niczym niewidomy laską, mikrokosmos rozpościerający się tuż przed wypukłymi oczami owada, poruszały się z jakimś zmysłowym wdziękiem. Leo przypominał sobie, że miał kiedyś w szkole kolegę, który kolekcjonował ćmy. Perłą jego kolekcji, groteskowo (jak wówczas uważał Leo) przypiętą do korkowej tablicy za szkłem, był okaz niezwykle rzadkiego gatunku o nazwie „sfinks syberyjski”. Leo uznał, że jego ćma jest równie egzotyczna i też może uchodzić za sfinksa. Nastrój mu się nieco poprawił – niespodziewaną obecność nocnego motyla wziął za dobry omen, za znak, że ktoś spoza kręgu wtajemniczonych, gdzieś za murami więzienia, wie o jego nieszczęściu i już niedługo przybędzie go ocalić. Uniósł dłoń do skroni i zasalutował, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia towarzyszcze niedoli, że dzieli z nią nie tylko tę samą celę, ale i ten sam los.

W ciągu następnych godzin i dni Leo przechadzał się po pomieszczeniu, aby złożyć wizytę swojej przyjaciółce, przysiadającej ze stoickim spokojem to tu, to tam. Szeptał do niej słowa otuchy i wsłuchiwał się w odpowiedź, przekazywaną językiem ciała: z niewyczerpaną cierpliwością i hartem

ducha zdawała się mówić, że wkrótce oboje wydostaną się z tej celi, w której przecież już teraz nie są samotni. I jakby dla zilustrowania tej wiadomości sfinks zrywał się do lotu i okrążał jedną z żarówek, wprawiając swego towarzysza niedoli w zachwyt, gdy cienie małych skrzydełek tańczyły na wyściełanych gąbką ścianach.

Angleton szybko spostrzegł zmianę, jaka zaszła w więźniu. Kritzky od czasu do czasu zdobywał się na konspiracyjny uśmiech, jakby skrywał jakąś słodką tajemnicę, coraz częściej też kwitował insynuacje celną ripostą. Raz zachichotał nawet głośno, kiedy szef kontrwywiadu wysunął przypuszczenie, iż Leo umrze w tej celi ze starości, jeśli wciąż będzie odmawiał współpracy. Podejrzewając, że jeden ze strażników mógł się z więźniem zaprzyjaźnić, Angleton kazał wymienić wszystkich. Jednak morale Leo nadal zdawało się rosnać z dnia na dzień.

– Zgadza się, operacje, w których uczestniczyłem, poszły źle – przyznał kiedyś podczas porannej sesji. – Ale, na miłość boską, Jim, operacje, którymi ty się zajmowałeś, też poszły źle, a nikt nie oskarża cię o to, że jesteś sowieckim kretem. – Rzucił szybkie spojrzenie sfinksowi syberyjskiemu i nagle zaczął się śmiać, aż z oczu pociekły mu łzy. – A może ktoś... – chwycił się za obolały od śmiechu brzuch – ...może ktoś powinien, Jim. To by dopiero były jaja, gdyby się okazało, że SASZĄ jest sam James Jesus Angleton... A ta twoja zawziętość to tylko pozory... O Boże, a to dopiero!... zachowujesz pozory, że niby polujesz na SASZĘ... aby odwrócić uwagę od siebie... – Zgięty wpół Leo z trudem łapał oddech. – Nie bawi cię to, Jim? Ale byś wywinął numer Firmie! A mnie?! O rany, nie mogę... Ale numer!

W DRODZE DO ZWIĄZKU RADZIECKIEGO, SOBOTA, 10 SIERPNIĄ 1974

Bezpośredni piątkowy lot Aerofłotu do Moskwy miał czterdziestopięciominutowe opóźnienie. Najpierw maszyna została zatrzymana w hangarze, bo trzeba było naprawić wyciek w systemie hydraulicznym, a później na pasie startowym – z powodu wzmożonego ruchu na JFK. Na pokładzie znajdowało się około pięćdziesięciu pasażerów. Dwudziestu czterech miało wpięte w klapy biało-niebieskie identyfikatory uczestników tygodniowej wycieczki do Moskwy, zorganizowanej przez biuro podróży Trailblazer Travel – niemal wszyscy spali, wyciągnięci na wolnych miejscach w połowie pustego Tu-104. Manny, przejrzawszy pobieżnie przewodnik po Rosji Fodora, ruszył korytarzem do przygotowanego przez stewardesy bufetu i poczęstował się kanapką z szynką na razowym chlebie i kwasem chlebowym w plastikowym kubku. Rozchylił kromki i posmarował je musztardą.

– Co się stanie teraz, gdy Nixon ustąpił z Białego Domu? – zapytał steward z głębi spizarni. – Będzie zamach stanu?

Manny roześmiał się.

– Wątpię – powiedział. – Gerald Ford już został zaprzysiężony na prezydenta. W Ameryce okres przejściowy jest zapisany w konstytucji. – Odgryzł kęs i mówił dalej z pełnymi ustami. – A co by było, gdyby Breżniew jutro podał się do dymisji?

– A dlaczego towarzysz Breżniew miałby się podać do dymisji?

– Powiedzmy, że dopuściłby się jakiegoś nielegalnego czynu, tak jak nasz Nixon... Powiedzmy, że jego ludzie włamalıby się do siedziby partii

opozycyjnej. Powiedzmy, że włamywaczy schwytano by na gorącym uczynku, a mister Breżniew zakazałby milicji prowadzenia śledztwa. Powiedzmy, że próbowaliby przekupić włamywaczy, żeby siedzieli cicho, gdyby milicja jednak wszczęła dochodzenie...

Teraz z kolei steward zaczął się śmiać.

– To, o czym pan mówi, nigdy nie miałyby miejsca w demokracji ludowej – powiedział z głębokim przekonaniem i potrząsnął głową, odrzucając opadający na czoło kosmyk pszenicznych włosów. – Partia wyraża poglądy całego społeczeństwa. Nie ma u nas politycznej opozycji, więc nikt nie mógłby się włamać do jej siedziby. Pan pierwszy raz jedzie do Związku Radzieckiego?

Manny zrobił się czujny. Miał niejasne wrażenie, że steward zagadnął go o Nixona tylko po to, żeby zadać to pytanie.

– Prawdę mówiąc, tak – odparł ostrożnie.

– Gdzie pan mieszka?

– W Nowym Jorku. Na Manhattanie. A dokładniej na Upper West Side, skoro tak to pana interesuje.

Firma zapewniła Manny'emu nową tożsamość, zatroszczywszy się o najdrobniejsze szczegóły, tak by mógł przejść śpiewająco przez najbardziej drobiazgową kontrolę. Uzbrojony w prawo jazdy, kartę stałego klienta sklepu spożywczego na Upper West Side, legitymację absolwenta Yale, kartę uprawniającą do głosowania, czeki podróżne American Express oraz mocno podniszczony, trzyletni paszport z wizami i stemplami z Anglii, Hiszpanii i Meksyku, podróżował pod nazwiskiem Immanuel Bridges. Gdyby komuś się chciało sprawdzać, znalazłby Immanuela Bridgesa w książce telefonicznej Manhattanu, a zadzwoniwszy pod wskazany numer, usłyszałby automatyczną sekretarkę, która głosem Manny'ego mówiła:

„Cześć, nie mogę odebrać telefonu. Teraz ty coś powiedz”. Manny, który odbył kiedyś kurs zarządzania, miał się podawać za konsultanta od fuzji przedsiębiorstw; dostał gabinet w firmie przy Wall Street 44 oraz miejsce na parkingu dwie przecznice dalej (sekretarka w firmie została poinstruowana, by na wszystkie telefony odpowiadać: „Przykro mi, pan Bridges jest na urlopie. Może coś przekazać?”). Gdyby ktoś dotarł do centrum rekrutacji w Yale, odkryłby, że student nazwiskiem Bridges Immanuel ukończył wydział zarządzania w 1968 roku. Nawet karnet do siłowni, który Manny stale nosił w portfelu, został perfekcyjnie podrobiony, a jeśli komuś przyszyłoby do głowy i tam zadzwonić, usłyszałby w słuchawce szorstki głos: „Proszę poczekać. Sprawdzę, czy jest”; po chwili zaś: „Nie, nie ma go... Podobno wyjechał gdzieś na tydzień”.

Było dwadzieścia pięć po dwunastej w południe czasu lokalnego, gdy tupolew, przebijając się przez gęste chmury, zaczął wreszcie podchodzić do lądowania na lotnisku Szeremietiewo pod Moskwą. Kiedy zeszli niżej, Manny spostrzegł na prawo szarobłękitny prześwit, odsłaniający oświetlony słońcem kobierzec białych brzoź. To było pierwsze spojrzenie młodego Amerykanina na Matuszkę Rosję. W parę minut później podwozie uderzyło o twardy grunt i maszyna opadła lekko na asfaltowy język pasa startowego. Pasażerowie oklaskami podziękowali pilotowi za bezpieczny lot.

W hali terminalu Manny stanął w długim ogonku do odprawy paszportowej. Czekając na swoją kolej, rozpamiętywał rozmowę, jaką odbył z ojcem poprzedniego wieczoru. Ebby koniecznie chciał go odwiedzić na lotnisko. Lecz Manny raz jeszcze powrócił do tematu, który od lat wałkowali aż do znudzenia.

Tematem tym był strach.

Ilekoć Manny odważył się zapytać ojca o Budapeszt, Ebby’emu zawsze jakoś udawało się wymigać od jasnych odpowiedzi. Nagabywany przez

syna w drodze na JFK, spróbował tej samej metody zdawkowych półsłów. Ale tym razem Manny przerwał mu szorstko.

– Tato, nie czas teraz na wykręty. Firma dała mi nową tożsamość, ale nie dała mi nowego umysłu. Muszę poznać prawdę. Bałeś się wtedy czy nie?

I Ebby po raz pierwszy odpowiedział wprost.

– Tak, Manny, bałem się. Bałem się już, jadąc do Budapesztu. Byłem przerażony, kiedy mnie złapali na ulicy i kiedy mnie przesłuchiwali. Byłem sparaliżowany ze strachu, gdy zrozumiałem, że wiedzą o mnie wszystko.

– Jak sobie z tym poradziłeś?

– To, co powiem, może ci się wydać dziwne... Po prostu doznałem olśnienia. Jakby piorun we mnie strzelił. Pojąłem, że nie boję się bólu ani umierania. Bałem się samego strachu. Wiesz, jak zginął twój dziadek... Uważałem, że nigdy mu nie dorównam, nie chciałem splamić jego pamięci. I nagle poczułem spokój, jakby wessało mnie do oka cyklonu. Wszystko zwolniło: tętno, które waliło jak szalone, myśli przelatujące mi przez głowę, obrót ziemi wokół własnej osi...

Kiedy samochód wyłonił się z tunelu Holland, oślepił ich blask słońca na przedniej szybie. Ebby pochylił się i zmrużył oczy. A gdy znów mógł patrzeć swobodnie, przyspieszył, skręciwszy za znakami, prowadzącymi na autostradę Long Island.

Manny milczał przez jakiś czas, a potem odezwał się cicho:

– Ja też mam ojca.

Ebby rzucił synowi szybkie spojrzenie.

– Nic mi nie musisz udowadniać, Manny. Jesteś takim synem, jakiego pragnąłby każdy ojciec. Kiedy nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego, będziesz w mojej sprawie dowodem rzeczowym numer jeden.

– Może muszę coś sobie samemu udowodnić?

Ebby zamyślił się.

– Kiedy zaczynałem pracę w Firmie, miałem instruktora nazwiskiem Andrews – powiedział wreszcie. – Był przedtem w OSS... Na wojnie przeszedł piekło. Wbijał nam do głowy, że jedynym pewnym sposobem, żeby nie dać się złamać, jest nie dać się złapać. Nazwał to jedenastym przykazaniem pracy w wywiadzie.

– A ty złamałeś jedenaste przykazanie – zauważył Manny.

– No właśnie. Skup się na tym, czego cię nauczyle, i nie powtarzaj moich błędów.

Manny uśmiechnął się. Ebby odwzajemnił uśmiech, ale syn dostrzegł, że pod tym wymuszonym grymasem kryje się troska. I naraz zrozumiał, jak wielką odwagą wykazał się ojciec, pozwalając mu na udział w tej misji.

– Dzięki, tato – powiedział.

Ebby chwycił w lot jego intencje.

– Nie ma sprawy.

Na zatłoczonym lotnisku Szeremietiewo jeden z turystów Trailblazera szturchnął Manny'ego.

– Teraz pan – szepnął.

Manny, wyrwany gwałtownie z rozmyślań, podszedł do okienka i wsunął paszport pod szybkę, oddzielającą go od ubranej w szary mundur funkcjonariuszki o tlenionych włosach, upiętych w wysoki kok, i kamiennej, pozbawionej wyrazu twarzy. Kobieta przewertowała paszport strona po stronie, po czym, z uwagą przyjrzawszy się fotografii, przeniosła wzrok na Manny'ego i patrząc mu prosto w oczy, porównywała zdjęcie ze stojącym przed nią oryginałem. Beznamiętnym spojrzeniem omiotła prawe ramię Amerykanina, zerkając w umieszczone za jego plecami lustro, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie stara się wydać wyższy lub niższy niż

w rzeczywistości. Sprawdziła podany w paszporcie wzrost i rzuciła okiem na umieszczoną w kabinie miarę. Przekartkowała jeszcze ogromny zeszyt, aby się upewnić, czy nie figuruje tam nazwisko „Bridges”, i machnąwszy ręką, żeby przeszedł na prawo, wezwała kolejną osobę.

Manny wstrzymał oddech – udało się! Zaliczył ścisłą kontrolę na sowieckiej granicy... Znalazł się w brzuchu wieloryba. W skroniach czuł gwałtowne pulsowanie, a ziemia zdawała się szybciej wirować wokół własnej osi.

Przez resztę soboty i dwa następne dni przewodnicy z biura podróży Trailblazer Travel oprowadzali wycieczkowiczów po zabytkach Moskwy. Miejscowi piloci z Inturistu, którzy na każde pytanie mieli gotową odpowiedź, recytując bezmyślnie oficjalną, sowiecką wersję historii, nie odstępowali grupy na krok. Pod ich czujnym okiem Amerykanie zwiedzili kościoły Kremla, Muzeum Lenina i kopulasty sobór Wasyla Błogosławionego na placu Czerwonym, a potem stanęli w długiej kolejce do mauzoleum, żeby obejrzyć zabalsamowane ciało wodza rewolucji. Po przeciwnej stronie placu wznosiła się fasada GUM-u – modelowego domu towarowego, do którego mieli się udać we wtorek rano – udekorowana olbrzymimi portretami ideologicznych przywódców: skośnookiego Włodzimierza Iljicza Lenina, Karola Marksa, ukrywającego się za potarganą brodą w stylu Walta Whitmana, oraz Leonida Breżniewa, rozpromienionego niczym dobrotliwy alkoholik. Amerykańscy turyści spędzili cały ranek na Wszechzwiązkowej Wystawie Osiągnięć Gospodarki (WDC), gdzie podziwiali ustawioną w pozycji pionowej rakietę Jurija Gagarina „Wostok 1” i gigantyczną statwę Robotnika i Kołchoźnicy, a po południu zwiedzili cerkiew w Zagorsku, wypełnioną wonią kadzidła i płonących świec. Wieczorem w teatrze „Bolszoj” obejrzeliby zapierający dech w piersi spektakl baletu *Giselle*. Na posiłki przewożono ich autokarem

do hotelu „Metropol”, gdzie byli zakwaterowani, i sadzano pod witrażową kopułą przy stolikach oznaczonych małymi amerykańskimi flagami. Pierwsze danie (podawane przez kelnerów, którzy na boku próbowali upłynnić pochodzący z czarnego rynku kawior) niezmiennie składało się z połówki jajka na twardo z pomarszczonym groszkiem i majonezem, który zdążył już stwardnieć na kamień, gdyż jedzenie przygotowywano parę godzin wcześniej.

Manny starał się wtopić w tłum i zachowywać jak przeciętny turysta, co przyszło mu tym łatwiej, że w grupie było kilka niezamężnych kobiet, które łakomym okiem spoglądały na samotnego mężczyznę „do wzięcia”. Wśród flirtów, żarcików i półsłówek bacznie obserwował otoczenie, wypatrując oznak nadmiernego zainteresowania KGB jego osobą. Wiedział, że wszyscy Rosjanie, którzy mają do czynienia z zagranicznymi turystami – kierowcy autokarów, przewodnicy, recepcjoniści, *babuszki* wydające klucze do hotelowych apartamentów – pracują dla KGB. W poniedziałek rano, przed opuszczeniem pokoju, Manny zapamiętał położenie każdej sztuki bielizny w walizce, a dla większej pewności umieścił włos na mankiecie jednej z koszul. Kiedy wrócił po południu do hotelu, wszystko dokładnie sprawdził – ubrania były nietknięte, a włos leżał na swoim miejscu.

We wtorek od rana kropił kapuśniaczek. Po śniadaniu grupa z Trailblazera, pod osłoną parasoli, podążyła za przewodnikiem z Inturistu na plac Czerwony, żeby zwiedzić GUM. Przy stoiskach kłębił się tłum mieszkańców stolicy oraz Rosjan z prowincji, którzy chcieli zaopatrzyć się tu w towary niedostępne na rynku lokalnym.

– Proszę trzymać się razem! – zawołał nerwowo przewodnik, popędzając Amerykanów, gdy przechodzili obok czatujących przy wejściu cinkciarzy.

Manny został nieco z tyłu, by zagadnąć jednego z nich.

– Ile? – zapytał brodacza w krzykliwej, pasiastej koszuli, wystającej niechlujnie ze spodni.

– Sześć razy tyle, co po oficjalnym kursie, trzy ruble za dolara – odparł mężczyzna, ledwo poruszając ustami i cały czas rozglądając się czujnie. Musiałby zapłacić słony haracz, gdyby milicja lub tajniacy przyłapali go na gorącym uczynku.

– Kelner w moim hotelu dawał cztery.

– To idź pan do niego – odburknął mężczyzna z przekąsem. – Chce pan coś sprzedać? Buty, dzinsy, nonajrony, zegarek, aparat? Dobra cena.

– Ile za te buty?

Mężczyzna zerknął na stopy Manny'ego.

– Pięćdziesiąt rubli.

– A dzinsy?

– W dobrym stanie?

– Jak nowe.

– Siedemdziesiąt. Nigdzie nie dostaniesz pan więcej. Zawsze koło południa można mnie znaleźć tu, pod GUM-em. Pytaj pan o Pawłuszę.

Manny stwierdził, że jego grupa oddaliła się już na bezpieczną odległość.

– Pomyślę o tym, Pawłusza – powiedział i pchnął ciężkie drzwi domu towarowego.

Ostatni Amerykanie znikali właśnie w jednym z pasaży. Powlókł się za nimi leniwie, zatrzymując się od czasu do czasu, by przyjrzeć się oszklonym wystawom z czeskimi kryształami i enerdowskimi lampami, a przy okazji, patrząc w szybę jak w lustro, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Stopniowo oddalał się od grupy Trailblazera coraz bardziej. W pewnej chwili rozejrzał się dokoła, jakby zgubił drogę, a następnie dał nurka w boczny pasaż i przez sklep z tkaninami przeszedł do sąsiedniego

korytarza. Gdy się upewnił, że nikt go nie ściga, ruszył niespiesznie do bocznych drzwi, wychodzących na uliczkę na tyłach GUM-u. Spojrzał na zegarek – do spotkania w Muzeum Puszkina zostały jeszcze prawie dwie godziny (sam wyznaczył Kukuszkinowi taki termin: zawsze drugi wtorek miesiąca, w samo południe), wmieszał się więc w grupkę turystów z NRD i ruszył z nimi w stronę Grobu Nieznanego Żołnierza. Niemcy przystanęli, żeby zobaczyć zmianę warty, a Manny podążył wzdłuż kremlowskich murów, kierując się na południe. Dotarłszy do wieży Borowickiej, przebiegł na drugą stronę zatłoczonej arterii i zniknął na stacji metra przy Bibliotece Lenina. Kupił w automacie dwa bilety po dziesięć kopiejek – jeśli AE/PINAKLA nie zostanie w muzeum, będzie musiał skorzystać z metra, żeby dostać się do miejsca, które wyznaczył na awaryjny punkt spotkań. Podjechał jeden przystanek na północ, labiryntem tuneli aż do Czerwonej Linii, a potem zawrócił znowu na południe. Wsiadł na stacji Kropotkinska, niedaleko Muzeum Puszkina. Miał jeszcze trzy kwadranse. Deszcz siąpił bez przerwy. Skup się na tym, czego cię nauczyli, powiedział Ebby na pożegnanie. Idąc za radą ojca, Manny kluczył przez jakiś czas w plątanie niemal całkiem opustoszałych bocznych uliczek na tyłach muzeum, aby upewnić się, czy ktoś go nie śledzi. Gdy do spotkania pozostało już tylko piętnaście minut, skręcił w stronę budynku, kupił bilet wstępu i zaczął przechadzać się po obszernych salach, przystając to tu, to tam, żeby podziwiać Picassa lub Cézanne’a. Punkt dwunasta wszedł do sali Bonnarda. Nie spieszył się ze zwiedzaniem, w skupieniu kontemplując każdy obraz. Jeżeli Kukuszkin zjawi się o umówionej godzinie, przyjdzie właśnie tutaj.

Południe dawno minęło, a Manny wciąż przechadzał się po muzeum, zaglądając co chwila do sali Bonnarda i rozważając różne możliwości. Wyglądało na to, że Kukuszkin przepadł bez śladu. Może został pochwycony i zmuszony torturami do zdradzenia czasu i miejsca

spotkania? Za kwadrans pierwsza Manny doszedł do wniosku, że AE/PINAKIEL już nie przyjdzie. Wrócił tą samą drogą na stację metra, skasował drugi bilet i pojechał na południe, do Czerwonej Linii. Wsiadł na Spotiwnej i powędrował prawie pustymi ulicami w stronę monasteru Nowodziewiczego. Okrążywszy jego potężne mury, dotarł do cmentarza. W okienku kupił bilet za dziesięć kopiejek. Wszedł przez główną bramę i zaczął spacerować po żwirowych alejkach, zatrzymując się od czasu do czasu, aby przeczytać napis na starym nagrobku. Po swojej prawej ręce zauważył dwie młode pary, stojące przy grobie żony Stalina, Nadieždy Allilujewej, która w 1932 roku zastrzeliła się po gwałtownej kłótni z mężem; apologeci Józefa Wissarionowicza utrzymują, iż to z rozpaczy po jej samobójczej śmierci zaczął czystkę i wywózki do łagrów. Przechodząc obok grobów Bułhakowa, Stanisławskiego, Czechowa i Gogola, Manny wrócił na główną alejkę i zaczął oddalać się od największej bramy w kierunku grobowca Nikity Chruszczowa. Obok kwater w sąsiedniej alejce spostrzegł trzech mężczyzn, pogrążonych w cichej rozmowie, i dwóch studentów, którzy za pomocą kalki i węgla kopiowali napisy ze starych nagrobków. Zdawało się, że żaden nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Stanąwszy przy grobowcu Chruszczowa, Manny zapatrzył się na popiersie zmarłego przywódcy, z wyrytymi w kamieniu datami narodzin i śmierci: 1894–1971. Okrągła twarz ukraińskiego chłopca spoglądała w nieokreśloną dal, a czający się w przymrużonych oczach uśmiech zdradzał rozgoryczenie.

– To on pierwszy sprzeciwił się wybrykom Stalina – powiedział nagle jakiś głos.

Manny wzdrygnął się i odwrócił gwałtownie. Zza czarnego marmurowego nagrobka wyszedł Siergiej Kukuszkin w cienkim

ortalionowym płaszczu. Był z gołą głową, a na jego potarganych, jak zwykle, włosach lśniły krople deszczu.

– Na pewno o tym słyszałeś, Manny. Na Dwudziestym Zjeździe KPZR w pięćdziesiątym szóstym roku wprowadził wszystkich w osłupienie, potępiając publicznie zbrodnie Stalina. Jak głosi anegdota, wątpliwej zresztą autentyczności, ktoś podał do mównicy karteczkę, na której napisano: „Gdzie byłeś, kiedy to się działo?” Chruszczow podobno zbladł, gdy to przeczytał... Cóż, nawet w apokryfach tkwi ziarno prawdy, jak mawiacie tam u was, w Ameryce... Wymachując nad głową skrawkiem papieru, zawołał: „Kto to napisał? Kto to napisał?” A ponieważ nikt się nie przyznał, Chruszczow powiedział: „Oto gdzie byłem, towarzysze!” – Kukuszkin wziął Manny’ego pod ramię i poszli obaj wąską dróżką pomiędzy grobami. – Oto gdzie i ja byłem, mój przyjacielu. Odkąd wstąpiłem do KGB, wiedziałem, co się dzieje, ale bałem się mówić o tym głośno. Tu nic się nie zmieniło od czasu, gdy Tołstoj opisywał życie w Rosji: „Smród, kamień, bogactwo, bieda, rozpusta”. – Manny spostrzegł nagle, że Kukuszkin bardzo zmizerniał. – Wiedziałem, że to właśnie ty przyjedziesz, Manny. Dziękuję ci za to.

– Powiedz mi, Siergiej, co się stało w Waszyngtonie?

– Kiedy wróciłem do domu, żona i córka pakowały walizki. Ojciec Jeleny miał zawał. Leżał na oddziale intensywnej terapii w kremlowskim szpitalu. Musiały wracać natychmiast. Na dole czekał już samochód z ambasady, który miał je zawieźć do Nowego Jorku, żeby zdążyły na piątkowy lot Aeroflotu. Nie mogłem opóźnić ich wyjazdu bez wzbudzenia podejrzeń bezpieki. Następnego ranka otrzymałem depezę z Pierwszego Zarządu Głównego, że ojciec zmarł, zanim przyjechały, i że mam jechać do Moskwy na pogrzeb. Mój rezydent był bardzo wyrozumiały... Osobiście podpisał się pod zezwoleniem na zakup w twardej walucie biletu lotniczego

w Scandinavian Airlines. Nic nie wskazywało na to, że wpadli na mój trop, ale nie chciałem dzwonić z ambasady pod numer awaryjny, który mi podałeś. W drodze na lotnisko towarzyszył mi rezydent, a kiedy już przeszedłem przez odprawę, bałem się skorzystać z telefonu publicznego. Ktoś mógł mnie obserwować... – Wzruszył ramionami. – Więc wróciłem.

– Od powrotu zauważyłeś coś niezwykłego?

Kukuszkin energicznie pokręcił głową, jakby próbował się otrząsnąć z resztek wątpliwości.

– Dostaliśmy trzypokojowy apartament w hotelu zarezerwowanym dla bawiących przejazdem w Moskwie oficerów KGB. Pogrzeb odbył się dwa dni po moim przylocie. Uczestniczyło w nim wielu wysokich rangą oficerów z oddziałów rakietowych. Złożyli kondolencje Jelenie, a ci, którzy wiedzieli, że jestem w KGB, wypytywali, co sądzę o aferze Nixona. W biurze wezwał mnie szef Pierwszego Zarządu Głównego, poczęstował herbatą i powiedział, że poprze moją kandydaturę do Zarządu D. Krótko mówiąc, wydawało się, że wszystko gra, więc pozbyłem się obaw.

W sąsiedniej alejce kopiujący napisy studenci zwinęli kalkę i przykucnęli przy kolejnym nagrobku.

– A z początku się bałeś?

– Jestem tylko człowiekiem, Manny. Tak jak wszyscy widuję czasami duchy, czające się w ciemnościach. Ale wykombinowałem sobie, że gdyby historia o zawale teścia była zmyślona po to, żeby zwabić mnie do Moskwy, ludzie z bezpieki kazaliby mi lecieć razem z żoną i córką, a nie potem.

– Niekoniecznie.

Kukuszkinowi ze zdenerwowania zaczął się plątać język.

– Jak niekoniecznie? – zapytał gniewnie, łamaną angielszczyzną. – Skąd możesz wiedzieć ode mnie lepiej, co jest niekoniecznie?

– Nie unoś się, Siergiej. Spójrzmy na to spokojnie – łagodził Manny.

– Patrzę spokojnie – wymamrotał Rosjanin, wyraźnie wzburzony.

– Gdyby ci z bezpieki coś podejrzewali, musieliby zwabić cię do Moskwy w taki sposób, żebyś się niczego nie domyślił. Gdybyś pojechał razem z żoną i córką, wszyscy troje moglibyście poprosić o azyl na lotnisku, po przejściu odprawy. Fakt, że cię wysłali osobno...

– Uważasz, że to zły znak?

– Nie dopatruj się podtekstów, Siergiej... Po prostu staram się rozważyć różne możliwości.

Kukuszkin milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

– Nienawidzę Rosji – oznajmił z nagłą gwałtownością. – Każdy, z kim się tu spotykam, za czymś tęskni: za rewolucją, za wojną, za śniegiem, za imperium, nawet za Stalinem. Dałbyś wiarę, Manny? Ludzie w stołówce na Łubiance ciągle po cichu wspominają z rozrzewnieniem stare, dobre czasy. Mówią, że nawet wasz Roosevelt zerwałby się z wózka inwalidzkiego i padł na kolana, gdyby Stalin stanął w jego progu. – Rosjanin zatrzymał się nagle i patrząc Manny'emu prosto w oczy, oświadczył dobitnie: – Nie będę dla was szpiegował w Moskwie, jeśli po to chciałeś się ze mną skontaktować. Ledwo starczyło mi odwagi w Waszyngtonie. Tutaj nie ma mowy.

– Nie jechałem taki kawał, żeby cię zwerbować. Jesteśmy ci coś winni. Chcemy cię stąd wyciągnąć. Robiliśmy już takie rzeczy...

– Z Rosji?

– Z Krymu. Możesz wybrać się tam na urlop.

– A moja żona? Moja córka?

– Też możemy im to załatwić.

– A siostra mojej żony i jej syn, i ich stara matka, obecnie wdowa?

Obaj znów ruszyli przed siebie.

– Moglibyśmy wyczarterować samolot – zażartował z przekąsem Manny.

Żaden z nich się nie roześmiał.

– Przemyśl to sobie, Siergiej – powiedział Manny. – Mogą minąć całe lata, zanim znowu cię wyślą za granicę.

– Może nawet nigdy...

– Dam ci numer telefonu do zapamiętania. K 4-89-73. Powtórz.

– K 4-89-73.

– Kiedy ktoś odbierze, odkaszlnij dwa razy i rozłącz się. To hasło, uruchamiające kontakt awaryjny. Spotkania w drugi i czwarty wtorek miesiąca. Osoba, która się z tobą spotka, będzie trzymać pod pachą gazetę „Nowyj Mir” i powie ci, że jest przyjacielem Manny’ego.

Kukuszkin raz jeszcze powtórzył numer. Potem zapytał, co Manny zamierza teraz robić.

– Przyjechałem tylko po to, żeby się z tobą spotkać. Wyruszam do domu jak najszybciej.

Wrócili na główną alejkę, prowadzącą do wyjścia. Rosjanin zaczął wylewnie dziękować Manny’emu za jego przyjazd do Moskwy.

– Powiem Jelenie, że mamy możliwość ewaku... – urwał w pół słowa i wstrzymał oddech.

Manny podążył za jego wzrokiem. Przy bramie cmentarza pojawiła się grupka mężczyzn: kilku cywilów w ciemnych garniturach i paru mundurowych, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Przez głowę Manny’ego przelatywały strzępy myśli: nie śledzili mnie... byłem

ostrożny... szli za nim... podejrzewają go o współpracę z CIA... wezwali go do kraju, bo mu nie ufają... Chryste Panie, jak go ze mną złapią, będzie po nim!

Cywile ruszyli ku nim, a ludzie w mundurach obstawili wyjście i boczne alejki.

– Szybko – szepnął Kukuszkin. – Wiem, gdzie jest dziura w płocie.

Manny obrócił się na pięcie i pognął za Rosjaninem, który przemykał między grobami Skriabina i Prokofiewa. Za ich plecami jakiś głos ryknął przez megafon łamaną angielszczyzną: „Stać! Cmentarz jest otoczony ze wszystkich stron. Nie macie żadnych szans!” Puls walił Manny’emu w skroniach tak głośno, że niemal zagłuszył ryk megafonu. Amerykanin zerknął w lewo i zobaczył, że studenci kopiujący napisy z nagrobków rzucili się za nim, wymachując rękoma, w których błyskały lufy pistoletów. Wszyscy spotkani wcześniej na cmentarzu „przypadkowi” przechodnie okazali się teraz agentami KGB i osaczali go ze wszystkich stron, odcinając drogę ucieczki. Gdzieś nad cmentarzem wystrzeliły petardy. Dopiero gdy odprysnął kamień z najbliższego nagrobka i zadrasnął Manny’ego w rękę, ten zdał sobie sprawę, że ktoś do niego strzela. Przed sobą dojrzał niewysoki, obrośnięty bluszczem cmentarny płot. Kukuszkin, poruszając się z zadziwiającą, jak na swoją pokaźną tuszę, zwinnością, rzucił się w kierunku wyrwy po odłamanym pręcie, na tyle szerokiej, że mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Wtem, z kępy krzewów po drugiej stronie, wypadł oddział uzbrojonych żołdatów. Rosjanin odwrócił się do Manny’ego i otworzył usta jak do krzyku, ale powiedział tylko martwym głosem:

– To koniec. Wiedziałem, że tak będzie... Czeka mnie kulka w łeb.

W alejce za ich plecami zadudniły czyjeś kroki.

– Dobry Boże! Wybacz mi, Siergiej.

– I ty mi wybacz, Manny.

W nieruchomych oczach urzędnika dochodzeniowego można było dostrzec błysk samozadowolenia, a na bladych ustach – wszyskwiedzący uśmiezek.

– Wolno nam przypuszczać – powiedział nieskazitelną angielszczyzną mężczyzna – iż wzięty do niewoli oficer CIA potrafi udzielić odpowiedzi na trzy pytania: podać swoje nazwisko, rangę i numer miejsca na parkingu w Langley...

Chudy, niemłody już funkcjonariusz o gładko wygolonej głowie poprawił na nosie okulary w stalowych oprawkach, okrążył ogromny stół, podszedł do Manny'ego i utkwivszy w niego wzrok, wyszczerzył zepsute zęby.

– Wasze nazwisko, a przynajmniej to, które podaliście zdrajcy Kukuszkinowi, już znamy. Domyślam się też waszej rangi... Wziąwszy pod uwagę wiek oraz fakt, iż zostaliście wyznaczeni na opiekuna tego zdrajcy, Kukuszkina, jesteście prawdopodobnie GS-15, czyli najwyższym stopniem oficerem CIA średniego szczebla, odpowiednikiem pułkownika w wojsku. Ale powiedzcie mi, jeśli łaska, jaki jest numer waszego miejsca na parkingu?

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Manny stwierdził, że dopiero po areztowaniu poczuł się wolny. Najgorsze miał za sobą – mógł żałować tego, co się stało, ale już nie musiał się bać. Zrozumiał teraz, co chciał mu powiedzieć ojciec, mówiąc o ciszy w oku cyklonu. Teraz było tak samo: tętno w skroniach przestało walić, ustała obłąkana gonitwa myśli, ziemia nie wirowała już jak szalona wokół własnej osi... Spojrzał na śledczego i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Chcę rozmawiać z kimś z amerykańskiej ambasady – oznajmił.

W tym momencie zadzwonił telefon. Rosjanin wrócił na swoje miejsce za stołem i podniósł słuchawkę. Przez chwilę słuchał uważnie, a potem wymamrotał: *Bolszoje spasibo*, i rozłączył się. Rozparł się w drewnianym obrotowym fotelu i splótł ręce na karku. Światło wiszących u sufitu lamp błyskało w jego okularach niczym sygnały Morse'a. Manny uśmiechnął się w duchu melancholijnie – gdyby potrafił odszyfrować tę wiadomość, na pewno nie byłyby to pomyślne wieści.

– Powiem wam coś, co już wiecie... – odezwał się śledczy. – K 4-89-73 to numer telefonu do wartowni amerykańskiej ambasady, obstawionej żołnierzami piechoty morskiej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Manny zrozumiał, że przesłuchanie przybrało zły obrót. Oficer dochodzeniowy mógł dostać ten numer tylko od Kukuszkina, a to sugerowało, że Siergieja zmusili do mówienia.

– Stany Zjednoczone i Związek Radziecki podpisały międzynarodową konwencję, zobowiązującą obie strony do zapewnienia urzędnikom ambasad swobodnego dostępu do zatrzymanych obywateli... – zaczął Manny.

– Nie jesteście zatrzymani – uciał sucho śledczy. – Jesteście aresztowani za szpiegostwo. Będziecie sądzeni i skazani. Prokurator zażąda dla was najsurowszej kary. A to, czy zawiśnięcie na szubienicy, czy nie, zależy wyłącznie od waszej postawy w śledztwie.

– Jeżeli chcieliście mnie nastraszyć, to się wam udało – przyznał Manny; postanowił do końca grać niewinnego, nie tylko dla własnego dobra, ale także przez wzgląd na Kukuszkina. – Niech pan wreszcie zrozumie, że jestem tym, za kogo się podaję. Gdybyście pofatygowali się, żeby sprawdzić Immanuela Bridgesa, sami przekonalibyście się o tym bez trudu.

Urzędnik dochodzeniowy zdawał się dobrze bawić.

– Powiedzcie mi jeszcze raz, co robiliście na cmentarzu przy monasterze Nowodziewicznym?

– W domu towarowym zgubiłem swoją wycieczkę...

Rosjanin pogrzebał w papierach w teczce.

– Trailblazer Travel...

– Trailblazer. Zgadza się. Niech pan posłucha, muszę się do czegoś przyznać... Odszedłem od grupy, bo próbowałem sprzedać dolary na czarnym rynku. W bramie GUM-u stał taki cinkciarz... Pawłusza.

– I co? Wymieniliście te pieniądze?

– Nie. Dawał tylko trzy ruble za dolara... Kelner w hotelu proponował mi cztery...

– Trzy ruble za dolara to normalny kurs na czarnym rynku. Nie opowiadajcie mi tu bajeczek o kelnerach! To nasi ludzie... Kiedy ktoś chce wymienić u nich walutę albo kupić kawior, od razu nam o tym donoszą.

– Może niektórzy dorabiają sobie na boku?

Śledczy tylko się uśmiechnął.

– Co wydarzyło się po tym, jak odłączyliście od grupy?

– Muszę niestety wyznać, że wcale się tym nie zmartwiłem. Nie lubię wycieczek. Wszystko jest za dobrze zorganizowane... Nie ma okazji pogadać ze zwykłymi Rosjanami. Dlatego postanowiłem przez resztę dnia powłóczyć się trochę na własną rękę. Przejechałem się metrem, pospacerowałem trochę i zwiedziłem Muzeum Puszkina. Później poszedłem na cmentarz Nowodziewiczny zobaczyć groby sławnych ludzi: żony Stalina, Bułhakowa, Czechowa, Gogola.

– I Chruszczowa.

– Chruszczowa też.

– I wdaliście się w rozmowę z mężczyzną, który akurat przechodził koło tego grobu. A tym mężczyzną był zdrajca Kukuszkin... Zupełnie przypadkowo, jak się domyślam?

– Nie miał wypisane na czole „zdrajca Kukuszkin” – odgryzł się Manny.

– Po prostu przechodził tamtędy. Znał angielski, więc chwilę pogadaliśmy.

– O czym?

– Kiedy dowiedział się, że jestem cudzoziemcem, zapytał, jak mi się podoba w Związku Radzieckim.

– A na widok milicji i ormowców zaczął uciekać... I wy razem z nim.

– Proszę postawić się na moim miejscu – zaprotestował Manny. – Rozmawiam z obcym człowiekiem. Aż tu nagle widzę uzbrojonych ludzi, którzy biegną w moją stronę. Rosjanin zaczął uciekać, więc pognałem za nim. Myślałem, że to napad... Skąd miałem wiedzieć, że to milicja?

– Rozmawialiście z Kukuszkinem po angielsku?

– Tak.

– *Goworitie po russki?*

Manny potrząsnął głową.

– Uczyłem się rosyjskiego w Yale. Ale tylko na pierwszym roku. Rozumiem trochę, ale nie umiem mówić.

– Zdrajca Kukuszkin powiedział nam coś zupełnie innego.

– Chcę rozmawiać z kimś z amerykańskiej ambasady.

– Z kim? Z szefem placówki Trillbym?

Manny rozejrzał się po przestronnym pokoju, mieszczącym się na ostatnim piętrze Łubianki. Pod ścianą stał, z rękami skrzyżowanymi na piersi, wyprężony na baczność strażnik, który przyprowadził go z celi – osiłek w świeżo wyprasowanym niebieskim mundurze, przynajmniej

o jeden numer za małym na jego zwaliste ciało. Podwójne szyby w oknach były zabezpieczone kratami. Na ścianie, nad bufetem z samowarem i butelkami wody mineralnej, wisiały portrety Lenina i Andropowa. Manny z udanym zdziwieniem spojrzał na Rosjanina.

– Nie przypominam sobie nikogo o takim nazwisku i nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Rosjanin uśmiechnął się do siebie, jakby docenił dobry dowcip. Zabrzęczał interkom. Rozległ się melodyjny kobiecy głos.

– Przyszedł towarzysz Archangielski.

– Przyślijcie go tutaj – polecił Rosjanin i zmierzył Manny’ego wzrokiem. Pokiwał głową i znów się uśmiechnął.

– Gra skończona, przyjacielu.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł niski mężczyzna w białym roboczym kombinezonie, popychając przed sobą wózek, na którym znajdował się pokaźnych rozmiarów magnetofon. Ustawił wózek obok stołu, rozwinął sznur i włożył wtyczkę do gniazdka w ścianie. Potem wyprostował się i odwrócił do śledczego, który powiedział:

– Puśćcie mu tę taśmę.

Technik schylił się nad urządzeniem i przycisnął guzik. Szpule zaczęły się kręcić. Z początku słyhać było jedynie zduszone dźwięki. Człowiek w białym kombinezonie podkręcił głośność i ustawił barwę na wysokie tony. Teraz głosy były wyraźniejsze. Rozmowa przebiegała po rosyjsku.

„...przesłuchiwał mnie w mieszkaniu kobiety nazwiskiem Ept, pracującej w Urzędzie Patentowym”.

„To od niej mieliście patenty, które przekazaliście rezydentowi?”

„Dostałem je od Manny’ego”.

„Braliście za to pieniądze?”

„Nigdy. Ani centa. Zaproponował tylko, że załatwi opiekę lekarską dla mojej żony, która choruje na serce. Zgodziłem się...”

„Ile wam obiecał w zamian za zdradę?”

„Była mowa o wynagrodzeniu, ale ja nie dlatego...”

„To dlaczego?”

Usłyszeli gorzki śmiech Kukuszkina.

„Amerykanie chcieli wiedzieć to samo”.

„Nie odpowiedzieliście na moje pytanie”.

„Nasz ustrój jest skorumpowany i nie zdaje egzaminu. Ludzie, którzy stoją na czele, nie mają żadnych skrupułów. Interesuje ich tylko jedno: władza. To nie przypadek, że po rosyjsku *włast*’ oznacza zarazem władzę i urząd...”

„I ta mętna sofistyka przywiodła was do zdrady ojczyzny?”

Kukuszkin wymamrotał coś niewyraźnie.

„Oczywiście, że zdradziliście swój kraj. Zdradziliście jego tajemnice, zdradziliście nazwiska patriotów, którzy strzegą go przed wrogimi siłami, oddaliście ich w ręce CIA...”

– Przewińcie do spotkania na cmentarzu – rozkazał śledczy.

– Po co mi to puszczacie? – zapytał Manny. – Nie rozumiem ani słowa.

Pochylony nad magnetofonem urzędnik dochodzeniowy rzucił krótko:

– Rozumiesz każde słowo.

Technik włączył przewijanie do przodu i w skupieniu wpatrywał się w migające na liczniku numery. Kiedy taśma dotarła do pożądanego miejsca, nacisnął „start”. Znow usłyszeli głos Kukuszkina.

„...główne miejsce spotkania – Muzeum Puszkina, o dwunastej w południe, drugi i czwarty wtorek każdego miesiąca. Zjawiłem się tam tuż

przed umówioną godziną, ale stwierdziłem, że jest za duży tłok. Manny stawił się w awaryjnym punkcie, przy grobowcu Nikity Chruszczowa na cmentarzu Nowodziewicznym. Oprócz nas było tam jeszcze dziewięcioro ludzi, ale wyglądali dość niewinnie, więc ruszyłem na spotkanie”.

„Co wam powiedział Amerykanin?”

„Że CIA może wywieźć mnie i moją rodzinę ze Związku Radzieckiego, przez Krym”.

„Jak mieliście się skontaktować z CIA, gdybyście się zdecydowali na ucieczkę?”

„Miałem zadzwonić pod numer K 4-89-73, zakasać dwa razy i odłożyć słuchawkę. Uruchomiłbym w ten sposób kontakt awaryjny na dodatkowe spotkania w Muzeum Puszkina i przy grobie Chruszczowa na cmentarzu Nowodziewicznym w każdy drugi i czwarty wtorek miesiąca”.

Śledczy podniósł rękę. Technik wyłączył magnetofon, wyjął wtyczkę z kontaktu, zwinął kabel i popychając przed sobą wózek, opuścił pokój.

– Sami więc widzicie, że zdrajca Kukuszkin wszystko nam wyśpiewał – odezwał się Rosjanin do Manny’ego. – Zgodził się przyznać do winy na procesie, który rozpocznie się za tydzień. Czy zechcecie teraz złożyć zeznanie na piśmie, żeby oszczędzić sędziemu przykrego obowiązku skazania was na najwyższy wymiar kary?

– Tak – powiedział Manny. – Chyba nie mam innego wyjścia. – Dostrzegł cień uśmiechu na wargach funkcjonariusza. – Hotel dwadzieścia trzy.

W źrenicach Rosjanina pojawił się błysk triumfu.

– To numer waszego miejsca na parkingu w Langley?

Manny, bezpieczny w oku swego cyklonu, otulony watą ciszy, przypomniał sobie opowieść o tym, jak ojciec posłał węgierskich śledczych

do diabła. Od dziecka słyszał tę historię, zapamiętał ją i powtarzał sobie w duchu, ilekroć znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– Hotel dwadzieścia trzy – powiedział – to moje miejsce parkingowe dwie przecznice od Wall Street czterdzieści cztery, gdzie pracuję, kiedy nie jestem na tyle głupi, żeby przyjeżdżać na wycieczkę do Związku Radzieckiego.

Dla Manny'ego życie przybrało teraz postać zamglonych i dziwnie od siebie oderwanych obrazów. Podstawowe szkolenie na Farmie, gdzie przez kilka zimowych dni przebywał zamknięty w lodowatym pomieszczeniu, pozbawiony jedzenia, picia i snu, nie przygotowało go do twardej rzeczywistości Łubianki. Niepokój, jaki odczuwał, wynikał nie ze złego traktowania (KGB zapewniał swoim więźniom minimum wygód), ale z dławiącej niepewności, co się jeszcze wydarzy i jak skończy się ta gra. Karmiono go całkiem przyzwoicie, codziennie prowadzono pod natrysk... i w kółko przesłuchiowano. Sesje z upartym śledczym przeciągały się często do wczesnych godzin rannych. Potem wracał do celi i przez sześć godzin odsypiał nocne *doprośy*. Dwa dni po uwięzieniu zezwolono mu na rozmowę z panną Crainworth, która przedstawiła się jako wicekonsul ambasady Stanów Zjednoczonych i poinformowała, iż sekretarz stanu wezwał do siebie radzieckiego ambasadora w Waszyngtonie, żeby poprosić go o wyjaśnienie faktu aresztowania amerykańskiego turysty. Rosjanie – mówiła – twierdzą, że Manny jest oficerem CIA, wysłanym do Moskwy w celu skontaktowania się z dyplomatą, którego niedawno wezwano do kraju, ponieważ został zwerbowany przez wywiad USA. CIA stanowczo zaprzecza jakimkolwiek kontaktom z dyplomatą nazwiskiem Kukuszkin. Utrzymuje też, że nie zatrudniała nigdy i nie zatrudnia żadnego Immanuela

Bridgesa. Panna Crainworth powiedziała, że ambasada wynajęła radzieckiego prawnika, który będzie reprezentował Manny'ego na procesie.

Zapowiedziany przez panią wicekonsul adwokat, Robespierre Prawdin, zgłosił się jeszcze tego samego wieczoru i bez przeszkód otrzymał pozwolenie na godzinną rozmowę z klientem. Prawdin, zalękniony człowieczek z nerwowym tikiem twarzy i przykrym oddechem, zapewnił, że jeśli tylko Manny przyzna się, że jest agentem CIA, co KGB i tak może mu z łatwością udowodnić, radziecki wymiar sprawiedliwości okaże się dla niego łaskawy. Kiedy Amerykanin upierał się przy swoim, prawnik oświadczył:

– Widziałem zeznania zdrajcy Kukuszkin, które jednoznacznie was obciążają. Powtarzam, niewiele będę mógł dla was zrobić, jeśli nie przyznacie się do winy i nie zdacie na łaskę sądu.

Następnego ranka Manny został zbudzony z głębokiego snu, gdy pierwszy promień dziennego światła przedarł się przez szparę w oknie, umieszczonym prawie pod samym sufitem celi. Pozwolono mu się ogolić energoską maszynką na baterie, dostał też czystą koszulę i spodnie. Siedząc na brzegu pryczy, czekał na strażników i gapił się w skrawek błękitnego nieba za szybą, wsłuchany w gwizdy i wrzaski zeków, grających w piłkę na więziennym dziedzińcu. Przypomniawszy sobie rozmowę, jaką odbył z ojcem, gdy był jeszcze bardzo mały... Słyszał niemal jego głos i uśmiechnął się na to wspomnienie. Wracali metrem na Manhattan, z wyprawy na Coney Island.

„Mamusia mówi, że pracujesz w Centralnej Agencji Wywiadowczej. I mówi, że to dlatego tak często wyjeżdżasz z Ameryki”.

„Pracuję dla rządu...”

„A co robisz dla rządu?”

„Pomagam bronić Ameryki przed jej wrogami”.

„Dlaczego Ameryka ma wrogów?”

„Są na świecie państwa, które nie we wszystkich sprawach się z nami zgadzają”.

„W jakich sprawach?”

„Takich jak istnienie różnych poglądów i partii politycznych, takich jak uczciwe procesy, demokratyczne wybory, wolność słowa i prawo każdego obywatela do krytykowania rządu bez lęku przed aresztowaniem... Właśnie takich”.

„Jak będę duży, będę bronił Ameryki przed wrogami, tak jak ty. Jeśli jeszcze zostanie trochę wrogów...”

– Kiedy będę duży – powiedział na głos Manny, ale nie dokończył zdania, bo wiedział, że cela jest na podsłuchu.

Zaraz potem zakuli go w kajdanki. Pod czujnym okiem więziennego dozorca zjechał windą towarową na podziemny parking. Tam, w obstawie dwóch strażników, posadzili go na tylnym siedzeniu furgonetki z napisem „Pieczywo” i przewieźli zatłoczonymi ulicami Moskwy do innego garażu. Po wąskich schodkach przeciwpożarowych poprowadzili go na piętro, gdzie zdjęli mu kajdanki i zaproponowali kawę i zeschniętego pączka. Wkrótce zjawili się Prawdin i panna Crainworth. Adwokat powiedział, że zaraz rozpocznie się proces zdrajcy Kukuszki i być może wezwą Manny’ego w charakterze świadka. Zdjął okulary, chuchnął na szkła swoim nieświeżym oddechem i przetaił je końcem krawata. Przypomniawszy sobie raz jeszcze, że szanse na to, iż Manny zostanie potraktowany łagodnie przez radziecki wymiar sprawiedliwości, zależą od współpracy z oskarżycielem w sprawie Kukuszki. Manny twardo wypierał się wszystkiego. Panna

Crainworth najwyraźniej straciła głowę i tylko wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, jakby obserwowała mecz ping-ponga.

Za pięć dziesiąta Manny'ego wprowadzono do wielkiej auli, wyglądającej jak sala balowa. Z wysoko sklepionego sufitu, wspartego na białych korynckich kolumnach, pyszniących się na tle imperialnego błękitu ścian, zwisały roziskrzzone żyrandole. Po jednej stronie stały rzędy drewnianych ławek, na których tłoczyli się wystrojeni odświętnie przedstawiciele ludu, najwyraźniej onieśmieleni wspaniałością otoczenia. Kiedy Manny wszedł na salę, zaczęli pokazywać go sobie palcami, jakby dobrze znali jego twarz. Idąc powoli w stronę odgródzonej mosiężną barierką ławy, mrużył oczy, oślepienie światłem lamp błyskowych. Prawdin, któremu co chwila drgał nerwowo muskuł policzka, usiadł obok. Panna Crainworth wcisnęła się w ławkę w pierwszym rzędzie i położyła na kolanach otwarty notes. Dwóch sędziów w ciemnych garniturach siedziało za długim stołem na drewnianym podwyższeniu. Punkt dziesiąta w wąskich drzwiach za żelazną kratą pojawił się oskarżony. Kukuszkin, otoczony przez oddział funkcjonariuszy KGB w mundurach ze stójką i czapkach z daszkiem, był wymizerowany i jakby z lekka oszołomiony: z otępiełej, pozbawionej wyrazu twarzy spoglądały apatyczne, podkrążone oczy, które przymykał co chwila, przez co sprawiał wrażenie lunatyka. Miał na sobie wygnieciony garnitur i niechlujnie zawiązany krawat, a nogi – sądząc po tym, jak drobił kroczyki – skute kajdankami. W pewnym momencie zerknął na Manny'ego, ale nie okazał po sobie, że go rozpoznaje. Wśród zebranych rozszedł się gniewny pomruk, gdy zdrajca zasiadł na ławie oskarżonych. Znowu błysnęły flesze. Osłonił oczy dłonią. Jeden ze strażników chwycił go za nadgarstek i brutalnie szarpnął za rękę. W drzwiach wiodących na podwyższenie ukazał się sędzia główny w czarnej todze i czerwonej pilśniowej czapce. Wszyscy powstali. Ktoś z obstawy szturchnął

Manny'ego, który siedział, gapiąc się bezmyślnie w przestrzeń. Sędzia, siwowłosa mężczyzna o zaczerwienionych oczach i obwisłych policzkach nałogowego alkoholika, zajął miejsce za stołem. *Sadities'*, *pożałujsta* – powiedział woźny. Usiedli wszyscy oprócz pilnujących więźnia funkcjonariuszy.

Oskarżyciel publiczny, młody prawnik w pięknie skrojonym niebieskim garniturze, wstał i zaczął odczytywać akt oskarżenia.

– Zdrajca Kukuszkin, oskarżony w sprawie karnej numer osiemnaście tysięcy czterdzieści trzy, jest oportunistą i sprzedawczykiem – przemówił głosem pełnym oburzenia. – Człowiekiem pozbawionym zasad moralnych, który zdradził swój kraj. Pełniąc służbę dyplomatyczną w Waszyngtonie, został zwerbowany przez agentów imperialistycznego wywiadu i dopuścił się aktu zdrady. Jego celem było obalenie ustroju, dokonanie rozbioru Związku Radzieckiego i ustanowienie rządów kapitalizmu na jego gruzach. Również po powrocie do Moskwy nie zaprzestał swych niecznych knowań, tym razem jednak schwytano go na gorącym uczynku, w trakcie spotkania z amerykańskim szpiegiem, który przyjechał za nim aż tutaj. Kiedy funkcjonariusze organów bezpieczeństwa publicznego przedstawili mu niezbite dowody winy, zdrajca Kukuszkin nie miał wyboru. Musiał przyznać się do popełnionych czynów i podpisać zeznanie. Oto ten dokument, Wysoki Sądzie. Wnoszę o włączenie go do akt.

Manny pochylił się do przodu i stuknął Prawdina w ramię.

– Co on powiedział?

Adwokat odwrócił się do niego i wionąc nieświeżym oddechem, szepnął:

– Prokurator mówi, że zdrajca Kukuszkin przyznał się do winy. Jeśli chcesz ocalić skórę, też powinienesz to zrobić.

Oskarżyciel usiadł. Woźny wstał i zapytał:

– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Kukuszkin również powstał.

– Przyznaję się do szpiegostwa, zaprzeczam jednak, iż moim celem było dokonanie rozbioru ZSRR i ustanowienie rządów kapitalizmu. Działiałem z pobudek patriotycznych. Chciałem wyrwać ojczyznę z rąk bandy oprawców, którzy rujnują naszą gospodarkę i wypaczają idee komunizmu.

Prokurator zerwał się z miejsca, wymachując kopią zeznań Kukuszkina.

– Mamy wasze zeznanie na piśmie. Przyznaliście się do wszystkiego!

– Zmuszono mnie.

Z ławek publiczności dobiegł szmer zdumienia.

Oskarżyciel zwrócił się do sędziów.

– W świetle powyższych okoliczności wnoszę o przerwę w rozprawie.

– Wyrażam zgodę – warknął przewodniczący.

Manny został odprowadzony do poczekalni. Poczęstowano go kawą z termosu i nieapetyczną kanapką z wędliną. Dwie godziny później znów znalazł się na sali rozpraw. I ponownie woźny zwrócił się do podsądnego:

– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Kukuszkin, przygarbiony, wymamrotał coś niewyraźnie. Sędzia kazał mu powtórzyć to głośniej.

– Potwierdzam to, co zeznałem, na piśmie – powiedział więzień. – Przyznaję się do wszystkiego.

– To dlaczego dwie godziny temu mówiliście inaczej? – zapytał oskarżyciel.

– Nie potrafiłem wyznać tego przed całym światem – odparł Kukuszkin.

– Instynktownie unikałem prawdy, żeby przedstawić moją zradę w nieco lepszym świetle. Błagam Wysoki Sąd o uwzględnienie mojego obecnego

oświadczenia, a mianowicie, że całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń przyznaję się do winy i do wszelkich postawionych mi zarzutów. Biorę na siebie całą odpowiedzialność za moje zbrodnicze i zdradzieckie czyny.

Prokurator przyjął to oświadczenie pełnym zadowolenia skinieniem głowy.

– Oskarżony Kukuszkin przyznaje, że przekazywał tajemnice państwowe agentowi Centralnej Agencji Wywiadowczej?

– Przyznaję się do tego jawnie i w pełni potwierdzam.

– Oskarżony Kukuszkin przyznaje, że spotkał się z tym samym agentem w Moskwie, we wcześniej ustalonym miejscu i czasie?

– Tak.

Prokurator zaszeleścił notatkami.

– Bez odpowiedzi pozostaje pytanie: dlaczego człowiek taki jak Siergiej Kukuszkin, urodzony, wychowany i wykształcony w ludowej ojczyźnie, sprzeniewierzył się wpajającym mu od dzieciństwa wartościom, zatraciwszy z czasem elementarne poczucie lojalności i obowiązku, by w końcu dopuścić się zdrady?

Kukuszkin wyrecytował jednym tchem, jakby nauczył się odpowiedzi na pamięć:

– Padłem ofiarą własnej zgnilizny moralnej. Zgubiła mnie zawiść, próżność, hulaszczcze życie i alkoholizm. Stałem się degeneratem, a później zdrajcą.

– Czy agent CIA, z którym się spotykałeś, jest obecny na sali rozpraw? – zapytał sędzie.

– Tak. – Kukuszkin uniósł palec i wskazał na Manny'ego, unikając jego wzroku. – To on.

– Spójrzcie na niego, aby się upewnić, czy to na pewno ten człowiek – polecił sędzia.

Kukuszkin niechętnie odwrócił głowę i popatrzył na Amerykanina. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały.

– Tak, to on – powtórzył oskarżony.

Wtedy przemówił prokurator.

– Wysoki Sądzie, człowiek ów, jako agent Centralnej Agencji Wywiadowczej, nie jest chroniony immunitetem dyplomatycznym. Zostanie mu wytoczony osobny proces. Amerykański szpieg zaprzecza oczywistym faktom. Zaprzecza, że został wysłany do Moskwy, aby nakłonić zdrajcę Kukuszkiną do kontynuowania jego perfidnej działalności tutaj, w Moskwie, w samym sercu naszej ojczyzny. Zaprzecza, iż biegle włada językiem rosyjskim, choć nawet dziecko by odgadło, że doskonale rozumie, o czym mówimy. Popatrzcie, jak czujnie wodzi wzrokiem po sali, wsłuchując się w każde słowo!

Sędzia zwrócił się do Manny'ego.

– Znacie zdrajcę Kukuszkiną?

Prawdin nachylił się do niego i przetłumaczył pytanie na angielski, po czym wyszeptał gorączkowo:

– Skorzystajcie z tej szansy! Powiedzcie prawdę, to zrobi dobre wrażenie na sędziach. Kukuszkin i tak zostanie skazany. Ma to, na co zasłużył. A wy ratujcie własną skórę.

Manny wstał.

– Wysoki Sądzie! – zaczął. – Znam oskarżonego...

Wśród publiczności zapanowało poruszenie, a panna Crainworth podniosła wzrok znad swoich notatek. Sędzia głośno stuknął młotkiem, żeby uciszyć salę.

– Jestem turystą – ciągnął Manny. – Przyjechałem do Związku Radzieckiego z wycieczką. Przyznaję, że oddaliłem się od swojej grupy i chcąc zobaczyć ciekawe miejsca, których nie mieliśmy w programie, zawędrowałem na cmentarz Nowodziewiczy. To tam spotkałem oskarżonego, pierwszy i jedyny raz w życiu. Widząc, że jestem cudzoziemcem, zapytał mnie po angielsku o wrażenia z pobytu w waszym kraju. Nigdy nie miałem nic wspólnego z Centralną Agencją Wywiadowczą.

Drobna, zasuszona kobieta, która stenografowała zeznania Manny'ego, przetłumaczyła jego słowa na rosyjski. Sędzia powiedział:

– Zapiszcie w protokole, iż Amerykanin zaprzecza, że jest agentem obcego wywiadu.

Skinął na oskarżyciela.

– Możecie przystąpić do mowy końcowej.

Prokurator wstał.

– Wzywam Wysoki Sąd do uznania winy oskarżonego i żądam dla niego najwyższego wymiaru kary. Sprawa zdrajcy Kukuszkinina powinna posłużyć jako przestroga. Grób ohydneho zdrajcy porosną zielsko i trawa, ale dla nas i dla naszej ludowej ojczyzny słońce będzie świecić nadal. Ufnie patrząc w przyszłość, wierni partii i jej przywódcom, kroczyć będziemy drogą komunizmu, oczyszczoną z obmierzłych chwastów zdrady!

Gdy oskarżyciel skończył, przemówił obrońca.

– Wysoki Sądzie, oskarżony przyznał się do winy, a ja w pełni przychyliam się do wniosku mojego wielce szanownego kolegi. Wszystko już zostało powiedziane. Pragnę jedynie podkreślić, iż mój klient wyraził szczerą, choć spóźnioną skruchę, i proszę, by Wysoki Sąd zechciał wziąć to pod uwagę, nim wyda surowy i sprawiedliwy wyrok.

Sędziowie udali się na naradę. Po dwudziestu pięciu minutach wrócili na salę rozpraw. Przewodniczący kazał oskarżonemu powstać.

– Czy chcecie coś jeszcze powiedzieć przed ogłoszeniem wyroku?

Kukuszkin odezwał się bezbarwnym głosem:

– Mój los nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko dobro Związku Radzieckiego.

Sędzia zdjął czerwoną czapkę i włożył czarną.

– Siergieju Siemionowiczu Kukuszkinie! – przemówił uroczyście. – Degeneraci i renegaci tacy jak wy budzą oburzenie i odrazę w każdym radzieckim człowieku. Pocieszający jest jednak fakt, iż w naszym zdrowym społeczeństwie zdrajcy są gatunkiem ginącym, przejściowym ogniwem ewolucji. Niech wasz los stanie się dla nas wszystkich przestrogą! Upiory przeszłości nie śpią i czekają tylko sposobnej chwili, by wychynąć na światło dnia. Ale my będziemy czujni i nieustępliwi. Wykorzenimy zło! Nie pozwolimy szerzyć się zgniliznie! Dlatego uznaję was za winnego wszystkich postawionych wam zarzutów i skazuję na śmierć przez rozstrzelanie. Posiedzenie skończone.

W ławkach publiczności rozległy się głośnie oklaski.

– Precz ze zdrajcami ojczyzny! – krzyknął ktoś z ostatniego rzędu.

Kukuszkin potoczył po sali nieobecny wzrokiem i przez ułamek sekundy zatrzymał spojrzenie na Mannym. Wargi Rosjanina wykrzywiły się nieznacznie w ironicznym uśmiechu. Odwrócił się i wyciągnął przed siebie rękę. Strażnik założył mu kajdanki. Ze skutymi dłońmi i spętanymi nogami, Kukuszkin drobnym kroczkiem opuścił salę rozpraw.

W ciszy poprzedzającej świt Manny został nagle zbudzony z niespokojnego snu przez dźwięk zamykanych żelaznych drzwi

w korytarzu i odgłos kroków przed całą. Pod sufitem zabłysła żarówka. Ktoś przekręcił klucz w zamku i w progu stanął Kukuszkin. Manny usiadł na pryczy, podciągając koc pod brodę. Siergiej, wciąż ze skutymi nogami, podreptał po kamiennej posadzce i przycupnął obok łóżka.

– Cześć, Manny – powiedział ledwie słyszalnym, ochrypłym szeptem.

Manny wiedział, że ich rozmowa będzie nagrywana, może nawet filmowana. Ostrożnie dobierał słowa.

– Zdaje się, że sprawy przybrały dla ciebie nieciekawy obrót. Chciałbym, żebyś wiedział... – urwał w połowie zdania.

Kukuszkin skulił się w sobie i jakby zmałał.

– Mam być stracony o świcie – oznajmił.

Manny drgnął jak uderzony obuchem.

– Chciałbym... gdybym tylko mógł coś zrobić...

– Możesz.

– Co takiego?

– Dla mnie już nic. Ale jest jeszcze Jelena... i moja córka...

Manny dostrzegł udrękę w jego oczach.

– U nas, w Związku Radzieckim, rodzina wroga ludu jest szykanowana... Napiętnowana. Starłem się je chronić, ale oni z góry założyli, że moja żona, a nawet siedmioletnia córka, wiedziały o mojej... działalności. Zostaną zesłane do łagru na piętnaście lat. Jelena, ze swoim chorym sercem, nie przeżyje tam nawet dwóch tygodni. A mała nie przeżyje śmierci matki.

– Nie bardzo widzę...

– Posłuchaj, Manny, przejdę od razu do rzeczy. Przysłali mnie tu, żebym ci zaproponował ugodę. To dla nich ważne, ze względu na międzynarodową

opinię, abyś się przyznał publicznie, że jesteś oficerem CIA.

– Ale nie jestem...

Kukuszkin uniósł dłoń.

– W zamian za nakłonienie ciebie do współpracy przyrzekli mi, że nie ukarzą Jeleny i mojego dziecka. Czy ci się to podoba, czy nie, ich los jest w twoich rękach...

Odwrócił wzrok, przygryzając dolną wargę. Kiedy się opanował, powiedział:

– Jesteś mi to winien, Manny. A ja proszę cię, żebyś spłacił ten dług. Błagam cię. Mężniej zniosę śmierć, ze spokojniejszym sumieniem, jeśli będę wiedział, że zrobisz to dla mnie.

Manny miał dziwne uczucie, że Ziemia nagle zawirowała szybciej wokół własnej osi. Myśli przelatywały mu przez głowę jak szalone. Spojrzał na przygarbiony wrak człowieka, skulony w nogach więziennej pryczy. Potem skinął z rezygnacją głową.

– Dobra – wyszeptał. – Zrobię to, co należy.

Kukuszkin odpowiedział mu tym samym gestem i położył rękę na piersi.

– Dziękuję ci z całego serca – odparł.

Manny przez resztę nocy nie zmrużył oka. Leżał ze wzrokiem utkwionym w okienną szparę pod sufitem, uczulony na każdy najdrobniejszy jęk czy zgrzyt, dobywający się z przepastnych lochów Łubianki. Myślał o Leo Kritzkym, odizolowanym w prywatnych kazamatach Angletona... A niech gnije w więzieniu do końca swoich dni. Choć tyle należy się Kukuszkinowi od Firmy! Kiedy do celi wdarł się świt, Manny usłyszał krzątającą się po podwórzu śmierć. Wtoczono wóz na kołach o stalowych obręczach. Po chwili rozległy się głuchoe kroki plutonu

egzekucyjnego, maszerującego po kocich łbach. Od murów odbiła się echem komenda. Stuknęły o bruk obcasy podkutych butów i kolby karabinów. Ciężkie drzwi rozwarły się ze zgrzytem. Wyprowadzono skazańca. Padły krótkie, urywane rozkazy. Manny podciągnął kolana pod brodę i wstrzymał oddech. Zza okna dobiegł szcęk ładowanej broni. Dobrze znany głos, który zabrzmiał teraz dziwnie obco, zawołał: „Jesteś mi to winien, Manny!” Huk wystrzałów. Cisza. Z dachu Łubianki poderwało się do lotu stadko gołębi i wzbiło w stalowoszare niebo. Znów zadźwięczały podkute buty, a zaraz potem rozległ się jeszcze jeden, ostatni strzał, który zabrzmiał w pustej celi jak smagnięcie batem, przesywając fizycznym niemal bólem duszę i ciało Manny’ego. Wóz na żelaznych kołach znów potoczył się z turkotem przez podwórze. Na kocie łby chlusnął strumień wody ze szlauchu. A potem zapadła przejmująca cisza, jakiej Manny nie słyszał jeszcze nigdy w życiu.

Śledczy zapytał, czy więzień chce zapoznać się z tłumaczeniem swoich zeznań na angielski, zanim ostatecznie je podpisze.

– Czemu nie? – odparł Manny.

Podniósł do światła kartkę, starannie przepisana na maszynie.

Ja, niżej podpisany, Immanuel Ebbitt, oświadczam, iż poniższe dane i fakty są całkowicie i ponad wszelką wątpliwość zgodne z prawdą. Punkt pierwszy: jestem etatowym pracownikiem Centralnej Agencji Wywiadowczej, agentem amerykańskiego wywiadu w służbie czynnej. Punkt drugi: byłem oficerem prowadzącym radzieckiego zdrajcę Siergieja Siemionowicza Kukuszkiną, który przeszedł na stronę USA w czasie, gdy pełnił funkcję attaché politycznego w ambasadzie ZSRR w Waszyngtonie. Punkt trzeci: podszywając się pod zwykłego turystę, przyjechałem do Moskwy, by spotkać się z Kukuszkinem podczas jego urlopu i nakłonić go do dalszej współpracy z CIA.

Manny przebiegł wzrokiem tekst dokumentu. Wszystko się zgadzało. Przyznał się do powiązań z Kukuszkinem, ale stanowczo odmówił wyjawienia szczegółów operacyjnych i podania nazwisk oficerów i agentów Firmy; KGB poszedł na to, wychodząc zapewne z założenia, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Sięgnął po leżące na biurku wieczne pióro i podpisał się na dole strony obu wersji, rosyjskiej i angielskiej.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz zaczniemy przygotowania do publicznego procesu.

– Czy mogę prosić o jedną przysługę?

– Słucham.

– Chciałbym zmienić adwokata.

– Towarzysz Prawdin jest jednym z najlepszych obrońców w Moskwie...

– Nie podważam jego kompetencji – odparł Manny. – Po prostu nie mogę znieść jego nieświeżego oddechu.

WASZYNGTON, DC, NIEDZIELA, 8 WRZEŚNIA 1974

W kłębach dymu Angleton wyglądał jak zjawą z zaświatów.

– „Prawda” opublikowała fotografię zeznania i artykuł o egzekucji „zdrajcy Kukuszkina” – mówił. – Moi ludzie sprawdzili podpis. Są przekonani, że to pismo Manny’ego.

– Musieli mu podać jakieś narkotyki – wtrącił Ebby. – Nie widzę innego wyjaśnienia.

Jack położył mu dłoń na ramieniu.

– Może został... zmuszony – odezwał się cicho. – Mam na myśli przymus fizyczny. Albo przehandlował zeznania w zamian za...

Zamilkł. Słowa uwięzły mu w gardle.

– ...własne życie – dokończył za niego Angleton. – Czy to chciałeś powiedzieć, Jack?

– Dzięki za szczerść – wycodził chłodno Ebby.

Angleton włożył do ust kolejnego papierosa, zgniótł pustą paczkę i wrzucił ją do kosza.

– Sam przecież mówiłeś, Elliott, że twój syn jest świadomym swoich czynów dorosłym człowiekiem. Jadąc tam, wiedział, co robi.

– Tak, wiedział – przyznał Ebby. – A teraz trzeba go stamtąd wydostać, chociaż jest... dorosły.

Gdy wieczorem, po zakupach w GUM-ie, Immanuel Bridges nie zjawił się na kolacji w hotelu „Metropol”, opiekujący się wycieczką pilot

z Trailblazera zadzwonił do amerykańskiej ambasady. Personel placówki nie przejął się tym zbytnio – od czasu do czasu jakiś gość zawieruszał się gdzieś z jedną z prostytutek, okupujących przejścia podziemne w pobliżu Kremla, i wracał po dniu lub dwóch, z potwornym kacem i bez portfela. Niemniej podjęto stosowne kroki i sprawdzono wszystkie posterunki milicji i szpitale. Następnego ranka, kiedy po zaginionym turyście nadal nie było ani widu, ani słyhu, zastępca sekretarza oficjalnie powiadomił o tym fakcie radzieckie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Departament Stanu w Waszyngtonie. Depesza do Foggy Bottom przeszła, jak zwykle, przez ręce CIA. W Langley uderzono na alarm. W biurze Ebby’ego zebrali się oficerowie z grupy zadaniowej celem omówienia sytuacji. Niestety, dotąd błakali się tylko w gąszczu pytań. Czy i gdzie udało się Manny’emu spotkać z AE/PINAKLEM? Czy KGB podejrzewał Manny’ego? Czy był on śledzony? Może dowiedzieli się, że Kukuszkin szpiegował dla Amerykanów? Czy choroba teścia i jego zgon zostały sfingowane, żeby ściągnąć do Moskwy Kukuszkiną i jego rodzinę, zanim CIA zdąży zapewnić im ochronę? A jeśli Kukuszkiną aresztowano, czy złamie się na przesłuchaniu i wyda Manny’ego?

Dwa dni po zniknięciu młodego Ebbitta Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poinformowało ambasadę, iż amerykański obywatel nazwiskiem Bridges Immanuel został schwytany na gorącym uczynku podczas tajnej schadzki z radzieckim dyplomatą i zatrzymany. Wicekonsul Elizabeth Crainworth (w rzeczywistości agentka CIA, przydzielona do moskiewskiej placówki) udała się do więzienia na Łubiance, żeby porozmawiać z aresztowanym. Nieświadoma (ze względów bezpieczeństwa placówkę w Moskwie wyłączono z kręgu wtajemniczonych), że rozmawia z oficerem Agencji, który przyjechał z misją specjalną do ZSRR,

zameldowała, iż Bridges zaprzeczył postawionym mu przez stronę sowiecką zarzutom, utrzymując, że jest zwyczajnym turystą.

Tymczasem agencja Associated Press przedrukowała opublikowany na łamach „Prawdy” artykuł o egzekucji Kukuszki i zeznaniach Manny’ego. Lampka centrali telefonicznej w biurze rzecznika prasowego Firmy nie przestawała świecić, bo wszystkie amerykańskie gazety usiłowały wydusić z CIA oświadczenie w tej sprawie. Ci, którym udało się połączyć z którymś z podwładnych Millie Owen-Brack, musieli się zadowolić standardową formułką, iż „Centralna Agencja Wywiadowcza nie komentuje tego typu informacji”. Dyrektor Colby został natychmiast wezwany do Białego Domu w celu wyjaśnienia wzburzonemu prezydentowi Fordowi (który właśnie rozpętał burzę, uwalniając Richarda Nixona od kary za wszystkie „rzeczywiste lub domniemane przestępstwa federalne, popełnione w trakcie pełnienia urzędu”), dlaczego Firma wysłała do Związku Sowieckiego oficera bez dyplomatycznej przykrywki. W korytarzach Langley aż wrzało od plotek na temat nieudanej akcji, określanej jako „sromotna klęska wywiadu”. W obliczu szerzących się pogłosek o egzekucji Kukuszki i zeznaniach Manny’ego wtajemniczeni w sprawę agencji i oficerowie zwarli szeregi. Co chwila ktoś wpadał do biura na szóstym piętrze, żeby wyrazić Ebby’emu swoje poparcie. Jack i Ebby, wraz ze ścisłym gronem zaufanych współpracowników, głowili się bez przerwy, próbując znaleźć wyjście z sytuacji i obmyślić dalszy plan gry. Podczas jednej z takich sesji wyłoniło się rozwiązanie. Już się wydawało, że utknęli w martwym punkcie, gdy Jack nagle skoczył na równe nogi.

– Cholera! – wykrzyknął. – Przecież to jasne jak słońce! Żeby wyciągnąć stamtąd Manny’ego, trzeba go wymienić na kogoś, kto jest bardzo cenny dla KGB.

– O kim myślicie? – zapytał Colby.

Ebby zerknął na Jacka, po czym spojrzał niepewnie na dyrektora.

– No, wyduś to z siebie, Elliott – nalegał Colby.

– Jeżeli prawidłowo odczytuję wszelkie znaki na niebie i ziemi – odezwał się w końcu Ebby – proces i egzekucja Kukuszkina dowodzą, iż AE/PINAKIEL był autentycznym zbiegiem, a to oznacza, że jego informacje także były prawdziwe...

– Niełatwo mi to powiedzieć – wtrącił Jack – ale Jim miał rację. Leo Kritzky to SASZA.

Angleton siedział z przymkniętymi powiekami, uważnie przysłuchując się ich rozmowie.

– Chwileczkę – powiedział. – Wiem, o co wam chodzi. I już odpowiadam: po moim trupie.

Ebby odwrócił się do niego gwałtownie.

– Jedno pytanie, Jim. Złamałeś Leo? Przyznał się, że jest sowieckim agentem?

– Jeszcze nie.

– Jeszcze nie – powtórzył Jack, patrząc wymownie na Colby'ego. – Jim trzyma go pod kluczem już ponad trzy miesiące. Jakiś czas temu poszedłem go odwiedzić i mogę was zapewnić, że miejsce, w którym przebywa, w niczym nie przypomina luksusowego hotelu. Gdyby miał się załamać, już by to zrobił. Będzie upierał się do upadłego, że jest niewinny. Prędzej zgnije w tym lochu, niż się przyzna.

– Od razu widać, że nigdy nie łowiliście „na muchę” – wycedził leniwie Angleton. – Kiepscy z was wędkarze, co mnie zresztą wcale nie dziwi... Nie starcza wam cierpliwości. Zapewniam was, że prędzej czy później Kritzky się ugnie. Wszyscy tak kończą. A kiedy to nastąpi, dobierzemy się do prawdziwej żyły złota: dowiemy się, co zdradził wrogowi przez te

wszystkie lata, poznamy tożsamość Dziadka i szczegóły operacji CHOLSTOMIER...

– A co zrobisz, jeśli mimo wszystko nie zechce mówić? – zapytał Angletona Jack.

– Nie masz zbyt wiele do wyboru, Jim – wtrącił Ebby. – Możesz mu wytoczyć proces. Ale wówczas trzeba będzie powołać świadków i ujawnić sekrety Firmy. Możesz też trzymać go w więzieniu aż do śmierci, tu jednak mogłyby zaistnieć pewne komplikacje natury moralnej i prawnej. Wyobraź sobie, że jakiś kongresman albo dziennikarz rozgłasza wszem wobec, że „CIA dożywotnio więzi domnianego sowieckiego kreta, odmawiając mu prawa do uczciwego procesu”. Już widzę ten skandal! Afera Watergate to przy tym naruszenie zakazu parkowania... – Zwrócił się do Colby’ego. – Wymiana Leo na Manny’ego to niezła gratka dla KGB... Jest szansa, że na to pójda.

Colby z wolna pokręcił głową.

– Będę myślał na głos – powiedział. – Jeżeli przekazemy Kritzky’ego Sowietom, zaczną o tym trąbić na wszystkie strony. To woda na ich młyn... Triumf komunistycznej propagandy. On nadal będzie zaprzeczać, jakoby kiedykolwiek pracował dla Rosjan, opowiadać, jak bezprawnie przetrzymywano go w warunkach urągających ludzkiej godności. Będzie wściekły i rozgoryczony... Nic dziwnego, że pałając słusznym gniewem, ujawni światu tajemnice, które udało mi się zataić przed Kongresem. Zdradzi tożsamość naszych agentów i szczegóły bieżących operacji, że nie wspomnę już o tych, w których sam uczestniczył przez dwadzieścia trzy lata służby: Iran, Gwatemala, Kuba... – Dostrzegł wyraz bólu na twarzy Ebby’ego. – Chciałbym, abyście mnie dobrze zrozumieli... W zasadzie nie jestem przeciwny wymianie jednego z nich na jednego z naszych. Ale prehandlowanie Kritzky’ego odpada.

Ebby wstał i podszedł do okna. Colby zaczął zbierać swoje papiery.

Jack wbił wzrok w siedzącego naprzeciwko Angletona.

– Jest wiele sposobów, żeby obedrzeć kota ze skóry – mruknął pod nosem.

– Masz jakiś inny pomysł? – zapytał Colby.

– Mam. Znam kogoś, kogo moglibyśmy wymienić za Manny’ego.

Niezwykle chudy, elegancko ubrany mężczyzna około pięćdziesiątki zniknął w męskiej toalecie w foyer hotelu „Hay-Adams” na Szesnastej Ulicy. Oddał mocz do jednego z pisuarów, po czym umył ręce i osuszył je papierowym ręcznikiem, który wrzucił do kosza. Zdjął grube okulary, wyczyścił je chusteczką i ostrożnie założył z powrotem. Przyjrzał się sobie w lustrze, poprawił krawat i paznokciem zaczął wydłubywać resztki jedzenia spomiędzy zębów. Sprzątaczkę, Portorykańczyka, skończył myć podłogę, zabrał szczotkę, szmatę i wiadro, a potem wyszedł z toalety, zostawiając mężczyznę samego. Ten otworzył środkową kabinę, stanął na muszli klozetowej, sięgnął do rezerwuaru i wyjął owiniętą prezerwatywą paczuszkę. Idąc do drzwi, wyrzucił prezerwatywę do kosza z papierowymi ręcznikami, a paczuszkę schował w kieszeni marynarki. Wszedłszy do holu, ujrzał przed sobą kilku ludzi w ciemnych trzyczęściowych garniturach. Jeden z nich postąpił krok do przodu i zamachawszy w powietrzu identyfikatorem ze srebrną odznaką, wylegitymował się jako agent Sibley z Federalnego Biura Śledczego. Inny zręcznym ruchem założył mężczyźnie kajdanki. Stojący z boku kamerzysta filmował całe zajście. W foyer „Hay-Adams” zebrał się spory tłumek gapiów.

– Raymondzie Shelton, jest pan aresztowany pod zarzutem przekazywania obcym służbom wywiadowczym poufnych informacji i działalności na szkodę Stanów Zjednoczonych Ameryki – oznajmił Sibley.

Shelton, najwyraźniej przerażony, wyjąkał:

– To jakaś pomyłka...

Agent FBI uśmiechnął się, jakby rozbawiony podobnym przypuszczeniem.

– Mam przyjemność z panem Raymondem W. Sheltonem, zatrudnionym w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego?

– Tak, to ja. Ale nie rozumiem...

– Zaraz pan zrozumie.

Sięgnął do kieszeni Sheltona i wyjął z niej paczuszkę zabraną z rezerwuaru w hotelowej toalecie, otworzył pod okiem kamery i wytrząsnął zawartość na stół. Był tam plik pięćsetdolarowych banknotów, cztery maleńkie kasety na mikrofilmy, czysta kartka papieru (z którą Sibley obchodził się nader ostrożnie, by nie zatrzeć znajdującego się na niej tajnego tekstu) oraz dwa pudełka zapalek, z wypisanymi odręcznie tabelami jednorazowych kodów. Inny agent wyciągnął kartkę i odczytał donośnym głosem: „Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu w trakcie dochodzenia i podczas procesu. Ma pan prawo powołać swego adwokata lub zażądać przydzielenia obrońcy z urzędu”.

– O Boże, Ardyn, co tu się właściwie dzieje? – wyszeptała do recepcjonisty siwowłosa kobieta.

– To nie do wiary, pani Williams, ale zdaje mi się, że FBI właśnie złapało przestępcę.

– Pomyśleć tylko, że tu, w „Hay-Adams”... Jakie to ekscytujące! – wykrzyknęła kobieta. – Będę miała co opowiadać dzieciom, kiedy wrócę do Memphis!

Gdy wieść o zniknięciu Manny’ego dotarła do Langley, dwóch jego najbliższych przyjaciół z Sekcji Sowieckiej zjawilo się w biurze Nellie, żeby ją o tym zawiadomić. Powiedzieli, że Manny, który jakiś czas temu wyjechał do Moskwy jako turysta, nie wrócił wczoraj wieczorem na kolację do hotelu „Metropol”. Dotąd nikt nie ma pojęcia, co się mogło stać. Personel ambasady sprawdził posterunki milicji i szpitale. Jeżeli coś będzie wiadomo, natychmiast dadzą jej znać.

Wkrótce potem do Nellie zadzwonił Ebby. Powinna zrozumieć, że niewiele jej może w tej chwili powiedzieć, bo to nie jest rozmowa na telefon. Udało się stwierdzić z całą pewnością jedynie to, że Manny nie wrócił na noc do hotelu, ale powód jego zniknięcia może okazać się całkiem niewinny. Uważasz, że nie ma się czym przejmować, jeśli leży z rozbitą głową w jakiejś ciemnej uliczce? – wybuchnęła Nellie. Boicie się tylko o to, żeby go nie aresztowali! Opanowała się jednak i dodała po chwili, że bardzo jej przykro. Wie przecież, że Ebby’emu też jest ciężko. Wszystkim nam jest ciężko, Ebby westchnął przygnębiony, a w jego głosie brzmiała troska. Może przeniesiesz się do nas na jakiś czas, dopóki to wszystko się nie skończy? – zapytał jeszcze, zanim odłożył słuchawkę.

Tego wieczoru Ebby nie wrócił z Langley do domu. Elizabet i Nellie czekały na niego do drugiej, pijąc jedno daiquiri po drugim w ciemnym pokoju, oświetlonym jedynie widmowym blaskiem włączonego telewizora. Na ekranie przesuwały się bezgłośnie sceny nocnego filmu *Pięć łatwych utworów*. Chcąc przerwać ciszę, Nellie zapytała matkę o Węgry. Elizabet niechętnie mówiła o przeszłości, ale pod wpływem alkoholu rozwiązał jej się język.

– Podobno młodzi ludzie na uniwersytecie nadal recytują jego wiersze – powiedziała.

– Jak długo byliście razem? – dopytywała się Nellie.

Elizabet uśmiechnęła się w półmroku.

– Nigdy nie byliśmy razem, Arpád i ja. Nasze drogi krzyżowały się nieustannie, najczęściej w łóżku... Żarliwy i bezwzględny, był na swój sposób despotą, zaślepionym poetycką wizją wolności mas. Wolność jednostki – moja wolność – niewiele dla niego znaczyła.

– Zabili go podczas rewolucji.

– To rewolucja go zabiła. Swoimi wierszami pchnął naród do tragedii. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, zrobił to, co należało zrobić: zastrzelił się.

– Mówiłaś mi, że zginął – wyszeptała Nellie – ale nigdy nie wspominałaś, że popełnił samobójstwo. – Jednym haustem wypła resztkę drinka ze szklanki i machinalnie zaczęła ssać kostkę lodu. – Kochałaś go? – spytała.

Elizabet zastanowiła się przez chwilę.

– Nie pamiętam – odrzekła.

– Jak możesz tak mówić? – zachnęła się Nellie. – Jak możesz mówić, że nie pamiętasz, czy kochałaś mojego ojca?

– Jestem po prostu szczerą. Pewnie wydawało mi się, że przeżywam wielką miłość... Ale kiedy zakochałam się w Elliocie, wszystko przestało się dla mnie liczyć.

– Gdyby coś stało się Manny’emu... – Nellie zaczerpnęła powietrza i przycisnęła ręce do piersi, a gdy ból ustąpił, dokończyła: – Gdyby coś mu się stało, nigdy nie zapomnę, jak bardzo go kocham. Nic... nikt... Nieważne, ile czasu upłynie. Nigdy nie wymażę tego z pamięci.

Elizabet wyciągnęła ręce, a Nellie padła jej w objęcia. Ciałem dziewczyny wstrząsało bezgłośnie łkanie, po policzkach strumieniem płynęły łzy.

Wiadomość o aresztowaniu Manny'ego napełniła obydwie kobiety ulgą. Wiedziały przynajmniej, że żyje. Ebby wpadł pod wieczór, ale tylko po to, żeby wziąć prysznic, ogolić się i zmienić ubranie, po czym pospieszył z powrotem do Langley. Chciał trzymać rękę na pulsie.

Wreszcie nadeszły dobre wieści. Zadzwoił Jack.

– Chyba się uda – powiedział do Nellie.

Zakryła dłonią słuchawkę.

– Jack uważa, że będzie dobrze – szepnęła do matki.

Elizabet wyrwała jej słuchawkę.

– Jesteś pewien?

– Będę pewien, kiedy znajdzie się z powrotem po naszej stronie żelaznej kurtyny – odparł. – Ale myślę, że to wypali.

Nellie odsunęła matkę od telefonu.

– Jak chcecie go stamtąd wydostać? – zapytała.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Spakuj torbę i bądź gotowa do podróży.

– Gdzie mam jechać?

– Nie zadawaj głupich pytań. Ebby chciał, żebyście wiedziały, że nie siedzimy z założonymi rękami. Jest nadzieja, że uda nam się wyciągnąć Manny'ego. Pomyślałem, że chciałabyś przy tym być.

– O kurczę, pewnie, że bym chciała. Dzięki, Jack.

– Nie ma sprawy.

Mgła otulała rzekę Havelę na granicy Berlina i Poczdamu, tłumiąc głuchy dźwięk dzwonów z odległej wieży kościelnej. Gdy wybiła północ, siedem dżipów i wojskowa ciężarówka z zachlapaną błotem czerwoną gwiazdą na drzwiach zatrzymały się po poczdamskiej stronie mostu

Glienicke. Jadący na przodzie samochód mrugnął dwukrotnie światłami. Z zachodniego brzegu odpowiedziały mu dwa mrugnięcia. Tylne klapy ciężarówki opadła z trzaskiem i na szosę wyskoczył wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna w workowatym ortalionie. Stojący na poboczu sowiecki pułkownik zerknął na podświetloną tarczę zegarka. Na jego znak do człowieka w płaszczu zbliżyli się dwaj żołnierze. Poprowadzili go w milczeniu na most i zatrzymali się. Dalej musiał iść sam. Nim przebył połowę drogi, z mgły przed nim wyłoniła się postać mężczyzny w okularach, których grube szkła połyskiwały srebrzyście w zimnym świetle staromodnych żeliwnych latarni. Pośrodku mostu obaj zwolnili kroku. Przystanęli na chwilę, przypatrując się sobie nawzajem z niechętnym zaciekawieniem.

– Znasz rosyjski? – zapytał człowiek w płaszczu.

Okularnik, zbity z tropu, spojrzął na niego zdziwiony i nerwowo przeczesał włosy kościstymi palcami.

– Nie.

Człowiek w płaszczu uśmiechnął się pod nosem.

– Masz pecha, bo będziesz się go uczył przez resztę życia.

Kiedy mężczyzna w okularach znalazł się po tamtej stronie mostu, sowiecki pułkownik podszedł, by go powitać.

– Witajcie w wolnym kraju! – zawołał.

– Wprost nie posiadam się z radości.

Na drugim brzegu rzeki, obok kilku dżipów z wygaszonymi światłami, majaczyły nieruchome sylwetki dwojga ludzi: drobnej, szczupłej dziewczyny i postawnego mężczyzny, który obserwował całą scenę przez lornetkę.

– W porządku, to on – powiedział.

Mężczyzna w płaszczu szedł ku nim coraz spieszniej, dziwnie nierzeczywisty w widmowym blasku latarni. Dziewczyna wybiegła mu naprzeciw.

– To naprawdę ty? – wydyszała, rzucając mu się w ramiona.

Przyłgnęli do siebie i długą chwilę trwali w milczącym uścisku.

– To naprawdę ja.

Mężczyzna z lornetką, wzruszony, uściskał mu dłoń.

– Złamałem jedenaste przykazanie – powiedział człowiek w płaszczu.

– To nie twoja wina – odparł ten drugi. – Zwiedli nas. Znaleźli świetny pretekst, żeby go ściągnąć z rodziną do Moskwy, nie budząc podejrzeń. Wszystko było ukartowane i trzeba przyznać, że rozegrali to po mistrzowsku. Zapewne podejrzewali go już w Waszyngtonie i uprzedzili nasz ruch. Niepotrzebnie tam jechałeś.

– Zginął przeze mnie, tato. Jim Angleton miał rację. Jestem jeszcze zielony. Spieprzyłem sprawę...

Wszyscy troje ruszyli w stronę dżipów.

– Wiem, co czujesz – westchnął mężczyzna z lornetką. – Przechodziłem przez to setki razy. Musisz pogodzić się z tym, że nasz zawód ma również swoją ciemną stronę...

– A są jasne? – wtrąciła dziewczyna.

– Owszem, są – odparł. – Wykonujemy brudną robotę i na ogół nam się udaje. Ale nie za każdym razem... I nie ma na to siły.

Mgła odpłynęła znad rzeki, a nocne powietrze nabrało jakiejś bolesnej ostrości.

– Jest jednak coś, co trzyma nas przy życiu i pozwala zachować zdrowe zmysły – ciągnął, mówiąc teraz bardziej do siebie niż do nich. – To

przekonanie, że są sprawy, którymi warto się zająć, nawet gdyby miało się je spieszyć.

SANTA FE, SOBOTA, 12 PAŹDZIERNIKA 1974

We wczesnych godzinach rannych Jack złapał samolot na lotnisku Dullesa. Po przylocie do Albuquerque wynajął samochód i skierował się na autostradę międzystanową do Santa Fe. Stosując się do mętnych wskazówek Czarnoksiężnika i zatrzymując dwa razy na stacjach benzynowych, żeby spytać o drogę, po mniej więcej godzinie jazdy dotarł do osiedla „Ogrody Edenu”, usytuowanego na wschód od miasta, na skraju pola golfowego. Wielki billboard przed bramą reklamował to miejsce jako „raj na ziemi”, zapewne zgodnie z wizją inwestora, Jack żywił jednak uzasadnione podejrzenia, że inwestor sam tutaj nie mieszkał. Cwaniak! Rozległy kompleks bloków z mieszkaniami własnościowymi oraz bliźniaków zbudowanych z podrabianej na *adobe*^[38] cegły, przylepionych do siebie pod dziwnym kątem, otoczony był wysokim parkanem ze stalowej siatki, zwieńczonym drutem kolczastym z demobilu, aby odseparować mieszkańców od Latynosów z pobliskiej kolonii „Española”. Jack nie zdziwiłby się wcale, gdyby za ogrodzeniem, pod pasem sztucznej murawy, było pole minowe. Uzbrojony ochroniarz w ciemnych okularach dokładnie sprawdził tożsamość gościa.

– Mister Torriti prosił, żeby przekazać panu, że między jedenastą a czwartą można go znaleźć w klubie golfowym – powiedział, odhaczając nazwisko Jacka na liście.

Kierując się wskazówkami wartownika, Jack kluczył jakiś czas w płataninie wąskich uliczek o nazwach upamiętniających dawno zmarłe

gwiazdy filmu, minął boisko, a potem basen w kształcie nerki, zapewne najbardziej wrażliwego narządu inwestora.

– Na miłość boską, Harv, nie wiedziałem, że grywasz w golfa! – wykrzyknął Jack, gdy odnalazł wreszcie Czarnoksiężnika, który siedział samotnie przy barze, sącząc z wolna szkocką z lodem.

– Bo nie grywam – odparł Torriti; uściśnął pulchnymi palcami dłoń swego Ucznia i poufale poklepał go po ramieniu. – Pijam w klubach golfowych. Odgórnie wpisują na listę członków każdego, kto tu kupi mieszkanie. A członkowie mają zniżki przez cały dzień. I całą noc.

Zamówił dla Jacka podwójną szkocką, nie zapominając przy tym o sobie. Wzięli szklanki i talerzyk oliwek i przenieśli się do ustronnego boksu na samym końcu pustego o tej porze baru.

– Gdzie wszystkich wymiotło?

– Grają w golfa. – Torriti wyszczerzył zęby. – Tylko ja nie mam tu kijów. Jedyny na całym osiedlu. – Machnął ręką w stronę budynku na przeciwległym brzegu basenu w kształcie nerki. – To dom emeryta, Jack. Darmowa służba, pokojówki, posiłki na zamówienie z klubowej kuchni... Kiedy cieknie kran, złota rączka puka do twoich drzwi, zanim zdążysz odłożyć słuchawkę. Mieszka tu kilku gości z Langley. W każdy poniedziałek wieczorem spotykamy się na partyjce pokera. Tylko ludzie z Firmy. Sami swoi.

– A poza tym, co porabiasz na tym zadupiu?

– Nie uwierzysz, jak ci powiem.

– Zobaczymy.

– Czytam powieści szpiegowskie. Właśnie wczoraj jedną skończyłem...

Zdrada A.J. Lewintera^[39].

– I...?

– I nie była taka zła, biorąc wszystko pod uwagę.

– To znaczy co?

– Że wiemy, jak to jest naprawdę.

– Czytałeś *Ze śmiertelnego zimna* Johna Le Carré?

Czarnoksiężnik parsknął z pogardą.

– Jak przeczytałem, że szpiedzy to ludzie, którzy z nudów bawią się w Indian i kowbojów, wyrwałem kilka stron i spuściłem z wodą w sedesie. Stek bzdur! A co u ciebie, chłopie? Jak leci?

– Nie narzekam – odparł Jack.

– To co cię sprowadza do Santa Fe? Nie mów mi, że akurat przejeżdżałeś i chciałeś pogadać. Nie kupuję tego.

Jack się roześmiał.

– Chciałem zobaczyć, jak wiedzie się na emeryturze największej szyszce z berlińskiej bazy.

W zaczerwienionych oczach Torritiego zamigotały iskierki rozbawienia, jakby usłyszał dobry dowcip.

– Akurat! Co jeszcze?

– Czytujesz gazety?

– Nie muszę. Dzienniki rozdmuchują każdy drobiazg, dotyczący mojej byłej firmy. Ale i bez tego jestem na bieżąco. Jeden z kumpli od pokera donosi mi o wszystkim. – Wyłowił ze szklanki kostkę lodu i potarł nią powieki. – Słyszałem o tym gościu z NSA, którego wymieniliście za jednego z naszych, jeśli o to ci chodzi. W gazetach napisali, że to jakaś płotka, ale ja nie urodziłem się wczoraj.

Jack pochylił się do przodu i ściszył głos.

– To analityk średniego szczebla, zajmujący się przechwytywaniem sowieckich depesz...

– Czyli Ruscy wiedzieli, co przechwytywaliśmy... A to oznacza, że podsyłali nam samo gówno.

Jack pociągnął łyk szkockiej. Zastanawiał się, czy Czarnoksiężnik złamie się i zamówi na lunch coś oprócz napojów wysokokowych.

– Ale nie wiedzieli, że my wiemy. Teraz już wiedzą.

– Jak do niego doszliście?

– Mieliśmy klienta w sowieckiej ambasadzie. Chciał przejść na naszą stronę, ale namówiliśmy go, żeby szpiegował dla nas na miejscu, dopóki jego służba nie dobiegnie końca. Dał nam cynk na kreta w NSA i opowiedział kilka historyjek, które doprowadziły Jima Angletona do SASZY.

Czarnoksiężnik pokiwał głową. Najwyraźniej był pod wrażeniem.

– To gdzie problem?

– Dlaczego uważasz, że jest jakiś problem?

– Nie byłoby cię tutaj, gdyby wszystko grało.

– Faktycznie, jest coś, co mi nie daje spokoju. Wierzę w twój nos, Harveyu. Więc pomyślałem sobie, że we dwóch jakoś to rozgryziemy.

– Może.

– Jak już powiedziałem, Angleton, opierając się na tych zeznaniach, ustalił tożsamość SASZY. Podobno i tak już go miał na widelcu, to była tylko kwestia czasu, a informacje naszego klienta po prostu przyspieszyły proces, bo dzięki nim dało się zawęzić krąg podejrzanych do dwóch, trzech osób. Tak przynajmniej twierdzi Matka.

– Czuję, że zaraz walniesz z grubej rury...

Jack ściszył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

– To Kritzky. Leo Kritzky.

Torriti cicho gwizdnął.

– Szef Sekcji Sowieckiej! Jezu, toż to powtórka z Kima Philby’ego...
Tyle że tym razem u nas!

– Angleton trzyma go u siebie już cztery miesiące. Daje mu niezły wycisk, ale dotąd nie udało mu się go złamać. Leo twierdzi, że jest niewinny, a Angleton nie potrafi mu udowodnić, że kłamie.

– Jak dla mnie, chłopie, sprawa jest oczywista... Wszystko zależy od tej waszej wtyczki w sowieckiej ambasadzie. Podłączcie go do wariografu. Jeżeli mówi prawdę – Torriti wzruszył ramionami, opiętymi sportową marynarką w krzykliwą kratę – zlikwidujcie SASZĘ i...

– Nie możemy mu zrobić testu wykrywaczem kłamstw – przerwał Jack i opowiedział, jak żona Kukuszkin wyjechała nagle z córeczką do Moskwy, żeby czuwać przy umierającym ojcu, a sam Kukuszkin dołączył do nich dzień później.

– I co z tym ojcem? Umarł?

– O ile nam wiadomo, to tak. Był pogrzeb i nekrologi w gazetach...

Torriti lekceważąco machnął ręką.

– Też na to wpadliśmy, Harv. Wysłaliśmy do Moskwy oficera, który tutaj prowadził Kukuszkin. Miał się z nim spotkać i wyjaśnić sprawę.

– Bez przykrywki dyplomatycznej.

– Bez przykrywki – przyznał Jack.

– Aresztowali go. Przyznał się, że jest z CIA. A potem wymieniliście go na kreta z NSA.

Jack ponuro patrzył w swoją szklanę.

– Kto był tym oficerem?

– Syn Ebby’ego, Manny.

Torriti skrzywił się.

– Nigdy nie lubiłem tego Ebbitta... Nieważne... Co młody powiedział, kiedy wrócił?

– Był na procesie Kukuszkina. Słyszał jego zeznania. I werdykt. Kukuszkin odwiedził go w celi. Prosił, żeby Manny się przyznał, że jest z CIA. Chciał ocalić swoją rodzinę. Dlatego chłopak się złamał... Zrobił to, żeby zostawili w spokoju tamtą kobietę i jej dziecko. Tej samej nocy słyszał, jak pod jego oknem rozstrzelano Kukuszkina...

– Skąd miał pewność, że to on?

– Kukuszkin krzyknął tuż przed śmiercią. Manny rozpoznał jego głos.

Czarnoksiężnik żuł przez chwilę oliwkę, wypluł pestkę i wrzucił ją do popielniczki.

– Co cię trapi, synu?

– Żołądek. Jestem głodny.

Torriti odwrócił się do Latynoski siedzącej na stołku za kasą.

– *Dos BLT sobre tostado*, kotku! – zawołał. – *Dos cervezas también*^[40].

– Nie wiedziałem, że znasz hiszpański, Harveyu – powiedział Jack.

– Bo nie znam. Powiesz mi wreszcie, co cię gnębi?

Jack bawił się chwilę solniczką, obracając ją w palcach.

– Leo Kritzky i ja bardzo się przyjaźniliśmy, Harv. Mieszkaliśmy razem w Yale. Jest ojcem chrzestnym mojego syna... Na miłość boską! Widzisz, odwiedziłem go w tej czarnej dziurze Angletona. Matka każe mu pić wodę z klozetu.

Czarnoksiężnik nie widział w tym nic złego.

– I co z tego?

– Po pierwsze, Leo jeszcze się nie złamał. Pokazałem mu wyjście, przekonywałem, że wcale nie musi spędzić w więzieniu reszty życia. Powiedział, żebym się odpierdolił.

– Wziąwszy pod uwagę, że straciłeś masę czasu i forsy, żeby tu przyjechać, mniemam, że jest i „po drugie”...

– Po drugie, Leo powiedział coś, co od tamtej pory nie daje mi spokoju. Był absolutnie pewien, że nasz klient nie przejdzie testu wariografem. – Jack zapatrzył się w okno, starając się wiernie powtórzyć słowa przyjaciela. – Uważał, że Kukuszkin zginie pod kołami samochodu albo napadnięty w jakiejś ciemnej uliczce, albo też zostanie wezwany do kraju pod byle pretekstem. Ale nigdy nie podłączymy go do wykrywacza kłamstw, bo nigdy nie przejdzie na naszą stronę, a nie przejdzie na naszą stronę, bo to fałszywy zbieg, podstawiony po to, żeby Angleton uwierzył, że SASZA to Kritzky, co odciągnie uwagę Firmy od prawdziwego kreta. I wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak przepowiedział Leo.

– Wasz klient nie przeszedł testu, bo pojechał do Moskwy na pogrzeb. A potem został aresztowany, skazany i stracony.

– Co o tym myślisz, Harveyu?

– Co ja myślę? – Torriti zastanawiał się przez chwilę. Potem złapał się za nos. – Myślę, że coś mi tu śmierdzi.

– Ja też tak sądzę.

– Wiem. Inaczej byś tu nie przyjeżdżał.

– Co robić? Jak się do tego zabrać?

Latynoska kelnerka pchnęła wahadłowe drzwi kuchni, niosąc tacę. Postawiła talerz z kanapkami i piwo na stoliku. Kiedy odeszła, Torriti pociągnął łyk.

– Nie ma to jak zalać robaka – powiedział, ocierając usta rękawem. – A wracając do twojej sprawy... Zrób to, co zrobiłem ja, kiedy stanąłem pod ścianą, jak tropiłem Philby’ego.

– Czyli?

– Czyli skontaktuj się z Rabbim i zwierz mu się ze swoich kłopotów.

– Nie wiedziałem, że Ezra Ben Ezra jeszcze żyje.

– I jest całkiem zwawy. Pracuje w kryjówce Mosadu na przedmieściach Tel Awiwu. Widziałem się z nim osiem miesięcy temu, kiedy bawił przejazdem w Waszyngtonie. Spotkaliśmy się w Albuquerque. Chciał zasięgnąć u mnie języka... Nie wiem, po co... przecież już wyszedłem z obiegu. – Czarnoksiężnik wgrzył się w kanapkę, a potem wziął długopis i na paczce zapalek z reklamą „Ogrodów Edenu” zapisał adres i zastrzeżony numer telefonu. – Dam ci radę. Niegrzecznie jest iść do kogoś z pustymi rękami.

– Co mam przynieść?

– Informacje. I nie zapomnij powiedzieć mu *szalom* od Czarnoksiężnika, kiedy się spotkacie.

– Nie ma sprawy, Harv.

Południowe lewantyńskie słońce paliło Jacka w kark, gdy kluczył pomiędzy straganami w położonej na północy Jaffy dzielnicy Newej Cedek, kolonii podupadłych domków z przełomu wieków, kiedy to pierwsi żydowscy rolnicy osiedli na wydmach, które później przekształciły się w Tel Awiw. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy mokrej od potu koszuli i ponownie zerknął na adres, zapisany przez Czarnoksiężnika na pudełku zapalek, po czym raz jeszcze bezradnie rozejrzał się dokoła w nadziei, że przypadkiem dostrzeże na jakimś budynku numer lub choćby nazwę ulicy.

– Pan pewnie też nie zna angielskiego? – zapytał bez większego przekonania brodatego przekupnia, sprzedającego z wózka falafele.

– Skoro uważa pan, że nie znam angielskiego – odburknął mężczyzna – to po co pytać? Angielski znam. Rosyjski też. A do tego turecki, grecki i rumuński. Ten ostatni na tyle, że w Bułgarii mógłbym uchodzić za mieszkańca Transylwanii. Podczas wojny uratowało mi to życie. Niemiecki też znam, ale poprosiłem ha-Szema, niech będzie błogosławiony, żeby mnie zdrowo walnął, jeśli wypowiem choć jedno słowo w tym języku. No i jeszcze jidysz, i hebrajski, oczywiście.

– Szukam ulicy Szabazi siedemnaście, ale nie widzę żadnych numerów na domach.

– Chciałbym mieć taki wzrok – zauważył sprzedawca falafeli – żeby z tej odległości dostrzec, że nie ma tam żadnych numerów! – Wskazał wydatnym nosem jeden z domów. – Numer siedemnaście to ten betonowy bunkier w stylu Bauhaus, z antykwariatem na parterze. O tam, obok krawca.

– Dzięki.

– To ja dziękuję, mister. Na drugi raz niech pan lepiej ocenia Izraelitów.

Kiedy Jack pchnął drzwi księgarni, siedząca za kontuarem kruczowłosa piękność, której widok zapierał dech w piersiach, obrzuciła go obojętnym spojrzeniem.

– Potrzebuję pomocy – wysapał.

– Wszyscy jej potrzebujemy – odparła. – Ale nie każdy chce się do tego przyznać.

Jack rzucił szybkie spojrzenie na staruszkę, szperającego po półkach z angielskimi książkami na tyłach sklepu, po czym znowu zwrócił się do kobiety:

– Powiedziano mi, że pod tym adresem mogę znaleźć Ezrę Ben Ezrę.

– Kto tak panu powiedział?

– Ezra Ben Ezra, kiedy zadzwoniłem do niego z Ameryki, z USA. Czyba słyszała pani o USA?

– A więc to pan jest Uczniem Czarnoksiężnika?

– Tak, to ja.

W jej wielkich, ciemnych oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

– Nie za stary pan na Ucznia? W pańskim wieku już dawno powinien pan być Czarnoksiężnikiem. Proszę, Rabbi czeka na pana.

To mówiąc, nacisnęła guzik pod ladą. Fragment ściany pomiędzy dwoma rzędami półek przesunął się powoli, ukazując wąskie betonowe schodki, prowadzące bezpośrednio na ostatnie piętro budynku. Na górze Jack natknął się na krótko ostrzyżonego, ponurego młodzieńca w brudnym, przepoconym garniturze, zajętego rozkładaniem uzi na części pierwsze. Chłopak przytknął do ust nadgarstek i wymamrotał coś pod nosem, a potem przez chwilę słuchał odpowiedzi z ukrytego za uchem głośniczka. Drzwi za jego plecami otworzyły się i Jack wszedł do przestronnego pokoju o wybetonowanych ścianach, z wąskimi szparkami zamiast okien. Rabbi, któremu właśnie stuknęła sześćdziesiątka, choć wyglądał przynajmniej o dziesięć lat starzej, podniósł się z trudem zza biurka i pokuśtykał o lasce, żeby powitać gościa.

– Nasze drogi spotkały się już kiedyś w Berlinie – oznajmił.

– Pochlebia mi, że pan mnie pamięta – odparł Jack.

Ben Ezra wskazał mu laską skórzaną sofę na metalowych nóżkach, a sam ostrożnie usiadł na żelaznym krzeselku z prostym oparciem.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam już ludzkich twarzy tak jak dawniej, ale nigdy nie zapominał oddanej komuś przysługi. Prowadziłeś Niemca

z NRD, kryptonim SNAJPER, którym okazał się profesor fizyki teoretycznej Löffler. Ha, widzę po twojej minie, że trafiłem w czuły punkt. A raczej w sedno, co? Löffler źle skończył, o ile mnie pamięć nie myli, co ostatnio czasem mi się zdarza. Wasza łączniczka, TĘCZA czy jak jej tam, też nie wyszła na tym najlepiej. – Potrząsnął ze smutkiem głową. – Dzisiaj młodzi ludzie już nie pamiętają, że Berlin był wtedy polem bitwy.

– Wielu z nas poległo po obu stronach żelaznej kurtyny – przytaknął Jack. – W Niemczech ubierał się pan inaczej...

Ben Ezra skinął z wolna podbródkiem.

– Kiedy przebywam poza krajem, staram się wyglądać jak pobożny żyd: rytualne pejsy, jarmułka, i tak dalej... To coś w rodzaju kamuflażu. Tu, w Izraelu, ubieram się jak osoba świecka, stąd ten garnitur. Napijesz się świeżego soku z mango? A może jogurtu albo mrożonej herbaty z lodem?

– Herbata z lodem, czemu nie?

– Czemu nie? – powtórzył za nim Ben Ezra. – Dwie herbaty z lodem – ryknął w stronę sąsiedniego pokoju, gdzie przy kuchennym stole siedziało kilka osób. Z głębi dochodziło monotonne terkotanie dwóch dalekopisów. Rabbi obrzucił Amerykanina przenikliwym spojrzeniem ciemnych, inteligentnych oczu. – A więc co cię sprowadza do Ziemi Obiecanej, mister Jack?

– Przeczucie.

– To już wiem. Czarnoksiężnik zadzwonił tu z Ameryki na mój koszt i powiedział, że jeśli ktoś do mnie przyjdzie i będzie się podawał za ciebie, to będziesz ty. – Rabbi uśmiechnął się obłudnie. – Harvey i ja dbamy o własne tyłki... wzajemnie. Powiedział, że wdepnąłeś w kłębowisko żmij.

Ciemnoskóra młoda Etiopka w kusej mini i wojskowej bluzie ze śmiałym dekoltem w kształcie litery „V” postawiła na szklanym blacie podręcznego

stolika dwie szklanki mrożonej herbaty, ozdobione plasterkami pomarańczy i wypełnione po brzegi dzwoniącymi kostkami lodu. Powiedziała coś po hebrajsku i postukała smukłym czarnym palcem w szkiełko małego zegarka.

Ben Ezra podrapał się w zamyśleniu po zarośniętej szczeciną brodzie.

– *Lama lo?* – odpowiedział, po czym włożył do ust plasterki pomarańczy i zaczął go żuć, wysysając sok. – To jak, opowiesz Rabbimu, co cię trapi? – zwrócił się do Jacka.

Amerikanin zastanawiał się, czy Ben Ezra nagrywa tę rozmowę. Jego kariera skończyłaby się nader gwałtownie, gdyby Rabbi puścił taśmę Angletonowi, który zajmował się współpracą z Mosadem i do tej pory miał tam dobre układy.

Rabbi spostrzegł jego wahanie.

– Nie wiesz, czy powinieneś podzielić się ze mną swoimi informacjami. Miewam podobne skrupuły. Jeśli wolisz, możemy odłożyć naszą pogawędkę...

Nagle Jackowi stanął przed oczyma Leo Kritzky: cynowym kubkiem czerpał wodę z muszli klozetowej i pił. W uszach zabrzmiał mu ochrypły, wyzywający głos: „Odpiardol się, Jack!” Co mi tam, pomyślał. Skoro zaszedłem już tak daleko... I zaczął opowiadać Rabbimu o zdradzie Siergieja Klimowa alias Kukuszkin.

– Kiedy niespodziewanie wezwali go do Rosji, wysłaliśmy tam kogoś, kto miał się z nim skontaktować...

– Kapuję – przerwał mu Rabbi. – Teraz już wiem, co robił w Moskwie ten czubek bez dyplomatycznej przykrywki... Jeden z waszych został aresztowany, Klimow-Kukuszkin skazany i stracony, a wy, na Glienicke Brücke, wymieniliście aresztanta na kreta z NSA. – Podniósł do ust

szklankę mrożonej herbaty. – Wypijmy, zanim zrobi się ciepła... *L' chaim!*
Za życie! – powiedział i głośno siorbnął. – Podejrzewasz, że to wszystko
lipa, tak? Proces, egzekucja...

– Nie zdążyliśmy zrobić mu testu wariografem – przypomniał Jack.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? Czego ode mnie oczekujesz?

– Angleton jest przekonany, że Kukuszkin naprawdę zginął, a jego
historyjki są autentyczne. Wy macie w Związku Radzieckim tylu swoich
ludzi, że my możemy tylko o tym pomarzyć. Pomyślałem, że moglibyście
przeprowadzić własne śledztwo. Jeżeli Kukuszkin istotnie został stracony,
to gdzieś powinien być jego grób i nieutulona w żalu rodzina, ledwo
wiążąca koniec z końcem.

– A jeśli nie został stracony, jeśli to wszystko zainscenizowano, to gdzieś
powinien być Klimow-Kukuszkin we własnej osobie.

– Właśnie.

– Od czego należałoby zacząć? Daj mi jakiś trop.

– Zanim ich aresztowano, Kukuszkin wygadał się, że po powrocie do
Moskwy zamieszkał w hotelu KGB.

Rabbi przymknął pomarszczone powieki, jakby usiłował coś sobie
przypomnieć.

– To by był „Aleksiejewski”, na tyłach więzienia, przy ulicy Mała
Łubianka. Popraw mnie, jeżeli jestem w błędzie, ale zdaje mi się, że
przyniosłeś ze sobą fotografie tego Klimowa-Kukuszki, jego żony i córki.

Jack sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął kopertę.

– To są kopie formularzy z Departamentu Stanu, wypełniane przez
zagranicznych dyplomatów po przyjeździe do Waszyngtonu. Dla
porównania dorzuciłem kilka zdjęć z kartoteki FBI. Jeśli wasi ludzie coś
znajdą, potrafię się odwdziaczyć.

Ben Ezra otworzył oczy i utkwiał wzrok w Amerykanina.

– Jak bardzo?

– Słyszałem, że jednym z najzacieklej poszukiwanych przez Mosad nazistów jest niejaki Klaus Barbie...

Głos Rabbiego zabrzmiał teraz jak złowrogie warknięcie.

– Był szefem gestapo w Lyonie podczas wojny... Wiele tysięcy Żydów, dzieciaków, kobiet, starców, niewinnych ludzi, trafiło przez niego do obozów śmierci. Tuż po wojnie Rzeźnik Lyonu, jak go tutaj nazywamy, pracował dla armii USA w Niemczech. Wymknął się naszym agentom, wyjechał z Europy... Nie wiemy dokąd. Na razie.

– Wpadły mi w ręce akta, w których przewijała się nazwa pewnego kraju w Ameryce Południowej...

Rabbi oparł się ciężko na lasce i wstał.

– A może tak, po starej znajomości, dałbyś drobną zaliczkę za usługi, które masz u mnie jak w banku?

Jack podniósł się również.

– Barbie jest w Boliwii.

Ben Ezra wyciągnął z kieszeni kartkę i długopis i podał Jackowi.

– Napisz, proszę, prywatny numer telefonu, pod którym można cię znaleźć w Waszyngtonie, mister Jack. Będziemy w kontakcie.

Nieco po północy szczupła siwa kobieta, ubrana w sprane jedwabne uzbeckie spodnie i długą do kostek spódnicę, wtoczyła wózek ze środkami czystości przez podwójne drzwi, wiodące do foyer hotelu „Aleksiejewski”. Opróżniła popielniczki, wyrzucając ich zawartość do plastikowego kubła, wytarła je do czysta wilgotną ściereczką, ustawiła krzesła wokół stolików, wymieniła poplamione lub podarte karty menu z deserami, wypolerowała

ścienne lustro. Wiszącym u paska kluczykiem otworzyła szafkę i wyjęła z niej stary szwedzki elektroluks. Podłączyła go do gniazdka i zaczęła odkurzać wytarte dywany, przykrywające podłogę w holu. Posuwała się powoli w stronę recepcji. Portier z nocnej zmiany, staruszek, który w ten sposób dorabiał sobie do emerytury, wychodził zwykle do toalety na papierosa, kiedy Uzbeczka sprzątała za jego ladą. Kiedy została sama, zaczęła grzebać w stojącym za kontuarem drewnianym koszu z napisem „Poczta”. Bez trudu odnalazła niewielką płaską paczkę; powiedziano jej, że będzie owinięta w brązowy papier i przewiązana żółtym sznurkiem. Przesyłka, przyniesiona przez kuriera zbyt późno, żeby można ją było odesłać jeszcze tego samego dnia, przeznaczona była dla Jeleny Antonownej Klimowej, która niedawno wyprowadziła się z hotelu „Aleksiejewski”. W lewym dolnym rogu widniała odręczna notatka: „*Pierieslitie adriesatu* – doręczyć do adresata”. Pracownik z dziennej zmiany przekreślił słowa „hotel «Aleksiejewski»” i dopisał adres kamienicy na osiedlu przy stacji metra Cystijeprudnii. Sprzątaczką schowała paczkę pod fartuch i wróciła do odkurzania.

Kiedy nazajutrz o ósmej rano wychodziła z pracy, zabrała ją ze sobą i zaniósła do prowadzonego przez braci Orłowów sklepiku z ciuchami, mieszczącego się w zaułku na tyłach Arbatu. To właśnie starszy z braci, Mandel Orłow, przebrany w ciemny garnitur i czarny płaszcz przeciwdeszczowy, dostarczył przesyłkę do hotelu poprzedniego popołudnia. Mandel, zadowolony, że plan się powiódł, wziął swoją teczkę i pojechał metrem na Cystijeprudnii, a potem spacerkiem powędrował pod wypisany na paczce adres przy ulicy Ogrodna 12. Usiadł na ławce na pobliskim skwerku, naprzeciw wejścia, wyjął z teczki książkę i na kilka godzin pogрузzył się w lekturze. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził, ale nikt nie przypominał z wyglądu Klimowa-Kukuszki ani jego żony Jeleny, ani

ich córki Ludmiły. Gdy zaczęło się ściemniać, Mandela zastąpił jego brat, Baruch, który spacerował po okolicy, póki nie minęła dziesiąta, kiedy to, skostniały z zimna, dał w końcu za wygraną. Przez kilka dni bracia zmieniali się na posterunku, obserwując kamienicę pod numerem 12, ale dopiero czwartego dnia rano ich cierpliwość została nagrodzona. Przed wejściem zatrzymał się ził z szoferem. Z samochodu wysiadł mężczyzna o długich, jakby spłowiałych, jasnych włosach, kwadratowych ramionach i krępej sylwetce zapaśnika. Wyjął klucz, otworzył drzwi i zniknął we wnętrzu domu. Trzy kwadransy później pojawił się znowu, w towarzystwie niskiej, przysadzistej kobiety o krótko ostrzyżonych, przyprószonych siwizną włosach. Rozmawiali przez chwilę na chodniku, a potem z bramy wybiegła do nich chuda, mniej więcej ośmioletnia dziewczynka. Rodzice, roześmiani, przytulili ją do siebie.

Na skwerku Mandel Orłow otworzył teczkę i zwolnił migawkę zachodnioniemieckiego aparatu „Robot Star II”, ukrytego pod klapą.

WASZYNGTON, DC, CZWARTEK, 21 LISTOPADA 1974

Drzewa gięły się w ostrych jak brzytwa podmuchach wiatru znad Chesapeake, olbrzymie fale rozbijały się o brzeg. Leo Kritzky obserwował ten bunt natury przez podwójne okno swojego pokoju na drugim piętrze prywatnego sanatorium. Adelle parzyła kawę na elektrycznej kuchence.

– Wyglądasz dużo lepiej – mówiła, krojąc ciasto bananowe, które sama upiekła; podała mu kawałek. – Z każdym dniem widać poprawę.

– Nic dziwnego. Gorzej już być nie mogło – odparł Leo.

– Powiesz mi wreszcie, co się z tobą działo? – zapytała, odwrócona do niego plecami.

– Mówiłem ci już setki razy – powiedział Leo. – Nie mogę.

Adelle odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Ona również cierpiała, ale jakoś nikt się tym nie przejmował.

– Kongres przegłosował dzisiaj weto prezydenta Forda i przyjął ustawę o swobodnym dostępie do informacji – odezwała się głosem schrypniętym od tłumionego gniewu. – A to znaczy, że każdy obywatel może teraz pozwać CIA do sądu i zażądać wyjaśnień. Ale mój mąż znika gdzieś bez słowa na cztery miesiące z okładem, a potem zjawia się nagle w domu, ot tak sobie, przy czym wygląda, jakby wrócił z wojny japońskiej, i nikt – ani ty, ani żaden z twoich kumpli od brudnej roboty – nie zająknie się nawet, co się z tobą działo.

– Tak już musi być, Adelle. – Leo wzruszył ramionami.

Z tego, co mówił jej Jack – i z tego, czego jej nie powiedział – Adelle domyśliła się, że za wszystkim stała Firma.

– Nie możesz pozwolić, żeby im to uszło na sucho – szepnęła.

Leo wyglądał przez okno, z podziwem patrząc na drzewa, które nie łamały się, choć wichur przyginał je aż do ziemi. Jego też próbowali złamać i też się nie dał. Były dni, kiedy ledwo opierał się pokusie, by podpisać zeznanie, które Angleton kładł przed nim na stole podczas przesłuchań, a tamtego ranka, gdy natknął się na martwe ciało sfinksa syberyjskiego, miał ochotę i sobie odebrać życie. I zrobiłby to, gdyby tylko wiedział jak.

Upłynął dokładnie miesiąc od dnia, w którym w jego celi zjawili się Jack i Ebby w towarzystwie lekarza i pielęgniarki. Przyszli, żeby go uwolnić.

– Zostałeś zrehabilitowany, stary – powiedział Jack, jękając się ze wzruszenia. – Angleton... my wszyscy... popełniliśmy straszny błąd.

Ebby z trudem powstrzymywał łzy i odwrócił głowę, kiedy doktor badał Leo. Włosy więźnia, a raczej to, co zostało z jego bujnej czupryny, poszarzały, przyprószone przedwczesną siwizną, zapadnięte, podkrążone oczy błyszczały gorączką, skóra na brzuchu i nogach łuszczyła się od egzemy.

– Czy to kwatera gestapo? – zapytał cierpko lekarz, mierząc ciśnienie. Z plastikowej apteczki wyjął kojącą maść i napój witaminowy, który Leo zaczął sączyć przez słomkę małymi łykami. – Co wy z nim, na miłość boską, wyrabialiście?

Kritzky odpowiedział za nich.

– Chronili Firmę przed wrogiem – wyszeptał. – Właśnie przekonali się, że tym wrogiem nie jestem ja.

– Pomyliliśmy się – przyznał ze skruchą Ebby. – Spróbujemy ci to jakoś wynagrodzić.

Uczepiony rękawa marynarki Jacka, Leo czekał na pielęgniarkę, która poszła po wózek.

– Jak do tego doszliście? – zapytał.

– To ty do tego doszedłeś – odparł Jack. – Przewidziałeś, że Kukuszkin nigdy nie przejdzie testu wariografem. I nie przeszedł. Tak jak przypuszczałeś, Rosjanie ściągnęli go do Moskwy pod pierwszym lepszym pretekstem. Tam go aresztowali. Odbył się proces, a potem egzekucja. Tyle że wszystko było sfingowane. Nasz klient żyje i ma się dobrze, a to znaczy, że jego historyjki były wysrane z palca. Z jakichś powodów chcieli, żeby Angleton myślał, że to ty jesteś SASZĄ.

– Chcieli odwrócić jego uwagę od prawdziwego kreta – podsunął Leo.

– Nie widzę innego wyjaśnienia – powiedział Jack.

– Co na to Angleton? Czy przyznał chociaż...

– Jego dni są policzone. Colby proponuje mu stanowisko szefa jakiejś zagranicznej placówki, żeby pozbyć się go z Waszyngtonu. Tymczasem on zębami i pazurami broni swojego stołka w kontrwywiadzie. Zwiera szyki, ale wokół niego robi się pusto. A dykcja nie ma odwagi, żeby go po prostu wywalić.

– To nie była wina Angletona – powiedział Leo.

Ta wielkoduszność wyprowadziła Ebby'ego z równowagi.

– Jak możesz?! Po tym, co ci zrobił... Kto jak kto, ale ty...

– Sam mi mówiłeś, Eb, że są sprawy, którymi warto się zająć, nawet gdyby miało się je spieprzyć. Powtarzałeś to do znudzenia. Kontrwywiadem nie można kierować w białych rękawiczkach. To brudna robota. Pomyłki są nieuniknione, najważniejsze to nie bać się ich popełniać...

Jack i Ebby pomogli mu wstać. Zanim pozwolił się wyprowadzić z celi, podszedł do stojącego w rogu klozetu i wyjął ukrytego za rurą trupka ćmy.

– Gdybyś jeszcze trochę wytrzymała – wyszeptał – wyleciałabyś na wolność.

Teraz, w pokoju na drugim piętrze prywatnego sanatorium, Adelle napełniła dwie filiżanki gorącą kawą. Przysunęła krzesło do okna i usiadła obok męża.

– Nie chciałam ci suszyć głowy, zanim dojdiesz do siebie – zaczęła – ale myślę, że powinniśmy porozmawiać...

– O czym?

– O twoim postępowaniu. Jack wygadał się przede mną, że adwokaci zaproponowali ci odszkodowanie.

– Jack powinien trzymać język za zębami.

– Jack... wszyscy zresztą... są zaskoczeni twoją postawą. Podobno rzekłeś się wszelkich roszczeń do rekompensaty finansowej...

– W każdej bitwie żołnierze odnoszą rany, a nawet giną od bratnich kul, lecz jakoś nigdy nie słyszałem, żeby którykolwiek z nich zaskarżył potem rząd swego kraju.

– Nie jesteśmy na wojnie, Leo...

– Nieprawda, Adelle. Przecież sama kiedyś blisko współpracowałaś z Lyndonem Johnsonem i dobrze wiesz, że tam, na górze, toczy się prawdziwa wojna. Dostałem od swoich, to się zdarza. Jak tylko wydobrzeję, wracam na pole bitwy.

Adelle z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Po tym, przez co przeszedłeś, po tym, co ci zrobili... po tym, przez co przesłałam tu z dziećmi... ty wciąż nie chcesz odejść z Firmy.

Wyjrzała przez okno.

– Niedaleko stąd spędziliśmy nasz miesiąc miodowy – odezwała się po chwili.

Leo zdobył się na melancholijny uśmiech.

– Oglądaliśmy wschód słońca nad zatoką Chesapeake...

– Wokół nas zawsze krążyła śmierć. W pewien sposób to ona nas połączyła. Poznaliśmy się, kiedy zdechły nasze ukochane zwierzęta: mój kot i twój pies. Postanowiliśmy, że zostawimy to za sobą, i ruszyliśmy razem przez życie. – Głos jej się załamał. – Wszystko stało się tak nagle... ojciec był umierający... ty zniknąłeś bez śladu. Nie mogłam spać, Leo... Nie spałam po całych nocach, zastanawiałam się, czy wciąż żyjesz, czy cię jeszcze kiedyś zobaczę. Przez te wszystkie noce, przez te wszystkie tygodnie czułam, że śmierć czai się tuż za moimi plecami. Tak dłużej być nie może, Leo. Musisz wybierać...

– Adelle, ta rozmowa to jakaś straszna pomyłka. Reagujesz zbyt emocjonalnie. Odczekajmy trochę...

– Nie można mieć wszystkiego, Leo. Albo Firma, albo ja.

– Nie rób tego, proszę.

– Już podjęłam decyzję – oznajmiła. – Od dawna chciałam poruszyć tę sprawę, jeszcze zanim zniknąłeś na te cztery miesiące. A kiedy zacząłeś wracać do zdrowia, czekałam tylko na odpowiednią chwilę.

– Nie ma odpowiedniej chwili na takie rozmowy.

– To prawda. Ale stało się, Leo. Wiem, że zadaję ci nieodpowiednie pytanie w nieodpowiedniej chwili. Ale mimo to czekam na twoją odpowiedź. Co wybierasz?

– Nigdy nie rzucę pracy w Firmie. W ten sposób zarabiam na życie i tylko to potrafię robić: chronić Amerykę przed wrogami.

– Kochałam cię, Leo.

Zauważył, że użyła czasu przeszłego.

– Ja nadal cię kocham.

– Nie kochasz mnie. A jeśli nawet, to są rzeczy, które kochasz bardziej niż mnie. – Wstała. – Możesz zatrzymać dom... Przenieś się do taty. Jeśli serce podpowie ci coś innego...

– Moje serce jest zawsze przy tobie, Adelle... Przy tobie i przy dzieciach.

– Co z tego, skoro twoje myśli są gdzie indziej. A ty kierujesz się głową, nie sercem... – Chwyciła leżącą w nogach łóżka budrysówkę i ruszyła do drzwi.

W progu obejrzała się, jakby miała jeszcze nadzieję, że Leo coś powie, że spróbuje ją zatrzymać. Popatrzyli na siebie przez otchłań, która nagle ich oddzieliła. Za plecami Leo rozszalały wicher smagał szyby. Adelle, ocierając łzy wierzchem dłoni, obróciła się na pięcie, zostawiając za sobą dwadzieścia trzy lata swego małżeństwa.

Nellie, która w ognistopomarańczowej, długiej do kolan, obcisłej sukience z długim rękawem i stójką wyglądała wręcz olśniewająco, przyłgnęła mocniej do ramienia Manny'ego, gdy sędzia pokoju chuchnął na urzędową pieczęć, uroczyście przyłożył ją do aktu małżeństwa i skreślił na nim swój podpis.

– Zdaje się, że to już wszystko – ogłosił. – Nigdy nie wiem, w którym momencie ceremonii para staje się mężem i żoną, ale teraz już na pewno wasz los jest przypieczętowany. Jeśli chcecie oprawić akt w skórzaną ramkę, będzie to was kosztować dodatkowo dziesięć dolarów.

– W porządku, bierzemy tę ramkę – powiedział Manny.

Nellie odwróciła się do swojej matki i Ebby'ego, którzy stali za nimi.

– A więc dokonaliśmy tego niecnego czynu – zachichotała.

Jack, Millie i ich czternastoletni syn Anthony podeszli, żeby złożyć życzenia młodej parze. Za nimi tłoczyła się grupka przyjaciół Manny'ego z Sekcji Sowieckiej. Leo, na dziennej przepustce z prywatnego sanatorium, cierpliwie poczekał na swoją kolej, a potem ucałował pannę młodą i uściśnął Manny'emu dłoń. Pokiwał głową w milczeniu, jakby szukając odpowiednich słów.

– Życzę wam długiego i szczęśliwego wspólnego życia – powiedział cicho.

Elizabet zawołała:

– Zapraszam wszystkich do nas na kieliszek szampana i tartinki z kawiozem!

– Chyba się dzisiaj upiję – stwierdził Anthony.

– Nie pleć głupstw, smarkaczu – odparł Jack.

Anthony, chcąc się popisać przed ojcem chrzestnym, nie dawał za wygraną.

– Nie mów mi, że nigdy się nie upiłeś, kiedy byłeś w moim wieku.

– Ja to ja, a ty to ty – uciał krótko Jack.

Elizabet rozdała torby z karmą dla ptaków (zgodnie z życzeniem Nellie, która słyszała, że od ryżu gołębie padają, bo pęcznieje im w żołądku), a goście zaczęli obrzucać ziarnem państwa młodych, którzy właśnie ukazali się w drzwiach. Potem całe towarzystwo wsiadło do samochodów i trąbiąc wniebogłosy, ruszyło do domu Ebby'ego, jadąc za pontakiem Manny'ego, pobrzękującym przyczepionymi do tylnego zderzaka puszkami po piwie.

Siedzący w ostatnim wozie Anthony zerknął ciekawie na siwe włosy ojca chrzestnego, przystrzyżone, jak dawniej, na jeża.

– Tata mówił, że dostałeś w kość – zagadnął nieśmiało. – Powiesz mi coś więcej?

Leo w skupieniu patrzył przed siebie, na drogę.

– Jack i tak powiedział ci za dużo – odparł.

– Nie muszę wiedzieć, prawda?

– Robisz postępy, Anthony.

– Skoro chcę kiedyś wstąpić do CIA, już teraz powinienem zacząć się uczyć waszych sztuczek. – Obserwował przez chwilę, jak Leo prowadzi, a potem dodał: – W szkole mam paru kumpli, których rodzice też pracują w Langley. Czasem spotykamy się po lekcjach i wymieniamy informacjami. Oczywiście najpierw sprawdzamy, czy nikt nas nie podsłuchuje...

– A sprawdzacie, czy w pomieszczeniu nie ma mikrofonów? – zapytał Leo z kamienną twarzą.

Anthony wyglądał na przerażonego.

– Myślisz, że powinniśmy?

– Po KGB można się spodziewać wszystkiego, nawet podsłuchu w pokoju dzieciennym...

– Wy też tak robicie dzieciom ludzi z KGB? – Zamachał gwałtownie rękami i poprawił się natychmiast: – O, przepraszam... Nie muszę wiedzieć. Cofam pytanie.

– Czego się dowiedziałeś na tych męskich spotkaniach?

– Przeczytaliśmy w gazetach o wymianie Manny'ego na sowieckiego szpiega, więc maglowaliśmy to przez jakiś czas. Chłopak, którego ojciec podrabia podpisy, mówił, że słyszał, jak jego stary mówił matce, że ten sowiecki szpieg był o wiele ważniejszy, niż pisano. A matka jednej dziewczyny pracuje na szóstym piętrze jako sekretarka i powiedziała swojemu mężowi, że w Langley powołano specjalną grupę zadaniową, która zajmuje się czymś tak tajnym, że wszystkie swoje dokumenty

ostemplowali pieczętą NODIS, czyli tylko do wiadomości dyrektora Agencji i jego zastępców...

– Wiem, co znaczy NODIS, Anthony – przerwał mu Leo. Kiedy wróci do Langley, będzie musiał zdrowo ochrzanić oficerów Sekcji Sowieckiej i przypomnieć im, że tajemnic Firmy nie wynosi się do domu. – Co jeszcze omawialiście na tych spotkaniach?

– Co jeszcze? Ojciec mojej koleżanki jest specjalistą od wykrywania kłamstw. Powiedział, że jakiś Matka kazał mu zrobić test wariografem oficerowi CIA, którego trzymali w tajnej...

Anthony przerwał nagle i zastygł z otwartymi ustami, a na jego twarz wypłynął rumieniec zakłopotania.

– Gdzie go trzymali?

Chłopak dokończył półgłosem:

– W tajnej celi, gdzieś w Waszyngtonie.

– I...?

– I tej osobie włosy posiwiały i zaczęły wypadać całymi kępkami.

Na skrzyżowaniu zapaliło się czerwone światło. Leo zahamował gwałtownie i obejrzał się na chrześniaka.

– Witaj na granicy, która oddziela dzieciństwo od świata dorosłych! Jeżeli jesteś gotów ją przekroczyć, to znaczy, że nadajesz się do CIA. Zrób to teraz. Cały kłopot z tajemnicami polega na tym, że trudno je utrzymać w tajemnicy. Ludzie wyjawiają sekrety, bo chcą zaimponować innym swoją wiedzą. Naucz się dochowywać tajemnic, Anthony, a możesz starać się o pracę w Firmie. Ale, ostrzegam, to nie jest zabawa. I nikt nie musi o tym wiedzieć, jak sam słusznie powiedziałeś. Takie mamy zasady w Langley.

Anthony poważnie skinął głową.

– Będę milczał jak grób, Leo. Niczego ze mnie nie wyciągną. Słowo.

– W porządku.

Kiedy dotarli na miejsce, Ebby i Elizabet rozdawali gościom kieliszki z szampanem. Leo wziął jeden dla siebie, a drugi podał Anthony’emu.

– Hej, co ty robisz?! To jeszcze dzieciak... Nie powinien pić – zawołał Jack.

– Był dzieciakiem jeszcze dziś rano – odparł Leo. – Ale właśnie wkroczył w świat dorosłych.

– Za młodą parę – powiedział Ebby, unosząc kieliszek.

– Za młodą parę – powtórzyli wszyscy chórem.

Leo i Anthony tręcili się kieliszkami. Chłopak porozumiewawczo kiwnął głową i obaj wychylili alkohol do dna.

Później, kiedy Manny otwierał kolejną butelkę, Ebby zniknął na chwilę w swoim gabinecie, a potem zszedł na dół, niosąc niewielką paczkę, owiniętą w zwykły szary papier, którą uroczyście wręczył synowi.

– To prezent ślubny ode mnie – powiedział.

Goście przyglądali się ciekawie, jak Manny zrywa papier. Oczom wszystkich ukazało się przepięknie rzeźbione mahoniowe puzdro, które Ebby kupił wiele lat temu. Wewnątrz, na czerwonym aksamicie, leżał brytyjski rewolwer „Webley Mark VI” z datą 1915, wyrytą na wypolerowanej drewnianej rękojeści. Manny znał historię tej broni – był to ten sam rewolwer, który podarowali Ebby’emu młodzi Albańczycy, zanim wyruszyli na swoją ostatnią misję do Tirany. Wyjął broń i spojrzał na ojca. Elizabet patrzyła na nich z zapartym tchem, przycisnąwszy rękę do piersi.

– Możesz to uznać za swego rodzaju przekazanie znicza – powiedział Ebby.

– Dzięki, tato – odparł Manny. – Wiem, ile znaczy dla ciebie ten rewolwer. Nigdy nie zapomnę, skąd go masz. I pozostanę mu wierny.

Anthony odwrócił się do Leo.

– Wiesz, skąd on ma ten rewolwer? – szepnął, lecz spostrzegłszy porozumiewawczy uśmieszek ojca chrzestnego, dodał pospiesznie: – Hej, zapomnij, że pytałem, okay?

Jadąc bulwarem Dolly Madison w McLean w stanie Wirginia, Leo zobaczył znak z napisem „CIA – następna w prawo” – tak często kradziony przez kolekcjonerów pamiątek, że Firma zamówiła od razu tuzin zapasowych – po czym skręcił na najbliższym skrzyżowaniu. Przy bramie zatrzymał się, opuścił szybę i pokazał uzbrojonemu po zęby wartownikowi laminowany identyfikator oficera CIA (wygląd Leo zmienił się tak drastycznie, że Jack na wszelki wypadek wyrobił mu nową legitymację, z aktualnym zdjęciem). Ruszył w stronę podziemnego garażu zarezerwowanego dla wyższych rangą pracowników CIA, mijając po drodze pomnik Nathana Hale’a, ustawiony przed głównym wejściem z inicjatywy dyrektora Colby’ego. Na podjeździe znów sięgnął po swoją kartę, ale strażnik w budce tylko machnął ręką, dając do zrozumienia, że rozpoznał szefa Sekcji Sowieckiej.

– Cieszę się, że pan wrócił, panie Kritzky! – zawołał przez głośnik. – Dyrektor prosił, żeby poszedł pan prosto do niego, jak tylko się pan zjawi.

Czekając na prywatną windę dyrektora, Leo słyszał buczenie tajnej prasy drukarskiej w pomieszczeniu na tyłach garażu; w apogeum zimnej wojny pracowała po dwadzieścia godzin na dobę, drukując świadectwa, paszporty i prawa jazdy, a także tony gazet i ulotek propagandowych. Kiedy drzwi się otworzyły, Leo wszedł do środka i nacisnął jedyny guzik na panelu ze stali nierdzewnej. Winda ruszyła w górę, na szóste piętro, gdzie mieściły się biura Colby’ego. Stał zamyślony, ze spuszczoną głową. Był trochę zdenerwowany przed pierwszym dniem po powrocie do pracy. Jack zdradził

mu, że w Firmie rozpętała się burza nad operacją HT/LINGUAL Angletona, związaną z otwieraniem przesyłek pocztowych. Niejaki Seymour Hersh, reporter „New York Timesa”, dowiedział się skądś o tym nielegalnym procederze, który CIA uprawiała przez blisko dwadzieścia lat, dopóki Colby nie ukrócił go ostatecznie w 1973 roku. Informacje te mogły zostać opublikowane w każdej chwili i teraz cała dyrekcja obradowała nad tym, jak przygotować się do wybuchu i jego nieuniknionych konsekwencji.

Drzwi windy rozsunęły się wreszcie. Leo usłyszał oklaski, podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że trafił na przyjęcie niespodziankę. Colby, Ebby i Jack stali na czele około setki pracowników, z Sekcją Sowiecką w komplecie. Żona Jacka i Manny zajęli miejsce z boku i śmiejąc się, klaskali razem ze wszystkimi. Tylko nieliczni z zebranych wiedzieli, gdzie naprawdę Kritzky przebywał w czasie swojej nieobecności, ale wystarczył jeden rzut oka na ów cień człowieka, jaki stanął teraz przed nimi, by zrozumieli, że powrócił z piekła. Stracił sporo na wadze, a garnitur wisiał na nim jak na kołku. Wzruszony i oszołomiony, rozejrzał się wokół: dostrzegł dziesiątki znajomych twarzy, ale nie było wśród nich posępnego oblicza Jima Angletona. Osobista sekretarka Leo i kilka innych kobiet z sekcji miały łzy w oczach. Dyrektor wystąpił krok naprzód i uścisnął mu dłoń. Oklaski zamilkły.

– W imieniu swoim i kolegów pragnę powitać jednego z naszych z powrotem na pokładzie – powiedział Colby. – Zaangażowanie Leo Kritzky’ego w służbę, jego lojalność wobec Firmy, jego hart ducha, ustawiły nam i przyszłym pokoleniom oficerów CIA wysoką poprzeczkę. Jedynie garstka z obecnych tutaj wie, przez co przeszedłeś. Cóż, takie są reguły gry. Ale wszyscy – dyrektor zatoczył ręką szerokie koło – mamy wobec ciebie dług wdzięczności.

Znowu zagrzmiały oklaski. Gdy nieco ucichły, przemówił Leo. Jego głos był głęboki i tak cichy, że z trudem mogli go dosłyszeć.

– Kiedy dwadzieścia cztery lata temu zjawiłem się w miejscu nazywanym Aleją Karaluchów, chciałem służyć krajowi, którego ustrój był nadzieją całego świata. Jako młody człowiek wyobrażałem sobie, że moja służba obfitować będzie w dramatyczne akcje wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Od tamtej pory zrozumiałem jednak, że nasza wojna szpiegowska nie toczy się jedynie w okopach, w ogniu walki. „Jemu też służy, kto stoi i czeka”^[41], napisał niegdyś wielki poeta John Milton. Dyrektorze, dziękuję za to powitanie, ale teraz chciałbym już znaleźć się w mojej sekcji, przy moim biurku i wziąć się do codziennej, żmudnej pracy, żeby zimna wojna zakończyła się zwycięstwem.

Rozległy się brawa. Colby uśmiechnął się z aprobatą. Ludzie zaczęli się rozchodzić. W końcu zostali tylko Jack i Ebby. Ebby stał i kiwał z podziwem głową. Jack otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i tylko zasalutował. Razem z Ebbym weszli na siódme piętro, do biura DD/O.

Leo odetchnął głęboko. Znowu był w domu i odczuwał z tego powodu ogromną ulgę.

Angleton został wezwany na dywanik, dosłownie i w przenośni.

– Co nagadałeś temu Hershowi? – zapytał.

Colby podniósł się zza swego olbrzymiego biurka i stanął twarzą w twarz z szefem kontrwywiadu. Zmierzyli się wzrokiem.

– Powiedziałem mu, że celem HT/LINGUAL było śledzenie zagranicznych kontaktów amerykańskich dysydentów poprzez kontrolowanie ich korespondencji, że program ten, jako jedna

z ważniejszych operacji kontrwywiadu, zyskał swego czasu pełną aprobatę prezydenta, ale że już dawno został zakończony.

– Czyli potwierdziłeś, że otwieraliśmy pocztę – stwierdził Angleton z wyrzutem.

– Nawet nie musiałem – odparł Colby. – Hersh już to wiedział.

– Nie wiedział, że to był program kontrwywiadu – warknął Angleton. – Wskazałeś mnie palcem.

– O ile mnie pamięć nie myli, Jim, HT/LINGUAL to był t w ó j pomysł. Twoi ludzie otwierali koperty. Twoi ludzie przez dwadzieścia lat odhaczali nazwiska trzystu tysięcy Amerykanów, którzy pisywali do Związku Sowieckiego lub sami otrzymywali stamtąd listy.

– Mieliśmy uzasadnione powody, aby podejrzewać, że KGB komunikuje się ze swoimi agentami w Ameryce za pośrednictwem zwykłej poczty. Bylibyśmy ostatnimi półgłówkami, gdybyśmy pozwolili im się z tego wywinąć z powodu jakichś głupich przepisów...

Colby odwrócił się.

– Te g ł u p i e przepisy, jak je nazywasz, to jest to, czego bronimy, Jim.

Angleton poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Znalazł jednego, wetknął sobie do ust, ale był tak rozkojarzony, że zapomniał go zapalić.

– To przecież absurd, żeby tajne służby musiały przestrzegać jawnych przepisów.

Colby popatrzył na roztaczający się za oknem sielski krajobraz Wirginii. Nad polami unosiła się leciutka mgiełka. Z szóstego piętra wyglądało to, jakby ziemia się tliła.

– Wyjaśnijmy coś sobie, Jim. Rolą kontrwywiadu jest infiltracja obcego wywiadu i przesłuchiwanie zbiegów, a od tropienia kretów wewnątrz Firmy mamy ludzi z Biura Ochrony. To ich robota. Powiedz mi, ile prowadzisz operacji przeciwko Sowietom? Nie słyszałem o żadnej. Siedzisz za tym swoim biurkiem i – z wyjątkiem Kukuszkina – odwalasz każdego sowieckiego zbiega, którego uda się nam zwerbować dzięki odrobinie szczęścia i mozolnej pracy wywiadu. I akurat ten jeden jedyny, którego nie odwaliłeś, okazał się specjalnie nasłanym agentem, sypiącym jak z rękawa fałszywymi historyjkami. To staje się nie do zniesienia. – Twardo popatrzył mu w oczy. – Pojutrze „Times” ma zamiar opublikować artykuł Hersha o twojej wewnętrznej operacji szpiegowskiej. Zapowiada się twardy orzech do zgryzienia. Już wcześniej rozmawialiśmy o rezygnacji. Odejdiesz teraz, koniec kropka.

Angleton gwałtownym ruchem wyciągnął z zaciśniętych, pobladłych ust niezapalonego papierosa.

– Mam rozumieć, że mnie zwalniasz, dyrektorze?

– Powiedzmy, że wysyłam cię na emeryturę.

Angleton skierował się do drzwi, po czym odwrócił się gwałtownie. Przez chwilę bezdźwięcznie poruszał ustami, aż w końcu wydusił z trudem:

– Philby do spółki z KGB od lat próbowali mnie zniszczyć... Jesteś bezwolnym narzędziem w ich ręku.

– Nie ma ludzi niezastąpionych, Jim.

– Popęlniasz straszny błąd, jeśli sądzisz, że ktokolwiek może mnie zastąpić. Żeby wkroczyć na ów grząski grunt, żeby w ogóle spróbować się po nim posuwać, trzeba jedenastu lat na przestudiowanie starych przypadków. Nie dziesięciu, nie dwunastu, ale dokładnie jedenastu. I nawet wtedy można zostać jedynie czeladnikiem analityka kontrwywiadu.

Colby wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Mimo wszystko spróbujemy sobie jakoś poradzić bez ciebie. Cieszę się, że mamy to już za sobą, Jim.

Wicedyrektor wywiadu DD/I i jego zastępca, DD/O (Ebby) i jego szef operacji (Jack), szefowie poszczególnych sekcji, Jim Angleton z ramienia kontrwywiadu, a także wyżsi rangą oficerowie z Biura Ochrony, służb technicznych oraz Sekcji Psychologii Politycznej stłoczyli się, jak w każdy piątek o dziewiątej rano, w niewielkiej salce konferencyjnej niedaleko gabinetu DCI, wezwani na regulaminowy *tour d'horizon*^[42]. Zastępca szefa Sekcji Psychologii Politycznej, z wygasłą fajką w ustach, rozwinął arkusz papieru z odręcznie wykonaną podobizną libijskiego dyktatora Muammara Al-Kaddafiego, który ostatnio podbił ceny ropy na całym świecie, redukując jej eksport.

– Wbrew powszechnie panującej opinii – mówił – Kaddafi z pewnością nie cierpi na żadną chorobę psychiczną i raczej nie traci kontaktu z rzeczywistością. Jest, nazwijmy to, na krawędzi zaburzenia osobowości, co objawia się tym, że jednego dnia zachowuje się jak szaleniec, a już następnego jak człowiek zupełnie normalny.

– Co uderzająco przypomina zachowanie niektórych spośród nas – zażartował dyrektor, a przy stole rozległy się stłumione chichoty.

– Gdyby KGB miał sekcję psychologiczną, właśnie tak określiłaby ona Nixona po jego decyzji o ataku na Kambodżę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku – zauważył Leo, który uczestniczył w odprawie po raz pierwszy od powrotu do Langley.

– Wydaje mi się, że taką właśnie osobowość powinien mieć każdy przywódca – stwierdził Ebby. – Opozycja nigdy nie mogłaby przewidzieć, co zrobi w danej sytuacji.

– Powstaje pytanie – wtrącił Jack – czy tacy jak Kaddafi i Nixon są faktycznie na krawędzi zaburzenia osobowości, czy tylko chcą przekonać siebie nawzajem, że tak jest?

Dyrektor, siedzący u szczytu stołu, zerknął na zegarek.

– To ciekawe pytanie odłożymy sobie na później. Zanim się rozejdziemy, mam jeszcze jedną sprawę do omówienia. Chciałbym ogłosić, że obecny tu Jim Angleton odchodzi na emeryturę. W tym gronie nie muszę chyba przypominać, jak wielkie zasługi położył dla Firmy, a zwłaszcza dla kontrwywiadu, gdyż jego dokonania już zdążyły obrosnąć legendą. W służbie Stanów Zjednoczonych Ameryki pobił swoisty rekord, gdyż pracę w wywiadzie zaczął jeszcze podczas wojny, na Ryder Street w Londynie. Rezygnację Jima przyjąłem z wielkim żalem. Ale to stary wiarus i już dawno należał mu się odpoczynek.

Po słowach Colby'ego w pokoju zaległa martwa cisza; trzęsienie ziemi z epicentrum pod Langley nie wstrząsnęłooby bardziej obecnymi na spotkaniu. Ebby i Jack nawzajem unikali swego wzroku. Kilka osób nie mogło się powstrzymać, by nie zerknąć na Leo Kritzky'ego, który gapił się w okno, zatopiony we własnych myślach. Dyrektor uśmiechnął się do siedzącego na drugim końcu stołu szefa kontrwywiadu.

– Chciałbyś coś powiedzieć, Jim? – zapytał.

Angleton, samotny i wymizerowany u jakże gorzkiego kresu swej długiej i wspaniałej kariery, wstał, uniósł dłoń do czoła, jakby chciał odegnąć czającą się migrenę.

– Niektórzy z was wysłuchali swego czasu mojego raportu o „istocie zagrożenia”. Ci, którzy nie mieli okazji się z nim zapoznać, niech wysłuchają go teraz, bo nie mógłbym wymyślić nic stosowniejszego na tę okazję. Potraktujcie to jako mój łabędzi śpiew.

Odchrząknął i kontynuował, unikając wzroku zebranych wokół stołu baronów Firmy:

– Lenin kiedyś powiedział do Feliksa Dzierżyńskiego: „Zachód swoje pobożne życzenia bierze za rzeczywistość, dajmy mu to, czego sobie życzy”. Kiedy pracowałem na Ryder Street, nauczyłem się, że kluczem do tego, by zmusić niemieckich jeńców do wyśpiewania wszystkiego, co wiedzą, jest partytura, czyli rozpisanie na głosy ich wzajemnie potwierdzających się i nakładających na siebie zeznań, aby odsłonić istotę dezinformacji, ukrytą pod kolejnymi warstwami prawdy i kłamstw. Tak właśnie od lat postępują z nami Sowieci. Realizując starannie przygotowany, misterny plan, karmią zwolenników pobożnych życzeń na Zachodzie przekładańcem nawarstwiających się, spiętrzonych dezinformacji. Udaje im się to dzięki niezwykle finezyjnej siatce lokalnych agentów i fałszywych zbiegów. Ustaliłem, że lider brytyjskich laburzystów, Hugh Gaitskell, zmarły w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku na *lupus disseminata*, został zamordowany przez specjalistów od mokrej roboty z KGB. Wirus *lupus* posłużył im jako narzędzie zbrodni, dzięki czemu Moskwa mogła obstać najwyższe stanowisko w partii laburzystów swoim człowiekiem, Haroldem Wilsonem, i wykreować go na premiera, który to urząd sprawuje do dziś. Wilson jest płatnym agentem KGB. Zanim został szefem rządu, wielokrotnie bywał w Związku Sowieckim. Ich człowiekiem jest Olof Palme, obecny premier Szwecji. Zwerbowano go, gdy przebywał z oficjalną wizytą na Łotwie. Agentem KGB jest kanclerz niemiecki Willy Brandt. Agentem KGB jest Lester Pearson, kanadyjski premier, który ustąpił ze stanowiska dwa lata temu. Już od dawna sowieckim agentem jest szef MI5 Roger Hollis. Od lat trzydziestych agentem KGB jest Averell Harriman, nasz były ambasador w ZSRR i gubernator stanu Nowy Jork. Obiektywnie biorąc, sowieckim agentem jest

także Henry Kissinger, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i sekretarz stanu Nixona. Wszyscy oni dołączają swe głosy do chóru obrońców sowieckiej strategii odprężenia pod batutą KGB. I żeby nie było żadnych nieporozumień, panowie... Odprężenie, podobnie jak inne inspirowane przez Sowietów fantasmagorie (że wspomnę choćby rozłam chińsko-sowiecki, odchylenia jugosłowiańskie i rumuńskie, zdradę Albanii czy domniemaną niezależność Włoskiej Partii Komunistycznej od Moskwy), stanowi część szeroko zakrojonego planu dezinformacji, obliczonego na destabilizację Zachodu, a służącego wyłącznie temu, by nam wmówić, że już wygraliśmy zimną wojnę.

Kilka osób zerknęło z zakłopotaniem na Colby'ego, który przewidziawszy krótką mowę pożegnalną, nie miał teraz serca Angletonowi przerywać.

– Tak zwana Praska Wiosna – ciągnął były szef kontrwywiadu – również była częścią dezinformacyjnej kampanii; sowiecka inwazja na Czechosłowację w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku została przygotowana wspólnie przez Dubčeka i Breżniewa. Różnice ideologiczne, dzielące Moskwę i tak zwanych eurokomunistów, są jedynie grą pozorów, częścią światowego spektaklu, odgrywanego przez KGB-owski Zarząd Dezinformacji. – Wierzchem dłoni otarł spieczone wargi. – Jeżeli na najwyższym szczeblu naszej wywiadowczej organizacji kwestionowano powyższe fakty, to śmiem twierdzić, iż była to robota sowieckiego kreta o kryptonimie SASZA, który zręcznie zonglując prawdą i fałszem, doprowadził do tego, że wielu spośród nas przeoczyło oczywiste zagrożenie. I tak oto dochodzimy do największego w dotychczasowej historii sowieckiego spisku, którego celem jest gospodarcze zniszczenie Zachodu poprzez wywołanie rozruchów i zamieszek, będących skutkiem ekonomicznej destabilizacji, co w końcu musi zaowocować wyborczym

triumfem popierającej Moskwę lewicy. Ustaliłem, że mózgiem tej rozpoczętej już co najmniej dziesięć lat temu operacji KGB jest niejaki Dziadek – po rosyjsku *Starik* – żywa legenda sowieckiego wywiadu. To on swego czasu prowadził Adriana Philby’ego i to on teraz osobiście kieruje poczynaniami SASZY. Uknuły przez Dziadka spisek polega między innymi na wyprowadzaniu za granicę twardej waluty ze sprzedaży sowieckiej benzyny, ropy i broni, a następnie praniu zgromadzonych pieniędzy w bankach na całym świecie do czasu, gdy będzie można użyć tych kolosalnych sum do zaatakowania dolara... – Zawiesił głos, uśmiechając się drwiąco. – I niech wam się nie zdaje, że nie wiem, co teraz myślicie... Uważacie, że wszystko wysłałem sobie z palca... – Przymrużył oczy i recytował w natchnieniu: – Odkryłem, że patriarcha Wenecji, kardynał Albino Luciani, wszczął śledztwo w sprawie raportów, donoszących, jakoby do Banku Watykańskiego wpływały jakieś tajemnicze sumy, przekazywane następnie na zagraniczne konta. Operacja prania pieniędzy nosi rosyjski kryptonim CHOŁSTOMIER, czyli BYSTRONOZI. Jest to imię srokatego wałacha z opowiadania Tołstoja^[43].

Z przymkniętymi oczami, z odrzuconą do tyłu głową, Angleton sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim transie. Nagle ocknął się, otworzył oczy i zaczął mówić pospiesznie, jakby wiedział, że jego czas się kończy:

– Gaitskell, Wilson, Palme, Brandt, Pearson, Hollis, Harriman, Kissinger, Dziadek, CHOŁSTOMIER... tych wszystkich informacji nie podano mi na srebrnej tacy. Zdobyłem je sam, wytropiłem w „dzikim gąszczu luster”. Kosztowało mnie to tysiące godzin żmudnego ślęczenia nad niuansami i szczegółikami, którymi nikt inny się nie przejmuje. Metoda ta, podobnie jak sztuka łowienia „na muchę”, wymaga nieskończonej wprost cierpliwości. Och, niektórzy powiedzą wam, że wystarczy stanąć na brzegu, zarzucić wędkę i już. Nie tak szybko, panowie! Możecie mi wierzyć na

słowo. Jeżeli chcecie złowić legendarnego olbrzymiego pstrąga potokowego, żerującego w górnym biegu rzeki Brule, najpierw musicie podpatrzeć, czym żywi się ta ryba. – Angleton pochylił się nad stołem, aż płonął z niecierpliwości, by wtajemniczyć kolegów w sekrety swoich zawodowych sztuczek. – Trzeba złapać małego pstrąga, rozpruć mu brzuch, wypatroszyć wnętrzności, umieścić je w przezroczystym naczyniu i dokładnie obejrzeć ich zawartość. A gdy już wiemy, co mu smakuje, przygotowujemy przynętę. Poprzez odpowiedni dobór kolorów odwłoka, skrzydełek i tych wszystkich piórek, które się do niej przyczepia, można wyczarować muszkę, do złudzenia przypominającą prawdziwą muchę. Będzie unosić się na wodzie, trzepocząc skrzydełkami, a pstrąg da się nabrać, przekonany, że to prawdziwa mucha. I właśnie wtedy, panowie – ogłosił z triumfem – uderzacie...

Dyrektor wstał.

– Dziękuję, Jim – powiedział cicho, odwrócił się i wyszedł, jakby się gdzieś spieszył.

Inni, jeden po drugim, poszli w jego ślady. Leo i Angleton zostali sami.

– Wiem, że to ty – mruknął Angleton, marszcząc brwi z wyrazem bezsilnej udręki. – Teraz widzę to jasno... Ty jesteś SASZĄ. Kukuszkin był podstawiony. Miał mnie naprowadzić na twój trop. Dziadek odgadł, że prędzej czy później wyłowię twoją tożsamość z „dzikiego gąszczu luster”. Zorganizował lipny proces i sfingował egzekucję, bo wiedział, że wtedy ponownie przeanalizujemy całą sprawę i odkryjemy, że Kukuszkin żyje... Ty będziesz wolny od wszelkich podejrzeń, a ja stracę wiarygodność. Chodziło o to, żeby mnie zniszczyć, zanim zidentyfikuję SASZĘ... zanim zdemaskuję CHOŁSTOMIERA.

Leo odsunął krzesło i wstał.

– Nie mam do ciebie żalu, Jim. Powodzenia.

Zniknął za drzwiami, lecz Angleton mówił dalej, jakby nie zauważył, że został sam.

– Cała sztuczka, widzisz, polega na tym, żeby zarzucić przynętę jak najdalej, pozwolić jej płynąć z prądem i od czasu do czasu szarpnąć. – Jego dłoń poderwała wyimaginowaną wędkę. – Muszka tańczy na powierzchni wody, a ty manewrujesz zręcznie... Tylko pamiętaj, nie wolno się spieszyć...! Musisz być cierpliwy... bardzo cierpliwy... I nie ma siły, już jest twój, sukinsyn rzuci się na przynętę, a ty go cap! Ani się obejrzysz, jak na kolację będziesz piec pstrąga na ruszcie...

Jego głos cichł stopniowo. Wreszcie Angleton opadł ciężko na krzesło i objął rękami głowę, żeby choć trochę złagodzić atak nieuchronnej migreny.

W blasku jarzącej się w ciemni czerwonej żarówki skóra Dziadka przybrała neonową barwę – przez ułamek sekundy miał niesamowite uczucie, że jego ręce przypominają dłonie zabalsamowanego Lenina w mauzoleum na placu Czerwonym. Pod świetlistymi palcami, na czarno-białej odbitce trzydziści na trzydziści osiem centymetrów, zanurzonej w płytkiej kuwecie z wywoływaczem, zaczęły ukazywać się szczegóły fotografii. Drewnianą pęsetą wyjął papier z cieczy i chwilę potrzymał pod światło. Zdjęcie było niedoświetlone, zbyt blade, a szczegóły, które miał nadzieję uchwycić, ledwie widoczne.

Wywoływanie filmu i robienie powiększeń uspokoiło Dziadka. Z walnej narady na Kremlu wrócił rozwścieczony i zlał na gołą pupę jedną ze swych podopiecznych tylko dlatego, że pomalowała sobie usta szminką, a gosposię, która dała jej pomadkę, natychmiast zwolnił. Leonid Iljicz Breżniew, sekretarz generalny KPZR, najjaśniejsza wschodząca gwiazda na firmamencie sowieckiej hierarchii, stracił głowę i nic nie było w stanie go

przekonać do zmiany decyzji. O operacji CHOŁSTOMIER Dziadek po raz pierwszy poinformował Breżniewa w zeszłym roku. Sekretarz generalny był pod wrażeniem tego drobiazgowo opracowanego projektu, który przekształcił się w trwające ponad dwadzieścia lat przedsięwzięcie; był też pod wrażeniem benedyktyńskiej cierpliwości, z jaką pokaźne kwoty w twardej walucie chomikowano w stosunkowo drobnych sumach na kontach bankowych, aby nie zwrócić uwagi zachodnich służb wywiadowczych. Potencjał CHOŁSTOMIERA oszołomił Breżniewa, który nagle ujrzał się głównym sprawcą upadku kapitalistycznej gospodarki i burżuazyjnej demokracji oraz triumfu radzieckiego socjalizmu na całej kuli ziemskiej. Podręczniki historii ustawią go na piedestale obok Marksa i Lenina; potomni zapamiętają go jako przywódcę, który poprowadził Związek Radziecki do zwycięstwa w zimnej wojnie.

Tym trudniej więc było zrozumieć jego obecną powściągliwość. Dziadek, uzyskawszy zgodę swego bezpośredniego przełożonego, przewodniczącego KGB Jurija Andropowa, na realizację owego bezprecedensowego przedsięwzięcia oraz pozytywną opinię Komitetu Trzech – tajnego zarządu Politbiura, który weryfikował wszystkie inicjatywy wywiadowcze – udał się na Kreml, aby usunąć z drogi ostatnią przeszkodę. Ze starannie wykalkulowaną pasją przedstawił Breżniewowi swoje argumenty. W obliczu rosnącej inflacji Amerykanie zaczynają cienko prąść: cukier, na przykład, podrożał ostatnio dwukrotnie, do trzydziestu dwóch centów za funt. Indeks Dow Jones spadł do pięciuset siedemdziesięciu punktów, z tysiąca trzech przed dwoma laty. Wzrost cen ropy po wojnie na Bliskim Wschodzie w 1973 roku (do 11,25 dolara za baryłkę z 2,5 dolara na początku roku) sprawił, iż amerykańska gospodarka rozchwiała się jeszcze bardziej. Tak więc uderzenie w dolara ma wszelkie szanse powodzenia – może przyspieszyć kryzys i pogrążyć kraj w recesji, z której już nigdy się

nie podniesie. A jedyny człowiek, który mógłby zdemaskować intencje Związku Radzieckiego, został wysłany na emeryturę. To niezwykle sprzyjająca okoliczność i najlepszy moment, żeby rozpocząć operację CHOŁSTOMIER.

Breżniew, w zapiętym pod samą szyję jedwabnym, podbitym futrem szlafroku, siedział w wiklinowym fotelu na kółkach, opatulony ciepłym pledem i grzał stopy nad elektrycznym piecykiem. W milczeniu wysłuchał Dziadka, po czym potrząsnął swoją olbrzymią głową. Już Chruszczow próbował mącić w Ameryce i zainstalował na Kubie wyrzutnie rakiet średniego zasięgu, przypomniał swemu gościowi sekretarz generalny, a wy dobrze wiecie, jak zakończył się ten epizod. Kennedy zagroził wypowiedzeniem wojny, upokorzony Chruszczow zaś był zmuszony wycofać rakiety. Politbiuro wyciągnęło z tego odpowiednie wnioski i dwa lata później wysłało go na przymusową emeryturę.

Breżniew kopniakiem odsunął piecyk i wyjechał na wózku zza swego ogromnego biurka, wyposażonego w siedem telefonów i okazałych rozmiarów angielski dyktafon. Marszcząc w skupieniu krzaczaste brwi i trzęsąc obwisłymi policzkami, oświadczył, że nie zamierza skończyć jak Chruszczow. Wszystko sobie dokładnie przemyślał i doszedł do wniosku, że osłabiona gospodarczo Ameryka zareaguje na destabilizację dolara jak osaczony tygrys, czyli, innymi słowy, Waszyngton zaatakuje Związek Radziecki, żeby ratować amerykańską gospodarkę. Nie zapominajcie, pouczał Dziadka, że amerykańska gospodarka tylko dzięki wojnie światowej wyszła obronną ręką z wielkiego kryzysu, który nastąpił po krachu na giełdzie w 1929 roku. Kiedy trzeba nakręcić koniunkturę, kapitaliści zawsze wszczynają wojnę. Nasi politolodzy już dawno to udowodnili.

Breżniew nie przekreślił jednak CHOŁSTOMIERA całkowicie, pozostawiając Dziadkowi uchyloną furtkę. Za kilka lat, kiedy Związek Radziecki wzmocni swoją strategię drugiego uderzenia na tyle, żeby odeprzeć pierwsze uderzenie jądrowe Ameryki, będzie można powrócić do tej sprawy. W każdym razie warto trzymać w rękawie takiego asa, choćby po to, by uprzedzić cios, na wypadek gdyby wróg chciał w ten sam sposób rozprawić się z radziecką gospodarką.

Teraz, w swojej ciemni na poddaszu willi Apatowów w Czeriomuszkach, Dziadek ustawił minutnik czeskiego powiększalnika na siedem sekund, naświetlił papier i ostrożnie włożył do kuwety z wywoływaczem. Po chwili zaczęły ukazywać się detale fotografii. Najpierw pojawiły się nozdrza, potem obwódki oczu i usta, a w końcu sutki, niczym różane pączki na płaskich piersiach chudych, dziecięcych figurek. Za pomocą drewnianej pęsety Dziadek wyjął odbitkę z cieczy i wsunął do kuwety z utrwalaczem. Przyglądając się uważnie wyblakłej, jakby spranej fakturze zdjęcia, stwierdził, że jest w gruncie rzeczy zadowolony z osiągniętego efektu.

Dziwnym trafem fotografika miała wiele wspólnego z operacjami wywiadu. I w jednym, i w drugim przypadku cała sztuka polegała na tym, że najpierw trzeba było stworzyć sobie określoną wizję, zobaczyć obraz, z a n i m się go uchwyci, a potem oddać możliwie jak najwierniej, aby uzyskać zamierzony rezultat. A to wymagało nieskończonej cierpliwości. Dziadek pocieszał się, że operacja CHOŁSTOMIER wynagrodzi mu kiedyś z nawiązką wszystkie lata żmudnej pracy. Breżniew nie będzie żył wiecznie. W tym roku miał już kilka, co prawda łagodnych, wylewów (spowodowanych, według tajnego raportu KGB, przez miażdżycę mózgu), które unieruchomiły go na parę ładnych tygodni. Od tamtej pory wszędzie towarzyszył mu ambulans z zespołem lekarzy, specjalistów od reanimacji. Andropow, który od 1967 roku był szefem KGB i od 1973 członkiem

Politbiura, powiedział Dziadkowi w zaufaniu, że uważa się za jedyne­go możliwego następcę Breżniewa. A Andropow był zagorzałym zwolennikiem CHOŁSTOMIERA.

Tej nocy, kiedy Dziadek zasiadł na ogromnym łożu, żeby poczytać na dobranoc swoim protegowanym, za oknami rozszalała się pierwsza grudniowa zamieć. Obwieszane soplami kable linii wysokiego napięcia nie wytrzymały ciężaru śniegu. Willa Apatowów pogrążyła się w ciemności. Na nocnej szafce paliła się samotna świeczka. Trzymając wystrzępione kartki blisko migoczącego płomyka, Dziadek zakończył kolejny rozdział:

– „Alicja wbiegła do lasu i zatrzymała się pod drzewem. «W żaden sposób mnie tu nie dostanie – pomyślała. – Jest o wiele za duża, żeby precyzyjnie się pomiędzy drzewami. Ale bardzo bym chciała, żeby nie wymachiwała tak skrzydłami... w lesie wieje zupełny huragan...»”

Dziewczynki, ciasno przytulone do siebie, westchnęły zgodnie.

– Przeczytaj nam jeszcze troszeczkę, wujku – poprosiła Rewolucjón.

– Musimy się dowiedzieć, co goniło Alicję, bo nie będziemy mogły zasnąć ze strachu – pisnęła Aksinia.

– Jak nie chcesz czytać – marudziła jasnowłosa Czerkieska o anielskiej twarzączce, ta sama, która dostała w skórę za malowanie się szminką – to przynajmniej zostań z nami przez chwilę.

Dziadek podniósł się z łóżka.

– Przykro mi, moje małe, ale mam jeszcze sporo pracy – powiedział.

– Zostań, zostań, zostań! – krzyczały jedna przez drugą, obłapiając go i ciągnąc za nocną koszulę.

Uśmiechnął się i wyswobodził z uścisku.

– Jeżeli chcecie zasnąć, musicie zapuścić się w głąb Krainy Czarów.

– Jak to zrobić, skoro już nie chcesz nam czytać? – spytała Rewolucjón.

– To wcale nie takie trudne... – Dziadek pochylił się i zdmuchnął świecę, pograżając pokój w zupełnych ciemnościach. – A teraz postarajcie się wyobrazić sobie, „jak wygląda płomień świecy po zdmuchnięciu świecy”.

– Och, widzę go, widzę! – wykrzyknęła z zachwytem Czerkieska.

– Jest taki piękny! – westchnęła Revolucjón. – Migocze w moich myślach jak błędny ognik...

– Płomień świecy, która już zgasła, wygląda zupełnie jak światło odległej gwiazdy, otoczonej wirującymi planetami – powiedziała rozmarzonym głosem Aksinia. – Jedną z tych planet to Kraina Czarów, gdzie małe dziewczynki jedzą „lustrzane ciasta” i pamiętają rzeczy, które „wydarzyły się za dwa tygodnie”.

– Och, chodźmy tam wreszcie! – zawołała z zapalem Revolucjón.

– Zmruźcie teraz oczy, dziewczęta – powiedział zniecierpliwiony Dziadek – a znajdziecie się w drodze na planetę Alicji.

INTERLUDIUM

KALABRYJCZYK

Alicja pomyślała z dreszczem: „Za żadne skarby nie zgodziłabym się być jego gońcem!”

CIVITAVECCHIA, CZWARTEK, 28 WRZEŚNIA 1978

W pochmurny poranek, o szóstej czterdzieści, marynarze na „Władimirze Iljiczu”, sowieckim frachtowcu o wyporności pięciu tysięcy ton, zwinęli cumy i odbili od mola. Gdy zaczęli oddalać się od lądu, na statku zawyła syrena. Wachtowy spuścił z masztu na rufie sowiecką flagę, a sygnalista wciągnął drugą na fał. Włoski holownik odczepił linę i zawrócił do portu, a frachtowiec, wyładowany silnikami Fiata, ciężkimi tokarkami i lodówkami, zaczął wypływać na pełne morze. Na mostku, za sterówką, stała wysmukła postać z rozwichrzoną szpakowatą brodą, obserwując, jak włoskie wybrzeże zmienia się w cieniutką linię na horyzoncie. Dziadek nie spał od północy. Wypijając niezliczone ilości rozpuszczalnej espresso, czekał w portowym magazynie na posłańca, który miał przynieść wiadomość, iż niebezpieczeństwo zagrażające operacji CHOŁSTOMIER zostało zażegnane. Siedemnaście minut po trzeciej brudnożółta taksówka marki „Fiat” podjechała pod boczne wejście. W chwilę potem do magazynu wszedł Kalabryczyk. Utykał na lewą nogę. Jako człowiek niestrzępiący na darmo języka skinął tylko głową i powiedział: *La cosa è fatta*. Nowa podopieczna Dziadka, szczuplutka Maria Jesus, pół Włoszka, pół Serbka, przetłumaczyła jego słowa na rosyjski.

– On mówi – powiedziała uradowana, że może się na coś wujkowi przydać – że rzecz jest zrobiona.

Z przepastnych kieszeni dominikańskiego habitu Kalabryczyk wyjął metalowe pudełeczko ze strzykawką, kubek z resztką zatrutego mleka na dnie, fiolkę zwykłego mleka, rękawiczki chirurgiczne oraz wytrych i położył to wszystko na stole. Potem wręczył Rosjaninowi brązową teczkę

z wypisanym antykwą na okładce słowem CHOŁSTOMIER. Dziadek w milczeniu skinął ręką i dziewczynka podała Kalabryczykowi płócienny marynarski worek, zawierający milion dolarów w używanych banknotach o różnych nominałach. Kalabryczyk zajrzał do środka i pomacał ściągnięte gumkami paczuszki.

– Gdybyś jeszcze kiedyś potrzebował moich usług – powiedział – wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Teraz, stojąc na mostku „Władimira Iljicza”, Dziadek przyglądał się drugiemu oficerowi, który pochylony nad dziennikiem pokładowym, pracowicie wyznaczał nowy kurs. Silniki zostały włączone i przetestowane. Sprawdzono ster. Obsługujący windę marynarze zameldowali, że w razie sytuacji awaryjnej mogą w każdej chwili odblokować łańcuchy i spuścić kotwice. Marynarze pokładowi, w czarnych golfach i sztormiakach, zabierali się do zwijania ciężkich cum, wciąż jeszcze zaczepionych na pachołkach, ściągnięcia trapu i odbijaczy.

W trakcie tych przygotowań odbiła od nabrzeża niewielka łódź rybacka, wyposażona w potężne silniki Diesla. Wypłynąwszy poza falochron, skierowała się prosto na południe, do Palermo. Na pokładzie znajdowali się Kalabryczyk i kierowca taksówki, Korsykanin ze złamanym nosem. Dziadek obserwował ich przez lornetkę. Stali w zębie – jeden, osłaniając od wiatru płomień zapałki, przypalał drugiemu papierosa. Radio na mostku „Władimira Iljicza” nadawało poranny koncert weneckich mandolinistów. Nagle audycję przerwano. Poważny głos odczytał krótki komunikat, który Maria Jesus od razu zaczęła tłumaczyć na rosyjski. Zgodnie z niepotwierdzonymi jeszcze doniesieniami papież Jan Paweł I, były patriarcha Wenecji Albino Luciani, prawdopodobnie miał tej nocy atak serca. Wiadomo tylko, że udzielono mu ostatniego namaszczenia, co wywołało spekulacje, iż po zaledwie trzydziestu czterech dniach

pontyfikatu Ojciec Święty nie żyje albo jest bliski śmierci. W Watykanie zgromadzili się już wszyscy włoscy kardynałowie. Gdy wznowiono program, z radia popłynęły uroczyste dźwięki żałobnego rekwiem. Na „Władimirze Iljczu” nadal zwijano liny, a Dziadek znów podniósł do oczu lornetkę. Łódź rybacka wyprzedzała ich już o długość kadłuba; w porannej mgle widać było jedynie światła na maszcie i takielunku. Nagle rozległ się stłumiony wybuch, jakby silnik zakrztusił się i stanął. Kuter przechylił się na burtę i powoli zniknął pod wodą.

Wdychając rześkie, morskie powietrze, Dziadek pieścił smukłą szyję Marii Jesus. Chętnie zaciągnąłby się papierosem, ale za radą lekarza rzucił ostatnio palenie. Pocieszał się myślą, że istnieją w życiu jeszcze inne przyjemności. Zupełnie jak Alicja, „biegł tak szybko, jak potrafił, żeby zostać w tym samym miejscu”; emisariusz spoczywa na dnie morza, a papież, który nie taił, iż zamierza skończyć z praniem pieniędzy w Banku Watykańskim, zabierze ze sobą do grobu tajemnicę operacji CHOŁSTOMIER. Za pięć dni Dziadek wróci do domu i znów będzie czytał swoim małym protegowanym opowieść, która uczy, jak ważna jest wiara w „sześć niemożliwych rzeczy już przed śniadaniem”.

CZĘŚĆ V

ŚLEPA ULICZKA

– Spójrzcie, spójrzcie! – zawołała, wskazując z podnieceniem. – Oto Biała Królowa przebiega okolicę! Wyleciała z lasu, o tego, tam... Jakże szybko potrafią biec te Królowe!

– Bez wątpienia ściga ją jakiś nieprzyjaciel – powiedział Król, nie spojrzawszy nawet w tamtym kierunku. – Las jest ich pełen.

Zdjęcie: amatorska czarno-biała fotografia, która na pierwszych stronach gazet obiegała cały świat, ukazuje dwóch amerykańskich zakładników, pojmanyh gdzieś w Afganistanie przez majora Ibrahima, legendarnego przywódcę fundamentalistycznego odłamu Islamskiego Dżihadu. Młoda kobieta, znana reporterka telewizyjna Maria Shaath, patrzy na porywaczy, uśmiechając się z lekkim zniecierpliwieniem; jeden z jej nowojorskich producentów stwierdził, że wygląda, jakby się martwiła, że nie dotrzyma terminu. Obok niej, zwrócony plecami do plakatu przedstawiającego Złoty Meczec w Jerozolimie, stoi młody Amerykanin, w którym muzułmańscy bojownicy rozpoznali funkcjonariusza CIA, choć rząd amerykański utrzymywał, iż jest on tylko attaché w konsulacie w Peszawarze. Amerykanin, z obojętnym, z lekka sardonicznym uśmiechem, patrzy prosto w obiektyw aparatu. Więźniowie są bladzi i wyczerpani tygodniami niewoli.

PESZAWAR, CZWARTEK, 13 PAŹDZIERNIKA 1983

Na boisku sąsiadującym z rozległym terenem obozu dla uchodźców w Kaczaganie wzbilo się tyle kurzu, że widzowie na odkrytych drewnianych trybunach najpierw usłyszeli tętent kopyt, a dopiero potem zobaczyli konie.

– Pasztunowie nazywają tę grę *buzkaszi*, dosłownie „łapanie kozy” – wyjaśnił Manny.

Musiał krzyczeć Anthony’emu do ucha, tak wielki był zgiełk otaczającego ich tłumu. Na boisku dwudziestu jeźdźców kłębiło się w ogólnej szamotaninie, próbując chwycić coś, co upadło na ziemię.

– Wyobraź sobie, że to brutalniejsza odmiana polo – ciągnął. – Wrzucają na boisko kozę z uciętą głową. Wszystkie chwytówy dozwolone, poza użyciem noża. Drużyna zyskuje punkty, gdy wyrwie zwłoki przeciwnikowi i przerzuci je z jednego koła do drugiego.

– Jak długo to trwa? – zapytał Anthony, który dopiero co przyjechał z Islamabadu i nawet nie zdążył jeszcze zdjąć przepoconego munduru khaki i butów od Clarka.

Manny roześmiał się.

– Do skutku, dopóki konie lub jeźdźcy nie padną z wyczerpania.

Anthony McAuliffe był niezgrabnym, nieco zbyt wyrośniętym dwudziestotrzylatkiem, mającym metr osiemdziesiąt wzrostu. Szczerymi, męskimi rysami twarzy i czupryną ogniście rudych włosów do złudzenia przypominał ojca, Jacka. Patrzył teraz na stłoczonych po drugiej stronie

boiska młodych ludzi, którzy siedząc na niskim drewnianym płotku i częstując się nawzajem skrętami (tak przynajmniej twierdził Manny), zagrzewali do walki swoich graczy, i nagle wszystkie studenckie szaleństwa, szkolenie na Farmie, a nawet pierwsze kroki w Langley, wydały mu się wspomnieniami z poprzedniego wcielenia. Za trybunami na wpół nagie dzieci, małpując dorosłych, walczyły o zdechłego kurczaka. Poza boiskiem rozciągały się aż po horyzont niskie lepianki. W informatorze dla oficerów przydzielonych do Peszawaru wyczytał, że odkąd – niespełna cztery lata temu – ogłoszono świętą wojnę przeciw Sowietom, przez górskie przełęczę przeszło tylu afgańskich uchodźców, że międzynarodowe organizacje przestały ich liczyć.

Manny spostrzegł wyraz twarzy Anthony'ego.

– Szok kulturowy jest uleczalny – stwierdził. – Za tydzień lub dwa wszystko wyda ci się zupełnie normalne.

– I to mnie właśnie martwi – odparł Anthony.

Tłum zawył, bo któryś z jeźdźców wyszarpnął rywalowi zwłoki kozy i dźgnął konia ostrogami. Przeciwnicy z wrzaskiem rzucili się za nim w pogoń. I znowu wszystko utonęło w tumanach unoszącego się nad boiskiem kurzu. Jeden z dwóch ochroniarzy Manny'ego, brodaty Pasztun w grubej, wełnianej kamizelce, z zatkniętym za pas kindziałem o wysadzanej szlachetnymi kamieniami rękojeści i dubeltówką pod pachą, popukał palcem w szkiełko zegarka. Manny sprowadził Anthony'ego z trybuny i obaj ruszyli w kierunku parkingu. Drugi ochroniarz, olbrzymi mężczyzna w czarnym turbanie, szedł kilka kroków za nimi. Szofer Manny'ego, przygarbiony nad kierownicą starego chevroleta, obudził się i wypluł z ust skręta.

– Dokąd, szefie? – zapytał.

– Herbaciarnia „Chajber” na Bazarze Przemysłowców – rzucił krótko Manny, gdy razem z Anthonyem usadowili się na tylnym siedzeniu.

Jeden z ochroniarzy usiadł obok Manny’ego, drugi jechał z przodu, trzymając dubeltówkę w pogotowiu.

– Gdzie wytrzasnąłeś tych facetów? – mruknął Anthony pod nosem. – Na castingu?

– Obydwaj pochodzą z plemienia Afridi, kontrolującego przełęcz Chajber – powiedział Manny. – Ten z nożem za pasem podrzynał Rosjanom gardła jak muzułmanie kozom przeznaczonym na świąteczne uczyty.

– Skąd wiesz, że nam też nie poderzną?

– Nie wiem. – Manny poklepał się po kaburze, ukrytej pod bluzą safari. – Dlatego zawsze mam przy sobie Betsy.

Trąbiąc bez przerwy na rowerzystów, motocyklistów, zaprzężone w osły wozy i ludzi pchających taczki, wyładowane telewizorami, klimatyzatorami i elektrycznymi maszynami do pisania, kierowca skręcił w główną drogę na zachód. Minęli rozklekotany niemiecki autobus, kiedyś zapewne czerwony, z napisem „Düsseldorf–Bonn” nadal widocznym nad przednią szybą, oraz kilka dieslowskich ciężarówek, tylekroć naprawianych i wyklepywanych, że po tych wszystkich zabiegach przypominały w końcu starsze panie, które zrobiły sobie o jeden lifting za dużo.

Manny wskazał na niknącą w oddali drogę.

– Do przełęcz Chajber mamy stąd dwadzieścia parę kilometrów. To tamtędy przeszli Persowie Dariusza, Grecy Aleksandra, Tatarzy Tamerlana i Mogołowie Babura.

– Teraz kolej na nas – powiedział Anthony.

Na granicy samochód zatrzymali żołnierze piechoty, uzbrojeni w karabiny maszynowe. Ze stojącego na poboczu pikapu marki „Toyota”

umundurowany mężczyzna celował w nich cienką jak igła lufą pistoletu maszynowego.

– Pakistańczycy – mruknął Manny. – Kontrolują drogę, ale ich władza ogranicza się do obszaru pięćdziesięciu metrów po obu stronach. Dalej rządzą plemiona górskie.

– *Śenasnameh* – warknął pakistański podoficer, który z wypomadowanym wąsikiem i długimi bokobrodami wyglądał jak brytyjski sierżant sztabowy. – Dokumenty.

Manny wyciągnął z kieszeni garść pomiętych dwudziestodolarówek i opuścił szybę na tyle, aby móc podać pieniądze. Pakistańczyk wziął banknoty, zwilżył kciuk i powoli je przeliczył. Usatysfakcjonowany, zasalutował i machnął ręką na znak, że mogą jechać dalej.

Bazar Przemysłowców – labirynt rozklekotanych straganów, na których można było dostać wszystko, co istnieje pod słońcem – aż roił się od Pasztunów, przyodzianych w *salwar kamiz*, tradycyjny strój Afgańczyków, złożony z długiej koszuli i bufiastych spodni. Gdziekolwiek padał wzrok Anthony'ego, wszystko przypominało o wojnie: mężczyźni z amputowanymi nogami, kuśtykający o drewnianych kulach, nastoletnia dziewczyna wyciągająca przed siebie kikut ręki, żeby zatrzymać taksówkę, kolumny dżipów, które zmierzały do przełęczy Chajber i Afganistanu, wypchane uzbrojonymi po zęby brodatymi mudzahedinami, ryczące klaksonami prowizoryczne karetki, które odwoziły zabitych i rannych z powrotem do Peszawaru. Na pustym parkingu pomiędzy barakami handlarze bronią rozkładali swój towar na plandekach. Były tam równiutko ułożone rzędami izraelskie uzi i amerykańskie M-1, AK-47 w obu wersjach, radzieckiej i chińskiej, a także wszystkie typy pistoletów, jakie można sobie wyobrazić. Dwaj Syryjczycy wyłożyli na słomianej macie pistolety maszynowe z drugiej wojny światowej. Tuż obok mężczyzna

w powiewających na wietrze czarnych szatach Beduina sprzedawał maskujące mundury polowe, ładownice i skórzane żołnierskie buty. Obładowane zielonymi pudełkami z amunicją muły stały przywiązane do ogrodzenia przy korycie z mętą wodą. Afgańscy wojownicy, z karabinami na ramieniu, przechadzali się po targowisku, sprawdzając broń i targując się o ceny.

Chevrolet skręcił w boczną uliczkę. Podskakując na wybojach, podjechał pod drewniany piętrowy dom. Napis nad wejściem głosił: „Ostatnia nadająca się do picia herbata przed przełęczą Chajber”. Manny dał znak ochroniarzom, żeby zostali przy samochodzie, sam zaś poprowadził Anthony’ego przez chybrotliwy mostek nad wąską, cuchnącą rynsztokiem strugą.

– Mamy się tu spotkać z Lwem Pandżiru, Ahmadem Szahem Masudem – wyjaśnił. – To Tadżyk z Doliny Pandżiru, która rozciąga się na północ od Kabulu aż do granicy z Tadżykistanem. Jego ludzie wzięli na siebie główny ciężar walki z Rosjanami. Sześć pozostałych grup oporu przeważnie tłucze się między sobą.

– To czemu nie przekazujemy broni bezpośrednio jemu? – zapytał Anthony.

– Monopol na rozdzielanie amerykańskich darów ma pakistański wywiad wojskowy, ISI. A oni chcą upiec przy tym własną pieczeń. Marzy im się, że po wojnie Afganistan przejdzie w ręce fundamentalistów, co wzmocni pozycję Pakistanu wobec Indii.

– Widzę, że muszę się jeszcze wiele nauczyć – stwierdził Anthony.

– To Firma musi się wiele nauczyć – powiedział Manny. – Mam nadzieję, że raport, który napiszesz, wreszcie otworzy im oczy.

Weszli do herbaciarni. Odwrócona tyłem kobieta, otulona burką, spowijającą jej postać niby żałobny całun, kuciała przed kominem i rozdmuchiwała miechem żar pod czajnikami, zawieszonymi nad paleniskiem pełnym suchych szczap. W bocznej alkwie wędrowny dentysta borował w zębie afgańskiego bojownika, który poprzedniej nocy przeprowadził Masuda przez przełęcz Chajber. Kilkunastoletni chłopak pedałowal na rowerze osadzonym w metalowej ramie, napędzając w ten sposób przekładnię, która obracała wiertło w dłoni dentysty.

– Niech cię tu lepiej ząb nie boli – ostrzegł Manny. – Plombują dziury roztopionym śrutem.

Po wąskich schodkach wspięli się do prywatnego pokoiku na piętrze. Przed drzwiami stali dwaj ochroniarze Masuda. Z jakiegoś powodu obaj uśmiechali się od ucha do ucha. Wyższy tulił w ramionach niemiecki MP-44, drugi miał za pasem ogromny czeski pistolet, a w rękę trzymał bambusową klatkę z żółtym kanarkiem w środku.

– Kanarek to system wczesnego ostrzegania w afgańskim ruchu oporu – poinformował Manny.

– Przed czym ich ostrzega?

– Ptak pierwszy się przekreśli, gdy Rosjanie użyją broni chemicznej lub biologicznej.

Masud, chudy, brodaty mężczyzna o szczerym spojrzeniu i anielskim uśmiechu, podniósł się z dywanika modlitewnego, aby powitać szefa placówki Firmy w Peszawarze.

– Manny, *my friend* – powiedział, ściskając wylewnie jego dłoń; wciągnął go do środka i gościnnym gestem wskazał rozrzucone na podłodze dywaniki. – Moje oczy wielce radują się twym widokiem.

Manny wygłosił kilka słów powitania w języku dari, potem jednak przeszedł na angielski, by jego amerykański przyjaciel mógł uczestniczyć w rozmowie.

– Poznaj mojego towarzysza, Anthony’ego McAuliffe’a.

Masud skinął głową, ale nie podał mu ręki. Kiedy goście siedli po turecku na dywanikach, w pokoiku zjawiła się dziewczyna z zakrytą twarzą, niosąc *chaua* – rozwodnioną zieloną herbatę, która stanowiła codzienny napój okolicznych plemion. Zbliżyła się do nich nieśmiało i napełniła dwa cynowe kubki.

Zanim minął kwadrans, Masud wprowadził Manny’ego w zmiany linii frontu na terenie Afganistanu, w taktykę Sowietów i ich *modus operandi*, podał mu nazwiska bojowników, którzy zostali zabici lub ranni w ciągu trzech miesięcy, jakie upłynęły od ostatniego spotkania, opisał swój śmiały atak na sowiecką bazę lotniczą, zakończony wysadzeniem w powietrze trzech helikopterów i wzięciem do niewoli jej dowódcy. Manny zapytał, co zrobili z jeńcem. Chcieliśmy go wymienić na dwóch mudżahedinów, którzy zostali schwytani podczas akcji, odparł Masud. Rosjanie zgodzili się i odesłali nam ich żywych, ale przedtem obcięli im prawe dłonie. Zwróciliśmy więc pułkownika, ale przedtem obcięliśmy mu obie ręce – po jednej za każdego z naszych.

O zmierzchu rozpalono na straganach blaszane piecyki, a wokół bazaru zaległa czarna jak smoła noc. Masud dolał sobie herbaty do blaszanego kubka i przystąpił do rzeczy.

– Sprawa przedstawia się tak – zaczął. – Nowoczesna broń, którą przekazujecie ISI, kończy w rękach armii pakistańskiej, a ta z kolei oddaje swoje stare wyposażenie mudżahedinom. Dlatego w walce przeciw sowieckim najeźdźcom jesteśmy na straconej pozycji. W ciągu ostatnich

kilku miesięcy sytuacja jeszcze się pogorszyła, bo Rosjanie zaczęli kierować ogniem z helikopterów z pokładu samolotów zwiadowczych.

– Są przenośne radary, które potrafią namierzyć helikoptery.

Masud potrząsnął głową.

– Latają dolinami, na wysokości czubków drzew, i atakują nas zniecacka. Nasze działka przeciwlotnicze i przestarzałe karabiny nie przebiją pancernej blachy. Wielu mudżahedinów poległo lub odniosło ciężkie rany. Ale gdybyśmy mieli stingery z termicznym systemem naprowadzania... – mówił o odpalanych z ramienia pociskach ziemia–powietrze, które potrafiły zniszczyć samolot czy helikopter z odległości pięciu kilometrów.

Manny przerwał mu bez ceregieli.

– Nie ma mowy o stingerach. Pytaliśmy już naszych ludzi w Pentagonie. Obawiają się, że gdy tylko skończy się wojna, nasze rakiety wpadną w ręce islamskich fundamentalistów.

– Dajcie je mnie, Manny, a fundamentaliści nie zawładną Afganistanem.

– Masud pochylił się do przodu. – O przyszłości Afganistanu będą stanowili ci, którzy zwyciężą Rosjan... Jeżeli Stany Zjednoczone chcą tu wolnego i demokratycznego państwa, muszą mnie poprzeć.

– Twoi Tadzycy są etniczną mniejszością. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy ci dać najnowocześniejszej broni, bo zburzymy równowagę między różnymi odłamami waszego ruchu oporu.

– To może chociaż szwedzkie oerlikony – nalegał Masud. – Mają niezłą siłę ognia i powinny sobie poradzić z sowieckimi helikopterami.

– Oerlikony nie sprawdzą się w wojnie partyzanckiej. Naboje przeciwpancerne są drogie, a z działkiem trzeba się obchodzić jak z cackiem. To bardzo skomplikowany sprzęt... Po podróży przez przełęcz Chajber będą się nadawały do wyrzucenia.

– To co zostaje? – zapytał Masud.

– Broń konwencjonalna.

– A najlepiej znaleźć kogoś, kto wygra wojnę za ciebie... Najbardziej konwencjonalną ze wszystkich broni jest mięso armatnie.

– To wasz kraj okupują Rosjanie i to wasza wojna.

– Osłabienie Sowietów leży też w waszym interesie...

– Masz coś jeszcze na liście?

Unosząc dłoń na znak, że się poddaje, Masud wyciągnął z kieszeni wełnianych spodni mały zwitek papieru.

– Lekarstwa, szczególnie leki znieczulające i antybiotyki. No i protezy... Oczywiście o ile ten twój Pentagon chce tu po wojnie zastać jeszcze kogoś oprócz fundamentalistów.

Manny zapisał wszystko w notesie.

– Zrobię co w mojej mocy – odrzekł.

Masud zwinnie podniósł się z dywanika.

– Ja również zrobię co w mojej mocy, *my friend*. – Objął Manny'ego ramieniem i odciągnął na bok. – Słyszałem, że rezydent KGB w Peszawarze, niejaki Fet, próbuje nawiązać kontakty z grupami islamskich fundamentalistów... Nie pytaj mnie, w jakim celu, bo nie wiem. Pomyślałem sobie, że może cię to zainteresować.

– Interesuje – odparł Manny z namysłem.

Lew Pandżiru odwrócił się do Anthony'ego.

– Afganistan to był kiedyś niewyobrażalnie piękny kraj – powiedział melancholijnie. – Wojna toczy go jak gangrena. Przyjezdnym trudno jest dostrzec prawdziwe oblicze tej ziemi. – Nagle jego twarz rozjaśnił

serdeczny uśmiech, tak szeroki, że wszystkie zmarszczki zbiegły się w kącikach oczu. – Mimo wszystko spróbuj.

Anthony wstał.

– Spróbuję – oświadczył uroczyście.

Gdy w drodze powrotnej do Peszawaru chevrolet mijał lotnisko, Manny wskazał na pas startowy, widoczny za siatką udrapowaną dywanami z Turkiestanu, jedwabiami z Buchary i owczymi skórami z Kurdystanu, wystawionymi na sprzedaż przez ulicznych handlarzy.

– U-2 Gary’ego Powersa startował stąd w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym – powiedział.

– W tym samym roku się urodziłem – wtrącił Anthony.

– Miałem wówczas trzynaście lat – wspominał Manny. – Kiedy w tym dniu ojciec wrócił z pracy, wyglądał, jakby zobaczył ducha. Elizabet zapytała, co się stało, a on nie odpowiedział, tylko włączył w kuchni radio i usłyszeliśmy wiadomość, że Francis Gary Powers został zestrzelony nad Swierdłowskiem przez sowiecki pocisk ziemia–powietrze. To wtedy poznałem znaczenie słów „rozpętać piekło”.

Zatrzymali się na krótko w podobnym do fortecy konsulacie amerykańskim przy brytyjskim garnizonie, gdzie Manny odebrał pocztę, a potem skierowali się w dół Hospital Road, skręcili w lewo na Saddar i zaparkowali na tyłach „Dean’s Hotel” – miejscowej stołówki dla peszawarskich dyplomatów, dziennikarzy i ważnych gości. Przy wejściu stał uzbrojony *ćaukidar*^[44], gładko ogolony, oszpecony przez blizny po napalmie Pasztun, który rozpoznał Manny’ego, wpuścił ich bez przeszkód do środka, ale idących za nimi dwóch Saudyjczyków zatrzymał i wylegitymował. Manny i Anthony, minąwszy obskurny hol, weszli do ogródkowej restauracji i szybko zajęli stolik, zwolniony właśnie przez

trzech Pakistańczyków. Afgański chłopak, który pracował tu jako kelner, podał im kartę. Zamówili chińskie przekąski i dwa piwa „Murree”. Gorące przekąski jeszcze skwierczały im na talerzach, gdy do stolika przysiadła się bez pytania młoda kobieta o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach, ubrana w zielone bryczesy, miękkie, skórzane oficerki i długą, obcisłą koszulę bez kołnierzyka, zapiętą pod szyję. Chwyliła palcami kawałek pieczonej jagnięciny i wsunęła go sobie do ust.

– O czym rozmawiałeś z Masudem za moimi plecami? – zapytała.

– Skąd wiesz, że widziałem się z Masudem? – zdziwił się Manny.

W jej czarnych jak węgiel oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

– Od pewnego zajadłego fundamentalisty imieniem Osama Ben Laden, który postawił mi rozwodnioną whisky w barze „Pod Perłą”. – Wyjęła paczkę lucky strike’ów, włożyła papierosa do ust i pstryknęła małą srebrną zapalniczką. – Znasz go? – Manny potrząsnął głową, więc powiedziała: – Nic dziwnego. Nienawidzi Ruskich, ale jeszcze bardziej nienawidzi Zachodu. Ameryka jest dla niego wcieleniem Szatana. Brodaty gość, pod trzydziestkę, ponury, z lodowatym błyskiem w oczach, etatowy sponsor mudzahedinów. Miejcie na niego oko, chłopcy. Podobno odziedziczył milionową fortunę po swoim saudyjskim ojcu i snuje teraz wielkie plany na przyszłość.

Manny rzucił Anthony’emu porozumiewawcze spojrzenie.

– Poznaj Marię Shaath, która ma więcej jaj niż niejeden z jej kolegów po fachu. Zyskała sławę, kiedy stojąc na polu bitwy, powiedziała wprost do kamery: „Afganistan to miejsce, gdzie uzbrojone, pamiętliwe dzieci postanowiły naprawić krzywdy, wyrządzone pradziadkom ich dziadków”. Mario, poznaj Anthony’ego McAuliffe’a.

– Widziałem cię w telewizji – powiedział Anthony.

Maria spojrzała mu prosto w oczy.

– Kolejny szpion? – zapytała słodkim głosem.

Anthony odchrząknął.

– Jestem attaché przy amerykańskim konsulacie.

– Aha, a ja jestem Maria Callas, przyjechałam zabawiać ariami z włoskich oper mudzahedinów na przełęczy Chajber. – Odwróciła się do Manny’ego. – Jest kompletnie zielony. Pogubi się w tym wszystkim, jak nie powiesz mu, co tu jest grane.

– Przysłali go, żeby sprawdził, co się dzieje z bronią, dostarczaną przez nas pakistańskiemu ISI, i dowiedział się, czy rzeczywiście trafia do rąk ludzi, którzy strzelają do Rosjan.

Maria poczęstowała się piwem z kubka Anthony’ego, po czym otarła usta wierzchem drobnej, delikatnej dłoni.

– Mogłam ci oszczędzić tej wycieczki – powiedziała z łobuzerskim uśmiechem. – Nie wezmę dużo za podpowiedź. Postaw mi kolację, a chętnie cię oświecę.

Później, siedząc nad miską czegoś, co w menu figurowało jako *czop sui*^[45], zrobiła mu mały wykład.

– Afganistan to puszka Pandory – mówiła. – Miejsce, gdzie można wymienić numer „Playboya” za butelkę piętnastoletniej szkockiej i skończyć z poderżniętym gardłem, jeśli cię przyłapią, że śpisz z nogami zwróconymi w stronę Mekki. Tak naprawdę toczy się tu kilka wojen naraz: etnicznych, klanowych, plemiennych, narkotykowych, religijnych... Irańscy szyici walczą z afgańskimi sunnitami, talibowie, studiujący Koran w pakistańskich medresach, z afgańską diasporą na świeckich uniwersytetach, Tadżykowie Masuda ze wszystkimi, saudyjscy wahhabici

z irackimi sunnitami, kapitaliści przez małe „k” z Komunistami przez duże „K”, Pakistan z Indiami...

– Nie wymieniłaś jeszcze jednej – przerwał jej Manny. – Afgańskich bojowników wolności przeciw Rosjanom.

– A tak, jest i taka wojna, tylko czasem ginie w ogólnym zamieszaniu. Posłuchaj, w rzeczy samej Amerykanie mają dość mgliste pojęcie o tym, co tu się dzieje, i najczęściej popierają nie tych, co trzeba. Musicie wreszcie zrozumieć, że zadawnionych konfliktów nie da się rozwiązać z dnia na dzień.

– Nie damy im stingerów, jeśli o to ci chodzi – upierał się Manny.

– Dacie – odparła Maria z pewnością jasnowidza. – W końcu chęć, żeby się odegrać za Wietnam, zagłuszy zdrowy rozsądek. Kiedy wojna się skończy, fundamentaliści, którzy jednakowo nienawidzą Amerykanów i Rosjan, użyją tych samych stingerów przeciwko wam.

– A ty co byś zrobiła na miejscu naszego prezydenta? – zapytał Anthony.

– Przede wszystkim wstrzymałabym dostawy broni dla byłych dilerów Peugeota, którzy utrzymują, że są potomkami Proroka. Wylałabym kubel zimnej wody na głowy tych, którzy chcą zbudować idealne państwo islamskie, oparte na modelu kalifatu z siódmego wieku naszej ery.

– Chcesz powiedzieć, że sowiecka okupacja Afganistanu byłaby mniejszym złem? – zdziwił się Anthony.

– Chcę powiedzieć, że usiłując jak najszybciej zaradzić złu, wpadniecie z deszczu pod rynnę. Radzę ci, żebyś się tu trochę pokręcił. I ostrzegam, że ta wycieczka na nic się nie przyda, jeżeli nie prześpisz się z wielbłądem.

Manny skrzywił się.

– Spanie z wielbłądem to trochę wygórowana cena za to, żeby dostać się do celu.

Maria przymrużyła powieki swoich lekko skośnych oczu.

– Nie gadaj, póki nie spróbujesz.

– Chcesz powiedzieć, że mówisz z własnego doświadczenia? – spytał.

– *Bilagh!* – odpaliła Maria.

– To perski odpowiednik „odpieprz się” – przetłumaczył Anthony’emu Manny.

Maria, chichocząc pod nosem, poszła wyżebrać filiżankę kawy od Hipolita Afanasjewicza Feta, miejscowego rezydenta KGB. Fet, posępny mężczyzna pod pięćdziesiątkę, o zapadniętych policzkach i posępnym wejrzeniu, był pośmiewiskiem całego Peszawaru z powodu niezwyklego podobieństwa do Borisa Karloffa. Jadł właśnie kolację przy stoliku w rogu sali w towarzystwie dużo młodszej, bardzo atrakcyjnej kobiety i dwóch podwładnych.

Trzy kwadransy później Maria dopadła Manny’ego i Anthony’ego na parkingu.

– Mogę się z wami zabrać do miasteczka uniwersyteckiego? – zapytała.

– Wsiadaj – rzekł Manny.

Dwaj Afgańczycy z obstawy ścieśnili się obok kierowcy, a Maria usadowiła się na tylnym siedzeniu pomiędzy Anthonym i Mannym.

– Co ci mówił Boris Karloff? – spytał Manny.

– Hej, ja mu nie powtarzam tego, co usłyszałam od was – obruszyła się Maria.

– Ale pyta?

– Oczywiście, że pyta.

Manny zrozumiał.

– Wycofuję pytanie – powiedział.

Słońce chowało się za Góry Sulejmańskie, gdy samochód mknął drogą dżamradzką na zachód od lotniska, mijając spokojne, schludne uliczki, przy których znajdowały się konsulaty i luksusowe rezydencje urzędników z US AID – Amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego – oraz pakistańskiej finansjery i afgańskich przywódców ruchu oporu. Firma zajmowała otoczoną wysokim murem willę, wciśniętą między posiadłość pasztuńskiego dilerka narkotyków i magazyn protez ortopedycznych. Maria dzieliła dom z sześcioma innymi dziennikarzami, o jedną przecznicę dalej. Chevrolet zwolnił na skrzyżowaniu, żeby przepuścić autobus z dziećmi. Na poboczu drogi stała tablica z angielskim napisem: „Jedź ostrożnie i szukaj pomocy i niech Allah wszechmogący ma cię w swej opiece”.

– W Afganistanie mamy dwa rodzaje ekspertów – mówiła Maria. – Tych, którzy są tutaj krócej niż sześć tygodni, i tych, którzy są tu dłużej niż sześć miesięcy.

– Do której kategorii ty należysz? – zapytał Anthony.

Zwolnili. Drogę blokował zaprzężony w woły wóz. Dwaj mężczyźni w długich koszulach i bufiastych płóciennych spodniach mocowali się ze złamaną osią koła.

– Do tej drugiej – odpowiedziała Maria. – Siedzę tu już siedem miesięcy...

Kierowca chevroleta rozejrzał się nerwowo i zatrzymał samochód w odległości około dwudziestu metrów od wozu.

– Nie podoba mi się to – mruknął pod nosem.

Ochroniarz w turbanie wyciągnął z kabury automat kalibru 45. Za nimi rozległ się pisk hamulców. Trzy dżipy zatrzymały się gwałtownie, omiatając chevroleta reflektorami.

– Dakoici! – krzyknął Pasztun. – To napad!

Drugi z ochroniarzy chwycił strzelbę, z impetem otworzył drzwi, rzucił się na ziemię, przeturlał kilka metrów i wypalił z obu luf do najbliższego dżipa. Jeden z reflektorów rozbił się na kawałki. Noc przeszła salwa ognia z karabinów maszynowych. Szkło pękało. Wokół samochodu pojawiły się ciemne sylwetki. Szofer, który dostał w klatkę piersiową, zwałił się ciężko na kierownicę. Zawył klakson. Ochroniarz w turbanie zawisł na otwartych drzwiach, po czym bezwładnie osunął się na ziemię. Na drodze jakiś mężczyzna kopniakiem wytrącił dwururkę z rąk drugiego Pasztuna, przycisnął koniec lufy do jego pleców i pociągnął za spust. Tamten wierzgnął nogami i zastygł w bezruchu. W chevrolecie Manny wyjął swoją Betsy z kabury. Ale zanim zdołał ją odbezpieczyć, czyjeś ręce wywlokły go z samochodu. Po drugiej stronie brodaci mężczyźni szarpali się z Anthonym i Marią, ciągnąc ich w kierunku dwóch ciężarówek, stojących za dżipami. Jeden z napastników pochylił się nad ciałem człowieka w turbanie, żeby sprawdzić, czy na pewno nie żyje. Ranny przewrócił się na bok, wycelował pistolet i nacisnął spust. Pocisk kalibru 45, z rowkami ręcznie żłobionymi w miękkiej głowicy, roztrzaskał ramię wroga. Inny mężczyzna kopnął Pasztuna w głowę podkutym żołnierskim butem, pochylił się i poderżnął mu gardło ostrym jak brzytwa tureckim jataganem. Trójkę więźniów, ze związanymi na plecach rękami, wrzucono pod plandekę na dno ciężarówki. Na głowy założono im cuchnące, skórzane kaptury.

Rozległ się zduszony głos Marii.

– Cholera, jeszcze tego mi było trzeba.

Usłyszeli stłumiony warkot silnika, podłoga zatrzęsała się i ruszyli, skręcając w jakąś boczną uliczkę. Parę minut później dwie ciężarówki bez świateł zaczęły podskakiwać na wyboistej drodze, prowadzącej przez dzikie, niezamieszkałe obszary do przełęczy Chajber.

Hipolit Afanasjewicz Fet kluczył w labiryncie alejek bazaru Mina, zmierzając do pracowni tatuażu, mieszczącej się nad lokalem pakistańskiego akupunkturzysty, reklamującego swe usługi kolorowym szyldem: „Oczy, uszy, nosy, gardła i problemy natury seksualnej”. Dwaj ludzie z obstawy, rozpiąwszy kurtki, żeby w razie czego błyskawicznie sięgnąć po broń, pierwsi wspięli się po skrzypiących schodkach. Jeden z nich wrócił po chwili i dał znak, że teren jest czysty. Hipolit Afanasjewicz wszedł do środka i usiadł na czerwonym stołku fryzjerskim pośrodku pokoju, słabo oświetlonego dyndającą samotnie u sufitu czterdziestowatową żarówką. Na słomianych matach, pokrywających drewniane ściany, tańczyły cienie. Podłoga poplamiona była zielonkawą substancją, pochodzącą z *naswar* – niewielkich kulek z mieszanki rozmaitych ziół, tytoniu i limonki, które Pakistańczycy mają zwyczaj żuć, spluwając przy tym wprost na ziemię. Z zewnątrz dobiegały niewyraźne głosy dwóch porządnie zaprawionych haszyszem afgańskich górali, sikających do ulicznego rynsztoka. Fet zerknął na stolik z telefonem, a potem na zegarek.

- Może pański zegarek się spieszy – odezwał się jeden z ochroniarzy.
- Może się nie udało – powiedział od drzwi drugi.
- Może powinniście się przymknąć – warknął Fet.

Trzy minuty po północy telefon zadzwonił. Fet poderwał słuchawkę. Po drugiej stronie rozległ się głos, mówiący po angielsku z wyraźnie obcym akcentem.

- Ibrahim jest w drodze do Jatribu. Nie jest sam.
- *Choroszo* – wymamrotał Fet i przerwał połączenie, przycisnąwszy palcem widełki.

Wykręcił numer oficera dyżurnego w radzieckim konsulacie.

– To ja – powiedział. – Możecie wysłać depezę do centrali.

Cieżarówka wspinała się po stromiźnie przez prawie trzy godziny. O brzasku kierowca zwolnił i lawirując wśród wypełnionych deszczówką dziur po pociskach, znalazł jakiś w miarę równy skrawek gruntu, po czym wyłączył silnik. Rozsznurowano plandekę, opuszczono tylną klapę i wyprowadzono więźniów. Ktoś zdjął im z głów skórzane kaptury. Anthony, wdychając łapczywie świeże, górskie powietrze, rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w jakimś obozie partyzanckim, wysoko w górach, trudno jednak było stwierdzić, czy już przekroczyli granicę, czy też nadal znajdują się w Pakistanie. Niebieskawe szczyty i granie rozciągały się aż po szary horyzont, poprzecinany żyłkami zmatowiałego srebra. Anthony miał uczucie, że sięga wzrokiem na odległość wielu stuleci, i podzielił się tą myślą z przyjaciółmi.

– Mieszasz pojęcia czasu i przestrzeni – mruknęła cierpko Maria.

– Zawsze uważałem, że to jedno i to samo – odparł niezrażony.

– Jak dwie strony medalu – przytaknął Manny.

– Właśnie – powiedział Anthony.

Po obozie kręcili się mężczyźni o twarzach ukrytych pod bujnym zarostem, otuleni pledami lub amerykańskimi szynelami z demobilu, i ładowali na osły broń i amunicję. W pobliżu kilka psów zażarcie walczyło o kość. Obok długiej, niskiej lepianki brodaty muła w białej czapeczce czytał Koran grupce wiernych, siedzących po turecku na gołej ziemi. Na skraju pobliskiego zagajnika kilkunastoletni chłopak wypalił z bazooki prosto w pień uschniętego drzewa, roztrzaskując go na kawałki. Potem przywłókł taczkę i zaczął na nią ładować przygotowane w ten sposób drewno na opał.

Druga ciężarówka, z ryczącym silnikiem i wypluwającą kłęby czarnego dymu rurą wydechową, wtoczyła się z wysiłkiem górskim szlakiem i zatrzymała obok pierwszej. Z szoferki wysiadł smukły, gibki mężczyzna, ubrany w czarny golf, brudną afgańską tunikę do kolan, grube angielskie sztruksowe spodnie, ręcznie robione buty od Beal Brothers i brązową pasztuńską czapkę z przypiętym pośrodku amuletem, który miał chronić jej właściciela przed snajperskimi kulami. Skóra tego ekscentrycznego osobnika była jasna, włosy pod czapką długie i matowe, a krótka broda ufarbowana henną na rudo. Ciemne, przenikliwe oczy miał mocno podkrążone, co zapewne nie wynikało z braku snu. Zbliżając się do porwanych, palcami lewej dłoni bawił się sznurkiem paciorków z kości słoniowej. Zapatrzył się na wzgórze.

– Pięć lat temu – odezwał się po angielsku piskliwym głosem, z gardłowym palestyńskim „r” – stałem na szczycie tej góry i patrzyłem, jak sowieckie czołgi jadą drogą i spuszcza ją w dolinę. Moi ludzie i ja siedzieliśmy na tych kamieniach przez cały ranek, całe popołudnie i cały wieczór, a czołgi jechały i jechały, bez przerwy. Przestaliśmy je w końcu liczyć, tyle ich było. Wielu z tych, którzy przystąpili wtedy do dżihadu, spędziło całe życie w górach i nigdy przedtem nie widziało samochodu, lecz Allah dał im siłę do walki z czołgami. Kiedy zapalniki się psuły, odpalali rakiety za pomocą zwykłych młotków. Od tamtej pory wiele czołgów zostało zniszczonych i wielu mudżahedinów zginęło. Ale nasza wojna wciąż trwa.

Z daleka dobiegł ich odległy skowyt silników odrzutowych, choć nie było widać żadnych samolotów. Mężczyźni na wierzchołku wzgórza przerwali pracę, by spojrzeć w ginącą w mrokach przepaść doliny. Bezgłośnie zabłysły race, oświetlając raczej mgłę unoszącą się tuż nad ziemią niż samą ziemię. Zielone i czerwone pociski smugowe przecięły

niebo, a na nitce drogi, biegnącej równoległe do strumyka, wybuchły jaskrawymi płomieniami kanistry z napalmem. Palce przybysza zacisnęły się na paciorkach, gdy znów odwrócił się do więźniów.

– Jestem major Ibrahim. Znajdujecie się na moim terytorium. Pakistańskie prawo zostało za nami, a afgańskie rozciąga się przed nami. Tutaj obowiązuje *pasztunwali*, pasztuński kodeks moralny. A ja stoję na jego straży.

Czterech mudzahedinów wyniosło z ciężarówki postrzelonego w trakcie napadu partyzanta, z kikutem ramienia przewiązanym zakrwawioną bandaną, i ruszyło w kierunku niskiej lepianki. Nieszczęśnik jęczał w agonii, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Zardzewiałym cynowym kubkiem Ibrahim zaczerpnął trochę deszczówki z kałuży i podtrzymując rannemu głowę, zwilżył mu wargi. Potem skinął na zakładników i wszyscy razem podążyli za noszami. Anthony, schyliwszy się pod niskim nadprożem, wkroczył do ciemnego, zadymionego pomieszczenia, w którym powietrze było przesycone haszyszem. Sześciu młodziutkich partyzantów, jeszcze bez zarostu, siedziało wokół pękatego piecyka i pykało z nargili. Dwaj starsi mężczyźni zajęli się rannym, którego przeniesiono na wąską drewnianą pryczę. Jeden oświetlał lampą naftową strzaskane przez kulę ramię, a drugi, odwinąwszy bandanę, posmarował otwartą ranę miodem. Zakładnicy weszli za Ibrahimem do sąsiedniej izby. Jakiś chłopak przeciął krępujące im ręce rzemienie, po czym wskazał wypchane słomą poduszki, rozrzucone po podłodze, i zaproponował miseczkę gorącej herbaty jabłkowej. Ibrahim pił, przełykając głośno. Po chwili chłopak wrócił z miedzianą tacą, zastawioną dymiącymi drewnianymi miskami. Każdy dostał po jednym *nan* – cienkim praśnym placku, wypiekanym w glinianym piecu – i po misce tłustej potrawy z koziego mięsa i kleistego ryżu. Ibrahim jadł palcami lewej ręki – Manny zauważył, że rzadko używał

prawej, która i teraz spoczywała bez ruchu na kolanie. Więźniowie spojrzeli po sobie i łąpczywie rzucili się na jedzenie. Nasyciwszy się, Ibrahim beknął i usiadł wygodniej, opierając się plecami o ścianę.

– Dopóki jesteście ze mną – powiedział – będziecie traktowani jak moi goście. Radziłbym teraz odpocząć. O wschodzie słońca wyruszymy w długą podróż. – Zdjął czapkę, po czym, podciągając kolana pod brodę, zwinął się na dwóch poduszkach i natychmiast zasnął, a przynajmniej sprawiał wrażenie głęboko uspiętego.

Maria wyjęła z kieszeni notes i zaczęła coś pisać drobnym maczkiem. Manny wymienił z Anthonym porozumiewawcze spojrzenia. Skinął głową w stronę dwóch małych, zakratowanych okienek i bezgłośnie poruszając wargami, powiedział: „Wiejemy”. Wsparci głowami o ścianę, daremnie próbowali zasnąć. Zza ściany wciąż dochodziły jęki rannego i powtarzający się co jakiś czas okrzyk: *Lotfi konin!*

Okolo północy przyszedł jeden z dwóch mężczyzn, którzy przedtem opatrywali rannego, pochylił się nad Ibrahimem i lekko trącił go w łokieć.

– *Rahbar* – powiedział i wyszeptał coś prosto do ucha majora.

Ibrahim usiadł, zapalił cuchnącego tureckiego papierosa, zaciągnął się, odkaslnął, po czym wstał i obaj wyszli do sąsiedniej izby. Słychać było, jak ranny prosi: *Chahez mikonam, lotfi konin*.

Manny przetłumaczył to przyjaciółom.

– On mówi: „Błagam was, wyświadczcie mi przysługę”.

– *Aszadu an la ilaha illallah Mohammad rasulullah* – rozległ się melodyjny głos Ibrahima. Ranny z trudem powtarzał za nim słowa modlitwy.

Na chwilę zapadła cisza. Potem suchy trzask rewolweru odbił się echem od glinianych ścian.

Ibrahim wrócił i opadł ciężko na słomianą poduszkę.

– To był prawy muzułmanin – oznajmił – i *śahid*. Po waszemu „męczennik”. Na pewno poszedł do raju i spędzi wieczność w towarzystwie pięknych dziewczyc.

– A co się dzieje, gdy umiera prawa muzułmanka? – zapytała Maria.

Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– Też pójdzie do raju. A co potem, to już nie wiem.

Na długo przed tym, zanim pierwsze promienie brzasku oświetliły obóz, obudzono zakładników. Przyniesiono im suchary i mocną herbatę w cynowych kubkach. Kiedy jedli, do izby zajrzał Ibrahim.

– Zostańcie tutaj. My musimy pochować naszego towarzysza – powiedział. – Potem ruszymy w dalszą drogę.

Kiedy poszedł, zamknąwszy za sobą drzwi na kłódkę, Manny wstał i wyjrzał przez zakratowane okienko. Zobaczył czterech mężczyzn, niosących na desce ciało owinięte w białe prześcieradło. Za nimi szli podwójnym szeregiem mudzahedini, przyświecając sobie lampami naftowymi i latarkami. Kondukt pogrzebowy zniknął za wzgórzem. Anthony spróbował otworzyć drzwi, ale ani drgnęły.

– A te kraty? – wyszeptała Maria.

Manny oplótł palcami żelazne pręty i pociągnął.

– Zacementowane – powiedział. – Gdybyśmy mieli nóż albo scyzoryk, może dałoby się to jakoś załatwić.

Anthony spostrzegł w rogu puszkę po środku owadobójczym. Podniósł ją i potrząsnął. Coś zachlupotało.

– Daj mi zapalniczkę – zwrócił się do Marii.

Manny natychmiast zrozumiał, o co mu chodzi. Wziął zapalniczkę, pstryknął i przez chwilę przytrzymał ją blisko okna. Anthony prysnął środkiem owadobójczym prosto w ogień, a puszka w jego ręku zmieniła się w prowizoryczny miotacz płomieni. Pręty zaczęły topić się pod wpływem ciepła. Manny odgiął część kraty.

– Ty pierwszy – powiedział Anthony.

Manny nie tracił czasu na zbędne dyskusje. Podciągnął się na parapet i wyslizgnął przez niewielki otwór. Wyrwane pręty poszarpały mu ubranie i pokaleczyły skórę. Anthony pchnął go mocno od tyłu i Manny wypadł głową w przód, prosto na ziemię. Teraz McAuliffe przykucnął pod ścianą. Maria weszła mu na ramiona i zaczęła przeciskać się przez okno. Była już w połowie, gdy drzwi otwarły się, a na progu stanął Ibrahim.

– Uciekaj, Manny! – zawołał Anthony.

Ibrahim wszczął alarm. Przed lepianką zadudniły kroki mudżahedinów, biegnących, by odciąć zbiegowi drogę ucieczki. Rozbrzmiały okrzyki. Dżipy i ciężarówki, ryknąwszy silnikami, podjechały na skraj obozowiska, omiatając światłami strome zbocza wąwozu. Padły strzały. Maria zsunęła się z okna. Anthony podtrzymał ją ramieniem. Podrapana i zakrwawiona, stanęła twarzą w twarz z Ibrahimem. Major, wymachując odbezpieczonym pistoletem, wyprowadził ich na zewnątrz. Pogoń ustała równie nagle, jak się zaczęła. Światła dżipów i ciężarówek pogasły jedno po drugim. Do Ibrahima podbiegł brodaty mężczyzna, powiedział kilka słów ściszym głosem, a potem dołączył do pozostałych, którzy klękali właśnie do pierwszej tego dnia modlitwy. Mudżahedini padli twarzą na ziemię, zwrócenii w stronę Mekki.

Kiedy dwóch partyzantów wiązało zakładnikom ręce na plecach, Ibrahim powiedział do Anthony'ego:

– Moi bojownicy mówią, że zbiegły więzień został zabity. – Patrzył ponad głowami rozmodlonych ludzi na skąpane w porannym blasku pasmo odległych gór, wygięte niczym prężący się kot. – Ja też tak myślę – dodał – ale Bóg może sądzić inaczej.

WASZYNGTON, DC, ŚRODA, 19 PAŹDZIERNIKA 1983

– To stek bzdur, senatorze – warknął do słuchawki dyrektor CIA, Bill Casey.

Umoczył dwa palce w szkockiej z wodą sodową i przygładził nimi kilka ostatnich pasemek siwych włosów.

– Gdyby był w tym wszystkim chociaż cień prawdy, jutro złożyłbym rezygnację. – Słuchał przez chwilę, odrzuciwszy w tył głowę i wykrzywiwszy usta, tak jak robił to senator w trakcie obrad Nadzwyczajnej Komisji Kongresu do spraw Wywiadu, której przewodniczył. – Niech pan posłucha – odezwał się w końcu, przerywając monolog dygnitarza. – Wszyscy wiedzą, że to ja prowadziłem kampanię prezydencką. Ale ten-jak-mu-tam z „Washington Post” jest szurnięty, jeśli sugeruje, że ze stołka w Langley prowadzę teraz kampanię reelekcyjną Reagana...

Odsunął słuchawkę od ucha, czekając, aż senator się wygada. Już to słyszał: kołem zamachowym polityki Białego Domu jest popularność prezydenta; pogoń za popularnością to siła napędowa polityki; najpilniej strzeżoną tajemnicą Kapitolu jest fakt, iż Reagan i jego doradcy to banda ignorantów, która nie ma pojęcia o tym, jak powinna wyglądać polityka zagraniczna Ameryki; prezydent niedosłyszany, więc nigdy nie wiadomo, czy dobrze zrozumiał składane mu raporty; nigdy nie wyraża się jasno, nigdy nie mówi „nie”, mamrocze tylko po nosem „no tak, cóż...” albo „brzmi nieźle, ale hmm...”, po czym nie kończy zdania; a jeśli już uda się go skłonić do podjęcia decyzji, nie ma mowy o zachowaniu dyskrecji, bo

wszystko, co dzieje się na Kapitolu, w tajemniczy sposób przenika poza mury Białego Domu, przy czym nigdy nie wiadomo, czyje są te decyzje; równie dobrze może się okazać, że krajem rządzi nie prezydent, lecz jego żona, Nancy... Najgorsze jednak, że tak jest istotnie, ale tego już Casey nie miał najmniejszego zamiaru mówić senatorowi. Tak, Reagan nigdy w pełni nie wrócił do zdrowia po kuli, którą dwa i pół roku temu John Hinckley wpakował mu tuż obok serca.

– Opowieści o tym, że nie umie sam trafić do biura własnego sekretarza, to tylko złośliwe plotki, senatorze – powiedział jak zawsze lojalny wobec swego kumpla Rona. – Fakt, iż Reagan jest aktorem, nie oznacza jeszcze, że nie ma o niczym pojęcia. Mogę pana zapewnić, że zawsze świetnie orientuje się w sprawach, z którymi do niego przychodzi... Dotyczy to również katastrofy koreańskiego 747, strąconego dwa tygodnie temu przez Sowietów.

Do gabinetu zajrzała córka Caseya, Bernadette, i powiedziała, że ludzie, których oczekiwał, właśnie przyszli.

– Oddzwonię, jak tylko będę mógł... Muszę zająć się sprawami Firmy... Tak, służba nie druźba... Oczywiście, może pan na mnie liczyć – zapewnił senatora i odłożył słuchawkę.

– Poproś ich tutaj – zwrócił się do córki.

Do nowego, zbudowanego z brązowej cegły domu dyrektora na ekskluzywnym osiedlu, usytuowanym na terenie dawnej posiadłości Nelsona Rockefellera przy Foxhall Road w północno-wschodniej części Waszyngtonu, Ebby, obecnie zastępca Caseya, przyjechał prosto z lotniska wojskowego w McGuire, gdzie czekał na powracającego z Afganistanu Manny'ego. Teraz, idąc przez amfiladę salonów do prywatnego gabinetu szefa, mówił cicho do syna:

– Jeżeli masz w zanadrzu jakieś krwawe szczegóły, to proszę, zatrzymaj je dla siebie. Jack pewnie też tu będzie. Bardzo się martwi o Anthony’ego... Po co go dręczyć?

– Anthony nie jest ranny, nic mu się nie stało – odparł Manny. – Po prostu miał pecha, nie zdążył wyskoczyć przez okno. Maria też. Nie mogę sobie darować, że poszedłem pierwszy...

– Daj spokój, to nie twoja wina. Nikt nie ma do ciebie pretensji...

Weszli do gabinetu. Casey wstał z kanapy i wyciągnął rękę na powitanie.

– To mój syn, Manny – powiedział Ebby.

Casey wskazał im skórzane fotele.

– Nie muszę chyba mówić, jak bardzo się cieszę, że udało ci się uratować tyłek – stwierdził.

Rozsiadł się wygodnie i zaczął wypytywać Manny’ego o ucieczkę.

– To zasługa Anthony’ego – oznajmił Manny i opowiedział, jak syn Jacka przekształcił puszkę po środku owadobójczym w miotacz płomieni, żeby stopić kraty w oknie. – Spadłem za okno jak worek kartofli. Maria Shaath przecisnęła się już do połowy, a wtedy ten przywódca partyzantów...

Casey, znany ze swej fotograficznej pamięci, zacytował fragment depechy, którą Manny przesłał z Islamabadu.

– To ten, który nazywa siebie majorem Ibrahimem?

– Major Ibrahim, zgadza się. Mieli pochować bojownika, który został ranny podczas napadu. Myśleliśmy, że pogrzeb jeszcze trwa, a tu nagle Ibrahim pojawił się w drzwiach i uderzył na alarm. W ciemnościach podczołgałem się na skraj wąwozu, zsunąłem na dno i wdrapałem na drugi brzeg. Światła reflektorów przepłynęły tuż nade mną, oświetlając cały teren. Zaczęli strzelać. Udając, że mnie trafili, wyrzuciłem w górę ręce, padłem na krawędź urwiska i sturlałem się w dół. A później

pomaszerowałem w kierunku wschodzącego słońca. Szedłem trzy dni bez przerwy...

Caseya, prawnika z wykształcenia i byłego szefa Wydziału Wywiadu Specjalnego OSS pod koniec drugiej wojny światowej, zawsze fascynowała awanturnicza strona operacji szpiegowskich.

– Mówisz tak, jakby to była bułka z masłem – powiedział, pochylając się do przodu. – Miałeś co jeść i pić?

– Z wodą nie było problemów. Po drodze mijałem mnóstwo strumieni i potoków. A jeśli chodzi o jedzenie... Przed wyjazdem do Peszawaru przeszedłem na Farmie kurs w szkole przetrwania. Wiedziałem, które korzonki, grzyby i jagody są jadalne. Trzeciego dnia pod wieczór dostrzegłem ognisko. Okazało się, że to karawana przemytników z plemienia Afridi, powracająca przez Chajber z Afganistanu. Dałem im pięćset dolców, które miałem zaszyte w pasku. Obiecałem drugie tyle, jeśli przeprowadzą mnie do Peszawaru.

Kiedy przyszedł Jack, cierpliwość Caseya została wystawiona na ciężką próbę, bo Manny musiał opowiedzieć wszystko jeszcze raz od początku.

– Co z Anthonym? Nic mu nie jest? – zapytał bez wstępów Jack, a w jego oczach malował się niepokój o syna.

– Nie został ranny podczas porwania – odparł Manny. – Kiedy się rozstaliśmy, był w niezłej kondycji. Nie martw się, Jack, da sobie radę. Jest czujny.

– Czy ktoś wie, skąd się w ogóle wziął ten cały major Ibrahim? – zmienił temat dyrektor.

– W rejestrze centralnym nic nie mają. W Departamencie Stanu i Biurze Bezpieczeństwa też nikt o nim nie słyszał – powiedział Jack.

– A to znaczy – dodał Ebby – że dopiero co wypłynął na światło dzienne.

– Ale wiemy, jak wygląda. Manny, pamiętasz coś jeszcze? – spytał Casey.

– Wydaje mi się, że po angielsku mówił z palestyńskim akcentem – przypominał sobie Manny. – Można zatem przyjąć, że wychowywał się na Bliskim Wschodzie.

– Albo po prostu szkolili go ludzie z Hezbollahu lub Hamasu – powiedział Jack i zwrócił się do dyrektora. – Powinniśmy w to włączyć Izrael... Oni tam śledzą każdy ruch islamskich fundamentalistów w palestyńskich szeregach.

– Niezła myśl, możemy od tego zacząć – przyznał Casey. – A co z raportem od informatora z plemienia Kalaszów?

– Przyszedł jakiś nowy raport? – zapytał Jack, gotów chwycić się każdej deski ratunku.

– Wczoraj w nocy – odparł Ebby. – Mamy informatora wśród Kalaszów... To niemuzułmańska ludność, zamieszkująca trzy doliny przy granicy z Afganistanem. Nasz informator utrzymuje, że Palestyńczyk o imieniu Ibrahim szmugluje broń i sprzedaje ją w Peszawarze. Podobno taką wycieczkę robi sobie co dwa miesiące... Kupuje automaty w Dubaju, a potem przez Zatokę Perską i Iran przemycą towar do Pakistanu.

– Podał jego rysopis? – zapytał Jack.

– Mniej więcej. Ten jego Ibrahim jest wysoki, chudy, długowłosey, a na czapce nosi amulet, który chroni go przed kulami snajperów. Prawą rękę ma częściowo sparaliżowaną...

– To on – przerwał Manny. – Wszystko robił lewą ręką: jadł, bawił się tymi swoimi paciorkami...

– A więc mamy już jakiś punkt zaczepienia – stwierdził Casey. – Coś jeszcze?

– Nasz informator opisał go jako zacieklego fundamentalistę, nawołującego do świętej wojny – powiedział Ebby. – Gardzi Rosjanami, ale jeszcze bardziej nienawidzi Ameryki.

– Jego święta wojna już trwa... – odezwał się Manny.

– I w ten sposób doszliśmy do faksu, który przysłano do amerykańskiego konsulatu w Peszawarze – powiedział zniecierpliwiony Casey, wpatrując się w Ebby’ego zza ogromnych okularów. – Jesteś pewien, że nadawcą był major Ibrahim?

– Faks wygląda na autentyczny – odparł Ebby. – Został napisany odręcznie po angielsku, drukowanymi literami. Są tam dwa błędy ortograficzne i dwa gramatyczne (orzeczenie nie zgadza się z podmiotem), co wskazuje na to, iż angielski nie jest ojczystym językiem człowieka, który to pisał. Nie udało się sprawdzić, gdzie został nadany list. Przyszedł w środku nocy. Nasi ludzie znaleźli go dopiero rano. Jest tam mowa o trzech zakładnikach... To było już po ucieczce Manny’ego, ale pewnie myśleli, że zginął, a major Ibrahim raczej nie chce rozgłaszać tego faktu, co zresztą zrozumiałe z jego punktu widzenia.

– Chcą stingerów – podsunął Jack.

– Wszyscy tam chcą stingerów – dodał Manny.

– Ale nie wszyscy trzymają zakładników – stwierdził ponuro Jack.

– Całym sercem jestem za tym, żeby im dać te stingery... Popieram każdą inicjatywę, która sprawi, że Sowieci dostaną za swoje. Ale prezydenta otacza banda tchórzy – powiedział Casey. – Boją się przesadzić. Boją się rozwścieczyć Rosjan. – Pokiwał głową nad głupotą polityków. – Dlaczego zawsze musimy mieć związane ręce? Wiem, że to zimna wojna, ale jednak wojna. A my bawimy się w pieprzonych legalistów! Kiedy wreszcie odpowiemy ogniem na ogień? Przykładem niech będą kontras w Nikaragui.

Mam parę twórczych pomysłów, które chciałbym ci podrzucić, Ebby. Gdyby udało nam się zdobyć trochę gotówki, tak żeby nie dowiedziała się o tym Senacka Komisja do spraw Wywiadu...

Na stoliku obok kanapy zadzwonił czerwony telefon. Casey podniósł słuchawkę.

– Kiedy wrócisz, Oliver? – zapytał. – Świetnie, daj mi znać, jak wpłyną pieniądze. Wtedy opracujemy kolejny krok. – Przez chwilę słuchał w skupieniu. – Na miłość boską, tylko nie to... Powiedz Poindexterowi, że prezydent już się pod tym podpisał, więc nie ma potrzeby zawracać mu głowy szczegółami. Gdyby coś nie wypaliło, musi w miarę wiarygodnie zaprzeczyć, że cokolwiek o tym wie. – Casey prychnął w słuchawkę. – Gdyby do tego doszło, ty polegiesz pierwszy, po tobie admirał, a jeśli prezydent będzie zmuszony rzucić kogoś na pożarcie dziennikarzom, kozłem ofiarnym będę ja... Na czym skończyliśmy? – zapytał, odłożywszy słuchawkę. – Dobra, podłączymy się pod Izrael, żeby sprawdzić, czy palestyński akcent majora Ibrahima naprowadzi nas na jakiś ślad. Poza tym może specjaliści od zdjęć satelitarnych też coś znajdą... Manny, w raporcie pisałeś o dwóch ciężarówkach, kilku dżipach i oddziale islamskich bojowników... miało ich być około sześćdziesięciu, o ile dobrze pamiętam. Do diabła, nawet ślimak zostawia ślad na liściu, więc ci goście też nie mogli rozpląnąć się w powietrzu. Trzeba zyskać na czasie. Poprosimy placówkę w Peszawarze, żeby odpowiedzieli na ten faks...

– Mają zamieścić ogłoszenie w anglojęzycznej edycji „Timesa” w Islamabadzie – wtrącił Jack.

– Dobrze. Powinniśmy nawiązać kontakt z porywaczami. Będziemy pertraktować. Niech myślą, że jesteśmy gotowi wymienić zakładników na stingery. Musimy grać na zwłokę. Najpierw zażądamy dowodu na to, że żyją... A potem zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja.

Nellie sprzątnęła talerze i włożyła je do zlewu. Manny nalał wina do kieliszków, po czym zaniósł je do salonu. Był kompletnie wyczerpany, fizycznie i psychicznie. Usiadł na kanapie, a Nellie wyciągnęła się obok niego i położyła mu głowę na kolanach. Od czasu do czasu podnosiła z podłogi kieliszek na smukłej, długiej nóżce i unosząc lekko głowę, pociągała łyk. W radiu nowa gwiazda muzyki pop, Madonna Louise Ciccone, śpiewała *Like a Virgin* – piosenkę, która szybko pięła się w górę na listach przebojów.

– Facet z Mosadu przyniósł siedem grubych segregatorów ze zdjęciami policyjnymi – powiedział Manny. – Musiałem obejrzeć tylu islamistów, że zaczęły mi latać mroczki przed oczami.

– Znalazłeś tego Ibrahima?

– Nellie?

Nellie zaśmiała się gorzko.

– Przepraszam, wypnęło mi się... Chyba musiałam upaść na głowę, jeśli myślałam, że mój wiecznie nieobecny kochanek i mąż dopuści mnie do swoich zawodowych sekretów tylko dlatego, że został porwany przez jakiegoś islamskiego świra, którego tożsamość Firma trzyma w ścisłej tajemnicy! Przecież mogłam z tym iść do „New York Timesa”.

– Wiesz, że mamy swoje zasady...

– Masz cholerne szczęście, że cię kocham – powiedziała Nellie. – Jestem taka szczęśliwa, że wróciłeś... Nawet nie chce mi się kłócić! – Usiłowała nadrabiać miną, ale tak naprawdę była bliska płaczu; odkąd przyjechał do domu, często bywała bliska płaczu. – Nienawidzę tej twojej pieprzonej Firmy – powiedziała z nagłą zaciętością. – Najbardziej za to, że ty ją tak kochasz.

Manny faktycznie z n a l a z ł zdjęcie Ibrahima w kartotece Mosadu. Przez dwie godziny i dwadzieścia minut wpatrywał się w podobizny różnych podejrzanych osobników, aż wreszcie jedna fotografia przykuła jego uwagę – Ibrahim był na niej młodszy i jeszcze chudszy, a włosy miał krótko obcięte, lecz nie było mowy o pomyłce. Co ciekawe, w swoim wcześniejszym wcieleniu Ibrahim wyglądał bardziej na kogoś, na kogo polują, niż na takiego, który sam poluje na innych. Izraelczycy zidentyfikowali mężczyznę na zdjęciu jako Hadżiego Abdela al-Chouriego i szybko dostarczyli jego dane. Al-Chouri, urodzony we wrześniu 1944 roku w mieście Dżidda w Arabii Saudyjskiej, był najmłodszym synem saudyjskiego potentata budowlanego jemeńskiego pochodzenia, Kemala al-Chouriego, i olśniewająco pięknej córki pasztuńskiego księcia, którą Kemal poznał w Kabulu i pokochał od pierwszego wejrzenia. W wieku lat dziewiętnastu Hadżi, naówczas student inżynierii na Uniwersytecie imienia Króla Abd al-Aziza w Dżiddzie, porzucił naukę, przyjął pseudonim wojenny Abu Azzam i wyjechał do Jordanii, by przyłączyć się do ugrupowania pod nazwą Al-Fatah, z którego wywodzi się Organizacja Wyzwolenia Palestyny. Aresztowany przez Żydów w Hebronie na zachodnim brzegu Jordanu za próbę zabójstwa Palestyńczyka, podejrzanego o kolaborację z izraelskim Szin Bet, Abu Azzam spędził dwa lata w pilnie strzeżonym więzieniu na pustyni Negew. Zwolniony z braku dowodów winy w roku 1970, zerwał z OWP, doszedłszy do wniosku, iż Jasir Arafat jest zbyt miękki wobec Izraela. Na początku lat siedemdziesiątych Organizacja Wyzwolenia Palestyny skazała zaocznie Abu Azzama na śmierć za to, iż poprzysiągł śmierć Arafatowi i królowi Jordanii, Husajnowi; Hadżi uciekł do Bagdadu, gdzie założył Islamski Dżihad. Był mózgiem serii zamachów terrorystycznych, wymierzonych w Żydów i Arabów, z zajęciem saudyjskiej ambasady w Paryżu w 1973

roku włącznie. Kiedy w 1979 Związek Radziecki zaatakował Afganistan, Abu Azzam po raz kolejny zmienił tożsamość i jako major Ibrahim przeniósł Islamski Dżihad w góry Hindukuszu, rozciągające się na wschód od stolicy Afganistanu, Kabulu. Dzięki odziedziczonym po ojcu stu milionom dolarów założył tajne centra werbunkowe i szkoleniowe, rozsiane po całym świecie arabskim, a także nawiązał kontakt z radykalnym pakistańskim odłamek Tablighi Dzamaat, Hezb-i-Islami Gulbuddina Hekmatjara, oraz innymi ugrupowaniami islamskich ekstremistów na Bliskim Wschodzie. Wspólnym mianownikiem wszystkich tych organizacji była fanatyczna nienawiść zarówno do sowieckich najeźdźców, jak i do Amerykanów, którzy uważali islamskich bojowników za mięso armatnie. Ibrahim, podobnie jak wielu radykalnych przywódców, utożsamiał polityczne i kulturowe uleganie wpływom Zachodu z laicyzacją, czyli odrzuceniem dominującej roli islamu, prowadzącym do utraty narodowej i religijnej tożsamości krajów muzułmańskich. Wybiegając daleko w przyszłość, marzył o ustanowieniu w wolnym Afganistanie surowego prawa koranicznego i obaleniu saudyjskiej monarchii absolutnej; gdyby bogata w ropę naftową Arabia Saudyjska znalazła się we władzy fundamentalistów, wówczas islam – poprzez sprawowanie kontroli nad światowym rynkiem paliw – umocniłby swoją pozycję i mógłby skuteczniej bronić prawdziwej wiary przed zakusami niewiernych.

Usłyszawszy, że Manny'emu udało się zidentyfikować Ibrahima, Jack nie posiadał się z radości.

– Chryste Panie! Jesteś pewien na sto procent? – dopytywał się przez bezpieczny wewnętrzny telefon Firmy, a kiedy Manny powiedział, że nie ma żadnych wątpliwości, w słuchawce rozległo się westchnienie ulgi.

Jack zbiegł po schodach do biura Millie – obecnie już starszego rzecznika prasowego CIA – i wywołał żonę na korytarz, żeby w cztery

oczy, z dala od czujnych uszu sekretarek, podzielić się z nią dobrą nowiną. To pierwszy krok we właściwym kierunku, mówił, ściskając jej lepką od potu dłoń w swoich potężnych łapskach i kiwając głową, jakby chciał sam siebie przekonać, że ta historia będzie miała szczęśliwe zakończenie. Dzięki Izraelczykom, ciągnął dalej konspiracyjnym szeptem, Firma ma teraz zdjęcie porywacza i nie musi już opierać się wyłącznie na podanym przez Manny'ego rysopisie. Ścisłe tajna depesza, wzywająca do natychmiastowego działania, jest już w drodze do wszystkich placówek. Podpisano: DCI William Casey i zastępca DD/O John J. McAuliffe, tak, dobrze słyszysz, właśnie z tym moim środkowym inicjałem, czego normalnie nigdy nie robię, ale uznałem, że to podkreśli wagę przedsięwzięcia. Napisaliśmy, że Firma uważa identyfikację i infiltrację centrów werbunkowych i szkoleniowych Islamskiego Dżihadu na Bliskim Wschodzie za zadanie priorytetowe. Stawką jest życie oficera CIA. Poleciliśmy wysondować wszystkie bez wyjątku źródła, mające jakiegokolwiek powiązania z islamskimi ugrupowaniami. Nadszedł czas, żeby nam się odwzajemnili, przysługa za przysługę... Bez względu na koszty, mają poruszyć niebo i ziemię, żeby odnaleźć majora Ibrahima i jego zakładników...

– A ty co o tym myślisz, Jack? – zapytała Millie. Patrząc w jego wymizerowaną twarz, pomyślała, że sama pewnie wygląda nie lepiej. – Jest szansa, że Anthony wyjdzie z tego żywy?

– Obiecuję ci, Millie... przysięgam...

– Wiem, że tego dokonasz, Jack – wyszeptwała. – Wiem, że ci się uda. Uda się, bo jeżeli coś mu się stanie, to żadne z nas tego nie przeżyje.

Jack gwałtownie potrząsnął głową. Potem odwrócił się i odszedł w pośpiechu, uciekając od kobiety, w której oczach było zbyt wiele udręki, by mógł w nie patrzeć.

Jack zdybał Ebby'ego pod koniec dnia. Usiedli w kącie obszernego gabinetu DDCI na szóstym piętrze i sącząc szkocką bez lodu, rozmawiali przyciszonym głosem. W na wpół przymkniętych oczach Jacka czaiła się rozpacz, głos mu drżał.

– Natknąłem się na izraelski raport, opisujący, jak Rosjanie załatwili sprawę swoich zakładników – mówił grobowym tonem. – Trzech sowieckich dyplomatów zostało porwanych w Bejrucie przez komando Hezbollahu. Ci z KGB nie siedzieli z założonymi rękami i nie dzielili włosa na czworo. Uprawdzili krewnego przywódcy Hezbollahu i odesłali im wykastrowane ciało z wepchniętymi w usta genitaliami i przygwożdżoną do piersi kartką – p r z y g w o ż d ż o n ą, rozumiesz? – z ostrzeżeniem, że taki sam los spotka przywódców Hezbollahu i ich synów, jeśli natychmiast nie wypuszczą zakładników, całych i zdrowych. W ciągu paru godzin wszyscy trzej znaleźli się na wolności, o kilka ulic od sowieckiej ambasady. – Jack pochylił się do przodu i jeszcze bardziej ściszył głos. – Posłuchaj mnie, Ebby... Zidentyfikowaliśmy porywacza. Ten Ibrahim ma chyba przecież jakichś braci, kuzynów czy wujków...

Zapadła niezręczna cisza. Ebby nagle zainteresował się swoimi sznurówkami.

– My nie jesteśmy z KGB, Jack – odezwał się w końcu. – Senat patrzy nam na ręce. Wątpię, czy pozwoliłby nam zastosować taką taktykę.

– Nie musielibyśmy tego robić sami – powiedział Jack. – Można by to komuś zlecić... Harvey Torriti wiedziałby, do kogo z tym pójść.

– Rozumiem cię, Jack. Szalejesz z niepokoju o syna... Ale tamto nie wchodzi w grę. CIA to gatunek na wymarcie... Losy Firmy i tak wiszą na włosku. Nie ma mowy, żebym podpisał się pod coś takim. – Spojrzał surowo na przyjaciela. – I nie ma mowy, żebym pozwolił na to mojemu

zastępcy. – Wstał z ociąganiem. – Daj mi słowo, że nie zrobisz żadnego głupstwa, Jack.

– Po prostu musiałem się wyładować.

– A więc słowo...?

McAuliffe podniósł wzrok.

– Masz moje słowo, Ebby.

DDCI skinął głową.

– Tej rozmowy nigdy nie było, Jack. Do zobaczenia jutro.

Tessa, zerkając na licznik, biegła po ruchomej bieżni w sali gimnastycznej, mieszczącej się w podziemiach Langley.

– Wolę biegać tutaj – mówiła do swojej siostry bliźniaczki, Vanessy – niż na autostradzie, gdzie wdycha się te wszystkie spaliny.

Vanessa, programistka IBM, którą Firma zatrudniła w zeszłym roku, zlecając jej zmodernizowanie systemów komputerowych, leżała na plecach, podnosząc czterdziestokilogramową sztangę.

– Co nowego w wielkim świecie kontrwywiadu? – zapytała.

Ćwicząca obok przysadzista kobieta w dresie, postać w pewnym sensie legendarna, gdyż jako pierwsza kobieta w historii CIA została szefem placówki, zarzuciła na ramiona ręcznik i ruszyła w stronę pryszniców. Tessa odczekała, aż odejdzie na tyle, żeby jej nie mogła usłyszeć.

– Właśnie natknęłam się na coś niezwykle intrygującego – powiedziała i nie przerywając biegu, zaczęła wtajemniczać siostrę w swoje odkrycie.

Po części dlatego, że była córką Leo – obecnie dyrektora operacyjnego Jacka McAuliffe'a – po części zaś dzięki wybitnym wynikom w college'u Tessa pracowała w kontrwywiadzie, odkąd ukończyła Bryn Mawr w 1975 roku. Ostatnio ślęczała nad transkrypcją emitowanych ze

Związku Radzieckiego anglojęzycznych programów radiowych, szukając powtarzających się słów, zwrotów lub całych zdań pozornie wyrwanych z kontekstu, jako że istniało przypuszczenie, iż KGB regularnie porozumiewa się ze swoimi agentami na terenie obu Ameryk, przesyłając zaszyfrowane w audycjach wiadomości.

– Siedem miesięcy temu – powiedziała – dali mi transkrypcję quizu, nadawanego nocą na falach krótkich przez Radio Moskwa, począwszy od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

Vanessa usiadła na podłodze, oparłszy się plecami o ścianę, i wytarła ręcznikiem pot z karku i czoła.

– Nie mów, że faktycznie natrafiłaś na jakąś zaszyfrowaną wiadomość? – powiedziała.

– Coś znalazłam – odparła Tessa.

Zerknęła na licznik i zobaczyła, że przebiegła już osiem kilometrów. Wyłączywszy bieżnię, usiadła obok siostry.

– Pamiętasz, jak zaczytywałam się w *Alicji w Krainie Czarów* i *Po drugiej Stronie Lustra*, kiedy byłam mała? Prawie nauczyłam się ich na pamięć. Rosjanie pod koniec każdej z tych audycji podają jakiś cytat z klasyki anglosaskiej, a uczestnik quizu musi go rozpoznać. Przez trzydzieści trzy lata, co daje w sumie ponad dwanaście tysięcy minut na antenie, dwadzieścia cztery razy posłużyli się cytatem z Lewisa Carrolla. Zwróciłam na to uwagę, bo tylko te zagadki byłam w stanie sama rozwiązać. – Tessa, przekrzywiwszy głowę, wyrecytowała kilka przykładów: – „Im mniej masz ty, tym więcej mam ja”, „Ale jeżeli nie jestem sobą, następne pytanie brzmi: Kim, na Boga, jestem?” albo „Zagrzmudnił pośród srożnych skał”. I jeszcze „Nie chciałabym być częścią cudzego snu”.

– Jakim cudem na to wpadłaś? – zapytała Vanessa.

– W szkole NSA w Fort Meade studiowałam sowieckie i wschodnioeuropejskie systemy szyfrujące – odparła Tessa. – Niektóre szyfry KGB są jedynie hasłami rozpoznawczymi, które sygnalizują agentowi, że w tym samym programie usłyszy przeznaczoną dla siebie wiadomość.

– No dobra, założmy, że te dwadzieścia cztery cytaty z *Alicji* rzeczywiście miały skierować uwagę agenta na jakąś konkretną wiadomość... – zastanawiała się głośno Vanessa. – Pytanie tylko: na jaką?

– Zaraz po zagadkach literackich zawsze ogłaszają zwycięski numer loterii – wyjaśniła Tessa.

– Ilucyfrowy?

– Dziesięcio.

– Tyle samo, ile ma przeciętny numer telefonu, jeżeli dodasz kierunkowy. – Vanessa zamyśliła się na chwilę. – Ale to by było zbyt oczywiste...

– W Fort Meade – wtrąciła Tessa – uczyli nas, że agenci wschodniemieccy działający w Niemczech Zachodnich na początku lat pięćdziesiątych dostawali dziesięciodolarowe banknoty; odejmując numer seryjny od zwycięskiego numeru loterii, usłyszanego w audycji nadawanej z NRD, otrzymywali numer telefonu kontaktowego.

Vanessa nie wiedziała, co o tym sądzić.

– Powiedziałaś, że cytatów było dwadzieścia cztery... Jeżeli masz rację, to znaczy, że w ciągu tych trzydziestu lat podano agentom dwadzieścia cztery numery telefonów. Po co aż tyle?

– KGB wymaga od swoich łączników, żeby co jakiś czas zmieniali miejsce zamieszkania, a to się wiąże ze zmianą numeru telefonu...

– Mówiłaś o tym szefowi?

– Tak. Powiedział, że to może być tylko zwykły zbieg okoliczności. A jeśli nawet, to mamy za mało danych. Sam numerek loterii nie wystarczy do złamania szyfru, bo istnieje zbyt wielka liczba możliwych kombinacji.

– Hej, komputery radzą sobie z ogromną liczbą kombinacji... – powiedziała Vanessa. – Spróbuję się tym zająć, jeśli chcesz.

Vanessa, która programowała w Firmie komputer centralny IBM, została po godzinach, żeby pobawić się dwudziestoma czterema numerami loterii, towarzyszącymi cytatom z Lewisa Carrolla. Od bibliotekarza CIA dowiedziała się, że numery kierunkowe zostały wprowadzone we wczesnych latach pięćdziesiątych, czyli mniej więcej wtedy, gdy zaczęto nadawać quizowy program Radia Moskwa, wyszła więc z założenia, że dziesięciocyfrowy numer loterii skrywał dziesięciocyfrowy numer telefonu, zawierający w sobie numer kierunkowy Wschodniego Wybrzeża. Zaczęła od numeru, który pojawił się po pierwszym chronologicznie cytacie z *Alicji* („A morał z tego: Im mniej masz ty, tym więcej mam ja”) piątego kwietnia 1951 roku: 2056902023. Rozwiązawszy za pomocą komputera serię skomplikowanych równań, odkryła, że istnieje dość duże prawdopodobieństwo, iż ośmiocyfrowa liczba zaczynająca się od trójki i zera, odjęta od dziesięciocyfrowego numeru loterii, da dziesięciocyfrowy numer telefonu zaczynający się od 202, czyli od numeru kierunkowego Waszyngtonu, DC, gdzie – jak przypuszczały dziewczęta – mieszkał łącznik KGB. Znajac ów tajny ośmiocyfrowy numer, Vanessa mogłaby wyodrębnić kierunkowy 202 z pozostałych dwudziestu trzech numerów loterii.

Rezultaty jej wysiłków były jednak mocno hipotetyczne, a statystyczne prawdopodobieństwo, że odniesie sukces – niewielkie.

Przyjąwszy, że tajny numer zaczyna się od trójki i zera, do odgadnięcia pozostało jeszcze sześć niewiadomych cyfr. Vanessa głowiła się nad tym przez resztę tygodnia. W piątek wieczorem umówiła się na kolację ze swoim chłopakiem, prawnikiem. Siedzieli w chińskiej restauracji w Fairfax, o dwie przecznice od mieszkania, które dzieliła z Tessą. Chłopak poszedł do kasy zapłacić rachunek i poprosił Vanesę, żeby zostawiła napiwek dla kelnera. Wyjęła z portmonetki dwa banknoty i położyła na stoliku. Głowa jej puchła od liczb, które komputer wypluwał przez ostatnie dziesięć dni. Cyferki na banknotach tańczyły przed oczami. Nagle przyjrzała się im uważniej. Przypomniała sobie, co Tessa mówiła o wschodnioniemieckich szpiegach i o numerach telefonów, zaszyfrowanych w numerach seryjnych amerykańskich dziesięciodolarówek. Pierwszy wynik losowania moskiewskiej loterii quizowej nadano piątego kwietnia 1951 roku, a więc sowiecki agent, dla którego przeznaczona była wiadomość, musiał posłużyć się banknotem wydrukowanym przed tą datą. Numery seryjne układają się w określony ciąg liczb, a zatem... Że też na to nie wpadła wcześniej! Teraz trzeba tylko znaleźć numery seryjne banknotów, będących w obiegu, powiedzmy, od końca wojny do kwietnia 1951 roku, i wrzucić je do komputera.

Nazajutrz, z samego rana, Vanessa umówiła się na spotkanie w Departamencie Finansów. Już po południu sympatyczny urzędnik poinformował ją, że istotnie numery seryjne na wszystkich amerykańskich banknotach tworzą ciąg arytmetyczny... Nie, nie ma najmniejszego problemu, to żadna tajemnica... Numery seryjne, znajdujące się w obiegu od roku 1945 do kwietnia 1951? Oczywiście, to kwestia kilku minut. Jeśli zechce poczekać, sekretarka odszuka rejestry i zrobi kserokopie odpowiednich stron.

Tego wieczoru Vanessa wspólnie z siostrą, która niecierpliwie zaglądała jej przez ramię, przeanalizowała otrzymany materiał i ku swej ogromnej satysfakcji znalazła numer serii zaczynający się od trójki i zera. W 1950 roku Departament Finansów wyemitował dziesięciodolarowe banknoty o łącznej wartości 67 593 240 dolarów i numerach seryjnych oznaczonych literą alfabetu, po której następowały cyfry 3089, potem cztery inne, a na koniec jeszcze jedna litera.

Vanessa wprowadziła do komputera numer 3089 i odjęła go od pierwszego szczęśliwego numeru loterii. W wyniku otrzymała numer kierunkowy Waszyngtonu oraz centrali czynnej we wczesnych latach pięćdziesiątych: 202 601. Do sprawdzenia pozostało więc zaledwie 9999 numerów telefonów.

– Szukamy kogoś – powiedziała Tessa – kto miał telefon zaczynający się na 202 601 i wyprowadził się z domu między piątym a dwunastym kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku... O rany! – wykrzyknęła i aż podskoczyła z radości. – Myślisz, że to się uda?

Dozorcy KGB zaciągnęli żaluzje i przekształcili apartament na drugim piętrze Kremla w prywatną klinikę. Pomieszczenie wyposażone było w najnowocześniejszą amerykańską sztuczną nerkę, a nad pacjentem czuwał sztab wyspecjalizowanych w hemodializie lekarzy i pielęgniarek. Pacjentem był Jurij Władimirowicz Andropow – były ambasador ZSRR w Budapeszcie w 1956 roku, szef KGB w latach 1967–1982, a od śmierci Breżniewa w 1982 – sekretarz generalny KPZR i niekwestionowany przywódca Związku Radzieckiego. Dzierżący od dziesięciu miesięcy ster władzy sześćdziesięciodziewięcioletni już Andropow cierpiał na chroniczną chorobę nerek i tylko dzięki regularnym zabiegom dializy, oczyszczającym krew z toksycznych substancji, utrzymywano go jeszcze przy życiu. Jego

dni były policzone – lekarze dawali mu najwyżej sześć miesięcy. Błady i wycieńczony, niezdolny do dłuższego wysiłku umysłowego, siedział na łóżku, opatulony aż po zwiotczającą szyję elektrycznie podgrzewanym kocem.

– Mam już tego dosyć... O wszystko muszę się wyklócać – mówił do Dziadka. – Prawie codziennie nachodzi mnie tu jakiś obwieszony medalami generał, przysięgając, że możemy jeszcze wygrać tę wojnę i że nie wolno nam się poddać mimo chwilowych porażek i strat.

Dziadek próbował coś wtrącić, by skierować rozmowę na swoje sprawy, ale Andropow nie zwracał na niego uwagi i żalił się dalej.

– A zaraz potem zjawia się ktoś z KGB i powołując się na najnowsze analizy, które niczym się nie różnią od poprzednich, dowodzi, że wojna w Afganistanie jest nie do wygrania, bo mudżahedinów nie da się pokonać; dlatego musimy wycofać się póki czas i tak pokierować islamskimi fundamentalistami, żeby zwrócili się przeciwko Ameryce. – Trzęsąc ze zdenerwowania głową, spojrział na żółtą kartę z harmonogramem dnia. – Mam tu napisane, że prosiłeś o spotkanie, żeby porozmawiać o operacji CHOŁSTOMIER.

– Komitet Trzech przy Politbiurze rozpadł się na trzy frakcje, Juriju Władimirowiczu – wyjaśnił Dziadek. – Jeden członek jest za projektem, drugi przeciw, a trzeci wstrzymał się od głosu.

– Kto głosował przeciw? – zapytał sekretarz generalny.

– Towarzysz Gorbaczow.

Andropow prychnął.

– Michaił Siergiejewicz jest podobno specjalistą od rolnictwa, ale i z tym nie radzi sobie najlepiej... W kółko tylko powtarza, jak katarynka: *glasnost* i *pieriestrojka*... tak jakby j a w n o ś ć i p r z e b u d o w a były

magicznym eliksirem na wszystkie nasze problemy. – Gestem ręki odprawił siedzącego przy oknie pielęgniarza, który wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Ten wasz projekt CHOŁSTOMIER to ten sam, który podpisałem, kiedy byłem szefem KGB? Ten, który Breżniew potem zawetował? – zapytał Dziadka Andropow.

– Od czasów towarzysza Breżniewa wprowadziłem pewne modyfikacje... Projekt został tak przerobiony, żeby uwzględnić możliwość uruchomienia przez Amerykanów federalnej rezerwy walutowej w celu powstrzymania zmasowanego ataku na dolara.

Andropow drżącymi palcami podkreślił ogrzewanie w kocu elektrycznym.

– Odśwież moją pamięć co do szczegółów tej operacji – polecił.

– Od połowy lat pięćdziesiątych KGB wyprowadzała z kraju zyski GazPromu oraz twardą walutę, uzyskiwaną z eksportu broni i ropy naftowej. Dyskretnie zorganizowaliśmy sieć podstawionych spółek w różnych rajach podatkowych: na wyspie Man, na Jersey i Guernsey w archipelagu Wysp Normandzkich, w Szwajcarii i na Karaibach. Każda spółka ma dwóch właścicieli w postaci dwóch innych firm, które z kolei są własnością firmy z siedzibą w Genewie lub na Bermudach, która z kolei...

Andropow machnął niecierpliwie ręką.

– Rozumiem.

– W chwili obecnej nasze udziały wynoszą około sześćdziesięciu trzech miliardów dolarów. Zaletą CHOŁSTOMIERA jest to, że cały kapitał ulokowaliśmy w starannie dobranych nowojorskich bankach, które nie są w stanie zidentyfikować faktycznego właściciela tych pieniędzy. Wyobraźcie sobie teraz, towarzyszu, że któregoś dnia jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt miliardów przechodzi z ręki do ręki na rynku tak zwanych

transakcji gotówkowych, co oznacza gwałtowną, masową wyprzedaż amerykańskiej waluty.

– I wy chcecie zniszczyć dolara za pomocą tych nędznych sześćdziesięciu trzech miliardów...?

– Nasze kalkulacje opierają się na założeniu, że akcja zostanie przeprowadzona na skalę globalną. Jeżeli w prasie na całym świecie ukażą się inspirowane przez nas artykuły na temat gwałtownego spadku wartości dolara na rynku krajowym, a my sprytnie rozegramy to na rynku międzynarodowym, to wyprzedaż naszych sześćdziesięciu trzech miliardów wywoła panikę nie tylko wśród drobnych inwestorów i ciułaczy, ale dotknie również świat wielkiej finansjery: bankierów, spekulantów giełdowych, towarzystwa ubezpieczeniowe, fundusze emerytalne i, co najważniejsze, państwowe banki europejskie i azjatyckie. Szacujemy, że łączna suma „poruszonych” przez panikę pieniędzy dziesięciokrotnie przewyższy kwotę początkowych sześćdziesięciu trzech miliardów, co oznacza, iż całkowita wartość rzuconych na rynek dolarów wahać się będzie w granicach sześciuset miliardów, nie licząc oczywiście innych, zwykłych transakcji, dokonanych w tym samym dniu. Spodziewamy się, że spowoduje to efekt śnieżnej kuli. Naturalnie amerykański Bank Rezerwy Federalnej zainterweniuje i wykupi dolary, aby ustabilizować walutę. Ale jeżeli weźmiemy ich z zaskoczenia, to według naszych obliczeń interwencja nastąpi za późno i na zbyt małą skalę, żeby uchronić dolara przed dewaluacją. Szacujemy, że siedemdziesiąt procent rezerw dewizowych banków centralnych Japonii, Hongkongu, Tajwanu i Malezji stanowią dolary; mówimy o sumie rzędu biliona. Dziewięćdziesiąt procent tych zasobów trzymane jest w postaci banknotów i amerykańskich obligacji skarbowych. W tych czterech państwach mamy swoich ludzi, zajmujących kluczowe stanowiska w bankach centralnych; pracuje tam również dla nas

niemiecki agent, pozostający w zażyłych stosunkach z kanclerzem Helmutem Kohlem. Z pierwszym sygnałem gwałtownego spadku wartości dolara amerykańskiego nasi agenci zaczną naciskać na banki, aby sprzedały dwadzieścia procent swych aktywów w postaci obligacji skarbowych nominowanych w dolarach, jako zabezpieczenie przed dalszym spadkiem wartości ich udziałów. Wówczas załame się również rynek amerykańskich obligacji, co musi doprowadzić do paniki i krachu na Wall Street; można oczekiwać, że indeks Dow Jones, obecnie w granicach tysiąca dwustu punktów, pójdzie ostro w dół, spadną indeksy na europejskich giełdach papierów wartościowych, panika udzieli się oszczędzającym w dolarach Europejczykom, którzy pozbędą się w pośpiechu aktywów, zamieniając je na złoto.

Prawa powieka Andropowa zadrgała.

– Jakie będą długofalowe skutki operacji CHOŁSTOMIER?

– W odpowiedzi na załamanie się rynku obligacji wzrosną stopy procentowe, najpierw w USA, a potem także w Europie i Azji. Wraz z podwyżką oprocentowania pójdą w górę ceny; spadnie sprzedaż, zarówno na rynku wewnętrznym, jak i zagranicznym; deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych powiększy się znacznie, co z kolei doprowadzi do narastającej inflacji, zastoju gospodarczego i gwałtownego wzrostu bezrobocia. Chaos w amerykańskiej gospodarce odbije się na polityce europejskiej, zwłaszcza we Francji i Włoszech, gdzie partie komunistyczne są na tyle silne, by przeforsować rozwiązania, które wyzwolą ich kraje spod ekonomicznej dominacji Ameryki i doprowadzą do bliższej współpracy, a w końcu połączenia, z blokiem radzieckim. Można się spodziewać, iż Niemcy Zachodnie, Hiszpania i Skandynawia, nie chcąc pozostać w izolacji, pójdą za ich przykładem.

Rozległo się delikatne pukanie. Do pokoju wszedł młody pielęgniarz, pchając przed sobą błyszczący, niklowany stolik na kółkach, który ustawił obok łóżka.

– Czas na wasze witaminki, towarzyszu Andropow – powiedział.

Sekretarz generalny bez słowa wyciągnął lewą rękę i zacisnął powieki. Pielęgniarz podwinął mu rękaw szlafroka i zręcznie wstrzyknął do żyły dwadzieścia centymetrów sześciennych mlecznego roztworu, po czym wyszedł, opatuliwszy pacjenta kocem. Andropow leżał przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, jakby spał. Dziadek już zaczął zbierać się do wyjścia, kiedy chory ocknął się i powiedział:

– Przez ostatnie pół roku miałem obsesję na punkcie amerykańskiego Programu Obrony Strategicznej, ochrzczonego przez dziennikarzy mianem Gwiezdných Wojen. Koszty takiego przedsięwzięcia byłyby astronomiczne... Nigdy nie wierzyłem, że Reagan myśli o tym poważnie. Przypuszczałem, że kieruje nim jeden z dwu motywów. Po pierwsze, myśli być może, iż poprzez eskalację wyścigu zbrojeń i przeniesienie go w przestrzeń kosmiczną zmusi nas do ogromnych wydatków, wie bowiem, że za wszelką cenę chcemy dotrzymać kroku Amerykanom, zarówno ze względów ambicjonalnych, jak i obronnych. Olbrzymie koszta tej rywalizacji nadwątlilyby naszą – i tak już chwiejną – równowagę ekonomiczną, co by doprowadziło z czasem do znacznego osłabienia władzy radzieckiej i autorytetu partii.

Andropow wbił w Dziadka swój inkwizytorski wzrok, sprawiając przy tym wrażenie, że stracił wątek.

– Drugi motyw, Juriju Władimirowiczu – podpowiedział Dziadek.

– Ach, tak, drugi motyw... który uważam za bardziej prawdopodobny, jest taki, że... w marcu zeszłego roku... ogłaszając program Gwiezdných Wojen, Reagan chciał przygotować naród amerykański na ewentualność wybuchu

wojny atomowej, czyli na *Rakietnojadiernoje Napadienije*, jak to nazywają nasi wojskowi planiści – amerykańskie uderzenie rakietowe na Związek Radziecki.

Dziadek, przerażony, podniósł wzrok i zobaczył utkwione w siebie niespokojne spojrzenie sekretarza generalnego.

– Wywiad wojskowy złamał system szyfrowy NATO i odkrył – kontynuował Andropow ledwie słyszalnym szeptem – że na koniec tego roku planowane są tajne manewry sił Paktu Atlantyckiego, kryptonim ABLE ARCHER 83, których głównym celem jest przećwiczenie metod odpalania pocisków nuklearnych. Podejrzewam, że te „manewry” mogą być tylko przykrywką dla rozpoczęcia ataku nuklearnego.

– Jeśli to, co mówicie, jest prawdą...

– To najczarniejszy scenariusz – przerwał mu Andropow – ale uważam, że imperialistyczne ambicje Reagana, wzmocnione tendencją do postrzegania nas jako mocarstwa zła, że zacytuję jego własne słowa, usprawiedliwiają moje najgorsze przeczucia. – Wysunął spod koca prawą rękę i pochyliwszy się nad stojącym przy łóżku stolikiem, nabazgrał na przygotowanym zawczasu przez Dziadka formularzu upoważnienia, oznaczonym symbolem 127/S-9021: „Akceptuję. Wykonać”, po czym drżącą z wysiłku ręką podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem. – Macie moją zgodę na CHOŁSTOMIER – oznajmił chrapliwym szeptem. – Rozpocznijcie operację jeszcze przed końcem listopada.

Głowa sekretarza generalnego opadła bezwładnie z powrotem na poduszkę.

– Tak uczynię, Juriju Władimirowiczu – odparł cicho Dziadek.

GDZIEŚ W AFGANISTANIE, NIEDZIELA, 23 PAŹDZIERNIKA 1983

Banda Ibrahima, około sześćdziesięciu ludzi, podróżowała nocą, czasem pieszo, czasem na osłach, a czasami w rozklekotanych ciężarówkach, jadących bez świateł nie tylko ze względów bezpieczeństwa, ale też dlatego, że Afgańczycy wierzyli, iż w ten sposób pojazdy spalają mniej benzyny. Wszędzie po drodze chłopcy ofiarowywali partyzantom schronienie, dzieląc się z nimi i tak szczupłymi zapasami jedzenia, jakie pozostały po przejściu sowieckich jednostek specjalnych. Wszyscy witali Ibrahima jak starego znajomego, a on zwracał się do nich po imieniu. Gdy tylko pojawiały się pierwsze srebrzystoszare promienie słońca i na tle nieba zaczynały rysować się ciemne kształty górskich szczytów, grupka wędrowców zbaczała ze szlaku. Anthony'ego i Marię, cały czas pilnie strzeżonych przez któregoś z mudżahedinów, prowadzono wąskimi ścieżkami, oznakowanymi białymi, wapiennymi kamieniami. Pięli się w górę, mijając na wpół zrujnowane, przeważnie opuszczone osady, przytulone do stromych zboczy. W każdej, najmniejszej nawet wiosce, pośród niskich kamiennych budynków, z których wiele legło w gruzach podczas sowieckich nalotów, stał meczet. Wewnątrz ocalałych domów, w poczerniałych od sadzy piecach, płonął ogień. Na gołych, niemalowanych ścianach, obok mihrabu – niszy zwróconej w stronę Mekki – wisały kalendarze z fotografiami Kaaby lub Złotego Meczetu w Jerozolimie. Na drewnianych stołach, nakrytych ceratą, stały zawsze miski z orzeszkami pistacjowymi i dzbanki pełne *nabidh* – lekkiego napoju alkoholowego z rodzynek lub daktyli, zmieszanych z wodą i odstawionych

do fermentacji w glinianych kadziach. Pewnego ranka, po szczególnie męczącym całonocnym marszu, usługujący mudzahedinom chłopak, który na wojnie stracił nogę, postawił przed Marią porcelanową miskę czegoś, co wyglądało jak ugotowane jelita. Wykrzywiła się i ze wstrętem odsunęła od siebie nieapetyczną potrawę. Kiedy Ibrahim zaczął z niej drwić, Maria – która wychowała się w Bejrucie u ojca, pół Amerykanina, pół Libańczyka – odcięła się arabskim przysłowiem *Yom asal, yom basal* – „Jednego dnia miód, drugiego cebula”.

Ibrahim, z natury skłonny do gwałtownych zmian nastroju, wyczulony przy tym na wszystko, co mogłoby stanowić obrazę islamu, wybuchnął gniewem.

– Co wy, ludzie Zachodu, wiecie o cebuli?! Nie macie pojęcia, ile musieliśmy tu wycierpieć! Każdy z nas...

– Mówisz z własnego doświadczenia? – zapytał Anthony w nadziei, że wreszcie czegoś się o nim dowie.

Ibrahim zapatrzył się na krajobraz za oknem, jego oczy zaszyły mgłą; widać było, że trafili w jego czuły punkt.

– W połowie lat siedemdziesiątych – zaczął opowiadać – kiedy bawiłem przejazdem w Teheranie, zostałem aresztowany przez irański SAVAK, gdyż przez pomyłkę wzięto mnie za agenta irackiego wywiadu. To było jeszcze przed wybuchem wojny iracko-irańskiej, ale już się czuło napięcie w stosunkach pomiędzy tajnymi służbami. Torturowali mnie przez trzy dni i trzy noce, a ja nie mogłem przerwać męczarni, bo na swoje nieszczęście nie znałem odpowiedzi na żadne pytanie. Jeszcze dziś czuję nieraz, jak moją prawą dłoń miażdżą stalowe kleszcze... czuję tamten potworny, rozdzierający ból... a wtedy z całej siły zaciskam zęby, żeby powstrzymać narastający w gardle krzyk. – Na górnej wardze Ibrahima pojawiły się kropelki potu; chciwie pociągnął łyk *nabidh* z cynowego kubka. – Zawsze

będę żył ze wspomnieniem tego bólu – powiedział i zamilkł, zasklepiony we własnych myślach, lecz po chwili powrócił do przerwane go wątku. – Możecie mi wierzyć albo nie – mówił bardziej do siebie niż do nich – ale nie mam tego za złe Irańczykom. Na ich miejscu zrobiłbym to samo. Prawdę mówiąc, zrobiłem to samo... Tu, w Afganistanie. Kiedy przekonałem SAVAK, że jestem niewinny, na powrót stali się moimi towarzyszami w walce przeciw imperializmowi i niewiernym.

Do izby znów przykuśtykał kaleki chłopak, zręcznie balansując słomianą tacą z małymi kubeczkami zielonej herbaty. Ibrahim rozdał kubki i usiadłszy po turecku na wystrzępionej macie, popijał gorący, aromatyczny napój. Wysoko ponad osadą rozległ się skowyt silników odrzutowych. Nagle do wnętrza domu wbiegł jeden z mudżahedinów i zameldował coś Ibrahimowi. Ten rzucił jakiś krótki rozkaz i jego ludzie błyskawicznie pogasili wszystkie lampy naftowe, świece i zdusili tłący się w piecu żar. Znad sąsiedniej doliny dobiegł głuchy łoskot wybuchających bomb. W ciemności Ibrahim mamrotał wersety Koranu. Z mrocznych kątów chaty dołączyły do niego ciche głosy modlących się bojowników.

Wieczorem dziesiątego dnia podróży zeszli w dolinę, której dnem płynęła wartka rzeka. W dole leżał zardzewiały wrak sowieckiego czołgu, na wpół zanurzony w wodzie. Po dwóch, po trzech mudżahedini przeprawili się na drugą stronę w bambusowej klatce, zawieszanej na grubej, ręcznie przeciąganej linie. Maria, z lękiem patrząc na spieniony nurt, mocno ścisnęła rękę Anthony'ego. Kiedy wszyscy bezpiecznie dotarli na brzeg, Ibrahim znów ruszył dalej, prowadząc swój oddział po tonących w bladej poświacie księżyca stromych ścieżkach, upstrzonych odchodami kozłów śnieżnych. Po kilku godzinach nieustannej wspinaczki dotarli do wąskiej szczeliny u wylotu długiego wąwozu. Strzegące wejścia urwiste turnie wysadzono kiedyś dynamitem i teraz już tylko pieszo można się było

przedostać przez skalne rumowisko. Potem droga stała się wygodniejsza, a teren bardziej płaski. Od czasu do czasu mijali niskie kamienne zabudowania, ledwie widoczne w gąszczu dzikiej winorośli, porastającej łupkowe dachy. W ruinach jakiegoś meczetu dostrzegli stare działko przeciwlotnicze, starannie zamaskowane siatką. Z mroku, zalegającego przed świtem na progach domów, wyłaniali się ludzie z lampami naftowymi, wymachując na powitanie wzorzystymi chustami. W którejś osadzie pasztuński naczelnik wioski zapiął guziki sowieckiej wojskowej kurtki, przyczepił do nogi protezę i pokuśtykał na skraj drogi, żeby uścisnąć dłoń każdemu z maszerujących szeregiem mudżahedinów. „Wasze męstwo jest jak drogocenna perła” – powtarzał za każdym razem śpiewnym, monotonnym głosem. Idąc dalej szlakiem, dotarli wreszcie do glinianego ogrodzenia, za którym widać było wieżyczkę minaretu i rząd niskich lepianek, stojących tyłem do urwiska. Z kominów unosił się dym, jakby w wiosce oczekiwano gości. Na próg jednego z domów wyszła młoda kobieta. Kiedy Ibrahim coś do niej zawołał, spuściła oczy i pokłoniła mu się w pas. Dwójka małych dzieci wyjrzała nieśmiało zza jej spódnicy.

– Jesteśmy w Jatribie – powiedział Ibrahim do zakładników.

Zapaliwszy lampę naftową, poprowadził Anthony’ego i Marię na strych.

– Tu zostaniecie, dopóki Amerykanie nie dostarczą nam rakiet w zamian za waszą wolność. Codziennie damy wam jedzenie, herbatę i wodę do mycia. Zamiast toalety macie w kącie za zasłonką glinianą miskę. Będziecie tu mieli wszystko, co niezbędne do życia.

– Oprócz wolności – wtrąciła Maria z przekąsem.

Ibrahim zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Rano i wieczorem możecie przez godzinę pospacerować po wiosce, ale nie wolno wam wyjść za ogrodzenie. Będziecie pilnowani cały czas. Gdy usłyszycie syrenę alarmową, to znaczy, że spodziewamy się sowieckich

nalotów. Wtedy musicie ukryć się w bezpiecznym miejscu. Życzę spokojnej nocy... – Spojrzał surowo na Anthony'ego. – Jutro, jak Bóg pozwoli, zaczniemy cię przesłuchiwać – powiedział cicho. – Przygotuj się. – To rzekłszy, odwrócił się i zszedł po drabinie, zamykając za sobą kłapę.

Anthony spojrzał na swoją towarzyszkę. Mokra od potu koszula oblepiała jej szczupłe ciało, ukazując delikatny rysunek żeber. Maria zdjęła buty, usiadła i rozpiąwszy dwa guziki pod szyją, zaczęła z roztargnieniem masować sobie pierś. Drżąc w wilgotnym ubraniu, po raz pierwszy zrzuciła wypracowaną z takim trudem maskę herod-baby, twardej facetki, która przebojem torowała sobie drogę w zawodzie zdominowanym przez mężczyzn.

– Nie wyjdziemy z tego żywi... Po co się oszukiwać? – powiedziała nagle.

Anthony wpatrywał się w chybotliwy płomyk, tańczący na koniuszku knota za szkłem lampy naftowej. Wzmianka o przesłuchaniu wstrząsnęła młodym Amerykaninem. Przypominał sobie opowieść Ibrahima o tym, jak go torturowano w Iranie. „Na ich miejscu zrobiłbym to samo. Prawdę mówiąc, zrobiłem to samo... Tu, w Afganistanie”. Zastanawiał się, ile bólu będzie w stanie znieść, żeby się nie złamać, nie przyznać się, że jest oficerem CIA, nie zdradzić tego, co wie...

Ponownie zerknął na Marię i dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo się bała. Spróbował ją jakoś pocieszyć.

– „Każdy ofiarą narkotyku pada: nieuleczalna nadzieja nim włada”^[46]. – Zażenowany wyjaśnił: – W Cornell miałem nauczyciela literatury, który kazał nam wkuwać na pamięć Ogdena Nasha... Mówił, że przyda nam się, kiedy będziemy chcieli zaimponować dziewczynom.

Uśmiechnęła się słabo.

– Chcesz mi zaimponować, Anthony?

Wzruszył ramionami.

Odwzajemniła mu się tym samym.

– Jeżeli się kiedyś stąd wydostaniemy...

– Żadne „jeżeli”. Kiedy się stąd wydostaniemy...

– Kiedy się stąd wydostaniemy, zaczniemy wszystko od początku. Olśniesz mnie wierszami Ogdena Nasha i kto wie, może coś z tego wyniknie...

Gdy następnego ranka Ibrahim szedł przez wioskę w stronę lepianki, w której przetrzymywani byli zakładnicy, krok w krok za nim podążał kilkunastoletni chłopak w brudnej, niegdyś białej mycce. Za pasek spodni miał zatknięty sztylet, a na plecach dyndał mu AK-47 z przyczepionym do kolby zapasowym magazynkiem. Na ramieniu młodziutkiego mudżahedina siedział żółty kanarek, przywiązany za nóżkę sznurkiem.

Już podczas górskiej wspinaczki Anthony zauważył, że chłopak zawsze trzyma się w pobliżu dowódcy, i ochrzcił go imieniem Cień.

– Po co ci ochroniarz w twojej własnej wiosce? – zapytał teraz Ibrahima.

– Pilnuje, żeby wrogowie nie dostali mnie żywego – odparł Ibrahim i kiwnął na Anthony’ego głową. – Wstawaj, idziemy.

Maria i Anthony wymienili niespokojne spojrzenia. Amerykanin uśmiechnął się do niej z wysiłkiem, a potem ruszył za Ibrahimem i jego Cieniem w stronę niskiego budynku na przeciwnym końcu osady. Pchnąwszy wąskie drzwi, weszli do bielonej wapnem izby. Pośrodku stał wąski drewniany stół i dwa krzesła. Na jednej ścianie wisiał stary kalendarz ze zdjęciem Disneylandu, a pod drugą tkwiło nieruchomo trzech mudżahedinów o zasłoniętych aż po same oczy twarzach. Cień Ibrahima

zamknął drzwi i stanął tyłem do wyjścia, obok kubła wypełnionego śniegiem, przyniesionym z gór jeszcze przed świtem.

Ibrahim usiadł, po czym wskazał krzesło Anthony'emu.

– Czy masz jakieś znaki szczególne? – zapytał.

– A co to ma do rzeczy?

– Odpowiadaj. Może tatuaż, bliznę, znamię?

Anthony domyślił się, że Ibrahim chce dowieść świata, iż przetrzymywanym przez niego zakładnikiem jest faktycznie amerykański dyplomata nazwiskiem McAuliffe.

– Żadnych tatuaży. Żadnych blizn. Mam niewielkie znamię w kształcie krzyża na małym palcu prawej stopy.

– Pokaż.

Anthony zdjął skarpetkę i pokazał stopę.

Ibrahim wychylił się przez stół, żeby lepiej widzieć.

– Może być. Amputujemy ten palec i wyślemy twoim kumplom z CIA do Kabulu.

Krew odpłynęła z twarzy Anthony'ego.

– Robisz kolosalny błąd – wysapał. – Nie jestem szpiegiem. Jestem dyplomatą...

Cień Ibrahima wyciągnął zza paska ostry jak brzytwa sztylet i zbliżył się do stołu. Dwaj mudżahedini zaszli więźnia od tyłu i chwycili go za ręce.

Anthony czuł, że wpada w panikę.

– A co z tym słynnym pasztuńskim kodeksem moralnym, o którym tyle nam opowiadałeś?! – zawołał.

– Przestrzegamy kodeksu. Dlatego przynieśliśmy śnieg – wyjaśnił Ibrahim. – Nie mamy środków znieczulających. W ten sam sposób robimy

amputacje rannym bojownikom. Będzie bolało, ale tylko trochę.

– Na miłość boską, nie rób tego...

– Na miłość boską, muszę – odparł Ibrahim.

Trzeci mudzahedin przyniósł kubeł i wcisnął gołą stopę Anthony'ego w śnieg.

Ibrahim wstał.

– Wierz mi, że potem będziesz z siebie dumny. Posłuchaj dobrej rady i nie walcz z tym, co nieuniknione... Nie utrudniaj tego nam ani sobie...

– Puśćcie mnie – wyszeptał Anthony ochryple.

Ibrahim spojrzał na niego i skinął na mudzahedinów, którzy bez pośpiechu, czujni na każdy ruch więźnia, zwolnili uścisk. Anthony nabrał powietrza w płuca. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy odwrócił głowę i z całej siły zacisnął zęby na rękawie koszuli. Kiedy było już po wszystkim, Ibrahim obwiązał ranę czystą szmatką, żeby zatamować krew.

– *El-hamdu lillah* – powiedział. – Mógłbyś być muzułmaninem.

Pięć dni później, podczas jednego z porannych spacerów, gdy Anthony, wsparty na prowizorycznej kuli, kuśtykał u boku Marii, więźniowie byli świadkami przyjazdu handlarza bronią. Był to śniady mężczyzna z długą, spiczastą brodą. Na nosie miał okulary, a na głowie czapkę baseballową brooklyńskich Dodgersów, spod której spływała chusta, chroniąca kark przed słońcem. Przez szeroko otwartą bramę wkroczyła do wioski karawana mułów, obładowanych drewnianymi skrzynkami, prowadzona przez dwóch Beduinów, którzy od razu zaczęli wykladać towar na plecione maty. Chińskie karabiny szturmowe AK-47, amerykańskie bazooki z czasów drugiej wojny światowej i niemieckie schmeissery MP-40 leżały w równiutkich rzędach obok stosów zielonych min przeciwczołgowych

made in USA. Przez cały ranek z pobliskich wiosek napływali do wioski mudżahedini i oglądali broń. Niektórzy młodszy bojownicy zachowywali się tak, jakby znaleźli się w sklepie ze słodyczami. Jakiś nastolatek w polowej panterce zwołał swoich przyjaciół, załadował AK-47 i wystrzelił na próbę do stojących na murku puszek, robiąc tyle huk, że muły zaczęły ryczeć ze strachu. Z przyklepionego do urwiska domku wyszedł Ibrahim w towarzystwie swego nieodłącznego Cienia i wdał się w rozmowę z handlarzem. Przyniesiono herbatę. Usiedli na macie i długo targowali się o cenę. Doszedłszy wreszcie do porozumienia, wstali i przypieczętowali transakcję uściskiem dłoni. Handlarz, spostrzegłszy przypatrujących się im z daleka więźniów, zapytał o coś gospodarza. Usłyszawszy odpowiedź, obejrzał się na Anthony'ego i splunął na ziemię.

– Wygląda na to, że nie spodobaliśmy się gościowi Ibrahima – powiedział Anthony do Marii.

– Sądząc z wyglądu, to Falasz^[47] – odparła. – Ciekawe, co Czarny Żyd robi tak daleko od domu.

Drobna kobieta, mówiąca po angielsku z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem, rozmawiała z Eugene'em przez telefon dopóty, dopóki wydawało się to bezpieczne. Powinien zrozumieć, mówiła, że ich wspólne rozmowy są dla niej jedynym promykiem nadziei w tej ponurej rzeczywistości. Oprócz Sylwestra nie ma nikogo na świecie. Kiedy słyszy głos Eugene'a, ma wrażenie, że na ułamek sekundy słońce wyszło zza chmur, a ona mruży oczy, jakby miała za chwilę oślepnąć od jego blasku... O nie, nie przeszkadza jej, że po każdej rozmowie musi zmieniać mieszkanie. Przez te wszystkie lata zdążyła się już przyzwyczaić, weszło jej to w nawyk. To zrozumiałe, że ze względu na własne bezpieczeństwo Eugene nie może do niej dzwonić dwa razy pod ten sam numer. Dziękuję,

że pytasz... tak, trzymam się całkiem nieźle, wzięwszy wszystko pod uwagę... wszystko, czyli wiek, zawroty głowy i mdłości po chemioterapii, kłopoty z trawieniem, no i oczywiście guz na okrężnicy, chociaż lekarze zapewniają, że u ludzi starszych rak nie postępuje tak szybko... O tak, kiedy czasem sięga pamięcią w mglistą przeszłość, przypomina sobie, że mężczyźni dawniej obsypywali ją komplementami, ale teraz już sama siebie nie poznaje na wyblakłych fotografiach w kolorze sepii – jej włosy posiwiały, oczy zapadły się, zmaląła. Nie ma nic przeciwko temu, że Eugene ją wypytuje, wręcz przeciwnie... Jest jedynym człowiekiem, który się nią interesuje... Nie chce być opacznie zrozumiana, nie oczekuje żadnych medali, ale po kilkudziesięciu latach wiernej służby ktoś mógłby ją czasem docenić... Niestety, trzeba wreszcie przejść do konkretów... Dostała instrukcje... Eugene musi spotkać się z SASZĄ... Im szybciej, tym lepiej... Po co? Dowie się, gdy odbierze materiały, ukryte w KOKONIE JEDWABNIKA jeden-siedem... Och, cały czas żyje nadzieją, że będzie na siebie uważał... Nie, proszę, nie rozłączaj się... Jest jeszcze jedna sprawa. Wie, że to niemożliwe, ale tak bardzo by chciała się z nim zobaczyć... Tylko jeden jedyny raz. Przytulić, pocałować go w czoło, tak jak całowała swojego syna, zanim te nazistowskie świny zabrały go do obozu śmierci... Eugene musi jej wybaczyć, nie miała zamiaru płakać... Mógłby? A więc może spotkają się któregoś wieczoru w drugistorze i wypiją razem herbatę przy barze... O drogie dziecko, gdyby udało się to zorganizować, byłaby taka szczęśliwa... Sama nie wie, jak mu dziękować... Jeszcze co najmniej przez tydzień zostanie tutaj, nie tak łatwo dzisiaj o umeblowane mieszkanie... Mógłby zadzwonić do niej na ten sam numer... Będzie siedzieć przy telefonie i czekać... Tak, tak, do widzenia, mój drogi.

Z dwóch przeciwnych stron miasta przybyli na spotkanie, oznaczone jako

O X X

X X O

O X O

szyfrem z gry w kółko i krzyżyk, i spotkali się przed centrum handlowym między Dziewiątą i Dziesiątą Ulicą, pod pomnikiem Roberta F. Kennedy’ego.

– Znaleźli się w Firmie tacy, którzy pili szampana, kiedy zginął – wspominał SASZA, zerkając w górę na Bobby’ego, który tuż po wygraniu prawyborów prezydenckich w Kalifornii w 1968 roku został zastrzelony przez jakiegoś Palestyńczyka w kuchni pewnego hotelu w Los Angeles.

– Znałeś go, prawda? – zapytał Eugene.

Odwrócili się plecami do pomnika i kobiety, która wykladała na gazetę resztki niedojedzonych ryb dla bezdomnych kotów z okolicy, i ruszyli w kierunku centrum handlowego.

– Czy ja wiem? Nie sądzę, żeby ktokolwiek naprawdę go znał – odparł SASZA. – Co jakiś czas zmieniał skórę, wcielając się w inną rolę. Najpierw był Czarnym Robertem, facetem od brudnej roboty Jacka Kennedy’ego. Po śmierci brata stał się pogrążonym w żałobie patriarchą klanu Kennedych. A gdy w końcu sam sięgnął po fotel prezydencki, zmienił się w zagorzałego obrońcę pokrzywdzonych.

– Przedtem Czarny Robert, teraz Święty Bobby – zauważył Eugene.

SASZA przyjrzał się uważnie swemu łącznikowi.

– Zdradź mi swój sekret, Eugene. W ogóle się nie starzejesz.

– Nadmiar adrenaliny we krwi. Ktoś, kto prowadzi taki tryb życia jak my, nie może się uskarżać na brak mocnych wrażeń – zażartował Eugene. – Każdego ranka zastanawiam się, czy w nocy zasnę we własnym łóżku, czy na więziennej pryczy.

– Dopóki będziemy czujni, dopóki będziemy skrupulatnie przestrzegać reguł gry, nic nam nie grozi – zapewnił go SASZA. – Dziadek chce mi przekazać coś naprawdę ważnego, skoro cię fatygował...

– N a r a z i ł n a r y z y k o, chciałeś powiedzieć...

SASZA uśmiechnął się nieznacznie.

– ...skoro naraził cię na ryzyko spotkania ze mną.

– Bo to jest bardzo ważne.

Po odszyfrowaniu dokumentu, wydobytego z KOKONU JEDWABNIKA jeden-siedem, Eugene długo się zastanawiał, jak to wszystko powiedzieć SASZY.

– Chodzi o twoje ostatnie odpowiedzi na zapytania Dziadka z dwudziestego drugiego września – mówił teraz. – O te wiadomości, które zostawiłeś w skrzynkach kontaktowych pod koniec września i w pierwszym tygodniu października. Towarzysz przewodniczący Andropow jest przekonany, że przeanalizował całą sytuację prawidłowo. Wściekł się, gdy Dziadek przekazał mu twoje raporty... Posunął się nawet do sugestii, iż przeszedłeś na stronę CIA i podrzucasz nam fałszywe informacje. Tylko tym potrafił wyjaśnić fakt, że nie znalazłeś nic, co potwierdziłoby, iż ABLE ARCHER 83 stanowi przykrywkę dla amerykańskiego uderzenia nuklearnego.

– Skoro Andropow został starszym analitykiem wywiadowczym centrali, to jesteśmy ugotowani – wybuchnął SASZA.

– Nie złość się na mnie. Ja jestem tylko posłańcem. Posłuchaj, towarzysz przewodniczący jest przekonany, że Stany Zjednoczone planują uderzenie prewencyjne. Wziąwszy pod uwagę, że przygotowania do CHOŁSTOMIERA dobiegają końca, zrozumiałe jest, że Andropow i Dziadek chcą uściślić datę amerykańskiego ataku...

SASZA stanął jak wryty.

– Nie ma przygotowań do żadnego amerykańskiego pierwszego uderzenia prewencyjnego – upierał się. – Cały ten pomysł to czysty nonsens. Nie mogę ustalić daty, bo czegoś takiego po prostu nie ma. Gdyby coś się szykowało, na pewno bym o tym wiedział. Andropow to panikarz.

– Dziadek sugeruje tylko, że jesteś nieco zbyt prostolinijski. Pyta, czy zamiast upierać się, że takie plany w ogóle nie istnieją, nie mógłbyś zameldować, że nic o nich n i e w i e s z. W końcu Pentagon może planować atak i zwodzić CIA...

SASZA znów ruszył z miejsca.

– To niemożliwe. Rosjanie mogą przystąpić do uderzenia odwetowego z wyrzutni rozlokowanych na wagonach platformach. Po prawie pięciu tysiącach kilometrów torów kolejowych kursuje dwanaście pociągów. Każdy z nich wyposażony jest w cztery międzykontynentalne rakiety balistyczne, a każda rakietka – w osiem lub dwanaście głowic bojowych. Bez wywiadu satelitarnego, operującego w czasie rzeczywistym, Pentagon nie ma szans ich zniszczyć w pierwszym uderzeniu. A faceci od interpretacji zdjęć satelitarnych siedzą nie gdzie indziej, tylko w CIA. – SASZA potrząsnął głową zirytowany. – Mamy swojego przedstawiciela w komisji, zajmującej się wyborem potencjalnych celów i aktualizacją tych, które już zostały wybrane. Monitorujemy gotowość bojową radzieckich pocisków; staramy się przewidzieć, ile głowic bojowych mogą wystrzelić w danym

momencie. Nikt nie wykazywał ostatnio jakiegoś nadzwyczajnego zainteresowania tymi wyliczeniami.

Obok przebiegł truchtem otyły mężczyzna z dwoma psami na długich smyczach. Eugene nie spuszczał wzroku z samochodów, przemykających od czasu do czasu po Pennsylvania Avenue.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć – odezwał się wreszcie. – Dziadek oczywiście nie chce, abyś zmyślał tylko po to, żeby zadowolić sekretarza generalnego. Jednak z drugiej strony mógłbyś nam przez to znacznie ułatwić...

– Zdajesz sobie sprawę, Eugene, z tego, co mówisz? Chryste, znamy się tyle lat! A ty, patrząc mi prosto w oczy, namawiasz mnie, żebym fingował dane, które wam wysyłam.

– Dziadek prosi jedynie, aby twoje raporty były trochę mniej dosłowne.

– W następnym wcieleniu – odparł SASZA – napiszę książkę o szpiegostwie... Pokażę tym wszystkim pismakom, jak to naprawdę wygląda. Teoretycznie mamy ogromną przewagę nad głównym przeciwnikiem... Zachodnie społeczeństwa, ich rządy, a nawet wywiady, są bardziej otwarte niż nasze i przez to łatwiej je spenetrować. Ale w praktyce jesteśmy na straconej pozycji, z czego nawet sam James Angleton w latach swojej świetności nie zdawał sobie sprawy. Nasi przywódcy uważają, że wiedzą wszystko lepiej od własnych analityków wywiadu. A nasi agenci w terenie boją się przekazać cokolwiek, co by nie zgadzało się ze z góry przyjętymi opiniami przywódców; oficerowie prowadzący, w obawie o dalszą karierę, nie przekazują wyżej tego, czego się od nas dowiadują. Stalin był przekonany, że Zachód próbuje wywołać wojnę pomiędzy Związkiem Radzieckim i hitlerowskimi Niemcami, a każda informacja, która temu zaprzeczała, z kilkudziesięcioma raportami o planowanym ataku Hitlera na Rosję włącznie, była starannie przed nim ukrywana.

Przekazywano mu jedynie te informacje, które zdawały się potwierdzać jego podejrzenia. W pewnym momencie centrala doszła nawet do wniosku, że Kim Philby został przekabacony, bo nie dostarczył dowodów na to, iż Wielka Brytania do spółki z Hitlerem spiskuje przeciw Stalinowi. Nasz problem tkwi w strukturze... Przeoczone lub celowo pominięte informacje wywiadowcze umacniają tylko błędne wyobrażenia przywódców, zamiast je korygować.

– To co mam powiedzieć Dziadkowi? – zapytał Eugene.

– Prawdę. Powiedz mu, że nie ma nawet cienia dowodu na poparcie opinii sekretarza generalnego, jakoby Ameryka planowała prewencyjne uderzenie nuklearne na Związek Radziecki.

– Jeżeli Andropow w to uwierzy, prawdopodobnie odwoła CHOŁSTOMIERA.

– A czy to źle? – odparł SASZA. – Gdyby operacja CHOŁSTOMIER się powiodła, setki milionów zwyczajnych ludzi straciłoby oszczędności całego życia... Dawno temu zdradziłeś mi, co powiedział Dziadek w dniu, w którym zostałeś zwerbowany – dodał po chwili. – Pamiętasz?

Eugene skinął głową.

– Nie mógłbym zapomnieć. Mówił wtedy, że będziemy wspólnie krzewić wspaniałomyślną szczodrość i geniusz ludzkiego ducha. Dzięki temu jakoś jeszcze się trzymam.

SASZA znów przystanął i patrząc prosto w oczy swego towarzysza broni w walce z imperializmem i kapitalizmem, zapytał:

– Więc powiedz mi, Eugene, co CHOŁSTOMIER ma wspólnego z krzewieniem szczodrości i geniuszu ludzkiego ducha?

Eugene milczał przez chwilę.

– Przekażę Dziadkowi twoje słowa: ABLE ARCHER 83 nie jest przykrywką dla amerykańskiego uderzenia prewencyjnego.

SASZA zadrżał i postawił kołnierz płaszcza.

– Cholernie zimno dzisiaj – zauważył.

– Prawda? – przytaknął Eugene. – A co z CHOŁSTOMIEREM? W centrali oczekują, że nadal będziesz śledził przygotowania Banku Rezerwy Federalnej do ochrony dolara. Co zrobimy?

– Pomyślimy o tym.

Eugene uśmiechnął się do przyjaciela.

– W porządku. Pomyślimy.

Tessa była tak podekscytowana, że Vanessa musiała mówić za nią. Kierownik działu, mrukliwy weteran kontrwywiadu Moody^[48], którego nazwisko wiernie odzwierciedlało jego charakter, słuchał w skupieniu, świdrując ją ponurym wzrokiem. To tylko kwestia posługiwania się na przemian numerami loterii, tłumaczyła, lekko zniecierpliwiona, numerami telefonicznymi i numerami seryjnymi na dziesięciodolarowym banknocie. Tessa dostrzegła na twarzy szefa niedowierzanie. Jeżeli zaczniemy od kierunkowego 202, mówiła dalej jej siostra, i odejmiemy to od numeru loterii, podanego piątego kwietnia 1951 roku w moskiewskim quizie radiowym zaraz po cytacie z Lewisa Carrolla, otrzymamy numer seryjny dziesięciodolarówki, zaczynający się od trójki i zera. Rozumie pan?

Nie jestem pewien, przyznał Moody, ale Vanessa, zaabsorbowana bez reszty swoją opowieścią, z zapałem perorowała dalej. Za pomocą różnych kombinacji z trójką i zerem otrzymałam kierunkowy 202 z dwudziestu trzech innych szczęśliwych numerów loterii, ogłoszonych przez Radio Moskwa tuż po cytatach z *Alicji*. To nie może być zwykły przypadek.

Dotąd nieźle, mruknął Moody – jeden z ostatnich niedobitków ekipy Angletona – ale widać było, że z trudem nadaża za rozumowaniem bliźniaczek.

Świetnie, powiedziała Vanessa, w takim razie idziemy dalej. W 1950 roku Departament Finansów wydrukował banknoty dziesięciodolarowe o łącznej wartości 67 593 240, opatrzone numerami seryjnymi zaczynającymi się od trójki i zera, po których następowała ósemka lub dziewiątka.

Moody zanotował w żółtym notesie wszystkie cyfry: trzy, zero, osiem i dziewięć.

Odejmując 3089 od pierwszego numeru loterii, ciągnęła Vanessa, otrzymujemy numer telefonu zaczynający się od 202 601 – kombinacji częstej w Waszyngtonie na początku lat pięćdziesiątych.

Sprawdziłyśmy, wtrąciła Tessa, 9999 takich numerów.

Czego szukałyście? – dopytywał się Moody, wciąż jeszcze zdezorientowany i nieufny.

Nie rozumie pan? – zdziwiła się Vanessa. Jeżeli Tessa ma rację, jeżeli cytaty z *Alicji w Krainie Czarów* i *Po Drugiej Stronie Lustra* sygnalizowały sowieckim agentom zmianę numeru telefonu kontaktowego, to znaczy, że łącznik co jakiś czas przeprowadzał się do innego mieszkania.

Moody musiał przyznać, że ich rozumowanie jest słuszne; kontrwywiad spotkał się już z tą praktyką KGB, który w przypadku, gdy w grę wchodził jakiś ważny agent, nakazywał łącznikom zmianę adresu po każdym kontakcie.

Tak więc, ciągnęła niezmordowanie Vanessa, szukałyśmy kogoś, kto miałby telefon o numerze zaczynającym się na 202 601 i wyprowadził się zaraz po piątym kwietnia 1951 roku.

Minęło kilka dni, wtrąciła Tessa, zanim trafiłyśmy do urzędnika, który z trudem przypomniał sobie, że gdzieś jeszcze istnieją rejestry starych numerów telefonów. W końcu natknęłyśmy się na nie w jakimś zakurzonej archiwum. Spośród wszystkich pasujących numerów sto dwadzieścia siedem zostało zawieszonych w ciągu tygodnia od tej daty.

Reszta była już dziecinnie prosta, powiedziała Vanessa. Odjęłyśmy każdy z tych stu dwudziestu siedmiu numerów telefonów od pierwszego numeru loterii i uzyskałyśmy sto dwadzieścia siedem ośmiocyfrowych liczb, będących potencjalnymi numerami dziesięciodolarowych banknotów, którymi mógł się posłużyć sowiecki szpieg. Potem sprawdziłyśmy następny szczęśliwy numer loterii, podany po kolejnym cytacie z Lewisa Carrolla, i odjęłyśmy każdy z tamtych stu dwudziestu siedmiu możliwych numerów seryjnych, co dało nam sto dwadzieścia siedem nowych numerów telefonów. Następnie znów sprawdziłyśmy w rejestrze i zobaczyłyśmy, że jeden z nich przydzielony był do lokalu wynajętego przez tę samą osobę, która figurowała na pierwszej liście numerów 202 601.

Tessa obesza biurko i przykucnęła przy krześle swego szefa. Numer seryjny dziesięciodolarówki sowieckiego agenta to 30892006, panie Moody. Pięć dni po nadaniu przez Radio Moskwa drugiego numeru loterii, czyli pięć dni po telefonie od agenta, ta osoba znowu się przeprowadziła.

Sprawdziłyśmy w ten sposób k a ż d ą audycję i k a ż d y numer loterii nadany po k a ż d y m cytacie z Lewisa Carrolla, powiedziała Vanessa. I z a k a ż d y m razem, gdy odejmowałyśmy ośmiocyfrowy numer seryjny od zwycięskiego numeru loterii, otrzymywałyśmy numer telefonu waszyngtońskiego mieszkania, wynajmowanego przez tę samą kobietę, która przeprowadzała się, ilekroć w audycji Radia Moskwa pojawiały się fragmenty *Alicji*.

A więc łącznikiem jest kobieta! – wykrzyknął Moody.

To jakaś Polka. Nazywa się – Tessa sięgnęła do kieszeni po fiszkę – Aida Tannenbaum. Urodziła się w 1914 roku, teraz ma sześćdziesiąt dziewięć lat. Przeżyła Oświęcim, jest żydowskim uchodźcą z Polski. Po drugiej wojnie światowej wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, a w 1951 roku przyznano jej obywatelstwo amerykańskie. Zdaje się, że nigdy nie pracowała, i nie wiadomo, skąd ma pieniądze na opłacanie czynszu.

W ciągu trzydziestu dwóch lat zmieniała adres dwadzieścia sześć razy, powiedziała Vanessa. Teraz mieszka przy Szesnastej Ulicy, niedaleko Antioch College. Jeżeli nasze przewidywania są słuszne, wyprowadzi się stamtąd za kilka dni.

Moody powoli zaczynał rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi... Zaciera za sobą ślady, powiedział.

Zgadza się, odparła Tessa.

Kiedy się wyprowadzi, wtrąciła Vanessa, musimy tylko przycisnąć telekomunikację, żeby zawiadomiła nas, jeżeli osoba nazwiskiem Aida Tannenbaum złoży podanie o nowy numer telefonu...

...albo poczekać na kolejną audycję Radia Moskwa i odjąć numer seryjny od szczęśliwego numeru loterii, dokończyła za nią Tessa.

Moody z podziwem pokręcił głową. A wtedy, powiedział z namysłem, będziemy mieć jej nowy telefon, pod który prędzej czy później zadzwoni sowiecki agent.

Zgadza się.

Właśnie tak.

Świetnie się spisałyście... To może być prawdziwy przełom. W związku z tym muszę was formalnie ostrzec, żebyście z nikim nie dzieliły się tymi informacjami. A z nikim oznacza z n i k i m, b e z ż a d n y c h w y j ą t k ó w.

Gdy tylko obie dziewczyny opuściły gabinet, Moody – który podobnie jak jego dawny mistrz, Angleton, służył z fotograficznej pamięci – otworzył zamykaną na klucz pancerną szafkę na dokumenty i przez jakiś czas grzebał w aktach, aż znalazł opasłą teczkę z napisem „Kukuszkin”. Moody był członkiem elitarnego czteroosobowego zespołu, powołanego przez Matkę w celu przeanalizowania zeznań Kukuszki. Teraz, przerzucając nerwowo kartkę za kartką, bezskutecznie próbował odnaleźć zapamiętany niegdyś passus. Już zaczynał dochodzić do wniosku, że coś mu się musiało pomylić, kiedy jego wzrok padł na poszukiwany fragment, gdzie Kukuszkin – który aby dowieść swej *bona fides*, zdążył dostarczyć domniemanym mocodawcom z CIA pewną ilość prawdziwych informacji – powiedział, że łącznik SASZY wyjechał z Waszyngtonu na urlop, a wezwanie do Rosji zostało mu przekazane przez kobietę, współpracującą z waszyngtońską rezydenturą jako wolny strzelec.

P r z e z k o b i e t ę , w s p ó ł p r a c u j ą c ą z
r e z y d e n t u r ą !

Innymi słowy, SASZA jest kimś tak ważnym i tak głęboko zakonspirowanym, że jeden łącznik nie wystarczy i KGB zainstalował „bezpiecznik”, czyli osobę będącą ogniwem pośrednim pomiędzy rezydenturą a kontaktem SASZY. Czyżby tę właśnie osobę wytropiły bliźniaczki? Jeżeli tak, to należy działać natychmiast. Trzeba się zwrócić czym prędzej do FBI. Niech założą podsłuch w mieszkaniu Aidy Tannenbaum przy Szesnastej Ulicy na wypadek, gdyby łącznik SASZY, co raczej mało prawdopodobne, zadzwonił ponownie, zanim kobieta zdąży znowu się wyprowadzić. A potem trzeba będzie namierzyć jej nowy numer...

Z trudem opanowując podniecenie, Moody zatelefonował do dyrekcji.

– Tu Moody z kontrwywiadu – powiedział. – Możecie mnie połączyć z panem Ebbitem?... Dzień dobry, panie dyrektorze. Przepraszam, że dzwonię z pominięciem drogi służbowej, ale sprawa jest poufna i niezwykle pilna...

WASZYNGTON, DC, PONIEDZIAŁEK, 7 LISTOPADA 1983

Dozorca budynku przy Szesnastej Ulicy sprawdził laminowane identyfikatory dwóch mężczyzn w białych kombinezonach z nadrukiem „Con Edison” na plecach i bez przeszkód wpuścił ich do środka. W kamienicy, stojącej w pobliżu Antioch College, mieszkali przeważnie studenci. Starsza pani? – zapytał dozorca. Ta cudzoziemka spod 3B? Zrezygnowała z wynajmu. Podobno musi przenieść się do chorej siostry, która potrzebuje stałej opieki. Tak, wiedziała, że straci kaucję, ale zbytnio się tym nie przejęła. Nie, pani Tannenbaum nie mieszka sama. Zajmuje umeblowany lokal wspólnie z jakimś Sylwestrem.

Przyświecając sobie latarkami, mężczyźni w kombinezonach znaleźli w piwnicy wyjście kabla telefonicznego i tablicę rozdzielczą, umieszczoną przy składziku na rowery i wózki. Jeden z techników otworzył metalowy przybornik i wyjął aparat podsłuchowy oraz kabel. Drugi, znacznie wyższy od kolegi, zdjął metalową pokrywę, odsłaniając centralkę z zaznaczonymi numerami mieszkań. Odszukał kabel 3B i umieścił induktor bezpośrednio w gniazdku, co utrudniało jego ewentualne wykrycie. Umocowali jeszcze niewielki nadajnik na baterie między metalową belką nośną a sufitem, po czym wsunęli przewód indukcyjny za jakąś rurę, podłączyli antenę i wcisnęli guzik „Próba”.

W białej furgonetce z napisem „Slater & Slater Radio-TV”, zaparkowanej przy hydrancie w dole ulicy, strzałka na mierniku natężenia odbioru sygnałów drgnęła i przesunęła się na pozycję „Max”. Dwaj agenci FBI, zadowoleni z efektu, unieśli do góry kciuki. Od tej chwili wszystkie

rozmowy telefoniczne z aparatu zainstalowanego w lokalu 3B będą nagrywane na taśmę i natychmiast przekazywane do wspólnego stanowiska dowodzenia funkcjonariuszy FBI i ludzi Moody'ego z kontrwywiadu.

Prezydent szczyił się tym, iż miał doskonałą pamięć.

– Kiedyś, hmm... pewien stary, siwiejący sierżant popatrzył na nas – wspominał – i ryknął, jak to zwykle sierżanci na rekrutów: „Nie będę wam tego więcej powtarzał, dlatego wbijcie sobie do głowy raz a dobrze: kiedy wyjdziecie z burdelu, macie natychmiast umyć wasze... hmm... narządy mydłem «Dial»! Zapamiętajcie, «D» jak «dupa»”... – Reagan, który wciąż czuł się wielkim, choć niedocenianym aktorem, wyszczerzył zęby w uśmiechu, czekając na reakcję publiczności.

Nie zawiódł się. „D” jak „dupa”, a to dobre! – zarechotał ktoś i wszyscy, nie wyłączając prezydenta, zanieśli się głośnym śmiechem. W tej właśnie chwili szef sztabu James Baker wetknął głowę przez drzwi gabinetu, mieszczącego się na piętrze zacisznej willi przy Jackson Place, gdzie Reagan urzędował podczas okresu przejściowego i gdzie później chętnie przesiadywał, ilekroć udało mu się wymknąć z „tego przeklętego akwarium na złote rybki”, jak nazywał Gabinet Owalny.

– Przyjechali – rzucił sucho Baker, spoglądając znacząco na rozchichotanych dygnitarzy. – Macie pięć minut, zaraz tu będą. – To powiedziawszy, wyszedł.

– Przypomnijcie mi, hmm... na kogo właściwie czekamy? – zapytał Reagan uprzejmie.

Młody sekretarz zajrzał do notesu i natychmiast pospieszył z odpowiedzią.

– Na Billa Caseya. Przyjdzie tu ze swoim zastępcą i z jeszcze jednym gościem. Tego pierwszego zdążył pan już poznać, to Elliott Ebbitt II,

w skrócie Ebby...

– Mówiłem do niego, hmm... per Elliott czy per Ebby?

– Ebby, panie prezydencie. Drugim jest zastępca dyrektora operacyjnego, Jack McAuliffe. Nigdy go pan nie widział, zresztą... kogoś takiego trudno zapomnieć: metr osiemdziesiąt wzrostu, rude włosy i ekscentryczne wąsy. Żywa legenda CIA... To ten, który zszedł na brzeg w Zatoce Świń, żeby walczyć ramię w ramię z Kubańczykami.

– Zszedł na brzeg w Zatoce Świń... – powtórzył Reagan.

– Syn McAuliffe'a, Anthony, również oficer CIA, jest obecnie przetrzymywany jako zakładnik w Afganistanie, razem z tą Shaath.

Reagan, zatroskany, kiwnął głową.

– Ojciec musi być, hmm... zrozpaczony.

– Mówiliśmy już panu, że chłopakowi odcięli palec u nogi i wysłali pocztą pod adresem placówki CIA w Kabulu.

– Pamiętam tę sprawę z palcem! – wykrzyknął radośnie Reagan. – Zidentyfikowali go po znamieniu.

– Przyszli tu, panie prezydencie – wyjaśnił inny współpracownik – bo dowiedzieli się, gdzie ten major Ibrahim ukrył zakładników. Chcą ich uwolnić i pragną poznać pańską opinię co do możliwości zorganizowania ataku komandosów na obóz mudżahedinów.

Bill Clark, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, podszedł do Reagana, którego postać zdawała się ginać w przepastnym skórzanym fotelu za ogromnym mahoniowym biurkiem, zastawionym fotografiami prezydenta, jego żony Nancy oraz kilku ulubionych koni.

– Operacja taka ma swoje plusy i minusy – powiedział Clark. – Ta, którą zorganizował pański poprzednik, prezydent Carter, aby odbić zakładników w Iranie, zakończyła się niepowodzeniem. Poległo wielu amerykańskich

żołnierzy, a nasi marines nawet się nie zbliżyli do miejsca, w którym przetrzymywano jeńców. Cartera oskarżano o nieudolność... Prasa była bezlitosna. Z drugiej strony atak komandosów izraelskich na porywaczy samolotu na Entebbe został uwieczniony sukcesem. Cały świat winał im udanej akcji, a dziennikarze rozpływali się w pochwałach.

Na wargi Reagana wypłynął pełen zachwyty uśmiech.

– Pamiętam... Wokół tej sprawy było wiele szumu.

Ktoś dwukrotnie zapukał do drzwi. W progu stanął Baker, odsunął się nieco na bok i przepuścił trzech mężczyzn. Prezydent wstał zza biurka, żeby powitać przybyłych.

– Jak się masz, Bill – powiedział z szerokim uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, wylewnie potrząsnął ręką Elliotta Ebbitta. – Ebby, cieszę się, że znów się spotykamy... – Odwrócił się do DD/O, Jacka McAuliffe’a, i obiema rękami chwycił jego dłoń. – A więc to pan jest tym sławnym Jackiem McAuliffe’em, o którym, hmm... tak wiele słyzałem... Któż by zresztą nie słyzał! To pan zszedł na brzeg w Zatoce Świń.

– Pochlebia mi, że pan to pamięta, panie prezydencie...

– Amerykanie nie zapominają o swoich bohaterach. A przynajmniej ten Amerykanin. – Skłonił się nieznacznie.

Wskazał Jackowi miejsce na kanapie i poprosił pozostałych, by również usiedli. Doradcy stanęli za plecami prezydenta, czujni na każde jego skinienie.

– Może coś na przepłukanie gardła?

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale czas goni – odparł Casey.

– Wiem już o tym uciętym palcu – zwrócił się Reagan do Jacka. – Musi pan być bardzo przygnębiony.

– Przygnębiony to mało powiedziane, panie prezydencie – odrzekł Jack.
– Ten cały Ibrahim grozi, że obetnie kolejne palce, chyba że negocjacje... –
Nie był w stanie dokończyć zdania.

Reagan, pełen współczucia, przytknął ze zrozumieniem oczy.

– Każdy ojciec na pańskim miejscu byłby zrozpaczony.

– Panie prezydencie – odezwał się Bill Casey – przyszliśmy tutaj, bo
wynikły pewne nowe okoliczności...

Reagan spojrzał na niego wyczekująco.

– Dzięki naszemu KH-11...

Prezydent odwrócił się do swojego sekretarza, który pochylił się
i szepnął mu do ucha:

– KH-11 to satelita, umożliwiający rekonesans fotograficzny, sir.

– ...uzyskaliśmy już wiele zaskakujących danych wywiadowczych –
ciągnął Casey. – Pamięta pan, panie prezydencie, że Rosjanie, nie tylko oni
zresztą, dali się nabrać i myślą, że KH-11 jest zwykłą stacją przekaźnikową.
Gdyby znali prawdę, byłiby ostrożniejsi. Tymczasem nie kamuflują
instalacji wojskowych ani podziemnych wyrzutni rakiet, kiedy KH-11 nad
nimi przelatuje. Satelita wyposażony jest w nowoczesny system radarowy,
który w każdych warunkach pogodowych, dniem i nocą, zapewnia odczyt
bez zakłóceń... Za pomocą komputerów nasi ludzie mogą zwiększyć moc
sygnałów i wykonać zdjęcia. Dzięki temu udało nam się wyśledzić
Ibrahima w Afganistanie. Zaszły się w górskim obozie, jakieś dwadzieścia
kilometrów od granicy z Pakistanem. – Dyrektor wyjął z teczki czarno-białą
fotografię, osiem na dziesięć centymetrów, a następnie podał ją Reaganowi.
– Mamy też wykonane za dnia zdjęcie Marii Shaath i Anthony’ego,
przechadzających się po obozie.

Przez dłuższą chwilę prezydent przyglądał się fotografii.

– Widzę dwie postaci, ale, hmm... nie rozumiem, skąd wiecie, kto to jest.

– Analizując kształt klatki piersiowej, doszliśmy do wniosku, że jedna z tych osób jest kobietą. Zwróciliśmy też uwagę, że są ubrani inaczej niż reszta. Wszystko zatem wskazuje, że to cudzoziemcy.

Reagan oddał mu zdjęcie.

– Rozumiem.

– Panie prezydencie – zabrał głos Ebby – z niezależnego źródła otrzymaliśmy potwierdzenie, że Anthony McAuliffe i Maria Shaath rzeczywiście są przetrzymywani w obozie Ibrahima. Nasi izraelscy przyjaciele wysłali tam swojego agenta, przebranego za handlarza bronią. Miało to miejsce cztery dni temu. Raport Mosadu dostaliśmy dziś rano. Człowiek ów widział na własne oczy dwoje więźniów, w których rozpoznał młodego McAuliffe'a i Marię Shaath.

– My przez ten czas graliśmy na zwłokę – podjął Casey. – Negocjowaliśmy z Ibrahimem, wysyłając do niego faksy. Jak pan wie, początkowo żądał stu pięćdziesięciu stingerów typu ziemia–powietrze. W trakcie pertraktacji obniżyliśmy stawkę do pięćdziesięciu...

Reagan potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, czemu jesteście tacy skąpi – powiedział. – Moim zdaniem trzeba więcej zainwestować w tę niewątpliwie słuszną wojnę. Powinniśmy skorzystać z okazji... Mówiłem już Jimowi Bakerowi, że hmm... pieniądze, które wy, chłopcy, przeznaczycie dla tych dzielnych ludzi, to nędzna jałmużna... – Prezydent powtórzył słowo „jałmużna”; wszyscy spuścili oczy, unikając jego wzroku. Nagle klepnął dłonią w kolano. – Na Boga, pięćdziesiąt osiem tysięcy Amerykanów zginęło w Wietnamie! Czas na rewanz.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego odkaszlnął. Reagan spojrział na niego.

– Przypominam, panie prezydencie, że swego czasu sam pan uznał, iż oddanie stingerów w ręce islamskich fundamentalistów może się kiedyś na nas zemścić, gdyż pozbywszy się z Afganistanu Rosjan, fundamentaliści obrócą te rakiety przeciwko Zachodowi. Może więc zechciałby pan przemyśleć strategię...

– Cóż, ja tylko, hmm... nie mogę znieść, że te cholerne, bezczelne komuchy zawsze się jakoś wywiną, wicie, co mam na myśli.

– A ja tego nie pojmuję – wtrącił Casey, mając nadzieję jeszcze przekonać prezydenta.

Z premedytacją unikał wzroku Bakera, którego podejrzewał o to, że obmawia go za plecami; od dawna już prawie nie odzywali się do siebie.

– Ze stingerami – dodał – mudżahedini pokonają Rosjan...

– Ostatecznie Rada Bezpieczeństwa Narodowego mogłaby ponownie rozpatrzyć tę sprawę – powiedział Baker do prezydenta. – Nie rozumiem jednak, co takiego zmieniło się od czasu, gdy podjął pan decyzję, że to zbyt ryzykowne.

– Nie boimy się ryzyka – odparł Reagan, ostrożnie dobierając słowa. – Z drugiej strony z pewnością nie chcielibyśmy, żeby islamiści zwrócili stingery przeciwko nam, kiedy, hmm... skończy się wojna.

Baker, który był odpowiedzialny za grafik Reagana i sprawował kontrolę nad wpływającymi na prezydenckie biurko dokumentami, potraktował tę wypowiedź jako wyraźną wskazówkę.

– Proponuję na razie nie wracać do tej kwestii – orzekł. – Przynajmniej dopóki prezydent nie zmieni zdania.

Casey wzruszył ramionami; oto kolejna potyczka, przegrana w ogniu wewnętrznych konfliktów, nękających otoczenie usiłującego zachować bezstronność prezydenta.

– Skoro już jednak wiemy, gdzie znajdują się zakładnicy – mruknął Casey – chcielibyśmy przedyskutować możliwość odbicia ich siłą.

– Wpadliśmy na pomysł – wtrącił z zapalem Jack – żeby zlecić tę operację Izraelczykom. Wybadaliśmy wstępnie zastępcę szefa Mosadu, Ezrę Ben Ezrę, którego zważ Rabbim...

Reagan wyglądał na speszonego.

– A to dobre... Rabbi zastępcą szefa Mosadu!

– Żydzi – ciągnął Jack – mają elitarną jednostkę, Sajeret Matkal... To właśnie oni tak świetnie spisali się na Entebbe.

– Tak, hmm... słyszałem o tym – powiedział Reagan.

– Plan gry jest następujący – odezwał się Ebby. – Zgodzimy się na wymianę zakładników na pięćdziesiąt stingerów. A potem kilkunastu komandosów z Sajeret Matkal, Żydów urodzonych w krajach arabskich i wyglądających jak Arabowie...

– ...i mówiących płynnie po arabsku... – wtrącił Jack.

– ...poprowadzi – ciągnął Ebby – karawanę zwierząt jucznych obciążonych stingerami, przerobionymi na bezużyteczny szmelc. Kiedy wejdą do obozu Ibrahima...

– Co z tego będzie miał Izrael? – przerwał Baker.

Casey, ignorując go, zwrócił się do Reagana.

– Chcą nam pomóc w zamian za dostęp do zdjęć KH-11 z terytorium Bliskiego Wschodu.

Doradcy prezydenta zainteresowali się nagle deseniem dywanu. Baker niezdecydowanie kiwał głową. Clark w zamyśleniu wypychał językiem

policzek. Sekretarze i asystenci czekali, w którą stronę powieje wiatr.

– Cóż, hmm... brzmi interesująco, chłopcy – powiedział Reagan oględnie po chwili milczenia.

Później, gdy stali przed Jackson Place 716, czekając na samochód, który miał ich odwieźć z powrotem do Firmy, Jack zagadnął Caseya.

– Chryste, Bill... Wygląda na to, że wyszliśmy z niczym.

Casey uśmiechnął się znacząco.

– Dostaliśmy odpowiedź.

– Jakoś mi to umknęło... – mruknął Ebby.

– Wszyscy słyszeliśmy, jak powiedział, że pomysł jest interesujący, prawda? To znaczy, że się zgadza.

Ebby tylko potrząsnął głową.

– Być szefem rządu to kurewska robota!

Aida Tannenbaum poderwała słuchawkę z widełek już po pierwszym dzwonku.

– Tak?

Kiedy nikt się nie odezwał, zaniepokoiła się. W głębi duszy czuła, że wie, czyj oddech słyszy po drugiej stronie linii.

– To ty, Gene? – wyszeptała, mając nadzieję, że jego głos dotrze wreszcie do jej ucha poprzez kilometry kabli. – Błagam, odezwij się...

– To ja – powiedział w końcu Eugene, wyraźnie zakłopotany. – Obiecałem, że się jeszcze odezwę...

– Drogie dziecko... Wiedziałam, że zadzwonisz.

– To wbrew regułom gry, ale niech będzie... Spotkam się z tobą, jeśli chcesz.

– Gdzie? – spytała niecierpliwie. – Kiedy?

– W barze „Barbizon”, na Wyoming przy Connecticut. O jedenastej nie będzie za późno?

– „Barbizon”, o jedenastej... Mogę przyjść razem z Sylwestrem?

Głos Eugene’a zabrzmiał ostrzej.

– Jeżeli nie będziesz sama, nie przyjdę.

– Drogi Gene, Sylwester to k o t!

Roześmiał się speszony.

– Nie wiedziałem... Oczywiście, że możesz zabrać ze sobą Sylwestra. Powiedzmy, że to twój znak rozpoznawczy... Będę się rozglądać za kobietą z kotem. A ty za jasnowłosym facetem w średnim wieku, z nadwagą i z „Time’em” pod lewą pachą...

– I tak cię rozpoznam... A więc do wieczora?

– Do wieczora.

Eugene ruszył przez na wpół opustoszały bar w kierunku podobnej do ptaka kobiety, siedzącej przy małym stoliku w kącie sali. Wyglądała jak dystyngowana dama z przedwojennego filmu: srebrzyste włosy przykrywał staroświecki kapelusz z koronkową woalką; drobną, szczupłą sylwetkę opinał dopasowany żakiet w tureckie wzory, a na ciepłe botki spływała czarna atłasowa spódnica. W oczach nieznajomej dostrzegł łyzy, nie wiadomo – wzruszenia czy starości. Na krześle obok stał wiklinowy koszyk, w którym siedział stary, wyliniały kot z różowymi plamami na skórze w miejscach, gdzie wypadła mu sierść.

– Nawet nie wiem, jak się nazywasz – powiedział Eugene.

– Ale ja wiem, jak t y się nazywasz, drogi Eugene.

Wyciągnęła doń kościstą rękę w białej ażurowej rękawiczce. Pomny na lekcje *savoir-vivre*'u, jakich udzielała mu niegdyś matka, skłonił się głęboko i musnął wargami wierzch jej dłoni. Zdjął płaszcz, rzucił go na oparcie krzesła i usiadł naprzeciwko starszej pani.

– Wezmę daiquiri – oznajmiła. – Piłam to kiedyś, zaraz po przyjeździe do Ameryki w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym... W bardzo eleganckim lokalu, którego nazwa wyleciała mi z pamięci.

Eugene skinął na kelnera. Zamówił daiquiri i podwójny koniak. Kobieta zachwiała się lekko i przytrzymała krawędzi stołu.

– Nazywam się – powiedziała – Aida Tannenbaum.

– Jestem zaszczycony – odparł szczerze Eugene. Niewielu znał ludzi, którzy służyli sprawie z takim oddaniem.

Kelner postawił kieliszki na stole i wsunął rachunek pod popielniczkę.

– A więc to jest Sylwester – uśmiechnął się Eugene.

Aida uniosła woalkę i pociągnęła łyk daiquiri. Przełknęła, skrzywiła się i aż podskoczyła.

– O Boże, zapomniałam, że to takie mocne. Tak, to jest Sylwester. Sylwester, przywitaj się z naszym towarzyszem broni, Eugene'em. – Pochyliła się i ściszyła głos. – Kazano mi mieszkać samotnie... Nikomu o nim nie powiedziałam. Znalazłam go na schodkach pożarowych w mieszkaniu, które wynajmowałam na początku lat siedemdziesiątych. Chyba nie mieliby mi tego za złe, jak myślisz?

– Nie. Na pewno jesteś w porządku.

Wydawało się, że odetchnęła z ulgą.

– Opowiedz mi o sobie, Eugene. Jak Amerykanin... sądząc z akcentu, pochodzisz ze Wschodniego Wybrzeża, najprawdopodobniej z Nowego Jorku... Jak trafiłeś do naszych szeregów?

– Chciałem krzawić wspaniałomyślną szczodrość i geniusz ludzkiego ducha.

– Właśnie tym się zajmujemy, drogie dziecko. Oczywiście nie mam pojęcia, co robisz z informacjami, ale wiem, że jesteś żołnierzem socjalizmu i że walczysz w pierwszym szeregu.

– Tak jak i ty, Aido Tannenbaum.

– Tak. – Jej oczy zaszyły mgłą. – Tak. Chociaż muszę się przyznać, Eugene, że jestem już zmęczona. Odkąd pamiętam, walczyłam to tu, to tam, na różnych liniach frontu. Przed wojną niektórzy łudzili się, że syjonistyczne państwo w Palestynie da schronienie Żydom z całego świata, ale ja byłam w przeciwnym obozie... Uważałam, że prawdziwą tarczą Żydów może być tylko socjalizm, dlatego stanęłam do walki u boku najwspanialszego z ludzi, Józefa Wissarionowicza Stalina. Gdybym była wierząca, uznałabym go za proroka lub świętego. Cóż, jestem ateistką... Podczas wojny walczyłam z faszystami. Po wojnie... – Pociągnęła kolejny łyk daiquiri, krzywiąc się, bo alkohol palił ją w gardło. – Po wojnie byłam zdumiona, że jeszcze żyję, ale nie chciałam czekać z założonymi rękami. Stanęłam w jednym szeregu z ludźmi, którzy zmagali się z alienacją i bezdusznym kapitalizmem. Tej walce poświęciłam się bez reszty, przez wzgląd na pamięć mojego syna, którego zamordowali hitlerowcy. Nazywał się Alfred. Alfred Tannenbaum. Kiedy umierał, miał dopiero siedem lat. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co wygadują na temat Stalina... To imperialistyczna propaganda.

Do baru weszło czworo młodych ludzi – trzech mężczyzn i jedna kobieta. Widać było, że są na rauszu. Przez chwilę sprzeczali się, czy usiąść przy barze, czy przy stoliku. Zdecydowali się na bar. Niedbale rzucili na podłogę czarne aktówki, ulokowali się na wysokich stołkach przy kontuarze

i głośno zażądali czegoś mocniejszego. Eugene przyjrzał się im uważnie, po czym znów odwrócił się do Aidy.

– W Ameryce okrzyknięto by cię bohaterką. Ale i u nas jest garstka ludzi, którzy wiedzą, jak wiele dokonałaś. Ci ludzie bardzo cię cenią.

– Może tak, a może nie. – Serwetką otarła łzę z oka. – Wynajęłam umeblowane mieszkanie przy Corcoran Street czterdzieści siedem, tuż obok New Hampshire, niedaleko Johns Hopkins University. Jutro się przeprowadzam. Lubię studentów... Są tacy mili dla Sylwestra. I zawsze mi pomagają. Załatwiają za mnie różne sprawy, kiedy mam silne mdłości albo zawroty głowy i nie mogę wyjść z domu. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Moglibyśmy się jeszcze czasem spotkać?

– To nie jest dobry pomysł. Nie wolno nam podejmować takiego ryzyka.

– Skoro nie znaleźli nas przez te wszystkie lata, wątpię, czy teraz im się uda – powiedziała.

– Ale...

– Może chociaż raz na pół roku... raz na rok? – westchnęła. – Jesteśmy tacy samotni. To smutne.

– Ty przynajmniej masz Sylwestra – uśmiechnął się Eugene.

– I ciebie, drogie dziecko, i ciebie... A ty kogo masz? – Nie odpowiadał, więc sięgnęła przez stół i pogłaskała go po rękę. Jej palce były tak delikatne, ich muśnięcie tak lekkie, że spojrzał, aby się upewnić, iż naprawdę go dotyka. Cofnęła dłoń, otworzyła portmonetkę, wyjęła małe długopis i zapisała kilka cyfr na wewnętrznej stronie firmowego pudełka zapalek „Barbizon Terrace”. – Jeżeli zmienisz zdanie... – Zachichotała cichutko. – Jeżeli s e r c e podpowie ci, żebyś się odezwał, zanim nasi przyjaciele podadzą nowy numer loterii, znajdziesz mnie pod tym numerem.

Wyszli. Od Tidal Basin wiał silny, zimny wiatr. Eugene chciał wezwać taksówkę, ale Aida powiedziała, że woli się przejść. Zapięła pod szyję ciepły płaszcz, postawiła kołnierz ze sztucznego futra i otuliła Sylwestra grubym wełnianym szalem. Kiedy Eugene wyciągnął do niej dłoń, zarzuciła mu ręce na szyję i opracowanym do perfekcji pięćdziesiąt lat wcześniej gestem porzuconej kochanki przygarnęła do siebie jego głowę i pocałowała go w usta. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła w noc.

Jak tylko zniknęła mu z oczu, wyjął z kieszeni pudełko zapalek i przedarł na pół w taki sposób, żeby nie można było odczytać numeru telefonu. Jedną połówkę wrzucił do rynsztoka, a drugą do kosza na śmieci dwie przecznice dalej.

Nigdy już nie zobaczy Aidy Tannenbaum.

Śmiertelnie znudzony Casey jednym uchem słuchał dyskusji uczestników sympozjum na wysokim szczeblu, zwołanego w celu pogodzenia rozbieżnych prognoz na temat Związku Sowieckiego, przygotowanych przez CIA oraz złożony z niezależnych ekonomistów Zespół B. Specjaliści z CIA utrzymywali, że dochód na głowę w ZSRR jest taki sam jak w Wielkiej Brytanii, co nie zgadzało się z obliczeniami pozostałych ekspertów, dowodzących, iż jest on porównywalny z podobnymi wskaźnikami w Meksyku. Atmosfera zrobiła się jeszcze gorętsza, gdy Zespół B jął dowodzić, iż szacunki Firmy co do potencjału sowieckich sił strategicznych również są znacznie zawyżone. Coraz mocniejsze argumenty przelatywały z jednej strony stołu na drugą, a zacietrzewieni ekonomiści przekrzykiwali się nawzajem, wymachując w powietrzu statystykami na poparcie swych wniosków. Casey, stłumiwszy kolejne ziewnięcie, wydobywające się z wnętrza jego oziębiającej duszy, gapił się bezmyślnie w okno, za którym dawno już zapadła ciemność, rozjaśniona nieco

reflektorami, które to zapalały się, to gasły wzdłuż otaczającego Langley parkanu. Casey wiedział coś, czego nie wiedzieli jego adwersarze, a mianowicie, że CIA doskonale zdaje sobie sprawę ze stagnacji w sowieckiej gospodarce, ale zawyża swoje wyliczenia, żeby nie drażnić doradców Reagana, którzy dostają białej gorączki, ilekroć ktoś próbuje ich przekonać, że sowieckie wydatki na zbrojenia zaczynają powoli spadać. Jesteśmy drużyną, mówili, gramy do jednej bramki. Nie wolno podważać decyzji prezydenta, takich jak budowa bombowca B-1, modernizacja dwóch pancerników z okresu drugiej wojny światowej czy sfinansowanie z budżetu floty sześciuset nowych jednostek. Rosjanie depczą nam po piętach i potrzebujemy niewyobrażalnych pieniędzy, żeby nie dać się wyprzedzić. Koniec kropka. Nie ma dyskusji.

– Związek Sowiecki – argumentował jeden z niezależnych ekonomistów – to Górna Wolta, tyle że uzbrojona w rakiety dalekiego zasięgu. – Zamachał w powietrzu jakąś broszurą. – Udokumentował to jeden z francuskich analityków. Od czasu rewolucji bolszewickiej liczba kobiet w Związku Sowieckim systematycznie spadała. Tak było aż do niedawna, bo kiedy statystyki osiągnęły najniższy poziom, wskaźnik nagle zaczął wzrastać. W pewnym momencie Rosjanie sami zrozumieli, jak wiele mówią te dane, i przestali je publikować.

– Co, na Boga Ojca, ma liczba kobiet umierających przy porodzie do analizy sowieckich wydatków na wojsko? – warknął analityk Firmy z przeciwnej strony stołu.

– Gdybyście mieli jakie takie pojęcie o interpretacji danych statystycznych, to nie zadawalibyście takich pytań...

W drzwiach sali konferencyjnej stanął DDCI Casey, Elliott Ebbitt, i dyskretnie pokiwał palcem na swojego szefa. Casey, szczęśliwy, że może wymknąć się z nudnej niasiadówki, wyślizgnął się za Ebbym na korytarz.

– Will Rogers powiedział kiedyś, że ekonomista to człowiek równie rozsądny jak każdy z nas – mruknął Casey – ale zaczynam mieć pewne wątpliwości.

– Pomyślałem, że cię to zainteresuje – powiedział Ebby, gdy ruszyli w stronę gabinetu DCI. – Nastąpił przełom w sprawie SASZY.

Moody czekał w niewielkiej salce konferencyjnej, naprzeciwko królestwa DCI, w towarzystwie dwóch agentów FBI. Casey w milczeniu machnął ręką, żeby nie przerywali rozmowy, i usiadł na wolnym krześle.

Moody podjął przerwany wątek.

– Witam, panie dyrektorze... Dzięki nieszablonowym pomysłom córek Leo Kritzky'ego zidentyfikowaliśmy osobę, będącą, jak my to nazywamy, bezpiecznikiem w kontaktach sowieckiej rezydentury w Waszyngtonie z łącznikiem SASZY.

– Skąd wiecie, że chodzi o łącznika SASZY? – zapytał Casey.

W odpowiedzi Moody powołał się na zeznania Kukuszkin, który wspomniał mimochodem o jakiejś kobiecie, pracującej dla rezydentury jako wolny strzelec; sugerował przy tym, iż to właśnie ona przekazuje polecenia do kontaktu SASZY w Waszyngtonie.

– Kukuszkin był nasłany – ciągnął Moody – ale chcąc, byśmy uwierzyli w szczerść jego intencji, musiał podać nam trochę prawdziwych informacji. Wszystko wskazuje na to, że w tym wypadku nie kłamał.

– Otóż ta właśnie kobieta, starsza pani nazwiskiem Aida Tannenbaum, Polka z pochodzenia, spotkała się wczoraj wieczorem ze swoim łącznikiem w „Barbizon Terrace” – odezwał się agent FBI, który przedstawił się jako A. Bolster.

Casey sceptycznie pokręcił głową.

– Macie pewność, że nie był to po prostu jakiś zwyczajny znajomy tej Tannenbaum?

– Jej telefon jest na podsłuchu – wyjaśnił Bolster. – Człowiek, który zadzwonił do niej wcześniej tego samego wieczoru, powiedział: „To wbrew regułom gry, ale niech będzie... Spotkam się z tobą, jeśli chcesz”.

– Tak powiedział? – zapytał Casey. – Użył słów r e g u ł y g r y?

– Tak, sir.

– Niezwłocznie przystąpiliśmy do działania – odezwał się Moody. – Wysłaliśmy kilku ludzi do tego baru. Kiedy weszli, tamtych dwoje gruchało w najlepsze przy stoliku. Jeden z naszych miał mikrofon, ukryty w aktówce. Jakość dźwięku jest kiepska, ale nasi technicy jakoś sobie z tym poradzili. Proszę, tu jest zapis rozmowy. – Moody podał dyrektorowi dwie kartki maszynopisu, po czym zaczął czytać na głos ze swojej kopii. – On: „W Ameryce okrzyknięto by cię bohaterką. Ale i u nas jest garstka ludzi, którzy wiedzą, jak wiele dokonałaś. Ci ludzie bardzo cię cenią”. Ona: „Może tak, a może nie”. I dodaje: „Wynajęłam umeblowane mieszkanie przy Corcoran Street czterdzieści siedem, tuż obok New Hampshire, niedaleko Johns Hopkins University. Jutro się przeprowadzam. Lubię studentów... Są tacy mili dla Sylwestra. I zawsze mi pomagają. Załatwiają za mnie różne sprawy, kiedy mam silne mdłości albo zawroty głowy i nie mogę wyjść z domu... Moglibyśmy się jeszcze czasem spotkać?”

– Kto to jest Sylwester? – zapytał Casey.

– To jej kot, dyrektorze – odparł drugi agent FBI, F. Barton.

W drzwiach stanął Jack McAuliffe z ponurą miną i zmarszczonym czołem. Wracał z Pentagonu, gdzie ustalał szczegóły szturmu izraelskich komandosów na górski obóz Ibrahima; martwił się, że przydzielono im za mało helikopterów.

– Dyrektorze, Ebby, panowie... – Skinął głową na powitanie, siadając obok Moody’ego. – Co to za przełom w sprawie SASZY?

Podczas gdy Moody gorączkowym szeptem relacjonował najświeższe wydarzenia, Ebby zwrócił się do Caseya.

– Wziąwszy pod uwagę wszystko, co tutaj usłyszeliśmy, dochodzę do wniosku, że wbrew wszelkim regułom naszego zawodu Polka namówiła łącznika, żeby spotkał się z nią osobiście. Jeśli, jak podejrzewamy, od wielu lat kontaktuje się z nim telefonicznie, mogła fantazjować na jego temat; mogła się nawet w nim zakochać. A on...

– Może zrobiło mu się jej żal? – podsunął Moody.

– Co o tym myślisz, Jack? – zapytał Ebby.

McAuliffe spojrział na niego z roztargnieniem.

– O czym?

– Zastanawiamy się właśnie, dlaczego łącznik zlekceważył wszelkie środki ostrożności, obowiązujące w naszym zawodzie.

Jack pomilczał chwilę i odpowiedział:

– Prowadzi męczące życie... – zaczął, a Ebby i Casey, patrząc na jego wymizerowaną twarz i czerwone z niewyspania oczy, mieli wrażenie, że mówi o sobie. – Może po prostu musiał z kimś pogadać, żeby przeżyć jeszcze jedną noc – dodał.

– Tak czy owak – powiedział Ebby – zgodził się na to spotkanie.

– Na polecenie Moody’ego – odezwał się Bolster – zorganizowaliśmy stałą inwigilację. Postawiliśmy w stan gotowości dwanaście wozów: sześć prywatnych aut, trzy taksówki, dwie furgonetki dostawcze i samochód pomocy drogowej. Kiedy jeden odjeżdża, drugi przejmuje wartę. Łącznik złapał taksówkę i pojechał na Farragut Square, a potem autobusem do Lee Highway, gdzie z kolei przesiadł się w autobus kursujący przez Broad

Street do Tysons Corner, skąd udał się pieszo do mieszkania nad garażem jednorodzinnej willi, niecały kilometr od końcowego przystanku...

– Kiedy wyszedł z „Barbizon”, przedarł na pół kartonik firmowych zapalek i każdą połówkę wyrzucił w innym miejscu. Nasi ludzie je znaleźli... Był tam zapisany nowy numer telefonu Aidy Tannenbaum, która właśnie dzisiaj znów się przeprowadziła – uzupełnił jego relację Barton.

– Kto jest tym łącznikiem? – przerwał mu niecierpliwie Casey.

– Wynajął mieszkanie na nazwisko Gene Lutwidge... Oczywiście jest to jego tożsamość operacyjna – odparł Moody.

– Założyliśmy podsłuch na linii Lutwidge’a – powiedział Bolster. – Stworzyliśmy też specjalną grupę zadaniową, pięćdziesięciu ludzi. Będą mu siedzieć na ogonie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przy odrobinie szczęścia prędzej czy później doprowadzi nas do waszego osławionego SASZY.

– Czym się zajmuje ten gość? – zapytał Casey.

– Nie chadza codziennie do pracy, jeśli o to panu chodzi – odparł Barton.
– Jego sąsiedzi myślą, że jest pisarzem...

– Opublikował coś?

– Sprawdziliśmy w Bibliotece Kongresu. Pod „Lutwidge” figurują tylko dwie książki: *Alicja w Krainie Czarów* i *Po Drugiej Stronie Lustra*...

– Przecież to napisał Lewis Carroll – zdziwił się Casey.

– Lewis Carroll to pseudonim Charlesa Lutwidge’a Dodgsona – wyjaśnił Bolster.

– Powiedziałeś D o d g s o n a?! – wykrzyknął Moody, a wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

– O co chodzi? Niemożliwe, żebyśmy coś przeoczyli... – rzekł Bolster z powątpiewaniem.

– W sześćdziesiątym pierwszym roku... – zaczął Moody – ciebie tu jeszcze wtedy nie było, Archie... FBI aresztowało mężczyznę nazwiskiem Kahn. Prowadził w Waszyngtonie sklep z alkoholem. Zatrzymano również dziewczynę, która dla niego pracowała, Bernice jakaś tam. Oboje, Kahn i Bernice, byli amerykańskimi komunistami, którzy zeszli do podziemia, żeby stworzyć zaplecze dla sowieckiego agenta, pełniącego funkcję łącznika pomiędzy Philbym a jego oficerem prowadzącym. Kiedy Philby został spalony, ten sam łącznik prawdopodobnie przejął SASZĘ. Podczas przeprowadzonej w sklepie rewizji ludzie z FBI natknęli się na dowody, świadczące o obecności agenta. Znaleźli szyfry, mikrofilmy, czytnik mikrografii, mnóstwo gotówki i radio, wszystko schowane w łazience pod podłogą, w mieszkaniu nad sklepem. Łącznik musiał wyczuć pismo nosem, bo zanim zdążyli go dopaść, zmienił tożsamość i zwiął. Działał pod nazwiskiem Eugene D o d g s o n.

– Dodgson. Lutwidge. Cytaty z Carrolla w radiowym quizie Radia Moskwa. Ktoś w KGB ma obsesję na punkcie *Alicji w Krainie Czarów* – podchwycił Casey.

– Pamiętasz, jak wyglądał człowiek podający się za Dodgsona? – spytał Moody’ego Bolster.

– Raport FBI z sześćdziesiątego pierwszego roku opisał go jako mężczyznę rasy białej, blondyna średniego wzrostu i atletycznej budowy ciała, lat około trzydziestu jeden. Teraz miałby pięćdziesiąt trzy. Obserwowaliście go przez kilka tygodni... gdzieś w aktach powinno być jego zdjęcie.

Bolster wyjął z koperty fotografię i wręczył ją Moody’emu.

– Zrobiliśmy to z teleobiektywu, kiedy Lutwidge przechodził pod latarnią. Jakość kiepska, ale może się przydać. W każdym razie daje ogólne wyobrażenie o jego wyglądzie.

Moody przyjrzał się uważnie.

– Średniego wzrostu, chyba jasne włosy. Jeżeli to ten sam człowiek, którego znaleźliśmy pod nazwiskiem Dodgson, to wyłysiał trochę i zaokrąglił się w pasie...

Podał fotografię Ebby'emu.

– Ten raport napisano dwadzieścia dwa lata temu – powiedział Ebby. – Wszystkim nam przybyło na wadze...

– Tylko w głowie nam nie przybyło – zażartował Casey. – Sam nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Ebby przekazał zdjęcie Jackowi, który nałożył okulary, spojrzął i otworzył usta ze zdumienia.

– To niemożliwe... – wymamrotał.

– Co znowu jest niemożliwe? – zapytał Ebby.

– Poznajesz go? – odezwał się Moody.

– Tak... Nie wiem... To chyba nie on... Nie jestem pewien... Wygląda podobnie... Czyżby aż tak się zmienił?

– Wszyscy się zmieniliśmy – powtórzył Ebby.

– Powiesz wreszcie, kogo on ci przypomina? – dopytywał się zirytowany Casey.

– Nie uwierzycie... Wygląda zupełnie jak ten Rosjanin, z którym mieszkałem w jednym pokoju na ostatnim roku w Yale. Nazywał się Jewgienij Cypin. Jego ojciec pracował w Sekretariacie ONZ...

Moody popatrzył na Caseya.

– Cypin był etatowym agentem KGB. – Utkwił wzrok w Jacka. – Jak dobrze ten twój radziecki współlokator znał angielski?

Jack, wciąż jeszcze nie mogąc ochłonąć ze zdumienia, podniósł wzrok znad fotografii.

– Jewgienij skończył liceum Erasmusa... Mówił jak urodzony brooklyńczyk.

Moody zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo krążyć wokół stołu.

– To by wszystko wyjaśniało... – powiedział podekscytowany.

– Co na przykład? – zapytał Casey.

– Eugene Dodgson ze sklepu Kahna gadał jak rodowity Amerykanin, bez śladu obcego akcentu. Ale Jim Angleton zawsze się upierał, że to Rosjanin, który opanował angielski do perfekcji.

Z niedowierzaniem kręcąc głową, Jack w skupieniu wpatrywał się w fotografię.

– Tak, to może być on. Albo ktoś bardzo do niego podobny... – Zamilkł na chwilę. – Wiem, kto rozwieje nasze wątpliwości – oznajmił po namyśle.

CZERIOMUSZKI, OBWÓD MOSKIEWSKI, SOBOTA, 12 LISTOPADA 1983

Podopieczne Dziadka chodziły na paluszkach, jakby willa Apatowów była szpitalem, a wujek ciężko chorym pacjentem. Takie zresztą sprawiał wrażenie. Jego niechlujny wygląd – siwa, postrzępiona broda, opadająca w zmierzwionych kołtunach na wynędzniałą pierś, przekrwione, podsinione oczy w pożółkłej twarzy, tchnącej chronicznym niepokojem, starczy odór niemytego od dawna ciała – przerażał dziewczynki tak bardzo, że nocne przytulanki w wielkim łóżu, w którym mała Czeczenka odstrzeliła sobie kiedyś połowę mózgu, stały się prawdziwą męką. W tajemnicy przed wujkiem ciągnęły losy, która z nich będzie musiała wślizgnąć się pod jego przepoconą, zgrzebną koszulę.

– Wujku, nie mógłbyś czytać trochę szybciej? – prosiła jasnowłosa Osetynka, kiedy po raz kolejny zaczynał ten sam akapit.

Dziadek w zamyśleniu pogłaskał jedwabiste włosy swojej nowej protegowanej z Mongolii; nawet teraz, gdy zbliżał się do siedemdziesiątki, nadal wzruszały go niewinność piękna i piękno niewinności. Za jego plecami Osetynka sięgnęła pod koszulkę Łotyszki i uszczypnęła ją w jeden z malutkich sutków. Dziewczynka, zaskoczona, pisnęła głośno. Wujek zgromił ją wzrokiem.

– Ale ona mnie uszczypnęła – rozplakała się i wycelowała palec w winowajczynię.

– Jak ty się zachowujesz? To bardzo nieładnie – skarcił Osetynkę Dziadek.

– Tylko żartowałam...

Wujek z całej siły uderzył ją w twarz. Długie, przycięte po chłopsku paznokcie drasnęły ją w policzek, z którego pociekła krew. Pochlipując ze strachu, otarła zadrapanie wierzchem ręki. Przerazone dziewczynki wstrzymały oddech. Nagle spod koszuli wujka rozległ się stłumiony głos małej Wietnamki.

– O rany kota, co wy tam wyprawiacie?

Poprawiwszy na nosie okulary, wujek powrócił do przerwanej lektury i zaczął czytać ten sam akapit po raz trzeci:

– „Spójrzcie, spójrzcie! – zawołała, wskazując z podnieceniem. – Oto Biała Królowa przebiega okolicę! Wybiegła z lasu, o tego, tam... Jakże szybko potrafią biec te Królowe! – Bez wątpienia ściga ją jakiś nieprzyjaciel – powiedział Król, nie spojrzawszy nawet w tamtym kierunku. – Las jest ich pełen”.

Litery zaczęły skakać Dziadkowi przed oczami. Zamilkł i odchrząknął, żeby pozbyć się chrypki.

– Dosyć na dzisiaj – warknął, wyciągając za kark Wietnamkę spod koszuli.

Zsunął się z łóżka i poczłapał boso do drzwi, nie mówiąc nawet dobranoc. Dziewczynki obserwowały go, a potem popatrzyły na siebie z zakłopotaniem. Pochlipywanie Osetynki ustało, lecz mała dostała czkawki. Koleżanki zaczęły ją straszyć, tupiąc, wrzeszcząc i robiąc przerażające miny.

W swoim sanktuarium obok biblioteki Dziadek nalał sobie mocnego bułgarskiego koniaku i usiadł na dywanie, oparłszy się plecami o sejf. Przeczytany przed chwilą fragment ulubionej książki zawsze dziwnie go drażnił i rozstrajał. Bo Dziadek – utożsamiający się z łagodnym błękitnookim Rycerzem w zbroi lśniącej w promieniach zachodzącego

słońca – widział czarne cienie lasu, z którego wybiegła Biała Królowa, i te cienie go przerażały. „Bez wątpienia ściga ją jakiś nieprzyjaciel – powiedział Król. – Las jest ich pełen”. Dziadek już dawno zidentyfikował czającego się w lesie wroga: to nie była śmierć, tylko porażka.

Kiedy był młodszy, całym sercem wierzył w nieuchronność sukcesu, uważał, że jeśli wystarczająco długo walczy się po właściwej stronie, nie można przegrać. Teraz przekonanie, iż uczestniczy w krucjacie, zniknęło gdzieś bezpowrotnie; jego miejsce zajęło przecucie, że nie ma najmniejszych szans na ostateczny triumf. Gospodarka Wielkiej Rosji, nie wspominając już o społeczeństwie, a nawet samej partii, rozpadała się w gruzy. Sępy, takie jak choćby ten cały Gorbaczow, zataczały koła nad ojczyznę, upatrując sposobnej chwili, by rozedrzeć ją na strzępy. Imperium trzeszczało w szwach. Mały radzieckie wpływy w Europie Wschodniej. W Polsce Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” powoli przejmował kontrolę w państwie, wystawiając na pośmiewisko pretensje Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do reprezentowania polskiego proletariatu. W Niemczech Wschodnich władza „twardogłowych” – starych funkcjonariuszy partyjnych, którzy opierali się reformie – wisiała na włosku.

Najwyraźniej geniusz i szczodrość ludzkiego ducha muszą ustąpić przed pazernością zachłannego *Homo economicus*. Jedyna pociecha w tym, że przy okazji runie także gmach kapitalizmu. *Götterdämmerung*, zmierzch bogów! – jak mawiają Niemcy... Mizerna nagroda dla tych, którzy walczyli do ostatniego tchu i przegrali.

Tego dnia Dziadek wcześniej niż zwykle zjawił się na Kremlu. Andropow drzemał pod maską tlenową, szczelnie zakrywającą nos i usta. Żaluzje były zaciągnięte, w kilku lampach paliły się słabe żarówki. Sekretarz generalny miał za sobą kolejną wyczerpującą hemodializę przy

użyciu amerykańskiej sztucznej nerki. Wokół pacjenta krzątali się pielęgniarze: badali puls, zmieniali basen, sprawdzali kroplówkę i pudrowali różem ziemiste policzki chorego, żeby popołudniowi goście nie odnieśli wrażenia, iż przyszli odwiedzić trupa.

– *Izwinitie*, towarzyszu Andropow – wyszeptał Dziadek. – Śpicie?

Andropow otworzył jedno oko i z ogromnym trudem, ledwo zauważalnie skinął głową.

– Zawsze czuwam, nawet kiedy śpię – dobiegł spod maski tlenowej słaby, niewyraźny głos.

Sekretarz generalny nieznacznie uniósł lewą rękę i dwoma palcami wskazał na drzwi. Pielęgniarze dostrzegli ten gest i natychmiast wynieśli się z pokoju.

Andropow wiedział, po co Dziadek do niego przyszedł. Miała to być ich ostatnia narada przed rozpoczęciem operacji CHOŁSTOMIER. Wszystko już było gotowe: w każdej chwili mogli rzucić na rynek 63,3 miliarda dolarów amerykańskich, a wówczas agenci KGB (wpływowo osobistości z Japonii, Hongkongu, Tajwanu i Malezji oraz znany niemiecki ekonomista, pozostający w zażyłych stosunkach z kanclerzem Helmutem Kohlem) nakłoniliby zagrożone bankructwem główne banki swych krajów do wyprzedazy aktywów zamrożonych w papierach wartościowych, co w krótkim czasie doprowadziłoby do krachu na rynku obligacji.

Andropow zdjął maskę i dysząc ciężko, zadał kilka gorączkowych pytań: Czy KGB zdobył już dowody, które potwierdziłyby podejrzenie, że Amerykanie planują prewencyjny atak nuklearny na Związek Radziecki? A jeśli tak, to gdzie nastąpił przeciek? Czy podano konkretną datę?

Dziadek jasno zdawał sobie sprawę z tego, że losy CHOŁSTOMIERA są ściśle związane z przekonaniem Andropowa, iż manewry ABLE ARCHER

83 stanowią w istocie przykrywkę dla uderzenia atomowego na ZSRR. Gdyby sekretarz generalny, podobnie jak Breżniew, zaczął wątpić we wrogość amerykańskich intencji, wycofałby się nawet w ostatniej chwili. Operacja, przygotowana z takim trudem, zostałaby wstrzymana, a wysiłek zaangażowanych w nią ludzi poszedłby na marne. Jakiś sfrustrowany agent mógłby nawet donieść CIA, co się święci, a to już by oznaczało nieodwołalny koniec CHOŁSTOMIERA. W tej sytuacji Dziadek zrobił coś, czego nie ośmielił się uczynić przez czterdzieści trzy lata swojej szpiegowskiej kariery: zmyślił raport od jednego z terenowych agentów.

– *Towaryszcz Andropow*, otrzymałem odpowiedź od SASZY. – Na chybił trafił wyciągnął z teczki pierwszą lepszą kartkę maszynopisu, wiedząc, że sekretarz generalny jest zbyt chory, żeby samodzielnie przeczytać rzekomy raport.

Andropow z wysiłkiem otworzył oczy, a Dziadek dostrzegł w nich dawny, stalowy błysk; znów miał przed sobą nieugiętego ambasadora, który zdławił węgierskie powstanie, a później żelazną ręką kierował KGB.

– Co pisze?

– Pentagon poprosił CIA o zaktualizowany wywiad satelitarny, dotyczący kursu naszych dwunastu pociągów z międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi. Szefowie sztabów zlecili też powtórny analizę stanu naszej gotowości bojowej; szczególnie interesowało ich, ile czasu upłynie od chwili wykrycia ataku Amerykanów do odpalenia rakiet z naszych wyrzutni.

Andropow, którego nadzieje na to, że jednak pomylił się w ocenie zamiarów Reagana, w tym właśnie momencie rozwiały się ostatecznie, opadł z powrotem na poduszki szpitalnego łóżka.

– Do tej pory informacje SASZY zawsze się sprawdzały...

– Jest coś jeszcze – powiedział Dziadek. – Odszyfrowaliśmy depeszę do amerykańskich oddziałów stacjonujących w Europie. Począwszy od dwudziestego piątego listopada, odwołano im wszystkie urlopy. Przyspieszono również o dwa tygodnie termin manewrów ABLE ARCHER 83 i obecnie planowane są na trzecią nad ranem pierwszego grudnia.

Andropow sięgnął po maskę tlenową i przytrzymał ją chwilę przy twarzy. Czynność oddychania zdawała się wysysać z niego resztki energii. Kiedy zdjął maskę, jego wargi były sine i oblepione gęstą śliną.

– A więc jedyną nadzieją na uniknięcie nuklearnego holokaustu jest operacja CHOŁSTOMIER... To podkopie ich morale... Zniszczymy ich psychologicznie. Jeżeli załamię się kapitalistyczna gospodarka, Reagan i jego ludzie się wystraszą. Świat oskarżyłby ich o wywołanie wojny w celu odwrócenia uwagi od kryzysu ekonomicznego. W tych okolicznościach może się zawahają.

– Mogą wybuchnąć niepokoje społeczne, a nawet zamieszki – przyznał Dziadek, który sam już zaczynał wierzyć w wymyślony przez Andropowa scenariusz. – To całkiem prawdopodobne, że armia będzie zbyt pochłonięta utrzymaniem porządku, by rozpoczynać działania wojenne.

Sekretarz generalny wierzchem dłoni otarł z warg plwocinę.

– Zróbcie to – wycharczał. – CHOŁSTOMIER to nasza ostatnia deska ratunku.

Siedząc w kącie ogródka restauracji hotelu „Dean’s”, Hipolit Afanasjewicz Fet, posepny rezydent KGB, obserwował bacznie oficerów CIA, którzy popijali piwo „Murree” przy skrajnym stoliku w obskurnym holu. Rozmawiali ściszymi głosami, ale śmiali się hałaśliwie – tak hałaśliwie, że nikt nie domyśliłby się, iż za oddaloną o niespełną godzinę drogi samochodem przełączą Chajber wre wojna. O wpół do ósmej

Amerykanie zapłacili rachunek, starannie odliczając rupie, i z łoskotem odstawili krzesła. Dwaj towarzysze Feta – naczelny szyfrant peszawarskiej rezydentury i attaché wojskowy radzieckiego konsulatu – wymienili sprośne uwagi o jankesach za granicą. Można ich poznać na pierwszy rzut oka, syknął zjadliwie attaché. Zachowują się, jakby byli tu u siebie, jakby ten kraj już do nich należał, przytaknął szyfrant. Szastają rupiami, jakby je drukowali na zapleczu placówki CIA, wtrącił Fet. A kto ich tam wie, może i drukują, dodał attaché. Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Fet wstał i oznajmił, że musi pójść do toalety. Weźcie rachunek i zapłaćcie, ale nie dawajcie napiwku jak ten Amerykanin... Pakistańczycy i tak zawyżają ceny, pouczył szyfranta. Bez pośpiechu poczłapał do holu. Minął drzwi ubikacji i ruszył do głównego wejścia, a potem na parking, znajdujący się na tyłach hotelu. Amerykanie wsiadali właśnie do dwóch chevroletów. Fet podszedł do jednego z wozów i pokazał na migi, żeby opuścili szybę.

– Czyż to nie wykapany Boris Karloff? – zauważył tymczasowy szef placówki CIA. – Ma pan może jakieś tajemnice państwowe do sprzedania, panie Fet?

– Mam.

Na twarzy Amerykanina nadal kwitł przyklejony uśmiech, lecz w jego oczach błysnęła ciekawość. Czując, że dzieje się coś niezwykłego, przywołał pozostałych gestem ręki. Wyszli i stłoczyli się wokół Rosjanina. Dwaj z nich odeszli kilka kroków i stojąc tyłem do Feta, rozejrzeli się dokoła, żeby sprawdzić, czy za samochodami nie ukryli się jeszcze jacyś Rosjanie.

– W porządku, Fet... O co chodzi? – zapytał tymczasowy szef placówki.

– Chciałbym przejść na waszą stronę. I nie próbujcie mnie namawiać, żebym pozostał na stanowisku i szpiegował dla was na miejscu. Przejdę tu i teraz albo wcale. – Poklepał się po kieszeniach marynarki, wypchanych

grubymi szarymi kopertami. – Tutaj mam całą korespondencję z centralą z ostatniego miesiąca. A tu – popukał się palcem w głowę – mam jeszcze więcej tajemnic... tajemnic, które was zaskoczą.

– A twoja żona? Co z nią? – spytał jeden z Amerykanów. – Jeśli dasz nogę, to się dla niej źle skończy.

Okrutny uśmiech rozlał się po zapadłych policzkach Feta, czyniąc go jeszcze bardziej podobnym do Borisa Karloffa.

– Moja żona oświadczyła mi wczoraj wieczorem, że zakochała się w młodym szefie naszego konsulatu... To największy kutas, jakiego widziałem. Zażądała separacji. Dam jej separację, jakiej nigdy nie zapomni.

– On chyba mówi poważnie – powiedział jeden z Amerykanów.

– Jak najbardziej poważnie – zapewnił Fet.

Tymczasowy szef placówki rozważał przez chwilę wszystkie za i przeciw. Z restauracyjnej kuchni dobiegały wrzaski chińskiego kucharza, który piskliwym głosem wydierał się w dialekcie mandaryńskim na swego kolegę po fachu. W końcu Amerykanin podjął decyzję – jeżeli w Langley, z takich czy innych powodów, nie będą zadowoleni z nabytku, zawsze mogą odesłać Feta z powrotem.

– Szybko, wsiadaj – powiedział do Rosjanina.

Po chwili chevrolety ryknęły silnikami i ruszyły przez Saddar Road, pędząc w kierunku podobnego do twierdzy amerykańskiego konsulatu po drugiej stronie miasta.

Maria Shaath, w kozuchu i z drukowanym szalem, jaki noszą kobiety w Sindzie^[49], owiniętym wokół szyi, siedziała zgarbiona przy nieheblowanym drewnianym stole i w świetle samotnej świeczki zapisywała w notesie pytania. Od czasu do czasu podnosiła głowę

i w zamyśleniu przesuwiała końcem ołówka po górnej wardze, wpatrując się nieobecny wzrokiem w chybotliwy żółtoniebieski płomyczek, po czym znów pochylała się nad stołem, żeby coś zanotować.

Tego ranka, gdy spacerowali z Anthonym po obozie, podszedł do nich Ibrahim. Powietrze było ostre. Wysoko w górach padał śnieg, co utrudniało widoczność sowieckim helikopterom, patrolującym labirynty dolin. Poniżej, w osadzie, dwóch kościstych chłopców ciągnęło za sobą na postronku wychudzoną krowę. Pod górę wspinał się powracający z trzydniowego wywiadu oddział brodatych fundamentalistów w długich koszulach i zakurzonych futrzanych serdakach. Szli gęsiego, z kałasznikowami niedbale przerzuconymi przez ramię. Z niewidocznego od strony wioski pobliskiego kamieniołomu dobiegało stłumione metaliczne dudnienie, zwielokrotnione przez niosące się daleko echo. Tuż przy masywnych, podwójnych wrotach, za dnia przeważnie stojących otworem, staruszek w plastikowych goglach, które osłaniały oczy przed iskrami, ostrzył noże na kamiennym kole, obracany przez dziewczynkę, niemal zupełnie ukrytą pod ciemnobrązową burką.

– Jesteś nadzwyczajnym człowiekiem – powiedziała Maria do Ibrahima, rzucając mu baczne spojrzenie. – Jeśli się zgodzisz, chętnie zrobię z tobą wywiad.

– Wywiad?

– To moja praca. Macie tu tyle różnego sprzętu... Na pewno znajdzie się jakaś kamera.

W oczach Ibrahima mignął błysk zainteresowania.

– A o co byś mnie chciała spytać?

– Zapytałabym, skąd pochodzisz i dokąd zmierzasz. Zapytałabym o twoją religię, twoich przyjaciół i twoich wrogów. Zapytałabym, dlaczego

walczysz z Rosjanami i przeciw komu poprowadzisz następny dżihad.

– Czemu uważasz, że będzie następny dżihad?

– Jesteś zakochany w świętej wojnie, majorze. Masz to wypisane na twarzy. Zawieszenie broni, pokój... to nie dla ciebie. Znałam już takich ludzi. Będziesz szedł z jednej wojny na drugą, dopóki twoje marzenie...

– Skoro znasz mnie tak dobrze, to powiedz, jakie jest moje marzenie?

– Chcesz zostać męczennikiem.

Ibrahim wyglądał na rozbawionego.

– A co byś zrobiła z tym wywiadem, gdybym się zgodził? – zapytał.

– Mógłbyś kazać dostarczyć taśmę do mojego biura w Peszawarze. W ciągu dwudziestu czterech godzin znajdzie się na antenie w Nowym Jorku... Twoje słowa obiegą cały świat.

– Pomyślę o tym – odparł Ibrahim, po czym odwrócił się i wraz ze swoim nieodłącznym Cieniem odszedł w kierunku zabudowań, stojących na skraju wioski w dolinie.

Maria patrzyła na Anthony'ego.

– Nie powiedział „nie”, prawda?

O zmierzchu Ibrahim przysłał posłańca z wiadomością, że zgadza się na wywiad, który ma się odbyć o północy w izdebce pod strychem. Podał również listę spraw, o których nie będzie rozmawiał. Zakazał zwłaszcza jakichkolwiek pytań dotyczących jego prawdziwej tożsamości i przeszłości oraz wszystkiego, co mogłoby zdradzić lokalizację górskiego obozu, który on sam nazywał Jatribem. Kiedy za kwadrans dwunasta Maria i Anthony zeszli po drabinie ze swojej celki, znaleźli się w prowizorycznym studiu telewizyjnym: dwie lampy, podłączone do brzęczącego na zewnątrz generatora, oświetlały dwa drewniane krzesła, stojące przed kuchennym piecem. Młody, jeszcze pozbawiony zarostu chłopak z niemiecką leicą

w ręku ustawił zakładników pod plakatem przedstawiającym Złoty Meczec w Jerozolimie i pstryknął im kilka zdjęć (w parę dni później jedno z nich ukazało się na pierwszych stronach gazet na całym świecie). Maria spoglądała w obiektyw z lekkim zniecierpliwieniem, bo chciała jak najszybciej rozpocząć wywiad. Anthony wykrzywił twarz w nieokreślonym grymasie, w którym dziennikarze dopatrywali się potem sardonicznego uśmiechu. Kiedy fotograf skończył, w drzwiach pojawił się Ibrahim, wystrojony w białą haftowaną tunikę, spływającą na buty od Beal Brothers. Długie włosy, zaczesane do tyłu i związane w kitkę, opadały mu na kark, a krótka, ufarbowana henną broda była starannie przystrzyżona. Dostojnie, nieco sztywno usiadł na jednym z dwóch krzeseł, a brodaty mudżahedin w okularach o grubych szklach zaczął ustawiać ostrość nieporęcznej chińskiej kamery, umocowanej na prowizorycznym drewnianym statywie. Maria narzuciła na ramiona szal i zajęła miejsce na drugim krześle. W kamerze zapaliło się czerwone światełko. Maria spojrzała prosto w obiektyw.

– Dobry wieczór. Tu Maria Shaath z Afganistanu. Przedstawiam państwu mojego dzisiejszego gościa, a właściwie g o s p o d a r z a, ponieważ to ja jestem jego gościem, a raczej więźniem. Oto major Ibrahim, dowódca partyzantów, którzy porwali nas w Peszawarze – nas, czyli mnie oraz amerykańskiego dyplomatę Anthony’ego McAuliffe’a. – Odwróciła się do Ibrahima i uśmiechnęła niewinnie. – Majorze, nie wiem, od czego zacząć tę naszą rozmowę, ponieważ dał mi pan listę tematów, których nie wolno poruszać...

– Zacznijmy od drobnego sprostowania: Anthony McAuliffe podaje się za dyplomatę, ale w rzeczywistości jest oficerem CIA. W chwili swego... zatrzymania pracował dla placówki w Peszawarze.

– Nawet jeżeli ma pan rację, nadal nie rozumiem, czemu go porwaliście. Myślałam, że Centralna Agencja Wywiadowcza wspiera islamskich fundamentalistów w wojnie przeciw sowieckiej okupacji Afganistanu.

Ibrahim zaczął przebierać palcami w sznurach paciorków, zdobiących jego szyję.

– Centralna Agencja Wywiadowcza wcale nie troszczy się o Afganistan. Ameryka dostarcza nam przestarzałą broń, żeby upuścić krwi swoim wrogom, podobnie jak Sowieci dostarczali broń Wietnamczykom, żeby zniszczyć Amerykanów.

– Spróbujmy odwrócić sytuację... Czy przyjąłby pan pomoc od Związku Radzieckiego, gdybyście stanęli do walki przeciwko Ameryce?

– Przyjąłbym pomoc od samego diabła, żeby dalej prowadzić dżihad.

– Zatem jeśli wyprzecie sowieckiego najeźdźcę...

– K i e d y wyprzemy naszego sowieckiego najeźdźcę...

Maria przytaknęła.

– Niech będzie... A więc czy wasza wojna skończy się, k i e d y wyprzecie stąd Rosjan?

Ibrahim pochylił się do przodu.

– Prowadzimy walkę z kolonializmem i laicyzacją, wrogami islamu oraz islamskiego państwa, które stworzymy w Afganistanie i na całym obszarze muzułmańskiego świata. Wojna będzie się toczyć aż do ostatecznego zwycięstwa, a wówczas ustanowimy muzułmańską wspólnotę narodów, opartą na islamie, prawdziwej wierze proroka, którego wy nazywacie Abrahamem, a my Ibrahimem. W państwie takim, rządonym według zasad Koranu za przykładem bożego wysłannika, Mahometa, wszystko będzie poddane woli Boga. W to wierzę.

Casey i jego zastępca Ebby, ze szklankami whisky w ręku, stali przed wielkim telewizorem w gabinecie dyrektora na szóstym piętrze Langley i oglądali wiadomości.

Na ekranie Maria zerknęła do swoich notatek.

– Pozwoli pan, majorze, że zadam kilka osobistych pytań. Czy jest pan żonaty?

– Mam dwie żony i trzech synów... I wiele córek.

Casey zamieszał kostki lodu w szklance.

– Cóż za skrupulatność! Dziwię się, że sukinsyn w ogóle pamięta, że ma córki...

– Jaki jest pański ulubiony film? – usłyszeli kolejne pytanie Marii.

– Nigdy nie widziałem żadnego filmu.

– Zgrywa się na islamskiego świętego – rzucił kąśliwie Casey.

– Których polityków podziwia pan najbardziej?

– Żyjących czy zmarłych?

– I takich, i takich.

– Wśród postaci historycznych największym podziwem i szacunkiem darzę proroka Mahometa... Był nie tylko świętym człowiekiem, wiodącym święte życie, ale również mężnym wojownikiem, natchnieniem żołnierzy islamu w podboju Afryki Północnej, Hiszpanii i Francji. Z historycznego punktu widzenia podziwiam również Mojżesza i Jezusa... Obaj byli prorokami, obaj nieśli ludziom Słowo Boże, ale nikt ich nie słuchał. Szanuję też sułtana Egiptu, Saladyna, który pokonał pierwszych kolonizatorów, krzyżowców, i wyzwolił święte miasto Jerozolima.

– Szkoda, że ma jednego z naszych ludzi – stwierdził Casey. – To ten rodzaj faceta, który mógłby nieźle upuścić krwi Rosjanom.

– A wśród żyjących? – dobiegł z telewizora głos Marii Shaath.

– To naprawdę piękna kobieta – powiedział Reagan do swego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Billa Clarka, kiedy oglądali telewizję na drugim piętrze Białego Domu. – Przypomnij mi, hmm... jak ona się nazywa?

– Maria Shaath – odparł Clark. – A ten gość to major Ibrahim... Myśli, że zgodziliśmy się wymienić ją i tego chłopaka z CIA na pięćdziesiąt stingerów.

– Wśród żyjących...? – powtórzył za Marią Ibrahim. – To już nie jest takie proste.

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo musi upłynąć co najmniej pięćdziesiąt lub nawet sto lat, zanim można ocenić dokonania jakiegoś przywódcy.

– Na wszystko patrzy pan z perspektywy historii?

– Wszystko mierzę na stulecia.

– Śmiało – nalegała Maria. – Niech pan strzela.

Ibrahim uśmiechnął się nieznacznie.

– Podziwiam Kaddafiego, bo nie dał się zastraszyć kolonialnej potędze. Z tych samych powodów szanuję Saddama Husajna z Iraku i Hafiza al-Asada z Syrii. Gardzę z kolei królem Jordanii Husajnem, prezydentem Egiptu Mubarakiem i całą rodziną królewską z Arabii Saudyjskiej za to, że nie ośmielili się przeciwstawić kolonializmowi i laicyzacji. Zostali zwerbowani przez świecki Zachód. Są agentami sekularyzmu w świecie islamu.

– Jaka była moja, hmm... decyzja w sprawie tych stingerów? – zapytał Reagan.

– Uznał pan, że oddanie ich w ręce islamskich fundamentalistów pokroju Ibrahima byłoby grubym błędem. Dlatego ze stingerów, które wiezie im oddział izraelskich komandosów, usunięto mechanizm odpalający.

– Wciąż pan mówi, majorze, o kolonializmie i laicyzacji – kontynuowała Maria. – A marksizm?

– Nienawidzę marksizmu! – mruknął pod nosem Reagan.

– Marksizm jest takim samym złem jak kapitalizm – odparł Ibrahim. – Marksizm to kolonializm w ateistycznym opakowaniu.

Reagan ożywił się.

– No, przynajmniej nie jest marksistą! – wykrzyknął.

– Z całą pewnością – przytaknął Clark.

– W takim razie niewiele stracimy, jeżeli damy mu, hmm... te stingery, skoro użyje ich przeciw marksistom – powiedział Reagan.

– Wielu senatorów jest tego samego zdania.

Reagan, szczerze zdziwiony, spojrział na swego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Sugerujesz, że dostarczenie stingerów, hmm... afgańskim bojownikom spotka się z aplauzem w Kongresie?

– Przypuszczam, że tak – przyznał Clark.

– Więc może, hmm... powinniśmy rozważyć tę kwestię ponownie – zastanawiał się Reagan. – Nie mówię, że powinniśmy im dać stingery. Jednak z drugiej strony, gdyby mieli nimi zestrzelić sowieckie samoloty... Hmmmmmmm...

Leo Kritzky wrócił właśnie z Baltimore, gdzie osobiście przesłuchiwał Hipolita Feta, byłego rezydenta KGB w Peszawarze, który został potajemnie wywieziony z Pakistanu do Ameryki i zakwaterowany w jednej

z licznych kryjówek Firmy. Parkując samochód przed swoim domem w Georgetown, Leo zobaczył zdziwiony, że na podjeździe stoi dobrze mu znany szary plymouth. Za kierownicą siedział Jack McAuliffe, słuchając nastawionego na cały regulator radia. Wysiedli, żeby się przywitać.

– Jack! – zawołał Leo. – Co cię do mnie sprowadza o tej porze?

– Muszę się napić – jęknął McAuliffe, gdy ruszyli obaj w stronę frontowych drzwi.

Zerknął na swego współlokatora ze studenckich czasów i kolegę z drużyny wioślarskiej Yale. Fizycznie Kritzky już dawno doszedł do siebie i nie było po nim widać śladów drakońskiego śledztwa, jakiemu przed dziewięć laty poddał go Angleton w podziemnych kazamatach CIA. Gęste, szpakowate włosy Leo, ostrzyżone teraz, wzorem oficerów amerykańskiej armii, krótko na jeża, sterczały zawadiacko i znów przyjemnie było patrzeć na jego smukłą, sportową sylwetkę. Tylko w ciemnych oczach wciąż malował się wyraz tajonej udręki, tego dnia bardziej widocznej niż zwykle – albo tak się tylko Jackowi zdawało.

– Tobie, stary, też by to dobrze zrobiło.

– A więc obaj znaleźliśmy się we właściwym miejscu – odparł Leo.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Rzucili płaszcze na krzesło. Leo poszedł prosto do barku w salonie.

– Czego się napijesz, Jack?

– Czystej whisky. Lej, nie żałuj.

Leo wyjął butelkę glenfiddicha i napełnił do połowy dwa plastikowe kubki (po rozwodzie Adelle zabrała ze sobą kryształ i szkło).

– Co z tymi komandosami? – zapytał, podając Jackowi drinka.

– Są już za przełęczą Nameh, na północ od Chajberu. Dalej pójda górami nieznakowanym szlakiem. Zarządzili ciszę w eterze, więc na razie nic nie

wiemy. Odezwią się, jak dotrą na miejsce, do orlego gniazda Ibrahima.

– Kiedy dzień D?

– Trudno powiedzieć, ile czasu zajmie przeprawa przez góry. Prowadzą ze sobą juczne zwierzęta... Na rendez-vous z helikopterami trzeba jeszcze poczekać co najmniej pięć, może nawet osiem dni.

– Millie musi być teraz bardzo ciężko – westchnął Leo ze współczuciem.

– Ciężko to za mało powiedziane – odparł Jack. – Z drugiej strony jeżeli wszystko skończy się dobrze...

– To musi się skończyć dobrze, Jack.

– Bez przerwy to sobie powtarzam, ale sam chyba nie bardzo w to wierzę. – Pociągnął łyk alkoholu i otrząsnął się ze wstrętem.

– Widziałeś w telewizji Marię Shaath? – zapytał Leo.

– Dali nam „przedpremierową” taśmę. Puściliśmy sobie w biurze.

– Słyszałem cały wywiad przez radio, w drodze powrotnej z Baltimore. Kiedy Ibrahim mówił, że jak przepędzą Rosjan, będzie bronił islamu przed kolonializmem w innych częściach świata, włosy stanęły mi dęba.

– Tak... Ale Shaath też nie owijała w bawełnę.

– Wtedy gdy zapytała, czy ma zamiar wypowiedzieć wojnę? – upewnił się Leo.

Wskazał Jackowi kanapę, a sam usadowił się w bujanym fotelu.

– Oczywiście chodziło mu o Arabię Saudyjską – dodał. – Jest następna na liście. – W milczeniu popijał whisky. – Nie podoba mi się to. A ten Fet...

– A właśnie... Miałem cię o to zapytać. Powiedział coś ciekawego?

– Nie przeszedł jeszcze testu wariografem. Nie wiadomo, czy nie wciska nam ciemnoty. Ale z drugiej strony...

– ...?

– Twierdzi, że goście z KGB spisali Afganistan na straty. Podobno to ściśle tajna informacja. A skoro oni uznali tę wojnę za przegraną, Sowieci wycofają się prędzej czy później... To tylko kwestia czasu i ofiar.

– No, no! Jeżeli to prawda...

– Fet utrzymuje, że kazano mu nawiązać kontakt z różnymi odłamami fundamentalistów... KGB już teraz patrzy w powojenną przyszłość Afganistanu, próbując przewidzieć, co się stanie, kiedy fundamentaliści przejmą władzę i zwrócą swoje zainteresowanie gdzie indziej.

– Gdzie indziej, czyli na Arabię Saudyjską?

– Zdaniem Feta w KGB panuje przekonanie, że można wykorzystać nienawiść fundamentalistów do Ameryki, aby podkopać jej interesy na Bliskim Wschodzie. Jeśli saudyjska rodzina królewska zostanie obalona...

– ...Rosjanie to naród eksportujący ropę – wpadł mu w słowo Jack. – Jeżeli fundamentaliści zakręcą kurek, Moskwa będzie mogła kupić posłuszeństwo krajów europejskich, zależnych od dostaw saudyjskiej ropy.

– Możliwości manipulacji ogranicza jedynie brak wyobraźni – powiedział Leo.

– A planiści KGB nigdy nie narzekali na jej brak.

– Tak – przyznał Leo, marszcząc w zamyśleniu czoło – tego na pewno im nie brakuje. – Najwyraźniej coś go niepokoiło. – Są znacznie bardziej cyniczni, niż sądziłem.

– Jak myślisz, po co Fet nawiązał kontakt z fundamentalistami?

– To proste. Za namową Feta KGB uznał, że warto zainwestować w majora Ibrahima. Namierzyli Manny'ego i mojego chrześniaka, Anthony'ego. Kazali Ibrahimowi ich porwać... Maria Shaath zaplątała się tam przez przypadek... i trzymać jako zakładników, dopóki nie dostanie

stingerów, które pozwolą mu sięgnąć po przywództwo nad tą fundamentalistyczną hałastrą.

– Ale przy okazji zestrzeli sowieckie samoloty – wtrącił Jack.

– Fet mówi, że to niewielka cena i KGB jest gotów ją zapłacić. Stingery w rękach mudżahedinów mają przekonać sowiecką wierzchość, że tej wojny nie można wygrać. Zresztą im wcześniej się skończy, tym szybciej fundamentaliści zwrócą swoje zainteresowanie w stronę saudyjskich pól naftowych. A KGB będzie pociągać za sznurki...

McAuliffe dokończył swoją whisky i podszedł do barku po następną. Wyciągnął rękę po szklanę Leo, ale ten potrząsnął przecząco głową.

– Jesteś szefem operacyjnym DD/O, stary – powiedział Jack. – Kupujesz to?

– W wywiadzie Marii Shaath jest pewien szczegół, który zdaje się potwierdzać zeznania Feta – odparł z namysłem Leo. – Pamiętasz, zapytała Ibrahima, jak to możliwe, że sowieckie samoloty ani razu nie zaatakowały jego górskiej twierdzy.

– Tak. Odpowiedział coś, ale tak cicho, że nie dosłyszałem.

– Tłumaczył, że mają dużo działek przeciwlotniczych i że Rosjanie o tym wiedzą – przypomniał mu Leo. – Ale my obaj wiemy, że takie działka są praktycznie bezużyteczne w walce z nowoczesnymi maszynami, lecącymi z dużą prędkością tuż nad ziemią.

– I dlatego chcą stingerów – podsumował Jack.

– Właśnie dlatego – przytaknął Leo.

– A to może oznaczać – powiedział Jack – że KGB rozpiął parasol ochronny nad obozem Ibrahima.

– Tak mówi Fet – potwierdził Leo.

Przez chwilę, pogrążeni we własnych myślach, sączyli w milczeniu whisky. W końcu Leo popatrzył na przyjaciela.

– Powiesz mi wreszcie, po co tu naprawdę przyjechałeś? – zapytał.

McAuliffe westchnął i pokiwał markotnie głową.

– Chciałbym, żebyś obejrzał pewną fotografię.

– Co to za fotografia?

– Dobrze, że siedzisz – odparł Jack.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął zdjęcie i podał Leo, który włożył okulary i pochyliwszy się w fotelu, przytrzymał fotografię w świetle stojącej obok lampy.

McAuliffe spostrzegł, że Kritzky wstrzymał oddech.

– A więc to j e s t Jewgienij – wyszeptał Jack.

– Skąd to masz? – zapytał Leo.

– Podziękowanie należy się twoim córkom – powiedział Jack i wyjaśnił, w jaki sposób Tessa i Vanessa zdobyły numer telefonu mieszkającej w Ameryce Polki, która działała jako bezpiecznik podającego się za Gene'a Lutwidge'a kontaktu KGB w Waszyngtonie. – Często zastanawiałem się, co porabia nasz sowiecki przyjaciel – dodał. – Teraz już wiem.

Oddychając nierówno, Leo bujał się na fotelu. Widać było, że jest wstrząśnięty.

– Z początku też nie mogłem w to uwierzyć – mówił Jack. – FBI już przydzieliło do tej sprawy pięćdziesięciu ludzi. Jeszcze trochę cierpliwości, a Jewgienij zaprowadzi nas prosto do SASZY. A jak nie starczy nam cierpliwości, to zastosujemy bardziej drastyczne metody. Dorwiemy go i sami z niego wszystko wyciśniemy. – Pochylił się nieco do przodu. – Powinieneś być dumny ze swoich córek... Hej, Leo, wszystko w porządku?

Kritzky zdobył się na krótkie kiwnięcie głową.

– Vanessa mówiła mi, że obie nad czymś pracują i że trafiły w dziesiątkę, ale nie podała żadnych szczegółów. Powinienem był się domyślić, że chodzi o Jewgienija...

– Jak mogłeś się domyślić? – spytał Jack ze zdumieniem.

Leo wstał z trudem. Fotografia wysunęła mu się z ręki i upadła na siedzenie bujanego fotela. Przykucnął i przez chwilę szukał czegoś w barku. Znalazłszy pełną butelkę, dolał sobie whisky i usiadł na kanapie obok Jacka. Utkwił niespokojny wzrok w swego najstarszego i najwierniejszego przyjaciela. I naraz podjął decyzję, wiedząc, że odtąd nie będzie już dla niego odwrotu.

– Nadeszła chwila prawdy, jak nazywają to toreadorzy i pisarze – przemówił cicho, zbyt cicho, dziwnym szeptem, w którym czaiła się groźba. – Nie musicie czekać, aż Jewgienij zaprowadzi was do SASZY... SASZA stoi tu, przed tobą.

Jack zerwał się na równe nogi. W dłoni Leo nagle zmaterializował się pistolet. Na ułamek sekundy Jackowi pociemniało w oczach, nie był w stanie wykrztusić słowa, wypowiedzieć kłębiących się w głowie myśli. Kompletnie otumaniony, opadł bezwładnie na poduszki kanapy.

– Cholera, nie strzeliłbyś do mnie... – powiedział i to było wszystko, co zdołał z siebie wydusić.

– Nie bądź taki pewien – warknął Leo. – Ale masz rację... nie zabiję ciebie. Nie mam zamiaru gnić w pudle do końca życia. Wystarczy, że cię postrzelę.

– To ty jesteś SASZĄ! – Do Jacka wreszcie dotarło, że to nie żart ani zły sen. – Angleton miał rację!

– Wyświadczyć nam obu przysługę i trzymaj ręce tak, żebym je cały czas widział – rozkazał Leo i rzucił Jackowi wyjęte z kieszeni kajdanki. – Załóż to na prawą rękę... Tylko bez żadnych sztuczek! Dobrze... Usiądź na podłodze, plecami do kaloryfera. Przypnij się do rury. W porządku. – Zajął jego miejsce na kanapie i odetchnął głęboko. – Teraz możemy pogadać, Jack.

– Jak to zrobiłeś... jak przeszedłeś te wszystkie testy wariografem?

– Środki uspokajające. Byłem tak otępiały, że mógłbym im powiedzieć, że jestem kobietą, a igła nie drgnęłaby ani na milimetr. Tylko raz zawałem... wtedy, u Angletona... Ale jakoś się wykręciłem. Orzekli, że pomieszało mi się w głowie, bo za długo trzymali mnie pod kluczem.

McAuliffe z wolna odzyskiwał zdolność myślenia. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, co się stało.

– Łajdaku! Skurwielu! Zdradziłeś nas wszystkich... swój kraj, swoją żonę, swoje córki, Firmę. Zdradziłeś m n i e, Leo... Chryste, dałem się nabrać jak idiota, kiedy chłęptałeś te szczyzny z klopa...! Wierzyłem, chciałem wierzyć, że jesteś niewinny. To twój stary kumpel Jack nie pozwolił umorzyć sprawy po lipnej egzekucji Kukuszkina. Poruszyłem niebo i ziemię, żeby sprawdzić, czy faktycznie zginął.

– Ja też brałem udział w zimnej wojnie, Jack. Ale po drugiej stronie. Pamiętasz, co powiedziałem, kiedy wyszedłem z windy w dniu mojego powrotu do Firmy, a wy zgotowaliście mi owacyjne powitanie? Powiedziałem, że służę krajowi, którego ustrój uważam za najlepszy na świecie. I nie kłamałem. Tym krajem jest Związek Radziecki.

Atmosfera w pokoju nagle zgęstniała od emocji, jakby rozgrywała się tam scena rozstania dwojga długoletnich kochanków.

– Kiedy to się stało, Leo? Kiedy nas zdradziłeś?

– Nigdy nikogo nie z d r a d z i ł e m. Po prostu walczyłem o lepszy świat. Wszystko zaczęło się w Yale... To wtedy postanowiłem służyć Związkowi Radzieckiemu i jego słusznej sprawie. Jewgienij nie pracował jeszcze w wywiadzie, ale jak każdy Rosjanin za granicą miał oczy i uszy szeroko otwarte. Wspomniał o mnie swojemu ojcu, który był agentem KGB. Powiedział mu, że moja rodzina zbankrutowała w czasie wielkiego kryzysu, że ojciec popełnił samobójstwo, skacząc z mostu Brooklyńskiego, że od dziecka wpajano mi starotestamentowe przekonanie, iż wszystko, co posiadamy, zostało skradzione tym, którzy mają mniej.

– I co dalej?

– Ojciec Jewgienija powiadomił o tym nowojorskiego rezydenta, który przysłał komunistkę Stellę Bledsoe, żeby mnie zwerbowała.

– Twoja dziewczyna Stella!

Jack spojrział na wiszącą na przeciwległej ścianie czarno-białą fotografię, zrobioną w 1950 roku po regatach wioślarskich Harvard-Yale. Nie mógł z tej odległości odczytać podpisu, ale i tak pamiętał go doskonale, bo sam to kiedyś wykaligrafował: „Jack, Leo i Stella po wyścigu, ale przed upadkiem”.

– A po co wskoczyła mi do łóżka? Mnie też musiała zaliczyć? – powiedział z sarkazmem.

– Pieprzyła się z tobą, żebym miał jakiś wiarygodny pretekst do zerwania. W centrali stwierdzili, że to konieczne, na wypadek gdyby FBI odkryło jej powiązania z Amerykańską Partią Komunistyczną. I faktycznie, Whittaker Chambers rozpoznał w niej potem wolontariuszkę, którą tuż po wojnie widywał na zebraniach partyjnych.

Jack ze złością szarpnął kajdankami, aż stalowa obręcz otarła mu skórę nadgarstka.

– Ale ze mnie dureń... Ufałem ci.

– To Stella poradziła mi, żebym zapisał się do Crew, kiedy dowiedzieliśmy się, że trener Waltz jest łowcą talentów do nowo powstałej Centralnej Agencji Wywiadowczej. Miałem się do niego zbliżyć i pozwolić się zwerbować. Resztę historii już znasz, Jack. Byłeś przy tym.

McAuliffe spojrzał bacznie na Leo, jakby wiedziony nagłą myślą.

– A co z Adelle? Też była z a p l a n o w a n a ?

Kritzky odwrócił wzrok.

– To jedna z niewielu rzeczy, których się wstydzę – przyznał. – W centrali wpadli na pomysł, że powinienem wżenić się w waszyngtoński establishment, aby przyspieszyć swoją karierę i zdobyć dodatkowe źródła informacji. Wybrali dla mnie Adelle, z tej prostej przyczyny, że pracowała dla Lyndona Johnsona, a jej ojciec był człowiekiem bogatym i wpływowym... no i miał dojście do Białego Domu. Rezydentura zaaranżowała nasze pierwsze spotkanie. Pomyśleli o wszystkim...

– Przecież poznaliście się przypadkiem, u weterynarza – zdziwił się Jack.

Leo posępnie skinął głową.

– Kiedy Adelle była w pracy, włamali się do jej mieszkania i zrzucili kota z czwartego piętra. Ja wybrałem ze schroniska starego psa i nakarmiłem go taką ilością trutki na szczury, że się rozchorował. Zaprowadziłem go do weterynarza, wiedząc, że zjawi się tam również Adelle ze swoim kotem. Gdyby to nie wypaliło, musielibyśmy wykombinować coś innego, ale sprawa naszego małżeństwa była w zasadzie przesądzona.

Jack, oszołomiony, pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Prawie mi cię żal, Leo.

– Z czasem pokochałem ją naprawdę – powiedział Leo. – Uwielbiam moje córki... Nigdy nie przyjąłem ani grosza, Jack! – wybuchnął nagle. – Nadstawiałem karku za pokój, za lepszy świat. Nie zdradziłem mojego kraju. Poświęciłem się walce o wyższe cele... obowiązywała mnie lojalność... musiałem myśleć globalnie.

– A ten przekręt z AE/PINAKLEM? Pytam z czystej ciekawości... Nasłaliście na nas Kukuszkina. Twój przełożeni praktycznie podali nam ciebie na srebrnej tacy... Nie baliście się ryzyka? Przecież mogliśmy uwierzyć, że jesteś SASZĄ.

– To proste – odparł Leo. – Dzięki wnikliwej analizie spalonych i udanych operacji Angleton systematycznie wykreślał kolejne osoby z listy podejrzanych. Moje nazwisko było wszędzie. W Moskwie zauważono, że Matka niebezpiecznie zbliża się do rozwiązania zagadki, więc mój oficer prowadzący napuścił na was AE/PINAKLA, chcąc zmusić Angletona, żeby rzucił podejrzenie na mnie. Kukuszkina zostałby zdemaskowany nawet bez pomocy Rabbiego. Oskarżenia przeciwko mnie i tak by upadły, a Angleton byłby skończony. Upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Dokąd teraz pójdziesz, Leo? Jewgienij jest obserwowany dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie uda ci się wymknąć.

– Ucieknę... i Jewgienij też. Mamy plan awaryjny na wypadek takich sytuacji. Musimy tylko zyskać na czasie, dlatego przykułem cię kajdankami do kaloryfera. Jutro rano zadzwonię do Elizabet i powiem jej, gdzie jesteś.

– A więc tak to się skończy – powiedział gorzko Jack.

– Niezupełnie. Jest jeszcze jedna sprawa. Chciałbym ci przekazać pewne tajemnice. – Leo nie mógł się powstrzymać od ponurego uśmiechu, kiedy spostrzegł niedowierzanie, malujące się w oczach Jacka. – Związek Radziecki rozpada się. Gdyby nie eksport ropy i ogólnoświatowy kryzys energetyczny, radziecka gospodarka załamałaby się prawdopodobnie już

ładnych parę lat temu. Zimna wojna wygasa. Ale po mojej stronie barykady stoją ludzie, którzy chcą ją zakończyć z wielką pompą. I tu właśnie na scenę wkracza CHOŁSTOMIER...

– A więc CHOŁSTOMIER nie jest tylko wymysłem Angletona!

– Zdradzę ci tę tajemnicę, Jack. Od początku miałem skrupuły, ale nie byłem pewien, co powinienem zrobić... aż do mojej dzisiejszej rozmowy z Fetem. Bo kiedy usłyszałem, że KGB zamierza oddać stingery w ręce ludzi, którzy będą z nich strzelać do Rosjan, kiedy dowiedziałem się, że kazali porwać mojego chrześniaka... – Twarz Leo wykrzywił grymas udręki. – Dla mnie, Jack, to tak, jakby palec Anthony’ego amputowali osobiście ludzie z KGB. – Zaczął mówić szeptem. – To przelało kielich goryczy. Co za dużo, to niezdrowo! Posłuchaj uważnie...

Jack pomału odzyskiwał swoje ironiczne poczucie humoru.

– Możesz mnie uważać za słuchacza mimo woli – zauważył sucho.

– Andropow umiera, Jack. Z tego, co słyszałem... zarówno w Firmie, jak i od Dziadka... sekretarz generalny nie zawsze zachowuje przytomność umysłu...

– Chcesz powiedzieć: brakuje mu piątej klepki.

– Miewa przeblęski świadomości, ale miewa też okresy, gdy jego wyobraźnia bierze górę, i wtedy widzi świat nieco wypaczony. Właśnie teraz przechodzi fazę wypaczonego postrzegania świata. Andropow jest przekonany, że Reagan i Pentagon planują prewencyjny atak nuklearny na Związek Radziecki...

– To niedorzeczne i ty dobrze o tym wiesz – przerwał mu gwałtownie Jack.

– Mówiłem im, że to bzdura. Ale mam powody podejrzewać, że moje raporty są fałszowane w celu dostarczenia dowodów na poparcie paranoi

Andropowa.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Domyśliłem się po pytaniach, jakie przysyłają mi z centrali. Przez cały czas wałkują sprawę ABLE ARCHER 83... Chcieli się dowiedzieć, czy Pentagon mógłby ukryć przed CIA plany takiego uderzenia. Powiedziałem im, że to absolutnie niemożliwe, ale oni w kółko męczą mnie o to samo. Mówią, że musiałem coś przeoczyć. Mam rozkaz jeszcze raz wszystko przeanalizować.

– A gdzie w tym wszystkim CHOŁSTOMIER? – spytał Jack.

– CHOŁSTOMIER jest odpowiedzią Moskwy na ABLE ARCHER 83. Andropow wierzy święcie, że pierwszego grudnia Stany Zjednoczone przystąpią do ataku, i już podpisał Dziadkowi zgodę na rozpoczęcie operacji... Chcą zalać dolarami rynek transakcji gotówkowych i doprowadzić do krachu amerykańskiej gospodarki.

– Nie jestem ekonomistą – powiedział Jack – ale będą potrzebowali mnóstwo zielonych, żeby zachwiać rynkiem.

– Mają mnóstwo dolarów – odrzekł Leo. – Dziadek od lat gromadził twardą walutę na zagranicznych kontach i teraz dysponuje sumą przekraczającą sześćdziesiąt miliardów. Dodaj do tego wysoko postawionych agentów, którzy w chwili, gdy dolar zacznie lecieć na pysk, zaczną skutecznie naciskać na główne banki w strategicznych punktach na całym świecie, żeby pozbyły się pasywów zamrożonych w amerykańskich papierach wartościowych. W dniu D mam obserwować reakcję Banku Rezerwy Federalnej i ruchy na rynku obligacji. Cała operacja może wymknąć się spod kontroli... Im bardziej będzie spadał dolar, tym większa panika ogarnie ludzi, którzy zaczną wyprzedawać dolary i obligacje, żeby uchronić się przed ruiną. Przynajmniej na to właśnie liczy Dziadek.

– Znasz tożsamość tych „wysoko postawionych agentów”?

– Nie. Ale wiem, w których krajach działają. Nasze placówki...

Na twarzy Jacka pojawił się półuśmiezek.

– N a s z e?

Leo uśmiechnął się szeroko.

– Od dawna już prowadzę podwójne życie. W a s z e placówki powinny się domyślić bez większego trudu, które osobistości światowej finansjery są na żołdzie KGB.

– A jeżeli będziemy mieć wątpliwości – wtrącił Jack – zawsze możemy zlikwidować trzech lub czterech głównych kandydatów. Tak właśnie działa KGB, prawda?

Leo wybuchnął.

– Nie udawaj świętoszka, Jack! W a s z e placówki szkoliły tajną policję w Wietnamie, Argentynie, Republice Dominikany, Chile, Iraku, Iranie... Lista jest bardzo długa! W y udawaliście, że nic nie widzicie, kiedy w a s i klienci aresztowali, torturowali i mordowali swoich przeciwników politycznych. Operacja „Feniks”... pamiętasz chyba tygrysie klatki na wyspie Con Son?... zabiła lub okaleczyła blisko dwadzieścia tysięcy Wietnamczyków, podejrzanych – jedynie p o d e j r z a n y c h, Jack, nie s k a z a n y c h – o sympatyzowanie z komunistami.

– Firma odpowiadała ogniem na ogień... – upierał się Jack.

– O g n i e m na o g i e ń! – powtórzył Leo z pogardą. – To wy finansowaliście, wyposażaliście i szkoliliście armie agentów, a potem zostawialiście ich na pastwę losu... Przypomnij sobie: Kubańczycy w Miami, Khambowie w Tybecie, sumatrzeńscy pułkownicy w Indonezji,

Meosi w Laosie, Nungowie w Wietnamie, Chińczycy w Birmie, Ukraińcy w Rosji, Kurdowie w Iraku.

– Jesteś ostatnim człowiekiem, który ma prawo odwoływać się do moralności – odezwał się cicho Jack.

Leo wstał.

– Podziwiałem cię przez całe moje dorosłe życie, Jack. Jeszcze na długo przed Zatoką Świń byłeś moim bohaterem... Nie miało dla mnie znaczenia, że stoimy po przeciwnych stronach barykady. Wciąż noszę przy sobie tę fotkę z albumu studentów ostatniego roku: „Jack McAuliffe, szalony, zły i niebezpieczny”. Zawsze byłeś szalony, czasami bywałeś zły, ale nigdy nie byłeś niebezpieczny. – Leo wzruszył ramionami. – Przykro mi, Jack. – Zacisnął usta i pokiwał głową. – Przykro mi, że nasza przyjaźń musi się zakończyć w ten sposób...

Jack przypomniał sobie, jak Leo napełnił wodą z muszli klozetowej cynowy kubek i zaczął pić, po czym, odwracając się do niego, wyszeptał spierzchniętymi wargami: „Odpiardol się, Jack”. Już miał na końcu języka: „Odpiardol się, Leo”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i powiedział tylko:

– Czas ci ucieka, stary.

– Masz rację. – Kritzky wyciągnął z szafki plastikową torbę lotniczą, włączył radio i podkręcił głośność. – Posłuchaj no, Jack! – zawołał od drzwi. – Moi radzieccy przyjaciele nie rozgłoszą mojej zdrady, jeśli tylko uda mi się ich powstrzymać... Chcę ochronić dziewczyny i moją byłą żonę. Poza tym nie powiedziałem centrali o komandosach. Na Boga, mam nadzieję, że to wypali.

McAuliffe nie potrafił się zdobyć na słowa podziękowania dla SASZY; prędzej by się udławił. Ale uniósł wolną rękę na znak, że docenia tę ostatnią

przysługę.

Chudy, czarnoskóry dzieciak, wystrojony w obcisły czerwony kombinezon z firmowym nadrukiem „Latrell”, energicznie potrząsnął głową. Co mi tu pan... nie ma mowy o żadnej pomyłce, upierał się. W życiu. Przekartkował plik zamówień i wyjął to, którego szukał. Proszę tu spojrzeć, mister, powiedział. Jedna neapolitańska bez oliwek... Tysons Corner, numer domu się zgadza, tak? Mieszkanie nad garażem, przy końcu podjazdu? To nie ma siły. Pan zamawiał i koniec.

Tak, to ja, przyznał Jewgienij. Jakie nazwisko masz na zamówieniu?

Dodgson, odczytał chłopak, trzymając kartkę w smudze światła, padającej zza uchylonych drzwi. Pan jest Dodgson?

Jewgienij sięgnął po pizzę. Ile?

Pięć pięćdziesiąt.

Jewgienij wysupłał z kieszeni siedem dolarów i kazał dzieciakowi zatrzymać resztę. Zamknął drzwi i oparłszy się o nie plecami, czekał, aż serce przestanie mu walić. Pizza na nazwisko Dodgson – nazwisko, które porzucił dwadzieścia dwa lata temu, gdy jego tożsamość została spalona – była sygnałem alarmowym od SASZY. A to oznacza, że świat wali się im na głowę... Amerykanie rozszyfrowali kontakt SASZY. Agenci FBI obserwowali go pewnie dzień i noc. Stopniowo Jewgienij odzyskiwał zdolność logicznego myślenia. Bez paniki, mruknął sam do siebie, trzymaj się faktów. A faktem jest, że go nie aresztowali. To dobry znak... Pewnie liczą na to, że zaprowadzi ich do SASZY. Czyli jeszcze nie wiedzą, kto to jest. A skoro tak, to przeciek nastąpił gdzieś pomiędzy rezydenturą a Jewgienijem... najślabsze ogniwo... Aida Tannenbaum!

Szczęśliwie dla Jewgienija SASZA dowiedział się o wszystkim wcześniej i zdążył go ostrzec. Dobrze więc. Będzie udawał, że kładzie się

spać, jak co dzień o tej porze... Zostawi rolety zaciągnięte tylko do połowy, żeby ten, kto go obserwuje przez lornetkę, widział, że zachowuje się normalnie, jakby nic się nie stało.

Odkroił kawałek pizzy i zmusił się do jedzenia, oglądając końcówkę jakiegoś filmu na małym, przenośnym telewizorze. Przebrał się w piżamę i umył zęby, wyłączył światło i wrócił do niewielkiej sypialni. Jeszcze przez kwadrans czytał w łóżku *Lekcję anatomii* Philipa Rotha, ale nie był w stanie skupić się na lekturze, bo głośny szum tętna w skroniach zagłuszał myśli. Ziewając, odłożył książkę i nakręcił budzik. Po chwili wstał, poczłapał do okna i zaciągnął rolety, a potem wsunął się pod prześcieradło i wyłączył lampkę na nocnej szafce.

W całkowitych ciemnościach każdy odgłos brzmiał jak wystrzał. Co piętnaście minut przez pobliską Broad Street przejeżdżał nocny autobus. Nieco po północy Jewgienij usłyszał zgrzyt bramy w garażu, a później warkot samochodu na podjeździe. O dwunastej dwadzieścia pięć sąsiad z domku obok wrzasnął na psa, żeby się wreszcie wysikał, na miłość boską! Jewgienij leżał bez ruchu, układając sobie w głowie najróżniejsze scenariusze, dopóki podświetlona wskazówka budzika nie zatrzymała się na godzinie trzeciej. Wówczas, poruszając się bezszelestnie, narzucił ubranie i płaszcz, po czym, z butami w rękę, w samych skarpetkach, poszedł do łazienki. Spuścił wodę w klozecie – mieszkanie mogło być na podsłuchu – i korzystając z hałasu, otworzył okienko, które wychodziło na spadzisty dach przybudówki na tyłach garażu. Zsunął się po pochyłości i ostrożnie zszedł po rynnie. Włożył buty, zawiązał sznurówki, przykucnął w cieniu i przez chwilę nasłuchiwał. Noc była chłodna; z każdym oddechem unosiła się chmura pary. Z sypialni sąsiedniego domu dobiegł go czyjś suchy kaszel. Lampka się zapaliła i zaraz potem zgasła. Po jakimś czasie Jewgienij wstał i przeszedł przez podwórko, kryjąc się w cieniu wysokiego

drewnianego płotu, który oddzielał ogródek od wybrukowanego boiska do koszykówki na terenie sąsiedniej posesji. Przeskoczył przez ogrodzenie i przecisnął się bokiem pomiędzy dwoma garażami. W połowie drogi, pod zabitym deskami oknem, namacał wyszczerbioną cegłę. Wyjąwszy ją delikatnie, wsunął rękę w otwór i wyciągnął niewielką paczuszkę, szczelnie owiniętą plastikową folią.

Dwadzieścia minut później Jewgienij wszedł do nocnej drogerii na Broad Street. Zamówił kawę i pączka, a potem podszedł do wiszącego w kącie automatu. Po pamiętnym spotkaniu w „Barbizon” podarł i wyrzucił nowy numer Aidy, ale zapamiętał jej adres: Corcoran Street 47. Zadzwoił do informacji i poprosił o numer pani Tannenbaum, mieszkającej pod tym adresem. Po dwunastym sygnale rozległ się w słuchawce zaspany głos Aidy.

– Kto mówi? – zapytała.

Jewgienij wiedział, że jej telefon jest na podsłuchu, ale uznał, że to bez znaczenia, bo jeżeli będzie rozmawiał krótko, nie zdążą go namierzyć. A zresztą... n i c już nie miało znaczenia.

– To ja, moja piękna pani.

Usłyszał stłumiony okrzyk.

– Musiało się stać coś bardzo złego, skoro dzwonisz o tej porze – wyszeptała Aida.

– Tak. Stało się coś złego.

– Och!

– Muszę się rozłączyć, zanim sprawdzą, skąd dzwonię.

– Aż tak źle?

– Jesteś wspaniałą kobietą, Aido, odważną bojowniczką, bohaterką. Zawsze miałem dla ciebie wiele szacunku. – Jewgienij bardzo nie chciał

odkładać słuchawki... – Pragnę coś dla ciebie zrobić – wypalił w pośpiechu.

– Możesz. Rozłącz się natychmiast. Biegnij szybko, drogie dziecko. Ratuj się. I pamiętaj o mnie, tak jak ja pamiętam o tobie.

Aida przerwała połączenie. Jewgienij stał jeszcze przez chwilę, wsłuchany w odległy sygnał telefonu, po czym odwiesił słuchawkę i chwiejnym krokiem podszedł do lady, żeby dokończyć kawę i pączka. Zerknął na zegarek. Za dwie i pół godziny spotka się z SASZĄ we wcześniej umówionym miejscu.

Aida wiedziała, że powinna być przerażona, ale czuła tylko ogromną ulgę. Za chwilę będzie już po wszystkim. Tyle lat... zablokowała krzesłem klamkę u drzwi i powłokła się korytarzem do wąskiej, ciasnej kuchni. Tutaj też zastawiła drzwi, zatykając gazetami wszystkie szpary, a potem odkręciła gaz w czterech palnikach i w piecyku. Troskliwie wyjęła Sylwestra z koszyka, wyściełanego starą nocną koszulą, wzięła go na ręce, usiadła przy stole. Z uśmiechem głaskała wyleniałe futerko ukochanego przyjaciela, który mruczał głośno, zadowolony z pieszczoty. Zdawało jej się, że słyszy pisk opon parkującego na ulicy pod oknem samochodu. Przypomniała jej się tamta noc, kiedy gestapo zrobiło nalot na magazyn, w którym komuniści z ruchu oporu urządzili tajną drukarnię. W uszach zabrzmiał jej płacz małego Alfreda, rozpaczliwy krzyk przerażonego dziecka, odrywającego od matki... Czy to zgrzytnęła winda, czy tylko jej się wydawało? Czuła się bardzo, bardzo zmęczona. Ktoś zaczął walić pięściami do drzwi. Oparła głowę na rękach, próbując przywołać w wyobraźni twarz syna, ale ujrzała tylko swojego kochanka, Jewgienija, jak schyla się, by pocałować ją w rękę.

Drzwi wejściowe runęły z trzaskiem, wyważone z zawiasów.

Rozkoszując się myślą, że jej czas nareszcie dobiegł końca, Aida sięgnęła po zapalki.

JATTRIB, PIĄTEK, 18 LISTOPADA 1983

Karawana jucznych wielbłądów – trzy niosły płócienne juki z żywnością, wodą pitną i amunicją, a dwadzieścia pięć długie, drewniane skrzynie – przeprowadziła się przez wartko płynący strumień. Dwunastu uzbrojonych po zęby arabskich pasterzy w kefiach nasuniętych pod same oczy dla osłony przed kurzem, jaki wzbijały kopyta wierzchowców, chwyciło grubą linę, przywiązaną do na wpół zanurzonego w wodzie sowieckiego czołgu. Przeciagnęli ją do rosnącego na przeciwległym brzegu drzewa i ustawili się w równych odstępach wzdłuż tej prowizorycznej poręczy, żeby asekurować przechodzące wielbłądy, w razie gdyby któreś ze zwierząt się potknęło. Gdy cała karawana bezpiecznie znalazła się po drugiej stronie, zarządzono postój na posiłek. Muzułmanie pokładli się na gołej ziemi, twarzą w stronę Mekki, i zaczęli odprawiać modły. Inni zajęli się parzeniem zielonej herbaty w kociołku, zawieszonym nad niewielkim ogniskiem. Częstowali się nawzajem surową cebulą, *houmos*^[50] z puszki i kromkami czerstwego chleba, upieczonego poprzedniego dnia w płytkich dołach wykopanych w ziemi. Nawet jeśli któryś zauważył dwóch Pasztunów, obserwujących ich przez lornetkę ze szczytu wysokiego urwiska, nie dał tego po sobie poznać. Kiedy skończyli jeść, rozsiedli się pod drzewami. Jedni drzemali, inni palili papierosy. Na pięć minut przed planowaną godziną wymarszu szczupły Egipcjanin w lustrzanych okularach i polowym mundurze koloru khaki wstał i pokrzykując coś po arabsku, zaczął zaganiać wielbłądy, które rozpierzchły się, skubiąc trawę. Gdy karawana była gotowa do drogi, poganiacze smagnęli wielbłądy brzożowymi witkami i juczny pociąg ruszył

stromą ścieżką pod górę. Po kilku godzinach dotarli do wylotu skalistego wąwozu, gdzie zarządzono kolejną przerwę na modlitwę. Wtedy z doliny wyjechało konno dwóch Pasztunów i jeden Irakijczyk, który powitawszy podróżnych kwieciście na arabską modłę, zaczął rozmawiać z naczelnikiem. Towarzyszący mu ludzie otworzyli na chybił trafił kilka skrzyń. Każda zawierała troskliwie zapakowanego stingera ze znakami U.S. Army oraz instrukcję obsługi w języku angielskim. Naczelnik, wraz z kilkoma poganiaczami, wyszkolonymi przez CIA w zakresie obsługi broni, miał po dostarczeniu przesyłki do obozu pozostać tam jeszcze tydzień lub dwa, żeby przeszkolić nieobeznanych z nowoczesną techniką mudżahedinów. Pasztunowie, zadowoleni, ruszyli przodem w kierunku skalnego gardła i po chwili karawana wkroczyła do długiego kanionu, który wkrótce zmienił się w szeroką, płaską dolinę. Po drodze mijali ruiny osad, zagubionych w gęstwie dzikiej winorośli. Tuż przed zachodem słońca dotarli do otoczonego murem obozu, położonego na samym końcu szlaku. Nad glinianym meczetem wznosiła się wieżyczka minaretu, z której dobiegał jękliwy głos muezina, wzywającego wiernych na wieczorną modlitwę. Z kamiennych domków, przytulonych do urwiska, wychodzili grupkami Pasztunowie. Ci najpobożniejsi udawali się do meczetu, reszta stłoczyła się wokół przybyszów, żeby obejrzeć stingery, rozłożone na wojskowym pledzie.

Na placu pojawił się Ibrahim, w krótkim kozuchu bez rękawów i pasztuńskiej czapce z amuletem chroniącym przed snajperskimi kulami. Zza uchylonych drzwi nieśmiało wyglądały zaciekawione dzieci. Uśmiechając się szeroko, powitał naczelnika karawany i zaproponował mu nocleg w swoim domu. Egipcjanin podziękował kwieciście, dodając, iż nie chciałby nadużywać gościnności gospodarza. Mój dom jest twoim domem,

odparł Ibrahim, nalegam, abyś przyjął naszą skromną gościnę, gdyż tylko tak mogę okazać, jak szczerą i głęboką jest moja wdzięczność.

To rzekłszy, przecisnął się przez tłum i przykucnął nad leżącym na kocu stingerem. Mudżahedini cieszyli się jak dzieci na widok nowej zabawki: nieśmiało wyciągali ręce, żeby pogłaskać broń, która zniszczy sowieckie samoloty, zanim ktokolwiek zdąży je zobaczyć. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na Araba, który pod osłoną nadchodzącej nocy podszedł do bramy i zatrzasnął oba skrzydła ogromnych, podwójnych wrót. Poganiacze, zdjąwszy z ramion karabiny, rozproszyli się po całej wiosce: kilku podeszło do koryta z wodą, stojącego przed wejściem do meczetu, dwaj inni leniwym krokiem ruszyli w stronę budynku, w którym zamknięto więźniów.

Nagle Ibrahim wciągnął nosem mroźne powietrze i przebierając palcami lewej dłoni w sznurach paciorków, wyprostował się powoli. Dopiero teraz spostrzegł, że podwójne wrota, o tej porze zwykle jeszcze otwarte szeroko, żeby modlący się w meczcie mudżahedini mogli wrócić do swoich wiosek, zostały zamknięte. Mrużąc oczy w zalegającym dokoła zmroku, zauważył, że Arabowie rozpierzchli się po obozie. Szepnął coś do swego Cienia, który stanął tuż za nim i zacisnął palce na rękojeści zatkniętego za pas sztyletu. Niepokój Ibrahima udzielił się zgromadzonym na placu Pasztunom. Wstawali jeden po drugim, wpatrzeni czujnie w milczące ciemności.

Znad krawędzi urwiska doleciał wyraźny warkot nadlatujących helikopterów. Ibrahim krzyknął na alarm, ale Arabowie już otworzyli ogień. Jeden z pierwszych strzałów raził majora w bark i powalił go w ramiona Cienia. Żółty kanarek zatrzepotał skrzydełkami i wyrwał się na wolność, ciągnąc za sobą kolorową tasiemkę. Helikoptery zeszły niżej i nad obozem zabłyśły światła reflektorów niczym ślepie ogromnych owadów. Z otwartych włączów rzygnęły ogniem amerykańskie gatlingi. Jeden

helikopter wylądował na ziemi, wzbijając tumany kurzu, drugi zawisł w powietrzu nad meczetem i bombardował pociskami z fosforem leżącą poniżej obozu wioskę i ścieżkę prowadzącą do fortecy Ibrahima. Z domów dobiegały wrzaski przerażonych kobiet. Mudzahedini na placu, ledwo widoczni w unoszącej się wokół chmurze pyłu i dymu, padali jeden po drugim w krzyżowym ogniu karabinów. Naczelnik karawany przyklęknął, bez pośpiechu zmienił magazynek i zaczął strzelać do wysypujących się z meczetu Pasztunów. Potem, rzuciwszy po hebrajsku rozkazy komandosom, ruszył w stronę jęczącego na ziemi Ibrahima.

– Brać go żywcem! – zawołał ktoś po angielsku.

Cień wyciągnął nóż i z niemym pytaniem w oczach pochylił się nad swoim dowódcą.

– Przysięgałeś... – wycharczał ranny.

Gdzieś obok znów rozległ się terkot karabinu, brzmący w uszach Ibrahima niby odległe bicie bębnow, obwieszczających jego przybycie do raju. Wkrótce zasiądzie po prawicy Proroka, wkrótce będzie rozmawiał z Bogiem, który jest jeden i prawdziwy. Ujrzał proroka Ibrahima, jak przykładą nóż ofiarny do gardła swego syna Izmaela na czarnym kamieniu w samym sercu Kaaby. Już wiedział, co powinien uczynić, już się nie wahał. Szepcząc *Chahez mikonam, lotfi konin*, błagam cię, wyświadcź mi tę przysługę, chwycił lewą dłonią rękę swego Cienia i łagodnie przyciągnął do szyi lśniące ostrze z damasceńskiej stali.

W więzieniu na strychu zakładnicy, usłyszawszy strzelaninę, skulili się w kącie izby. Zaraz potem usłyszeli trzask wyłamywanych drzwi.

– To komandosi – powiedział Anthony. – Ale kto nas dostanie pierwszy: Ibrahim czy tamci?

Na dole ktoś przystawił drabinę do ściany. Skrzypnęły drewniane szczeble. Anthony chwycił mały blaszany piecyk i wstrzymał oddech. Klapa w podłodze odskoczyła i oczom więźniów ukazał się mężczyzna o twarzy osłoniętej kefią, trzymający palec na spuście izraelskiego uzi. Maria krzyknęła. Anthony już miał spuścić piecyk na głowę intruza, gdy ten odezwał się wesoło nieskazitelną angielszczyzną.

– Może kogoś podrzucić helikopterem do Pakistanu?

W otoczonej wysokim murem willi przy Jamrud Road, peszawarskiej siedzibie Firmy, młody radiotelegrafista pochylał się nad aparatem, nastawiając go na ustaloną częstotliwość. Cały zespół, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, od tygodnia nasłuchiwał oczekiwanego sygnału. I nagle przez zwykłe szумы i trzaski przebił się ludzki głos, powtarzający jedno zdanie:

– Obiecał kolczyki, ale tylko przekłuł mi uszy. Powtarzam. Obiecał kolczyki, ale tylko przekłuł mi uszy...

Radiotelegrafista zerknął do notesu i przejechał kciukiem po liście zakodowanych zdań, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Pognał przez labirynt korytarzy i wpadł jak bomba do gabinetu szefa placówki, który po porwaniu zastąpił Manny'ego.

– Helikoptery przerwały ciszę w eterze – wypalił bez tchu.

– I co?

– Przesłali wiadomość „misja zakończona”. Już tu lecą.

– Zszyfruj wiadomość i wyślij ją do Waszyngtonu – polecił szef placówki.

Z uczuciem nieopisanego ulgi odchylił się na krześle. Chryste, nareszcie! Izraelczycy dopięli swego... W Langley poleje się szampan, kiedy dowiedzą

się, że śmigłowce wracają do domu. Boże, dzięki Ci, że nie skończyło się tak samo jak próba odbicia amerykańskich zakładników w Teheranie za Cartera.

Mudżahedinów, którzy ocaleli z ataku izraelskich komandosów, czekała jeszcze jedna niespodzianka. Gdy próbowali uruchomić stingery, odkryli, że mechanizm odpalający został usunięty, a ich wymarzona broń nadaje się tylko na złom.

Spotkali się o brzasku w kościele baptystów na Szesnastej Ulicy przy Scott Circle. Kiedy Jewgienij wślizgnął się do ostatniej ławki i usiadł obok Leo, w ciemnym o tej porze wnętrzu świątyni było oprócz nich jeszcze tylko troje wiernych, pogrążonych w porannej modlitwie. Po krótkim milczeniu Leo wyszeptał ochrypłym głosem:

– Wiedzieliśmy, że kiedyś musi nastąpić koniec.

– To była długa zimna wojna – mruknął Jewgienij.

Myślał o Aidzie Tannenbaum. Wciąż słyszał jej cichy, drżący głos: „Muszę się przyznać, Eugene, że jestem już zmęczona. Odkąd pamiętam, walczyłam to tu, to tam, na różnych liniach frontu”.

Leo schylił się, rozsunął zamek błyskawiczny torby lotniczej, którą trzymał pod nogami, i wręczył Jewgienijowi niewielką paczkę.

– Od lat przechowuję to w łazience pod podłogą... Wyjdziemy stąd jako księża... Mam tu czarne koszule, białe koloratki, peruki, okulary... Ta kozia bródka jest dla mnie, ty weź tę długą, siwą. Własny brat cię nie pozna.

– Własny brat i tak ledwo mnie poznał, kiedy byłem na urlopie w Moskwie – zauważył Jewgienij; wyjął z kieszeni płaszcz szarą kopertę.

– Paspordy, prawa jazdy i gotówka – powiedział.

– Przebierzemy się w zakrystii – mówił dalej Leo. – Przy odrobinie szczęścia Firma ruszy w pogoń za moim chevroletem. My tymczasem pojedziemy metrem na dworzec autobusowy i złapiemy połączenie do Baltimore, a potem przesiądziemy się na pociąg do Buffalo, gdzie przekroczymy granicę kanadyjską. Mam awaryjny adres w Toronto. Możemy się tam zatrzymać, dopóki nie przemycą nas na jakiś statek.

– Co zrobiłeś z samochodem? – spytał Jewgienij.

– Zostawiłem na parkingu w Dulles i wróciłem autobusem wahadłowym. Zanim znajdą wóz, będziemy już daleko.

– Domyślasz się, jak nas namierzili?

Leo nie widział powodu, żeby mieszać do tego swoje córki, więc udzielił wymijającej odpowiedzi.

– Dotarli do tej Polki – rzucił obojętnym tonem.

Jewgienij palnął się w czoło.

– Rozumiem... Ona umiera na raka, Leo. Błagała, żebym się z nią spotkał.

– Co się stało, to się nie odstanie. Zrobili ci fotkę. Jackowi wydawało się, że cię rozpoznał. Wczoraj wieczorem przyjechał do mnie specjalnie po to, żeby mi pokazać to zdjęcie.

– Co zrobiłeś z Jackiem?

– Zostawiłem go przykutego kajdankami do kaloryfera.

– Skoro przyszedł z tym do ciebie – mruknął Jewgienij – to pewno nie podejrzewał, że jesteś SASZĄ.

– Powiedziałem mu – odparł Leo. – Też zaczynałem mieć dosyć tej gry.

– W tym musi być coś więcej...

– Reagan i Pentagon nie planują żadnego uderzenia, Jewgieniju – przerwał mu Leo, zniecierpliwiony. – Andropow ma nie po kolei w głowie, jeżeli tak uważa. Nie chcę patrzeć, jak Dziadek i Andropow pogrążają świat w chaosie.

– Zawsze byłeś wrogo nastawiony do CHOŁSTOMIERA. Widziałem to w twoich oczach, ilekroć o tym rozmawialiśmy.

– Zimna wojna dobiega końca i to my ją przegrywamy... Radziecka gospodarka gnije od środka. CHOŁSTOMIER nie ma sensu. Rosnące obszary nędzy, kraje Trzeciego Świata zepchnięte z powrotem do epoki kamienia łupanego, setki milionów zrozpaczonych ludzi... Po co? W imię czego?

– Racja jest po naszej stronie, Leo – odparł stanowczo Jewgienij. – To my byliśmy zawsze te dobre chłopaki. Socjalizm ma wiele wad, ale ja nadal wierzę, że przewyższa wszystko, co może ludzkości zaoferować zachodnia cywilizacja. Kapitalizm jest z założenia dekadentki. Odsłania nasze najgorsze cechy...

Leo wlepił w Jewgienija palące, czarne oczy.

– Nigdy nie miałeś cienia wątpliwości?

– Tylko jeden jedyny raz – przyznał Jewgienij. – Wtedy, kiedy spotkałem się z Philbym w Gettysburgu, aby przekazać mu, że Burgess uciekł razem z Macleanem. Dziadek chciał, żeby Philby też uciekł, ale on odmówił. Powiedział, że jakoś się wykręci... że dopóki się nie przyzna, nie mogą tknąć go nawet palcem. To jego własne słowa: „Nie tkną mnie nawet palcem”. Od tamtej pory często wracałem w myślach do tej rozmowy. Jakby zacięła się płyta... Przyszło mi do głowy pytanie, które bałem się zadać, bo wówczas musiałbym na nie odpowiedzieć.

– Odpowiedz na nie teraz.

Jewgienij przypomniał sobie, co powiedziała Aza Izanowna, kiedy zadzwonił do niej, będąc ostatnim razem w Moskwie: „Na jakim ty świecie żyjesz? Już w latach trzydziestych Stalin wymordował chłopów, wymordował swoich partyjnych towarzyszy... Dopiero wojna go powstrzymała, ale nie na długo. Potem przyszedł czas na Żydów...”

– Ustrój, dla którego szpiegował Philby, nie miałby problemów z wyduszeniem zeznań z kogoś takiego jak on – przyznał Jewgienij.

– Ustrój, dla którego szpiegował Philby, nie potrzebowałby żadnych zeznań, żeby zaciągnąć go do podziemi na Łubiance i posłać mu kulkę w tył głowy.

– Rewolucja od samego początku była atakowana ze wszystkich stron – odparł zapalczywie Jewgienij. – Toczyła śmiertelny bój z bezlitosnym wrogiem...

Leo przerwał mu szorstko.

– Zbyt często szukamy wymówek dla swoich czynów. Usprawiedliwiamy własne wady, a potępiamy naszych przeciwników. – Zerknął na zegarek. – Zaraz zacnie świtać. Odłóżmy tę wiwisekcję na inną okazję, będziemy mieć mnóstwo czasu. Przed nami całe życie... Powinniśmy się zbierać.

– Tak – zgodził się Jewgienij i dodał z goryczą: – *Za успех naszego bieżnadiożnogo dieła!*

Leo skinął z determinacją głową i powtórzył za nim po angielsku:

– Za zwycięstwo naszej beznadziejnej sprawy!

Wczesnym przedpołudniem Leo zadzwonił do domu Jacka z budki telefonicznej na dworcu autobusowym w Baltimore.

– Millie? To ja, Leo.

– Och, Leo, słyszałeś...

– Co takiego?

– Ebby zadzwonił do mnie kilka minut temu. Dopiero co się rozłączył. Helikoptery wylądowały w Peszawarze. Anthony jest cały i zdrowy... – Głos jej się załamał. – Czuje się dobrze – dodała słabo. – Wraca do domu.

– To wspaniale. Kocham tego waszego dzieciaka. Cieszę się, że jest już bezpieczny. Powiem ci coś i mam nadzieję, że w przyszłości będziesz o tym pamiętać: to najszczęśliwsza chwila mojego życia.

– Jesteś cudownym ojcem chrzestnym, Leo.

– Nie byłbym tego taki pewien... – zaczął, ale Millie mu przerwała.

– Najśmieszniejsze jest to, że nikt nie ma pojęcia, gdzie jest Jack. Kiedy nie wrócił na noc, pomyślałam, że został w Langley, by śledzić losy ataku komandosów, ale Ebby powiedział, że go z nimi nie było. – Zamilkła nagle, jakby coś ją tknęło. – Myślisz, że powinnam się o niego martwić?

– Nie, nie ma powodu. Właśnie dlatego dzwonię... Jack spędził tę noc u mnie. I nadal tam jest.

– Daj mi go, na miłość boską.

– Nie dzwonię z domu.

– To skąd? Hej, co się właściwie dzieje, Leo?

– Mam do ciebie prośbę, ale nie zadawaj żadnych pytań, bo i tak nie odpowiem...

Millie roześmiała się niepewnie.

– Jesteś bardzo tajemniczy.

– Jak tylko się rozłączę, zadzwoń do Ebby'ego. Z nikim innym nie rozmawiaj. Powiedz mu, że Jack jest u mnie w domu. Nic mu nie jest. Po prostu siedzi tam przykuty kajdankami do kaloryfera.

– Piłeś coś? Co tu jest grane?

– Nie musisz wiedzieć, Millie – tłumaczył cierpliwie Leo.

– Jack i tak mi powie.

– Jack ci nic nie powie. Prawdopodobnie nikt ci nic nie powie. Muszę kończyć. Dbaj o siebie. I o Jacka. Do widzenia, Millie.

– Leo! Leo...? Cóż, jak uważasz.

Jack przyjrzał się uważnie znaczkowi na kopercie. List został wysłany z Baltimore trzy dni temu pod adresem Tessy i Vanessy w Fairfax.

– Jak rany, co on tu nawypisywał? – spytała Vanessa, patrząc to na siostrę, to na Jacka. – Po cholere go niesie do Rosji? I dlaczego mamy nikomu nie pokazywać tego listu, dopóki ty go nie przeczytasz?

Jack odchrząknął.

– Dobrze, że obie siedzicie – zaczął. – Wasz ojciec... – To, co miał im powiedzieć, było tak straszne, że nie chciało mu przejść przez gardło. – Wygląda na to, że Leo szpiegował dla Związku Sowieckiego.

Vanessa wydała zduszony okrzyk.

– To nieprawda – wyszeptała Tessa. – Nie było cię przez jakiś czas... Nie zdążyli ci powiedzieć... Na pewno wysłali go do Rosji z jakimś zadaniem...

Jack ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nikt go nie w y s y ł a ł... On u c i e k ł. Jeśli uda mu się tam dotrzeć... robimy wszystko co w naszej mocy, żeby go zatrzymać... No więc, jeżeli mu się uda, poprosi o azyl w Rosji... w kraju, dla którego pracował... wobec którego jest lojalny. – Jack, załamany, opadł ciężko na krzesło. – Sam mi o tym powiedział cztery dni temu – wypalił wreszcie jednym tchem.

– Co się z nami stanie, Jack?! – wybuchnęła Vanessa.

– Nic. Nie macie z tym nic wspólnego.

– Jak tato mógł zrobić coś takiego? – zapytała Tessa z niedowierzaniem.

– Znasz go tak długo, Jack, byłeś jego najlepszym przyjacielem... Powiedz nam, dlaczego...

– Musimy się cofnąć do roku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, do krachu na giełdzie, do samobójstwa waszego dziadka. Wicie przecież, że po rewolucji wyemigrował do Ameryki... Możliwe, że był bolszewikiem i czekistą... albo stał się nim na początku lat trzydziestych. W czasach wielkiego kryzysu stracił wszystko. Widocznie rozczarował się do kapitalizmu, a wasz ojciec odziedziczył po nim skłonność do radykalizmu i niezachwianą wiarę w sprawiedliwość społeczną.

– Myślisz, że tata naprawdę uwierzył w komunizm?!

– Nie szpiegował dla pieniędzy, Tessa. Był idealistą. Rzecz w tym, że jego ideały różniły się od naszych.

– Jeżeli to prawda... – zaczęła Vanessa.

– Niestety, tak.

– Kiedy to się wyda...

– Kiedy to trafi do gazet, chciałaś powiedzieć... – dodała Tessa.

– Nic nie trafi do gazet... Nie dopuścimy do tego – odparł twardo Jack. – Właśnie dlatego Leo chciał, żebyście najpierw pokazały ten list mnie. A co do Firmy... Cóż, Leo Kritzky odszedł na emeryturę po trzydziestu paru latach lojalnej i zaszczytnej służby. A potem po prostu zapadł się pod ziemię. Po co publicznie prać te brudy? Firma ma w Kongresie wielu wrogów. Gdyby dowiedzieli się, że były szef Sekcji Sowieckiej jest kretem... Chryste Panie! Nie zostawiliby na nas suchej nitki! Nawet bez tego trudno przekonać opinię publiczną, że to, co robimy, jest potrzebne.

– Ale czy Rosjanie go nie sypną? – zapytała Tessa.

– Nie sądzę. Myślę, że Leo zmusi ich do utrzymania zdrady w tajemnicy... Chce was chronić. Powiedział mi to...

– Ciekawe, jak ich zmusi? – wtrąciła Vanessa z przekąsem.

– Nie powie im od razu wszystkiego, co wie. Nie będą mieli wyboru. Przyjmą jego warunki albo odmówi współpracy.

– Czy wyjazd taty do Rosji miał jakiś związek z naszym odkryciem? Chodzi o te numery telefonów, które wyliczyliśmy z numerów ruskiej loterii? – zapytała nagle Tessa.

– Nic z tych rzeczy. Obie sprawy w ogóle nie mają ze sobą związku.

– Przysięgnij, Jack – powiedziała Tessa.

Nie zawahał się nawet przez chwilę.

– Przysięgam... – I nagle cofnął się o kilkadziesiąt lat wstecz... W uszach zabrzmiał mu głos Czarnoksiężnika, klnącego się na grób własnej matki, że nigdy nie użył SNAJPERA i TĘCZY jako przynęty na Philby'ego. Jak łatwo kłamstwo przechodzi przez gardło szpiega! – Macie moje słowo. Serio.

Tessa wyglądała tak, jakby zdjął z jej pleców wielkie brzemię.

– Dzięki Bogu. Ciężko by było z tym żyć.

– Chyba go nienawidzę – powiedziała cicho Vanessa jakimś dziwnie beznamiętnym tonem.

– Nie mów tak – odparła Tessa. – Jesteś na niego zła. Jesteś zła na siebie, bo nadal go kochasz, chociaż czujesz, że nie powinnaś... – Popatrzyła w przestrzeń nieobecny wzrokiem. – To tak, jakby umarł, Vanesso. Będziemy w żałobie. Rozedrzemy szaty, oplakując wszystko, co mogłoby jeszcze być, ale już się nie wydarzy.

Po policzkach Vanessy popłynęły łzy.

– Nic już nie będzie takie samo.

Jack wyglądał przez okno.

– Dla nikogo z nas nic już nie będzie takie samo – mruknął.

Aktorski instynkt Reagana zadziałał natychmiast, gdy tylko prezydent spostrzegł kamery telewizyjne. Z zawodową wprawą ustawił się obok Anthony'ego i Marii Shaath pośrodku Gabinetu Ovalnego, tak że światła ze srebrnych reflektorów zatuszowały im cienie pod oczami.

– Dobre oświetlenie może ująć nawet dziesięć lat – powiedział w przestrzeń i mrużąc oczy, rozejrzał się po pokoju. – Czy ktoś mógłby zaciągnąć zasłony?! – zawołał. – Dostajemy za dużo światła z tyłu! W trakcie sesji zdjęciowej – pouczył swoich gości – patrzcie na mnie... Uśmiechajcie się w trakcie rozmowy, zresztą na pewno wiecie, co robić. – Odwrócił się do kamery. – Dobra, chłopcy, kręcimy. – Obiema dłońmi chwycił Marię za rękę i wykrzyknął szczerym, nieco zdyszonym głosem, który kochała cała Ameryka: – A niech mnie! Wszyscy lubimy szczęśliwe zakończenia, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi losy naszych rodaków!

– Możemy to powtórzyć, panie prezydencie? – zapytał jeden z kamerzystów.

– Jasne. Dajcie znać, panowie, jak będziecie gotowi.

– Nie za dużo tu nas przypadkiem? – narzekał główny realizator programu. – Trudno się skupić w tym tłoku.

Sekretarz prasowy prezydenta wyprosił za drzwi kilku urzędników i paru ludzi z tajnych służb.

– W porządku, panie prezydencie, zaczynamy.

W kącikach oczu Reagana pojawiły się zmarszczki, a na jego przystojną, męską twarz wypłynął zboląły uśmiech.

– A niech mnie! Wszyscy lubimy szczęśliwe zakończenia, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi losy naszych rodaków!

– Świetnie!

– Doskonale.

– Mam to, o co mi chodziło – mruknął z uznaniem realizator do sekretarza prasowego.

– Dzięki, że wpadliście – powiedział Reagan do ekipy telewizyjnej, odprowadzając Marię i Anthony’ego do drzwi.

Bill Casey czekał w małym prywatnym gabinecie, do którego prezydent udał się po sesji zdjęciowej.

– Gratuluję, Bill – powinszował Reagan dyrektorowi CIA. – To była świetna robota. Moje akcje w sondażach popularności skoczyły o sześć punktów.

– Należy się to panu, panie prezydencie – odparł Casey. – Ta decyzja wymagała odwagi i charakteru!

Reagan uśmiechnął się.

– Większej odwagi wymaga picie tranu. Mój ojciec zawsze serwował mi łychę na czczo i przed snem. Mówił, że to, hmm... ćwiczy silną wolę. No cóż, wy, młodzi, nie pamiętacie tych czasów... Wychowaliście się na pigułkach i mleku w proszku. – W jego oczach mignęło rozbawienie na widok zdziwionych twarzy współpracowników.

– Bill przyszedł tu, żeby złożyć panu raport w sprawie CHOŁSTOMIERA – przypominał szef sztabu prezydenta, James Baker.

– CHOŁSTOMIER to kryptonim radzieckiego spisku, mającego na celu podkopanie amerykańskiej waluty i nadwątlenie naszej gospodarki – zaczął Bill Clark.

Reagan machnął ręką na Caseya, aby kontynuował.

– Jak pan wie, panie prezydencie, w CIA już od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że Rosjanie szykują się do tej operacji. Dlatego nie daliśmy się im zaskoczyć. Bank Rezerwy Federalnej przygotował się starannie, by wesprzeć dolara z chwilą otrzymania pierwszych sygnałów o wyprzedży waluty na rynku transakcji gotówkowych. Wiedzieliśmy, że Rosjanie mają jedynie sześćdziesiąt trzy miliardy dolarów, które nasz BRF może wchłonąć bez większych trudności. Jedynym zagrożeniem był wybuch paniki i reakcja zarządców funduszy inwestycyjnych, banków oraz innych światowych instytucji finansowych na gwałtowny spadek kursu dolara. Chcąc temu zapobiec, zalaliśmy media historyjkami o determinacji, z jaką BRF broni dolara, i o tym, jak wielkie ma po temu możliwości. W rezultacie tych działań żadnej paniki nie było, a Rosjanie zawiedli się w swoich rachubach.

Reagan z powagą kiwał głową.

– A więc paniki, hmm... nie było...

– Dostaliśmy też informacje, iż sowieccy agenci, rekrutujący się spośród wpływowych osobistości, powiązanych ze światem wielkiej finansjery w Japonii, Hongkongu, na Tajwanie i w Malezji, a także pewien znany ekonomista, pozostający w bliskich stosunkach z kanclerzem Kohlem, mieli wyrzucić nacisk na swoje banki, aby pozbyły się amerykańskich obligacji skarbowych...

Reagan, który nie znoślił, by zasypywano go szczegółami, przerwał mu zjadliwie.

– Nie truj, Bill. Zaraz mi się przypomina Hitchcock i jego McGuffiny^[51]! Do rzeczy, chłopcze, do rzeczy...

– Udało nam się zneutralizować tych agentów. Jeden z nich został aresztowany pod zarzutem molestowania podwładnego, czterem

pozostałym zaproponowano bezterminowe urlopy. Nie muszę chyba dodawać, że wszyscy będą musieli poszukać sobie nowej pracy. W dniu D sami wywarliśmy nacisk na banki, by upewnić się, że nie sprzedadzą ani jednej obligacji. Można więc śmiało rzec, panie prezydencie, iż uknuty przez Andropowa plan destabilizacji naszej gospodarki zaprowadził go w ślepy zaułek.

Oczy Reagana zwężyły się.

– Myślisz, że Andropow, hmm... osobiście stał za CHOŁSTOMIEREM?

– Zakładamy, że KGB nie ośmieliłby się rozpocząć tej operacji bez specjalnego rozkazu sekretarza generalnego KPZR – odparł Casey.

– Hmmm... – Reagan był wyraźnie rozdrażniony. – Krew mnie zalewa, jak pomyślę, że Andropow miał czelność zaatakować naszą walutę.

Casey, zawsze czyhający na okazję, by zmobilizować Reagana do akcji, ożywił się.

– To może być niebezpieczny precedens – przytaknął skwapliwie. – Jeżeli pozwolimy mu się z tego wywinąć...

– Nie mogę nie przyznać ci racji – powiedział Reagan.

Casey na całego przystąpił do ofensywy.

– Andropow musi wiedzieć, że administracji Reagana nie atakuje się bezkarnie.

Prezydent jeszcze się wahał.

– Mój ojciec mawiał: nie wpadaj w złość, tylko, hmm... wyrównaj rachunki.

Casey właśnie na to czekał.

– Wyrównać rachunki... To jest myśl, panie prezydencie. Moglibyśmy uderzyć Andropowa w najczulszy punkt...

James Baker wstał.

– Chwileczkę, Bill...

– Nie chcemy działać pochopnie – wtrącił Clark.

Ale Reagan słuchał wyłącznie Caseya.

– Czuły punkt, czyli...? – zapytał.

– Afganistan. Jeżeli damy stingery mudzahedinom Ibrahima, Andropow zdrowo oberwie.

– Istotnie, trudno podejrzewać tego waszego Ibrahima o marksistowskie ciągoty – dodał Reagan. – Na pewno nie kocha Andropowa...

– Ibrahim nie żyje – zauważył Clark, ale nikt już nie zwracał na niego uwagi.

– A najśmieszniejsze – mówił dalej Casey, chcąc kuć żelazo, póki gorące – że wcale nie trzeba im wysyłać tych stingerów. O n i j u ż j e m a j ą... dokładnie pięćdziesiąt sztuk. Wystarczy, że oddamy mechanizmy odpalające...

– Powinniśmy wszystko przemyśleć jeszcze raz, na spokojnie – ostrzegął James Baker.

– Wyrównalibyśmy rachunki za Wietnam – kusił Casey. – Straciliśmy tam ponad dziewięćset samolotów, większość zestrzeliły SAM-y.

Reagan oparł policzek na zwiniętej w pięść dłoni; mały palec sterczał mu pod nosem, niczym wąsy.

– Patrząc z perspektywy – powiedział, kiwając ostrożnie głową – Bill ma sporo racji.

Zerknął na Bakera, potem na Clarka. Obaj odwrócili wzrok. Wiedzieli już, że Casey dopiął swego.

– Skoro tak pan uważa, panie prezydencie... – bąknął Clark.

Casey, który od miesięcy szukał sposobu, żeby wyposażyć mudzahedinów w stingery, posłał Bakerowi i Clarkowi jedno ze swych słynnych śmiertelnie poważnych spojrzeń.

– Szczegóły możecie zostawić mnie.

Zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Ostry wiatr zamiatał liście na Pennsylvania Avenue przed Białym Domem. Anthony, lekko kulejąc, szedł z Marią do francuskiej restauracji przy Siedemnastej Ulicy.

– Jak ci się podobał nasz prezydent? – zapytał.

Maria pokręciła głową.

– Gołym okiem widać, że bardziej gra prezydenta, niż jest nim naprawdę. Pozuje, kreuje się, recytuje to, co mu napisano. Bóg jeden wie, kto tam podejmuje decyzje. A ty co o nim myślisz?

W odpowiedzi Anthony zadeklamował:

*Czy to wybrany, czy wyznaczony
Przez Stwórcę czuje się namaszczony,
Olejów świętych pancierz go okrywa,
Przed wszelką opresją skrywa^[52].*

– Kto to napisał? – uśmiechnęła się Maria.

– Ogden Nash.

Stanęła, zastępując mu drogę.

– Anthony McAuliffe, czy próbujesz mi zaimponować?

– Tak jakby. I co? Osiągnąłem zamierzony efekt?

Jej oczy spowaźniały nagle.

– Chyba tak – odparła.

James Jesus Angleton, w wytartym płaszczu z postawionym kołnierzem i kaszmirowym szalu owiniętym wokół wychudłej szyi, odsunął się z wózkiem od okna, żeby słońce nie świeciło mu prosto w oczy.

– Musiało się tak skończyć – odezwał się słabym głosem. – Za dużo papierosów wypaliłem przez te kilkadziesiąt lat. Rzuciłem to, rzuciłem alkohol, ale, cholera, za późno. Wyrok śmierci. Rak płuc, tak mówią. Szprycują mnie środkami przeciwbólowymi, ale to niewiele daje. – Podjechał na wózku bliżej Ebby’ego, który zdjął płaszcz, poluzował krawat i podsunął sobie połamany wiklinowy stołek. – Najśmieszniejsze, że człowiek przyzwyczaja się do bólu. Nie pamięta się już, jak to było, kiedy nic nie bolało. – Angleton wykonał gwałtowny skręt w lewo, a potem w prawo, żeby unieruchomić wózek. – Dużo czasu tutaj spędzam – ciągnął. – Gorąco i wilgoć pomagają mi zapomnieć.

– Zapomnieć o czym? – spytał Ebby.

– O bólu. Tak bardzo tęsknię za papierosami, za dobrą whisky i... za Adrianem Philbym. Za wielkim polowaniem na kreta. Za historyjkami AE/PINAKLA o SASZY. Za wszystkimi błędami, które popełniłem, a było ich trochę, sam to wiesz najlepiej.

Ebby rozejrzał się po oranżerii, wybudowanej w ogródku za domem Angletona w Arlington. Gliniane doniczki, małe słoiki, narzędzia ogrodnicze, bambusowe stoliki i wiklinowe meble – wszystko zostało upchnięte w jeden kąt. Kilka szyb w dachu rozbił grad, ale nikt nie wstawił nowych. Słońce paliło orchidee w doniczkach, porozstawianych w nieładzie na podłodze. Ziemia była wysuszona na wiór, najwyraźniej nikt ich nie podlewał.

– Miło, że wpadłeś – wymamrotał Angleton. – Ostatnio rzadko spotykam kogoś z Firmy. Właściwie nikogo. Wątpię, czy nowe pokolenie w ogóle wie, kto to jest Matka.

– Pomyślałem, że ktoś z Langley powinien cię odwiedzić i przekazać najświeższe nowiny – powiedział Ebby.

– O czym?

– Cały czas miałeś rację, Jim. KGB faktycznie miał kreta w Firmie. Zidentyfikowałeś go, ale nikt ci nie uwierzył. Kiedy okazało się, że AE/PINAKIEL żyje, sami wypuściliśmy zdrajcę na wolność.

Angleton po raz pierwszy spojrział prosto w oczy gościa.

– Kritzky!

Ebby skinął głową.

– Aresztowaliście go?

– Tak jak Philby, Burgess i Maclean, uciekł z kraju, zanim zdołaliśmy go dopaść.

– Wrócił do domu. Do Rosji Sowieckiej, jak się domyślam.

Ebby wzruszył ramionami.

– Wątpię, czy się ujawni. KGB już nie drukuje w prasie nazwisk swoich szpiegów... Nie te czasy. Takie rzeczy lepiej trzymać w tajemnicy.

Dolna warga Angletona zadrżała.

– Wiedziałem, że to Kritzky... Rzuciłem mu to prosto w twarz. Trzeba przyznać, że zachował zimną krew. Do końca się upierał przy swoim. Wmówił wam wszystkim, co chciał. Udawał niewiniątko. Ma jaja.

– Nie myliłeś się jeszcze co do jednej rzeczy, Jim. Sowiecki plan zniszczenia naszej waluty i gospodarki istniał naprawdę... Nazwali to operacją CHOŁSTOMIER.

– CHOŁSTOMIER – jęknął Angleton i chwycił się za obolałą od migreny głowę. – Ostrzegałem was. I to był błąd... Ostrzegałem was tyle razy, że w końcu nikt mnie już nie chciał słuchać. Przestaliście mi wierzyć.

– Pomyślałem, że powinieneś o tym wszystkim wiedzieć – wtrącił Ebby.
– Uważam, że jesteśmy ci to winni.

Zamilkli obaj, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Co teraz, Jim? Może jednak istnieje jakaś szansa, żebyś...? – odezwał się w końcu Ebby.

– Nic już się nie da zrobić. To ostatni przystanek, pętla, Ultima Thule. Zaszyję się w mojej samotni i poczekam, aż przyjdzie koniec. Jak Apacz. – Angleton otulił płaszczem wychudzone ciało, przymknął oczy i zaczął nucić coś, co brzmiało jak indiańska pieśń żałobna.

Zdawało się, że nie dostrzega Ebby'ego, który zabrał płaszcz i skierował się do wyjścia.

CZĘŚĆ VI

NA WŁASNĄ REKĘ

...bądź co bądź, pomyślała, nie stałoby się nic złego, gdyby zapytała, czy gra jest już zakończona.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, proszę pani... – zaczęła nieśmiało, spoglądając na Czerwoną Królową.

Zdjęcie: Bazylea, Szwajcaria. Błyszcząca, kolorowa odbitka z polaroida, na której Jack McAuliffe i Leo Kritzky spacerują brzegiem Renu, skąpanym w promieniach słońca. Jack jest w okularach. Ma na sobie kurtkę safari i spodnie w kolorze khaki. Nadal nosi swoje słynne kozackie wąsy, lecz jego rozwiane na wietrze włosy są już mocno przerzedzone. Leo, chudy i wymizerowany, ubrany jest w rosyjską wiatrówkę, a na głowie ma robotniczą czapkę z daszkiem. Obaj są tak pogrążeni w rozmowie, że nie zauważyli nawet, kiedy uliczny fotograf pstryknął im to zdjęcie. Leo się rozzłościł, lecz Jack uspokoił go i szybko wcisnął fotografowi w rękę dwadzieścia franków – dwa razy tyle, ile mu się należało. Leo chciał zniszczyć fotografię, jednak Jack wpadł na inny pomysł. Wyjął długopis, napisał pod spodem: „Jack i Leo przed wyścigiem, ale po upadku”, i wręczył zdjęcie Leo jako pamiątkę z ich ostatniego spotkania.

MOSKWA, CZWARTEK, 28 LUTEGO 1991

Leo Kritzky nigdy nie przyzwyczał się do rosyjskiej zimy. Musiało upłynąć siedem lat i osiem zim, zanim zrozumiał dlaczego. I wcale nie chodziło o arktyczne temperatury ani o zasy brudnego śniegu, zalegające pod ścianami obskurnych domów, ani o szklistą warstwę czarnego lodu na chodnikach, ani o olbrzymie pasiaste kominy, wypływające biały jak kreda dym w odwieczny półmrok, ani nawet o wilgoć, uwięzioną pomiędzy szybami okien w jego moskiewskim mieszkaniu, przez co czuł się tak, jakby zamknięto go w zanieczyszczonej komorze mgłowej... Nie, chodziło raczej o niezmiennie posępne spojrzenie każdego napotkanego przechodnia – o te ponure twarze emerytów, handlujących na rogach ulic używanymi brzytwami, żeby kupić sobie szczyptę herbaty, o tę pustkę w oczach prostytutek, sprzedających swe ciało na stacjach metra, by nakarmić głodne dzieci, o tę rezygnację w głosie cygańskich taksiarzy, niepewnych, czy pracując po piętnaście godzin na dobę, zarobią tyle, żeby starczyło na naprawę zdezelowanych samochodów.

W zimie każda zła wiadomość, pech czy zły humor zdawały się urastać do rozmiarów tragedii. Oby do wiosny, jak mawiali wszyscy bez wyjątku moskwianie (z Leo włącznie) w przekonaniu, że coś musi zmienić się na lepsze, bo już gorzej być nie może.

Jeszcze trzydzieści dwa dni i prima aprilis, powtarzał sobie Leo, kiedy przechodził przez plac Tagański, ostrożnie sunąc nogami, by nie poślizgnąć się na lodzie – sprawdzony sposób poruszania się, opracowany przez weteranów rosyjskiej zimy. Jeszcze kawałeczek i będzie na miejscu. Klub

Kupiecki, po drugiej stronie „Bolsza Komunistyczna” – snobistyczną restaurację dla nowobogackich (nieoficjalna dewiza: „Lepiej być nowo niż wcale”) nie sposób było przeoczyć. Przed wejściem, bezczelnie kpiąc z wszelkich przepisów, parkowało kilkanaście samochodów – najnowsze modele bmw, mercedesa i dżipa Cherokee – z włączonymi silnikami, grzejącymi barczystych ochroniarzy, przeważnie weteranów wojny w Afganistanie, którzy drzemali na przednich siedzeniach. Leo oddał w szatni podbitą kozuszką budrysówkę (urodzinowy prezent od Tessy) i przeszedł przez hol do recepcji, gdzie uprzejmie, acz stanowczo, poproszono go o okazanie dowodu osobistego, po czym sprawdzono jego nazwisko na liście, wyświetlonej na ekranie komputera.

– *Gospodin Cypin* czeka na was w prywatnej łaźni, drzwi numer trzy – powiedział lokaj w białej marynarce i poprowadził Leo świeżo malowanym korytarzem. Zatrzymał się przy drzwiach do łaźni, otworzył je, pobrzękując ogromnym pękiem kluczy, i wpuścił Leo do środka.

Jewgienij, przepasany mokrym prześcieradłem, siedział na drewnianej ławie i smagał się po plecach różgą z brzoźowych witek.

– Dlaczego tak długo?! – zawołał, spostrzegłszy Leo.

– Pół godziny czekałem na metro. Wstrzymali ruch na linii Wychino–Krasnopriesnieszka. Podobno jakiś mężczyzna wpadł pod pociąg.

Jewgienij prychnął.

– To jest właśnie Rosja Gorbaczowa – mruknął. – Założę się, że ktoś mu pomógł...

– Skąd ten cynizm? Zawsze byłeś niepoprawnym optymistą – zauważył Leo. – Czy to pobyt w ojczyźnie tak na ciebie wpływa?

– Trzydzieści lat walczyłem za komunizm – powiedział Jewgienij – a potem wróciłem do domu, do Matuszki Rosji, rządzonej przez *worowskoj*

mir. Jak to będzie po angielsku, Leo? Złodziejski świat... – Przez jego twarz przemknął uśmiech, podkreślając zastygły w rysach wyraz zniechęcenia i goryczy. – Miło cię znowu zobaczyć.

– Ja też się cieszę, Jewgieniju.

Zapadła niezręczna cisza.

– Gdybym wiedział, że przyjedziesz metrem – odezwał się wreszcie Jewgienij – wysłałbym po ciebie jeden z moich samochodów.

– Samochodów, w liczbie mnogiej? – zapytał Leo.

Trochę zażenowany, odwrócił się tyłem do Jewgienija, zdjął ubranie i podał je szatniarzowi, który wręczył mu biały ręcznik. Leo pospiesznie owinął się nim w pasie.

– To ile masz tych samochodów?

Jewgienij, który przez siedem lat spędzonych w Moskwie przybrał sporo na wadze, napełnił dwie literatki wódką z lodem.

– *Na zdrowie* – powiedział i jednym haustem opróżnił swoją szklankę. – Osobiście, żadnego. Na własność posiadam tylko tę koszulę, którą mam na grzbiecie. Ale moja organizacja ma kilka bmw, ze dwa volvo, a nawet ferrari, że nie wspomnę już o willi Apatowów koło Czeriomuszek... Beria mieszkał w niej aż do śmierci, a Dziadek traktował ją jak dom i biuro, dopóki nie zachorował; to właśnie tam, w wyłożonej boazerią bibliotece na piętrze, zwerbował mnie do służby. Odkupiłem tę posiadłość od państwa za milion rubli; przy takiej inflacji to prawie darmo. – Jewgienij zacisnął usta. – Gdzie się ukrywałeś, Leo? Słyszałem, że zaraz po powrocie zamieszkałeś na Gorkiego, ale kiedy udało mi się zdobyć twój adres, już się stamtąd wyprowadziłeś. Dwa lata temu jakiś znajomy powiedział mi, że mieszkasz na barce bez telefonu, na końcu linii metra Riecznoj Wokzał... Mój szofer był tam chyba z dziesięć razy, ale nigdy nikogo nie zastał. Stwierdziłem, że

pewnie wyjechałeś z miasta albo nawet z kraju. W końcu któryś z moich starych kumpli z KGB na Łubiance wydusił z siebie, gdzie posyłają ci pensję, i w ten sposób trafiłem na bulwar Frunzeński pięćdziesiąt, klatka dziewiąta, mieszkania trzysta siedemdziesiąt trzy.

– Musiałem odprawić egzorcyzmy – powiedział cicho Leo. – Stałem się kimś na kształt pustelnika... Pustelnika zagubionego w mieście pełnym pustelników.

Jewgienij zdjął ręcznik i wciągnął Leo do łaźni parowej. Termometr na ścianie wskazywał osiemdziesiąt pięć stopni Celsjusza. Gorące powietrze paliło Leo w gardło, gdy tylko próbował odetchnąć głębiej.

– Nie przywykłem do tego... Nie wiem, czy długo wytrzymam.

Jewgienij, którego twarz przybrała buraczkowy kolor, polał rozżarzone węgle zimną wodą. W górę wzbił się syczący obłok pary.

– Można się przyzwyczaić – wyszeptał. – Chodzi o to, żeby nagromadzić w ciele dość ciepła, by starczyło na całą zimę.

Kiedy piasek przesypał się w klepsydrze, Leo opuścił łaźnię. Jewgienij wyszedł tuż po nim i obaj zanurzyli się w wyłożonym mozaiką basenie. Woda była tak lodowata, że Leo zaparło dech. Później, owinięci suchymi ręcznikami, usiedli na ławeczce, a szatniarz przysunął im wózek z *zakuska* – śledziem, kawiozem, łososiem i butelką zmrożonej wódki.

– Obawiam się, że nie stać mnie na taką rozpustę – westchnął Leo. – Moja pensja się nie zmieniła, a rubel nie stoi już tak dobrze jak dawniej.

– Jesteś moim gościem – uśmiechnął się Jewgienij.

– Jak udało ci się tak wzbogacić? – zapytał Leo.

Jewgienij spojrzał na przyjaciela, rozbawiony.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak. Wszędzie pełno facetów w skórzanych kurtkach. Z uwieszonymi u ramienia tlenionymi blondynami wożą się po mieście w zagranicznych brykach... Ciekawe, skąd na to biorą?

– To nie tajemnica państwowa – odparł Jewgienij. – Po powrocie do Moskwy dostałem pracę w centrali, w Sekcji Amerykańskiej Pierwszego Zarządu Głównego, ale widziałem, że w ten sposób nie zajdę daleko. Kiedy w osiemdziesiątym piątym roku na scenie pojawił się Gorbaczow, postanowiłem sam się o siebie zatroszczyć. Te wszystkie lata spędzone w mekce wolnej przedsiębiorczości nie przeszły bez śladu. Wynająłem za bezcen zrujnowaną halę z krytym basenem i salą gimnastyczną – jak wiesz, nieźle sobie radzę z angielskim... języki mają kolosalną przyszłość... – i urządziłem tam ośrodek sportowy dla rosyjskich nuworyszów. Dochód z tego interesu przeznaczyłem na stworzenie centrum informacji finansowej dla zagranicznych inwestorów, a kiedy trochę się dorobiłem, odkupiłem partyjną drukarnię i zacząłem wydawać gazetę finansową. Potem rozszerzyłem działalność. Zająłem się handlem: eksportowałem syberyjskie surowce, a sprowadzałem japońskie magnetowidy, amerykańskie dzinsy, komputery z Hongkongu... Powiedz, jeśli cię nudzę.

– Wręcz przeciwnie.

– Sprzedawałem to wszystko w Rosji z ogromnym zyskiem. Moje biuro mieściło się na tylnym siedzeniu samochodu. Za tysiąc dolarów miesięcznie wynająłem od pewnej śpiewaczki operowej niewielkie mieszkanie na tyłach Kremla. Zwolniła gosposię i wprowadziła się do jej pokoiku na poddaszu. Z czasem moje potrzeby wzrosły, więc kupiłem willę Apatowów, dla siebie i na siedzibę firmy. To rozwiązało wszystkie moje problemy. Teraz ludzie przychodzą do mnie z pomysłami, a ja daję im pieniądze w zamian za pięćdziesiąt procent udziałów w biznesie. Teraz właśnie rozkręcam mój prywatny bank. Nazwałem go Bankiem Handlowym

Wielkiej Rosji. W tym tygodniu otwarcie, filie w Leningradzie, Kijowie i Smoleńsku, a także w Berlinie i Dreźnie, żeby zaistnieć na scenie międzynarodowej. Trzeba myśleć perspektywicznie... – Jewgienij przegryzł śledzia na krakersie i popił wódką. – A co u ciebie? Jak żyjesz?

Leo parsknął szyderczym śmiechem.

– Nie ma o czym opowiadać. Po moim przyjeździe centrala trzymała mnie w ukryciu przez kilka lat. Adres na Gorkiego był tylko przynętą dla CIA, ale jak się domyślasz, nikt mnie nie szukał... Odbyłem setki przesłuchań. Oficerowie prowadzący dokładnie wypytywali mnie o wszystko, specjaliści zasięgali opinii na temat tego lub tamtego senatora czy kongresmana, kazali mi studiować wszystkie przemówienia prezydenta i czytać między wierszami, a moje wnioski przeważnie pomijano, chyba że zgadzały się z opiniami zwierzchników.

– Normalka – wtrącił Jewgienij. – W kraju, w którym nie toleruje się żadnego sprzeciwu, wywiad woli zignorować odmienne zdanie.

Leo apatycznie wzruszył ramionami.

– Analitycy średniego szczebla myśleli pewnie, że mam jakiś magiczny klucz do rozwiązywania amerykańskich zagadek, i przychodzili do mnie z każdym pytaniem. Przez ostatnie kilka lat, gdy Gorbaczow otworzył nas trochę na świat, a przepływ informacji stał się swobodniejszy, stopniowo tracili zainteresowanie moją osobą...

– A CIA nigdy się nie przyznała, że byłeś kretem?

Leo potrząsnął głową.

– Nic by przez to nie zyskali, a mogli wiele stracić, ujawniając, że byli infiltrowani na tak wysokim szczeblu. Prasa miałaby używanie... Obcięto by im budżet, poleciałyby głowy, a cały interes diabli by wzięli... Kiedyś, jeszcze na początku, centrala chciała rozgłosić wszystko w prasie

zagranicznej, żeby skompromitować Firmę, ale wybiłem im to z głowy. Zagroziłem, że jeśli ujawnią moją historię, odmówię zeznań. W ramach rewanzu CIA przyjęła kilku zbiegów z KGB, również nie chwając się tym na prawo i lewo.

– Kontaktujesz się z rodziną?

Leo milczał przez chwilę.

– Przepraszam... Co mówiłeś?

– Pytałem o twoją rodzinę, o bliźniaczki... Jesteś z nimi w kontakcie?

– Po mojej... emeryturze zrezygnowały z pracy w Firmie. Vanessa kategorycznie nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Moja była żona stała się alkoholiczką... Pewnej zimowej nocy upiła się do nieprzytomności i zasnęła, zwinięta w kłębek, w jakimś dole na wzgórzu w Marylandzie, niedaleko miejsca, gdzie pochowaliśmy mojego psa i jej kota w dniu naszego pierwszego spotkania. Następnego ranka farmer znalazł zamrożone ciało, przysypane śniegiem. Vanessa powiedziała, że to moja wina, co zresztą jest prawdą, i przysięgła, że do końca życia już nigdy się do mnie nie odezwie. Wyszła za męża i ma synka, więc chyba jestem dziadkiem. Wysłałem jej list z gratulacjami, ale nie odpowiedziała. Tessa dostała pracę w Waszyngtonie, pisuje dla „Newsweeka” artykuły o agencjach wywiadowczych. Wzięła ślub z jakimś dziennikarzem, ale rozwiodła się po trzech latach. Co miesiąc mam od niej list. Zachęcałem ją, żeby mnie tu kiedyś odwiedziła, ale twierdzi, że jeszcze nie jest gotowa. Ciągle mam nadzieję, że pewnego dnia zobaczę Tessę. – Westchnął głęboko. – Tęsknię za córkami...

Zakaśli. Jewgienij dolał wódki do szklanek.

– Masz kogoś? – zapytał.

– Zaprzyjaźniłem się z kobietą, która robi ilustracje do książek dla dzieci. Jest wdową... Spotykamy się, jak mawiają w Ameryce. W pogodne dni chodzimy na długie spacery. Poznałem dobrze Moskwę. Codziennie czytam „Prawdę”, żeby podszlifować mój rosyjski i dowiedzieć się, co nowego upichcił Gorbaczow w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Co o nim myślisz?

– O Gorbaczowie? – Leo zastanowił się przez chwilę. – Dokonał ogromnych zmian... Pierwszy otwarcie sprzeciwił się komunistycznemu establishmentowi i wzmocnił demokratyczne instytucje. Ale nadal nie umiem odgadnąć, czy chce tylko zreformować partię, czy w ogóle się jej pozbyć.

– Łatają, póki mogą. Chcą zachować swoje stołki – stwierdził Jewgienij.
– Chcą mieć biuro, do którego mogą iść co rano, gdy się obudzą.

– Gorbaczow powinien lepiej znać się na ludziach – powiedział Leo. – Otacza się prawicowcami, a ja im nie ufam. Na przykład Kriuczkow, przewodniczący KGB...

– Minister obrony Jazow, minister spraw wewnętrznych Pugo... Im też bym nie ufał – odparł Jewgienij. – Dla mnie, dla nowej klasy przedsiębiorców, Gorbaczow jest filarem reformy ekonomicznej. Jak upadnie, Rosja cofnie się o pięćdziesiąt lat.

– Ktoś powinien go ostrzec...

– Został ostrzeżony – powiedział Jewgienij. – Sam słyszałem, jak Borys Jelcyn mówił mu, że grozi nam prawicowy zamach stanu, ale Gorbaczow pogardza Jelcynem. Nie wierzy mu.

– Gorbaczow nie odróżnia wrogów od przyjaciół – przytaknął Leo.

– Cóż, żyjemy w ciekawych czasach – powiedział Jewgienij, śmiejąc się cicho. – Jadąc samochodem, słyszałem w radiu, że Amerykanie niemal

zupełnie rozbili armię Saddama Husajna. Myślisz, że wypowiedzieliby wojnę, gdyby głównym towarem eksportowym Kuwejtu była marchew, a nie ropa? – Tręcili się kieliszkami. – *Za sukces naszego beznadziejnego dzieła!*

Leo uśmiechnął się. Przez moment był prawie szczęśliwy.

– Za zwycięstwo naszej beznadziejnej sprawy!

Kiedy wyszli, Jewgienij dał znak swemu szoferowi. Czarne, lśniące bmw zjechało z krawężnika i zatrzymało się tuż przed nimi. Z siedzenia pasażera wyskoczył mężczyzna z siną blizną, przecinającą twarz od ucha do szczęki, i otworzył tylne drzwiczki.

– Podrzucę cię – zaproponował Jewgienij.

– Przejdę się – odparł Leo. – Prowadzę bardzo nieruchawy tryb życia. Dobrze mi zrobi mały spacer.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Leo przez chwilę przyglądał się przyjacielowi.

– Nigdy cię o to nie pytałem... Jesteś żonaty?

Jewgienij potrząsnął głową.

– Był ktoś, dawniej... Ale minęło zbyt dużo czasu, zbyt wiele wody upłynęło.

– Mógłbyś spróbować zacząć tam, gdzie kiedyś skończyłeś. Wiesz, gdzie ona teraz jest?

– Od czasu do czasu czytuję o niej w gazetach... Współpracuje z Jelcynem. Jest dosyć znana w pewnych kręgach – wśród reformatorów, w szeregach KGB...

– Odezwij się do niej.

Jewgienij kopnął oponę.

– Posłałaby mnie do wszystkich diabłów.

– Kto wie, przyjacielu, kto wie?

Jewgienij podniósł wzrok. Na jego wargach błąkał się nikły uśmiech.

– Ja wiem.

– Skręć na obwodnicę – polecił Jewgienij kierowcy. – Tam jest mniejszy ruch o tej porze.

Zagłębił się w skórzanym oparciu tylnego siedzenia i obserwował obskurne samochody, obskurne autobusy i obskurne budynki, migające za szybą. Na czerwonym świetle bmw zatrzymało się obok saaba z szoferem i ochroniarzem. Z tyłu siedziało dwóch małych chłopców. Na ów widok Jewgienija ogarnęła fala wspomnień. W dzieciństwie często jeździł z Grinką służbową wołgą ojca na daczę w Pieriediełkinie. Mój Boże, pomyślał, jak ten czas leci! Teraz, kiedy golił się rano, patrzyła na niego z lustra twarz ledwie znajoma... jakiś daleki kuzyn Cypinów, trochę tylko podobny do ojca z zarysu czoła, podbródka i nieznacznie zezujących oczu. Trudno uwierzyć, że przed rokiem stuknęła mu sześćdziesiątka. Leo, który nigdy nie wyglądał na swoje lata, też już nie jest taki jak dawniej. Ale on sam postarzał się bardziej, to widać gołym okiem.

Siedzący z przodu szofer i ochroniarz dyskutowali zawzięcie, mieszając z błotem Gorbaczowa. Mogli mu jeszcze darować te wszystkie reformy, ale do szału doprowadzał ich *suchoj zakon* – prawo zakazujące handlu i spożywania alkoholu, które miało ograniczyć chroniczny alkoholizm w miejscu pracy i zwiększyć produkcję. Z rozkazu Gorbaczowa fabryki wódki zostały zamknięte, a winnice Gruzji i Mołdawii zrównane z ziemią.

– Za Breżniewa – wspominał szofer – za pół litra płaciłeś trzy ruble i sześćdziesiąt dwie kopiejki. Jak były podwyżki, to najwyżej o kopiejkę. Szedłeś do sklepu i mówiłeś: „Poproszę trzy sześćdziesiąt dwa”, i każdy

wiedział, o co chodzi. A dzisiaj nie stać robotnika nawet na kropelkę wódki...

– Jak Rosjanin może przeżyć dzień bez wódki? – zażartował Jewgienij.

– Są sposoby, Jewgieniju Aleksandrowiczu. Istnieją produkty zastępcze – rzucił przez ramię ochroniarz z siną blizną.

– Daj mu przepis – wtrącił szofer.

– W Afganistanie mieszaliśmy sto gram piwa „Żygulew”, trzydzieści gram szamponu „Sadko”, siedemdziesiąt gram pakistańskiego płynu na łupież i dwadzieścia gram jakiegoś środka owadobójczego. Wychodził z tego prawdziwy zajzajer, ale przynajmniej mogliśmy zapomnieć o wojnie. Trzeba było tylko wypić to duszkiem, inaczej wypalało gardło.

– Mam przyjaciela w milicji, który mówi, że dzieciaki zaczęły jeść kanapki z pastą do butów! – zawołał przez ramię szofer.

– A co to jest kanapka z pastą do butów? – spytał Jewgienij.

– Rozsmarowuje się pastę do butów na grubej kromce białego chleba...

– Jeżeli się dostanie biały chleb – zażartował ochroniarz.

– Zostawia się na piętnaście minut, żeby chleb wchłonął spirytus z pasty. Potem zdrapuje się z wierzchu pastę i zjada chleb. Mówią, że cztery kromki odgonią smutki na cały dzień.

Ochroniarz znów zerknął przez ramię.

– Brązowa jest najlepsza – dodał.

– Dzięki za radę – odparł sucho Jewgienij.

Dwaj mężczyźni na przednich siedzeniach uśmiechnęli się. Jewgienij pochylił się do przodu i stuknął kierowcę w ramię.

– Skręć w prawo na światłach... Klinika jest po prawej stronie, przy końcu ulicy.

Klinika KGB, nieco cofnięta od ulicy, z wytartym złotym sierpem i młotem na drzwiach obrotowych, była obskurnym trzypiętrowym budynkiem z cegły, z solarium na dachu. W ogromnym, zwieńczonym kopułą holu odbijały się echem rozmaite dźwięki: jękliwe wołania o pielęgniarkę, przeraźliwe dzwonki telefonów, enigmatyczne komunikaty płynące z rozwieszonych na ścianach głośników. Windy nie działały, więc Jewgienij wdrapał się po schodach na trzecie piętro. Dwie chłopki w rozciągniętych swetrach i czarnych gumiakach wycierały korytarz, raz po raz maczając szmatę w brudnej wodzie. Jewgienij zapukał do drzwi z kartką papieru: „Żyłow, Paweł Siemionowicz”, odczekał chwilę i zajrzał do środka. W pokoju nie było żywego ducha. Stało tam żelazne szpitalne łóżko, nocna szafka, sedes bez klapy. W oknach nie było zasłon ani żaluzji, a z pomalowanych na musztardowo ścian tu i ówdzie obłaziła farba.

Jewgienij obudził pielęgniarkę, drzemiącą za biurkiem na korytarzu. Przesunęła polakierowanym na czerwono paznokciem po liście nazwisk i gestem podbródka wskazała na dach.

– Zażywa kąpieli słonecznej – burknęła niechętnie.

Około trzydziestu byłych pracowników KGB, starych teraz i schorowanych, wygrzewało się na szpitalnym dachu. Wszyscy skupili się w jednym końcu solarium, bo jego druga część zaśmiecona była odłamkami szyb, rozbitych przez wichury zeszłej zimy. Jewgienij odszukał Dziadka – siedział zgarbiony na wózku inwalidzkim, siwa broda spływała mu na pierś, oczy miał zamknięte. Obszarpany koc z zaschniętymi resztkami wymiocin zsunął mu się do kostek i nikt nie kwapił się go podciągnąć pod wychudłą szyję. Przezroczyste rurki kroplówki, zwisające ze skleconego naprędcy drążka, doczepionego do oparcia wózka, znikały w szparze koszuli, podłączone do wszczepionego w klatkę piersiową cewnika. Zza wózka dobiegał cichy pomruk elektrycznej pompki. Obok dwaj emerytowani

pułkownicy KGB, którzy płaszczyliby się przed Dziadkiem w czasach jego świetności, grali teraz w tryktraka, wałąc pionkami w drewnianą planszę i kompletnie nie przejmując się hałasem, jaki robili.

Jewgienij przyjrzał się uważnie człowiekowi na wózku inwalidzkim. Miesiąc temu stwierdzono u Dziadka nadciśnienie w tętnicach płucnych i pospiesznie skierowano go do kliniki, gdyż wypełniająca płuca woda niemal zupełnie uniemożliwiała mu oddychanie. Pobyt w szpitalu, a raczej niefrasobliwy brak jakiegokolwiek opieki, pozbawił go resztek godności. Dziadek ubrany był w sprany czerwony dres i brudną białą koszulę. Wokół krocza widniały świeże plamy moczu. Na piersi połyskiwały cztery medale, jakby naigrawając się z długoletniej wiernej służby ku chwale socjalistycznej ojczyzny. Jewgienij rozpoznał je po wstążeczkach: Order Bohatera Związku Radzieckiego, Order Czerwonego Sztandaru, Order Aleksandra Newskiego i Order Czerwonej Gwiazdy. Nagle przypomniał sobie, że kiedy jego własny ojciec umierał w kremlowskiej klinice, on odwrócił głowę, chcąc ukryć brak jakichkolwiek emocji. Ale teraz, na widok tej tołstojowskiej, tragicznej w swym zniedołężnieniu postaci, ogarnęła go fala współczucia i miłości.

Przykucnął obok wózka i troskliwie otulił swego mistrza szpitalnym kocem.

– Pawle Siemionowiczu – wyszeptał.

Dziadek otworzył oczy i zdumiony spojrzał na swego gościa. Wargi mu zadrżały, gdy zdał sobie sprawę, kto do niego przyszedł.

– Jewgienij Aleksandrowicz – wymamrotał kącikiem częściowo sparaliżowanych ust. Każdemu oddechowi towarzyszyło westchnienie pełne bólu. – Powiedz mi, jeśli potrafisz... „Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? Czy nietoperze ochoty nie miewają na koty?”

– Jak się czujesz? Trochę lepiej? – spytał Jewgienij, ale w tej samej chwili zrozumiał, że to głupie pytanie.

Dziadek kiwnął głową, ale wymamrotał słowo „nie”.

– Życie jest udręką... bez przerwy faszerują mnie narkotykami... Przez ten francuski flolan straciłem apetyt... nie mogę jeść... W porze posiłków wózki przejeżdżają przed moimi drzwiami... zapach jedzenia przyprawia mnie o mdłości.

– Porozmawiam z dyrektorem...

– To nie jest jeszcze najgorsze. – Pomiedzy jednym zdaniem a drugim z gardła Dziadka dobywało się obrzydliwe gulgotanie. – Kąpią mnie... golą... zmieniają pieluchy... podcierają tyłek... dorosłe kobiety, które myją się raz na miesiąc i m i e s i ą c z k u j ą... śmierdzą nie do zniesienia. – Łza wezbrała w kąciku jego przekrwionego oka. – Pielęgniarka z nocnego dyżuru jest Żydówką... obnosi się ze swoim otczestwem... Abramowna... Och, gdzie... gdzie się podziały moje dziewczynki?

– Kiedy zachorowałeś, oddano je do sierocińca.

Jeden z pułkowników wyrzucił dwie szóstki i ryknął triumfalnym śmiechem, zgarniając ostatnie pionki z planszy.

Dziadek chwycił Jewgienija za nadgarstek i pochylił się ku niemu.

– Czy nadal toczy się zimna wojna? – zapytał.

– Już się kończy – odparł Jewgienij.

– Kto zwycięży?

– Historycy powiedzą, że wygrał nasz główny przeciwnik... Ameryka.

Dziadek, przerażony, wpił się palcami w rękę swego gościa.

– Jak to? Przecież wygrywaliśmy każdą bitwę... pokonaliśmy ich... Philby, Burgess, Maclean, Kritzky... ta lista nie ma końca. – Pokręcił głową z niesmakiem. – Tołstoj przewraca się w grobie... Żydzi to zdrajcy – sapnął,

żeby złapać oddech. – Zimna wojna może się i kończy... ale jest jeszcze dogrywka. W opowiadaniu Tołstoja śmierć konia Chołstomiera ma określony cel... jego ciałem wilczyca karmi swoje małe. My też się nakarmimy tym, co zostanie z CHOŁSTOMIERA. Dla nas najważniejszy...

Zabrakło mu tchu. Zaczął dławić się i rzezić. Przerażony Jewgienij już miał zawołać lekarza, lecz po chwili atak minął.

– Najważniejszy... oprócz komunizmu... jest naród... Zachować czystość rasy... Musimy pozbyć się Żydów raz na zawsze... dokończyć dzieło rozpoczęte przez Hitlera. – Oczy Dziadka błysnęły gniewem. – Miałem kontakty... byli u mnie... wymieniliśmy informacje... Podałem im twoje nazwisko, Jewgieniju Aleksandrowiczu... Ktoś się z tobą skontaktuje. – Dziadek, wyczerpawszy resztki tłęcej się w nim energii, opadł bezsilnie na wózek. – Pamiętasz jeszcze... ostatnie słowa Tołstoja?

– „Prawda... tylko to mnie obchodzi” – wymamrotał Jewgienij.

Dziadek zamrugał powiekami, starając się powstrzymać łzy, spływające po chropowatych jak pergamin policzkach.

– To będzie nasze hasło... Ktokolwiek się do ciebie zgłosi... ktokolwiek je wypowie... przyjdzie z mojego polecenia... i z moim błogosławieństwem.

Jewgienij, który w trzyczęściowym garniturze od Armaniego wyglądał jak szwajcarski bankier, torował sobie drogę w tłumie gości.

– Cieszę się, że wpadłeś, Archip – zagadnął starszego ekonomistę z Banku Centralnego i wylewnie uściśnął mu dłoń. – Gorbaczow wciąż ma zamiar umacniać rubla? – dodał, ścisząc głos.

– Dopóki się da – odparł ekonomista. – Ale trudno przewidzieć rozmiary inflacji.

– Inflacja rośnie – wtrącił doradca ministra finansów, przysłuchujący się ich rozmowie. – Pomału padają fabryki, banki i firmy, które nie mają odpowiednich środków albo nie chcą się przystosować. To jest jak wielki marsz Mao. Przetrwają najsilniejsi... ci, którzy potrafią się odnaleźć w świecie kapitalizmu. Socjalistyczny model gospodarki staje się przeżytkiem...

– To jedna strona medalu – przyznał Jewgienij. – Z drugiej strony rzesze nowych przedsiębiorców walczą o to, by utrzymać się na powierzchni.

– Moje gratulacje, Jewgieniju Aleksandrowiczu – zahuczał basem wysoki mężczyzna z aparatem słuchowym, redaktor działu finansowego „Izwesti”. – Ojciec prosił, żeby was serdecznie pozdrowić. Trzymamy kciuki za Bank Handlowy Wielkiej Rosji.

– Dziękuję, Fiedio Siemionowiczu – powiedział Jewgienij. – Przykro mi, że twój ojciec nie mógł dzisiaj przyjść. Myślałem, że pogadam z wami o usługach walutowych, jakie zamierzamy oferować firmom eksportowo-importowym.

Przez salę balową, wynajętą przez Jewgienija na to popołudnie, przeszły kelnerki, niosąc tace pełne trójkątnych tartinek z czarnym kawiozem z Morza Kaspijskiego. Zastanawiając się, ilu spośród zaproszonych gości wiedziało o kanapkach z pastą do butów, Jewgienij chwycił w locie tartinkę i włożył do ust. Z długiego stołu wziął kolejny kieliszek francuskiego szampana i rozejrzał się dookoła. Na tle grubej kotary, zaciągniętej na wysokim oknie, brylowały dwie eleganckie kobiety w wydekoltowanych sukienkach koktajlowych, otoczone wianuszkiem mężczyzn. Jewgienij rozpoznał starszą z nich – była to żona słynnego magnata prasowego, Pawła Urickiego. Podszedł i pochyliwszy się nisko, musnął wargami jej dłoń w rękawiczce. Ten gest przywołał bolesne wspomnienie sprzed blisko siedmiu lat... obraz podobnej do bezbronnego ptaka Aidy Tannenbaum,

spoglądającej na niego zażawionymi oczami w barze „Barbizon”. Wróciwszy do rzeczywistości, przywitał się z resztą towarzystwa.

– Wszyscy tu jesteśmy zdania – zwrócił się do Jewgienija jeden z mężczyzn – że Rosja potrzebuje ogromnych inwestycji zagranicznych, aby przetrwać. Problem w tym, jak ściągnąć kapitał w tak niestabilnej sytuacji politycznej i monetarnej...

– Jednemu i drugiemu winien jest Gorbaczow – stwierdziła kategorycznie żona Urickiego. – A Rosja potrzebuje rządów silnej ręki...

– Matylda chętnie przeniosłaby nas znowu w epokę Breżniewa – roześmiał się stojący obok starszy pan.

– Gdyby to ode mnie zależało, wołałabym epokę Stalina – sprostowała. – Ludzie mają krótką pamięć i nie chcą przyznać, że za Stalina gospodarka kwitła. Wszystko szło jak w zegarku. Półki w sklepach były pełne, nikt nie chodził głodny i każdy miał pracę.

– To prawda. W Moskwie nikt nie chodził głodny – powiedział jeden z mężczyzn. – Co innego na wsi... Przypomnijcie sobie starą, dobrą zasadę: deficyt rozdzielimy pomiędzy chłopów.

– Za Stalina nie było niezgody – dodał inny. – A dzisiaj każdy ma własne zdanie... Co człowiek, to opinia.

– Nie było niezgody – zauważył Jewgienij – bo każdy, kto się sprzeciwił, kończył w gułagu.

– Właśnie – poparła go żona Urickiego; najwidoczniej nie zrozumiała, po której stronie się opowiadał. – Słyszałam, Jewgieniju Aleksandrowiczu, że pracowaliście dla KGB jako szpieg w Ameryce? Czy to prawda? – zapytała, wpatrując się weń jasnymi oczyma.

– Nie jest żadną tajemnicą, że przez wiele lat byłem czekistą – odrzekł Jewgienij. – Wybacz pani, ale nie ujawnię, czym się zajmowałem i gdzie.

– Proszę nam powiedzieć, jak się w dzisiejszych czasach zakłada prywatny bank – zapytała młodsza z kobiet.

– To nie takie trudne – odparł Jewgienij z błyskiem w oku. – Najpierw trzeba przekonać ludzi, że ma się sto milionów dolarów. Reszta jest dziecinnie prosta.

– Niegrzeczny chłopiec – uśmiechnęła się Matylda. – Wszyscy wiedzą, że macie dużo więcej niż sto milionów.

Młody rosyjski biznesmen, który zbił majątek na eksporcie używanej broni – mówiło się, że ma wszystko, od kałasznikowa po atomową łódź podwodną – odciągnął Jewgienija na bok.

– Co myślicie o pogłoskach, że grozi nam zamach stanu? – zapytał.

– Słyszałem o tym – powiedział Jewgienij. – A zdrowy rozsądek podpowiada, że skoro słyszeliśmy o tym obaj, to Gorbaczow też musiał o tym słyszeć. O Michaiłe Siergiejewiczu można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest głupi. Z pewnością przedsięwziął już środki ostrożności...

– Taki zamach miałby fatalny wpływ na rozwój przedsiębiorczości – orzekł młody Rosjanin. – Jaki przewidujecie kurs dolara?

Jewgienij uśmiechnął się i wyjął z kieszonki na piersi małą, wytłaczaną wizytówkę.

– Proszę do mnie zadzwonić, Pawle... Umówimy się na spotkanie. Myślę, że Bank Handlowy Wielkiej Rosji będzie panu bardzo przydatny.

Później, gdy przyjęcie miało się już ku końcowi, a goście zaczęli się rozchodzić, żona Urickiego zatrzymała Jewgienija w foyer.

– Jewgieniju Aleksandrowiczu, mój mąż bardzo chciałby was poznać. Podobno macie wspólnego przyjaciela...

– Będę zaszczycony.

Matylda wyjęła pachnącą perfumami wizytówkę z wyszywanej portmonetki i wręczyła ją Jewgienijowi. Na odwrocie wypisany był adres w Pierchuszowie – miejscowości leżącej na trasie z Moskwy do Możajska – oraz dzień i godzina.

– Zostaliście zaproszeni, by dołączyć do grona wybranych. Mój mąż organizuje spotkanie dla grupki przyjaciół, żeby podyskutować na temat – uśmiechnęła się znacząco – hrabiego Lwa Nikołajewicza Tołstoja. Nasz wspólny znajomy, który wyraża się o was w samych superlatywach, mówił nam, że w młodości byliście pod wielkim wpływem Tołstoja. Przyjęliście nawet pseudonim Ozolin, od nazwiska naczelnika stacji w Astapowie, świadka śmierci wielkiego pisarza.

Jewgienij poczuł, że brakuje mu tchu. Sądził, iż całe to gadanie Dziadka o haśle i tajemniczych emisariuszach było tylko bredzeniem na wpół obłąkanego starca.

– Skąd tyle o mnie wiecie? Jestem zaskoczony... – wykrztusił wreszcie.

Uśmiech znikł z karminowych warg Matyldy.

– Mój mąż słyszał, że jesteście jednym z nielicznych ludzi, którzy pamiętają ostatnie słowa hrabiego: „Prawda... Tylko to mnie obchodzi”... A wy, Jewgieniju Aleksandrowiczu, czy myślicie podobnie jak Tołstoj?

– Tak.

– W takim razie proszę koniecznie zaszczyścić nas swoją obecnością, a przekonacie się, jak wiele was łączy z moim mężem i jego przyjaciółmi.

Podąła mu rękę na pożegnanie. Jewgienij pochylił się i musnął ustami końce jej palców. Kiedy się wyprostował i otworzył oczy, Matyldy już nie było.

Biuro SH219 w Biurowcu Harta, siedzibie poselskich i senackich komisji do spraw wywiadu, słynęło jako najlepiej strzeżone w całym mieście, ogarniętym obsesją na punkcie bezpieczeństwa. Drzwi bez tabliczki prowadziły do holu, obstawionego przez uzbrojonych po zęby policjantów Kongresu Stanów Zjednoczonych. „Klatkę” z salą konferencyjną zawieszono wewnątrz innego, większego pomieszczenia w taki sposób, że jej ściany, podłogę i sufit (wykonane ze stali nierdzewnej, aby uniemożliwić przesyłanie sygnałów elektromagnetycznych) w każdej chwili można było dokładnie sprawdzić pod kątem ewentualnego podsłuchu. Nawet przepływ energii elektrycznej podlegał najściślejszej kontroli. Wewnątrz „klatki”, wokół stołu w kształcie podkowy, stały fioletoworóżowe krzesła. Na ścianie wisiała mapa obszarów leżących w sferze zainteresowań komisji, obejmująca cały świat. Elliott Winstrom Ebbitt II, od śmierci Billa Caseya w 1987 roku dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, ledwie zdążył usiąść, a już znalazł się pod obstrzałem.

– Witamy, witamy... – zaczął przewodniczący senackiej komisji nadzwyczajnej z rozwlekłym, teksańskim akcentem.

Przyklejony do jego twarzy uśmiech nie zwiódł nikogo – w zeszłym tygodniu „New York Times” przytoczył wypowiedź senatora, w której ten dawał do zrozumienia, iż wielu członków Kongresu chętnie rozpędziłoby agencję na cztery wiatry i zaczęło wszystko od początku.

– Nie chcę tracić naszego cennego czasu, więc nie będę owijał w bawełnę – powiedział, zerknął do żółtego notesu i spojrzął znad okularów na Ebby’ego. – Nie ma co ukrywać, niektórzy ludzie w Kongresie są porządnie wkurzeni, i to już niemal od dwóch lat, odkąd ostatni sowiecki żołnierz opuścił Afganistan. Wciąż nie mogą się nadziwić, jaki cel przyświecał CIA, gdy przekazywała stingery islamskim fundamentalistom.

Teraz, kiedy bombardujemy Saddama Husajna, możemy, w sensie dosłownym, zostać pobici naszą własną bronią.

– Pragnę przypomnieć z całym szacunkiem – odparł Ebby – że prezydent osobiście podjął decyzję o przekazaniu stingerów mudzahedinom...

– Casey go podpuścił – wtrącił republikański kongresman z Massachusetts.

– Ile jeszcze tego mają? Da się coś odzyskać? – zapytał inny.

– Brakuje nam około trzystu pięćdziesięciu stingerów. Oferujemy im sto tysięcy za sztukę...

Przewodniczący potrząsnął głową, by odrzucić grzywę siwych włosów, opadających na oczy.

– Na Bazarze Przemysłowców w Peszawarze dostaną więcej. Powiem krótko. Nasza cierpliwość się kończy. Rocznie bulimy na wywiad blisko dwadzieścia osiem miliardów dolarów z kieszeni podatników. A wy nawet nie potrafiliście przewidzieć upadku Związku Sowieckiego... Do diabła, gdybyście nas ostrzegli chociaż na tydzień przedtem!

Senator z Maine przewertował teczkę i znalazł raport z pieczętką „ściśle tajne”.

– Kilka miesięcy temu, panie Ebbitt, oświadczył nam pan osobiście w tym pokoju, że – cytuję pańskie słowa – „uważamy za wysoce prawdopodobne, iż w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym sowieckiej gospodarce grozić będzie stagnacja lub nawet lekka recesja”.

– Ładna mi lekka recesja! – zakpił przewodniczący. – Mur berliński zwałił się z wielkim hukiem w listopadzie osiemdziesiątego dziewiątego, wschodnioeuropejskie państwa satelickie, za przyzwoleniem Gorbaczowa, oderwały się od sowieckiego imperium jedno po drugim, Litwa, Łotwa,

Estonia, Armenia, Azerbejdżan, Gruzja i Ukraina prowadzą rozmowy o autonomii – a my tu sobie siedzimy, biedniejsi o dwadzieścia osiem miliardów, i o wszystkim dowiadujemy się z gazet.

Kongresman demokratów z Massachusetts odchrząknął i powiedział:

– Uważam, senatorze, iż należy oddać sprawiedliwość panu Ebbittowi. Trzeba przyznać, że za jego kadencji uczyniono wiele, by uzdrowić sytuację w wywiadzie. Nikomu z obecnych nie muszę przypominać, jak to było za Caseya, który głądził coś do mikrofonu, a my wisieliśmy na słuchawkach, usiłując rozszyfrować jego mamrotanie, z marnym zresztą skutkiem. Dyrektor Ebbitt nigdy nie kręcił i zawsze stawiał sprawy otwarcie...

– Doceniam to tak samo jak pan – przerwał mu przewodniczący – ale pozostaje problem przepływu informacji wywiadowczych. Nic do nas nie dociera na czas... I jak teraz wyglądamy? A przecież gdyby CIA uprzedziła nas w porę o niecnych zamiarach Saddama Husajna względem Kuwejtu...

– Panowie, podjąłem pewne kroki i uważam, że zmierzamy w dobrym kierunku – odezwał się Ebby – ale wszystko musi potrwać, CIA nie da się zreorganizować w ciągu kilku miesięcy czy nawet lat. Mamy do czynienia ze swoistą kulturą, z określonym sposobem myślenia... Na dłuższą metę można to zmienić tylko poprzez zastrzyk młodej krwi i jak zapewne wiecie, to właśnie staram się robić. A o plany rosyjskich przywódców powinniście zapytać nie mnie, ale tych wszystkich senatorów i kongresmanów, którzy od lat domagają się od CIA ograniczenia liczby tajnych operacji... Obecnie prowadzimy ledwie tuzin programów rocznie, podczas gdy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były ich setki. Wskutek takiej polityki nie mamy teraz w Moskwie swoich ludzi, którzy mogliby nam zdradzić, co zamierza Gorbaczow i jego świta. Prawdę mówiąc, nie dostajemy stamtąd prawie żadnych informacji. Co do przewidywanej przez nas stagnacji

sowieckiej gospodarki... Cóż, jeszcze dwa, trzy lata temu nawet Gorbaczow nie miał dostępu do dokładnych statystyk ekonomicznych, więc trudno nas winić, że nie wiedzieliśmy tego, czego on sam nie wiedział. Jeśli spojrzeć na to z perspektywy czasu, widać, że kiedy pojawił wreszcie groźbę sytuacji, postawił na urynkowanie niewydolnej gospodarki nakazowej, słusznie upatrując w tym jedynej drogi ratunku. I pewnie sam jeszcze nie wie, jak daleko będzie mógł się posunąć i co z tego wyniknie.

– A jak Firma ocenia jego szanse? – zapytał kongresman z Partii Republikańskiej.

– Śmiało można założyć, że zanim osiągnie jaką taką poprawę, musi nastąpić pogorszenie – odparł Ebby. – W Rosji istnieją obywatele, warstwy społeczne, organizacje, fabryki, ba!... całe miasta, które nie mają racji bytu z ekonomicznego punktu widzenia. Odebranie im przywilejów stanowi problem natury zarówno społecznej, jak i gospodarczej. Dodajmy do tego wygórowane roszczenia robotników... Górnicy z Kuzbasu i Donbasu chcieliby na przykład, żeby na półkach aptecznych stało coś jeszcze oprócz słoików z pijawkami. Wątpię, czy Gorbaczow, razem z tą swoją gadką o *pieriestrojce* i *głasnosti*, będzie w stanie zadośćuczynić ich żądaniom. Można też jedynie zgadywać, czy zdoła przeciwstawić się KGB, można zgadywać, czy potrafi zyskać poparcie armii i stanąć do konfrontacji z rozbitą, ale wciąż silną partią komunistyczną, która obawia się, że jego reformy zmiotą ją z powierzchni ziemi. Można wreszcie zgadywać, czy rewolucja – a rewolucja, panowie, wybuchnie na pewno – zacznie się od dołu, czy od góry.

– A jak pan skomentuje to, co o puczu piszą gazety? – zapytał przewodniczący.

– Są ludzie w Związku Sowieckim, którzy z pewnością chcieliby cofnąć czas – odparł Ebby. – Mówiąc szczerze, nie wiemy, jak bardzo poważne są

te wszystkie pogłoski o zamachu.

– Uważam, że pan Ebbitt zasługuje na kredyt zaufania – oświadczył kongresman z Massachusetts. – Szanuję go za to, że jeśli czegoś nie wie, od razu mówi to wprost.

– Popieram wniosek – powiedział przedstawiciel republikanów.

– Tak czy inaczej, trzeba sprawdzić te plotki – nalegał przewodniczący. – Musimy się dowiedzieć, czy faktycznie istnieje jakaś klika, która chce obalić Gorbaczowa. Jak silna jest ta grupa? Czy ma poparcie wojska? Co możemy zrobić, żeby wesprzeć Gorbaczowa lub osłabić jego przeciwników? A także ile jest prawdy w pogłoskach, jakoby KGB posiadał ogromne sumy w twardej walucie, zdeponowane gdzieś na Zachodzie?

– Sygnalizowano nam, że pokaźna ilość sowieckich wpływów dewizowych przekazywana jest do niemieckich banków – odparł Ebby. – Szefem tej operacji jest ktoś z KC, ale jego tożsamość pozostaje dla nas zagadką. Kto wydaje rozkazy? Do czego mają być użyte te pieniądze? Te i inne pytania wciąż czekają na odpowiedź.

– Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Jelcyn? – zapytał jeden z kongresmanów, który do tej pory słuchał w milczeniu.

– Jelcyn atakuje Gorbaczowa z innej pozycji – tłumaczył Ebby. – Obaj szczerze się nienawidzą, odkąd w osiemdziesiątym siódmym roku Gorbaczow wyrzucił Jelcyna z Politbiura; w tamtych czasach nie krytykowało się partii, a Jelcyn popełnił fatalny błąd, ignorując tę żelazną zasadę. Obecnie występuje otwarcie przeciw Gorbaczowowi, oskarżając go o hamowanie reform. Myślę, że można śmiało powiedzieć, iż Jelcyn, którego Rada Najwyższa wybrała w zeszłym roku na prezydenta, widzi siebie jako jedyne następcę Gorbaczowa, i podejrzewam, że chętnie by się go pozbył, pod warunkiem iż sam zajmie jego miejsce.

– Stając do walki z przeciwnikami reform, Jelcyn zadziera z KGB, armią i aparatem partyjnym... – wtrącił ktoś z drugiego końca stołu.

– Na brak wrogów nie może narzekać – przyznał Ebby.

Narada w sali konferencyjnej trwała jeszcze mniej więcej czterdzieści pięć minut, przy czym czas ten poświęcono głównie dyskusji na temat Saddama Husajna. Zastanawiano się między innymi, czy wobec przegranej w Zatoce Perskiej mógłby się posunąć do użycia broni chemicznej i biologicznej. Około południa, kiedy spotkanie wreszcie dobiegło końca, nawet najzagorzalsi krytycy Firmy przyznali, że Ebby nie tylko umie trafnie ocenić bieżące wydarzenia, ale robi też co w jego mocy, by przekształcić CIA w organizację, która będzie zdolna stawić czoło światu po zimnej wojnie.

– Jak poszło? – zapytał cicho Jack.

– Tak jak to było do przewidzenia – odpowiedział Ebby.

– To znaczy?

– To znaczy, że politycy nadal nie rozumieją specyfiki pracy wywiadowczej. Wydają na nas dwadzieścia osiem miliardów dolarów rocznie w poczuciu, że wyrzucają te pieniądze w błoto, ponieważ ich pytania pozostają bez odpowiedzi.

– Nie doceniają naszych sukcesów – mruknął z niezadowoleniem Jack.

– Doceniają – odparł Ebby. – Ale chcą, żeby nasze przewidywania sprawdzały się w stu procentach.

Rozmowa toczyła się w stołówce w Langley, gdzie Manny – od zeszłego roku zastępca dyrektora operacyjnego Firmy – wręczał właśnie pamiątkowe złote zegarki trzem zasłużonym oficerom, odchodzącym na wcześniejszą emeryturę (w rzeczywistości przeniesiono ich na inne stanowiska: dwóch

na punkt nasłuchowy w Kamerunie, a trzeciego na jednoosobową placówkę na Wyspach Kanaryjskich). Krzesła i stoły odsunięto pod ściany, żeby zrobić miejsce dla setki osób uczestniczących w ceremonii. Manny, w wieku czterdziestu czterech lat najmłodszy w historii Agencji DD/O, dmuchnął w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa.

– Przykro nam żegnać ludzi takich jak wy – zaczął. – Johnie, Hanku, Jerry, chcę wam powiedzieć w imieniu nas wszystkich tu zebranych, że będzie nam brakowało nie tylko waszego doświadczenia, ale i towarzystwa. Sumując lata, które każdy z was poświęcił pracy w Firmie, otrzymamy siedemdziesiąt sześć lat walki w okopach zimnej wojny... Przyjmijcie więc te zegarki jako skromny wyraz szacunku i wdzięczności za długoletnią i chwalebną służbę.

Zagrzmiały burzliwe oklaski.

– Gównu prawda – szepnął Jack do Ebby'ego. – Ci goście nigdy nie starali się odnieść sukcesu. Rozbijali się po różnych placówkach, czekając, aż okazja sama wpadnie im w ręce. A nawet wtedy dbali przede wszystkim o własne tyłki.

Do mikrofonu podszedł najstarszy z trzech „emerytów”, korpulentny mężczyzna o krzaczastych, wiecznie nastroszonych brwiach. Na jego twarzy malował się wyraz goryczy i urażonej godności.

– Pomyślałem sobie, że na pożegnanie opowiem wam kawał. Jeżeli ktoś dopatry się w nim jakiejś aluzji, to już nie mój problem... – Stojący obok Manny rzucił mu spłoszone spojrzenie. – No więc podczas spisu ludności jeden z ankierów pojechał do zabitej dechami wiochy w Tennessee. Puka do pierwszej z brzegu chałupy. Drzwi otwiera mu facet z dubeltówką. Ankieter wchodzi i widzi w środku kupę luda: każdy trzyma strzelbę i kufel z gorzałą, a pod nogami pętają się bosonogie dzieciaki. Ankieter pyta, ile

osób jest w rodzinie, a gość odpowiada, że dwadzieścia dwie. Gwizdże na palcach i wszyscy się zbiegają...

Tu i ówdzie rozległy się stłumione chichoty, bo niektórzy już słyszeli ten dowcip.

– Ankieter zaczyna ich liczyć, ale wychodzi mu tylko dwadzieścia jeden. Okazało się, że brakuje Małego Luke’a. Nagle z drewnianego wychodka za chałupą dobiega przeraźliwy wrzask. To Mały Luke wpadł do dziury w wygódce. Cała rodzina leci, żeby popatrzeć. Ojciec wzrusza ramionami i odchodzi. Ankieter nie wierzy własnym oczom. „Dlaczego pan go nie wyciągnął?!” – woła. „Eee tam! – odpowiada ojciec. – Łatwiej zmajstrować nowego niż tamtego doczyścić”.

Połowa zebranych wybuchnęła śmiechem. Reszta uniosła lekko brwi. Manny wbił oczy w podłogę. Mówca rozejrzał się po sali i popatrzył wprost na DCI.

– Ja mu chyba, kurwa... – syknął Jack. Już postąpił krok do przodu, żeby załatwić to po męsku, ale Ebby przytrzymał go za ramię.

– Daj spokój, nie kopie się leżącego.

– To nie znaczy, że mogą sobie...

– Dla nikogo z nas to nie jest łatwe, chociaż wszyscy wiemy, że bez generalnej czystki się nie obejdzie... Wyszczierz zęby w uśmiechu, stary, i rób dobrą minę do złej gry.

Później, w zaciszu gabinetu DCI na szóstym piętrze, Jack opadł ciężko na fotel naprzeciwko biurka, za którym usiadł Ebby.

– Kto wie, może i miał trochę racji – westchnął. – W Kongresie są ludzie, którzy woleliby zacząć wszystko od zera niż dać nam szansę, żebyśmy posprząтали ten burdel po Casey.

– Z kilkoma z nich miałem przyjemność rozmawiać dziś rano – dodał Ebby.

Jack pochylił się do przodu.

– Dużo nad tym myślałem, stary. Walka z kolumbijskimi baronami narkotykowymi, islamskimi terrorystami czy sowieckimi handlarzami bronią to za mało, by usprawiedliwić wydatek dwudziestu ośmiu miliardów dolarów rocznie na finansowanie wywiadu. Spójrz na to z innej strony: jak mamy zwerbować najlepszych i najsprytniejszych, jeśli naszym wrogiem numer jeden jest Kuba?

– I co? Masz jakiś pomysł?

– Mam.

Jack wstał i zamknął kopniakiem drzwi. Podeszedł do okna i usiadł na parapecie.

Ebby obrócił krzesło, żeby siedzieć twarzą do przyjaciela.

– Wal, Jack.

– Mówiłem ci już o tym, kiedy porwali Anthony'ego. Teraz, tak samo jak wtedy, jesteśmy w sytuacji bez wyjścia. Nie mamy ruchu. Kongres patrzy nam na ręce... Obcięli budżet, ograniczyli swobodę decyzji prezydenta... Mój Boże, Ebby, za każdym razem, gdy bierzemy na cel jakiegoś zagranicznego przywódcę, postępujemy wbrew prawu, i to bez względu na to, czy on też się na nas szykuje, czy nie.

– Pamiętam te twoje pomysły... Powiedziałem ci wówczas, że CIA jest na liście zagrożonych gatunków i dlatego nie będziemy się w to mieszać.

– A ja ci odpowiedziałem – odparował Jack – że wcale nie musimy. Moglibyśmy zlecić brudną robotę komu innemu...

– Postąpilibyśmy wbrew naszym zasadom...

– Weźmy na przykład Gorbaczowa... Nawet gdybyśmy wiedzieli, co się święci, nie moglibyśmy nic zrobić.

– Nie jestem pewien, czy chcę dalej tego słuchać...

– Już słyszysz...

– Co przez to rozumiesz?

– Chcesz wiedzieć? Proszę bardzo... Wypuścimy na scenę Torritiego. Ezra Ben Ezra wciąż stoi na czele Mosadu. Myślę, że można na niego liczyć, jeśli chodzi o zapewnienie środków koniecznych na sfinansowanie przedsięwzięcia, które pomoże utrzymać Gorbaczowa przy władzy i ułatwić rosyjskim Żydom emigrację do Izraela.

– Zapewnienie środków na sfinansowanie przedsięwzięcia... To brzmi tak godnie – wtrącił Ebby sarkastycznie – że aż legalnie.

– Te dolary zdeponowane przez Rosjan w niemieckich bankach... Gdybyśmy mogli położyć na nich łapę, przedsięwzięcie mogłoby się sfinansować samo i funkcjonować bez wiedzy i nadzoru Kongresu.

– Już to przerabialiśmy, Jack. Casey sprzedawał broń Irańczykom, żeby wesprzeć rebelię kontras w Nikaragui. Nie muszę ci chyba przypominać, że źle to się dla niego skończyło.

– My działalibyśmy w ukryciu. Moglibyśmy stworzyć naszą własną tajną organizację.

Ebby westchnął.

– Posłuchaj, Jack, walczyliśmy w tej samej wojnie, nosimy te same blizny. Ale tym razem przeholowałeś. Fakt, że wróg nie ma żadnych skrupułów, nie oznacza jeszcze, że Firma ma postępować podobnie. Jeśli będziemy działać tak jak oni, wygrana stanie się naszą klęską. Naprawdę tego nie rozumiesz?

– Wiem tylko, że cel uświęca środki...

– To pusty slogan, nic więcej... Tu trzeba wszystko rozważyć. Jaki cel? Jakie środki? I czy te środki istotnie pozwolą nam osiągnąć cel?

– Musimy się spieszyć, Ebby. Jeżeli szybko nie zarobimy kilku punktów, rozwiążą Firmę.

– Trudno – odparł Ebby. – A jeśli nadal chcesz ze mną pracować – dodał – to tylko na moich warunkach. Nie będzie żadnego przedsięwzięcia. Przynajmniej dopóki ja tu rządę. Stoję na straży Firmy. I bardzo poważnie traktuję funkcję strażnika. Kapujesz, Jack?

– Kapuję, stary. Ale punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Być może powinieneś się przesiąść.

PIERCHUSZOWO, PIĄTEK, 19 KWIETNIA 1991

– Mamy niezbite dowody – zapewniał przewodniczący KGB, Władimir Kriuczkow – na to, że agentom amerykańskiego wywiadu udało się przeniknąć do kręgu ludzi z najbliższego otoczenia Gorbaczowa.

– Podajcie nazwiska – zażądał z przeciwnego krańca stołu minister obrony, marszałek Dymitr Jazow, ograniczony, nadęty żołdak o szerokiej, mięsistej twarzy.

Kriuczkowowi nie trzeba było dwa razy powtarzać – wymienił nazwiska pięciu osób, których bliska znajomość z sekretarzem generalnym była powszechnie znana.

– Największy kretyn by się zorientował, że Gorbaczow jest manipulowany przez CIA... To część amerykańskiego spisku, dążącego do osłabienia radzieckiej władzy oraz sabotażu naszej gospodarki i badań naukowych. Chcą zniszczyć partię, unicestwić komunizm i wyeliminować z gry Związek Radziecki, jedyną światową potęgę, zdolną przeciwstawić się arogancji Ameryki.

Wokół długiego ogrodowego stołu zgromadziło się osiemnastu mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy z konsternacją słuchali tej przemowy, a siedzący wśród nich Jewgienij pomyślał, że tylu VIP-ów naraz widział ostatnio tylko na ekranie telewizora, kiedy kamera pokazała trybuny na szczycie Mauzoleum Lenina w czasie pierwszomajowego pochodu na placu Czerwonym. Przed południem pod okazałą drewnianą daczę na skraju leżącego przy szosie mozajskiej Pierchuszowa zaczęły podjeżdżać czarne limuzyny. W oczekiwaniu na spóźnialskich towarzystwo sączyło poncz

i gawędziło w wielkim salonie, grzejąc się przy rozpalonym niemal do czerwoności kaflowym piecu. Jakiś szeregowy członek sekretariatu Politbiura skarżył się na koszty nauki w ekskluzywnej szwajcarskiej szkole z internatem, a pozostali kiwali ze zrozumieniem głowami. Kiedy przybył ostatni z zaproszonych gości, wszyscy włożyli palta – resztki śniegu już co prawda stopniały, ale powietrze nadal było dosyć chłodne – i wyszli na zewnątrz w obawie, że dom może być na podsłuchu. Goście Władimira Kriuczkowa odnaleźli swoje nazwiska na karteczkach i zajęli miejsca za drewnianym stołem, ustawionym w cieniu rozłożystych świerków syberyjskich. Za drzewami rozciągał się trawnik, opadający w dół do jeziora, na którym właśnie odbywały się młodzieżowe regaty żeglarskie. Od czasu do czasu na wzgórzu dobiegały okrzyki lawirujących między bojami sterników. Na lewo, za żywopłotem, można było dostrzec uzbrojonych strażników, którzy patrolowali teren wokół daczy, ogrodzonej wysokim płotem pod napięciem.

Siedząca dokładnie naprzeciw Jewgienija Matylida posłała mu przez stół porozumiewawczy uśmiech, po czym odwróciła się do męża, Pawła Urickiego, i szepnęła mu coś do ucha. Surowy mężczyzna, który nie krył się ze swą nienawiścią do Żydów, kiwnął głową i powiedział do zajmującego miejsce u szczytu stołu Kriuczkowa:

– Władimirze Aleksandrowiczu, obecność szpiegów CIA w kręgach ludzi blisko związanych z Gorbaczowem może stać się przysłowiową kroplą, która przepełni kielich. Nie zgadzać się z Gorbaczowem tak jak my, potępiać go za to, że odwrócił się od bratnich państw socjalistycznych Europy Wschodniej, krytykować za oplucie naszej bolszewickiej historii, winić za pogrążenie kraju w chaosie reform i lekceważenie ich zgubnych dla obywateli skutków – to jedno. Ale oskarżać go, że jest marionetką w rękach CIA i wykonuje za nich brudną robotę, to co innego. Czy

przedstawiliście, towarzyszu, te wszystkie zarzuty sekretarzowi generalnemu?

– Od dawna próbuję go ostrzec – odparł Kriuczkow. – On jednak zawsze mi przerywa i zmienia temat. Najwyraźniej nie chce mnie wysłuchać... Macha tylko ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie daje wiary moim informacjom.

– Świadomie lub nie, Gorbaczow zaprzedał Związek Radziecki diabłu – oznajmiła z mocą Matyllda.

– Kraj czeka klęska głodu – odezwał się z przeciwnego końca stołu minister spraw wewnętrznych, Borys Pugo. – W gospodarce zapanowało kompletne bezhołowie. Zakłady pracy nie wywiązują się z realizacji przyjętych zamówień. Z powodu braku surowców fabryki zmniejszyły produkcję. Nawet żniw w tym roku nie będzie, bo nie ma części do traktorów.

– Nasza ukochana ojczyzna schodzi na psy – poparł go dowódca sił lądowych, generał Walentyn Wariennikow. – Stawki podatkowe są tak wyśrubowane, że nikt nie jest w stanie ich spłacić i utrzymać się w biznesie. Emerytowani robotnicy, którzy całe życie poświęcili dla komunizmu, parzą obierki z marchwi, bo ze swoich mizernych pensji nie mogą sobie pozwolić nawet na herbatę.

Mąż Matylldy uderzył pięścią w stół.

– Wszystkiemu winni są Żydzi! – grzmiał tubalnym głosem. – Bezkarnie dopuszczają się zbrodni na narodzie radzieckim... Należałoby ich oskarżyć o ludobójstwo!

– Całym sercem zgadzam się z mężem – powiedziała Matyllda. – Moim zdaniem trzeba zakazać emigracji Żydów bez zgody powołanego przez naród trybunału, który ustali wielkość odszkodowania należnego państwu

radzieckiemu za koszty, jakie poniosło na ich wykształcenie. Tutaj się urodzili i niech im się nie zdaje, że mogą wyjechać sobie do Izraela, kiedy chcą...

Głos zabrał Fiodor Łomow, aparatczyk z Ministerstwa Spraw Zagranicznych – prawnuk zasłużonego bolszewika, pierwszego komisarza ludowego sprawiedliwości po rewolucji 1917 roku:

– Wszyscy wiedzą, że żydowscy architekci tak zaprojektowali plac Puszkina, że nasz wielki poeta stoi odwrócony plecami do kina „Rosja”. Symbolika nie uszła niczyjej uwagi... Żydzi i syjoniści ponoszą odpowiedzialność za rozwydrzenie młodzieży – perorował dalej Łomow, otyły, zwalisty mężczyzna o śnieżnobiałej koziej bródce, po której ciekła żółtawa strużka koniaku – za plagę muzyki rockowej i narkotyków, za AIDS, za inflację, brak żywności na rynku i spadek wartości rubla, za pornografię w telewizji, a nawet za wybuch reaktora jądrowego w Czernobylu.

Czas płynął, a spiskowcy (jak ich zaczął w myślach nazywać Jewgienij) ciągnęli nieprzerwaną litanie swoich żalów i obaw. Emocje sięgnęły zenitu – wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, a Kriuczukow, niczym nauczyciel zmagający się z niesfornymi uczniami, musiał kolejno wskazywać, komu udziela głosu.

– Gorbaczow nas oszukał... Wmawiał nam, że chce odnowić partię, ale nigdy nie powiedział, że ma zamiar ją zniszczyć.

– Wystawił nas na pośmiewisko... Wyszydzono wszystkie instytucje państwowe...

– Mówię z własnego doświadczenia... Władza straciła zaufanie ludu.

– Skarb państwa świeci pustkami, w szkatułce pokazało się dno... Rząd regularnie opóźnia się z wypłatą żołdu i pensji.

– Tym krajem nie da się już dłużej rządzić.

– Musieliśmy wycofać się z Afganistanu. Gorbaczow upokorzył Armię Radziecką!

– Drastyczne cięcia w wydatkach wojskowych i niemożność zdobycia kwot, które przewidziano w budżecie, postawiły nas w niewygodnej sytuacji w momencie, gdy musimy stawić czoło Amerykanom po ich stu godzinach triumfu w Zatoce Perskiej.

Kriuczok rzucił okiem na twarze zebranych i przemówił głosem pełnym powagi:

– Nasza jedyna nadzieja to ogłosić stan wyjątkowy.

– Gorbaczow nigdy się na to nie zgodzi – zauważył Paweł Uricki.

– W takim razie – powiedział Kriuczok – będziemy musieli go wyręczyć. Ci, którzy są za, niech podniosą rękę.

Dziewiętnaście rąk jednomyślnie wystrzeżiło w górę.

Znad jeziora dobiegły krzyki nastolatka, którego łódź przewróciła się do góry dnem. Pozostałe żaglówki pospieszyły na pomoc, nadpływając ze wszystkich stron, by wyciągnąć chłopca z wody. Jedna z dziewcząt, obserwująca zajście z brzegu, zawołała: „Mają go... jest cały!”

– Miał chłopak szczęście – westchnął Pugo. – Ale my, jeżeli nasz plan dojdzie do skutku, nie będziemy się zbytnio przejmować tymi, którzy wypadną za burtę. – Uniósł porozumiewawczo brwi.

Przy stole rozległy się chichoty.

Później, kiedy spotkanie dobiegło końca, a goście zaczęli powoli odjeżdżać swoimi limuzynami, Kriuczok wziął Jewgienija na bok.

– Mamy wspólnego przyjaciela, który wyraża się o was w samych superlatywach – powiedział. – Wiem, że pracowaliście w centrali, i znam

wasze oddanie dla sprawy... W pewnych kręgach staliście się już prawdziwą legendą...

– Spełniłem tylko swój obowiązek, towarzyszu przewodniczący, nic więcej – odparł Jewgienij.

Kriuczok uśmiechnął się melancholijnie.

– Odkąd Gorbaczow przejął władzę, coraz mniej ludzi używa słowa „towarzysz”. – Poprowadził Jewgienija do łazienki i odkręcił do oporu oba krany. – Jeden z naszych, starszy urzędnik, odpowiedzialny za finanse KC, od lat przekazywał do Niemiec pokaźne sumy w dewizach i za pośrednictwem „nabywcy waluty” – *Devisenbeschaffer*, jak mówią Niemcy – zamieniał je na dolary i złoto. Usunięcie Gorbaczowa i ogłoszenie stanu wyjątkowego to kosztowna operacja. A jeśli nam się powiedzie, trzeba będzie jak najszybciej zapełnić półki w sklepach alkoholem i żywnością, przynajmniej w większych miastach, aby pokazać, że jesteśmy w stanie podźwignąć kraj z chaosu, w jakim pogrążył go Gorbaczow... Obniżymy ceny podstawowych produktów, a przede wszystkim wódki. Roześliśmy też emerytury ludziom, którzy od miesiący nie dostali ani grosza. A do tego niezbędny jest kapitał...

– Zaczynam rozumieć, czemu zostałem tu zaproszony... – powiedział Jewgienij.

– Słyszałem, że wasz Bank Handlowy Wielkiej Rosji ma filie w Niemczech.

– Dokładnie dwie, dla ścisłości. Jedną w Berlinie, drugą w Dreźnie.

– Zapytam wprost... Czy możemy liczyć na waszą pomoc, towarzyszu?

Jewgienij energicznie kiwnął głową.

– Nie po to przez całe życie walczyłem za komunizm, żeby teraz patrzeć, jak pada na kolana przed rewizjonistą, który jest marionetką w rękach

naszego głównego przeciwnika.

Kriuczok uściskał obiema rękami dłoń Jewgienija i przez chwilę spoglądał mu głęboko w oczy.

– Ten urzędnik KC, o którym wam mówiłem, nazywa się Izwolski. Nikołaj Izwolski. Zapamiętajcie to nazwisko. Skontaktuje się z wami za kilka dni. Będzie pośredniczył pomiędzy wami a niemieckim „nabywcą waluty”. Razem zorganizujecie przelew funduszy z waszego banku. We właściwej chwili udostępnicie je dla naszej sprawy.

– Cieszę się, że wracam do służby, do swoich – powiedział Jewgienij. – I jestem dumny, że znów będę chronić Związek Radziecki przed tymi, którzy chcą go znieważać.

Dzień po spotkaniu w Pierchuszowie Jewgienij wpadł na drinka do baru pod nazwą „Monolit”, prywatnego miejsca spotkań nowej elity i świeżo upieczonych biznesmenów, którzy wymieniali się tu informacjami i wskazówkami na temat zagranicznych funduszy i cen akcji na Wall Street. Siedział pełen ponurych myśli, wściekły, że znowu się w coś wpakował, i głowił się, co zrobić z tym fantem – musiał przecież jakoś ostrzec Gorbaczowa – kiedy w drzwiach stanął anemiczny mężczyzna z niemal przezroczystymi powiekami i szczęką, która wyglądała tak, jakby była wykonana z białej porcelany. Wydawał się zupełnie nie na miejscu w swojej bistorowej marynarce z szerokimi kłapami i workowatych spodniach, których nogawki wlokły się po ziemi; stali bywalcy klubu woleli angielską flanelę, skrojoną według włoskiej mody. Jewgienij zastanawiał się, jak ów *Homo sovieticus*, jak go od razu ochrzcił, przedostał się przez bramki przy wejściu, strzeżone przez byłych zapaśników. Mężczyzna rozglądał się niepewnie, jakby kogoś wypatrywał, usiłując dojrzeć cokolwiek poprzez gęsty dym z papierosów, unoszący się w słabo oświetlonym wnętrzu.

Spostrzegłszy Jewgienija, siedzącego przy małym stoliku w rogu sali, otworzył usta, jakby wreszcie znalazł osobę, której szukał. Podszedł prosto do niego i powiedział:

– To wy? J.A. Cypin?

– To zależy, kto pyta.

– Nazywam się Izwolski, Nikołaj Izwolski.

Młody fotograf, zatrudniony w klubie, uchwycił spojrzenie Jewgienija i pomachał w powietrzu albumem ze zdjęciami Sharon Stone, Roberta De Niro i Luciana Pavarottiego.

– Innym razem, Borys! – odkrzyknął Jewgienij i wskazał Izwolskiemu wolne krzesło. – Czego się pan napije? – zapytał.

– Nie biorę wódki do ust – oznajmił *Homo sovieticus* z nieskrywaną satysfakcją; abstynencja najwyraźniej dawała mu poczucie moralnej wyższości nad innymi. – Może szklankę herbaty...

Jewgienij skinął na kelnera i bezgłośnie wypowiedział słowo *czaj*, po czym zwrócił się do Izwolskiego.

– Powiedziano mi, że pracujecie w Komitecie Centralnym...

– Musimy być ostrożni. Ściany mają uszy... w tym klubie podobno aż roi się od pluskiew. Pewna ważna osobistość poleciła mi skontaktować się z wami...

Przed Izwolskim postawiono filiżankę herbaty i chińską miseczkę z kostkami cukru. Zgarnął do kieszeni garść kostek i pochylił się, żeby podmuchać na herbatę.

– Kazano mi – ciągnął, ścisząc głos i nerwowo brzęcząc łyżeczką w filiżance – powiadomić was, iż w ciągu najbliższych miesięcy pewien niemiecki nacjonalista będzie przekazywał do waszego banku w Dreźnie pokaźne kwoty w dolarach amerykańskich. Podobnie jak wielu z nas, jest

patriotą, który poświęcił całe życie na walkę z wielkim szatanem... z międzynarodowym żydostwem.

– Jak się nazywa?

– Dla was po prostu *Devisenbeschaffer*, nabywca waluty.

– Skoro powierzacie mi swoje pieniądze, powinniście ufać we wszystkim. Po co te tajemnice?

– To nie jest kwestia zaufania, towarzyszu Cypin. To kwestia bezpieczeństwa.

Jewgienij przyjął to profesjonalnym, jak miał nadzieję, skinieniem głowy.

Izwolski wyjął z kieszonki na piersi długopis i zapisał coś na serwetce.

– To prywatny numer telefonu, z automatyczną sekretarką, którą odsłuchuję codziennie. Wystarczy zostawić jakąś niewinną wiadomość... na przykład żebym obejrzał pewien program w telewizji... a ja rozpoznam was po głosie i sam się z wami skontaktuję. Na razie otwórzcie w waszym banku w Dreźnie rachunek na swoje nazwisko, a numer przekażcie mnie. Dam wam znać za każdym razem, gdy zechcemy dokonać wpłaty, a wtedy wy przelejecie całą sumę do moskiewskiej filii banku.

Izwolski podniósł filiżankę do ust i ostrożnie sprawdził temperaturę herbaty. Doszedłszy do wniosku, że jest wystarczająco chłodna, wypił wszystko duszkiem, jakby chciał ugasić dręczące go pragnienie.

– Dziękuję za gościnność, towarzyszu Cypin – powiedział *Homo sovieticus*, po czym wstał i odszedł bez słowa pożegnania.

Leo Kritzky słuchał uważnie, kiedy Jewgienij opowiadał mu o odwiedzinach u Dziadka w klinice, o haśle, które było znakiem rozpoznawczym jakiejś tajemniczej „grupy”, mającej przystąpić do

„ostatecznej rozgrywki”, wreszcie o spotkaniu ze spiskowcami na daczce w Pierchuszowie.

– Z początku nie brałem Dziadka poważnie – przyznał Jewgienij. – Myślałem, że bredzi. Ta jego gadka o Żydach, czystce i zaczynaniu od nowa... Myliłem się jednak. Jego życie wisi na włosku... czy raczej na rurce kroplówki... a on układa plany!

Leo gwizdnął przez zęby.

– To prawdziwa bomba...

Poprzedniego dnia Jewgienij zadzwonił do Leo z budki telefonicznej, żeby umówić się na spotkanie.

– Mógłbym tę wiadomość narysować kredą na drzwiach windy naszym szyfrem z gry w kółko i krzyżyk – zachichotał konspiracyjnie – ale nie chcę tracić czasu. Muszę się z tobą zobaczyć jutro. Jeśli to możliwe, z samego rana.

Na wspomnienie dawnego szyfru, którym porozumiewali się w Waszyngtonie, Kritzky'ego ogarnęło zagadkowe uczucie, iż oto powraca do swego poprzedniego wcielenia, do czasów, gdy nieustanny lęk przed wpadką dodawał wszystkim codziennym czynnościom dreszczyku emocji, posmaku przygody, którego tak bardzo brakowało mu w Moskwie. Bez wahania zgodził się na spotkanie. Jewgienij podał godzinę i powiedział, że wyruszy spod Grobu Nieznanego Żołnierza przy kremlowskim murze, kierując się na południe. Leo domyślił się od razu, dlaczego Jewgienij woli zobaczyć się z nim na mieście – chce mieć pewność, że nikt nie nagra ich rozmowy.

Szli wzdłuż straganów z kwiatami. Po drodze minęli grupę angielskich turystów, słuchających w skupieniu przewodnika z Inturistu, który opowiadał im o tym, jak to car Iwan IV, zwany Groźnym, zamordował

własnego syna i dziedzica oraz kilka ze swych siedmiu żon. „Fajny gość!” – zażartował jeden z turystów. „Nie bardzo pana rozumiem” – odparł zdumiony przewodnik.

– Co o tym myślisz? – zapytał Leo, kiedy znów mogli rozmawiać spokojnie.

– Zjazd w Pierchuszowie to nie kółko dyskusyjne – powiedział Jewgienij. – Kriuczok spiskuje, żeby przejąć władzę. To skrupulatny człowiek, systematycznie zaciska pętlę wokół szyi Gorbaczowa.

– Ta twoja lista spiskowców to istne *who is who* kręgu zaufanych ludzi Gorbaczowa. Minister obrony Jazow, magnat prasowy Uricki, minister spraw wewnętrznych Pugo, dowódca sił lądowych Wariennikow, Łomow z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przewodniczący Rady Najwyższej Łukianow, premier Pawłow...

– Nie zapominaj o Jewgieniju Cypinie – wtrącił Jewgienij, uśmiechając się z zażenowaniem.

– I chcę posłużyć się twoim bankiem, żeby sfinansować swój pucz...

– ...i zapłacić puste półki w sklepach, i wypłacić zaległe emerytury. Są diabło sprytni. Jeżeli uda im się przejąć władzę niewielkim kosztem i bez rozlewu krwi, jeżeli zdołają zamydlić ludziom oczy, to prawdopodobnie ujdzie im to na sucho.

Leo spojrział na przyjaciela.

– Po której jesteśmy stronie? – zapytał półżartem.

Jewgienij uśmiechnął się ponuro.

– Nic się nie zmieniło. Jesteśmy po stronie tych, którzy krzewią szczodrość i geniusz ludzkiego ducha, jesteśmy przeciw nacjonalistom i antysemitom, przeciw siłom, stojącym na drodze demokratycznych reform w Rosji. Krótko mówiąc, jesteśmy po stronie Gorbaczowa.

– Co mam zrobić?

Jewgienij chwycił Leo za ramię.

– Możliwe, że wzięli mnie pod obserwację... Na spotkaniu w Pierchuszowie był obecny Jurij Suchanow, prawa ręka Kriuczkowa i szef Dziewiątego Zarządu Głównego KGB, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Gorbaczowa. W Dziewiątym Zarządzie roi się od wycieków. Mój telefon może być na podsłuchu, moi pracownicy pewnie już na mnie donoszą...

Leo pojął, do czego zmierza ta rozmowa.

– Dawniej ty byłeś moim kontaktem. Chcesz zamienić się rolami? Chcesz, żebym teraz ja był twoim kontaktem?

– Masz więcej swobody...

– Przecież nawet w tej chwili ktoś może nas śledzić – powiedział Leo.

– Nie sądzę, żeby ktoś dotarł za mną aż tutaj. Zastosowałem kilka zawodowych sztuczek. Nie bój się, wiem, jak zgubić ogon.

– Dobra. Załóżmy, że m a m więcej swobody...

– Zacznijmy od tego, że przekażesz kumplom z CIA wszystko, co tu ode mnie usłyszałeś: raport ze zjazdu w Pierchuszowie, nazwiska uczestników...

– Nie jestem ci do tego potrzebny. Wyślij anonim do moskiewskiej placówki Firmy.

– Nie zapominaj, że placówka może być infiltrowana przez KGB. Jeśli Amerykanie zaczną dyskutować o tej sprawie, a ich uwagi zostaną wychwycone przez mikrofony, KGB może metodą eliminacji trafić do mnie. Nie, ktoś powinien przekazać tę historię bezpośrednio do Waszyngtonu, najlepiej od razu do kogoś na samej górze. Logicznie biorąc, tym kimś powinien być ty. Tobie uwierzą, Leo. A jeżeli nie, to może

przekonają Gorbaczowa, żeby tu trochę posprzątał i aresztował spiskowców. CIA ma duże możliwości. Może nawet udaremnić pucz.

Leo podrapał się w ucho, rozważając propozycję Jewgienija.

– Oczywiście nie możesz zdradzić, skąd masz te informacje – dodał Jewgienij. – Powiedz im, że masz kreta wewnątrz spisku.

– Założmy, że się zgadzam. Ale ty swoją drogą powinieneś sam spróbować dotrzeć do Gorbaczowa...

– Wyprzedzam cię o krok, Leo. Znam kogoś, komu mogę zaufać. Ta... osoba jest w bliskich stosunkach z Jelcynem. Zobaczę, może coś wskóram.

Przystanęli i przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Myślałem, że gra skończona – powiedział Leo.

– Ta gra nigdy się nie kończy – odparł Jewgienij.

– Bądź ostrożny, na miłość boską.

Jewgienij kiwnął głową.

– Głupio by było przetrwać Amerykę, a dać się załatwić w Rosji.

Leo przytaknął.

– Faktycznie, głupio. Ironia losu...

Audytorium – pełna przeciągów hala fabryczna, w której robotnicy usypiali niegdyś na obowiązkowych pogadankach na temat wyższości dyktatury proletariatu i radzieckiego ustroju nad resztą świata – wypchane było po brzegi studentami. Jedni siedzieli po turecku na podłodze, inni podpierali ściany. Na niskim podium, oświetlonym pojedynczą żarówką, stała wysoka, szczupła kobieta o zasadniczym wyrazie twarzy i krótko ostrzyżonych ciemnych włosach i z zapalem przemawiała do mikrofonu. Jej cichy, melodyjny głos sprawiał, że nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt

dziewięć lat. Z istic oratorską swadą, umiejtanie dozujac napięcie, potrafiła skupić na sobie uwagę słuchaczy.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy usłyszeli o mojej prywatnej kartotece – mówiła – kiedy odkryli, że zbierałam nazwiska ofiar Stalina, zaciągnęli mnie do dusznego pokoju na Łubiance i oświadczyli, że czeka mnie więzienie... albo coś jeszcze gorszego. To było w roku pięćdziesiątym szóstym. Potem dowiedziałam się, że zostałam zakwalifikowana jako SNE. Nie uwierzycie, ale poczułam dumę... Z punktu widzenia komunistycznego reżimu jestem „społecznie niebezpiecznym elementem”. Dlaczego? Bo mój projekt udokumentowania zbrodni Stalina... mam obecnie ponad dwieście dwadzieścia pięć tysięcy fiszek, a to i tak tylko wierzchołek góry lodowej... groził zwróceniem historii jej prawowitemu właścicielowi, czyli narodowi. Kiedy komuniści stracą władzę nad historią, ich partia... pozwolę tu sobie zacytować Trockiego... znajdzie się na śmietniku historii.

Na sali rozległy się brawa. Ci, co siedzieli na składanych krzesłach, zaczęli tupać w podłogę. Gdy wrzawa ucichła, kobieta podjęła przerwany wątek.

– Michaił Gorbaczow chce nam zwrócić naszą historię – zadanie niełatwe, jeśli wziąć pod uwagę, że my, Rosjanie, nigdy nie doświadczyliśmy reformacji, renesansu, oświecenia... Odkąd w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku Gorbaczow objął władzę, w telewizji zaczęto nadawać filmy dokumentalne o brutalnej stalinowskiej kolektywizacji rolnictwa, o okrutnych czyszkach w połowie lat trzydziestych i o milionach bezimiennych obywateli, skazanych bez prawa do uczciwego procesu, zesłanych do gułagów na Kołymie, w Workucie i Kazachstanie lub zamordowanych strzałem w tył głowy.

Przerwała, żeby wypić łyk wody. W wielkiej hali zapanowała głucha cisza. Kobieta odstawiła szklankę i powiódłszy wzrokiem po twarzach słuchaczy, mówiła dalej, jeszcze ciszej. Niektórzy pochyłali się do przodu, żeby nie uronić ani jednego słowa.

– To jasna strona rządów Gorbaczowa. Ale jest i ciemna. Wzorem tylu innych reformatorów Michaił Siergiejewicz lęka się doprowadzić dzieło do końca, do ostatniego centymetra, jak mawiał Sołżenicyn; nie starcza mu odwagi, by podążyć za logiką faktów, zdrowym rozsądkiem i obiektywną oceną historii. Gorbaczow utrzymuje, że Stalin był jedynie aberracją... dewiacją... leninizmu. *Czepucha!* Bzdura! Kiedy wreszcie zrozumiemy, że Lenin był geniuszem terroru państwowego? W tysiąc dziewięćset osiemnastym, kiedy bolszewicy przegrali wybory, rozwiązał demokratycznie wybrane Zgromadzenie Konstytucyjne. W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym przystąpił do systematycznej likwidacji swoich przeciwników, najpierw poza partią, a później także w jej szeregach. Stworzony przez niego, a udoskonalony później przez Stalina, bezwzględny system rządów, skrywający się za eufemistycznym sofizmatem „dyktatura proletariatu”, miał tylko jeden cel: stłamszenie wszelkiego sprzeciwu i fizyczną eliminację opozycji. – Jej głos brzmiał teraz tak cicho, że słuchacze bali się odetchnąć. – Ten system katował więźniów tak okrutnie, że nie byli w stanie dowlec się o własnych siłach przed pluton egzekucyjny. Ten system złamał lewą rękę Meyerholda, zmuszając go, by podpisał zeznania prawą. Ten system zesłał na skuty lodem Sybir poetę Osipa Mandelsztama, który dopuścił się zbrodni obrazy majestatu, gdyż śmiał napisać i odczytać na głos wiersz o Stalinie, niebędący panegirkiem na jego cześć. Ten system zamordował moich rodziców, a potem pozbył się ich zwłok, wywożąc je do krematorium w monastyrze Dońskim, razem z dziewięciuset dziewięćdziesięciu ośmiu

ciałami innych skazańców, straconych tego samego dnia. Ludzie mówią, że na otaczających monastyr polach często widać psy, walczące o wygrzebane z ziemi ludzkie kości. – Przymknęła powieki, próbując opanować wzruszenie. – Nigdy nie udało mi się dotrzeć do *spiecchan*, pilnie strzeżonych półek w państwowych archiwach, gdzie przechowywane są tajne dokumenty. Ale mam powody sądzić, że znajduje się tam około szesnastu milionów akt, dotyczących aresztowań i egzekucji. Sołżenicyn szacuje liczbę ofiar na blisko sześćdziesiąt milionów... szóstka i siedem zer, ciągnących się niczym ogon przedpotopowego gada... sześćdziesiąt milionów istnień ludzkich, unicestwionych przez stalinizm.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Czeka nas dużo pracy, przyjaciele...

Gromkie brawa poprzedziła chwila kompletnej ciszy. Kobieta cofnęła się nieco, zaskoczona entuzjastycznymi owacjami. Ludzie zerwali się z miejsc i otoczyli ją ciasno, zadając setki pytań. Spotkanie przeciągało się i było już dobrze po jedenastej, kiedy zaczęła zbierać notatki, chowając je do podniszczonej plastikowej teczki. Wtedy z mroku, zalegającego w opustoszałej hali, wynurzył się Jewgienij. Podniosła głowę, w oczekiwaniu na kolejne pytanie, i zamarła.

– Wybacz, że zjawiam się tak nagle... – Jewgienij przełknął głośno ślinę i zaczął od nowa. – Jeżeli zgodzisz się ze mną porozmawiać, przekonasz się, że nie mogłem ci tego powiedzieć przez telefon... To byłoby zbyt niebezpieczne. Dlatego pozwoliłem sobie...

– Ileż to lat minęło? – zapytała ochrypłym szeptem.

– To było wczoraj – odparł Jewgienij głosem nabrzmiałym wzruszeniem.
– Drzemałem pod drzewem w ogrodzie na dacy ojca w Pieriedielkinie. Obudziłaś mnie... twój głos jest dziś tak samo melodyjny jak wówczas... obudziłaś mnie, mówiąc tą nazbyt poprawną, szkolną angielszczyzną: „Tak

bardzo nie lubię lata”. Spytałaś, co sądzę o książkach Hemingwaya i Fitzgeralda.

Wspiął się na najwyższy stopień podestu i stanął tuż przy niej. Cofnęła się, onieśmielona jego natarczywym spojrzeniem.

– Znów mi zapierasz dech w piersi, Jewgieniju Aleksandrowiczu – wyznała. – Dawno przyjechałeś?

– Wróciłem sześć lat temu.

– Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej?

– Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem... Pamiętasz? Zadzwoiłem do ciebie z budki... Dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że będzie lepiej, przynajmniej dla ciebie, jeśli się więcej nie spotkamy.

– A co takiego się wydarzyło, że postanowiłeś złamać ten zakaz?

– Czytałem o tobie w gazetach, widziałem w telewizji wywiad z tobą i Sacharowem, w programie *Wzгляд...* Wiem, że jesteś blisko Jelcyna, pracujesz z nim... dlatego przyszedłem. Mam dla niego ważną informację. Chciałbym, żeby przekazał ją Gorbaczowowi.

Do hali zajrzał dozorca i zawołał:

– *Gospodina Lebowitz*, już noc... Muszę zamykać.

– Proszę... – nalegał Jewgienij. – Na ulicy zaparkowałem samochód. Pozwól, że zabiorę cię gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać. Obiecuję, że nie pożakujesz. Od tego, czy zechcesz mnie wysłuchać, zależy los Gorbaczowa i rosyjskiej demokracji.

Azalia Izanowna nieznacznie kiwnęła głową.

– Pojadę z tobą.

Północ już dawno minęła, a wciąż nie zanosilo się na to, aby dyskusja w „Worobieju”, kawiarni na Worobjowych Górach (ostatnio mieszkańcy

przywrócili Wzgórzom Leninowskim ich przedrewolucyjną nazwę), usytuowanej u stóp wzniesienia, na którym stał budynek Uniwersytetu Łomonosowa, miała szybko dobiec końca.

– Systemy kapitalistyczne bywały przekształcane w systemy socjalistyczne, ale nie odwrotnie – przekonywał poważny młody człowiek z długimi bokobrodami i skąpą, rzadką bródką. – Nie znajdziemy tego w żadnym podręczniku i dlatego powinniśmy działać bardzo ostrożnie.

– My napiszemy taki podręcznik – upierała się siedząca naprzeciw niego dziewczyna.

– To jak pływanie w jeziorze – tłumaczyła inna. – Można zanurzać się powoli albo od razu skoczyć na głęboką wodę. Wtedy nie czuje się zimna.

– Ludzie, którzy skaczą do lodowatej wody, umierają na zawał serca – zauważył chłopak w okularach o grubych szklach.

– Jak socjalizm umrze na zawał serca – zażartował ten z bródką – to można mu zrobić sztuczne oddychanie. Ktoś zgłasza się na ochotnika?

– Ja na pewno nie – odparły dziewczyny zgodnym chórem.

– Jeszcze raz kawa dla wszystkich! – zawołał chłopak do kelnera, czytającego za ladą podniszczony egzemplarz „Newsweeka”.

– Pięć po amerykańsku! – krzyknął kelner do bufetowej.

Przy małym stoliku pod oknem Aza medytowała nad tym, co powiedział jej przed chwilą Jewgienij. Mimo późnej pory na ulicy panował spory ruch, a gardłowy pomruk silników brzmiał w uszach kawiarnianych gości niby zgiełkliwy lament zmęczonego miasta.

– Jesteś pewien, że widziałeś wśród nich Jazowa? – spytała. – To rzeczywiście cios w plecy. Bez Gorbaczowa Jazow byłby nikim...

– Na sto procent. Znam go ze zdjęć w gazetach. Zresztą raz czy dwa ktoś zwrócił się do niego per „panie ministrze”.

– A Oleg Bakłanow, szef kompleksu wojskowo-przemysłowego? A Oleg Szenin z Politbiura?

– Bakłanow sam mi się przedstawił, jeszcze zanim siedliśmy przy stole. To on wskazał mi Szenina.

Aza powtórnie przeczytała listę nazwisk, które zapisała na odwrotnej stronie koperty.

– To przerażające. Oczywiście wiedzieliśmy, że będą kłopoty. Kriuczokow i jego poplecznicy z KGB nie ukrywali tego, co myślą o Gorbaczowie. Ale nie przypuszczaliśmy, że spisek przyciągnie tak wielu wpływowych ludzi. – Podniosła wzrok i przyjrzała się uważnie Jewgienijowi, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. – Ufają ci...

– Pracowałem dla KGB za granicą. Zakładają, że każdy, kto był kiedyś związany z KGB, musi opowiadać się za przywróceniem starego porządku. Poza tym lwia część właścicieli prywatnych banków to gangsterzy, którymi kieruje wyłącznie chciwość, a nie jakieś polityczne sentymenty. Spiskowcy potrzebują kogoś, komu mogliby zaufać i powierzyć swoje pieniądze. Ktoś polecił im mnie...

– Kto?

– Mój mistrz, żywa legenda KGB. Jego nazwisko nic ci nie powie...

– Jesteś odważnym człowiekiem, Jewgieniju Aleksandrowiczu. Wiele ryzykujesz, przychodząc z tym do mnie. Gdyby to odkryli...

– Dlatego nie chcę, żeby ktokolwiek, z Borysem Jelcynem na czele, dowiedział się, skąd masz te informacje.

– Bez podania źródła informacja traci na wiarygodności.

– Powiedz mi, że wiesz to od kogoś, kogo znasz od dawna... kogoś, komu ufasz bez zastrzeżeń. – Jewgienij uśmiechnął się. – Czy możesz mi jeszcze zaufać, Azo? Po tym, jak cię oszukałem?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Wreszcie niechętnie kiwnęła głową.

– Od samego początku najpierw dawałeś mi nadzieję, a potem ją odbierałeś... Zawsze tak było. Boję się, że znowu mnie zawiedziesz, ale...

– Ale...

– Znasz amerykański tytuł książki Nadieжды Mandelsztam o jej mężu, Osipie? *Hope against Hope* – nadzieja wbrew wszelkiej nadziei^[53]. Gdybym miała napisać książkę o moim życiu, tak właśnie bym ją zatytułowała. Jestem uzależniona od nadziei.

Jewgienij zerknął na rachunek i zaczął odliczać ruble.

– Nie odwiozę cię do domu. Nie możemy ryzykować, że nas ktoś razem zobaczy. Pamiętasz, jak się umówiliśmy?

– Zadzwonisz do mnie i poprosisz kogoś do telefonu. W nazwisku tej osoby będzie litera „z”. Odpowiem, że to pomyłka. Dokładnie godzinę i piętnaście minut po twoim telefonie pójde w kierunku zachodnim północną stroną Nowego Arbatu. W pewnym momencie zatrzyma się przede mną samochód, biorący pasażerów na łebka. Kierowca opuści szybę i zapyta, czy mnie gdzieś podrzucić. Chwilkę potargujemy się o cenę. Potem wsiądę. Tym „taksówkarzem” będziesz ty.

– Za każdym razem będziemy kontaktować się w inny sposób. Musimy zmieniać hasło i miejsce spotkań.

– Widzę, że masz doświadczenie w tych sprawach.

– Można powiedzieć, że jestem mistrzem.

– Są w twojej duszy zakamarki, Jewgieniju Aleksandrowiczu, których jeszcze nie zwiedziłam – powiedziała Aza, lecz widząc, iż rozmowa przybiera zbyt górnolotne tony, spróbowała nieco rozładować atmosferę. – Założę się, że dziewczyny gubiły za tobą oczy, kiedy byłeś młody.

– W dzieciństwie nigdy nie miałem przyjaciółki od serca, jeżeli o to ci chodzi.

– Ja nigdy nie miałam dzieciństwa.

– Może kiedy się to wszystko skończy...

Zarumieniła się i uniosła rękę, aby powstrzymać jego dalsze słowa.

Uśmiechnął się.

– Tak samo jak ty mam nadzieję wbrew wszelkiej nadziei.

Borys Jelcyn, ciężki, przysadzisty mężczyzna o mocnej szczęce i burzy siwiejących włosów, był w swoim żywiole – lubił udzielać wywiadów, ponieważ mógł wtedy mówić na swój ulubiony temat: o sobie.

– Pierwsza rzecz, o jaką pytają mnie zawsze dziennikarze – opowiadał ze swadą londyńskiej reporterce, utkwivszy w nią stalowe spojrzenie – to jak straciłem palce. – Podniósł lewą dłoń i kilka razy poruszył kikutami dwóch palców, małego i serdecznego. – To było w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, kiedy miałem jedenaście lat – ciągnął. – Razem z grupą przyjaciół przekopałem się pod drutem kolczastym i włamałem do kościoła, w którym składowano amunicję. Natrafiliśmy na drewnianą skrzynię z granatami, wzięliśmy po kilka i uciekliśmy do lasu, a ja, jak ostatni idiota, próbowałem otworzyć jeden młotkiem, żeby zobaczyć, co jest w środku. Granat oczywiście wybuchnął, raniąc mnie w rękę. Kiedy wdała się gangrena, lekarze musieli amputować mi dwa palce.

Mówił po rosyjsku, szybko i niewyraźnie, więc brytyjska reporterka nie wszystko zrozumiała.

– Dlaczego chciał otworzyć ten granat? – spytała Azę, która biegle znała angielski i często pełniła rolę nieoficjalnej tłumaczki Jelcyna.

– Żeby zobaczyć, co jest w środku – odparła.

– Tak mi się wydawało, ale pomyślałam, że się przesłyszałam, bo to zbyt głupie... Czy ta historia o pańskim chrzcie jest prawdziwa? – zwróciła się ponownie do Jelcyna.

Jelcyn, siedzący za ogromnym biurkiem w swoim gabinecie na drugim piętrze Białego Domu, masywnego gmachu rosyjskiego parlamentu nad rzeką Moskwą, rzucił w kierunku Azy zdumione spojrzenie; widać było, że nie zrozumiał reporterki mówiącej po rosyjsku z silnym angielskim akcentem. Kiedy Aza powtórzyła mu pytanie, roześmiał się w głos.

– To prawda, że zostałem ochrzczony – powiedział. – Pop był tak pijany, że upuścił mnie do chrzcielnicy z wodą święconą. – Jelcyn uniósł lekko butelkę wódki, częstując dziennikarkę, a gdy ta potrząsnęła przecząco głową, napełnił własny kieliszek i jednym haustem wychylił zawartość do dna. – Rodzice wyciągnęli mnie i wysuszyli, a pop powiedział: „Jeśli to przeżyje, przeżyje wszystko. Nadaję mu imię Borys”.

Wywiad ciągnął się jeszcze przez pół godziny. Jelcyn opowiadał o swoim dzieciństwie, spędzonym w wiosce pod Swierdłowskiem („Spaliśmy w sześcioro w jednej izbie, razem z kozą”), o tym, jak rozpoczął karierę partyjnego aparaczyka i jak został komisarzem obwodu swierdłowskiego, a potem pierwszym sekretarzem Komitetu Moskiewskiego. Następnie zaczął mówić o swoim konflikcie z Gorbaczowem i o tym, jak trzy lata temu ich drogi ostatecznie się rozeszły.

– Wróciłem właśnie z Ameryki – opowiadał – gdzie zabrali mnie do supermarketu sieci Safeway. Kompletnie oszołomiony chodziłem między niekończącymi się rzędami półek, zawalonych pod sufit najróżniejszymi towarami, i nie wierzyłem własnym oczom. Nie wstydzę się przyznać, że się wtedy rozplakałem. Nagle uprzytomniłem sobie klęskę całej naszej szczytnej ideologii, która nawet nie zdołała zapełnić półek w sklepach... Przypominam, że *pieriestrojka* dopiero się zaczynała, a partia wciąż stała

ponad wszelką krytykę. Sprzeniewierzyłem się tej zasadzie, ostro krytykując partię na posiedzeniu KC... Powiedziałem, że się myliliśmy, podważyłem sens reform Gorbaczowa, przekonywałem, że powinniśmy ustąpić i przekazać władzę zbiorowemu ciału, stworzonemu z przywódców wszystkich republik związkowych. Gorbaczow aż zsiniał ze złości. Dla mnie to był początek końca naszej współpracy. Wyrzucił mnie z Komitetu Centralnego i z Politbiura. Wszyscy moi przyjaciele wyczuli pismo nosem i opuścili mnie... zostałem sam. Wyznam pani, że przeżyłem wtedy załamanie nerwowe. Ocaliła mnie rodzina. Żona i obydwie córki, Lena i Tania, zachęcały, żebym stanął do walki o to, w co wierzyłem. Miały rację. W zeszłym roku zostałem najpierw członkiem, a potem przewodniczącym Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej.

Londyńska reporterka robiła dokładne notatki, mimo to raz jeszcze skonsultowała pewne szczegóły z Azą. Jelcyn, bez marynarki, zerknął na zegarek. Reporterka, zrozumiałwszy aluzję, wstała i podziękowała mu za to, że zechciał poświęcić jej godzinę swego cennego czasu. Aza odprowadziła ją do drzwi, a potem zapytała Jelcyna:

– Borysie Nikołajewiczu, czy mogę zaproponować panu spacer?

Domyślił się, że chce z nim porozmawiać na jakiś delikatny temat. Jego gabinet był co tydzień starannie sprawdzany na okoliczność ewentualnego podsłuchu, ale ludzie, którzy tym się zajmowali, pracowali dla KGB Kriuczkowa, w związku z czym najbliżsi współpracownicy Jelcyna przyzwyczaili się prowadzić wszystkie poufne rozmowy na otwartym dziedzińcu Białego Domu. Przewodniczący narzucił na ramiona marynarkę i oboje z Azą zeszli schodkami przeciwpożarowymi do wyjścia ewakuacyjnego, a potem na podwórze. Termometr przy drzwiach wskazywał niezbitcie, że zima wreszcie ustąpiła, ale po kilku godzinach, spędzonych w ciepłym pokoju, powietrze na zewnątrz zdawało się ostre

i chłodne. Jelcyn zapiął marynarkę i postawił kołnierz; Aza otuliła się ciepłym uzbeckim szalem.

– No więc słucham, co chcecie mi powiedzieć? – zapytał Jelcyn.

– Tak się składa, że jeden z moich znajomych pracował kiedyś dla KGB. Przez wiele lat przebywał za granicą. Od pewnego czasu prowadzi własny biznes. Wiedzie mu się znakomicie, jedno pasmo sukcesów... Niedawno otworzył własny bank. Pewnego dnia żona Pawła Urickiego zaprosiła go na tajne zebranie, które odbyło się na daczynie w Pierchuszowie.

Jelcyn od lat z upodobaniem gromadził rozmaite błahe i z pozoru zbędne informacje na temat swoich bliższych i dalszych znajomych: imiona ich dzieci, daty ślubów i urodzin, adresy domków letniskowych.

– Kriuczkow ma daczynie w Pierchuszowie – przypomniał sobie od razu.

Aza możliwie najwierniej powtórzyła mu słowa Jewgienija. Wyjęła kopertę i przeczytała listę uczestników spotkania. Zacytowała wypowiedź Kriuczkowa: „Jeśli Gorbaczow nie zechce wyrazić zgody na wprowadzenie stanu wyjątkowego, będziemy musieli go wyręczyć”, i dodała, że wszyscy z entuzjazmem przyjęli tę propozycję.

Jelcyn przystanął i spojrzał w niebo, jakby chciał tam wyczytać przyszłość. Niebo nad Moskwą było, jak zwykle, zaciągnięte; ciężkie, szare chmury wisały nad miastem od tak dawna, że ludzie zapomnieli, jak wygląda słońce.

– Kto jest tym „starym znajomym”? – zapytał Azę, wciąż patrząc w górę.

– Nie wolno mi ujawnić jego tożsamości. Prosi was, abyście nikomu nie zdradzili, że o wszystkim dowiedzieliście się ode mnie.

– Zgoda, przekażę to Gorbaczowowi, ale jeśli nie będę mógł podać źródła informacji, znowu posądzi mnie o próbę wbicia klina pomiędzy niego a partyjnych lojalistów.

– Ale wy mi wierzyście, Borysie Nikołajewiczu? – powiedziała Aza.

Jelcyn skinął głową.

– Szczerze mówiąc, jestem zdumiony ilością i jakością, że się tak wyrażę, ludzi popierających pucz, jednak ani przez chwilę nie wątpiłem, że Kriuczkow spróbuje usunąć Gorbaczowa przy pierwszej lepszej okazji. Pamiętajcie, że interwencja Armii Radzieckiej w Budapeszcie w pięćdziesiątym szóstym i w Pradze w sześćdziesiątym ósmym to jego robota. Teraz też na pewno rozumuje po staremu. Zdaje mu się, że jak tupnie nogą, dżin sam wskoczy z powrotem do butelki. – Westchnął. – Chłopi z mojej rodzinnej wsi mawiali, że są owoce, które gniją, zanim dojrzeją. Kiedy podrosłem, zrozumiałem, że z ludźmi bywa podobnie. Kriuczkow jest najlepszym tego przykładem. Nie obawiajcie się, nie zdradzę was przed Gorbaczowem, ale, proszę, nie traćcie kontaktu z tym starym znajomym. Przeniknął do samego serca spisku i w najbliższym czasie jego współpraca może okazać się nieoceniona.

Przemówienia, które zwykle miały miejsce po kolacji, ciągnęły się bez końca; radzieccy biurokraci, wzmocnieni alkoholem, dawali się ponieść emocjom. A uczuciem, które owładnęło nimi na Kremlu podczas państwowej kolacji na cześć Walentyny Władimirowny Tierieszkowej, pierwszej kobiety w kosmosie, była nostalgia. Nostalgia – jeśli czytać między wierszami – za czasami, gdy Związek Radziecki trzymał w szachu Stany Zjednoczone; gdy fabryki wykonywały plan ponad normę; gdy biurokraci, kierujący centralnym rozdawnictwem dóbr, żyli jak lordowie.

– Walentyna Władimirowna – zagaił szef agencji kosmicznej, ocierając chusteczką krople potu, połyskujące na jego czole – pokazała całemu światu, czego potrafią dokonać: radziecka odwaga, radziecka technologia i radziecka ideologia, sprzymierzone w służbie podboju kosmosu. Za

naszego gościa honorowego, Walentyne Władimirownę Tierieszkową! – zawołał.

Wokół ustawionych w podkowę stołów zaszurały krzesła – goście zerwali się z miejsc, unosząc w górę kieliszki.

– Za Walentyne Władimirownę! – wykrzyknęli chórem i wypili bułgarskiego szampana, który już dawno stracił bąbelki.

Ze swego miejsca przy końcu stołu Aza obserwowała poczerwieniałą od alkoholu i gorąca, panującego w kremlowskiej sali bankietowej, twarz słynnej kosmonautki. Aza starała się zachować umiar w picciu. Za każdym razem, gdy wygłaszano kolejny toast, ledwie moczyła usta w szampanie, mimo to już zaczynało jej się kręcić w głowie. Wyobrażała sobie, jak by się czuła, gdyby kazali jej wystroić się w srebrny kombinezon, zamknęli w kapsule „Wostoka” i wystrzelili z olbrzymiej armaty na okołoziemską orbitę. Są z pewnością doświadczenia, które zmieniają życie raz na zawsze – i nic już nie jest takie samo jak przedtem, bo na pewne sprawy trudno patrzeć z dystansu i nie da się ich tak po prostu wymazać z pamięci ani zbagatelizować. Może to późna godzina – wielki kremlowski zegar wybił właśnie północ – może brak świeżego powietrza, a może płynący we krwi alkohol sprawił, że Aza zrozumiała, iż jej pierwsze, przypadkowe spotkanie z Jewgienijem stało się jednym z takich doświadczeń. Patrząc na własne życie z perspektywy czasu, ujrzała teraz wyraźnie, że decydując się na rozwód, nigdy tak naprawdę nie dała swojemu pierwszemu i jedynekmu mężowi szansy na sprostanie jej oczekiwaniom. Czego zatem oczekiwała? Być może objawienia, które przychodzi, gdy dusza obcuje z duszą, a ciało z ciałem, bez przykrego uczucia niedosytu i zawiedzionych nadziei.

Na sali rozbrzmiewały kolejne toasty i przemówienia. Aza zauważyła, że Borys Nikołajewicz, dyskretnie tłumiąc ziewanie, podniósł się z miejsca i stanąwszy za krzesłem siedzącej u szczytu stołu Tierieszkowej, powiedział

jej coś na ucho. Walentyna Władimirowna zachichotała, wyraźnie uradowana, a Jelcyn poklepał ją po ramieniu. Potem niedbałym krokiem podszedł do Gorbaczowa i pochylił się nad nim, jakby i jemu chciał szepnąć słówko. Gorbaczow odwrócił się gwałtownie. Jelcyn wykonał nieokreślony ruch głową. Gorbaczow zawahał się, lecz w końcu wstał i z ociąganiem podążył za nim w odległy kąt sali bankietowej. Jelcyn mówił coś, sekretarz generalny słuchał beznamiętnie, z na wpół przymkniętymi powiekami. Dla podkreślenia wagi swych słów Jelcyn raz po raz dźgał Gorbaczowa w ramię wyciągniętym placem. Kiedy skończył, Michaił Siergiejewicz otworzył oczy i nawet ze swego miejsca na szarym końcu stołu Aza widziała, że jest wściekły, a krwawe znamię na jego czaszce poczerwieniało jeszcze bardziej. Pokiwał energicznie głową i wymamrotał jakąś zwięzłą odpowiedź. Potem obrócił się na pięcie i dołączył do wiwatujących na cześć Tierieszkowej gości.

Jelcyn patrzył za nim przez chwilę, a poczuwszy na sobie spojrzenie Azy, przygarbił się pod ciężarem porażki.

BAZYLEA, SOBOTA, 15 CZERWCA 1991

– Nie byłem pewien, czy się zjawisz.

– I mało brakowało, bym nie przyjechał. Zmieniałem zdanie chyba ze dwadzieścia razy, zanim w końcu zabukowałem bilet, a potem jeszcze kolejne dwadzieścia razy, zanim wsiadłem do samolotu.

– Cóż, możesz mi wierzyć lub nie, ale cieszę się, że cię widzę, Jack.

Podmuchy wilgotnego wiatru znad Renu targały dumne resztki ekstrawaganckich niegdyś wąsów Jacka McAuliffe'a i mocno już przerzedzone kosmyki jego rudopopielatych włosów, kiedy przyglądał się swemu towarzyszowi przez szkła okularów, które musiał teraz stale nosić. Leo, najwyraźniej speszony widokiem byłego przyjaciela i kolegi z Firmy, bledszy i szczuplejszy niż przed laty, sprawiał wrażenie wymizerowanego; cierpiał na bezsenność, odkąd Jewgienij ostrzegł go o planowanym puczu. Teraz postawił kołnierz wiatrówki, naciągnął robotniczą czapkę z daszkiem głębiej na uszy i spod zmrużonych powiek przyglądał się dwóm ósemkom, ślizgającym się po powierzchni wody.

– Kochałem Crew – powiedział Jack. Patrząc na wioślarzy, rytmicznie schylających się i prostujących w smukłych łódkach, przenieśli się obaj na ułamek sekundy w przeszłość; oto znów śmigali po falach Tamizy, znów przeżywali radość zwycięstwa nad osadą z Harvardu. – Kochałem te odciski i pęcherze, a nawet dotkliwy ból żebra, które ciągle łamało mi się w tym samym miejscu – dodał. – Przynajmniej wiedziałem, że żyję.

Usłyszeli niesione wiatrem okrzyki sterników, liczących pociągnięcia wiosłem. Leo roześmiał się z goryczą.

– Trener Waltz mawiał, że wiosłowanie jest metaforą życia... Gówno prawda! To nie metafora, to erzac. Tak nam się tylko zdawało, kiedy siedzieliśmy za wiosłami, ale tam, na brzegu, czyhała na nas rzeczywistość.

Ruszyli przed siebie ścieżką nad Renem.

– A jaka była twoja rzeczywistość, Leo?

– Stella. I jej radziecki opiekun, który udzielił mi pierwszych lekcji posługiwania się arkuszami szyfrowymi i skrytkami oraz polecił trzymać się blisko Waltza. Wiedzieli, że był łowcą talentów w Firmie.

– Sukinsyn powiedział „Firma”?

Leo uśmiechnął się ponuro.

– *Główny przeciwnik...* – Przez jakiś czas szedł w milczeniu, a potem dodał: – Było, minęło, to już przeszłość.

– Nie dla mnie, stary. Fakt, że podpisujesz swoje listy „dżentelmen wojak”, wcale nie oznacza, że nim jesteś. Ja nadal widzę w tobie nędznego zdrajcę i nic tego zmieni.

– Kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że nikogo nie zdradziłem. Cały czas walczyłem za swoją sprawę.

– Jezu Chryste! Walczyłeś za stalinizm. Też mi sprawa...

– Pieprz się.

Jack nie dawał za wygraną.

– Pewnie dali ci medal.

– Dwa, dla ścisłości.

Mierzyli się przez chwilę wściekłym wzrokiem i wyglądało na to, że zaraz skoczą sobie do gardła.

Jack przystanął.

– To ty mnie tu ściągnąłeś. Jak chcesz to odwołać, proszę bardzo, nie ma przeszkód.

– Muszę ci przekazać pewne wiadomości – warknął wciąż jeszcze rozeźlony Leo.

– To przekazuj i niech każdy z nas idzie w swoją stronę – odburknął Jack, łypiąc na niego znad okularów. – Jesteś cholernie pewny swego, Leo. Przyjeżdżasz sobie do Szwajcarii, przechadzasz się ze mną po Bazylei i nawet się nie boisz, że moglibyśmy wystąpić o ekstradycję...

– Kogo chcesz oszukać, Jack? Gdybyś mnie teraz wywiózł do kraju, musiałbyś się tłumaczyć, dlaczego siedem i pół roku temu nie pisałeś na mój temat ani słówka przed komisją Kongresu.

– O wszystkim pomyślałeś, co?

Leo potrząsnął głową.

– Niestety, nie. Nie przewidziałem, że Adelle będzie odsypiać kaca w rowie na wzgórzu w Marylandzie.

– Kupa ludzi od nas przyszła na pogrzeb – powiedział Jack.

– Bliźniaczki pewnie...

– A jak myślisz? Były rozgoryczone i zakłopotane, wszystko naraz.

Leo westchnął.

Jack spuścił nieco z tonu.

– Tak czy inaczej – stwierdził – trzeba przyznać, że masz świetne córki. Mądre i bardzo dzielne.

Nagle drogę zastąpiła im jakaś chuda kobieta w podartych dżinsach i spranym podkoszulku, najwyraźniej dorabiająca sobie jako uliczny fotograf, i podnosząc do oczu polaroida, pstryknęła zdjęcie. Leo postąpił krok naprzód i chwycił ją za ramię.

– Co pani sobie wyobraża?! – krzyknął.

Kobieta wyrwała mu się ze złością. Leo skoczył za nią, chcąc odebrać jej aparat, ale była od niego szybsza. Jack podbiegł i złapał go za kołnierz wiatrówki.

– Spokojnie, stary – powiedział, po czym ruszył w stronę kobiety, która cofnęła się nieufnie. – Ile? – zapytał.

– Zwykle dziesięć franków. Ale dla pana i dla pańskiego stukniętego przyjaciela podwójnie.

Jack wyjął z portfela zmięty banknot. Błyskawicznie wyrwała mu pieniądze z ręki, rzuciła na ziemię odbitkę i pobiegła w dół ścieżki.

– Cholerni Amerykanie! – krzyknęła jeszcze przez ramię. – Jankeskie kutasy!

Jack podniósł fotografię.

– Spal to – powiedział Leo.

– Mam lepszy pomysł – odparł Jack.

Wyjął długopis, nabazgrał w poprzek zdjęcia: „Jack i Leo przed wyścigiem, ale po upadku”, a potem wręczył je Kritzky’emu.

Leo dobrze pamiętał podpis pod ich pierwszą wspólną fotografią.

– Kolejne memento naszej przyjaźni – zauważył sarkastycznie.

– Nasza przyjaźń skończyła się dawno temu – sprostował Jack. – To jest memento naszego ostatniego spotkania.

Weszli do nadbrzeżnej kawiarenki i usiedli na oszklonym pomoście, pod którym cicho chlupotały fale Renu. Jack zamówił kawę po amerykańsku, Leo podwójne espresso. Jack odczekał, aż kelner oddali się na tyle, że nie będzie mógł ich podsłuchać, i powiedział:

– Czas przejść do konkretów.

– Mam powody, aby sądzić... – zaczął Leo i ścisząc głos do szeptu, opowiedział Jackowi wszystko, co było mu wiadome na temat spisku przeciw Gorbaczowowi.

Kiedy skończył, Jack oparł się na krzesło i zapatrzył niewidzącym wzrokiem na rzekę.

– Żeby wiedzieć to, co ty wiesz, żeby wymienić te nazwiska, które ty wymieniłeś, trzeba mieć źródło wewnątrz spisku – odezwał się w końcu.

Leo wzruszył ramionami.

– Widzę, że mi nie zdradzisz jego tożsamości.

– Jego albo jej.

Jack najeżył się.

– Zostawmy te gierki, Leo. Przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę.

– W nic się nie bawię. Mam swoje źródło, ale nikomu nie będę się z tego zwierzał, a już na pewno nie CIA. KGB infiltrował Firmę jeszcze za moich czasów. Z tego, co wiem, nadal ma u was wtyki. A mózgiem spisku jest właśnie szef KGB.

– Czego ode mnie oczekujesz? Co, twoim zdaniem, mam zrobić z tą informacją? Pójść do „New York Timesa” i powiedzieć, że znam faceta, który zna kogoś, kto twierdzi, że Moskwa stoi na krawędzi przewrotu? Nic z tego.

– Myśleliśmy, że na początek...

– ...„śmy”?

– Myślałem, że mógłbyś ostrzec prezydenta, a prezydent mógłby ostrzec Gorbaczowa. Jak usłyszysz z ust George’a Busha, że w Rosji szykuje się zamach stanu, może wreszcie to do niego dotrze.

– Dlaczego sam mu o tym nie powiesz?

– Jelcyn od miesiący daje mu to do zrozumienia. Słyszałem, że ostatnim razem przekazał wszystkie konkrety: opisał tajne zebranie, podał nazwiska. Problem w tym, że gdyby Jelcyn powiedział Gorbaczowowi, że jest noc, ten stwierdziłby, że tamten kłamie i że tak naprawdę jest dzień. – Leo zaczął machinalnie obracać filiżankę na spodeczku. – Może się mylę, ale wydaje mi się, że Stany Zjednoczone mają własny interes w tym, żeby Gorbaczow utrzymał się przy władzy.

– Od tej strony cię nie znałem... Od kiedy troszczysz się o interesy Ameryki?

Leo trzymał nerwy na wodzy.

– Odpowiedz mi na pytanie.

– Odpowiedź jest oczywista. Wolimy Gorbaczowa od Jelcyna, a Jelcyna od Kriuczkowa i jego kumpli z KGB.

– Więc coś z tym zróbcie, do diabła!

– Nie bardzo widzę, co możemy zrobić poza ostrzeżeniem Gorbaczowa. W przeciwieństwie do twoich mocodawców nie mamy zwyczaju likwidować naszych wrogów.

– A Salvador Allende w Chile? A generał Abd Al-Karim Kasim w Iraku?

– Te czasy dawno minęły – upierał się Jack.

– Niekoniecznie. Kiedy chcieliście usunąć Fidela Castro, wezwaliście Czarnoksiężnika, a ten zakontraktował wolnych strzelców spoza Firmy. To bardzo ważne, Jack... wiele od tego zależy.

– Czarnoksiężnik zalewa robaka w Ogrodach Edenu. – Spostrzegłszy zdumienie w oczach Leo, dodał: – To miasteczko dla emerytów w Santa Fe.

Kritzky z wolna sączył swoje espresso, jakby nie zauważył, że już całkiem wystygło.

– *A Devisenbeschaffer?* Co z tego, że zwolennicy przewrotu nie dostaną Gorbaczowa za pierwszym razem, skoro ich fundusze w drezdeńskim banku pozostaną nietknięte. Mając taką forszę, mogą jeszcze zdrowo narozrabiać.

Twarz Jacka rozjaśniła się. Najwyraźniej wpadł na jakiś pomysł.

– Dobra, zobaczę, co da się zrobić. Podaj mi miejsce spotkania w Moskwie. Powiedzmy, za tydzień od dzisiaj, godzina osiemnasta czasu lokalnego.

– Nie będę rozmawiał z nikim z waszej moskiewskiej placówki. W ambasadzie aż roi się od pluskiew.

– Przyślę kogoś z zewnątrz.

– Czy ta osoba zna Moskwę?

– Nie.

Leo zastanawiał się przez chwilę, a potem podał miejsce, gdzie każdy powinien bez trudu trafić.

Wstali. Jack zerknął na wetknięty pod popielniczkę rachunek i rzucił na stół pięć franków. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, spojrzeli na rzekę. Łódek już nie było; na szarej tafli wody kołysało się tylko samotne niepozorne czółno, w którym siedziało dwóch wędkarzy. Leo wyciągnął dłoń. Jack popatrzył na nią i powoli pokręcił głową.

– Nie podam ci ręki, stary. Ani teraz, ani nigdy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Przykro mi, Jack – powiedział cicho Leo. – Z powodu naszej przyjaźni... Ale nie żałuję tego, co zrobiłem.

To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Z nogami opartymi na biurku, z kciukiem zatkniętym za pasiaste szelki, Ebby wysłuchał uważnie tego, co Jack miał do powiedzenia.

– Wierzysz mu? – zapytał po chwili namysłu.

– Tak.

DCI jednak nie dawał się tak łatwo przekonać.

– Przykro mi, ale raz już pokazał, że potrafi nas oszukać – przypomniał.

– Nie bardzo widzę, co mógłby przez to osiągnąć – powiedział Jack. – Pracował dla KGB. Być może nadal figuruje w ich rejestrach jako doradca czy coś w tym stylu. Tak jak niegdyś Philby, kiedy zwiął do Moskwy. Trudno odgadnąć, dlaczego miałyby nam przekazywać informację o spisku przeciw Gorbaczowowi, chyba że...

Na biurku Ebby'ego zadzwonił zielony telefon. DCI uniósł dłoń w przepraszającym geście i chwycił słuchawkę.

– Odpowiedź brzmi: nie – powiedział po krótkim milczeniu. – Gdyby sowiecka łódź podwodna „Oskar II” wyszła z Murmańska i wypłynęła na Morze Barentsa, na pewno byśmy o tym wiedzieli... Nie ma mowy, Charlie... Morze Barentsa jest za płytkie, nie da się zejść tak głęboko... Kiedy tylko zechcesz... Cześć. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na Jacka. – Pentagon otrzymał raport, że norweski kuter rybacki namierzył wczoraj peryskop łodzi podwodnej na Morzu Barentsa – wyjaśnił i wrócił do przerwanej wątku. – Nie masz pojęcia, po co Kritzky miałyby nam opowiadać o spisku, chyba że co?

– W samolocie przez cały czas zastanawiałem się nad jego ewentualnymi motywami – odparł Jack. – I doszedłem do następującego wniosku: częściowo z racji swego pochodzenia, częściowo z powodu tragicznej śmierci ojca, a częściowo z wrodzonej przekory, Kritzky został urzeczony, podobnie jak tylu innych wrażliwych ludzi, utopijną retoryką marksizmu

i wiedziony źle pojętym idealizmem stanął do walki przeciw kapitalizmowi. Kłopot w tym, że gdy już znalazł się w swojej sowieckiej ojczyźnie, zrozumiał, że bardziej przypomina ona piekło niż raj klasy robotniczej. Możesz sobie wyobrazić jego rozczarowanie. Tyle lat na froncie, podwójne życie, zdrada... i po co to wszystko? Po to, żeby wspierać stalinowską dyktaturę, niezniszczalną nawet po śmierci Stalina, dyktaturę, która głosząc hasło powszechnej równości, potajemnie i sprawnie ucisza każdego, kto ośmielił się wytknąć, że król paraduje po ulicach w złachanej bieliźnie?

– Chcesz powiedzieć, że motorem działań Kritzky'ego jest w tym wypadku poczucie winy?

– Czuje się zdradzony, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Uchwycił się Gorbaczowa jak ostatniej deski ratunku, aby zachować wiarę, że sprawa, której oddał całe życie, była jednak słuszna.

– Innymi słowy, Kritzky mówi prawdę.

– Na pewno.

– Ale jak się o tym wszystkim dowiedział? Myślisz, że spiskowcy dopuścili go do swoich tajemnic?

– Nie wydaje mi się. Po pierwsze, Leo, tak jak Philby, był agentem KGB, ale prawdopodobnie nie był etatowym oficerem, co oznacza, że nigdy nie traktowali go jak swego.

– Po drugie, jest cudzoziemcem.

– Po drugie, jest cudzoziemcem. Możliwe, że podejrzewają go nawet o grę na dwa fronty.

– To kto w takim razie przekazał Kritzky'emu wiadomość o spisku?

– Nie mam pojęcia – odparł Jack. – Przypuszczalnie jest to ktoś, kto ufa mu na tyle, że dałby sobie za niego rękę uciąć.

– No dobrze. Mamy prawdziwą informację. Idę z tym do George’a Busha i mówię: panie prezydencie, szykuje się pucz przeciw Gorbaczowowi. Oto nazwiska niektórych spiskowców. W latach siedemdziesiątych Bush był dyrektorem CIA, więc dobrze wie, że nie należy pytać o źródło tego rodzaju informacji. Wie, że i tak nie puszcę pary z ust. Jeżeli mi uwierzy – podkreślam, jeżeli – to może najwyżej napisać do Gorbaczowa list. Drogi Michaił, przekazano mi wiadomości, którymi powinienem się z tobą podzielić... Bla-bla-bla... Podpisano: twój oddany przyjaciel, George B. – Ebby opuścił nogi na podłogę, wstał z fotela, obszedł biurko dookoła i usiadł na brzeżku. – Masz lepszy pomysł, Jack?

McAuliffe unikał jego wzroku.

– Szczerze mówiąc, nie. Jest, jak mówisz, Ebby. Tak czy inaczej, zawsze mamy związane ręce.

Jack zerknął do małego czarnego notesu, który zawsze nosił przy sobie, chwycił za słuchawkę bezpiecznego telefonu i wykręcił numer centrali, gdzie błyskawicznie połączono go z klubem. Barman poprosił, aby minutkę poczekał. Minutka przeciągała się niemiłosiernie, co oznaczało, że Czarnoksiężnik dużo wypił. Kiedy w końcu podszedł do telefonu, wybełkotał, wyraźnie zirytowany:

– Nie wiesz, że nie wolno przeszkadzać w seansach spirytystycznych?

– Przerzuciłeś się na spirytus? – odpalił Jack.

– A niech mnie, jeśli to nie Raz-Kozie-Śmierć-McAuliffe we własnej osobie! Co słyhać, chłopie? Znowu coś schrzaniłeś, Uczniu Czarnoksiężnika? Stary mistrz ma ci rzucić koło ratunkowe?

– Masz tam coś do pisania, Harv?

Jack usłyszał beknięcie i głos Torritiego, wołającego do barmana, żeby podał mu długopis.

– Strzelaj! – ryknął Czarnoksiężnik do słuchawki.

– Na czym piszesz?

– Na ręce, stary.

Jack podał numer swojej bezpiecznej linii i kazał Torritiemu powtórzyć. Cudem udało mu się poprawnie zapisać już za pierwszym razem.

– Masz dostęp do jakiegoś publicznego telefonu w Santa Fe?

– Czy mam dostęp do jakiegoś publicznego telefonu w Santa Fe?

– Czemu po mnie powtarzasz, Harveyu?

– Żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiałem.

– Dobra, wypij wiadro mocnej kawy, weź zimny prysznic, a kiedy wytrzeźwiejesz, zadzwoń z budki pod ten numer.

– Co ja z tego będę miał?

– Rozrywkę... i szansę na wyrównanie rachunków.

– Wyrównanie rachunków? Z kim?

– Z tymi złymi chłopakami, Harveyu... za to całe gówno, którym cię obrzucali przez te wszystkie lata.

– Jestem do twoich usług, chłopie.

– Tak myślałem, Harv.

Na dworze było już ciemno, kiedy Jack i Millie wsiedli do samochodu, stojącego na parkingu podziemnym w Langley, i ruszyli (przejeżdżając na czerwonym świetle dwa razy z rzędu) w kierunku Doctor's Hospital przy Dwudziestej Ulicy. Anthony, uśmiechnięty od ucha do ucha, czekał na nich

w holu, z bukietem dwunastu długich czerwonych róż w jednej ręce i pudełkiem cygar w drugiej.

– To chłopiec! – wykrzyknął na ich widok. – Dokładnie trzy kilo. Kłócimy się właśnie, czy dać mu na imię Emir po jej ojcu, czy Leon po moim... eee... moim ojcu chrzestnym.

– Jak się czuje Maria? – spytała Millie.

– Zmęczona, ale szczęśliwa – odparł Anthony, prowadząc ich w górę po schodach. – Mój Boże, była fantastyczna. Wytrzymała aż do końca. Stosowaliśmy te sztuczki z oddechem... Lekarz proponował jej znieczulenie rdzeniowe, ale odmówiła. Kiedy mały wyrzwał na świat, popatrzył dookoła i zaczął głośno płakać. Może chciał nam coś powiedzieć, jak myślisz, tato?

– Przyjdzie czas i na śmiech – zapewnił Jack.

Maria, obecnie prezenterka telewizyjna, siedziała na łóżku i karmiła dziecko piersią. Razem z Millie zaczęły przyglądać się malcowi i zgadywać, co odziedziczył po matce, a co po ojcu. Anthony twierdził, że syn przypomina mu jedynie Winstona Churchilla. Jack, trochę speszony widokiem karmiącej piersią kobiety, wycofał się taktycznie na korytarz, pod pretekstem zapalenia cygara. Anthony ochoczo przyłączył się do niego.

– Jak w pracy? – zapytał syna Jack.

Anthony, którego postawa podczas wydarzeń w Afganistanie wywarła bardzo korzystne wrażenie w Białym Domu, już od trzech lat pracował w Departamencie Stanu, gdzie nadzorował tajne operacje, dotyczące działań islamskich grup terrorystycznych.

– Biały Dom jest zaniepokojony Saddamem Husajnem – powiedział.

– A my błąkamy się jak dziecko we mgle – odparł Jack. – Nikt nie wie, co z tym fantem zrobić... Nie dostajemy też żadnych wytycznych od rządu czy z Białego Domu.

– Myślę – rzekł Anthony – że chcieliby się go pozbyć, ale boją się, że Irak bez niego się rozpadnie, a wówczas irańscy fundamentaliści mogą przejąć kontrolę nad całym regionem. – Zerknął z zaciekawieniem na ojca.
– Czy to prawda, że nie było cię w mieście na początku tygodnia, tato? Parę razy próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale sekretarka wciąż powtarzała standardowe: „Niestety, nie ma go w tej chwili”. W domu też nie mogłem cię złapać.

– Musiałem skoczyć do Szwajcarii, żeby spotkać się z jednym gościem.

– Aha.

– Co ma znaczyć to „aha”?

– Że o nic więcej nie spytam.

Jack uśmiechnął się mimo woli.

– Powiem ci coś... ale musisz to zachować dla siebie. Nawet Maria nie może się dowiedzieć. Zwłaszcza ona. Nie chcemy, żeby dziennikarze coś zwęszyli.

– Będę milczał jak zakłęty – roześmiał się Anthony. – Cokolwiek mi powiesz, zabiorę to ze sobą do grobu.

Jack ściszył głos.

– Poleciałem do Szwajcarii, żeby spotkać się z twoim ojcem chrzestnym.

Anthony ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– Widziałeś się z L e o? Po co? Czy to on zaproponował spotkanie? Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? Co ci powiedział? Jak mu się żyje?

– Powoli! – zawołał Jack. – Spokojnie... Chciałem tylko, żebyś wiedział, że żyje i ma się w miarę dobrze. Wiem, jak bardzo byłeś do niego przywiązany.

W korytarzu pojawił się pielęgniarz, pchający przed sobą wózek ze zmianą pościeli.

- Tutaj się nie pali – powiedział. – Trzeba wyjść na dwór.
- Przepraszam – powiedział Jack. Zgasił cygaro o podeszwę buta, starannie zawinął w celofan i schował na później.
- Jak Leo wydostał się z Rosji? – zapytał Anthony.
- Nie wiem. Może poleciał najpierw do Sofii albo do Pragi, a dopiero stamtąd do Szwajcarii, na fałszywych papierach... Teraz w Moskwie podrobić paszport to żaden problem.
- A więc wolał, by w KGB nie wiedzieli, że się z tobą spotyka.
- Czytasz w moich myślach, Anthony.
- Zauważyłem, tato, że ilekroć sam na coś wpadnę, okazuje się, że tylko idę po twoich śladach.
- Nie podlizuj się, to na nic.
- Spotkasz się z nim jeszcze?
- Nie.
- Nigdy?
- Nigdy.
- Czy mówił, że... jest mu przykro?
- Przykro mu z powodu Adelle. Przykro mu, że nie widuje się z bliźniaczkami. – Jack zdjął okulary i pomasaował sobie nos. – Podejrzewam także, iż jest mu przykro, że stracił trzydzieści lat, walcząc po złej stronie.
- Dlaczego tak myślisz? Dał ci to jakoś do zrozumienia?
- Jack z powrotem założył okulary.
- Nie.
- To skąd wiesz?

– Nie można żyć w Związku Sowieckim, szczególnie jeśli się przedtem mieszkało w Stanach Zjednoczonych, i nie widzieć, że to ta zła strona.

Anthony uważnie popatrzył ojcu w oczy i dostrzegł w nich smutek i ból.

– Zranił cię bardzo głęboko, prawda?

– Był moim sternikiem, kiedy trenowaliśmy w drużynie wioślarskiej Yale. Zawsze był moim najlepszym przyjacielem... Był świadkiem na moim ślubie i ojcem chrzestnym mojego syna. Do diabła... kochałem tego faceta, Anthony. A teraz go nienawidzę... Nie tylko za to, że zdradził ojczyznę... Zdradził także mnie, zawiódł naszą przyjaźń.

Anthony mocno ścisnął ojca za ramię, a potem zrobił coś, czego nie robił od dzieciństwa. Pochylił się i pocałował go w policzek.

– Byłem bardzo przywiązany do Leo – powiedział cicho – ale ciebie kocham, tato. Jesteś superfacetem.

Jacka zatkało z wrażenia.

– Chryste Panie...

– Święta prawda – przytaknął Anthony.

– Chryste Panie... – powtórzył Jack, uśmiechając się pod nosem.

Ezra Ben Ezra, znany wielu osobom w wywiadzie jako Rabbi, podszedł do ogrodzenia, kuśtykając o dwóch kulach i krzywiąc się za każdym razem, gdy czuł bolesne ukłucie w chorym biodrze. Harvey Torriti poczłapał tuż za nim i obaj przystanęli, żeby przyjrzeć się ruinom zbombardowanego Frauenkirche – kościoła Najświętszej Marii Panny.

– Ogień i siarka to przekleństwo Drezna – rozmyślał na głos Rabbi. – Miasto spłonęło do fundamentów w tysiąc czterysta któryms, potem znowu podczas wojny siedmioletniej w tysiąc siedemset któryms, a w tysiąc osiemset któryms pastwił się nad nim Napoleon. W lutym tysiąc

dziewięćset czterdziestego czwartego alianci za pomocą swoich bomb zapalających zmienili to nieszczęsne miasto w rozżarzony do czerwoności piec hutniczy. Niemcy, jak to oni, odbudowali po wojnie całe Drezno oprócz tego kościoła. Zostawili go na pamiątkę.

– A co czuje Żyd, patrząc na tę pamiątkę? – zapytał Czarnoksiężnik.

Rabbi, wsparłszy się na kulach, przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Radość. Ha! Pewnie spodziewałeś się skruchy. Albo jeszcze gorzej... przebaczenia. Ta pamiątka przypomina mi sześć milionów ludzi, którzy zginęli w niemieckich obozach zagłady. Ta pamiątka przypomina mi o Kościele katolickim, który nie zrobił nic, żeby zamknąć fabryki śmierci. Widzisz, Harveyu, przed sobą człowieka, który dźwiga nie tylko ciężar kalectwa. Idę przez życie z bagażem. Ten bagaż nazywa się Tora. Wśród rozmaitych mądrości jest tam też sentencja, pouczająca, jak przetrwać czasy prześladowań, nie tracąc ducha: „Oko za oko, ząb za ząb, oparzelina za oparzelinę”.

Ben Ezra obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął iść w kierunku czarnego mercedesa, otoczonego przez agentów Mosadu, pilnie obserwujących dachy pobliskich budynków. Torriti skrzywił się, patrząc na przyjaciela, poruszającego się mozolnie o kulach.

– Nie mogę patrzeć, jak cierpisz – powiedział.

– Ból fizyczny to nic w porównaniu z psychicznym cierpieniem. Ilu spośród twoich znajomych żyje w państwie, które może przestać istnieć za pięćdziesiąt lat? *Genug szjon!* Tego już za wiele! Co ja tutaj robię?

– Jesteś tu – odparł Czarnoksiężnik – bo Izrael co miesiąc przyjmuje jakieś piętnaście tysięcy Żydów emigrujących ze Związku Sowieckiego. Jesteś tu, bo nie chcesz, żeby zabroniono im wyjazdu. A stanie się tak, jeśli

Gorbaczow zostanie obalony przez bandę prawicowych nacjonalistów, z których część to zatwardziali antysemita.

Torriti wtajemniczył Rabbiego w szczegóły spisku przeciw Gorbaczowowi. Od czasu do czasu Ben Ezra przerywał mu podchwytliwymi pytaniami. Dlaczego CIA nie zwróci się do Mosadu? Przecież zawsze można się dogadać... przysługa za przysługę. Jak Rabbi ma rozumieć fakt, iż Czarnoksiężnik, pływający się w „spirytualnych” rozkoszach emerytury, został nagle wezwany z powrotem na plac boju? Czyżby Firma (a może jakiś samotny kowboj z Firmy) rozważała operację, która wykracza poza statut CIA?

– Ha! – parsknął Ben Ezra. – Tak myślałem... jak daleko wykracza?

Byli już przy samochodzie i Rabbi z wielkim trudem zdołał opuścić swoje cztery litery na tylne siedzenie, a następnie wciągnąć do środka najpierw jedną, a potem drugą nogę. Torriti obszedł limuzynę od drugiej strony i sapiąc z wysiłku, wślizgnął się obok Ben Ezry. Agenci Mosadu pozostali na zewnątrz i odwróćeni plecami do auta obserwowali przez ciemne okulary przechodzących ulicą ludzi.

Rabbi (który za kilka miesięcy miał odejść na emeryturę, ustępując miejsca swemu następcy, z lekka już zniecierpliwionemu oczekiwaniem, aż zwolni się stołek szefa izraelskiego wywiadu) westchnął ciężko.

– To już dno, skoro zwrócili się z tym do nas.

– Na dnie butelki alkohol jest najmocniejszy – stwierdził Torriti.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedział Rabbi. – Chcesz, żebyśmy zidentyfikowali, a potem zneutralizowali, niemieckiego obywatela, znanego wam jako *Devisenbeschaffer*.

– Na razie wszystko się zgadza.

– Chcesz, żebyśmy włamali się do filii Banku Handlowego Wielkiej Rosji w Dreźnie i weszli w posiadanie aktywów, które zdeponował tam *Devisenbeschaffer*.

– Całkiem spora sumka – zauważył Torriti.

– Co rozumiesz pod pojęciem „spora sumka”?

– Jakieś trzysta lub pięćset milionów, plus minus.

– Dolarów?

– Myślisz, że porzuciłbym emeryturę dla jenów?

Rabbi nawet nie mrugnął.

– Jeżeli uda nam się obrabować ten bank, podzielimy się fifty-fifty. Moja część pójdzie na fundusz finansujący emigrację radzieckich Żydów do Izraela, twoją złożymy na kilku tajnych kontach w Szwajcarii. Numery podam ci w swoim czasie.

Jeden z agentów Mosadu zastukał w szybkę, pokazując na zegarek i mówiąc coś po hebrajsku. Ben Ezra pogroził mu po ojcowsku palcem. Agent wzruszył bezradnie ramionami i warknął coś do malutkiego mikrofonu, umieszczonego po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka.

– Ach, ta młodzież... Są tacy niecierpliwi – powiedział do Torritiego Ben Ezra. – Za bardzo im się spieszy, nie wiedzą jeszcze, że co nagle, to po diable... Za moich czasów tygodniami wystawałem w berlińskich bramach, czekając, aż w przelocie... tylko w przelocie, Harveyu, nic więcej... mignie mi któryś z dziesięciu najpilniej poszukiwanych przez Izrael Niemców. Na czym stanęliśmy?

– Jak zwykle na zerze – zarechotał szyderczo Torriti. – Kombinujemy, jak by tu ocalić świat przed samozagładą. Jest jeszcze coś, co mógłbyś dla mnie zrobić, Ezro.

– Aha, diabeł siedzi w szczegółach, jak to u was mówią... Rozumiem, że zbliżamy się do sedna sprawy. – Rabbi uśmiechnął się domyślnie.

– Doszły mnie słuchy, że w Moskwie świątek przestępczy kwitnie, działają też dobrze zorganizowane struktury mafijne. A jeśli sowiecka mafia podobna jest do amerykańskiej, czyli stosuje zasadę swoistego „parytetu”, to niektórzy z tamtejszych bossów muszą być Żydami. Zdaje się, że mógłbyś mnie z jednym takim skontaktować.

– Czego dokładnie szukasz, Harveyu?

– Szukam sowieckiego gangstera wyznania mojżeszowego, który ma powiązania z innymi sowieckimi gangsterami, z tych, co to nie boją się pobrudzić sobie rąk.

– Krwią?

– Krwią.

Rabbi poruszył się, żeby zmienić pozycję. Wykrzywiając twarz z bólu, wymamrotał:

– To powtórka z Berlina pięćdziesiąt jeden, Harveyu. – Zastukał pierścieniem w okno, pokazując na migi ochroniarzom, żeby wsiedli do samochodu. – Znowu jesteśmy sąsiadami i znów spotykamy się na wspólnej płaszczyźnie. Twój sufit to moja podłoga.

Po latach walki w okopach zimnej wojny Harvey Torriti wyszedł wreszcie zza barykady i przekroczył granicę imperium zła, by pogrążyć się w jądrze ciemności. Ledwo wyjechał z lotniska, a już postanowił, że będzie odkrywał sowiecki makrokosmos poprzez dogłębne studia nad sowieckim mikrokosmosem – w jego przypadku był to pokój numer 505 w hotelu „Ukraina”, jednym z najkoszmarniejszych przykładów stalinowskiego gotyku w Moskwie, wznoszącym się przy prospekcie Kutuzowa. Obsługa

hotelowa (o ile można było tak nazwać wymizerowaną babinę, która pojawiła się w drzwiach na dźwięk dzwonka) dostarczyła w końcu butelkę szkockiej, zamówioną godzinę i piętnaście minut wcześniej. Znękana kelnerka zapomniała przynieść lód, ale Czarnoksiężnik – podający się za podchmielonego z lekka przedstawiciela firmy „John Deere” z Moline w Illinois, nazwiskiem T. Harvey – powiedział jej, żeby się tym nie przejmowała; oczyma duszy widział już, jak wraca z tym lodem dopiero w środku nocy. Ostrożnie napełnił po brzegi pęknięty kubek, przepłukał gardło i rozpoczął swoją inspekcję socjalizmu od łazienki.

Deska klozetowa, wykonana z cienkiego plastiku, odmawiała trzymania się w pozycji pionowej, chyba że się ją przyciskało kolanem. Niegdyś przezroczysta zasłona w kabynie prysznicowej pokryta była dziwną, żółtawą mazią. Na wyszczerbionej umywalce leżało najmniejsze mydło, jakie Czarnoksiężnik kiedykolwiek widział. Krany co prawda działały, ale ciekący z nich, z rozstrajającym nerwy gulgotaniem, sraczkowaty płyn w niczym nie przypominał wody. W sypialni prześcieradło okazało się za krótkie, by je wetknąć pod materac, sam materac zaś wyglądał niczym miniaturowy tor motokrosu dla dzieciennych samochodzików. W pokoju znajdował się również telewizor, który po włączeniu śnieżył, a z sufitu zwisała lampa z kloszem podobnym do odwróconej miski, najwyraźniej służącym za urnę na skremowane owady; była też szafa, która po otwarciu nie ujawniła niczego szczególnego – właściwie niczego nie ujawniła, jako że nie zawierała ani drążka, ani wieszaka, ani haczyka czy jakiegokolwiek półki. Przy jednej ze ścian, obok biurka z zapleśniałymi szufladami, stała mała lodówka, której całą zawartość stanowił bardzo duży i bardzo nieżywy karaluch. Torriti, pełzając na czworakach, zaczął szukać czegoś, co przypominałoby sznur z wtyczką, gdyż w braku tegoż upatrywał przyczyny miłego ciepła, panującego we wnętrzu zamrażalnika. W końcu, po trzech

nieudanych próbach, spuścił robaka w klozecie, a na półkach w lodówce ułożył bieliznę i skarpetki. Na drzwiach do pokoju wisiała instrukcja (w języku rosyjskim i angielskim) postępowania w razie pożaru oraz schemat drogi ewakuacyjnej, ozdobiony całą serią strzałek, zagubionych w labiryncie stojących w płomieniach korytarzy, którymi nieszczęsny mieszkaniec pokoju 505 miał dotrzeć do wyjścia. Nietrudno było się domyślić, że jeśli ktoś nie miał tej mapy przy sobie – co było raczej niemożliwe, zważywszy na to, iż znajdowała się za szybką z pleksi, w dodatku przyśrubowaną do drzwi „na mur” – szansa ucieczki stała pod dużym znakiem zapytania.

– Widziałem przyszłość – wymamrotał pod nosem Torriti. – I oczom nie wierzę!

Czarnoksiężnik długo nie mógł ochłonąć z wrażenia i nawet kiedy wkładał nieprzemakalny prochowiec, aby zstąpić w chłodne mroki moskiewskiego wieczoru, wciąż jeszcze trawił w myślach niedawne przeżycia, zastanawiając się, czy to aby na pewno ten sam socjalizm, który (jak to zgrabnie ujął Chruszczow) miał stać się grobem zachodniej demokracji. Zachowując najwyższą ostrożność – nie szkodzi, że morale źle opłacanych agentów KGB mocno podupadło... i tak m o g l i c z a i ć s i ę w s z ę d z i e! – skręcił z Arbatu w wąskie przejście pomiędzy dwoma budynkami i ukrywając się w cieniu kontenera na śmieci, odczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, po czym powlókł się, noga za nogą, przez labirynt bocznych uliczek, obudowanych dziesiątkami obskurnych garaży, skleconych z blachy falistej, aż dotarł do szerokiego bulwaru. Stał przy krawężniku i podniósł kciuk. W ciągu zaledwie paru sekund zahamowała przed nim z piskiem opon jedna z niezliczonych w Moskwie „taksówek” biorących pasażerów na łebka. Torriti ledwo się precisnął przez wąskie drzwiczki fiata sowieckiej produkcji i z trudem

sadowiąc się na tylnym siedzeniu, wydobyl z kieszeni karteczkę z wypisanym cyrylicą adresem oraz nowiutki banknot dziesięci dolarowy. Kierowca, młody chłopak, który wyglądał, jakby cierpiał na chroniczny trądzik, okazał się sowieckim kamikadze – wprawnym ruchem wyrwał Torritiemu z rąk oba wyżej wymienione przedmioty i chichocząc na widok furii innych kierowców, którym bez przerwy zajeżdżał drogę, zafundował swemu pasażerowi tak szaleńczą jazdę, jakiej Czarnoksiężnik w życiu jeszcze nie doświadczył. Wciśnięty w oparcie fotela, zamknął oczy i skupił całą siłę woli na walce z nudnościami, nękającymi jego nieszczęsny żołądek, miotany na wszystkie strony nieustannymi szarpnięciami rozpędzonego pojazdu. Po jakimś czasie, który wydawał się wiecznością, usłyszał pisk hamulców i poczuł, że samochód się zatrzymuje. Błyskawicznie otworzył tylne drzwiczki i wyskoczył na chodnik z podejrzanym pośpiechem. W nozdrza uderzył go swąd spalonej gumy. Minęła minuta lub dwie, zanim ziemia przestała mu tańczyć pod nogami. Z głośników na pobliskim stadionie rozbrzmiewały dźwięki wiedeńskiego walca. Czarnoksiężnik owinął szyję wyżartym przez mole szalikiem i ruszył w kierunku jasnych lamp, oświetlających Park Kultury i Wypoczynku – imponujących rozmiarów centrum rozrywki na przedmieściach stolicy – gdzie podczas zimowych miesięcy polewano alejki wodą, żeby łyżwiarze mogli jeździć po nich do woli.

Choć było już dawno po wiosennych roztopach, Torriti co jakiś czas mijał rozstawione wzdłuż alejek rozpalone kosiaki. Kiedy wreszcie dowlókl się do czwartego od prawej, w podeszwach stóp czuł nieznośny ból. Wokół tłącego się w wielkiej beczce ognia stłoczyła się grupka biegaczy i wrotkarzy, którzy grzejąc dłonie, gawędzili wesoło i popijali wódkę prosto z butelki. Po chodnikach, w jaskrawym blasku jarzeniowych latarni, spacerowali rodzice z dziećmi i grupki rozchichotanych nastolatek

w kusych spódniczkach i grubych, wełnianych pończochach. Z głębi alejki wyszedł szczupły, niewysoki mężczyzna w wiatrówce i robociarskiej czapce z daszkiem. Stał nad kosiakiem i wyciągnąwszy ręce nad ogniem, obracał je na przemian – to wierzchem, to spodem dłoni. W pewnej chwili spojrzął na Torritiego. Potem odwrócił się i niespiesznie oddalił od beczki. Czarnoksiężnik wyciągnął z kieszeni flaszkę, wzmocnił się nieco łykiem taniej szkockiej i lekko się zataczając, poczłapał za człowiekiem w wiatrówce. Dogonił go w półmroku, zalegającym pod czarnymi jak smoła jodłami, rozjaśnionym słabą poświatą stojącej obok latarni.

– A więc to ty, Kritzky? – zapytał.

Leo poczuł się dotknięty jego tonem.

– Nic się nie zmieniłeś – odburknął.

– Zmieniłem się, chłopie. Jestem grubszy. Starszy. Mądrzejszy. Bardziej samotny. Bardziej nerwowy. Bardziej boję się umierania. Mniej śmierci.

– Pamiętam cię z dawnych, dobrych lat – powiedział Leo. – To było tuż po Zatoce Świń... Wyrwałeś Bobby’emu Kennedy’emu z ręki jakąś tajną depeszę. Powiedziałeś mu, żeby się pierdolił.

Czarnoksiężnik pochylił się i wysmarkał nos w palce.

– Duży błąd – westchnął.

– Jak to?

– Bobby to kawał sukinsyna, fakt, ale nigdy nie był sowieckim szpionem. A ty, kurwa, tak. Już wtedy musiałem się starzeć, skoro tego nie widziałem. To tobie powinienem wtedy powiedzieć, żebyś się pierdolił.

– Proszę, proszę...

– A tak – rzucił Torriti wyzywająco.

– Nadal pijesz całymi dniami?

– Nadal kłamiesz całymi dniami?

Leo zmusił się do cierpkiego uśmiechu.

– Zawsze tak traktujesz swoich informatorów?

– Mój Uczeń mówił, że jesteś w kontakcie z kimś, kto siedzi w tej aferze ze spiskiem przeciw Gorbaczowowi. Powiedział, żebym cię pociągnął za język. Nie wspomniał nic o tym, że mam iść z tobą do łóżka.

Z umieszczonych na słupach megafonów chór Armii Radzieckiej ryknął *It's a Long Way to Tipperary* w języku, który miał zapewne przypominać angielski. Leo podszedł bliżej do Czarnoksiężnika i wręczył mu starą kopertę z listą zakupów na odwrocie.

– Mam jeszcze siedem nazwisk oprócz tych, które podałem już Jackowi – oznajmił, przekrzykując muzykę. – Są napisane sokiem z cytryny na wewnętrznej stronie koperty. Musisz przejechać po tym żelazkiem...

– Nie urodziłem się wczoraj, chłopie. Bawiłem się sokiem z cytryny, zanim ty zacząłeś pracować dla Ruskich – zachnął się dotknięty do żywego Torriti.

– Jeden z tych nowych to dowódca elitarnego oddziału spadochroniarzy Riazańskiej Dywizji Powietrznodesantowej – ciągnął Leo. – Inny dowodzi Dywizją KGB imienia Feliksa Dzierżyńskiego.

– Sprawa się rypla, co?! – odkrzyknął Torriti z szyderczym uśmieszkiem.

– I jeszcze coś. Masz to napisane tutaj, w środku. Jesteś na tyle trzeźwy, że zapamiętasz? To bardzo ważne...

Czarnoksiężnik pochylił się do Leo i chuchnął mu prosto w twarz.

– Byłem na tyle trzeźwy, żeby trafić do tego rajy robotników. Na tyle trzeźwy, żeby odnaleźć tu ciebie.

– Spiskowcy nawiązali kontakty z prawicowymi nacjonalistami w całej Europie: madrycką Grupą Dwudziestego Pierwszego Sierpnia, Frontem Narodowym Le Pena we Francji, neofaszystowskimi organizacjami we

Włoszech, Niemczech, Austrii, Serbii, Chorwacji, Rumunii i w Polsce. Jak tylko wszystkie fundusze znajdą się na kontach Banku Handlowego Wielkiej Rosji w Dreźnie, każde z tych ugrupowań dostanie swoją działkę. Chodzi o to, by zorganizować międzynarodowe poparcie dla zamachu na Gorbaczowa. Chcą go ukazać jako partacza, który wiedzie Rosję na manowce, a pucz jako czyn patriotyczny, który postawi kraj z powrotem na nogi. Jeśli wersję tę podchwyci dostatecznie wielu polityków, Europa może w końcu uwierzyć, że tkwi w tym jakieś ziarno prawdy.

Czarnoksiężnik zgniótł w dłoni kopertę i włożył ją do kieszeni.

– Gdzie i kiedy się spotkamy? – spytał.

– A gdzie się zatrzymałeś?

Torriti podał nazwę hotelu.

– Jaka jest twoja przykrywka?

– Przyjechałem uzbrojony w teczkę wypchaną broszurkami „Johna Deere”. Pomiędzy jednym drinkiem a drugim staram się znaleźć kogoś, kto byłby zainteresowany importem traktorów z Ameryki.

Leo zastanowił się przez chwilę.

– Dobra. Jak uznam, że powinniśmy pogadać, podeślę ci do pokoju butelkę szkockiej z liścikiem, w którym podziękuję za materiały reklamowe. Na tej samej kartce dopiszę sokiem z cytryny datę i miejsce kolejnego spotkania.

– Tylko nie przysyłaj mi żadnego markowego gówna. Wolę tanią whisky, lepiej dezynfekuje gardło – rzucił Torriti na odchodnym.

– Boisz się bakterii? – zapytał Leo.

– Szczepiłem się na zarazki – warknął Torriti. – Ale jestem słabo odporny na zdrajców.

W porównaniu z „Druzbą” hotel „Ukraina” wyglądał jak „Ritz”, stwierdził Czarnoksiężnik, pchnąwszy przeszkłone drzwi, prowadzące do obskurnego holu, pełnego zniszczonych luster i pluszowych kotar, zawieszonych tam chyba jeszcze przed rewolucją październikową i równie długo niepranych. Powiedzieć o nich, że są wyblakłe, byłoby dużym niedomówieniem. Biada nieszczęsnemu gościowi uczulonemu na kurzu! Torriti, klucząc między popielniczkami, z których wysypywało się wszystko, tylko nie popiół, podszedł do recepcji.

– Pewnie mówi pani po angielsku – zagadnął bladą platynową blondynę, zajęta przepisywaniem numerów paszportów do rejestru.

– Nie – odparła, nie przerywając pracy, recepcjonistka, wystrojona w obcisłą sukienkę, uszytą z wojskowego moro z demobilu.

Czarnoksiężnik odwrócił się do sześciu mężczyzn, siedzących na rozstawionych w holu fotelach. Wszyscy byli ubrani w identyczne, długie do kostek skórzane płaszcze, buty na słoninie i czarne pilśniowe kapelusze z wąskim rondem. Cała scena przypominała casting do nakręconego na początku lat trzydziestych filmu Jamesa Cagneya *Wróg publiczny*, jednego z ulubionych filmów Torritiego.

– Czy ktoś tu mówi po angielsku?! – zawołał.

– Nie – odpowiedziała kobieta w imieniu wszystkich obecnych.

– To jak mam się o coś spytać, jeśli nikt tu nie mówi po angielsku?! – wykrzyknął Czarnoksiężnik z rozpaczą.

– Nauczcie się rosyjskiego – zaproponowała kobieta. – Może się wam przydać w Rosji.

– A więc jednak mówi pani po angielsku!

– Nie.

– Czemu mi się wydaje, że znalazłem się po Drugiej Stronie Lustra? – rzucił Torriti w przestrzeń.

Kobieta uniosła wyskubane brwi i zamrugła jaskrawo pomalowanymi powiekami.

– Jeżeli kogoś szukacie – powiedziała – to tutaj go na pewno nie ma.

Na Torritiego spłynęło nagle natchnienie. Pojął, że będąc w szpitalu wariatów, musi zachowywać się tak jak oni.

– Nie szukam k o g o ś – oznajmił po angielsku. – Szukam Rappaporta. Endela Rappaporta.

– *Job twoju mat'!* – ryknął ktoś za jego plecami.

– Właśnie obraził pańską matkę – przetłumaczyła usłużnie platynowa blondyna.

Mężczyźni w płaszczach zachichotali. Czarnoksiężnik przestraszył się, że chcą sprowokować go do bójki, a to z pewnością nie przyspieszy jego spotkania z Endelem Rappaportem, postanowił więc trzymać nerwy na wodzy i wykrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu.

– Rappaport to żydowskie nazwisko – odezwał się ktoś z głębi holu.

Torriti obrócił się na pięcie.

– Naprawdę? – zdziwił się obłudnie.

Po wytartym dywanie kroczył ku niemu smagłolicy wielkolud o skośnych oczach.

– Czego chcecie od Endela Rappaporta?

– No właśnie, czego? – zawtórowała mu platynowa blondyna.

– Mamy wspólnego przyjaciela. To... Rabbi, chociaż od dawna już nie r a b i n u j e.

– Nazwisko? – nalegał mężczyzna.

– Ezra.

– To chrzcielne czy po ojcu?

Torriti, wierny swemu postanowieniu, zachował kamienną twarz, żeby nie drażnić wariata. Poczekaj, niech no Ezra Ben Ezra się dowie, że ma c h r z c i e l n e imię!

– I tak, i tak.

– Trzecie piętro – powiedział tamten, skinąwszy podbródkiem w kierunku zgrzybiałej windy przy jeszcze bardziej zgrzybiałych schodach.

– Który pokój?

– Obojętnie który. Wszystkie – odparła blondynka. – Wynajmuje całe piętro.

Torriti wycofał się ostrożnie w stronę windy, otworzył zakratowane drzwi i nacisnął guzik z rzymską trójką. Gdzieś we wnętrzościach budynku zacharczał silnik, niechętnie budząc się do pracy. Winda szarpnęła parę razy, zanim w końcu ruszyła w górę ze straszliwym mozołem. Na trzecim piętrze czekali dwaj mężczyźni. Jeden usłużnie otworzył kratę, drugi zręcznie obszukał Czarnoksiężnika, sprawdzając zagłębienie pomiędzy łopatkami, kostki obu nóg (gdzie za starych, dobrych czasów Torriti nosił swój szpanerski detective special kalibru 38) oraz fałdki tłuszczu w pachwinie. Zadowolony z rezultatu, wyjął z kieszeni klucz i otworzył obite blachą pancerną drzwi.

Torriti wtoczył się do przestronnego, jasno oświetlonego pokoju, urządzonego fińskimi meblami z importu; pośrodku królował nowoczesny stół ze stali nierdzewnej, otoczony ascetycznymi w swej prostocie, również stalowymi krzesłami. Pod ścianą, pomalowaną lśniąco farbą, przypominającą chińską lakę, stali dwaj smukli mężczyźni o czujnych skośnych oczach. Niski, elegancko ubrany Żyd o delikatnych siwych

włosach zerwał się z krzesła i pokłonił Czarnoksiężnikowi w pas, obrzucając go jednocześnie bacznym spojrzeniem spod na wpół przymkniętych powiek.

– Pańska legenda dotarła tu przed panem, mister Torriti – powitał gościa serdecznie. – Ben Ezra mówił mi, kim pan niegdyś był. Nie co dzień ludzie tacy jak ja spotykają takich jak pan. Proszę, proszę usiąść... A więc czym mogę służyć szanownemu panu?

Torriti opadł ciężko na fińskie krzeselko, stwierdzając ze zdumieniem, iż jest nadzwyczaj wygodne.

– Kieliszkiem – odparł.

Endel Rappaport, któremu chyba stuknęła już osiemdziesiątka, wypowiedział kilka słów w dziwnym języku i wystawiając pięść z rękawa, wskazał coś małym palcem (Torriti spostrzegł, że był to jedyny palec tej dłoni). Jeden z podpierających ściany mężczyzn natychmiast znalazł się przy suto zastawionym butelkami barku. Po chwili podał gościowi kryształowy puchar. Czarnoksiężnik wyjął z wewnętrznej kieszonki piersiówkę i nalał sobie porcję szkockiej. Rappaport, trzymając okaleczoną rękę w kieszeni marynarki, wrócił na swoje miejsce u szczytu stołu.

– Każdy przyjaciel Ben Ezry... – zaczął i machnął zdrową ręką na znak, że nie ma potrzeby kończyć tego zdania. – Czego pan się po mnie spodziewa w swojej bujnej wyobraźni?

Torriti rzucił szybkie spojrzenie stojącym pod ścianą ochroniarzom. Rappaport zacisnął usta, co upodobniło go do starego, złośliwego gнома.

– Moi aniołowie stróże to Ujgurzy – poinformował Czarnoksiężnika. – Nie znają żadnego języka poza własnym narzeczem.

– W swojej bujnej wyobraźni spodziewam się, że na moją prośbę każe pan zlikwidować ośmiu czy dziesięciu ludzi.

Rappaportowi nawet nie drgnęła powieka.

– Pańska prostolinijność jest zaiste imponująca. W Rosji ludzie mają tendencję do unikania jasnych odpowiedzi. Zatem aktualna cena za zlecenie zabójstwa waha się pomiędzy piętnastoma a dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów, to zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak ważna jest dana osoba, czyli jaką będzie miała ochronę.

Czarnoksiężnik przygryzł wargę.

– Czy fakt, że pan jesteś Żydem, a ja przyjacielem Rabbiego, nie upoważnia mnie do jakiejś zniżki? – spytał półzartem.

– Należność, jaką od pana przyjmę, zostanie użyta jako odszkodowanie dla ludzi, którzy nie dbają o to, kim jestem ani z czyjego polecenia pan do mnie przyszedł – odrzekł powoli Rappaport. – Kiedy nadejdzie pora zapłaty, sprawę mojego honorarium załatwię z Rabbim osobiście.

Torriti nie mógł rozgryźć Rappaporta. Jak taki dżentelmen mógł zostać *capo* moskiewskiego światka przestępczego? Stwierdził, że byłoby lepiej, gdyby wiedział coś więcej o swym gospodarzu.

– Widzę, że i pana kiedyś dorwali – powiedział, wskazując gestem podbródka okaleczoną dłoń. – Zauważyłem pańskie place.

– Proszę raczej powiedzieć: brak palców. Cóż za osobliwe słownictwo! Istotnie, d o r w a l i mnie. Jeśli chce pan zrozumieć Rosję, powinien się pan nauczyć, że radzieckich antysemitów łączy z antysemitami Zachodu zaledwie cień pokrewieństwa. Ci tutejsi nie zadowolają się pospolitym nękaniami i szykanowaniem Żydów, jak wyrzucanie ich ze szkół muzycznych, mieszkań, miast, a nawet z kraju. Czują się usatysfakcjonowani dopiero wówczas, kiedy naostrzą topór i własnoręcznie wbijają go w żydowskie ciało. – Rappaport chciał powiedzieć coś jeszcze, ale

tylko machnął desperacko ręką. – A wracając do pańskiej prośby... Zapewne ma pan przy sobie listę?

Torriti wyjął z kieszeni pocztówkę. Wziął ją od niego jeden z ochroniarzy, zaniósł na drugi koniec stołu i położył przed Rappaportem. Ten zerknął na zdjęcie, potem odwrócił kartkę i zmrużył oczy, usiłując odczytać zapisane z tyłu nazwiska.

– Jest pan poważnym człowiekiem o poważnych zamiarach – odezwał się wreszcie. – Pan pozwoli, że zadam kilka pytań.

– Ależ proszę, ależ proszę...

– Czy ludzie z tej listy muszą zginąć natychmiast, czy też możemy nasze poczynania rozłożyć w czasie... powiedzmy, paru dni lub nawet tygodni?

– Możecie wasze poczynania spokojnie rozłożyć w czasie... kilku minut.

– Rozumiem.

– Co pan rozumie?

– Rozumiem, że wszyscy ludzie z pańskiej listy są ze sobą powiązani w ten czy inny sposób, a w jaki – mogę jedynie zgadywać.

– Ależ proszę, ależ proszę...

– Sądzę, iż chodzi tu o jakiś spisek... Chce pan uniknąć sytuacji, w której śmierć jednego z nich ostrzeże innych przed niebezpieczeństwem. Innymi słowy, chce pan udaremnić ów spisek, pozbywając się ich wszystkich za jednym zamachem.

– Cholernie dużo wyczytał pan ze zwykłej listy nazwisk.

– Mogę wyczytać więcej.

– Ależ proszę, ależ proszę...

– Jeżeli przyszedł pan właśnie do mnie, jeżeli przybywa pan z błogosławieństwem Ezry Ben Ezry, to znaczy, iż wspomniany spisek

godzi w interesy Państwa Izrael. Przypuszczam zatem, iż rzecz dotyczy realnej groźby zakazu emigracji sowieckich Żydów do Izraela, co postawiłoby państwo żydowskie na straconej z demograficznego punktu widzenia pozycji w stosunku do palestyńskich sąsiadów.

Czarnoksiężnik był pod wrażeniem.

– I wszystko to z jednej małej listy!

– Na razie ledwie musnąłem powierzchnię... Za polityką przyzwalającą na emigrację sowieckich Żydów stoi Michaił Gorbaczow, a więc celem przewrotu jest zapewne pozbawienie go władzy. Krótko mówiąc, mamy tu do czynienia z puczem, skierowanym przeciw obecnemu rządowi, oraz inspirowaną przez Mosad i CIA próbą zdławienia spisku w zarodku za pomocą serii dokonanych z chirurgiczną dokładnością zabójstw jego inspiratorów i przywódców.

– I w tym momencie stwierdzam, że wie pan więcej ode mnie.

Endel Rappaport znów niecierpliwie machnął zdrową ręką; uwaga Czarnoksiężnika była tak absurdalna, że nawet nie usiłował zaprzeczać.

– Ostatnie pytanie: woli pan, żeby zgony wyglądały na samobójstwa czy na wypadki?

– Jeśli miałyby to przeszkodzić komuś w dojściu po nitce do kłębka i zapobiec powiązaniu owych zgonów z pańską osobą, a co za tym idzie, ze mną, oba rozwiązania wydają mi się odpowiednie. Samobójstwo, wypadek... co za różnica?

– Nie znam wyrażenia „dojść po nitce do kłębka”, ale domyślam się, w czym rzecz. Pozwoli pan, że prześpię się z tą pańską listą – powiedział Rappaport do Torritiego. – Wziąwszy pod uwagę zamieszane w sprawę nazwiska oraz pańskie preferencje co do charakteru zgonów, szacuję koszty na jakieś sto tysięcy od „głowy”, co oczywiście znacznie odbiega od

podanej przeze mnie na początku naszej rozmowy kwoty dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Poza tym mamy tutaj dwa, a nawet trzy nazwiska, które będą nieco droższe. Powiedzmy, ćwierć miliona... Pieniądze te, w miarę realizacji zamówień, będą wpłacane gotówką na szwajcarskie konta, których numery przekażę panu w swoim czasie. Połowa ustalonej za każdy kontrakt sumy zostanie wypłacona wykonawcy po przyjęciu zlecenia, druga połowa – gdy osoba przeznaczona do egzekucji zostanie usunięta. Czy mogę uznać, że akceptuje pan warunki umowy oraz wymienione wyżej kwoty?

– Ależ proszę, ależ proszę...

– Zatrzymał się pan w hotelu „Ukraina”, pokój pięćset pięć, jeżeli się nie mylę?

– Zaczynam widzieć pana w zupełnie nowym świetle – wyznał Czarnoksiężnik.

– Słyszałem, że to nieprzyjemny hotel.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić – uśmiechnął się Torriti.

Endel Rappaport podniósł się i Torriti poszedł za jego przykładem.

– To, co się słyszy o międzynarodowym spisku żydowskim, jest najszczerzą prawdą. – Rappaport pokiwał głową.

– To samo mówił mi Rabbi w Berlinie wiele lat temu – odparł Czarnoksiężnik; dobrze pamiętał słowa Ben Ezry: „Owszem, międzynarodowy spisek żydowski istnieje i Bogu niech będą dzięki! Jego celem jest ocalenie Żydów przed Stalinem”. – Uwierzyłem mu wtedy. Teraz wierzę panu.

Rappaport zgiął się w ukłonie.

– Proszę nie wątpić, iż skontaktuję się z panem, gdy tylko będę mógł powiedzieć panu coś konkretnego.

DREZNO, CZWARTEK, 1 SIERPANIA 1991

Devisenbeschaffer, urzędnik w średnim wieku z małym wąsikiem i tupecikiem, który spadł mu z głowy podczas szamotaniny, ani na chwilę nie stracił panowania nad sobą. Przywiązali go do kuchennego krzesła w podziemnym magazynie nieczynnego zakładu porcjowania mięs na przedmieściach. Dwie nagie żarówki świeciły mu prosto w twarz, co sprawiało, iż chorobliwie blada, poprzecinana delikatnymi czerwonymi żyłkami skóra policzków zdawała się zupełnie przezroczysta. Siedział tu tak długo, że kompletnie stracił poczucie czasu, prawdę mówiąc, nie czuł już w ogóle niczego. Gdy z wyszukaną niemiecką grzecznością powiedział, że chciałby skorzystać z toalety, porywacze wymienili między sobą szydercze uwagi w jakimś niezrozumiałym języku. „Nabywca waluty” kontrolował swoje zwieracze, dopóki mógł. Potem, niezdolny powstrzymać się ani sekundy dłużej, zaczął się gęsto tłumaczyć, mamrocząc pod nosem, i wypróżnił się na oba możliwe sposoby we własne spodnie. Towarzysząca tym aktom woń najwyraźniej nie czyniła żadnego wrażenia na dwóch młodych ludziach, którzy go na zmianę magłowali. Od czasu do czasu lekarz przytykał do jego piersi stetoskop i przez chwilę uważnie nasłuchiwał, po czym kiwał z zadowoleniem głową, przyzwalając na dalsze przesłuchanie.

– Proszę, wierzcie mi, że nic mi nie wiadomo o żadnym przelewie funduszy do tutejszego oddziału sowieckiego banku – upierał się więzień z gardłowym bawarskim akcentem. – Panowie musieli pomylić mnie z kimś innym.

Rabbi, przysłuchujący się im przez interkom w biurze na piętrze, niecierpliwił się coraz bardziej. Minęło już dziesięć dni, odkąd jego ludzie zwerbowali żydowskiego księgowego, zatrudnionego w filii Banku Handlowego Wielkiej Rosji w Dreźnie; minęło pięć dni, odkąd kasjer zwrócił mu uwagę na kwoty w wysokości od pięciu do dziesięciu milionów dolarów, deponowane codziennie na specjalnym koncie; minęły dwa dni, odkąd Rabbi trafił śladem owych pieniędzy do osławionego „nabywcy waluty”, którym się okazał kierownik jednego z prywatnych banków niemieckich. A teraz na pytanie, czy więzień nie zemrze im przypadkiem w trakcie przesłuchania, lekarz, wypożyczony z elitarnej jednostki komandosów, wciska mu jakieś głodne kawałki, wykręcając się od postawienia jednoznacznej diagnozy.

– Osiemnaście godzin w stresie to dużo nawet dla zdrowego serca – stwierdził. – Wydaje się zupełnie opanowany, ale tętno ma bardzo przyspieszone, co wskazywałoby na to, że wcale nie jest taki spokojny, na jakiego wygląda. Krótko mówiąc, nie można wykluczyć zawału.

– Jak długo wytrzyma?

Młody lekarz wzruszył ramionami.

– Wiem tyle samo co pan.

Odpowiedź zirytowała Ben Ezrę.

– Nie. Pan wie więcej ode mnie. Właśnie dlatego pan tu jest.

Lekarz nie dał się tak łatwo zastraszyć.

– Na wszelki wypadek radziłbym dać mu odetchnąć przez noc. Rano może pan wznowić przesłuchanie.

Rabbi szybko rozważył wszystkie za i przeciw.

– *Beseda* – rzekł z niechęcią. – Zrobimy, jak pan radzi.

– Z tym miejscem wiąże mnie wiele wspomnień – mówił Jewgienij, kiedy stojąc na dachu, podziwiał widok na okolice willi Apatowów. – Gdy przyjechałem tu po raz pierwszy... jeszcze zanim poznaliśmy się na przyjęciu w Pieriediełkinie... Wróciłem właśnie z Ameryki jako świeżo upieczony absolwent uniwersytetu i byłem trochę zagubiony. Nie miałem pojęcia, co chciałbym robić w życiu.

– A teraz już wiesz? – spytała Aza, bezpośrednio jak zwykle.

Jewgienij uśmiechnął się.

– Tak.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Tak bardzo mi żal, Jewgieniju, tych straconych lat.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

– Nadrobimy to...

– Zdaje ci się, że łatwo nadrobić stracony czas – odparła. – A ja myślę, że co najwyżej możemy mieć nadzieję, że nie zmarnujemy tego, który jest jeszcze przed nami.

Oparła się o balustradę i spojrzała na południowy wschód. Jewgienij podszedł, stanął za jej plecami.

– Tam gdzie teraz stoją te bloki mieszkalne i zakład utylizacji śmieci, kiedyś rosły białe brzozy i rozciągały się zaorane pola – powiedział. – Rolnicy z sowchozu w Czeriomuszkach kilka razy w roku rozrzucali nawóz. Gdy wiatr wiał akurat w tę stronę, musieliśmy zamykać wszystkie okna, żeby przeżyć. – Osłonił ręką oczy. – Za tymi polami był kiedyś tajny pas startowy. Tam wylądował mój samolot, jak wróciłem do domu z Ameryki. Od pięciu lat lotnisko jest nieczynne, bo Gorbaczow obciął budżet na wojsko. Teraz bandy małolatów ścigają się po betonowej płycie swoimi podrasowanymi samochodami. Czasem aż tutaj słychać ryk

silników. – Wskoczył na balustradę i spojrzał w dół na bramę, prowadzącą na teren posesji. – Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, na huśtawce bawiły się dwie małe dziewczynki... kuzyneczki człowieka, z którym miałem się spotkać w tym domu.

– To ten, który leży w szpitalu? – spytała Aza. – Ten, o którym nie chcesz mówić?

Jewgienij, pogrążony głęboko we własnych myślach, zapatrzył się na horyzont i nie odpowiedział.

– Gorąco mi – odezwała się nagle Aza. – Chodźmy do środka, tam przynajmniej jest klimatyzacja.

Sprowadził ją po schodkach do wyłożonej boazerią biblioteki na piętrze i podał szklanekę wody mineralnej. Wyjęła z torebki haftowaną chusteczkę, umoczyła rąbek w szklance i zwilżyła sobie kark.

– Czy możemy tutaj bezpiecznie rozmawiać? – zapytała.

– Nie mam pluskiew. Moi ludzie codziennie przeczesują dom.

– Proszę, proszę... „moi ludzie codziennie p r z e c z e s u j ą dom”!
Żyjemy w dwóch różnych światach, Jewgieniju.

– Chwała Bogu, to już nieprawda – zaprzeczył gorąco. – Chwała Bogu, nareszcie żyjemy w tym samym świecie.

– Co było na zebraniu?

– Generał Walentin Wariennikow, dowódca sił lądowych, zameldował, że pierwszego września Dywizja Dzierżyńskiego, wzmocniona przez jednostki z Dywizji Kantiemirowskiej i gwardzistów z Tamańskiej, zajmie kluczowe punkty w mieście: wieżę telewizyjną w Ostankinie, redakcje gazet, mosty, stacje kolejowe, główne skrzyżowania, uniwersytet i okoliczne wzgórza. W tym samym czasie, pod osłoną nocy, wylądują w Moskwie oddziały spadochroniarzy z Rizańskiej Dywizji Powietrznodesantowej, gotowe

zdławić w zarodku każde ognisko oporu. Do tej pory KGB zgromadził dwieście pięćdziesiąt tysięcy kajdanek, wydrukował trzysta tysięcy formularzy aresztowań, oczyścił dwa piętra w więzieniu Lefortowo i po cichu podwoił płacę swoim pracownikom. Minister obrony Jazow razem z ministrem spraw wewnętrznych Pugo naciskali na przyspieszenie terminu... Korzystając z tego, że Gorbaczow jeszcze nie wrócił z urlopu na Krymie, chcieliby rozpocząć operację już w połowie miesiąca. Ale Kriuczokow i Wariennikow tłumaczyli, że byłoby to ryzykowne z punktu widzenia logistyki i planów taktycznych. Twierdzą, że nie zdążą przed pierwszym wrześniem. Poza tym niemiecki *Devisenbeschaffer* potrzebuje trochę czasu na zebranie funduszy, rozproszonych po różnych bankach w Niemczech i Austrii. Potem musi jeszcze przekazać pieniądze do mojego banku w Dreźnie, żebym ja z kolei mógł dostarczyć je do Moskwy i udostępnić spiskowcom.

– A więc pierwszego września... – powiedziała Aza posępnie.

– Powinnaś ostrzec Jelcyna – odparł Jewgienij. – Niech porozumie się z dowódcami jednostek, które pozostały lojalne wobec rządu.

– To nie takie proste. Co będzie, jak wpadną w panikę? A jeśli KGB coś zwęszy? Zamkną ich i na tym się skończy... A resztą na kogo Borys Nikołajewicz może tak naprawdę liczyć? Na te kilka oddziałów pancernych i garstkę weteranów wojny afgańskiej? Powiedz mi, Jewgieniju, kto ma bronić Białego Domu?

– Naród. Niech Jelcyn wezwie na pomoc naród.

– Tak, naród stanie przy nim bez względu na wszystko. To nasza tajna broń, Jewgieniju. Ludzie wiedzą, że Borys Nikołajewicz poważnie traktuje reformy i że poważnie potraktował czerwcowe wybory. Po raz pierwszy w naszej tysiącletniej historii Rosjanie poszli głosować i wybrali prezydenta. Kiedy nadejdzie czas próby, przypomną sobie brodatego

patriarchę Aleksieja w powiewających na wietrze szatach, błogosławiącego Jelcyna słowami: „Z bożej łaski i z woli narodu rosyjskiego nadajemy ci najwyższą w Rosji godność...”, i odpowiedź prezydenta: „Wielka Rosja powstaje z klęczek”.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Azo. Mam nadzieję, że Jelcyn potrafi zachować zimną krew. Mam nadzieję, że nie wycofa się z wyścigu po pierwszej przeszkodzie.

Aza podeszła do stołu, pochyliła się nad Jewgienijem i mocno pocałowała go w usta. Zarumieniła się i szepnęła:

– To wszystko nic w porównaniu z twoim pożądaniem i moimi pragnieniami.

Jewgienij poczuł, że dławi go wzruszenie, więc tylko kiwnął w milczeniu głową.

Czarnoksiężnik kupił w kasie bilet, precyzyjnie się przez kołowrotek i ostrożnie wkroczył na ruchome schody, wiozące pasażerów do wnętrza Ziemi, na peron linii Arbacko–Pokrowska. Popatrzył przed siebie ponad głową stojącej niżej kobiety: stacja Smoleńska zdawała się ginać na dnie komory jakiegoś ogromnego zlewu. Dla zabicia czasu przyglądał się jadącym w górę ludziom. Niektórzy mieli twarze ukryte za rozłożonymi gazetami, inni patrzyli tępo przed siebie, zaprzątnięci troskami dnia codziennego. Jakaś starsza pani dziergała na drutach. Jej sąsiadka, kobieta w sile wieku, mówiła coś gniewnie do pleców stojącego przed nią nastolatka. Dwoje zakochanych, zwróconych przodem do siebie (dziewczyna na wyższym stopniu, chłopak na niższym), bez słów spoglądało sobie w oczy. W głębi czeluści, u stóp schodów, groźnie wyglądająca dyżurna w za ciasnym mundurze bacznie obserwowała

podróżnych z głębi szklanej budki, trzymając rękę na przycisku, aby w razie czego natychmiast wyłączyć schody.

Kiedy Torriti dotarł wreszcie na peron, zagarnęła go rzeka ludzi, płynąca w kierunku pociągów. Leo Kritzky czekał dokładnie w tym miejscu, które podał w dołączonym do butelki taniej whisky liściku z podziękowaniem za foldery reklamowe „Johna Deere”. Siedział na plastikowej ławce i czytał „Moscow News” – anglojęzyczną wersję „Moskowskich Nowosti”. Gdy nadjechał kolejny pociąg, Leo podniósł wzrok. Obojętnym spojrzeniem omiół korpulentną postać Czarnoksiężnika, lecz nie zdradził się, że go rozpoznał. Torriti, acz niechętnie, musiał mu oddać sprawiedliwość: ohydny zdrajca, ale profesjonalista w każdym calu. Kritzky wstał, wyrzucił gazetę do kosza na śmieci, podbiegł do otwartych drzwi wagonu i w ostatniej chwili wskoczył do środka. Czarnoksiężnik, który pozostał na peronie, nonszalanckim gestem wyjął gazetę ze śmietnika i czekając na jadący w przeciwną stronę pociąg, zerknął na nagłówki: BANK HANDLOWY I MIĘDZYNARODOWY BANK KREDYTOWY OSKARŻONE O PRANIE PIENIĘDZY. GORBACZOW NA KRYMIE. Kiedy długi rząd wagonów wtoczył się wreszcie na stację, tłum pasażerów pofalował w stronę drzwi, porywając ze sobą Torritiego.

Czarnoksiężnik przesiadał się kilkakrotnie, za każdym razem opuszczając wagon jako ostatni. W końcu ponownie wkroczył na ruchome schody. Wynurzywszy się na powierzchnię, dał nura do sklepu z zabawkami, w którym wionęło smutkiem z opustoszałych półek, po czym, wyszedłszy tylnymi drzwiami, znalazł się w maleńkim zaułku, prowadzącym na sąsiednią ulicę. Złapał taksówkę i ruszył z powrotem do hotelu „Ukraina”. Kiedy dotarł na miejsce, zamknął się u siebie w łazience, oddał prawy górny róg czwartej strony „Moscow News” i potrzymał

chwilę w pobliżu gołej żarówki. Pod wpływem ciepła po paru sekundach zaczęła ukazywać się zapisana sokiem cytrynowym wiadomość.

Dzień D 1 września. W siedzibie KGB w Maszkinie dowódca sowieckich sił lądowych Wariennikow przygotowuje plany przerzucenia do Moskwy Dywizji Dzierżyńskiego, kilku jednostek pancernych z Dywizji Kantiemirowskiej, spadochroniarzy z Riazańskiej Dywizji Powietrznodesantowej oraz tamańskich gwardzistów w celu opanowania strategicznych punktów miasta. Gorbaczow ma pozostać w areszcie domowym. W tym czasie zamachowcy ogłoszą stan wyjątkowy i przejmą kontrolę nad organami władzy. Na miłość boską, niech ktoś coś zrobi, zanim będzie za późno.

Torriti przepisał istotne szczegóły drobnym maczkiem na skrawku papieru, który następnie ukrył pod futrówką lewego buta. Spalił oddarty kawałek gazety w popielniczce i spłukał popiół wodą w toalecie. W chwilę później wrzucił monetę do aparatu w budce telefonicznej na rogu pobliskiej ulicy i wykręcił numer, który podał mu Rabbi, w razie gdyby musiał błyskawicznie skontaktować się z Izraelczykami w Dreźnie.

– *Pożałujsta?* – odezwał się w słuchawce kobiecy głos.

– Powiedziano mi, że sprzedaje pani perskie dywany po konkurencyjnych cenach – odparł Torriti.

– A kto to panu powiedział, jeśli można spytać?

– Mały ptaszek imieniem Ezra.

– Ezra, niech będzie błogosławiony! Od czasu do czasu podsyła mi klientów. Oczywiście, proszę przyjść, a pokażemy panu takie perskie dywany, że dostanie pan zawrotu głowy. Zna pan adres?

– Znam.

Czarnoksiężnik odłożył słuchawkę na widełki, pokrzepił się łykiem z prawie już pustej piersiówki, postawił kołnierz pomiętej kurtki, niemiłosiernie spranej i wytartej, po czym ruszył w stronę Arbatu.

Rabbi wyciągnął przed siebie kulę i przysunął bliżej skrzynkę interkomu, nie chcąc uronić ani słowa. Wstrzymał oddech i słuchał, ale w głośniku zaległa absolutna cisza. Nagle pokój wypełnił zwierzęcy, ścinający krew w żyłach jęk. Ezra Ben Ezra skrzywił się i wzdrygnął gwałtownie: trudno, cel uświęca środki, a zgoda na wyjazd z Rosji setek tysięcy Żydów warta jest męki jednego człowieka, w dodatku zamieszanego w spisek, dążący do powstrzymania emigracji. Stopniowo grymas zniknął z jego twarzy. Młody, męski głos powtórzył pytanie:

„Jaki jest zastrzeżony numer identyfikacyjny, umożliwiający dostęp do konta?”

Devisenbeschaffer nie odpowiadał. W głośniku rozległo się brzęczenie przypominające dźwięk elektrycznej maszynki do golenia. Potem, w krótkich odstępach czasu, niczym chińskie fajerwerki wypuszczane raz za razem, wystrzeliły urywane słowa.

Nicht-das – schalte-es-aus – Ich-werde-es-Dir-sagen!

„Wystarczy”, rozkazał jakiś głos. „Wyłącz to”.

Brzęczenie ustało.

Wśród łkań i jęków dało się rozróżnić podawane przez kogoś cyfry.

„Siedem-osiem-cztery-dwa”, potem: *Wolke*, potem: „dziewięć-jeden-jeden”.

Rabbi starannie zapisał wszystko w notesie. Siedem-osiem-cztery-dwa, potem *Wolke* albo „chmura”, potem dziewięć-jeden-jeden. Nabrał powietrza w płuca i wypuszczając je ze świstem, wzniósł oczy do nieba. Tak to już

bywa w tym szpiegowskim świecie, że każdego można złamać prędzej czy później. Znał wielu Żydów, których szkolono przed misją, żeby w razie wpadki wytrzymali choć tyle, by innym dać czas na ucieczkę. Części z nich udawało się wytrwać na torturach przez dwa dni, nawet dwa i pół, przeważnie jednak poddawali się wcześniej. Syn Rabbiego został schwytany w Syrii w połowie lat siedemdziesiątych. Katowali go przez trzydzieści cztery godziny, a kiedy wreszcie się złamał, umyli go, ubrali w białą piżamę i powiesili na skleconej naprędcie drewnianej szubienicy. Niemiec zniósł więcej niż większość torturowanych jeńców; jego nienawiść do Żydów była silniejsza od bólu. Ale w końcu się złamał.

Teraz trzeba było tylko sprawdzić cyfry i – zakładając, że są prawdziwe – przejąć kontrolę nad depozytami „nabywcy waluty”, przelać fundusze do Szwajcarii, a potem zawiadomić Jacka McAuliffe’a, że brudna robota została wykonana.

Reszta należała już do Czarnoksiężnika.

Poprzedniego wieczoru Ben Ezra otrzymał depeszę od Torritiego: datę puczu wyznaczono na pierwszy września. Z bezpiecznego telefonu w kryjówce Mosadu Rabbi natychmiast przekazał zaszyfrowaną wiadomość Jackowi McAuliffe’owi w Waszyngtonie. Nasz wspólny przyjaciel, mówił Rabbi, przypomina, że jeśli chcemy dostać to stypendium, musimy złożyć podania przed pierwszym września; później będzie już za późno. W takim razie, zauważył Jack po drugiej stronie słuchawki, nie mamy zbyt wiele czasu na zdobycie rekomendacji od ośmiu–dziesięciu najważniejszych moskiewskich osobistości; czy nasz wspólny przyjaciel zdąży się z nimi skontaktować przed ostatecznym terminem? Wziął sprawy w swoje ręce, odparł Rabbi. Spodziewa się uzyskać osiem, a może nawet dziesięć listów polecających w ostatnim tygodniu sierpnia. To brzmi całkiem nieźle, odrzekł Jack. Nie dałoby się tego trochę przyspieszyć? Ubieganie się

o rekomendację ośmiu lub dziesięciu ludzi jednocześnie byłoby nieco skomplikowane, mitygował Jacka Ben Ezra. Ze zrozumiałych względów musimy załatwić to od ręki, za pierwszym podejściem, drugiej szansy nie będzie. Dobra, powiedział z niechęcią Jack, przygotuję się na ostatni tydzień sierpnia.

Siedząc przy biurku na najwyższym piętrze zakładu porcjowania mięs, Rabbi obrócił głośnik interkomu, żeby wyciągnąć wtyczkę z kontaktu. Oczy łzawiły mu od bólu, który od jakiegoś czasu stał się jego nieodłącznym towarzyszem. Przez grube szkła okularów zobaczył na tylnej ścianie pudełka malutkiego czerwono-czarnego pająka, tańczącego na nitkach niewidocznej gołym okiem pajęczyny. Pająk, który wydawał się zawieszony w powietrzu, zamarł, gdy Ben Ezra trącił paznokciem niewidzialną nić. Nieskończenie cierpliwy, czekał, próbując określić, czy drgania, jakie wyczuł, zwiastują zagrożenie. W końcu zaryzykował nieśmiały ruch, po czym szybko wspiał się po niedostrzegalnej linie i zniknął w bezpiecznej otchłani głośnika.

Na spierzchniętych wargach Ben Ezry pojawił się grymas niezadowolenia. Jego dni dobiegają końca. Wkrótce i on wespie się po niewidzialnej pajęczynie, przesuwając kalekie biodro w przód, w bok i w tył z każdym pełnym cierpienia krokiem, po czym zniknie w bezpiecznej otchłani krainy, którą Bóg przygotował dla potomków Abrahama.

Syrena na szczycie wieży strażniczej kompleksu KGB w Maszkinie – zespołu piętrowych ceglanych budynków w kształcie litery „L”, połączonych zadaszonymi przejściami z centralnie usytuowaną kwaterą główną – zawyła, obwieszczając południe. W niewielkiej klimatyzowanej sali konferencyjnej na piętrze przewodniczący KGB Władimir Kriuczkow,

drażliwy, wiecznie niezadowolony z życia malkontent, dla którego szklanka była zawsze do połowy pusta, patrzył ponuro przez okno. Za jego plecami Fiodor Łomow, aparatczyk z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odczytywał treść depešy, doręczonej tego ranka wraz ze zdjęciami przez kuriera na motorze.

Od jakiegoś czasu agenci z Wydziału do spraw Izraela inwigilowali żydowskie małżeństwo, handlujące dywanami w sklepiku przy bocznej uliczce na Arbacie. Wiadomo było, że w przeszłości para ta udostępniała kryjówkę i świadczyła usługi łącznościowe dla Mosadu. Zespół obserwatorów, zamelinowany w pustym mieszkaniu po drugiej stronie ulicy, fotografował każdego, kto wchodził do sklepu lub z niego wychodził. W nocy zdjęcia wywoływano, aby z samego rana dostarczyć je na biurka urzędników Drugiego Zarządu Głównego. Tego dnia, gdy sortowano zebrany w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin materiał – zdjęcia klientów, których udało się rozpoznać, opisywano i wklejano do albumu, resztę wrzucano do drucianego kosza podpisanego „Niezidentyfikowane” – uwagę Jurija Suchanowa, zrędlivego szefa Dziewiątego Zarządu Głównego (jednej z kluczowych postaci spisku, bliskiego współpracownika Kriuczkowa), zwróciła fotografia przekazana centrali przez drezdeńskiego rezydenta KGB, przedstawiająca starego człowieka, kuśtykającego o dwu kulach w stronę otoczonej ochroniarzami limuzyny. W Dreźnie wstępnie zidentyfikowano go jako Ezrę Ben Ezrę, osławionego Rabbiego, który od ponad siedmiu lat szefował Mosadowi. Obok niego kroczył korpulentny jegomość, którego tożsamości drezdeńska rezydentura nie zdołała ustalić, lecz Suchanow, weteran KGB, który rozpoczął swoją błyskotliwą karierę w Berlinie jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych, rozpoznał go natychmiast: towarzyszący Rabbiewi osobnik to nie kto inny, tylko jego stary przyjaciel z dobrych berlińskich czasów, legendarny szef berlińskiej bazy CIA,

H. Torriti alias Czarnoksiężnik. Rodziło się zatem pytanie: po co szef Mosadu spotkał się w Dreźnie z Harveyem Torritim? Czy to możliwe, żeby ich obecność miała coś wspólnego z dewizami, przelewanymi do drezdeńskiej filii Banku Handlowego Wielkiej Rosji? Albo, co gorsza, z nagłym zniknięciem samego „nabywcy waluty”?

W trakcie zażartej dyskusji, jaka rozpętała się wokół intrygującego zdjęcia, Suchanow zerknął mimochodem na stos fotek w koszu „Niezidentyfikowane”. Zaczął przeglądać je bezmyślnie i nagle jego wzrok padł na jedną z nich. Machinalnie podniósł ją do oczu. „Skąd to macie?!” – wykrzyknął podniecony. Urzędnik wyjaśnił, że została zrobiona poprzedniego dnia przez zespół obserwatorów inwigilujący żydowskie małżeństwo, podejrzane o dorywczą współpracę z izraelskim wywiadem. „Ależ to ten sam mężczyzna, który jest na fotografii z Rabbim! Torriti...” – powiedział zaskoczony Suchanow. Dla szefa Dziewiątego Zarządu Głównego obecność Czarnoksiężnika najpierw w Dreźnie, potem w Moskwie była złym znakiem – mogło to oznaczać tylko jedno: CIA, za plecami moskiewskiej placówki, przemyciła do radzieckiej stolicy swojego człowieka. Czyżby Amerykanie podejrzewali, że Rosji grozi zamach stanu?

Zdjęcia Ben Ezry i Torritiego w Dreźnie i Torritiego w Moskwie, wraz z odpowiednim komentarzem, przesłano do kompleksu KGB w Maszkinie, żeby ostrzec Kriuczkowa. Domysły Suchanowa wywołały konsternację wśród spiskowców. Natychmiast zwołano naradę wojenną. Łomow odczytał na głos treść depechy. Jazow i Pugo, którzy od początku obstawali przy sierpniowej dacie zamachu, przeżywali chwile triumfu i tym bardziej nalegali na przyspieszenie terminu. Odpowiedzialny za wojskową stronę operacji generał Wariennikow, który wcześniej sprzeciwiał się temu pomysłowi, przychylił się teraz, acz niechętnie, do ich opinii. Suchanow, którego agenci mieli aresztować Gorbaczowa w chwili rozpoczęcia puczu,

przypomniął, że czas nagli, bo już dwudziestego sekretarz generalny powraca do Moskwy ze swojej letniej rezydencji w Foros na Krymie.

Oczy zebranych zwróciły się na Kriuczkowa, który nadal wyglądał przez okno. Zauważył, że nad polami wokół Maszkina unoszą się brunatne opary. Zabobonni chłopci, uśmiechnął się w duchu, wierzą, że złe duchy, czające się we mgle, wywołują poronienia u ciężarnych kobiet, które odważyły się wyjść na dwór w taki dzień jak dziś. Cóż, może coś w tym jest? Może lepiej odłożyć wszystko na później? Bzdura. Przecież nigdy nie był przesądny... Odwrócił się do swoich towarzyszy i spoglądając na nich szczególnie złowieszczo, oznajmił, że on również przychylił się do przesunięcia terminu na sierpień, nawet gdyby miało to oznaczać, że wszystkie przygotowania – ze ściąganiem pieniędzy do Moskwy włącznie – nie zostaną ukończone na czas.

– Dziewiętnastego? – podsunął.

– Dziewiętnastego sierpnia? Może być – powiedział minister obrony Jazow.

Reszta przytaknęła w milczeniu.

– A więc postanowione – oznajmił Kriuczkow. – Od dzisiaj za tydzień ogłosimy stan wyjątkowy, odizolujemy Gorbaczowa i przejmujemy władzę.

Leo Kritzky, próbując się pozbyć nękającej go depresji, spędził całe popołudnie na zwiedzaniu zabytkowych cerkiewek w zaułkach na tyłach Kremla. Przez te wszystkie lata tak upodobił się do Rosjan, że nawet wszechobecni kanciarze, zasypujący cudzoziemców ofertami kupna dolarów lub sprzedaży kawioru, przestali go nagabywać i nie zwracali już na niego najmniejszej uwagi. W drodze powrotnej wstąpił do robotniczej stołówki na szklankę herbaty, do której podano mu zeschnięte ciastko, a potem stanął w kolejce do apteki, żeby kupić butelkę polskiego syropu na

kaszel dla swojej przyjaciółki, która nabawiła się komplikacji po zapaleniu oskrzeli, bezskutecznie leczonym ziołami. Posiedział u niej jakieś pół godziny, oglądając szkice ilustracji do książeczek dla dzieci o syberyjskich elfach i wrózkach. Wyszedłszy, złapał metro na stacji Frunzeński. Pociąg pędził przez tunel, a on, trzymając się uchwyty nad głową, bujał się z boku na bok, wpatrzony w relikwiarz komunizmu – małą metalową tabliczkę z przodu wagonu, na której wyryte były słowa: „Rewolucja Październikowa”. Zastanawiał się, ilu ludzi zauważyło tę pamiątkę przeszłości; ilu z tych, którzy zauważyli, nadal wierzyło w obietnice rewolucji. Były dni, kiedy sam myślał, że może by tak zacząć raz jeszcze; były i takie, kiedy starał się o tym nie myśleć.

W tym niewesołym nastroju wrócił do swego mieszkania przy bulwarze Frunzeńskim i wspinał się po schodach na drugie piętro. Dozorca wciąż jeszcze nie wymienił żarówki w końcu korytarza, pod drzwiami z numerem 373. Gdy Leo przykucnął, by włożyć klucz do zamka, w ciemności odezwał się zdyszany dziewczęcy głos: *Sorry, sorry, do you speak English?* Milczał, zaskoczony, a nieznajoma westchnęła: *I didn't think so... it would have been too good to be true*^[54].

Leo zmrużył oczy.

– Właściwie to... – zaczął w swoim ojczystym języku.

– Och, dzięki Bogu! – wykrzyknęła z ulgą i postąpiła kilka kroków w jego kierunku. – Przepraszam, może pan wie, gdzie tu mieszka Leon Kritzky?

Leo zbladł.

– Kim pani jest? – zapytał, czując, że krew odpływa mu z twarzy.

Podeszła jeszcze bliżej i spojrzała mu prosto w oczy. Słyszał, jak wstrzymuje oddech.

– Tatuś? – wyszeptała płaczącym, dziecinnym głosem.

– Tessa?! To ty...?

– Och, tatusiu – załkała. – To ja. Ja.

Leo poczuł nagle, że czas i przestrzeń, smutek i żal odpływają gdzieś w niebyt. Otworzył ramiona i długo tulił do siebie zapłakaną córkę, która przyłgnęła doń z całej siły.

Minęło sporo czasu, zanim którekolwiek z nich było w stanie wydusić z siebie choć słowo. Stali tak w ciemności, przytuleni, a łzy Tessy kapały na kołnierz wiatrówki Leo. Później żadne z nich nie pamiętało, jak się znaleźli w mieszkaniu, kto otworzył butelkę bułgarskiego wina ani skąd się wzięły na stole kanapki z kawiozem. Siedzieli naprzeciw siebie i patrzyli, patrzyli, patrzyli... Co chwila Leo wyciągał rękę, żeby dotknąć córki, a utkwione w ojca oczy Tessy bez przerwy napełniały się łzami. Zatrzymała się w hotelu przy placu Czerwonym, ale Leo nawet nie chciał słyszeć o tym, żeby tam wróciła; jutro pojedą po walizkę i książki, które przywiozła mu w prezencie. Pościelił jej na kanapie, a potem, wtuleni w miękkie poduszki, przegadali ściszym, ochryplym ze wzruszenia szeptem całą noc, do białego rana. Tessa, szczupła, wciąż jeszcze piękna mimo swych prawie czterdziestu lat, właśnie zerwała kolejny romans; wyglądało na to, że zawsze zakochuje się w mężczyznach żonatych albo takich, którzy nie chcą wiązać się na stałe. A zegar biologiczny tykał, czego siostra nie omieszkła wypominać jej przy każdej okazji. Trudno, jeśli teraz kogoś pozna, to zajdzie z nim w ciążę i niech się dzieje, co chce, a jak facet ją rzuci, to przynajmniej będzie miała dziecko, którego zawsze pragnęła. Vanessa? Och, ma się dobrze. Tak, ciągle jest z tym profesorem historii na Uniwersytecie George'a Washingtona; ich syn, rezolutny czterolatek imieniem Philip, po dziadku, umie już obsługiwać komputer...

Dlaczego nie uprzedziła go, że przyjedzie? Nie chciała mu robić nadziei. Sobie też nie. Bała się, że stchórzy w ostatnim momencie, w obawie przed tym, co tu zastanie... albo czego nie zastanie. Nie mówiła nawet Vanessie. Och, tatusiu, gdybyś tylko...

Gdybym?

Gdybyś tylko nie...

Widać było, że nie chce jej to przejść przez gardło, ale i tak zrozumiał, co mu próbowała powiedzieć... Poświęciłem się dla idei, tłumaczył. To kwestia lojalności i wierności sprawie, w którą wierzyłem na długo przedtem, zanim wstąpiłem do CIA.

Żałujesz?

Żal powrócił nagle ze zdwojoną siłą i Leo poczuł, że znów ogarnia go fala smutku. Twoja matka, powiedział. Gorzko żałuję tego, co zrobiłem Adelle. Twoja siostra... Żałuję, że nie potrafi się zdobyć na rozmowę z własnym ojcem. Ty... Żałuję, że nie mogę uczestniczyć w twoim życiu i że ty nie możesz uczestniczyć w tym, co zostało z mojego.

Kiedy zobaczyłam cię tam, w korytarzu, tatusiu, miałam okropne uczucie, że wcale nie cieszysz się na mój widok.

Nieprawda...

Widziałam to w twoich oczach.

Zobaczyć cię tutaj to cud. Marzyłem o tym przez siedem i pół roku. Tylko że...

Tylko że co?

To nie jest najlepszy moment na wizytę w Moskwie, Tesso.

A ja myślę, że to fascynujący moment... teraz, kiedy u władzy jest Gorbaczow.

Właśnie o to chodzi. Gorbaczow być może wkrótce straci władzę.

Szykuje się zamach stanu? Boże, ale fajnie... Będę w samym środku prawdziwej rewolucji! Tessa spojrzała nagle ojcu prosto w oczy. Ty coś wiesz, tatusiu, czy to tylko pogłoski?

Zamach stanu to realna groźba.

Wybacz, że pytam, ale czy nadal pracujesz dla KGB?

Spróbował się uśmiechnąć. Jestem na emeryturze. Wszystkie informacje czerpię z gazet.

Zdawało mu się, że Tessa odetchnęła z ulgą. Prognozy zamachów stanu niczym się nie różnią od prognoz pogody, powiedziała. Każdy wie, że gazety się mylą. Więc skoro piszą, że będzie zamach stanu, to pewnie nic się nie zdarzy. Szkoda. Dobrze by mi zrobiła odrobina szaleństwa w życiu.

NIEDALEKO FOROS NA KRYMIE, PONIEDZIAŁEK, 19 SIERPNIĄ 1991

Wyglądając przez okienko w podobnym do olbrzymiego owada helikopterze, który właśnie zniżał się nad oślepiająco białą płytą lądowiska dla śmigłowców, Jewgienij zobaczył cebulastą kopułę cerkwi w Foros, przylutonej do granitowego urwiska, u którego stóp rozbiły się o brzeg spienione fale. W chwilę później jego oczom ukazała się letnia rezydencja Michaiła Gorbaczowa na południowych klifach Krymu, opadających stromą ścianą wprost do morza. Znajdowała się tam okazała piętrowa willa, mały hotelik dla personelu i agentów ochrony, oddzielny dom dla gości, kryty basen i kino, a nawet długie schody ruchome, prowadzące na prywatną plażę. Gdy tylko helikopter dotknął ziemi, delegaci z Moskwy – przedstawiciel KGB Jurij Suchanow, przedstawiciel armii generał Wariennikow, przedstawiciel sektora zbrojeniowego Oleg Bakłanow, Oleg Szenin z Politbiura, osobisty sekretarz Gorbaczowa Walery Bołdin oraz Jewgienij Cypin, reprezentujący potężny sektor bankowy – zostali przewiezieni wojskowymi dżipami do głównego budynku. Kiedy przechodzili przez kąpiący od złota marmurowy hol, szef ochrony szepnął Suchanowowi do ucha, że o czwartej trzydzieści, zgodnie z instrukcją, odciął osiem linii telefonicznych, łączących willę Gorbaczowa z resztą świata.

– Jak mu powiedziałem, że ma niespodziewanych gości, od razu złapał za telefon, żeby sprawdzić, o co chodzi – opowiadał oficer. – A tu wszędzie głucho! Próbował nawet dodzwonić się do szefa sztabu z awaryjnego aparatu, tego, który jest zamknięty w takiej specjalnej skrzynce, i wreszcie

chyba doszło do niego, że coś jest nie tak, bo zrobił się śmiertelnie blady i wezwał do siebie całą rodzinę: żonę, córkę i zięcia. Siedzą teraz wszyscy razem w salonie. Najbardziej zdenerwowana jest Raisa... Słyszałem, jak mówiła coś o bolszewikach, którzy wymordowali rodzinę Romanowów po rewolucji październikowej.

Delegaci pchnęli podwójne drzwi i ujrzeli Gorbaczowa i jego bliskich, stojących ramię przy ramieniu na środku wspaniałego salonu. Z ogromnego okna za ich plecami rozciągał się przepiękny widok na klify i morze. Sekretarz generalny, z trudem opanowując gniew, spiorunował wzrokiem swego osobistego sekretarza, Bołdina.

– *Et tu, Brute?* – powiedział szyderczo i spojrzawszy na pozostałych, zapytał z lodowatą pogardą: – Kto was tu przysłał?

– Komitet Stanu Wyjątkowego – oznajmił Suchanow.

– Nie zwoływałem żadnego komitetu – odparł Gorbaczow. – Kto za tym stoi?

Jewgienij podszedł do Gorbaczowa i wręczył mu kartkę, na której wydrukowane były nazwiska członków komitetu. Sekretarz generalny nałożył okulary i spojrzał na listę.

– Kriuczow! Jazow...! Tylko dzięki mnie został ministrem obrony! Pugo! Wariennikow! Uricki! – Z obrzydzeniem pokręcił głową. – Naprawdę uważacie, że ludzie są tak zmęczeni, że pójdą za każdym dyktatorem?

Generał Wariennikow wystąpił naprzód.

– Nie macie wyboru, Michaile Siergiejewiczu. Musicie się nam podporządkować i podpisać dekret o stanie wyjątkowym albo ustąpcie ze stanowiska.

Gorbaczow zerknął na Raisę i zobaczył, że drży ze strachu. Położył jej dłoń na ramieniu, a potem przemówił do delegatów:

– Odmawiam... Nigdy nie podpiszę takiego dekretu.

– A Jelcyn...? Też jest z nimi? – szepnęła Raisa.

– Jelcyn zostanie aresztowany – odparł Suchanow.

Michaił Siergiejewicz i jego żona spojrzeli sobie w oczy. Ich córka zbliżyła się do matki i wzięła ją za rękę. Wiedzieli, że mogą skończyć przed plutonem egzekucyjnym. Gorbaczow przeniósł wzrok na stojących przed nim delegatów.

– Jesteście zdrajcami i awanturnikami – przemówił opanowanym głosem.

– Zniszczycie kraj. W swoim zaślepieniu wierzycie, że można odwrócić bieg historii. Popychacie Rosję do wojny domowej!

Jewgienij, świadom, że musi do końca grać swoją rolę, przerwał mu ostro.

– To wy popychacie Rosję do wojny! My jedynie próbujemy uniknąć rozlewu krwi.

– Michaił Siergiejewiczu – powiedział Suchanow pojednawczo – przecież nie prosimy was o wiele... Zostaniecie w Foros, w areszcie domowym. A my wykonamy za was tę brudną robotę.

– Słusznie nazywacie to brudną robotą – powiedział z goryczą Gorbaczow.

– Nic tu już nie wskóramy – zwrócił się Suchanow do swoich towarzyszy.

Podszedł do Gorbaczowa i wyciągnął rękę. Sekretarz generalny i szef Dziewiątego Zarządu Głównego KGB od lat pozostawali w zażyłej przyjaźni. Gorbaczow spojrział na wyciągniętą w jego kierunku dłoń

i z miną pełną pogardy odwrócił się do niej plecami. Suchanow wzruszył ramionami i wyszedł, a za nim podążyła reszta delegatów.

Lecąc helikopterem na lotnisko w Belbek, gdzie na spiskowców czekał Tu-154, który miał ich zabrać do Moskwy, Suchanow przekazywał przez radiotelefon instrukcje szefowi ochrony w Foros; sekretarz generalny i członkowie jego rodziny mają być odcięci od świata. Żaden człowiek ani żadna wiadomość nie może się do nich przedostać. Nikomu też nie wolno stamtąd wyjść. Zrozumiano?

Bakłanow wyjął ze skórzanej torby butelkę koniaku i każdemu nalał po kieliszku.

– Trzeba mu przyznać – mówił Wariennikow, usiłując przekrzyczeć ryk śmigieł – że kto inny na jego miejscu podpisałby ten cholerny dekret.

Suchanow odchylił głowę w tył i przymknąwszy oczy, oparł się o ścianę.

– Teraz wszystko zależy od tego, czy uda nam się dopaść Jelcyna! – odkrzyknął. – Bez Gorbaczowa i Jelcyna opozycja pójdzie w rozsypkę.

Jewgienij przyznał mu rację.

– Jelcyn – powiedział, myślami błędząc gdzieś daleko – jest kluczem do wszystkiego.

Gdy Jewgienij wrócił do Moskwy, było dobrze po północy. Z budki telefonicznej na parking przy lotnisku zadzwonił do mieszkania Azy. Posługując się umówionym szyfrem, poprosił, żeby za jakiś czas zeszła do garażu na tyłach jej bloku. Kiedy tam dotarł, już na niego czekała, skryta w cieniu. Padli sobie w objęcia. Krótkimi, urywanymi zdaniami opowiedział jej, co się stało: spiskowcy niespodziewanie przesunęli datę puczu; wraz z garstką innych poleciał do Foros, aby zmusić Gorbaczowa do podpisania dekretu, ustanawiającego Komitet Stanu Wyjątkowego;

Gorbaczow kategorycznie odmówił; przebywa w areszcie domowym w swojej rezydencji. W tej chwili Jazow wysyła zaszyfrowaną depeşe 8825, która postawi na nogi całą armię. W ciągu paru godzin kolumny czołgów i wyładowanych żołnierzami ciężarówek zajmą strategiczne pozycje w Moskwie, a naród zostanie poinformowany, że Gorbaczow miał zawał i zrezygnował z dalszego pełnienia funkcji państwowych. A wówczas cała władza przejdzie w ręce komitetu.

Aza przyjęła te wieści spokojnie. Spodziewała się tego od dawna, jest tylko zaskoczona, że wszystko potoczyło się tak szybko. Zaraz pożyczycy od sąsiada samochód i pojedzie ostrzec Borysa Nikołajewicza. Jelcyn z pewnością zabarykaduje się w Białym Domu i wezwie siły demokratyczne do stawienia oporu. Jeżeli telefony w gmachu parlamentu nie zostały jeszcze odcięte, Jewgienij może do niej dzwonić na zastrzeżony numer prywatnych apartamentów prezydenta. W ciemności pogładziła jego kark. Uważaj na siebie, Jewgieniju Aleksandrowiczu, powiedziała i wyszeptwała epilog ich króciutkiego romansu sprzed wielu, wielu lat: za każdym razem, gdy się spotykamy, zostawiam z tobą część siebie.

Jewgienij od razu rozpoznał cytaty i nagle poczuł przejmujący żal za tym, co mogło być, i nadzieję na to, co jeszcze może się zdarzyć.

Aza kluczyła małą ładą po opustoszałych ulicach stolicy. Skręciła w prospekt Kutuzowa i wyjechała z Moskwy w kierunku Usowa, gdzie Borys Jelcyn miał daczę. Stała na czerwonym świetle – tylko tego brakowało, żeby teraz zatrzymała ją milicja za łamanie przepisów drogowych! – i raptem poczuła, że ziemia drży pod kołami samochodu. W tej samej chwili usłyszała głucho dudnienie. Wprost na nią sunęła kolumna olbrzymich czołgów, najwyraźniej podążająca w kierunku centrum miasta. W otwartych włazach stali żołnierze w skórzanych pilotkach.

Drżenie ziemi zlało się w jedno z biciem serca Azy; dotychczas pucz wydawał się jej prawie abstrakcyjnym pojęciem, ale widok gąsienic miażdżących kocie łby moskiewskich ulic był dotkliwie realny. Czołgiści nie zatrzymali się na czerwonym świetle, co oburzyło Azę do głębi. Za kogo oni się uważają! I nagle zrozumiała, że to śmieszne sądzić, że szturmujące stolicę wojsko będzie przestrzegać zasad ruchu. Jeden z żołnierzy musiał zauważyć, że za kierownicą łady siedzi kobieta, bo szarmanckim gestem zerwał z głowy wyimaginowany kapelusz i nisko się ukłonił.

Gdy tylko zmieniły się światła, Aza ruszyła z piskiem opon i wyminawszy kawalkadę czołgów, pomknęła na przedmieścia. W Gorki-9, tuż przed Usowem, panowała martwa cisza. Aza skręciła z asfaltowej szosy w szutrową alejkę i zatrzymała samochód przed otoczoną wysokim murem posesją. Obaj strzegący daczy wartownicy drzemali w stróżówce. Gdy Aza zastukała w szybę, jeden z nich zasalutował na powitanie i wyszedł, żeby otworzyć bramę.

– Coś dzisiaj wcześniej, panienko.

– Chciałam przejechać przez Moskwę, zanim zaczną się korki – odparła.

– Gdybym miał samochód – westchnął żołnierz – nie przejmowałbym się żadnymi korkami. Nastawiłbym sobie radio i słuchał rock'n'rolla.

Zaparkowała przy ścianie nieforemnego, przysadzistego budynku z cegły i drewna i podbiegła do tylnych drzwi, prowadzących na oszkloną werandę. W lesie wokół domu ptaki nie zaczęły jeszcze śpiewać. Wyjęła klucz ze schowka pod doniczką z geranium i weszła do kuchni. Wspięła się po drewnianych schodach z malowaną poręczą i zapukała cicho do drzwi na samym końcu korytarzyka. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zapukała znowu, tym razem już głośniej.

– Co się tam, u licha, dzieje? – odezwał się zaspany głos.

– Borysie Nikołajewiczu, to ja, Azalia Izanowna. Muszę z panem natychmiast porozmawiać.

Z sąsiednich pokoi wyjrzały córki Jelcyna, Lena i Tania, przestraszone, że ktoś budzi je o tej porze.

– Co się stało? – spytała młodsza, Tania.

Jelcyn, w spodniach z opuszczonymi szelkami, wciągniętych na nocną koszulę, stanął w drzwiach sypialni, uzbrojony w potężny rewolwer.

– Wracajcie do łóżek! – zawołał do córek. – Wejdz – zwrócił się do Azy.

Wiedział, że dobre wieści nigdy nie nadchodzą o świcie. Odłożył rewolwer na nocną szafkę, obok prawie pustej butelki koniaku. Wskazał Azie krzesło i usiadł naprzeciw niej.

– A więc masz wiadomość od swojego informatora? – zapytał.

Aza kiwnęła głową.

– Widziałam się z nim około wpół do drugiej – powiedziała i powtórzyła wszystko, co przekazał jej Jewgienij: że przewrót już się rozpoczął; że Gorbaczow kategorycznie odmówił współpracy ze spiskowcami i siedzi teraz w areszcie domowym na Krymie; że wojsko i spadochroniarze zajmują pozycje w stolicy; że na własne oczy widziała kolumnę czołgów, zmierzającą w kierunku Moskwy.

Jelcyn przeczesał palcami grzywę siwiejących włosów i wbił wzrok w podłogę. Przez chwilę trwał tak, dumając nad czymś głęboko, po czym kilkakrotnie potrząsnął głową, jakby spierał się o coś sam ze sobą.

– Jak się tu dostałaś? – zapytał.

– Pożyczyłam ładę od sąsiada.

Zmarszczył brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Aza znała dobrze ten grymas i wiedziała, że Borys Nikołajewicz analizuje teraz w myślach wszystkie możliwe scenariusze.

– Muszę wracać do Białego Domu – zastanawiał się głośno. – Jestem na pewno jednym z pierwszych na liście tych, którzy mają być aresztowani. Do tej pory zdążyli już rozstawić blokady wokół Moskwy. Jeśli będę jechał limuzyną, w asyście ochroniarzy, rozpoznają mnie od razu i wszystko przepadnie. Pojadę z tobą. To jedyna szansa, żeby przedostać się przez punkty kontrolne. To może być niebezpieczne... Nie boisz się ryzyka?

– Nie, Borysie Nikołajewiczu.

– Dzielna z ciebie kobieta, Azalio Izanowna.

Jelcyn wstał i włączył małe radycjko, nastawione na całodobową stację moskiewską. Puszczali *Jeziro łabędzie*. Zły znak, bo radzieckie rozgłośnie zawsze to nadawały w czasie niepokoju społecznych i zamieszek. Nagle spiker przerwał muzykę i drżącym z przejęcia głosem odczytał wiadomości: „Ze względu na zły stan zdrowia Michaił Gorbaczow ustąpił ze stanowiska. W tej krytycznej chwili władzę przejął Komitet Stanu Wyjątkowego, aby zapobiec śmiertelnemu niebezpieczeństwu, jakie zawisło nad naszą ojczyzną”. Lena i Tania, zaniepokojone hałasem, przybiegły do pokoju ojca. Jelcyn uciszył je niecierpliwym gestem ręki. „Polityka zapoczątkowanych przez Michaiła Gorbaczowa reform, które miały przynieść państwu dynamiczny rozwój gospodarczy”, mówił dalej głos w radiu, „stanęła w martwym punkcie. Kraj pogrąża się w chaosie anarchii i bezprawia. Miliony obywateli domagają się ukrócenia przejawów moralnego rozpasania i przestępczości, coraz ciaśniej oplatającej Rosję swoimi mackami”.

Jelcyn wyłączył ze złością radio.

– Miliony ludzi domagają się demokratyzacji, a nie nowej dyktatury proletariatu – oświadczył z mocą.

Zdjął przez głowę koszulę nocną i włożył kamizelkę kuloodporną, na nią białą koszulę i marynarkę, po czym poprawił szelki i schował do kieszeni

rewolwer. Poprosił córki, żeby zadzwoniły do matki, która została w Moskwie.

– Telefon na pewno jest na podsłuchu – przestrzegął. – Powiedźcie jej tylko, że służyłem radia i że pojechałem samochodem do Swierdłowska. Nic więcej.

Na niebie bardzo jasna spadająca gwiazda przecięła Wielką Niedźwiedzicę, wlokąc za sobą ognistą smugę.

– Pomyślcie o czymś, to się spełni – uśmiechnął się do córek Borys Nikołajewicz.

Nigdy nie był religijny, ale wierzył w przeznaczenie; teraz spełnienie jego marzeń było bardziej realne niż kiedykolwiek. Spoglądając w bezchmurne sierpniowe niebo, bezgłośnie wypowiedział własne życzenie i usiadł w ładzie obok Azy.

– Nie martw się, tatusiu – powiedziała Lena, kiedy zamykał drzwiczki. – Pamiętaj, że wszystko zależy od ciebie.

Z początku dzwonek telefonu zdawał się tak odległy, że Jack McAuliffe uznał go za część swojego snu: przykuwał właśnie Leo kajdankami do kaloryfera, a dźwięk rowerowego dzwonka odbijał się echem od ścian drewnianej rudery, wzywając wszystkich na kawę i pączki. Jack powoli wydobywał się z otchłani snu. Nagle pojął, gdzie jest i co tak dzwoni. W ciemności zaczął macać ręką w poszukiwaniu stojącego na nocnej szafce aparatu, ale Millie była szybsza.

– Tak...? Kto mówi...? – I nauczona wieloletnim doświadczeniem wymamrotała: – Chwileczkę, zobaczę, czy jest w domu.

Przyłożyła słuchawkę do poduszki i szepnęła do męża:

– To oficer dyżurny z Langley, Jack. Jesteś czy cię nie ma?

– A gdzie mam być w środku nocy, jak nie w łóżku z własną żoną? – wychrypiał Jack, wynurzając się ostatecznie z sennych odmętów. Po omacku przesunął dłoń wzdłuż ramienia Millie, żeby namacać telefon. Podniósł słuchawkę i warknął: – Tu McAuliffe. O co chodzi?

Zupełnie już rozbudzony, usiadł prosto na łóżku i przytknął słuchawkę do drugiego ucha.

– Chryste Panie, kiedy...?! W porządku, wyślij natychmiastową do placówki w Moskwie... Niech nie wychodzą na miasto, dopóki sytuacja się nie ustabilizuje. Nie chcemy, żeby zginął ktoś z naszych. Podpisz moim nazwiskiem. Kolejna sprawa: jak najszybciej skontaktuj się z Ebbitem... Pływa na jachcie „Dzentelmeni Wojacy”, gdzieś u wybrzeży Nantucket... Zawiadom Straż Przybrzeżną, jeśli go nie namierzysz przez radio... Zawiadom też DD/O, Manny’ego Ebbitta. Powiedz mu, żeby pojechał prosto do centrum operacyjnego. Będę tam za trzy kwadransy. Wtedy postanowię, czy obudzimy prezydenta, czy poczekamy do porannej odprawy.

Jack zapalił lampę. Nagła jasność oślepiła go na chwilę tak, że musiał zasłonić oczy ręką.

– Zaczęło się – powiedział do Millie. – Leo coś pokręcił. Miało być za dwanaście dni. Wojsko zajmuje punkty strategiczne w Moskwie. Gorbaczow albo nie żyje, albo siedzi w areszcie na Krymie.

– Pojadę z tobą. Trzeba przygotować coś dla prasy... „Washington Post” wyważy nasze drzwi z samego rana, żeby zapytać, czemu nie uprzedziliśmy prezydenta o zamachu.

– A my jak zwykle będziemy udawać, że o niczym nie wiedział. – Zerknął na Millie, która wyglądała tak samo ponętnie jak w dniu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w „Cloud Club”. – Czy ktoś ci już mówił, że jesteś piękna? – zapytał.

– Ty, Jack. – Wyciągnęła rękę i przyglądała palcami jego potargane wąsy. – Powiedz mi to jeszcze raz, a może wreszcie uwierzę.

– Uwierz, bo to święta prawda. – Z westchnieniem wstał z łóżka. – Pieprzeni Ruscy – zaklął. – Jeśli ten zamach się uda, wrócą do bolszewickiej ery kamienia łupanego.

Tessa leżała zwinięta na kanapie w salonie i nie obudziła się ani na dźwięk budzika, ani na odgłos spuszczonej wody w toalecie i bulgotania w rurach. W końcu otworzyła jedno oko, kiedy do jej nozdrzy doleciał zapach parzonej kawy.

– Wstawaj i zrób się na bóstwo, dziecinko! – zawołał Leo z kuchni. – Musimy być w drodze o jakiejś przyzwoitej godzinie, jeśli mamy jechać do Zagorska.

– Mogę wstać – odparła Tessa, ziewając – ale jeśli chodzi o bóstwo, nie mieści się to w moich możliwościach.

Zwiedzali wspólnie Moskwę krok po kroku (jak lubiła mawiać Tessa), wszystkie zakamarki Kremla, cerkiew Świętego Bazylego, labirynt korytarzy w GUM-ie, monastyr Nowodziewiczy, Muzeum Puszkina i cmentarz (gdzie Manny Ebbitt został zwinięty dokładnie siedemnaście lat temu). Popołudniami, gdy ukośne promienie słońca otulały miasto łagodną poświatą, szli nad rzekę albo na Sadowe Kolco. Leo w wieku sześćdziesięciu czterech lat zdawał się mieć nieskończone zapasy energii; to trzydziestosiedmioletnia Tessa poddawała się i pytała, czy nie mogliby trochę skrócić tych wycieczek.

– Jeszcze trzy dni – mówił teraz Leo, smarując odgrzaną bułeczkę masłem (wszystkie zakupy robił w specjalnym sklepie KGB, gdzie półki aż uginały się od towaru).

– Przecież jeszcze tu wrócę, tatusiu.

– Na pewno?

– Wiesz, że tak. Może następnym razem przekonam Vanesę... – urwała w pół zdania.

– Bardzo bym tego chciał – powiedział cicho Leo. – Bardzo.

W pokoju zadzwonił telefon i Leo wstał, żeby go odebrać. Tessa słuchała, jak rozmawia z kimś po rosyjsku podniesionym głosem, gdy za oknem rozległ się gardłowy pomruk. Rozsunęła zasłony i wyjrzała na ulicę. Ujrzała najbardziej przerażający widok w swoim życiu: po bulwarze Frunzeńskim toczyła się długa kolumna olbrzymich czołgów.

Leo prawie krzyczał do telefonu.

– A co z pierwszym września, na miłość boską?! Dwanaście dni wcześniej i plany Torritiego można wyrzucić na śmietnik!

Na ulicy czołgi dzieliły się na mniejsze formacje i rozjeżdżały w różnych kierunkach. Dwa pozostały za skrzyżowaniem i kręciły lufami, jakby szukały celu.

– Skąd wiedzą, że Jelcyn uciekł do Swierdłowska? – denerwował się Leo. – Bez Jelcyna siły demokratyczne będą pozbawione przywódcy. – Wracając do kuchni, usłyszał warkot silników na bulwarze i stanął obok Tessy przy oknie.

– Co się dzieje, tatusiu? – spytała z niepokojem.

Pokręcił z niesmakiem głową, obserwując sceny rozgrywające się na ulicy.

– Pucz się rozpoczął – powiedział.

Uwagi Tessy nie umknął fakt, iż jej ojciec jest bardzo dobrze poinformowany.

– Kto przeciw komu się buntuje?

– KGB, część armii oraz kręgi powiązane z przemysłem zbrojeniowym chcą się pozbyć Gorbaczowa i cofnąć zegar.

Tessa wyjęła z płóciennej torby aparat marki „Nikon”, swoją ulubioną trzydziestkępiątkę, zamocowała obiektyw teleskopowy i zrobiła kilka zdjęć dwóch czołgów na skrzyżowaniu. Wokół obu maszyn zebrał się spory tłumek porannych przechodniów, którzy wyklócali się o coś zawzięcie ze stojącymi w otwartych włączach żołnierzami.

– Hej, chodźmy tam – powiedziała Tessa, wrzucając parę rolek filmu i aparat do torby.

– Najrozsądniej będzie zostać w domu.

– Tatusiu, pracuję dla amerykańskiej gazety. Nie mam zamiaru się chować, skoro tam dokonuje się prawdziwy zamach stanu.

Leo ponownie wyjrzał przez okno; on również chciał zobaczyć, co się dzieje.

– No cóż, dopóki nikt nie strzela, chyba możemy się temu przyjrzeć z bliska.

Wyszli na zalany sierpniowym słońcem bulwar. Moskwianie coraz tłumniej wylegali na ulice swojego miasta. Na rogach potworzyły się grupki, wszyscy wymieniali się najnowszymi informacjami. Najwięcej ludzi zebrało się wokół stojących na skrzyżowaniu czołgów. Studenci, obładowani plecakami pełnymi książek, kopali w gąsienice, wołając: „W tył zwrot i jazda z powrotem do koszar!”

– Musimy wykonywać rozkazy – tłumaczył się młody oficer, ale został zakrzyczany.

– Jak można strzelać do swoich? – pytała młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

– No, odpowiedzcie, słuchamy – wtrąciła zaczepnie jakaś *babuszka*.

– Słuchamy, słuchamy! – podchwycili inni.

Stary człowiek pogroził laską w stronę czołgów.

– Wstyd! Przynosicie wstyd rodzicom, którzy was wychowywali! – zawołał ochrypłym głosem.

– *Pozor! Pozor!* – skandował tłum.

– Hańba! Hańba każdemu, kto strzela rosyjskimi kulami do rosyjskich obywateli! – krzyknął ktoś inny.

– Do nikogo nie strzelamy – uspokajał bezradnie dowódca, wyraźnie wstrząśnięty reakcją rodaków.

Tessa krążyła wokół, robiąc co chwila zdjęcia oficerowi i wygrażającym pięściami studentom. Zmieniła film w aparacie i ciągnąc ojca za łokieć, ruszyła w stronę Kremla. Na kolejnym skrzyżowaniu żołnierze z kałasznikowami otoczyli dwie ciężarówki i łazik. Trzy dziewczyny w krótkich letnich spódniczkach, powiewających wokół nagich ud, włożyły ku uciechu gapiów róże w lufy karabinów. Na kremlowskiej wieży widać było żołnierza, który ścigał w dół trójkolorową rosyjską flagę, a na maszcie wciągał czerwony sztandar z sierpem i młotem.

Brodaty mężczyzna na wózku inwalidzkim patrzył na to z twarzą zalaną łzami.

– Myśleliśmy, że będziemy świadkami końca komunizmu – żalił się każdemu, kto przechodził obok niego.

Kilkunastoletni chłopak na rolkach ustawił przenośne radio na ulicznym hydrancie i podkręcił głośność. Wokół stłoczyła się gromada ludzi, bo z odbiornika rozległ się wyraźny głos Borysa Jelcyna: „...żołnierze i oficerowie armii, KGB i oddziałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych! W tej trudnej chwili pamiętajcie, że składaliście przysięgę, iż nigdy nie użyjecie broni przeciwko swemu narodowi. Dni spiskowców są policzone.

Legalnie wybrane władze nadal sprawują rządy w Białym Domu. Rosjanie! Wycierpiełście wiele, ale już wkrótce odzyskamy wolność, wywalczoną z takim trudem. Żołnierze! Wierzę, że w tej tragicznej godzinie podejmiecie właściwą decyzję i nie splamicie honoru armii krwią niewinnych”.

Leo odciągnął córkę na bok i wydyszał:

– Jelcyn nie uciekł do Swierdłowska! Nadaje z Białego Domu... Jeszcze nie wszystko stracone.

– Co to jest Biały Dom, tatusiu?

– Budynek rosyjskiego parlamentu nad rzeką Moskwą.

– Chodźmy tam.

Nie tylko Tessa wpadła na tę myśl.

– Do Białego Domu! – wykrzyknęła z zapałem jakaś dziewczyna, uczesana w koński ogon.

Dziesiątki ludzi popłynęły w stronę Arbatu i dalej, na most Kalinina. Z bocznych uliczek wciąż wylewały się strumienie ludzi, dołączając do pochodu, którego uczestników można już było liczyć na setki. Gdy w oddali zamajaczył potężny biały gmach parlamentu, były ich tysiące. Leo, unoszony przez prący naprzód tłum, miał wrażenie, iż porwał go ogromny wir wodny. Chwilami czuł, że traci grunt pod nogami. Nagle walka w obronie Jelcyna i Białego Domu – ostatniego bastionu rosyjskiej demokracji – wydała mu się jakąś świętą misją, która odkupi całe jego życie, stracone w służbie dla Związku Radzieckiego.

W Białym Domu weterani wojny afgańskiej, ubrani w stare, wytarte mundury, uzbrojeni we wszystko, co było pod ręką – kilka cudem znalezionych pistoletów, noże kuchenne, skarpetki wypełnione piaskiem – instruowali studentów, jak się wznosi barykady. Niektórzy przewracali samochody i autobusy, inni powalali drzewa lub taszczyli wanny

skradzione z pobliskiej budowy, jeszcze inni podważali łomami kocie łby. Wokół gmachu ustawiło się półkolem dziesięć czołgów gwardii tamańskiej. Siedzący na nich żołnierze, paląc papierosy, obserwowali poczynania obrońców, ale nie interweniowali. Parę minut po tym, jak dzwony w mieście obwieściły południe, z gorącego asfaltu podniosła się radosna wrzawa, przybierając stopniowo na sile niby głośny pomruk podziemnego wulkanu przed wybuchem.

– Popatrz! – zawołał Leo, wskazując na wejście do parlamentu.

Na najwyższym stopniu schodów ukazała się zwalista postać wysokiego mężczyzny z siwiejącą czupryną. Ręce miał wyciągnięte nad głową, palce ułożone w zwycięskie „V”.

– To Jelcyn! – Leo krzyknął córce do ucha.

Tessa wdrapała się na maskę samochodu i zrobiła kilka zdjęć, potem łokciami utorowała sobie drogę w tłumie. Leo ruszył za nią.

Jelcyn zszedł po schodach Białego Domu i wspiął się na T-72 z numerem 110 na wieżyczce. Tłum zamilkł. Dziennikarze wyciągnęli mikrofony, żeby nagrać każde słowo prezydenta.

– Obywatele Rosji! – zawołał Jelcyn potężnym głosem, który niósł się daleko ponad głowami demonstrantów. – Chcą obalić legalnie wybranego prezydenta. Mamy do czynienia z prawicowym, antykonstytucyjnym zamachem stanu. Dlatego oświadczam, że wszystkie decyzje i dekryty tak zwanego Komitetu Stanu Wyjątkowego są nielegalne.

Przemówienie przyjęto burzą oklasków. Jelcyn zeskoczył z czołgu i porozmawiał krótko z jednym z oficerów gwardii tamańskiej, który ku ogólnemu zdumieniu zaszalutował z szacunkiem. Prezydent, z rozpromienioną twarzą, wkroczył z powrotem na schody. Ludzie poklepywali go po plecach i ściskali mu ręce, wyrażając swoje uznanie

i poparcie. Kiedy zniknął w budynku, czołgi zadudniły nagle i plując kłębamii czarnych spalin, odwróciły lufy od gmachu parlamentu. Z tłumu podniósł się okrzyk radości, gdy demonstranci pojęli, że tamańscy czołgiści, poruszeni przemową Jelcyna, przeszli na stronę obrońców Białego Domu.

Z upływem dnia kolejne tysiące moskwian napływały na plac przed budynkiem parlamentu. Według szacunków podawanych w radiu zgromadziło się tam najpierw piętnaście, potem dwadzieścia, a w końcu dwadzieścia pięć tysięcy osób. Tamańscy oficerowie i weterani wojny w Afganistanie próbowali zaprowadzić ład w szeregach „kontrrewolucjonistów”, jak nazwała ich ulica. Barykady stawały się coraz wyższe, szersze i mocniejsze. Na miasto wyjechali zwiadowcy – studenci na motocyklach, którzy mieli rozkaz meldować o każdym ruchu wrogich oddziałów. Kobiety, wśród nich wiele prostytutek, pracujących w podziemnych pasażach w okolicach Kremla, taszczyły kartony z żywnością i pićm i rozdawały ich zawartość demonstrantom, własnym ciałem blokującym drogi dojazdowe do Białego Domu.

W pewnym momencie Tessa zauważyła anteny na dachu jednego z budynków.

– Myślisz, że telefony nadal działają? – zapytała.

Leo spojrział w górę.

– Satelitarne połączenia pewnie tak.

– Gdybym dostała się do telefonu, mogłabym zadzwonić do Waszyngtonu i przekazać moim wydawcom relację z pierwszej ręki. To bardzo ważne, żeby świat wiedział, co tu się naprawdę dzieje.

Leo natychmiast dojrzał plusy tego pomysłu.

– Warto spróbować.

Przepychając się przez tłum, dotarli do bramy numer 22, strzeżonej przez zaprawionych w bojach weteranów z Afganistanu, uzbrojonych w dwa karabiny maszynowe i kilka pistoletów. Jeden z wartowników obserwował przez lornetkę hotel po drugiej stronie ulicy.

– Uwaga! Snajperzy w górnych oknach! – krzyknął.

Leo pospiesznie zaczął tłumaczyć im po rosyjsku, że towarzysząca mu młoda kobieta jest amerykańską dziennikarką. Żołnierz, zerknąwszy na legitymację Tessy, machnął niecierpliwie ręką i wpuścił ich do środka.

Wewnątrz kurierzy biegali we wszystkie strony, roznosząc wiadomości. Sekretarki pchały przed sobą wózki, wyładowane koktajlami Mołotowa i podartymi na pasy prześcieradłami, które miały służyć za bandaże. Młodzi agenci z prywatnych firm ochroniarskich uczyli studentów obsługi kałasznikowów. W pokoju na drugim piętrze, w końcu korytarza, na wprost centrum dowodzenia Jelcyna, Leo i Tessa natknęli się na kobietę, która rozsyłała faksem do organizacji partyjnych, fabryk i władz lokalnych w całym kraju orędzie prezydenta, potępiające pucz. Leo wyjaśnił jej, że amerykańska dziennikarka musi skorzystać z telefonu, aby opowiedzieć światu historię kontrrewolucji. Kobieta zaprowadziła ich do małego gabinetu z telefonem na biurku.

– To linia satelitarna – powiedziała do Tessy po angielsku. – Jak dodzwonisz się do Ameryki, nie przerywaj połączenia. Kiedy nas zaatakują, zabarykaduj się i opowiedz całemu światu, co się tu dzieje.

Odwróciła się i niewidzącym wzrokiem popatrzyła w przestrzeń za oknem.

– Nigdy nie lubiłam lata – westchnęła po rosyjsku. – A teraz przekonałam się, że miałam rację. – Spojrzała na Leo. – Jak się nazywacie?

– Kritzky – odparł. – A to moja córka.

– Azalia Izanowna Lebowitz. Atak może się rozpocząć w każdej chwili. Brakuje nam ludzi do ochrony gabinetu Jelcyna. Chcecie się zgłosić na ochotnika?

– Oczywiście.

Leo zostawił Tessę, która właśnie wykręciła numer redakcji, i ruszył korytarzem do podwójnych drzwi, prowadzących do centrum dowodzenia. Dobiegał stamtąd nieustanny gwar rozmów. Telefony dzwoniły bez przerwy, a od czasu do czasu odzywał się donośny głos Jelcyna, rozchodzący się echem po sąsiednich pomieszczeniach.

– Szef ukraińskiego KGB, Gołuszko, dzwoni, żeby powiedzieć, że nie popiera zamachu! – zawołał.

Ze stojącej na podłodze skrzyni Leo wybrał sobie kałasznikowa i kilka pasów amunicji, po czym dołączył do zwalistego mężczyzny z AK-47 w potężnych dłoniach.

– Wiesz, jak się z tym obchodzić? – zapytał tamten.

– Nie bardzo – odparł Leo.

– Pokażę ci. To nie takie skomplikowane. Wsuwasz magazynek, aż usłyszysz głośnie kliknięcie. Jeśli chcesz strzelać, musisz umieścić pierwszy pocisk w komorze. Potem trzeba już tylko wycelować i pociągnąć za spust. Ustawiasz na ogień pojedynczy, bo jak wypuszczasz całą serię, strasznie rzuca. Chwytasz?

– Umieścić pierwszy pocisk w bębunku, wycelować, pociągnąć za spust. Mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

– Szkoda, że sukces kontrrewolucji zależy od takich jak my. – Wyciągnął rękę. – Rostropowicz, Mścisław – przedstawił się i lekko skłonił.

Leo uściskał dłoń rosyjskiego wiolonczelisty światowej sławy.

– Kritzky, Leo – powiedział.

– Wszystko sprowadza się do tej chwili i do tego miejsca. To walka o lepszą Rosję – zauważył Rostropowicz.

Leo kiwnął głową. Obaj odwrócili się plecami do ściany i zaczęli pilnie obserwować ruch na korytarzu.

Harvey Torriti – wciśnięty w aluminiowe składane krzesło ogrodowe w odkrytym solarium na dachu hotelu „Ukraina” – z jedną pustą i jedną pełną butelką szkockiej w zasięgu ręki, cieszył oko wydarzeniami, rozgrywającymi się na ulicach wokół Białego Domu na przeciwległym brzegu rzeki. Tego samego popołudnia, zanim wszedł do windy i pojechał na dwudzieste ósme piętro, skąd musiał jeszcze podejść kawałek schodami – co stanowiło dla niego tak wielki wysiłek, iż obiecał sobie, że zacznie znowu palić, bo i tak na jedno wychodzi – wymienił swój zegarek marki „Swatch” na lornetkę z wyposażenia Armii Sowieckiej. Odkąd słońce, znizywszy się nad horyzontem, zniknęło za mgiełką przemysłowych dymów, moskiewskie powietrze od razu zrobiło się bardziej rześkie, a miasto rozbłysło milionem świateł; wszystko dokoła tchnęło względnym spokojem. Dopiero gdy Czarnoksiężnik spojrział przez lornetkę, krajobraz wydał mu się groźniejszy. Dozorca w recepcji na dole niezbyt orientował się w tym, co działo się na zewnątrz. Pewno jakieś ćwiczenia wojskowe, zgadywał. Z pewnością nic, czym należałoby się przejmować. Przecież Rosja to cywilizowany, praworządny kraj. A co to za tłum przed tym białym budynkiem po drugiej stronie rzeki? – zapytał Torriti. Emerycy psioczą na inflację, wyjaśnił dozorca z pogardliwym machnięciem ręki.

Emerycy psioczący na inflację – jakieś pięćdziesiąt tysięcy, jeśli wierzyć brytyjskim dziennikarzom w holu – przygotowywali się do spędzenia nocy pod białym budynkiem. Przez swoją nową lornetkę Torriti widział, jak zbijają się w grupki wokół płonących wszędzie ognisk. Blask płomieni

oświetlał ciemne sylwetki, które pracowicie znosiły deski, ławki i pękate piecyki, rzucając je na i tak już pokaźnych rozmiarów barykady.

Czarnoksiężnik otworzył ostatnią butelkę szkockiej i łyknął strzemiennego, chociaż nie miał zamiaru nigdzie wyruszać. Wstyd i hańba – jeszcze parę dni i jego podobny do gnoma przyjaciel Rappaport, wraz ze swymi ujgurskimi aniołami stróżami, wykonałby wyrok, który Torriti podpisał na dziesięciu przywódców powstania. Żadnych spiskowców, żadnego puczu. Zastanawiał się, co ich skłoniło do przyspieszenia terminu. Prawdopodobnie nigdy się nie dowie. Co tam, do diabła... raz na wozie, raz pod wozem. Tak czy owak, zawsze na jedno wychodzi.

Ponownie przyłożył lornetkę do zaczerwienionych oczu. Niedaleko Kremla, na Worobjowych Górach, wzdłuż szerokich bulwarów widocznych z dachu hotelu „Ukraina”, ciągnęły się w różnych kierunkach długie sznury świateł. „Czołgi” – wymamrotał pod nosem. Ciekawe, gdzie jest w tej chwili Leo Kritzky? Pewnie zamknął się w swoim mieszkaniu, czekając, aż burza się przetoczy. Czarnoksiężnikowi przemknęło nagle przez myśl, że tu, na dachu, może nie być tak całkiem bezpiecznie... Pamiętał, co Ebbitt opowiadał o sowieckich czołgach atakujących Budapeszt w 1956 roku – ostrzeliwały niższe piętra, żeby wyższe kondygnacje same się zawaliły... Początek ich znajomości w Berlinie nie należał do udanych – Jezu, toż to było wieki temu! – ale potem okazało się, że z Ebbitta też był niezły zawodnik. A wracając do sowieckich czołgów... Ebbitt wiedział, co mówi, oglądał pogrom w Budapeszcie na własne oczy. Zresztą jeżeli nawet zaatakują, to na pewno nie hotel „Ukraina”, za dużo tu zagranicznych gości. Raczej już ten biały budynek po drugiej stronie. Poza tym są za daleko, nie doniesie... Musiałyby przejechać po ludziach, którzy blokują ulice.

Czy generałowie i spiskowcy z KGB spuszczą nieco z tonu, gdy przyjdzie do rozlewu sowieckiej krwi? Czy demonstranci na ulicach złamią

się i zaczną uciekać, jeżeli w mieście zrobi się gorąco?

Gdzieś z dołu, spod białego budynku, dobiegał niewyraźny pomruk. Torriti wstał z krzesła i podszedł do barierki. Słowa tężały w powiewach chłodnego powietrza, napływającego znad rzeki. *Ross-coś tam. Rossija!* Tak, to było to. *Rossija! Rossija!* – niosło echo po ulicach. *Rossija! Rossija! Rossija!*

Torriti podrapał się grubymi paluchami po pośladkach. Na walkę z tą *Rossiją* zmarnował najlepsze lata swego życia. I proszę, siedzi tu sobie teraz, popija napoje wysokowe na moskiewskim dachu i trzyma za nią kciuki, by przetrwała.

Kto by pomyślał!

Azalia Izanowna padała z nóg. Nie licząc krótkich drzemek na kanapie, większość czasu spędzała przy brzęczących kserokopiarkach, rozsyłając oświadczenia Jelcyna, które piętnowały pucz nie tylko jako akt niezgodny z prawem, ale wręcz zgubny dla ojczyzny. Grad faksów, zalewający rozległe radzieckie imperium aż po jego najodleglejsze krańce, zaczynał odnosić rezultaty. Od lokalnych organizacji partyjnych napływały deklaracje lojalności wobec legalnie wybranych władz. Kołchozy z rejonu Kaukazu, regionalne dumy z Azji Centralnej, nawet koła weteranów z Kamczatki wyrażały swoje poparcie dla rządu i prezydenta. Jelcyn nie posiadał się z radości, gdy Aza powiedziała mu, że na głównym placu Swierdłowska zebrało się sto tysięcy ludzi, aby potępić organizatorów puczu. Teraz, gdy mijala już druga noc zamachu stanu, a wojna nerwów trwała, pogłoski rozprzestrzeniały się po mieście w szalonym tempie. Mówiono, że jednostki pancerne dostały rozkaz zejścia z Worobjowych Gór i oczyszczenia dróg dojazdowych do Białego Domu. Ktoś widział, jak żołnierze elitarnych oddziałów KGB wsiadali do śmigłowców w wojskowej

bazie lotniczej pod Moskwą. Przewodniczący KGB Kriuczokow zebrał podobno swoich popleczników w sali konferencyjnej na Łubiance i nakazał im zdławić kontrrewolucję w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Podczas jednej z nielicznych chwil spokoju – była to druga noc puczu – Aza opuściła na kilka minut swój posterunek przy kserokopiarkach i podeszła do otwartego okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Z wysokości drugiego piętra patrzyła na koczujących pod Białym Domem demonstrantów, którzy w ciągu dnia zgromadzili dość połamanych mebli, żeby podtrzymać ogniska przez kolejną długą noc. Wierni Jelcynowi urzędnicy rządowi średniego szczebla podchodzili do mikrofonu, ustawionego na prowizorycznym podium, i przemawiali, chcąc dodać otuchy kontrrewolucjonistom. Wśród nich Aza dostrzegła Jewgienija Jewtuszenkę. Przejmujący głos poety, znany każdemu Rosjaninowi, popłynął z głośników umieszczonych na latarniach dookoła placu. *Niet!* – zawołał.

*Nikt nie rzuci już Rosji na kolana,
nie zmusi jej, by znowu trwała tak przez wieki.
Z nami są Puszkin i Tołstoj.
Z nami jest naród, który wreszcie zbudził się ze snu.
A rosyjski parlament,
niczym ranny alabastrowy łabędź wolności,
broniony przez naród,
płynie ku nieśmiertelności.*

Zanim umilkły owacje, w pokoju zadzwonił telefon, który Aza schowała do szuflady biurka. Przekreśliła kluczyk, otworzyła szufladę i podniosła słuchawkę.

– Oczywiście, że to ja. – Odetchnęła. – Tylko ja odbieram ten telefon... Dla mnie nic się nie zmieniło. Jak dzwonisz, serce bije mi tak mocno, że nie da się tego opisać. Martwię się tylko, żeby ktoś cię nie przyłapał na rozmowie ze mną... Tak bym chciała, kochanie, żeby już było po wszystkim... Tak, tak, całym sercem i całą duszą, tak... Kiedy?... Jesteś pewien, że to jeszcze nie szturm, że to tylko rekonesans?... I nic nie podejrzewają?... Będę się modlić, żeby to była prawda. Proszę, bądź ostrożny. Dzwon, kiedy będziesz coś wiedział, ale nie częściej. Uważaj na siebie... Oby tak było... Rozłącz się już, błagam cię... Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko... Nie teraz, później. Cześć.

Aza, wbrew sobie, przerwała połączenie. Przez dłuższą chwilę stała, wsłuchana w urywany sygnał. Potem westchnęła i ruszyła korytarzem do centrum dowodzenia. Borys Nikołajewicz, z rozczochranymi włosami, z czerwonymi, zapuchniętymi z niewyspania oczyma, krążył tam i z powrotem po swoim gabinecie, dyktując wyczerpanej sekretarce kolejne oświadczenie. Spozrzegłszy Azę, przerwał w połowie zdania. Odciągnęła go na bok i w skrócie zrelacjonowała mu wszystko, czego dowiedziała się od Jewgienija. Jelcyn wezwał do siebie jednego z weteranów wojny w Afganistanie i przekazał mu te informacje. Oficer pospieszył do stołówki na pierwszym piętrze, przekształconej teraz w sypialnię – na rozłożonych na podłodze kocach sypiali na zmianę ludzie pełniący straż w Białym Domu i przy bramach. Jedna grupa schodziła właśnie ze służby. Zatrzymał ich i zapoznał z sytuacją: trzy T-72 dostały rozkaz sforsowania barykady przy Sadowym Kolcu, żeby sprawdzić, jak wielka jest determinacja obrońców. Trzeba im pokazać, że ludzie wierni Jelcynowi są zdecydowani stawić opór. Czy ktoś zgłasza się na ochotnika? – zapytał. Ręce podniosło siedmiu studentów, sześciu weteranów i starszy mężczyzna, który pilnował centrum dowodzenia.

Ochotnicy upchnęli po kieszeniach zapasowe magazynki, wzięli kilka skrzynek z koktajlami Mołotowa, zarekwierowali trzy taksówki z podziemnego garażu i przedarłszy się przez tłumy na placu, ruszyli w miasto. Zjechali z Arbatu na obwodnicę i zatrzymali się przy barykadzie. Do północy zostało już tylko pół godziny i większość obrońców odeszła, żeby choć trochę się przespać. Pozostała jedynie garstka studentów, z czego połowę stanowiły kobiety. Oficer rozdał koktajle Mołotowa, po dwa na każdego, i wyznaczył pozycje po obu stronach ulicy.

O północy pojawiły się trzy duże czołgi z osłoniętymi światłami. Toczyły się w stronę barykady, miażdżąc gaśnicami chodniki. Kiedy stanęły naprzeciw obrońców, którzy ukryli się w bocznych uliczkach, dowódca gwizdnął głośno. Z ciemności wyłoniły się czarne postaci, trzymające w rękach butelki z zapalonymi lontami. Czołgiści musieli dojrzeć ich przez noktowizory, bo natychmiast otworzyli ogień z broni maszynowej, ścinając z nóg dwóch studentów. Bojownicy ostrzeliwali się zawzięcie, osłaniając kolejnych śmiazków. Jeden z nich cisnął koktajl Mołotowa prosto pod gaśnicę jadącego na przodzie wozu, który skręcił gwałtownie i uderzył w hydrant – artylerzysta zawisł bezwładnie na wieżyczce, a milczące teraz działko przekreśliło się ze zgrzytem. Drugi z ochotników wspiął się na czołg i wrzucił coś w otwór wjazdu. Nagły blask płomieni oświetlił jego wyprostowaną sylwetkę. „Uciekaj!” – krzyknął oficer. Tamten odwrócił się, chcąc zeskoczyć z płonącego czołgu... Za późno. Kula trafiła go prosto w pierś. Po chwili rozległ się huk eksplozji. Martwe ciało uderzyło o bruk, pogrzebane pod szczątkami rozerwanego wybuchem czołgu. W ciszy, jaka potem nastąpiła, dał się słyszeć pomruk silników. Czołgi wycofywały się z wolna, oddalając od płonącego wraku. Znad barykady podniósł się w niebo okrzyk zwycięstwa.

Ochotnicy zabrali ciała trzech zabitych towarzyszy i zanieśli je do Białego Domu. Zapłakane kobiety obmyły zwłoki z krwi i złożyły je na prowizorycznym katafalku, ustawionym na dziedzińcu przed bramą i przybranym kwiatami doniczkowymi. Weterani wojenni, zdjawszy czapki z głów, oddali cześć poległym. Pop w czarnych szatach odmówił modlitwę za zmarłych i każdemu z nich położył na sercu drewniany krzyżyk.

Tessa, z głową opartą na biurku, spała kamiennym snem, gdy Azalia Izanowna potrząsnęła ją lekko za ramię.

– Zaczęło się? – spytała Tessa na widok zalanej łzami Azy.

– Twój ojciec...

– Co z nim?

– Zaatakowali barykadę na obwodnicy... trzy czołgi... Grupka ochotników postanowiła je zatrzymać... jeden zniszczyli... Wysoka cena... trzech naszych zginęło. Twój ojciec był wśród nich.

Tessa była zbyt ogłuszona, żeby płakać.

– Muszę go zobaczyć – wyszeptała.

Aza wzięła ją za rękę i wyprowadziła na dziedziniec. W tłumie zalegającym pogrążony w ciemności plac panowała kompletna cisza, gdy Tessa klękała przy ciele swego ojca. Z początku bała się go dotknąć, przepełniona irracjonalną obawą, że może sprawić mu ból. Pierś Leo była zapadnięta, jakby przygniótł ją jakiś wielki ciężar. Zmiażdżona stopa, wykręcona pod nienaturalnym kątem, zwisała bezwładnie. Zapuchnięta, szara twarz postarzała się w ciągu ostatniej doby o co najmniej dziesięć lat. Na zamkniętych powiekach widniały resztki zaschniętej krwi. A jednak... jednak w udręczonych oczach Tessy wyglądał tak, jakby w końcu odnalazł spokój.

Zdjęła z jego piersi krzyżyk i wręczyła go księdzu.

– Widzi pan, on nie był chrześcijaninem – powiedziała. – Ani żydem. Był... – jej głos zadrżał; poczuła nagle, że powinna ofiarować mu jakieś epitafium. – Był człowiekiem honoru, który robił to, co uważał za słuszne.

Podczas jednej z przerw w nocnych posiedzeniach w kwaterze głównej Kriuczkowa na Łubiance Jewgienij zszedł do bufetu na kanapkę i piwo. W drodze powrotnej do sali konferencyjnej minął otwarte drzwi gabinetu, w którym kapitan KGB prowadził nasłuch pirackiej stacji radiowej, nadającej z Białego Domu. Spikerka odczytywała właśnie najnowsze oświadczenie Borysa Jelcyna. W połowie zdania przerwała, żeby podać wiadomość z ostatniej chwili – we wczesnych godzinach rannych doszło do starć pomiędzy siłami wiernymi Komitetowi Stanu Wyjątkowego i kontrrewolucjonistami Jelcyna. Kapitan podkreślił głośność i zapisał coś w notesie. Jewgienij, z kanapką w ręku, podszedł bliżej.

– ...bojownicy odparli atak trzech czołgów, które próbowały przedostać się przez barykadę na Sadowym Kolcu. Jeden z czołgów został zniszczony, ale obrońcy zapłacili za to wysoką cenę. Trzech z nich oddało w tej walce życie. Oddajmy honor i cześć bohaterom: Dymitrowi Komarowi, Ilji Kriczewskiemu i Leonowi Kritzky'emu...

Jewgienij, ogłuszony, zapytał:

– Powiedziała „Kritzky”?

Kapitan zerknął do notatek.

– Leon Kritzky. Tak. Znacie go?

– Znam kogoś o tym nazwisku – odparł Jewgienij, próbując zebrać myśli – ale nie Leona. Ten mój Kritzky nie trzyma z Jelcynem.

Wszedł do męskiej toalety i ochlapał sobie twarz zimną wodą. Pochylił się, dotykając rozpalonym czołem chłodnej tafli lustra. Dlaczego? Skąd Leo

wziął się w Białym Domu? On, który przez trzydzieści lat służył komunistom?! Przecież miał zamknąć się u siebie... Po jaką cholere włóczył się po ulicach? Co mu strzeliło do głowy, żeby na stare lata bawić się w bohatera?

Ironia tej śmierciomal nie zwała Jewgienija z nóg. Wyprostował się z trudem, spojrzął na własne odbicie w lustrze i zobaczył maskę pośmiertną. W nagłym przebłysku świadomości podjął decyzję.

Już wiedział, co powinien teraz zrobić.

Zbiegł do garażu, odszukał swój samochód i ruszył przez opustoszałe miasto do kliniki KGB. Stanąwszy przed wejściem, nad którym widniał niegdyś złoty, a dziś już mocno wytarty wizerunek sierpa i młota, pchnął obrotowe drzwi i zdecydowanym krokiem wszedł do pustego o tej wczesnej porze holu. Drzemiący w recepcji portier ocknął się i zsalutował.

– Nazwisko, jeśli można! – zawołał. – Muszę was wpisać do rejestru.

– Ozolin – odpowiedział Jewgienij.

– Że jak?

– O-Z-O-L-I-N.

Poruszając się jak we śnie, brnął przez dziwnie odrealniony świat szpitalnych korytarzy do drzwi izolatki, na których wisiała kartka z nazwiskiem „Żyłow, Paweł Siemionowicz”. Blask ulicznych lamp kładł się żółtawą poświatą na suficie. W pulsujących ciemnościach słyhać było jednostajny pomruk pompki elektrycznej i ciężki oddech widmowej postaci, spoczywającej na żelaznym łóżku. Jewgienij zerknął na bielejącą w półmroku tabliczkę z historią choroby. „Bóle w klatce piersiowej, spowodowane przerostem mięśnia sercowego”, przeczytał. Podszedł bliżej i spojrzął w dół na wychudłe, podobne do szkieletu ciało, okryte poplamioną moczem kołdrą. Kroplówka z lekarstwem przepływała do

cewnika z cichym bulgotaniem, jakby w gardle chorego pękały setki małych pęcherzyków powietrza.

A więc tak wyglądał Tołstoj, konając na drewnianej ławce na stacji w Astapowie. Biała, strzępiasta broda, zlepiona flegmą i wyplutą krwią, trzęsa się, gdy bezgłośnie poruszał otwartymi ustami, a struchlały naczelnik stacji, Ozolin, pochylał się nad nim i modlił, żeby ta słynna skamielina człowieka pożyła jeszcze trochę i umarła gdzie indziej. Dziadek poruszył się z jękiem. Wyczuł chyba czyjaś obecność, bo wyciągnął kościste palce i zacisnął je na nadgarstku Jewgienija.

– Proszę – wystękał na wół sparaliżowanymi wargami. – Powiedz mi... czy gra skończona?

– Włożyłeś wiele wysiłku, żeby toczyła się dalej, Pawle Siemionowiczu... ale nic z tego. To już koniec. Przegrywasz.

Dziadek podniósł się na łokciu i wbił obłąkany wzrok w obłazącą z farby ścianę.

– Widziałeś to?! – krzyknął.

– Co?

– Czerwoną Królową! Biegnie przez las, gdzie rzeczy nie mają imion. Prędkiej! Prędkiej! Zanim cię złapie! – Wyczerpany opadł na materac.

Jewgienij sięgnął na półkę nocnego stolika, wymacał sznur, łączący pompkę z baterią, i jednym szarpnięciem wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Jednostajny pomruk ustał nagle.

Za chwilę płuca Dziadka zaczną z wolna wypełniać się płynem. Zanim przyjdzie pielęgniarz z rannej zmiany, Pasza Siemionowicz Żyłow będzie od dawna martwy. Teraz bredzi coś jeszcze o Czerwonej Królowej, a za każdym słowem, gdy na próżno usiłuje schwytać powietrze, z jego piersi wydobywa się metaliczne rżenie.

Jewgienij, krok za krokiem, cofał się, odchodząc od tonącego człowieka, aż przestał słyszeć jego głos. Potem odwrócił się i wybiegł z kliniki. Miał jeszcze parę rzeczy do zrobienia, nim podda się bez reszty fali słodkiego szaleństwa.

Od początku puczu Jelcyn nie zmrużył oka. Teraz, wykończony fizycznie i psychicznie, podparł brodę rękami, usiłując skupić się na słowach, wychodzących z ust mówiącej coś do niego Azy.

– Powtórz jeszcze raz, wolniej – poprosił.

Zaczęła od nowa. Dzwonił jej informator z Łubianki, donosząc, że Kriuczokow naciska, by decydujący atak nastąpił jeszcze tej nocy. Operacja nosi kryptonim „Grom”. Przed świtem demonstranci przed Białym Domem zostaną rozpędzeni przy użyciu armatek wodnych i gazów łzawiących. Następnie do akcji wkroczy elitarna jednostka KGB, wspierana przez spadochroniarzy. Komandosi opanują teren i wysadziwszy drzwi za pomocą granatników, dostaną się do wnętrza gmachu. Jednocześnie kolejne oddziały dokonają z powietrza desantu na dach. Głównym zadaniem żołnierzy będzie dokładne przeszukanie budynku i pojmanie Jelcyna, który zostanie zastrzelony podczas stawiania oporu. Jeśli operacja przebiegnie zgodnie z planem, wszystko zakończy się w ciągu paru minut.

Borys Nikołajewicz przez dłuższą chwilę w milczeniu przetrawiał zasłyszane informacje. Wymamrotał coś pod nosem o tym, jakie to szczęście mieć szpiega w samym sercu puczu. Następnie wezwał do siebie weteranów i poprosił Azę, żeby powtórzyła im wszystko od początku. Odbyli krótką, acz burzliwą naradę, po czym Jelcyn wydał odpowiednie rozkazy. Na placu wokół Białego Domu trzeba rozstawić wiadra z wodą, żeby demonstranci mogli moczyć chustki, które w razie czego posłużą im jako maski przeciwgazowe. Trzeba też wzmocnić barykady, rozdać ludziom

więcej koktajli Mołotowa i zarzucić dach meblami biurowymi, co utrudni lądowanie helikopterom. Jelcyn, wraz z najbliższymi współpracownikami, wycofa się do podziemnego bunkra i schroni za stalowymi drzwiami półmetrowej grubości.

– Płomień oporu będzie się tlił, dopóki ja żyję – powiedział znużonym głosem.

Na Łubiance, nad owalnym stołem, szalała burza mózgów. Część dowódców polowych średniego szczebla, wyznaczonych do poprowadzenia operacji „Grom”, zastanawiała się, czy taka akcja w ogóle ma sens. Z początku formułowali zastrzeżenia dość ostrożnie, zasłaniając się konsekwencjami politycznymi i regułami sztuki wojennej.

– Śmigłowce nie wylądują na dachu zastawionym górą mebli...

– A jeśli Jelcynowi uda się wymknąć?

– Słusznie! Trzeba wziąć pod uwagę najczarniejszy scenariusz... Co będzie, jeśli zginie kilka tysięcy ludzi, a samego Jelcyna nie schwytemy?

– Co będzie, jeśli wprowadzi w czyn swoje pogroźki, ucieknie w góry Uralu i stworzy tam gabinet cieni?

– A jeśli żołnierze nie zechcą strzelać do rodaków? Co wtedy?

– Albo jeszcze gorzej... zaatakujemy, a tamci zmuszą nas do odwrotu...

W miarę jak dyskusja się przeciągała, krytyka stawała się coraz ostrzejsza. Czując, że debata przybiera niekorzystny obrót, przywódcy puczu usiłowali za wszelką cenę bronić swoich racji. Dowodzili, że zaniechanie szturmu to woda na młyn kontrrewolucji; że kiedy Biały Dom upadnie, naród odwróci się od Jelcyna. Nie wolno dopuścić, żeby Jelcyn zwyciężył, bo wówczas życie spiskowców oraz tych wszystkich, którzy poparli pucz, zawiśnie na włosku.

Jeden z generałów, który wcześniej popierał atak, teraz zaczynał się poważnie wahać.

– No, nie wiem... Jak nam się nie uda, ucierpi na tym reputacja armii.

– Jak sprawy przybiorą zły obrót, ci z partyjnej wierchuszki jak zwykle wykręcą kota ogonem. Przypomnijcie sobie Afganistan... – narzekał obwieszony medalami weteran.

Magnat prasowy Uricki nie dawał za wygraną, próbując mimo wszystko przekonać dowództwo. Jeżeli Gorbaczow i Jelcyn utrzymają się przy władzy, obetną budżet sił zbrojnych i upokorzą tak niegdyś dumną Armię Radziecką. Były doradca wojskowy Gorbaczowa, marszałek Achromiejew, który przybył do Moskwy prosto z urlopu, aby przyłączyć się do puczu, twierdził, że jest już za późno na odwrót; teraz nie ma innego wyjścia, jak tylko przeciw naprzód, chociażby po to, by ocalić wiarygodność armii.

– Od wiarygodności ważniejszy jest społeczny szacunek – zauważył starszy oficer, który do tej pory nie odezwał się ani słowem. – Jeśli zaczniemy strzelać do ludzi na ulicach, życzliwość narodu dla żołnierzy wyparuje w ciągu jednej nocy.

Jeden z generałów z hałasem odsunął krzesło, wstał od stołu i ruszył do drzwi.

– Chcecie splamić armię krwią. Nigdy nie przyłożę do tego ręki.

– Kategoriecznie odmawiam wysłania moich śmigłowców do akcji – poparł go dowódca sił powietrznych, pobrzękując orderami. – Poszukajcie sobie kogoś innego.

Na oczach głównych przywódców spisek pruł się w szwach, a jego organizatorzy tonęli w powodzi wzajemnych oskarżeń. Jewgienij, który siedząc na okiennym parapecie, obserwował tę scenę, spostrzegł, że generałowie stopniowo tracili rezon. Nastroje pogarszały się z minuty na

minutę, a kiedy na stole konferencyjnym pojawiły się butelki, wszyscy rzucili się na alkohol, jakby chcieli się urznąć w trupa. Jewgienij skorzystał z zamieszania, by wymknąć się z sali i zakraść do niewielkiego gabinetu po przeciwnej stronie korytarza. Zapalił stojącą na biurku lampę z zielonym abażurem, podniósł słuchawkę i ostrożnie wykręcił numer. Usłyszawszy po drugiej stronie głos Azy, nie potrafił ukryć triumfu we własnym głosie.

– Jelcyn może spać spokojnie – powiedział. – Szturm odwołany. Nie, skądże... Byli gotowi zaryzykować, ale wojskowi nie chcieli rozlewu krwi... Myślę, że to już koniec. Bez poparcia armii nigdy nie przekonają narodu. Jelcyn wygrał... Mówiąc szczerze, ja też nie mogę w to uwierzyć. Za kilka godzin słońce wzejdzie nad nową Rosją. Od tej pory wszystko będzie inaczej... Spotkajmy się w... – Zesztywniał. Jego ucho wychwyciło jakiś dodatkowy dźwięk. – Ktoś jeszcze jest na linii? – zapytał cicho. – Nie, nie ma powodu do obaw. Musiało mi się wydawać. Spotkajmy się wieczorem u ciebie... Tak. Dla mnie też. Sprawimy, że czas zacznie płynąć wolniej, tak by każda nasza wspólna chwila trwała wiecznie.

Kiedy Aza się rozłączyła, Jewgienij na chwilę przytrzymał słuchawkę przy uchu. Minęło dwadzieścia sekund. Potem usłyszał ciche kliknięcie. Poczuł, że brakuje mu tchu. Spokojnie, tylko bez paniki... to pewnie jakieś zakłócenia na linii... może ktoś coś przełączył w centralce. Wyłączył lampkę i stał przez moment, czekając, aż oczy przywykną do mroku. Usłyszał szelest materiału, utkwiał wzrok w ciemność i nagle zdał sobie sprawę, że ktoś stoi w otwartych drzwiach.

Kobięcy głos, nabrzmiały tłumioną wściekłością, wysyczał:

– A więc to wy, Jewgieniju Aleksandrowiczu... wy jesteście zdrajcą, który wydał nas kontrrewolucjonistom.

Znał ten głos – należał do Matyldy, żony magnata prasowego Urickiego. Błysnęło górne światło i kobieta wynurzyła się z mroków, aby stanąć z nim

twarzą w twarz. W dłoni ścisnęła metalowy przedmiot, tak mały, że Jewgienijowi zdawało się, że może to być tylko szminka.

– Zorientowaliśmy się, że kontrrewolucjoniści uprzedzają każde nasze posunięcie, jakby z góry wiedzieli, co zrobimy. Mój mąż ostrzegał, że wśród nas musi być zdrajca, ale Kriuczok nie przyjmował tego do wiadomości, pewien, że Jelcyn ugnie się, gdy zrozumie, że stoi na straconej pozycji.

– Przeliczył się – stwierdził Jewgienij.

– Wy też!

Matylda postąpiła krok do przodu, uniosła w górę trzymany w rękę przedmiot i wycelowała go prosto w czoło Jewgienija. Pojął wtedy, co przez cały czas ścisnęła w dłoni i że on sam nigdy już nie spełni danej Azie obietnicy.

– Za zwycięstwo – wymamrotał – naszej beznadziejnej...

Cała Moskwa oszalała z radości. Po rozgrzanych asfaltowych uliczkach wokół Kremla długie kolumny wozów pancernych toczyły się w kierunku rogatek miasta, żegnane radosnymi okrzykami kobiet, które rzucały roześmianym żołnierzom goździki i róże. Stojący na chodnikach gapię machali do wycofujących się czerwonoarmistów, którzy z ulgą wracali do koszar.

– Dzięki Bogu, jedziemy do domu! – wołał oficer, wychylając się z otwartego wjazdu czołgu.

Przed siedzibą Komitetu Centralnego tysiące demonstrantów skandowało buntowniczo: „Precz z partią!”, „Śmierć KGB!” Aparatczycy wymykali się bocznymi drzwiami, wynosząc przy okazji wszystko, co nie było przykręcone śrubami na stałe: kserokopiarki, komputery, telewizory,

magnetowidy, klimatyzatory, lampy, krzesła. Rozeszły się pogłoski, że w budynku niszczone są dokumenty – komuniści, chcąc jak najszybciej pozbyć się dowodów winy, w panice wrzucali do niszczarek papiery razem ze spinaczami, przez co maszyny raz po raz się psuły. Kiedy z włączonego w pobliskim kiosku tranzystora popłynął głos spikera, obwieszczający wszem wobec, że Jelcyn przygotowuje dekret o zawieszeniu działalności Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, kładąc tym samym kres siedemdziesięcioczworoletniej dyktaturze bolszewików, ludzie padali sobie w ramiona i tańczyli z radości na ulicach. W parkach i na skwerach robotnicy, uzbrojeni w łomy, zwalali z piedestałów posągi sowieckich przywódców. Na wielkim placu przed Łubianką dźwig uniósł wysoko w górę olbrzymi pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Przez kilka cudownych minut, na oczach wiwatującego tłumu, okrutny Polak, który w 1917 roku stworzył Czeka – podwaliny znienawidzonego przez naród KGB – zwiślał na okręconej wokół szyi linie.

Spacerując jak we śnie ulicami przepełnionymi ludźmi, którzy świętowali zwycięstwo czegoś, co niezbyt jeszcze rozumieli, i porażkę tego, co rozumieli aż za dobrze, Aza przypadkiem stała się świadkiem tego incydentu, opisanego później w gazetach jako „egzekucja egzekutora”. Lecz nawet i to nie przytłumiło bólu i pustki, które odtąd miały wypełniać jej życie.

Jedynie myśl, że może w jakiś sposób uda jej się przyspieszyć czas, dodawała jej otuchy.

Ujgurski ochroniarz sprawdził klatkę schodową na czwartym piętrze hotelu „Ukraina” i pomachał do Endela Rappaporta na znak, że droga jest wolna. Rappaport wszedł pierwszy, za nim Czarnoksiężnik.

– Tutaj możemy rozmawiać – powiedział, gdy zatrzasnęły się za nimi ciężkie drzwi.

– Kto to? – zapytał Torriti, przypatrując się bacznie niskiemu, szczupłemu Rosjaninowi, opierającemu się o ścianę; mógł mieć około czterdziestu lat, ubrany był w elegancki garnitur i z pewnością nie wyglądał na jednego z goryli Rappaporta. Jego posępne oczy spoglądały z kamienną powagą; Torritiemu wydawało się, że nieznajomy byłby równie znudzony, nawet stojąc twarzą w twarz z własnym zabójcą.

Rappaport zachichotał.

– Władimir to mój drezdeński partner w interesach.

– Cześć, Władimir – zaryzykował Torriti.

Władimir ani nie odpowiedział, ani się nie uśmiechnął.

– Kiedy pan wylatuje? – zapytał Rappaport Torritiego.

– Dzisiaj po południu.

Rappaport, ubrany w dwurzędową marynarkę ze złotymi guzikami, wsparty na lasce zwieńczonej pozłocaną gałką w kształcie psiej głowy, wymierzył palec prosto w nos Czarnoksiężnika.

– Kraj, który pan opuszcza, nie jest tym samym krajem, do którego pan przyjechał.

– Jasne – przytaknął Torriti. – Jelcyn odeśle Gorbaczowa na emeryturę i zlikwiduje partię komunistyczną. Ale co potem?

– Wszystko będzie lepsze od tego, co było – westchnął z rezygnacją Rappaport.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

– To pan tu będzie mieszkał, nie ja.

Rappaport odchrząknął.

– Jeśli chodzi o nasz kontrakt...

Torriti zerknął na srogięgo Rosjanina, wciąż podpierającego w milczeniu ścianę.

– Może pan mówić przy nim. Przed Władimirem nie mam żadnych sekretów.

– No więc ten kontrakt... – podchwycił Czarnoksiężnik.

– Wziąwszy pod uwagę to, kim pan jest i kogo reprezentuje, moi wspólnicy skłonni są pójść panu na rękę. Ponieważ zlecenie miało zostać zrealizowane p r z e d ostatnimi wydarzeniami, proponujemy anulowanie umowy i zwrócimy całą kwotę, zdeponowaną na naszym szwajcarskim koncie.

Sytuacja była tak komiczna i absurdalna, że Torriti omal nie parsknął śmiechem.

– U nas, w Stanach – powiedział – mawiamy: „Lepiej późno niż wcale”.

– Czy dobrze pana rozumiem, panie Czarnoksiężniku? Mimo tak późnej godziny nadal oczekuje pan, iż moi współpracownicy wypełnią warunki kontraktu?

– Proszę spojrzeć na tę sytuację z mojego punktu widzenia, przyjacielu. Moi klienci chcą zyskać pewność, że za rok o tej samej porze Jelcyn nie będzie miał na karku tych samych gości.

Podobny do gnoma rosyjski Żyd wbił w Amerykanina kamienne spojrzenie.

– Taki jak pan trafia się jeden na tysiąc, panie Czarnoksiężniku. – Wyciągnął rękę, którą Torriti uściskał z zapalem.

– To przyjemność robić z panem interesy, Endel. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy mówili sobie po imieniu? Odnoszę wrażenie, że znamy się

już od dawna... Słuchaj, martwi mnie twoje wynagrodzenie. Nie chciałbym, żebyś został z niczym.

– Pańska troska, panie Czarnoksiężniku, wzrusza mnie do łez. Ale proszę się nie kłopotać... Skontaktowałem się z Rabbim, który ze swej strony porozumiał się z osobą znaną jako *Devisenbeschaffer*...

Torriti zdębiał.

– Wiesz o istnieniu „nabywcy waluty”?

Grube wargi Endela Rappaporta wykrzywiły się w niewinnym uśmiechu.

– Legendarny Rabbi Hillel, który stał się sławny w drugim stuleciu, postawił sobie podobno pewne fundamentalne pytanie: „Jeżeli ja nie jestem dla siebie, to kto dla mnie jest?” Władimir na bieżąco śledził d l a m n i e finansowe poczynania „nabywcy waluty” w Dreźnie. Jedna trzecia kwoty, którą Rabbi od niego dostanie, wyląduje na moim koncie w szwajcarskim banku.

– Ludzie tacy jak ja nie spotykają codziennie ludzi takich jak ty – oświadczył Torriti uroczyście. – Jedna trzecia doli Rabbiego to całkiem spora sumka. Co zamierzasz zrobić z tą forszą?

Uśmiech zamarł na twarzy Rappaporta.

– Zanim obcięli mi palce, byłem studentem akademii muzycznej w klasie skrzypiec. Od tamtej pory nie jestem w stanie słuchać muzyki. Zamierzam użyć tych pieniędzy, żeby wyrównać rachunki.

– Z kim?

– Z Rosją.

– No cóż, cieszę się, że nasze drogi nie zetknęły się w czasach zimnej wojny. Twoja przedwczesna śmierć ciążyłaby mi na sumieniu.

Brwi Rappaporta zmarszczyły się w wyrazie bólu.

– I wzajemnie. Życzę szczęśliwej podróży, gdziekolwiek się pan teraz wybiera, panie Czarnoksiężniku.

– Wracam do domu – odparł Torriti. – Przystanek końcowy jest na wschód od Edenu. To raj na ziemi dla golfistów i alkoholików.

W oczach Rappaporta zatańczyły iskierki rozbawienia.

– Nie muszę nawet pytać, do której kategorii należysz.

– Chyba nie musisz – przyznał Torriti.

Wszystkie zgony zostały zaklasyfikowane w milicyjnych kartotekach jako wypadki lub samobójstwa.

Mikołaj Izwolski, spec od finansów w Komitecie Centralnym, ten sam, który przekazywał partyjne fundusze „nabywcy waluty”, spadł z dachu moskiewskiego wieżowca, gdy pewnej nocy zażywał tam świeżego powietrza. Zrędliva, stara kobieta z bloku powiedziała na przesłuchaniu, że na chwilę przedtem, zanim usłyszała krzyk i syreny radiowozów, zauważyła na dachu sąsiedniego budynku czterech mężczyzn. Ponieważ znana była na całym osiedlu ze skłonności do zmyślania historyjek o grasujących po okolicy podglądaczach, prokurator unieważnił zeznanie i umorzył śledztwo.

Magnata prasowego Urickiego i jego żonę Matyldę znaleziono w bmw, zaparkowanym w prywatnym garażu na tyłach ich *kottedzi* na przedmieściach Moskwy. W rurę wydechową wetknięty był koniec węża ogrodowego, podłączonego do systemu wentylacyjnego pod maską. Pielęgniarski, który przyjechał na wezwanie przerażonego stróża, rozbił młotkiem szybę w oknie samochodu, wyłączył silnik, wyciągnął nieprzytomnych na zewnątrz i podał im tlen, ale było już za późno. W późniejszym oświadczeniu dla władz wspomniał, że poczuł wówczas wyraźny zapach chloroformu. Pierwszy milicjant, który zjawił się na

miejscu zajścia, nie przypominał sobie nic podobnego, zbagatelizowano więc całą sprawę, ograniczając się do krótkiej adnotacji na końcu oficjalnego raportu. Prokurator stwierdził, że drzwi zostały zamknięte od wewnątrz, a pilot znajdował się przy tkwiących w stacyjce kluczykach. Drugiego, którym zwykle posługiwała się Matylda, nigdy nie odnaleziono, jednak i ten trop pominięto w późniejszym śledztwie. Dokładna sekcja zwłok nie stwierdziła sińców ani śladów pod paznokciami, mogących świadczyć o odbytej walce. Małżonkowie nie zostawili żadnego listu, lecz nie było tajemnicą, iż Paweł Uricki, jeden z głównych przywódców nieudanego puczu, głęboko przeżył porażkę, a Matylda, podejrzana o zamordowanie znanego rosyjskiego bankiera Cypina, obawiała się czekającego ją procesu. Ich śmierć uznano za podwójne samobójstwo i zamknięto dochodzenie.

Kiedy sąsiedzi Borysa Pugo usłyszeli dźwięk przypominający odgłos wystrzału, natychmiast wezwali milicję. Funkcjonariusze wyłamali drzwi i ujrzeli ciało ministra spraw wewnętrznych, wsparte bezwładnie na kuchennym stole. Na podłodze leżał pistolet dużego kalibru (który najwyraźniej wysunął się denatowi z rąk), a z wielkiej dziury w głowie wyciekał mózg. W liście, zaadresowanym do dzieci i wnuków, zmarły napisał: „Wybaczcie mi. To był błąd”. Z szafy na ubrania wyciągnięto przerażonego teścia Borysa Pugo. Staruszek trzął się ze strachu i mamrotał coś o plutonie egzekucyjnym, ale milicyjni psychiatrzy stwierdzili, że cierpi na demencję, więc i w tym wypadku prokurator doszedł do wniosku, że minister zastrzelił się sam.

Doradcę wojskowego Gorbaczowa, marszałka Achromiejewa, znaleziono powieszzonego na żyrandolu w jego własnym gabinecie. Ludzie pracujący w sąsiednich pomieszczeniach zeznali potem, że słyszeli coś, co brzmiało jak przesuwanie mebli i rzucanie ciężkimi przedmiotami o podłogę, ale nie

podejrzewali niczego złego, bo wiedzieli, że po ostatecznej klęsce puczu marszałek został odwołany ze służby czynnej i przeniesiony na emeryturę, pomyśleli więc, że porządkuje i pakuje osobiste rzeczy. Napisany na maszynie list Achromiejewa wyjaśniał przyczynę owych dziwnych hałasów: „Nie mam wprawy w popełnianiu samobójstw. Pętla się zerwała. Spróbuję jeszcze raz. Jestem już starym człowiekiem i popełniłem zbyt wiele błędów, dlatego uważam, że mam pełne prawo odebrać sobie życie”.

Fiodor Łomow z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jedna z kluczowych postaci spisku, uciekł z Moskwy, aby uniknąć aresztowania, po czym przepadł bez wieści. Pozostawił po sobie zagadkową notatkę, w której wyrażał ubolewanie, iż zamach na Gorbaczowa się nie udał. Wkrótce potem na brzegu rzeki, już za miastem, natrafiono na starannie złożone w kostkę ubranie, zidentyfikowane później jako własność zaginionego. Przechesano dno, ale ciała nigdy nie odnaleziono. Na przechowywanych w kartotece milicyjnej aktach sprawy Łomowa widnieje odręczny dopisek: „Wypadek pływacki”.

Gazety donosiły również o innych tajemniczych zgonach: w Sankt Petersburgu, do niedawna zwanym Leningradem, zginęli w wypadku samochodowym dwaj generałowie KGB, którzy swego czasu mieli usunąć legalnie wybranego burmistrza, by z ramienia Komitetu Stanu Wyjątkowego przejąć władzę nad miastem; na Krymie starszy oficer KGB z Dziewiątego Zarządu Głównego, dowodzący jednostką, która dokonała aresztowania Gorbaczowa w Foros, poniósł śmierć wskutek eksplozji kuchenki gazowej; w uralskim obwodzie wojskowym zasztyletowano w ulicznej bójce generała Armii Radzieckiej, który w chwili wybuchu puczu nakazał podwładnym rozprawić się z „kosmopolitami”, co w stalinowskiej frazeologii oznaczało pogrom miejscowych Żydów.

Władze, zaalarmowane serią owych „przypadkowych” zgonów i samobójstw, postanowiły zastosować nadzwyczajne środki ostrożności w stosunku do przebywających w areszcie przywódców puczu – Kriuczkowa i Jazowa. Obu więźniów objęto całodobowym nadzorem, odebrano im sznurowadła i paski oraz usunięto z celi wszelkie ostre przedmioty, a z odwiedzającymi wolno im było rozmawiać tylko przez szybę.

Podczas gdy oczy wszystkich zwrócone były na Rosję, tylko niewielu zauważyło krótką notatkę, zamieszczoną na ostatniej stronie jednej z drezdeńskich gazet, informującą, że we wczesnych godzinach rannych grupka miłośników joggingu odkryła wiszące pod mostem na Łabie ciało „nabywcy waluty”. Na krótko przed świtem mężczyzna przywiązał do barierki gruby sznur i założywszy sobie pętlę na szyję, skoczył w objęcia śmierci. Ubrany był w elegancki, starannie wyprasowany garnitur, na którym nie znaleziono żadnych śladów walki czy szamotaniny. W wewnętrznej kieszonce marynarki spoczywał wydrukowany list, podpisany imieniem i nazwiskiem. Typ czcionki zgadzał się z ustawieniami w komputerze denata. W swoim ostatnim słowie zmarły prosił żonę i dzieci o wybaczenie za to, że wybrał najłatwiejszą dla siebie drogę, by uniknąć kary za popełnione czyny; tłumaczył, że odebrał sobie życie, gdyż obawiał się ujawnienia faktu, iż przekazywał do Rosji fundusze, które miały sfinansować zamach stanu. W policyjnym raporcie zaznaczono, że *Devisenbeschaffer* nie podał numerów wspomnianych przez niego kont bankowych w Rosji, w związku z czym trudno będzie cokolwiek ustalić; na dobrą sprawę pieniądze rozplynęły się w powietrzu.

Odwróciwszy się plecami do zabudowanej bankami ulicy, po której pełzały długie, wąskie tramwaje, Czarnoksiężnik i jego Uczeń przeszli

przez kładkę dla pieszych na skraju Jeziora Genewskiego i zaszyli się w ogródkowej kawiarence. Gości obsługiwały tu ładniutkie kelnerki w szerokich, kwiecistych spódnicach i białych fartuszkach na tak cienkich, że niemal przezroczystych bluzkach. Jack przywołał jedną z nich i zapytał:

– Co klienci najczęściej zamawiają, kiedy coś świętują?

– Kieliszek szampana – odparła bez namysłu dziewczyna.

– O Jezu, tylko nie szampan! – jęknął Torriti. – Od tych pieprzonych bąbelków zawsze mam gazy.

– Niech będzie szampan – powiedział Jack do kelnerki, a widząc, że Czarnoksiężnik krzywi się z obrzydzeniem, dodał: – Od tak dawna zapijasz się gorzałą, że już nie wiesz, co dobre. Poza tym rozruch naszego „Przedsięwzięcia” powinniśmy uczcić w wielkim stylu.

Torriti niechętnie przyznał mu rację.

– Nie każdy wchodzi sobie do szwajcarskiego banku jak gdyby nigdy nic i dowiaduje się, że ma sto czterdzieści siedem milionów dolarów na tajnym koncie. Kiedy zbierałeś się do wyjścia, myślałem, że ten palant w garniturku zacznie wylizywać ci buty do połysku.

– To jest taka forsa, że aż nie wiem, czy w ogóle wypada to nazywać forszą – zwierzył się Jack przyjacielowi.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że ten *Devisenbeschaffer* zachomikuje w Dreźnie znacznie więcej. Jesteś pewien, że Ezra Ben Ezra niczego przed tobą nie ukrył?

– Rabbi miał sporo wydatków. Najpierw ten twój koleś z ruskiej mafii...

– Niezrównany Endel Rappaport, który zamierza wyrównać rachunki z Matuszką Rosją za swoje obcięte palce.

– ...dostał swoją działkę. Poza tym niezła sumka wylądowała w kieszeni pewnego podpułkownika KGB. To dosyć mętna historia... Gość siedział

przez ostatnie pięć lat na placówce w Dreźnie i tak się nauczył szwargotać, że powszechnie uchodził za Niemca. Swoją drogą trzeba przyznać, że facet ma głowę na karku. Sprzątnął Rabbieemu sprzed nosa znaczną część łupu „nabywcy waluty”, zanim nasz drogi Ben Ezra zdążył położyć łapę na forsie.

– Kto to jest?

– Nazywa się Putin. Władimir Władimirowicz Putin.

– Zabawne... Kiedy widziałem się z Rappaportem po raz ostatni, był u niego Rosjanin imieniem Władimir.

– Rabbi mówił mi, że na drugi dzień po wybuchu puczu ten cały Putin rzucił robotę w KGB, a potem wstąpił do Federalnej Służby Bezpieczeństwa, która powstała na gruzach dawnej bezpieki.

– Sprytnie – stwierdził Czarnoksiężnik. – Putin... – Potrząsnął głową. – Nie słyszałem.

– Ale wkrótce usłyszysz – odparł Jack. – Mając w zanadrzu sto pięćdziesiąt milionów do rozdania, prędzej czy później wypłynie na powierzchnię.

Kelnerka postawiła przed nimi szampana i wsunęła rachunek pod popielniczkę.

– Za banki szwajcarskie – powiedział Torriti i krzywiąc się na zapas, ostrożnie skosztował napoju.

– Za nasze „Przedsięwzięcie” – dodał Jack i wychylił duszkiem pół kieliszka, jakby to była woda sodowa. – Muszę ci się do czegoś przyznać, Harveyu. Czuję się tak samo, jak musiał się czuć Rockefeller, kiedy zakładał swoją fundację. Mam teraz problem, na co wydać te siedem milionów dolarów rocznych odsetek...

– Przeglądaj gazety i wysyłaj czeki na cele dobroczynne.

– A co byś nazwał celem dobroczynnym?

– To proste – odparł Czarnoksiężnik z powagą. – Celem dobroczynnym jest likwidacja złoczyńców.

Torriti pociągnął znacząco nosem i uśmiechnął się do własnych myśli.

– O co chodzi? – zapytał Jack.

– Dziwna sprawa, że Kritzky właśnie w ten sposób przejechał się na tamten świat. Myślę teraz, że to musiało się tak skończyć.

Jack niewidzącym wzrokiem zapatrzył się na jezioro. Wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach słowa Leo: „Przykro mi, Jack. Z powodu naszej przyjaźni... Ale nie żałuję tego, co zrobiłem”.

– Chciał naprawić świat – powiedział Jack. – Tylko nie zdawał sobie sprawy, że ten świat nie był zepsuty.

Czarnoksiężnik uznał, że powinien jakoś pocieszyć swojego Ucznia.

– Niech ci za bardzo nie uderzy do głowy to, co ci za chwilę powiem, ale jestem z ciebie dumny. Nie zalewam, chłopie... Dobraliśmy się jak w korcu maku.

– Miałem genialnego nauczyciela.

Torriti uniósł kieliszek.

– Nasze zdrowie, chłopie! Zdrowie ostatnich Mohikanów zimnej wojny...

– Zdrowie ostatnich Mohikanów zimnej wojny – powtórzył Jack.

Firma nie szczędziła kosztów na uroczyste pożegnanie Jacka, które odbyło się w stołówce na szóstym piętrze w Langley. Nad podwójnymi drzwiami zawieszono transparent z rodowym zawołaniem McAuliffe'ów („Raz kozie śmierć!"). Na wprost wejścia przyklejono powiększone do olbrzymich rozmiarów zdjęcie z magazynu „Time”, przedstawiające Jacka w chwili, gdy wyławiano go z tonącego pontonu w Zatoce Świń. Ku

wielkiemu zażenowaniu bohatera wieczoru i równie wielkiej radości Millie pozostałe ściany ozdobiono plakatami, na których widniały sentencje, wygrawerowane na jego licznych „ineksprymablach” („za odwagę i męstwo, wykraczające daleko poza służbową powinność”, „w duchu najlepszych tradycji tajnych służb”, „przynosił zaszczyt krajowi i Firmie”...). Pożegnalnym przemówieniem nie było końca.

– Każdy oficer Centralnej Agencji Wywiadowczej ma prawo do emerytury, gdy stuknie mu sześćdziesiąt pięć lat – mówił DCI do kilkuset kobiet i mężczyzn, stłoczonych w zakładowej stołówce – zwłaszcza po czterdziestu latach ofiarnej służby w obronie wolności. Ale wraz z odejściem Jacka tracimy nie tylko przyjaciela, towarzysza broni i zastępcę dyrektora wywiadu. Tracimy serce, duszę, mózg, doświadczenie i instynkt wojownika, który walczył na wszystkich frontach – od Berlina Wschodniego, przez Kubę, aż po Rosję, zagrożoną niedawno zamachem stanu – przeżył piekło na ziemi i zyskał sławę bohatera, a nam wszystkim wpoił swoją życiową dewizę: „Raz kozie śmierć!” Czterdzieści lat temu siedzieliśmy razem w berlińskim kabarecie „Die Pfeffermühle”. Wypiliśmy wówczas trochę za dużo i na stojąco odśpiewaliśmy w całości nasz studencki hymn z Yale, *Whiffenpoof Song*^[55]. Jak to idzie, Jack? Popraw mnie, jeśli coś przekręcę:

Nasza rozpacz miarą naszej jest młodości.

Boże, pomóż, od zbyt młodych lat zło znamy!

– Ci, którzy tam wtedy byli i tak jak ty, Jack, poznali najgorsze zbyt młodo, wiedzą, o co chodzi, i chyba nic już nie trzeba dodawać... może tylko: powodzenia i szczęśliwej drogi!

Oficerowie Firmy, z których większości jeszcze nie było na świecie, gdy Jack i Ebby przesiadywali w „Die Pfeffermühle”, nagrodzili przemówienie oklaskami; McAuliffe cieszył się ogólną sympatią i wszyscy szczerze żalowali, że ich opuszcza. Byli oto, jak się ktoś wyraził, świadkami końca pewnej epoki. Zapłakana Millie podbiegła do męża i wtuliła mokre od łez policzki w jego kozackie wąsy. Elizabet, Nellie, Manny, Anthony i jego żona Maria obstąpili Jacka, ściskając go i całując jedno przez drugie.

Strzeliły korki od szampana.

– Jak ci poszło w pokoju SH219? – zapytał Jack, kiedy udało mu się wreszcie porozmawiać z Ebby na osobności.

– Chociaż raz nas docenili. Przyznali, aczkolwiek niechętnie, że świetnie się spisaliśmy, bo dzięki nam prezydent mógł uprzedzić o wszystkim Gorbaczowa, który zresztą był głuchy na wszelkie ostrzeżenia. O tobie, Jack, też była mowa. Powiedziałem, że zakładasz prywatną firmę konsultingową do spraw bezpieczeństwa, pod nazwą „Przedsięwzięcie”. Dopytywali się, skąd masz na to forszę. – Ebby i Jack stuknęli się kieliszkami. – No właśnie, skąd masz forszę?

– Od klientów.

– Ostatnio jakoś nabrałeś wody w usta...

– Konsultant do spraw bezpieczeństwa powinien trzymać język za zębami, jeżeli chce zachować wiarygodność – odparował Jack.

– Chyba masz rację – przyznał Ebby. – Dziwna rzecz zdarzyła się podczas dzisiejszego spotkania... Nasi aniołowie stróże z Kongresu przypomnieli mi z naciskiem, że zabójstwo polityczne zostało u nas zakazane dekretem prezydenckim z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. W kółko wracali do tej serii wypadków i samobójstw, jakie

miały w Rosji miejsce po puczu... Kilka razy pytali mnie, czy o tym wiedziałem.

– Co im powiedziałaś?

– Prawdę. Powiedziałem, że przeczytałem o wszystkim w gazetach i że Firma nie miała z tym nic wspólnego. – Przekrzywił na bok głowę i obrzucił przyjaciela uważnym spojrzeniem. – A ty, Jack? Może przypadkiem wiesz coś, o czym zapomniałeś mi powiedzieć?

– Jestem czysty jak łąza – odparł McAuliffe.

Lekcje kłamstwa pobierał u wirtuoza w swoim fachu. Wierny Uczeń Czarnoksiężnika przywołał na twarz niewinny uśmiech i patrząc Ebby'emu prosto w oczy, powtórzył słowo w słowo to, co sam usłyszał niegdyś w Berlinie od Harveya Torritiego, kiedy zapytał go, czy przyłożył rękę do samobójstwa TĘCZY.

– Hej, przysięgam, stary. Na grób mojej matki.

POSTLUDIUM

ANATOMIA INFILTRACJI

– Ho, ho, moje dziecko! – powiedziała Księżna. – Ze wszystkiego wynika jakiś morał, jeśli tylko potrafisz go odnaleźć.

VIENNA, WIRGINIA, NIEDZIELA, 6 SIERPNI 1995

Wysoko nad miastem pierzasta chmura przesuwiała się leniwie na tle Wielkiej Niedźwiedzicy jak na zwolnionym filmie. Na opustoszałej ulicy, biegnącej wzdłuż Nottoway Park w powiecie Fairfax, stan Wirginia, o rzut kamieniem od miasta Vienna, barczysty mężczyzna koło pięćdziesiątki, znany swoim rosyjskim zwierzchnikom jako Ramón, pilnie obserwował okolicę przez lornetkę noktowizora. Tkwił tu już od północy, na tylnym siedzeniu swojego isuzu troopera. W tym czasie widział kilku przechodniów z psami na smyczy, dwóch homoseksualistów, którzy przystawali co parę metrów, by się sprzeczać, oraz pijaną kobietę w nieokreślonym wieku, zataczającą się na szpilkach, których urywane stukanie rozbrzmiewało echem pośród bezwietrznej letniej nocy. Potem zapadła kompletna cisza. Tuż po drugiej nad ranem dostrzegł ciemnego czterodrzwiowego forda. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn. Przejechali powoli, jakby patrolując okolicę, i zniknęli w bocznej uliczce, by dziesięć minut później zmaterializować się z zupełnie innej strony. Podczas swojej czwartej rundy samochód zatrzymał się przy krawężniku, niedaleko głównego wejścia do parku na Old Courthouse Road, i zgasił światła. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Obaj pasażerowie forda siedzieli w ciemnym aucie, jeden z nich bez przerwy palił papierosy. Za kwadrans trzecia wysiedli i ruszyli przez park w kierunku drewnianej kładki. Ten z papierosem stanął na straży, a jego towarzysz schylił się i wyciągnął ze schowka pod mostkiem zielony plastikowy worek na śmieci, na jego miejsce zaś wcisnął papierową torbę po zakupach. Wracając do samochodu, zdarli białą taśmę, przyklejoną pionowo na znaku przejścia dla pieszych (sygnał, że Ramón jest gotów odebrać paczkę), a potem przykleili ją na

nowo, tym razem w poprzek (sygnał, że skrzynka kontaktowa jest pełna). Raz jeszcze rozejrzeli się dookoła, wsiedli do forda i odjechali bez pośpiechu.

Ramón odczekał dwadzieścia minut. Od dziesięciu lat szpiegował dla Rosjan i już dawno doszedł do wniosku, że opróżnianie skrytki to jedyny naprawdę niebezpieczny moment w tej grze. Jego rosyjscy zwierzchnicy nie mieli pojęcia, kim był. Z dokumentów, które im dostarczył, mogli wywnioskować, że ma ścisłe powiązania z rosyjskim kontrwywiadem. Myśleli zapewne, że jest agentem CIA; nigdy nie przyszłoby im do głowy, że jest agentem FBI. I nawet gdyby Amerykanie dotarli do kogoś, kto wie o jego istnieniu, nie mogliby odkryć tożsamości Ramona, ponieważ Rosjanie też jej nie znali. Poza tym, jako wysoko postawiony urzędnik, miał dostęp do kodów komputerowych i tajnych plików, więc gdyby zaistniał choć cień podejrzenia, że w biurze działa amerykański kret, który pracuje dla Rosjan, natychmiast by się o tym dowiedział.

Ramón, człowiek ostrożny i biegły w swoim fachu, niezwykle starannie przeanalizował sytuację, rozważając wszystkie możliwe warianty, i doszedł do wniosku, że złapać go mogą tylko w trakcie opróżniania skrytki kontaktowej. Dlatego też zadał sobie teraz tyle trudu, by dokładnie sprawdzić park, zanim odbierze przesyłkę ze skrytki.

W połowie lat osiemdziesiątych, kiedy dostarczał swój pierwszy zielony plastikowy worek pełen tajemnic, motywem jego działania były pieniądze. Ludzie, wśród których się obracał – koledzy z klasy, sąsiedzi, prawnicy i maklerzy giełdowi, bywający na tych samych przyjęciach i koktajlach – mieli olbrzymie zarobki, premie na koniec roku i opcje na zakup akcji warte fortunę. Rządowa pensja Ramona wystarczała wprawdzie na bieżące wydatki, ale nie wiedział, z czego opłaci wykształcenie trójki dorastających dzieci i czwartego, które już było w drodze. Obawiał się też, że nic nie

zostanie z marzeń o beztroskim życiu na emeryturze. Chyba że... Chyba że obmyśli, jak powiększyć swoje dochody. I wtedy przyszło mu do głowy, że najszybciej obłowi się na sprzedaży Rosjanom tajemnic państwowych własnego kraju. Z uwagą przestudiował akta poprzednich kretów, aby upewnić się, że ominie pułapki, które tamtych doprowadziły do upadku. Pilnował się. Nie zmienił dotychczasowego stylu życia, żeby nie zwrócić na siebie uwagi speców od bezpieczeństwa. Jeździł starym, zdezelowanym samochodem i nadal mieszkał w tym samym skromnym domu w Wirginii, a wakacje spędzał w niedrogich amerykańskich kurortach. Co ciekawe, dopiero gdy dostarczył pierwsze paczki Rosjanom, zdał sobie sprawę, że pieniądze nie są dla niego jedyną nagrodą. Ogromną frajdę sprawiała mu świadomość, że potrafi wykiwać kolegów po fachu; za każdym razem, gdy udało mu się przechytryć kontrwywiad – powołany przecież właśnie po to, by udaremnić działanie takim jak on – dostawał świeży zastrzyk adrenaliny. Fakt, że sam pracował w kontrwywiadzie, dodawał tylko smaczku tej grze. Bezbarwne życie, wypełnione codzienną, szarą rutyną i żmudną papierkową robotą, nagle nabrało kolorów.

Tętno waliło Ramonowi w skroniach, kiedy wysiadał ze swojego isuzu. Poruszając się bezszelestnie na gumowych podszewkach, podszedł do kłódki, przykucnął i wyjął papierową torbę ze skrytki. Pod palcami czuł pliki banknotów, zużyte dwudziesto- i pięćdziesięciodolarówki, zwinięte w ciasne ruloniki, ściągnięte gumkami – okrągłe pięćdziesiąt tysięcy dolarów w zamian za dostarczone w zeszłym miesiącu informacje na temat dwóch rosyjskich dyplomatów, którzy szpiegowali dla CIA. Wróciwszy do samochodu, wcisnął torbę pod deskę rozdzielczą i włączył silnik. Kiedy kluczył pustymi ulicami, zmierzając w stronę domu, tętno zwalniało stopniowo. Ogarniał go spokój i wrażenie niczym nieograniczonej

swobody, podobne do tego, jakie odczuwa alpinista, schodząc ze szczytu w doliny.

Trudno, musi spojrzeć prawdzie w oczy – uzależnił się od adrenaliny, a ta pasjonująca podwójna gra stała się dla niego jedyną grą wartą świeczki.

Na kilka minut przed piątą rano pod Szpital Weteranów przy San Pedro Drive w Albuquerque, Nowy Meksyk, podjechała karetka pogotowia. Za kierownicą wypożyczonego samochodu, na parkingu dla lekarzy, siedział zgarbiony Jack McAuliffe i licząc sekundy, wpatrywał się w automatyczną bramę. Na „trzy” otworzył drzwiczki i ruszył biegiem za ambulansem, którego tylne światła znikły w przepastnych ciemnościach podziemnego garażu. Na „dziewięć” zanurkował pod zamykającą się nad nim bramą. Klucząc między zaparkowanymi samochodami, zmierzał ku zamkniętym drzwiom. Przez chwilę majstrował przy nich długim, cienkim wytrychem. Zamek odskoczył. Jack uśmiechnął się pod nosem. Nie bawił się w takie rzeczy od czasu kursów S.M. Craw Management. Przeskakując po dwa stopnie naraz, wdrapał się na trzecie piętro. Zasapany oparł się o poręcz, żeby złapać oddech; postarzał się bardziej, niżby chciał się do tego przyznać. Rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna, potem w kilku susach znalazł się przy szatni, gdzie pielęgniarka, zgodnie z umową, miała mu zostawić wszystkie niezbędne rekwizyty. Z kosza na czystą bieliznę wyciągnął parę białych spodni, lekarski kitel oraz dwa płócienne pokrowce na buty i błyskawicznie włożył to wszystko na siebie. Dla lepszego efektu zerwał ze ściennego wieszaka stetoskop i zawiesił go sobie na szyi. Chwilę później schodził już na drugie piętro, gdzie mieścił się oddział zamknięty, przeznaczony dla byłych agentów i oficerów Firmy. Nad wejściem wisiała tabliczka z wykaligrafowanym czerwonymi literami ostrzeżeniem: „Osobom postronnym wstęp wzbroniony”.

Jack bez zastanowienia pchnął drzwi. Kiedy zbliżał się do trzeciego z rzędu boksu, siedząca w kącie sali pielęgniarka rzuciła mu szybkie, porozumiewawcze spojrzenie. Odegrał małą scenkę, studiując uważnie wywieszoną na przepierzeniu kartę. Stał nad łóżkiem i wyciągnął rękę, żeby zmierzyć pacjentowi puls. Harvey Torriti, ubrany w szpitalną koszulę bez rękawów, wyglądał jak wieloryb wyrzucony na brzeg. Otworzył najpierw jedno zmętniałe oko, a potem drugie... Na widok nieoczekiwanego gościa parsknął radośnie.

– Cholera, Harveyu, jak tu trafiłeś? – wyszeptał Jack.

– Nafaszerowali mnie środkami przeciwbólowymi, a teraz martwię się, że wypaplam wszystkie tajemnice Firmy – powiedział Torriti. – No i skazali na śmierć w tej sterylnej pace dla kombatantów. Może mnie odwiedzać tylko najbliższa rodzina. A ja nie mam żadnej rodziny, nie tylko najbliższej, więc nikt tu nie zagląda. – Na widok Ucznia Czarnoksiężnikowi wyraźnie wzrosło morale. – Jak udało ci się przedostać przez strażę? – zapytał głosem zachrypniętym od zbyt długiego milczenia.

– Eksfiltracje, infiltracje... Pobierałem nauki u mistrza – odparł Jack.

Zauważył ranę po szrapnelu, który pozbawił głowy nagą damę, wytatuowaną na ramieniu Torritiego; pamiętał, jak panna Sipp mdlała, ilekroć Czarnoksiężnik podwijał rękaw, by zademonstrować jej to arcydzieło. Pochylił się niżej i popatrzył w twarz przyjaciela.

– Jak leci, Harveyu?

– Cóż mam ci powiedzieć, synu? Nie za dobrze. Jestem skonany, kiedy idę spać, wypompowany, kiedy się budzę. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, gonię resztkami sił. Chyba tutaj wyciągnę kopyta.

– W dzisiejszych czasach lekarze dokonują cudów...

Torriti ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Nie pieprz... Zbyt wiele razem przeszliśmy, żebyś teraz wciskał kit umierającemu. – Odwrócił głowę na poduszce, chcąc się upewnić, że pielęgniarka wciąż siedzi przy swoim stoliku. – Nie masz przypadkiem czegoś na wzmocnienie, żeby pokrzepić starego kumpla, stojącego na progu wieczności?

– Zabawne, że o tym wspomniałeś...

Jack wyjął pierśiówkę taniej whisky. Czarnoksiężnik pojaśniał, kiedy jego Uczeń podparł mu głowę i przytknął flaszkę do ust. Od alkoholu zapiekło go w gardle. Chrapliwie wciągnął powietrze, żeby ugasić ogień.

– Według zaleceń lekarza – wymamrotał, opadając z powrotem na poduszki. – Przypuszczam, że czytałeś o tych dwóch rosyjskich dyplomatach, których przyłapano na szpiegowaniu dla CIA i rozstrzelano?

– Czytałem. No i co?

– Chyba jesteś ślepy i głuchy, synu, skoro nie wiesz, co w trawie piszczy. Można się natknąć przypadkiem na jednego kreta, ale dwóch naraz...? Mówię ci, nos mnie swędzi... Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Myślę, że Ruscy mają u nas jakąś grubszą wtykę, prawdopodobnie w kontrwywiadzie, bo skąd by wiedzieli o tamtych dwóch?

– Zimna wojna się skończyła, ale wielka gra toczy się dalej – powiedział Jack.

– Natury nie da się oszukać – mruknął Torriti. – Dopóki *Homo politicus* nie będzie mógł żyć bez adrenaliny, dopóty szpiegdy będą szpiegować. – Skrzywił się z bólu i odetchnął głęboko, a kiedy atak minął, dodał jeszcze: – Poczytaj sobie czasem w gazetach o Endelu Rappaporcie.

– Nigdy nie widziałem w gazetach nazwiska Rappaport...

– Nie wymieniają go z nazwiska. Piszą o rodzimej rosyjskiej mafii, która przejmuje ten czy tamten bank lub kartel naftowy.

– Endel Rappaport nie jest jedynym gangsterem w Rosji... – zaczął Jack.

– Śledziłem też poczynania tego Putina. Na wypadek gdybyś to przeoczył, w co wątpię, jest wicegubernatorem Sankt Petersburga. Ludzie dobrze poinformowani mówią, że utrzymuje bliskie kontakty z Jelcynem, jest niezależny finansowo i nadzwyczaj zręcznie wspina się po szczeblach kariery. – W oczach Czarnoksiężnika zamigotały iskierki rozbawienia. – O tobie też czytałem, Jack.

– O mnie?!

– Nie urodziłem się wczoraj, synu. Co chwila te dobre chłopaki odnoszą jakiś sukces i tak sobie myślę, że stoi za tym to twoje „Przedsięwzięcie”. W Kolumbii kropnęli króla narkotyków, w Egipcie przepadł bez wieści komunistyczny dziennikarz, w Austrii wybuchła bomba w samochodzie jakiegoś neonazisty... Zostało ci jeszcze coś z tej forsy zamelinowanej w szwajcarskim banku?

– Milczenie jest złotem, Harveyu.

Torriti powrócił do wspomnień.

– Pamiętam ten dzień, kiedy przyjechałeś do berlińskiej bazy, pamiętam tę noc, kiedy spotkaliśmy się z tym nieszczęsnym Wiszniewskim w kryjówce nad kinem... Robiłeś z siebie żalosne przedstawienie, Jack... Mleko pod wąsem, pistolet pod pachą. Teraz już mogę ci to powiedzieć: nie byłem pewien, czy przetrwasz.

– Przetrwałem, Harv. Dzięki tobie. Dzięki tobie zmienił się świat.

– Tak sądzisz, Jack? Ja też powtarzam sobie bez przerwy, że to my zmieniliśmy ten świat. W dzisiejszych czasach ludzie mają krótką pamięć... Zapominają, że pieprzeni Goci stali u pieprzonych bram. Ty i ja, synu, samotnie wyszliśmy z okopów i odparliśmy najazd barbarzyńców. Do

diabła, coś takiego jak zimna wojna musi mieć jakiś morał. Bo jak nie, to po co to wszystko?

– Chodziło o to, żeby te dobre chłopaki pokonały tych złych – powiedział cicho Jack.

Czarnoksiężnik parsknął.

– Sporo spieprzyliśmy.

– Spieprzyliśmy mniej niż oni. Dlatego wygraliśmy.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak tym cholernym Sowiecom udało się przetrwać tak długo.

– Związek Sowiecki nie był państwem – odparł Jack. – Był metaforą pewnej idei, która może nieźle wyglądała na papierze, lecz w praktyce okazała się straszliwym knotem. A kiepską metaforę dużo trudniej usunąć niż kiepski system. Ale w końcu ich załatwiliśmy.

Torrity zamknął oczy, głowa opadła mu bezwładnie na poduszkę.

– Chryste Panie, Harveyu! – wykrzyknął Jack. – Chyba mi tu nie wykitujesz! Poczekaj przynajmniej, aż sobie pójdę.

Na wargi Czarnoksiężnika wypłynął wąły uśmiech. Powieki chorego uniosły się z wysiłkiem.

– Rip... – wyszeptał.

– Co?!

– R.I.P. Kapujesz, chłopie? *Requiescat in pace*. – Torrity zakrztusił się podejrzenie, a w oczach mignął mu przewrotny błysk. – CIA też ma w środku „I”. Myślisz, że to coś znaczy, Jack? Mówią, że ten się śmieje, kto...

Jack McAuliffe zachichotał, czując, że być może naprawdę śmieje się po raz ostatni.

– Może i coś w tym jest... Zawsze miałeś nosa do takich rzeczy, Harv.

Przypisy

[1] Cytaty z powieści Lewisa Carrolla *Przygody Alicji w Krainie Czarów* i *O tym, co Alicja odkryła po Drugiej Stronie Lustra* w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (wszystkie przypisy tłumaczek).

[2] Ivy League – nazwa obejmująca stare, renomowane uczelnie na Wschodnim Wybrzeżu: Brown, Columbię, Cornell, Dartmouth, Harvard, Pensylwanię, Princeton i Yale.

[3] Mimo że KGB powstał dopiero w 1954 roku, autor dla uproszczenia używa tej nazwy także wówczas, gdy opisuje wydarzenia wcześniejsze. Podobnie postępuje z określeniami i skrótami dotyczącymi struktury CIA.

[4] T.S. Eliot, *Gerontion*, w przekładzie Czesława Miłosza.

[5] Amerykański Departament Stanu.

[6] Rudyard Kipling, *Wojacy dżentelmeni*, w przekładzie Krzysztofa Zabłockiego.

[7] W Stanach: niskoalkoholowy napój orzeźwiający, przyrządzany z wina, wody sodowej, lodu, alkoholi aromatyzowanych i dużej ilości świeżych sezonowych owoców.

[8] Wózek siedzeniowy, przesuwany się po szynach zamontowanych w dnie łodzi, zastosowano po raz pierwszy w 1870 roku.

[9] Manifest Destiny – doktryna rozpowszechniona w XIX stuleciu w USA, mówiąca, że ekspansja Stanów Zjednoczonych na obszarze obydwu kontynentów amerykańskich jest usprawiedliwiona i nieunikniona.

[10] W przekładzie Andrzeja Stawara.

[11] National Labour Relations Board – Państwowy Urząd Pracy.

[12] George Byron, *Odpowiedź na kilka eleganckich wierszy nadesłanych przez przyjaciela*, w przekładzie Krzysztofa Zabłockiego.

[13] Anna Achmatowa, *Cinque*, 5, w przekładzie Adama Pomorskiego.

[14] Lew Tołstoj, *Anna Karenina*, w przekładzie Kazimierzy Iłakowiczówny.

[15] Reichssicherheitshauptamt – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

[16] T.S. Eliot, *Ziemia jałowa*, w przekładzie Czesława Miłosza.

[17] W przekładzie Krzysztofa Zabłockiego.

[18] Środek używany jako kontrast przy prześwietleniach, na przykład przewodu pokarmowego.

[19] George Byron, *Don Juan*, pieśń VII, w przekładzie Edwarda Porębowicza.

[20] Główne przejście między Berlinem Wschodnim i Zachodnim.

[21] W przekładzie Eugenii Siemaszkiewicz.

[22] Bertolt Brecht, *Rozwiązanie*, w przekładzie Ryszarda Krynickiego.

[23] Sándor Petőfi, *Węgierski szlachcic*, w przekładzie Stanisława Rossowskiego.

[24] Attila József, *Z czystym sercem*, w przekładzie Tadeusza Fangrata.

[25] Richard Nixon.

[26] Quarters Eye, centrum operacyjne CIA, mieszczące się w dawnych koszarach Pomocniczej Służby Kobiet (WAVES, Women Accepted for Volunteer Emergency Service).

[27] W 1958 roku Robert Kennedy publicznie oskarżył Jamesa R. „Jimmy’ego” Hoffę o „poważne nadużycia dotyczące związkowych pieniędzy” i o przekształcenie związku w „bandyckie imperium” („New York Times”, 2–5 kwietnia 1958); Teamsters Union (Związek Kierowców Ciężarówek) był oskarżony o kontakty z mafią (W.B. Breuer, *Vendetta! Castro i bracia Kennedy*, Magnum, Warszawa 1998).

[28] Pierwszy List do Koryntian 14, 8.

[29] Ewangelia według św. Mateusza 26, 24.

[30] Co z nim zrobimy? (hiszp.).

[31] Nie żyje (hiszp.).

[32] Jak cię zwa, przyjacielu? (hiszp.).

[33] Skąd jesteś? (hiszp.).

[34] Stąd. Z Real Campiña. To po tamtej stronie bagien (hiszp.).

- [35] Chcą z panem rozmawiać! (hiszp.).
- [36] Cholerny jankesie! (hiszp.).
- [37] Amerykański Departament Stanu.
- [38] Cegła suszona na słońcu (hiszp.).
- [39] *The Defection of A.J. Lewinter*, jedna z wcześniejszych powieści Roberta Littella.
- [40] Dwie grzanki BLT i dwa piwa (hiszp.). BLT (ang. *Bacon, Lettuce and Tomato*) – popularna w USA kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem.
- [41] John Milton, *Sonet XVI*, w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza.
- [42] *Faire un tour d'horizon* (fr.) – rozejrzeć się.
- [43] Patrz Lew Tołstoj, *Bystronogi. Dzieje konia*, w przekładzie Jerzego Jędrzejewicza.
- [44] *Čaukidar* (hindi) – strażnik; dozorca.
- [45] Danie chińskie.
- [46] W przekładzie Krzysztofa Zabłockiego.
- [47] Falaszowie (Felaszowie) – lud kuszycki zamieszkujący tereny na północ od jeziora Tana w Etiopii; wyznawcy judaizmu, prawdopodobnie potomkowie przybyszów z Półwyspu Arabskiego, którzy osiedli w Etiopii około X wieku; znani jako Czarni Żydzi.
- [48] *Moody* (ang.) – ponury, markotny, humorzasty.
- [49] Sind – dawna prowincja Indii Brytyjskich i region położony na południe od Pendżabu, od 1947 roku należący do Pakistanu.
- [50] Gotowany groch, zmielony na pastę i wymieszany z czosnkiem i cytryną.
- [51] McGuffinami nazywał Alfred Hitchcock naiwne, górnolotne kwestie, wygłaszane przez bohaterów filmów szpiegowskich w kulminacyjnym momencie akcji.
- [52] W przekładzie Krzysztofa Zabłockiego.
- [53] Tytuł polski (w przekładzie Andrzeja Drawicza): *Nadzieja w beznadziei*.
- [54] Tak myślałam... to byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe (ang.).

[55] Adaptacja wiersza Rudyarda Kiplinga *Dzientelmeni wojacy*, rozśławiona przez Binga Crosby'ego, który nagrał ją w 1947 roku.